

**Wasilij Grossman**

**Życie i los**

**Przełożył Jerzy Czech**

## Przedmowa

### ŻYCIE, A NIE LOS

*Z przyganą odniósł się też do tragedii przeznaczenia. „Cóż dzisiaj powiedział - począć z losem? Los to polityka”.*

J. W. Goethe Rozmowa z Napoleonem, 1808

Literatura rosyjska stworzyła w XX wieku niejedno arcydzieło, zwały sowieckiej grafomanii - i kanon lektur obowiązkowych.

Kanon to obowiązkowy tyleż z powodów moralnych, ile poznawczych. Nieznajomość epoki nie zwalnia od odpowiedzialności, a częścią epoki jest świadectwo oporu i zaprzeczenia totalitarnej grozie. W tym wypadku czytelnicza ignorancja oznacza współudział w kłamstwie: to cegiełka niewiedzy w murze zbrodniczego fałszu. Rzecz dotyczy ludobójstwa, a ono się nie przedawnia i nie zna rozgrzeszenia.

Nikt również w Polsce nie może nas zwolnić od znajomości - choćby tylko ze słyszenia - tych nazwisk i tytułów: Szalamowa i jego *Opowiadań kołymskich*, Sołżenicyna, Nadzieży Mandelsztam, Jewgienii Ginzburg z jej *Strumą ścianą*.

W tym zestawie *Życie i Los* to jedno z dzieł podstawowych. „Jedna z powieści najbardziej zgubnych dla tamtego ustroju” - jak to dziś formułują Rosjanie. Ta wywiedziona z doświadczenia dziennikarskiego lapidarnie epicka proza ma jednak dla dzisiejszego czytelnika zaskakująco współczesne walory. Nie z archiwalnych ani propagandowych względów spotkała się przecież z entuzjastycznym przyjęciem na trudnym rynku czytelniczym Europy Zachodniej i USA.

Podstawową wartością tej książki - i w wymiarze ideowym, i literackim - jest, jak się zdaje, właśnie prawda. To się w niej słyszy i to się czuje.

Autor, z Josifa Sołomonowicza przeistoczony w Wasilija Siemionowicza Grossmana, przyszedł na świat w roku 1905 w Berdyczowie, w rodzinie w pełni zasymilowanych żydowskich inteligentów. Po żydowsku znał ledwie parę zasłyszanych na ulicy słów, władał natomiast francuskim.

Dwa lata dzieciństwa spędził w Szwajcarii: matka była nauczycielką francuskiego. Ojciec, w okresie rewolucji 1905 roku związany z mienszewikami, z zawodu inżynier chemik, kształcił się w Bernie, później pracował zawodowo w donieckich kopalniach. Tam też w 1929 roku, po ukończeniu chemii na moskiewskim uniwersytecie, podjął pracę przyszły pisarz. Zmienił zawód po powrocie do Moskwy w 1933 roku: w następnym roku debiutował w prasie opowiadaniem o Rosjance klnącym basem bolszewickim komisarzu - której w Berdyczowie podczas wojny 1920 trafiło się zajść w ciążę i urodzić dziecko.

Opowiadanie było literacko świetne, lapidarne i wyraziste, a zarazem prowokująco paradoksalne, bliższe w swej wymowie nowelistyce Andrieja Płatonowa (niebawem bliskiego przyjaciela Grossmana) i innych członków nieistniejącej już literackiej grupy „Pieriewał” - takich jak patronujący debiutantowi Iwan Katajew czy Artiom Wiesioły<sup>1</sup> - niż ekspresjonistycznej Armii konnej Babla. Michaił Bułhakow miał

<sup>1</sup> Iwan Katajew (1902-1937) - nie mylić z Walentynem! - świetny nowelista; w

ponoć po tej lekturze zawołać: „Za pozwoleniem, jak mam to rozumieć: że można jednak czasem wydrukować coś sensownego?” Debiutem Grossman zwrócił na siebie uwagę Gorkiego, którego patronat ułatwił mu w 1936 roku publikację dwóch tomów opowiadań, a w 1937 - wstąpienie do Związku Pisarzy ZSRR. Zanosilo się na karierę pisarza w pełni sowieckiego.

Sytuacja się jednak skomplikowała. „Wielka Czystka” w latach 1937-1938 zmiotła niemal w całości członków dawnej grupy „Pieriewał” - po niektórych, jak piszą dziś historycy literatury rosyjskiej, nie zostało nawet fotografii. Rozstrzelani w katowniach NKWD zostali Katajew i Artiom Wiesioły, zginął też Boris Huber - niezłe zapowiadający się w latach dwudziestych nowelista, który teraz próbował się ocalić powieściami wysławiającymi system terroru i donosicielstwa. Niewiele wcześniej, porzucając dwóch małoletnich synów (starszy zginąć miał podczas wojny), żona odeszła odeń do Grossmana - jak wielka była to miłość, dowiodły dalsze wypadki. Olgę Huber aresztowano wkrótce po jej ślubnym mężu. Tegoż wieczoru Grossman wziął do siebie chłopców, których bali się przyjąć krewni rodziców. Podjął natychmiast osobiste i pisemne interwencje we wszystkich możliwych instancjach i organach sowieckich, nie wyłączając samego Jeżowa - postawionego przez Stalina na czele NKWD na czas kampanii terroru. Po roku starań i zapewnień, że aresztowana kobieta jest jedynie formalnie związana z Huberem, Grossmanowi cudem udało się wyciągnąć żonę z więzienia.

Na przeszkodzie w karierze stanęły też względy na pozór literackie.

Jako prozaik, autor powieści *Stiepan Kolczugin* (1937-1940) - proletariackiego Bildungsroman z ducha Gorkiego - nie wzbudził sympatii dyktatora, który osobiście wykreślił ten tytuł z listy kandydatur do Nagrody Stalinowskiej. Jako reportażysta Grossman i wówczas, i później dochował wiary wielkiej tradycji demokratycznego dziennikarstwa rosyjskiej inteligencji liberalnej: to ta właśnie tradycja zrodziła niegdyś *Sachalin* Czechowa. Nie chciał pisać o miejscach i sprawach, których nie znał, o zdarzeniach, których nie był świadkiem i uczestnikiem; nie ulegał pokusie propagandowego kłamstwa.

Tej postawie zawdzięczał też sławę jako korespondent wojenny dziennika „Krasnaja Zwiezda” podczas wojny sowiecko-niemieckiej 1941-1945. Był uczestnikiem i obserwatorem tej wojny od początku: od klęski wojsk sowieckich w 1941 i 1942 roku, „biblijnego exodusu”, jak to określił w notatniku, i osiadającego na wszystkim żrącego „kurzu odwrotu” (obraz ten utrwalił w krótkiej powieści *Naród jest nieśmiertelny*, 1942) - aż po zdobycie Berlina w 1945 roku. Był w Stalingradzie przez cały czas obrony miasta. We wrześniu 1942 roku artykuł *Kierunek głównego natarcia* na osobiste polecenie Stalina przedrukowano w prasie centralnej - później cytat z niego wryto na stalingradzkim pomniku. Grossman był na Łuku Kurskim, w obozie na Majdanku w pierwszych dniach po ucieczce Niemców i w Treblince (potwierdziły się jego najgorsze obawy; na podstawie tych obserwacji rekonstruował w jednej z kluczowych scen powieści drogę śmierci do komory gazowej), z bezsilną zgrozą obserwował ze stanowisk unieruchomionej Armii Czerwonej płonąca powstańczą

---

Polsce po Październiku 1956 ukazał się w 1961 roku tom jego utworów: *Żona i inne opowiadania*. Artiom Wiesioły (1899-1937) - autor słynnej epepei *Rosja we krwi skąpana* (dwa wydania polskie w latach sześćdziesiątych XX wieku).

Warszawę - nie miał wątpliwości co do politycznych, a nie strategicznych pobudek bezczynności Stalina.

Ze zgrozą równą Solżenicynowskiej zapisywał w notatniku opublikowane kilkadziesiąt lat później wzmianki i relacje o pijackich rozbojach, pogromach i gwałtach, dokonywanych przez żołnierzy sowieckich na terenach Polski i Niemiec. Gwałcono też sowieckie dziewczęta i kobiety wyzwolone z obozów pracy przymusowej, a nawet z kacetów. Wszędzie, zwłaszcza w Niemczech, pisarz widział przerażenie w oczach kobiet: to notatki z godziny triumfu.

Zimą 1944 roku na Ukrainie Grossman poznał okoliczności śmierci matki zamordowanej wraz z całą ludnością żydowską w Berdyczowie w 1941 roku. Nigdy nie wybaczył sobie, że pozostawił tam matkę w godzinie odwrotu. Jej pamięci poświęcił swoją wielką powieść. Po śmierci pisarza w jego papierach odnaleziono kopertę z dwiema fotografiami: własnym chłopięcym zdjęciem z matką i wykonaną przez niemieckiego oficera fotografią pełnego ludzkich zwłok wielkiego rowu pod Berdyczowem. W tejże kopercie znaleziono dwa listy adresowane do umarłej: pierwszy - z 1950 roku, kiedy od wielu miesięcy pierwszy wariant powieści o Stalingradzie nie mógł doczekać się druku w miesięczniku „Nowyj Mir”; drugi - z 1961, w dwudziestolecie śmierci matki, które zbiegło się z konfiskatą *Życia i Losu*.

Podczas procesu norymberskiego reportaż Grossmana *Piekło Treblinkki* w postaci broszury był załącznikiem do aktu oskarżenia. W 1949 roku, w krwawym kontekście tak zwanej drugiej Czystki i masowego antysemitckiego terroru w ZSRR (pod szyldem „walki z kosmopolityzmem”) zniszczono jednak cały nakład zredagowanej przez Grossmana razem z Erenburgiem *Czarnej księgi* - zbioru relacji o zbrodniach Szoah, między innymi w Ponarach, w Treblince, w Sobiborze, w warszawskim getcie. Akt ten zbiegł się w czasie z mordem NKWD na osobie wybitnego aktora Samuela Michoelsa i z aresztowaniem członków czynnego podczas wojny Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, któremu ten przewodniczył. Aresztowani, najwybitniejsi poeci i intelektualiści żydowscy, po kilkuletnim śledztwie z torturami zgładzeni zostali w roku 1952, tuż przed wybuchem sprawy lekarzy kremlowskich.

Prasowa nagonka przeciwko Grossmanowi nie wróżyła wówczas nic dobrego - ocalenie przyniosła śmierć Stalina. W dziesięć lat później, kiedy moskiewska cenzura zażądała zdjęcia jednego jedyne akapitu poświęconego Zagładzie z tekstu jego krótkiej powieści w złożonym już numerze „Nowego Miru”, Grossman odmówił: powieść usunięto z numeru.

Memuaryści zgodnie wspominają o pewnym szczególe: za młodu towarzyski i skory do śmiechu, pisarz „po raz ostatni uśmiechnął się przed wojną”. Wśród dalszych znajomych uchodził za człowieka o trudnym charakterze, niegardzącego mocnym słowem. Sam o sobie mawiał, że nie jest niebieskooką blondynką przy kości, jaka podoba się wszystkim.

Po raz pierwszy Grossman (który nigdy zresztą nie należał do partii komunistycznej) padł ofiarą politycznej dintojry w prasie w kontekście słynnych wystąpień Żdanowa w 1946 roku. Operacji dokonał jeden z głównych egzekutorów żdanowowskich rezolucji - znany donosiciel i urzędowy paszkwilant Władimir Jermiłow. Przedmiotem napaści była właśnie ogłoszona drukiem, lecz powstała jeszcze przed wojną sztuka *Jeśli wierzyć pitagorejczykom*. Jej szkodliwość polegała na sprzecznej z

materializmem historycznym idei powtarzalności tych samych konfliktów w różnych epokach dziejowych. Po raz drugi, w jeszcze groźniejszej dla pisarza aurze, hasło nagonki rzucił w lutym 1953 roku Michaił Bubiennow - urzędowy grafoman, w przyszłości bonza Związku Pisarzy, w 1947 roku laureat Nagrody Stalinowskiej I stopnia za pierwszą część powieści wojennej *Biała brzoza* (wydanej również trzykrotnie w polskim przekładzie), której opublikowana w 1952 część druga sprowadzała się już wyłącznie do panegirycznej apologii Stalina.

Autor ten, agresywny, obsesyjny antysemita, zasłynął w 1951 roku notą w komsomolskiej gazecie, demaskującą w literaturze użytkowników przybranych nazwisk - zwłaszcza żydowskiego pochodzenia. (Wsparł wówczas ten atak inny żydożerca - Michaił Szołochow.) Teraz dużym artykułem w głównej partyjnej gazecie „Prawda” inicjował Bubiennow pogrom ogłoszonej w czterech numerach „Nowego Miru” i życzliwie z początku przyjętej powieści Grossmana *Za słuszną sprawę* - w przyszłości, po przeróbkach, podstawy pierwszej części *Życia i Losu*. W sabacie czarownic, który artykuł ów rozpętał, Grossman najboleśniej odczuł kapitulację Aleksandra Twardowskiego, redaktora naczelnego „Nowego Miru”: ta osobista zdrada względnie liberalnego przyjaciela-poety wróżyła jak najgorzej.

Trzecia faza wiązała się już bezpośrednio z *Życiem i Losem* - zaiste, z życiem i losem Grossmana. Praca nad tą powieścią, tytułem do chwały autora, który przede wszystkim tej książce zawdzięcza swoje miejsce w historii literatury, ale też żywy i rosnący dziś autorytet międzynarodowy, trwała dziesięć lat. Książka zasadniczo ukończona została na przełomie 1959 i 1960 roku. Było to już po awanturze rozpętej w związku z publikacją na Zachodzie powieści *Doktor Żywago* Borisa Pasternaka (również wcześniej szykanowanego ze względu na pochodzenie) i przyznaniem mu Nagrody Nobla, której przyjęcia zmuszony był odmówić. W okresie nagonki na tego wielkiego poetę Grossman przesłał mu list z wyrazami solidarności. Do debiutu *Sołżenicyna* słynnego opowiadania *Jeden dzień Iwana Denisowicza* - u Twardowskiego w „Nowym Mirze” pozostało mniej więcej półtora roku.

Maszynopis powieści, której przyjaciele nie wróżyli oczywiście publikacji, w 1960 roku Grossman złożył w miesięczniku „Znamia”. Z tekstem zapoznał się redaktor naczelny Wadim Kożewnikow - kolejny partyjny grafoman, który od stalinowskiej hagiografii przeszedł za rządów Chruszczowa do klecenia socrealistycznych produkcyjniaków: główny z nich, cierpko przyjęte przez krytykę powieści o budowie gazociągu na Syberii, ogłosił właśnie w 1960 roku pod tytułem *Taki jest Bałujew* (podobnie jak opusy Bubiennowa, dzieła Kożewnikowa z urzędu tłumaczono na polski w PRL). Redaktor naczelny osobiście przekazał KGB maszynopis wraz z donosem. Zasługi nie pozostały bez nagrody: resort ułatwił mu pracę nad kolejną powieścią, która pod tytułem *Tarcza i miecz* (herb sowieckiej bezpieki) w 1965 roku zwiastowała nadejście nowej Breżniewowskiej ery. Książka ta, w której temat wojny służył apologii „organów”, była - zgodnie z jego własnym wyznaniem - ulubioną młodzieńczą lekturą Władimira Putina.

W połowie lutego 1961 roku - dokładnie dwa miesiące przed pierwszym otrąbionym propagandowo lotem Gagarina w kosmos - do mieszkania Grossmana zawitali „niedobrzy ludzie”, jak ich ochrzciła pomoc domowa. W wyniku całodziennego przeszukania aresztowano nie pisarza, lecz jego powieść: skonfiskowano wszystkie kopie maszynopisu, bruliony, nawet kalkę z maszyny do pisania. W sumie - wraz z

egzemplarzem dla Twardowskiego zatrzymanym u maszynistki w „Nowym Mirze” - aresztowano 16 kopii powieści. Rzecz znamienita, kagiebiści zostawili w spokoju maszynopisy kolejnej, równie nieprawomyślnej powieści *Wszystko płynie*: ukazała się ona później w samizdacie, a w przekładzie w polskim drugim obiegu. Grossman odmówił podpisu pod zobowiązaniem do zachowania tajemnicy.

W niejasnej atmosferze, poprzedzającej kolejny antystalinowski XXII zjazd partii, próbował uratować powieść. Zwrócił się z listem do Chruszczowa: „Nie ma prawdy, nie ma sensu w obecnej sytuacji, w mojej fizycznej wolności, podczas gdy książka, której poświęciłem życie, znajduje się w więzieniu - przecież ją napisałem, przecież się jej nie wyparłem i nie wypieram. Minęło dwanaście lat, odkąd rozpocząłem pracę nad tą książką. Jak dawniej uważam, że napisałem prawdę, że pisałem ją, kochając i współczując ludziom, wierząc w ludzi. Proszę o wolność dla mojej książki”.

Po tym liście przyjął pisarza Michaił Susłow - od lat stalinowskich do schyłku Breżniewa szara eminencja rządów sowieckich, formalnie sekretarz KC do spraw ideologii. Najwyraźniej nie znając tekstu powieści, w rozmowie korzystał z dwóch ściągawek, przygotowanych przez podwładnych. O zwrocie maszynopisu, jak stwierdził, „nie ma nawet co myśleć”. Powieść skonfiskowano dla dobra pisarza, w razie publikacji na Zachodzie autor odpowiadałby bowiem za narażenie na szwank bezpieczeństwa i prestiżu państwa sowieckiego - dodajmy, w atmosferze nadciągającego konfliktu kubańskiego. Na pytanie, czy w takim razie możliwa byłaby publikacja nie na Zachodzie, lecz w kraju, to jest w ZSRR, Susłow odpowiedział: „Tak, możliwa. Za dwieście lat”.

Pisarzowi pozostało trzy lata życia. Z trudem udało mu się wówczas opublikować tylko kilka opowiadań. Nie to jednak niepokoiło go najbardziej. W ciągnącej się miesiącami agonii (rak nerek z przerzutem na płuca), ocknąwszy się któregoś dnia z zamroczenia, zapytał dyżurującą przy nim w szpitalu Annę Berzer - tę, której zasługą była niedawna publikacja w „Nowym Mirze” *Jednego dnia Iwana Denisowicza*: „W nocy brali mnie na przesłuchanie... Niech pani powie, czy nikogo nie wydałem?” Zmarł we wrześniu 1964 roku, nie dociągnąwszy do sześćdziesiątki.

Książka jednak nie odeszła wraz z nim.

Jesienią 1960 roku za radą najbliższych przyjaciół Grossman przekazał dwóm z nich - poecie Siemionowi Lipkinowi i dawnemu koledze ze studiów Wiaczesławowi Łobodzie - kopie maszynopisu do ukrycia w bezpiecznym miejscu. Przez kilkadziesiąt lat rodzina Łobody przechowywała teczkę z brulionem antypaństwowej powieści w niepozornej torbie na zakupy. Czystopis użyczony przez Lipkina strona po stronie zmikrofilmował, zabarykadowany w łazience własnego moskiewskiego mieszkania, słynny dysydent, profesor Andriej Sacharow. Mikrofilmy po kryjomu wywoził na Zachód związany z ruchem dysydenckim znany prozaik Władimir Wojnowicz.

Emigracyjna publikacja powieści stała się podstawą jej przekładów.

Do kraju powróciła w 1988 roku, w okresie pieriestrojki, opromieniona aurą francuskiego sukcesu - przełożona w całości, wzbudziła sensację wśród paryskich czytelników. Sukces towarzyszył też kolejnym jej zagranicznym prezentacjom - od Niemiec po USA. Recenzując w 2006 roku na łamach „Washington Post” publikację notatników Grossmana w angielskim przekładzie z komentarzem wybitnego

brytyjskiego historyka II wojny światowej, Antony'ego Beevora, znany dziennikarz Andrew Nagórski zauważył trafnie, że z upływem lat autorytet Grossmana tylko rośnie, wraz ze wzrostem zainteresowania gigantomacją dwóch totalitaryzmów - hitlerowskiego i stalinowskiego: „Cytaty z Grossmana można znaleźć niemal w każdej nowej książce o wojnie na froncie wschodnim”.

Udokumentowana przez *Życie i Los* wiedza i przenikliwość Grossmana zaiste budzić muszą podziw.

Mniejsza już o znajomość tego „frontu wschodniego” II wojny światowej: pisarz zdaje sobie sprawę z proporcji ofiar, choćby nie znał ścisłych liczb, których dziś jesteśmy świadomi. Armia Czerwona, która do wojny przystąpiła niemal w całości pozbawiona przez terror kadry oficerskiej - od naczelnych dowódców do dowódców czterdziestu tysięcy pułków - straciła ponad osiem milionów żołnierzy (nie tylko w walce, ale też w głodowych obozach, w których eksterminacji sowieckich jeńców dokonywali Niemcy). Przez całą wojnę straty sowieckie, nawet w zwycięskich bitwach, trzykrotnie przekraczały straty niemieckie na froncie wschodnim. Sto pięćdziesiąt osiem tysięcy żołnierzy sowieckich zostało straconych z wyroku własnych sądów wojskowych, a liczba rozstrzelanych bez sądu jest trudna do oszacowania. Jeńcy sowieccy po „wyzwoleniu” (nie mówiąc o członkach armii Własowa) zostali masowo osadzeni w syberyjskich łagrach - powiększyli więc listę strat. O tym zresztą Grossman pisze wprost - a temat ten podjął po nim Sołżenicyn w *Archipelagu GULag*.

Co innego jednak jest najważniejsze.

Jeden ze współczesnych krytyków rosyjskich, konstatując dobrze już dziś rozpoznany fenomen rozwoju w ideologiach XX wieku nierozdzielnej hybrydy wolności i zbrodni - bo taki sens w polszczyźnie ma użyte tu rosyjskie pojęcie nasilje, „przemoc” - słusznie (choć w abstrakcyjnej interpretacji) za główną „epicką ideę” powieści uznaje przeciwstawienie tych dwu: zbrodni i wolności. Dodaje przy tym jednak zawile zdanie, którego treści sam może nie w pełni jest świadom: „Grossman jest przekonany, że siłę ludzi takich jak Nieudobnow, co podczas przesłuchań w 1937 roku wybijał więźniom zęby<sup>2</sup>, Stalin, karierowicz Gietmanow, podtrzymują cierpienia narodu, który, rzucając w gardziel własnych synów, buduje postument dla Stalina”. Cierpienia jako budulec zbrodni. Im większe powszechne cierpienia i ofiary (i to nieraz dokonywane z wolnej woli, z męstwem, a nie tylko ze strachu), tym większa siła zbrodni: przeraźliwy to sylogizm - i z pewnością nie powód do moralitetu.

Nie z moralitetu rodem są też u Grossmana trzy paradoksalne postaci „starych bolszewików” - niedobitych przez Stalina niegdysiejszych inspiratorów ludobójczej rewolucji: tego zeszmaczonego łagiernika, którego snem o wolności pozostaje krwawa totalitarna mrzonka, niosąca mu zgubę wśród milionów ofiar; tego składającego na Łubiance dowody rewolucyjnej niezłomności mitomana, którego we własnych oczach

<sup>2</sup> Ten motyw znany jest między innymi z dziejów wielkiego poety Nikołaja Zabołockiego. Podczas przesłuchań w latach 1937-1938 stracił on wszystkie zęby. Z łagru do żony i dwójki dzieci powrócił dopiero w 1946 roku, po czym stał się sąsiadem małżeństwa Grossmanów w Moskwie. Historia skrytej, niespełnionej miłości Grossmana (przez cały pobyt na froncie niezłomnie wiernego żonie) i Jekatieriny Zabołockiej, żony poety, stała się kanwą powieściowego wątku Sztruma i Marii Sokołow.

nobilituje donos, skazujący na rozstrzelanie bohatera obrony Stalingradu; tego wreszcie, który w kacecie nie potrafi odeprzeć argumentacji esesmana (a esesman, o ironio, najwidoczniej wyraża tu przemyślenia i poglądy samego autora), gdy ten dowodzi lustrzanej tożsamości obu totalitarnych „państw partyjnych”: hitlerowskiego i stalinowskiego.

Ideologiczna wolność w tym lustrze przybiera rysy zbrodni. Szale stoją w równowadze: po tej stronie GUŁag, ludobójstwo kolektywizacji, rok 1937, po tamtej - Holokaust i „noc długich noży”.

Wzięty do niewoli wraz z tym ostatnim „starym bolszewikiem” jego frontowy kierowca, szeregowy krasnoarmiejec, w cywilu - moskiewski robotnik, jako zagłodzony muzułman wyrzucony nawet przez Niemców na pewną śmierć, wraca do życia w ukraińskiej wsi, odchuchany przez chłopkę, która nie zapomniała ludobójstwa Wielkiego Głodu, z premedytacją wywołanego przez Stalina na Ukrainie w początku lat trzydziestych. Grossman pisze o tym, czemu dziś, pięćdziesiąt lat później, przeczy oficjalna rosyjska propaganda. Pisze o dobrej okazji, o sposobności, którą przyniosła straszliwa wojna, by fizycznie zlikwidowane przez terror stalinowski państwo „starych bolszewików”, z ich dziewiętnastowiecznym mitem rewolucji internacjonalistycznej, obrócić wreszcie w realny „socjalizm w jednym kraju” - czyli w totalitarne państwo narodowe. Lista ofiar staje się listą narodowości; Grossman je wymienia: Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Kałmucy, Tatarzy, Czeczeni...

Niepełny to spis, ale przecież umiemy go dziś uzupełnić.

O losie narodów stanowi zbrodnia, terror, przemoc w glorii państwa.

O życiu ludzkim, niepowtarzalnym w swojej swoistości i szczególności, stanowi jednak, jak niegdyś dla Dostojewskiego, wolność i moralność.

Ideologiczne „dobro” zbiorowe to tylko krwawy fantom, który wschodzi nawet nad komorami gazowymi i krematoriami. Z perspektywy czasów zagłady prawdziwa jest tylko dobroć - ten często bezrefleksyjny, silniejszy i od strachu, i od nienawiści ludzki odruch. Symboliczna w swej może nawet podpatrzonej konkretności jest scena po klęsce Niemców w Stalingradzie: tłum kobiet wypełzłych z ruin obserwuje niemieckich jeńców, wynoszących z budynku szczątki storturowanych ofiar gestapo. Lincz wisi w powietrzu. Zamroczenie nienawiścią patrzącej kobiety równe jest zamroczeniu grozą młodego oficera Wehrmachtu. Kobieta w ślepych odruchu kieruje się ku niemu i nagle, zamiast sięgnąć po kamień, półprzytomna, wyciąga w jego stronę rękę z kawałkiem gliniastego chleba.

Życie bierze górę nad losem, nad przeznaczeniem: to bardzo stara prawda ludzkości. W roku obrony Stalingradu przypominał ją wierszem, w tej samej co Grossman intencji, zwolniony z łagru polski poeta, oficer Andersa:

Potem marmurem czarnym grobowca pyszni się władca, pyszni się sprawca.

Kroczy historia, coraz surowsza. Życie się sprawdza. Śmierć się nie sprawdza.

Na wielkość książki Grossmana składa się przenikliwość, niewiarygodna, przerastająca miarę epoki śmiałość myśli - i ostrość widzenia. Racja życia, niespójnego, poszczególnego, fragmentarycznego, uwikłanego w sprzeczności i słabości, ironicznego w swych próżnościach i szaleństwach, oślepiająco czystego w



odruchu dobroci - wyraża się w tej powieści we wspaniałym ciągu szkicowanych portretów. To one przede wszystkim pozostają w pamięci czytelnika, torują drogę refleksji pisarza.

Wielka to tradycja prozy i dziennikarstwa: wielka jak prawda.

ADAM POMORSKI

Dedykuję mojej matce, Jekatierinie Sawieljewnie Grossman

## CZEŚĆ PIERWSZA

### 1

Nad ziemią wisała mgła. Na drutach wysokiego napięcia, biegnących wzdłuż szosy, pojawiały się odblaski samochodowych reflektorów.

Deszcz nie padał, ale o świcie ziemia była wilgotna, toteż kiedy zapalało się czerwone światło, na mokrym asfalcie pojawiała się niewyraźna czerwona plama. Tchnienie obozu czuło się od wielu kilometrów - to do niego zmierzały ciągle gęstniejące druty, szosy, tory. To była przestrzeń linii prostych, przestrzeń prostokątów i prostopadłościów, tnących ziemię, jesienne niebo, mgłę.

Przeciągle, niezbyt głośno zawyły odległe syreny.

Szosa przywarła do torów kolejowych, więc kolumna samochodów wiozących cement w papierowych workach przez jakiś czas jechała prawie z tą samą szybkością co nieskończenie długi pociąg towarowy. Kierowcy w wojskowych płaszczach nie oglądali się na jadące obok nich wagony, na blade plamy ludzkich twarzy.

Z mgły wyłoniło się ogrodzenie obozu - rzędy drutów między betonowymi słupami. Baraki ciągnęły się, tworząc szerokie, równe ulice. Ich monotonia wyrażała nieludzkość tego olbrzymiego obozu.

Pośród milionów rosyjskich drewnianych chat na próżno szukalibyśmy dwóch identycznych. Wszystko, co żywe, jest niepowtarzalne. Nie do pomyślenia są dwaj dokładnie tacy sami ludzie, dwa takie same krzaki dzikiej róży... Życie zamiera tam, gdzie przemoc stara się zatrzeć jego niepowtarzalność i swoiste cechy.

Uważne i wzdrgające oko siwego maszynisty śledziło migotanie betonowych słupków, wysokich masztów z obracającymi się reflektorami, betonowanych wież, gdzie na tle światła widać było strażnika przy obrotowym karabinie maszynowym. Maszynista mrugnął do pomocnika, parowóz zagwizdał ostrzegawczo. Mignęła jasno oświetlona budka, samochody czekające w kolejce przy pasiastym szlabanie, bycze, nalane krwią, oko sygnalizatora.

Z daleka dobiegł ich gwizdek składu jadącego z naprzeciwka. Maszynista powiedział do pomocnika: - To Zucker, poznaję go po tym wariackim sygnale, wyładował transport i pędzi na pusto do Monachium.

Po chwili zadudnił pusty skład, minął się z pociągiem jadącym do obozu, rozdarte powietrze zatrzeszczało, zamrugały szare prześwity między wagonami, i nagle strzepy przestrzeni i światła jesiennego poranka znowu połączyły się w jedno miarowo sunące torowisko.

Pomocnik maszynisty wyjął lusterko z kieszeni i obejrzał swój usmolony policzek. Maszynista ruchem ręki poprosił o lusterko.

Pomocnik rzekł wzburzonym głosem: - Ach, genosse Apfel, gdyby nie ta dezynfekcja wagonów, to mógłbym się założyć, że dalibyśmy radę wrócić przed obiadem, a nie o czwartej, i to jeszcze zmordowani. Tak jakbyśmy nie mogli zrobić dezynfekcji u nas na węźle.

Stary miał dość tego wiecznego gadania o dezynfekcji.

- Daj długi sygnał - polecił. - Mamy jechać nie na zapasowy, tylko prosto na główny plac rozładunkowy.

2

W niemieckim obozie Michaił Sidorowicz Mostowski po raz pierwszy od czasów II Kongresu Kominternu mógł na serio wykorzystać swoją znajomość języków obcych. Przed wojną, w Leningradzie, nieczęsto miał okazję rozmawiać z cudzoziemcami. Teraz przypomniały mu się lata emigracji w Londynie i w Szwajcarii; grupy rewolucjonistów rozmawiały tam, śpiewały i kłóciły się w wielu europejskich językach.

Sąsiad z pryczy, włoski ksiądz Gardi, powiedział Mostowskiemu, że w obozie siedzą ludzie pięćdziesięciu sześciu narodowości. Los, kolor skóry, ubranie, tupot nóg, nieśmiertelna zupa z brukwi i sztucznego soga, które Rosjanie nazywali „rybim okiem” - wszystko to było jednakowe dla dziesiątków tysięcy mieszkańców baraków obozowych. Dla kierownictwa obozu ludzie różnili się numerami i barwą trójkątnej naszywki na kurtce: czerwony winkiel mieli polityczni, czarny sabotażyści, zielony - mordercy i złodzieje.

Ludzie mówili różnymi językami i nie rozumieli się nawzajem, ale złączeni byli wspólną dolą. Znaczący fizyki molekularnej czy starożytnych rękopisów leżeli na pryczach obok włoskich chłopów i chorwackich pastuchów, nieumiejących się nawet podpisać. Ci, którzy dawniej mieli własnego kucharza i martwili ochmistrzynię swoim kiepskim apetytem, oraz ci, którzy jedli solone dorsze, szli obok siebie do pracy, stukając drewnianymi podszewkami, i tęsknie popatrywali, czy nie nadchodzą kosttragerzy, czyli roznoszący jedzenie - „kostrygi”, jak ich nazywali mieszkający w blokach Rosjanie.

Podobieństwo losów ludzi z obozu rodziło się z różnic między nimi.

Więzień mógł wspominać ogródek przy zakurzonej włoskiej drodze, ponury szum fal Morza Północnego albo pomarańczowy abażur w gabinecie sztabowym na peryferiach Bobrujska - ale każdy z nich bez wyjątku pielęgnował w duszy piękny obraz przeszłości.

Im ciężiej żyło się człowiekowi, zanim trafił do obozu, tym zawzięciej kłamał. Kłamstwo to nie miało żadnego praktycznego celu, służyło sławieniu wolności - poza obozem człowiek nie może być nieszczęśliwy...

Obóz ten przed wojną zwał się obozem dla przestępców politycznych. Powstał nowy typ więźniów politycznych, stworzony przez narodowy socjalizm - zbrodniarze, którzy nie popełnili żadnej zbrodni. Wielu trafiło do obozu za krytyczne uwagi o reżimie hitlerowskim, wypowiedziane w rozmowach z przyjaciółmi, za dowcipy polityczne. Nie rozrzucali ulotek, nie należeli do podziemnych organizacji. Oskarżono ich, że mogliby to wszystko zrobić.

Zamykanie jeńców wojennych w obozie koncentracyjnym dla politycznych było także wynalazkiem nazizmu. Trafiali tu zestrzeleni nad Niemcami lotnicy angielscy i amerykańscy, ale i dowódcy czy komisarze Armii Czerwonej, którymi interesowało się gestapo. Żądano od nich zeznań, współpracy, konsultacji, podpisów pod najróżniejszymi deklaracjami. Przebywali tu również sabotażyści-bumelanci, którzy próbowali samowolnie porzucić pracę w wojennych fabrykach i na budowach.

Osadzenie w obozie koncentracyjnym za złą pracę było również innowacją

narodowego socjalizmu.

Siedzieli tutaj ludzie z liliowymi winklami na kurtkach - niemieccy emigranci, którzy wyjechali z Niemiec po zwycięstwie Hitlera. To był też nazistowski pomysł - kto porzucił Niemcy, stawał się wrogiem politycznym, choćby nie wiadomo jak lojalnie zachowywał się za granicą.

Ludzie z zielonymi winklami - złodzieje, włamywacze - stanowili w obozie formację uprzywilejowaną; władze wykorzystywały ich przy nadzorowaniu politycznych.

Także w przewadze więźnia kryminalnego nad politycznym przejawiało się nowatorstwo narodowego socjalizmu.

W obozie znajdowali się ludzie o losie tak swoistym, że nie potrafiono znaleźć żadnej naszywki, by przydzielić ich do jakiejś kategorii. Ale i dla Hindusa, zaklinacza węży, i dla Persa, który przyjechał z Teheranu, żeby studiować malarstwo niemieckie, i dla Chińczyka, studenta fizyki, nazizm uznał za odpowiednie legowisko na pryczy, miskę zupy i dwanaście godzin pracy przy regulówce.

Dniem i nocą trwał ruch transportów do obozów zagłady, do obozów koncentracyjnych. Dookoła rozlegał się stukot kół, ryk parowozów, huk butów setek tysięcy więźniów, którzy, oznakowani pięciocyfrowymi numerami, szli do pracy. Obozy stały się miastami Nowej Europy. Rosły i rozszerzały się w zgodzie ze swoim rozplanowaniem, razem ze swoimi uliczkami i placami, szpitalami, ze swoimi pchlimi targami, krematoriami i stadionami.

Jakże naiwne i nawet dobrotliwie patriarchalne wydawały się dawne, przycupnięte na przedmieściach więzienia w porównaniu z tymi obozowymi miastami, w porównaniu z purpurowo-czarną, przyprawiającą o obłęd łuną nad piecami krematoriów.

Wydawałoby się, że do kierowania taką masą represjonowanych potrzebna jest olbrzymia, też niemal milionowa armia nadzorców, strażników. Tymczasem nic podobnego. Całymi tygodniami w barakach nie pokazywał się nikt w mundurze SS! Sami więźniowie wzięli na siebie sprawę ochrony policyjnej w miastach-obozach. Sami więźniowie pilnowali porządku w barakach, uważali, żeby do ich kotłów trafiały wyłącznie zgniłe i zmarznęte kartofle, oddzielając od nich te duże, dobre, które miały powędrować do magazynów z żywnością dla wojska.

Więźniowie byli lekarzami, bakteriologami w katorżniczych szpitalach i laboratoriach, stróżami zamiatającymi katorżnicze chodniki, inżynierami dbającymi o katorżnicze światło, katorżnicze ciepło, o katorżnicze części do katorżniczych maszyn.

Sroga i energiczna policja lagrowa - kapo noszący na lewym ramieniu szeroką żółtą opaskę, starsi obozu, blokowi, sztabowi - trzymała pod kontrolą wszystkie poziomy życia w obozie, od spraw ogólnych do prywatnych, tych, które załatwiano nocami na pryczach. Więźniowie dopuszczani byli do poufnych spraw obozowego państwa - pomagali nawet sporządzać listy ludzi przeznaczonych do likwidacji, przesłuchiwać podejrzanych w betonowych pudełkach - dunkelkammerach.

Wydawało się, że gdyby zniknęła komendantura, to i tak sami więźniowie puszczaliby przez druty prąd wysokiego napięcia, żeby nikt nie uciekł, żeby wszyscy

nadal pracowali.

Kapo i blokowi służyli komendantowi, ale wzdychali, a niekiedy nawet płakali po tych, których odprowadzali do krematoriów... Bez przesady jednak - rozdwojenie jaźni nie było całkowite, w końcu nie wpisywali swoich nazwisk na listy przeznaczonych do gazu. Michaiła Sidorowicza zaś przerażało zwłaszcza to, że narodowy socjalizm nie przychodził do obozu z monoklem w oku, po oficersku wyniosły, obcy ludowi. Narodowy socjalizm nie separował się od prostego ludu, żył z nim za pan brat: posługiwał się jego humorem, umiał lud rozśmieszyć, był plebejski i nie zadzierał nosa. Znał doskonale i język, i umysł, i duszę tych, których pozbawił wolności.

3

Mostowskiego, Agrippinę Pietrownę, lekarkę wojskową Lewinton i kierowcę Siemionowa Niemcy zatrzymali na peryferiach Stalingradu i wszystkich zawieźli do sztabu dywizji piechoty.

Po przesłuchaniu Agrippinę Pietrownę wypuszczono; tłumacz na polecenie pracownika żandarmerii polowej dał jej bochenek chleba z grochu i dwa czerwone banknoty - trzydziestki, Siemionowa zaś dołączono do kolumny jeńców zmierzających do stalagu w okolicach chutoru Wiertiaczij. Mostowskiego i Sofię Osipownę Lewinton zawieziono do sztabu grupy armii.

Mostowski po raz ostatni widział tam Sofię Osipownę - bez furażerki, z oderwanymi dystynkcjami, stała na zakurzonej podwórzu; zachwyliła go posępnym, złowrogim wyrazem twarzy.

Po trzecim przesłuchaniu Mostowskiego popędzono piechotą na stację kolejową, gdzie odbywał się załadunek ziarna. Dziesięć wagonów wydzielono dla chłopców i dziewcząt, jadących na roboty do Niemiec. Mostowski słyszał krzyki kobiet, kiedy pociąg odjeżdżał. Sam siedział w wagonie trzeciej klasy, w małym przedziale służbowym. Eskortujący go żołnierz nie wyglądał na surowego, ale kiedy Mostowski pytał o coś, przybierał taki wyraz twarzy, jakby był głuchoniemy. Czuło się przy tym, że całą uwagę skupia wyłącznie na podopiecznym. Zupełnie jakby doświadczony pracownik zoo, transportujący kolejną zwierzę, w milczeniu i stałym napięciu obserwował skrzynię, w której jest ono zamknięte.

Kiedy pociąg jechał przez terytorium Generalnego Gubernatorstwa, w przedziale pojawił się nowy pasażer - polski biskup, siwy, wysoki, przystojny mężczyzna o pulchnych młodzieńczych ustach i tragicznym wzroku. Od razu zaczął opowiadać Mostowskiemu o represjach, jakim poddał Hitler polskie duchowieństwo. Mówił po rosyjsku z silnym akcentem. Kiedy jednak Michaił Sidorowicz zaczął źle mówić o papieżu i katolicyzmie, umilkł i na pytania odpowiadał lakonicznie, po polsku.

Po kilku godzinach wysadzono go w Poznaniu.

Jadący do obozu pociąg ominął Berlin... Teraz, w bloku specjalnym, przeznaczonym dla więźniów, którymi szczególnie interesowało się gestapo, Mostowskiemu wydawało się, że od tamtej pory minęły całe lata. Karmiono tu lepiej niż w pozostałej części obozu, ale więźniowie czuli się jak króliki doświadczalne w laboratorium. Dyżurny uchylił drzwi, wywoła - okazuje się, że to nasz przyjaciel chce na korzystnych warunkach wymienić tytoń na rację żywnościową, wywołany zatem, uśmiechając się z zadowoleniem, wraca na swoją prycę. Równie dobrze jednak mogą

wywołać innego; ten przerywa pogawędkę i podchodzi do drzwi, ale rozmówca nie doczeka się już końca opowieści.

Dzień później kapo podejździe do pryczy, każe dyżurnemu zabrać z niej łachy, a ktoś przypochlebnie spyta sztabowego nazwiskiem Kehse, czy może zająć zwolnioną pryczę. Nikogo już nie dziwiły rozmowy, dotyczące na przemian to selekcji i kremacji trupów, to obozowych drużyn piłkarskich: najlepsi są ci od regulówki, czyli Moorsoldaten<sup>3</sup>, to silny rewir, kuchnia dobrze gra w ataku, polskiej drużynie „Pracefiks” brakuje obrońców. Za coś zwyczajnego uważano dziesiątki czy nawet setki plotek o nowej broni, o kłótniach między przywódcami nazistowskimi. Plotki były nieodmiennie pomyślnie i nieodmiennie fałszywe; ot, takie obozowe opium dla ludu.

4

Nad ranem zaczął padać śnieg i nie topniał aż do południa. Rosjanie ucieszyli się i zarazem zasmucili. Rosja chuchnęła w ich stronę, rzuciła pod biedne zmęczone nogi matczyną chustę, pobieliała dachy baraków, tak że z daleka wyglądały swojsko jak chaty w rodzinnej wsi.

Ale radość błysnęła na chwilę, zmieszała się ze smutkiem i w nim utonęła.

Do Mostowskiego podszedł dyżurny, hiszpański żołnierz Andres, i powiedział łamaną francuszczyzną, że jego przyjaciel, pisarz, widział jakiś dokument, dotyczący starego Rosjanina, ale nie zdążył przeczytać, bo szef kancelarii zabrał papier.

„Ten papier zawiera decyzję o moich losach” - pomyślał Mostowski i ucieszył się, że jest taki spokojny.

- Ale to nic - szepnął Andres. - Można się jeszcze dowiedzieć.

- Od komendanta obozu? - spytał Gardi, a jego ogromne oczy błysnęły czernią w półmroku. - Czy też od samego Liessa, przedstawiciela Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy?

Mostowskiego dziwił kontrast między dziennym a nocnym Gardim. W dzień kapłan rozmawiał o zupie, o nowo przybyłych, ustalał z sąsiadami zasady wymiany dziennej racji żywnościowej, wspominał ostre, przyprawione czosnkiem włoskie potrawy. Czerwonoarmiści spotykający go na placu obozowym znali jego ulubione powiedzonko: „Tutti caputi”, sami z daleka wołali do niego: „Ojczulku Padre, tutti caputi!”, i uśmiechali się, jakby te słowa dawały nadzieję. Nazywali go „ojczulkiem Padre”, myśląc, że padre to imię.

Kiedyś, późnym wieczorem, zamknięci w bloku specjalnym radzieccy dowódcy i komisarze zaczęli żartować sobie z Gardiego, powątpiewając, czy rzeczywiście dotrzymywał celibatu. Gardi bez uśmiechu słuchał różnorodnej mieszanki słów - francuskich, niemieckich i rosyjskich.

Potem zaczął mówić, a Mostowski tłumaczył jego słowa: - Rosyjscy rewolucjoniści dla idei szli na katorgę i na szubienicę. Dlaczego więc jego rozmówcy wątpią, że dla idei religijnej człowiek może wyrzec się kobiety? To przecież nieporównanie mniejsze wyrzeczenie niż ofiara z życia.

---

<sup>3</sup> Żołnierze błotni (niem.) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- E tam, nie gadajcie - rzucił komisarz brygadowy<sup>4</sup> Osipow.

Nocą, kiedy więźniowie zasypiali, Gardi się zmieniał. Klękał i modlił się. Wydawało się, że w nieprzytomnych oczach duchownego, w ich aksamitnej i wypukłej czerni, może utonąć całe cierpienie katorżniczego miasta. Na jego brązowej szyi napinały się żyły, jak podczas pracy; na pociągłej, apatycznej twarzy pojawiał się wyraz ponurej, szczęśliwej zawziętości. Modlił się długo, więc Michaił Sidorowicz zasypiał przy akompaniamencie pośpiesznego szeptu Włocha. Mostowski budził się zazwyczaj po półtoej czy dwóch godzinach, a wtedy Gardi już spał.

Spał niespokojnie, jakby łączył we śnie obie swoje natury, dzienną i nocną - chrapał, młaskał smacznie, zgrzytał zębami, głośno mu się odbijało, i nagle przeciągle zaczynał recytować piękne słowa modlitwy, mówiące o miłosierdziu Boga i Madonny.

Nigdy nie ganił starego komunisty z Rosji za ateizm, często natomiast wypytywał go o Związek Radziecki. Słuchając Mostowskiego, Włoch kiwał głową, jakby przytakując opowieściom o pozamykanych cerkwiach i klasztorach, o olbrzymich dobrach ziemskich, odebranych przez państwo Synodowi.

Swoimi czarnymi oczami spoglądał ze smutkiem na starego komunistę, aż Michaił Sidorowicz pytał ze złością: - Vous me comprenez?<sup>5</sup> Gardi uśmiechał się swoim zwykłym, codziennym uśmiechem, tym samym, z którym mówił o ragout i sosie pomidorowym.

- Je comprends tout ce quevous me ditesje ne comprendspas seulement, pourquoi vous dites cela?<sup>6</sup>

Jeńcy rosyjscy z bloku specjalnego nie byli zwolnieni z robót, dlatego Mostowski widywał ich i rozmawiał z nimi tylko późnym wieczorem i w nocy. Nie chodzili do pracy tylko generał Gudź i komisarz brygadowy Osipow.

Częstym rozmówcą Mostowskiego był dziwny człowiek w nieokreślonym wieku - Ikonnikow-Morż. Spał na najgorszym miejscu w całym baraku - przy drzwiach wejściowych, gdzie nieustannie był narażony na przeciągi i gdzie przez pewien czas stał kibel, ogromne naczynie z dwoma uchami i brzęczącą pokrywą.

Rosyjscy więźniowie nazwali Ikonnikowa „starym spadochroniarzem”; uważali, że jest jurodiwyj, nawiedzony, i traktowali z pełną obrzydzenia litością. Odznaczał się niesamowitą wytrzymałością, jaka cechuje tylko szaleńców i idiotów. Nigdy się nie przeziębiał, chociaż kładąc się spać, nie zdejmował z siebie przemoczonej na jesiennym deszczu odzieży. Rzeczywiście, wydawało się, że takim dźwięcznym i jasnym głosem może mówić tylko wariat.

Ikonnikow-Morż poznał się z Mostowskim w sposób następujący: podszedł do niego i nie odzywając się słowem, wpatrywał się długo w jego twarz.

---

<sup>4</sup> W latach 1935-1942 oficerowie polityczni Armii Czerwonej mieli odrębne stopnie wojskowe. Z występujących w tej książce stopni komisarzkich najniższy to komisarz batalionowy, wyższy - komisarz pułkowy, a jeszcze wyższy - brygadowy.

<sup>5</sup> Czy pan mnie rozumie? (fr.).

<sup>6</sup> Rozumiem wszystko, co pan mówi, nie rozumiem tylko, po co pan to mówi (fr.).



- Co towarzysz powie dobrego? - spytał Michaił Sidorowicz i uśmiechnął się, kiedy Ikonnikow, przeciągając słowa, powiedział:

- Co dobrego? A cóż to jest dobro?

Słowa te przeniosły Michaiła Sidorowicza w czasy dzieciństwa, kiedy starszy brat, przyjeżdżając do domu z seminarium, wiódł z ojcem spory na tematy teologiczne.

- To problem z ta-a-ką brodą - rzekł Mostowski - jeszcze buddyści i pierwsi chrześcijanie się nad nim zastanawiali. A i marksiści nie mało namęczyli się nad jego rozwiązaniem.

- I co, rozwiązali? - spytał Ikonnikow z intonacją, która rozśmieszyła Mostowskiego.

- Armia Czerwona - odparł Mostowski - właśnie go rozwiązuje. A w pańskim tonie, proszę wybaczyć, słyszę jakąś świętoszkowatość, popią albo tołstojowską.

- A jakżeby mogło być inaczej? Przecież byłem tołstojowcem.

- A to dopiero! - zdziwił się Michaił Sidorowicz. Ten człowiek zaczął go intrygować.

- Wie pan - powiedział Ikonnikow - jestem pewien, że prześladowania Cerkwi, wszczęte po rewolucji przez bolszewików, przysłużyły się idei chrześcijańskiej. Przecież przed rewolucją Cerkiew znajdowała się w pożałowania godnym stanie.

Michaił Sidorowicz rzekł dobrodusznie:

- Istny z pana dialektyk. Masz ci los, pod koniec życia musiałem ujrzeć cud ewangeliczny.

- Nie - rzekł posępnie Ikonnikow. - Przecież według was cel uświęca środki, a te wasze środki są bezlitosne. Niech się pan nie dopatruje żadnego cudu - nie jestem dialektykiem.

- No to - zachnął się Mostowski, nagle dziwnie zirytowany - czym w końcu mogę panu służyć?

Ikonnikow przypominał teraz wojskowego, który nagle usłyszał komendę: „Baczność!"; powiedział:

- Proszę się ze mnie nie wyśmiewać! - Jego pełen gorczy głos brzmiał wręcz tragicznie. - Nie przyszedłem do pana po to, żeby żartować. W zeszłym roku, piętnastego września, widziałem egzekucję dwudziestu tysięcy Żydów - kobiet, dzieci, starców. Tego dnia zrozumiałem, że Bóg nie mógł do czegoś takiego dopuścić, stało się więc dla mnie oczywiste, że Boga nie ma. W panującym dziś mroku dostrzegam waszą siłę, zmagającą się ze straszliwym złem...

- No cóż - odrzekł na to Michaił Sidorowicz - w takim razie porozmawiajmy.

Ikonnikow pracował przy regulówce, w błotnistej części terenów przyobozowych, gdzie układano olbrzymie betonowe rury, żeby odprowadzać wody rzeki i brudnych strumieni, zamulające nizinę. Pracujących w tej okolicy nazywano Moorsoldaten; zazwyczaj trafiali tam ludzie, którzy czymś narazili się władzom obozowym.

Ikonnikow miał małe dłonie, szczupłe palce i dziecięce paznokcie. Wracał z pracy usmarowany gliną, mokry, podchodził do pryczy Mostowskiego i pytał:

- Mogę usiąść koło pana?

Siadał i uśmiechał się; nie patrząc na rozmówcę, przesuwał ręką po czole. Czoło miał jakieś dziwne - niezbyt wysokie, wypukłe, jasne; takie jasne, jakby istniało niezależnie, bez związku z brudnymi uszami, ciemnobrązową szyją, dłońmi o połamanymi paznokciach. Jeńcom radzieckim, ludziom o prostych życiorysach, wydawał się kimś mętnym i podejrzanym.

Od czasów Piotra Wielkiego wszyscy przodkowie Ikonnikowa byli kapłanami. Dopiero ostatnie pokolenie dokonało innego wyboru zgodnie z życzeniem ojca Ikonnikow i jego bracia otrzymali świeckie wykształcenie.

Ikonnikow studiował na petersburskiej uczelni technicznej, ale zainteresowała go doktryna Tołstoja, na krótko więc przed ukończeniem studiów porzucił je i udał się na północ, do guberni permskiej, gdzie został nauczycielem ludowym. Osiem lat przeżył na wsi, potem wrócił na południe, do Odessy, i zamustrował się na statek handlowy, był ślusarzem w maszynowni, odwiedził Indie, Japonię, mieszkał jakiś czas w Sydney. Po rewolucji wrócił do Rosji i wstąpił do komuny wiejskiej. Było to jego dawnym marzeniem; wierzył, że komunistyczna praca na roli doprowadzi do powstania Królestwa Bożego na ziemi.

W czasie przymusowej kolektywizacji zobaczył pociągi nabite rodzinami rozkułaczonych. Widział, jak wycieńczone dzieci padały na śnieg i już nie wstawały. Widział „zamknięte”, wymarłe wsie z zabitymi oknami i drzwiami. Widział aresztowaną chłopkę, obdartą kobietę o żylastej szyi i spracowanych ciemnych rękach, na którą konwojenci patrzyli z przerażeniem - oszalała z głodu, zjadła dwójkę swoich dzieci.

Nie porzucając komuny, zaczął wówczas głosić ewangelię, błagać Boga o ratunek dla ginących. Skończyło się tym, że go zamknięto, ale okazało się, że nieszczęścia lat trzydziestych pomieszały mu rozum. Po roku przymusowego leczenia w więziennym szpitalu psychiatrycznym wyszedł na wolność i zamieszkał na Białorusi u starszego brata, profesora biologii; dzięki jego protekcji dostał pracę w bibliotece technicznej.

Ale tragiczne przejścia zostawiły trwałą ślad w jego psychice.

Kiedy zaczęła się wojna i Niemcy zajęli Białoruś, Ikonnikow był świadkiem męczarni jeńców, egzekucji Żydów w miastach i miasteczkach. Znowu wpadł w rodzaj hysterii, zaczął błagać znajomych i nieznajomych o ratunek dla Żydów; sam zresztą próbował ratować żydowskie dzieci i kobiety. Niebawem ktoś na niego doniósł, on zaś jakimś cudem uchronił się od szubienicy i trafił do obozu.

Obdarty i brudny „spadochroniarz” miał mętlik w głowie, wyznawał niedorzeczne i komiczne ponadklasowe poglądy moralne.

- Tam gdzie panuje przemoc - wyjaśniał Ikonnikow Mostowskiemu - dzieją się nieszczęścia i leje się krew. Widziałem straszliwe cierpienia chłopstwa, a przecież kolektywizację zaprowadzono w imię powszechnego dobra. Ja w dobro nie wierzę, wierzę w dobroć.

- A zatem, zgodnie z pańską teorią, trzeba będzie ubolewać, kiedy w imię dobra

powiesi się Hitlera i Himmlera. To już proszę sobie ubolewać beze mnie - odcinał się Michaił Sidorowicz.

- Niech pan zapyta Hitlera - nie ustępował Ikonnikow - a wyjaśni panu, że i ten obóz służy dobru.

Mostowski miał wrażenie, że jego spory z Ikonnikowem przypominają bezsensowne zmagania noża z meduzą.

- Świat nie wymyślił nic lepszego od maksymy wypowiedzianej w szóstym wieku przez chrześcijanina z Syrii: „Napiętnuj grzech, ale wybacz grzesznikowi”.

W baraku siedział jeszcze jeden stary Rosjanin. Nazywał się Czerniecowa i miał tylko jedno oko. Strażnik rozbił mu drugie, sztuczne; czerwony oczodół okropnie wyglądał w bladej twarzy. Kiedy Czerniecowa z kimś rozmawiał, zasłaniał dłonią ziewający otwór.

Był mienszewikiem, który w 1921 roku uciekł z Rosji Radzieckiej. Dwadzieścia lat spędził w Paryżu, pracując w banku jako księgowy. Do obozu trafił za apele do pracowników bankowych, by sabotowali zarządzenia nowej niemieckiej administracji. Mostowski go unikał.

Najwyraźniej popularność Mostowskiego martwiła mienszewika i hiszpański żołnierz, i Norweg, właściciel sklepu papierniczego, i belgijski adwokat Ignęli do starego bolszewika i wypytywali go o różne rzeczy.

Kiedyś na pryczy Mostowskiego usiadł przywódca jeńców radzieckich, major Jerszow. Przysunął się do niego, położył mu rękę na ramieniu i zaczął mówić szybko i z zapałem. Mostowski obejrzał się nagle - z odległej pryczy patrzył na nich Czerniecowa. Michaił Sidorowicz pomyślał, że wyraz smutku w jedynym oku mienszewika jest straszniejszy niż ziewająca czerwona dziura w miejscu drugiego.

„Tak, bratku, nie jest ci wesoło” - pomyślał Mostowski, ale nie poczuł złośliwej satysfakcji.

Do Jerszowa każdy miał jakiś interes, co oczywiście nie było sprawą przypadku. „Gdzie jest Jerszow?”, „Jersza nie widzieliście?”, „Towarzyszu Jerszow!”, „Majorze Jerszow!”, „Jerszow powiedział...”, „Spytaj Jerszowa...” Przychodzili do majora ludzie z innych baraków, wokół jego pryczy zawsze panował ruch.

Michaił Sidorowicz mówił, że Jerszow posiada rząd dusz. Takimi władcami dusz byli i działacze lat sześćdziesiątych, i lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. A także narodnicy, przez pewien czas Michajłowski. Okazało się, że i w hitlerowskim obozie koncentracyjnym jest ktoś taki! Osamotnienie jednookiego wydawało się tutaj tragicznym symbolem.

Dziesiątki lat minęły od czasu, kiedy Michaił Sidorowicz po raz pierwszy siedział w carskim więzieniu; nawet wiek był wtedy inny - dziewiętnasty. Wspominał, jak się obrażał, gdy niektórzy przywódcy partyjni nie bardzo wierzyli, by nadawał się do działalności praktycznej. Teraz czuł się silny, codziennie mógł się przekonać, jak ważne jest jego zdanie i dla generała Gudzia, i dla komisarza brygadowego Osipowa, i dla majora Kiryłowa, który zawsze był przygnębiony.

Przed wojną pocieszał się, że dzięki oddaleniu od praktyki rządziej stykał się z tym, co budzi jego niezgodę - i z przejawami jedynowładztwa Stalina w partii, i z

krwawymi prześladowaniami opozycji, i z brakiem szacunku dla starej gwardii partyjnej. Głęboko przeżył egzekucję Bucharina, którego dobrze znał i bardzo lubił. Wiedział jednak, że gdyby przeciwstawił się partii w którejkolwiek z tych spraw, to chcąc nie chcąc, zaszkodziłby idei Lenina, której poświęcił życie. Niekiedy dręczyły go wątpliwości - może to słabość, tchórzostwo były przyczyną, że milczał i nie protestował przeciw temu, z czym się nie zgadzał? Przed wojną działo się przecież tyle okropnych rzeczy! Często wspominał zmarłego Łunaczarskiego - tak chciałby znów go zobaczyć! Jak łatwo rozmawiało mu się z Anatolijem Wasiljewiczem, jak szybko, w pół słowa się rozumieli! Teraz, w tym straszliwym niemieckim obozie, czuł się pewny i silny.

Dręczyła go tylko jedna sprawa. Nawet tutaj nie potrafił na powrót przywołać znanego z czasów młodości uczucia: swój wśród swoich, obcy wśród obcych. Wcale nie chodziło o to, że oficer angielski spytał go kiedyś, czy w uprawianiu filozofii nie przeszkadza mu to, że w Rosji zabronione jest wypowiedanie poglądów antymarksistowskich.

- Niekórym to istotnie może przeszkadzać. Mnie, marksisie, nie przeszkadza - odpowiedział.

- Zapytałem właśnie dlatego, że jest pan starym marksistą - wytłumaczył Anglik.

I chociaż Mostowski się skrzywił, bo te słowa sprawiły mu jednak dużą przykrość, zdobył się na jakąś replikę. Nie chodziło też o to, że tacy ludzie, skądinąd bardzo bliscy, jak Osipow, Gudź czy Jerszow, niekiedy go nużyli. Kłopot polegał na tym, że obcych stało się dlań wiele rzeczy w jego własnej duszy. Jeszcze w czasach pokoju zdarzało się, że z radością witał starego przyjaciela, a w trakcie spotkania ów przyjaciel stawał się mu obcy.

Ale co robić, kiedy to, co obce dniom dzisiejszym, żyło w nim samym, było częścią jego samego... Ze sobą przecież zerwać nie sposób, nie można przestać się spotykać z sobą samym.

W rozmowach z Ikonnikowem złościł się, bywał grubiański, wyzywał go od niezguł, ciap, mazgajów, oferm. Ale mimo tych szyderstw smucił się, kiedy go długo nie widział.

Na tym właśnie polegała główna zmiana, jaka w nim zaszła od czasów młodości, kiedy siedział w carskim więzieniu. Kiedy był młody, wszystko w przyjaciółach i współwyznawcach było mu bliskie, wszystko w nich rozumiał. Każda myśl, każde spojrzenie wroga było odpychające, obce. Teraz niespodziewanie w myślach obcych ludzi rozpoznawał to, co było mu drogie dziesiątki lat temu, a to, co obce, dziwnym trafem pojawiała się czasem w myślach przyjaciół.

„To chyba przez to, że zbyt długo żyję na świecie” - myślał Mostowski.

5

Amerykański pułkownik zajmował osobny boks baraku specjalnego. Wieczorami pozwalano mu swobodnie wychodzić z baraku, dostawał też specjalne obiady. Podobno w jego sprawie interweniował król Szwecji, którego prosił o to prezydent Roosevelt.

Pułkownik przyniósł kiedyś tabliczkę czekolady choremu rosyjskiemu majorowi Nikonowowi. W baraku specjalnym najbardziej interesowali go właśnie jeńcy rosyjscy.

Próbował rozmawiać z Rosjanami o ich taktyce i przyczynach niepowodzeń pierwszego roku wojny. Często zaczynał rozmowę z Jerszowem, patrząc zaś w mądre, poważne i zarazem roześmiane oczy majora, zapominał, że nie mówi on po angielsku. Wydawało mu się niepojęte, że człowiek o tak inteligentnej twarzy może go nie rozumieć, zwłaszcza że przecież chodzi o rzeczy, które mocno obchodzą ich obu.

- Czyżby pan ani w ząb nie rozumiał? - pytał ze smutkiem.

Jerszow odpowiadał mu po rosyjsku:

- Nasz szanowny sierżant znał wszystkie języki poza obcymi.

Ale mimo to rosyjscy więźniowie porozumiewali się z ludźmi dziesiątek różnojęzycznych nacji. Posługując się mową złożoną z uśmiechów, spojrzeń, poklepywania po plecach oraz kilku czy nawet kilkunastu zniekształconych rosyjskich, niemieckich, angielskich i francuskich słów, rozmawiali o koleżeństwie, współczuciu, pomocy, o miłości do domu, żon, dzieci.

Kamerad, gut, Brot, Suppe, Kinder, Zigarette, Arbeit i jeszcze jakiś tuzin słów niemieckich, powstałych w łagrach: Blockalteste, Kapo, Vernichtungslager, Appellplatz, Wachraum, Flugfeld, Lagerschutz - wystarczyło, żeby wyrazić to, co jest szczególnie ważne w prostym i zarazem skomplikowanym życiu obozowym.

Były i słowa rosyjskie - riebiata, tabaczok, towariszcz - których używali więźniowie różnych narodowości. A rosyjskie słowo dochodiaga, określające człowieka w stanie bliskim śmierci, stało się wspólne dla wszystkich, zjednoczyło pięćdziesiąt sześć obozowych narodowości.

Z zapasem kilku, może kilkunastu słów wielki naród niemiecki wdarł się do miast i wsi, zamieszkanymi przez wielki naród rosyjski; miliony wiejskich bab, starców, dzieci rosyjskich i miliony niemieckich żołnierzy porozumiewało się słowami matka, pan, ruki wwierch, kurka, jajka, kaputt. Z tego porozumienia jednak nie wynikało nic dobrego. Do tego, czego dokonywał w Rosji, wielkiemu narodowi niemieckiemu te słowa jednak wystarczały.

Tak samo nic dobrego nie wynikało z tego, że Czerniecow zagadywał radzieckich jeńców wojennych o różne rzeczy; a przecież językiem władał znakomicie, przez dwadzieścia lat emigracji nie zapomniał rosyjskiego. Nie mógł zrozumieć radzieckich jeńców, oni zaś go unikali.

Nie umieli się również porozumieć między sobą radzieccy jeńcy: jedni byli gotowi umrzeć, byle nie zdradzić, inni zamierzali wstąpić do wojsk Własowa. Im dłużej jedni i drudzy rozmawiali i spierali się, tym gorzej się rozumieli. A potem już tylko milczeli, pełni wzajemnej pogardy i nienawiści.

W tym bełkocie niemych i w perorach ślepych, w tej ciżbie nieszczęśników których połączyły strach, nadzieja i cierpienie, w niezrozumieniu, nienawiści ludzi mówiących tym samym językiem znalazła najdobitniejszy wyraz jedna z tragedii dwudziestego wieku.

6

W dniu, kiedy zaczął sypać śnieg, wieczorne rozmowy jeńców rosyjskich przenikał szczególny smutek.

Nawet pułkownik Złatokrylec i komisarz brygadowy Osipow, zawsze energiczni, pełni wewnętrznej siły, stali się ponurzy i nierozmowni.

Smutek ogarnął wszystkich.

Major artylerii Kiriłow siedział przygarbiony na pryczy Mostowskiego i ledwie dostrzegalnie kiwał głową. Wydawało się, że nie tylko ciemne oczy, ale całe jego olbrzymie ciało przepełnione jest smutkiem. Podobny wyraz oczu mają nieuleczalnie chorzy - patrząc w takie oczy, nawet najbliżsi, pełni współczucia ludzie, myślą sobie: „Bodajbyś już umarł”.

Wszędobylski Kotikow o żółtej twarzy, wskazując Kiriłowa, szeptem powiedział do komisarza:

- Albo się powiesi, albo pójdzie do własowców.

Mostowski, rozcierając porośnięte siwą szczecinę policzki, spróbował dodać im otuchy:

- Słuchajcie mnie, kozaczkowie. Czyżbyście nie rozumieli? Każdy dzień istnienia państwa stworzonego przez Lenina jest coraz trudniejszy do zniesienia dla faszyzmu. Faszyzm nie ma wyboru - musi albo nas pożreć, zniszczyć, albo sam zginąć. Przecież nienawiść faszystów do nas świadczy o słuszności idei leninowskiej. To jeszcze jeden, niebagatelny dowód. Zrozumcie, że im większa nienawiść faszystów do nas, tym większa powinna być pewność, że nasza sprawa jest słuszna. I damy im radę.

Gwałtownie odwrócił się do Kiriłowa i dodał:

- No, co z wami? Pamiętacie, jak to było u Gorkiego? Kiedy chodził po więziennym dziedzińcu, jakiś Gruzin krzyczał: „Co ty chodzisz taka kura, ty chody głowa do góry!”

Wszyscy się roześmiali.

- Tak jest, chodźcie z podniesioną głową - powiedział Mostowski. - Pomyślcie tylko: olbrzymie, potężne państwo radzieckie broni idei komunizmu! Niech no Hitler spróbuje pokonać i państwo, i ideę. Stalingrad trzyma się, broni. Przed wojną myśleliśmy czasem: „Czy nie jesteśmy zbyt surowi, nie za mocno przykręciliśmy śrubę?” Ale teraz faktycznie nawet ślepy widzi, że cel uświęca środki.

- Tak, śrubę przykręcili u nas mocno. Dobrze to ujęliście - zauważył Jerszow.

- Za mało przykręcili - rzekł generał Gudź. - Gdyby przykręcili mocniej, to Niemcy nie doszliby do Wołgi.

- Nie nam uczyć Stalina - rzekł Osipow.

- Właśnie - przytaknął Mostowski. - A jeśli nawet przyjdzie zginąć w kazamatach albo w podziemnych kopalniach, nic już na to nie poradzimy. Nie trzeba teraz o tym myśleć.

- A o czym? - spytał głośno Jerszow.

Siedzący obejrzeli się, potem spojrzeli po sobie i nic nie powiedzieli.

- Ej, Kiriłow, Kiriłow - odezwał się nagle Jerszow. - Słusznie nasz ojciec mówi: powinniśmy się cieszyć, że faszyci nas nienawidzą. My ich, a oni nas. Rozumiesz?

Pomyśl tylko - trafić do swoich, do łagru, swój do swego. To jest prawdziwe nieszczęście! A tutaj co! Silni z nas ludzie; jeszcze damy Niemcom bobu.

7

Przez cały dzień dowództwo 62. armii nie miało łączności z jednostkami. Przestały działać liczne radiostacje sztabowe, kable wszędzie zostały przerwane. Bywały chwile, kiedy ludziom patrzącym na pokrytą drobnymi falami Wołgę wydawało się, że to rzeka jest nieruchoma, a brzegi drżą i falują. Setki ciężkich dział radzieckich prowadziło ogień zza Wołgi. Nad niemieckimi pozycjami na południowym zboczu kurhanu Mamaja unosiły się kłęby ziemi i gliny. Te kłęby przesiewane były potem przez dziwne, niewidzialne sito, które tworzyła siła ciężkości: ciężkie grudy i bryły spadały na ziemię, a lekka chmura wzbijała się do nieba. Po kilka razy na dzień czerwonoarmieści, ogłuszeni, z rozpalonymi oczami, ścierali się z niemieckimi czołgami i piechotą.

Dowództwu, oderwanemu od wojsk, dzień wydawał się niesamowicie długi.

Czujkow, Kryłow i Gurow próbowali czymś wypełnić ten dzień, stwarzali pozory działania - pisali listy, spierali się o możliwe ruchy nieprzyjaciela, żartowali, pili wódkę, z zakąską i bez, milczeli, wsłuchując się w huk bomb. Żelazny wichur wokół okopu, zmiatał wszystko, co żyło, co na chwilę choćby wystawiło głowę nad powierzchnię ziemi.

Sztab był sparaliżowany.

- Zagrajmy w durnia - zaproponował Czujkow i przesunął na róg stołu dużą, pełną niedopałków popielnicę.

Nawet Kryłowa, szefa sztabu, opuścił spokój. Stukając palcem w stół, powiedział:

- Nie ma gorszej sytuacji niż tak czekać, czy aby człowieka nie pożrą.

Czujkow rozdał karty i ogłosił: „Czerwień jest atu”; potem nagle pomieszał talię i powiedział.

- Siedzimy jak kurczęta i rżniemy w karcięta. Nie, nie mogę!

W zamyśleniu jego twarz wydawała się straszna; malował się na niej wyraz ostatecznej udręki i nienawiści. Gurow rzekł w zadumie, jakby przeczuwał swój los:

- Tak, po takim dniu można umrzeć na atak serca.

Potem roześmiał się i dodał:

- W dywizji wyjść za dnia do wychodka to straszna rzecz, nie do wyobrażenia! Opowiadali mi, że szef sztabu u Ludnikowa wpada do schronu i woła: „Hura, chłopaki, wysrałem się!” Patrzy, a tam w środku siedzi lekarka, w której się kochał.

Z nastaniem mroku naloty niemieckie się skończyły. Bardzo możliwe, że człowiek, który nocą trafiłby na stalingradzki brzeg, słysząc ogłuszający łoskot, uznałby, że niedobry los przywiódł go do miasta w godzinę jakiegoś decydującego szturm, ale dla starych wyg wojennych to był czas golenia się, przepierek, pisania listów, czas, kiedy frontowi ślusarze, tokarze, spawacze, zegarmistrzowie mogli robić zapalniczki, ustniki, lampki z łusek po pociskach, z knotami z materiału na szynele,

naprawiać zegary ściennie z wagami.

Migoczące płomienie wybuchów oświetlały nadrzeczną skarpe, ruiny domów, zbiorniki z ropą, kominy fabryczne, a w tych krótkich rozbłyskach nabrzeże i miasto wydawały się złowieszcze i posępne.

W ciemnościach ożył armijny węzeł łączności, zastukały maszyny do pisania, rozmnażające kopie meldunków bojowych, zabrzęczały silniczki radiostacji, zaterkotał alfabet Morse'a, a telefoniści zaczęli się nawoływać - podłączali do sieci stanowiska dowodzenia dywizji, pułków, baterii, kompanii... Odchrząkiwali z szacunkiem łącznicy, którzy przybyli do sztabu armii, oficerowie łączności składali meldunki dyżurnym operacyjnym.

Z meldunkami do Czujkowa i Kryłowa pośpieszyli starszyzna Pożarski, dowodzący artylerią armijną, i szef śmiertelnych przepraw, generał wojsk inżynierskich Tkaczenko, nowy mieszkaniec, dowódca dywizji syberyjskiej Gurtjew, w zielonym żołnierskim szynelu, i stalingradzki weteran, podpułkownik Batiuk, który ze swoją dywizją zajmował pozycje pod kurhanem Mamaja. W raportach politycznych, składanych członkowi rady wojennej armii Gurowowi, powtarzały się sławne stalingradzkie nazwiska - moździerzysty Bezdidzki, strzelców wyborowych Wasilija Zajcewa i Anatolija Czechowa, sierżanta Pawłowa; inne z kolei nazwiska pojawiły się po raz pierwszy - Szoninowi, Własowowi, Brysinowi pierwszy dzień w Stalingradzie przyniósł sławę wojenną.

A na pierwszej linii wydawano listonoszom złożone w równoramienny trójkąt kartki: „Leć, liściku, przez góry, doliny, donieś wieści do mojej dziewczyny... Dzień dobry, a może i dobry wieczór...” Na pierwszej linii chowano poległych, i zabici spali wiecznym snem w tę swoją pierwszą noc tuż obok schronów i kryjówek, gdzie ich koledzy pisali listy, golili się, jedli chleb, pili herbatę albo myli się w prowizorycznych łaźniach.

## 8

Dla obrońców Stalingradu nadeszły najcięższe dni.

W chaosie miejskiej bitwy, ataków i kontrataków, w walce o Dom Specjalisty, o młyn, o budynek Gosbanku, w walce o piwnice, podwórza, place przewaga Niemców stała się oczywista.

Klin niemiecki w południowej części Stalingradu, wbity w pobliżu parku Łapszynów, wawozu Kuporosnego i Jelszanki, rozszerzał się, i niemieccy kaemiści, ukryci tuż nad wodą, ostrzeliwali lewy brzeg Wołgi na południe od Krasnej Słobody. Oficerowie operacyjni codziennie zaznaczali na mapach linię frontu, widzieli, jak nieubłaganie przesuwały się granatowe kreski i jak nieustannie chudnie przesmyk między czerwoną linią obrony radzieckiej a błękitem Wołgi.

Inicjatywa, dusza wojny, należała w tych dniach do Niemców. Pełzli uparcie naprzód i zaciekłość radzieckich kontrataków nie mogła powstrzymać ich powolnego, ale widocznego w całej ohydzie postępu.

A na niebie od wschodu do zachodu wyły niemieckie bombowce nurkujące, tłukły o ziemię bombami fugasowymi. W setkach głów tkwiło więc bolesne, dojmujące pytanie, co będzie jutro, za tydzień, kiedy pasemko radzieckiej obrony zmieni się w



nitkę, zerwie się, zmiążdżone żelaznymi zębami atakujących Niemców.

9

Późną nocą generał Kryłow zwał się na pryczę w swoim schronie.

W skroniach czuł nieznośny ucisk, kłuło go w gardle od dziesiątków wypalonych papierosów. Przesunął językiem po suchym podniebieniu i odwrócił się do ściany. Drzemka zmieszała w jego pamięci walki w Sewastopolu i Odessie, okrzyki atakującej rumuńskiej piechoty, brukowane, obrośnięte bluszczem odeskie podwórza i marynarskie piękno Sewastopola.

Przywidziało mu się, że znowu jest w sewastopolskim punkcie dowodzenia; w sennej mgłę pobłyskiwały soczewki pince-nez generała Pietrowa. Szkło bryznęło nagle tysiącami migotliwych odłamków i już za chwilę czuł kołysanie morza; szary obłok pyłu z rozbitych przez niemieckie pociski skał przepłynął nad głowami marynarzy i żołnierzy, po czym uniósł się ponad górę Sapun.

Słyszał obojętne pluskanie fal o burtę motorówki, a po chwili szorstki głos marynarza podwodniaka: „Skacz!” Wyglądało to tak, jakby skoczył na falę, ale noga zaraz dotknęła korpusu łodzi podwodnej...

I ostatni rzut oka na Sewastopol, na gwiazdy na niebie, pożary na brzegu...

Kryłow zasnął. Nawet we śnie wojna sprawowała władzę. Łódź podwodna odpływała z Sewastopola do Noworosyjska... Generał podkurczał ścierpnięte nogi, jego pierś i plecy mokre były od potu, hałas silnika łomotał w skroniach. Nagle silnik umilkł - to łódź łagodnie spoczęła na dnie. Duszność zrobiła się nie do wytrzymania, przytłaczało go metalowe sklepienie, które przerywana linia nitów poszatkowała na kwadraty...

Usłyszał dobywający się z wielu gardeł ryk, plusk - to wybuchła bomba głębinowa, woda uderzyła o statek, zrzuciła Kryłowa z koi.

Otworzył oczy: dookoła paliło się, w otwartym wejściu do schronu zobaczył płynący ku Wołdze potok płomieni; słychać było krzyki ludzi, stukot automatów.

- Szynalem, zakryj głowę szynalem! - wrzasnął do Kryłowa nieznajomy czerwonoarmista, wciskając mu wojskowy płaszcz.

Ale Kryłow odsunął żołnierza i krzyknął:

- Gdzie dowódca?

Nagle zrozumiał: Niemcy podpalili cysterny, gorąca ropa popłynęła ku Wołdze. Wydawało się już, że nie ma co marzyć o tym, by wyjść żywym z płynnego piekła. Ogień huczał, z trzaskiem odrywał się od ropy wypełniającej jamy i leje, chlustającej w rowach łącznikowych. Ziemia, glina, kamień nasycaly się ropą, zaczynały dymić. Z przeszytych pociskami zapalającymi zbiorników czarnymi, połyskującymi strumieniami chlustała ropa; wydawało się, że ktoś rozwija olbrzymie rulony ognia i dymu, przechowywane dotąd w cysternach.

Życie, które królowało na ziemi setki milionów lat temu, surowe i straszliwe życie przedpotopowych potworów, wyrwało się spod mogilnych warstw i znowu ryczało, tupiąc nóżyskami, wyło, chciwie pożerało wszystko wokół siebie. Ogień unosił

się na wieleset metrów w górę, wzbijając chmury palnej pary, które jakby wystrzelone z działa błyskały wysoko na niebie. Masa płomieni była tak wielka, że wichura nie nadążała z dostarczaniem tlenu płonącym cząsteczkom węglowodorów, i gęste, kołyszające się sklepienie oddzieliło jesienne gwiazdziste niebo od gorejącej ziemi. Straszny był widok tego płynącego w górę, tłustego i czarnego firmamentu.

Słupy ognia i dymu, unosząc się w górę, przybierały chwilami kształty żywych, ogarniętych rozpaczą i wściekłością istot, to znowu wydawały się drżącymi topolami, osikami. Czerń i czerwień wirowały w strzępach ognia niby tańczące, potargane dziewczuchy, czarne i rude. Płonąca ropa rozpływała się po wodzie, a potem syczała, dymiła się, wiała w śmiertelnym uścisku rzeczno-nurtu.

Zadziwiające, że w tych chwilach wielu żołnierzy już wiedziało, którądy można dostać się do brzegu. Krzyczeli: „Tutaj, tutaj biegnij, tą dróżką!"; niektórzy zdążyli parę razy wrócić do płonących schronów, pomagali sztabowcom dostać się do cypla na brzegu, gdzie w widłach wpadających do Wołgi ognistych potoków ropy stała gromadka ocalałych z pożaru.

Ludzie w waciakach pomogli zejść na brzeg dowódcy armii i oficerom ze sztabu. Na własnych rękach wynieśli generała Kryłowa, którego już uważano za martwego, po czym, mrugając opalonymi rzesami, przez te same czerwone zarośla, przedzierali się do schronów sztabowych.

Personel sztabu 62. armii stał tak do rana tuż nad Wołgą, na małym skrawku ziemi. Zasłaniając twarze przed rozpalonym powietrzem, strącając iskry z mundurów, ludzie spoglądali na dowódcę. Narzucił na ramiona krasnoarmiejski szynel, spod czapki wystawały mu włosy. Nachmurzony, posępny, wydawał się jednak spokojny i zamyślony.

Gurow rzekł, patrząc na stojących:

- Nawet w ogniu nie płoniemy, jak się okazuje... - i obmacał gorące guziki płaszcza.

- Dawać tu żołnierza z łopata! - krzyknął szef służby inżynierskiej, generał Tkaczenko. - Przekopcie tu szybko kanał, bo z tamtej górki zaraz popłynie ogień! Zwrócił się do Kryłowa: - Wszystko się pomieszało, towarzyszu generale, ogień płynie jak woda, a Wołga pali ogniem. Na szczęście nie ma silnego wiatru, bo wszyscy byśmy spłonęli.

Kiedy znad rzeki dolatywał wietrzyk, ciężki namiot pożaru kołysał się, chwiały, a ludzie uchylali się od płomieni.

Niektórzy podchodzili do brzegu, oblewali buty wodą, która parowała na gorących cholewach. Jedni milczeli ze wzrokiem utkwionym w ziemi, drudzy ciągle się rozglądali albo starając się przemóc napięcie, żartowali: „Tu zapałki niepotrzebne, można zapalić od Wołgi albo od wiatru”. Jeszcze inni obmacywali się i z niedowierzaniem kręcili głowami, gdy poczuli, jak rozgrzane są sprzączki na ich pasach.

Usłyszeli kilka wybuchów; to eksplodowały granaty ręczne w schronach batalionu ochrony sztabu. Potem zatrzeszczały naboje w taśmach do kaemów. Zaświszczał też niemiecki pocisk z moździerza i rozerwał się gdzieś daleko nad Wołgą.

Poprzez dym widać było odległe postacie ludzi na brzegu - widocznie ktoś starał się odwrócić pożar od stanowiska dowodzenia, a po chwili wszystko zniknęło, zasłonięte dymem i płomieniami.

Kryłow wpatrywał się w rozlany dookoła ogień i już nie wspominał, nie porównywał... Czy do pożaru Niemcy nie planują przypadkiem dorzucić natarcia? Nie wiedzą, w jakiej sytuacji znajduje się dowództwo armii, schwytany wczoraj jeńiec nie wierzył, że sztab armii dyslokowany jest na prawym brzegu... Oczywiście, to lokalna operacja, a więc są szanse, żeby dożyć jutra. Byle tylko wiatr się nie zerwał.

Kryłow obejrzał się na stojącego obok Czujkowa; ten wpatrywał się w huczący pożar; twarz jego, usmarowana kopciem, wydawała się miedziana, rozpalona. Zdjął czapkę, przesunął ręką po włosach i stał się podobny do wiejskiego kowala; iskry skakały nad jego kędzierzawą głową. Popatrzył do góry na rozhulaną płomienną kopułę, obejrzał się na Wołgę, gdzie wśród węzowatych płomieni widać było ciemne luki.

Kryłowowi przyszło na myśl, że dowódca armii w napięciu zastanawia się nad tymi samymi problemami, które niepokoiły i jego: czy Niemcy ruszą nocą do wielkiego natarcia... Gdzie urządzić sztab, jeśli w ogóle uda się dożyć rana...

Czujkow poczuł na sobie wzrok szefa sztabu, uśmiechnął się do niego i powiedział, zakreślając ręką szeroki krąg wokół głowy:

- Ładne to, cholera... Nie?

Płomienie pożaru dobrze było widać z Zawoźza, z Krasnego Sadu, gdzie mieścił się sztab Frontu Stalingradzkiego. Szef sztabu, generał-lejtnant Zacharow, otrzymał pierwszą wieść o pożarze, zameldował o tym Jeriomience, ten zaś poprosił Zacharowa, by osobiście udał się do węzła łączności i porozmawiał z Czujkowem. Zacharow, głośno dysząc, pośpiesznie szedł ścieżką. Adiutant, świecąc latarką, od czasu do czasu mówił: „Ostrożnie, towarzyszu generale” - i odsuwał ręką zwisające nad ścieżką gałęzie jabłoni. Daleka luna oświetlała pnie drzew, kładła się różowawymi plamami na ziemi. To niewyraźne światło napełniało duszę niepokojem. Panująca wokół cisza, przerywana jedynie niezbyt głośnymi okrzykami wartowników, przydawała jakiejś szczególnie groźnej siły niememu, blademu ogniewi.

Na węźle dyżurna, patrząc na ciężko oddychającego Zacharowa, powiedziała, że z Czujkowem nie ma łączności - ani telefonicznej, ani telegraficznej, ani radiowej...

- Z dywizjami? - ostro spytał Zacharow.

- Dopiero co, towarzyszu generale-lejtnancie, mieliśmy łączność z Batiukiem.

- Dajcie go, szybko!

Dyżurna, przekonana, że trudny i wybuchowy charakter generała zaraz da znać o sobie, bała się nawet spojrzeć na Zacharowa; nagle jednak powiedziała radośnie:

- Jest, proszę, towarzyszu generale - i podała mu słuchawkę.

Z Zacharowem mówił szef sztabu dywizji. Tak samo jak dziewczyna z łączności, przestraszył się, słysząc ciężki oddech i władczy głos szefa sztabu frontu.

- Meldujcie, co się tam u was dzieje. Macie łączność z Czujkowem?

Szef sztabu dywizji zameldował, że płoną zbiorniki z ropą, że ściana ognia runęła na stanowisko dowodzenia armii, że dywizja nie ma łączności z dowódcą armii, ale najwyraźniej nie wszyscy zginęli, bo poprzez ogień i dym widać stojących na brzegu ludzi. Ani jednak od strony lądu, ani od strony Wołgi nie sposób tam dotrzeć, bo rzeka płonie. Batiuk z kompanią ochrony sztabu ruszył brzegiem do pożaru, próbując gdzie indziej skierować strumień płomieni i pomóc tamtym ludziom się wydostać.

Zacharow wysłuchał szefa sztabu, powiedział:

- Przekażcie Czujkowowi, jeśli żyje, przekazcie Czujkowowi... - i zamilkł.

Dziewczyna, zdziwiona długą pauzą i czekająca na eksplozję zachrypniętego głosu generała, z obawą patrzyła na Zacharowa - stał z chustką przyłożoną do oczu.

Tej nocy czterdziestu dowódców sztabowych spłonęło w zawalonych schronach.

## 10

Krymow znalazł się w Stalingradzie zaraz po pożarze zbiorników z ropą.

Czujkow wyznaczył nowe stanowisko dowodzenia armii u stóp stromego brzegu Wołgi, w rejonie rozmieszczenia pułku piechoty, wchodzącego w skład dywizji Batiuka. Czujkow odwiedził schron dowódcy pułku, kapitana Michajłowa, obejrzał obszerną ziemiankę z licznymi belkami podtrzymującymi strop i zadowolony pokiwał głową. Patrząc na zasmuconą twarz rudego, piegowatego kapitana, powiedział żartobliwym tonem:

- Kapitanie, urządziliście sobie schron nieodpowiednio do stopnia.

Sztab pułku zabrał swoje niewyszukane sprzęty i brzegiem Wołgi powędrował kilkadziesiąt metrów dalej - tam z kolei rudy Michajłow bezwzględnie wyeksmitował dowódcę swojego batalionu.

Pozbawiony siedziby dowódca batalionu zostawił w spokoju dowódców swoich kompanii (ci mieli już bardzo ciasne kwatery), ale kazał sobie wykopać nową ziemiankę na płaskowzgórzu.

Kiedy Krymow przyszedł na stanowisko dowodzenia 62. armii, trwały tam w najlepsze roboty saperskie. Kopano rowy łącznikowe między wydziałami sztabu, ulice główne i boczne, pozwalające się kontaktować pracownikom wydziału politycznego, oficerom operacyjnym i artylerzystom.

Dwukrotnie Krymow widział samego dowódcę, który wychodził, żeby popatrzeć, jak idzie praca.

Nigdzie chyba na świecie nie budowano żadnych pomieszczeń z taką starannością i rozważą jak w Stalingradzie. Stalingradzkie schrony tworzone nie dla przyszłych pokoleń ani nawet nie po to, żeby było ciepło. Prawdopodobieństwo tego, że się dożyje świtu i pory obiadowej, mocno zależało od grubości belek schronu, od głębokości korytarza, od bliskości latryny, od tego, czy schron widoczny jest z powietrza. Kiedy mówiono o człowieku, mówiono też o jego schronie.

- Batiuk dzisiaj niezłe popracował moździerzami na kurhanie Mamaja... A i schronik ma niezły: drzwi dębowe, grube jak w pałacu, mądry z niego chłop...

Zdarzało się też, że mówiono o kimś:

- No cóż, przycisnęli go w nocy, stracił kluczową pozycję, nie miał łączności z pododdziałami. Stanowisko dowodzenia widać z góry, płaszcz-pałatka<sup>7</sup> zamiast drzwi, chyba przed muchami go chroni. Niewiele jest wart, przed wojną podobno żona od niego odeszła.

Ze stalingradzkimi schronami i ziemiankami wiązało się wiele rozmaitych historii. Na przykład opowieść o tym, jak do kanału, w którym ulokował się sztab Rodimcewa, chlusnęła nagle woda i cała kancelaria wypłynęła na brzeg; kawalarze zaznaczyli nawet na mapie miejsce, w którym sztab wpadł do Wołgi. Albo o tym, jak wyleciały w powietrze sławne drzwi w schronie Batiuka. I o tym, jak w fabryce traktorów Żeludiuw wraz z całym sztabem zginął w zasypanym schronie.

Stalingradzka skarpa, często gęsto usiana schronami, przypominała Krymowowi olbrzymi okręt wojenny - po jednej burcie mający Wołgę, po drugiej ścianę nieprzyjacielskiego ognia.

Kierownictwo polityczne nakazało Krymowowi rozstrzygnąć spór, jaki powstał między dowódcą a komisarzem pułku piechoty w dywizji Rodimcewa. Wybierając się tam, postanowił wygłosić odczyt dla dowódców sztabowych, a następnie zająć się skargą. Gонец z wydziału politycznego armii doprowadził go do kamiennego ujścia szerokiego kanału, w którym mieścił się sztab Rodimcewa. Wartownik zameldował, że przybył komisarz batalionowy ze sztabu frontu, a wtedy rozległ się czyjś gruby głos:

- Wołaj go tu, bo pewno nieprzyzwyczajony i narobił w portki!

Krymow wszedł pod niski strop i czując na sobie spojrzenia sztabowców, przedstawił się grubemu komisarzowi pułkowemu<sup>8</sup> w żołnierskiej kufajce, siedzącemu na skrzyni po konserwach.

- A, będzie nam bardzo miło, odczyt to dobra rzecz - rzekł komisarz pułkowy. - Bo słyszeliśmy, że i Manuilski, i jeszcze inni przyjechali na lewy brzeg, a do nas, do Stalingradu, się nie wybiorą.

- Oprócz tego mam polecenie od szefa zarządu politycznego - rzekł Krymow - żeby zająć się sporem między dowódcą pułku piechoty a komisarzem.

- Mieliśmy taką sprawę - odrzekł komisarz. - Wczoraj została rozstrzygnięta: na stanowisko dowodzenia pułku spadła jednotonowa bomba, zabiła osiemnastu ludzi, w tym dowódcę pułku i komisarza.

Mówił otwarcie, bez owijania w bawełnę:

Nie należy go mylić z komisarzem pułku w tej dywizji, w którego sprawie przyjechał Krymow.

- Pod każdym względem się różnili, nawet wyglądem. Dowódca to był człowiek prosty, chłopski syn, a komisarz nosił rękawiczki, sygnet na palcu. Teraz obaj leżą

---

<sup>7</sup> Płaszcz-pałatka - używana przez żołnierzy Armii Czerwonej brezentowa peleryna, służąca w razie potrzeby jako namiot.

<sup>8</sup> Komisarz pułkowy (stopień) pełni tutaj funkcję komisarza dywizji (stanowisko).

obok siebie.

Jako człowiek niepoddający się nastrojowi, umiejący panować i nad swoim, i nad cudzym, niespodziewanie zmienił ton i rzekł niemal z humorem:

- Kiedy nasza dywizja stała pod Kotłubaniem, musiałem wieźć samochodem prelegenta, Pawła Fiodorowicza Judina z Moskwy. Członek rady wojennej powiedział mi: „Pamiętaj, niech mi go tutaj chociaż draśnie, to ci głowę urwę”. Oj, namęczyłem ja się z nim. Ledwie samolot się pokaże, od razu dajemy nura do rowu. Cóż, musiałem go pilnować, jeśli nie chciałem stracić głowy. Ale i towarzysz Judin się pilnował, przejawiał inicjatywę.

Ludzie będący świadkami ich rozmowy śmiali się trochę, a Krymow poczuł irytację, słysząc znowu ten kpiarski i kompletnie lekceważący ton.

Zazwyczaj Krymow miał dobre stosunki z dowódcami liniowymi, całkiem znośne ze sztabowymi, a napięte i nie zawsze szczere ze swoimi, bądź co bądź, kamratami - pracownikami politycznymi. Teraz też komisarz dywizji go drażnił: od niedawna na froncie, a zgrywa się na weterana, pewnie nawet do partii wstąpił tuż przed wojną, a już Engels to dla niego byle kto.

Ale widocznie i on musiał czymś drażnić komisarza.

To uczucie nie opuściło Krymowa nawet wtedy, kiedy adiutant urządzał mu nocleg i kiedy poczęstowano go herbatą.

Prawie każda jednostka wojskowa ma swój własny, odrębny od innych styl. W sztabie dywizji Rodimcewa nieustannie szczycono się swoim młodym generałem.

Kiedy Krymow skończył z nim rozmawiać, zaczęto mu zadawać pytania.

Szef sztabu Wielski, siedzący koło Rodimcewa, zapytał:

- Kiedy w końcu, towarzyszu prelegencie, sojusznicy otworzą drugi front?

Komisarz dywizji, na wpół leżący na wąziutkiej pryczy, przymocowanej do kamiennej ściany kanału, usiadł, rozgarnął dłońmi siano i powiedział:

- Po co się śpieszyć? Mnie bardziej interesuje, jak zamierza działać nasze dowództwo.

Krymow z niezadowoleniem zerknął w jego stronę i powiedział:

- Skoro wasz komisarz tak stawia kwestię, to nie ja powinienem odpowiedzieć, tylko generał.

Wszyscy spojrzeli na Rodimcewa, ten zaś odezwał się:

- Wysoki człowiek tutaj się nie wyprostuje. Co tu dużo gadać - kanał. Obrona, cóż, to niewielka zasługa. A z tego kanału atakować się nie da. Chcielibyśmy, ale odwody jakoś w kanale się nie rodzą.

W tej chwili zadzwonił telefon. Rodimcew podniósł słuchawkę. Wszyscy popatrzyli na niego. Generał odłożył słuchawkę, pochylił się ku Wielskiemu i cicho wypowiedział kilka słów. Tamten sięgnął po telefon, ale Rodimcew położył rękę na aparacie i zapytał:

- Po co? Nie słyszeliście?

A pod kamiennym sklepieniem, w pomieszczeniu oświetlonym migającymi i dymiącymi lampami z łusek po pociskach, słychać było wiele rzeczy. Częste serie z kaemów dudniły nad głowami siedzących jak wózki po moście. Od czasu do czasu wybuchały granaty ręczne. Kanał bardzo wzmacniał dźwięki.

Rodimcew wzywał do siebie to jednego, to drugiego pracownika sztabu, po czym znowu podniósł do ucha niecierpliwą słuchawkę telefonu. Na chwilę podchwycił spojrzenie siedzącego w pobliżu Krymowa; miło, szczerze się uśmiechnął i powiedział:

- Rozhulała się nadwołżańska pogoda, towarzyszu prelegencie.

A telefon dzwonił już bez przerwy. Przysłuchując się rozmowie Rodimcewa, Krymow rozumiał mniej więcej, co się działo. Zastępca dowódcy dywizji, młody pułkownik Borisow, podszedł do generała i nachylając się nad skrzynką z rozłożonym planem Stalingradu, gwałtownym, teatralnym gestem poprowadził grubą granatową kreskę, prostopadłą do Wołgi, przecinającą przerywaną czerwoną linię obrony radzieckiej. Borisow wymownie patrzył swoimi ciemnymi oczami na Rodimcewa. Ten zaś wstał nagle, widząc idącego ku niemu z półmroku człowieka w płaszczu-pałatce.

Po jego chodzie i wyrazie twarzy każdy od razu poznawał, skąd przychodzi - był otulony niewidzialnym rozpalonym obłokiem, przy szybkich ruchach wydawało się, że to nie brezent peleryny szeleści, ale trzaska elektryczność, którą naładowany jest ów człowiek.

- Towarzyszu generale! - poskarżył się. - Przycisnęli mnie, psy, wleźli do wąwozu, prą do Wołgi. Potrzebujemy wzmocnienia.

- Powstrzymajcie wroga sami, za wszelką cenę. Rezerw nie mam - odparł Rodimcew.

- Powstrzymać za wszelką cenę - powtórzył człowiek w płaszczu-pałatce, a kiedy odwrócił się i wyszedł, wszyscy dobrze zrozumieli, że zna cenę, jaką zapłaci.

- Tu obok? - spytał Krymow i pokazał na mapie linię wąwozu.

Ale Rodimcew nie zdążył mu odpowiedzieć. Przy wylocie kanału rozległy się strzały z pistoletów, mignęły czerwone błyski granatów.

Usłyszeli przenikliwy dźwięk gwizdka. Do Rodimcewa rzucił się szef sztabu i krzyknął:

- Towarzyszu generale, nieprzyjaciel przedarł się do waszego punktu dowodzenia!

Nagle zniknął dowódca dywizji, trochę popisujący się swoim spokojnym głosem, kolorowym ołówkiem zaznaczający na mapie zmianę sytuacji. Zniknęło też wrażenie, że tu, wśród zburzonych murów i porośniętych burzanami wąwozów, o wyniku wojny rozstrzygają lampy katodowe, aparatura radiowa, chromowana stal. Człowiek o wąskich ustach huknął zawiadanie:

- Hej tam, sztab dywizji! Sprawdzić broń osobistą, zabrać granaty i za mną! Odeprzemy nieprzyjaciół!

W jego głosie i wzroku, którym szybko i władczo obrzucił Krymowa, czuło się sporą dozę lodowatego i palącego zarazem spirytusu. Na moment wydało się, że główną zaletą tego człowieka nie jest żadne tam doświadczenie ani umiejętność

czytania mapy, tylko bezwzględna, niepohamowana dusza zabijaki! Po kilku minutach oficerowie sztabu, pisarze, łącznicy, telefoniści, w pośpiechu popychając się wzajemnie, niezgrabnie wyłazili z kanału sztabowego, a na czele, oświetlony migotliwym światłem, lekkim krokiem biegł Rodimcew, zmierzający w stronę wąwozu, skąd dolatywały wybuchy, okrzyki, strzały i przekleństwa.

Kiedy zadyszany pobiegu Krymow jeden z pierwszych dotarł na skraj wąwozu i popatrzył w dół, jego serce ogarnęły pomieszane uczucia obrzydzenia, strachu i nienawiści. Na dnie rozpadliny migały jakieś niewyraźne cienie, wytryskały i gasły iskry wystrzałów, zapalało się to zielone, to czerwone oko, a w powietrzu słychać było nieustanny świst żelaza. Zdawało się, że Krymow zajrzał do olbrzymiej smoczey jamy, gdzie szeleszcząc wśród suchych burzanów, sycząc i błyskając oczami, rozpełzały się niespokojnie setki jadowitych stworów. Z tą właśnie wściekłością, obrzydzeniem i strachem zaczął strzelać z karabinu do nakłuwających mrok błysków, do szybkich cieni, splezających po zboczach.

Niemcy pojawili się w górze wąwozu, o kilkadziesiąt metrów od Krymowa. Częste huki granatów wstrząsały powietrzem i ziemią to nieprzyjacielska grupa szturmowa usiłowała dotrzeć do ujścia kanału. W ciemnościach przemykały się ludzkie cienie, błyskały wystrzały; krzyki i jęki to wybuchały, to gasły. Całkiem jakby w wielkim, czarnym kotle kipiała jakaś ciecz, a Krymow bez reszty, całym ciałem, całą duszą pogrążył się w tym bulgoczącym wrzątku i już nie umiał czuć, myśleć, tak jak myślał i czuł do tej pory. To wydawało mu się, że panuje nad wirami, który go porwał, to znowu miał wrażenie, że już po nim, że gęsty smolisty mrok leje mu się w oczy, w nozdrza, i już nie ma czym oddychać, nie ma gwiaździstego nieba nad głową, jest tylko mrok, wąwóz i straszliwe stwory, szeleszczące w burzanach.

Wydawało mu się, że nie potrafi zrozumieć, co się dzieje, i zarazem nasilało się oczywiste, jasne jak słońce poczucie więzi z ludźmi czołgającymi się po urwisku, poczucie własnej siły, połączonej z siłą żołnierzy strzelających obok niego, uczucie radości, że gdzieś obok jest Rodimcew.

Owo zadziwiające uczucie, które zrodziło się w tym nocnym starciu, kiedy na trzy kroki człowiek nie był w stanie rozróżnić, kogo ma przed sobą, łączyło się z czymś innym, nie mniej zdumiewającym i niewytłumaczalnym: świadomością ogólnego przebiegu walki, świadomością, która pozwalała żołnierzom ocenić prawdziwy układ sił w tej walce, przewidywać jej losy.

## 11

Świadomość końcowego wyniku walki, zrodzona w człowieku ogłuszonym, oddzielonym od innych dymem i ogniem, okazuje się często pewniejsza niż ocena tego wyniku, dokonana na podstawie mapy sztabowej.

W przełomowej chwili zachodzi niekiedy zdumiewająca zmiana, kiedy nacierający, który niby osiągnął już swój cel, rozgląda się niepewnie i przestaje widzieć tych, z którymi razem zmierzał do owego celu, a przeciwnik, którego cały czas uważał za słabego, głupiego, walczącego w odosobnieniu, pojedynczo, staje się mnogi i dlatego niepokonany. W chwili przełomu w walce, oczywistej dla wszystkich, którzy ją przeżyli, niepojętej za to, wręcz tajemniczej dla tych, którzy z zewnątrz starają się ją przewidzieć i zrozumieć, zachodzi zmiana w postrzeganiu: dziarskie, mądre „my”



zmienia się w lękliwe, kruche „ja”, a nieudolny przeciwnik, odbierany dotąd jako pojedynczy obiekt polowania, zmienia się w zjednoczone „oni”, groźne i straszne.

Przedtem atakujący i z powodzeniem łamiący opór odbierali oddzielnie każdy epizod walki: wybuch pocisku... seria z cekaemu... o, tamten strzela z ukrycia, zaraz ucieknie, musi uciec, bo jest sam, oddzielony od tej swojej armaty, od tego swojego pojedynczego cekaemu, od tego sąsiedniego, strzelającego też pojedynczo żołnierza, a ja to my, ja to cała potężna, idąca do ataku piechota, ja to wspierająca mnie artyleria, ja to wspierające mnie czołgi, ja to rakietą oświetlająca naszą wspólną sprawę. A tu nagle - zostaję sam, a wszystko, co było porozdzielane i dlatego słabe, łączy się w straszną wspólnotę nieprzyjacielskiego ognia - karabinów, cekaemów, artylerii - i nie ma już siły, która pomogłaby mi pokonać tę wspólnotę. Ratunek widzę tylko w ucieczce, w tym, że chcę schować głowę, osłonić ramię, czoło, szczękę.

A w mroku nocy ci, którzy zostali niespodziewanie napadnięci i początkowo czują się słabi i pojedynczy, zaczynają widzieć pojedynczość nieprzyjaciół, którzy ich atakują, i czuć własną wspólnotę, jedność, która jest zaczynem zwycięstwa.

Właśnie zrozumienie takiej przemiany jest często tym, co daje sztuce wojennej prawo nazywać się sztuką.

To odczucie pojedynczości i mnogości, kiedy świadomość przechodzi od pierwszego stanu do drugiego, pozwala nie tylko łączyć epizody nocnych ataków kompanii i batalionów w całość, ale także określać wysiłek wojenny armii i narodów.

Istnieje jednak pewna świadomość, którą prawie do reszty tracą uczestnicy walki - to świadomość upływającego czasu. Dziewczyna, która na noworocznym balu tańczyła do rana, nie potrafi powiedzieć nic o czasie - czy bal trwał krótko, czy długo.

Albo więzień Szlisselburga, który przesiedział tam dwadzieścia pięć lat, powie: „Mam wrażenie, że tkwiłem w twierdzy przez całą wieczność, ale równocześnie wydaje mi się, że trwało to zaledwie parę tygodni”.

Dziewuszka spędziła noc pełną przelotnych zdarzeń - spojrzeń, uśmiechów, dotknięć, motywów muzycznych - każda z tych rzeczy działa się tak szybko, że ich rozciągłość w czasie nie pozostawiła żadnych śladów w jej świadomości. Ale suma tych krótkich zdarzeń zrodziła wrażenie czasu na tyle długiego, by pomieścić całą radość ludzkiego życia.

Z więźniem stało się co innego - na jego dwadzieścia pięć lat złożyło się wiele straszliwie długich pojedynczych odcinków czasowych, od porannego apelu do wieczornego, od śniadania do obiadu. Okazało się jednak, że suma tych ubogich zdarzeń zrodziła nowe odczucie w ponurej monotonii następujących po sobie miesięcy i lat czas ścisnął się, skurczył... Tak powstało równoczesne wrażenie krótkości i nieskończoności, tak powstało podobieństwo tego odczucia u kogoś, kto przetańczył noc noworoczną i kogoś więzionego przez dziesięciolecia.

W obu wypadkach suma zdarzeń rodzi równoczesne wrażenie długiego i krótkiego trwania.

Podczas walki jednak proces deformacji poczucia długości czasu jest bardziej skomplikowany. Tutaj sprawa wygląda inaczej - zniekształceniu, wykrzywieniu ulegają poszczególne, pierwotne uczucia. W walce sekundy rozciągają się, a godziny

spłaszczają. Wrażenie długości łączy się z błyskawicznymi zdarzeniami: świstem pocisków i bomb, odgłosami wystrzałów i wybuchów.

Wrażenie krótkości natomiast dotyczy zdarzeń, które się ciągną: biegu pod nieprzyjacielskim ogniem przez zaorane pole, czołgania się od kryjówki do kryjówki. Natomiast walka wręcz odbywa się poza czasem. Nieokreśloność przejawia się tu i w składnikach, i w rezultacie, deformuje się i suma, i każdy składnik.

Tych składników jest nieskończenie wiele.

Odczucie trwania walki jest w ogóle zdeformowane tak głęboko, że w istocie zupełnie nieokreślone - nie łączy się ani z długością, ani z krótkością.

W chaosie, w którym mieszały się oślepiające światło i oślepiająca ciemność, krzyki, huk wybuchów, szybki stukot automatów, w chaosie, który na strzępy rozdarł poczucie czasu, Krymow z niesamowitą jasnością zrozumiał: Niemcy zostali zmiażdżeni, zostali pobici. Zrozumiał to tak samo, jak ci wszyscy kanceliści i łącznicy, którzy strzelali obok niego - czuł tę prawdę głęboko w sercu.

## 12

Noc minęła. Wśród osmalonych burzanów poniewierały się ciała zabitych. Woda u swoich brzegów oddychała ciężko i ponuro. Smutek ogarniał serca, kiedy się patrzyło na rozrytą ziemię, na puste pudła wypalonych domów.

Zacznął się nowy dzień; wojna zamierzała szczerze, aż po brzegi, wypełnić go dymem, żelazem, tłuczniem, brudnymi skrwawionymi bandażami. A przeszłość składała się z takich samych dni. Na świecie nie było już nic oprócz tej przeoranej żelazem ziemi, oprócz nieba w płomieniach.

Krymow siedział na skrzyni, oparty głową o kamienną ścianę kanału, i drzemał.

Słyszał niewyraźne głosy pracujących w sztabie, słyszał pobrzękiwanie kubków - komisarz dywizji i szef sztabu pili herbatę i rozmawiali sennymi głosami. Mówili, że wzięty do niewoli jeniec okazał się saperem; kilka dni temu jego batalion przerzucono drogą lotniczą z Magdeburga. W mózgu Krymowa mignął obrazek z podręcznika dwa perszerony o potężnych zadach, popędzane przez dozorców w spiczastych czapach, starają się oderwać dwie przyssane do siebie półkule.

Powróciło nagle uczucie znudzenia, które wywoływał w dzieciństwie ten obrazek.

- To dobrze - rzekł Wielski. - Znaczy, że sięgnęli po rezerwy.

- No jasne, że dobrze - zgodził się Wawiłow. - Sztab dywizji rusza do kontrataku.

Wtedy Krymow usłyszał niezbyt donośny głos Rodimcewa:

- To na razie przygrywka, w fabrykach to dopiero będzie zabawa.

Wydawało się, że Krymow stracił w tej nocnej walce wszystkie siły duchowe. Żeby popatrzeć na Rodimcewa, wystarczyło odwrócić głowę, ale tego akurat nie robił. „Tak pusta musi czuć się studnia, z której wyczerpano całą wodę” - pomyślał. Znowu zapadł w drzemkę i ciche dźwięki, odgłosy strzałów i wybuchów zlały się w monotony huk. Ale do jego mózgu wdarło się nowe uczucie; Krymow miał wrażenie, że leży w pokoju z zamkniętymi okiennicami i śledzi plamę porannego światła na tapetach.

Plama dopełzła do krawędzi lustra na ścianie i błysnęła tęczą. Serce chłopca zadrżało, człowiek o skroniach przyprószonych siwizną, z wiszącym u pasa ciężkim pistoletem, otworzył oczy i obejrzał się.

Pośrodku kanału, w starej bluzie wojskowej, w furażerze z zieloną frontową gwiazdką, przekrzywiając głowę, stał muzykant i grał na skrzypcach.

Wawilow zobaczył, że Krymow się obudził, nachylił się nad nim i powiedział:

- To nasz fryzjer, Rubinczik, prawdziwy mistrz!

Czasem ktoś bezceremonialnie przerywał grę ordynarnym żartem, kiedy indziej ktoś, zagłuszając ją, mówił: „Proszę o pozwolenie zwrócenia się...” - i składał raport szefowi sztabu; łyżeczka pobrzękiwała w blaszanym kubku, ktoś ziewał przeciągle: „O-o-o-o-o” - i zaczynał mierzwić siano.

Fryzjer śledził uważnie, czy jego gra nie przeszkadza dowódcom, gotów w każdej chwili przerwać.

Ale dlaczego Jan Kubelik, który w tym czasie przypomniał się Krymowowi, siwy, w czarnym fraku, cofnął się i skłonił przed fryzjerem sztabowym? Dlaczego cienki, drżący głos skrzypiec, nucący prostą jak strumyczek piosenkę, lepiej niż Bach i Mozart wyrażał w tej chwili całą głębię duszy ludzkiej? Po raz tysięczny chyba Krymow odczuł ból samotności. Żenia od niego odeszła...

Znowu pomyślał z goryczą, że odejście Żeni odsłoniło prawdziwy mechanizm jego życia: niby został, ale już go nie było. A ona odeszła. Znowu pomyślał, że trzeba samemu sobie powiedzieć wiele strasznych, niebywale okrutnych rzeczy... Dostyc tchórzostwa, zasłaniania się rękawiczką...

Muzyka, wydawało się, przywróciła mu rozumienie czasu.

Czas - to niewidoczne otoczenie, w którym ludzie zjawiają się, poruszają i znikają bez śladu... W czasie powstają i znikają całe miasta. Czas przynosi je i zabiera.

Ale on miał w sobie całkiem szczególne, inne rozumienie czasu. To rozumienie, które mówi: „Mój czas... nie nasz”. Czas wsącza się w człowieka i w królestwo, gnieździ się w nich i nagle odchodzi, znika, a człowiek, królestwo - zostają... Królestwo zostało, ale jego czas odszedł... Jest człowiek, ale czas jego zniknął. Gdzie go teraz szukać? A człowiek przecież istnieje, oddycha, myśli, płacze, ale ten jedyny, szczególny, z nim tylko związany czas umknął, odpłynął, odszedł. A człowiek został.

Najtrudniejsza rzecz - być pasierbem czasu. Nie ma gorszego losu niż los pasierba żyjącego nie w swoim czasie. Takich pasierbów czasu rozpoznaje się od razu - w działach kadr, w komitetach rejonowych partii, w wydziałach politycznych, w redakcjach, na ulicy... Czas kocha tych, których spłodził - swoje dzieci, swoich bohaterów, swoich pracowników. Nigdy, nigdy nie pokocha dzieci czasu, który minął; kobiety też nie kochają bohaterów minionego czasu, a macochy nie kochają cudzych dzieci.

Tak to jest z czasem - wszystko odchodzi, a on zostaje. Wszystko zostaje, tylko on odchodzi. Lekko, bezszelestnie, niepostrzeżenie. Jeszcze wczoraj byłeś taki pewny, radosny, silny: syn czasu. A dzisiaj nadszedł inny czas, ale do ciebie to jeszcze nie dotarło.

Czas rozszarpany w walce odrodził się dzięki tanim, zmajstrowanym ze sklejki skrzypcom fryzjera Rubinczika. Jednym skrzypce mówiły, że ich czas nadszedł, innym - że przemija.

„Przeminął, przeminął” - pomyślał Krymow.

Patrzył na spokojną, wielką, dobroduszną twarz komisarza Wawiłowa. Wawiłow siorbał herbatę z kubka, powoli, sumiennie przeżuwał chleb z kiełbasą, nieprzenikniony wzrok skierował na płamę światła u wylotu kanału.

Rodimcew drgnął i uniosł przykryte płaszczem ramiona; z rozjaśnioną twarzą, uważnie i spokojnie, patrzył wprost na grającego.

Dziobaty, siwy pułkownik, szef artylerii dywizyjnej, zmarszczył czoło, przez co jego mina wydała się nieżyczliwa; patrzył na leżącą przed nim mapę, i tylko po sympatycznych, smutnych oczach widać było, że nie studiuje mapy, ale słucha. Wielski szybko pisał raport do sztabu armii; wydawało się, że zajęty jest wyłącznie pracą, pracował jednak z przechyloną głową i uchem zwróconym w stronę skrzypka. A w oddali siedzieli żołnierze - łącznicy, telefoniści, pisarze. Na utrudzonych twarzach, w oczach mieli wyraz skupienia, jakie maluje się na twarzy chłopca jedzącego chleb.

Nagle Krymow przypomniał sobie letnią noc - duże ciemne oczy młodej Kozaczki, jej gorący szept... Piękne jest jednak to życie! Kiedy skrzypek przestał grać, słychać było cichy szmer - pod prowizoryczną podłogą z desek ciekła woda, i Krymowowi wydało się, że jego dusza jest właśnie tą niewidoczną, pustą, wyschniętą studnią, która teraz po cichu nabiera wody.

Pół godziny później skrzypek golił Krymowa i z wielką, śmieszącą zazwyczaj klientów zakładów fryzjerskich powagą wypytywał, czy Krymow nie boi się brzytwy, sprawdzał dłonią, czy dobrze wygolił policzki. Po chwili rozszedł się zapach wody kolońskiej i pudru, dziwny, smutny i niestosowny w ponurym państwie ziemi i żelaza.

Rodimcew zmrużył oczy, obejrzał odświeżonego i napudrowanego Krymowa, z zadowoleniem kiwnął głową i powiedział:

- No cóż, ogoliłeś naszego gościa jak się patrzy. Teraz zajmij się mną.

Ciemne, duże oczy skrzypka napełniły się szczęściem. Dotknął głowy Rodimcewa, strzepnął białą ściereczkę i powiedział:

- A może na skroniach trochę byśmy wyrównali, towarzyszu generale-majorze gwardii?

13

Po pożarze cystern z ropą generał-pułkownik Jeriomienko zapragnął odwiedzić Czujkowa w Stalingradzie. Ta niebezpieczna eskapada nie miała żadnego praktycznego sensu. Ale z czysto ludzkiego punktu widzenia była absolutnie konieczna, Jeriomienko stracił więc trzy dni, czekając na przeprawę.

Jasne ściany schronu w Krasnym Sadzie uspokajały dowódcę frontu, przyjemny cień dawały jabłonie podczas porannych przechadzek. Ale z szumem liści i skargą szuwarów mieszał się daleki huk i płomienie Stalingradu; owa mieszanka stwarzała taki niedający się określić ciężar, że Jeriomienko stękał tylko i kłął podczas tych porannych spacerów.

Rano poinformował Zacharowa, że postanowił udać się do Stalingradu, i polecił mu przejąć dowództwo. Pożartował z kelnerką, która nakryła do śniadania, zastępcy szefa sztabu pozwolił polecieć na dwa dni do Saratowa, wysłuchał prośby generała Trufanowa, dowodzącego jedną ze stepowych armii, i obiecał mu, że zbombarduje potężne stanowisko artylerii rumuńskiej.

- Dobra, dobra, dostaniesz samoloty dalekiego zasięgu - powiedział.

Adiutanci usiłowali zgadnąć, co jest powodem dobrego nastroju dowódcy. Dobre wieści od Czujkowa? Życzliwa rozmowa przez telefon wysokiej częstotliwości? List z domu? Ale takich i tym podobnych wiadomości zazwyczaj nie dawało się utrzymać w tajemnicy przed adiutantami; na razie jednak Moskwa nie wzywała dowódcy, a wieści od Czujkowa nie były pomyślne.

Po śniadaniu generał-pułkownik włożył kufajkę i wyszedł na spacer. Dziesięć kroków za nim podążał adiutant Parchomienko. Dowódca szedł, jak zazwyczaj, niespiesznie, kilka razy podrapał się w udo i spoglądał w stronę Wołgi. Podszedł do żołnierzy batalionu pracy, którzy robili wykop. To byli starsi ludzie o ciemnobrązowych od opalenizny karkach. Twarze mieli ponure. Pracowali w milczeniu i ze złością spoglądali na tęgiego człowieka w zielonej czapce, który stał beczynnie na skraju wykopu.

Jeriomienko spytał:

- Powiedzcie no, kochani, który z was wszystkich najgorzej pracuje?

Żołnierze jakby czekali na takie pytanie, bo dość już mieli machania łopata. Wszyscy rzucili spojrzenie z ukosa na mężczyznę, który wyrwał kieszeń, wysypując na dłoń okruszyny chleba i machorkę.

- Chyba on - powiedziało dwóch i obejrzało się na resztę.

- Aha - poważnie rzekł Jeriomienko - znaczy się, ten. Największy obibok.

Żołnierz westchnął z godnością, poważnym i łagodnym wzrokiem spojrzał z dołu na Jeriomienkę i widocznie uznał, że pytającemu nie chodzi o jakąś konkretną sprawę, że pyta tak sobie, gwoli ścisłości, albo chce po prostu uzupełnić braki w wykształceniu; nie podjął więc tematu.

Jeriomienko spytał:

- A który z was pracuje najlepiej?

Wszyscy wskazali wówczas siwego żołnierza; przerzedzone włosy nie chroniły go przed opalenizną, jak wąż trawa nie chroni ziemi przed palącym słońcem.

- Trosznikow - powiedział jeden. - Bardzo się stara.

- Nawykły do roboty, inaczej nie potrafi - przytaknęli pozostali, jakby chcieli usprawiedliwić towarzysza.

Jeriomienko sięgnął do kieszeni spodni i wyjął zegarek, który błysnął w słońcu. Z wysiłkiem nachylił się i podał go Trosznikowowi.

Trosznikow, nie rozumiejąc, o co chodzi, spoglądał na Jeriomienkę. Ten zaś rzekł:

- Bierz, to nagroda dla ciebie.

Nadal patrząc na Trosznikowa, dodał:

- Parchomienko, napisz jeszcze list pochwalny.

Ruszył dalej, słysząc, jak za jego plecami zahuczały rozgorączkowane głosy; kopacze wydawali okrzyki podziwu, śmiejąc się z niesłychanego sukcesu pracowitego Trosznikowa.

Dowódca frontu czekał dwa dni na przeprawę. W tych dniach komunikacja z zachodnim brzegiem została niemal przerwana. Motorówki, którym udało się dobrać do armii Czujkowa, w ciągu paru minut przeprawy dostawały od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu dziur i przybijając do brzegu, ociekały krwią.

Jeriomienko złościł się, wściekał.

Kiedy Niemcy atakowali, szefowie przeprawy 62. armii bali się nie bomb i pocisków, tylko gniewu dowódcy. Jeriomienko zdawał się winić leniwych majorów i nieudolnych kapitanów za to, co wyczyniają niemieckie moździerze, działa i samoloty.

W nocy wyszedł z ziemianki i stanął na piaszczystym wzgórku blisko wody. Mapa wojny, leżąca w Krasnym Sadzie, w schronie, przed dowódcą frontu, tutaj dudniła, dymiła się, pełna była życia i śmierci. Wydawało się, że Jeriomienko rozpoznaje tu pierwszą linię, którą sam, własną ręką, nakreślił płomienną, przerywaną kreską, widzi grube kliny, którymi Paulus przebijał się ku Wołdze, dostrzega zaznaczone swoimi kredkami odcinki obrony i miejsca koncentracji środków ogniowych.

Kiedy jednak patrzył na mapę rozłożoną na stole, czuł, że jest w jego mocy giąć, przesuwac linię frontu; mógł zmusić do ryku ciężką artylerię lewego brzegu. Tam czuł się gospodarzem, konstruktorem wydarzeń. Tutaj miał zupełnie inne wrażenie... Łuna nad Stalingradem, powolne dudnienie na niebie - wszystko to uderzało go swoją olbrzymią, niezależną od niego pasją i siłą. Przez łoskot strzałów i wybuchów od strony fabryk przebijał się ledwie dosłyszalny dźwięk: a-a-a-a-a...

W tym przeciągłym krzyku piechoty stalingradzkiej, która poderwała się do ataku, było coś nie tylko groźnego, ale i smętnego, żalosego.

- A-a-a-a-a - niosło się nad Wołgą... Bojowe „Hurra!”, niosąc się między zimną wodą a czarnym, usianym gwiazdami jesiennym niebem, zdawało się tracić swój zapał, zmieniało się, nagle odślaniało się w nim coś zupełnie innego - nie żarliwość, nie brawura, ale smutek duszy, jakby żegnającej się ze wszystkim, co drogie, wzywającej swoich bliskich, żeby się obudzili, podnieśli głowę z poduszki, posłuchali ostatni raz głosu ojca, męża, syna, brata...

Smutek żołnierzy ogarnął też serce generała-pułkownika. Wojna, którą dowódca przywykł poszturchiwać, wciągnęła go nagle w siebie. Stał na piaszczystym brzegu, samotny żołnierz, wstrząśnięty potęgą ognia i huku, tak jak stało tutaj tysiące i dziesiątki innych żołnierzy; stał i czuł, że wojna narodowa jest większa, potężniejsza niż jego wiedza, władza i wola. Być może właśnie to odczucie było ostateczną granicą, do jakiej mógł dojść generał Jeriomienko w rozumieniu wojny.

Nad ranem przeprowił się na prawy brzeg. Uprzedzony przez telefon Czujkow zszedł nad rzekę, śledząc szybko poruszający się opancerzony kuter.

Dowódca frontu powoli schodził po trapie, który ugiął się pod jego ciężarem; potem, niezręcznie stąpając po kamienistym brzegu, podszedł do Czujkowa.

- Witaj, towarzyszu Czujkow - pozdrowił go.

- Witajcie, towarzyszu generale-pułkownik - odpowiedział Czujkow.

- Przyjechałem zobaczyć, jak wam się tu żyje. Chyba cię nie nadpalił ten naftowy pożar? Jesteś tak samo kudłaty jak przedtem. Nie schudłeś nawet. Widać nieźle cię żywimy.

- Jak mam schudnąć, skoro dniem i nocą siedzę w schronie - odparł Czujkow, i dotknięty najwyraźniej uwagą dowódcy, że go nieźle żywią, dodał: - A czemuż to ja gościowi każę stać na brzegu?!

Jeriomienkę zirytował z kolei fakt, że został nazwany gościem w Stalingradzie. Kiedy więc Czujkow powiedział: „Proszę do mnie, do izby”, oświadczył: „Mnie i tu dobrze, na świeżym powietrzu”.

W tym czasie odezwał się wielki megafon z Zawołża.

Brzeg, oświetlony pożarami i rakietami, błyskami eksplozji, wydawał się opustoszały. Robiło się na nim to ciemniej, to jaśniej, a chwilami wszystko rozbłyskiwało aż do oślepiającej białości. Jeriomienko wpatrywał się w skarpe zrytą okopami i schronami, w piętrzące się wzdłuż rzeki stosy kamieni, które wyłaniały się z ciemności i znowu łatwo i szybko się w nią zapadały.

Potężny głos powoli, dobitnie, śpiewał:

Jak morskie wrą odmęty

Tak ludu kipi gniew.

Już wojny, wojny świętej

Dokoła słysząc zew.

I ponieważ nikogo na brzegu i na skarpie nie było widać, a wszystko wokół - i ziemię, i Wołgę, i niebo - oświetlały płomienie, wydawało się, że tę powolną pieśń śpiewa sama wojna, bez ludzi, i sama wytacza słowa, każde o wadze tony.

Jeriomienko czuł się niezręcznie, że zaprzętał jego uwagę obraz, który mu się ukazał; istotnie, przyjechał jakby w gości do stalingradzkiego gospodarza. Zły był, że Czujkow najwyraźniej rozumiał ten niepokój, który kazał dowódcy frontu przeprowadzić się przez Wołgę, tę udrękę, którą odczuwał, spacerując wśród szeleszczących trzciny w Krasnym Sadzie.

Jeriomienko zaczął wypytywać gospodarza całego tego ogniowego kramu, jak manewruje odwodami, jak współdziała piechota i co z koncentracją Niemców w rejonie fabryk. Zadawał pytania, a Czujkow odpowiadał tak, jak należy odpowiadać na pytania przełożonego.

Umilkli. Czujkow miał ochotę spytać: „Największa w historii obrona, dobrze, ale co z ofensywą?” Powstrzymał się jednak - Jeriomienko pomyślał jeszcze, że obrońcom Stalingradu brakuje cierpliwości, że proszą, by im zdjąć z barków to brzemię.

Nagle odezwał się Jeriomienko:

- Twój ojciec i matka, o ile pamiętam, mieszkają w obwodzie tulskim, na wsi?
- W tulskim, towarzyszu dowódco.
- Staruszek pisuje do ciebie?
- Pisuje, towarzyszu dowódco. Pracuje jeszcze.

Popatrzyli na siebie, szkła okularów Jeriomienki poróżniewały od płomieni pożaru.

Wydawało się, że za chwilę rozpoczną tę jedyną, naprawdę potrzebną im obu rozmowę o sednie rzeczy dziejących się w Stalingradzie. Ale Jeriomienko powiedział:

- Na pewno chciałbyś zadać pytanie, z jakim ludzie zwracają się zawsze do dowódcy frontu - o uzupełnienie siły żywej i środków bojowych.

Do rozmowy, jedynej, jaka w tej chwili miała sens, w końcu nie doszło.

Stojący na szczycie skarpy wartownik popatrywał w dół, więc Czujkow, słuchając uważnie świstu pocisków, podniósł wzrok i powiedział:

- Ten żołnierz na pewno myśli sobie: „Co to za dwaj wariaci stoją tam nad wodą?”

Jeriomienko zaczął sapać, podłubał w nosie.

Nadeszła chwila, kiedy trzeba się było pożegnać. Niepisany zwyczaj nakazuje, by dowódca narażony na ogień przeciwnika odchodził dopiero wtedy, gdy podkomendni zaczynają go o to prosić. Ale obojętność Jeriomienki wobec niebezpieczeństwa była tak absolutna i naturalna, że te reguły go nie obowiązywały.

Roztargnionym i jednocześnie zręcznym ruchem obrócił głowę w ślad za świszczącym dźwiękiem przelatującego pocisku moździerza.

- No cóż, Czujkow, czas już na mnie.

Czujkow stał przez kilka chwil na brzegu, śledząc odpływający kuter. Piana za sterem przypominała białą chustkę; zupełnie jakby kobieta machała mu na pożegnanie.

Jeriomienko stał na pokładzie i patrzył na zawołański brzeg - ten kołysał się jak fala w słabym świetle, padającym od strony Stalingradu, a rzeka, na której podskakiwał kuter, zastygła jak kamienna płyta.

Jeriomienko ze złością przeszedł od jednej burty do drugiej. Dziesiątki codziennych kłopotów przypominały mu o swoim istnieniu. Front miał nowe zadania. Najważniejsze było teraz gromadzenie sił pancernych, uderzenie na lewym skrzydle, które powierzyło mu Naczelne Dowództwo. Czujkowowi nie powiedział o tym ani słowa.

Czujkow zaś wrócił do swojego schronu, a wtedy żołnierz z pepeszą, pełniący wartę przy wejściu, oficer do zleceń, stojący w sieni, i przybyły na wezwanie szef sztabu dywizji Gurjewa - wszyscy, którzy poderwali się, słysząc ciężki chód Czujkowa, zobaczyli, że dowódca armii jest zmartwiony. Miał zresztą do tego powody.

Przecież dywizje ciągle topnieją, w chaosie ataków i kontrataków niemieckie kliny metr po metrze nieubłaganie odkrawają drogocenną stalingradzką ziemię. Przecież w rejonie fabryki traktorów złowrogo stały z bronią u nogi dwie niemieckie



dywizje piechoty w pełnym składzie, świeże, przysłane z tyłów.

Nie, Czujkow nie zwierzył się dowódcy frontu ze wszystkich swoich obaw, niepokojów, ponurych myśli.

Ale ani jeden, ani drugi nie wiedzieli, gdzie tkwi przyczyna ich niezadowolenia ze spotkania. Najważniejsze zaś w tym spotkaniu było to, czego obaj nie zdołali wypowiedzieć na głos.

14

Październikowym rankiem major Bieriozkin obudził się, pomyślał o żonie i córce, o karabinach maszynowych dużego kalibru, wsłuchał się w huk, do którego przez miesiąc pobytu w Stalingradzie zdążył już przywyknąć, zawołał fizyliera Głuszkowa i kazał przynieść przybory do mycia.

- Jest zimna, jak kazaliście - powiedział z uśmiechem Głuszkow, dzieląc z Bieriozkinem radość z tego, że można myć się co rano.

- A na Uralu, gdzie są żona i córka, pewnie już śnieżku napadało - rzekł Bieriozkin. - Nie piszą do mnie, rozumiesz...

- Napiszą, towarzyszu majorze - pocieszył go Głuszkow.

Kiedy Bieriozkin się wycierał, wkładał bluzę, Głuszkow opowiadał mu o tym, co wydarzyło się w godzinach porannych.

- W magazyn żywnościowy rąbnęli z waniuszki, magazyniera zabiło, w drugim batalionie pomocnik szefa sztabu wyszedł za potrzebą i dostał odłamkiem w ramię; w batalionie saperów żołnierze wyłowili sandacza, którego ogłuszyła bomba, pięciokilowy, poszedłem, żeby go obejrzeć, zanieśli rybę w podarunku dowódcy, towarzyszewi kapitanowi Mowszowiczowi. Był towarzysz komisarz, kazał mi zadzwonić, kiedy się obudzicie.

- Rozumiem - rzekł Bieriozkin. Wypił herbatę, zjadł nóżki cielęce w galarecie, zadzwonił do komisarza i szefa sztabu, powiedział, że idzie do batalionów, włożył ciepłą kurtkę i skierował się ku drzwiom.

Głuszkow strzepnął ręcznik, powiesił go na gwoździu, obmacał granat przy boku, poklepał się po kieszeni - czy kapciuch jest na miejscu po czym wziął stojący w kącie automat i podążył za dowódcą pułku.

Beriozkin wyszedł z na wpół ciemnego schronu i w świetle dnia zmrużył oczy. Ukazał mu się obraz, który przez miesiąc zdążył dobrze poznać: gliniaste osypisko, bura skarpa, cała w plamach wysmolonych płaszczy-pałatek, przykrywających żołnierskie ziemianki, dymiące kominy piecyków zmajstrowanych własnym przemysłem. U góry ciemniały pozbawione dachów budynki fabryczne.

Bardziej w lewo, bliżej Wołgi, sterczały kominy fabryki „Czerwony Październik”; wagony towarowe, jak oszalałe stado, skupione wokół ciała nieżywego woźnicy, garnęły się do leżącego na boku parowozu.

A jeszcze dalej widać było szeroko rozciągnięte, ażurowe ruiny miasta; jesienne niebo przeświecało przez otwory okienne tysiącami błękitnych plam.

Nad budynkami fabrycznymi unosił się dym, migotały płomienie, a jasną

przestrzeń wypełniał to monotony, przeciągły szmer, to znów suche, drobne terkotanie. Wydawało się, że zakłady pracują pełną parą.

Bieriozkin uważnie obejrzał swoje trzysta metrów ziemi - pas obrony pułku ciągnął się między domkami osiedla robotniczego. W labiryncie ruin i uliczek własna intuicja musiała człowiekowi podpowiedzieć, w którym domu gotują kaszę czerwonoarmiści, a w którym jedzą słoninę i piją sznapsa niemieccy piechurzy.

Bieriozkin pochylił głowę i zaklął; w powietrzu frunął pocisk z moździerza.

Na przeciwległym zbocz wąwozu dym zasłonił wejście do jednego ze schronów i od razu głośno huknął wybuch. Ze schronu wyrzął dowódca batalionu łączności sąsiedniej dywizji - w szelkach, bez bluzy. Ledwie zrobił krok, gdy znowu coś zaświszczało; a szef łączności pośpiesznie cofnął się i przytknął drzwi - pocisk rozerwał się dziesięć metrów dalej.

W drzwiach schronu znajdującego się tam, gdzie wąwóz dochodził do skarpy wołżańskiej, stał Batiuk i obserwował, co się dzieje.

Kiedy szef łączności usiłował znów zrobić krok do przodu, Batiuk charkotliwie krzyczał: „Ognia!”, Niemiec zaś, jak na zamówienie, wystrzeliwał pocisk z moździerza.

Batiuk zauważył Bieriozkina i zawołał do niego:

- Czołem, sąsiedzie!

Ten spacer po opustoszałej ścieżce w istocie był czymś przerażającym, śmiertelnym zagrożeniem - Niemcy wyspali się, zjedli Fruhstuck, obserwowali ścieżkę ze szczególną ciekawością i walili do wszystkiego, nie żałując kul.

Na jednym z zakrętów Bieriozkin stanął przy kupie złomu, zmierzył wzrokiem podejrzanie spokojną przestrzeń i powiedział:

- Dalej, Głuszkow, ty pierwszy.

- Nie, nie mogę, przecież oni tu mają strzelca - zaprotestował Głuszkow.

Przebiegnięcie pierwszemu niebezpiecznego miejsca uważano za przywilej dowódców, bo do pierwszego biegnącego Niemcy zwykle nie zdążali otworzyć ognia.

Bieriozkin obejrzał się na niemieckie domy, mrugnął do Gruszkowa i zerwał się do biegu.

Kiedy dobiegł do nasypu zasłaniającego Niemcom widok, usłyszał, że coś za nim wyraźnie huknęło, szczęknięło - to Niemiec strzelił pociskiem rozrywającym.

Stojąc pod nasypem, Bieriozkin zapalił papierosa. Głuszkow dawał długie, szybkie susy. Seria poszła pod jego nogami, wydawało się, że z ziemi poderwało się stadko wróbli. Głuszkow rzucił się w bok, potknął, upadł, znowu się poderwał i dobiegł do Bieriozkina.

- Mało mnie nie skosił - rzekł i kiedy odetchnął trochę, wyjaśnił: - Myślałem, że wybieram dobry moment, bo skoro was przegapił, to ze złości zapali papierosa, ale on, psiakrew, chyba niepalący.

Głuszkow obmacał rozdartą poję waciaka i klął Niemca, na czym świat stoi.

Kiedy doszli do stanowiska dowodzenia batalionu, Bieriozkin spytał:

- Co, drasnął was, towarzyszu Głuszkow?
- Obcas odgryzł, całkiem mnie rozebrał, łajdak - odrzekł żołnierz.

Stanowisko dowodzenia batalionu znajdowało się w piwnicy fabrycznego sklepu spożywczego, dlatego w wilgotnym powietrzu czuć było zapach kiszonej kapusty i jabłek. Na stole paliły się dwie wysokie lampy z łusek. Nad drzwiami przybity był plakat: „Sprzedawco i kliencie, bądźcie dla siebie uprzejmi”.

W piwnicy mieściły się sztaby dwóch batalionów - piechoty i saperów. Obaj dowódcy, Podczufarow i Mowszowicz, siedzieli przy stole i jedli śniadanie. Kiedy Bieriozkin otwierał drzwi, usłyszał ożywiony głos Podczufarowa:

- Rozcieńzonego spirytu nie lubię, dla mnie mogłoby go wcale nie być.

Obaj dowódcy batalionów poderwali się i stanęli na baczność. Szef sztabu schował pod stos granatów ręcznych ćwiartkę wódki, a kucharz zasłonił własnym ciałem sandacza, o którym przed chwilą rozmawiał z nim Mowszowicz. Ordynans Podczufarowa, siedzący w kucki i zgodnie z poleceniem szefa zamierzający umieścić na talerzu patefonu melodię *Chińska serenada*, poderwał się tak szybko, że zdążył tylko odrzucić płytę, a silniczek patefonu, choć na próżno, terkotał nadal.

Ordynans patrzył wprost przed siebie, tak jak powinien patrzeć żołnierz liniowy, a kątem oka łowił wściekłe spojrzenie Podczufarowa, bo przekłety patefon był wyjątkowo głośny i gorliwy.

Obaj dowódcy i w ogóle wszyscy zebrani przy śniadaniu dobrze znali poglądy przełożonych: ci zakładali, że w batalionach ludzie powinni albo walczyć, albo obserwować przeciwnika przez lornetkę, w najgorszym zaś wypadku ślęczyć nad mapą i planować atak. A przecież człowiek nie może przez dwadzieścia cztery godziny tylko strzelać lub rozmawiać przez telefon z naczalstwem czy podkomendnymi - czasem trzeba coś zjeść.

Bieriozkin zerknął w stronę szemrzącego patefonu i uśmiechnął się.

- Aha - mruknął i dodał: - Siadajcie, towarzysze, nie przeszkadzajcie sobie.

Możliwe, że te słowa miały sens wcale nie bezpośredni, ale wręcz przeciwny, toteż na twarzy Podczufarowa pojawił się wyraz smutku i skruchy, a na twarzy Mowszowicza, dowodzącego saperami, niepodlegającego więc bezpośrednio dowódcy pułku - tylko smutku, bez skruchy. Podobnie różniły się twarze ich podkomendnych.

Bieriozkin ciągnął bardzo nieprzyjemnym tonem:

- A gdzie wasz pięciokilowy sandacz, towarzyszu Mowszowicz, wszyscy w dywizji już o nim słyszeli.

Mowszowicz, wciąż z tym samym wyrazem smutku na twarzy, polecił:

- Kucharz, pokażcie no rybę.

Kucharz, jedyny człowiek pełniący tu swoje normalne obowiązki, rzekł prostodusznie:

- Towarzysz kapitan kazał nafaszerować ją po żydowsku; pieprz, liście bobkowe mamy, ale białego chleba nie ma, chrzanu też nie...

- Aha, rozumiem - przerwał Bieriozkin. - Rybę faszerowaną jądłem w Bobrujsku u niejkiej Firy Aronowny, ale prawdę mówiąc, nie bardzo mi smakowała.

Wtedy zebrani w piwnicy zrozumieli, że dowódca pułku nie miał najmniejszego zamiaru się złościć.

Zupełnie jakby Bieriozkin wiedział, że Podczufarow odpierał w nocy Niemców, że nad ranem przysypało go ziemią, a ordynans od *Chińskiej serenady* odkopywał go i wrzeszczał: „Wyratuję was, towarzyszu kapitanie, bądźcie spokojni...” Jak gdyby wiedział, że po ulicy, którą mogły nadjechać czołgi, Mowszowicz razem z saperami pełzał, by ziemią i tłuczoną cegłą przysypać ułożone w szachownicę miny przeciwczołgowe...

Ich młodość cieszyła się z jeszcze jednego ranka. Można jeszcze raz podnieść blaszany kubek i powiedzieć: „No to twoje zdrowie... i tak dalej”, można wcinać kapustę, zakurzyć papieroska...

Właściwie nic się nie stało - przez chwilę gospodarze piwnicy stali przed starszym dowódcą, a potem zaprosili go do stołu i z przyjemnością patrzyli, jak dowódca pułku je kapustę.

Beriozkin często porównywał bitwę stalingradzką z minionym rokiem - napatrzył się wojny do syta. Zrozumiał, że wytrzymuje takie napięcie tylko dlatego, że jest wewnętrznie wyciszony i spokojny.

Czerwonoarmiści też mogli jeść zupę, reperować buty, rozmawiać o żonach, o złych i dobrych przełożonych, prokurować łyżki w takich dniach i godzinach, kiedy, wydawałoby się, ludzie zdolni są czuć tylko wściekłość, strach albo zmęczenie. Widział, że ci, którzy nie mieli w sobie spokoju ducha, nie wytrzymują długo, choćby nie wiadomo jak zaciekli i szaleni byli podczas walki. Strach czy tchórzostwo wydawały się Bieriozkinowi chwilowymi stanami, czymś w rodzaju przeziębienia, które można przecież wyleczyć.

Co to jest odwaga i tchórzliwość - tego dokładnie nie wiedział. Kiedyś na początku wojny dowództwo beształo Bieriozkina za bojaźliwość, bo samowolnie wyprowadził pułk spod ognia Niemców. A na krótko przed Stalingradem Bieriozkin rozkazał dowódcy batalionu wyprowadzić ludzi na przeciwległe zbocze wzgórza, żeby dranie fryce nie ostrzeliwały ich niepotrzebnie z moździerzy. Dowódca dywizji rzekł wtedy z przyganą: - Cóż to, towarzyszu Bieriozkin, a mnie mówiono o was jako o człowieku mężnym, opanowanym.

Beriozkin westchnął i nic nie odpowiedział - widocznie ci, co tak mówili, nie mieli racji.

Jasnorudy, błękitnooki Podczufarow z trudem powstrzymywał się, żeby zgodnie ze swoim zwyczajem nie wybuchnąć nagłym śmiechem albo nagłą złością. Mowszowicz, chudy, o długiej piegowatej twarzy, z wysepkami siwych włosów na ciemnej głowie, ochryple odpowiadał na pytania Bieriozkina. Wyciągnął notes i zaczął rysować własny projekt nowego schematu minowania odcinków narażonych na ataki czołgów.

- Wyrwijcie mi tę mapkę na pamiątkę - rzekł Bieriozkin, nachylił się przez stół i dodał półgłosem: - Wezwał mnie dowódca dywizji. Według danych wywiadu armii,

Niemcy wyprowadzają siły z rejonu miasta i kierują je przeciwko nam. Mają dużo czołgów. Rozumiecie?

Bieriozkin wsłuchał się w niedaleki wybuch, który wstrząsnął ścianami piwnicy i uśmiechnął się.

- A u was tu jest spokojnie. W moim wąwozie przez ten czas już na pewno zjawiliby się ze trzech facetów ze sztabu armii, przyłazą ciągle różne komisje.

W tym czasie nowy pocisk wstrząsnął budynkiem, z sufitu posypały się kawałki tynku.

- Racja, spokojnie, nikt nam specjalnie nie dokucza - potwierdził Podczufarow.

- O to właśnie chodzi, że nie dokuczają - powiedział Bieriozkin.

Zaczął mówić konfidencjonalnie, półgłosem, naprawdę nie pamiętając, że to on właśnie jest dowódcą; zapomniał o tym, przyzwyczajony do bycia podkomendnym i nienawykły do tego, że dowodzi.

- Wiecie, jak to jest z dowództwem. Dlaczego nie atakujesz? Dlaczego nie zająłeś wzgórze? Dlaczego straty? Dlaczego bez strat? Dlaczego nie meldujesz? Dlaczego śpisz? Dlaczego...

Bieriozkin wstał.

- Chodźmy, towarzyszu Podczufarow, chcę obejrzeć waszą obronę.

Dojmujący smutek panował na tej uliczce robotniczego osiedla, w obnażonych ścianach wewnętrznych, oklejonych pstrokatymi tapetami, w porytych przez czołgi sadach i ogrodach, tu i ówdzie ocalałych jesiennych georginiach, Bóg wie po co kwitnących.

Niespodziewanie Bieriozkin zwierzył się Podczufarowowi:

- Wiecie, towarzyszu Podczufarow, nie dostaję listów od żony. Znalazłem ją w drodze, a teraz znowu nie ma listów. Wiem tylko, że pojechały z córką na Ural.

- Odezwią się, towarzyszu majorze - zapewnił Podczufarow.

W suterenie piętrowego domu, pod zamurowanymi otworami okiennymi leżeli ranni czekający na nocną ewakuację. Na podłodze stało wiadro z wodą, kubek; między oknami naprzeciwko drzwi przybita była do ściany pocztówka z reprodukcją obrazu Swaty majora.

- To są tyły - wyjaśnił Podczufarow. - Pierwsza linia jest dalej.

- Dojdziemy i do pierwszej - rzekł Bieriozkin.

Z przedpokoju weszli do pokoju z rozwalonym sufitem i doznali uczucia, jakiego doświadczają ludzie, którzy z biura trafili na wydział fabryczny. W powietrzu czuło się nieprzyjemny, pieprzny zapach gazów prochowych, pod nogami zgrzytały nakrapiane, zużyte łuski. W kremowym wózku dziecięcym leżały poukładane miny przeciwczołgowe.

- W nocy Niemcy odebrali mi tamtą rudę - rzekł Podczufarow, podchodząc do okna. - Wielka szkoda, bo dom jest świetny, okna ma na południowy zachód. Można stamtąd trzymać pod ogniem całe moje lewe skrzydło.

Poniżej okien zasłoniętych ceglami, tak że zostały z nich tylko wąskie szczeliny, stał ciężki karabin maszynowy. Kaemista nie miał furazerki, z głową obwiązaną zakurczonym i przesiąkniętym dymem bandażem zakładał nową taśmę, a dowódca obsługi, obnażywszy białe zęby, obracał w ustach kawałek kiełbasy, szykując się na to, że za pół minuty znowu będzie strzelał.

Podszedł dowódca kompanii, lejtnant. Z kieszeni jego bluzy wystawał biały aster.

- Zuch - z uśmiechem pochwalił go Bieriozkin.

- Oj, dobrze, że was widzę, towarzyszu kapitanie - ucieszył się lejtnant. - Jak wam powiedziałem w nocy, tak właśnie jest, znowu poszli na dom sześć łamane przez jeden. Zaczęli punktualnie o dziewiątej.

Popatrzył na zegarek.

- Jest tu ze mną dowódca pułku, jemu zameldujcie.

- Wybaczcie, nie poznałem. - Lejtnant żwawo zasalutował.

Sześć dni temu nieprzyjaciel odciął kilka domów w pasie obrony pułku i zaczął metodycznie, po niemiecku je unicestwiać. Radziecka obrona gasła pod ruinami, gasła wraz z życiem broniących się czerwonoarmistów. Tylko w jednym budynku fabrycznym z głębokimi piwnicami trwała nadal. Mocne ściany wytrzymały uderzenia, chociaż w wielu miejscach były przebite pociskami i nadgryzione granatami.

Niemcy starali się zniszczyć ten budynek z powietrza; trzykrotnie samoloty rzuciły na niego torpedy burzące. Cała narożna część domu runęła. Piwnice pod ruinami natomiast pozostały całe, tak że obrońcy oczyścili ruiny, ustawili cekaem, lekkie działo oraz moździerz i nie pozwalali się Niemcom zbliżyć. Dom ten był szczęśliwie położony Niemcy nie zdołali znaleźć żadnych przejść podziemnych.

Dowódca kompanii, składając Bieriozkinowi meldunek, powiedział:

- Próbowaliśmy w nocy do nich dotrzeć, ale nam się nie udało. Jeden zabity, dwóch wróciło rannych.

- Na ziemię! - straszliwym głosem krzyknął w tym momencie obserwator, więc kilku ludzi padło plackiem, a dowódca kompanii nie dokończył meldunku, zamachał rękami, jakby miał zanurkować, po czym runął na podłogę.

Zbliżyło się przenikliwe wycie, a za chwilę łoskot śmierzących i dusznych eksplozji wstrząsnął nagle ziemią i sercami. Gruby czarny kloc gruchnął na podłogę, podskoczył, poturlał się pod nogi Bieriozkinowi, który myślał, że to polano podrzucone siłą wybuchu; omal nie uderzyło go w nogę.

Wtem zorientował się, że to pocisk-niewybuch. Napięcie w tej sekundzie było nie do wytrzymania.

Ale pocisk nie eksplodował, zniknął jego czarny cień, który pochłonał niebo i ziemię, zasłonił przeszłość, odrąbał przyszłość.

Dowódca kompanii podniósł się na nogi.

- Masz, babo, placek - powiedział czyjś zmieszany głos, a drugi dodał ze śmiechem:

- No, już myślałem, że po nas.

Bieriozkin otarł pot, który nagle wystąpił mu na czoło, podniósł z podłogi biały aster, strząsnął z niego ceglany pył, wetknął lejtnantowi kwiatek do kieszeni bluzy i powiedział:

- Dostaliście go pewnie w prezencie... - po czym zwrócił się do Podczufarowa:

- Wiecie, czemu u was mimo wszystko jest spokojnie? Bo dowództwo tu nie przychodzi. Ci zawsze czegoś od człowieka chcą: Masz dobrego kucharza, to ci go zabiorę. Masz doskonałego fryzjera czy tam krawca - oddaj. Muszą pobrać haracz! Wykopałeś sobie dobry schron - wyłaź no z niego. Masz dobrą kapustę kiszoną - przyślij mi ją. - Ni stąd, ni zowąd zapytał lejtnanta: - A dlaczego tamci dwaj wrócili zamiast dotrzeć do okrążonych?

- Oberwali, towarzyszu dowódcu pułku.

- Rozumiem.

- Macie szczęście - powiedział Bieriozkinowi Podczufarow, kiedy wyszli z domu i szli przez ogrody, gdzie wśród żółtej naci kartoflanej kryły się okopy i ziemianki drugiej kompanii.

- Któż to wie, czy mam szczęście - odparł Bieriozkin i zeskoczył na dno okopu. - Jak w warunkach polowych - dodał tonem, jakim mówi się: „Jak w kurorcie”.

- Do wojny najlepiej przystosowana jest ziemia - rzekł Podczufarow. - Przywykła. - I wracając do rozmowy zaczętej przez dowódcę pułku, dodał: - Co tam kucharza, dowództwo to nieraz babę potrafi człowiekowi odebrać.

W całym okopie żołnierze przekrzykiwali się, trzeszczały karabiny, terkotały krótkie serie z pepesz i cekaemów.

- Dowódca kompanii zginął, dowodzi politruk<sup>9</sup> Soszkin - wyjaśnił Podczufarow. - To jego schron.

- Jasne, jasne - pokiwał głową Bieriozkin, zajrzawszy przez półotwarte drzwi schronu.

Koło stanowiska cekaemów dopędził ich czerwonicy, czarnobrewy politruk Soszkin i ponad potrzebę głośno wykrzykując poszczególne słowa, zameldował, że kompania prowadzi ogień, żeby przeszkodzić Niemcom w koncentracji do ataku na dom „sześć przez jeden”.

Bieriozkin wziął od niego lornetkę; wpatrywał się w krótkie rozbłyски strzałów, w płomienne języki, które moździerz wywalały z gardzieli.

- O, drugie okno na drugim piętrze, tam chyba rozgościł się strzelec wyborowy.

Ledwie powiedział te słowa, w oknie, na które wskazywał, błysnął ogieniek, świsnęła kula i uderzyła w ścianę okopu między głową Bieriozkina a głową Soszkina.

---

<sup>9</sup> Politruk (ros.) - skrót od polityczeskij rukowoditel (wychowawca polityczny); w latach 1935-1942 niższy stopień wojskowy w pionie politycznym Armii Czerwonej. Politrucy zajmowali się pracą polityczną w kompaniach, plutonach i drużynach, komisarze - w jednostkach wyższego szczebla.

- Szczęściarz z was - zauważył Podczufarow.

- Kto tam wie, czy ze mnie szczęściarz - znów odparł Bieriozkin.

Podeszli okopem do wynalazku tutejszej kompanii: rusznica przeciwpancerna była umocowana lemiuszami na kole wozu.

- Mamy tu kompanijną zenitówkę - pochwalił się sierżant o niespokojnych oczach i z zakurzoną szczecinią na brodzie.

- Czołg o sto metrów, koło domu z zielonym dachem! - krzyknął Bieriozkin takim głosem, jakim woła się na ćwiczeniach.

Sierżant szybko obrócił koło i długa lufa rusznicy nachyliła się ku ziemi.

- A u Dyrkina jeden żołnierz - powiedział Bieriozkin - dorobił do rusznicy snajperski celownik i przez jeden dzień zniszczył trzy cekaemy.

Sierżant wzruszył ramionami.

- Dyrkin ma dobrze, siedzi na fabryce.

Poszli dalej okopem i Bieriozkin, kontynuując rozmowę, którą zaczął na samym początku obchodu, powiedział:

- Paczuszkę im wysłałem, bardzo dobrą. No i rozumiecie, żona nic nie pisze. Odpowiedzi jak nie ma, tak nie ma. Nawet nie wiem, czy paczka doszła, czy nie. A może są chore? W ewakuacji łatwo o nieszczęście.

Podczufarow nieoczekiwanie przypomniał sobie, jak to niegdyś wracali na wieś cieśle chodzący na zarobek do Moskwy i przynosili podarunki - żonom, dzieciom, starcom. Dla nich ciepło i urok domowego życia zawsze więcej były warte niż zgiełk i światła wielkiego miasta.

Po półgodzinie wrócili na stanowisko dowodzenia batalionu, ale Bieriozkin nie wszedł do piwnicy, tylko pożegnał się z Podczufarowem na dworze.

- Dajcie domowi „sześć przez jeden” wszelkie możliwe wsparcie - powiedział. - Nie podejmujcie prób dojścia do nich, my to zrobimy w nocy siłami pułku - po czym zaczął mówić o czym innym: - Teraz tak... Nie podoba mi się wasz stosunek do rannych. Na kwaterze macie kanapy, a ranni leżą na podłodze. Co jeszcze. Nie posłaliście po świeży chleb, a ludzie jedzą suchary. To dwa. Co jeszcze. Wasz polityruk Soszkin był pijany w siwy dym. To trzy. Co jeszcze...

Podczufarow słuchał, zdumiewając się, jakim cudem dowódca pułku zdołał przejść wzdłuż linii obrony i wszystko zauważyć... Pomocnik dowódcy plutonu nosi niemieckie portki... Dowódca pierwszej kompanii ma dwa zegarki na ręku.

Bieriozkin rzekł pouczającym tonem:

- Niemcy będą atakować. Jasne?

Podszedł do fabryki, a Głuszkow, który zdążył tymczasem nabić obcas i zaszyć naderwany waciak, spytał:

- Wracamy do domu?

Bieriozkin nie odpowiedział, wydał polecenie Podczufarowowi:



- Zadzwońcie do komisarza pułku, powiedzcie mu, że poszedłem do Dyrkina, do trzeciego wydziału, do fabryki - po czym mrugnął i dodał: - I przyslijcie mi kapusty, bo dobra. W końcu ja też jestem dowódcą.

15

Nie było listów od Toli... Rano Ludmiła Nikołajewna wyprawiła matkę i męża do pracy, Nadię do szkoły. Pierwsza wychodziła matka, która pracowała jako chemiczka w laboratorium słynnej kazańskiej fabryki mydła. Mijając pokój zięcia, Aleksandra Władimirowna zazwyczaj powtarzała żart usłyszany od robotników w fabryce: „Lud chodzi do roboty na szóstą, sładzy ludu na dziewiątą”.

Po niej szła do szkoły Nadia, a raczej nie tyle szła, ile wybiegała galopem, bo nie sposób było jej zmusić, żeby wstała na czas - zrywała się z łóżka w ostatniej chwili, łapała pończochy, bluzkę, książki, zeszyty, połykała śniadanie, zachłystując się herbatą, a gdy zbiegała po schodach, jeszcze owijała się szalikiem i wkładała palto.

Po wyjściu Nadi, zanim do śniadania usiadł Wiktor Pawłowicz, czajnik zwykle już zdążył ostygnąć, trzeba więc go było stawiać na nowo.

Aleksandra Władimirowna złościła się, kiedy Nadia mówiła: „Byłe wyrwać się czym prędzej z tej przeklętej dziury”. Wnuczka nie wiedziała, że Dierżawin mieszkał kiedyś w Kazaniu, że mieszkali tu też Aksakow, Tołstoj, Lenin, Zinin, Łobaczewski, że Maksym Gorki pracował kiedyś w tutejszej piekarni.

- Co za starcza obojętność - mówiła Aleksandra Władimirowna, i dziwnie słuchało się staruszki, robiącej taką wymówkę smarkuli.

Ludmiła widziała, że matka nadal interesuje się ludźmi, nową pracą. Ale chociaż zachwycała się jej energią duchową, to nie opuszczała jej myśl całkiem inna - jak matka w nieszczęściu może się interesować hydrogenizacją tłuszczów albo ulicami i muzeami w Kazaniu.

Dlatego kiedyś, gdy Sztrum powiedział do żony coś na temat młodego ducha Aleksandry Władimirowny, Ludmiła nie wytrzymała i wypaliła:

- U mamy to nie młodość, ale starczy egoizm.

- Babcia nie jest egoistką, tylko narodniczką - sprostowała Nadia i dodała: - Narodnicy to byli dobrzy ludzie; szkoda, że niezbyt mądrzy.

Wypowiadała swoje sądy kategorycznie i w zwięzłej formie, prawdopodobnie dlatego, że zawsze brakowało jej czasu. „Brrrednia” - mówiła, podkreślając „r”. Śledziła komunikaty Sowinformbiura, orientowała się w aktualnej sytuacji na wojnie, mieszała się do rozmów o polityce. Po letnim pobycie w kołchozie tłumaczyła matce przyczyny niskiej wydajności pracy w tych gospodarstwach. Swoich szkolnych stopni nie pokazywała matce. Tylko kiedyś wyznała zakłopotana:

- Wiesz, postawili mi czwórkę z zachowania. Wyobrażasz sobie, matematyczka wyrzuciła mnie z klasy. Wychodząc, warknęłam: Good byel, a wszyscy ryknęli śmiechem.

Kiedy ich ewakuowano do Kazania, Nadia, jak wiele dzieci z zamożnych rodzin, nieznających przed wojną kłopotów materialnych czy aprowizacyjnych, wiele mówiła o kartkach, o zaletach i wadach sklepów przydziałowych, o przewagach oleju nad

masłem, o wyższości cukru w kostkach nad miątkim, o walorach i niedostatkach kaszy jęczmiennej.

- Wiesz co? - mówiła do matki. - Postanowiłam: dawaj mi od dzisiaj herbatę z miodem zamiast ze zgęszczonym mlekiem. Myślę, że dla mnie to zdrowsze, a tobie i tak wszystko jedno.

Niekiedy robiła się ponura, do starszych odnosiła się niegrzecznie, mówiła z pogardliwym uśmiechem. Kiedyś w obecności matki odezwała się do ojca:

- Głupi jesteś!

Powiedziała to z taką złością, że Sztrum był kompletnie zaskoczony.

Czasem matka widziała, jak Nadia płacze, czytając książkę. Uważała się za pechową, zacoфанą istotę, skazaną na szare i ciężkie życie.

- Nikt nie chce się ze mną przyjaźnić, jestem głupia, nikogo nie obchodzę - powiedziała kiedyś przy stole. - Nikt się ze mną nie ożeni, ukończę kursy farmaceutyczne i pojadę na wieś.

- Na zapadłych wsiach nie ma aptek - zauważyła Aleksandra Władimirowna.

- Co do zamążpójścia, twoja prognoza jest nazbyt ponura - orzekł Sztrum. - Wyładniałaś w ostatnim czasie.

- Gwiżdżę na to - oświadczyła Nadia i popatrzyła na ojca ze złością.

W nocy matka widziała, jak dziewczyna czytała wiersze, trzymając książkę w szczupłej, nagiej, wysuniętej spod kołdry ręce.

Kiedyś Nadia przyniosła w torbie dwa kilo masła i dużą paczkę ryżu z akademickiego sklepu przydziałowego i powiedziała:

- Ludzie, a między nimi ja, to łajdacy i świnię, że korzystają z czegoś takiego. Tato też w niegodny sposób wymienia talent na masło. Tak jakby słabe dzieci i chorzy, marnie wykształceni ludzie musieli głodować dlatego, że nie znają fizyki albo nie potrafią wykonać trzystu procent planu... A obżerać się masłem mogą tylko wybrani.

Przy kolacji zażądała prowokacyjnie:

- Mamo, daj mi podwójny miód i chleb; przecież rano zasnęłam.

Pod wieloma względami była podobna do ojca. Ludmiła Nikołajewna spostrzegła, że Wiktora Pawłowicza drażnią w córce akurat te cechy, które po nim odziedziczyła.

Kiedyś Nadia, dokładnie naśladowując ojcowską intonację, powiedziała o Postojewie:

- Glista, beztalencie, cwaniak!

Sztrum się oburzył:

- Jakżeż ty, niedouczona smarkuła, śmiesz tak mówić o akademiku?

Ale Ludmiła pamiętała, że Wiktor, kiedy był studentem, o wielu akademickich znakomitościach mówił: „Zero, beztalencie, karierowicz, potrafi tylko mleć ozorem!” Miała świadomość, że Nadi nie jest łatwo, że z powodu tak skomplikowanego,

trudnego charakteru czuje się samotna.

Po wyjściu córki pił herbatę Wiktor Pawłowicz. Łypiąc okiem, wciąż zerkał w książkę, łykał jedzenie, nie gryząc, robił głupie miny, palcami na ślepo, nie odrywając oczu od kartek, wymacał szklanekę, mówiąc: „Nalej mi, proszę, górskiej herbaty”. Ludmiła Nikołajewna znała wszystkie jego gesty: to zaczynał drapać się w głowę, to odymał wargi, to krzywił się i dłużał w zębach, ona zaś mówiła wtedy:

- Boże, Witia, kiedy ty wreszcie pójdziesz do dentysty?

Wiedziała, że drapał się i wydymał usta, myśląc o swojej pracy, a wcale nie dlatego, że swędziało go głowa czy też nos. Była pewna, że jeśli powie: „Witia, nawet nie słuchasz, co do ciebie mówię”, on, nadal kierując wzrok w stronę książki, odpowie: „Wszystko słyszę i mogę powtórzyć: «Witia, kiedy wreszcie pójdziesz do dentysty?»”, i znowu łyknie herbaty, zrobi kwaśną minę schizofrenika, a wszystko to będzie znaczyło, że przeglądając pracę znajomego naukowca, w jednej kwestii się z nim zgadza, w innej znowu - nie. Potem długo będzie siedział bez ruchu, następnie zacznie kiwać głową, jakoś potulnie, ze starczym smętkiem - taki wyraz twarzy i oczu prawdopodobnie mają ludzie cierpiący na guz mózgu. I znowu Ludmiła Nikołajewna będzie wiedziała: Sztrum myśli o matce.

Kiedy więc pił herbatę, myślał o swojej pracy i postękiwał, ogarnięty smutkiem, Ludmiła Nikołajewna patrzyła na oczy, które całowała. Patrzyła na kędzierzawe włosy, które gładziła, na usta, które ją całowały, na rzęsy, brwi, na ręce o krótkich, dosyć słabych palcach, u których obcinała paznokcie, przygadując: „Och, mój ty flejtuchu”.

Wiedziała o nim wszystko - wiedziała, że przed snem czyta książki dla dzieci, wiedziała, jak wygląda jego twarz, kiedy idzie myć zęby, znała jego dźwięczny, lekko drżący głos, kiedy ubrany w odświętny garnitur zaczynał wykład o promieniowaniu jądrowym. Wiedziała, że lubi barszcz ukraiński z fasolą, wiedziała, jak po cichutku jęczy przez sen, kiedy przewraca się z boku na bok. Wiedziała, jak szybko ściera obcas w lewym bucie i brudzi rękawy podkoszulków; wiedziała, że lubi spać na dwóch poduszkach; wiedziała, że w głębi ducha się boi, kiedy przechodzi przez place w mieście, wiedziała, jak pachnie jego skóra, jaki kształt mają dziury w jego skarpetkach. Wiedziała, jak śpiewa, kiedy jest głodny i czeka na obiad, jak wyglądają paznokcie na wielkich palcach jego stóp, znała zdrobnienie, jakim nazywała go matka, kiedy miał dwa lata; znała jego szurający chód; znała imiona dzieci, które się z nim biły, kiedy chodził do starszej klasy przygotowawczej. Wiedziała, jakim jest kpiarzem, jak ma w zwyczaju drażnić się z Tolą, Nadią, kolegami. Nawet teraz, gdy prawie zawsze był w podłym nastroju, irytował ją, kpiąc z jej przyjaciółki Marii Iwanowny Sokołow, że jest nieoczytana i kiedyś w rozmowie pomyliła Balzaca z Flaubertem.

Drażnić Ludmiłę umiał po mistrzowsku, a ona zawsze wpadała w złość i zaciekłe, na serio broniła przyjaciółki:

- Ty zawsze wyśmiewasz się z ludzi, którzy są mi bliscy. Maszeńka ma bezbłędny gust, nie musi dużo czytać, bo i tak zawsze właściwie ocenia książkę.

- Jasne, jasne - odpowiadał. - Myśli, że Maksa i Moryca napisał Anatol France.

Wiedziała, że kocha muzykę, znała jego poglądy polityczne. Widziała kiedyś, jak płacze, jak w złości podarł na sobie koszulę; zaplątał się wtedy w kalesony i skakał na jednej nodze w jej, Ludmiły, kierunku, gotów przyłożyć żonie pięścią. Znała jego

szorstką, śmiałą bezpośredniość, znała jego chwile natchnienia; widziała kiedyś, jak recytuje wiersze; widziała, jak pije ziółka na przeczyszczenie.

Czuła, że mąż jest teraz na nią obrażony, chociaż w ich stosunkach niby nic się nie zmieniło. Ale zmiana zaszła i wyrażała się w określony sposób - przestał z nią rozmawiać o swojej pracy. Mówił o listach od wybitnych uczonych, o ograniczeniach przydziałowych. Poruszał czasem sprawy dotyczące instytutu, laboratorium, opowiadał o współpracownikach: że omawiał z nimi plan pracy, że Sawostjanow przyszedł do zakładu po nocnej pijatyce i zasnął, że laborantki gotowały kartofle w ciągu wentylacyjnym, że Markow szykuje nową serię eksperymentów.

Przestał za to mówić o własnej pracy, tej wewnętrznej, o której dotąd nie rozmawiał z nikim poza Ludmiłą.

Kiedyś skarżył się jej, że ilekroć odczyta bliskim ludziom notatki z rozważań, których nie doprowadził do końca, doświadcza następnego dnia przykrego uczucia - traci zainteresowanie pracą, nie chce mu się do niej wracać.

Ludmiła Nikołajewna była jedyną osobą, z którą dzielił się wątpliwościami, czytał fragmenty zapisków, zwierzał się z fantastycznych i śmiałych przypuszczeń, nie czując później żadnego niesmaku.

Teraz przestał z nią rozmawiać.

Tęskniąc, znajdował ulgę w oskarżaniu Ludmiły. Nieustannie myślał teraz o matce. Myślał o tym, o czym nigdy dotąd nie myślał, i dopiero faszyzm go do tego zmusił: o swoim żydostwie, o tym, że jego matka jest Żydówką.

W duchu oskarżał Ludmiłę o to, że chłodno ją traktowała. Kiedyś powiedział:

- Gdybyś umiała ułożyć sobie stosunki z mamą, mieszkałaby z nami w Moskwie.

A ona w myślach wyliczała wszystkie przykrości i krzywdy, jakich Tola doznał od Wiktora, i oczywiście miała co wspominać.

Serce jej się ścisnęło, tak niesprawiedliwy był w stosunku do pasierba, tyle widział w nim złych rzeczy, z takim trudem wybaczał mu jego wady. A Nadi wybaczał przecież i ordynarne zachowanie, i lenistwo, i niechlujstwo, i niechęć do pomocy matce w pracach domowych.

Myślała o matce Wiktora Pawłowicza - jej los był straszny. Ale jak Wiktor mógł żądać od Ludmiły, żeby przyjaźnie traktowała Annę Siemionownę, skoro ta źle odnosiła się do Toli. Dlatego każdy jej list, każdy przyjazd do Moskwy był dla Ludmiły nieznośny. Ciągle tylko Nadia i Nadia... Nadia ma oczy Wiktora... Nadia trzyma widelec całkiem jak Wiktor... Nadia jest roztargniona, Nadia jest dowcipna, Nadia jest zamyślona. Czułość, miłość, jaką Anna Siemionowna darzyła syna, łączyła się z miłością i czułością dla wnuczki. A Tola nie trzymał widelca tak, jak trzymał go Wiktor Pawłowicz.

Dziwne - w ostatnich czasach częściej niż dawniej wspominała ojca Toli, swojego pierwszego męża. Chętnie odszukałaby jego krewnych, starszą siostrę. Na pewno cieszyliby się, widząc, że Tola ma jego oczy; siostra Abarczuka poznawałaby w tych oczach, w tym skrzywionym kciuku, szerokim nosie - oczy, ręce i nos własnego brata.

Jak nie chciała pamiętać, że Wiktor Pawłowicz bywał też często bardzo dobry dla Toli, tak wybaczała Abarczukowi wszystkie złe rzeczy, nawet to, że zostawił ją z dzieckiem przy piersi i zabronił dać Toli swoje nazwisko.

Rano Ludmiła Nikołajewna zostawała sama w domu. Czekala na tę porę, bliscy przeszkadzali jej. Wszystkie wydarzenia na świecie, wojna, los siostr, praca męża, charakter Nadi, zdrowie matki, jej litość nad rannymi, cierpienie z powodu tych, którzy trafili do niemieckiej niewoli - wszystko ustępowało miejsca trosce o syna, trwodze o jego życie.

Czuła, że całkiem z innej rudy wytopione są uczucia matki, męża, córki. Ich przywiązanie i miłość do Toli wydawały jej się płytkie. Dla niej Tola był całym światem, dla nich - tylko jego częścią.

Mijały dni, mijały tygodnie, a wiadomości od Toli nie było.

Radio codziennie przekazywało komunikaty Sowinformbiura, gazety codziennie były wypełnione wojną. Armia radziecka znajdowała się w odwrocie. W komunikatach i gazetach mówiono o artylerii. A Tola służył właśnie w artylerii. Listy od niego nie przychodziły.

Uważała, że tylko jedna osoba naprawdę rozumie jej niepokój - żona Sokołowa, Maria Iwanowna.

Ludmiła Nikołajewna niechętnie nawiązywała znajomości z żonami profesorów, drażniły ją rozmowy o sukcesach mężów, o sukniach, o pomocach domowych. Ale do Marii Iwanowny się przywiązała, pewnie dlatego, że łagodny charakter tej kobiety stał w sprzeczności z jej własnym charakterem, a ponadto wzruszał ją stosunek Marii Iwanowny do Toli.

Ludmiła rozmawiała o nim z przyjaciółką swobodniej niż z mężem i matką, i zawsze robiło jej się potem lżej, spokojniej na duszy. I chociaż Maria Iwanowna odwiedzała Sztrumów prawie codziennie, Ludmiła dziwiła się, dlaczego to jej przyjaciółka tak długo nie przychodzi, popatrywała przez okno, czy nie widać szczupłej sylwetki i miłej twarzy Marii Iwanowny.

A listów od Toli - nie było.

## 16

Aleksandra Władimirowna, Ludmiła i Nadia siedziały w kuchni. Od czasu do czasu Nadia wkładała do pieca pogniecione kartki z uczniowskiego zeszytu, a wtedy gasnący płomień rozbłyskał na krótko i czerwone światło robiło się jaśniejsze. Aleksandra Władimirowna, zerkając z boku na córkę, powiedziała:

- Byłam wczoraj u jednej z laborantek w domu; Boże, jaka ciasnota, ubóstwo... my żyjemy tu jak królowie. Sąsiadki się zebrały i zaczęły rozmowę o tym, która co najbardziej lubiła przed wojną. Jedna mówi cielęcinę, druga - zupę ogórkową. A wtedy odzywa się córeczka tej laborantki: „Ja tam najbardziej lubiłam fajrant”.

Ludmiła Nikołajewna nie odezwała się, Nadia natomiast zauważyła:

- Ty, babciu, masz tu już co najmniej milion znajomych.

- A ty żadnego.

- No i bardzo dobrze - oświadczyła Ludmiła Nikołajewna. - Witia zaczął często chodzić do Sokołowa. Zbiera się tam najróżniejsza hałastrza; nie wiem, jak on i Sokołow mogą całymi godzinami rozprawiać z tymi ludźmi... Że też im się nie sprykrzy taka gadanina. Nie mają litości dla Marii Iwanowny, która potrzebuje spokoju, a przy nich nie może ani się położyć, ani posiedzieć. W dodatku bez przerwy kurzą papierosy.

- Podoba mi się ten Tatar Karimow - oznajmiła Aleksandra Władimirowna.

- Obrzydliwy typ.

- Mama jest taka jak ja, nikt jej się nie podoba - powiedziała Nadia. - Oprócz Marii Iwanowny.

- Dziwaczki z was - podsumowała Aleksandra Władimirowna. - Macie jakieś swoje moskiewskie towarzystwo, które z wami przyjechało. W podróży, w klubie, w teatrze - nigdy nie znajdziecie sobie przyjaciół. Zadajecie się tylko z tymi, którzy pobudowali dacje w pobliżu waszych; u Żeni też to zaobserwowałam... Jakże błahe są kryteria, według których oceniacie, kto należy do waszego środowiska: „Ach, ona to zero, nie lubi Błoka, a ten to prymityw, nie rozumie Picassa... Och, podarowała mu kryształowy wazon. Trzeba nie mieć za grosz gustu...” Za to Wiktor jest demokratą, gwizdże na całą tę dekadencję.

- Bzdura - skwitowała słowa matki Ludmiła. - Co mają do tego dacje! Są mieszczanie z daczami i mieszczanie bez dacz; nie warto się z nimi zadawać, to wstrętne.

Aleksandra Władimirowna zauważyła, że coraz częściej drażni córkę.

Ludmiła Nikołajewna dawała rady mężowi, robiła uwagi Nadi, ganiła ją za przewinienia i wybaczała je, rozpieszczała ją i była dla niej surowa.

Co się jednak tyczy matki, wiedziała, że Aleksandra Władimirowna po swoim ocenia jej postępowanie. Nie wypowiada wprawdzie głośno tych ocen, ale to nie znaczy, że ich w duchu nie dokonuje. Zdarzało się, że Sztrum wymieniał z teściową porozumiewawcze, drwiące spojrzenia, całkiem jakby przedtem już wystarczająco omówił z Aleksandrą Władimirowną osobliwości charakteru żony. Nie miało tu zresztą znaczenia, czy rzeczywiście je omawiał, czy nie; dość że w rodzinie pojawiła się nowa osoba, która samą swoją obecnością zmieniała dotychczasowe relacje.

Wiktor Pawłowicz powiedział kiedyś do Ludmiły, że na jej miejscu uznałby pierwszeństwo matki, niechby się czuła gospodynią, a nie gościem. Ludmile Nikołajewnie wydało się wtedy, że mąż nie mówi tego szczerze; pomyślała nawet, że ostentacyjnie podkreśla swój serdeczny stosunek do teściowej i w ten sposób przypomina, jak chłodno Ludmiła traktowała Annę Siemionownę. Bojąc się śmieszności, za nic nie przyznałaby mu się, że czasem bywała o niego zazdrosna w stosunku do dzieci, szczególnie Nadi. Ale teraz nie chodziło o zazdrość. Bo jakże przyznać się nawet przed sobą samą, że drażni ją i męczy matka, która straciła dach nad głową i którą przyjęła do domu. Dziwne to zresztą było rozdrażnienie, bo przecież współistniało z miłością, z gotowością, żeby w razie potrzeby oddać Aleksandrze Władimirownie ostatnią sukienkę, podzielić się z nią ostatnim kawałkiem chleba.

Aleksandrę Władimirowną z kolei ogarniała czasem ochota, żeby zapłakać bez

powodu, innym razem - żeby umrzeć albo nie wrócić wieczorem do domu i przespać się na podłodze u koleżanki z pracy, to znowu nagle spakować manatki i pojechać do Stalingradu - odszukać Sieriożę, Wierę, Stiepana Fiodorowicza.

Aleksandra Władimirowna przeważnie aprobowała postępowanie i słowa zięcia, Ludmiła zaś prawie zawsze je ganiła. Nadia zauważyła to i mówiła do ojca:

- Idź, poskarż się babci, że mama cię obraża.

Teraz też Aleksandra Władimirowna powiedziała:

- Żyjecie tu jak sowy. A Wiktor jest przecież normalnym człowiekiem.

- To tylko takie gadanie - powiedziała Ludmiła, krzywiąc się. - A kiedy przyjdzie czas powrotu do Moskwy, to oboje, ty i Wiktor, będziecie szczęśliwi.

Aleksandra Władimirowna odrzekła nieoczekiwanie:

- Wiesz co, kochana, kiedy będziecie wracać do Moskwy, to ja z wami nie pojedę, bo tam, w twoim domu, nie ma dla mnie miejsca. Rozumiesz? Namówię Żenię, żeby się tu przeniosła, albo zamieszkałam u niej w Kujbyszewie.

To był trudny moment w stosunkach między matką a córką. Wszystko, co Aleksandrze Władimirownie leżało na wątrobie, wypowiedziała w tej odmowie jazdy do Moskwy. Wszystko, co leżało na wątrobie Ludmile Nikołajewnie, również stało się przez to jawne, głośno nazwane. Ale Ludmiła obraziła się, jakby wobec matki nie miała sobie nic do zarzucenia.

Aleksandra Władimirowna natomiast patrzyła na ściągniętą cierpieniem twarz Ludmiły i czuła się winna. Bo nocami najczęściej myślała o Sierioży - to wspominała jego wybuchy, spory z nim, to wyobrażała go sobie w wojskowym mundurze; jego oczy prawdopodobnie zrobiły się jeszcze większe, bo przecież musiał schudnąć, a policzki mu się zapadły. Sierioża budził w niej szczególne uczucie - syn jej nieszczęsnego syna, którego, jak jej się zdawało, kochała najbardziej na świecie...

A do Ludmiły mówiła:

- Nie zadręczaj się tak myślami o Toli, wierz mi, że martwię się o niego nie mniej niż ty.

Było w tych słowach coś nieszczerzego, fałszującego jej miłość do córki, bo znowu nie tak bardzo niepokoiła się o Tolę. Teraz zaś obie, bezwzględnie aż do bólu, przestraszyły się tej swojej otwartości i pragnęły się z niej wycofać.

- Nowa sztuka Ostrowskiego: „Lepsza miłość niżli prawda” - podsumowała Nadia, Aleksandra Władimirowna zaś z niechęcią, a nawet przestraszonym popatrzyła na uczennicę dziesiątej klasy, która umiała rozszyfrować to, z czego nawet ona nie zdawała sobie do końca sprawy.

Wkrótce przyszedł Wiktor Pawłowicz. Otworzył drzwi swoim kluczem i nieoczekiwanie wszedł do kuchni.

- Miła niespodzianka - powiedziała Nadia. - Myślałyśmy, że do późna zasiedzisz się u Sokołowów.

- Aha, wszyscy są już w domu, wszyscy przy piecu, bardzo się cieszą, cudownie, cudownie - rzekł, wyciągając ręce w stronę ognia.

- Wytrzymaj nos - zwróciła mu uwagę Ludmiła. - Cóż w tym takiego cudownego, nie rozumiem?

Nadia prychnęła i powtórzyła, naśladowując ton matki:

- No, wytrzymaj nos, przecież mówi się do ciebie po rosyjsku.

- Nadia, Nadia - napomniała córkę Ludmiła Nikołajewna.

Z nikim nie zamierzała dzielić się prawem do wychowywania męża.

Wiktor Pawłowicz powiedział:

- Tak, tak, strasznie wieje.

Poszedł do pokoju i przez otwarte drzwi widać było, jak usiadł przy biurku.

- Tato znowu pisze na okładce - zauważyła Nadia.

- Nie twoja sprawa - odparła Ludmiła Nikołajewna i zaczęła tłumaczyć matce: - Wiesz, dlaczego tak się ucieszył, że wszyscy są w domu? Bo martwi się, dostaje wariacji, kiedy kogoś brakuje. A teraz musi dokończyć jakieś rozważania, więc cieszy się, że nie ma powodu do zmartwień i nic go nie będzie rozpraszało.

- Ciszej, przecież naprawdę mu przeszkadzamy - powiedziała Aleksandra Władimirowna.

- Nic podobnego - oświadczyła Nadia. - Kiedy rozmawiamy głośno, nie zwraca na to uwagi, a jeśli szeptem, zaraz przychodzi i pyta: „O czym wy tam ze sobą szepczecie?”

- Nadiu, mówisz o ojcu jak przewodniczka w zoo, która objaśnia zwiedzającym zwyczaje zwierząt.

Równocześnie zaśmiały się i spojrzały po sobie.

- Mamo, jak mogłaś mi sprawić taką przykrość? - spytała Ludmiła Nikołajewna.

Matka w milczeniu pogłaskała ją po głowie.

Potem jedli kolację w kuchni. Wiktorowi Pawłowiczowi wydawało się, że ciepło kuchenne ma w sobie tego wieczoru jakiś szczególny urok. To, co stanowiło treść jego życia, trwało nadal. Ostatnio pochłonięty był całkowicie myślami o paradoksalnym wyjaśnieniu sprzecznych eksperymentów, które przeprowadzono w jego laboratorium. Siedząc przy stole kuchennym, doświadczał dziwnie rozkosznej udręki - tak świerzbily go ręce, żeby chwycić za ołówek.

- Kasza gryczana jest dzisiaj wspaniała - oświadczył, stukając łyżką o pusty talerz.

- To aluzja? - spytała Ludmiła Nikołajewna.

Podsuwając talerz żonie, zapytał:

- Luda, pamiętasz, oczywiście, hipotezę Prouta?

Ludmiła Nikołajewna ze zdumieniem uniosła łyżkę.

- Ta o budowie pierwiastków - podpowiedziała Aleksandra Władimirowna.

- No, pamiętam - przytaknęła Ludmiła. - Że wszystkie zbudowane są z wodoru.



Ale co ma z tym wspólnego kasza?

- Kasza? - zdziwił się Wiktor Pawłowicz. - Z Proutem było tak: postawił hipotezę w dużej mierze prawdziwą, dlatego że w jego czasach znano ciężary atomowe jedynie w bardzo dużym przybliżeniu. Gdyby za czasów Prouta określono je tak dokładnie, jak to się udało Dumasowi i Stasowi, nie ośmieliłby się wysunąć przypuszczenia, że wszystkie są krotnościami ciężaru wodoru. Miał rację dlatego, że się mylił.

- Ale co ma do tego kasza? - nalegała Nadia.

- Kasza? - znowu zdziwił się Sztrum, a kiedy sobie przypomniał, powiedział: - Kasza nic... W tej kaszy trudno się połapać, trzeba było na to aż stu lat.

- To temat dzisiejszego wykładu? - spytała Aleksandra Władimirowna.

- Nie, to głupstwo, przecież nie prowadzę wykładów, to tylko przelotna myśl.

Uchwycił spojrzenie żony i poczuł, że zrozumiała: znowu jest zainteresowany pracą.

- Co u ciebie? Odwiedziła cię Maria Iwanowna? Czytała ci pewnie *Panią Bovary* Balzaca? - zażartował.

W nocy Ludmiła Nikołajewna czekała, aż mąż zacznie rozmawiać z nią o swojej pracy. Ale on nie mówił nic, ona zaś o nic go nie pytała.

## 17

Jakże naiwne wydawały się Sztrumowi pomysły fizyków połowy dziewiętnastego wieku, poglądy Helmioltza, który sprowadzał zadania fizyki do badań sił przyciągania i odpychania, zależnych jedynie od odległości.

Pole siły to dusza materii! Wspólnota fali energii i cząsteczki materii...

Ziarnistość światła... Czy to ulewa jasnych kropeł, czy też błyskawiczna fala? W miejsce praw kierujących indywidualnościami fizycznymi teoria kwantowa ustanowiła nowe prawa - prawdopodobieństwa; statystyki, która odrzuca pojęcie indywidualności, uznaje tylko zbiory. Fizyków ubiegłego stulecia wyobrażał sobie Sztrum jako panów z uczernionymi wąsami, w garniturach i koszulach ze stojącymi, krochmalonymi kołnierzykami i sztywnymi mankietami, skupionych wokół stołu bilardowego. Mężowie o głębokich umysłach, uzbrojeni w linijki i chronometry, marszcząc gęste brwi, mierzą prędkość i przyspieszenie, określają masy sprężystych kul, śmigających w zielonej sukiennej przestrzeni.

Przestrzeń jednak, mierzona metalowymi prętami i linijkami, i czas, mierzony najdoskonalszymi zegarami, zaczęły się nagle zakrzywiać, rozciągać i spłaszczać. Ich niezmienność okazała się nie fundamentem nauki, ale murami i kratami jej więzienia. Nadeszła pora Sądu Ostatecznego, tysiącletnie prawdy zostały uznane za błędy. Prawda spała przez stulecia w kokonach starych przesądów, błędów, niedokładności.

Świat stał się nieeuklidesowy, jego geometryczną naturę formowały masy i prędkości.

Z rosnącą szybkością szerzył się postęp nauki w świecie uwolnionym przez Einsteina od oków absolutnego czasu i przestrzeni.

Dwa nurty - jeden dążący razem ze wszechświatami, drugi zmierzający do wnikięcia w jądro atomowe - oddalały się, ale nie traciły wzajemnego kontaktu, chociaż pierwszy toczył się w świecie parseków, drugi mierzony był w milimikronach. Im głębiej wchodził fizycy w jądro atomu, tym jaśniejsze stawały się dla nich prawa określające świecenie gwiazd. Przesunięcie ku czerwieni w świetle widzialnym w widmach odległych galaktyk nasunęło wyobrażenie wszechświata oddalającego się w nieskończonej przestrzeni. Ale wystarczyło przyjąć skończoną przestrzeń o kształcie ziarna soczewicy, zakrzywioną prędkościami i masami, i można było wyobrazić sobie, że to właśnie sama przestrzeń rozszerza się, pociągając za sobą galaktyki.

Sztrum był przekonany, że na świecie nie ma istot szczęśliwszych niż uczeni... Niekiedy - rankiem, w drodze do instytutu, w czasie wieczornego spaceru i dzisiaj w nocy, kiedy myślał o swojej pracy ogarniało go uczucie szczęścia, spokoju i zachwytu. Siły wypełniające wszechświat łagodnym światłem gwiazd uwalniały się przy przemianie wodoru w hel...

Dwa lata przed wojną dwaj młodzi Niemcy za pomocą neutronów rozszczepili ciężkie jądra atomowe, a radzieccy fizycy, innymi drogami dochodząc do podobnych rezultatów, nagle odczuli to, czego sto tysięcy lat przed nimi doświadczył człowiek jaskiniowy, kiedy rozpałił pierwsze ognisko.

Oczywiście, w dwudziestym wieku to fizyka wytycza główny kierunek... Tak samo jak w roku 1942 kierunkiem głównego uderzenia dla wszystkich frontów wojny światowej stał się Stalingrad.

Ale w ślad za tym przekonaniem, deptając Sztrumowi po piętach, szły wątpliwości, brak wiary, cierpienie.

## 18

„Witka, jestem pewna, że mój list dojdzie do Ciebie, chociaż przebywam za linią frontu i za drutami żydowskiego getta. Twojej odpowiedzi nigdy nie dostanę, bo już mnie nie będzie. Chcę, żebyś znał prawdę o moich ostatnich dniach, lżej mi z tą myślą odchodzić ze świata.

Ludzi, Witka, naprawdę trudno zrozumieć... Siódmego lipca Niemcy weszli do miasta. Radio w parku miejskim nadawało ostatnie wiadomości, spikerka czytała po ukraińsku komunikat o walkach, a ja wracałam po pracy z przychodni i zatrzymałam się, żeby posłuchać. Usłyszałam odległą strzelaninę, potem przez park zaczęli biec ludzie. Szłam do domu i ciągle się dziwiłam, jak mogłam przegapić sygnał alarmu powietrznego.

Nagle zobaczyłam czołg, a ktoś zawołał: «Niemcy się przedarli!» Powiedziałam: «Proszę nie siał paniki»; poprzedniego dnia byłam u sekretarza rady miejskiej, pytałam go o możliwość ewakuacji, ale on się tylko rozżłościł: «Za wcześnie o tym mówić, nie robiliśmy nawet list». A więc to byli Niemcy. Całą noc sąsiedzi odwiedzali się nawzajem, najspokojniejsze były małe dzieci, no i ja. Postanowiłam: cokolwiek spotyka innych, musi spotkać i mnie. Najpierw przeraziłam się, zrozumiałam, że nigdy Cię nie zobaczę, i miałam straszną ochotę jeszcze raz na Ciebie popatrzeć, ucałować Twoje czoło, oczy, a potem pomyślałam: «To szczęście, że jesteś bezpieczny!» Rano usnęłam, a kiedy się obudziłam, poczułam straszną tęsknotę.

Byłam w swoim pokoju, w swoim łóżku, ale czułam, że jestem na obczyźnie, zagubiona, samotna.

Tego samego ranka przypomniano mi fakt, o którym przez lata władzy radzieckiej zdążyłam zapomnieć - że jestem Żydówką. Niemcy jechali ciężarówką i wołali: Juden kaputt.

Potem przypomnieli mi to niektórzy moi sąsiedzi. Żona dozorczy stała pod oknem i mówiła do sąsiadki: «Dzięki Bogu, koniec z tymi parchami». Skąd bierze się coś takiego? Jej syn jest żonaty z Żydówką, stara odwiedzała syna, opowiadała mi o wnukach.

Moja sąsiadka jest wdową, ma sześcioletnią córeczkę, Alonkę, błękitne, cudowne oczy, pisałam Ci o niej kiedyś. Weszła do mnie i powiedziała: «Anno Siemionowno, proszę, żeby pani do wieczora usunęła rzeczy, bo ja się wprowadzam do pani pokoju». - «Dobrze, to ja przeniosę się do pani». - «Nie, pani przeniesie się do komórki za kuchnią».

Odmówiłam, bo nie ma tam ani okna, ani pieca.

Poszłam do przychodni, a kiedy wróciłam, okazało się, że drzwi do mojego pokoju są wyłamane, rzeczy zwalone w komórcę. Sąsiadka oświadczyła mi: «Zatrzymałam kanapę, bo w pani nowym pokoiku i tak by się nie zmieściła».

Zadziwiająca: skończyła technikum, a jej zmarły mąż był dobrym i spokojnym człowiekiem, księgowym w „Ukopspiłce”. «Pani jest wyjęta spod prawa» - oznajmiła takim tonem, jakby miała na tym Bóg wie co zyskać. Jej córka, Alonka, siedziała u mnie przez cały wieczór, a ja jej opowiadałam bajki. To były moje osiedliny, Alonka nie chciała iść spać, matka ją wyniosła na rękach. A potem, Witieńka, otwarli znowu naszą przychodnię, zwolnili z pracy tylko mnie i jeszcze jednego lekarza Żyda. Poprosiłam o zapłatę za przepracowany miesiąc, ale nowy kierownik powiedział mi: «Niech wam Stalin wypłaci to, co zarobiliście za Sowietów, napiszcie do niego do Moskwy». Sanitariuszka Marusia uściśnęła mnie i spytała szeptem: «Boże mój, co teraz z panią będzie, co będzie z nami wszystkimi?» Doktor Tkaczow uściśnął mi rękę. Nie wiem, co gorsze: złośliwa satysfakcja czy litościwe spojrzenia, jakie rzuca się na zdychającego, parszywego kota. Nie sądziłam, że przeżyję kiedyś coś takiego.

Wielu ludzi mnie po prostu zadziwiło. Nie chodzi tylko o tych ciemnych, niewykształconych, nienawistnych. Jest tu stary pedagog, rencista, ma siedemdziesiąt pięć lat, zawsze o Ciebie wypytywał, prosił, żeby Cię pozdrowić, mówił o Tobie, że jesteś «naszą dumą». A w tych przeklętych dniach, kiedy mnie spotkał, nie przywitał się, tylko odwrócił.

Potem się dowiedziałam, że na zebraniu w komendanturze mówił: «Powietrze się oczyściło, już nie zajeżdża czosnkiem». Dlaczego się tak zachowuje - przecież to jego hańbią takie słowa! Na tym samym zebraniu rzucono mnóstwo oszczerstw na Żydów... Ale oczywiście, Witieńka, nie wszyscy poszli na to zebranie. Wielu nie chciało iść. Wiesz, że z czasów carskich wyniosłam przeświadczenie, że antysemityzm cechuje wyłącznie bogoojczyźnianych patriotów ze Związku Michała Archaniola. A teraz zobaczyłam, że ci sami, którzy krzyczą o wybawieniu Rosji od Żydów, ponizają się po lokajsku przed Niemcami, gotowi byłiby sprzedać ojczyznę za trzydzieści niemieckich srebrników.

A ciemni ludzie z przedmieść chodzą na rabunek, zabierają mieszkania, ubrania, kołdry; tacy z pewnością zabijali lekarzy w czasie buntów cholerycznych. Są też osobnicy nędznego ducha, którzy zaaprobują każde zło, byleby nie podejrzewano ich o nieprawomyślność.

Ciągle przybiegają do mnie znajomi z wieściami, oczy mają szalone, działają jakby w gorączce. Pojawiło się dziwne określenie: «Przechować rzeczy». Jakby u sąsiada były bezpieczniejsze. Takie przenoszenie dobytku przypomina mi jakąś zabawę.

Wkrótce ogłoszono przesiedlenie Żydów, pozwolono zabrać ze sobą piętnaście kilo bagażu. Na ścianach domów wisiały żółte ogłoszenia: «Każdy Żyd winien do godziny szóstej wieczorem piętnastego lipca 1941 roku przenieść się w rejon Starego Miasta». Wzięłam poduszkę, trochę bielizny, filiżankę, którą mi kiedyś podarowałaś, łyżkę, nóż, dwa talerze. Czy dużo człowiek potrzebuje? Zabrałam trochę narzędzi lekarskich. Poza tym Twoje listy, zdjęcia nieboszczki mamy i wujka Dawida, no i tę fotografię, na której jesteś razem z tatą, wiersze Puszkina, listy z mojego młyna Daudeta, tomik Maupassanta, gdzie jest *Historia jednego życia*, słowniczek, wydania francuskie, Czechowa, tego z *Nieciekawą historią* i *Archijerejem* - i jak się okazało, to już był pełen kosz. Ile ja pod tym dachem napisałam listów do Ciebie, ile godzin nocą przepłakałam, a teraz już mogę opowiedzieć Ci tylko o swojej samotności.

Pożegnałam się z domem, z ogródkiem, posiedziałam parę minut pod drzewem, pożegnałam się z sąsiadami. Niektórzy ludzie są dziwnie urządzeni. Dwie sąsiadki przy mnie zaczęły się spierać o to, która weźmie krzesła, która biurko, a kiedy zaczęłam się z nimi żegnać, obie zapłakały. Poprosiłam Basańków, sąsiadów, żeby opowiedzieli Ci wszystko dokładnie, jeśli po wojnie przyjedziesz dowiedzieć się czegoś o mnie. Obiecali mi. Wzruszył mnie piesek, kundel Tobik - ostatniego wieczoru jakoś szczególnie się do mnie łąsił.

Jeśli przyjedziesz, daj mu coś do jedzenia za dobre serce dla starej Żydowicy.

Kiedy już się spakowałam i zastanawiałam, jak dotaszczę kosz do Starego Miasta, niespodziewanie zjawił się mój pacjent Szczukin, człowiek ponury i, jak mi się wydawało, oschły. Obiecał, że zanieś moje rzeczy, dał mi trzysta rubli i powiedział, że raz na tydzień będzie zostawiał mi chleb pod płotem. Pracuje w drukarni, nie wzięto go do wojska ze względu na chore oczy. Przed wojną leczył się u mnie, i gdyby mnie poproszono, żebym wymieniła ludzi o czystej, wrażliwej duszy, wymieniłabym dziesiątki nazwisk, ale nie jego. Wiesz, Witieńka, po jego wizycie znowu poczułam się człowiekiem, widać nie tylko pies podwórzowy może traktować mnie po ludzku.

Powiedział mi, że w drukarni miejskiej drukuje się obwieszczenie: Żydom nie wolno chodzić po chodnikach, muszą nosić na piersi żółtą łatę w kształcie sześcioramienną gwiazdy, nie mają prawa korzystać z komunikacji miejskiej, łaźni, ambulatorium, kina, zabrania się im kupować masło, jajka, mleko, jagody, biały chleb, mięso, wszystkie warzywa z wyjątkiem kartofli; zakupy na bazarze zezwala się robić dopiero po szóstej wieczór (kiedy chłopci już stamtąd odjeżdżają). Stare Miasto Niemcy ogrodzą drutem kolczastym, wychodzenie poza ten teren będzie zabronione, chyba że na przymusowe roboty, pod eskortą.

Jeśli w jakimś domu znaleziony zostanie Żyd, to gospodarza czeka

rozstrzelanie, tak samo jak za ukrywanie partyzanta.

Teść Szczukina, stary chłop, przyjechał z sąsiedniego miasteczka Czudnowa; widział tam na własne oczy, jak wszystkich miejscowych Żydów z tobołkami i walizkami pędzono do lasu, skąd już żaden nie wrócił. A Niemcy, którzy u niego kwaterują, przyszli późnym wieczorem, pijani, potem dalej pili do rana i przy staruszkach dzielili między siebie broszki, pierścionki, bransolety. Nie wiem, czy to odosobniony przypadek, czy zapowiedź losu, który nas czeka? Jakże smutna była moja droga, synku, do średniowiecznego getta! Szłam przez miasto, w którym przepracowałam dwadzieścia lat. Najpierw pustą ulicą Swieczną. Kiedy jednak wyszliśmy na Nikolską, zobaczyłam setki ludzi zmierzających do tego przeklętego getta. Ulica zrobiła się biała od tobołków, poduszek. Chorych prowadzono pod rękę. Sparaliżowanego ojca doktora Margulisa niesiono na kołdrze.

Jakiś młody człowiek niósł na rękach starą kobietę, za nim szli żona i dzieci, objuczeni tobołkami. Kierownik sklepu kolonialnego Gordon, gruby, z zadyszka, szedł w palcie z futrzanym kołnierzem, a po twarzy ściekał mu pot. Zdumiał mnie młodzieniec, który nie miał ze sobą żadnych rzeczy; kroczył z podniesioną głową, z miną wzgardliwą i spokojną, trzymając przed sobą otwartą książkę. Ale obok było tylu ludzi oszalałych ze strachu, ogarniętych paniką...

Szliśmy jezdnią, a na chodnikach stali ludzie i patrzyli.

Przez pewien czas trzymałam się obok Margulisów i słyszałam pełne współczucia westchnienia kobiet. A z Gordona w zimowym palcie ludzie śmiali się, chociaż, możesz mi wierzyć, nie wyglądał wcale śmiesznie, tylko strasznie. Widziałam wielu znajomych. Żegnali się ze mną, lekko kiwając głowami, inni się odwracali. Wydaje mi się, że w tłumie nie było obojętnych oczu: były ciekawskie, bezlitosne, ale kilkakrotnie widziałam i zapłakane.

Popatrzyłam - dwa tłumy; jeden - Żydzi w paltach, czapkach, kobiety w ciepłych chustach, a drugi, na chodniku - ludzie w letnich ubraniach. Jasne bluzki, mężczyźni bez marynarek, niektórzy w wyszywanych ukraińskich koszulach. Miałam wrażenie, że dla idących ulicą Żydów już nawet słońce nie chce świecić, szli jakby wśród grudniowego nocnego mrozu.

Przy wejściu do getta pożegnałam się z moim towarzyszem, pokazał mi miejsce przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, gdzie mieliśmy się spotykać.

Wiesz, Witieńka, co poczułam, kiedy trafiłam za druty? Myślałam, że będę przerażona. Ale wyobraź sobie, w tej zagrodzie dla bydła zrobiło mi się lżej na sercu. Nie, to nie dlatego, że mam niewolniczą duszę. Nie. Nie. Otaczali mnie ludzie dotknięci tym samym losem, w getcie nie musiałam już chodzić po jezdni jak koń, nie było złośliwych spojrzeń, a znajomi nie unikali mnie, tylko patrzyli mi w oczy.

W zagrodzie wszyscy noszą stempel, którym oznakowali nas faszyci, tutaj więc nie ciąży mi on tak na sercu. Tu poczułam się nieszczęśliwym człowiekiem, a nie wyjętym spod prawa bydłem. Dlatego było mi lżej.

Zamieszkałam razem z rodziną swojego kolegi, lekarza internisty Szperlinga, w glinianym dwuizbowym domku. Szperlingowie mają dorosłe córki i syna, dwunastoletniego chłopca. Długo patrzyłam na jego chudą twarzyczkę i duże smutne oczy; ma na imię Jura, ale ja dwa razy powiedziałam do niego «Witia», a on mnie

poprawił: «Jestem Jura, nie Witia».

Jak różne charaktery mają ludzie! Szperling mimo swoich pięćdziesięciu ośmiu lat jest pełen energii. Wytrzasnął skądś materace, naftę, wóz drewna. Nocą przynieśli nam do domu worek mąki i pół worka fasoli. Szperling cieszy się z każdego swojego sukcesu jak nowożeńiec.

Wczoraj rozwieszał kilimki. «To nic, wszyscy przeżyjemy - powtarza. Najważniejsze to zdobyć zapasy żywności i drewna na opał».

Uważa, że w getcie należy zorganizować szkołę. Nawet zaproponował, żebym uczyła Jurę francuskiego; da mi talerz zupy za każdą lekcję. Zgodziłam się.

Żona Szperlinga, gruba Fanny Borisowna, jęczy: «Wszystko przepadło, wszyscy jesteśmy zgubieni» - ale równocześnie pilnuje, żeby jej najstarsza córka Luba, dobre i miłe stworzenie, nie dała nikomu garści fasoli czy kawałka chleba. A młodsza, ulubienica matki, Ala - to prawdziwe diabelskie nasienie: władczą, podejrzliwą, skąpą; krzyczy na ojca, na siostrę. Przed wojną przyjechała z Moskwy odwiedzić rodzinę i już została.

Mój Boże, co za nędza wokół! Niechby ci, którzy mówią, że Żydzi są bogaci, że zawsze mają przygotowane zapasy na czarną godzinę, popatrzyli na nasze Stare Miasto. Właśnie nadeszła ta czarna godzina, trudno o czarniejszą. Przecież na Starym Mieście są nie tylko przesiedleni z piętnastoma kilogramami bagażu, zawsze byli tutaj rzemieślnicy, starcy, robotnicy, pielęgniarki. W jakiej straszliwej ciasnocie mieszkali i mieszkają! Jak jedzą! Gdybyś tylko spojrzął na te na wpół rozwalone, wrosnięte w ziemię chałupiny.

Witienka, spotykam tutaj wielu złych ludzi - chciwych, tchórzliwych, chytrych, gotowych nawet do zdrady; mieszka tu pewien straszny człowiek, Epsztejn, który trafił do nas z jakiegoś polskiego miasteczka - nosi opaskę na rękawie i chodzi z Niemcami na rewizje, bierze udział w przesłuchaniach, pije z ukraińskimi policjantami, którzy posyłają go, żeby wyłudzał od ludzi wódkę, pieniądze, żywność. Dwa razy go widziałam - rosty, przystojny, w fircykowatym kremowym garniturze; nawet żółta gwiazda na jego marynarce wygląda jak chryzantema.

Ale chciałam ci opowiedzieć o czym innym. Nigdy nie czułam się Żydówką, od lat dziecięcych obracałam się w środowisku rosyjskich przyjaciółek, najbardziej ze wszystkich poetów lubiłam Puszkina, Niekrasowa, sztuką zaś, na której płakałam razem z całą widownią, uczestnikami zjazdu rosyjskich lekarzy ziemskich, był *Wujaszek Wania* ze Stanisławskim. A kiedy byłam czternastoletnią dziewczynką, Witia, i nasza rodzina wybierała się na emigrację do Ameryki Południowej, powiedziałam tacie: «Nigdzie się nie ruszę z Rosji, wolę się utopić». I nie wyjechałam.

Ale w tych okropnych dniach moje serce wypełniło się macierzyńską czułością wobec narodu żydowskiego. Tego uczucia dotąd nie znałam.

Przypomina mi moją miłość do Ciebie, drogi synku.

Chodzę po domach, odwiedzam chorych. W mikroskopijnych pokoikach gnieźdzą się dziesiątki ludzi: półślepi staruszkowie, niemowlęta przy piersi, kobiety w ciąży. Przywykłam w ludzkich oczach szukać symptomów chorób: jaskry, katarakty. Teraz już tak patrzeć w oczy ludziom nie mogę - widzę w nich tylko odbicie duszy.

Dobrej duszy, Witieńka! Smutnej i dobrej, uśmiechającej się i skazanej na zagładę, zdławionej przez przemoc i zarazem triumfującej nad nią. Silnej duszy, Witia! Gdybyś widział, z jakim przejęciem staruszkowie wypytyują mnie o Ciebie! Jak serdecznie mnie pocieszają ci, którym na nic się nie skarżę, ludzie, których sytuacja jest gorsza od mojej! Niekiedy wydaje mi się, że nie ja chodzę do chorych, ale przeciwnie, to dobry lud-uzdrowiciel leczy moją duszę. A jakie to wzruszające, gdy za leczenie dostaję kawałek chleba, cebulę, garść fasoli...

Wierz mi, Witieńka, to nie jest zapłata za wizytę! Kiedy starszy człowiek, robotnik, ściska mi rękę, wkłada do siatki parę kartofli i mówi: «No, no, pani doktor, proszę panią», łzy napływają mi do oczu. Jest w tym coś tak czystego, ojcowskiego, dobrego, że nie umiem tego przekazać słowami.

Nie chcę Cię pocieszać tym, że łatwo mi się żyło przez ten czas; należałoby się raczej dziwić, jak serce nie pękło mi z bólu. Ale nie zadręczaj się myślą, że głodowałam, bo ani razu nie byłam głodna.

W dodatku nie czułam się samotna.

Co mam ci powiedzieć o ludziach, Witia? Ludzie zaskakują mnie i w przyjemny, i przykry sposób. Są tacy różni, chociaż wszyscy znoszą ten sam los. Cóż, w czasie burzy większość stara się schować przed ulewą, ale to nie znaczy jeszcze, że wszyscy są jednakowi. Zresztą nawet przed deszczem każdy chowa się po swojemu...

Doktor Szperling jest przekonany, że prześladowania Żydów są chwilowe, trwają, dopóki toczy się wojna. Takich jak on jest niemało, ale widzę, że im więcej w ludziach optymizmu, tym bardziej karleją duchowo, stają się egoistami. Jeśli ktoś przychodzi w czasie obiadu, Ala i Fanny Borisowna natychmiast chowają jedzenie.

Mnie Szperlingowie traktują dobrze, zwłaszcza że jem mało i przynoszę do domu więcej jedzenia, niż potrzebuję. Postanowiłam jednak odejść od nich, są mi niemili. Szukam jakiegoś kąta dla siebie. Im więcej smutku w człowieku, im mniejszą ma nadzieję, że przeżyje, tym jest lepszy, życzliwszy, hojniejszy.

Biedota, blacharze, krawcy skazani na zagładę są o wiele szlachetniejsi, życzliwsi i mądrzejsi niż ci, którzy zdołali zrobić jakieś zapasy.

Młode nauczycielki, stary dziwak Szpilberg, nauczyciel i szachista, ciche bibliotekarki, inżynier Rejwicz, który jest bardziej bezradny niż dziecko i marzy, żeby uzbroić getto w granaty własnego wyrobu, coś to za cudowni, niepraktyczni, mili, smutni i dobrzy ludzie.

Widzę teraz, że nadzieja prawie nigdy nie opiera się na racjonalnych przesłankach, jest bezsensowna; myślę, że rodzi ją instynkt.

Ludzie, Witia, żyją tak, jak gdyby mieli przed sobą jeszcze wiele lat. Trudno mi ocenić, czy to głupie, czy mądre, po prostu tak jest i już. Ja też podporządkowuję się temu prawu. Przyszły dwie kobiety z miasteczka i opowiadają to samo, co już mi mówił przyjaciel. W całej okolicy Niemcy likwidują Żydów, nie oszczędzając dzieci ani starców.

Przyjeżdżają samochodami razem z policją ukraińską, zabierają kilkudziesięciu mężczyzn do roboty w polu, ci kopią rowy, a parę dni później Niemcy pędzą tam Żydów i rozstrzelują wszystkich co do jednego. Wszędzie w miasteczkach wokół

naszego miasta wyrastają te żydowskie kurhany.

W sąsiednim domu mieszka dziewczyna z Polski. Opowiada, że tam akcje odbywają się nieustannie, morduje się całą ludność żydowską, tak że Żydzi zostali tylko w kilku gettach - w Warszawie, Łodzi, Radomiu. I kiedy wszystko to przemyślałam, stało się dla mnie absolutnie jasne, że zebrano nas tutaj nie po to, żeby zachować przy życiu, jak żubry w Puszczy Białowieskiej, ale na ubój. Zgodnie z planem przyjdzie kolej i na nas, za tydzień lub dwa. Ale wyobraź sobie, że wiedząc o tym, nadal lecę chorych i mówię: «Jeśli pan będzie systematycznie przemywał lekarstwem oczy, to za parę tygodni pan wyzdrowieje».

Czuwam nad staruszkiem, któremu za pół roku czy rok należałoby zoperować zaćmę.

Daję Jurze lekcje francuskiego, martwię się jego złą wymową.

A tuż obok Niemcy wdzierają się do getta, grabią resztki mienia, wartownicy dla rozrywki strzelają zza drutów do dzieci i ciągle nowi ludzie potwierdzają, że nasz los pewnie lada dzień się dopełni.

Tak to właśnie się dzieje - ludzie żyją nadal. Niedawno nawet mieliśmy wesele. Mnożą się dziesiątki plotek. Kiedyś, zachłystując się z radości, sąsiad powiedział, że nasze wojska przeszły do ofensywy i Niemcy uciekają. To znów nagle ktoś przyniósł wiadomość, że rząd radziecki i Churchill postawili Niemcom ultimatum, po którym Hitler zabronił zabijania Żydów. Inni z kolei twierdzą, że Żydzi będą wymieniani na jeńców niemieckich.

Okazuje się, że nigdzie nie ma tyle nadziei co w getcie. Świat jest pełen wydarzeń, a wszystkie wydarzenia, ich sens, przyczyny zawsze są te same - ratunek dla Żydów. Jakie bogactwo nadziei! A źródło tych nadziei jest jedno - instynkt życia, wbrew wszelkiej logice sprzeciwiający się straszliwej prawdzie, że wszyscy zginiemy bez śladu. Ja też patrzę i nie wierzę: czyżbyśmy wszyscy zostali skazani i czekamy tylko na egzekucję? Fryzjerzy, szewcy, krawcy, lekarze, zduni - wszyscy pracują. Otwarto nawet małą izbę porodową, a raczej coś na podobieństwo takiej izby. Kobiety piorą, suszą bieliznę, gotują obiad; pierwszego września dzieci idą do szkoły, a ich matki wypytują nauczycieli o stopnie.

Stary Szpilberg oddał do oprawy kilka książek. Ala Szterling co rano się gimnastykuje, a wieczorem nakręca włosy na papiloty, kłóci się z ojcem, domaga się jakichś dwóch letnich kuponów.

Ja od rana do nocy jestem zajęta - chodzę z wizytami do chorych, daję lekcje, ceruję, piorę, szykuję się do zimy, watuję palto na jesień.

Słucham opowieści o represjach, jakie spadły na Żydów - znajomą, żonę radcy prawnego, zbito do utraty przytomności za kupno jajka dla dziecka; chłopczykowi, synowi farmaceuty Siroty, przestrzelono ramię, kiedy próbował przeleźć pod drutem po piłkę. A poza tym znowu plotki, plotki, plotki.

Ale nie wszystko to plotki. Dzisiaj Niemcy pognali osiemdziesięciu młodych ludzi na roboty, rzekomo do kopania kartofli, więc niektórzy cieszyli się, że przyniosą trochę jedzenia dla rodziny. Ja jednak wiedziałam, o jakie kartofle chodzi.

Noc w getcie jest czasem szczególnym, Witia. Wiesz, kochany, zawsze uczyłam



Cię, żebyś mówił mi prawdę, syn zawsze powinien mówić matce prawdę. Ale i matka powinna synowi mówić prawdę. Nie myśl, Witieńka, że Twoja matka jest taka silna. Jestem słabą kobietą. Boję się bólu i umieram ze strachu, kiedy siadam na fotelu dentystycznym.

W dzieciństwie bałam się grzmotów, bałam się ciemności. Kiedy się zestarzałam, bałam się chorób, samotności, bałam się, że zachoruję i nie będę mogła pracować, stanę się dla Ciebie ciężarem, a Ty dasz mi to odczuć. Bałam się wojny. Teraz nocami, Witia, ogarnia mnie przerażenie, od którego zamiera serce. Czeka mnie śmierć. Chciałabym zawołać Cię na pomoc.

Kiedy byłeś dzieckiem, przybiegałeś do mnie, szukając obrony. A teraz ja w chwilach słabości mam ochotę ukryć głowę na Twoich kolanach, żebyś ty, mądry, silny, osłonił ją, ochronił. Jestem nie tylko silna duchem, bywam także słaba. Często myślę o samobójstwie, ale nie wiem, słabość czy siła, czy może bezsensowna nadzieja, mnie powstrzymują.

No, dosyć o tym. Zасыpiam i miewam sny. Często widuję w nich zmarłą mamę, rozmawiam z nią. Dzisiaj w nocy śniła mi się Saszeńka Szaposznikow z czasów, kiedy razem mieszkaliśmy w Paryżu. Ale Ty, chociaż stale o Tobie myślę, ani razu mi się nie śniłeś, nawet w chwilach wielkiego niepokoju. Budzę się, nagle widzę sufit i przypominam sobie, że na naszej ziemi są Niemcy, a ja jestem trędowata; mam wtedy wrażenie, że się nie przebudziłam, tylko na odwrót, zapadłam w sen.

Ale mija kilka chwil, słyszę, jak Ala kłóci się z Lubą, na którą z nich przypada kolej pójść do studni; dobiega mnie rozmowa o tym, że w nocy na sąsiedniej ulicy Niemcy roztrzaskali głowę jakiemuś staruszkowi.

Przyszła któregoś dnia znajoma, uczennica liceum pedagogicznego, by wezwać mnie do chorego. Okazuje się, że ukrywa lejtnanta rannego w ramię, z oparzoną okiem. Miły, udręczony młody człowiek, mówiący nadwożańską gwarą, z naciskiem na „o”. Nocą przekradł się za druty i znalazł schronienie w getcie. Oko okazało się niezbyt silnie uszkodzone, zdołałam zapobiec zakażeniu. Wiele opowiadał o walkach, o odwrocie naszych wojsk, więc zrobiło mi się smutno. Chce odpocząć i wrócić za linię frontu. Wybiera się z nim kilku chłopców, jeden z nich był moim uczniem. Och, Witieńka, gdybym mogła pójść z nimi! Tak się cieszyłam, udzielając pomocy temu chłopakowi, zdawało mi się, że i ja mam swój udział w wojnie z faszyzmem.

Ludzie przynieśli mu kartofli, chleba, fasoli, a jakaś staruszka zrobiła dla niego na drutach wełniane skarpetki.

Dzisiejszy dzień jest pełen dramatyzmu. Wczoraj Ala przez swoją rosyjską znajomą dostała dowód zmarłej w szpitalu młodej Rosjanki. Nocą ucieknie. A dzisiaj dowiedzieliśmy się od znajomego chłopca, który przejeżdżał blisko ogrodzenia, że Żydzi wysłani do pracy przy kartoflach, kopią głębokie rowy cztery wiorsty za miastem, koło lotniska, po drodze na Romanówkę. Zapamiętaj, Witia, tę nazwę, tam znajdziesz wspólną mogiłę, w której będzie leżała Twoja matka.

Nawet Szperling zrozumiał, co się dzieje, cały dzień chodzi blady, usta mu drżą, pyta mnie roztrzęsiony: «Czy jest nadzieja, że fachowców zostawią przy życiu?» Rzeczywiście, ludzie mówią, że w niektórych miasteczkach najlepszych krawców, szewców i lekarzy nie stracono.

Wieczorem Szperling wezwał jednak starego zduna, który zrobił mu w ścianie schowek na mąkę i sól. Wieczorem czytałam z Jurą *Lettres de mon moulin*. Pamiętasz, jak czytaliśmy na głos moje ulubione opowiadanie *Les vieux*, spojrzeliśmy na siebie i roześmiali się; oboje mieliśmy łzy w oczach. Potem zadałam Jurze lekcje na pojutrze. Tak trzeba. Ale jakiego dławiącego uczucia rozpaczy doznałam, kiedy patrzyłam na smutną twarzyczkę swego ucznia, na jego palce, notujące w zeszyte numery zadanych ćwiczeń z gramatyki.

Ileż jest tych dzieci: mają cudowne oczy, ciemne kędzierzawe włosy, wśród nich z pewnością przyszli uczeni, fizycy, profesorowie medycyny, muzycy, może i poeci. Patrzą, jak biegną rankami do szkoły, po dorosłemu poważne, z rozszerzonymi, tragicznymi oczami. A czasem zaczynają dokazywać, biją się, śmieją, ale przez to nie jest wcale człowiekowi lżej na duszy, tylko przerażenie go ogarnia.

Mówią, że dzieci są naszą przyszłością, ale czy to się odnosi do tych dzieci? Przecież nie zostaną muzykami ani nawet szewcami czy krojczymi. Dziś w nocy uświadomiłam sobie wyraźnie, że cały ten hałaśliwy świat brodatych, troskliwych tatusiów, gderliwych babć, wypiekających miodowe pierniki i faszeryjących gęsie szyjki, świat obyczajów weselnych, powiedzonek, sobotnich świąt - zejdzie na zawsze pod ziemię. Po wojnie życie znowu zatętni, ale nas już nie będzie; znikniemy jak niegdyś Aztekowie.

Chłop, który przywiózł wieść o szykowanych grobach, opowiada, że jego żona płakała w nocy, wróżyła nieszczęście: «Oni przecież i szyją, i buty robią, i skórę wyprawiają, i naprawiają zegarki, i sprzedają lekarstwa w aptece... Co to będzie, jak ich wszystkich zabiją?» Wówczas z całą jasnością wyobraziłam sobie, jak ktoś powie, przechodząc obok ruin: «Pamiętasz, tutaj żyli kiedyś Żydzi, zdun Boruch; w wieczór szabatowy jego stara siedziała na ławce, a koło niej bawiły się dzieci». Jego rozmówca zaś odrzeczł: «A pod tą starą, dziką gruszą zazwyczaj siadywała jedna lekarka, zapomniałem jej nazwiska, kiedyś leczyłem u niej oczy; po pracy zawsze wносиła pleciony stół i czytała przy nim książkę». Tak właśnie będzie, Witia.

Wszyscy poczuli na twarzach jakby straszne tchnienie, zrozumieli, że zbliża się ich kres.

Witienka, chcę Ci powiedzieć... Nie, to nie to, nie to.

Kochany, kończę swój list, zaniosę go do ogrodzenia i przekażę przyjacielowi. Trudno mi skończyć, bo to moja ostatnia rozmowa z Tobą, i kiedy przekażę list, odejdę od Ciebie na zawsze; już nigdy nie dowiesz się o moich ostatnich godzinach. To nasze ostateczne rozstanie. Cóż Ci mogę powiedzieć przed wieczną rozłąką? W tych dniach, tak jak przez całe życie, byłeś moją radością. Nocami wspominałam Ciebie, Twoje dziecinne ubranko, Twoje pierwsze książki, Twój pierwszy list, pierwszy dzień w szkole, wspominałam wszystko, wszystko, od pierwszych dni Twojego życia do ostatniej wieści od Ciebie, telegramu otrzymanego trzydziestego czerwca. Zamykałam oczy i wydawało mi się, mój kochany, że zasłoniłeś mnie przed nadciągającymi okropnościami.

A kiedy przypomiinałam sobie, co dzieje się dookoła, cieszyłam się, że nie ma Cię przy mnie - i niechaj Cię ominie ten straszliwy los.

Witia, zawsze byłam samotna. W bezsenne noce płakałam z tęsknoty.

Nikt przecież o tym nie wiedział. Moją pociechą była myśl, że opowiem Ci kiedyś o swoim życiu. Wyjaśnię, dlaczego rozeszliśmy się z Twoim ojcem, dlaczego przez tak długie lata żyłam sama. Często myślałam: «A to się Witia zdziwi, kiedy się dowie, że jego mama popełniała błędy, traciła głowę, bywała zazdrosna, byli zazdrośni o nią, była taka jak wszyscy młodzi». Ale los zrządził, że skończę życie samotnie i nie zwierzę Ci się z tego. Czasem wydawało mi się, że nie powinnam żyć gdzieś daleko od Ciebie; aż tak Cię kochałam, myślałam, że miłość daje mi prawo być z Tobą na starość. Kiedy indziej wydawało mi się, że nie powinnam żyć razem z Tobą, bo nazbyt Cię kocham.

No, enfin... Bądź zawsze szczęśliwy z tymi, których kochasz, którzy Cię otaczają, którzy są Ci teraz bliżsi niż matka. Wybacz mi.

Z ulicy dobiega płacz kobiet, przekleństwa policjantów, a ja patrzę na te kartki i wydaje mi się, że znajduję w nich obronę przed strasznym, pełnym cierpień światem.

Jak mam zakończyć ten list? Skąd wziąć siły, synku? Czy są słowa w ludzkim języku, zdolne wyrazić moją miłość do Ciebie? Całuję Cię, całuję Twoje oczy, Twoje czoło, włosy.

Pamiętaj, że zawsze, w dniach szczęścia i w dniach nieszczęścia, matczyzna miłość będzie z Tobą, że nikt nie jest w stanie jej zabić.

Witieńka... To już ostatnia linijka listu mamy do Ciebie. Żyj, żyj, żyj wiecznie... Mama".

## 19

Przed wojną Sztrum nigdy nie myślał o tym, że jest Żydem, że jego matka jest Żydówką. Matka też nigdy z nim o tym nie rozmawiała, ani w dzieciństwie, ani w latach studenckich. Przez cały okres studiów na moskiewskim uniwersytecie żaden student, profesor czy wykładowca nie poruszał z nim tej sprawy. Przed wojną w instytucie ani w Akademii Nauk nie zdarzyło mu się nigdy słyszeć rozmów na ten temat.

Nigdy też nie przyszło mu do głowy, żeby porozmawiać o tym z Nadią - wyjaśnić jej, że ma matkę Rosjankę, a ojca Żyda.

Wiek Einsteina i Plancka okazał się wiekiem Hitlera. Ten sam czas zrodził gestapo i rozkwit nauki. Jakże humanitarny był wiek dziewiętnasty, wiek naiwnej fizyki, w porównaniu z wiekiem dwudziestym, który zamordował jego matkę. W zasadach faszyzmu i zasadach współczesnej fizyki można dostrzec straszliwe podobieństwo.

Faszyzm odwrócił się od pojęcia „osoby”, od pojedynczego człowieka, i operuje olbrzymimi zbiorami. Współczesna fizyka mówi o większym i mniejszym prawdopodobieństwie zjawisk w tych lub innych zbiorach obiektów fizycznych. A czyż faszyzm w swojej potwornej mechanice nie opiera się na zasadzie polityki kwantowej, na prawdopodobieństwie politycznym? Faszyzm doszedł do idei zniszczenia całych warstw ludności, do narodowych i rasowych uogólnień, zakładając, że prawdopodobieństwo ukrytego i jawnego oporu w tych warstwach i warstewkach jest wyższe niż w innych. Mechanika prawdopodobieństwa w ludzkich zbiorowościach.

Ale nie, oczywiście, że nie! Faszyzm zginie właśnie dlatego, że prawa dotyczące

atomów i kamieni brukowych postanowił zastosować do ludzi! Faszyzm i człowiek nie mogą współistnieć. Kiedy zwycięża faszyzm, przestaje istnieć człowiek, pozostają tylko wewnętrznie przeobrażone istoty człękokształtne. A kiedy zwycięża człowiek, obdarzony wolnością, rozumem i dobrocią - faszyzm ginie i ci, którzy mu ulegli, znowu stają się ludźmi.

Czy to nie jest potwierdzenie myśli Czepyżyna o zakwaszonym cieście, przeciwko którym protestował latem? Czas sporów z Czepyżynem wydawał mu się nieskończenie odległy, jak gdyby dziesięciolecia upłynęły pomiędzy letnim moskiewskim wieczorem a dniem dzisiejszym.

Wydawało się, że to ktoś inny, nie Sztrum, szedł przez plac Trubny i słuchał tamtych wywodów, denerwował się, kłócił zaciekle, zarozumiałe.

Matka... Marusia... Tola...

Bywały chwile, kiedy nauka wydawała mu się oszustwem ukrywającym szaleństwo i okrucieństwo świata.

Możliwe, że nieprzypadkowo stała się towarzyszką tego straszliwego wieku, że jest jego sojuszniczką. Jaki samotny czuł się Sztrum! Nie miał z kim podzielić się swoimi myślami. Czepyżyn był daleko. Dla Postojewa wszystko to było obce i nudne. Sokołow skłonny jest do mistyki, do jakiejś dziwnej religijnej pokory przed „cesarskim” okrucieństwem, niesprawiedliwością.

W jego zakładzie pracowało dwóch świetnych uczonych - fizyk doświadczalny Markow oraz Sawostjanow, dowcipny, mądry gość. Ale gdyby Sztrum zaczął z nimi rozmowę na ten temat, uznaliby go za wariata.

Wyjmował z biurka list od matki i znowu go czytał.

„Witia, jestem pewna, że mój list dojdzie do Ciebie, chociaż przebywam za linią frontu i za drutami żydowskiego getta... Skąd wziąć siły, synku...” Wtedy znowu zimne ostrze przesunęło się po jego gardle...

## 20

Ludmiła Nikołajewna wyjęła ze skrzynki list z pieczętką poczty polowej.

Szybkim krokiem weszła do pokoju, podniosła list do światła i oderwała brzeg koperty.

Na chwilę wyobraziła sobie, że z koperty posypią się zdjęcia Toli maleńkiego, kiedy jeszcze nie potrafił unieść głowy, gołego, leżącego na poduszce z zadartymi nóżkami, jak niedźwiadek, z wydętymi wargami.

W niepojęty sposób, rzecz można, nie wczytując się, ale wpijając w list wzrokiem, chłonąc linijki zapisane ładnym charakterem niezbyt błyskotliwego prymusa, zrozumiała: żyje, żyje! Przeczytała, że Tola został ciężko ranny w pierś i w bok, stracił mnóstwo krwi, gorączkuje od czterech tygodni, jest słaby, nie może sam pisać... Ale ły szczęścia przesłoniły jej oczy, tak wielką rozpacz przeżyła chwilę wcześniej.

Wyszła na schody, przeczytała pierwsze linijki listu i uspokojona skierowała się do drewnutni. Tam w zimnym mroku przeczytała środek i koniec i pomyślała, że to

przedśmiertne pożegnanie.

Ludmiła Nikołajewna zaczęła wkładać drwa do worka. I chociaż doktor, u którego leczyła się w Moskwie, na przecznicy Gagarinowskiej, w przychodni dla pracowników nauki, zabronił jej podnosić więcej niż trzy kilo i kazał wykonywać tylko powolne, płynne ruchy, stęknęła jak chłopka, zarzuciła sobie na plecy wór pełen mokrych polan i niemal jednym skokiem pokonała schody na piętrze. Z rozmachem opuściła wór na podłogę, aż zabrzączały talerze na stole.

Włożyła palto, narzuciła chustkę na głowę i wyszła na ulicę.

Ludzie mijali ją, potem się oglądali.

Przeszła przez jezdnię, tramwaj zadzwonił na nią ostro, a motornicza pogroziła jej pięścią.

Jeśli skręcić w prawo, to boczną ulicą można dojść do fabryki, gdzie pracuje matka.

Jeśli Tola umrze, jego ojciec się o tym nie dowie... W jakim obozie go szukać? Może już od dawna nie żyje?...

Poszła do instytutu, gdzie pracował Wiktor. Mijając domek Sokołowów, weszła na podwórze, zapukała do okna, ale zasłonka pozostała spuszczone - Marii Iwanowny nie było w domu.

- Wiktor Pawłowicz dopiero co poszedł do siebie - poinformował ją ktoś, a ona podziękowała, chociaż nie dotarło do niej, kto z nią rozmawia - znajomy, nieznajomy, mężczyzna czy kobieta. Przeszła przez salę laboratoryjną, gdzie - jak zwykle - wydało jej się, że chyba nikt nic nie robi. Zawsze wygląda na to, że w laboratorium mężczyźni albo gawędzą, albo paląc papierosy, czytają książki, a kobiety są czymś zajęte - gotują w kolbach herbatę, zmywają lakier z paznokci, robią na drutach.

Zauważała drobiazgi, dziesiątki szczegółów, bibułę, z której laborant skręcał papierosa.

W gabinecie Wiktora Pawłowicza powitano ją hałaśliwie, Sokołow szybko podszedł, prawie podbiegł do niej, wymachując dużą białą kopertą, i powiedział:

- Dają nam nadzieję, jest plan, perspektywa reewakuacji do Moskwy, ze wszystkimi manatkami, aparaturą i rodzinami. Nieźle, co? Co prawda, terminy nie są jeszcze ustalone, ale zawsze to coś!

Jego ożywienie, jego oczy wydały jej się nienawistne. Czyż Maria Iwanowna tak samo radośnie podbiegłaby do niej? Nie, nie. Maria Iwanowna od razu by wszystko zrozumiała, wszystko wyczytałaby z jej twarzy.

Gdyby Ludmiła Nikołajewna wiedziała, że zobaczy tylu szczęśliwców, to oczywiście nigdy by do Wiktora nie przyszła. Wiktor też jest uradowany, wieczorem przyniesie tę radość do domu - Nadia również będzie zachwycona, że wyjeżdżają z nienawistnego Kazania.

Czy ci wszyscy ludzie warci są młodej krwi, która została przelana, żeby mogli się cieszyć? Z niemym wyrzutem podniosła oczy na męża. A on w jej posępne oczy spojrzął swoimi oczami - rozumiejącymi, pełnymi niepokoju. Kiedy zostali sami, powiedział, że od razu, ledwie weszła, zrozumiał: zdarzyło się nieszczęście. Przeczytał

list i zaczął powtarzać w kółko:

- No i co tu robić, Boże mój, co tu robić?

Włożył palto, oboje poszli do wyjścia.

- Nie wrócę już dzisiaj - powiadomił Sokołowa, który stał obok nowego, niedawno mianowanego szefa działu kadr Dubienkowa, wysokiego mężczyzny o kulistej głowie, ubranego w modną, obszerną, ale dla jego barczystych pleców jednak zbyt ciasną marynarkę.

Sztrum puścił na chwilę rękę Ludmiły i półgłosem rzekł do Dubienkowa:

- Chcieliśmy od razu przygotować listy pracowników, którzy pojedą do Moskwy, ale dzisiaj nie mogę się tym zająć, później wyjaśnię dlaczego.

- Niech pan się nie martwi, Wiktorze Pawłowiczu - powiedział basem Dubienkow. - Nie ma się na razie co śpieszyć. To plany na przyszłość, ja biorę na siebie całą czarną robotę.

Sokołow machnął ręką, pokiwał głową, a Sztrum zrozumiał, że się domyślił: Wiktora spotkało nowe nieszczęście.

Zimny wiatr hulał po ulicach, wzbijał kurz, to skręcał go w sznur, to nagle ciskał, rozsypywał jak czarną, niezdatną do jedzenia kaszę. Jakaś bezlitosna surowość była w tym chłodzie, w kościotrupim postukiwaniu gałęzi, w lodowej siności szyn tramwajowych.

Żona zwróciła ku niemu odmłodzoną przez cierpienie, zziębniętą, zmizerniałą twarz; uparcie, błagalnie wpatrywała się w Wiktora Pawłowicza.

Kiedyś mieli młodą kotkę, która kocąc się po raz pierwszy, nie mogła wydać kociąt na świat. Umierając, podpełzła do Sztruma i miauczała, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, jasnymi oczami. Ale kogo tu błagać, kogo prosić pod tym olbrzymim, pustym niebem, na bezlitosnej, pełnej kurzu ziemi?

- To szpital, w którym pracowałam - powiedziała.

- Luda - odezwał się z kolei on - wstąp tam, przecież rozszyfrują ci pocztę polową. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Widział, jak Ludmiła wchodzi po schodach i tłumaczy coś wartownikowi. Sztrum skręcał za róg, potem znowu wracał do bramy szpitalnej. Przechodnie biegli koło niego z siatkami, ze słoikami, w których szare nitki makaronu i kartofle pływały w szarej zupie.

- Witia! - zawołała żona.

Po głosie poznał, że już odzyskała panowanie nad sobą.

- Wiesz co - powiedziała - leży w Saratowie. Okazuje się, że zastępca lekarza naczelnego był tam niedawno. Podał mi ulicę i numer domu.

Od razu powstało mnóstwo spraw, pytań - kiedy odpływa statek, gdzie można dostać bilet. Trzeba było spakować rzeczy, zabrać jedzenie, pożyczyć pieniądze, zdobyć jakkolwiek delegację.

Ludmiła Nikołajewna pojechała bez rzeczy i jedzenia, prawie bez pieniędzy,

weszła na pokład, nie mając biletu, w ogólnym zamęcie i ścisku, który powstał przy wsiadaniu. Ze sobą zabrała tylko pamięć o pożegnaniu z matką, mężem i Nadią w ciemny jesienny wieczór. Za burtą zaszumiały czarne fale, powiał wiatr z niżu, zawył, chlusnął bryzgami wołżańskiej wody.

21

Diementij Trifonowicz Gietmanow, sekretarz komitetu partii jednego z okupowanych przez Niemców obwodów, został mianowany komisarzem korpusu pancernego, który formowano na Uralu.

Zanim udał się do jednostki, poleciał douglasem do Ufy, gdzie przebywała jego ewakuowana rodzina.

Towarzysze, miejscowi pracownicy partyjni, dobrze się nią opiekowali: zaopatrzenie i warunki mieszkaniowe okazały się nie najgorsze... Żona Gietmanowa, Galina Tierientjewna, która z powodu złej przemiany materii już przed wojną wyróżniała się tuszą, nie tylko nie schudła, ale nawet przytyła. Dwie córki i synek w wieku przedszkolnym wyglądali na zdrowych.

Gietmanow spędził w Ufie pięć dni. Przed jego wyjazdem bliscy przyszli się pożegnać: młodszy brat żony, zastępca szefa biura administracyjnego ukraińskiego Sownarkomu<sup>10</sup>; dobry kolega Gietmanowa, Maszczuk, z kijowskich organów bezpieczeństwa; i Sahajdak, mąż siostry Galiny Tierientjewny, odpowiedzialny pracownik wydziału propagandy ukraińskiego KC.

Sahajdak przyjechał o jedenastej, kiedy dzieci już były w łóżkach, więc rozmawiano półgłosem. Gietmanow powiedział w zadumie:

- A może łyknijemy sobie, towarzysze, moskiewskiej gorzałki?

W Gietmanowie wszystko z osobna było duże - głowa z siwiejącą, rozwichrzoną czupryną, szerokie czoło, mięsisty nos, dłonie, palce, ramiona, potężna, gruba szyja. Ale on sam, połączenie wielkich i masywnych części, był niewysoki. Co dziwniejsze, w tej dużej twarzy szczególnie zwracały uwagę i zapadały w pamięć małe oczka: wąskie, ledwo widoczne pod obrzmiałymi powiekami. Kolor ich był niewyraźny, trudno określić, czego tam było więcej - szarości czy błękitu. Odznaczały się jednak niesamowitą bystrością, przenikliwością.

Galina Tierientjewna, lekko dźwignawszy swoje ciężkie ciało, wyszła z pokoju, a wtedy mężczyźni przycichli, jak to się często zdarza i w wiejskiej chacie, i w miejskim towarzystwie, kiedy na stole ma się pojawić alkohol. Wkrótce Galina Tierientjewna wróciła z tacą. Wydawało się zdumiewające, jak jej grube ręce zdołały w parę chwil pootwierać tyle puszek, wyjąć potrzebne naczynia.

Maszczuk ogarnął wzrokiem ściany pozawieszane ukraińskimi samodziłami, popatrzył na szeroki tapczan, na gościnnie podsunięte butelki i konserwy, i powiedział:

- Pamiętam ten tapczan w waszym mieszkaniu, Galino Tierientjewno, świetnie,

---

<sup>10</sup> Sownarkom (ros.) - skrót od Sowiet narodnych komissarow (Rada Komisarzy Ludowych), odpowiednik rządu państwa lub republiki. Narkomat (narodnyj komissariat) był odpowiednikiem ministerstwa, narkom (narodnyj komissar) - ministra.

że pani go zdołała wywieźć, ma pani wyraźny talent organizacyjny.

- No i weź pod uwagę - przypomniał Gietmanow - że kiedy ich ewakuowali, mnie już nie było w domu, wszystko załatwiła sama.

- Słuchajcie, rodacy, nie mogłam go przecież zostawić Niemcom - powiedziała Galina Tierientjewna. - I Dima tak się do niego przyzwyczaił, przyjdzie z komitetu i od razu na tapczan, czytać materiały.

- Akurat tam czytać. Spać! - sprostował Sahajdak.

Galina Tierientjewna znowu wyszła do kuchni, a Maszczuk półgłosem rzucił łobuzersko, zwrócony w stronę Gietmanowa:

- Och, wyobrażam sobie tę lekarkę wojskową, którą pozna nasz Diemientij Trifonowicz.

- No, już on jej pokaże - dorzucił Sahajdak.

Gietmanow machnął ręką.

- E tam, przestańcie, inwalida ze mnie!

- Jak to? - zdziwił się Maszczuk. - A kto w Kisłowodzku wracał na salę o trzeciej w nocy?

Goście zarechotali, a Gietmanow przelotnie, ale bacznie spojrzął na brata żony.

Wróciła Galina Tierientjewna i widząc śmiejących się mężczyzn, zażartowała:

- Ledwie żona wyszła, a oni już mojego biednego Dimę uczą diabli wiedzą czego.

Gietmanow zaczął nalewać wódkę do kieliszków, a goście uważnie wybierali zakąski. Gospodarz popatrzył na portret Stalina, wiszący na ścianie, podniósł kieliszek i powiedział:

- Cóż, towarzysze, pierwszy toast za naszego ojca, niech się tam dobrze miewa.

Powiedział te słowa familiarnym, nieco prostackim tonem. Sens tej poufałości był taki, że biesiadnicy rozumieją wielkość Stalina, ale pijąc za niego, kochają w nim przede wszystkim zwyczajnego, skromnego i wrażliwego człowieka. Tak więc Stalin na portrecie mrużył oczy, oglądając stół i bujną pierś Galiny Tierientjewny, zdając się przy tym mówić: „Poczekajcie, kochani, tylko wypalę fajeczkę, i przysiadę się do was”.

- Tak, tak, haj żywe nasz baćko - rzekł brat gospodyni, Nikołaj Tierientjewicz. - Cóż byśmy bez niego zrobili?

Trzymając kieliszek przy ustach, spojrzął na Sahajdaka, czy ten czegoś nie powie, ale Sahajdak popatrzył na portret („Cóż tu, ojczu, dużo mówić, ty wiesz wszystko”) i wypił. Wszyscy wypili.

Diemientij Trifonowicz Gietmanow pochodził z Liwien w obwodzie woroneskim, ale dobrze znał towarzyszy ukraińskich, bo przez wiele lat prowadził pracę partyjną na Ukrainie. Jego związki z Kijowem umocnił ożenek z Galiną Tierientjewną - jej liczni krewni zajmowali prominentne stanowiska w tamtejszym aparacie partyjnym i państwowym.

Życie Diemientija Trifonowicza było dosyć ubogie w wydarzenia.



Nie brał udziału w wojnie domowej. Nie ścigali go żandarmi ani też sąd carski nigdy nie zesłał go na Syberię. Referaty na konferencjach i zjazdach zazwyczaj czytał z maszynopisu. Czytał dobrze, z emfazą, nie zacinał się, chociaż nie sam je pisał. Co prawda, czytać nie było trudno, bo drukowano tekst dużymi literami, z podwójnym odstępem, a nazwisko „Stalin” wypisywano specjalnie na czerwono. Kiedyś Gietmanow był roztropnym, zdyscyplinowanym chłopcem, chciał pójść na studia techniczne, ale skierowano go do pracy w organach bezpieczeństwa i w niedługi czas potem został osobistym ochroniarzem sekretarza komitetu krajowego. Następnie zwolniono go z tej funkcji i posłano do szkoły partyjnej, a po jej ukończeniu - do pracy w aparacie, najpierw do wydziału organizacyjno-instruktorskiego, potem do zarządu kadr Komitetu Centralnego. Po roku był już instruktorem wydziału kadr kierowniczych. A kiedy nadszedł rok 1937, w krótkim czasie został sekretarzem komitetu obwodowego partii, jak mówiono gospodarzem obwodu.

Jego słowo mogło zdecydować o losie kierownika katedry uniwersyteckiej, inżyniera, dyrektora banku, przewodniczącego związku zawodowego, o przyszłości spółdzielni produkcyjnej, przedstawienia teatralnego.

Zaufanie partii! Gietmanow znał wielkie znaczenie tych słów. Partia mu ufała! W dorobku jego życia nie było ani znakomitych książek, ani wielkich odkryć, ani wygranych bitew, a jednak całe to życie wypełniała praca - olbrzymia, uparta, celowa, praca szczególnej wagi, zawsze w napięciu, zawsze kosztem snu. Główny, najistotniejszy jej sens polegał na tym, że wykonywał ją na polecenie partii i w imię partyjnych interesów. A najważniejszą i najwyższą nagrodą za nią było jedno - zaufanie partii.

W interesie partii, w duchu partyjności, musiał podejmować wszelkie decyzje - czy to chodziło o los dziecka, które wysyła się do sierocińca, czy o reorganizację katedry biologii na uniwersytecie, czy, powiedzmy, usunięcie spółdzielni pracy, produkującej wyroby plastikowe, z pomieszczeń należących do biblioteki. Duchem partyjności musiał być przeniknięty stosunek działacza do sprawy, książki lub obrazu; działacz powinien zatem, choćby z nie wiem jak ciężkim sercem, bez wahania wycofać poparcie dla sprawy, na której mu zależy, albo potępić ulubioną książkę, jeśli interesy partii stałyby w sprzeczności z jego osobistymi sympatiami. Ale Gietmanow wiedział, że istnieje znacznie wyższy poziom partyjności; na tym poziomie człowiek już w ogóle nie ma sympatii ani sentymentów, które mogłyby kłócić się z partyjnym duchem. Jeśli cokolwiek byłoby bliskie działaczowi partyjnemu, byłoby mu bliskie właśnie dlatego, że wyraża ducha partyjności.

Niekiedy ciężkie, wręcz okrutne bywały ofiary, które Gietmanow ponosił, chcąc być wierny duchowi partyjności. Tutaj nie ma już człowiek ani ziomek, ani nauczycieli, którym coś zawdzięcza, tu nie wolno mu kierować się ani miłością, ani litością. Nie powinny go przerażać takie słowa jak: „odwrócił się”, „nie poparł”, „pograżył”, „zdradził”...

Ale duch partyjności przejawia się w tym, że żadna ofiara nie jest potrzebna; a niepotrzebna jest dlatego, że uczucia osobiste - miłość, przyjaźń, solidarność z ziomekami - nie mogą się oczywiście liczyć, jeśli sprzeczne są z duchem partyjności.

Ludzie nie dostrzegają pracy tych, którzy cieszą się zaufaniem partii.

A jest to praca ogromna - trzeba i umysł, i duszę oddawać jej szczerze, bez

reszty. Siła działacza partyjnego nie wymaga talentu badawczego czy pisarskiego. Stoi wyżej niż takie czy inne zdolności. Przywódczego, decydującego słowa Gietmanowa chciwie słuchało setki ludzi, mających talent naukowy, artystyczny lub literacki, chociaż on sam nie tylko nie umiał śpiewać, grać na fortepianie czy tworzyć spektakli teatralnych, ale niespecjalnie nawet znał się na nauce, poezji, muzyce, malarstwie...

Siła jego słowa brała się stąd, że partia powierzyła mu prowadzenie swoich interesów na odcinku kultury i sztuki.

Takim ogromem władzy, jaki przypadł w udziale jemu, sekretarzowi obwodowej organizacji partyjnej, nie dysponował chyba nigdy żaden trybun ludowy czy myśliciel.

Gietmanow miał wrażenie, że najgłębszy sens pojęcia „zaufanie partii” wyrażają poglądy, uczucia, opinie Stalina. W jego zaufaniu do swoich współbojowników, narkomów, marszałków zawierała się właśnie istota linii partyjnej.

Goście mówili przeważnie o nowej pracy w wojsku, która czekała Gietmanowa. Rozumieli, że Gietmanow mógł liczyć pewnie na wyższą nominację, ludzi z taką pozycją partyjną zazwyczaj mianowano członkami rad wojennych armii, a czasem nawet frontów.

Kiedy Gietmanow otrzymał przydział do korpusu, przestraszył się i zasmucił; dowiadywał się przez jednego ze swoich przyjaciół, członka biura organizacyjnego KC, czy nikt na górze nie ma w stosunku do niego jakichś zastrzeżeń. Ale chyba nic niepokojącego się nie działo.

Wówczas zaczął się pocieszać, szukać dobrych stron swojej nowej funkcji. Przecież wojska pancerne wpłyną zasadniczo na wynik wojny, będą więc działały na najważniejszych kierunkach. Do korpusu pancernego nie posyła się w końcu byle kogo; gdyby się nie liczył, zrobiliby go członkiem rady wojennej jakiejś nędznej armijki na drugorzędnym odcinku. W taki więc sposób partia okazała mu zaufanie. Ale mimo wszystko był zasmucony - bardzo by się cieszył, mogąc wkładać mundur, przeglądać się w lustrze i mówić o sobie: „Członek rady wojennej armii, komisarz brygadowy Gietmanow”.

Nie wiadomo czemu największą złość budził w nim dowódca korpusu, pułkownik Nowikow. Gietmanow dotąd go nie widział, ale z tego, co o nim wiedział i czego się wciąż jeszcze dowiadywał, nic mu się nie podobało.

Przyjaciele siedzący z nim przy stole rozumieli jego nastrój, starali się więc mówić mu o tej nominacji same przyjemne rzeczy.

Sahajdak powiedział, że korpus najprawdopodobniej zostanie skierowany pod Stalingrad, że dowódcę Frontu Stalingradzkiego, generała Jeriomienkę, towarzysza Stalin zna jeszcze z czasów wojny domowej, z Pierwszej Armii Konnej, często rozmawia z nim przez telefon wysokiej częstotliwości, a ilekroć generał bywa w Moskwie, towarzysza Stalin go przyjmuje... Niedawno dowódca frontu był na dacy u towarzysza Stalina pod Moskwą i rozmawiali dwie godziny. Dobrze jest walczyć pod dowództwem człowieka, do którego towarzysza Stalin żywi takie zaufanie.

Poza tym mówili, że Nikita Siergiejewicz Chruszczow pamięta Gietmanowa z pracy na Ukrainie i że dla Gietmanowa to duży sukces trafić na taki front, gdzie Nikita Siergiejewicz jest członkiem rady wojennej.

- Nieprzypadkowo - powiedział Nikołaj Tierientjewicz - towarzysz Stalin posłał do Stalingradu Nikitę Siergiejewicza; to decydujący front, kogo więc miał posłać?

Galina Tierientjewna spytała zaczepnie:

- A mojego Diemientija Trifonowicza to przypadkowo towarzysz Stalin posyła do korpusu pancernego?

- E tam - rzekł prostodusznie Gietmanow. - Trafić do korpusu to jak być pierwszym w obwodzie i zostać sekretarzem komitetu rejonowego. Nie ma powodów do radości.

- Nie, nie - poważnie rzekł Sahajdak. - W tej nominacji wyraża się zaufanie partii. Zgoda, to komitet rejonowy, tyle że wcale nie zwyczajny, wiejski, ale magnitogorski, dniprodzierżyński. To nie jakiś tam zwykły korpus, tylko pancerny!

Maszczuk powiedział, że w korpusie, do którego Gietmanow jedzie jako komisarz, dowódcę mianowano niedawno; nie dowodził przedtem żadnymi jednostkami. Powiedział mu o tym pracownik frontowego wydziału specjalnego, niedawno przybyły do Ufy.

- I co mi jeszcze mówił... - dodał Maszczuk, po czym sam sobie przerwał: - Ale co ja będę wam opowiadał, Diemientiju Trifonowiczu, wy z pewnością wiecie o nim więcej, niż on sam wie o sobie.

Gietmanow zmrużył swoje i bez tego wąskie, przenikliwe, inteligentne oczy, poruszył mięsistymi nozdrzami i powiedział: - Ano więcej.

Maszczuk ledwie dostrzegalnie się uśmiechnął, a wszyscy siedzący przy stole zauważyli ten uśmieszek. Dziwna, zdumiewająca sprawa: chociaż Maszczuk był dobrym znajomym Gietmanowów i zwykle podczas spotkań zachowywał się skromnie, był sympatyczny, lubił pożartować, mimo to oboje małżonkowie czuli jakieś napięcie, słuchając jego łagodnego, przymilnego głosu, patrząc na ciemne, spokojne oczy i bladą, pociągłą twarz. Sam Gietmanow nie dziwił się temu uczuciu, bo znał siłę, jaka stała za Maszczukiem, wiedzącym niekiedy o takich rzeczach, o których nawet on nie wiedział.

- A co to za człowiek? - spytał Sahajdak.

Gietmanow odpowiedział lekceważąco:

- Taki... wyniesiony przez wojnę, przedtem niczym szczególnym się nie wyróżnił.

- Nie był w nomenklaturze? - zdziwił się brat pani domu.

- W jakiej tam nomenklaturze. - Gietmanow machnął ręką. - Tyle że człowiek pożyteczny, mówią, że niezły czołgista. Szefem sztabu korpusu jest generał Nieudobnow. Poznałem go na osiemnastym zjeździe partii. Chłop do rzeczy.

Maszczuk powiedział na to:

- Nieudobnow, Iłarion Innokientjewicz? No, jeszcze jak do rzeczy! U niego zaczynałem pracę, potem los nas rzucił w różne strony. Przed wojną spotkałem się z nim u Berii w gabinecie.

- Co z tego, że w różne - powiedział Sahajdak z uśmiechem. - Musisz do tego

podejść dialektycznie, szukać tożsamości i jedności, a nie przeciwieństw.

Maszczyk zauważył:

- Dziwacznie się wszystko układa w czasie wojny: jakiś pułkownik dowodzi korpusem, a Nieudobnow jest jego podwładnym!

- Nie ma doświadczenia wojskowego. Trzeba to brać pod uwagę - wyjaśnił Gietmanow.

Ale Maszczyk nadal się dziwił:

- To chyba żarty... Nieudobnow... Od jednego jego słowa ile zależało! Członek partii z przedrewolucyjnym stażem, olbrzymie doświadczenie w pracy wojskowej i państwowej! Kiedyś nawet myśleliśmy, że będzie członkiem kolegium.

Reszta gości go poparła.

Współczucie w stosunku do Gietmanowa zebrani mogli teraz wyrazić okreśną drogą poprzez współczucie dla Nieudobnowa.

- Tak, poplątała wszystko ta wojna... Niechby już się wreszcie skończyła - westchnął brat pani domu.

Gietmanow wysunął rękę z rozczapierzonymi palcami w stronę Sahajdaka i zapytał:

- Znaście Krymowa, z Moskwy? Miał w Kijowie odczyt o sytuacji międzynarodowej na grupie lektorskiej KC?

- Przed wojną? Ten z odchyleniem lewicowym? Który kiedyś pracował w Kominternie?

- Tak, właśnie on. No więc ten mój dowódca korpusu zamierza się ożenić z jego byłą żoną.

Nowina nie wiadomo czemu wszystkich rozweseliła, chociaż nikt nie znał byłej żony Krymowa ani dowódcy, który chciał się z nią żenić.

Maszczyk powiedział:

- Tak, Dima nie na darmo pierwsze szlify zdobywał u nas w organach. Już wie o ożenku.

- Ma się te sposoby, powiedzmy szczerze - powiedział Nikołaj Tierientjewicz.

- A jakże... Naczelne Dowództwo nie lubi fajtłapów.

- No pewnie... Nasz Gietmanow fajtłapą nie jest - zauważył Sahajdak.

Maszczyk powiedział tonem poważnym i urzędowym, jakby nagle przeniósł się do swojego gabinetu:

- Tego Krymowa pamiętam, jeszcze jak był u nas w Kijowie. Niewyraźny. Od bardzo dawna ma pełno różnych znajomości i z prawicowcami, i z trockistami. A jak dobrze pogrzebać, to pewnie...

Mówił szczerze, otwarcie; tak samo mógłby mówić o swojej pracy dyrektor zakładów dziewiarskich albo wykładowca szkoły inżynierskiej. Ale wszyscy rozumieli, że ta prostota i swoboda są tylko pozorem Maszczyk bowiem jak nikt wiedział, co

wolno, a czego nie wolno powiedzieć. Gietmanow zaś, który sam lubił oszołomić rozmówcę śmiałością, prostotą i szczerością, dobrze rozumiał, co kryje się głęboko pod powierzchnią ożywionej, bezpośredniej rozmowy.

Sahajdak, który na co dzień był bardziej zajęty, zatroskany i poważniejszy od innych gości, nie chciał rozstawać się z lekkim nastrojem, więc żartobliwie zwrócił się do Gietmanowa:

- Cóż, widocznie żona rzuciła go jako niewystarczająco sprawdzonego.

- Dobrze, jeśli dlatego - odparł Gietmanow - ale mnie nie podoba się, że ten mój dowódca żeni się z kimś całkiem obcym.

- No i co z tego, też masz się czym martwić - wtrąciła Galina Tierientjewna. - Najważniejsze, żeby się nawzajem kochali.

- Miłość, oczywiście, to podstawa; o tym akurat wszyscy pamiętają - powiedział Gietmanow. - Ale są jeszcze sprawy, o których zdarza się ludziom radzieckim zapominać.

- To prawda - potwierdził Maszczuk. - Nie powinniśmy zapominać o niczym.

- Potem się dziwią, dlaczego KC nie zatwierdziło, dlaczego to, dlaczego tamto. A nie pamiętają, co znaczy zaufanie.

Nagle Galina Tierientjewna śpiwnym głosem wyraziła zdumienie:

- Dziwnie się słucha waszej rozmowy. Tak jakby nie było wojny, a jedyny kłopot to: z kim ma się ożenić dowódca korpusu i kto był mężem jego przyszłej żony. Z kim ty właściwie, Dima, zamierzasz walczyć?

Obrzuciła mężczyznę kpiącym spojrzeniem, a jej ładne piwne oczy wydały się w jakiś sposób podobne do wąskich oczu męża; pewnie właśnie dzięki swej przenikliwości.

W głosie Sahajdaka zadźwięczał smutek:

- Gdzieżby tam... Zapomnieć o wojnie... Ze wszystkich stron nasi bracia i synowie wyruszają na wojnę - od najmniejszej kołchozowej chaty po Kreml. To wojna i wielka, i narodowa.

- Syn towarzysza Stalina, Wasilij, jest lotnikiem, lata na myśliwcach, towarzysz Mikojan też ma syna w lotnictwie, a syn Ławrientija Pawłowicza Berii, jak słyszałem, również walczy na froncie, tylko nie wiem, w jakiej formacji. Timur Frunze jest lejtnantem, zdaje się, piechoty... Poza tym syn tej... Dolores Ibarurri zginął pod Stalingradem.

- Towarzysz Stalin ma dwóch synów na wojnie - sprostował brat gospodyni. - Drugi, Jakow, to artylerzysta, dowodził baterią. A właściwie pierwszy; Waśka jest młodszy, a on starszy. Biedny chłopak, trafił do niewoli.

Umilkł, czując, że poruszył temat, o którym, według starszych towarzyszy, nie należało mówić.

Pragnąc złagodzić napięcie, Nikołaj Tierientjewicz dodał prostodusznie i beztrasko:

- Teraz Niemcy zrzucają ulotki, kłamią bezczelnie, że Jakow Stalin chętnie zdradza im tajemnice wojskowe.

Ale pustka wokół niego zrobiła się jeszcze bardziej przykra. Powiedział coś, o czym nie wolno było wspominać ani żartem, ani serio; coś, o czym należało milczeć. Gdyby komukolwiek strzeliło do głowy oburzyć się na plotki dotyczące małżeństwa Josifa Wissarionowicza Stalina, to taki szczerzy demaskator plotek popełniłby nie mniejszą nieostrożność niż ten, kto plotki rozsiewa - sama rozmowa na ten temat była niedopuszczalna.

Gietmanow nagle zwrócił się do żony, mówiąc:

- Serce moje, gdzie sprawę wziął w swoje ręce towarzysz Stalin, i w dodatku tak mocno, tam już niech się Niemcy martwią.

A Nikołaj Tierientjewicz spotkał się skruszonym spojrzeniem ze wzrokiem Gietmanowa. Ale oczywiście, nie w ciemną bici ludzie siedzieli przy stole; nie po to się spotkali, żeby z gąfy, której byli świadkami, robić coś poważnego - sprawę.

Sahajdak powiedział dobrodusznym, koleżeńskim tonem, broniąc jakby Nikołaja Tierientjewicza przed niezadowolaniem Gietmanowa:

- To racja, a my lepiej dbajmy o to, żeby nie narobić czegoś głupiego na swoim własnym odcinku.

- I nie paplać za dużo - dodał Gietmanow.

Przez to, że niemal wprost wypowiedział przyganę, a nie przemilczał sprawy, dał poznać, że wybacza Nikołajowi Tierientjewiczowi, więc Sahajdak i Maszczuk pokiwali głowami z aprobatą.

Nikołaj Tierientjewicz wiedział, że jego drobna niezręczność zostanie zapomniana, ale wiedział też, że nie do końca. Jeśli kiedyś ktoś zacznie rozmowę o kadrach, o awansach, o szczególnie odpowiedzialnej misji, to przy nazwisku Nikołaja Tierientjewicza i Gietmanow, i Sahajdak, i Maszczuk pokiwiają głowami, a potem leciutko się uśmiechną i na pytanie upartego rozmówcy odpowiedzą: „Może odrobinę lekkomyślny” i pokażą tę odrobinę na końcu małego palca.

W głębi duszy wszyscy wiedzieli, że Niemcy nie tak bardzo kłamią w sprawie Jakowa. Ale właśnie dlatego nie należało poruszać tematu.

Szczególnie dobrze orientował się w takich sprawach Sahajdak. Przez długi czas pracował w gazecie, najpierw kierując działem informacji, następnie działem wiejskim, a potem przez mniej więcej dwa lata był redaktorem gazety republikańskiej. Uważał, że głównym jej celem jest wychowanie czytelnika, a nie chaotyczne podawanie wszystkich informacji o najróżniejszych, często przypadkowych wydarzeniach. Jeśli redaktor Sahajdak sądził, że jakieś fakty trzeba pominąć, przemilczeć nieurodzaj, niesłuszny ideowo poemat, formalistyczny obraz, pomór bydła, trzęsienie ziemi, zatonięcie okrętu, falę oceaniczną, która zmyła z powierzchni ziemi tysiąc osób, albo straszliwy pożar w kopalni - to nie przydawał im żadnego znaczenia; był zdania, że nie powinien nimi zaprzętać umysłów czytelników, dziennikarzy i literatów. Niekiedy musiał jednak wytłumaczyć takie czy inne zdarzenie z życia.

Wyjaśnienie było wówczas zaskakująco śmiałe, niezwykle, sprzeczne z potocznymi wyobrażeniami. Wydawało się Sahajdakowi, że jego redaktorskie zalety,

wiedza, doświadczenie wyrażają się w tym, że potrafi zaszcześcić w świadomości czytelników odpowiednie, służące celom wychowawczym poglądy.

Kiedy w czasie powszechnej kolektywizacji dopuszczono się dużych przегięć, a Stalin nie ogłosił jeszcze artykułu *Zawrót głowy od sukcesów*, Sahajdak pisał, że głód w czasie kolektywizacji powstał dlatego, że kułacy naumyślnie zakopywali ziarno, naumyślnie nie jedli chleba i dlatego puchli z głodu, na złość państwu umierali całymi wsiami, wraz z małymi dziećmi, kobietami i starcami.

I zaraz obok zamieszczał reportaże opisujące, jak to w żłobkach kołchozowych dzieci codziennie dostają rosół z kury, pierożki i kotlety z ryżu. A one tymczasem naprawdę puchły z głodu i umierały.

Zaczęła się wojna, jedna z najokrutniejszych i najstraszniejszych, jakich doświadczyła Rosja w ciągu tysiąca lat swego istnienia. W wyjątkowo ciężkich pierwszych tygodniach i miesiącach na plan pierwszy wysunął się realny, prawdziwy, rozstrzygający bieg wydarzeń, wojna decydowała o losach wszystkich, nawet o losach partii. Ten decydujący czas minął. Od razu więc dramaturg Kornijczuk wyjaśnił w sztuce *Front*, że porażki wojenne były winą głupich generałów, nieudolnie wykonujących polecenia Naczelnego Dowództwa, które nie myli się nigdy.

Tego wieczoru nie tylko Nikołaj Tierientjewicz musiał przeżyć przykre chwile.

Maszcuk, przerzucając wielki, oprawiony w skórę album z fotografiami na grubych kartach, nagle tak znacząco podniósł brwi, że wszyscy mimo woli popatrzyli w tę stronę. Na zdjęciu widoczny był Gietmanow w półwojskowej bluzie; siedział w swoim przedwojennym gabinecie, za rozległym jak step biurkiem, a nad nim wisiał ogromny portret Stalina, taki, jaki może wisieć tylko w gabinecie sekretarza komitetu obwodowego. Stalin na portrecie miał twarz pomalowaną kredkami, dorysowaną granatową szpicbródkę, a w uszach - błękitne kolczyki.

- No, cóż to za chłopak! - wykrzyknął Gietmanow i jakoś po babsku załamał rękę.

Galina Tierientjewna zmieszała się i powtarzała, patrząc w twarze gości:

- A przecież jeszcze wczoraj przed zaśnięciem mówił: „Kocham wujka Stalina tak samo jak tatę”.

- To przecież dziecinne wygłupy - powiedział Sahajdak.

- Nie, to nie wygłupy, tylko zwykłe chuligaństwo - westchnął Gietmanow.

Popatrzył na Maszczuka niepewnym wzrokiem. Obaj równocześnie przypomnieli sobie ten sam przypadek sprzed wojny - bratanek ich krajana, student politechniki, w akademiku strzelił z wiatrówki do portretu Stalina. Wiedzieli, że student się wygłupiał, że nie strzelał z żadnych powodów terrorystycznych czy politycznych. Ten ich krajana, człowiek znany, dyrektor centrali międzymiastowej, prosił Gietmanowa o ratunek dla chłopaka. Po posiedzeniu biura obkomu Gietmanow rozmawiał o tej sprawie z Maszczukiem.

Maszcuk odpowiedział wtedy:

- Diemientiju Trifonowiczu, przecież nie jesteśmy dziećmi... Winny, niewinny, jakie to ma znaczenie? Jeśli umorzę tę sprawę, jutro do Moskwy, może nawet do

samego Ławrientija Pawłowicza, dotrze wiadomość: Maszczuk liberalnie potraktował fakt, że ktoś strzela do portretu wielkiego Stalina. Dzisiaj urzęduję w tym gabinecie, a jutro mogę być ostatnim śmieciem w łagrze. Chcecie wziąć na siebie odpowiedzialność? To o was powiedzą: „Dziś do portretu, a jutro nie do portretu. Gietmanow ma jakąś dziwną słabość do tego chłopaka, to może i sam wyczyn mu się podoba”. Tak? Bierzecie to na siebie?

Po miesiącu czy dwóch Gietmanow spytał Maszczuka:

- No i co tam z naszym strzelcem?

Maszczuk, patrząc na niego spokojnym wzrokiem, odrzekł:

- Nie warto o niego pytać, okazało się, że to łajdak, kułacki pomiot przyznał się w śledztwie.

Teraz także Gietmanow, z niepokojem patrząc na Maszczuka, powtórzył:

- Nie, to nie wygłupy.

- E tam - zaproponował Maszczuk. - Chłopak ma cztery lata, nie można o tym zapominać.

Sahajdak zwierzył im się z takim rozrzewnieniem, że wszyscy poczuli je w jego słowach:

- Powiem szczerze: nie jestem dość silny, żeby zachowywać pryncypialność w stosunku do dzieci... Powinienem, ale nie mam siły. Dbam tylko, żeby były zdrowe...

Wszyscy popatrzyli na niego ze współczuciem. Nie miał szczęścia jako ojciec. Jego starszy syn, Witalij, jeszcze będąc w dziewiątej klasie, zachowywał się po chuligańsku - kiedyś zatrzymała go milicja za udział w restauracyjnej awanturze; ojciec musiał dzwonić do zastępcy narkoma spraw wewnętrznych, tuszować skandal, w który zamieszane były dzieci prominentów: synowie generałów, akademików, córka pisarza, córka narkoma rolnictwa. Kiedy wybuchła wojna, młody Sahajdak zaprzagnął zgłosić się do wojska jako ochotnik, więc ojciec załatwił mu miejsce w dwuletniej szkole artylerii. Witalija wyrzucono stamtąd za brak dyscypliny; groziło mu wysłanie z kompanią marszową na front.

Teraz młody Sahajdak już od miesiąca uczył się w szkole móździerzystów i, jak dotąd, nie było z nim żadnych kłopotów - ku radości ojca i matki, którzy jednak oprócz nadziei musieli czuć w duchu niepokój.

Drugi syn Sahajdaka, Igor, w wieku dwóch lat został dotknięty paraliżem dziecięcym, którego następstwa zmieniły go w kalekę. Poruszał się o kulach, nie miał czucia w suchych, cienkich nóżkach. Igorek nie mógł uczęszczać do szkoły, nauczyciele przychodzili do domu, ale uczył się pilnie i chętnie.

Nie tylko na Ukrainie, ale i w Moskwie, Leningradzie czy Tomsku nie było ani jednego znanego neurologa, którego nie radziliby się rodzice w sprawie Igorka. Nie było też nowego zagranicznego lekarstwa, którego nie zdobyłby Sahajdak przez przedstawicielstwa handlowe czy ambasady. Wiedział, że można i należy mu zarzucać nadmiar rodzicielskiej miłości. Równocześnie jednak był świadkiem, że jego grzech nie jest śmiertelny. Przecież widział, jak silne są uczucia ojcowskie u niektórych działaczy obwodu, mógł więc chyba liczyć na to, że ludzie nowego typu szczególnie mocno



kochają swoje dzieci. Wiedział, że i jemu wybaczą znachorkę sprowadzoną do Igora samolotem z Odessy, i zioło od jakiegoś dalekowschodniego mędrca, które wysłano kurierem do Kijowa.

- Nasi przywódcy to wyjątkowi ludzie - powiedział Sahajdak. - Nie mówię o towarzyszu Stalinie, to przecież oczywiste, ale jego najbliżsi współpracownicy... Zawsze potrafią, nawet w takiej sprawie, postawić wyżej partię niż uczucia ojcowskie.

- Tak, ale rozumieją, że nie od każdego można tyle wymagać - wtrącił Gietmanow i przypomniał, jak surowo jeden z sekretarzy KC potraktował syna, gdy ten coś przeszkrobał.

Rozmowa o dzieciach przybrała inny ton, pełen serdeczności i prostoty. Wydawało się, że cała wewnętrzna siła tych ludzi, cała ich radość, zależy tylko od tego, czy ich Tanieczki i Witalikowie mają zdrowe rumieńce, czy przynoszą dobre stopnie ze szkoły, czy ich Władimirowie i Ludmiły zdają kolejne egzaminy.

Galina Tierientjewna zaczęła mówić o córkach:

- Swietłanka do czterech lat była słabego zdrowia. Co rusz zapalenie okrężnicy, wymęczyło się dziecko. A wyleczyli ją w końcu tartymi surowymi jabłkami.

Gietmanow dodał:

- Dzisiaj przed wyjściem do szkoły powiedziała mi: „Mnie i Zoję nazywają w klasie generalskimi córami! A Zoja, bezczelna, w śmiech: «Też mi wielki zaszczyt - córka generała! W naszej klasie jest córka marszałka, naprawdę!»"

- Widzicie - powiedział wesoło Sahajdak. - Nie dogodzisz im. Igor dopiero co mi oświadczył: „Trzeci sekretarz, też mi coś - zwykła płotka”.

Nikołaj też mógłby opowiedzieć o swoich dzieciach wiele zabawnych rzeczy, ale wiedział, że nie powinien podkreślać, jakie zmyślne są jego dzieciaki, kiedy mówi się o zmyślności syna Sahajdaka i córkach Gietmanowa.

Maszcuk powiedział w zadumie:

- Nasi baćkowie na wsi z dziećmi się nie patyczkowali.

- A jednak kochali dzieci - dorzucił brat pani domu.

- Kochali, pewnie, że kochali, ale i bili, mnie przynajmniej.

Odezwał się Gietmanow:

- Przypomniało mi się, jak mój zmarły ojciec poszedł na wojnę w piętnastym roku. Poważnie mówię, dosłużył się podoficera, dwa Krzyże Jerzego dostał. Matka go wyprawiła, włożyła mu do worka onuce, kufajkę, dała na drogę jajek na twardo, chleba, a my z siostrą leżeliśmy na pryczy i patrzyli, jak o świcie ojciec siedzi przy stole po raz ostatni. Przedtem nanosił wody do beczutki, co stała w sieni, narąbał drew. Matka potem ciągle to wspominała.

Popatrzył na zegar i powiedział:

- Ho, ho...

- To znaczy jutro - powiedział Sahajdak i wstał.

- Samolot odlatuje punkt siódma.

- Z cywilnego? - spytał Maszczuk.

Gietmanow kiwnął głową.

- To i lepiej - powiedział Nikołaj Tierientjewicz i też się podniósł - bo do wojskowego jest piętnaście kilometrów.

- Jakie to może mieć znaczenie dla żołnierza? - spytał Gietmanow.

Zaczęli się żegnać, znowu się ożywili, roześmiali, uściskali, a już w korytarzu, kiedy goście stali w płaszczach i czapkach, gospodarz powiedział:

- Do wszystkiego żołnierz może się przyzwyczaić, w dymie się grzeje, a szydłem goli. Ale żyć w rozłące z dziećmi - do tego nigdy nie przywyknie.

Po jego głosie, po wyrazie twarzy, po tym, jak patrzyli na niego wychodzący goście, widać było, że teraz na pewno nie żartuje.

## 22

W nocy Diemientij Trifonowicz, już w wojskowym mundurze, pisał coś przy biurku. Żona siedziała obok niego w szlafroku i śledziła ruchy jego ręki. Gietmanow złożył kartkę i powiedział:

- To do szefa krajowego wydziału zdrowia, jeśli będziesz musiała skorzystać ze specjalnego leczenia i wyjazdów na konsultacje. Brat załatwi ci przepustkę, a on tylko da skierowanie.

- A napisałeś mi upoważnienie na przydziały? - spytała żona.

- To niepotrzebne - odpowiedział. - Zadzwoń do kierownika w obkomie, a jeszcze lepiej do samego Puziczenki, on załatwi sprawę.

Przejrzał stos napisanych listów, upoważnień, notatek i powiedział:

- No, to chyba wszystko.

Zamilkli oboje.

- Boję się o ciebie, kochany - wyznała żona. - Przecież idziesz na wojnę.

Wstał i powiedział:

- Dbaj o siebie, dbaj o dzieci. Włożyłaś koniak do walizki?

- Włożyłam, włożyłam - zapewniła. - Pamiętasz, dwa lata temu tak samo o świcie wypisywałeś mi upoważnienia, jak odlatywałeś do Kisłowodzka?

- W Kisłowodzku są teraz Niemcy.

Przeszedł się po pokoju, nasłuchując.

- Śpią?

- No jasne, że śpią - powiedziała Galina Tierientjewna.

Poszli do pokoju dzieci. Dziwny był widok tych dwóch tęgich, masywnych postaci, bezszelestnie poruszających się w półmroku. Na białym płótnie poduszek ciemniały głowy dzieciaków... Gietmanow wsłuchiwał się w ich oddechy.

Przycisnął dłoń do piersi, żeby nie budzić śpiących głośnym biciem serca. W

ciemności ogarnęła go niesamowita, przesywająca na wskroś czułość, litość, obawa o dzieci. Strasznie chciał uściskać syna, córki, ucałować ich zaspane twarze. Tutaj odczuwał bezradną, niewyrachowaną miłość, tutaj gubił się, stał zmieszany, słaby.

Nie przerażały go myśli o całkiem nowej pracy, która nań czekała. Często musiał stykać się z zupełnie nowymi zagadnieniami, ale łatwo znajdował słuszną linię, właśnie tę, która jest najważniejsza. Wiedział, że zdoła tego dokonać nawet w korpusie pancernym. Ale tutaj - jak miał połączyć żelazną surowość, nieugiętość z czułością, miłością, nieznającą ani prawa, ani słusznej linii.

Obejrzał się na żonę. Stała, po wiejsku podparwszy policzek dłonią. W półmroku jej twarz wydawała się szczuplejsza, młodszą; taka była wtedy, gdy po raz pierwszy po ślubie pojechali nad morze i mieszkali tuż nad jego urwistym brzegiem, w sanatorium „Ukraina”.

Pod oknem delikatnie zatrąbił samochód - to przyjechali po niego z obkomu. Gietmanow znowu odwrócił się do dzieci i rozłożył ręce w tym geście wyrażając swoją bezsilność wobec uczucia, z którym nie mógł sobie poradzić.

W korytarzu, po pożegnalnych słowach i pocałunkach, włożył półkożuszek, papachę, i stał, czekając, aż kierowca wyniesie walizki.

- No dobrze - powiedział i nagle zdjął z głowy czapkę, podszedł do żony, znowu ją uściskał. To nowe, ostatnie pożegnanie, kiedy przez uchylone drzwi, mieszając się z domowym ciepłem, wdzierało się do środka wilgotne i zimne powietrze z ulicy, kiedy szorstka, garbowana skóra półkożuszka dotknęła pachnącego jedwabiu szlafroka, obojgu uświadomiło, że życie, które wydawało im się jednością, rozpadło się nagle, napełniając smutkiem ich serca.

## 23

Jewgienia Nikołajewna Szaposznikow zamieszkała w Kujbyszewie u starej Niemki Jenny Gienrichowny Gienrichson, w dawnych czasach pracującej jako piastunka i wychowawczyni w domu Szaposznikowów.

Po Stalingradzie dziwnie mieszkało się Jewgienii Nikołajewnie w cichym pokoiku, razem ze staruszką, która z kolei nie mogła wyjść z podziwu, że mała dziewczynka z warkoczykami jest już dorosłą kobietą.

Pokoik Jenny Gienrichowny był dość ciemny, niegdyś mieszkała tu służąca rodziny kupieckiej. Teraz w każdym z pokojów dawnego dużego mieszkania zakwaterowano jedną rodzinę, a dodatkowo każdy z nich podzielono za pomocą parawaników, zasłonek, kilimów, oparc i kanap na kąciki i komórki, w których spano, jedzono obiady, przyjmowano gości albo gdzie na przykład pielęgniarka robiła zastrzyki sparaliżowanemu staruszkowi.

Wieczorami kuchnia aż huczała, tylu mieszkańców z niej korzystało. Jewgienii Nikołajewnie podobała się ta kuchnia z zakopconym sufitem, czerwono-czarne płomienie maszynek naftowych. Pośród bielizny schnącej na sznurkach hałasowali mieszkańcy w szlafrokach, waciakach, bluzach wojskowych; błyskały nawet noże. Dookoła unosiły się kłęby pary; to kobiety prały w miednicach i korytach. W sporym piecu kuchennym nigdy nie palono, jego zimne, obłożone kaflami ściany bieleły się niby ośnieżone zbocza wulkanu wygasłego w którejś z dawnych epok geologicznych.

W mieszkaniu ulokowała się rodzina ładowacza, który walczył teraz z Niemcami, lekarz ginekolog, inżynier z fabryki o zaszyfrowanej nazwie, samotna matka - kasjerka ze sklepu przydziałowego, wdowa po fryzjerze, który poległ na wojnie, naczelnik poczty, a największy pokój, niegdyś salon, zajmował dyrektor przychodni.

Mieszkanie było duże jak miasto, miało nawet własnego mieszkaniowego wariata - cichego staruszka o oczach sympatycznego szczeniaczka.

Ludzie żyli w ciasnocie, ale bynajmniej nie w zgodzie, kłócili się i znowu godzili; zazdrośnie strzegli przed sobą nawzajem sekretów własnego życia, a równocześnie głośno i hojnie dzielili się nimi z sąsiadami.

Jewgienia Nikołajewna miała ochotę namalować nie sprzęty, nie mieszkańców, ale uczucie, jakie to wszystko w niej wywoływało.

A było ono bardzo skomplikowane; zdawało się, że nawet wybitny malarz nie umiałby go oddać. Powstawało w wyniku połączenia potężnej siły wojennej narodu i państwa z tą ciemną kuchnią, nędzą, plotkami, małostkowością, połączenia stali bomb i pocisków z kuchennymi garami i obierzynami kartofli.

To uczucie łamało linię, zniekształcało kontury, łączyło się w jakiś na pozór bezsensowny zbiór porzbijanych obrazów i plam świetlnych.

Staruszka Gienrichson była istotą nieśmiałą, łagodną i usłużną. Nosiła czarną suknię z białym kołnierzykiem; miała nieodmiennie rumiane policzki, chociaż zawsze chodziła na wpół głodna. W jej głowie żyły wspomnienia o wybrykach pierwszoklasistki Ludmiły, o tym, jak śmiesznie wymawiała słowa mała Marusia, jak dwuletni Mitia wchodził do jadalni w fartuszkach, klaskał w rączki i wołał: „Bobiadu, bobiadu!” Jenny Gienrichsona pracowała teraz jako dochodząca pomoc domowa u pewnej dentystki i opiekowała się jej chorą matką.

Miejski wydział zdrowia wysyłał jej pracodawczynię na pięć czy sześć dni w teren, a wtedy Jenny Gienrichsona nocowała u niej, żeby pomagać bezradnej staruszce, z trudem poruszającej się po niedawnym wylewie.

Jenny Gienrichsona wyzuta była z wszelkiego poczucia własnej woli - cały czas tłumaczyła się przed Jewgienią Nikołajewną, pytała ją, czy może otworzyć lufcik, co miało związek z wyczynami starego trójkolorowego kota. On właśnie był głównym obiektem jej zainteresowania - bała się, żeby sąsiedzi nie zrobili mu krzywdy.

Sąsiad z mieszkania, inżynier Dragin, kierownik wydziału w fabryce, patrzył ze złośliwym uśmieszkiem na jej pooraną zmarszczkami twarz, na panieńsko smukłą, zasuszoną kibić, na jej pince-nez, wiszące na czarnym sznureczku. Jego plebejska natura burzyła się, kiedy słyszał, że stara oddaje się wspomnieniom przeszłości i z błogim uśmiechem idiotki opowiada, jak swoich przedrewolucyjnych wychowanków wozila na spacerach kareta, jak towarzyszyła madame w wojażach do Wenecji, Paryża i Wiednia. Liczne „maleństwa” które wyniańczyła, walczyły u Denikina, Wrangla, zginęły z rąk czerwonych zuchów, ale staruszkę interesowały tylko wspomnienia o szkarlatynie, dyfteryście i infekcjach, na które cierpieli malcy.

Jewgienia Nikołajewna mówiła do Dragina:

- W życiu nie spotkałam kogoś tak nieszkodliwego, tak łagodnego jak ona. Niech mi pan wierzy, jest lepszym człowiekiem niż wszyscy tutejsi mieszkańcy.

Dragin po męsku otwarcie, wręcz bezczelnie, mierzył wzrokiem Jewgienię Nikołajewnę i odpowiadał:

- Tere-fere kuku. Za powierzchnię mieszkaniową zapredaliście się Niemcom, towarzyszek Szaposznikow.

Jenny Gienrichowna najwyraźniej nie lubiła zdrowych dzieci. Najczęściej więc opowiadała Jewgienii Nikołajewnie o najmizerniejszym ze swoich wychowanków, przechowywała jego rysunki, zeszyty i zaczynała płakać za każdym razem, kiedy opowieść dochodziła do chwili śmierci owego cichego dziecka.

U Szaposznikowów mieszkała wiele lat temu, ale pamiętała wszystkie imiona i przezwiska dzieci, zapłakała więc, kiedy dowiedziała się o śmierci Marusi; ciągle ślęczała nad listem do Aleksandry Władimirowny do Kazania, ale w żaden sposób nie udawało jej się go dokończyć.

Na ikrę szczupaka mówiła „kawiar”; opowiadała Żeni, jak jej przedrewolucyjni wychowankowie dostawali na śniadanie filiżankę mocnego bulionu i plaster jeleniego mięsa.

Własny przydział żywności dawała do zjedzenia kotu, którego nazywała swoim „kochanym, srebrnym dzieckiem”. Kot ją uwielbiał i chociaż było z niego ordynarne, ponure bydlę, to na widok starej przechodził przemianę wewnętrzną, robił się miły, wesoły.

Dragin ciągle wypytywał Jenny, co sądzi o Hitlerze: „Co, pewnie się pani podoba?”, ale chytra staruszka zadeklarowała się jako antyfaszystka i nazywała fuhrera ludożercą.

Poza tym nie było z niej żadnego pożytku - nie umiała pracować, gotować, a kiedy szła do sklepu po zapalki, to sprzedawca zawsze musiał przy okazji odciąć z jej kartki miesięczny przydział cukru albo mięsa.

Dzisiejsze dzieci zupełnie nie przypominały jej podopiecznych z czasów, które nazywała „spokojnymi”. Wszystko się zmieniło, nawet zabawy - dziewczynki w „spokojnych” czasach grały w serso, lakierowanymi kijkami ze sznurkiem podrzucały gumowe diablo, bawiły się miękką malowaną piłką, którą nosiły w białej siatce. Dzisiejsze zaś uznawały tylko siatkówkę, pływały po kozacku, a zimą w spodniach narciarskich grały w hokeja, darły się i gwizdały. Górowały nad Jenny Genrichowną wiedzą o alimentach, skrobankach, o kartkach, psim śwędem zdobytych i zarejestrowanych, o starszych lejtnantach i podpułkownikach, którzy cudzym żonom przywozili z wojny tłuszcze i konserwy.

Jewgienia Nikołajewna lubiła, kiedy stara Niemka opowiadała o jej własnych, Jewgienii, latach dziecięcych, o ojcu, o bracie Dmitriju, którego Jenny Gienrichowna wyjątkowo dobrze pamiętała - przebył przy niej koklusz i dyfteryt.

Kiedyś staruszka powiedziała:

- Pamiętam swoich ostatnich państwa w roku siedemnastym. Monsieur był kolegą ministra finansów - chodził po jadalni i mówił: „Wszystko przepadło, podpalają majątki, fabryki stoją, waluta upadła, sejfy okradzione”. No i tak samo jak u was rodzina się rozpadła. Monsieur, madame i mademoiselle pojechali do Szwecji, mój wychowanek poszedł jako ochotnik do generała Kornilowa, a madame płakała: „Całymi

dniami się żegnamy - to już koniec".

Jewgienia Nikołajewna uśmiechnęła się smutno i nic nie odpowiedziała.

Któregoś wieczoru pojawił się dzielnicowy i wręczył Jenny Gienrichownie wezwanie. Stara Niemka włożyła kapelusik z białym kwiatkiem i poprosiwszy Żenieczkę, żeby dała jeść kotu, poszła na milicję. Stamtąd miała iść prosto do swojej dentystki; obiecała wrócić nazajutrz.

Kiedy Jewgienia Nikołajewna przyszła po pracy do domu, zastała pokój przewrócony do góry nogami; sąsiedzi powiedzieli, że Jenny Gienrichownę zabrała milicja. Jewgienia Nikołajewna poszła się dowiedzieć, co się z nią stało. Na milicji powiedziano jej, że staruszka jedzie pociągiem na północ razem z innymi Niemcami.

Następnego dnia pojawił się dzielnicowy w towarzystwie gospodarza domu, zabrali opieczętowany kosz, pełen starych szmatek, pożółkłych fotografii i listów.

Żenia poszła do NKWD, żeby dowiedzieć się, jak może przekazać starej ciepłą chustkę. Człowiek w okienku spytał ją:

- A wy kim jesteście, Niemką?

- Nie, Rosjanką.

- To idźcie do domu. Nie zwracajcie nam głowy głupstwami.

- Przecież tu chodzi o zimowe rzeczy.

- Co, nie wyrażam się jasno? - spytał człowiek w okienku głosem tak cichym, że Jewgienia Nikołajewna się przestraszyła.

Tego wieczoru słyszała rozmowę w kuchni - współmieszkańcy rozprawiali o niej.

Jeden głos mówił:

- Jednak nieładnie postąpiła.

Drugi odpowiedział:

- A ja myślę - ma kobita łeb. Najpierw się wcisnęła, potem doniosła, gdzie trzeba, pozbyła się starej i dostała pokój.

Męski głos odpowiedział:

- Jaki tam pokój... Pokoik.

Czwarty głos dodał:

- Taka sobie poradzi; i z nią człowiek nie zginie.

Smutny był los kota. Kiedy ludzie kłócili się, co z nim zrobić, senny, przybity siedział w kuchni.

- Do diabła z tym Niemcem - mówiły kobiety.

Dragin nieoczekiwanie oświadczył, że gotów jest uczestniczyć w dokarmianiu kota. Ale bez Jenny Gienrichowny kot nie żył długo - zdechł, kiedy jedna z sąsiadek, przypadkowo, a może złośliwie, oblała go wrzątkiem.

Jewgienii Nikołajewnie podobało się samotne życie w Kujbyszewie. Nigdy chyba nie była tak wolna jak teraz. Poczwała lekkość i swobodę, choć życie było bardzo ciężkie. Przez długi czas, dopóki nie udało jej się zameldować, nie dostawała kartek i raz dziennie, na talon, jadała obiad w stołówce. Od rana marzyła o chwili, kiedy tam pójdzie i dostanie talerz zupy.

Rzadko w tym czasie myślała o Nowikowie. O Krymowie myślała częściej i więcej, prawie stale, ale te myśli nie wypełniały jej duszy żadnym szczególnym światłem. Pamięć o Nowikowie wybuchwała i znikwała, nie była jednak udręką. Kiedyś wszakże na ulicy zobaczyła z daleka wysokiego wojskowego w długim płaszczu i przez moment wydawało jej się, że to Nowikow. Zaczęła oddychać z trudem, nogi jej osłabły; była wręcz zmieszana, takie uczucie szczęścia ją ogarnęło. Po chwili zrozumiała, że się pomyliła, i od razu zapomniała o swoim wzruszeniu. A w nocy nagle obudziła się i pomyślała: „Dlaczego nie pisze, przecież zna adres?” Mieszkała sama, nie było przy niej ani Krymowa, ani Nowikowa, ani krewnych. Wydawało jej się, że ta samotna wolność to właśnie jest szczęście. Ale tak jej się tylko wydawało.

Kujbyszew był w tym czasie siedzibą licznych moskiewskich narkomatów, urzędów, redakcji ogólnokrajowych gazet. Był tymczasową, ewakuowaną z Moskwy stolicą, z korpusem dyplomatycznym, z baletem Teatru Bolszoi, ze sławnymi pisarzami, moskiewskimi konferansjerami, zagranicznymi dziennikarzami. Tysiące owych przybyszów z Moskwy gnieździło się w pokojach, pokojach hotelowych, w hotelach robotniczych i wykonywało swoją zwykłą pracę: szefowie działów, zarządów, zarządów głównych i narkomatów kierowali podwładnymi i gospodarką narodową; posłowie nadzwyczajni i ministrowie pełnomocni jeździli wspaniałymi samochodami na przyjęcia do sterników polityki zagranicznej; Ułanowa, Lemieszew, Michajłow cieszyli miłośników baletu i opery; przedstawiciel agencji United Press, mister Shapiro, zadawał na konferencjach podchwytliwe pytania szefowi Sowinformbiura Sołomonowi Łozowskiemu; pisarze opracowywali informacje dla rodzimych i zagranicznych gazet i rozgłośni; dziennikarze podejmowali tematy wojenne, wykorzystując zebrane w szpitalach materiały.

Ale życie codzienne przybyszów z Moskwy całkiem się zmieniło lady Cripps, żona posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Wielkiej Brytanii, wychodząc po kolacji, którą dostawała na talon w restauracji hotelowej, zabierała ze sobą do pokoju niedojedzony chleb i kawałki cukru, zawinięte w gazetę; przedstawiciele światowych agencji prasowych chodzili po bazarze, przepychając się wśród rannych, obszernie rozwodzili się nad zaletami samosiejki i skręcali papierosa na próbę, innym razem zaś, przestępując z nogi na nogę, stali w kolejce do łaźni; pisarze, znani ze szczodrego podejmowania gości, omawiali losy świata i literatury przy szklaneczce samogonu i zagryzali go przydziałowym chlebem.

Olbrzymie urzędy wciskały się na ciasne piętra kujbyszewskich budynków; redaktorzy najważniejszych gazet radzieckich przyjmowali gości przy biurkach, na których potem, po godzinach pracy, ich dzieci odrabiały lekcje, a kobiety szyły. Było coś pociągającego w tej mieszaninie potęgi państwa i ewakuacyjnej cyganerii.

Zameldowanie w Kujbyszewie kosztowało Jewgienię Nikołajewnę wiele nerwów. Naczelnik biura konstrukcyjnego, w którym podjęła pracę, podpułkownik Rizin, wysoki

mężczyzna, mówiący cichym, szmerzącym głosem, od pierwszych dni zaczął ubolewać nad tym, jak naraża się szef przyjmujący pracownika, który nie ma załatwionego meldunku. Wydał Żeni zaświadczenie o zatrudnieniu i kazał jej iść na milicję.

Pracownik komendy dzielnicowej milicji wziął zaświadczenie i dowód Jewgienii Nikołajewny, mówiąc, żeby zgłosiła się po decyzję za trzy dni.

W wyznaczony dzień Żenia znalazła się w prawie ciemnym korytarzu, gdzie interesanci siedzieli z tym szczególnym wyrazem twarzy, jaki miewają tylko ludzie, którzy przyszli na milicję po dowód lub meldunek.

Podeszła do okienka. Kobięca ręka z paznokciami pokrytymi ciemnoczerwonym lakierem podała jej dowód, a spokojny głos poinformował ją:

- Dostała pani odmowę.

Stała więc w kolejce do naczelnika biura meldunkowego. Ludzie obok rozmawiali szeptem, oglądając się na przechodzące korytarzem uszminkowane panny, ubrane w kufajki i wysokie buty. Poskrzypując podszwami, niespiesznie przeszedł człowiek w jesiennym palcie i cyklistówce, z wyglądającym spod szalika kołnierzykiem bluzy wojskowej i otworzył kluczykiem angielski czy też francuski zamek w drzwiach - to był właśnie Griszyn, naczelnik biura. Zaczęły się przyjęcia interesantów. Jewgienia Nikołajewna zauważyła, że ludzie nie cieszyli się, kiedy nadchodziła ich kolej, jak to zazwyczaj bywa po długim oczekiwaniu, ale rozglądali, jakby w ostatniej chwili zamierzali uciec.

W kolejce nasłuchiwała się opowieści o córkach, których nie zameldowano u matek, o sparaliżowanej kobiecie, której odmówiono meldunku u brata, o kobiecie, którą spotkało to samo, kiedy przyjechała pielęgnować inwalidę wojennego.

Żenia weszła do gabinetu Griszyna. W milczeniu wskazał jej krzesło, spojrzał w papiery i powiedział:

- Przecież dostała pani odmowę, więc o co chodzi?

- Towarzyszu Griszyn - odparła drżącym głosem - proszę zrozumieć, przez cały ten czas nie wydają mi kartek na żywność.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, jego szeroka, niemłoda twarz wyrażała pełną zadumy obojętność.

- Towarzyszu Griszyn - powtórzyła Żenia - pomyślcie sami, jak to wygląda. W Kujbyszewie jest ulica Szaposznikowa. To mój ojciec, jeden z pierwszych działaczy rewolucyjnych w Samarze<sup>11</sup>, a wy jego córce odmawiacie meldunku...

Griszyn patrzył na nią spokojnymi oczami: słuchał tego, co mówiła.

- Potrzebne jest pismo o zapotrzebowaniu na pracownika - powiedział. - Bez wezwania nie zamelduję.

- Przecież pracuję w urzędzie wojskowym - powiedziała Żenia.

- To nie wynika z waszych dokumentów.

---

<sup>11</sup> Samara - pierwotna nazwa miasta przemianowanego w 1935 roku na Kujbyszew.



- A to by pomogło?

Odrzekł niechętnie:

- Być może.

Rano Jewgienia Nikołajewna przysłała do pracy i powiadomiła Rizina, że odmówiono jej meldunku. Rozłożył ręce i zaszemrał:

- Ach, co za durnie, czyżby nie rozumieli, że już pierwszego dnia pracy staliście się dla nas niezbędnym pracownikiem, że wykonujecie pracę o charakterze obronnym?

- No właśnie - przytaknęła Żenia - według nich potrzebne jest potwierdzenie, że nasz urząd podlega narkomатовi obrony. Bardzo was proszę, napiszcie je, a ja wieczorem pójde z nim na milicję.

Po pewnym czasie Rizin podszedł do Żeni i głosem pełnym skruchy poinformował:

- Organy albo milicja muszą same do nas wystąpić. Bez tego nie wolno mi wydać takiego zaświadczenia.

Wieczorem poszła na milicję, znów odsiedziała swoje w kolejce i nienawidząc samej siebie za błagalny uśmiech, zaczęła prosić Griszyna, by zwrócił się w tej sprawie pisemnie do Rizina.

- Do nikogo nie będę się zwracał - oświadczył Griszyn.

Kiedy Rizin usłyszał o jego odmowie, jęknął i powiedział w zamyśleniu:

- Wiecie co, poproście go, żeby chociaż do mnie zatelefonował.

Następnego wieczoru Żenia musiała spotkać się z moskiewskim literatem Limonowem, który kiedyś znał jej ojca. Od razu po pracy poszła na milicję, zaczęła prosić siedzących w kolejce, żeby „dosłownie na chwilę” pozwolili jej wejść do szefa biura meldunkowego, tylko z zapytaniem. Ludzie wzruszali ramionami, odwracali głowy. Powiedziała z goryczą w głosie:

- Ach tak... To kto ostatni?

Tego dnia milicyjne wrażenia Żeni były szczególnie przykre. W gabinecie naczelnika kobieta z opuchniętymi nogami dostała ataku nerwowego. Wołała głośno: „Błagam pana, błagam pana”. W tym samym gabinecie jakiś człowiek bez ręki kłął wulgarnymi słowami; następny za nim też się ciskał, wykrzykując: „Nie wyjdę”. Ale wyszedł bardzo prędko. Tylko Griszyna nie było słyhać podczas tych awantur, ani razu nie podniósł głosu - wydawało się, że go tam w ogóle nie było. Jakby interesanci krzyczeli i wygrażali samym sobie.

Przesiedziała w kolejce półtorej godziny i znowu, nienawidząc siebie za uprzejmy wyraz twarzy i skwapliwe „Bardzo dziękuję” w odpowiedzi na ledwo dostrzegalne kiwnięcie głową i „Niech pani usiądzie”, zaczęła prosić Griszyna, żeby zadzwonił do jej przełożonego. Rizin najpierw nie był pewien, czy ma prawo wydać zaświadczenie bez pisemnego zapotrzebowania z numerem i pieczętką, ale potem się zgodził - sformułuje je tak: „W odpowiedzi na wasze ustne zapytanie z dnia takiego a takiego, takiego a takiego miesiąca...” Jewgienia Nikołajewna położyła przed Griszyinem wcześniej przygotowaną kartkę, na której dużymi, krągłymi cyframi

wypisała numer telefonu, a dalej personalia Rizina, jego tytuł, stanowisko oraz drobniejszymi literami „przerwa obiadowa od do”. Ale Griszyn nawet nie spojrzął na papier; powiedział tylko:

- Z żadnymi zapytaniami nie będę się zwracał.

- Ale dlaczego?

- Nie wolno mi.

- Podpułkownik Rizin mówi, że bez zapytania, przynajmniej ustnego, nie ma prawa wydać zaświadczenia.

- Skoro nie ma prawa, to niech nie wydaje.

- Więc co mam zrobić?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

Żenię peszył jego spokój - miała wrażenie, że gdyby się złościł, irytował, że jest taka niezorientowana, byłoby jej łatwiej. On jednak siedział wpół obrócony, nie niecierpliwił się, nawet powieka mu nie drgnęła.

Kiedy mężczyźni rozmawiali z Jewgienią Nikołajewną, zawsze zwracali uwagę na jej urodę, a ona zawsze to czuła. Griszyn zaś patrzył na nią tak samo jak na staruszki z załzawionymi oczami czy inwalidów po wejściu do jego gabinetu nie była już człowiekiem, młodą kobietą, ale wyłącznie petentem.

Czuła się kompletnie zbita z tropu i tą swoją słabością, i żelbetową siłą tamtego. Szła ulicą, śpieszyła się, spóźniona na spotkanie z Limonowem ponad godzinę, ale już nie cieszyła się z czekającej ją rozmowy. Czuła zapach milicyjnego korytarza, w oczach miała twarze czekających, portret Stalina, oświetlony słabą żarówką, a obok - Griszyzna. Spokojnego, zwyczajnego Griszyzna, który swoją śmiertelną duszę umocnił granitową wszechpotęgą państwa.

Limonow, tęgi i wysoki, z wielką głową i młodymi, wręcz młodzieńczymi kędziorami okalającymi sporą łysinę, powitał ją radośnie.

- Bałem się już, że pani nie przyjdzie - powiedział, pomagając Żeni zdjąć palto.

Zaczął ją wypytywać o Aleksandrę Władimirownę:

- Pani mama jeszcze od czasów studenckich jest dla mnie uosobieniem męskiej duszy kobiety rosyjskiej. Zawsze piszę o niej w książkach, to znaczy właśnie o niej, a w ogóle, co tu mówić, no, wie pani.

Zniżył głos i obejrzawszy się na drzwi, spytał:

- Czy coś może wiadomo o Dmitriju?

Potem zaczęli rozmawiać o malarstwie i oboje wieszali psy na Riepinie. Limonow zabrał się do smażenia omletu na kuchence elektrycznej, powiedział, że jest najlepszym specjalistą od omletów w kraju - kucharz w restauracji „National” uczył się u niego.

- No jak? - spytał z niepokojem, gdy Żenia skosztowała jajek, po czym dodał z westchnieniem. - Niestety, lubię sobie podjeść.

Jakże przytłaczało ją wrażenie wizyty na milicji! Kiedy weszła do ciepłego,

pełnego ksiązek i pism pokoju Limonowa, którego wkrótce odwiedziło jeszcze dwóch starszych panów, dowcipnych i lubiących sztukę, jej zamierającym sercem cały czas władał Griszyn.

Siła wolnego, mądrego słowa jest jednak wielka, chwilami więc Żenia zapominała o Griszynie, o smętnych twarzach w kolejce. Wydawało się jej wtedy, że w życiu nie ma nic poza rozmowami o Rublowie, o Picassie, o wierszach Achmatowej i Pasternaka, dramatach Bułhakowa.

Wyszła na ulicę i od razu zapomniała o tych wszystkich mądrych rzeczach.

Griszyn, Griszyn... W mieszkaniu nikt dotąd nie zapytał, czy jest zameldowana, czy nie, nikt nie żądał dowodu ze stemplem z biura meldunkowego. Ale już od kilku dni wydawało się jej, że jest śledzona przez starszą lokalu, Głafirę Dmitrijewną, długonosą, ruchliwą, zawsze uprzejmą kobietę o przymilnym i absolutnie fałszywym głosie. Żenia bała się za każdym razem, kiedy ją spotykała i spoglądała w jej ciemne, miłe i zarazem ponure oczy. Miała nieodparte wrażenie, że Głafira Dymitrijewna, posługując się dorobionym kluczem, wchodzi do pokoju podczas jej nieobecności, grzebie w papierach, robi kopie z jej podań na milicję, czyta listy.

Starala się więc bez hałasu otwierać drzwi, chodziła po korytarzu na palcach, bojąc się natknąć na Głafirę Dmitrijewną. Tylko patrzeć, jak ta ją zaczepi: „Cóż to, narusza pani przepisy, a ja mam za panią odpowiadać?” Rankiem Jewgienia Nikołajewna weszła do gabinetu Rizina i opowiedziała mu o swojej kolejnej porażce w biurze meldunkowym.

- Niech mi pan pomoże dostać bilet na statek do Kazania, bo mnie pewnie wyślą do kopania torfu za naruszenie przepisów meldunkowych.

Już nie prosiła go o zaświadczenie, mówiła szyderczo, ze złością. Wielki, przystojny mężczyzna o cichym głosie patrzył na nią, wstydząc się, że jest taki lękliwy. Nieustannie czuła na sobie jego smutny, natarczywy, pełen zachwytu wzrok, którym Rizin błędził po jej ramionach, nogach i szyi. Ale siła prawa regulującego ruch pism nadchodzących i wychodzących była siłą niebagatelną.

W ciągu dnia Rizin podszedł do Żeni i bez słowa położył na bloku technicznym upragnione zaświadczenie. Żenia tak samo bez słowa popatrzyła na niego i łzy napłynęły jej do oczu.

- Wysłałem zapytanie tajnymi kanałami - wyjaśnił Rizin - ale nie liczyłem na wiele, a tu nagle dostałem zgodę od szefa.

Koledzy gratulowali jej, mówili: „No, wreszcie, skończyły się pani męki”.

Poszła na milicję. Ludzie w kolejce kiwali do niej, niektórych już dobrze знаła, pytali: „No i jak?...” Kilka głosów powiedziało: „Niech pani wejdzie bez kolejki... to sprawa tylko na chwilę, po co ma pani czekać dwie godziny”.

Urzędnicze biurko, nieśmiertelna szafa, niechlujnie pomalowana brązową bejcą mającą imitować drewno nie wydawały jej się już takie ponure i bezduszne. Griszyn patrzył, jak Żenia spieszenie kładzie przed nim niezbędny dokument, i ledwie dostrzegalnie, z zadowoleniem kiwnął głową.

- No cóż, proszę zostawić dowód, zaświadczenia, za trzy dni w godzinach przyjęć dostanie pani dokumenty w rejestracji.

Głos Griszyna brzmiał zwyczajnie, ale - jak wydawało się Żeni - jego jasne oczy przyjaźnie się uśmiechnęły.

Szła do domu i myślała, że Griszyn okazał się takim samym człowiekiem jak inni - mógł zrobić coś dobrego, więc się uśmiechnął. Wcale, jak się okazało, nie był bezduszny; zawstydziła się, że tak źle życzyła w myślach naczelnikowi biura meldunkowego.

Po trzech dniach duża kobieta dłoń z ciemnoczerwonymi, lakierowanymi paznokciami podała jej w okienku dowód ze starannie włożonymi do środka dokumentami. Żenia przeczytała napisaną wyraźnym charakterem decyzję: „Odmówić meldunku z uwagi na brak uprawnień do w/w powierzchni mieszkaniowej”.

- Sukinsyn - głośno powiedziała Żenia i nie mając już siły się powstrzymać, ciągnęła: - Znęca się, bezduszne bydło!

Niemal krzyczała, potrząsając w powietrzu dowodem bez meldunku, zwracała się do siedzących w kolejce ludzi, szukając u nich poparcia, ale widziała, jak się od niej odwracają. Na chwilę obudził się w Żeni duch buntu, rozpacz i wściekłości. Tak krzyczały czasem oszalałe kobiety w kolejkach trzydziestego siódmego roku, gdy w mrocznej sali przyjęć więzienia w Butyrkach czy też w Matroskiej Tiszynie w Sokolnikach, czekały na informacje o skazanych bez prawa korespondencji.

Milicjant stojący w korytarzu wziął Żenię za łokieć i zaczął ją wypychać za drzwi. Wyrwała mu jednak rękę i odepchnęła go od siebie.

- Puśćcie mnie, nie dotykajcie!

- Obywatelko - powiedział mężczyzna ochryplym głosem - przestańcie, za to dziesięć lat dają.

Wydało jej się, że w oczach milicjanta mignął cień litości, współczucia. Szybko poszła do wyjścia. Idący ulicą ludzie potrącali ją; wszyscy byli zameldowani, wszyscy mieli zarejestrowane w odpowiednich punktach kartki...

Nocą śnił jej się pożar, pochyliła się nad leżącym rannym człowiekiem, który upadł twarzą na ziemię; usiłowała go wyciągnąć, wiedząc, że to Krymow, chociaż nie widziała jego twarzy. Zbudziła się wymęczona, przygnębiona.

„Niechby już prędzej przyjechał - myślała, ubierając się, i mamrotała:

- Pomóż mi, pomóż mi”.

Miała strasliwą, bolesną wręcz ochotę zobaczyć nie Krymowa, którego ratowała w nocy, ale Nowikowa, takiego, jakim go widziała latem w Stalingradzie.

To bezprawne życie, bez zameldowania, bez kartek, w wiecznym strachu przed stróżem, gospodarzem domu, starszą lokalu Głafirą Dmitrijewną, było ciężkie, okropnie męczące. Żenia szła do kuchni, kiedy wszyscy spali, a rano starała się umyć, zanim lokatorzy się obudzą. A kiedy z nią rozmawiali, jej głos nabierał obcego tonu dziwnie odpychającej, jak u pokornej baptystki, uprzejmości.

Tego dnia Żenia napisała prośbę o zwolnienie z pracy. Słyszała, że jeśli wydział ewidencji ludności odmówi meldunku, wtedy przychodzi dzielnicowy i każe komuś takiemu podpisać zobowiązanie do wyjazdu z Kujbyszewa w terminie trzydniowym. Tekst takiego zobowiązania zawiera pouczenie: „Osoby winne naruszenia przepisów

meldunkowych podlegają..." Żenia nie chciała „podlegać”.

Pogodziła się z tym, że musi wyjechać z Kujbyszewa. Od razu poczuła spokój w sercu, przestały ją trapić myśli o Griszynie, o Głafirze Dmitrijewnie i jej miękkich jak zgnięte oliwki oczach. Wyrzekła się bezprawia, podporządkowała prawu.

Kiedy napisała podanie i zamierzała zanieść je Rizinowi, przywołano ją do telefonu - dzwonił Limonow. Zapytał, czy ma wolny jutrzejszy wieczór, bo przyjechał ktoś z Taszkientu i bardzo ciekawie opowiada o tamtej szych warunkach; przywiózł Limonowowi pozdrowienia od Aleksieja Tołstoja. Znowu owionęło ją inne życie.

Żenia opowiedziała Limonowowi o swoich przejściach z meldunkiem, chociaż nie miała zamiaru tego robić.

Wysłuchał jej, nie przerywając, a potem powiedział:

- To ci historia, nawet interesująca: ojciec ma własną ulicę w Kujbyszewie, a córkę wyrzucają, nie chcą jej zameldować. Ciekawe. Ciekawe.

Pomyślał chwilę i dodał:

- Wie pani co, Jewgienio Nikołajewno, niech pani dzisiaj nie składa jeszcze wymówienia, wieczorem będę na naradzie u sekretarza obkomu i przedstawię mu pani sprawę.

Żenia podziękowała, ale pomyślała, że Limonow zapomni o niej od razu, kiedy tylko odłoży słuchawkę. Mimo to jednak nie wręczyła Rizinowi wymówienia, spytała tylko, czy może przez sztab okręgu wojskowego zdobyć dla niej bilet do Kazania.

- To akurat jest bardzo łatwe - rzekł Rizin i rozłożył ręce. - Kłopot tylko z milicją. Ale co zrobić, w Kujbyszewie obowiązują odrębne przepisy, urzędy działają według specjalnych dyrektyw.

Spytał ją:

- Jest pani wolna dzisiaj wieczór?

- Nie, zajęta - odpowiedziała ze złością.

Szła do domu i myślała, że wkrótce zobaczy matkę, siostrę, Wiktora Pawłowicza, Nadię, że w Kazaniu będzie jej lepiej niż w Kujbyszewie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się przejmowała, wprost umierała ze strachu, kiedy wchodziła do budynku milicji. Odmówili - i diabli z nimi... A jeśli przyjdzie list od Nowikowa, to można przecież poprosić sąsiadów, żeby przestali do Kazania.

Rankiem, ledwie zjawiła się w pracy, zaraz wezwano ją do telefonu, a czyjś uprzejmy głos poprosił, żeby zgłosiła się w komendzie miejskiej i załatwiła sprawy meldunkowe.

25

Żenia poznała się bliżej z jednym ze współlokatorów mieszkania - Władimirem Andriejewiczem Szarogorskim. Kiedy ten gwałtownie się odwracał, wydawało się, że jego duża, siwa, alabastrowa głowa zerwie się z cienkiej szyi i z hukiem upadnie na podłogę. Żenia zauważyła, że blada skóra na twarzy staruszka ma odcień łagodnego błękitu. To połączenie błękitu skóry i zimnego błękitu oczu bardzo zwracało uwagę

Żeni; staruszek pochodził z arystokracji, więc śmieszyła ją myśl o tym, że właśnie błękitu trzeba by użyć, żeby namalować staruszka.

Przed wojną Szarogorodskiemu żyło się gorzej niż w czasie wojny. Teraz miał przynajmniej jakąś pracę. Sowinformbiuro zamawiało u niego noty o Dymitrze Dońskim, o Suworowie, o admirale Uszakowie, o tradycjach rosyjskiego korpusu oficerskiego, o dziewiętnastowiecznych poetach - Tiutczewie, Baratyńskim...

Władimir Andriejewicz powiedział Żeni, że jego matka wywodziła się z kniaziów, z rodu wyjątkowo starego, starszego niż Romanowowie. Jako młodzieniec pracował w ziemstwie gubernialnym, jednocześnie propagując skrajny wolterianizm i czaadajewszczyznę wśród młodych duchownych, nauczycieli wiejskich i synów obszarników.

Opowiadał też Żeni o swojej rozmowie z gubernialnym marszałkiem szlachty - to było czterdzieści cztery lata temu. „Pan, potomek jednego z najstarszych rodów rosyjskich, zamierza przekonywać chłopów, że pochodzi od małpy. Chłop wtedy spyta pana - a wielcy książęta? A następca tronu? A cesarzowa? A sam miłościwy pan?...” Władimir Andriejewicz nadal jednak mącił umysły, sprawa skończyła się więc tym, że zesłano go do Taszkientu. Po roku uzyskał przebaczenie i wyjechał do Szwajcarii. Tam spotykał się z wieloma rewolucjonistami - kniazia-cudaka znali i bolszewicy, i mienszewicy, i eserowcy, i anarchiści. Chodził na wieczorki i dyskusje, z niektórymi działaczami dobrze mu się rozmawiało, ale z nikim się nie zgadzał. Przyjaźnił się z żydowskim studentem, czarnobrodym bundowcem Lipetzem.

Na krótko przed pierwszą wojną światową wrócił do Rosji i osiadł w swoim majątku. Sporadycznie publikował artykuły na tematy historyczne i literackie w piśmie „Niżegorodskij listok”. Gospodarką się nie zajmował, majątkiem zarządzała matka.

Szarogorodski okazał się jedynym obszarnikiem, którego majątek chłopci zostawili w spokoju. Komitet biedoty przydzielił mu nawet wóz drew i wydał czterdzieści głów kapusty. Władimir Andriejewicz siedział w jedynym opalonym i posiadającym szyby pokoju w domu, czytał i pisał wiersze. Jeden z nich odczytał Żeni. Wiersz nazywał się Rosja:

*Nikt już nie zważa na nic.*

*Szaleństwo dookoła.*

*Równina. Step bez granic.*

*Złowieszczko kruk zawoła.*

*Požary. Bunty. Mglistość.*

*Przedziwna otepiłość.*

*Powszechna samoistność.*

*I straszna w tym wspaniałość.*

Czytał, starannie wymawiając słowa, zważając na kropki i przecinki; wysoko unosił długie brwi, przez co jednak jego duże czoło nie stawało się wcale mniejsze.

W roku 1926 Szarogorodski zaczął wyklądać historię literatury rosyjskiej, atakując Diemiana Biednego, a wystawiając Feta. Brał udział w modnych wówczas dyskusjach o pięknie i prawdzie życiowej, uznał się za przeciwnika jakiegokolwiek

państwa, głosił ograniczoną słuszność marksizmu, mówił o tragedii duszy rosyjskiej, no i osiągnął tyle, że znowu na koszt państwa pojechał do Taszkienu. Mógł tam podziwiać siłę argumentów geograficznych w sporze teoretycznym. Dopiero pod koniec 1933 roku pozwolono mu przenieść się do ówczesnej Samary, do starszej siostry Jeleny Andriejewny, która zresztą zmarła na krótko przed wojną.

Szarogorodski nie zapraszał nikogo do swego kniaziewskiego pokoju. Kiedyś jednak Żenia tam zajrzała: sterty książek i starych gazet zalegały w kątach, stare fotele piętrzyły się jeden na drugim prawie do sufitu, na podłodze stały portrety w złożonych ramach. Na kanapie, obitej czerwonym aksamitem leżała pognieciona kołdra z wyłóżającymi kawałkami waty.

Staruszek był łagodny, bezradny w zwykłych sprawach życiowych. O takich zwykle się mówi: człowiek o duszy dziecka, człowiek anielskiej dobroci. Ale Szarogorodski mógłby, mrużąc pod nosem ulubiony wiersz, minąć obojętnie głodne dziecko albo obdartą staruszkę, żebrzącą o kawałek chleba.

Słuchając go, Żenia często wspominała swojego pierwszego męża, kominternowca Krymowa, bo stary wielbiciel Feta i Władimira Sołowjowa był jego całkowitym przeciwieństwem.

Zdumiewało ją, że Krymow, niewrażliwy na piękno pejzażu rosyjskiego i rosyjskich bajek, wierszy Feta i Tiutczewa, był Rosjaninem tak samo jak stary Szarogorodski. To, co młody Krymow kochał w Rosji, nazwiska, bez których jej sobie nie wyobrażał, wszystko to było absolutnie obojętne, a niekiedy wrogie Szarogorodskiemu.

Dla tego ostatniego Fet był Bogiem, i to Bogiem przede wszystkim rosyjskim. Tak samo boskie były dla niego *Bajka o Finiście*, jasnym sokole czy romans Glinki *Zwałtpienie*. I chociaż zachwycał się Dantem, twierdził, że jest pozbawiony boskości rosyjskiej muzyki, rosyjskiej poezji.

A Krymow nie widział różnicy między Dobrolubowem a Lassalle'em, Czernyszewskim a Engelsem. Dla niego Marks przewyższał wszystkich rosyjskich geniuszy, *Ewka* Beethovena bezapelacyjnie górowała nad muzyką rosyjską. Chyba tylko Niekrasow stanowił wyjątek, był dla niego pierwszym poetą świata. Chwilami Jewgienii Nikołajewnie wydawało się, że Szarogorodski pomaga jej zrozumieć nie tylko Krymowa, ale i dzieje jej związku z Nikołajem Grigorjewiczem.

Żenia lubiła rozmawiać z Szarogorodskim. Zazwyczaj rozmowa zaczynała się od komunikatów o alarmach, potem Szarogorodski zapuszczał się w dywagacje o losach Rosji.

- Szlachta rosyjska - mówił - wiele zawiniła wobec Rosji, pani Jewgienio, ale potrafiła ją kochać. Podczas tamtej wojny niczego nam nie wybaczone, ludzie nie zostawili na nas suchej nitki - wypomnieli nam różnych głupców, ospałych obzartuchów, Rasputina, zdrajcę Miasojedowa, aleje lipowe, beztroskę, chłopskie kurne chaty i łapcie... Sześciu synów mojej siostry zginęło w Galicji i w Prusach Wschodnich, mój brat, stary, chory człowiek, poległ na wojnie, ale to historia pominęła... A warto byłoby pamiętać.

Często Żenia słuchała rozważań Szarogorodskiego o literaturze, całkowicie sprzecznych ze współczesnymi poglądami. Feta staruszek stawiał wyżej niż Puszkina i

Tiutczewa. Fetą znał tak, jak z pewnością nie znał go nikt w Rosji, ba, prawdopodobnie sam Fet pod koniec życia nie pamiętał o sobie tylu rzeczy, ile ich znał Władimir Andriejewicz.

Lwa Tołstoja postrzegał jako zbyt wielkiego realistę i nie cenił go, chociaż nie odmawiał mu poetyckiego daru. Turgieniewa owszem, tak, ale nie uważał jego talentu za zbyt głęboki. W rosyjskiej prozie najbardziej podobali mu się Gogol i Leskow. Uważał, że pierwszymi, którzy zniszczyli poezję rosyjską, byli Bieliński i Czernyszewski.

Powiedział Żeni, że oprócz rosyjskiej poezji kocha trzy rzeczy, wszystkie na „s” - słodocze, słońce i sen.

- Czyżbym miał umrzeć i nie zobaczyć w druku żadnego swojego wiersza? - pytał.

Kiedyś, wracając z pracy, Jewgienia Nikołajewna spotkała Limonowa. Szedł ulicą w rozpiętym zimowym płaszczu, z niezawiazanym jaskrawym kraciastym szalikiem, i podpierał się sękatą laską. Dziwnie wyglądał w tłumie mieszkańców Kujbyszewa ów postawny mężczyzna w bojarskiej bobrowej czapie.

Limonow odprowadził Żenię do domu. Zaproponowała, żeby wstąpił do niej i napił się herbaty, on zaś popatrzył na nią uważnie i powiedział:

- No cóż, dzięki... Tak w ogóle, to należy mi się od pani pół litra za meldunek - po czym ciężko dysząc, zaczął się gramolić po schodach.

Limonow wszedł do małego pokoiku Żeni i zauważył:

- Tak, ciało memu będzie tu ciasno, może za to myślom - przestronnie.

Nagle zaczął z nią rozmawiać jakimś nie do końca naturalnym tonem, jął wyjaśniać swoją teorię miłości, stosunków miłosnych.

- Awitaminoza, duchowa awitaminoza! - mówił z zadyszką w głosie. - Rozumie pani, to taki potężny głód, jak u byków, krów, jeleni, łaknących soli. W obiekcie miłości poszukuję tego, czego mi brakuje, czego brakuje moim bliskim, mojej żonie. Żona jest przyczyną awitaminozy! Mężczyzna zatem pragnie znaleźć w ukochanej to, czego przez lata czy nawet dziesięciolecia nie znajdował u swojej żony. Rozumie pani?

Wziął ją za rękę i zaczął głaskać jej dłoń, potem ramię, dotknął szyi, tyłu głowy.

- Pani mnie rozumie? - pytał przymilnie. - Wszystko to jest bardzo proste. Duchowa awitaminoza!

Roześmianymi i zawstydzonymi oczami patrzyła Żenia, jak biała ręka z wypolerowanymi paznokciami przewędrowała z ramienia na pierś, i powiedziała:

- Widać to nie tylko duchowa awitaminoza, ale i fizyczna. - Po czym stanowczym tonem wychowawczynie pierwszej klasy dodała:

- I proszę mnie nie obmacywać, naprawdę.

Popatrzył na nią zakłopotany, ale zamiast się zmieszać, zaczął się śmiać. A ona roześmiała się razem z nim. Pili herbatę i rozmawiali o malarzu Sarjanie. Do drzwi zapukał stary Szarogorodski. Okazało się, że Limonow znał jego nazwisko z czyichś notatek i listów przechowywanych w archiwum. Szarogorodski nie czytał książek



Limonowa, ale słyszał jego nazwisko, w gazetach zazwyczaj wymieniane w zestawie innych piszących na tematy wojskowo-historyczne.

Zaczęli rozmawiać i ożywili się, ucieszyli, czując wspólnotę poglądów. Padały nazwiska Sołowjowa, Mierieżkowskiego, Rozanowa, Gippius, Biełego, Bierdiajewa, Ustriałowa, Balmonta, Milukowa, Jewrieinowa, Riemizowa, Wiaczesława Iwanowa.

Żenia pomyślała, że ci dwaj ludzie zdają się podnosić z dna morskiego zatopiony świat książek, obrazów, systemów filozoficznych, przedstawień teatralnych...

Limonow zaś nagle jakby podsłuchał i powtórzył głośno jej myśl:

- Rzecz można, wydobyliśmy zaginioną Atlantyde.

Szarogorodski smutno pokiwał głową.

- Tak, tak, ale pan jest tylko badaczem rosyjskiej Atlantydy, a ja jej mieszkańcem, razem z nią opadłem na dno oceanu.

- Cóż - zauważył Limonow - wojna tego i owego wydobyła z Atlantydy na powierzchnię.

- Tak, okazało się - stwierdził Szarogorodski - że w godzinie wojny twórcy Kominternu nie wymyślili nic lepszego niż powtórzenie raz jeszcze: „święta ziemia rosyjska”.

Uśmiechnął się.

- Niech pan poczeka, wojna skończy się zwycięstwem, a wtedy ci internacjoniści ogłoszą: „Nasza mateczka Rosja przewodzi całemu światu” - dodał.

Rzecz szczególna, Jewgienia Nikołajewna czuła, że są tacy ożywieni, rozmowni i dowcipni nie tylko dlatego, że cieszą się ze spotkania, że znaleźli bliski im obu temat. Wiedziała, że się im podoba, że obaj i ten całkiem stary, i ten już mocno starszawy - nie zapominają ani przez chwilę, że ona ich słucha. Jakie to wszystko dziwne. Dziwne też, że jej jest to zupełnie obojętne, ba, może nawet ją śmieszy, a zarazem wcale nieobojętne, wręcz przyjemne.

Żenia patrzyła na nich i myślała: „A jednak nie sposób zrozumieć siebie... Dlaczego tak cierpię, myśląc o przeżytych latach, dlaczego tak mi żal Krymowa, dlaczego nieustannie o nim myślę?” I tak samo jak kiedyś wydawali się jej obcy niemieccy i angielscy towarzysze Krymowa z Kominternu, teraz przykre, ba, wrogie były dla niej kpiny Szarogorodskiego z kominternowców. Tutaj nawet Limonowa teoria awitaminozy się nie przyda. Tych spraw zresztą nie da się ująć w teorię...

Nagle wydało jej się, że cały czas myśli o Krymowie i niepokoi się jego losem tylko dlatego, że tęskni za kimś innym, za człowiekiem, którego na dobrą sprawę wcale nie wspomina. „Czyżbym go rzeczywiście kochała?” - pomyślała zdziwiona.

26

W nocy z nieba nad Wołgą poznikały chmury. Pod gwiazdami wolno płynęły wzgórza, poprzecinane gęstą ciemnością wąwozów. Z rzadka przelatowały meteoryty, a wtedy Ludmiła Nikołajewna mówiła bezgłośnie: „Żeby Toła przeżył”. To było jej jedyne życzenie, nic więcej nie chciała od nieba...

Kiedyś, jeszcze podczas studiów na wydziale fizyczno-matematycznym, pracowała jako specjalistka od obliczeń w Instytucie Astronomii. Wówczas dowiedziała się, że meteoryty tworzą strumienie, które spadają na Ziemię w różnych miesiącach - perseidy, orionidy, zdaje się, że były jeszcze geminidy, leonidy. Już zapomniała, jaki strumień meteorytów spada na Ziemię w październiku, w listopadzie... Byle tylko Tola żył! Wiktor zarzucał jej, że nie lubi pomagać ludziom, źle traktuje jego krewnych. Był zdania, że gdyby Ludmiła zechciała, Anna Siemionowna mieszkałaby z nimi i nie została na Ukrainie.

Kiedy kuzyna Wiktora wypuszczono z obozu i skierowano na zesłanie, nie chciała go przemocować; bała się, że ktoś doniesie o tym administracji. Wiedziała też: matka pamięta, że kiedy ojciec umierał, Ludmiła wypoczywała w Gasprze i nie przerwała urlopu; wróciła do Moskwy na drugi dzień po pogrzebie. Matka czasem rozmawiała z nią o Dmitriju, przerażona tym, co się z nim stało. „Był chłopcem szczerym, bezpośrednim, taki pozostał całe życie. A tu nagle - szpiegostwo, przygotowywanie zamachu na Kaganowicza i Woroszyłowa... Straszne, potworne kłamstwo, komu to potrzebne? Kto musi niszczyć szczerych, uczciwych ludzi?...” A ona powiedziała jej kiedyś: „Nie możesz całkowicie ręczyć za Mitię. Niewinnych nie wsadza się do więzienia”. Teraz przypomniało jej się spojrzenie, jakie rzuciła na nią matka.

Innym razem zwierzyła się matce z niechęcią do żony Dmitrija.

- Nie znosiłam jej przez całe życie. Nie będę ukrywała: nawet po czymś takim jej nie znoszę.

Teraz też przypomniała jej się odpowiedź matki:

- Czy ty rozumiesz, co to wszystko znaczy: skazywać żonę na dziesięć lat za niedoniesienie na męża?!

Potem przypomniała sobie, jak kiedyś przyniosła znalezionego na ulicy szczeniaka, a Wiktor nie chciał go wziąć do domu. Zawołała wtedy:

- Jesteś okrutny!

A on na to:

- Ach, Luda, nie wymagam, żebyś była młoda i piękna, zadowolilibym się jednym: żebyś miała dobre serce nie tylko dla kotów i psów.

Teraz, kiedy siedziała na pokładzie, wspominała, po raz pierwszy nie lubiąc samej siebie i nie obwiniając innych, gorzkie słowa, których musiała wysłuchać w życiu... Kiedyś mąż, śmiejąc się, powiedział przez telefon: „Odkąd przygarnęliśmy kotka, słyszę czułość w głosie mojej żony”. Innym razem matka strofowała ją: „Luda, jak możesz odmawiać żebrakom, pomyśl tylko - to głodny prosi ciebie, sytą...” Tyle że nie była skąpa. Lubiła gości, jej obiady słynęły wśród znajomych.

Nikt nie widział, jak płakała, siedząc w nocy na pokładzie statku. Dobrze, dobrze, niech będzie: jest nieczuła, zapomniała wszystko, czego się uczyła, do niczego się nie nadaje, nikomu już nie może się podobać, utyla, włosy przyprószyła jej siwizna, ma wysokie ciśnienie, a mąż jej nie kocha. To właśnie dlatego wydaje mu się istotą bez serca.

Ale niechby Tola przeżył! Gotowa jest przyznać rację bliskim, przeprosić ich za wszystko, co jej mają za złe - byle tylko on przeżył! Dlaczego cały czas wspomina

swojego pierwszego męża? Gdzie on jest, jak go znaleźć? Dlaczego nie napisała do jego siostry, do Rostowa? Teraz nie można już napisać, bo tam są Niemcy. Siostra powiedziała mu o Toli.

Łoskot maszyn statku, drgania pokładu, plusk wody, migotanie gwiazd na niebie - wszystko mieszało się, zlało, a Ludmiła Nikołajewna zapadła w drzemkę. Zbliżał się świt. Mgła unosiła się nad Wołgą; wydawało się, że pochłonęła wszystko, co żyje. Nagle jak znak nadziei wzeszło słońce! Niebo odbiło się w rzece, ciemna jesienna woda zaczęła oddychać, błyskające na falach promienie zdawały się pokrzykiwać. Nocny mróz zostawił solidne ślady na stromym brzegu, a na tle szronu rude drzewa wyglądały jakoś szczególnie radośnie.

Nadlęciał wiatr, mgła zniknęła, świat zrobił się szklany, niesamowicie przezroczysty, ciepła zaś nie dawało ani jasne słońce, ani błękit wody czy nieba. Na olbrzymiej Ziemi nawet las był mały, widziało się jego początek i koniec, a ona ciągnęła się i ciągnęła. Nieszczęście było tak samo wielkie i wieczne jak Ziemia.

Widziała zarządców z narkomatów, którzy płynęli do Kujbyszewa w kajutach pierwszej klasy; ci mieli bekiesze ochronnej barwy i czapy z szarych pułkownikowskich karakułów. W kajutach drugiej klasy jechały odpowiedzialne żony, odpowiedzialne teściowe, umundurowane według rangi, jakby dla żon zaprojektowano odpowiednie mundury, inne dla teściowych, inne dla synowych. Żony miały na sobie futra, a na głowach białe puchowe chustki; teściowe i matki - sukienne granatowe szuby z czarnymi karakułowymi kołnierzami i brązowe chustki.

Towarzyszyły im dzieci o znudzonych, niezadowolonych oczach. Przez okna kajut widać było jedzenie, które jechało z tymi pasażerami - doświadczone oko Ludmiły łatwo określało zawartość worków; w torbach, w zalutowanych puszkach, ciemnych dużych butelkach z zalakowanymi szyjkami płynęły po Wołdze miód i topione masło. Kiedy pasażerowie tych klas spacerowali po pokładzie, ze strzępów ich rozmów nietrudno było wywnioskować, że wszyscy bardzo przejmują się pociągami z Kujbyszewa do Moskwy.

Ludmile wydawało się, że kobiety obojętnie patrzą na żołnierzy i lejtnantów, siedzących na korytarzach, tak jakby nie miały na wojnie synów ani braci. Kiedy podawano poranny komunikat Sowinformbiura, nie stały pod głośnikiem tak jak żołnierze i marynarze z załogi, ale mrużąc zaspane oczy, zajmowały się swoimi sprawami.

Od marynarzy Ludmiła dowiedziała się, że cały statek został przydzielony rodzinom odpowiedzialnych pracowników państwowych, wracających do stolicy przez Kujbyszew, i że w Kazaniu z rozkazu władz wojskowych wzięto na pokład pewną liczbę żołnierzy i cywilów. Dotychczasowi pasażerowie zrobili awanturę, nie chcąc wpuścić wojskowych; dzwonili do pełnomocnika Państwowego Komitetu Obrony.

Nie do opisania dziwne wrażenie robiły skruszone twarze czerwonoarmistów zmierzających do Stalingradu w poczuciu, że ich obecność krępuje prawowitych pasażerów. Ludmile Nikołajewnie wydawały się nieznośne te spokojne oczy kobiet. Babcie przywoływały wnuków i nie przerywając rozmowy, wyćwiczonym ruchem wsuwały herbatniki do dziecięcych ust. A kiedy z położonej na dziobie kajuty wyszła z dwoma chłopcami na spacer krępa staruszka w futrze z kun, kobiety skwapliwie kłaniały się jej, uśmiechały; na twarzach państwowych mężów pojawiał się uprzejmy i

niespokojny wyraz.

Gdyby radio nadało teraz komunikat o otwarciu drugiego frontu albo przerwaniu blokady Leningradu, nikt z tych ludzi by nie drgnął, gdyby natomiast ktoś powiedział im, że w pociągu do Moskwy nie będzie wagonu międzynarodowego, to niebawem namiętności, jakie wywołałby problem miejscówek, usunęłyby w kąt wszystkie wydarzenia wojny.

Zdumiewające! Przecież Ludmiła Nikołajewna w swoim uniformie szarym futrze z karakułów i puchowej chuście - wyglądała jak pasażerka pierwszej czy drugiej klasy. Przecież niedawno i ona przeżywała takie miejscówkowe namiętności i oburzała się, że Wiktor Pawłowicz, jadąc do Moskwy, nie dostał biletu pierwszej klasy.

Opowiedziała lejtnantowi artylerii, że jej syn, też lejtnant artylerii, leży ciężko ranny w szpitalu w Saratowie. Rozmawiała z chorą staruszką o Marusi i o Wierze, o teściowej, która przepadła na okupowanym terytorium. Jej nieszczęście było takie samo jak nieszczęście, które wzdychało na tym pokładzie, nieszczęście, które zawsze znajdzie drogę ze szpitala, z mogiły na froncie do wiejskiej chaty, do baraku stojącego na jakimś bezkresnym pustkowiu.

Kiedy opuszczała dom, nie zabrała ani kubka, ani kawałka chleba; wydawało jej się, że przez całą drogę nie będzie ani jadła, ani piła. Ale na statku już rankiem strasznie zachciało jej się jeść, a wtedy zrozumiała, że będzie jej ciężko. Następnego dnia podróży żołnierze porozumieli się z palaczami, ugotowali w maszynowni zupę z kaszą jaglaną, zaprosili też Ludmiłę Nikołajewną i nalali jej porcję do menażki.

Ludmiła siedziała na pustej skrzynce i z cudzego naczynia, cudzą łyżką jadła gorącą, parzącą zupę.

- Dobra zupa! - zagadał do niej jeden z domorosłych kucharzy, a kiedy nie doczekał się reakcji, zaczepnie spytał Ludmiłę Nikołajewną: - A co, może nie, za mało zawieszista?

Zwyczajnie i szczerze żołnierz domagał się pochwały od kogoś, kogo nakarmił.

Ludmiła Nikołajewna pomogła żołnierzowi włożyć sprężynę do niesprawnego automatu; nie umiał tego zrobić nawet starszyna<sup>12</sup> z Czerwoną Gwiazdą na piersi. A kiedy usłyszała kłótnię lejtnantów artylerii, wzięła ołówek i pomogła im wyprowadzić wzór trygonometryczny. Odtąd lejtnant, który do tej pory zwracał się do niej per „obywatelko”, niespodziewanie spytał o jej imię i imię odojcowskie. Nocą Ludmiła Nikołajewna spacerowała po pokładzie.

Rzeka dyszała lodowatym zimnem, z mroku dolatywał bezlitosny wiatr z nizu. A w górze świeciły gwiazdy i nie dawało pociechy ani spokoju to okrutne niebo z ognia i lodu, wiszące nad nieszczęsną głową Ludmiły Nikołajewny.

27

Zanim statek przyplłynął do tymczasowej, wojennej stolicy, kapitan otrzymał polecenie, żeby przedłużyć rejs do Saratowa i zabrać rannych z tamtejszych szpitali.

---

<sup>12</sup> Starszyna - stopień wojskowy, odpowiadający naszemu starszemu sierżantowi.

Pasażerowie z kajut zaczęli szykować się do wysiadania, wynosili na pokład walizki i tobołki. Ukazały się sylwetki fabryk, domki kryte blaszanymi dachami, baraki; wydawało się nawet, że inaczej zaszumiła woda za sterem, inaczej, niespokojniej, zaczęły stukać maszyny. A potem powoli jęła się wyłaniać ogromna Samara, szara, ruda, czarna, błyskająca oknami, cała w strzępach dymu z fabryk i lokomotyw.

Pasażerowie wysiadający w Kujbyszewie stali przy burcie. Kiedy schodzili po trapie na brzeg, nie żegnali się, nie machali pozostałym - nie nawiązali po drodze żadnych znajomości.

Na staruszkę w kunim futrze i jej dwóch wnuków czekał ZIS-101. Żółtolicy człowiek w bekieszy z generalskiego sukna zsalutował kobiecie, a chłopcom uściśnął ręce.

Minęło kilka minut i pasażerowie z dziećmi, z walizami zniknęli, tak jakby ich nigdy nie było.

Na statku pozostały tylko szynele i kufajki.

Ludmiła Nikołajewna myślała, że teraz będzie jej lżej i łatwiej oddychać wśród ludzi połączonych wspólnym losem, trudem i nieszczęściem.

Pomyliła się.

## 28

Saratow powitał Ludmiłę Nikołajewną brutalnie i okrutnie. Od razu na przystani zderzyła się z jakimś pijanym mężczyzną w wojskowym płaszczu; pijak zatoczył się, odepchnął ją i obrzucił wyzwiskami.

Ludmiła Nikołajewna zaczęła się wspinać na wysoki brzeg Wołgi stromą, brukowaną ulicą. Potem zatrzymała się i obejrzała, ciężko dysząc. W dole statek świecący bielą między szarymi szopami na wybrzeżu jakby ją zrozumiał, bo niezbyt głośno zatrąbił parę razy: „Idź już, idź”. Posłuchała go.

Kiedy wsiadała do tramwaju, młode kobiety z milczącą gorliwością odpychały stare i słabe. Niewidomy w żołnierskiej czapce, widocznie niedawno wypuszczony ze szpitala, nie umiejąc jeszcze nieść samotnie swojej ślepoty, poruszał się drobnymi kroczkami i postukiwał laską przed sobą. Zachłannie, jak dziecko, złapał za rękaw niemłodą kobietę. Ta odtrąciła rękę i ruszyła do przodu, dzwoniąc po bruku podkutymi butami, a on, nadal czepiając się jej ręki, spieszenie tłumaczył:

- Proszę mi pomóc wsiąść, ja ze szpitala.

Kobieta zaklęła i odepchnęła niewidomego, który stracił równowagę i usiadł na jezdni.

Ludmiła spojrzała na twarz kobiety.

Skąd wziął się ten nieludzki wyraz, co go zrodziło? Głód, przeżyty w dzieciństwie, w dwudziestym pierwszym roku, czy też głód w trzydziestym? Życie po brzegi wypełnione nędzą? Ślepiec na chwilę zamarł, a potem zerwał się i zaczął krzyczeć ptasim głosem. Prawdopodobnie ze straszliwą wyrazistością ujrzał ślepyimi oczami samego siebie w przekrzywionej czapce, bezradnie wymachującego laską. Niewidomy zataczał nią koła i w ten sposób wyrażał swoją nienawiść do bezlitosnego

świata widzących. Widzący pchali się do tramwaju, on zaś stał, płacząc i lamentując. A ludzie, których Ludmiła z nadzieją i miłością połączyła w jedną rodzinę pracy, biedy, dobroci i nieszczęścia, jakby się umówili, żeby nie zachowywać się po ludzku. Jakby postanowili wspólnie obalić pogląd, że zawsze można liczyć na dobroć od tych, którzy chodzą w wyświechtanych waciakach i mają zniszczone pracą ręce.

Coś groźnego, ciemnego dotknęło Ludmiły Nikołajewny, i to dotknięcie naznaczyło ją zimnem i mrokiem tysiącwiorstowych, ubogich przestrzeni rosyjskich, poczuciem bezradności w tej życiowej tundrze.

Jeszcze raz spytała konduktorę, gdzie ma wysiąść, a ta niewzruszona odparła:

- Już mówiłam, głucha jesteś czy co?

Pasażerowie stojący w przejściu nie chcieli powiedzieć, czy wysiadają, nie chcieli się posunąć, stali jak posągi.

Kiedyś Ludmiła uczyła się w przygotowawczej „elementarnej” klasie gimnazjum żeńskiego w Saratowie. Któregoś chłodnego ranka siedziała przy stole, mając nogami, i piła herbatę, a ojciec, którego uwielbiała, smarował jej masłem kawałek ciepłego kołacza... Lampa odbijała się w pulchnym policzku samowara, a Ludmiła nie chciała odchodzić od ciepłej ręki ojca, od ciepłego chleba, od ciepła herbaty. Wydawało się, że wtedy nie było w tym mieście listopadowego wiatru, głodu, samobójców, dzieci umierających w szpitalach, tylko samo ciepło, ciepło, ciepło.

Na tutejszym cmentarzu pochowana była starsza siostra Ludmiły, Sonia, zmarła na dyfteryt - Aleksandra Władimirowna dała jej to imię na cześć Sofii Pierowskiej. Dziadek leżał chyba na tym samym cmentarzu.

Podeszła do dwupiętrowego budynku szkoły; to właśnie był szpital, w którym leżał Tola.

Przy drzwiach nie stał wartownik, a jej wydawało się, że to dobry znak. Poczula szpitalny zapach, taki natrętny, lepki, że nawet ludzi, którym mróz dał się we znaki, ciepło szpitala nie cieszy, wolą znowu wyjść na mróz. Minęła ubikacje, gdzie zachowały się jeszcze z czasów szkoły tabliczki: „Dla chłopców”, „Dla dziewcząt”. Przeszła korytarzem, z kuchni wionęły na nią tamtejsze zapachy, potem dalej, i przez zapocone okno dostrzegła złożone na wewnętrznym dziedzińcu prostokątne skrzynie-trumny, i znowu jak u siebie w przedpokoju, zanim jeszcze otworzyła list, pomyślała: „O Boże, gdybym tu teraz nagle padła trupem”. Dużymi krokami ruszyła jednak dalej, weszła na szary chodniczek i mijając szafki zastawione popularnymi roślinami pokojowymi - asparagusami, filodendronami - podeszła do drzwi, na których obok tabliczki „Klasa czwarta” wisiała kartka z odręcznym napisem „Rejestracja”.

Kiedy Ludmiła ujęła za klamkę, światło słoneczne przebiło się właśnie przez chmury, uderzyło o szyby; wszystko wokół się rozjaśniło. A po kilku minutach rozmowny pisarz, przerzucając kartki w długiej, lśniącej w słońcu skrzynce, mówił do niej:

-Tak, tak, znaczy się, Szaposznikow A.W. Anatolij Wu... Tak... Ma pani szczęście, że nie natknęła się pani na naszego komendanta, bo jakby zobaczył panią w płaszczu, toby pani pokazał... Tak, tak... aha, znaczy się, Szaposznikow... Tak, tak, lejtnant, racja.

Ludmiła obserwowała jego palce, wyjmujące kartkę z długiej skrzynki z dykty, i miała wrażenie, że stoi przed Bogiem, w którego mocy jest obwieścić jej życie albo śmierć i który właśnie zawahał się, nie zdecydował jeszcze, czy jej syn ma żyć, czy też umrzeć.

29

Ludmiła Nikołajewna przyjechała do Saratowa w tydzień po tym, jak Tolę poddano kolejnej, trzeciej już operacji. Operował go Majzel, lekarz wojskowy drugiej rangi. Operacja była trudna i długa, trwała ponad pięć godzin. Zastosowano narkozę ogólną, dwukrotnie trzeba było wstrzykiwać dożylnie heksonal. Jeśli chodzi o sam zabieg, nikt z chirurgów w Saratowie, ani ze szpitala wojskowego, ani z kliniki uniwersyteckiej, nigdy takiego nie przeprowadzał. Operację znano tylko ze źródeł naukowych: w wojskowym czasopiśmie medycznym z roku 1941 roku Amerykanie zamieścili jej szczegółowy opis.

Wyjątkowa trudność zabiegu sprawiła, że doktor Majzel po kolejnym badaniu rentgenowskim długo i szczerze rozmawiał z lejtnantem. Wyjaśnił mu charakter patologicznych zmian w jego organizmie, wywołanych straszną raną. Równocześnie nie ukrywał związanego z operacją ryzyka. Powiedział, że lekarze, z którymi się konsultował, nie są jednomyślni w tej sprawie - profesor Rodionow, stary klinicysta, jest przeciwny operacji. Lejtnant Szaposznikow zadał doktorowi Majzlowi kilka pytań i po krótkim namyśle jeszcze w gabinecie rentgenowskim wyraził zgodę. Przygotowania do zabiegu trwały pięć dni.

Operacja zaczęła się o jedenastej i zakończyła dopiero o czwartej. Asystował przy niej komendant szpitala, lekarz wojskowy Dimitruk. Z uwag obserwujących ją lekarzy wynikało, że udała się znakomicie. Przy stole operacyjnym Majzel bardzo dobrze poradził sobie z nieoczekiwanymi trudnościami, których nie zawierał opis w czasopiśmie. Stan chorego w czasie operacji był zadowalający, puls w normie, nie zanikał. Około drugiej Majzel, człowiek niemłody i tęgi, poczuł się źle i zmuszony był na kilka minut przerwać zabieg. Doktor Klestow, internistka, podała mu walidol, po czym Majzel kontynuował pracę. Wkrótce jednak po operacji, kiedy lejtnant Szaposznikow został odwieziony do sali, doktor Majzel doznał ciężkiego ataku duszniczy bolesnej. Dopiero późnym wieczorem zastrzyki kamfory i nitrogliceryna w płynie skutecznie usunęły skurcz naczyń. Przyczyną ataku było oczywiście długotrwałe napięcie nerwowe i nadmierne obciążenie chorego serca.

Dyżurująca przy Szaposznikowie pielęgniarka nazwiskiem Tierientjew miała obserwować stan lejtnanta. Do salki weszła pani doktor, sprawdziła puls pacjenta. Stan Szaposznikowa był zadowalający, lekarka powiedziała do siostry:

- Majzel dał lejtnantowi przepustkę do życia, a sam o mało nie umarł.

Siostra Tierientjew odpowiedziała:

- No, oby tylko lejtnant Tola się z tego wykaraskał!

Prawie nie było słyhać oddechu Szaposznikowa. Twarz miał nieruchomą, szyję, ręce - chude jak u dziecka; na bladej skórze widać było ledwie dostrzegalny cień opalenizny, rezultat pracy w polu i marszu przez stepy. Stan, w którym chory się znajdował, był czymś pośrednim między brakiem przytomności a snem - ciężkim

zamroczeniem wywołanym narkozą oraz utratą sił duchowych i fizycznych.

Chory niewyraźnie mamrotał pojedyncze słowa, a niekiedy całe zdania. Siostrze wydało się, że powiedział: „Dobrze, że mnie takiego nie widziałaś”. Potem leżał cicho, kąciki ust mu opadły, i mogło się zdawać, że płacze, chociaż jest nieprzytomny.

Około ósmej wieczór otworzył oczy i wyraźnie - siostra Tierientjew ucieszyła się i zdziwiła - poprosił o wodę. Pielęgniarka powiedziała, że nie wolno mu pić, i pocieszyła go, że wyzdrowieje, bo operacja udała się znakomicie. Spytała o samopoczucie, a on poskarżył się na bóle w boku i w plecach, ale dodał, że nie są silne. Znowu zmierzyła mu puls; mokrym ręcznikiem zwilżyła usta i czoło.

W tym czasie do sali wszedł sanitariusz Miedwiedjew z wiadomością, . ordynator oddziału chirurgicznego Płatonow wzywa siostrę do telefonu. Pielęgniarka poszła do pokoju dyżurnego na piętrze, podniosła słuchawkę i zameldowała, że chory się obudził, a stan jego jest typowy dla pacjentów po ciężkiej operacji. Poprosiła Płatonowa, by ktoś ją zmienił, bo ona musi koniecznie zgłosić się w miejskiej komisji wojskowej w związku z pomyłką w adresie na przekazie pieniężnym, który wysłał jej mąż. Lekarz obiecał, że ją zwolni, ale kazał obserwować Szaposznikowa do momentu, kiedy sam go obejrzy.

Siostra wróciła do sali. Chory leżał w pozycji, w jakiej go zostawiła, ale na jego twarzy nie malował się już wyraz tak dotkliwego cierpienia - kąciki ust były uniesione, twarz wydawała się spokojna, uśmiechnięta. Ów stały wyraz cierpienia sprawiał, że twarz chorego się starzała; uśmiech, jaki się teraz na niej pojawił, wzbudził więc zdziwienie pielęgniarki. Wydawało się, że chude policzki, blade, duże, nieco wysunięte wargi czy też wysokie, bez jednej choćby zmarszczki czoło należą nie do dorosłego i nawet nie do młodzieńca, ale do chłopczyka. Siostra spytała pacjenta, jak się czuje, ale nie odpowiedział; oczywiście zasnął.

Ten jego wyraz twarzy trochę jednak zaniepokoił siostrę Tierientjew. Wzięła lejtnanta Szaposznikowa za rękę - pulsu nie wyczuwała, ręka była ciepła tym nieżywym, słabym, porannym ciepłem pieca, w którym napalono wieczorem, a który dawno już wystygł.

I chociaż siostra mieszkała od urodzenia w mieście, to osunęła się na kolana i cichutko, żeby nie przeszkadzać żywym, jęła zawodzić jak wiejska baba:

- O mój kochany, kwiatuszku ty nasz, dokąd od nas odszedłeś?!

30

W szpitalu wszyscy dowiedzieli się o przyjeździe matki zmarłego lejtnanta Szaposznikowa. Przyjął ją komisarz szpitala, komisarz batalionowy Szymański. Przystojny mężczyzna, mówiący z lekkim polskim akcentem, z ponurą miną oczekiwał Ludmiły Nikołajewny - wydawało mu się, że nie obejdzie się bez łez, może nawet omdlenia. Przesuwał językiem po niedawno zapuszczonych wąsach, żal mu było zmarłego lejtnanta, żal jego matki, i właśnie dlatego złościł się na oboje; jeśli ma przyjmować matkę każdego zmarłego lejtnanta, to wkrótce nerwy mu wysiądą.

Szymański wskazał przybyłej krzesło i zanim zaczął mówić, podsunął jej karafkę z wodą, na co Ludmiła Nikołajewna powiedziała:

- Dziękuję, nie chce mi się pić.



Wysłuchała jego opowieści o konsylium, które odbyło się przed operacją (komisarz wolał nie wspominać, że był jeden głos przeciwny zabiegowi), o związanych z nią trudnościach, o tym, że przebiegła pomyślnie; chirurdzy uważają podobną operację za wskazaną przy ciężkich ranach, takich, jakie odniósł lejtnant Szaposznikow. Poinformował ją, że śmierć nastąpiła w wyniku ustania akcji serca i, jak stwierdził w orzeczeniu patolog, lekarz wojskowy trzeciej rangi Bołdyriow, nie można było przewidzieć tego nagłego zejścia.

Następnie komisarz batalionu powiedział, że przez szpital przewijają się setki chorych, ale mało kogo tak lubiano, jak lejtnanta Szaposznikowa - był to zdyscyplinowany, kulturalny i skromny pacjent, krępował się, ilekroć musiał o coś poprosić, nie lubił trudzić personelu.

Oznajmił, że matka powinna być dumna z syna, który mężnie i z honorem oddał życie za ojczyznę.

Następnie spytał, czy ma jakieś prośby do komendantury szpitala.

Ludmiła Nikołajewna przeprosiła, że zajmuje czas komisarzowi, po czym wyjęła z torebki kartkę i odczytała swoje prośby. Poprosiła, by wskazano jej, gdzie syn został pochowany.

Komisarz w milczeniu skinął głową i zapisał coś w notesie.

Chciała porozmawiać z doktorem Majzlem.

Komisarz szpitala powiedział, że doktor Majzel sam chciał się z nią spotkać, kiedy dowiedział się o jej przyjeździe.

Poprosiła o spotkanie z siostrą Tierientjew.

Komisarz wyraził zgodę skinieniem głowy i znowu to sobie zapisał.

Prosiła też, by wydano jej rzeczy syna na pamiątkę.

Komisarz zrobił kolejną notatkę.

Ludmiła Nikołajewna poprosiła o przekazanie rannym podarunków, które przywiozła dla syna; położyła na stole dwie puszkę szprotów i paczkę cukierków.

Ich spojrzenia się skrzyżowały; błękitne oczy Ludmiły Nikołajewny błyszcząły tak, że komisarz mimo woli zmrużył swoje.

Szymański poprosił Ludmiłę Nikołajewną, żeby przyszła do szpitala nazajutrz o dziewiątej trzydzieści, a wszystkie jej prośby zostaną spełnione. Komisarz batalionu popatrzył na drzwi, które się za nią zamknęły, na zostawione przez nią prezenty, obmacał sobie przegub, ale nie wyczuł pulsu. Machnął ręką, sięgnął po karafkę i zaczął pić wodę, którą na początku rozmowy częstował Ludmiłę Nikołajewną.

## 31

Wydawało się, że Ludmiła Nikołajewna nie ma wolnej chwili. Nocą chodziła po ulicach, siedziała na ławce w parku miejskim, wstępowała na dworzec, żeby się ogrzać, i znowu szybkim, zdecydowanym krokiem maszerowała pustymi ulicami.

Szymański zrobił wszystko, o co prosiła.

Siostra Tierientjew spotkała się z nią o wpół do dziesiątej rano. Ludmiła

Nikołajewna prosiła ją, żeby opowiedziała wszystko, co wie o Toli.

Potem włożyła fartuch i razem z pielęgniarką weszły na pierwsze piętro, przeszły korytarzem, którym jej syna wieziono na operację; Ludmiła przystanęła na chwilę przed drzwiami izolatki, popatrzyła na puste łóżko. Siostra Tierientjew szła cały czas obok niej i wycierała nos chustką. Potem znowu zeszły na parter i pożegnały się. Wkrótce do sali przyjęć, ciężko dysząc, wszedł siwy, tłusty człowiek o ciemnych, podkrążonych oczach.

Nakrochmalony fartuch chirurga Majzla wydawał się jeszcze bielszy w zestawieniu z jego smagłą twarzą i czarnymi, wytrzeszczonymi oczami. Majzel wyjaśnił, dlaczego profesor Rodionow był przeciwny operacji. Ludmiła Nikołajewna miała wrażenie, że lekarz odgaduje wszystko, o co chciała go zapytać. Przekazał jej treść swoich przedoperacyjnych rozmów z lejtnantem Tolą. Rozumiejąc stan Ludmiły, z okrutną szczerością opowiedział o przebiegu operacji.

Kiedy zaczął mówić, że odczuwał wobec lejtnanta dziwną, prawie ojcowską tkliwość, w jego basowym głosie cieniutko zadźwięczało szkło. Popatrzyła pierwszy raz na dłonie chirurga: były osobliwe, żyły oddzielnie od człowieka o żalobnych oczach - surowe, ciężkie, zakończone długimi smagłymi palcami. Majzel zdjął je z biurka. Jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Zrobiłem wszystko, co możliwe, ale okazało się, że moje ręce, zamiast pokonać śmierć, tylko ją przyśpieszyły.

Po czym znowu położył dłonie na biurku.

Wiedziała, że wszystko, co mówił, jest prawdą.

Każde jego słowo o Toli, strasznie przez nią wyczekiwane, dręczyło ją i paliło. Ale rozmowa miała jeszcze jedną bolesną stronę - czuła, że chirurg chciał się z nią widzieć nie dla niej, ale dla siebie. A to budziło w niej niechęć do Majzla.

Żegnając się z nim, wyraziła przekonanie, że zrobił wszystko, co możliwe, by ratować jej syna. Chirurg zaczął ciężko sapać. Widać było, że jej słowa przyniosły mu ulgę, a ona znowu zrozumiała, że zasługiwał na to, by usłyszeć od niej coś takiego, i właśnie dlatego chciał z nią porozmawiać.

Pomyślała z goryczą: „Czyżbym jeszcze musiała pocieszać innych?” Chirurg wyszedł, a Ludmiła udała się do człowieka w papasze, do komendanta. Ten zsalutował i powiedział ochryplym głosem, że komisarz kazał zawieźć ją samochodem osobowym na miejsce, gdzie pochowany jest syn. Samochód spóźnił się dziesięć minut, bo miał dostarczyć do biura przydziału kartek spis pracowników cywilnych. Rzeczy lejtnanta już są przygotowane, wygodniej jednak będzie je zabrać po powrocie z cmentarza.

Wszystko, o co prosiła Ludmiła Nikołajewna, zostało dokładnie, po wojskowemu wykonane. Ale w stosunku komisarza, pielęgniarki i komendanta do niej czuło się, że wszyscy oni liczą na jakieś uspokojenie, przebaczenie, pociechę.

Komisarz czuł się winny temu, że w szpitalu umierają ludzie. Przed przyjazdem pani Szaposznikow nie przejmował się tym - od czego w końcu jest szpital podczas wojny? Co do obsługi medycznej, przełożeni nie mieli zastrzeżeń. Strofowano go za niedostateczną organizację pracy politycznej, za złą informację o nastrojach rannych.

Niedostatecznie walczył z defetyzmem wśród części rannych, ze szkodliwymi wypowiedziami tych zacofanych, wrogich kołchozom. W szpitalu zdarzało się też, że ranni rozpowiadali tajemnice wojskowe. Szymańskiego wzywano do wydziału politycznego zarządu sanitarnego okręgu i grożono, że zostanie wysłany na pierwszą linię, jeśli do wydziału specjalnego znowu wpłynie doniesienie o zamęcie ideologicznym w szpitalu.

A teraz komisarz poczuł się winny wobec matki zmarłego lejtnanta, bo wczoraj zmarło trzech chorych, a on tego samego dnia wziął prysznic, zamówił u kucharza ulubiony bigos z kiszonej kapusty i wypił puszkę piwa, zdobytą dzięki znajomościom w saratowskim wydziale handlu. Siostra Tierientjew miała poczucie winy wobec matki zmarłego lejtnanta, bo jej mąż, inżynier wojskowy, służył w sztabie armii, nigdy nie był na pierwszej linii, a syn, o rok starszy od Szaposznikowa, pracował w biurze konstruktorskim fabryki samolotów.

Komendant też wiedział, że jest winien - on, zawodowy wojskowy, pracuje w szpitalu na tyłach, wysłał do domu kupon dobrej gabardyny i filcowe walonki, a po zabitym lejtnancie matka dostała tani bawełniany mundur.

Starszyna o grubych, mięsistych ustach i uszach, kierujący pogrzebami zmarłych pacjentów, czuł, że jest winny wobec kobiety, z którą pojechał na cmentarz. Trumny zbijano z cienkich desek najgorszego sortu. Zmarłych kładziono do trumien w bieliźnie, szeregowych układano ciasno w bratnich mogiłach, napisy na grobach robiono niechlujnym charakterem pisma, na nieociosanych deszczułkach, nietrwałą farbą.

Co prawda, tych, którzy zmarli w dywizyjnych punktach sanitarnych, grzebano w ogóle bez żadnych trumien, a napisy wykonane chemicznym ołówkiem trwały tylko do pierwszego deszczu. Zwłok tych, którzy zginęli w walce w lasach, błotach, rowach, w polu, niekiedy wcale nie zbierano, za trumny służyły im piasek, suche liście, śnieg. A jednak starszyna czuł, że za niską jakość drewna też jest odpowiedzialny wobec tej kobiety, siedzącej obok niego w samochodzie i wypytującej, jak chowa się zmarłych - czy razem, w co są ubrani, czy nad grobem ktoś wygłasza ostatnie pożegnanie.

Niezręcznie czuł się także dlatego, że przed jazdą wstąpił do koleżki i w magazynie wypił słoiczek rozcieńczonego spirytusu medycznego, zagryzając chlebem z cebulą. Miał wyrzuty sumienia, że w samochodzie czuć alkoholem z domieszką cebuli, ale przecież nie mógł przestać oddychać dlatego, że miał wyrzuty sumienia. Ponuro spoglądał w lusterko wiszące przed kierowcą - w tym czworokącie odbijały się roześmiane oczy żołnierza, wobec którego też czuł wstyd. „No i co, łyknałeś sobie, starszyno?” - pytały bezlitośnie wesołe, młode oczy.

Wszyscy ludzie są winni wobec matki, która straciła na wojnie syna, i od początku świata skwapliwie starają się przed nią usprawiedliwić.

32

Żołnierze batalionu roboczego wyładowywali trumny z ciężarówki. Po ich milczącej, niespiesznej pracy widać było, że mają w niej wprawę. Jeden, stojąc na skrzyni ciężarówki, podsuwał trumnę do krawędzi, następny brał ją na ramię i podnosił, tak żeby mógł podejść trzeci i podsunąć ramię pod drugi koniec trumny. Skrzypiąc butami po zmarłej ziemi, nieśli trumnę do szerokiej bratniej mogiły,

stawiali ją na skraju wykopu i wracali do ciężarówki po następną. Kiedy pusty samochód odjechał do miasta, żołnierze przysiedli na trumnach stojących przy otwartym dole, po czym zaczęli skręcać papierosy z dużej ilości papieru i małej - machorki.

- Dzisiaj jakby trochę więcej luzu - zauważył jeden i zaczął krzesać płomyk z solidnie zmajstrowanego krzesiwa. Hubka w postaci kawałka sznura była wpuszczona do mosiężnej gilzy, a krzemień specjalnie oprawiony. Żołnierz machnął parę razy sznurkiem i w powietrze uniósł się dymek.

- Starszyna mówił, że będzie jeszcze najwyżej jedna ciężarówka powiedział drugi i odpalił od tamtego, wypuszczając dużo dymu.

- To wtedy weźmiemy się do grobu.

- Jasne, tak najlepiej; listę też przywiezie i sprawdzi - dodał trzeci, niepalący, wyjął z kieszeni kawałek chleba, otrzepał, leciutko na niego chuchnął i zaczął powoli jeść.

- Powiedz starszynie, żeby dał łom, bo ziemia zmarznięta prawie na ćwierć metra. Łopata takiej nie chwyci, a jutro mamy kopać nowy dół!

Ten, który krzesał ogień, głośno klasnął w dłoń, wybił z drewnianej lufki niedopałek i leciutko postukał nią o wieko trumny. Wszyscy trzej zamilkli, jakby się w coś wsłuchiwali. Było cicho.

- Prawda to, że batalionom pracy będą wydawali suchy prowiant zamiast obiadu? - spytał jedzący chleb żołnierz ścisłym głosem, żeby nie przeszkadzać zmarłym rozmową, która ich nie dotyczy. Drugi z palących wydmuchnął niedopałek z długiej zakopconej lufki trzciny, sprawdził pod światło, czy nic nie zostało, pokręcił głową. Znowu było cicho...

- Dzień dzisiaj nie najgorszy, tyle że wiatr.

- Słyszysz? Jest samochód, to do obiadu się uwiniemy.

- Ale to nie nasz, tylko osobowy.

Z samochodu wysiadł znany im starszyna, za nim kobieta w chustce; szli w stronę żeliwnego ogrodzenia, gdzie do ubiegłego tygodnia chowano zmarłych, a potem z braku miejsca przestano.

- Kupę ludzi grzebiemy, a nikt nie przychodzi - powiedział jeden. - W czasie pokoju to wiesz jak jest: jedna trumna, a za nią ze stu ludzi z kwiatkami.

- Płaczą i po tych. - Żołnierz delikatnie zastukał w trumienną deskę grubym, owalnym paznokciem, który praca obrobiła jak morze kamień. - Tylko my tych łez nie widzimy... Patrz, starszyna sam się kręci.

Znowu zapalili, tym razem wszyscy trzej. Starszyna podszedł do nich i powiedział dobrodusznie:

- Wszyscy palimy, chłopcy, a kto za nas będzie pracował?

Bez słowa wypuścili trzy obłoczki dymu, potem jeden, właściciel krzesiwa, odezwał się:

- Dużo się tu nie napalimy, słyszę, że już ciężarówka jedzie. Poznają po silniku.

33

Ludmiła Nikołajewna podeszła do mogilnego wzgóрка i na tabliczce z dykty odczytała nazwisko syna i jego stopień wojskowy. Wyraźnie poczuła, że jej włosy pod chustką się poruszyły, czyjeś zimne palce zaczęły w nich przebierać. Obok, po prawej i po lewej, aż do ogrodzenia, wszędzie wznosiły się takie same szare kopczyki, bez trawy, bez kwiatów, z jedną tylko, wyrastającą z ziemi, prostą drewnianą łodygą. Na końcu każdej z nich przytwierdzono kawałek dykty z nazwiskiem zmarłego. Tabliczek było dużo; jednakowe i gęste, przypominały łąn zboża...

W końcu znalazła Tolę. Ileż razy starała się odgadnąć, gdzie jest, co robi i o czym myśli jej chłopczyk - czy drzemie, z czołem przytkniętym do szyby, czy idzie drogą, czy pije herbatę, trzymając kubek w jednym ręku, a w drugim - kawałek cukru, czy biegnie przez pole pod ostrzałem... Chciała być obok niego, była mu potrzebna - dołałaby herbaty do kubka, powiedziała: „Zjedz jeszcze chleba”, zdjęłaby mu buty i opatrzyła otartą nogę, owinęłaby szyję szalikiem... Za każdym razem znikał i nie mogła go odnaleźć. Teraz znalazła, ale już nie była mu potrzebna.

Dalej widniały groby z przedrewolucyjnymi granitowymi krzyżami. Kamienie nagrobne stały jak tłum nikomu niepotrzebnych, niedających się odróżnić staruszków - jedne upadły na bok, inne bezradnie opierały się o pień drzewa.

Wydawało się, że niebo jest pozbawione powietrza, jakby je z niego wypompowano, a nad głową wisi próżnia pełna suchego kurzu. A bezgłośna, potężna pompa, która to powietrze wyssała, ciągle pracuje, pracuje, i dla Ludmiły zabrakło już nie tylko nieba, ale także wiary i nadziei. W tej olbrzymiej próżni pozostał tylko nieduży, pokryty szarymi, przymarzniętymi do siebie grudkami, wzgórek.

Wszystko, co żyło - matka, Nadia, oczy Wiktora, komunikaty wojenne - przestało istnieć.

Żywe stało się nieżywe. Na całym świecie żywy był tylko Tola. Ale jakaż cisza panowała wokół! Czy on już wie, że przyszła?...

Ludmiła uklękła i leciutko, żeby nie niepokoić syna, poprawiła deseczkę z imieniem i nazwiskiem. Zawsze złościł się, że poprawia kołnierz jego kurtki, kiedy szedł na zajęcia.

- Przyszłam, a ty na pewno myślałeś: „Dlaczego mama nie przychodzi...”

Zaczęła mówić półgłosem, bojąc się, że usłyszą ją ludzie za murem cmentarnym.

Szosa jeździły ciężarówkami, krążył tam wiatr przyziemny, wił się na asfalcie, kędzierzawił, sypał kurzem. Z chodnika dobiegał tupot wojskowych butów, to mleczarki szły z bańkami; przechodzili ludzie z workami, biegli uczniowie w kufajkach i zimowych czapkach wojskowych.

Ale jej ten pełen ruchu dzień wydawał się mglistym przywidzeniem.

Jaka cisza.

Rozmawiała z synem, wspominała szczegóły jego życia, i te wspomnienia,

istniejące tylko w jej świadomości, wypełniały przestrzeń dziecięcym głosem, łzami, szelestem książek z obrazkami, brzękiem łyżeczki o krawędź białego talerzyka, szumem własnoręcznie skonstruowanego radia, skrzypieniem nart, zgrzytem dulek łódki na stawie, chrzęstem papierków od cukierków, migotliwymi obrazami dziecięcej twarzyczki, ramion i piersi.

Jego łzy, zmartwienia, jego dobre i złe uczynki, ożywione jej rozpaczą, istniały realnie, namacalnie jak przedmioty.

Nie wspominała tego, co minęło, przeżywała prawdziwe, realne zmartwienia.

Po co czytasz całą noc przy takim okropnym świetle, cóż to, w tak młodym wieku chcesz nosić okulary?...

Tola leży w lekkiej krośniakowej koszuli, bosy; jak mogli mu nie dać koca, ziemia jest zupełnie lodowata, a nocami silny mróz.

Nagle Ludmile zaczęła lecieć krew z nosa. Chustka zrobiła się ciężka, cała namokła. Kobiecie zakręciło się w głowie, w oczach jej pociemniało; przez moment myślała, że traci przytomność. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, świat ożywiony jej cierpieniem już zniknął, tylko tumany szarego kurzu, które wzbijał wiatr, krążyły nad grobami: unosiły się to nad jedną, to nad drugą mogiłą.

Żywa woda, która chlusnęła spod lodu, ukazując w przeręblu Tolę, odpłynęła, uciekła, i znowu zniknął świat, który na chwilę chciał się uwolnić i stać się rzeczywistością, świat, stworzony przez matczyną rozpacz. Jej rozpacz niczym Bóg wskrzesiła lejtnanta z martwych, wypełniła próżnię nowym istnieniem.

W tych chwilach żył tylko on, dzięki niemu istniała reszta świata.

Ale potężna matczyna siła nie zdołała na długo podporządkować martwemu Toli olbrzymich mas ludzkich, mórz, dróg, ziemi, miast.

Ludmiła podniosła chustkę do oczu; były suche, a chustka - przemoczona. Czowała, że twarz ma umazaną lepłą krwią, i siedziała zgarbiona, uległa, nie z własnej woli robiąc pierwsze, drobne kroki ku świadomości, że Toli już nie ma.

Ludzi w szpitalu zdumiewał jej spokój, jej rzeczowe pytania. Nie wiedzieli, że nie dociera do niej to, co uważali za rzecz oczywistą - nieobecność Toli. Miłość Ludmiły do syna była tak silna, że cała potęga faktów nie mogła sobie nią poradzić - Tola żył nadal.

Była szalona, ale nikt tego nie widział. W końcu znalazła Tolę. Tak kotka cieszy się i oblizuje swoje nieżywe kociątko, kiedy je znajdzie. Długie męki przechodzi dusza, zanim przez lata, a czasem nawet dziesięciolecia, kamień za kamieniem, powoli zbuduje nagrobek, sama dojdzie do poczucia wiecznej utraty, ukorzy się przed mocą tego, co się wydarzyło.

Żołnierze batalionu pracy skończyli robotę i poszli, słońce też zbierało się do odejścia, cienie nagrobnych deszczulek się wydłużyły. Ludmiła została sama. Pomyślała, że o śmierci Toli trzeba zawiadomić krewnych, ojca siedzącego w łagrze. Ojca koniecznie. Rodzonego ojca. O czym Tola myślał przed operacją? Jak go karmiono, może łyżeczką? Czy spał choć trochę, na boku, na plecach? Lubi wodę z cukrem i cytryną. Jak leży teraz, czy ma ogoloną głowę? To chyba nieznośny ból duszy sprawiał, że dookoła robiło się coraz ciemniej.

Poraziła Ludmiłę myśl, że jej nieszczęście będzie trwało wiecznie - umrze Wiktor, umrą wnuki jej córki, a ona wciąż jeszcze będzie cierpiała. Kiedy smutek stał się tak dojmujący, że serce nie mogło go wytrzymać, znowu zatarła się granica między rzeczywistością a światem żyjącym w duszy Ludmiły, wieczność ustąpiła przed jej miłością. Ludmiła pomyślała: nie warto o śmierci Toli powiadamiać rodzzonego ojca, Wiktora, wszystkich bliskich, przecież jeszcze nic nie wiadomo na pewno. Lepiej poczekać, może wszystko się odmieni.

Szeptem powiedziała:

- Ty też nie mów nikomu, jeszcze nic nie wiadomo, w końcu wszystko się ułoży.

Okryła nogi Toli połą swego płaszcza. Zdjęła chustkę z głowy i narzuciła ją na ramiona syna.

- Boże, tak nie można, dlaczego nie dali ci żadnej kołdry? Przynajmniej nogi musisz rozgrzać.

Zapomniała się, w północy nadal rozmawiała z synem, wyrzucała mu, że pisze takie krótkie listy. Budziła się, poprawiała chustkę, którą zrzucił z grobu wiatr.

Jak dobrze, że są tu sami, że nikt im nie przeszkadza. Nikt go nie kochał. Wszyscy mówili, że jest brzydki, że ma grube, wydęte wargi, że dziwnie się zachowuje, że złości się bez powodu, obraża. Jej też nikt nie kochał, bliscy widzieli w niej same wady... Mój biedny chłopczyk, nieśmiały- niezgrabny, dobry synek... On jeden ją kochał. Teraz nocą cmentarzu jest z nią sam, nigdy jej nie zostawi, a kiedy ona stanie się nikomu niepotrzebną staruszką, będzie ją nadal kochał... Jest taki nieporadny życiowo. Śmieszny, wstydlivy, nigdy o nic nie poprosi; nauczycielka mówi, że w szkole jest pośmiewiskiem - drażnią go, wyprowadzają z równowagi, a on płacze jak mały chłopiec. Tola, Tola, nie zostawiaj mnie samej.

A potem nastał dzień - czerwona, lodowa zorza rozpałała się nad zawołzańskim stepem. Z rykiem silnika przemknęła szosą ciężarówka. Jej obłąd minął. Siedziała obok grobu syna. Jego ciało było przysypane ziemią. Nie ma już Toli! Widziała swoje ubrudzone palce, poniewierającą się na ziemi chustkę; czuła, że i twarz ma wysmarowaną. Nogi zdrętwiały, w gardle ją drapało.

Było jej wszystko jedno. Gdyby ktoś powiedział, że skończyła się wojna, że umarła Nadia, gdyby obok postawiono kubek gorącego mleka, położono kawałek chleba - nie ruszyłaby się, nie wyciągnęła ręki. Była spokojna, o niczym nie myślała. Wszystko wydawało się obojętne, niepotrzebne. Lekarz w białym kitlu, ludzie ze szpitala mówili coś o Toli, widziała ich otwierające się usta, ale nie słuchała słów. Na ziemi leżał list, który wypadł z kieszeni płaszcza; ten, który dostała ze szpitala. Nie chciało jej się go podnieść, otrzepać z kurzu. Nie myślała o tym, że dwuletni Tola, kołyszając się jak niedźwiadek, dreptał cierpliwie i uparcie za konikiem polnym, skaczącym z miejsca na miejsce, ani o tym, że nie spytała pielęgniarki, czy rankiem, przed operacją, w ostatnim dniu swego życia, leżał na boku, czy na plecach? Widziała światło dnia, musiała je widzieć.

Nagle coś jej się przypomniało. Tola skończył trzy lata, wieczorem pili herbatę i zagryzali słodkim pierogiem, a wtedy spytał: „Mamo, dlaczego jest ciemno, przecież dzisiaj są urodziny?” Widziała gałęzie drzew, lśniący w słońcu wypolerowany kamień cmentarny, deskę z nazwiskiem syna - „Szaposzn” wypisano dużymi literami, a „ikow”

było całkiem małe, litery przywarły do siebie. Nie myślała, nie miała w sobie woli. Nie miała nic. Wstała, podniosła list, strząsnęła zdrętwiałymi rękami grudki ziemi z płaszcza, oczyściła go, wytarła buty, długo otrzepywała chustkę, dopóki nie przywróciła jej znowu białego koloru. Obwiązała nią głowę, a rąbkiem otrzepała kurz z brwi i wytarła usta i podbródek z krwawych plam. Nie oglądając się, ruszyła w stronę bramy, niezbyt szybko, ale i nie za wolno.

34

Po powrocie do Kazania Ludmiła Nikołajewna zaczęła chudnąć i w końcu przypominała swoje własne fotografie z czasów studenckich. Zdobycwała jedzenie w sklepie przydziałowym i gotowała obiady, paliła w piecu, myła podłogi, prała. Wydawało się jej, że dni jesienne są długie i nie ma czym wypełnić ich pustki.

W dniu powrotu z Saratowa opowiedziała rodzinie o podróży, o tym, co myślała o swojej winie wobec nich, o wizycie w szpitalu. Rozwinęła paczkę z zakrwawionym, poszarpanym odłamkami mundurem. Podczas jej opowieści Aleksandra Władimirowna ciężko dyszała, Nadia płakała, Wiktorowi Pawłowiczowi drżały ręce, nie był w stanie podnieść ze stołu szklanki z herbatą. Maria Iwanowna, która przybiegła ją odwiedzić, zbladła, stanęła z na wpół otwartymi ustami, w jej oczach pojawił się męczeński wyraz. Tylko Ludmiła mówiła spokojnie, patrząc w ich twarze błękitnymi, szeroko otwartymi oczami. Teraz z nikim się nie kłóciła, chociaż przez całe życie była skora do kłótni; niegdyś wystarczyło, że ktoś zaczął wyjaśniać, jak się jedzie do dworca, by Ludmiła wpadła w złość i przekonywała, że należy jechać całkiem inaczej i nie tym trolejbusem.

Wiktor Pawłowicz spytał ją któregoś dnia:

- Ludmiła, z kim ty rozmawiasz po nocach?

Odpowiedziała:

- Nie wiem, może coś ci się przywidziało.

Więcej jej nie wypytywał, ale Aleksandrze Władimirownie opowiedział, że prawie każdej nocy Ludmiła otwiera walizki, rozściela koc na stojącej w kącie kanapie i mówi coś zatroskana cichym głosem.

- Mam wrażenie, że za dnia, przy mnie, przy Nadi czy przy mamie zachowuje się tak, jakby spała, a w nocy ma ożywiony głos, taki, jaki miała przed wojną - mówił.

- Wydaje mi się, że jest chora, że stała się kimś innym.

- Nie wiem - odparła Aleksandra Władimirowna. - Wszyscy przeżywamy nieszczęście. Wszyscy jednakowo i każdy po swojemu.

Ich rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Wiktor Pawłowicz wstał, ale Ludmiła Nikołajewna krzyknęła z kuchni:

- Ja otworzę!

Nie wiadomo było, o co chodzi, domownicy jednak zauważyli, że po powrocie z Saratowa Ludmiła Nikołajewna po kilka razy dziennie sprawdza, czy nie ma listów w skrzynce. A kiedy ktoś pukał, rzucała się nerwowo do drzwi. Teraz też, słysząc jej pośpieszne kroki, prawie bieg, Wiktor Pawłowicz i Aleksandra Władimirowna spojrzeli po sobie. Rozległ się rozdrażniony głos Ludmiły:



- Nie ma, nic dzisiaj nie ma, proszę tak często nie przychodzić, dwa dni temu dostał pan przecież pół kilo chleba.

35

Lejtnanta Wiktorowa wezwano do sztabu, do majora Zakabłuki, dowódcy stacjonującego na tyłach lotniczego pułku myśliwskiego. Dyżurny sztabowy, lejtnant Wielikanow, oznajmił, że major poleciał na U-2 w rejon Kalinina, do sztabu armii powietrznej, i wróci wieczorem. Na pytanie Wiktorowa, w jakiej sprawie go wezwano, Wielikanow mrugnął i odpowiedział, że być może sprawa wiąże się z pijaństwem i awanturą w kantynie.

Wiktorow zajął za zasłonę z płaszcza-pałatki i przypiętej do niej watomanej kołdry - dobiegał stamtąd stukot maszyny do pisania. Wołkoński, szef kancelarii, na widok Wiktorowa odezwał się, uprzedzając pytanie:

- Nie ma, nie ma listów, towarzyszu lejtnancie.

Maszynistka, pracownica cywilna Lenoczka, rzuciła okiem na lejtnanta, przejrzała się w zdobycznym lusterku ze strąconego niemieckiego samolotu, które dostała od poległego później lotnika Diemidowa, poprawiła furazerkę, przesunęła linijkę leżącą na przepisywanej liście i znowu zaczęła stukać w klawisze. Ten lejtnant o pociągłej twarzy, który zadawał szefowi kancelarii jedno i to samo nudne pytanie, budził w niej dziwny smutek.

Wracając na lotnisko, Wiktorow skręcił po drodze w stronę lasu. Minął już miesiąc, odkąd wycofano ich z walk; teraz pułk uzupełniał sprzęt i łątał braki kadrowe. Przed miesiącem ten północny kraj wydawał się Wiktorowowi niezwykły. Dniem i nocą zaprzętało go życie lasu, młodej rzeki, zwinnie płynącej wśród stromych wzgórz, zapach gnicia, grzybów, szum drzew. W czasie lotu zdawało mu się, że ziemskie zapachy dosięgają jego kabiny. Ten las, jeziora tchnęły życiem starej Rusi, o której Wiktorow czytał przed wojną. Tutaj, wśród jezior, biegły starodawne szlaki, te lasy dostarczały prostych pni na domy, cerkwie, maszty okrętowe. Duch przeszłości zamyślił się i przycichł jeszcze w czasach, kiedy biegał tędy szary wilk i Alonka płakała na brzegu, wzdłuż którego Wiktorow chodził teraz do kantyny Wojentorgu. Tamte dawne czasy, które minęły, wydawały mu się jakieś naiwne, proste, młode, i nie tylko zamknięte wówczas w panieńskich izbach dziewczęta, ale i siwobrodzi kupcy, diakoni i patriarchowie byli o tysiąc lat młodszy od doświadczonych życiowo chłopców, pilotów ze świata szybkich maszyn latających, działek automatycznych, diesli, kina i radia, które przybyły w te lasy z pułkiem majora Zakabłuki. Znakiem owej minionej młodości była Wołga, chyża, gibka, o stromych brzegach, cała w deseniach utkanych z zieleni lasu, błękitu i czerwieni kwiatów...

Iluż ich, lejtnantów, sierżantów czy zwykłych szeregowców, wstąpiło na wojenny szlak! I teraz wypalają przydziałową liczbę papierosów, stukają białymi łyżkami w blaszane miski, w wagonach grają w durnia, w mieście połaszczą się na lody na patyku, wypijają, kaszląc, swój niewielki przydział stugramowych stopek, piszą dozwoloną liczbę listów, drą się przez telefon polowy, strzelają, jedni z działka, inni hukną z dużego kalibru, ktoś w czołgu T-34 naciśnie pedał przepustnicy gaźnika, bluźnie przekleństwem...

Pod wojskowymi butami Wiktorowa ziemia sprężynowała z chrzęstem, jak stary

materac. Leżały na niej liście, z wierzchu - lekkie, kruche, różniące się między sobą nawet po śmierci, pod spodem uschnięte już przed laty, zespolone w chrzęszczącą brązową masę - to był proch, w który obróciło się życie, niegdyś wybuchające pączkami, szumiące podczas burzy, lśniące w słońcu po deszczu. Zbutwiały, prawie nieważki chrust łamał się pod nogami. Do leśnej gleby docierało słabe światło, rozproszone uprzednio przez abażur z liści. Powietrze w lesie było stojące, gęste, co odczuwał zwłaszcza przywykły do podniebnych wichrów myśliwiec. Nagrzane, spocone drzewo pachniało wilgotną świeżością. Ale zapach żywego lasu ginął pod naporem woni umarłych drzew i chrustu. Tam, gdzie stały świerki, wtórowała im o oktawę wyższa nuta terpentyny. Słodki zapach osiki był mdły, olcha rozaczała gorzką woń. Las żył oddzielnie od reszty świata, Wiktorow miał więc wrażenie, że wchodzi do domu, w którym wszystko jest inne niż na dworze: i zapachy, i światło wpadające przez zaciągnięte firanki; nawet dźwięki inaczej słychać w jego ścianach, i dopóki człowiek nie wyjdzie z lasu, ciągle czuje się jakoś inaczej, jak w gościnie u prawie nieznanym ludzi. Jak gdyby z dna, przez wysoką, grubą warstwę leśnego powietrza, patrzyło się w górę; liście tańczą i wydaje się, że trzeszcząca pajęczyna, czepiająca się zielonej gwiazdki na furazerce, to wodorost zawieszony między powierzchnią a dnem jakiegoś zbiornika wodnego; że i szybkie wielkogłowe muchy, i niemrawe meszki, i cietrzew, niczym kura przedzierający się wśród gałęzi, poruszają skrzelaми i nigdy nie wzlecają ponad las, tak jak czasem rybie uda się wyskoczyć ponad powierzchnię jeziora; że jeśli sroka frunie nad wierzchołkiem osiki, to zaraz znowu zanurkuje między gałęzie - ot, przez chwilę ryba błysnęła w słońcu białym bokiem i znowu plusnęła do wody. I taki dziwny wydaje się mech skąpany w kroplach rosy, niebieskich, zielonych, gasnących w mroku na dnie leśnym.

Dobrze z tego cichego półmroku wyjść nagle na jasną polanę, wszystko jest od razu inne - i ciepła ziemia, i zapach nagrzanego słońcem jałowca, i ruchliwe powietrze, i duże, przywiedłe dzwonki, jakby odlane z fioletowego metalu, i dzikie goździki na lepkich żywicznych łądogach. W duszy czuje się beztroskę, a polana jest jak szczęśliwy dzień w pechowym życiu. Wydaje się, że motyle cytrynki, czarnogranatowe szlifowane żuki, mrówki, zaskroniec, który szeleści w trawie - troszczą się wcale nie każde o siebie, ale o jakąś jedną wspólną sprawę. Ludzkiej twarzy dotknęła brzoźowa gałązka, oblepiona drobnymi listkami; pasikonik podskoczył, uderzył o człowieka, jak o pień drzewa; chwycił się wojskowego pasa; nie śpiesząc się, napina zielone uda, ma okrągłe skórzane oczy i całkiem barani pysk. Jest ciepło, widać zapóźnione kwiaty poziomek, słońce nagrzało guziki i sprzączkę od pasa. Z pewnością nad tą polaną nigdy nie przelatywał żaden Ju-88 czy heinkel w nocnym rajdzie.

36

Nocami często wspominał miesiące spędzone w stalingradzkim szpitalu.

Nie pamiętał mokrej, przepoczonej koszuli, przyprawiającej o mdłości słonawej wody, nie pamiętał ciężkiego, męczącego zapachu. Tamte dni wydawały mu się szczęściem. A teraz w lesie, wsłuchując się w szum drzew, myślał: „Czyżbym słyszał jej kroki?” Czy to zdarzyło się naprawdę? Obejmowała go, głaśkała po włosach, płakała, a on całował jej mokre, słone oczy.

Niekiedy Wiktorow myślał o tym, że na jaku doleci do Stalingradu, to przecież w sumie kilka godzin - w Riazaniu można zatankować, potem dotrze do miasta Engels;

znajomy jest tam dyżurnym odpowiedzialnym. A później mogą go rozstrzelać.

Ciągle przypominała mu się przeczytana w starej książce historia: bracia Szeriemietiew, bogaci synowie feldmarszałka, wydali swoją szesnastoletnią siostrę za kniazia Dołgorukiego; dziewczyna przed ślubem bodaj tylko raz widziała narzeczonego. Bracia dali jej olbrzymi posag, srebro zajmowało trzy izby. A dwa dni po weselu umarł car Piotr II. Dołgorukiego, jego zaufanego, schwytano, wywieziono na północ i zamknięto w drewnianej wieży. Młoda żona nie posłuchała namów - mogła uwolnić się od małżeństwa, przecież zaledwie dwa dni żyła z mężem. Pojechała jednak za nim, zamieszkała w zwykłej chacie, w leśnej głuszy. Codziennie przez dziesięć lat chodziła do wieży, w której siedział Dołgoruki. Któregoś ranka zobaczyła: okienko w niej jest otwarte na oścież, drzwi tak samo. Młoda kniahini pobiegła ulicą, padała na kolana przed każdym spotkanym człowiekiem - kimkolwiek był - chłopem, strzelcem - pytała, gdzie jest jej mąż, błagała o odpowiedź. Odpowiedziano jej, że Dołgorukiego wywieziono do Niżnego Nowogrodu. Dziewczyna dużo wycierpiała podczas pieszej wędrówki, długiej i trudnej. A w Niżnim Nowogrodzie dowiedziała się, że kniazia skazano na śmierć przez ćwiartowanie i stracono. Wtedy postanowiła pójść do klasztoru, udała się do Kijowa. W dzień postrzyżyn długo chodziła brzegiem Dniepru. Nie żałowała wolności, ale przyjmując stan mnisi, musiała zdjąć z palca obrączkę. Nie mogła jednak się z nią rozstać... Wiele godzin tak chodziła, a potem, kiedy słońce zaczęło się zniżać, zdjęła obrączkę z palca, rzuciła ją w wody Dniepru i wróciła do klasztoru.

Lejtnant lotnictwa, wychowanek domu dziecka, ślusarz z warsztatów mechanicznych StałGRES-u, ciągle wspominał życie kniahini Dołgorukiej. Szedł lasem i wyobrażał sobie: nie ma go już, pochowano go, zestrzelony przez fryca samolot zarył się dziobem w ziemię i zdążył zardzewieć, rozsypać się, zarosnąć trawą, a po tych miejscach chodzi Wiera Spiridonow - zatrzyma się, zejdzie stromym zboczem nad Wołgę, popatrzy na wodę... Tak dwieście lat temu chodziła tędy młoda kniahini Dołgoruka - wyjdzie na polanę, przemknie wśród lnu, rozsunie rękami obsypane czerwonymi jagodami krzaki. W duszy czuł wtedy jednocześnie i gorycz, i rozpacz, i słodycz, i ból.

Idzie sobie lasem lejtnancik w zniszczonej bluzie wojskowej, szczupły, wąski w ramionach. O iluż takich zapomniano w tych niezapomnianych czasach.

37

Wiktorow nie zdążył jeszcze dojść do lotniska, a już zrozumiał, że musiało się stać coś ważnego. Widać było jeżdżące tu i tam cysterny z paliwem; technicy i mechanicy silnikowi z batalionu obsługi krzątali się wokół samolotów osłoniętych siatkami maskującymi. Zazwyczaj milczący silnik radiostacji terkotał rytmicznie i wyraźnie.

„Jasne” - pomyślał lejtnant i przyspieszył kroku.

Zaraz wszystko się potwierdziło; kiedy spotkał lejtnanta Sołomatina z różowymi plamami oparzeń na szczęce, usłyszał:

- Jest rozkaz, wchodzimy do akcji.

- Na front? - spytał Wiktorow.

- A niby gdzie: do Taszkientu? - zadrwił z niego Sołomatin i poszedł w stronę wsi. Był wyraźnie zdenerwowany - na serio związał się z gospodynią kwatery i teraz widocznie spieszo mu było do niej.

- Sołomatin będzie się dzielił: chatę babie, krowę sobie - odezwał się obok Wiktorowa znajomy głos. Ścieżką szedł lejtnant Jeriomin, z którym Wiktorow latał w parze.

- Dokąd teraz, Jerioma?

- Może Północno-Zachodni rusza do ofensywy? Właśnie dowódca dywizji przyleciał na R-5. Mam znajomego w sztabie armii, lata na douglasie, można go spytać. On wszystko wie.

- Co tam pytać, sami powiedzą.

Wieści dotarły już nie tylko do sztabu i pilotów na lotnisku, ale i na wieś. Młodszy lejtnant Korol, czarnooki, o grubych wargach, najmłodszy w pułku, szedł uliczką i niósł wypraną i wyprasowaną bieliznę, a na niej - piernik i węzełek suszonych jagód. Z Korola pokpiwano sobie, bo gospodynie, dwie stare wdowy, rozpieszczały go piernikami. Kiedy wracał z zadania bojowego, stare szły na lotnisko, witały go w pół drogi, jedna wysoka, wyprostowana, druga - przygarbiona. Potem szedł między nimi - zły, zawstydzony, rozpieszczony chłopiec - a lotnicy żartowali, że Korol leci w kluczu z wykrzyknikiem i znakiem zapytania.

Dowódca eskadry Wania Martynow wyszedł z domu w szynelu, niosąc w jednej ręce walizeczkę, w drugiej odświętną czapkę, której nie spakował, bo bał się ją pognieść. Ruda córka gospodarzy, bez chustki, z domowej roboty ondulacją, patrzyła w ślad za nim takim wzrokiem, że wiadomo już było dobrze, co łączą tych dwoje.

Kulawy chłopczyk zameldował Wiktorowowi, że politruk Hołub i lejtnant Wania Skotnoj, z którymi razem kwaterował, zabrali już swoje rzeczy i poszli. Wiktorow wprowadził się do tej chaty kilka dni wcześniej; przedtem mieszkał z Hołubem u złej gospodyni, kobiety o wysokim, wypukłym czole i wypukłych, żółtych oczach - kiedy człowiek w nie popatrzył, robiło mu się nieswojo. Żeby uwolnić się od lokatorów, napuszczala dymu do chałupy, a raz dosypała im popiołu do herbaty. Hołub namawiał, żeby napisać na gospodynię raport do komisarza pułku, ale Wiktorow nie chciał.

- A niech ją cholera zadusi - machnął ręką Hołub i dorzucił powiedzonko, które jeszcze jako chłopiec słyszał od matki: - Do nas jak co przyplynie, to albo łajno, albo wióry.

Przenieśli się do nowej kwatery, która wydała im się rajem. Ale długo w tym raju nie pomieszkali.

Wkrótce i Wiktorow z workiem i pogniecioną walizką szedł, mijając wysokie, jakby piętrowe, szare chaty; obok niego podskakiwał kulawy chłopczyk, celując ze zdobyczej kabury, którą dostał od Wiktorowa, do łączących po wsi kwok albo krążących nad lasem samolotów. Lejtnant minął chatę, z której Jewdokia Michiejewna wykurzyła go dymem, i dojrzał za mętną szybą jej nieruchomą twarz. Nikt do niej nigdy nie zagadał, kiedy niosąc ze studni dwa drewniane wiadra, zatrzymywała się żeby odsapnąć. Nie miała ani krowy, ani owcy, ani nawet jerzyków pod dachem. Hołub wypytywał o nią, usiłując doszukać się kułackiego rodowodu, ale okazało się, że

Jewdokia pochodzi z biedniaków. Kobiety mówiły, że po śmierci męża jakby rozum jej się pomieszał: późną jesienią, w ziąb, weszła do jeziora i przesiedziała w wodzie całą dobę. Chłopi siłą ją stamtąd wyciągnęli. Ale jak mówiły kobiety, ona i w małżeństwie, i nawet przed zamążpójściem nie była zbyt rozmowna.

Idzie więc Wiktorow ulicą ukrytej w lasach wsi, a za kilka godzin odleci stąd na zawsze i wszystko to - szumiący las, ogródki, do których zaglądają łosie, paprocie, żółte nacieki żywicy, rzeka, kukułki - przestanie dla niego istnieć. Znikną staruszkowie, dziewczyny, rozmowy o tym, jak przeprowadzano kolektywizację, opowieści o niedźwiedziach zabierających babom kobiałki z malinami, o chłopcach gołymi stopami rozdeptujących głowy żmijom... Zniknie ta wieś, dziwna dla niego, niezwykła, cała zwrócona w stronę lasu, tak jak osiedle robotnicze, w którym urodził się i dorastał, zwrócone było w stronę fabryki.

A potem myśliwiec wyląduje i od razu powstanie nowe lotnisko, wyłoni się wieś czy osiedle fabryczne ze swoimi staruszkami, dziewczynami, ze swoimi łzami i żartami, kotami o pokrytych bliznami pyszczkach, ze swoimi opowieściami o minionych latach, o masowej kolektywizacji, ze swoimi złymi i dobrymi gospodyniami. Na nowym miejscu przystojniak Sołomatin w wolnej chwili włoży czapkę, przespaceruje się ulicą, zaśpiewa do wtóru gitary i zawróci w głowie jakiejś dziewczynie.

Dowódca pułku, major Zakabłuka, o brązowej twarzy i jasnej, ogolonej na zero głowie, pobrzękując pięcioma Orderami Czerwonego Sztandaru i przestępując z jednej krzywej nogi na drugą, odczytał lotnikom rozkaz wkroczenia do akcji; powiedział, że mają nocować w schronach i że kolejność startów ogłoszona zostanie przed odlotem, na lotnisku. Dodał, że dowództwo zabrania opuszczać schrony, a z tymi, którzy choćby nos wytkną poza nie, nie będzie się patyczkować.

- Szczob wy mene ne spały w powietrzu, macie dobrze wyspatysia przed lotem.

Głos zabrał komisarz pułku Berman, którego nie lubiano za wyniosłość, chociaż o arkanach lotnictwa potrafił mówić i pięknie, i ze znajomością rzeczy. Ostatecznie pogrążyła go w oczach lotników afera z ich kolegą Muchinem. Muchin nawiązał stosunek miłosny z ładną radiotelegrafistką Lidą Wojnów. Ich romans wszystkim się podobał - kiedy tylko mieli wolną chwilę, spotykali się, chodzili nad rzekę i zawsze trzymali się za ręce. Nawet z nich nie żartowano, bo wszyscy dobrze wiedzieli, jak się sprawy mają.

Wtem rozeszła się plotka - i to pochodząca od samej Lidy, która opowiedziała historię przyjaciółce, a ta rozgadała wszystko po całym pułku - że w czasie kolejnego spaceru Muchin zgwałcił dziewczynę, grożąc jej bronią. Kiedy Berman się o tym dowiedział, wściekł się i wykazał tyle energii, że po dziesięciu dniach Muchin stanął przed sądem polowym i został skazany na rozstrzelanie. Przed wykonaniem wyroku przyleciał do pułku członek rady wojennej armii powietrznej, generał-major lotnictwa Aleksiejew, i zaczął wypytywać o szczegóły przestępstwa Muchina. Był kompletnie zdezorientowany, kiedy Lida padła przed nim na kolana, zapewniając go, że całe oskarżenie przeciw Muchinowi jest wierutnym kłamstwem. Opowiedziała mu, jak było: leżeli z Muchinem na leśnej polanie, całowali się, potem ona się zdrzemnęła, a Muchin dla żartu wsunął jej rewolwer między kolana i strzelił w ziemię. Wtedy obudziła się i krzyknęła, a Muchin znowu zaczął ją całować. Dopiero w wersji przyjaciółki, której się zwierzyła, wszystko wyszło tak paskudnie. Prawda w tej całej historii była jedna,

niezwykle prosta - miłość Lidy do chłopaka. Wszystko dobrze się skończyło, wyrok skasowano, Muchina zaś przeniesiono do innego pułku.

Właśnie od tej pory lotnicy nie lubili Bermana.

Kiedys w kantine Sołomatin wyraził pogląd, że Rosjanin by tak nie postąpił. Któryś z pilotów, chyba Mołczanow, odpowiedział, że w każdym narodzie trafiają się źli ludzie.

- Weź na przykład Korola, jest Żydem, a dobrze się z nim lata w parze. Lecisz na zadanie i wiesz, że za sobą masz kogoś, kogo jesteś pewny - dodał Wania Skotnoj.

- Jaki tam z Korola Żyd - zaprotestował Sołomatin. - Korol to swój chłopak, w powietrzu jestem go pewniejszy niż siebie samego. Nad Rżewem wymiół mi messera dosłownie spod ogona. Ja też dla Borki Korola dwa razy zostawiłem niedokończony, trafionego fryca. A sam wiesz dobrze, że w walce o rodzony matce zapominam.

\_ No i co z tego? - powiedział Wiktorow. - Jak Żyd jest porządny, to od razu mówisz, że nie-Żyd.

Wszyscy się roześmiali, a Sołomatin odparował:

- Dobra, dobra, Muchinowi wcale nie było wesoło, kiedy go Berman wysłał pod ścianę.

Wtedy do kantyny wszedł akurat Korol, a któryś z lotników spytał go ze współczuciem:

- Boria, słuchaj, ty jesteś Żydem?

Speszony Korol odpowiedział:

- Tak, jestem.

- To prawda?

- Najprawdziwsza.

- Obrzezany?

- A idź do diabła! - zirytował się Korol.

Wszyscy znowu się roześmiali. Kiedy wracali z lotniska na wieś, Sołomatin szedł obok Wiktorowa.

- Wiesz - powiedział - niepotrzebnie się odzywałeś. Kiedy robiłem na fabryce mydła, to pełno było u nas Żydków - całe kierownictwo; napatrzyłem się na tych Samuiłów Abramowiczów - i już tam ręka rękę myła, tego możesz być pewny.

- Coś się przyczepił? - Wiktorow wzruszył ramionami. - Zapisujesz mnie do nich czy co?

Stojąc przed pilotami, Berman zaczął mówić, że dla personelu latającego zaczyna się nowa epoka; życie na tyłach się skończyło. To wszystko wiedzieli i bez niego, ale słuchali z uwagą, bo mógł przypadkiem o czymś napomknąć - czy pułk pozostanie w ramach Frontu Północno-Zachodniego i tylko przeniosą go pod Rżew, czy może przerzuca na zachód albo południe? Berman ciągnął:

- A zatem: największą zaletą pilota bojowego jest znajomość sprzętu, trzeba go

znać tak, żeby latanie stało się zabawą; kolejną - miłość do swojej maszyny; trzeba ją kochać jak siostrę, jak matkę; trzecią jest odwaga, a odwaga to znaczy chłodny umysł i gorące serce. Czwartą poczucie koleżeństwa, zresztą wyrabia je całe nasze radzieckie życie; no i po piątą - trzeba być nieustraszoną w walce! Sukces to zgranie się w parach! Obserwuj prowadzącego! Prawdziwy lotnik nawet na ziemi zawsze myśli, zastanawia się nad czekającą go walką, ocenia: „Ej, tak byłoby lepiej, nie, tak będzie źle!”

Piloci z fałszywym zainteresowaniem patrzyli na komisarza i cichutko wymieniali uwagi.

- Może do eskorty douglasów, tych, co wożą żywność do Leningradu? - szepnął Sołomatin, który miał w Leningradzie znajomą.

- A nie: kierunek Moskwa? - odezwał się Mołczanow, którego krewni mieszkali w Kuncewie.

- A może pod Stalingrad? - wtrącił Wiktorow.

- No, to już wątpię - powiedział Skotnoj.

Było mu obojętne, dokąd przerzucą pułk - wszyscy jego bliscy mieszkali na okupowanej Ukrainie.

- A ty, Boria, dokąd lecisz? - spytał Sołomatin. - Do Berdyczowa, swojej żydowskiej stolicy?

Korol rzucił głośne przekleństwo; jego ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały z wściekłości.

- Młodszy lejtnant Korol! - krzyknął komisarz.

- Słucham, towarzyszu komisarzu batalionowy...

- Milczeć!

Ale i bez jego zakazu Korol nic już nie mówił.

Major Zakabłuka znany był jako miłośnik wymyślnych przekleństw i z tego, że pilot bojowy zaklął w obecności dowództwa, nie robiłby żadnej sprawy. Sam co ranka wrzeszczał na ordynansa: „Maziukin... taka twoja i owaka...”, po czym całkiem spokojnie kończył: „...daj no mi ręcznik”. Ale znając małostkowość komisarza, bał się od razu rozgrzeszać Korola. Berman w raporcie napisałby, że dowódca zdyskredytował kierownictwo polityczne w oczach personelu latającego. Komisarz doniósł już wydziałowi politycznemu, że Zakabłuka założył na tyłach prywatne gospodarstwo, pije wódkę z szefem sztabu i związał się z miejscową zootechniczką Żenią Bondariew. Dlatego dowódca pułku wybrał okrężną drogę. Groźnym, ochrypłym głosem zawołał:

- Jak stoicie, młodszy lejtnancie Korol? Dwa kroki wystąp! Co to za porządki?

Potem wrócił do sprawy:

- Politrak Hołub, zameldujcie komisarzowi, z jakiego powodu Korol naruszył dyscyplinę.

- Pozwólcie zameldować, towarzyszu majorze: Korol pokłócił się z Sołomatinem, ale o co, nie słyszałem.

- Starszy lejtnancie Sołomatin!
- Jestem, towarzyszu majorze!
- Zameldujcie. Tylko nie mnie. Komisarzowi batalionu!
- Towarzyszu komisarzu batalionu, starszy lejtnant prosi o pozwolenie zameldowania!
- Meldujcie. - Berman kiwnął głową, nie patrząc na Sołomatina.

Czuł, że dowódca pułku ma jakiś swój ukryty zamiar. Wiedział, że Zakabłuka odznacza się niebywałą chytryością i na ziemi, i w powietrzu w górze szybciej od innych potrafi odgadnąć cel, taktykę przeciwnika, przechytryć jego wybiegi. A na ziemi wiedział, że siłą dowództwa są jego słabostki, a słabością podwładnych - ich siła. Umiał, kiedy trzeba, udawać głupiego, nawet rechotać, kiedy jakiś idiota opowiedział idiotyczny kawał. Potrafił też utrzymać w ryzach zapalczywych lejtnantów lotnictwa. Na tyłach Zakabłuka objawił zainteresowanie gospodarstwem wiejskim, zwłaszcza hodowlą. Nie zapomniał i o zapasach na zimę: robił nalewki z malin, marynował i suszył grzyby. Jego obiady były sławne i wielu dowódców pułków lubiło w wolnych godzinach podskoczyć do niego na U-2, wypić i zakąsić. Ale pustej gościnności major nie uznawał. Berman znał jeszcze jedną cechę majora, czyniącą stosunki z nim szczególnie trudnymi: wyrachowany, ostrożny Zakabłuka potrafił stać się niemal szaleńcem; kiedy szedł na całego, to już nie dbał o życie.

- Spierać się z dowództwem to jakby szczać pod wiatr - mówił do Bermana i nagle robił coś szalonego, całkowicie wbrew swoim własnym interesom, tak że komisarz tylko wzdychał.

Kiedy zdarzało się im obu być w dobrym nastroju, rozmawiali i puszczaali do siebie oko, poklepywali się nawzajem po plecach i po brzuchach.

- Oj, sprytny chłop z tego naszego komisarza - mówił Zakabłuka.
- Oj, mocny ten nasz bohater - odpowiadał Berman.

Zakabłuka nie lubił komisarza za obłudę, za gorliwość, z jaką wpisywał do raportów każde nieostrożne słowo; wykpiwał jego słabość do ładnych dziewczuszek, zamiłowanie do gotowanych kurczaków („dajcie mi nóżkę”) i niechęć do wódki; wytykał Bermanowi, że nie obchodzi go, w jakich warunkach żyją inni, chociaż sam umiał zapewnić sobie całkiem niezłe warunki bytowe. Cenił natomiast jego inteligencję, cenił to, że komisarz dla dobra sprawy gotów był iść na udry z przełożonymi, no i odwagę - niekiedy miało się wrażenie, że Berman nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo może stracić życie.

Ci dwaj ludzie, zamierzając poprowadzić pułk lotniczy do walki, z ukosa popatrywali na siebie i słuchali, co mówi lejtnant Sołomatin.

- Przyznaję się, towarzyszu komisarzu batalionowy, że Korol naruszył dyscyplinę z mojej winy. Bo ja się z niego wyśmiewałem, a on to najpierw znosił, ale potem to już się zapomniał.

- Coście mu powiedzieli? Powtórzcie komisarzowi pułku - polecił Sołomatinowi Zakabłuka.

- Tutaj koledzy zgadywali, dokąd pułk zostanie skierowany, na jaki front, a ja



do Korola mówię: „Ty pewnie do swojej stolicy, do Berdyczowa, co?”

Lotnicy popatrywali na Bermana.

- Nie rozumiem, do jakiej stolicy? - spytał Berman i w tym momencie zrozumiał.

Zmieszał się, co wszyscy poczuli, a dowódcę pułku zdumiało, że coś takiego zdarzyło się człowiekowi zazwyczaj ostremu jak brzytwa. Ale to, co nastąpiło potem, było też zadziwiające.

- No i co się stało? - rzekł komisarz. - A gdybyście wy, Korol, powiedzieli Sołomatinowi, który, jak wiadomo, pochodzi z wioski Dorochowo w rejonie noworuzskim, że chce polecieć do Dorochowa, to co wtedy, powinien wam za to dać po pysku? Dziwna małomiasteczkowa etyka, niegodna komsomolca.

Mówił słowa, które zawsze nieubłaganie, z jakąś hipnotyczną siłą, działały na ludzi. Wszyscy wiedzieli, że Sołomatin chciał obrazić i obraził Korolą, Berman tymczasem z całkowitym przekonaniem tłumaczył pilotom, że Korol nie wyzbył się uprzedzeń narodowościowych, że takie zachowanie jest przejawem lekceważenia przyjaźni narodów. Korol nie powinien zapominać, że to faszyci wykorzystują przesady nacjonalistyczne, grają na nich.

Berman miał poniekąd rację; wszystko, co mówił, samo w sobie było prawdą. Rewolucja, demokracja rzeczywiście zrodziły idee, które głosił z takim przejęciem. Ale teraz siła Bermana nie płynęła stąd, że służył idei; akurat ona służyła jemu, jego dzisiejszemu, nieuczciwemu celowi.

- Widzicie, towarzysze - rzekł komisarz. - Tam, gdzie nie ma czystości ideowej, nie ma też dyscypliny. Tym właśnie tłumaczę dzisiejszy postęp Korola.

Po chwili zastanowienia dodał:

- Skandaliczny postęp Korola, skandaliczne zachowanie Korola.

Po czymś takim dowódca nie mógł już oczywiście zabrać głosu. Komisarz nadał przewinieniu Korola charakter polityczny, a Zakabłuka wiedział, że w działania organów politycznych nie ośmieliłby się wtrącać żaden dowódca liniowy.

- Tak to wygląda, towarzysze - podsumował Berman i umilkł na chwilę, żeby zwiększyć wrażenie wypowiedzianych słów, po czym zakończył: - Odpowiedzialność za ten skandal spoczywa oczywiście na bezpośrednim winowajcy, ale także na mnie, na komisarzu jednostki, który nie potrafił pomóc lotnikowi Korolowi wyzbyć się tego, co zacofane, negatywne, nacjonalistyczne. Problem jest poważniejszy, niż mi się z początku wydawało, dlatego nie ukarzę teraz Korolą za naruszenie dyscypliny. Biorę jednak na siebie zadanie pracy wychowawczej z lejttnantem Korolem.

Wszyscy się poruszyli, zajmując wygodniejsze pozycje, i poczuli: upiekło się. Korol popatrzył na Bermana; w jego wzroku było coś takiego, że komisarz zmarszczył brwi, szarpnął ramieniem i odwrócił się. A wieczorem Sołomatin powiedział do Wiktorowa:

- Widzisz, Lonia, u nich tak zawsze - jeden za drugiego, kruk krukowi oka nie wykole; gdyby chodziło o ciebie albo o Wanię Skotnoja toby cię wysłał do kompanii karnej jak nic. Możesz mi wierzyć.

Wieczorem w schronie lotnicy nie spali: leżeli na pryczach, palili papierosy i rozmawiali. Skotnoj przy kolacji wypił pożegnalnego kielicha i teraz śpiewał:

*Samolot spada w korkociągu*

*Za chwilę już roztrzaska się.*

*Nie płacz, kochana, to się zdarza.*

*Lepiej z pamięci wyrzuć mnie.*

Wielikanow jednak nie wytrzymał, wypaplał, i wszyscy już wiedzieli, że nowe miejsce bazowania pułku znajduje się pod Stalingradem.

Księżyc wzeszedł ponad las; między drzewami zaświeciła niespokojna plama. Wieś, położona o dwa kilometry od lotniska, była ciemna i cicha, jakby zasypana popiołem. Lotnicy siedzący przy wejściu do schronu oglądali cudowny świat tych ziemskich punktów orientacyjnych. Wiktorow patrzył na lekkie cienie, jakie w świetle księżycy rzucały skrzydła i ogony jaków, cichutko też wtórował śpiewakowi:

*Gdy trupa już wyciągną z wraku,*

*Koledzy będą ciało nieść,*

*I tylko jastrząb gdzieś wysoko*

*Zatoczy krąg na moją cześć.*

A ci, którzy leżeli na pryczach, dyskutowali. W półmroku nie było widać rozmówców, ale wszyscy dobrze znali swoje głosy, tak że nawet nie wymieniając imion, zadawali sobie nawzajem pytania i odpowiadali na nie.

- Diemidow sam się prosił na zadania, bo marniał bez lotów.
- Pamiętasz, pod Rzewem, kiedy eskortowaliśmy pietlakowoy, osiem messorów na niego się rzuciło, a on przyjął walkę, trzymał się przez siedemnaście minut.
- Tak, myśliwce zamiast junkersów to nie byle co.
- Siedział w kabinie i śpiewał. Zawsze mam w pamięci jego piosenki. Nawet Wertyńskiego znał.
- Mocno kształcony, bo z Moskwy.
- Tak, taki w powietrzu o tobie nie zapomni. Zawsze obserwował tego, który zostawał w tyle.
- Ty go nie zdążyłeś dobrze poznać.
- Zdążyłem. Prowadzący i prowadzony zawsze zdążą się poznać. Ze mną był szczerzy.

Skotnoj skończył kolejną zwrotkę piosenki, wszyscy ucichli, czekając na następną. Ale już więcej nie zaśpiewał. Powtórzył znane na lotniskach bojowych powiedzonko, porównujące życie myśliwca do krótkiej koszulki niemowlęcia. Zaczęli mówić o Niemcach.

- O Niemcach też od razu wiesz, który jest silny, uparty, a który czyha na patałachów, dziobie z tyłu, czeka, aż się ktoś zgubi.

- U nich pary w ogóle nie są takie mocne.
- No, nie gadaj.
- Fryc w trafionego wczepi się zębami, a przed nacierającym ucieknie.
- Jeden na jednego, niechby miał dwie płyty pancerne, ja i tak go zestrzelę!
- Bez obrazy, ale ja po jednym strąconym junkersie nie starałbym się o awans.
- Prawdziwie rosyjski sposób to jest taran.
- A co się mam obrażać, ty mi stopnia nie odbierzesz.
- Mówicie o taranowaniu, a ja od dawna myślę o jednej rzeczy... Chciałbym ściąć fryca śmigłem!
- Taran w nurkowaniu to jest taran! Wbić takiego w ziemię: z dymem, z hukiem!

- Ciekawe, czy krowę i kury dowódca też weźmie ze sobą na douglasa?

- Już cały inwentarz wybity: teraz go solą i marynują!

Ktoś przeciągle, w zadumie, powiedział:

- Dziś krępowałbym się iść z dziewczyną do dobrego klubu, całkiem zdziżałem.
- Za to Sołomatin się nie krępuje.
- Co, zazdrościsz, Lonia?
- Faktu zazdroścę, obiektu - nie.
- Jasna sprawa. Wierność po grób.

Potem wszyscy zaczęli wspominać walkę pod Rzewem, ostatnią przed odesłaniem na tyły, kiedy to siedem myśliwców starło się z dużą grupą junkersów lecących na bombardowanie w asyście messerschmittów. Wydawało się, że każdy mówi o sobie, ale tak się tylko zdawało mówili o tym, co wspólne.

- Na tle lasu nie było ich widać, a jak poszli w górę - to od razu. Idą trzema piętami! Od razu poznałem Ju-87, nogi sterczą, dziób żółty. Wtedy wygodniej sobie usiadłem: No, mówię, czeka nas robota!

- A ja najpierw myślałem, że to zenitówki.

- Słońce oczywiście nam sprzyjało! Ja spadłem na tamtego wprost ze słońca. Byłem lewym skrzydłowym w kluczu. Nagle mnie podrzuciło od razu na trzydzieści metrów... Poruszyłem sterami, nic się nie dzieje, maszyna posłuszna! Walę do junkersa ze wszystkich luf. Ten zaczął dymić, a wtedy messer z żółtym pyskiem, długi jak szczupak, skręcił, ale się spóźnił. Widzę - ogień na mnie, idzie niebieska smuga.

- A ja widzę, że moja kończy się na jego czarnym kadłubie.

- Gadanie!

- Jak byłem mały, to wciąż puszczałem latawce, aż mnie ojciec lał! A jak robiłem na fabryce, latałem po robocie do aeroklubu, siedem kilometrów z wywieszonym ozorem, ale żadnych zajęć nie opuściłem.

- Nie, to ty słuchaj. Trafił mnie: zbiornik oleju, przewody paliwowe. Wszystko

się pali. Chodu! A ten jeszcze dał mi w haubę, gogle rozbite, szkło się sypie, łyżki mi ciekną. To ja wtedy nura pod niego, zrywam okulary! Sołomatin mnie osłonił. I wiesz, palę się, a strachu nie czuję, nie ma czasu na strach! Jednak wylądowałem cały, spaliły mi się tylko buty i samolot.

- Przecież widziałem, że zaraz strąca chłopaka. Zrobiłem jeszcze dwa zakręty, a on mi macha: Leć! Nie byłem prowadzony, to poleciałem odganiać messery do tych, którzy potrzebowali wsparcia.

- Och, ja też przywiozłem sporo dziur, walili do mnie jak do starej kuropatwy...

- Dwanaście razy podchodziłem do frycy, w końcu zapaliłem! Widzę, że kręci głową, pewna wygrana! Zrąbałem go z działka, z dwudziestu pięciu metrów.

- Tak w ogóle, to trzeba powiedzieć, że Niemcy nie lubią walki w poziomie, wołają przejść do pionu.

- Aleś powiedział!

- A co?

- No kto tego nie wie! To już dziewczuchy wiejskie wiedzą: fryce podrywają się gwałtownymi zakrętami.

- Ej, trzeba było wtedy lepiej osłonić czajki, tam byli faceci w porządku.

Potem zapadła cisza, a po chwili ktoś powiedział:

- My lecimy skoro świt, a Diemidow zostanie tu sam.

- No, chłopaki, wy jak sobie chcecie, a ja do roboty - muszę skoczyć do wioski.

- Pożegnalna wizyta - idziemy!

Nocą wszystko dookoła - rzeka, pola, las - było ciche i piękne, i wydawało się, że nie może być na tym świecie wrogości ani zdrady, głodu czy starości, tylko szczęśliwa miłość. Obłoki zasłaniały księżyc, który płynął w szarym dymie, a dym zaścierał ziemię. Mało kto nocował w schronach. Na skraju lasu, przy wiejskich płotach, migały białe chustki, słyszało się śmiech. W ciszy wzdrygało się drzewo, przestraszone nocnym koszmarem, a woda w rzece mamrotała coś niekiedy niezrozumiale i znowu bezszelestnie płynęła. Nadeszła smutna dla miłości pora - pora rozstania; jedną z tych, które płaczą, chłopak zapomni już nazajutrz, innych rozłączy śmierć, a komuś tam los zgotuje szczęśliwe spotkanie.

W końcu jednak przyszedł ranek. Zahuczały silniki, płaski zaśmigłowy wiatr przycisnął ogarniętą popłochem trawę i tysiące, miliony kropel wodnych zadrzały w słońcu... Samoloty bojowe, jeden za drugim, wspinały się na niebieską górę, unosząc w powietrze działka i karabiny maszynowe; teraz krążyły, czekając na kolegów, ustawiały się w szyku... I to, co w nocy wydawało się takie nieogarnione, nagle odchodzi, tonie w ciemnym błękicie... Widać szare pudełka domków, prostokąciki ogródków, które przemykają, chowają się pod skrzydłami samolotu... Już nie widać ścieżki porośniętej trawą, nie widać grobu Diemidowa... Dalej! Las też drgnął i wpelznął pod samolot.

- Witaj, Wiera! - powiedział Wiktorow.

O piątej rano dyżurni zaczęli budzić więźniów. Była głęboka noc, baraki oświetlało bezlitosne światło, takie, jakim oświetla się więzienia, węzły kolejowe, izby przyjęć w szpitalach. Tysiące ludzi, charcząc i kaszłąc, podciągało watowane portki, owijało nogi onucami, drapało się po brzuchach, bokach, karkach. Kiedy schodzący z pięter drewnianych prycz potrącali nogami głowy ubierających się na dole, ci nie kleli ich, tylko odsuwali się w milczeniu albo odpychali te nogi. W tym masowym nocnym przebudzeniu, w szybkich ruchach ludzkich głów, pleców, onuc, w dymie machorki, w jaskrawym, rozjątrzonej świetle elektrycznym była jakaś bijąca w oczy nienaturalność: setki kilometrów kwadratowych tajgi zastygły w mroźnej ciszy, a obóz był pełen ludzi, ruchu, dymu, światła. Przez całą pierwszą połowę nocy padał śnieg i zaspy zawały drzwi baraków, zasypały drogę wiodącą do kopalni...

Przeciągle zawyły syreny i być może gdzieś tam w tajdze wilki wtórowały ich monotonnym i ponurym głosom. Na placu obozowym ochryple czekały owczarki, słychać było huk traktorów oczyszczających drogi do budynków kopalnianych, nawoływania eskorty... Suchy śnieg, oświetlony reflektorami, lśnił delikatnie i łagodnie. Przy akompaniamencie ciągłego ujadania psów na przestronnym placu obozowym zaczął się apel. Konwojenci mieli głosy przeziębione i rozdrażnione... Teraz w stronę kopalnianych szybów popłynął żywy, szeroki i obfity potok. Skrzypiały buty i walonki. Wieża strażnicza stała i wytrzeszczała swoje jedyne oko.

A syreny wyły nieustannie, dalekie i bliskie - północna orkiestra symfoniczna. Dźwięczała nad mroźną ziemią krasnojarska, nad autonomiczną republiką Komi, nad Magadanem, nad Sowiecką Gawanią, nad śniegami Kołomy, nad tundrą Czukotki, nad obozami murmańskiej północy czy północnego Kazachstanu... Słuchając głosów syren, walenia łomu o wiszący kawałek szyny, szli ci, którzy wydobywali solikamski potas, ridderską i bałchaską miedź, kołymski nikiel i ołów, węgiel kuźniecki i sachaliński, budowali kolej biegnącą przez wieczną zmarzlinę wzdłuż brzegów Oceanu Lodowatego czy aksamitne trasy Kołomy, wycinali lasy na Syberii i północnym Uralu, Kraju Murmańskim czy Archangielskim. O tej śnieżnej i nocnej porze zaczynał się dzień w punktach obozowych tajgi i filiach wielkiego Dalstroju.

W nocy zek Abarczuk doznał ataku tęsknoty. Nie była to zwykła, ponura obozowa tęsknota, ale straszliwa jak malaria, taka, która każe krzyczeć, zrywać się z pryczy, walić pięściami w skronie, w głowę.

Rano, kiedy więźniowie pośpiesznie i zarazem niechętnie zbierali się do pracy, sąsiad Abarczuka, metaniarz górniczy, dowódca brygady kawalerii z czasów wojny domowej, długonogi Nieumolimow zapytał:

- Coś się tak rzucał w nocy? Baba ci się przyśniła? Rzałeś jak głupi przez sen.
- Tobie tylko baby w głowie - odciął się Abarczuk.

- A ja myślałem, że płaczesz przez sen - powiedział drugi sąsiad z pryczy, członek prezydium Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, Monidze, też mający lżejszą pracę. - Chciałem cię nawet zbudzić.

A trzeci towarzysz obozowy Abarczuka, felczer Abrasza Rubin, nic nie zauważył,

tylko, kiedy wychodzili w mroźną ciemność, zwierzył się:

- Wiesz co, śnił mi się dzisiaj towarzysz Bucharin: że przyjechał do naszego Instytutu Czerwonej Profesury żywy, w dobrym humorze, i że zrobił się straszny rwetes w sprawie „teorii nowej biologii” Jęczmienia.

Abarczuk pracował w magazynie narzędzi. Kiedy jego pomocnik Barchatow, który dla rabunku zarząnął kiedyś sześćoosobową rodzinę, palił w piecu kłocami cedrowymi, pozostałymi po wyrębie lasu, on przekładał narzędzia znajdujące się w skrzynkach. Wydawało mu się, że dojmująca ostrość i chłód pilników czy noży oddaje uczucie, którego doznał w nocy.

Dzień niczym nie różnił się od poprzednich. Księgowy dostarczył rano listy zapotrzebowań, przysłane z oddalonych punktów obozowych i zatwierdzone przez dział techniczny. Trzeba było wybrać materiały i narzędzia, zapakować je w skrzynki, zrobić spisy. Niektóre przesyłki były niekompletne, żądano więc sporządzenia specjalnych protokołów.

Barchatow jak zwykle nic nie robił i nie sposób było zmusić go do pracy. Kiedy przychodził do magazynu, interesował się tylko jedzeniem, i dzisiaj od rana gotował w kociołku zupę z kartofli i liści kapusty. Na chwilę wpadł do Barchatowa profesor łaciny z Charkowskiego Instytutu Farmaceutycznego - goniec przy pierwszym wydziale - i drżącymi, czerwonymi palcami wysypał na stół trochę brudnej kaszy jaglanej, Barchatow za jakiegoś sprawy ściągał od niego haracz.

Za dnia Abarczuka wezwano do działu finansowego - w sprawozdaniu nie zgadzały się liczby. Zastępca szefa krzyczał na niego, groził, że napisze raport do naczelnika. Abarczuk poczuł się źle, słuchając tych gróźb. Sam, bez pomocnika, nie radził sobie z pracą, a poskarżyć się na Barchatowa nie śmiał. Był zmęczony, bał się, że straci pracę magazyniera i trafi znowu do kopalni albo do wyrębu lasu. Zdążył już osiwieć, zaczynało brakować mu sił... To pewnie dlatego ogarnęła go tęsknota - nad jego życiem zamknął się syberyjski lód. Kiedy wrócił z finansowego, Barchatow spał, podłożywszy pod głowę walonki, które widocznie przyniósł mu któryś z kryminalnych; obok jego głowy stał pusty kociołek, do policzka przylepiły mu się ziarna zdobycznej kaszy.

Abarczuk wiedział, że Barchatow wynosi czasem narzędzia z magazynu; możliwe, że walonki były właśnie rezultatem jakiegoś handlu wymiennego. Kiedy raz nie doliczył się trzech pilników i powiedział: „Jak ci nie wstyd w czasie wojny kraść deficytowy materiał”, Barchatow pogroził: „Ty, gnido, siedź cicho. Bo... wiesz!” Abarczuk nie śmiał sam budzić Barchatowa, więc zaczął hałasować, przekładać piły taśmowe, kaszleć, upuścił młotek na podłogę. Barchatow ocknął się i obserwował go spokojnymi, niezadowolonymi oczami.

Potem niezbyt głośno powiedział:

- Mały z wczorajszego transportu opowiadał, że są łagry gorsze od Oziornych. Zeki chodzą w kajdanach, pół głowy im gołą. Nie ma nazwisk, tylko numery naszyte na piersi, na kolanach, a na plecach dzwono.

- Bzdura - skwitował to Abarczuk.

Barchatow marzycielsko dodał:

- Warto by tam zebrać wszystkich politycznych faszystów, a ciebie, ścierwo, pierwszego.

- Wybaczcie, obywatelu Barchatow, że zakłóciłem wam spokój - odpowiedział na to Abarczuk.

Strasznie bał się Barchatowa, ale czasem nie mógł ukryć rozdrażnienia. W czasie zmiany do magazynu wszedł czarny od pyłu węglowego Nieumolimow.

- No, jak tam współzawodnictwo? - spytał Abarczuk. - Ludzie się włączają?

- Sprawa się rozkręca. Węgiel idzie na potrzeby wojska, wszyscy to rozumieją. Przynieśli dzisiaj plakaty z działu kulturalno-oświatowego: Stachanowską pracą pomożemy Ojczyźnie".

Abarczuk westchnął i powiedział:

- Wiesz, trzeba napisać pracę o obozowej tęsknocie. Jedna tęsknota zwala się na człowieka, druga go przytłacza, trzecia dusi, nie pozwala oddychać. A jest jeszcze taka szczególna, która nie dusi, nie dławi, nie zwala się, ale rozdziera człowieka w środku; tak potwory z głębi oceanu giną rozerwane na powierzchni.

Nieumolimow smętnie się uśmiechnął, ale jego zęby nie błysnęły bielą, były zepsute i zlewały się z barwą węgla na twarzy. Zbliżył się Barchatow; Abarczuk, obejrzawszy się, powiedział:

- Zawsze podchodzisz tak bezszelestnie, aż się wzdrygam - ni stąd, ni zowąd zjawiasz się tuż obok.

Barchatow, człowiek bez uśmiechu, z udawaną pokorą spytał:

- Idę do magazynu żywności, nie masz nic przeciw temu?

Wyszedł, a Abarczuk rzekł do przyjaciela:

- Przypomniał mi się w nocy syn z pierwszego małżeństwa. Na pewno poszedł na wojnę.

Nachylił się do Nieumolimowa.

- Chciałbym, żeby chłopak wyrósł na dobrego komunistę. Myślałem, że jak go spotkam, powiem mu: „Pamiętaj, los twojego ojca to rzecz nieistotna, czysty przypadek. A sprawa partii jest święta! To najwyższa miara epoki!"

- Nosi twoje nazwisko?

- Nie - odrzekł Abarczuk. - Uważałem, że wyrośnie z niego mieszczanin.

Wieczorem poprzedniego dnia i w nocy myślał o Ludmile, chciał ją zobaczyć. Szukał strzępków moskiewskich gazet, może natrafi na wzmiankę o lejtnancie Anatoliju Abarczuku. Wtedy będzie wiedział, że syn wolał nosić nazwisko ojca. Po raz pierwszy w życiu chciał się litować nad sobą i wyobrażał sobie, jak podejdzie do syna, a wzruszenie odbierze mu oddech; pokaże wtedy gestem, że nie może mówić. Tola obejmie go, on zaś położy mu głowę na piersi i gorzko zapłacze, ani trochę się nie wstydząc. I będą długo tak stali z synem, wyższym od niego o głowę... Snuł fantazje, że syn myślał o nim nieustannie. Że odszukał towarzyszy ojca, dowiedział się, jaki był jego udział w walkach rewolucyjnych. Że powie: „Tato, tato, włosy ci całkiem zbielały,

masz taką chudą, pomarszczoną szyję... Walczyłeś przez wszystkie te lata, toczyłeś wielką, samotną walkę".

W czasie śledztwa na trzy dni pozbawili go wody i dawali do jedzenia same słone rzeczy, bili. Zrozumiał, że nie chodzi o to, by zmusić go do podpisania zeznań o dywersji i szpiegostwie, i nie o to, żeby obciążyć innych. Istota rzeczy polegała na tym, żeby zwątpił w słuszność sprawy, której poświęcił życie. Kiedy toczyło się śledztwo, wydawało mu się, że trafił w ręce bandytów i jeśli tylko uda mu się dostać do naczelnika wydziału, śledczy zostanie zdemaskowany. Ale mijał czas i okazało się, że nie chodzi tu o kilku sadystów.

Poznał prawa transportu i prawa aresztanckiej ładowni na statku. Widział, jak więźniowie przegrywali w karty nie tylko cudze rzeczy, ale i cudze życie. Widział żalostną rozpustę i zdradę. Widział baśniową krainę zbrodni, historyczną, krwawą, mściwą, przesadną, niewiarygodnie okrutną. Widział straszliwe rozprawy między pracującymi „sukami” i tymi, którzy zgodnie ze złodziejskim kodeksem odmawiali pracy.

Mawiał: „Bez powodu nie wsadzają”. Był zdania, że tylko mała grupa ludzi trafiła tu przez pomyłkę, w tym on sam, a resztę ukarano słusznie, miecz sprawiedliwości pokarał wrogów rewolucji. Widział służalczość, wiarołomstwo, uległość, okrucieństwo... Nazywał te cechy piętnem kapitalizmu i sądził, że mogli się nimi odznaczać tylko „byli ludzie”, biali oficerowie, kułactwo, burżuazyjni nacjonaliści. Jego wiara była niewzruszona, jego oddanie partii - bezgraniczne...

Zbierając się do wyjścia z magazynu, Nieumolimow powiedział nagle:

- Aha, zapomniałem... Jeden taki pytał tu o ciebie.

- Gdzie, skąd?

- Z wczorajszego transportu. Rozdzielali ich do robót. I któryś pytał o ciebie. Mówię mu: „Przypadkowo znam, przypadkowo czwarty rok śpię z nim na jednej pryczy”. Przedstawił się, ale nazwisko wyleciało mi z głowy.

- A jak wyglądał? - spytał Abarczuk.

- Wiesz, taka mizerota, ma szramę na skroni.

- Och! - krzyknął Abarczuk. - Czyżby Magar?

- O, właśnie.

- To mój starszy kolega, nauczyciel, wciągnął mnie do partii! O co pytał? Co mówił?

- O to, o co zwykle pytają - jaki masz wyrok. Powiedziałem: Prosił o pięć, dostał dziesięć. Teraz, mówię, zaczął kaszleć, to wyjdzie przed terminem.

Abarczuk nie słuchał Nieumolimowa, powtarzał tylko:

- Magar, Magar... Pracował jakiś czas w Czeka... To był wyjątkowy człowiek, naprawdę wyjątkowy. Wszystko oddałby towarzyszowi, w zimie zdjąłby z siebie płaszcz, odstąpiłby ostatni kawałek chleba. A jaki mądry, wykształcony! Czystej krwi proletariusz, syn rybaka z Kerczu.

Obejrzał się i nachylił do Nieumolimowa.



- Pamiętaj, mówiliśmy, że komuniści powinni stworzyć w obozie organizację, pomagać partii, a Abraszka Rubin spytał: „A kto będzie sekretarzem?” Teraz wiemy, właśnie Magar.

- A ja zgłoszę na ciebie - oświadczył Nieumolimow. - Tamtego nie znam. Gdzie go teraz szukać? Dziesięć aut z ludźmi pojechało do punktów obozowych, on też.

- Nie szkodzi, znajdziemy go... Ach, Magar, Magar. Czyli pytał o mnie?

Nieumolimow rzekł: - O mało bym zapomniał, po co przyszedłem. Daj mi kawałek czystego papieru. Widzisz, jaką mam dziurawą pamięć.

- List?

- Nie, podanie do Siemiona Budionnego. Poproszę, żeby mnie wzięli na wojnę.

- Nie wezmą cię.

- Sioma mnie pamięta.

- Politycznych nie biorą do wojska. Jak nasze kopalnie dadzą więcej węgla, to żołnierze za to podziękują, a będzie tam i twoja częśćka.

- Ale ja bym chciał walczyć.

- Budionny ci nie pomoże. Ja pisałem do Stalina.

- Nie pomoże? Budionny? Chyba żartujesz. A może żałujesz mi papieru? Nie prosiłbym, ale ci z k.o. nie chcą mi dać. Bo zużyłem już swoją normę.

- Dobra, dam ci kartkę - zgodził się Abarczuk.

Miał trochę papieru, z którego nie musiał się rozliczać. A w dziale kulturalno-oświatowym był ścisły rozrachunek; należało potem wykazać, na co się zużyło papier.

Wieczorem w baraku toczyło się zwyczajne życie. Stary kawalergard<sup>13</sup> Tungusow, mrugając oczami, opowiadał niekończącą się historię: kryminalni drapali się i słuchali uważnie, kiwając głowami z aprobatą. Tungusow pichcił istny groch z kapustą, pakując tam nazwiska znajomych tancerek, sławetnego pułkownika Lawrence'a, opisy pałaców, przygody trzech muszkieterów i Verne'owskiego „Nautilusa”.

- Zaraz, zaraz - przerwał mu jeden ze słuchaczy. - Jak to przeszła granicę Persji, kiedy wczoraj mówiłeś, że ją gliny otruły?

Tungusow umilkł, spojrzał pobłaźliwie na krytyka, potem brawurowo wyjaśnił:

- Sytuacja Nadine wydawała się na pozór beznadziejna. Ale zabiegi lekarza tybetańskiego, który do jej półotwartych ust wlał kilka kropel drogocennego wywaru z niebieskiej, wysokogórskiej trawy, przywróciły jej życie. Do rana wydobrzała na na tyle, że mogła poruszać się po pokoju bez cudzej pomocy. Szybko wracała do sił.

Wytłumaczenie zadowoliło słuchaczy.

- Jasne... Wal dalej - zezwolili.

Inni, w kącie zwanym sektorem kołchozowym, rechotali, słuchając starego błazna Hasiuczenki, który był starostą u Niemców, a teraz podśpiewywał świńskie

<sup>13</sup> Kawalergard - w carskiej Rosji żołnierz lub oficer elitarnego pułku kawalerii.

czastuszki: *Petre, Petre, wyjdź s chaty, Nema Petra, pijszoł sraty...*

Rymy były takie, że słuchacze skręcali się ze śmiechu. Cierpiący na przepuklinę moskiewski pisarz i dziennikarz, dobrotliwy, inteligentny i nieśmiały, powoli gryzł biały suchar - poprzedniego dnia dostał paczkę od żony. Widocznie smak i chrzęst suchara przypomniały mu dawne życie, bo w oczach miał łzy. Nieumolimow kłócił się z czołgistą, który trafił do obozu za zabójstwo z niskich pobudek. Czołgista zabawiał słuchaczy, szydził z kawalerii, a Nieumolimow, blady z nienawiści, krzyczał do niego:

- A wiesz, cośmy robili szablami w dwudziestym roku?!

- Wiem, kradzionym kurom łby żeście ścinali. Jeden nasz czołg KW dałby radę całej waszej Armii Konnej. Nie porównujcie wojny domowej z narodową.

Młody złodziej Kolka Ugarow zaczepiał Abrama Rubina, namawiał go do wymiany butów na kaptcie, podarte, z oderwanymi podeszwami. Rubin, czując bliskie nieszczęście, ziewał nerwowo, oglądając się na sąsiadów i szukając wsparcia.

- Uważaj, Żydu - mówił Kolka, podobny do zwinnego, jasnookiego dzikiego kota. - Uważaj, bo zaraz wyjdę z siebie.

Potem zapytał:

- Dlaczegoś mi nie napisał zwolnienia z roboty?

- Jesteś zdrowy, nie miałem prawa.

- Nie napiszesz?

- Kola, kochany, przysięgam, ja bym z chęcią, ale nie mogę!

- Nie napiszesz?

- No, zrozum. Naprawdę nie wierzysz, że gdybym mógł...

- Dobra. Koniec.

- Poczekaj, poczekaj, zrozum mnie.

- Zrozumiałem. Teraz ty mnie zrozumiesz.

Zruszczony Szwed Stedding, o którym mówiono, że naprawdę był szpiegiem, oderwał się na chwilę od obrazu, który rysował na kawałku kartonu otrzymanego w dziale kulturalno-oświatowym, popatrzył na Kolkę, na Rubina, pokręcił głową i znowu wrócił do obrazu. Obraz nazywał się *Matka tajga*. Stedding nie bał się kryminalistów, a ci jakoś zostawiali go w spokoju. Kiedy Kolka odszedł, Stedding zwrócił się do Rubina:

- Pan chyba oszalał, Abramie Jefimowiczu.

Nie bał się kryminalistów także Białorusin Konaszewicz, który przed łagrem był mechanikiem lotniczym na Dalekim Wschodzie i zdobył we Flocie Pacyfiku tytuł mistrza wagi półciężkiej w boksie. Złodzieje szanowali go, on jednak nigdy nie wstawiał się za krzywdzonymi przez nich więźniami.

Abarczuk powoli szedł wąskim przejściem między piętrowymi pryzkami-krzyżami i znowu ogarnął go smutek. Daleki koniec stumetrowego baraku tonął w oparach machorkowego dymu; Abarczukowi za każdym razem wydawało się, że kiedy dojdzie do barakowego horyzontu, zobaczy coś nowego, ale tam było ciągle to samo - przedsionek, gdzie nad drewnianymi rynnami-umywalniami więźniowie prali onuce,

szczotki oparte o tynkowaną ścianę, malowane wiadra, materace na pryczach, wypchane wiórkami, które wylażyły z dziur w workowym płótnie, monotony szum rozmów, twarze więźniów, wszystkie wynędzniałe, wszystkie jednakowej barwy.

Większość zeków siedziała na pryczach, czekając na wieczorny sygnał; rozmawiała o zupie, o babach, o nieuczciwości tych, co krajali chleb, o losie swoich listów do Stalina i podań do Prokuratury ZSRR, o nowych normach urobku i przewozu węgla, o dzisiejszym mrozie, o jutrzejszym mrozie...

Abarczuk szedł wolno, słuchając strzępków rozmów, i wydawało mu się, że tysiące ludzi na etapach, w pociągach, w barakach toczy latami jedną i tę samą rozmowę - młodzi o babach, starsi o jedzeniu. Ale jeszcze gorzej było, jeśli o kobietach z lubością rozprawiali starcy, a o smacznym jedzeniu na wolności - młodzi chłopcy. Mijając pryczę, na której siedział Hasiuczenko, Abarczuk przyśpieszył kroku - stary człowiek, do którego żony dzieci i wnukowie mówią „mamo” i „babciu”, gadał takie rzeczy, że robiło się przykro.

Niechby już dali sygnał fajrantu - wtedy można położyć się na pryczy, przykryć głowę kufajką, nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Abarczuk popatrzył na drzwi - zaraz wejdzie Magar, a on namówi starostę, żeby dał im miejsca obok siebie; będą wtedy po nocach dyskutowali, otwarcie, szczerze - dwaj komuniści, nauczyciel i uczeń, członkowie partii.

Gospodarze baraku - Barchatow, brygadzysta brygady węglowej Pieriekriost, starosta baraku Zarokow - urządzili sobie ucztę na pryczach. Fagas Pieriekriosta, planista Żelabow, rozesłał ręcznik na szafce, rozkładał słoninę, śledzie, pierniki - haracz, który płacili Pieriekriostowi członkowie jego brygady.

Abarczuk minął prycze gospodarzy, czując, jak zamiera w nim serce a nuż go zawołają? Bardzo chciałoby się pojeść takich pyszności. Podły Barchatow! Przecież w magazynie Abarczuk robi wszystko, co tamten chce; przecież wie, że kradnie gwoździe, że zwędził trzy pilniki, ale nie powiedział strażnikom ani słowa... Barchatow mógłby zawołać: „Ej, kierowniku, siądź no z nami!” Gardząc sobą, Abarczuk czuł, że ogarnęła go nie tylko chęć napełnienia żołądka, ale i inne uczucie - niskie, podłe, obozowe. Pragnął pobyc w kręgu silnych, porozmawiać zwyczajnie z pieriekriostem, przed którym drżał cały olbrzymi obóz.

Abarczuk pomyślał wtedy o sobie: bydlę. Od razu pomyślał tak samo o Barchatowie. Nie zawołali go, zaprosili Nieumolimow, który uśmiechając się brązowymi zębami, podszedł do ich pryczy. Dowódca brygady kawalerii, kawaler dwóch Orderów Czerwonego Sztandaru. Dwadzieścia lat temu ten człowiek, teraz z uśmiechem podchodzący do złodziejskiego stołu, wiódł kawalerię do boju o światowy komunizm... Po co on, Abarczuk, opowiadał mu dziś o Toli, o ukochanym synu? Ale przecież i on walczył za komunę, i on ze swojego gabinetu na budowie Zagłębia Kuznieckiego składał raporty Stalinowi, a teraz też czekał, czy go zawołają, kiedy ze spuszczoną głową, z fałszywie obojętną miną, mijał szafkę, nakrytą brudnym wyszywonym ręcznikiem.

Abarczuk podszedł do pryczy Monidzego, cerującego właśnie skarpetkę, i powiedział:

- Wiesz, co myślę? Już nie zazdroszczę tym, którzy są na wolności. Zazdroszczę

tym, którzy trafili do niemieckiego obozu. Jak dobrze jest siedzieć tam i wiedzieć, że bije cię faszysta. Bo dla nas najtrudniejsze, najstraszniejsze jest, że to swoi, swoi, swoi.

Monidze podniósł na niego smutne duże oczy i odparł:

- Pieriekriost mi dziś powiedział: „Ty uważaj, kaco, żebym cię nie stuknął w łeb i nie zameldował warcie. A oni jeszcze mi za to podziękują, bo ty jesteś ostatni zdrajca”.

Abrasza Rubin siedzący na sąsiedniej pryczy dodał:

- Nawet nie to jest najgorsze.

- Tak, tak - przyświadczył Abarczuk. - Widziałeś, jak dowódca ucieszył się, kiedy go zaprosili?

- A ty się zasmuciłeś, że ciebie nie zaprosili? - dociął mu Rubin.

Abarczuk odpowiedział mu, pełen tej osobliwej nienawiści, która rodzi się, kiedy czyjaś celna uwaga dotknie bolącego miejsca:

- Czytaj w swojej duszy, a do mojej nie włącz.

Rubin przymknął oczy jak kura.

- Ja? Ja nawet smucić się nie mam śmiałości. Jestem najniższą kastą, niedotykalnym. Słyszałeś moją rozmowę z Kolką, tak?

- Nie, nie o to chodzi - Abarczuk machnął ręką.

Wstał i znowu ruszył korytarzem między pryczami w stronę przedsiönka, i znowu dobiegały do niego strzępy długiej, niekończącej się dyskusji.

- Barszcz na wieprzowinca, na co dzień i od święta!

- A piersi ma, nie uwierzyłbyś...

- A ja zwyczajnie - baraninę z kaszą, po co mi wasze majonezy, obywatela...

Znowu wrócił do pryczy Monidzego, przysiadł się i słuchał rozmowy.

Rubin mówił:

- Z początku nie zrozumiałem, dlaczego powiedział: „Będziesz kompozytorem operowym”. A on miał na myśli kapusiów - że mówią operowi, co się dzieje.

Monidze, nadal cerując skarpetkę, odpowiedział:

- Niech go diabli wezmą, kapować - nigdy w życiu.

- Jak to „kapować”? - zdumiał się Abarczuk. - Przecież jesteś komunistą.

- Takim samym jak ty - odparł Monidze. - Byłem.

- Nie jestem żadnym byłym - zaoponował Abarczuk. - Ty też nie.

Rubin znowu go rozzłościł, wypowiadając słuszne podejrzenie, które zawsze bardziej boli, od niesłusznego:

- Tu nie chodzi o komunizm. Sprzykrzyły mi się kukurydziane pomyje trzy razy dziennie. Nie mogę patrzeć na tę zupę. To - za. A przeciwko - nie chcę, żeby nocą

mnie załatwili, a potem wrzucili, jak Orłowa, do latryny, do kibla. Słyszałeś moją rozmowę z Kolką Ugarowem?

- Głową w dół, nogami do góry! - dorzucił Monidze i zaczął się śmiać, chyba dlatego, że nie było z czego się śmiać.

- Więc co, uważasz, że kierują mną zwierzęce instynkty? - spytał Abarczuk Rubina i poczuł szaloną ochotę, żeby go uderzyć.

Znowu zerwał się z miejsca i przeszedł po baraku.

Pewnie, jemu też obrzydła kukurydziana lura. Od ilu już dni zgaduje, co dadzą na obiad w rocznicę Rewolucji Październikowej: ragout z warzyw, makaron po marynarsku, zapiekankę? Oczywiście od opera wiele zależy, również tajemne, ukryte ścieżki, wiodące na wyżyny życia - stanowisko kierownika łaźni, krajacza chleba. Przecież mógłby pracować w laboratorium - biały fartuch, przełożoną nawet tam wolnonajemna pracownica, nie zależy się od bandziorów albo też w dziale planowania w administracji kopalni... Ale Rubin nie ma racji. Rubin chce go poniżyć, nadwątlić jego siłę, Rubin szuka w człowieku tego, co po złodziej sku zakrada się do podświadomości.

Rubin jest dywersantem.

Przez całe życie Abarczuk nie znosił oportunistów, nienawidził ludzi dwulicowych i obcych klasowo.

Swoją siłę duchową, swoją wiarę czerpał z władzy sądzenia. Zwątpił w żonę, więc rozszedł się z nią. Nie wierzył, że zdolna będzie wychować syna na niewzruszonego bojownika, i odmówił mu swego nazwiska. Piętnował tych, którzy się wahali, gardził malkontentami, ludźmi małej wiary. Oddawał pod sąd inżynierów, którzy w Kuzbasie wzdychali do pozostawionych w Moskwie rodzin. Skazał czterdziestu niepewnych klasowo robotników, którzy uciekli z budowy na wieś. Wyrzekł się ojca drobnomieszczanina.

Przyjemnie jest być niezachwianym. Osądzając kogoś, potwierdzał swoją siłę wewnętrzną, swoje ideały, swoją czystość. To była jego radość, jego wiara. Ani razu nie uchylił się od mobilizacji partyjnej. Dobrowolnie zrzekł się wyższych poborów, należnych mu jako działaczowi. Jego abnegacja była zarazem autoafirmacją. W swojej nieśmiertelnej bluzie i butach chodził do pracy, na posiedzenia kolegium narkomani, do teatru, spacerował po nadmorskim bulwarze w Jałcie, kiedy partia wysłała go na leczenie. Chciał być podobny do Stalina.

Tracąc prawo do sądzenia, tracił siebie. Rubin to wyczuwał. Prawie codziennie robił aluzje do słabości, do tchórzostwa, do żalonych pragnień, wkradających się do obozowej duszy.

Przedwczoraj powiedział:

- Barchatow wynosi z magazynu metalowe części dla ferajny, a nasz Robespierre siedzi cicho. Kurczęta też chcą żyć.

Kiedy Abarczuk szykował się, żeby kogoś potępić, czuł, że sam też jest godzien potępienia. Zaczynał się wahać, ogarniała go rozpacz tracił pewność siebie. Teraz zatrzymał się przy pryczy, gdzie stary kniaź Dołgoruki rozmawiał z młodym profesorem szkoły ekonomicznej Stiepanowem.

Stiepanow zachowywał się w łagrze wyniośle, nie chciał wstawać, kiedy naczalstwo wchodziło do baraku, otwarcie głosił nieprawomyślne poglądy. Był dumny z tego, że w odróżnieniu od masy więźniów politycznych wie, za co siedzi: napisał artykuł zatytułowany *Państwo Lenina i Stalina* i dawał go do czytania studentom. Trzeci albo czwarty z kolei czytelnik doniósł na niego.

Dołgoruki wrócił do Związku Radzieckiego ze Szwecji. A jeszcze przedtem długi czas mieszkał w Paryżu; zatęsknił jednak za ojczyzną. Tydzień po powrocie został aresztowany. W obozie modlił się, przyjaźnił z sekciarzami i pisał mistyczne wiersze. Teraz recytował je Stiepanowowi.

Abarczuk, oparty ramieniem o zbite na krzyż deski, łączące górną i dolną pryczę, wysłuchiwał recytacji. Dołgoruki na wpół zamknął oczy, poruszał drżącymi, spękanyymi wargami. Jego ściszony głos był też drżący i pęknięty.

*Czym nie wybrał sam dnia narodzin?*

*Roku, miasta, kraju, narodu?*

*Muszę tedy dziś męki przechodzić,*

*Chrzest sumienia przejść, ognia i wody.*

*Chociaż pewnie upadłem niżej*

*Niżli jakiś człowiek upaść może,*

*W paszczy bestii apokaliptycznej,*

*W smrodzie, w gnoju - wierzę ci, Boże!*

*Nadal ufam tej wyższej sile,*

*Która Rosję wydała żywiolom.*

*Sprawiedliwie nam uczyniłeś!*

*Z głębokości do Ciebie zawołam.*

*Teraz masa wszechbytu jak diament*

*W ogniu będzie się hartowała.*

*Jeśli w piecu dREW zabrakło, Panie,*

*Nie poskąpię i własnego ciała.*

Kiedy skończył recytować, nadal siedział z półprzymkniętymi oczami, a jego wargi poruszały się bezdźwięcznie.

- Bzdura - orzekł Stiepanow. - To dekadentyzm.

Dołgoruki zatoczył koło bladą, bezkrwistą dłonią.

- Widzi pan, dokąd zaprowadzili Rosjan Czernyszewski i Hercen? Pamięta pan, co pisał Czaadajew w swoim trzecim liście filozoficznym?

Stiepanow mentorskim tonem oświadczył:

- Z tym swoim średniowiecznym mistycyzmem jest mi pan tak samo wstrętny jak organizatorzy tego obozu. I pan, i oni zapominacie o trzeciej, najbardziej naturalnej drodze Rosji: drodze demokracji, i wolności.

Abarczuk już nieraz kłócił się ze Stiepanowem, ale teraz nie miał ochoty wtrącać się do rozmowy, piętnować Stiepanowa jako wroga, wewnętrznego emigranta. Podszedł do kąta, gdzie modlili się baptyści, i słuchał ich mamrotania.

W tym czasie rozległ się donośny głos starosty baraku, Zarokowa:

- Wstać!

Wszyscy pozrywali się z miejsc, bo do baraku wszedł komendant ze swoją świtą.

- Kipisz, kipisz - szeptali więźniowie.

Ale rewizji nie robiono. Dwaj młodzi konwojenci w czerwono-niebieskich czapkach przeszli między pryczami, oglądając więźniów. Zrównawszy się ze Stiepanowem, jeden z nich rzucił:

- Co, profesor, siedzisz sobie? Boisz się dupę odmrozić?

Stiepanow odwrócił swoją szeroką głowę z perkatym nosem i głośno skrzecząc jak papuga, odpowiedział donośną, wyuczoną frazą:

- Obywatelu naczelniku, proszę zwracać się do mnie per „wy”, jestem więźniem politycznym.

Nocą w baraku zdarzył się tak zwany wypadek nadzwyczajny - Rubin został zamordowany.

Morderca przystawił śpiącemu wielki gwóźdź do ucha, po czym silnym ciosem wbił go w mózg Rubina. Pięciu ludzi, w tym Abarczuk, zostało wezwanych do operacyjnego. Opera najwyraźniej zainteresowało pochodzenie narzędzia zbrodni. Takie gwóźdźe niedawno dostarczono do magazynu i z działu produkcji jeszcze nie zgłaszano na nie zapotrzebowania. Myjąc się, Barchatow stał przy drewnianej rynnie obok Abarczuka. Obrócił ku niemu mokrą twarz i zlizując krople wody z warg, powiedział cicho:

- Zapamiętaj, ścierwo: jak zakapujesz operowi, to mnie nic nie zrobią. A ciebie załatwię jeszcze tej nocy, i to tak, że cały obóz jęknie.

Wytarł się ręcznikiem i spokojnymi, dopiero co przemytymi oczami zajrzał w oczy Abarczukowi, a wyczytawszy z nich to, co chciał wyczytać, ucisnął mu rękę.

W stołówce Abarczuk oddał Nieumolimowowi swoją miskę zupy kukurydzianej. Nieumolimow drżącymi ustami szepnął:

- To bestia. Naszego Abraszę! Co za człowiek! - I przysunął sobie zupę Abarczuka.

Ten bez słowa wstał zza stołu.

Przy wyjściu ze stołówki tłum się rozstał, bo do środka wszedł Pieriekriost. Przestępując próg, nachylił się, bo obozowe framugi nie były obliczone na jego wzrost.

- Dzisiaj mam urodziny. Przyjdź się zabawić. Popijemy wódeczki.

Straszne! Dziesiątki ludzi słyszało nocną rozprawę, widziało człowieka, który podszedł do pryczy Rubina. Kto im bronił zerwać się, zaalarmować barak? Setki silnych ludzi, gdyby się zjednoczyło, mogłoby w parę chwil poradzić sobie z mordercą,

uratować kolegę. Ale nikt nie podniósł głowy, nie narobił krzyku. Zarznięto człowieka jak owcę. Ludzie leżeli, udawali, że śpią, naciągali na głowy kufajki, starali się nie kaszlnąć, nie słyszeć, jak miota się umierający. Co za podłość, co za barania pokora! Ale przecież i on nie spał, i on milczał, zakrywał głowę kufajką... Doskonale wiedział, że pokora nie wzięła się znikąd, zrodziła ją doświadczenie, znajomość łagrowych praw. Gdyby zerwali się w nocy, powstrzymali mordercę, to i tak człowiek z nożem silniejszy jest od człowieka bez noża. Siła baraku jest chwilowa, a nóż to zawsze nóż.

Abarczuk też myślał o czekającym go przesłuchaniu: operowi łatwo domagać się zeznań, bo nie śpi nocą w baraku, nie myje się w przedsiionku, wystawiając plecy na cios, nie chodzi po kopalnianych chodnikach, nie wchodzi do latryn obozowych, gdzie mogą skoczyć na niego i narzucić mu worek na głowę. Tak, tak, widział, jak nocą ktoś podchodzi do śpiącego Rubina. Słyszał, jak Rubin charczał, jak umierając, tłukł rękami i nogami o pryczę.

Operacyjny, kapitan Miszanin, wezwał Abarczuka do gabinetu, zamknął drzwi i powiedział:

- Siadajcie.

Zaczął zadawać pytania, te, na które zawsze otrzymywał od więźniów szybkie i dokładne odpowiedzi. Potem podniósł znużone oczy na Abarczuka i przez kilka chwil na niego patrzył. Wiedział dobrze, że doświadczony więzień boi się niechybnej rozprawy w baraku i nigdy nie zdradzi, jakim sposobem gwóźdź trafił do rąk mordercy. Abarczuk też przyglądał się młodej twarzy kapitana, jego włosom i brwiom, piegom na nosie, i myślał, że ten mężczyzna jest od jego syna najwyżej o parę lat starszy. Kapitan zadał pytanie, to, dla którego wezwał więźnia, a na które nie odpowiedziało trzech innych, przesłuchiowanych przed Abarczukiem.

Abarczuk milczał przez jakiś czas.

- Co, jesteście głusi?

Abarczuk nadal milczał.

Jak bardzo chciał, żeby operacyjny, choćby nawet nieszczerze, choćby stosując tylko wypróbowany chwyt śledczy, powiedział: „Słuchaj, towarzyszu Abarczuk, przecież jesteś komunistą. Dzisiaj siedzisz w łagrze, a jutro może obaj będziemy płacili składki w jednej organizacji”.

Ale kapitan Miszanin zapytał:

- Zasnęliście? Może mam was rozbudzić?

Abarczuka jednak nie trzeba było budzić.

Ochrypłym głosem odrzekł:

- Gwoździe z magazynu ukradł Barchatow. Poza tym wziął stamtąd trzy pilniki. Morderstwa dokonał, według mnie, Nikołaj Ugarow. Wiem, że Barchatow przekazał mu gwóźdź, a Ugarow kilka razy groził Rubinowi, że go zabije. Wczoraj miał powód: Rubin nie chciał mu dać zwolnienia chorobowego.

Potem wziął podanego papierosa i wyjaśnił:

- Uważam za swój partyjny obowiązek zameldować wam o tym, towarzyszu



pełnomocniku operacyjny. Towarzysz Rubin to stary członek partii.

Kapitan Miszanin dał mu odpalić, a następnie szybko zaczął pisać.

Potem powiedział łagodnie:

- Powinniście wiedzieć, że jako więzień nie macie prawa wspominać o żadnym członkostwie partyjnym. Zabrania się wam zwracać do kogokolwiek per „towarzyszu”. Jestem dla was „obywatel naczelnikiem”.

- Wybaczcie, obywatelu naczelniku - poprawił się Abarczuk.

Miszanin dodał:

- Przez kilka dni, dopóki nie skończę śledztwa, wszystko będzie w porządku. A potem, wiecie... Mogę was przenieść do innego obozu.

- Nie, nie boję się, obywatelu naczelniku - oświadczył Abarczuk.

Szedł do magazynu, wiedząc, że Barchatow o nic go nie spyta. Będzie nieustannie na niego patrzył, śledził jego ruchy, wyciągnie z niego prawdę spojrzeniami, pokaszliwaniem.

Był szczęśliwy, zwyciężył siebie.

Znowu miał władzę sądenia. Wspominając Rubina, żałował, że nie może mu powiedzieć tego złego, co o nim myślał wczoraj.

Minęły trzy dni, a Magar się nie pokazał. Abarczuk pytał o niego w kierownictwie kopalni, znajomi pisarze nie znaleźli jednak tego nazwiska na żadnej z list. Wieczorem, kiedy zrozumiał, że los ich rozłączył, przyszedł do baraku obsypany śniegiem sanitariusz Triufielow i wydłubując kawałeczki lodu z rzęs, poinformował Abarczuka:

- Słuchajcie, tu do nas do działu sanitarnego trafił jeden więzień, prosił, żebyście do niego przyszli.

Potem dodał:

- Lepiej cię teraz zaprowadzę. Poproś starostę, niech cię zwolni, bo wiesz... zekowie nie mają żadnej świadomości - raz-dwa nogi wyciągnie, i agituje go potem, jak już włoży sosnową jesionkę.

## 41

Sanitariusz wprowadził Abarczuka na korytarz szpitalny, przesiąknięty przykrym, odróżniającym go od zwykłych baraków zapachem. Szli w półmroku, mijając stertę drewnianych noszy i związanych w toboły starych waciaków, widocznie czekających na dezynfekcję.

Magar leżał w izolatce - komórce z drewnianych bali, gdzie tuż obok siebie stały dwa żelazne łóżka. Tutaj umieszczano zazwyczaj albo chorych zakaźnie, albo umierających, tak zwanych dochodiagów. Cienkie nogi łóżek wyglądały, jakby zrobiono je z drutu, ale nie były pogięte; nigdy nie leżeli na nich ci, którzy zachowali normalną wagę.

- Nie tutaj, nie tutaj... Po prawej - rozległ się głos na tyle znany Abarczukowi, że wydało mu się: nie ma siwizny, nie ma niewoli, jest znowu to, czym żył i za co z rozkoszą oddałby życie.

Wpatrując się w twarz Magara, powoli, jakby w zamroczeniu, powiedział:

- Witaj, witaj, witaj...

Magar, bojąc się, że sobie nie poradzi ze wzruszeniem, odezwał się celowo zwyczajnym, neutralnym tonem:

- No, siadaj, siadaj tu, na łóżku.

Po czym, widząc wzrok, jakim Abarczuk popatrzył na sąsiednie postanie, dodał:

- Nie będziesz mu przeszkadzał, jemu już nikt nie przeszkodzi.

Abarczuk nachylił się, żeby lepiej widzieć twarz towarzysza, a potem znowu obejrzał się na przykrytego nieboszczyka.

- Dawno już tak?

- Dwie godziny temu. Sanitariusze na razie go nie ruszają, czekają na lekarza. Tym lepiej, bo jak tu położą żywego, nie pozwoli nam pogadać.

- Racja - zgodził się Abarczuk, ale nie zadał pytań o sprawy, które go bardzo interesowały: „Jak było z tobą? Wzięli cię z Bubnowem czy w sprawie Sokolnikowa? A jaki masz wyrok? Siedziałeś we Władimirskim czy Suzdału? Sąd specjalny czy kolegium wojskowe? Przyznałeś się?” Obejrzał się raz jeszcze na przykryte ciało i spytał:

- A kto to jest, na co umarł?

- Umarł na obóz, to rozkułaczony. Wołał jakąś Nastię, ciągle chciał dokądś iść...

Abarczuk stopniowo dostrzegał w półmroku twarz Magara. Nie poznałby go; mało powiedzieć, że się zmienił - to był umierający starzec! Niemal czując plecami dotyk twardej, zgiętej w łokciu ręki nieboszczyka, a na sobie spojrzenie Magara, pomyślał: „Też pewnie jest przekonany, że w życiu by mnie nie poznał”.

A Magar mówił:

- Dopiero teraz zrozumiałem, cały czas bełkotał coś jakby: „bi... bi... di...” a on prosił: „pić, pić”, kubek jest obok, tobym spełnił jego ostatnią prośbę.

- Widzisz, martwy, a cały czas się wtrąca.

- To akurat zrozumiałe - rzekł Magar, Abarczuk zaś usłyszał ton, który zawsze go wzruszał: tak zazwyczaj Magar zaczynał poważną rozmowę. - Przecież rozmawiamy o nim, ale mówimy o sobie.

- Nie, nie! - Abarczuk chwycił gorącą dłoń Magara, uścisnął ją, objął go za ramiona, zadygotał, zachłysnął się bezgłośnym szlochem.

- Dzięki ci - mamrotał. - Dzięki, towarzyszu, przyjacielu.

Magar zaczął pierwszy.

- Słuchaj - powiedział. - Słuchaj, przyjacielu, mówię tak do ciebie ostatni raz.

- Przestań, przecież będziesz żył! - zaprotestował Abarczuk.

Magar usiadł na łóżku.

- Wolałbym tortury niż to, co ci teraz powiem, ale muszę to w końcu zrobić. I ty

słuchaj - zwrócił się do nieboszczyka - to ciebie dotyczy, twojej Nasti. To jest mój ostatni rewolucyjny obowiązek i muszę go spełnić! Wiesz, towarzyszu Abarczuk, jesteś wyjątkowym człowiekiem. Spotkaliśmy się zresztą też w wyjątkowym czasie - naszym najlepszym, jak mi się zdaje. Powiem ci więc... Pomyliliśmy się. Patrz, do czego nasz błąd doprowadził - obaj powinniśmy prosić tego tu o wybaczenie. Daj mi zapalić. Ale nie ma co się kajać, bo żadne wybaczenie nie odkupi naszej winy. To właśnie ci chciałem powiedzieć. To raz. Teraz - dwa. Nie rozumieliśmy wolności. Zdławiliśmy ją. Marks też jej nie docenił: to podstawa, sens, baza nad bazami. Bez wolności nie ma rewolucji proletariackiej. To po drugie, i słuchaj, co po trzecie. Chociaż idziemy przez obozy, przez zesłania, nasza wiara jest silniejsza od tego wszystkiego. Tyle że to nie żadna siła, ale słabość, instynkt samozachowawczy. Tam, za drutami, ten sam instynkt każe ludziom zmieniać się, bo inaczej zginą, trafią do obozu - komuniści stworzyli więc bożka, włożyli mundury, naszyli naramienniki, głoszą nacjonalistyczne hasła, podnieśli rękę na klasę robotniczą, a jak trzeba będzie, to i czarną sotnię<sup>14</sup> założą... A tutaj, w obozie, ów instynkt każe im nie zmieniać się - jeśli nie spieszo ci do drewnianej jesionki, to nie zmieniaj się przez dziesięciolecia, w tym jest ocalenie... Dwie strony miedzianej monetki...

- Przestań! - krzyknął Abarczuk i zerwał się, przysunął do twarzy Magara zaciśniętą pięść. - Złamali cię! Nie wytrzymałeś! To, co powiedziałeś, jest kłamstwem, majaczeniem.

- Wolałbym, żeby tak było, ale nie majaczę. Wzywam cię raz jeszcze! Tak iak dwadzieścia lat temu! Jeśli nie możemy żyć jak rewolucjoniści, umrzyjmy, bo takie życie nie jest nic warte.

\_ Dosyć, wystarczy!

- Wybacz. Rozumiem cię. Przypominam starą kurtyzanę, która płacze nad straconą cnotą. Ale mówię ci: Pamiętaj! Kochany, wybacz mi...

- Wybaczysz? Wolałbym leżeć albo żebyś ty leżał, jak ten trup, byle nie dożyć takiego spotkania...

Stojąc już w drzwiach, obiecał:

- Przyjdę jeszcze do ciebie... Wyprostuję ci mózg, teraz ja będę twoim nauczycielem.

Rankiem na dziedzińcu obozowym sanitariusz Triufielow zobaczył Abarczuka, ciągnącego na sankach bańkę z mlekiem, obwiązaną sznurkiem. Dziwne, że za kołem polarnym ktoś może mieć spocone czoło.

- Twój koleżka już mleka nie wypije - powiedział. - Powiesił się dzisiaj w nocy.

Miło zaskoczył człowieka nowiną. Sanitariusz z życzliwą satysfakcją patrzył na Abarczuka.

- Zostawił jakąś notatkę? - spytał Abarczuk i zaczerpnął haust lodowatego powietrza. Czuł, że Magar musiał zostawić jakiś list. Że to, co zdarzyło się wczoraj,

---

<sup>14</sup> Czarna sotnia - tak nazywali przeciwnicy założony w 1905 roku reakcyjny, nacjonalistyczny i antysemicki Związek Narodu Rosyjskiego. Nazwą tą wkrótce zaczęto określać wszelkie tego typu ruchy.

było czymś chwilowym, przypadkowym.

- Po co list? Wszystko, co napiszesz, i tak trafi do opera.

To była najcięższa noc w życiu Abarczuka. Leżał z zaciśniętymi zębami, bez ruchu, i wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w ścianę z ciemnymi śladami rozgniecionych pluskiew. Przemawiał do syna, któremu kiedyś nie chciał dać swego nazwiska, i przyzywał go: „Teraz mam tylko ciebie, ty jeden jesteś moją nadzieją. Widzisz, kochany; nauczyciel chciał zniszczyć mój rozum, moją wolę i unicestwić sam siebie. Tola, Tola, ty jeden mi zostałeś, ty jeden na całym świecie. Czy widzisz mnie, czy mnie słyszysz? Czy kiedykolwiek się dowiesz, że nawet tej nocy twój ojciec nie ugiął się, nie zachwiał?” A wokół, tuż obok, spał obóz - spał ciężko, głośno, nieładnie, w ciężkim duszącym powietrzu, chrapiąc, bełkocząc, świszcząc, zgrzytając zębami, krzycząc i jęcząc przeciągle.

Nagle Abarczuk uniósł się na pryczy, wydało mu się, że jakiś cień szybko, bezszelestnie przemknął obok niego.

42

W końcu lata 1942 roku wojska grupy kaukaskiej Kleista zdobyły pierwszy obiekt radzieckiego przemysłu naftowego w pobliżu Majkopu. Niemcy byli na Nordkappie i na Krecie, w północnej Finlandii i na brzegu kanału La Manche. Feldmarszałek, słoneczny wojak Erwin Rommel stał o osiemdziesiąt kilometrów od Aleksandrii. Na wierzchołku Elbrusu strzelcy alpejscy zatknęli sztandar ze swastyką.

Manstein otrzymał rozkaz skierowania gigantycznych dział i nowo skonstruowanych wyrzutni pocisków na cytadelę bolszewizmu - Leningrad. Sceptyk Mussolini opracowywał plan wkroczenia do Kairu, trenował już jazdę na arabskim ogierze. Dietl natomiast, śnieżny wojak, osiągnął na północy taką szerokość geograficzną, do której nie dotarł jeszcze żaden europejski zdobywca. Paryż, Wiedeń, Praga, Bruksela stały się prowincjonalnymi niemieckimi miastami. Nadeszła pora, by wcielić w życie najokrutniejsze plany narodowego socjalizmu, skierowane przeciw człowiekowi, jego życiu i wolności. Przywódcy hitlerowscy kłamali, twierdząc, że to zaciekłość walk skłania ich do okrutnych metod. Przeciwnie, niebezpieczeństwo otrzeźwiało ich, niepewność, czy są dostatecznie silni, wymuszała na nich powściągliwość.

Gdyby hitleryzm zyskał absolutną pewność ostatecznego zwycięstwa, świat natychmiast zachłysnąłby się krwią. Gdyby hitleryzmowi zabrakło uzbrojonych wrogów na ziemi, mordercy dzieci, kobiet i starców straciliby wszelką miarę. Człowiek jest przecież największym wrogiem hitleryzmu.

Jesienią 1942 roku rząd Rzeszy wprowadził szereg wyjątkowo okrutnych, nieludzkich praw.

W szczególności dwunastego września 1942 roku, w apogeum sukcesów wojennych nazizmu, zamieszkujący Europę Żydzi przestali podlegać jurysdykcji sądów i zostali przekazani we władzę gestapo.

Kierownictwo partii i osobiście Adolf Hitler podjęli decyzję o całkowitej likwidacji narodu żydowskiego.

Sofia Osipowna Lewinton myślała czasem o tym, co było kiedyś - o pięciu latach na uniwersytecie w Zurychu, o letniej podróży do Paryża do Włoch, o koncertach w konserwatorium i ekspedycjach w górskie reiony Azji Środkowej, o trzydziestu dwóch latach swojej pracy w zawodzie lekarskim, o ulubionych potrawach, o przyjaciółkach, których życie splotło się z jej życiem na dobre i złe, o rozmowach telefonicznych, zwykłych słówkach: „jak chcesz... na razie...”, o grze w karty, o rzeczach, które zostały w jej moskiewskim pokoju. Przypomniały jej się miesiące spędzone w Stalingradzie - Aleksandra Władimirowna, Żenia, Sierioża, Wiera, Marusia. Im bliżsi byli jej ludzie, tym dalej, jak się jej wydawało, od niej odeszli.

Pod wieczór, w zamkniętym wagonie pociągu towarowego, stojącego na zapasowym torze jakiejś węzłowej stacji niedaleko Kijowa, szukała wszy w kołnierzu swojej bluzy, a obok dwie starsze kobiety szybko, niezbyt głośno rozmawiały po żydowsku. W tej chwili z niezwykłą wyrazistością uświadomiła sobie, że to właśnie jej - Sonieczce, Sońce, Sofce, Sofii Osipownie Lewinton, lekarzowi w stopniu majora wszystko to się zdarzyło.

Główna zmiana w ludziach polegała na tym, że słabła w nich świadomość własnej niepowtarzalnej natury, narastała zaś świadomość losu. „Kim ja naprawdę jestem? Kto właściwie jest mną? - myślała Sofia Osipowna. - Tamta drobna smarkuła, która bała się taty i babci, tęga, nerwowa kobieta z belkami na wyłogach czy ta obecna, parszywa, zawszona?” Minęło pragnienie szczęścia, ale pojawiło się mnóstwo marzeń: pozabijać wszy... dostać się do szczeliny i pooddychać powietrzem... oddać moc... umyć choćby jedną nogę... i pragnienie trawiące całe ciało - pragnienie w dosłownym sensie.

Wepchnięto ją do wagonu, a gdy rozejrzała się w półmroku, który na początku wydał jej się całkowitą ciemnością, usłyszała cichy śmiech.

- Czy ktoś tu oszalał? - spytała.

- Nie - odpowiedział męski głos. - Tu się opowiada dowcip.

Inny rzekł melancholijnie:

- Jeszcze jedna Żydówka trafiła do naszego nieszczęsnego pociągu.

Sofia Osipowna stała w drzwiach, mrużyła oczy, żeby przywyknąć do ciemności, i odpowiadała na pytania. Natychmiast, wraz z płaczem, jękami, odorem, owionęła ją atmosfera zapomnianych od czasów dzieciństwa słów, intonacji...

Sofia Osipowna chciała wejść głębiej do wagonu, ale nie mogła. Wymacała w ciemności chudą nogę w krótkiej nogawce i powiedziała:

- Przepraszam, chłopczyku, uderzyłam cię?

Ale chłopczyk siedział bez słowa. Sofia Osipowna rzuciła w ciemność:

- Mamusiu, może by pani przesunęła trochę swego małego niemowię? Nie mogę przecież cały czas stać.

W kącie jakiś mężczyzna po aktorsku wyćwiczonym, histerycznym nieco głosem ironizował:

- Trzeba było zawczasu wysłać telegram, to byśmy przygotowali pokój z łazienką!

Sofia Osipowna skwitowała to głośno: - Idiota.

Kobieta, której twarz można już było rozróżnić w półmroku, zaproponowała:

- Niech pani siada koło mnie, tutaj jest dużo miejsca.

Sofia Osipowna poczuła nagle, lekkie drżenie palców. To był świat znany jej z dzieciństwa, świat żydowskiego miasteczka; uświadomiła sobie, jak wszystko się w tym świecie zmieniło. W wagonie jechali robotnicy ze spółdzielni pracy, monter radiowy, studentki z uczelni pedagogicznej, nauczyciele z zawodówek, inżynier z fabryki konserw, zootechnik, dziewczyna - lekarz weterynarii. Dawniej miasteczko takich zawodów nie znało. Ale przecież Sofia Osipowna się nie zmieniła, była tą samą Sonią, która kiedyś bała się taty i babci. Może więc ten nowy świat też jest taki sam, niezmienny? A w ogóle, czy to nie wszystko jedno? Żydowskie miasteczko, nowe czy stare, stacza się z urwiska w przepaść.

Usłyszała młody kobiecy głos:

- Dzisiejsi Niemcy to dzikusy, nie słyszeli nawet o Heinem.

Z drugiego kąta jakiś mężczyzna odezwał się z drwiną w głosie:

- Tylko że dzikusy wiozą nas dzisiaj jak bydło. A co nam dał ten Heine?

Sofię Osipownę wypytywano o sytuację na frontach, a ponieważ miała złe wiadomości, wytłumaczono jej, że są nieaktualne, zrozumiała więc, że wagon bydłęcy ma swoją własną strategię, opartą na przemożnej chęci dalszego istnienia.

- Czyżby pani nie wiedziała, że Hitlerowi wysłano ultimatum? Ma natychmiast uwolnić wszystkich Żydów! Tak, tak, na pewno tak.

Kiedy uczucie krowiego smutku, tępej rezygnacji, ustępowało miejsca straszliwemu przerażeniu, z pomocą ludzi przychodził bezsensowny optymizm, który działał jak opium.

Wkrótce zainteresowanie Sofią Osipowną minęło, stała się pasażerką taką samą jak reszta, niewiedzącą, dokąd i po co ją wiozą. Nikt jej nie pytał o imię i imię ojcowskie, nikt nie zapamiętał nazwiska. Sofia Osipowna nawet się zdziwiła - ledwie kilka dni wystarczyło, żeby przebyć drogę powrotną: od człowieka do brudnego, nieszczęsnego, pozbawionego imienia i wolności bydłęcia, a przecież droga do człowieka trwała miliony lat.

Zdumiewało ją, że mimo olbrzymiego nieszczęścia, które na nich spadło, ludzi zajmują nadal życiowe drobiazgi, że złością się na siebie z byle powodu.

Starsza kobieta mówiła do niej szeptem:

- Patrz pani, pani doktor, na tę wielką panią; siedzi przy szczelinie, jakby tylko jej dziecko musiało oddychać tlenem. Madame jedzie do wód.

W nocy pociąg zatrzymał się dwa razy i wszyscy wsłuchiwali się w skrzypienie butów wartowników, chwyтали niewyraźne rosyjskie i niemieckie słowa. Strasznie brzmiał język Goethego w Rosji, na nocnych przystankach, ale jeszcze bardziej złowieszczą wydawała się mowa rosyjska w ustach ludzi, którzy służyli u Niemców jako

wartownicy.

Nad ranem Sofia Osipowna tak jak wszyscy inni odczuwała dotkliwy głód i marzyła o łyku wody. Jej marzenie było nędzne, nieśmiałe: wyobrażała sobie pociętą puszkę, na której dnie było trochę ciepłej cieczy. Drapała się szybkimi, krótkimi ruchami, tak jak pies wydrapuje pchły. Teraz wydawało się jej, że zrozumiała różnicę między życiem a egzystencją. Życie się skończyło, urwało, a egzystencja trwała nadal. I chociaż była żalosna, marna, to myśl o gwałtownej śmierci napełniała duszę Sofii Osipowny przerażeniem.

Zaczął padać deszcz, kilka kropeł zabłąkało się do środka przez okratowane okienko. Sofia Osipowna oderwała cienki pasek materiału od poły swojej koszuli i przycisnęła go do ściany wagonu, właśnie w tym miejscu, gdzie była niewielka szpara; przesunęła tkaninę i czekała, aż szmatka nasiąknie wilgocią. Potem wepchnęła ją w szczelinę i zaczęła ssać mokry, zimny materiał. Pod ścianami i w kątach wagonu ludzie też zaczęli odrywać od ubrań kawałki materiału, a Sofia Osipowna poczuła dumę - to ona wynalazła sposób łapania, wyciągania deszczu.

Chłopczyk, którego Sofia Osipowna potrafiła w nocy, siedział niedaleko niej i obserwował, jak ludzie wciskają szmatki do szczelin między drzwiami a podłogą. W wąłym świetle zobaczyła jego chudą twarz ze szpiczastym nosem. Mógł mieć jakieś sześć lat. Sofia Osipowna pomyślała, że przez cały czas, odkąd znalazła się w wagonie, nikt do tego chłopca się nie odezwał; siedział nieruchomo, nie zamienił z nikim ani słowa. Podążyła mu mokrą szmatką i zachęciła:

- Weź, chłopczyku.

Nic nie odpowiadał.

- Bierz, bierz - powtórzyła, a wtedy niezdecydowanie wyciągnął rękę.

- Jak się nazywasz?

Odpowiedział cicho: - Dawid.

Sąsiadka z wagonu, Musia Borisowna, opowiedziała Sofii, że Dawid przyjechał z Moskwy do babci w odwiedzin i został odcięty od matki przez wojnę. Babcia zginęła w getcie, a krewna Dawida, Rebeka Buchman, która jedzie z chorym mężem, nawet nie pozwala chłopcu usiąść koło siebie.

Do wieczora Sofia Osipowna nasłuchiwała się wielu rozmów, opowieści, kłótni, sama też rozmawiała i spierała się z innymi. Do towarzyszy podróży zwracała się:

- Briderjidn<sup>15</sup>, wiecie, co wam powiem?

Wielu z nadzieją czekało końca podróży, uważało, że wiozą ich do obozów, gdzie każdy będzie pracował w swoim zawodzie, a chorzy trafią do oddzielnych baraków. Wszyscy prawie bez przerwy o tym mówili. Ale tajemna groza nie mijała, duszą targał bezsłowny lament.

Sofia Osipowna dowiedziała się z wagonowych opowieści, że nie tylko ludzkie uczucia mieszkają w człowieku. Opowiedziano jej o kobiecie, która wsadziła sparaliżowaną siostrę do koryta i wyciągnęła ją porą zimową na ulicę, żeby tam

---

<sup>15</sup> Briderjidn (jidysz) - bracia Żydzi.

zamarzła. Opowiadano jej, że niektóre matki zabijały swoje dzieci i że jedna z nich jedzie w wagonie. Opowiadano o ludziach, którzy jak szczury chowali się w rurach kanalizacyjnych i żywili nieczystościami, gotowi znieść każde cierpienie, byle tylko przeżyć.

Życie Żydów pod hitlerowskim jarzmem było koszmarem, ale Żydzi nie byli ani świętymi, ani zbrodniarzami, tylko zwykłymi ludźmi. Uczucie litości wobec nich, którego doświadczała Sofia Osipowna, odzywało się szczególnie silnie, kiedy patrzyła na małego Dawida. Chłopiec zazwyczaj nie mówił nic i siedział nieruchomo. Z rzadka tylko wyjmował z kieszeni zgniecione pudełko po zapalkach i zaglądał do niego, potem znowu je chował.

Przez kilka dni Sofia Osipowna w ogóle nie spała, nie chciało jej się spać. Tej nocy też siedziała bezsennie w cuchnącej ciemności.

„A gdzie jest teraz Żenia Szaposznikow?” - pomyślała nagle. Słuchała mamrotania, krzyków i myślała, że w śpiących, rozpalonych głowach ze straszliwą wyrazistością powstają teraz obrazy, których już nie sposób przekazać słowami. Jak je zachować, jak utrwalić, jeśli ludzkość przeżyje i będzie chciała dowiedzieć się o tym, co było przedtem? - Złata! Złata! - zaszlochał przez sen męski głos.

44

...Czterdziestoletni mózg Nauma Rozenberga wykonywał pracę, która dla buchaltera nie jest niczym niezwykłym. Rozenberg szedł drogą i liczył: przedwczorajszych stu dziesięciu - wczorajszych sześćdziesięciu jeden, plus sześciuset dwunastu przez pięć dni, w sumie siedemset osiemdziesięciu trzech... Szkoda, że nie prowadził oddzielnego rachunku mężczyzn, dzieci, kobiet... Kobiety palą się łatwiej. Doświadczony brenner układa ciała tak, żeby kościści, bogaci w popiół starcy palili się obok ciał kobiet. Zaraz wydadzą komendę: "w prawo zwrot!" Tak samo komenderowali rok temu tymi, których oni dzisiaj odkopią i zaczną wyciągać z dołów hakami na sznurach.

Doświadczony brenner po wielkości nierozkopanego wzgóрка potrafi określić, ile ciał leży w dole - pięćdziesiąt, sto, dwieście, sześćset, tysiąc. Scharführer Elf żąda, żeby mówić o sztukach - sto sztuk, dwieście sztuk, ale Rozenberg nazywa ich ludźmi, stracony człowiek, zabite dziecko, rozstrzelany staruszek. Nazywa ich tak po cichu, bo inaczej scharführer wpakowałby w niego dziesięć gramów metalu, ale z uporem mruczy: „Wychodzisz z dołu, rozstrzelany człowieku...” „Dziecko, nie trzymaj się mamy rękami, będziecie razem, daleko od niej nie odejdiesz...” „Co ty tam mruyczysz?” - „Nic, nic, może się panu zdawało”. Ale mruczy nadal - walczy, to jest jego mała walka...

Przedwczoraj był dół, gdzie leżało ośmiu ludzi. Scharführer wrzeszczał: „To kpiny, komando dwunastu brennerów pali osiem sztuk!” Miał rację, ale co zrobić, jeśli w wiosce były tylko dwie żydowskie rodziny. Rozkaz to rozkaz - rozkopać wszystkie groby i spalić wszystkie ciała...

Teraz skręcili z drogi, idą po trawie, i po raz sto piętnasty na zielonej polanie widać szary wzgórek. To mogiła. Ośmiu kopie, czterech rąbie dębowe pnie i rozpiłowuje je na polana długości ludzkiego ciała, dwóch rozbija je siekierami i klinami, dwóch zbiera na drodze stare, suche deski na rozpałkę, niesie kanistry z benzyną,



czterech szykuje miejsce na ognisko, kopie rów na popielnik - trzeba ocenić, skąd wieje wiatr.

Od razu znika zbutwiały leśny zapach, a eskorta się śmieje, klnie, zatyka nosy, scharfuhrer spluwa, odchodzi na skraj lasu. Brennerzy rzucają łopaty, biorą haki, zatykają szmatami usta i nosy... Witajcie, dziadku, znowu wam przyszło popatrzeć na słońce; oj, jacyście wy ciężcy... Zabita matka i troje dzieci - dwaj chłopcy, jeden już w wieku szkolnym, a dziewczynka, urodzona w trzydziestym dziewiątym, miała krzywicę, ale to nie szkodzi, już jej nie ma... Nie chwytaj się, dziecko, rękami mamy, mama ci nie ucieknie... „Ile sztuk?” - krzyczy z daleka scharfuhrer. - „Dziewiętnaście”. - I cicho do siebie: „Dziewiętnaście osób”. Wszyscy klną, bo pół dnia minęło. Za to w zeszłym tygodniu rozkopali mogiłę - dwieście kobiet, wszystkie młode. Kiedy zdjęli górną warstwę ziemi, nad grobem uniosła się siwa para, a eskorta się śmiała: „Gorące baby!” Nad rowkami, po których hula wiatr, kładzie się suche drewno, potem polana dębowe, te dają bogaty, gorący węgiel, potem zabite kobiety, potem drwa, potem zabici mężczyźni, znowu drwa, potem bepańskie kawałki ciał, potem kanister z benzyną, potem w środek bomba zapalająca, potem scharfuhrer daje rozkaz, eskorta już zawczasu się uśmiecha - brennerzy śpiewają chórem. Płonie ognisko! Potem popiół wysypuje się do dołu. Znowu jest cicho. Było cicho i jest cicho. A potem zaprowadzono ich do lasu, i nie zobaczyli wzgóрка pośród zieleni, scharfuhrer kazał kopać rów cztery na dwa; wszyscy zrozumieli, że wykonali zadanie: osiemdziesiąt dziewięć wsi, do tego osiemnaście miasteczek, do tego cztery osiedla, do tego dwa miasta rejonowe, do tego trzy sowchozy - dwa zbożowe, jeden mleczny - w sumie sto szesnaście miejscowości, sto szesnaście wzgórków rozkopali brennerzy... Kiedy buchalter Rozenberg kopie dół dla siebie i innych brennerów, podlicza: ostatni tydzień - siedemset osiemdziesiąt trzy, przedtem trzy dekady dały w sumie cztery tysiące osiemset dwadzieścia sześć spalonych ludzkich ciał, ogólny wynik - pięć tysięcy sześćset dziewięć. Liczy, liczy, i dzięki temu niepostrzeżenie mija czas; oblicza, ile to daje przeciętnie sztuk, nie, nie sztuk, tylko ciał ludzkich - pięć tysięcy sześćset dziewięć podzielić przez liczbę grobów - sto szesnaście, wychodzi czterdzieści osiem i trzydzieści pięć setnych na jedną bratnią mogiłę, po zaokrągleniu to będzie czterdzieści osiem ludzkich ciał w mogile. Jeśli uwzględnić, że przez trzydzieści siedem dni pracowało dwudziestu brennerów, to na jednego brennera przypada... „Ustawić się!” - krzyczy starszy konwojent, a scharfuhrer Elf głośno komenderuje: Ins Grab marsch.

Ale on nie chce do grobu. On biegnie, upada, znowu biegnie, biegnie zbyt powoli, buchalter nie potrafi biegać, ale nie zdołali go zastrzelić, dlatego leży w lesie na trawie, w ciszy i nie myśli o niebie nad głową, ani o Złatce, którą zabito, chociaż była w szóstym miesiącu; leży i liczy to, czego nie zdążył wyliczyć w dole; dwudziestu brennerów, trzydzieści siedem dni, w sumie brennerodni... - to po pierwsze; dwa - trzeba wyliczyć, ile metrów sześciennych drew przypada na człowieka; po trzecie - ile godzin spalania przeciętnie potrzeba na jedną sztukę, ile...

Po tygodniu złapali go policjanci i zawieźli do getta.

Teraz siedzi w wagonie, cały czas mruczy, oblicza, dzieli, mnoży. Bilans roczny! Powinien go przekazać Buchmanowi, głównemu księgowemu Gosbanku. I nagle w nocy, we śnie, do oczu Rozenberga napływają piekące łzy i zdzierają strupy pokrywające jego mózg i serce.

- Złata! Złata! - woła.

45

Okno jej pokoju wychodziło na druty kolczaste, okalające getto. Nocą bibliotekarka Musia Borisowna obudziła się, uniosła skraj zasłonki i zobaczyła, jak dwóch żołnierzy dźwiga karabin maszynowy; jego polerowane ciało pokrywały niebieskie plamy księżycowego blasku, pobłyskiwały okulary oficera idącego na czele. Słyszała, jak niezbyt głośno pracują silniki. Do getta zbliżały się samochody ze zgaszonymi reflektorami; srebrzył się ciężki nocny kurz, który wzbijały ich koła samochody płynęły na obłokach niczym bóstwa.

W tych cichych księżycowych chwilach, kiedy do bram śpiącego getta dotarły pododdziały SS i SD, oddziały policji ukraińskiej, oddziały pomocnicze, kolumna samochodowa odwodów Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, kobieta poznała przekleństwo wieku dwudziestego.

Blask księżyca, płynny, majestatyczny ruch uzbrojonych oddziałów, potężne czarne ciężarówki, ciche, wystraszone tykanie zegara na ścianie, zamarła na krześle bluzka, stanik, pończochy, ciepły zapach mieszkania - wszystko, co nie dawało się połączyć, teraz się połączyło.

46

Natasza, córka aresztowanego i straconego w 1937 roku starego doktora Karasika, w wagonie próbowała od czasu do czasu śpiewać. Niekiedy śpiewała nawet nocą, ale ludzie się na nią nie złościли. Była wstydliva, zawsze mówiła ledwie dosłyszalnym głosem, opuszczając oczy, odwiedzała tylko bliskich krewnych i dziwiła się śmiałości dziewcząt, które chodziły na wieczorki taneczne. Kiedy dokonywano selekcji, nie zaliczono jej do grupy rzemieślników i lekarzy, których życie na razie mogło się przydać - istnienie więdnącej, posiwiałej dziewczyny nie było potrzebne. Policjant popchnął ją w kierunku zakurzonego bazarowego wzgórzka, na którym stali trzej pijani mężczyźni. Jednego z nich, obecnie komendanta policji, znała sprzed wojny - był kierownikiem jakiegoś magazynu kolejowego. Nie zrozumiała nawet, że tych trzech decyduje o życiu i śmierci ludzi; trafiła do tysiącosobowego, huczącego tłumu dzieci, kobiet i mężczyzn, których uznano za bezużytecznych.

Potem wlekli się na lotnisko w ostatnim dla nich sierpniowym upale, mijali zakurzone przydrożne jabłonie, po raz ostatni krzyczeli przenikliwie, darli na sobie ubrania, modlili się. Natasza szła w milczeniu. Nigdy nie przypuszczała, że w słońcu krew bywa taka strasznie czerwona. Kiedy na chwilę milkły krzyki, strzały, charczenie - z dołu dobiegało pluskanie krwi - płynęła po białych ciałach jak po kamieniach. Potem było to najmniej straszne - niegłośny trzask automatu i kat o twarzy zwyczajnej, pozbawionej złości, znużonej pracą, czekający cierpliwie, aż Natasza zbliży się do niego, stanie na skraju tej pluskającej jamy. W nocy wyjęła nasiąkniętą krwią koszulę i wróciła do miasta - martwi nie powstają z grobów, musiała zatem być żywa.

A kiedy szła podwórkami do getta, zobaczyła ludową zabawę na placu; mieszana, dęta i smyczkowa, orkiestra grała smutną, rozmarzoną melodię - walca, który zawsze podobał się Nataszy. W mętym świetle księżyca i latarni na zakurzonym placu wirowały pary - dziewczyny, żołnierze; szuranie podeszew mieszało się z

muzyką. Nagle wędnącej pannie zrobiło się radośnie na duszy, poczuła się pewniejsza, cały czas po cichu śpiewała w przeczuciu szczęścia, które ją czeka, a chwilami, kiedy nikt nie widział, próbowała nawet tańczyć.

47

Dawid słabo pamiętał to wszystko, co wydarzyło się od wybuchu wojny. Ale kiedyś nocą w wagonie w mózgu chłopca przeraźliwie jasno odżyło to, co niedawno przeżył.

Babcia prowadzi go po ciemku do Buchmanów. Niebo całe w drobnych gwiazdach, a jego kraniec - jasny, zielonkawocytrynowy. Niby czyjeś zimne, wilgotne dłonie, liście łopianu dotykają policzka Dawida.

Na strychu, w ukryciu, za fałszywą ceglana ścianą, siedzą ludzie. W dzień rozgrzewają się czarne płyty blachy pokrywającej dach. Niekiedy kryjówka na strychu wypełnia się wonią spalenizny. To płonie getto. Za dnia w schowku wszyscy leżą nieruchomo. Monotonnie płacze Swietłanka, córka Buchmana. Buchman ma chore serce, w dzień Wszyscy myślą, że nie żyje. Ale w nocy je i kłóci się z żoną.

Nagle słychać szczekanie psa. Nierosyjskie głosy: Asta! Asta! tyo sind diejuden? - a potem nad głowami narasta łoskot, Niemcy weszli przez okienko na dach.

Potem niemiecki podkuty grzmot, dudniący w czarnym blaszanym niebie, milknie. Poniżej słychać podstępne, ciche uderzenia - ktoś opukuje ściany. W kryjówce zapada cisza, pełna cierpienia, mięśnie ramion i karków są napięte, oczy wybałuszone, usta otwarte.

Mała Swietłana, słysząc rytmiczne postukiwanie w ścianę, podjęła swój bezsłowny lament. Wtem płacz dziewczynki się urwał, Dawid spojrzał w jej stronę i napotkał szalony wzrok matki Swietłany, Rebeki Buchman. Potem raz czy dwa na krótką chwilę przypomniał sobie te oczy i zwisającą jak u szmacianej lalki głowę dziewczynki.

Za to wszystko, co działo się przed wojną, pamiętał w najdrobniejszych szczegółach i często wspominał. W wagonie, niczym staruszek, żył przeszłością, pielęgnował ją i kochał.

48

Dwunastego grudnia były urodziny Dawida, więc mama kupiła mu książkę z bajkami. Szary koziołek stał na polanie, a mroczny las, który ją otaczał, wydawał się tym bardziej złowieszczy. Spośród czarnobrzozowych pni, muchomorów i psich grzybów wyłaniała się czerwona paszcza z wyszczerzonymi kłami i zielone wilcze ślepia. Tylko Dawid wiedział, że zaraz dojdzie do morderstwa. Tłukł pięścią w stół, zasłaniał polankę dłonią przed wilkiem, ale wiedział, że nie zdoła ocalić koziołka.

W nocy krzyczał:

- Mamo, mamó, mamó!

Matka budziła się i płynęła do niego jak obłok przez ciemność nocy. Wówczas Dawid ziewał błogo, czując, że największa siła na świecie obroni go przed leśnym mrokiem.

Kiedy był trochę starszy, bał się czerwonych psów z *Księgi dżungli*. Którejś nocy pokój wypełnił się czerwonymi drapieżnikami, a Dawid przekradł się boso przez wysuniętą szufladę komody do łóżka matki. Kiedy miał wysoką gorączkę i majaczył, zwidywał mu się ciągle ten sam obraz: leży na piaszczystej nadmorskiej plaży, a drobne fale, wielkości małego paluszka, łaskoczą jego ciało. Nagle na horyzoncie podnosi się bezszelestnie olbrzymia fala, która ciągle rośnie i gwałtownie się zbliża. Jeszcze chwila, a góra czarnoniebieskiej wody runie na leżącego na ciepłym piaseczku Dawida. To było straszniejsze niż wilk i czerwone psy.

Rankiem mama wychodziła do pracy, a on szedł na kuchenne schody i wylewał mleko z kubeczka do puszki po krabach. Wiedziała o tym bezpieczna kotka z cienkim długim ogonem, bladym nosem i zażwionymi oczami. Kiedyś sąsiadka powiedziała, że o świcie przyjechali ludzie ze skrzynką i zabrali, Bogu dzięki, wstrętną kotkę żebrazkę do instytutu.

- Dokąd mam iść, gdzie jest ten instytut?

- Przecież to niemożliwe, zapomnij o tym nieszczęsnym kocie - mówiła mama, widząc jego błagalne spojrzenie. - Jak ty będziesz żył na tym świecie? Nie można być takim przewrażliwionym.

Chciała go posłać na letni obóz dziecięcy, a on płakał, prosił ją, klaskał rozpaczliwie w dłonie i krzychał:

- Obiecuję, że pojedę do babci, tylko nie wysyłaj mnie na obóz!

Kiedy matka odwoziła go do babci na Ukrainę, w pociągu prawie nic nie jadł - zdawało mu się, że nie wypada jeść jajka na twardo albo wyjmować kotleta z zatłuszczonego papieru.

Mama została z Dawidem u babci pięć dni, ale w końcu musiała wracać do pracy. Żegnając się z nią, nie płakał, tylko mocno objął ją rękami za szyję, a mama powiedziała:

- Udusisz mnie, głuptasie. Tutaj masz mnóstwo tanich truskawek, a za dwa miesiące przyjadę po ciebie.

## 49

Koło domu babci Rozy był przystanek autobusu, który dowoził ludzi z miasta do zakładów garbarskich. Po ukraińsku przystanek nazywał się zupynka.

Zmarły dziadek był działaczem Bundu, człowiekiem znanym; przed laty mieszkał w Paryżu. Babcię szanowano za to i często wyrzucano z pracy.

Z otwartych okien słychać było głos spikera: Uwaha, uwaha, howoryt... W dzień ulica była pusta, ożywiała się, kiedy szły nią uczennice i uczniowie z technikum garbarskiego; krzyczeli do siebie przez ulicę: »Bella, zdałaś? Jaszka, chodź, będziemy wkuwać marksizm!" Pod wieczór wracali do domu robotnicy z zakładów, sprzedawcy, monter Soroka z miejskiej rozgłośni radiowej. Babcia pracowała w radzie zakładowej przychodni.

Kiedy babci nie było, Dawid wcale się nie nudził.

Koło domu, w zapomnianym, bezpiecznym sadzie, wśród zmarniałych,

bezpłodnych jabłoni, pasła się stara koza, brodziły znaczone farbą kury, a po trawkach pełzały nieme mrówki. Hałaśliwie, pewnie zachowywały się tamtejsze mieszcuchy - wrony, wróble, a jak nieśmiałe wiejskie dziewczyny - odwiedzające sad ptaki polne, których nazw Dawid nie znał.

Usłyszał wiele nowych słów, brzmiały jakoś tak: dykt... dzwinok... kałuża... kisłe mołoko... panczocho... kartopla... wiwczar... kosar. W tych słowach słyszał oddźwięki i odbicia rodzimej rosyjskiej mowy. Był zdumiony, kiedy mama i babcia zaczęły przy nim rozmawiać po żydowsku. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby matka posługiwała się tym niezrozumiałym językiem.

Babcia zaprowadziła Dawida w gości do swojej siostrzenicy, grubej Rebeki Buchman. Do pokoju, który zdumiał Dawida obfитоścią białych szydełkowanych firanek, wszedł główny księgowy Gosbanku Eduard Isaakowicz Buchman, w wojskowej bluzie i butach.

- Chaim - powiedziała Rebeka - to nasz gość z Moskwy, syn Rai.

I od razu dodała, zwracając się do Dawida:

- No, przywitaj się z wujkiem Eduardem.

Dawid spytał głównego księgowego:

- Wujku Eduardzie, dlaczego ciocia Rebeka mówi do ciebie „Chaim”?

- O, to dobre pytanie - pochwalił Eduard Isaakowicz. - Czyżbyś nie wiedział, że w Anglii każdy Chaim to Eduard?

Potem do drzwi zaczęła drapać kotka, a gdy w końcu udało jej się pazurami otworzyć je szerzej, wszyscy zobaczyli pośrodku pokoju dziewczynkę o zatroskanych oczach, siedzącą na nocniku.

W niedzielę Dawid poszedł z babcią na bazar. Szły tam też staruszki w czarnych chustkach i zaspane, ponure konduktorki, z niebieskimi i czerwonymi torbami szły wyniosłe żony rejonowych dygnitarzy, szły kobiety wiejskie w butach - czobotach. Żydowscy żebracy wołali rozeźlonymi, ordynarnymi głosami - wydawało się, że dawano im jałmużnę nie z litości, ale ze strachu. A brukowaną ulicą jechały z kołchozów półtoratonowe ciężarówki z workami kartofli i otrębów, z drucianymi klatkami, w których siedziały kury, pokrzykujące na wybojach jak stare i chore Żydówki. Najbardziej przyciągały uwagę i przerażały stragany rzeźników. Dawid zobaczył, jak z wozu ściągano zabitego cielaka z półotwartym bladym pyskiem, z białą kędzierzawą sierścią na szyi, upačkaną krwią.

Babcia kupiła pstrokatą młodą kurkę i niosła ją za nogi spętane białą szmatką, a Dawid szedł obok niej i chciał pomóc kurze, unieść nieco jej bezsilną głowę. Nie mógł wyjść z podziwu, skąd u babci takie nieludzkie okrucieństwo. Przypomniał sobie niezrozumiałe słowa mamy, że rodzina ze strony dziadka to inteligencja, a ze strony babci - mieszczenie i kupcy. Na pewno dlatego babcia nie miała litości dla kury.

Weszli na podwórko, gdzie powitał ich staruszek w jarmułce, a babcia zaczęła rozmawiać z nim po żydowsku. Staruszek chwycił kurę, zaczął coś mamrotać, kura ufnie gdaknęła; potem zrobił coś bardzo szybkiego, niedostrzegalnego, ale na pewno strasznego, i rzucił kurę przez ramię. Ta krzyknęła i pobiegła, trzepocząc skrzydłami, a chłopiec zobaczył, że to nie jest cała kura - stary zabił ją, i teraz biegł sam bezgłowy

tułów. Tułów przebiegł kilka kroków, po czym upadł, drapiąc młodymi, silnymi łapami ziemię, i przestał być żywy.

W nocy chłopcu wydało się, że do pokoju wtargnął wilgotny zapach zabitych krów i ich zarżniętych dzieci. Śmierć żyjąca w namalowanym lesie, gdzie namalowany wilk skradał się do namalowanego koziołka, wyszła tego dnia z bajki. Dawid uświadomił sobie po raz pierwszy, że i on jest śmiertelny, nie bajkowo, nie jak w książce z obrazkami, ale naprawdę, bez najmniejszych wątpliwości. Zrozumiał, że kiedyś umrze jego mama. Śmierć przyjdzie po niego nie z bajkowego lasu, gdzie w półmroku stoją świerki - wyjdzie z tego powietrza, z życia, ze ścian domu; nigdzie nie można się przed nią schować. Poczł śmierć wyraźnie, do głębi, jaką potrafią osiągnąć jedynie małe dzieci i wielcy filozofowie, potęgą myśli bliscy prostocie i sile dziecięcej natury.

Wysiedziane krzesła, na których leżały kawałki dykty, gruba szafa na ubrania roztrząsały łagodny, przyjemny zapach; tak właśnie pachniały włosy i sukienki babci. Dookoła była ciepła, fałszywie spokojna noc.

Rudy Pynczyk zbliżył się do Dawida i wymawiając „h” zamiast „r”, zaproponował:

- Pophóbujemy się na hękę?

Na podwórzu babci Żydzi i Ukraińcy podobni byli do siebie. Stara Partyńska wstępowała do babci i mówiła, przeciągając słowa:

- Pani może czuła, Rozo Nusinowno, że Sonia jedzie do Kijowa, znowu się pogodziła z mężem.

Babcia klaskała w dłonie i śmiejąc się, odpowiadała:

- Ha, wybaczyły, co za komedia.

Ten świat wydawał się Dawidowi miłszy i lepszy niż ulica Kirowa, gdzie po asfaltowym podwórzu-studni spacerowała z pudlem wyfiokowana, wymalowana starucha nazwiskiem Drako-Drakon, gdzie przed bramą rankami czekał ZIS-101, gdzie sąsiadka w pince-nez, z papierosem w uszmińkowanych ustach, z wściekłością mamrotała nad wspólną kuchenką gazową: „Ty trockistko, znowu mi gwizdnęłaś kawę z fajerki!” Przyjechali tu z mamą nocą, w świetle księżycy szli z dworca brukowaną ulicą, koło białego kościoła, gdzie w niszy pochylał się chudziutki, nie wyższy od dwunastolatka Chrystus w cierniowej koronie; potem minęli liceum pedagogiczne, do którego kiedyś chodziła mama.

Po kilku dniach, w piątek wieczorem, Dawid zobaczył, jak starcy idą do synagogi w tumanach złocistego kurzu, który podnieśli chłopcy grający na bosaka w piłkę. Niesamowitą rozkosz dawało to połączenie białych ukraińskich chat, skrzypiących żurawi studziennych i wytartych wzorów na biało-czarnych szatach modlitewnych, wiodących w taką przepastną biblijną przeszłość, że aż kręciło się w głowie. Mieszali się z tym Kobzar Szewczenki, Puszkini i Tołstoj, synowie szewców i krawców, którzy wrócili z woyny domowej, instruktorzy z komitetów rejonowych, pyskacze, oratorzy ze związków zawodowych, kierownicy ciężarówek, agenci milicji kryminalnej, lektorzy marksizmu, podręczniki fizyki i dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie.

Kiedy Dawid przyjechał do babci, dowiedział się, że jego mama jest nieszczęśliwa. Pierwsza powiedziała mu to gruba ciocia Rachela, która miała takie czerwone policzki, jakby cały czas się czegoś wstydziła.

- Porzucić taką cudowną kobietę jak twoja matka, szczob joho pokarało.

A następnego dnia Dawid już wiedział, że tato odszedł do starszej od niego o osiem lat Rosjanki, że zarabia w filharmonii dwa i pół tysiąca, że mama zrzekła się alimentów i żyje tylko za to, co sama zarobi - za trzysta dziesięć rubli miesięcznie.

Któregoś dnia Dawid pokazał babci kokon, który przechowywał w pudełku od zapalek.

Ale babcia powiedziała:

- Fe, po co ci takie świństwo, wyrzuć to szybciotko.

Dwa razy Dawid chodził na stację towarową, patrzył, jak ładują do wagonów krowy, barany, świnie. Słyszał, jak byk głośno zaryczał; może się skarżył, a może błagał o litość. Dusza chłopca nappełniła się przerażeniem, a wzdłuż wagonów szli kolejarze w obszarpanych, zatłuszczonych olejem kurtkach i nawet nie odwrócili zmęczonych, chudych twarzy w stronę skarżącego się byka.

Tydzień po przyjeździe Dawida sąsiadka babci, Debora, żona Lazara Jankielewicza, ślusarza z fabryki maszyn rolniczych, urodziła pierworodnego syna. W zeszłym roku Debora pojechała do Kodymy odwiedzić siostrę i podczas burzy została rażona piorunem; ocucono ją, zasypano ziemią, leżała dwie godziny jak nieżywa, a tego lata urodziła dziecko. Przedtem przez piętnaście lat była bezpłodna. Babcia opowiedziała o tym Dawidowi i dodała:

- Tak ludzie mówią, ale w ogóle to w zeszłym roku miała jakąś operację.

No i właśnie do tych sąsiadów poszedł Dawid z babcią.

- No, łuzia, no, Dęba - powiedziała tylko babcia, popatrzysz na dwunożne stworzonko, leżące w koszyku z bielizną. Wyrzekła te słowa jakimś groźnym głosem, jakby ostrzegając, żeby ojciec i matka nie traktowali nigdy lekkomyślnie tego cudu, który się zdarzył.

W małym domku przy torach kolejowych mieszkała stara pani Sorokin z dwoma synami, głuchoniemymi fryzjerami. Wszyscy sąsiedzi się ich bali, a stara pani Partyńska opowiadała Dawidowi:

- Wony tychy, tychy, doky ne napjutsia. A jak wypjut' - porywajutsia na sebe, pidchwatiat noży i kryczaf, rzut'jak koni!

Kiedyś babcia posłała Dawida ze słoikiem śmietany do bibliotekarki Musi Borisowny... Musia Borisowna miała maleńki pokoik. Na stole stała nieduża filiżanka, do ściany przybita była nieduża półka, na niej stały nieduże książki, a nad niedużym łóżkiem wisiało nieduże zdjęcie. Przedstawiało ono mamę i Dawida zawiniętego w pieluszkę. Kiedy Dawid popatrzył na fotografię, Musia Borisowna poczerwieniała i powiedziała:

- Siedziałyśmy z twoją mamą w jednej ławce.

Przeczytał jej na głos bajkę o koniku polnym i mrówce, a ona przeczytała mu cichym głosem początek wiersza Niekrasowa: „Płakała Sasza, gdy las wycinano”.

Rankiem na podwórzu zahuczało: Sołomonowi Slipyjowi skradziono w nocy futro, zaszyte na lato i posypane naftaliną. Kiedy babcia dowiedziała się, że Slipyj stracił futro, powiedziała:

- Dzięki Bogu, chociaż raz pokarało tego rozbójnika.

Dawid dowiedział się, że Slipyj był donosicielem i kiedy odbierano ludziom obce waluty i złote pięciorubłówki, wydał wielu z nich. A w trzydziestym siódmym znowu wydawał ludzi. Dwie osoby spośród tych, które wydał, rozstrzelano, jedna zmarła w szpitalu więziennym.

Straszne nocne szmery, niewinna krew i śpiew ptaków - wszystko to mieszało się w kipiącą, parzącą kaszę. Zrozumieć ją Dawid mógłby dopiero po dziesięcioleciach, ale jej przejmującą grozę i rozkosz bez przerwy odczuwał swoim dziecięcym serduszkciem.

## 51

Przed ubojem zarażonego bydła podejmuje się środki przygotowawcze - bydlę dowozi się do punktów uboju, wykwalifikowany personel otrzymuje instrukcje, kopie się specjalne rowy. Ludzie, którzy pomagają władzom zwozić zarażone zwierzęta albo chwycić te, które się rozbiegły, nie kierują się nienawiścią do cieląt i krów, ale instynktem samozachowawczym. Przy masowym uboju ludzi również nikogo nie ogarnia krwiożercza nienawiść do starców, kobiet i dzieci, podlegających likwidacji. Dlatego kampanię ich masowego uboju należy odpowiednio przygotować. Nie wystarczy tutaj instynkt samozachowawczy, trzeba jeszcze wzbudzić w ludziach wstręt i nienawiść.

Właśnie w takiej atmosferze wstrętu i nienawiści przygotowano i przeprowadzono likwidację ukraińskich i białoruskich Żydów. W swoim czasie na tej samej ziemi Stalin zmobilizował i rozpalił gniew mas, by zlikwidować kułactwo jako klasę, a potem zorganizować kampanię przeciwko trockistowsko-bucharinowskim wyrodkom i dywersantom.

Praktyka wykazała, że podczas takich kampanii duża część ludności, jak zahipnotyzowana, wykonuje posłusznie wszystkie polecenia władz. Istnieje oczywiście i mniejszość, która stwarza atmosferę kampanii: ideowi głupcy, sadyści cieszący się z cudzego nieszczęścia albo ludzie załatwiający porachunki osobiste, czyhający na cudzy dobytek i mieszkania, na zwolnione posady. Większość natomiast jest w głębi duszy przerażona masowymi mordami, ukrywa to jednak nie tylko przed bliskimi, ale i przed sobą. Właśnie ta większość zapełniała sale podczas publicznych zebrań i jakkolwiek duże byłyby te sale, jakkolwiek częste wiece w ramach kampanii nienawiści - prawie się nie zdarzało, żeby ktoś naruszył milczącą jednomyślność głosowań. I jeszcze rzadsze oczywiście były wypadki, by ktoś, wzruszony błagalnym spojrzeniem psa podejrzewanego o wściekliznę, nie odwrócił się, ale dał psu schronienie w domu, w którym mieszka z żoną i dziećmi. A jednak zdarzały się takie wypadki.

Pierwsza połowa wieku dwudziestego przejdzie do historii jako epoka totalnej, usankcjonowanej teoriami społecznymi i rasowymi likwidacji olbrzymich warstw



ludności Europy. Współczesność ze zrozumiałą skromnością milczy na ten temat.

Jedną z najbardziej zdumiewających cech natury ludzkiej, odkrytą w owym czasie, okazała się potulność. Były wypadki, że do miejsca egzekucji ustawiały się ogromne kolejki, ofiary zaś same pilnowały w nich porządku. Były wypadki, kiedy na egzekucję trzeba było czekać od rana do późnej nocy, cały długi, upalny dzień, i matki, wiedząc o tym, zapobiegliwie chwytały butelki z wodą i chleb dla dzieci. Miliony niecnych ludzi, czując zbliżający się areszt, zawczasu szykowały węzłki z bielizną i przyborami do mycia, zawczasu żegnało się z bliskimi. Miliony ludzi żyło w potężnych obozach, które nie tylko zbudowali ale których sami pilnowali. Nie miliony natomiast i nawet nie dziesiątki milionów, ale gigantyczne masy ludzkie były biernymi świadkami likwidacji niewinnych ofiar. Świadcami nie zawsze tylko biernymi; kiedy kazano, ludzie głosowali za likwidacją, powszechną wrzawą aprobowali masowe mordy.

Ta gigantyczna bierność ujawniła coś zaskakującego.

Oczywiście, zdarzał się i opór, męstwo i nieugiętość skazanych, zdarzały się powstania, zdarzały wypadki, że dla ocalenia dalekiego, nieznanego człowieka inny człowiek ryzykował życie - swoje i swojej rodziny. A jednak masowa bierność była niezaprzeczalna! Czego ona dowodzi? Czy tego, że w naturze ludzkiej nieoczekiwanie pojawiła się nowa cecha? Nie, owa bierność to dowód istnienia nowej, potwornej siły, która zaczęła wpływać na ludzi. Okazało się, że superprzemoc systemów totalitarnych jest w stanie paraliżować ludzkiego ducha na całych kontynentach.

Dusza ludzka, która pragnie służyć hitleryzmowi, ogłasza jedynym prawdziwym dobrem złowrogię, niosące śmierć niewolnictwo. Nie wyrzekając się ludzkich uczuć, dusza-zdrajczyni uznaje zbrodnie hitlerowskie za najwyższą formę humanitaryzmu, a próbuje podzielić ludzi na czystych, godnych życia, i na nieczystych, tego życia niegodnych.

Instynkt samozachowawczy pozostaje więc w zgodzie z sumieniem. Na pomoc instynktowi przychodzi hipnotyczna siła powszechnych idei. Gloryfikują one wszelkie ofiary, wszelkie środki, służące celowi najwyższemu - przyszłej wielkości ojczyzny, postępowi, szczęściu ludzkości, narodu, klasy. A równocześnie, obok instynktu życia, obok hipnotycznej siły wielkich idei, działała trzecia siła - strach przed bezgraniczną przemocą potężnego państwa, przed morderstwem, które stało się podstawą życia codziennego. Przemoc totalitarnego państwa jest tak wielka, że przestaje być środkiem, zmienia się w obiekt mistycznego, religijnego uwielbienia.

Jak bowiem inaczej można wyjaśnić pogląd niektórych Żydów, ludzi myślących, kulturalnych, że likwidacja ich narodu jest niezbędną dla szczęścia ludzkości; kiedy to sobie uświadomili, zgodzili się prowadzić do punktów uboju swoje własne dzieci - dla dobra ojczyzny ponieść ofiarę, którą niegdyś gotów był złożyć Abraham. Jak inaczej można wyjaśnić to, że poeta chłopskiego pochodzenia, obdarzony rozumem i talentem, pisze ze szczerym zaangażowaniem poemat opiewający epokę niebywałych cierpień chłopstwa, epokę, której ofiarą padł jego uczciwy i pracowity ojciec...

Jednym z czynników sprzyjających hitleryzmowi było całkowite lub prawie całkowite zaślepienie ludzi. Człowiek nie wierzył, że zostanie unicestwiony. Zadziwiające, jak wielki był optymizm tych, którzy stali nad grobem. Szaleńcza, czasem nieuczciwa, a czasem podła nadzieja była gruntem, na którym wyrastała bierność odpowiadająca tej nadziei żalosna, a niekiedy właśnie podła.

Powstanie w getcie warszawskim, powstanie w Treblince, powstanie w Sobiborze, drobne bunty i powstania brennerów brały się z absolutnej beznadziejności. Oczywiście jednak skutkiem całkowitego braku nadziei były nie tylko powstania i opór. Było nim także nieznanym normalnemu człowiekowi pragnienie, żeby zostać straconym. Przecież ludzie kłócili się o kolejkę do krwawego dołu, i w powietrzu unosił się pełen ekscytacji, szaleńczy, prawie triumfalny krzyk: - Żydzi, nie bójcie się, to nic strasznego, pięć minut i gotowe! Wszystko, wszystko rodziło bierność - i nadzieja, i jej brak. Bo przecież ludzie, których spotyka ten sam los, nie mają tego samego charakteru.

Trzeba się zastanowić nad tym, co musiał przeżyć, czego doświadczyć człowiek, żeby poczuć się szczęśliwym w obliczu rychłej kaźni. Powinno się nad tym zastanowić wielu, zwłaszcza ci skwapliwie pouczający, że należało walczyć w warunkach, o których na swoje szczęście nie mają bladego pojęcia.

Przyjmując za fakt, że ludzie zachowują się biernie wobec bezgranicznej przemocy, należy wyciągnąć ostatni wniosek, mający znaczenie dla rozumienia człowieka, jego przyszłości. Czy natura ludzka ulega zmianie, czy staje się inna w tyglu totalitarnej przemocy? Czy człowiek wyzbywa się właściwego sobie pragnienia wolności? Odpowiedź na to pytanie zdecyduje o losie człowieka i o losie państwa totalitarnego. Zmiana bowiem natury ludzkiej zapowiada powszechny i ostateczny triumf dyktatury państwa, niezmienną zaś ludzkiego dążenia do wolności jest wyrokiem na państwo totalitarne.

Wielkie powstanie w getcie warszawskim, powstania w Treblince i Sobiborze, olbrzymi ruch partyzancki w dziesiątkach zniewolonych przez Hitlera krajów, postalinowskie powstanie w Berlinie 1953 roku i węgierskie powstanie roku 1956, powstania, które po śmierci Stalina ogarnęły obozy na Syberii i Dalekim Wschodzie, bunty, które w tym samym czasie wybuchły w Polsce, studenckie protesty przeciwko zdławieniu wolności myśli, które przetoczyły się przez wiele miast, strajki w licznych fabrykach pokazały, że dążenie do wolności jest wrodzone, że nie da się go wykorzeńić. Stłumiono je, ale nie unicestwiono. Człowiek obrócony w niewolnika był nim z wyroku losu, ale nie z natury.

Naturalna dążność człowieka do wolności jest niezniszczalna, można ją zdławić, ale nie sposób zniszczyć. Totalitaryzm nie może wyrzec się przemocy. Zginąłby, gdyby się jej wyrzekł. Wieczną, nieustanną, bezpośrednią czy zamaskowaną przemoc jest podstawą totalitaryzmu. Człowiek bowiem nie wyrzeknie się wolności. Ten wniosek rozjaśnia nasz czas, daje nadzieję na przyszłość.

Maszyna elektryczna dokonuje skomplikowanych obliczeń, zapamiętuje wydarzenia historyczne, gra w szachy, przekłada książki z jednego języka na drugi. Góruje nad człowiekiem zdolnością szybkiego rozwiązywania zadań matematycznych, jej pamięć jest bez zarzutu.

Czy istnieje jakaś granica postępu, który stwarza maszynę na obraz i podobieństwo ludzkie? Najwyraźniej nie. Można wyobrazić sobie maszynę przyszłych stuleci czy tysiącleci. Będzie ona słuchała muzyki, oceniała malarstwo, będzie sama malowała obrazy, komponowała melodie, pisała wiersze. Czy są jakieś granice jej doskonalenia? Czy zrówna się z człowiekiem, czy go prześcignie? Coraz nowszych urządzeń elektronicznych, ciągłego przyrostu ich wagi i objętości będzie wymagało

odtworzenie człowieka przez maszynę.

Wspomnienia z dzieciństwa... Łzy szczęścia... Gorycz rozłąki.. Umiłowanie wolności... Litość nad chorym szczeniakiem... Zwątpienie... Macierzyńska czułość... Myśli o śmierci... Żal... Przyjaźń... Miłość do słabszych... Nieoczekiwana nadzieja... Szczęśliwy domysł... Smutek... Radość bez powodu... Nagłe zawstydzenie...

Wszystko, wszystko to odtworzy maszyna! Ale nawet całej kuli ziemskiej nie starczy dla takiej maszyny, która ciągle zwiększałaby swoje rozmiary i wagę, mając odtworzyć wszystkie niuanse intelektu i duszy choćby najbardziej przeciętnej, najzwyczajniejszej jednostki ludzkiej.

Hitlerizm zabił dziesiątki milionów ludzi.

52

W leśnej wsi na Uralu, w przestronnym, jasnym i czystym domu, dowódca korpusu pancernego Nowikow i komisarz Gietmanow kończyli przeglądać meldunki dowódców brygad, którzy otrzymali rozkaz wymarszu.

Po bezsennych, wypełnionych pracą dniach nadeszła chwila wytchnienia.

Nowikow i jego podwładni, jak zawsze w podobnych wypadkach, mieli wrażenie, że nie starczyło im czasu, żeby w pełni, jak należy, wykonać program ćwiczeń. Ale skończyła się nauka opanowywania trybu pracy silnika i układu jezdnego, budowy sprzętu artyleryjskiego, przyrządów optycznych i radiotechnicznych; skończyła się nauka kierowania ogniem, oceny, wyboru i rozmieszczenia celów, sposobów strzelania, określania momentu otwarcia ognia, obserwacji wybuchów, wnoszenia poprawek, zmiany celów.

Nowy nauczyciel - wojna - szybko poduczy, podciągnie tych, którzy się opuścili w nauce, uzupełni braki.

Gietmanow sięgnął do szafki stojącej między oknami, postukał w nią palcem i powiedział:

- No, przyjacielu, wychodź na pierwszą linię.

Nowikow otworzył szafkę, wyjął butelkę i nalał koniaku do dwóch grubych niebieskawych szklanek. Komisarz korpusu po chwili namysłu zapytał:

- Kogo najpierw uczymy?

Nowikow wiedział, za kogo należy wypić; właśnie dlatego Gietmanow spytał: „Za kogo?” Nowikow wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Towarzyszu komisarzu korpusu, wypijmy za tych, których razem poprowadzimy do walki, niech za dużo krwi nie przeleją.

- Słusznie, przede wszystkim troska o kadry, które nam powierzono - pochwalił Gietmanow.

- Wypijmy za naszych mołojców!

Trącili się szklankami i wypili. Z pośpiechem, którego nie umiał ukryć, Nowikow napełnił ponownie kieliszki i wznosił kolejny toast:

- Za towarzysza Stalina! Za to, żebyśmy nie zawiedli jego zaufania!

Widział skrywany uśmieszek w uprzejmych, a zarazem uważnych oczach Gietmanowa, po czym, zły na siebie, pomyślał: „Eee, pośpieszyłem się”.

Gietmanow odrzekł dobrodusznie:

- W porządku, za staruszka, za naszego baćkę. Dopłynęliśmy do Wołgi pod jego komendą.

Nowikow popatrzył na komisarza. Cóż tam jednak wyczyta człowiek z tłustej, uśmiechniętej twarzy inteligentnego czterdziestolatka o wystających kościach policzkowych, z przymrużonych, wesołych i złośliwych oczu! Gietmanow zaczął nagle mówić o szefie sztabu korpusu, generale Nieudobnowie.

- To morowy chłop, znakomity. Bolszewik. Prawdziwy stalinowiec. Obkuty w teorii. Ma olbrzymie doświadczenie w kierowaniu ludźmi. Duże wyrobienie. Pamiętam go z trzydziestego siódmego roku. Jeżow przysłał go, żeby zrobił czystkę w okręgu wojskowym, a ja sam, wiecie, też nie żłobkiem wtedy kierowałem... No i wtedy pokazał, co potrafi. Żaden tam dobry wujek, ostry był jak brzytwa, spisywał na straty według listy, nie gorzej od Wasilija Ulricha, zdobył zaufanie Nikołaja Iwanowicza. Trzeba koniecznie go zaraz zaprosić, bo jeszcze się obrazi.

W tym, co mówił, słyszało się ton potępienia walki z wrogami ludu, w której, jak Nowikow wiedział, sam Gietmanow brał udział. I znowu dowódca korpusu patrzył na Gietmanowa i nie mógł go zrozumieć.

- Tak - powiedział wolno i niechętnie. - Ten i ów narobił wtedy szkody.

Gietmanow machnął ręką.

- Przeszedł dziś komunikat ze Sztabu Generalnego, nic dobrego: Niemcy dochodzą do Elbrusu, w Stalingradzie spychają naszych do Wołgi. Powiem wam szczerze: i my mamy w tym swój udział - strzelaliśmy do swoich, wybiliśmy sporo kadry.

Nowikow nagle poczuł przypływ zaufania do Gietmanowa.

- No cóż, ci faceci wykończyli wspaniałych ludzi, towarzyszu komisarzu. Wiele, wiele złego zrobili w wojsku. Na przykład dowódca korpusu Kryworucze na przesłuchaniu wybili zęby, a on wtedy śledczemu rozwalił łeb kałamarzem.

Gietmanow ze współczuciem kiwał głową i dorzucił:

- Ławrientij Pawłowicz bardzo ceni naszego Nieudobnowa. A już Ławrientij Pawłowicz nie myli się co do ludzi - to mądra głowa, oj, mądra.

„Tak, tak” - pomyślał Nowikow, ale nic nie powiedział.

Umilkli, przysłuchując się cichym, syczącym głosem z sąsiedniego pokoju.

- Kłamiesz, to nasze skarpety.

- Jak to wasze, towarzyszu lejtnancie, co wyście - do reszty ocipieli?

I ten sam głos dodał, już przechodząc na „ty”:

- Gdzie kładziesz, nie ruszaj, to nasze kołnierzyki.

- Eee, towarzyszu młodszy politruku, jakie tam one wasze, popatrz!

To adiutant Nowikowa i pomocnik Gietmanowa dzielili po praniu bieliznę swoich przełożonych.

Gietmanow powiedział:

- Ja ich, diabłów, cały czas mam na oku. Na strzelaniach w batalionie Fatowa myśmy szli we dwóch, a oni z tyłu. Przeszedłem po kamieniach przez strumień, a wyście przeskoczyli i tupnęli, żeby strząsnąć błoto z butów. Patrzę, mój pomocnik też idzie po kamieniach, a wasz lejtnant skacze i też tupie.

- Ej, wojacy, ciszej się kłóćcie - upomniał żołnierzy Nowikow i głosy w sąsiedztwie od razu umilkły.

Do pokoju wszedł generał Nieudobnow, blady, z wysokim czołem i gęstymi, mocno posiwiałymi włosami. Spojrzał na kieliszki, butelkę, położył na biurku stosik papierów i spytał Nowikowa:

- Co zrobimy, towarzyszu pułkowniku, z szefem sztabu w drugiej brygadzie? Michałow wróci za półtora miesiąca, dostałem pisemne orzeczenie ze szpitala okręgowego.

- E, jaki tam teraz będzie z niego szef sztabu bez dwunastnicy i kawałka żołądka - rzekł Gietmanow, nalał koniaku do szklanki i podał Nieudobnowowi. - Wypijcie, towarzyszu generale, póki dwunastnica na miejscu.

Nieudobnow uniósł brwi i jasnoszarymi oczami pytająco spojrzął na Nowikowa.

- Proszę, towarzyszu generale, proszę - powiedział Nowikow.

Drażniły go maniery Gietmanowa, który wszędzie czuł się gospodarzem i był święcie przekonany, że ma prawo wygłaszać długie oracje na naradach o sprawach technicznych, na których się kompletnie nie znał. Tak samo właśnie pewny był, że ma prawo częstować gościa cudzym koniakiem, kłaść go do cudzego łóżka, czytać cudze papiery na biurku.

- Chyba tymczasowo mianujemy majora Basangowa - powiedział Nowikow. - To dobry dowódca, uczestniczył w walkach pancernych jeszcze pod Nowogrodem Wołyńskim. Komisarz brygadowy nie ma zastrzeżeń?

- Zastrzeżeń oczywiście nie mam - odrzekł Gietmanow. - Jakie mogę mieć zastrzeżenia? Ale mam swoje zdanie - zastępca dowódcy drugiej brygady, podpułkownik, to Ormianin, szefem sztabu będzie u niego Kałmuk, dodajcie jeszcze szefa sztabu w trzeciej brygadzie - podpułkownik Lifszyc. Może udałoby się obejść bez Kałmuka?

Popatrzył na Nowikowa, potem na Nieudobnowa. Nieudobnow odezwał się:

- Jeśli mam być szczerzy, z życiowego punktu widzenia wszystko to święta prawda, ale przecież marksizm każe nam inaczej podchodzić do sprawy.

- Ważne, jak ten czy inny towarzysz będzie walczył z Niemcami, i to jest mój marksizm - wyraził swoją opinię Nowikow. - A gdzie modlił się jego dziadek, w cerkwi, w meczecie... - zastanowił się i dodał - ...czy. w synagodze, to mnie nie obchodzi... Moje zdanie jest takie: Na wojnie najważniejsza rzecz - to strzelać.

- No właśnie, właśnie - zagadał wesoło Gietmanow. - Po co nam w korpusie

pancernym synagoga czy inna kaplica? Wszyscy przecież bronimy Rosji. - Nagle sposepniał i dodał ze złością: - Powiem szczerze: Dosyć tego! Niedobrze się robi! W imię przyjaźni narodów zawsze poświęca się Rosjan. Ledwie taki alfabet poznał, a my go od razu robimy narkomem. Za to nasz Iwan, choćby wszystkie rozумы zjadł, od razu bierze po łbie, musi ustąpić żółtkowi! Wielki naród rosyjski zmienili w mniejszość narodową. Jestem za przyjaźnią narodów, ale nie za taką. Mam już tego dosyć!

Nowikow chwilę się zastanowił, przerzucił papiery na biurku, postukał palcem w kieliszek i powiedział:

- A ja to niby co, gnębię Rosjan ze szczególnej sympatii do narodu kałmuckiego? - Po czym odwrócił się do Nieudobnowa i rzekł: - No cóż piszemy rozkaz: Mianować majora Sazonowa pełniącym obowiązki szefa sztabu drugiej brygady.

Gietmanow od razu pochwalił:

- Sazonow to bardzo dobry dowódca.

I znowu Nowikow, który nauczył się być władczy, brutalny, szorstki, stwierdził, że przy komisarzu czuje się niepewnie... „Dobra, dobra pomyślał, jakby sam się pocieszał. - Ja tam się na polityce nie znam. Jestem żołnierzem zawodowym pochodzenia proletariackiego. Dużo do roboty nie mam - tylko Niemców tłuc”.

A jednak, choć w duchu pokpiwał z Gietmanowa, który wcale nie znał się na wojsku, przykro mu się zrobiło, gdy uświadomił sobie, że się go boi. Ten człowiek z wielką głową, zmierzwionymi włosami, niewysoki, ale szeroki w barach, z wielkim brzuchem, bardzo ruchliwy, mówiący zawsze głośno i skłonny do żartów, był niesamowicie aktywny. Chociaż w życiu nie powąchał prochu, w brygadach mówiono o nim: "Oj, bojowy ten nasz komisarz!" Lubił urządzać wiece dla żołnierzy. Jego przemówienia się podobały mówił prostym językiem, chętnie żartował, nie pogardził i mocnym słówkiem. Chodził, kołysząc się i zazwyczaj podpierając laską. Jeśli jakiś czołgista zagapił się i nie oddał mu honorów, Gietmanow stawał przed nim, opierał się na swojej sławetnej lasce, zdejmował czapkę i kłaniał mu się nisko jak wiejski dziad. Był wybuchowy i nie znosił żadnych sprzeciwów. Sapał i chmurzył się, gdy ktoś się z nim kłócił, a kiedyś wpadł w taką złość, że zamachnął się i właściwie przyłożył pięścią szefowi sztabu pułku ciężkich czołgów, kapitanowi Gubienkowowi, człowiekowi upartemu i, według zdania kolegów, „okropnie zasadniczemu”. O upartym kapitanie pomocnik Gietmanowa mawiał z przyganą: "do czego to doprowadził, łajdak, naszego komisarza!" Gietmanow nie szanował tych, którzy byli świadkami pierwszych ciężkich dni wojny. Kiedyś powiedział o ulubieńcu Nowikowa, dowódcy pierwszej brygady Makarowie: - Już ja mu wybiję z głowy tę filozofię czterdziestego pierwszego! Nowikow nic nie powiedział, chociaż lubił pogadać z Makarowem o tych strasznych, dziwnie jednak intrygujących pierwszych dniach.

Wydawałoby się, że śmiały w sądach, ostry w języku Gietmanow jest absolutnym przeciwieństwem Nieudobnowa. Ale obu ich, mimo wszystkich różnic, łączyła jakaś trwała wspólnota. W zły humor wprawiały Nowikowa nieokreślone, ale ważne spojrzenia generała, jego okrągłe zdania i nieodmiennie spokojna mowa.

A Gietmanow rozbawiony dowcipkował: - Nasze szczęście, że Niemcy chłopu przez rok obrzydli bardziej niż komuniści przez dwadzieścia pięć lat.

Albo nagle stwierdzał z uśmiechem: - No cóż, nasz tatko lubi, kiedy mówią o nim „genialny”.

Ta śmiałość jednak nie udzielała się rozmówcy, przeciwnie, budziła niepokój. Gietmanow jako gospodarz obwodu przed wojną wygłaszał swoje opinie o produkcji cegły szamotowej i pracy naukowo-badawczej w filii akademii górniczej, o jakości wypieku chleba w piekarni miejskiej i o niestusznej ideowo opowieści *Błękitne światła*, którą opublikował miejscowy almanach, wypowiadał się na temat remontu traktorów, słabego zabezpieczenia towarów w magazynach Obtorgu czy też epidemii kurzej dżumy na fermach drobiu. Teraz z absolutną pewnością siebie mówił o jakości paliwa, o normach zużycia silników, o taktyce walk pancernych, o współdziałaniu piechoty, czołgów i artylerii przy przełamywaniu długotrwałego oporu nieprzyjaciela, o czołgach w marszu, o służbach medycznych podczas bitwy, o szyfrach radiowych, o psychologii bojowej czołgisty, o stosunkach międzyludzkich i koleżeństwie w załogach, o pilnych i kapitalnych remontach, o ewakuacji uszkodzonych maszyn z pola walki.

Kiedyś Nowikow i Gietmanow w batalionie kapitana Fatowa zatrzymali się przy maszynie, która zajęła pierwsze miejsce w strzelaniach korpusu. Dowódca czołgu, odpowiadając na pytania przełożonych, niepostrzeżenie przesunął dłonią po pancerzu. Gietmanow spytał czołgistę, czy zdobycie pierwszego miejsca było dla niego trudne. Pytany zaprzeczył z ożywieniem: Nie, dlaczego trudne? Ja strasznie kocham czołg. Jak tylko przyjechałem ze wsi do szkoły i go zobaczyłem, to tak go pokochałem, że bardziej już nie można.

- To się nazywa miłość od pierwszego wejrzenia - podsumował Gietmanow i zaśmiał się, tak jakby drwił z tej zabawnej miłości chłopaka do maszyny.

Nowikow poczuł w tej chwili, że i on, Nowikow, mógłby zostać wyśmiany, bo przecież i on zdolny jest głupio kochać. Ale o tej głupiej miłości nie miał ochoty rozmawiać z Gietmanowem. Komisarz tymczasem spoważniał i pouczającym tonem zwrócił się do czołgisty: - Brawo, miłość do czołgu to wielka siła. Właśnie dlatego osiągnąłeś sukces, że pokochałeś swoją maszynę.

Wówczas Nowikow dodał z kpina: - A za co ją właściwie kochać? Czołg to duży cel, trafić go łatwo, hałasuje jak wariat, sam się demaskuje, i załoga głupiej od tego huk. W czasie jazdy trzęsie, ani obserwować dobrze nie można, ani wycelować.

Gietmanow uśmiechnął się i popatrzył na Nowikowa. Teraz więc Gietmanow, napełniając kieliszki, tak samo się uśmiechnął, popatrzył na Nowikowa i rzekł: - Marszruta prowadzi przez Kujbyszew. Nasz dowódca kogoś tam pewnie spotka. No to - za spotkanie! "Tego mi tylko brakowało" - pomyślał Nowikow, czując, że gwałtownie, po chłopięcemu się czerwieni.

Generała Nieudobnowa wojna zastała za granicą. Dopiero w 1942 roku, kiedy wrócił do Moskwy, do Narkomana Obrony, zobaczył barykady na Zamoskworieczju, jeże przeciwczołgowe, usłyszał sygnały alarmu powietrznego. Nieudobnow, tak samo jak Gietmanow, nigdy nie pytał Nowikowa o wojnę, może wstydził się swojego nowicjuszostwa. Nowikow ciągle usiłował zrozumieć, za jakie zasługi Nieudobnow został generałem, i przyglądał się życiu szefa sztabu korpusu, odbitemu kartach ankiet jak brzoźka w jeziorze.

Nieudobnow był starszy od Nowikowa i Gietmanowa; jeszcze za cara w 1916

roku, trafił do więzienia za przynależność do kółka bolszewickiego. Po wojnie domowej partia zmobilizowała go na jakiś czas do pracy w OGPU, służył w wojskach pogranicznych, potem wysłano go na studia do akademii, został wtedy sekretarzem organizacji partyjnej na roku... Następnie pracował w wydziale wojskowym KC, w centralnym aparacie Narkomatu Obrony. Przed wojną dwukrotnie wyjeżdżał za granicę. Był pracownikiem nomenklatury, figurował na specjalnej liście; Nowikow dawniej niezbyt dobrze wiedział, co to znaczy, czym się wyróżniają pracownicy nomenklatury, jakie mają przywileje.

Długi zazwyczaj okres między przedstawieniem do awansu a samym awansem Nieudobnow przechodził zadziwiająco szybko; wydawało się, że narkom nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie Nieudobnow zostanie przedstawiony do awansu, bo natychmiast składał podpis. Dane w ankiecie miały dziwną właściwość - wyjaśniały wszystkie tajemnice ludzkiego życia, przyczyny sukcesów i niepowodzeń, ale po chwili, w nowych okolicznościach, okazywało się, że nic nie wyjaśniają, przeciwnie - zaciemniają istotę sprawy.

Wojna po swoim przejrzała wszystkie karty przebiegu służby, życiorysy, opinie, listy pochwalne... Właśnie dlatego nomenklaturowy Nieudobnow został podwładnym pułkownika Nowikowa. Nieudobnow świetnie wiedział, że wraz z końcem wojny skończy się zarazem ta nienormalna sytuacja...

Kiedy przywiózł ze sobą na Ural strzelbę myśliwską, wszyscy amatorzy polowań w korpusie osłupieli, Nowikow zaś powiedział, że na pewno car Nikołka w swoim czasie polował z taką strzelbą. Nieudobnow dostał ją w 1938 roku z jakiegoś przydziału, w taki sam zresztą sposób przydzielono mu daczę, a z magazynów specjalnych meble, dywany i porcelanową zastawę.

Czy rozmawiano o wojnie, czy o sprawach kołchozowych, książce generała Dragomirowa, o narodzie chińskim, o zaletach generała Rokossowskiego, o klimacie Syberii, o jakości materiału, z którego szyje się płaszcze dla żołnierzy, czy wreszcie o wyższości blondynek nad brunetkami - w swoich opiniach nigdy nie wychodził poza standard. Trudno było pojąć, czy wynikało to z jego autentycznych poglądów, czy po prostu z powściągliwości.

Niekiedy, po kolacji, robił się rozmowny i opowiadał historie o zdemaskowanych szkodnikach i dywersantach, którzy działali w najbardziej zaskakujących miejscach: przy produkcji narzędzi lekarskich, w wojskowych warsztatach szewskich, w zakładach cukierniczych, obwodowych pałacach pionierów, w stajniach moskiewskiego hipodromu, w Galerii Tretiakowskiej. Miał znakomitą pamięć i najwyraźniej dużo czytał, studiował dzieła Lenina i Stalina. W czasie sporów zazwyczaj mawiał: „Towarzysz Stalin jeszcze na siedemnastym zjeździe...” - i przytaczał cytaty.

Kiedys Gietmanow powiedział do niego: - Cytat cytatowi nierówny. Mało to się mówi! Czy nam nie mówili: "Cudzej ziemi nie chcemy, swojej ani piędzi nie oddamy". A fryce teraz gdzie?

Nieudobnow wzruszył na to ramionami, jakby Niemcy stojący nad Wołgą nic nie znaczyli wobec zapewnienia, że nie oddamy ani piędzi ziemi.

Nagle jednak wszystko zniknęło - czołgi, regulaminy bojowe, strzelanina, las, Gietmanow, Nieudobnow... Żenia! Czyżby miał ją znowu zobaczyć?



Nowikow zdziwił się, kiedy Gietmanow po przeczytaniu otrzymanego z domu listu powiedział: „Małżonka współczuje nam, opisywałem jej, w jakich warunkach żyjemy”.

Życie, które komisarzowi wydawało się takie ciężkie, Nowikowa onieśmiało swoimi wygodami i przywilejami. Przede wszystkim - sam wybrał sobie dom na kwaterę. Któregoś dnia powiedział, wyjeżdżając do brygady, że nie podoba mu się kanapa. Kiedy wrócił, zamiast kanapy stał fotel z drewnianym oparciem, a adiutant Wierszkow martwił się, czy taki fotel spodoba się dowódcy. Kucharz pytał go: „Jak tam barszcz, towarzyszu pułkowniku, smakuje?” Od dziecięcych lat Nowikow lubił zwierzęta. A teraz miał pod łóżkiem jeża; jeż niczym gospodarz, stukając łapkami, łaził nocą po pokoju, a w klatce z emblematem czołgu, zrobionym przez remontujących sprzęt mechaników, zajadała się orzeszkami młoda wiewiórka ziemna burunduk. Burunduk szybko przyzwyczał się do Nowikowa i niekiedy siadał mu na kolanach, patrząc nań chłopięcym, ufnym i ciekawym wzrokiem. Dbali o niego wszyscy - i adiutant Wierszkow, i kucharz Orlenow, i kierowca willysa Charitonow.

Nowikow nie sądził, żeby to wszystko było tylko dziełem przypadku, mało istotnym drobiazgiem. Kiedy przed wojną przyniósł do domu dowództwa szczeniaka, a ten pogryzł pantofel pani pułkownikowej i zrobił trzy kałuże w ciągu pół godziny, we wspólnej kuchni podniósł się taki raban, że Nowikow musiał od razu pieska oddać.

Nadszedł dzień odjazdu; skomplikowany spór między dowódcą pułku a jego szefem sztabu nadal nie był rozstrzygnięty.

Nadszedł dzień odjazdu, a z nim troska o paliwo, o prowiant na drogę, o kolejność załadunku na pociągi.

Dowódcę zaczęły nurtować myśli o przyszłych sąsiadach, o pułkach piechoty i artylerii, które zostaną dzisiaj przerzucone koleją, myślał też o człowieku, przed którym stanie na baczność i powie: „Towarzyszu generale-pułkowniku, proszę o pozwolenie zameldowania...” Nadszedł dzień odjazdu - nie udało się spotkać z bratem, z bratanicą.

Jechał na Ural, ciesząc się, że brat będzie niedaleko, a okazało się, że brakowało czasu, by go odwiedzić.

Właśnie zameldowano Nowikowowi o ruchach brygad, o platformach dla ciężkich maszyn, o tym, że jeża i burunduka wyprawiono do lasu, na wolność.

Trudno być gospodarzem, odpowiadać za każde głupstwo, sprawdzać każdy drobiazg. Czołgi już wjechały na platformy. Ale czy żołnierze nie zapomnieli włączyć hamulców, czy wrzucili pierwszy bieg, czy umocowali wieże czołgów działem do przodu, czy dobrze zamknięte są pokrywy luków? Czy przygotowano drewniane kloce, żeby unieruchomić czołgi, zabezpieczyć je przed kołysaniem wagonów?

- Ej, warto by pożegnalnego preferansika! - zaproponował Gietmanow.

- Nie mam nic przeciw temu - odezwał się Nieudobnow.

Ale Nowikow chciał wyjść na powietrze, pobyć sam. O tej cichej, przedwieczornej godzinie miało ono niesamowitą przejrzystość; najbardziej skromne i niepozorne przedmioty widać było nadzwyczaj wyraźnie. Dym leciał z kominów, nie

kłębiąc się, strzelał w górę całkiem pionowym słupem. Potrzaskiwały drwa w kuchniach polowych. Na środku ulicy stał czarnobrewy czołgista; młodego człowieka obejmowała dziewczyna, złożyła mu głowę na piersi, zapłakała.

Ze sztabowych pomieszczeń wnoszono skrzynki i walizki, maszyny do pisania w czarnych futerałach. Telefoniści ściągali tyki ciągnące aż do sztabów brygad, a czarne tłuste przewody nawijali na szpule. Stojący za szopami czołg sztabowy sapał, strzelał, dymił, szykując się do jazdy. Kierowcy wlewali paliwo do nowych ciężarowych fordów, ściągali z masek pikowane dery. Reszta świata - zastygła.

Nowikow stał na ganku, rozglądał się dookoła - i cały kłęb krzątający i kłopotów odtoczył się gdzieś daleko od niego.

Pod wieczór wyjechał willysem na drogę prowadzącą do stacji.

Czołgi wyjeżdżały pomiędzy drzew. Ścięta przymrozkami ziemia aż podzwaniała pod ich ciężarem. Wieczne słońce oświetlało wierzchołki dalekiego świerkowego lasu, skąd wyjeżdżała brygada podpułkownika Karpowa. Pułki Makarowa sunęły wśród młodych brzoź. Żołnierze ozdobili pojazdy gałęziami i wydawało się, że świerkowe łapy i liście brzożowe urodziły się razem z pancerzami czołgów, z rykiem silników, zgrzytaniem srebrnych gaśnic.

Wojskowi, widząc jadące na front odwody, mawiają zwykle: „Będzie wesele!” Nowikow zjechał z drogi i patrzył na mijające go maszyny.

Ile dramatów, ile dziwnych, zabawnych historii tu się wydarzyło! Zgłaszano mu najróżniejsze wypadki... Podczas śniadania w batalionie sztabowym ktoś znalazł żabę w zupie... Młodszy lejtnant Roźdiestwieński czyścił automat i przypadkowym strzałem zranił w brzuch kolegę, po czym sam się zastrzelił. Żołnierz piechoty zmotoryzowanej odmówił złożenia przysięgi: „Przysięgać mogę tylko w cerkwi!” Błękitny i szary dymek czepiał się przydrożnych zarośli.

Wiele różnych myśli, uczuć krążyło w głowach pod tymi skórzanymi hełmami. Były wśród nich i te wspólne całemu narodowi - wojenne strapienia, miłość do rodzinnej ziemi, ale była i ta zdumiewająca różnorodność, dzięki której właśnie piękne jest to, co łączy ludzi.

Ach, mój Boże, mój Boże... Iluż ich jest! Tych w czarnych kombinezonach, ściśniętych szerokimi pasami. Dowództwo wybierało chłopaków szerokich w barach, ale niedużego wzrostu, żeby łatwiej im było włączyć do środka, kokosić się w czołgu. Ile jednakowych odpowiedzi w ankietach - na pytania o ojców i matki, o rok urodzenia, o ukończone szkoły i kursy traktorzystów. Zielone, spłaszczone trzydziestki czwórki, wszystkie z jednakowo odrzuconymi pokrywami luków, zlewały się barwą z wszędzie jednakowo przytroczonym do pancerza brezentem.

Jeden z czołgistów śpiewa; drugi, pełen strachu i złych przeczuć, ma oczy półprzymknięte; trzeci myśli o rodzinnym domu; czwarty zajada chleb z kiełbasą i myśli o kiełbasie; piąty otworzył usta i usiłuje zgadnąć, co to za ptak siedzi na drzewie - czy przypadkiem nie dudek; szósty zastanawia się, czy wczoraj nie obraził ordynarnym słowem kolegi; siódmy jest pełen skrytej i niemijającej złości, chciałby wyrzucić kułakiem w gębę swojego wroga - dowódcy trzydziestkiczwórki, jadącej przed nim; ósmy układa w myślach wiersz - pożegnanie z jesiennym lasem; dziewiąty marzy o dziewczęcych piersiach; dziesiąty żałuje psa, który zostanie sam wśród

opustoszałych schronów, pies zrozumiał to, wskoczył na czołg i łąsi się do czołgisty, szybko, żałośnie machając ogonem; jedenasty myśli, jakby to dobrze było uciec do lasu i żyć jak pustelnik w chacie, żywiąc się jagodami, pijąc wodę ze źródła i chodząc boso; dwunasty zastanawia się, czy nie warto by udać chorego i zadekować się gdzieś w szpitalu; trzynasty powtarza bajkę słyszaną w dzieciństwie; czternasty wspomina rozmowę z dziewczyną i nie smuci się, tylko cieszy, że rozłąka będzie trwać wiecznie; piętnasty myśli o przyszłości - nieźle byłoby po wojnie zostać kierownikiem stołówki.

„Oj, chłopcy” - myśli Nowikow.

Oni spoglądają na niego. Na pewno sprawdza, czy wszystko jest zgodnie z regulaminem, wsłuchuje się w silniki, na ucho ocenia, czy kierowca ma doświadczenie, czy nie, obserwuje, czy czołgi i pododdziały zachowują nakazaną odległość, czy jakieś zuchy nie próbują wyprzedzać innych.

A on patrzy na nich i jest taki sam jak oni; to, co jest w nich, jest też w nim: myśli o butelce koniaku, którą Gietmanow sam zadysponował, o tym, jaki trudny człowiek z tego Nieudobnowa, o tym, że już nie zapoluje na Uralu, choć ostatnie polowanie się nie udało - trzask automatów, duże pijaństwo i głupie dowcipy - no i o tym, że zobaczy kobietę, którą kocha od wielu lat... Kiedy przed sześciu laty w Nikolsku Ussuryjskim dowiedział się, że wyszła za męża, napisał raport: „Wyjeżdżam na bezterminowy urlop, załącznik - rewolwer Nagant nr 10322”.

W końcu jednak nie nacisnął na spust...

Nieśmiali, ponurzy, żartownisie, zimnokrwieści, skłonni do zadumy, kobieciarze, niefrasobliwi egoiści, włóczykije, skąpcy, uważni obserwatorzy, poczcivcy... To właśnie oni, idący do walki o wspólną, słuszną sprawę. Ta prawda jest tak prosta, że mówienie o niej wydaje się krępujące. Ale właśnie ci, dla których winna być chyba prawdą podstawową, o niej zapominają.

Gdzieś tutaj tkwi rozwiązanie starego sporu - czy człowiek jest dla szabatu, czy szabat dla człowieka? Także małostkowe są myśli o butach, o porzuconym psiaku, o chacie w zabitej deskami wsi, o nienawiści do kolegi, który odbił dziewczynę...

A więc o co tak naprawdę chodzi? Wspólnotę ludzkich działań uzasadnia w końcu tylko jeden główny cel: wywalczyć dla ludzi prawo do bycia różnymi, odrębnymi jednostkami, żeby mogli po swojemu, każdy inaczej, czuć, myśleć, żyć na tym świecie. Żeby wywalczyć takie prawo, obronić je albo rozszerzyć, ludzie się jednoczą. Wtedy jednak rodzi się straszliwy, ale potężny przesąd, że właśnie owo zjednoczenie - w imię rasy, Boga, partii, państwa - jest nie tylko środkiem, ale i celem życia. Nie, nie, i jeszcze raz nie! W człowieku, w jego skromnej swoistości, w jego prawie do niej tkwi jedyny, prawdziwy i wieczny sens walki o życie.

Nowikow czuł, że osiągną cel, że dadzą radę wrogowi, przechytrzą go i zwyciężą. Ta potęga mądrości, pracowitości, fantazji i wyrachowania, wiedzy fachowej, gniewu, to duchowe bogactwo chłopaków z ludu studentów, uczniów dziesięciolatek, tokarzy, traktorzystów, nauczycieli, elektryków, kierowców - złych, dobrych, śmiałych, dzielnych, ostrożnych, powolnych, kpiarzy, śpiewaków, harmonistów - zjednoczy się, a zjednoczeni - powinni zwyciężyć, tak już są bogaci duchowo.

Jeśli nie jeden, to drugi, jeśli nie w centrum, to na skrzydle, jeśli nie w pierwszej godzinie walki, to w drugiej dopną swego, znajdą sposób na wroga i całą

swoją potęgą złamią go, pokonają... Sukces w walce zależy właśnie od nich, osiągają go w kłębach kurzu i dymu, w chwili, kiedy zdołają skupić się, sformować, pobiec, uderzyć o ułamek sekundy wcześniej, o ułamek centymetra celniej, zacieklej, mocniej niż nieprzyjaciel. Właśnie oni są odpowiedzią na pytanie; chłopcy na czołgach z działami i karabinami maszynowymi to najważniejsza broń w tej wojnie. Problem zaś polega na tym, czy wewnętrzne bogactwo ludzi połączy się, zjednoczy we wspólną siłę.

Nowikow patrzył na nich i patrzył, a tymczasem w jego duszy nasilało się uczucie do kobiety, rosła szczęśliwa pewność: „Ona będzie moja, będzie moja!”

54

Jakież to były niezwykle dni! Krymow miał wrażenie, że księga historii przestała być księgą, przeplotła się z życiem.

Ze zwiększoną siłą chłonał błękit nieba i biel obłoków nad Stalingradem, blask słońca na wodzie. Te wrażenia przypominały mu lata dzieciństwa, kiedy widok pierwszego śniegu, bębnienie letniego deszczu, tęcza napełniały go szczęściem. Z czasem, w miarę tego, jak cud życia na ziemi staje się czymś powszednim, to przedziwne uczucie opuszcza niemal wszystkie żyjące istoty.

Tutaj, w Stalingradzie, nie czuło się niczego, co we współczesnym życiu wydawało się Krymowowi błędem, fałszem. „Tak właśnie było za Lenina” - myślał.

Miał wrażenie, że ludzie tutaj traktują go inaczej, lepiej niż przed wojną. Nie czuł się pasierbem czasu - tak samo jak wtedy, kiedy okrążyli ich Niemcy. Jeszcze niedawno na Zawołżu z zapalem przygotowywał się do pogadank i uważał za naturalne, że kierownictwo polityczne przeniosło go do pracy lektorskiej.

A teraz co chwila ogarniało go ciężkie, przykre uczucie. Dlaczego przestał być komisarzem bojowym? Chyba radził sobie z tym nie gorzej od innych, a nawet lepiej niż wielu...

Ludzie w Stalingradzie dobrze się nawzajem traktowali. Na tym gliniastym, nasiąkniętym krwią zboczcu zapanowały równość i poczucie godności. Niemal wszyscy w Stalingradzie byli ciekawi, co też po wojnie stanie się z kołchozami, jak ułożą swoje wzajemne stosunki wielkie narody i ich rządy. Żołnierskie życie, walka i praca za pomocą łopaty, noża kuchennego, którym obierało się kartofle, albo szewskiego, którym posługiwali się szewcy batalionowi - wydawało się, że wszystko to ma bezpośredni związek z powojennym życiem narodu, z życiem innych narodów i państw.

Niemal wszyscy wierzyli, że dobro zwycięży w wojnie, a uczciwi ludzie, którzy nie szczędzili swojej krwi, potrafią zbudować godne i sprawiedliwe życie. Taką wzruszającą wiarę mieli ci, którzy raczej nie sądzili, by im samym udało się dożyć czasów pokoju, za to każdego dnia dziwili się, że zdołali przetrwać na ziemi od rana do wieczora.

55

Wieczorem, po kolejnej prelekcji, Krymow trafił do schronu podpułkownika Batiuka, dowódcy dywizji dyslokowanej na zboczach kurhanu Mamaja i przy wąwozie Bannym.

Batiuk, człowiek niewielkiego wzrostu, z twarzą zmordowanego walką żołnierza, ucieszył się na widok Krymowa.

Na kolację podano nóżki w galarecie i gorący domowy pieróg. Nalewając Krymowowi wódki, Batiuk, mrużąc oczy, powiedział:

- A ja słyszałem, żeście do nas przyjechali z odczytami, zastanawiałem się tylko, gdzie najpierw pójdziecie - do Rodimcewa czy do mnie. Okazało się, że jednak do Rodimcewa.

Pomruczał trochę i w końcu roześmiał się.

- My tu mieszkamy jak na wsi. Ścichnie strzelanina wieczorem, to zaczynamy wydzwaniać do sąsiadów: co jadłeś na obiad, kto cię odwiedził i kogo ty odwiedzisz, co ci mówiło naczalstwo, kto ma lepszą łaźnię, o kim pisali w gazecie. Piszą nie o nas, tylko ciągle o Rodimcewie; jak się czyta gazety, to można pomyśleć, że w Stalingradzie on jeden walczy.

Batiuk częstował gościa, a sam tylko popijał herbatę, zagryzając chlebem - okazało się, że nie jest smakoszem.

Krymow zorientował się, że spokojne ruchy i ukraińska rozlewność mowy maskują jedynie trudne sprawy, które zamierzał przeanalizować Batiuk. Nikołaja Grigorjewicza zasmuciło, że Batiuk nie zadał mu ani jednego pytania, związanego z prelekcją. Zupełnie jakby nie dotyczyła tego, co naprawdę trapiło Batiuka.

Krymowem wstrząsnęła jego opowieść o pierwszych godzinach wojny. W czasie powszechnego odwrotu Batiuk poprowadził swój pułk na zachód, ku granicy - żeby odbić zajęte przez Niemców przeprawy. Cofające się szosą wysokie dowództwo myślało, że Batiuk zamierza poddać się Niemcom. Od razu na szosie, po przesłuchaniu prowadzącym się do ordynarnych wyzwisk i histerycznych wrzasków, zapadł wyrok: Rozstrzelać. W ostatniej chwili, kiedy już stał pod drzewem, żołnierze odbili swojego dowódcę.

- Tak - powiedział Krymow. - Poważna sprawa, towarzyszu podpułkowniku.

- Serce mi nie pękło - odparł Batiuk - ale od tamtej pory mam przynajmniej jego wadę, tyle udało mi się zyskać.

Krymow spytał trochę niespokojnym tonem:

- Słyszycie strzelaninę w rynku? Co Gorochow teraz robi?

Batiuk popatrzył na niego z ukosa.

- A co on może robić... Pewnie gra w durnia.

Krymow powiedział, że ciekaw jest mającej się odbyć u Batiuka narady strzelców wyborowych i chciałby wziąć w niej udział.

- Pewnie, że to ciekawe, czemu nie miałyby być ciekawe? - zgodził się Batiuk.

Zaczęli rozmawiać o sytuacji na froncie. Batiuka niepokoiła cicha, odbywająca się nocami koncentracja sił niemieckich na odcinku północnym.

Kiedy strzelcy wyborowi zebrali się w schronie dowódcy dywizji, Krymow zorientował się, dla kogo pieczono pieróg.

Na ławkach ustawionych pod ścianą i dookoła stołu siadali ludzie w kufajkach, skrępowani, niezręczni i zarazem pełni godności. Ci, którzy przyszli później, starali się nie robić hałasu, kiedy niczym robotnicy zdający łopaty i siekiery stawiali w kącie swoje automaty i karabiny.

Twarz sławnego strzelca Zajcewa wydawała się piękna w całym swojskim guście: miły, stateczny wiejski chłopak. Dopiero kiedy Wasilij Zajcew odwrócił głowę i zmrużył oczy, można było dostrzec surowe rysy jego twarzy.

Krymow przypomniał sobie przypadkowe wrażenie sprzed wojny: obserwując kiedyś na zebraniu swego dawnego znajomego, nagle całkiem inaczej ujrzał jego twarz, która zawsze wydawała mu się surowa - mrugające oko, opuszczony nos, półotwarte usta i lekko cofnięty podbródek świadczyły o bezwolnym, niezdecydowanym charakterze.

Obok Zajcewa siedzieli możdziejysta Bezdidźko, o wąskich ramionach i piwnych, cały czas roześmianych, oczach, oraz młody Uzbek Sulejman Chalimow, w dziecięcym grymasie wydymający grube wargi. Artylerzysta Macegura ocierał chustką pot z czoła i przypominał ojca licznej rodziny, który nigdy nie miał do czynienia z groźnym rzemiosłem strzelca wyborowego. A reszta strzelców, którzy przyszli do schronu - artylerzysta Szuklin, Tokariew, Manżula, Sołodkij - wyglądali wręcz na nieśmiałych i wstydliwych chłopaków.

Batiuk pochylił głowę i zadawał pytania przybyłym; wydawał się ciekawskim uczniem, a nie jednym z najmądrzejszych i najbardziej doświadczonych dowódców stalingradzkich.

Kiedy zwrócił się do Bezdidźki, w oczach wszystkich siedzących pojawiło się oczekiwanie na jakiś żart.

- No, jak tam diio, Bezdidźko?

- Wczoraj zrobiłem Niemcom węzyk bał, towarzyszu pidpołkownyku, to już słyszeliście, a rano ubyw piatero fryciw, chociaż zużyłem tilky czotyry miny.

- No, ale to nie to co Szuklin, on jednym działem załatwił czternaścieczołgów.

- Dlatego właśnie walił jednym działem, że w baterii tilky jedno zostało.

- Bezdidźko rozbił Niemcom burdel - powiedział przystojny Bułatow i poczerwieniał.

- Ja joho zapysaw jako zwykły schron.

- Tak, schron - zakpił Batiuk. - Dzisiaj pocisk drzwi mi wywalił. - Po czym zwracając się z naganą do Bezdidźki, dodał: - A ja pomyślałem, co za sukinsyn z tego Bezdidźki! Co on robi, czy to ja tak joho nauczyw strilaty?

Wyjątkowo wstydlivy Manżula, celowniczy działa, sięgnął po kawałek pieroga i cicho pochwalił:

- Dobre ciasto, towarzyszu podpułkowniku.

Batiuk postukał nabojem karabinowym o szklanę.

- Dobrze, towarzysze, pomówmy poważnie.

To była narada produkcyjna, taka sama, jakie odbywały się w fabrykach, w obozach polowych. Ale tutaj nie siedzieli tkacze, piekarze czy krawcy, i nie o zbożu, nie o żniwach rozmawiali. Bułatow opowiedział, że widział, jak polem szedł Niemiec z kobietą i jak się obejmowali. Postraszył ich tak, że padli na ziemię, i zanim ich zastrzelił, trzy razy pozwolił im wstać, a potem znowu upaść, wznosząc kulami obłoczki kurzu o parę centymetrów od ich nóg.

- A jego zabiłem, jak stał nad nią, potem leżeli na drodze na krzyż.

Bułatow opowiadał leniwie, opowieść była straszna, taka, jakich się nigdy z żołnierskich ust nie słyszy.

- No, Bułatow, nie gadaj - przerwał mu Zajcew.

- Kiedy prawdę gadam - zapewnił Bułatow, nie rozumiejąc, o co tamtemu chodzi. - Mój rachunek na dzisiaj wynosi siedemdziesięciu ośmiu. Towarzysz komisarz może poświadczyć, że nie kłamię, tu mam jego podpis.

Krymow chciał się wtrącić do rozmowy, powiedzieć, że przecież wśród zabitych przez Bułatowa Niemców mogli być robotnicy, rewolucjoniści, internacjoniści... Trzeba o tym pamiętać, bo inaczej można zostać skrajnym nacjonalistą. Ale się nie odezwał. Na wojnie takie uwagi są szkodliwe, nie uzbrajają, ale rozbrajają.

Sepleniący jasnowłosa Sołodkij opowiadał, jak zabił wczoraj ośmiu Niemców. Potem dodał:

- Ja jestem, znaczy się, humańskim kołchoźnikiem, faszyci narobili strasznych rzeczy w naszej wsi. Ja sam dużo krwi nie straciłem - tylko trzy razy byłem ranny. No więc z kołchoźnika zrobiłem się snajperem.

Ponury Tokariew tłumaczył, jak najlepiej wybrać miejsce przy drodze, którą Niemcy chodzą po wodę i do kuchni, i powiedział między innymi:

- Żona pisze, jak ginęli w niewoli pod Możajskiem; Niemcy zabili mi syna, bo miał na imię Władimir, a po mnie był Władimir Iljicz.

Chalimow rozprawiał z przejęciem:

- Ja nigdy nie śpieszy się, jak serce spokojne, dopiero strzelam. Ja na wojnę przyjechał, mój przyjaciel był sierżant Gurow, ja uczył jego uzbecki, on mnie uczył rosyjski. Jego Niemiec zabił, ja za to dwunastu położył. Oficeru zdjął lornetkę, ubrał sobie na szyję: wasz rozkaz ja wykonał, towarzysz politruk.

Mimo wszystko te barwne opisy dokonań strzelców wyborowych były dosyć wstrząsające. Krymow wyśmiewał zawsze inteligenckich mazgajów, wyśmiewał Jewgienię Nikołajewnę i Sztruma, których przerażały cierpienia rozkułaczonych podczas kolektywizacji. Sam mówił Jewgienii Nikołajewnie o wydarzeniach 1937 roku: „Kiedy likwiduje się wrogów, to nie jest straszne, pies z nimi tańcował; straszne jest, kiedy zabija się swoich”.

Teraz też miał ochotę powiedzieć, że zawsze bez wahania gotów był likwidować gadziny białogwardyjskie, mienszewickie, eserowskie ścierwa, popów i kułactwo, że nigdy nie miał litości dla wrogów rewolucji, ale przecież nie sposób się cieszyć, kiedy oprócz faszystów zabija się niemieckich robotników. Przerażały go więc mimo wszystko relacje strzelców, chociaż ci wiedzieli, po co wykonują tę robotę.

Zajcew zaczął opowiadać o swoim trwającym wiele dni współzawodnictwie z niemieckim strzelcem wyborowym u stóp kurhanu Mamaja. Niemiec wiedział, że Zajcew go obserwuje, i sam obserwował Zajcewa. Obaj mieli mniej więcej równe szanse, więc nie mogli sobie nawzajem dać rady.

- Tego dnia trzech naszych położył trupem, a ja siedzę w niewielkim jarze i jeszcze ani razu nie wystrzeliłem. Wtedy on strzela po raz ostatni, bez pudła, nasz żołnierz pada na bok, rękę ma odrzuconą. Od strony tamtych idzie żołnierz z papierem, a ja siedzę, patrzę... Wiem, że tamten wie, że gdyby tu był strzelec, toby zabił tego z papierem, a tu nic, ten z papierem przeszedł. Ja wiem, że tamten nie widzi tego żołnierza, którego dopiero co zabił, i chciałby go zobaczyć. A tu cisza. Drugi Niemiec przebiegł z wiaderkiem - ja nic, siedzę cicho. Minęło jeszcze kilkanaście minut - zaczyna się ruszać. Wstaje. No to ja też wstałem i już się nie kryję...

Przeżywając raz jeszcze minione wydarzenia, Zajcew wstał od stołu, a ów szczególny wyraz mocy, który przemknął przez jego twarz, teraz zapanował nad nią bez reszty. To już nie był dobroduszny, szerokonosy chłopak - w tych rozdętych nozdrzach, szerokim czole, w oczach pełnych straszliwego, zwycięskiego natchnienia było coś potężnego, lwiego, złowrogiego.

- Zrozumiał - poznał mnie. A ja strzeliłem.

Na moment zrobiło się cicho. Taka cisza z pewnością zapadła po krótkim wystrzale, który rozległ się wczoraj, i zdawało się, że znowu słyhać łoskot padającego ludzkiego ciała. Batiuk nagle odwrócił się do Krymowa i spytał:

- No i jak, ciekawe?

- Nieźle - powiedział Krymow i więcej już nic nie mówił.

Zanocował u Batiuka.

Podpułkownik nalał wody do kieliszka i poruszając ustami, odliczał krople nasercowe. Poziewując, opowiadał Krymowowi o swojej dywizji, nie o walkach, ale o różnych codziennych zdarzeniach. Krymowowi zdawało się, że wszystko, co mówi Batiuk, ma związek z tamtą historią, która zdarzyła mu się w pierwszych godzinach wojny, od niej wychodziły jego myśli.

Od pierwszych chwil w Stalingradzie Nikołaja Grigorjewicza nie opuszczało dziwne uczucie.

Raz wydawało mu się, że trafił do jakiegoś królestwa bezpartyjnych. Drugi raz przeciwnie - że oddycha atmosferą pierwszych dni rewolucji.

Krymow spytał nagle:

- Dawno jesteście w partii, towarzyszu podpułkowniku?

- A co, towarzyszu komisarzu batalionowy, wydaje się wam, że nie trzymam się właściwej linii?

Krymow nie od razu odpowiedział.

Dopiero po jakimś czasie zwierzył się dowódcy dywizji:

- Wiecie, uważają mnie za niezłego mówcę partyjnego, występowałem na wielkich wiecach robotniczych. Tutaj jednak ciągle mam uczucie, że to nie ja prowadzę



innych, ale oni mnie prowadzą. Taka dziwna sprawa. No właśnie, kto się trzyma linii, a kogo linia trzyma. Chciałem wtrącić się do rozmowy waszych strzelców wyborowych. Wnieść pewną poprawkę. A potem pomyślałem - nie ucz ojca dzieci robić... Ale prawdę mówiąc, nie tylko dlatego nic nie mówiłem. Kierownictwo polityczne nakazuje lektorom: Uświadomcie żołnierzom, że Armia Czerwona jest armią mścicieli. A ja tu wyjadę z internacjonalizmem i podejściem klasowym. Przecież najważniejsza rzecz to budzić gniew mas przeciw wrogom! No i wyszedłbym na tego głupka z bajki, co przyszedł na wesele pomodlić się za zmarłego...

Pomyślał i dorzucił:

- Zresztą z reguły w takich wypadkach się nie wtrącam... Partia budzi gniew mas, wściekłość, każe tłuc wroga, zabijać. Chrześcijański humanizm na nic się tu nie zda. A nasz radziecki jest surowy. My się nie patyczkujemy...

Pomyślał i dodał:

- Naturalnie, nie mówię o tym wypadku, kiedy was chcieli rozstrzelać. W trzydziestym siódmym też zdarzało się, że zabijano swoich: to właśnie nasze nieszczęście. A że Niemcy podnieśli rękę na ojczyznę robotników i chłopów... No cóż, wojna to wojna. Mają to, na co zasłużyli.

Krymow czekał, co Batiuk odpowie, ale ten milczał, nie dlatego, że był zakłopotany słowami Krymowa, ale że po prostu już spał.

56

Po wydziale martenowskim fabryki „Czerwony Październik” w półmroku snuli się ludzie w kufajkach; głośnym echem odzywały się strzały, wybuchał szybki płomień, w powietrzu unosił się ni to kurz, ni to mgła.

Dowódca dywizji Gurjew rozmieścił stanowiska dowodzenia pułków w piecach martenowskich. Krymow pomyślał, że ci siedzący w piecach, które niedawno wytapiały stal, są ludźmi wyjątkowymi, ludźmi ze stali. Tu już słyszało się tupot niemieckich butów i nie tylko obce komendy, ale nawet ciche szcęknięcie i pobrzękiwanie - to Niemcy przeładowywali swoje rogate automaty. A kiedy Krymow, chowając głowę w ramiona, wlaźł do pieca, gdzie znajdował się punkt dowodzenia pułku piechoty, i wyczuł dłońmi ciepło, które przez kilka miesięcy nie ostygło, wciąż taito się w ogniotrwałej cegle, ogarnął go jakiś lęk - miał wrażenie, że zaraz odsłoni się przed nim tajemnica wielkiego oporu.

W półmroku dostrzegł siedzącego w kucki człowieka, zobaczył jego szeroką twarz i usłyszał miły głos:

- Oho, mamy gościa w naszej carskiej komnacie, prosimy pięknie sto gramów wódeczki, pieczone jajko na zakąskę.

W dusznym, pełnym kurzu półmroku Nikołajowi Grigorjewiczowi przyszło na myśl, że nigdy nie opowie Jewgienii Nikołajewnie, jak wspominał ją w Stalingradzie, w martenowskiej norze. Kiedyś miał ciągle ochotę odgrodzić się od Żeni, zapomnieć o niej. Ale teraz pogodził się z tym, że chodzi za nim krok w krok. Nie sposób się przed nią schować, wlaźła nawet do pieca, wiedźma. Oczywiście, wszystko okazało się proste jak drut. Komu potrzebni są pasierbowie czasu? Na rentę takiego, na emeryturę, na mydło! Jej odejście potwierdziło, obnażyło całą beznadziejność jego życia - nawet

tutaj, w Stalingradzie, Krymow nie ma porządnego, wojennego zajęcia...

A wieczorem, po odczycie na tym samym wydziale, rozmawiał z generałem Gurjewem. Gurjew siedział bez munduru, co chwila ocierał czerwoną twarz chustką, donośnym, ochrypłym głosem proponował Krymowowi wódkę, tym samym głosem wykrzykiwał do telefonu rozkazy dla dowódców pułków; tym samym ochrypłym głosem ganił kucharza, który nie umiał zgodnie z przepisem upiec szaszłyka, i dzwonił do swojego sąsiada Batiuka, pytając, czy grali w domino na kurhanie Mamaja.

- W sumie to ludzie u nas są w porządku, wesoły narodek - powiedział Gurjew. - Z Batiuka jest mądry facet, generał Żeludiuw w „Traktorach” to mój stary przyjaciel. W „Barykadach” Gurtjew, pułkownik, też porządny człowiek, ale już zanadto świątobliwy, w ogóle nie chce pić wódki. To, oczywiście, nie w porządku.

Potem zaczął wyjaśniać Krymowowi, że nikomu nie zostało tak mało ludzi zdolnych do walki jak jemu; ma po sześciu, po ośmiu w kompanii. Do nikogo nie jest tak trudno przeprowadzić się jak do niego, przecież zdarza się, że z kutrów trzecią część ludzi wynoszą rannych - chyba tylko u Gorochowa na rynku jest tak gorąco.

- Wczoraj Czujkow wezwał mojego szefa sztabu, pułkownika Szubę. Że niby coś mu się nie zgadza z danymi pozycji pierwszej linii. No i Szuba wrócił całkiem wykończony.

Popatrzył na Krymowa i dodał:

- Myślicie, że go ochrzanił? - Roześmiał się. - E tam, ja go codziennie ochrzaniam, jest przyzwyczajony. Zęby mu wybił, cały przód.

- Taaak - rzekł przeciągle Krymow. Miało to oznaczać, że widocznie godność ludzka nie zawsze triumfuje na stalingradzkiej skarpie.

Potem Gurjew zaczął tłumaczyć, dlaczego w gazetach tak źle piszą o wojnie.

- Dekują się, sukinsyny, nic sami nie zobaczą, tylko siedzą za Wołgą, głęboko na tyłach, i smarują. O tym tylko napisze taki gryzipiórek, kto go lepiej ugości obiadem. Lew Tołstoj napisał *Wojnę i pokój*. Od stu lat ludzie go czytają i drugie sto będą czytali. A dlaczego? Bo sam brał udział, sam walczył, to wiedział, o kim trzeba pisać.

- Wybaczcie, towarzyszu generale - rzekł Krymow. - Ale Tołstoj nie brał udziału w wojnie 1812 roku.

- Niby jak to „nie brał udziału”? - spytał generał.

- No właśnie tak, nie brał udziału - powtórzył Krymow. - Tołstoja przecież nie było na świecie, kiedy toczyła się wojna z Napoleonem.

- Nie było na świecie? - spytał znowu Gurjew. - Jak to nie było? No to kto za niego pisał, jeśli nie było go na świecie? Co? Jak myślicie?

Zaczęli się kłócić nie na żarty. To był pierwszy wypadek, żeby po odczycie Krymowa wywiązała się jakaś dyskusja. Ku zdziwieniu Nikołaja Grigorjewicza okazało się, że nie sposób przekonać rozmówcy.

Nazajutrz Krymow wybrał się do fabryki „Barykady”, gdzie stacjonowała syberyjska dywizja piechoty pułkownika Gurtjewa. Z każdym dniem miał coraz więcej wątpliwości, czy jego prelekcje są potrzebne. Niekiedy wydawało mu się, że ludzie słuchają go tylko z uprzejmości, tak jak niewierzący słuchają starego duchownego. Co prawda, cieszyli się z jego odwiedzin, ale rozumiał, że cieszą się po prostu z faktu, że ktoś ich odwiedził, ale już nie z tego, co mówił. Stał się jednym z tych pracowników politycznych, którzy w wojsku wykonują papierkową robotę, pętają się pod nogami i przeszkadzają tym, którzy walczą. Pożytek był wyłącznie z tych politycznych, którzy nie pytali, nie wyjaśniali, nie pisali długich referatów i odczytów, nie agitowali, tylko walczyli.

Przypominał sobie przedwojenne zajęcia na uniwersytecie marksizmu-leninizmu, kiedy i jego, i jego słuchaczy śmiertelnie nudziło wkuwanie niczym katechizmu *Krótkiego kursu historii partii*. Ale w czasie pokoju nuda była usprawiedliwiona, nieuchronna, a tutaj, w Stalingradzie - po prostu stała się bezsensowna, idiotyczna. Po co to wszystko? Krymow spotkał się z Gurtjewem przy wejściu do schronu sztabowego i nie rozpoznał dowódcy dywizji w tym wychudzonym człowieku w kirzowych<sup>16</sup> buciorach, w zbyt obszernym żołnierskim szynelu.

Krymow wygłaszał swój odczyt w obszernym schronie o niskim suficie. Nigdy jeszcze, przez cały czas pobytu w Stalingradzie, nie słyszał takiego ognia artyleryjskiego jak tym razem. Musiał cały czas krzyczeć.

Dowódca dywizji Swirin, człowiek mówiący głośno i wyraźnie, w dodatku sypiący dowcipnymi uwagami, przed rozpoczęciem prelekcji powiedział:

- A czemuż to ograniczać audytorium tylko do starszej kadry dowódczej? No dalej, topografowie, wolni żołnierze kompanii ochrony, telefoniści i łącznicy, którzy nie mają teraz dyżuru - zapraszam na wykład o sytuacji międzynarodowej! Po wykładzie - film. I tańce do samego rana.

Mrugnął do Krymowa, jakby mówił: „No proszę, mamy jeszcze jedną świetną inicjatywę; przyda się do sprawozdawczości i wam, i nam”. Po tym, jak uśmiechnął się Gurtjew, patrząc na hałaśliwego Swirina, i po tym, jak Swirin poprawił szynel narzucony na ramiona Gurtjewa, Krymow zrozumiał ducha przyjaźni, jaki panował w tym schronie. Ale z tego, jak Swirin, zmrúżywszy i tak wąskie oczy, spojrzął na szefa sztabu Sawrasowa, a ten z niechęcią, wręcz ze złością popatrzył na Swirina, Krymow wynioskował, że w schronie panuje nie tylko duch przyjaźni i koleżeństwa.

Dowódca i komisarz dywizji od razu po odczycie zostali pilnie wezwani do dowódcy armii. Krymowowi został do rozmowy tylko Sawrasow. Był to człowiek o najwyraźniej trudnym, wybuchowym charakterze, ambitny i łatwo się obrażający. Miał wiele niedobrych cech - i pychę, i gwałtowność, i drwiący, cyniczny ton, z jakim mówił o ludziach.

Patrząc na Krymowa, Sawrasow wygłosił monolog:

- W Stalingradzie przyjedziesz do dowolnego pułku i od razu wiesz: tutaj

---

<sup>16</sup> kirza (wym: kir-za, z ang. kersey) - imitacja skóry. W kirzowych butach chodzili żołnierze radzieccy; oficerowie mieli buty ze skóry chromowej.

najsilniejszy, najbardziej energiczny jest dowódca! Można być tego pewnym. Tu już nie liczą, ile wujek miał krów. Zważają tylko na jedno - czy ma łeb na karku... Ma? No, to znaczy dobry. Bez żadnej lipy. A w czasie pokoju jak bywało? - Uśmiechnął się swoimi żółtymi oczami Krymowowi prosto w twarz. - Wiecie, ja polityki nie znoszę. Wszystkich tych prawicowców, lewicowców, oportunistów, teoretyków. Nie znoszę nadgorliwców. Ale mnie i bez polityki z dziesięć razy chcieli wykończyć. Dobrze jeszcze, że jestem bezpartyjny. Dzięki temu przykleją mi co najwyżej łątkę moczomordy, innym razem znowu babiarza. Co, mam udawać? Nie potrafię.

Krymow chciał powiedzieć Sawrasowowi, że w Stalingradzie i jego, Krymowa, sytuacja wcale się nie wyjaśnia, że musi się pętać bez porządnej roboty. Dlaczego Wawilow, a nie on, jest komisarzem w dywizji Rodimcewa? Dlaczego Swirinowi partia ufa bardziej niż jemu? Przecież w istocie jest i mądrzejszy, i ma szersze spojrzenie, i większe doświadczenie w pracy partyjnej, i męstwa mu nie brakuje, a jak trzeba, to będzie bezlitosny, nie zadrzy mu ręką... W porównaniu z nim tamci są analfabetami! Wasz czas minął, towarzyszu Krymow, idźcie sobie.

Rozdrażnił, rozjątrzył, rozstroił go ten żółtooki pułkownik.

Zresztą, mój Boże, nad czym tu się zastanawiać... Przecież nawet jego życie osobiste runęło w gruzy, potoczyło się po równi pochyłej... Nie o to chodzi, oczywiście, że Jewgienia dostrzegła jego materialną, życiową niezaradność. Ona wcale na to nie zważa, to czysta dusza. Przestała go kochać! Nikt się nie kocha w ludziach przegranych, pechowcach. Chodzących bez aureoli. Tak, tak, wyleciał z nomenklatury... A zresztą... Może jest i czysta, ale sfera materialna nawet dla niej się liczy. Wszyscy chodzą po ziemi, Jewgienia Nikołajewna także. Przecież nie wyszłaby za biednego malarzynę, choćby jego bohomyzy uznała za genialne...

Z wielu tych myśli Krymow mógłby zwierzyć się żółtoookiemu pułkownikowi, ale zaprotestował tylko przeciwko temu, z czym akurat się w duchu zgadzał:

- No nie, towarzyszu pułkowniku, zanadto upraszczacie sprawę. Przed wojną zważano nie tylko na to, ile wujek miał krów. A dobierać kadr według jednego tylko kryterium: fachowości, też przecież nie można.

Wojna nie pozwoliła dokończyć rozmowy o tym, co było przed wojną. Usłyszeli odgłos solidnego wybuchu; z obłoku kurzu wyłonił się zafrasowany kapitan, odezwał się telefonista, bo dzwonili z pułku. Niemiecki czołg otworzył ogień do ich sztabu, a piechota z automatami, która biegła w ślad za czołgiem, wdarła się do murowanego domu, gdzie przebywali obserwatorzy dywizjonu artylerii ciężkiej; siedzieli na pierwszym piętrze i nawiązali walkę z Niemcami. Pocisk z czołgu podpalił sąsiedni drewniany dom, a silny wiatr od Wołgi niósł płomień w stronę sztabu Czarnowa, gdzie wszyscy zaczęli się dusić. Dowódca postanowił więc przenieść stanowisko dowodzenia, ale trudno było przenosić się w biały dzień, pod ostrzałem artyleryjskim, wśród serii cekaemów trzymających Czarnowa w szachu. Wszystko to zdarzyło się na odcinku obrony dywizji niemal w tym samym czasie. Jedni prosili o radę, drudzy - o wsparcie artyleryjskie, inni o pozwolenie wycofania się; ci chcieli przekazać informację, a tamci - otrzymać ją. Każdy miał swoją własną sprawę, a wszystkich łączyła jedna wspólna - że chodzi o życie lub śmierć.

Kiedy trochę ucichło, Sawrasow spytał Krymowa:

- A nie zjedlibyśmy obiadku, towarzyszu komisarzu batalionowy, zanim naczelstwo nie wróci ze sztabu armii?

Nie podporządkował się regule wprowadzonej przez dowódcę i komisarza dywizji: nie wyrzekł się wódki. Dlatego wolał jeść obiad osobno.

- Gurtjew to dobry żołnierz - rzekł Sawrasow, kiedy sobie trochę podpił. - Wykształcony, uczciwy. Niestety tylko, że straszny asceta! Zaprowadził tu klasztorne obyczaje. Ja na dziewczuchy mam wilczy apetyt, chętny jestem do tych rzeczy jak nikt. A przy Gurtjewie nie daj Boże jaki dowcip opowiedzieć. Ale w ogóle dobrze się z nim wojuje. Za to komisarz mnie nie lubi, chociaż w gruncie rzeczy taki sam z niego mnich, jak ze mnie. Myślicie, że w Stalingradzie się postarzałem? Może koledzy, bo ja, przeciwnie, mam się lepiej.

- No cóż, ja też jestem z tej komisarzkiej rasy - rzekł Krymow.

Sawrasow pokręcił głową.

- Z tej, nie z tej. Nie o wódkę tu chodzi, tylko o to. - Postukał palcem w butelkę, a potem w czoło.

Już kończyli obiad, kiedy od Czujkowa wrócili dowódca i komisarz dywizji.

- Co nowego się zdarzyło? - spytał szybko i surowo Gurtjew, spojrzawszy na stół.

- Szef łączności został ranny, Niemcy uwijali się na styku z Żeludiuem, podpalili dom na styku Czarnowa i Michałowa. Czarnow nałykał się dymu, nakichał, ale w sumie nic groźnego - objaśnił Sawrasow.

Swirin, patrząc na jego poczerwieniałą twarz, uprzejmie, ale z naciskiem powiedział:

- Widzę, że ciągle wódeczkę, towarzyszu pułkowniku, pijemy.

58

Dowódca dywizji zapytał dowódcę pułku, majora Bieriozkina, o sytuację domu „sześć przez jeden” - czy nie lepiej zabrać stamtąd ludzi? Bieriozkin radził dowódcy dywizji nie zabierać ludzi, chociaż domowi groziło okrążenie. Znajdują się tam punkty obserwacyjne artylerii zawołżańskiej, przekazujące ważne dane o nieprzyjacielu, a także pododdział saperów, który może paraliżować ataki czołgów niemieckich na kierunkach szczególnie niebezpiecznych. Niemcy na pewno nie zainicjują ogólnego natarcia, dopóki nie zlikwidują tego punktu oporu, ich zasada jest dobrze znana. A przy pewnym wsparciu dom „sześć przez jeden” utrzyma się długo, i to pokrzyżuje Niemcom szyki. Ponieważ łącznicy mogą dostać się do oblężonego budynku tylko w niektórych godzinach nocnych, a linie telefoniczne co chwila są uszkodzane, dobrze byłoby przetrzasnąć tam radiotelegrafistę z aparatem.

Dowódca dywizji zgodził się z Bieriozkinem. W nocy politruk Soszkin z grupą czerwonoarmistów zdołał dotrzeć do domu „sześć przez jeden” i dostarczyć jego obrońcom kilka skrzynek z amunicją i ręcznymi granatami. Soszkin wziął też ze sobą dziewczynę, radiotelegrafistkę, i nadajnik z węzła łączności.

Nad ranem politruk wrócił i powiedział, że dowódca oddziału odmówił złożenia

meldunku na piśmie. Oświadczył:

- Nie mam czasu zajmować się papierkami, my meldunki składamy frycom.

- W ogóle trudno się połapać, co się tam u nich dzieje - powiedział Soszkin. - Wszyscy boją się tego Griekowa, a on z nimi jak równy; leżą pokotem, a on razem z nimi, mówią mu „ty” albo „Wania”. Wybaczcie, towarzyszu dowódcu pułku, ale to nie pododdział wojska, tylko jakaś komuna paryska.

Bieriozkin, kręcąc głową, spytał:

- Meldunku nie chce złożyć? Taki z niego chłopak roztropek?

Potem komisarz pułku Piwowarow wygłosił mowę o dowódcach bawiących się w partyzantkę.

Bieriozkin usiłował go mitygować:

- JIaka tam partyzantka... Po prostu inicjatywa, samodzielność. Sam czasem marzę, żeby się tak dostać w okrażenie, odpocząłbym przynajmniej od tej całej pisaniny.

- Co się tyczy pisaniny - rzekł Piwowarow - to napiszcie o tym szczegółowy raport, przekażę go komisarzowi dywizji.

W dywizji raport Soszkina potraktowano całkiem poważnie. Komisarz dywizji polecił, żeby Piwowarow zebrał szczegółowe informacje o tym, co się dzieje w domu „sześć przez jeden”, i przywołał Griekowa do porządku. Sam zaś od razu zgłosił ten przypadek niesubordynacji moralno-politycznej członkowi rady wojennej i szefowi wydziału politycznego armii.

W armii informacje politruka potraktowano jeszcze poważniej niż w dywizji. Komisarz dywizji otrzymał rozkaz, żeby nie odkładając sprawy na później, zająć się otoczonym domem. Szef wydziału politycznego armii, komisarz brygadowy, napisał pilny raport do szefa wydziału politycznego frontu, komisarza dywizyjnego.

Radiotelegrafistka Katia Wiengrow przyszła do domu „sześć przez jeden” w nocy. Rano zameldowała się komendantowi Griekowowi, ten zaś, odbierając meldunek od przygarbionej dziewczyny, wpatrywał się w jej oczy, przerażone, a zarazem drwiące. Usta miała duże, wargi - blade. Griekow odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział na jej prośbę: „Proszę o pozwolenie odejścia”. Przez te sekundy w jego gospodarskiej głowie pojawiły się myśli, które nie miały żadnego związku z wojskiem: „Oj, ładniutka, jak Boga kocham... Nogi ładne... Boi się... Widać, że córeczka mamusi. Ile też może mieć, najwyżej osiemnaście. Żeby moi chłopcy nie zaczęli się z nią gzić...” Wszystkie te myśli, które przeleciały przez głowę Griekowa, niespodziewanie utknęły na takiej: „Kto tu jest gospodarzem, kto Niemców doprowadza do szału, co?” Potem dopiero się odezwał:

- A dokąd chcesz iść? Zostań, dziewczyno, przy swoim aparacie. Coś tam wymyślimy.

Postukał palcem w nadajnik, zerknął na niebo, gdzie wyły niemieckie bombowce.

- Z Moskwy jesteś? - spytał.

- Tak - odpowiedziała.

- Siadaj, u nas tu wszystko zwyczajnie, jak na wsi.

Radiotelegrafistka odsunęła się na bok, pod jej butami chrzęściła tłuczona cegła; słońce lśniło na lufach kaemów, na czarnym ciele zdobycznego pistoletu Griekowa. Dziewczyna przysiadła, patrzyła na szynele zwalone na kupę pod zburzoną ścianą. I na chwilę zdziwiła się, że w tym obrazie nic już dla niej nie ma dziwnego. Wiedziała, że kaemy wyzierające przez wyrwy w murze są systemu Diegtiariewa, wiedziała, że w magazynku zdobycznego waltera tkwi osiem nabojów, że walter bije mocno, ale źle się z niego celuje, wiedziała, że szynele zwalone w kącie zostały po zabitych i że zabici pochowani są niezbyt głęboko - zapach spalenizny mieszał się z innym zapachem, do którego zdążyła już przywyknąć. A nadajnik radiowy, który dostała w nocy, przypominał ten, z którym pracowała pod Kotłubaniem - ta sama skala odbioru, ten sam przełącznik. Przypomniała sobie, jak w stepie, patrząc w zakurzone szkło na amperomierzu, poprawiała włosy, które wyjrzały spod furazerki.

Nikt się nią nie interesował; wydawało się, że szalone, straszne życie domu toczy się obok niej. Ale kiedy siwy żołnierz - z jego rozmowy z dowódcą wynikało, że z obsługi moździerza - zaklął brzydko, Griekow ofuknął go:

- Co jest, ojciec? Mamy tu dziewczynę. Trzeba trochę uważać.

Poczuła, że chociaż jej nie zagadują, są poruszeni jej przybyciem. Wydawało się, że skórą wyczuwa napięcie, które wokół niej powstało. Nie znikło nawet wtedy, gdy zawyły bombowce nurkujące, bomby zaczęły rozrywać się całkiem blisko i zastukały odłamki cegieł. Przyzwyczaiła się trochę do bombardowań, do świstu odłamków, więc nie traciła całkiem głowy. Za to wciąż, jak dawniej, była zakłopotana, czując na sobie ciężkie, uważne męskie spojrzenia.

Poprzedniego dnia koleżanki z łączności załamywały nad nią ręce.

- Oj, marny los cię tam czeka!

Nocą goniec przyprowadził ją do sztabu pułku, gdzie już wyraźnie czuło się bliskość nieprzyjaciela, kruchość życia. Ludzie wydawali się jacyś nietrwali - są, a za chwilę ich nie ma.

Dowódca pułku w poczuciu winy pokręcił głową i powiedział:

- Jak można takie dzieci posyłać na wojnę!

Potem dodał:

- Kochana, niech się pani nie boi, jak coś będzie nie tak, proszę przekazać przez radio.

Powiedział to takim dobrotliwym, łagodnym tonem, że Katia z trudem powstrzymała łzy.

Później następny goniec zaprowadził ją do sztabu batalionu. Tam grał patefon, a rudy dowódca zaproponował Kati, żeby się napiła i zatańczyła z nim przy wtórze płyty *Chińska serenada*. W batalionie było po prostu okropnie, Katia zaś miała wrażenie, że dowódca wypił nie dla poprawienia nastroju, ale żeby zagłuszyć nieznośny strach, zapomnieć o tej swojej szklanej kruchości.

A teraz siedziała na kupie cegieł w domu „sześć przez jeden” i jakoś nie czuła strachu, myślała o swoim baśniowo pięknym życiu przed wojną. Ludzie w obłożonym domu byli pewni siebie, silni, i ta ich pewność uspokajała. Taką pewność mają w sobie wybitni lekarze, zasłużeni robotnicy w walcowniach, krojczowie tnący cenne sukno, strażacy, starzy nauczyciele, wyjaśniający coś przy tablicy.

Przed wojną Kati wydawało się, że będzie miała nieszczęśliwe życie. Przed wojną patrzyła na przyjaciółki i znajomych, jeżdżących autobusami, jak na utracjuszy. Ludzie wychodzący z kiepskich restauracji wydawali jej się nadzwyczajnymi istotami; niekiedy nawet szła w ślad za takim towarzystwem, które wysypywało się z „Darjału” albo „Tereku”, i przysłuchiwała się ich rozmowom. Kiedy wracała ze szkoły do domu, triumfalnie obwieszczała matce:

- Wiesz, co mi się dzisiaj zdarzyło? Jedna dziewczyna poczęstowała mnie wodą sodową z syropem owocowym; woda pachniała prawdziwą czarną porzeczką!

Niełatwo żyło im się za pieniądze, które zostawały matce z czterysturublowej pensji po odliczeniu podatku, składek na rozwój kultury, a także pożyczki państwowej. Nie kupowały nowych rzeczy, reperowały stare. Nie składały się na opłatę dla dozorczyń Marusi, która sprzątała wspólnie użytkowane w mieszkaniu miejsca. A kiedy przychodziła ich kolej sprzątnięcia, Katia myła podłogi, wynosiła wiadro ze śmieciami. Mleko brały nie od mleczarek, ale kupowały je w sklepie, gdzie były olbrzymie kolejki, pozwalało to jednak zaoszczędzić sześć rubli miesięcznie; a kiedy w sklepie zabrakło mleka, matka Kati chodziła wieczorem na bazar - tam mleczarki, śpiesząc się na pociąg, sprzedawały je taniej niż rano, tak że wychodziło prawie tak samo jak za państwową cenę. Autobusem nigdy nie jeździły, bo to było dla nich za drogo, a tramwajem tylko wtedy, gdy trzeba było jechać daleko. Katia nie chodziła do fryzjera, mama skracala jej włosy. Prały oczywiście same, żarówkę świeciły słabą, trochę tylko jaśniejszą od tej, które wkręcano w miejscach publicznych. Obiad gotowały na trzy dni. Składał się on czasem z kaszy z olejem. Katia zjadła kiedyś trzy talerze zupy i powiedziała: „No, dzisiaj mamy obiad z trzech dań”.

Matka nie wspominała czasów, gdy mieszkały razem z ojcem, a Katia już tego nie pamiętała. Tylko niekiedy Wiera Dmitrijewna, przyjaciółka mamy, mówiła, patrząc, jak one obie szykują obiad: „Tak, i z nas były kiedyś konie wyścigowe”. Ale mama się złościła, więc Wiera Dmitrijewna nie rozwodziła się nad czasami, kiedy Katia i jej matka były koźmi wyścigowymi.

Kiedyś Katia znalazła w szafie zdjęcie ojca. Po raz pierwszy zobaczyła jego twarz na fotografii i od razu, jakby jej ktoś podpowiedział, wiedziała, że to ojciec. Na odwrocie była dedykacja: „Dla Lidy. Jestem z rodu biednych Azrów - pokochawszy, umieramy w milczeniu”. Nic nie powiedziała matce, ale kiedy wracała ze szkoły, długo wpatrywała się w ciemne oczy ojca, które wydawały jej się smutne.

Kiedyś spytała: - Gdzie jest teraz tato? Mama odpowiedziała: - Nie wiem.

Kiedy jednak Katia miała iść do wojska, matka po raz pierwszy porozmawiała z nią o ojcu, a wtedy ona dowiedziała się, że został aresztowany w 1937 roku, i poznała historię jego drugiego małżeństwa.

Całą noc nie spały, rozmawiały. Wszystko się zmieszało - matka, zazwyczaj powściągliwa, rozmawiała z córką o tym, jak porzucił ją mąż, mówiła o swojej



zazdrości, poniżeniu, krzywdzie, miłości, litości. Katia była zupełnie zaskoczona - świat duszy ludzkiej okazał się tak olbrzymi, że nawet wojna, która właśnie wybuchła, musiała przed nim ustąpić. A rano się pożegnały. Matka przytuliła głowę córki; tobolek z rzeczami ciążył Kati na ramionach. Dziewczyna powiedziała: „Mamusiu, jestem z rodu biednych Azrów, pokochawszy, umieramy w milczeniu...”.

Potem matka leciutko pchnęła ją w ramię: - Cóż, Katiu, idź.

No i Katia poszła, jak poszło wtedy miliony ludzi, młodych i starych, opuściła dom matki, żeby może nigdy do niego nie wrócić, a gdyby wróciła, to już inna, na zawsze rozłączona z czasem swego trudnego i miłego dzieciństwa.

Teraz siedzi obok stalingradzkiego gospodarza domu „sześć przez jeden”, Griekowa, patrzy na jego wielką głowę, na jego ponurą facjatę z wielkimi ustami.

59

Pierwszego dnia działały połączenia telefoniczne.

Długa bezczynność pospołu z izolacją od życia domu „sześć przez jeden” sprawiły, że radiotelegrafistce zrobiło się strasznie smutno.

Ale i ten pierwszy dzień zrobił wiele dla zbliżenia jej z życiem, które ją czekało.

Dowiedziała się, że w ruinach pierwszego piętra siedzą obserwatorzy artylerijscy, przekazujący dane na Zawołże, że starszym na piętrze jest lejtnant w brudnej bluzie, ze stale spadającymi z perkatego nosa okularami.

Zrozumiała, że wiecznie świntuszający starszy żołnierz dostał się tu z pospolitego ruszenia i dumny jest ze stanowiska dowódcy obsługi moździerza. Między wysokim murem a kupą potłuczonych cegieł kwaterowali saperzy, rządził tam gruby człowiek, który chodził, postępując i krzywiąc się, jakby miał nagniotki.

Obsługą jedynej w domu działa dowodził łysy mężczyzna w marynarskiej koszulce. Nazywał się Kołomiejcew. Katia słyszała, jak Griekow krzyknął: - Ej, Kołomiejcew, znowu taki cel przespałeś!

Piechotą i cekaemami dowodził młodszy lejtnant z jasną brodą. Wyglądał z nią bardzo młodo, chociaż uważał pewnie, że broda nadaje mu wygląd starszego, niż jest, trzydziestolatka.

W dzień dano jej jeść, najadła się chleba i baraniej kiełbasy. Potem przypomniała sobie, że w kieszeni bluzy ma cukierek, i niepostrzeżenie wsunęła go do ust. Po jedzeniu zachciało jej się spać, mimo całkiem bliskiej strzelaniny. Zasnęła, a przez sen nadal ssała cukierek, nadal dręczyła się, smuciła, oczekiwała nieszczęścia. Nagle do jej uszu doleciał przeciągły głos. Nie otwierając oczu, wsłuchiwała się w słowa:

Ale jak wino - smutek dawnych dni

Im starszy jest, tym mocniej szumi w krwi...<sup>17</sup>

W kamiennej studni, oświetlonej bursztynowym wieczornym blaskiem niby latarnią gazową, stał rozczochrany, brudny chłopak i trzymał przed sobą książkę. Na

---

<sup>17</sup> Przełożył Julian Tuwim.

czerwonych cegłach siedziało jakichś pięciu czy sześciu ludzi. Griekow leżał na szynelu, podparł podbródek pięściami. A chłopak, podobny do Gruzina, słuchał z niedowierzaniem, jakby mówił: „Nie, daj spokój, nie kupisz mnie takimi głupstwami”.

Niedaleki wybuch wzniosł obłok pyłu ceglanego i wydawało się, że zakłębiła się baśniowa mgła; ludzie na krwawych stertach cegieł i ich broń w czerwonym tumanie wyglądali teraz jak w ów groźny dzień, o którym opowiada *Słowo o wyprawie Igora*. Niespodziewanie serce dziewczyny zadrżało, owładnięte bezsensowną pewnością czekającego ją szczęścia.

Dzień drugi. Tego dnia zaszło coś, co zaniepokoiło lokatorów domu „sześć przez jeden”, którzy, zdawałoby się, przywykli już do wszystkiego.

Na piętrze odpowiedzialnym najemcą był lejtnant Batrakov. Miał przy sobie rachmistrza i obserwatora. Katia widywała ich po kilka razy dziennie - markotnego Łampasowa, zmyślnego i prostodusznego zarazem Buńczuka, cały czas uśmiechającego się do siebie lejtnanta w okularach.

W chwilach ciszy na górze, przez szczelinę w suficie, słychać było ich głosy.

Lampasow przed wojną miał do czynienia z hodowlą kur, rozmawiał z Buńczukiem o mądrości i wiarołomnych kurzych zwyczajach. Buńczuk, przypadłszy do lornety nożycowej, przeciągle, śpiewnie meldował: "Ośbaczu-z Kałaczejdekolumna samochodowa jryciw... jadą średnie czołgi... Teraz działa, do batalionu... U trzech misciach, jak i wczora, kuchni dymiat', jduť frycy s kotełkami..." Niektóre jego obserwacje nie miały znaczenia strategicznego i były ciekawe tylko z życiowego punktu widzenia. Wtedy relacjonował, przeciągając wyrazy: „Oś baczu... jryewskij komandyr hulaje z pieskiem, piesek wacha słupek, pewnie chce się wysikać, tak wono i je, to chyba suczka, oficer stojit' i czeka; dwie dziewczyny, z miasta, hałakajut' s frycewskimy żowniramy, smijufsia, żownir wyjmuje syharety, jidna diwczyna berę, puskaje dym, druha kręc; głową, pewnie mówi: ja niepałaca..." I nagle Buńczuk ciągle takim samym śpiewnym głosem melduje: - Oś baczu.. na placu ustawia się piechota... Stoi orkestr... Na samoj seredyni jakaś trybuna... Nie, to drwa, poukładane... - Potem na długo zamilkł. A potem rozpaczliwym głosem, ale ciągle jeszcze przeciągając słowa, powiedział: - Oj, baczu, towarzyszu lejtnante, prowadzą kobietę w koszuli, wona szczoś krzyczy... Orkestr hraje... Tę kobietę przywiązują do słupa, oj, baczu, towarzyszu lejtenante, koło nej chłopczyk... Ijohopry wiazujut'... Towaryszu lejtenante, żebym tego na oczy nie oglądał, dwa fryca, Ijuf benzyn z kanistrów...

Batrakov przekazał o zdarzeniu przez telefon na Zawołże. Przypadł do lornety i swoją kałuską manierą, naśladując głos Buńczuka, zawołał: - Oj, baczu, chłopaki, wszystko w dymie, i orkiestra gra... Ognia! ryknął strasznym głosem i odwrócił się w stronę Zawołża.

Ale Zawołże milczało...

Po kilku minutach miejsce kaźni zostało pokryte skoncentrowanym ogniem ciężkiej artylerii. Plac zasłoniły tumany dymu i kurzu.

Kilka godzin później zwiadowca Klimowa powiadomił, że Niemcy zamierzali spalić Cygankę i małego Cygana, podejrzanych o szpiegostwo. Poprzedniego dnia Klimow zostawił starej Cygance, mieszkającej w piwnicy z wnuczką i z kozą, trochę brudnej bielizny, onuce i obiecał przyjść nazajutrz po upraną bieliznę. Chciał się

dowiedzieć od starej o Cygankę i Cyganiątko - czy zginęli od radzieckich pocisków, czy też spłonęli w niemieckim ogniu. Przeczłogał się więc wśród ruin sobie tylko znanymi ścieżkami, ale tam gdzie była ziemianka, radziecki bombowiec zrzucił w nocy ciężką bombę. Nie było więc ani babci, ani wnuczki, ani kozy, ani nawet koszuli i gaci, które zostawił. Między rozwalonymi balami i kawałami tynku znalazł tylko brudnego kotka. Kotek niczym się nie wyróżniał, o nic nie prosił i na nic się nie skarżył; sądził widocznie, że ten huk, głód i ogień to właśnie jest życie na ziemi.

Klimow sam nie wiedział, czemu wsunął kotka do kieszeni.

Katię dziwiły stosunki w domu „sześć przez jeden”. Zwiadowca Klimow meldował Griekowowi niezgodnie z regulaminem - wprowadził stał, ale potem usiadł koło dowódcy i rozmawiali jak dwaj koledzy. Odpalili papierosa od papierosa Griekowa.

Klimow skończył opowiadać, podszedł do Kati i powiedział: Oi dziewczyno, jakie straszne rzeczy zdarzają się na świecie.

Westchnęła i poczerwieniała, czując na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Klimow wyjął kotka z kieszeni i położył go na cegle koło Kati.

Tego dnia z dziesięciu ludzi podchodziło do niej, zaczynało rozmowę na temat kotka, ale nikt nie mówił o zdarzeniu z Cyganką, chociaż wstrząsnęło wszystkimi.

Ci, którzy chcieli wieść z Katią czułe, szczere rozmowy, odzywali się do niej ordynarnie, pokpiwali sobie. Ci, którzy najprościej w świecie mieli ochotę się z nią przespać, robili ceremonie, przemawiali z obłudnym szacunkiem.

Kotek dostał trzęsączki, drżał całym ciałem, widocznie jednak był kontuzjowany.

Stary z obsługi moździerza skrzywił się i powiedział: - Zatłuc go i już. - Po czym od razu dodał: - Mogłabyś go wyiskać.

Drugi moździerzysta, ładny, smagły ochotnik Czencow, poradził jej: - Niech pani przegoni tę paskudę. Żeby chociaż był syberyjski...

Tylko saper Lachow, ponury, o wąskich wargach i zaciętej twarzy, naprawdę zainteresował się kotkiem i nie zwracał uwagi na uroki radiotelegrafistki.

- Kiedyśmy stali w stepie - zagadnął - to raz jak coś na mnie nie skoczy... Myślę: zabłąkany pocisk, już po mnie... A to był zajac. Do wieczora ze mną siedział, a jak się uspokoiło - uciekł.

Dodał jeszcze: - Pani, chociaż dziewczyna, a jednak wie - to tamci biją ze stoosiemdziesiątki, to ich waniusza się odzywa, ich zwiadowca lata nad Wołgą. A zajac głupi, nic nie rozumie. Moździerza nie odróżni od haubicy. Niemiec strzela raketami, a jego trzęsie, bo jak mu wytłumaczyć? No i żal zwierzaka.

Katia czuła, że rozmówca mówi poważnie, odpowiedziała więc tak samo serio: - Niezupełnie się zgadzam. Psy na przykład rozróżniają samoloty. kiedyśmy stali we wsi, był tam pies Kerzon, podwórzowy; kiedy leciały wasze ity, leżał i nawet głowy nie podniósł. A niech tylko zawyje junkers, Kerzon myk do dziury. Od razu wiedział, kto jest kto.

Powietrze zadrżało od wstrętного, rozdzierającego skrzypienia - zaczął bić sześciolufowy niemiecki moździerz, zwany przez Rosjan waniuszą. Zagrał żelazny

bęben, czarny dym mieszał się z krwawym pyłem ceglany, z łoskotem posypały się kamienie. A po chwili, gdy kurz zaczął opadać, radiotelegrafistka i Lachow wrócili do przerwanej rozmowy, tak jakby to nie oni padli na ziemię. Widocznie Katia zaraziła się pewnością siebie bijącą od ludzi w otoczonym domu. Zupełnie jakby byli przekonani, że w rozwalonym budynku wszystko jest kruche, żelazo, kamień - tylko nie oni.

Koło szczeliny, w której siedzieli, z wyciem i gwizdem przeleciała seria z cekaemu, po niej druga.

Lachow powiedział: - Wiosną staliśmy pod Swiatogorskiem. Nagle zaświstało nam nad głowami, ale nie słysząc, żeby ktoś strzelał. Co się dzieje, nie wiadomo. A to szpaki nauczyły się naśladować gwizd kul... Tak zagwizdały, że nawet dowódca, starszy lejtnant, zarządził alarm.

- W domu wyobrażałam sobie, że wojna wygląda tak: dzieci krzyczą, wszystko płonie, koty biegają. Przyjechałam do Stalingradu - i tak tu właśnie jest.

Wkrótce do Kati podszedł brodaty Zubariow.

- No jak? - spytał życzliwie. - Żyje obywatel ogoniasty? - I uniósł kawałek onucy, przykrywający kotka. - Oj, jaki biedny, jaki słaby - mówił, a oczy błyszczały mu bezczelnie.

Wieczorem po krótkiej walce Niemcom udało się podejść trochę bliżej skrzydła domu „sześć przez jeden” i pokryć ogniem z kaemów drogę między nim a obroną radziecką. Łączność kablowa ze sztabem pułku piechoty została przerwana. Griekow kazał przebić przejście z piwnicy do podziemnego tunelu fabrycznego, biegnącego nieopodal domu.

- Materiał wybuchowy jest - zapewnił Griekowa postawny starszyna Ancyfierow, trzymając w jednej ręce kubek z herbatą, w drugiej kawałek cukru. Mieszkańcy domu rozsiedli się w dole pod ścianą nośną i rozmawiali. Egzekucja Cyganki poruszyła wszystkich, ale tak jak przedtem, nikt nie poruszał tego tematu. Wydawało się, że ludzie nie przejmują się oblężeniem.

Katia dziwiła się temu spokojowi, który jednak i jej się udzielał; tak więc najstraszniejsze ze słów: „okrażenie”, nie było dla niej straszne, miała wsparcie pewnych siebie mieszkańców domu. Nie było straszne nawet wtedy, gdy całkiem blisko zaterkotał cekaem i Griekow krzychał: — Bij, bij, bo nadchodzą.

Nie czuła strachu, gdy dowódca mówił: - Macie do wyboru - granat, nóż, saperkę. Nie będę was uczył, proszę o jedno: walczcie, czym kto woli.

W momentach ciszy mieszkańcy domu gruntownie i bez pośpiechu omawiali wygląd radiotelegrafistki. Batrakow, który, jak się zdawało, był przybyszem nie z tego świata, a w dodatku krótkowidzem, wykazał się znajomością urody Kati pod każdym względem.

- U pań dla mnie podstawa to biust - oświadczył.

Spierał się z nim artylerzysta Kołomiejcew; ten, jak to określał Zubariow, wykladał kawę na ławę.

- A zaczęliście rozmowę o kocie? - spytał Zubariow.

- A jakże - przytaknął Batrakow. - Przez duszę dziecka do ciała matki.

Nawet tatulek zasuwał o kocie.

Stary moździerzysta splunął i przesunął dłonią po piersi.

- A gdzież ona ma to, co dziewczucha powinna mieć? No? Pytam się ja was.

Rozeźlił się na dobre, kiedy ktoś napomknął, że radiotelegrafistka podoba się samemu Griekowowi.

- Pewnie, dla nas nawet taka by uszła, na bezrybiu i rak ryba. Nogi długie jak u żurawia, z tyłu - nic. Oczy wielkie jak u krowy. Co to za dziewczucha?

Czencow zaoponował: - Ty byś chciał tylko cycate. To zacofane, przedrewolucyjne podejście.

Kołomiejcew, wielki świntuch, kryjący w swojej ogromnej, łysiej głowie mnóstwo różnorodnych myśli, uśmiechając się i mrużąc mętnoszare oczy, powiedział: - Dziewczynka zgrabniutka, ale ja na ten przykład mam inne gusta, lubię małe - Ormianki i Żydówki, bystre, żwawe, krótko ostrzyżone, za to z dużymi oczami.

zubariow popatrzył na ciemne, oświetlone reflektorami niebo i spytał cicho: - Ciekawe jednak, jak to dalej pójdzie?

- Niby że komu da? - uściślił Kołomiejcew. - Griekowowi to już na pewno.

- Nie, wcale nie na pewno - zaprotestował Zubariow, podniósł z ziemi kawałek cegły i z całej siły cisnął nim o ścianę.

Przyjaciele popatrzyli na niego, na jego brodę, i zaczęli rechotać.

- Czym jej zaimponujesz, tymi kudłami? - zapytał Batrakow.

- Śpiewem! - poprawił go Kołomiejcew. - Studio radiowe: piechota przy mikrofonie. On śpiewa, ona zapowiada. To będzie para!

Zubariow obejrzał się na chłopaka, który wieczorem czytał na głos wiersze.

- A ty co?

Stary moździerzysta zauważył gderliwie: - Jak nie gada, to znaczy nie chce gadać. - Tonem ojca karcącego syna, że podsłuchuje rozmowy dorosłych, dodał: - Poszedłbyś lepiej do piwnicy i pospał, jak jest okazja.

- Tam teraz Ancyfierow trotylem będzie robił przejście - powiedział Batrakow.

A w tym czasie Griekow dyktował meldunek Kati Wiengrow. Informował sztab armii, że według wszelkich oznak Niemcy szykują uderzenie, i że będzie to chyba uderzenie na fabrykę traktorów. Nie powiedział tylko, że dom, w którym przebywa ze swoimi ludźmi, znajdzie się na jego osi. Ale patrząc na chudy kark dziewczyny, na jej usta i na wpół zasłonięte rzęsami oczy, wyobrażał sobie, nawet bardzo wyraźnie, ten kark - złamany, z wyłazającym spod rozdartej skóry perłowobiałym kręgosłupem, rzęsy - nad szklanymi rybimi oczami, a usta - martwe, jak z szarego, zakurzonego kauczuku.

Zapragnął nagle chwycić ją, poczuć jej ciepło, życie, póki i on, i ona jeszcze nie odeszli, nie zniknęli, póki tyle piękna jest w tym młodym stworzeniu. Wydawało mu się, że tylko z litości do dziewczyny ma ochotę ją objąć, ale czy to naprawdę z litości szumi mu w uszach, a w skroniach pulsuje krew? Sztab nie od razu się odezwał.

Griekow przeciągnął się tak, że aż kości rozkosznie zachrzęściły, westchnął głośno i pomyślał: „Dobra, dobra, noc przed nami”. Spytał uprzejmie: - Jakże tam się miewa ten kotek, co go Klimow przyniósł? Poprawił się, nabrał sił?

- Gdzie tam nabrał - odpowiedziała radiotelegrafistka.

Kiedy Katia wyobrażała sobie Cyganekę i chłopca na stosie, palce jej zaczynały drżeć, a wtedy zerknęła na Griekowa - czy zauważył? Wczoraj wydało się jej, że w domu „sześć przez jeden” nikt z nią nie będzie rozmawiał, a dzisiaj, kiedy jadła kaszę, przebiegł koło niej brodac z automatem w rękę i krzyknął, jak do starej znajomej: - Katia, z życiem, z życiem! - I pokazał ręką, że trzeba energiczniej wkładać łyżkę do kociołka.

Widziała, jak chłopiec, który czytał wiersze, dźwiga granaty na płaszczu-pałatce. Obejrzała się drugi raz i znowu go zobaczyła - stał przy kotle z wodą. Zrozumiała, że na nią patrzył, i dlatego się obejrzała, ale on zdążył się odwrócić.

Już się domyślała, kto jutro będzie jej pokazywał listy i zdjęcia, kto będzie wzdychał i patrzył w milczeniu, kto przyniesie jej w darze pół manierki wody czy białe suchary, kto powie, że nie wierzy w miłość kobiety i nigdy już nie będzie kochał. A brodaty piechur na pewno będzie się do niej dobierał.

W końcu sztab odpowiedział- Katia zaczęła przekazywać odpowiedź Griekowowi: „Rozkazuję wam codziennie o dziewiętnastej zero zero składać szczegółowy raport...” Griekow nagle trzepnął ją w rękę, strącając dłoń z przełącznika, a ona krzyknęła przestraszona.

Uśmiechnął się i powiedział: - Odłamek pocisku trafił w nadajnik, łączność zostanie wznowiona, kiedy Griekow będzie potrzebował.

Radiotelegrafistka patrzyła na niego zmieszana.

- Wybacz, Katusza - dodał Griekow i wziął ją za rękę.

60

Nad ranem z pułku Bieriozkiina przekazano do sztabu dywizji wiadomość, że okrążeni w domu „sześć przez jeden” ludzie przebili się do betonowego tunelu fabrycznego i dotarli do jednego z wydziałów fabryki traktorów. Dyżurny sztabu dywizji powiadomił o tym sztab armii, tamci zameldowali generałowi Kryłowowi, ten zaś rozkazał przysłać jednego z tych, którzy wyszli. Oficer łączności poprowadził chłopaka, którego wybrał dyżurny sztabu, do punktu dowodzenia armii Poszli wężozem w stronę brzegu, a chłopaczek po drodze kręcił się niespokojnie, zadawał pytania.

- Muszę wracać, miałem tylko zbadać tunel, żeby wynieść rannych.

- Nie martw się - mówił oficer łączności. - Idziesz do dowódców wyższych stopniem niż twój; zrobisz, co ci rozkażą! Po drodze chłopak opowiedział oficerowi łączności, że w domu „sześć przez jeden” siedzą trzeci tydzień, że żywili się przez pewien czas kartoflami znalezionymi w piwnicy, że wodę brali z kotła ogrzewania parowego i aż tak Niemcom dopiekli, że ci przysłali parlamentariusza z propozycją, że przepuszczą obłożonych do fabryki, ale oczywiście dowódca (chłopak mówił o nim „gospodarz domu”) kazał w odpowiedzi walić ze wszystkich luf. Kiedy doszli do Wołgi, chłopak położył się i zaczął pić prosto z rzeki, a kiedy się napił, ostrożnie strącił krople

z kufajki na dłoń i zlizał, tak jak głodny - okruszyny chleba. Powiedział, że woda w kotle parowego ogrzewania jest zgniła i w pierwszych dniach wszyscy chorowali po niej na żołądek, ale gospodarz domu rozkazał gotować ją w kociołkach, po czym dolegliwości wszystkim przeszły. Potem już obaj szli, nic nie mówiąc. Chłopak wsłuchiwał się w nocne bombardowania, spoglądał na niebo rozświetlone czerwonymi i zielonymi rakietami, sznurami kul i pocisków smugowych. Patrzył na wąty, niemrawy płomień nadal trwających w mieście pożarów, na białe błyskawice dział, na niebieskie wybuchy ciężkich pocisków w Wołdze i ciągle zwalniał kroku, aż oficer łączności ponaglił go: - Dalej, dalej, zwawiej! Szli wśród kamieni nabrzeżnych, granaty moździerzowe ze świstem przelatwały nad nimi, wartownicy pytali ich o hasło. Potem zaczęli się wspinać po zboczu ścieżką, krętymi rowami łącznikowymi, wśród schronów wyrąbanych w glinianej górze. To wstępowali po ziemnych schodkach, to stukali obcasami po kładkach z desek, aż w końcu doszli do przejścia zagrodzonego drutem kolczastym - było to stanowisko dowodzenia 62. armii. Oficer łączności poprawił pas i wszedł korytarzem prowadzącym do schronów rady wojennej, wyróżniających się grubością bali.

Wartownik poszedł po adiutanta, na chwilę zza uchylonych do połowy drzwi miło błysnęła lampa biurowa, osłonięta abażurem.

Adiutant poświecił latarką, spytał o nazwisko chłopaka i kazał mu poczekać.

\_ A jak trafię do domu? - spytał chłopak.

- Nie przejmuj się, koniec języka za przewodnika... - odparł adiutant i dodał surowo: - Idźcie do sieni, bo jeszcze pocisk uderzy i będę odpowiadał przed generałem.

W ciepłej półmrocznej sionce chłopak usiadł na ziemi, oparł się o ścianę i zasnął.

Chaotyczny sen, mieszający bojowe okrzyki ostatnich miesięcy i pokojowy szept rodzinnego, dawno już zapomnianego domu, urwał się, gdy czyjaś ręka silnie potrząsnęła Sieriożą i rozległ się zirytowany głos: - Szaposznikow, prędko do generała...

61

Sierioża Szaposznikow spędził dwa dni z żołnierzami ochrony sztabu.

Sztabowe życie męczyło go, ludzie od rana do wieczora snuli się beczynn timer.

Wspomniał jak z babcią przesiedzieli osiem godzin w Rostowie, czekając na pociąg do Soczi, i pomyślał, że dzisiejsze oczekiwanie przypomina ową przedwojenną przesiadkę. Potem zachciało mu się śmiać, kiedy porównał dom „sześć przez jeden” z kurortem w Soczi. Prosił majora - komendanta sztabu - żeby go puścił, ale major przeciągał sprawę - nie było dyspozycji od generała. Generał wezwał Szaposznikowa, zadał mu ledwie dwa pytania i przerwał rozmowę, bo telefonował dowódca armii. Komendant sztabu postanowił więc, że na razie chłopaka nie puści - może generał sobie o nim przypomni.

Za każdym razem, kiedy komendant wchodził do schronu sztabowego, widział Szaposznikowa i uspokajał go: - Dobrze, dobrze, pamiętam.

Niekiedy proszące oczy chłopaczka złościły go i wtedy mówił: - źle ci tu? Niby czemu? Jeść dają, ile chcesz, siedzisz w ciepłe.

Jeszcze cię tam zdążą zabić.

Kiedy dzień jest pełen huku i człowiek po uszy zanurza się w wojennej Kipieli, nie ma siły popatrzeć z boku na swoje życie, nie potrafi go zrozumieć; trzeba się choćby o krok oddalić. A wtedy, jakby z brzegu widać całą potęgę rzeki - czyżby dopiero co i on płynął w tych wściekłych odmętach i pianie? Spokojne wydało się Sierioży życie w pułku ochotniczym: warta nocą w stepie, daleka zorza na niebie, rozmowy ochotników.

Tylko trzech z nich trafiło do osiedla fabryki traktorów. Polaków, który nie lubił Czencowa, mówił: „Z całego pułku ochotniczego zostali tylko trzej: stary, mały i głupi”.

Życie w domu „sześć przez jeden” przesłoniło wszystko, co działo się przedtem. Chociaż takie życie trudno sobie wyobrazić, jedynie ono okazało się realne, a cała przeszłość stała się urojeniem.

Tylko czasem w nocy wypływała z pamięci siwa głowa Aleksandry Władimirowny, kpiarskie oczy cioci Żeni - i serce ścisnęło się, ogarnięte nagłą miłością.

Przez pierwsze dni w domu „sześć przez jeden” myślał: „Jakie to byłoby dziwne, cudaczne, gdyby do tego domowego życia wtargnęli nagle Griekow, Kołomiejcew, Ancyfierow...” A teraz wyobrażał sobie czasem, jak nedorzecznie w jego obecnym życiu wyglądałyby ciotki, siostra cioteczna, wujek Wiktor Pawłowicz.

Och, gdyby babcia usłyszała, jak Sierioża przeklina...

Griekow! Nie było całkiem jasne, czy w domu „sześć przez jeden” dobrali się niezwykli, nadzwyczajni ludzie, czy też zwyczajni ludzie, którzy trafili do tego domu, musieli się stać niezwykli...

Dowódca pułku ochotników Kriakin tutaj nie dowodziłby nawet przez jeden dzień. Ale Czencow, chociaż go nie lubią, przystosował się. Tyle że już nie jest taki jak w pułku - gdzie zatracił swoją żyłkę administracyjną.

Griekow! Jakież to zdumiewające połączenie siły, odwagi, władczości z codziennym życiem. Pamięta, ile kosztowały buciki dziecięce przed wojną, jaką pensję dostaje sprzątaczką czy ślusarz albo ile płacono ziarnem i pieniędzmi za dniówkę roboczą w kołchozie, gdzie pracował jego wuj.

To znowu opowiadał o przedwojennych czystkach w wojsku, o atestacjach, o kumoterstwie przy rozdziale mieszkań, o ludziach, którzy w trzydziestym siódmym roku pisali dziesiątki donosów i raportów, demaskowali rzekomych wrogów ludu i w ten sposób dochrapali się stopni generalskich.

Niekiedy wydawało się, że siłę daje mu przede wszystkim lwia odwaga, zawadiackie ryzykanctwo - potrafił wyskoczyć z wyrwy w ścianie i krzyknąć: \_ Nie przejdziecie, sukinkoty! I ciskał granatami w nadbiegających Niemców.

A może ta siła kryła się w prostej, pogodnej przyjaźni ze wszystkimi mieszkańcami domu? Jego przedwojenne życie nie zawierało nic godnego uwagi, był kiedyś brygadzystą w kopalni, potem technikiem budowlanym, został kapitanem piechoty w którejś z jednostek wojskowych stacjonujących pod Mińskiem, prowadził



zajęcia w polu i koszarach, jeździł do Mińska na kursy dokształcające, wieczorami czytał książki, pił wódkę, chodził do kina, grał z przyjaciółmi w preferansa, kłócił się z żoną robiącą mu całkiem uzasadnione sceny o liczne panny i mężatki z rejonu. O tym wszystkim sam opowiadał. Nagle w wyobraźni Sierioży, i nie tylko jego, stał się bohaterem, bojownikiem o prawdę.

Nowi ludzie otaczali teraz Sieriożę, usunęli w cień nawet najbliższych.

Artylerzysta Kołomiejcew był zawodowym marynarzem, pływał na okręcie wojennym, trzy razy tonął w Bałtyku.

Sierioży podobało się, że Kołomiejcew, często z lekceważeniem mówiący o ludziach, o których się tak nigdy nie mówiło, niesłuchanie szanuje uczonych i pisarzy. Według niego, żaden przełożony, choćby miał nie wiem jaki stopień i stanowisko, nie mógł się w ogóle równać z jakimś łysym Łobaczewskim czy zasuszonym Romain Rollandem.

Niekiedy Kołomiejcew mówił o książkach. Absolutnie nie przypominało to rozmów z Czencowem o moralistycznej, patriotycznej literaturze. Marynarzowi podobał się za to jakiś pisarz amerykański czy angielski. Nie pamiętał nazwiska, a Sierioża nie znał tego pisarza, ale był pewien, że pisze dobrze, bo Kołomiejcew chwalił go bardzo soczyście, wesoło, okraszając swoją opinię niecenzuralnymi słowami.

- To mi się w nim podoba - mówił Kołomiejcew - że mnie nie uczy. Dobiera się facet do baby i już, upił się żołnierz i tyle, chłopu umarła jego stara - dokładnie opisane. Masz tam i śmiech, i żal, i ciekawi cię, i tak nie wiesz, po co ludzie żyją.

z Kołomiejcewem przyjaźnił się zwiadowca Wasia Klimow.

Kiedyś Klimow i Szaposznikow przekradali się na pozycje niemieckie przeleźli przez nasyp kolejowy, podczołgali się do leja po niemieckiej bombie, w którym siedziała obsługa niemieckiego cekaemu z oficerem, obserwatorem. Przypadli do krawędzi leja i podpatrywali, jak sobie Niemcy żyją. Jeden kaemista rozpiął mundur, wsunął czerwoną chustkę za kołnierzyk koszuli i golił się. Sierioża słyszał, jak pod brzytwą chrzęści zakurzona, twarda szczecina. Drugi Niemiec jadł konserwy z płaskiej puszki, a Sierioża widział przez krótką, ale pojemną chwilę jego dużą twarz, wyrażającą skupienie i zadowolenie. Oficer nakręcał zegarek. Sierioża miał ochotę spytać - nie za głośno, żeby nie przestraszyć oficera: „Ej, proszę pana, która godzina?” Klimow wyszarpnął zawleczkę i wrzucił granat do leja. Kiedy tuman kurzu jeszcze wisiał w powietrzu, Klimow rzucił drugi granat i w ślad za wybuchem wskoczył do leja. Wszyscy Niemcy zginęli, aż trudno było uwierzyć, że przed chwilą siedzieli żywi w leju. Klimow kichał, wdychając gazy wybuchowe i kurz, ale zabrał wszystko, czego potrzebował - zamek od cekaemu, lornetkę, zdjął zegarek z ciepłej jeszcze ręki oficera. Ostrożnie, żeby nie upaść się krwią, wyjął książeczki wojskowe z porozrywanych mundurów obsługi.

Przekazał trofea, opowiedział o wydarzeniu, poprosił Sieriożę, żeby nalał mu trochę wody na ręce, usiadł obok Kołomiejcewa i powiedział: - A teraz sobie zapalimy.

W tym czasie przybiegł Pierfiljew, mówiący o sobie zazwyczaj: „Jestem chłopak spod Riazania i amator wędkowania”.

- Ej, Klimow, coś się tak rozsiadł! - krzyknął. - Gospodarz cię szuka, trzeba

znowu iść do niemieckich domów.

- Już, już. - Skruszony Klimow zakrzętnął się wokół swojego gospodarstwa. Wziął automat, brezentową torbę z granatami. Z rzeczami obchodził się troskliwie; wydawało się, że boi się zrobić im krzywdę.

Z wieloma ludźmi był na „pan”, nigdy nie przeklinał. Stary Polakow zapytał kiedyś Klimowa, który zabił stu dziesięciu ludzi: - Czyś ty przypadkiem nie baptysta? Klimow lubił gadać, a zwłaszcza opowiadać o dzieciństwie. Jego ojciec był robotnikiem w zakładach Putiłowa. Sam Klimow, mistrz tokarski, przed wojną uczył w zakładowej szkole zawodowej. Sieriożę nieodmiennie doprowadzał do śmiechu opowieścią, jak to któryś z robotników dławił się śrubą, zaczął się dusić, posiniał, a Klimow jeszcze zanim przyjechało pogotowie - wyciągnął mu ją z gardła szczypcami.

Kiedyś jednak Sierioża zobaczył, jak Klimow upił się zdobycznym sznapssem - był wtedy okropny, sam Griekow chyba się go przestraszył.

Najbardziej niechlujnym człowiekiem w domu był lejtnant Batrakov. Nie czyścił butów, a kiedy chodził, szurał jedną podeszwą - żołnierze, nie odwracając głowy, poznawali, że idzie lejtnant artylerii. Za to dziesiątki razy dziennie przecierał zamszową szmatką okulary. Szkła nie były dobrze dobrane, więc lejtnantowi zdawało się, że kurz i dym wybuchów mu je brudzą. Klimow kilka razy przynosił mu inne okulary, zabrane zabitym Niemcom. Ale Batrakov nie miał szczęścia - jak oprawa była dobra, to szkła nieodpowiednie.

Przed wojną Batrakov uczył matematyki w technikum; był bardzo pewny siebie, z pogardą mówił o nieukach. Urządził Sierioży egzamin z matematyki, i chłopak ściał się haniebnie. Mieszkańcy domu zaczęli się śmiać, grozili, że zostawią Szaposznikowa na drugi rok.

Kiedyś podczas niemieckiego nalotu, gdy oszalali kowale tłukli ciężkimi młotami w kamień, ziemię i żelazo, Griekow zobaczył Batrakowa siedzącego pod urwaną klatką schodową i czytającego jakąś książczykę.

Powiedział wtedy: - Niemcy za cholere nie dadzą nam rady. No bo co z takim durniem zrobią?

Wszystko, co robili Niemcy, zamiast przerażenia wywoływało u mieszkańców domu drwiące lekceważenie. „Oj, stara się fryc...”, „Patrz, patrz, co ci chuligani wymyślili...”, „No, co za głupek, gdzie te bomby rzuca...” Batrakov przyjaźnił się z dowódcą plutonu saperów Ancyfierowem, czterdziestolatkiem lubiącym rozmawiać o swoich chronicznych niedomaganiach - na froncie zjawisku raczej rzadkim. Pod kulami jakoś wszystkie rany i reumatyzmy leczyły się same.

Ancyfierow jednak w stalingradzkim piekle nadal cierpiał na liczne choroby, które zagnieździły się w jego obfitym ciele. Niemiecki lekarz jakoś go nie uleczył.

zupełnie nieprawdopodobnie wyglądał ten człowiek o pełnej twarzy okrągłej łysiejącej głowie i okrągłych oczach, kiedy oświetlony złowieszczymi blaskami pożarów z błogą miną pił herbatę ze swoimi saperami. Siedział zazwyczaj boso, bo doskwierały mu odciski, a że zawsze było mu za gorąco, także bez bluzy. Z filiżanki w niebieskie kwiatki siorbał gorący płyn, ocierał łysinę wielką chustką, wzdychał, uśmiechał się i znowu zaczynał dmuchać w filiżankę, do której ponury żołnierz Lachow, z głową

obwiązaną bandażem, co chwila dolewał z ogromnego, zakopconego czajnika wrzącą strugę zastanej wody. Niekiedy Ancyfierow, nie wciągając butów, stękał niezadowolony i włąził na pagórek z cegieł, żeby popatrzeć, co się dzieje na tym bożym świecie. Stał bosy, bez bluzy, bez furażerki, podobny do chłopca, który w straszną burzę i ulewę wyszedł na próg chaty rzucić okiem na swoje gospodarstwo.

Przed wojną pracował jako kierownik robót na budowie. Teraz doświadczenie budowlane Ancyfierowa otrzymało jakby przeciwny znak. Jego umysł nieustannie zaprzętały sposoby burzenia domów, murów, piwnicznych stropów.

Głównym tematem rozmów Batrakowa z saperem były zagadnienia filozoficzne. Ancyfierow, który przeszedł od tworzenia do niszczenia, czuł potrzebę nadania sensu tej niezwyklej przemianie.

Niekiedy ich rozmowa z wyżyn filozoficznych - jaki jest cel życia, czy w innych galaktykach też istnieje władza radziecka i na czym polega wyższość umysłu mężczyzny nad umysłem kobiety - schodziła na zwykłe życiowe sprawy.

Tutaj, wśród stalingradzkich ruin, wszystko było inne, więc mądrości, jakiej ludzie potrzebowali, często dostarczał taki właśnie ciamajda jak Batrakow.

- Czy uwierzysz, Wania? - mówił Ancyfierow do Batrakowa. - Dzięki tobie zacząłem coś kapować. A kiedyś myślałem, że poznałem do końca cały ten mechanizm - komu muszę postawić pół litra wódki z zakąską, komu załatwić nowe opony, a komu po prostu dać setkę w łapę.

Batrakow całkiem serio myślał, że to właśnie on ze swoimi mętnymi dywagacjami, a nie Stalingrad, wpłynął na zmianę stosunku Ancyfierowa do ludzi, więc odpowiadał pobłaźliwie: - Tak, kochany, w sumie można żałować, żeśmy się nie spotkali przed wojną.

A w piwnicy mieszkała piechota, ci, którzy odpierali nacisk Niemców i na rozkaz rzucony przenikliwym głosem Griekowa przechodzili do kontrataku.

Piechotą dowodził lejtnant Zubariow. Przed wojną uczył się śpiewu w konserwatorium. Czasem w nocy podkładał się do niemieckich domów i zaczynał śpiewać pieśń Osjana z opery Masseneta albo arię Leńskiego.

Zubariow machał ręką, kiedy pytali go, dlaczego włązi w kupy cegieł i śpiewa, ryzykując życie. Może chciał tutaj, gdzie w powietrzu dniem i nocą unosił się trupi odór, udowodnić sobie, kolegom, a nawet wrogom, że potęga sił zniszczenia nigdy nie stłumi radości życia? Czyżby człowiek mógł żyć, nie wiedząc nic o Griekowie, Kołomiejcewie, Polakowie, o Klimowie, Batrakowie, o brodatym Zubariowie? Sierioża, który całe życie przeżył wśród inteligencji, przyznawał teraz rację babci, zawsze twierdzącej, że prości robotnicy to wspaniali ludzie.

Ale mądry chłopak zdążył też zauważyć, że nie była to racja całkowita. Bo mimo wszystko babcia uważała prostych ludzi za prostych.

Ludzie w domu „sześć przez jeden” nie byli prości. Sieriożę zdumiała kiedyś słowa Griekowa:

- Człowiekiem nie można kierować jak owcą; nawet Lenin, choć taki mądry, tego nie rozumiał. Rewolucję robi się po to, żeby człowiekiem nikt nie kierował. A Lenin mówił: „Dotąd kierowano wami głupio; teraz ja będę kierował mądrze”.

Sierioża nigdy nie słyszał, żeby ktoś tak odważnie potępiał enkawudzistów, którzy w 1937 roku wymordowali dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi.

Nigdy nie słyszał też, żeby ktoś z takim bólem mówił o nieszczęściach, jakie spadły na chłopstwo w czasie powszechnej kolektywizacji.

Głównym referentem w tej sprawie był sam gospodarz domu Griekow, ale i Kołomiejcew, i Batrakow też często prowadzili takie rozmowy.

Teraz, w sztabowym schronie, każda minuta spędzona poza domem "sześć przez jeden" wydawała się Sierioży niesamowicie długa. Nie wyobrażał sobie dalszego słuchania rozmów o dyżurach, o wezwaniach do szefów wydziałów.

Zaczął wyobrażać sobie, co robią teraz Polakow, Kołomiejcew, Griekow.

wieczorem, kiedy zapada cisza, wszyscy znowu rozmawiają o radiotelegrafistce.

Griekowa, jeśli już się zdecyduje, nie sposób powstrzymać, choćby mu grozili sam Allah albo Czujkow.

Mieszkańcy domu byli wspaniałymi, silnymi, zdecydowanymi na wszystko ludźmi. Na pewno i dzisiaj w nocy Zubariow śpiewał arie...

A dziewczyna siedzi bezradna, oczekuje swego losu.

„Zabiję!” - pomyślał, ale nie za bardzo wiedział kogo konkretnie.

Gdzież tam jemu, który ani razu nie całował dziewczyny, mierzyć się z tymi doświadczonymi diabłami; na pewno zawrócą jej w głowie, zbajerują biedaczkę.

Słyszał wiele historii o pielęgniarkach, telefonistkach, dziewczynach obsługujących sprzęt czy uczennicach, które wbrew własnej woli stały się „p/o żony” dowódców pułków czy dywizjonów. Te historie go nie interesowały, nie przejmował się nimi.

Popatrzył na drzwi schronu. Że też dotąd nie przyszło mu to do głowy! Może wstać i nikogo nie pytając, odejść? Wstał, otworzył drzwi i wyszedł.

A w tym samym czasie u operacyjnego dyżurnego w sztabie armii zadzwonił telefon: szef wydziału politycznego Wasiljew prosił, żeby natychmiast przysłać żołnierza z okrażonego domu.

Historia Dafnisa i Chloe wzrusza ludzi nie dlatego, że ich miłość narodziła się wśród winnic, pod błękitnym niebem.

Historia Dafnisa i Chloe rozgrywa się wciąż na nowo, czy to w dusznej piwnicy, przesiąkniętej zapachem smażonych dorszy, czy w bunkrze obozu koncentracyjnego; w dziale księgowości, przy akompaniamencie stukania liczydeł, i w ciemnej, pełnej kurzu przędzalni.

Ta historia wydarzyła się teraz znowu wśród ruin, tam gdzie ludzie krzepili swoje brudne i spocone ciała nie miodem, ale zgniłymi kartoflami i wodą ze starego kotła centralnego ogrzewania. Powtórzyła się tam, gdzie nie było skłaniającej do zadumy ciszy, tylko wycie niemieckich sztukasów; wśród porozbijanych cegieł i smrodu rozkładających się ciał.

Do starego Andriejewa, pracującego jako stróż w StałGRES-ie, przyszedł okazją list z Lenińska - synowa pisała, że Warwara Aleksandrowna zmarła na zapalenie płuc.

Po wiadomości o śmierci żony Andriejew zrobił się całkiem ponury i rzadko wstępował do Spiridonowów; wieczorami siedział przy wejściu do hotelu robotniczego, patrząc na błyski artylerii i światło reflektorów na zachmurzonym niebie. Niekiedy w hotelu go zagadywano, ale on nie reagował. Wtedy mówiący, sądząc, że staruszek źle słyszy, powtarzał pytanie głośniejsze. Andriejew odpowiadał posępnie: - Słyszę, słyszę, nie jestem głuchy.

Śmierć żony nim wstrząsnęła. Jego życie odbijało się w życiu żony, to, co go spotykało, złe i dobre rzeczy, wesoły czy smutny nastrój, istniało jako odbicie w duszy Warwary Aleksandrowny.

Podczas silnego bombardowania, kiedy wybuchały tonowe bomby, Paweł Andriejewicz patrzył na ścianę ziemi i dymu, która wyrastała w halach StałGRES-u, i myślał: „Żeby to moja stara widziała... Oj, Warwara...” A jej w tym czasie już nie było na świecie.

Wydawało mu się, że ruiny budynków rozbitych bombami i pociskami, podwórze, które przeorała wojna - kupy ziemi, powykrzywianego żelastwa, gorzki, wilgotny dym i żółty, pełzający, jaszczurczy płomień palących się izolatorów olejowych - to właśnie jest obraz jego życia, z nim nie rozstanie się już do końca.

Czyżby rzeczywiście siedział kiedyś w jasnym pokoju, jadł śniadanie przed wyjściem do pracy, a obok stała żona i patrzyła na niego pytająco: czy chce jeszcze dokładkę? Tak, pozostało mu tylko umrzeć samotnie.

Nagle przypominał sobie ją młodą, z opalonymi rękami i wesołym spojrzeniem.

Cóż, przyjdzie i jego pora, nie taka znowu odległa.

Kiedyś wieczorem, powoli, skrzypiąc butami na stopniach, zszedł do schronu, do Spiridonowów. Stiepan Fiodorowicz popatrzył na twarz starego i zapytał: - Źle jest, Pawle Andriejewiczu? - Pan jest jeszcze młody, Stiepanie Fiodorowiczu - odpowiedział Andriejew. - Mniej ma pan siły, ale jeszcze się pan doczeka. A ja mam Siły dość - sam dojdę.

wiera, która myła w tym czasie rondel, obejrzała się na staruszkę, nie od razu pojmując sens jego słów.

Andriejewowi niepotrzebne było niczyje współczucie, chcąc więc zmienić temat rozmowy, powiedział:

- Wierze, pani musi się stąd wynieść, tu nie ma szpitala, same czołgi i samoloty.

Uśmiechnęła się tylko i rozłożyła mokre ręce.

Stiepan Fiodorowicz rzekł ze złością:

- Ktokolwiek na nią spojrzy, nawet nieznajomi, mówią jej: „Pora się przenieść na lewy brzeg”. Wczoraj przyjechał członek rady wojennej armii, wszedł do naszego schronu, popatrzył na Wierę, nic nie powiedział, ale ledwie wsiadł do samochodu, już mnie zaczął objeżdżać. Co z was za ojciec, krzyczy; powiedzcie tylko, to ją pancernym

kutrem przeprowimy! A co ja na to poradzę: nie chce i już.

Mówił szybko, płynnie, jak mówią ludzie codziennie kłócący się o jedno i to samo. Andriejew patrzył na rękaw swojej marynarki, dawno już wymagający nowej reperacji, i milczał.

- Jakie tu mogą dotrzeć listy? - ciągnął Stiepan Fiodorowicz. - Czy tu dochodzi jakaś poczta? Ile czasu już tutaj siedzimy - ani jednej wiadomości, ani od babci, ani od Żeni, ani od Ludmiły... Jak mamy się dowiedzieć, gdzie jest Tola, gdzie Sierioża?

Wiera powiedziała: - Przecież Paweł Andriejewicz dostał list.

- Tak, zawiadomienie o śmierci. - Stiepan Fiodorowicz przestraszył się swoich słów i zaczął mówić z rozdrażnieniem, pokazując ręką ciasne ściany schronu i zasłonkę oddzielającą posłanie Wiery. - No i jak ma tutaj mieszkać, przecież to kobieta, dziewczyna, a tu stale kręcą się chłopcy, dniem i nocą, to robotnicy, to zmobilizowana ochrona, złazi się pełno ludzi, hałasują, palą papierosy.

Andriejew przekonywał: - Niech pani się zlituje nad dzieckiem, ono tutaj zginie.

- Pomyśl tylko, a nuż Niemcy się wedrą! Co wtedy będzie? - rzekł Stiepan Fiodorowicz.

Wiera nic nie odpowiadała.

Wbiła sobie do głowy, że Wiktorow wejdzie do rozbitej stalgresowskiej bramy, a ona z oddali zobaczy go w letnim kombinezonie, w futrzanych butach, z mapnikiem u boku. Wychodziła na szosę i patrzyła, czy nie nadchodzi. Przejeżdżający na ciężarówkach żołnierze wołali do niej:

- Ej, dziewucho, na kogo czekasz? Siadaj z nami.

Na chwilę robiło jej się wesoło, więc odpowiadała:

- Ciężarówka nie dowiezie.

Kiedy przelatywały radzieckie samoloty, wpatrywała się w nisko lecące nad StałGRES-em myśliwce, wydawało jej się, że za chwilę dostrzeże, rozpozna Wiktorowa.

Któregoś dnia myśliwiec przelatujący nad StałGRES-em pomachał przyjaźnie skrzydłami, a Wiera krzyknęła jak oszalały ptak, zaczęła biec, potykając się, i upadła; po tym upadku przez kilka nocy bolał ją krzyż.

Pod koniec października widziała walkę powietrzną nad elektrownią, walkę bez zwycięzców: radzieckie maszyny zniknęły w chmurach, niemieckie zawróciły i odleciały na zachód. A Wiera stała, patrzyła rozszerzonymi oczami na puste niebo, patrzyła z takim strasznym napięciem, że przechodzący przez podwórze monter powiedział: - Towarzyszko Spiridonow, nie raniło was? Wierzyła w spotkanie z Wiktorowem właśnie tutaj, w StałGRES-ie, ale zdawało jej się, że gdyby powiedziała o tym ojcu, los rozgniewałby się na nią i przeszkodził temu spotkaniu. Niekiedy pewność Wiery była tak wielka, że prędko zaczynała piec żytnie pierożki z kartoflami, pośpiesznie myła podłogę, przestawiała rzeczy, czyściła brudne buty... Niekiedy, siedząc z ojcem przy stole, wsłuchiwała się w coś i mówiła: - Poczekaj, zaraz wrócę. - I narzuciwszy na ramiona płaszcz, wychodziła z podziemia na powierzchnię, rozglądała się, czy nie stoi na podwórzu lotnik, czy nie pyta, jak trafić do Spiridonowów.

Ani razu, ani na chwilę nie przyszło jej do głowy, że mógł o niej zapomnieć. Była pewna, że Wiktorow też myśli o niej dniem i nocą, w takim samym napięciu i z takim samym uporem, jak ona o nim.

Elektrownię prawie codziennie ostrzeliwały ciężkie działa niemieckie - Niemcy nabrali sprytu, wstrzelili się i walili celnie pociskami w mury pomieszczeń, dudnienie wybuchów co chwila wstrząsało ziemią. Często nadlatywały pojedyncze, zabłąkane bombowce i zrzucały bomby. Messery, przelatujące nisko nad elektrownią, puszczały serie z karabinów. Czasem nawet na oddalonych wzgórzach pojawiały się niemieckie czołgi i wtedy wyraźnie słyszało się gorliwe trzaskanie karabinów i terkot kaemów.

Stiepan Fiodorowicz niby to przyzwyczał się do ostrzałów i bombardowań, tak samo jak, zdawałoby się, przywykli do nich inni pracownicy elektrowni. Ale i on, i oni, przywykając, zużywali równocześnie zapas sił duchowych; niekiedy więc ogarniało Spiridonowa znużenie, chciał się położyć do łóżka, naciągnąć kufajkę na głowę i leżeć tak bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Niekiedy się upijał. Niekiedy miał ochotę pobiec nad Wołgę, przedostać się do Tumaku i ruszyć lewobrzeżnym stepem, ani razu nie oglądając się na StałGRES; ściągnąć na siebie hańbę dezercji, byle tylko nie słyszeć straszego wycia niemieckich pocisków i bomb. Kiedy Stiepan Fiodorowicz przy pomocy sztabu dyslokowanej w pobliżu 64. armii łączył się z Moskwą przez telefon wysokiej częstotliwości i zastępca narkoma mówił: „Towarzyszu Spiridonow, przekażcie pozdrowienia z Moskwy bohaterskiemu kolektywowi, na którego czele stoicie”, Stiepan Fiodorowicz czuł się niezręcznie - jakie tam bohaterstwo... A tu jeszcze cały czas chodziły słuchy, że Niemcy szykują zmasowany nalot na StałGRES, chcą rozwalić elektrownię tonowymi bombami. Na wieść o czymś takim zimno mu się robiło. W dzień cały czas zerkał na szare niebo - czy nie nadlatują. A w nocy nagle zrywał się, miał wrażenie, że słyszy gęsty, zmasowany huk nadciągających niemieckich hord powietrznych. Czuł wtedy, że ze strachu plecy i pierś ma całkiem mokre.

Widocznie nie on jeden stargał sobie nerwy. Główny inżynier Kamyszow powiedział mu kiedyś: „Sił już nie mam, ciągle zwiduje mi się jakieś diabelstwo, patrzę na szosę i myślę: Ech, dałby stąd człowiek dyla”. A organizator partyjny KC Nikołajew wstąpił do niego wieczorem i poprosił: „Nalej mi, Stiepanie Fiodorowiczu, szklanek wódki, bo moja się skończyła, jakoś ostatnio wcale nie mogę spać bez tego lekarstwa na bomby”. Stiepan Fiodorowicz, nalewając mu wódki, zauważył: „Do końca życia człowiek się uczy. Warto by wybrać fach, w którym urządzenia łatwo się ewakuuje, a tutaj, widzisz, turbiny zostały, a my z nimi. Ludzie z innych fabryk od dawna siedzą w Swierdłowsku”.

Namawiając Wierę, żeby wyjechała, Stiepan Fiodorowicz powiedział kiedyś: - Nie mogę wyjść z podziwu. Przychodzą do mnie nasi ludzie, pod byle pretekstem proszą, żeby ich stąd zabrać. Ciebie trzeba namawiać, a i to nie pomaga. Gdybym mógł, to ani chwili dłużej bym nie czekał.

- Zostaję tutaj dla ciebie - odpowiedziała szorstko. - Beze mnie całkiem się rozpijesz.

Ale oczywiście Stiepan Fiodorowicz nie tylko drżał przed niemieckim nierrl. StałGRES to była również odwaga i ciężka praca, i śmiech, i żarty, i pozbawiona złudzeń świadomość surowego losu.

Wierę dręczył stale niepokój o dziecko. Czy nie urodzi się chore, czy nie zaszkodzi mu, że ona mieszka w dusznym, zadymionym podziemiu i że każdego dnia ziemia drży od bomb. Ostatnio często ją mdliło, kręciło jej się w głowie. Jakie smutne, zastraszone, jakie żałosne powinno urodzić się dziecko, jeśli jego matka bez przerwy widzi ruiny, ogień, sponiewieraną ziemię, na szarym niebie zaś - samoloty z czarnymi krzyżami. Może ono nawet słyszy wybuchy i chowa głowę w ramionka, może jego skurczone ciało zamiera przy wyciu bomb.

A koło niej przebiegali ludzie w wysmarowanych, brudnych płaszczach, ściągniętych żołnierskimi płóciennymi pasami, machali do niej i uśmiechając się, wołali: - Wiera, jak leci? Wiera, myślisz o mnie? Doceniała czułość, z jaką traktowali ją, przyszłą matkę. Może i mały to czuje, jego serce więc również będzie dobre i czyste.

Niekiedy wstępowała na wydział mechaniczny, gdzie remontowano czołgi - kiedyś pracował tam Wiktorow. Starła się odgadnąć, przy której obrabiarce pracował. Starła się wyobrazić go sobie w roboczym ubraniu albo w letnim mundurze, ale zawsze widziała go w szpitalnym szlafroku.

W warsztacie znali ją nie tylko stalgresowscy robotnicy, ale i czołgiści z bazy wojskowej. Nie można ich było odróżnić - pracownicy fabryki i pracownicy wojny byli całkiem podobni - w wybrudzonych kufajkach, w pogniecionych czapkach, z czarnymi łapskami.

Wierę całkowicie pochłoneły myśli o Wiktorowie i o dziecku, którego istnienie czuła w dzień i w nocy. Usunęła z serca niepokój o babcię, ciocię Żenię, Sieriożę i Tolę; czuła tylko jakiś ciężar, kiedy o nich myślała.

W nocy tęskniła za matką, wzywała ją, skarżyła się jej, prosiła o pomoc, szeptała: „Mamusiu kochana, pomóż mi”. w tych chwilach czuła się bezradna, słaba, zupełnie inna niż wtedy, Kiedy spokojnym głosem odpowiadała ojcu: - Nie proś mnie, nigdzie się stąd nie ruszę.

63

Przy obiedzie Nadia powiedziała w zamyśleniu: - Tola wolał gotowane kartofle od smażonych.

Ludmiła Nikołajewna dodała: - Jutro będzie miał dokładnie dziewiętnaście lat i siedem miesięcy.

Wieczorem zauważyła: - Ależ Marusia by się zmartwiła, gdyby wiedziała o faszystowskich bestialstwach w Jasnej Polanie.

A wkrótce przyszła po zebraniu w fabryce Aleksandra Władimirowna i powiedziała do Sztruma, który pomagał jej zdjąć płaszcz: - Wspaniała pogoda, Witia, powietrze suche, mroźne. Twoja mama mówiła: „jak wino”.

Sztrum odrzekł na to: - A o kiszanej kapuście mówiła: „winogrona”.

Życie płynęło jak góra lodowa, której część podwodna, pozostająca w zimnym morskim mroku, nadawała stabilność części nawodnej; ta odbijała fale, słuchała szumu i plusku wody, oddychała...

Kiedy młodzież z rodzin znajomych Sztruma robiła doktoraty, broniła ich,



zakochiwała się, żeniła, od gratulacji i rozmów nieodłączne było uczucie smutku.

Ileć Sztrum słyszał, że ktoś ze znajomych zginął na wojnie, tyle razy i on zdawał się tracić żywą cząsteczkę siebie samego, jakiś kolor.

A w zgiełku życia nadal słyszał głos zmarłego.

Czas, z którym łączyły się myśli i dusza Sztruma, był jednak przerażający, roztaczał władzę i nad kobietami, i dziećmi. W jego rodzinie zabił dwie kobiety i młodzieńca, prawie dziecko.

Sztrumowi często przypominały się wersy Mandelsztama, usłyszane kiedyś od historyka Madjarowa, krewnego Sokołowa: Wiek jak chart, wrogi wilkom, na barki mi skoczy, Lecz nie z wilczej wywodzę się braci...

Ale ten wiek był jego czasem, z nim żył, z nim będzie związany nawet po śmierci.

Praca po dawnemu szła Sztrumowi marnie.

Doświadczenia rozpoczęte jeszcze na długo przed wojną nie dawały przewidywanych teoretycznie rezultatów.

Obezwładniający chaos wynikał z rozproszenia wyników doświadczeń, z uporu, z jakim przeczyły teorii.

Początkowo Sztrum był przekonany, że przyczyna jego porażek tkwi w niedokładności eksperymentów, w braku nowej aparatury. Złościł się na pracowników zakładu, ciągle miał wrażenie, że za słabo przykładają się do roboty, że za bardzo pochłaniają ich sprawy życiowe.

Tymczasem wcale nie chodziło o to, że utalentowany, wesoły i sympatyczny Sawostjanow nieustannie krzątał się, pragnąc zdobyć talon na wódkę, i że wszechwiedzący Markow w godzinach pracy urządzał wykłady albo informował kolegów, jakie pobory ma ten czy inny akademik i jak kartka przydziałowa tego akademika dzielona jest między dwie byłe żony i trzecią aktualną; i także nie o to, że Anna Naumowna nieznośnie szczegółowo opowiada o swoich kłopotach z właścicielką mieszkania.

Sawostjanow myślał po dawnemu żywo, precyzyjnie. Markow zachwycał Sztruma ogromem swojej wiedzy, zdolnością przeprowadzania najbardziej kunsztownych eksperymentów, spokojną logiką. Anna Naumowna mieszkała wprawdzie w zimnym, zniszczonym pokoju przechodnim, ale pracowała z nieludzkim uporem i sumiennością.

Jak dawniej też Sztrum dumny był z tego, że ma Sokołowa za współpracownika.

Ani jednak ścisła kontrola warunków eksperymentu, ani oznaczanie sprawdzające, ani powtarzne skalowanie liczników nie polepszały sprawy. Chaos wtargnął do badań soli organicznej metalu ciężkiego, poddanej działaniu promieniowania supertwardego. Ta drobinka soli wydawała się czasem Sztrumowi jakimś karzełkiem, który stracił rozum i wszelką przyzwoitość; karzełek z czerwoną gębą, w czapeczce, która zjechała na ucho, stroił miny i robił nieprzyzwoite gesty, pokazywał figę surowemu obliczu teorii. W pracy nad nią brali udział fizycy światowej sławy, aparat matematyczny był bez zarzutu, materiał doświadczalny, nagromadzony

przez dziesięciolecia w słynnych laboratoriach Niemiec i Anglii, pasował do niej bez wyjątku. Na krótko przed wojną w Cambridge dokonano eksperymentu, który miał potwierdzić przewidziane przez teorię zachowanie cząstek w szczególnych warunkach. Powodzenie tego eksperymentu było największym triumfem teorii. Wydawał się Sztrumowi tak samo poetycki i wzniosły jak eksperyment potwierdzający przewidziane przez teorię względności odchylenie promienia świetlnego, biegnącego od gwiazdy w polu przyciągania Słońca. Zamach na teorię wydawał się czymś nie do pomyślenia; to tak jakby żołnierz ośmielił się zerwać marszałkowi złote epolety.

A karzełek jak dawniej wykrzywił się i pokazywał figę, i nie sposób było przemówić mu do rozumu. Na krótko przed wyjazdem Ludmiły Nikołajewny do Saratowa Sztrumowi przyszło na myśl, że można rozszerzyć ramy teorii, choć, co prawda, w tym celu należałoby przyjąć dwa dowolne założenia i znacznie wzbogacić aparat matematyczny.

Nowe równania należały do tej części matematyki, w której szczególnie mocny był Sokołow. Sztrum nie czuł się w niej dostatecznie pewnie, poprosił więc Sokołowa o pomoc. Ten dosyć szybko zdołał wyprowadzić nowe równania dla rozszerzonej teorii. Sztrum cieszył się z sukcesu, gratulował Sokołowowi, Sokołow z kolei - Sztrumowi, ale niepokój i niezadowolenie pozostały.

Wkrótce Sztrum znowu popadł w przygnębienie.

Powiedział do Sokołowa: - Zauważyłem, Piotrze Ławrientjewiczu, że psuje mi się nastrój, gdy wieczorami Ludmiła Nikołajewna ceruje pończochy. Przypomina mi to nas obu - zacerowaliśmy teorię, ale to prymitywna robota, nitki innego koloru, wszystko bez sensu.

Rozjątrzał własne wątpliwości; na szczęście nie umiał sam się oszukiwać, czując instynktownie, że prowadzi to do zguby.

Rozszerzenie teorii nie przyniosło nic dobrego. Zacerowana traciła swój ład wewnętrzny, przyjęte założenia pozbawiały ją niezależnej mocy, samodzielnego życia; jej równania stały się zbyt ciężkie, trudno było się nimi posługiwać. Pojawiło się w niej coś wydumanego, umownego, anemicznego. Zupełnie jakby utraciła muskulaturę.

A nowa seria doświadczeń, które przeprowadził błyskotliwy Markow, znowu stanęła w sprzeczności z wyprowadzonymi równaniami. Żeby wyjaśnić tę nową sprzeczność, należałoby przyjąć kolejne dowolne założenie, znowu podeprzeć teorię kijem, podwiązać ją sznurkiem.

Bzdura, powiedział sobie Sztrum. Zrozumiał, że szedł fałszywą drogą. Dostał list od inżyniera Krymowa; ten pisał, że prace odlewnicze i tokarskie przy zamówionej przez Sztruma aparaturze trzeba będzie na pewien czas odłożyć. Fabryka jest zarzucona zamówieniami wojskowymi, więc przygotowanie aparatury opóźni się z pewnością o półtora czy nawet dwa miesiące w stosunku do ustalonego terminu.

Sztruma ten list bynajmniej nie przygnębił; nie czekał już na aparaturę z taką samą niecierpliwością jak dawniej, nie wierzył, że to ona zdoła zmienić rezultaty eksperymentów. Chwilami jednak ogarniała go złość, a wtedy miał ochotę czym prędzej otrzymać nowy sprzęt, by wreszcie upewnić się, że obfity, rozszerzony materiał doświadczalny kategoricznie i ostatecznie zaprzeczy teorii.

Fiasko prac łączyło się w jego świadomości z osobistymi nieszczęściami, wszystko zlało się w szarą beznadziejność.

Ten stan przygnębienia ciągnął się tygodniami, Sztrum zrobił się drażliwy, zaczął się przejmować domowymi drobiazgami, mieszać do spraw kuchennych, ciągle nie mógł się nadziwić, czemu Ludmiła wydaje tyle pieniędzy.

Nagle zainteresował się sporem Ludmiły z właścicielami mieszkania, żądającymi dodatkowej opłaty za używanie drewni.

- No, jak tam pertraktacje z Niną Matwiejewną? - pytał i kiedy wysłuchał opowieści Ludmiły, zirytował się: - A niech ją diabli, co za podła baba...

Teraz nie myślał o związku nauki z życiem ludzi, o tym, czy jest szczęściem, czy nie. Żeby tak myśleć, należało samemu czuć się zwycięzcą, mistrzem. A on w tych dniach sam uważał się za niezdolnego czeladnika. Zdawało się, że już nigdy nie będzie umiał pracować jak dawniej przeżyte nieszczęście pozbawiło go siły twórczej.

Przywoływał w pamięci nazwiska fizyków, matematyków, pisarzy, którzy swoich głównych odkryć dokonali w młodości, a kiedy mieli jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat, nic już znaczącego nie stworzyli. Mieli być z czego dumni, on natomiast będzie musiał czekać na śmierć bez dokonanego w młodości dzieła, które można by wspominać na starość, Zalois wytyczył niejedną drogę rozwoju matematyki, i to na całe stulecie, a zginął w wieku lat dwudziestu jeden; dwudziestosześcioletni Einstein publikował pracę *O elektrodynamice ciał będących w ruchu*, Hertz umarł przed czterdziestką. Jaka przepaść dzieli od nich jego, Sztruma! Powiedział Sokołowowi, że chciałby tymczasowo zawiesić prace laboratoryjne. Piotr Ławrientjewicz natomiast uważał, że należy je kontynuować; wiele się spodziewał po nowej aparaturze. A Sztrum nawet zapomniał powiedzieć mu o liście, który nadszedł z fabryki.

Wiktor Pawłowicz był pewien, że żona wie o jego niepowodzeniach; ona jednak nie rozmawiała z nim o pracy. Ignorowała najważniejszą rzecz w jego życiu, znajdowała za to czas na sprawy domowe, na rozmowy z Marią Iwanowną, na kłótnie z właścicielką mieszkania, na szycie sukienki dla Nadi, na spotkania z żoną Postojewa. Złościł się na Ludmiłę Nikołajewnę, nie rozumiał jej zachowania.

Wydawało mu się, że żona wróciła do swojego zwykłego życia, a ona robiła to, co zwyczajne, właśnie dlatego, że było zwyczajne, nie wymagało sił duchowych, których nie miała. Gotowała rosół z makaronem i mówiła o butach Nadi, bo przez długie lata zajmowała się sprawami domowymi i teraz mechanicznie powtarzała to, do czego przywykła. Mąż nie widział, że Ludmiła, żyjąc swoim poprzednim życiem, absolutnie nie bierze w nim udziału. Człowiek pogrążony w myślach idzie znaną sobie drogą, omijając dziury, przeskakując rowy, chociaż wcale ich nie zauważa.

Do tego, by rozmawiać z mężem o jego pracy, potrzebowałaby jakiegoś nowego duchowego napięcia, nowej siły, tymczasem nie miała jej w ogóle. Sztrumowi zaś wydawało się, że Ludmiła Nikołajewna interesuje się wszystkim, tylko nie jego pracą.

Czuł się urażony, że mówiąc o synu, zazwyczaj wspominała sytuacje, kiedy Wiktor Pawłowicz bywał niedostatecznie dobry dla Toli. Tak jakby chciała podsumować stosunki pasierba z ojczymem, a ich bilans nie wypadał na korzyść tego ostatniego.

Powiedziała matce: - Jak on się, biedak, dręczył, kiedy przez jakiś czas miał

pryszczę na twarzy. Prosił nawet, żebym zdobyła mu u kosmetyczki jakąś maść. A Wiktor ciągle go drażnił.

Tak rzeczywiście było.

Sztrum lubił drażnić Tolę: kiedy chłopak wracał do domu i witał się, ojczym zazwyczaj przyglądał mu się uważnie, kręcił głową i mówił w zadumie: - A to cię, bratku, wysypało.

Ostatnio Sztrum nie lubił spędzać wieczorów w domu. Czasem odwiedzał Postojewa, żeby zagrać w szachy, posłuchać muzyki - żona Postojewa była niezłą pianistką. Niekiedy chodził do swego nowego kazańskiego znajomego, Karimowa. Ale najczęściej bywał u Sokołowa. Podobał mu się jego nieduży pokój, podobał miły uśmiech gościnniej Marii Iwanowny, a już zwłaszcza rozmowy, jakie prowadzili przy stole.

Gdy natomiast, wracając późnym wieczorem, zbliżał się do domu, smutek, który zniknął na pewien czas, znowu go ogarniał.

64

Wracając z instytutu, Sztrum nie wstąpił do domu; poszedł do swojego nowego znajomego, Karimowa, żeby razem z nim odwiedzić Sokołowa.

Karimow był brzydki, dziobaty. Smagłość jego skóry podkreślała siwiznę głowy, a ta z kolei sprawiała, że wydawał się jeszcze bardziej smagły. Karimow mówił dobrze po rosyjsku, i tylko uważnie się przysłuchując, można było zauważyć lekki cień, naznaczający jego wymowę i budowę zdania.

Sztrum nie znał przedtem tego nazwiska, ale jak się okazało, było ono znane nie tylko w Kazaniu. Karimow przełożył na tatarski *Boską komedię*, *Podróże Guliwera*, a ostatnio pracował nad *Iliadą*.

Po wyjściu z sali uniwersyteckiej czytelnicy, często, kiedy jeszcze nie byli znajomymi, stykali się w palarni. Bibliotekarka, gadatliwa staruszka, niedbale ubrana, choć malująca usta, zdradziła Sztrumowi mnóstwo szczegółów dotyczących Karimowa - ukończył Sorbonę, miał dachę na Krymie i przed wojną dużą część roku spędzał nad morzem. Wojna zastała tam żonę i córkę Karimowa, on zaś nie ma o nich żadnych wiadomości. Staruszka napomknęła też o ośmiu ciężkich latach w jego życiu, a Sztrum na tę wieść popatrzył na nią z niedowierzaniem. Karimowowi z kolei staruszka na pewno opowiadała o Sztrumie. Wiedząc o sobie nawzajem, czuli się niezręcznie, że się nie znają osobiście, nie uśmiechali się więc przy spotkaniach, przeciwnie, chmurzyli. Skończyło się wreszcie tym, że kiedyś spotkali się w przedsionku biblioteki obaj równocześnie się roześmiali i zaczęli rozmowę.

Sztrum nie wiedział, czy rozmowa z nim jest dla Karimowa ciekawa, ale jemu samemu ciekawie się mówiło, kiedy słuchał go Karimow. Wiktor Pawłowicz wiedział, niestety, z doświadczenia, jak często ma człowiek do czynienia z rozmówcami niby to mądrymi i dowcipnymi, a w rzeczywistości okropnie nudnymi. Znał ludzi, w których obecności nie bardzo mógł nawet coś powiedzieć, bo jego głos stawał się drewniany, a rozmowa - bezsensowna i bezbarwna; jakiś dialog głuchych. Znał i takich, w których obecności każde szczere słowo brzmiało fałszywie. W obecności niektórych dawnych znajomych szczególnie mocno czuł swoją samotność.

Skąd się to brało? Ano stąd, że od czasu do czasu przypadkowo spotykał kogoś, kogo poznał kiedyś w podróży albo byli wspólnie świadkami jakiegoś incydentu; w obecności takiej osoby świat wewnętrzny człowieka nagle przestaje być samotny i niemy, odzyskuje mowę.

Szli obok siebie, rozmawiali, a Sztrum pomyślał, że teraz całymi godzinami nie wspomina o swojej pracy, szczególnie wieczorami u Sokołowa. Nigdy się to wcześniej nie zdarzało, przecież zawsze myślał o swojej pracy - kiedy jechał tramwajem, jadł obiad, słuchał muzyki czy też wycierał się po rannym myciu. Widocznie już bardzo ślepa musi być ta uliczka, w którą zabrnął, więc podświadomie odsuwa od siebie myśli o pracy...

- Jak się panu dziś pracowało, Achmecie Usmanowiczu? - spytał.

Karimow odrzekł: - Nic mi nie wchodzi do głowy. Myślałem cały czas o żonie i córce, raz wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze, że je zobaczę, innym razem znowu zaczynam się bać, że zginęły.

- Rozumiem pana - powiedział Sztrum.

- Wiem - zgodził się Karimow.

Sztrum pomyślał: „Dziwne - z człowiekiem, którego znam ledwie od kilku tygodni, gotów jestem rozmawiać o tym, o czym nie rozmawiam z żoną i córką”.

65

Przy stole w pokoiku Sokołowów prawie co wieczór zbierali się ludzie, którzy w Moskwie raczej by się nie spotykali.

Piotr Ławrientjewicz Sokołow, człowiek wybitnie uzdolniony, na każdy temat szeroko się rozwodził, używając książkowych słów. Nie chciało się wierzyć, że jest synem wołżańskiego marynarza, tak gładko przemawiał. Był to człowiek dobry i szlachetny, chociaż wyraz twarzy miał przebiegły, surowy.

Wołżańskiego marynarza nie przypominał także dlatego, że w ogóle nie pił, bał się przeciągów, zarazków, ciągle mył ręce i odkrawał skórkę z chleba w miejscu, którego dotykał palcami.

Czytając jego prace, Sztrum nie mógł wyjść z podziwu: człowiek, który myślał tak precyzyjnie i śmiało, tak zwięźle formułował i uzasadniał bardzo skomplikowane tezy, przy herbacie gadał nudno i rozwlekle.

Sam Sztrum, jak niejeden z tych, którzy wychowali się w środowisku ludzi kulturalnych i czytanych, lubił w rozmowie rzucić ostrzejsze słówka, jak „kit”, „bajzel”, albo gawędząc ze starym akademikiem, powiedzieć o kłótniwej uczonej damie „larwa” lub nawet „suka”.

Sokołow przed wojną nie znosił rozmów o polityce. Nabierał wody w usta bądź ostentacyjnie zmieniał temat, ledwie Sztrum poruszył te sprawy. Poza tym był jakiś dziwnie pokorny, nie oburzał się nigdy na okrucieństwa kolektywizacji i 1937 roku. Zdawał się traktować gniew państwa jak gniew natury albo bóstwa. Sztrum podejrzewał, że Sokołow jest wierzący, a wiara ta przejawia się i w jego pracy, i w stosunkach z ludźmi, i w uległości wobec moźnych tego świata.

Kiedyś zapytał go wprost: - Piotrze Ławrientjewiczu, czy pan wierzy w Boga?

Sokołow nachmurzył się i nic nie odpowiedział.

Zdumiewające, że chociaż ludzie, którzy zbierali się teraz wieczorami u niego, rozmawiali o polityce, Sokołow nie tylko tolerował te rozmowy, ale niekiedy sam brał w nich udział.

Maria Iwanowna, mała, chuda, poruszająca się niezręcznie jak podłotek, słuchała męża z jakąś szczególną uwagą. Na tę wzruszającą uwagę składały się nieśmiały szacunek uczennicy, zachwyt zakochanej kobiety, Macierzyński wręcz niepokój i protekcjonalna troska.

Oczywiście, rozmowy zaczynały się od komunikatów z frontu, potem ich temat oddalał się coraz bardziej od wojny. A jednak, o czymkolwiek rozmawiali, wszystko wiązało się z tym, że Niemcy doszli do Kaukazu i dolnego biegu Wołgi.

A ze smutnymi myślami o wojennych porażkach sąsiadowało uczucie desperacji, machanie ręką - e tam, co ma być, to będzie! O wielu sprawach rozprawiali wieczorami. Wydawało się, że zamknięta przestrzeń pokoiku przestaje być zamknięta, że ściany się rozstąpiły, a ludzie mówią całkiem inaczej.

Mąż zmarłej siostry Sokołowa, historyk Madjarow, z wielką głową i grubymi wargami, o skórze jakby z sinawosmagłego, mikroporowatego kauczuku, opowiadał czasem o wojnie domowej takie rzeczy, jakich próżno by szukać w książkach historycznych: o Węgrze Gavro, dowódcy pułku międzynarodowego, o dowódcy korpusu Kryworuczce, o Wasylu Bożence, o młodym oficerku Szczorsie, który w swoim wagonie kazał wychłostać członków komisji przysłanej przez radę wojenną na inspekcję.

Opowiedział o strasznym i dziwnym losie matki Gavry, starej węgierskiej chłopki, która przyjechała do ZSRR odwiedzić syna. Tymczasem po aresztowaniu Gavry wszyscy jej unikali, bali się, a ona, nie umiejąc ani słowa po rosyjsku, błąkała się półprzytomna po Moskwie.

Madjarow mówił o wachmistrzach i podoficerach z wygolonymi, sinawymi czaszkami, którzy chodzili w purpurowych bryczesach ze skórzanymi klinami i zostawiali szefami dywizji i korpusów, o tym, jak rozstrzeliwali lub ułaskawiali ludzi, a potem porzucali kawalerię, by podążyć za ukochaną kobietą... Opowiadał o pułkowych i dywizyjnych komisarzach w czarnych skórzanych budionnówkach, którzy czytali *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego i przestrzegali czerwonogwardzistów, by nie popadli w herezję Bakunina... Mówił o carskich chorążych, którzy zostawiali marszałkami i dowódcami armii.

Kiedyś zniżył głos i powiedział: - Działo się to w czasie, kiedy Trocki był jeszcze Lwem Dawidowiczem...

W jego smutnych oczach, jakie miewają często ludzie mądrzy, potężni i tęczy, pojawił się szczególny wyraz. Potem Madjarow uśmiechnął się i ciągnął swoją opowieść:

- W naszym pułku zorganizowaliśmy orkiestrę, zbieraninę trąbek, smyczków i instrumentów szarpanych. Orkiestra grała zawsze jedną i tę samą melodię, do której lud dorobił idiotyczne słowa: „Przez miasto przechodzili okropni krokodyli i oba cwaj w

zielony poszli gaj". Za każdym razem, czy szliśmy do ataku, czy grzebali poległych, orkiestra różnęła tych „krokodyli". Kiedyśmy się sromotnie cofali, przyjechał Trocki, żeby wzmocnić w nas ducha. Na wiec spędzono cały pułk. Pamiętam: zakurzone, senne miasteczko, wściekły upał, znużenie, słychać szczekanie psów, pośrodku placu stoi trybuna, i Trocki z wielką czerwoną kokardą, błyskając oczami, przemówił nagle: „Towarzysze czerwonoarmiści..." Huknął jak grom z jasnego nieba... A potem orkiestra zaczęła grać „krokodyli". Dziwna rzecz, ale ci „krokodyli" na bałajkach bardziej nam zaszumieli w głowach niż *Międzynarodówka* w wykonaniu wielkiej orkiestry - z gołymi rękami mogliśmy choćby zaraz ruszać na Warszawę czy Berlin...

Madjarow opowiadał spokojnie, niespiesznie, nie bronił tych dowódców dywizji czy korpusów, których potem rozstrzelano jako wrogów ludu i zdrajców ojczyzny, nie bronił Trockiego. Po zachwycie jednak nad Kryworuczką, Dubowem, po szacunku, z jakim wymieniał nazwiska dowódców i komisarzy zlikwidowanych w 1937 roku, czuło się, że nie wierzy w to, by marszałkowie Tuchaczewski, Blucher, Jegorow, komendant moskiewskiego okręgu wojskowego Murałow, komandarm drugiej rangi Lewandowski, Gamarnik, Dybienko, Bubnow, że pierwszy zastępca Trockiego, Sklanski, czy Unszlicht mieli być wrogami ludu i zdrajcami ojczyzny.

Normalny, spokojny ton, jakim mówił o nich Madjarow, wydawał się czymś niesłychanym. Potężne państwo stworzyło przecież nową przeszłość, ex post manewrowało czerwoną kawalerią, wyznaczało nowych bohaterów dawno minionych wydarzeń, a dymisjonowało bohaterów autentycznych. Miało dość siły, żeby na nowo rozegrać to, co działo się kiedyś, zmusić granit i brąz, by przekształciły się w nowe postacie, zmieniać tekst wygłoszonych niegdyś przemówień, przedstawiać osoby na historycznych fotografiach.

To była naprawdę nowa historia. Nawet żywi ludzie, którzy ocalili z tamtych czasów, przeżywali swoje życie na nowo, samych siebie zmieniali z ludzi mężnych w tchórzy, z rewolucjonistów w agentów obcych wywiadów.

Kiedy więc słuchało się Madjarowa, rodziło się w człowieku przekonanie, że musi pojawić się logika, jeszcze potężniejsza, logika prawdy.

Przed wojną nigdy takich rozmów nie prowadzono.

Kiedyś Madjarow powiedział: - Ej, wszyscy ci ludzie mogliby dzisiaj walczyć z faszyzmem do upadłego, nie szczędząc krwi. Niepotrzebnie wysłano ich do piachu...

Rodzina Sokołowów wynajmowała w Kazaniu pokój u inżyniera chemika Władimira Romanowicza Artielowa. Jego żona pracowała do wieczora, dwóch synów było na froncie. Sam Artielow pracował jako kierownik wydziału w zakładach chemicznych. Ubierał się łycho - nie miał zimowego płaszcza ani czapki, żeby zaś mu było ciepłej, pod gumowany płaszcz wkładał watowaną kacabajkę. Na głowie nosił pomietą, brudną czapczynę, a kiedy wychodził do pracy, naciągał ją mocniej na uszy.

Kiedy chuchając w czerwone, zmarznięte ręce, wchodził do Sokołowów i nieśmiało uśmiechał się do zebranych, Sztrumowi wydawało się, że to nie właściciel mieszkania, szef wydziału w olbrzymiej fabryce, ale biedny zahukany lokator.

Tego właśnie wieczoru, bojąc się skrzypnąć podłogą, stał przy drzwiach - z nieogolonymi, zapadniętymi policzkami - i słuchał Madjarowa. Po drodze do kuchni Maria Iwanowna podeszła do niego i szepnęła mu coś do ucha. Wystraszony Artielow

pokręcił głową - najwyraźniej wymawiał się od poczęstunku.

- Wczoraj - mówił Madjarow - pewien pułkownik, który się tutaj leczy, opowiadał, że ma sprawę w komisji partyjnej frontu: sprzał gębę lejtnantowi. Podczas wojny domowej coś takiego się nie zdarzało.

- Sam pan przecież mówił, że Szczors kazał wychłostać inspektorów Rewwojensowietu - zaoponował Sztrum.

- To podwładny chłostał przełożonych - powiedział Madjarow. - Jest różnica.

- To samo dzieje się w przemyśle - rzekł Artielow. - Nasz dyrektor wszystkim inżynierom i technikom mówi „ty”, a jak ktoś się do niego zwróci „towarzyszu Szurjew”, to obraża się; trzeba mówić z szacunkiem: „Leontiju Kuźmiczu”. Niedawno w wydziale zirytował go jeden stary chemik. Szurjew zrugął go ostatnimi słowami i krzyknął: „Jak każe, to masz robić, bo cię kopnę w d... i wylecisz z zakładu”. Do człowieka, który zaczął siedemdziesiąty drugi rok życia!

- A związek zawodowy co na to? - spytał Sokołow.

- Jaki tam związek. - Madjarow machnął ręką. - Związki zawodowe zawsze wzywają do ofiarności: przed wojną zajmują się przygotowaniem do wojny, w czasie wojny rzucają hasło: „Wszystko dla frontu”, a po wojnie będą zachęcały do likwidacji skutków wojny. Gdzież by tam miały głowę dla jakiegoś staruszka!

Maria Iwanowna półgłosem spytała Sokołowa:

- Może już czas na herbatę?

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął Sokołow. - Przynieś nam herbaty.

„Zdumiewająco bezszelestnie się porusza” - pomyślał Sztrum przelotnie, patrząc na szczupłe ramiona Marii Iwanowny, która prześlizgnęła się przez na wpół otwarte drzwi kuchenne.

- Ach, drodzy towarzysze - powiedział nagle Madjarow. - Wyobrażacie sobie, co to jest wolność prasy? Na przykład w spokojny powojenny ranek otwieracie gazetę i - zamiast triumfalnego wstępniaka, zamiast listu ludzi pracy do wielkiego Stalina, zamiast wiadomości, że brygada hutników podjęła zobowiązanie dla uczczenia wyborów do Rady Najwyższej albo że pracujący w Stanach Zjednoczonych witają nowy rok zgnębieni perspektywą rosnącego bezrobocia i nędzy - zamiast tego wszystkiego znajdujecie tam, wiecie co? Informacje! Wyobrażacie sobie taką gazetę? Gazetę, która podaje informacje! No i nagle czytacie: nieurodzaj w obwodzie kurskim, raport komisji w sprawie zbadania sytuacji w więzieniu butyrskim, dyskusja, czy Kanał Bałtycko-Białomorski jest nam potrzebny, robotnik Gołopuzow wypowiedział się przeciwko rozpisaniu nowej pożyczki państwowej.

Dowiadujecie się w ogóle o wszystkim, co dzieje się w kraju: o zbiorach i nieurodzaju; o entuzjzmie i o kradzieżach z włamaniem; o otwarciu nowej kopalni i katastrofie w starej, o różnicy zdań między Mołotowem a Malenkowem; czytacie reportaż o strajku wywołanym taktem, że dyrektor fabryki obraził siedemdziesięcioletniego chemika; czytacie teksty przemówień Churchilla czy Bluma, a nie inwektywy, że Ci panowie „ośmielają się twierdzić, jakoby”; czytacie korespondencję z Londynu na temat posiedzenia Izby Gmin; wiecie, ilu mieszkańców Moskwy popełniło wczoraj samobójstwo; ilu poszkodowanych w wypadkach trafiło do



szpitala im. Sklifosowskiego. Dowiadujecie się, dlaczego nie ma kaszy gryczanej, a nie tylko to, że z Taszkientu do Moskwy dostarczono samolotem pierwszą truskawkę. Ile gramów pracownik kołchozu otrzymuje za dniówkę, dowiecie się właśnie z takich gazet, a nie od pomocy domowej, do której przyjechała siostrzenica ze wsi, żeby kupić w Moskwie chleba. Tak, tak, a przy tym bez wątpienia jesteście nadal ludźmi radzieckimi.

Wchodźcie do księgarni i kupujecie książki, czytacie amerykańskich, angielskich, francuskich filozofów, historyków, ekonomistów, komentatorów politycznych i nie przestajecie wcale być ludźmi radzieckimi. Sami się orientujecie, w jakich sprawach tamci nie mają racji; sami, bez piastunki, spacerujecie ulicami.

W chwili kiedy Madjarow kończył swoją przemowę, weszła Maria Iwanowna z zastawą do herbaty.

Sokołow nagle rąbnął pięścią w stół i powiedział:

- Dosyć! Stanowczo proszę panów, żebyście dali spokój podobnym rozmowom.

Maria Iwanowna zdziwiona patrzyła na męża. Najwidoczniej drżały jej ręce, bo słychać było brzęk naczyń.

Sztrum roześmiał się: - No i zlikwidował nam Piotr Ławrientjewicz wolność prasy! Niedługo się utrzymała. Dobrze, że Maria Iwanowna nie słyszała tych herezji.

- Nasz system - rzekł z irytacją Sokołow - pokazał swoją siłę. Demokracje burżuazyjne poniosły klęskę.

- Oj, pokazał - powiedział Sztrum. - Ale kiedy w roku czterdziestym taki przeżytek jak demokracja burżuazyjna stał się w Finlandii z naszym centralizmem, wypadliśmy dosyć kiepsko. Nie jestem zwolennikiem demokracji burżuazyjnej, ale fakty są faktami. Tylko co ma z tym wspólnego stary chemik?

Sztrum obejrzał się i zobaczył uważne i uporczywe spojrzenie słuchającej go Marii Iwanowny.

- Kłopot był nie z Finlandią, tylko z fińską zimą - zaproponował Sokołow.

- Oj, daj spokój, Pietia - odezwał się Madjarow.

- Ujmijmy to tak - powiedział Sztrum. - W tej wojnie państwo radzieckie objawiło i swoje zalety, i swoje słabości.

- Niby jakie słabości? - spytał Sokołow.

- No, choćby takie, że wielu, którzy mogliby walczyć, siedzi teraz w więzieniach - odrzekł Madjarow. - No i widzi pan, bijemy się nad Wołgą.

- Ale co ma z tym wspólnego system? - drażył Sokołow.

- Jak to co? - zdziwił się Sztrum. - Według pana, Piotrze Ławrientjewiczu, Gogolowska wdowa sama się rozstrzelała w trzydziestym siódmym roku?

Wtedy znowu zobaczył uważne oczy Marii Iwanowny. Pomyślał, że w tym sporze zachowuje się dziwnie: kłóci się z Madjarowem, ledwie ten zacznie krytykować państwo; ale kiedy Sokołow naskakuje na Madjarowa, od razu krytykuje z kolei Sokołowa.

Sokołow lubił czasem pośmiać się z głupiego artykułu albo nieudolnego przemówienia, ale robił się twardy jak kamień, kiedy rzecz dochodziła do zasadniczej linii. Madjarow zaś, przeciwnie, wcale swojego nastawienia nie ukrywał.

- Pan chce tłumaczyć odwrót naszej armii niedoskonałością systemu radzieckiego - ciągnął Sokołow. - Ale Niemcy uderzyli na nasz kraj z taką siłą, że jeśli państwo ich cios wytrzymało, to znaczy, że dość wyraźnie okazało swoją potęgę, a nie słabość. Widzi pan cień rzucany przez giganta i mówi: „Patrzcie, jaki wielki cień”. A zapomina pan o samym gigancie. Przecież nasz centralizm jest źródłem gigantycznej energii społecznej, zdolnej dokonywać cudów. I ona już ich dokonała. I będzie dokonywała w przyszłości.

- Jeśli ktoś jest niepotrzebny państwu, wtedy państwo go wykończy, zniszczy, razem ze wszystkimi jego ideami, planami i dziełami - odezwał się Karimow - ale gdyby te idee były państwu na rękę, to dostałby wszystko, nawet latający dywan!

- No właśnie - przytaknął Artielow. - Przez miesiąc przebywałem w delegacji na terenie pewnego obiektu obronnego o szczególnym znaczeniu. Sam Stalin dzwonił do dyrektora, pytał o kolejne oddawane do użytku wydziały. Co za wyposażenie! Surowce, części zapasowe wszystko jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej! A warunki bytowe! Łazienka; śmietaną co rano dostarczali mi do domu. W życiu tak nie miałem. Zaopatrzenie specjalne! A co najważniejsze, żadnej biurokracji. Wszystko odbywało się bez papierków.

- Widocznie państwowa biurokracja, jak olbrzym w bajce, służy tam ludziom - rzekł Karimow.

- Jeśli w obiektach obronnych o szczególnym znaczeniu osiągnięto taki poziom, to bez wątpienia w całym przemyśle można wprowadzić podobny system - zauważył Sokołow.

- Enklawa! - rzekł Madjarow. - Tu działa nie jedna, ale dwie całkiem odmienne zasady. Stalin buduje to, co potrzebne jest państwu, a nie człowiekowi. Przemysł ciężki nie jest potrzebny ludziom, tylko państwu. Kanał Bałtycko-Białomorski nie służy ludziom. Na jednym biegunie są potrzeby państwa, a na drugim - człowieka. Nigdy nie da się ich pogodzić.

- No właśnie, a jak się nos wystawi poza enklawę, to zdechł pies - podsumował Artielow. - Jeśli moja produkcja potrzebna jest sąsiadom z Kazania, to zgodnie z planem muszę ją najpierw zawieźć do Czyty, a potem dopiero z Czyty dostarczyć z powrotem do Kazania. Kiedy potrzebni są mi monterzy, a nie mam wyczerpanego limitu na żłobek, to przerzucam monterów jako niańki do żłobka. Centralizacja nas zadusi! Wynalazca proponuje dyrektorowi zwiększenie wydajności z dwustu części do półtora tysiąca, a dyrektor przegania go na cztery wiatry. No bo plan wykonuje w kilogramach, więc tak będzie dla niego korzystniej.

I jeśli stanie u niego produkcja, a brakujący materiał można kupić na bazarze za trzy dychy, to raczej wybierze dwumilionową stratę, niż zaryzykuje kupno materiału na wolnym rynku.

Artielow obrzucił słuchaczy spojrzeniem i znowu zaczął mówić szybko, jakby bał się, że nie pozwolą mu skończyć:

- Robotnik dostaje mało, ale za pracę. Sprzedawca wody z syropem zarabia pięć razy więcej od inżyniera. A kierownictwo, dyrektorzy, narkomaty chcą jednego - wykonaj plan! Chodź spuchnięty z głodu, ale wykonaj! Mieliśmy takiego dyrektora, Szmatkowa, który krzychał na naradach: „Fabryka jest ważniejsza od rodzonyj matki, powinieneś trzy skóry z siebie zedrzeć, żeby wykonać plan. A z nieuświadomionego ja sam trzy skóry zedre”. No i nagle dowiadujemy się, że Szmatkow przenosi się do Wosniesieńska. Pytam go: „Jak pan może zostawiać fabrykę z takimi opóźnieniami w produkcji, Afanasiju Łukiczu?” A on mi tak szczerze, bez ogródek odpowiada: „Wie pan, mamy dzieci na uczelni w Moskwie, a Wosniesieńsk zawsze bliżej stolicy. Poza tym dają mi porządne mieszkanie, z ogrodem, a żona potrzebuje dobrego powietrza; zdrowie jej nie dopisuje”. No więc dziwię się: dlaczego państwo ufa takim ludziom, a robotnicy czy znakomici bezpartyjni uczeni z trudem wiążą koniec z końcem?

- To bardzo proste — rzekł Madjarow. - Takim ludziom powierzono coś więcej niż fabryki i instytuty, powierzono im serce systemu, jego świątynię: życiodajną moc radzieckiej biurokracji.

- Właśnie o tym mówię - ciągnął Artielow, który nie dostrzegł żartu. - Ja swój wydział kocham, daję z siebie wszystko. Ale nie potrafię robić tego, co najważniejsze - zdierać trzech skór z żywych ludzi. Z siebie jeszcze skórę zedre, a z robotnika jakoś nie mam odwagi.

Sztrum, choć sam nie wiedział dlaczego, odczuwał potrzebę, by sprzeczać się z Madjarowem, chociaż wszystko, co tamten mówił, wydawało mu się słuszne.

- W pana teorii jednak coś mi nie pasuje - powiedział. - Czyżby indywidualny interes człowieka nie zgadzał się, nie pokrywał dzisiaj całkowicie z interesem państwa, które stworzyło przemysł obronny? Wydaje mi się, że działa, czołgi, samoloty, które obsługują nasi synowie i bracia, potrzebne są każdemu z nas.

- Zgadzam się całkowicie - poparł go Sokołow.

66

Maria Iwanowna zaczęła nalewać herbatę. Przy stole dyskutowano teraz o literaturze.

- Zapomniano u nas Dostojewskiego - rzekł Madjarow. - W bibliotekach niechętnie go wypożyczają, a nowych wydań nie ma.

- Bo to reakcjonista - stwierdził Sztrum.

- Zgoda, niepotrzebnie napisał *Biesy* - zgodził się Sokołow.

Ale Sztrum zaraz zapytał:

- Jest pan pewien, Piotrze Ławrientjewiczu, że nie należało pisać *Biesów*, To raczej *Dziennika pisarza* Dostojewski nie powinien był pisać.

- Geniusza się nie fryzuje - rzekł Madjarow. - Dostojewskiego nie da się przykroić do potrzeb naszej ideologii. Co innego Majakowski. Stalin nie bez powodu nazwał go najlepszym i najbardziej utalentowanym poetą. Majakowski ze swoimi emocjami jest uosobieniem państwowości. A Dostojewski to wcielony humanitaryzm, nawet ze swoją państwowością.

- Jeśli już o tym mówimy - rzekł Sokołow - to w ogóle całą literaturę dziewiętnastowieczną trudno przykroić do naszych potrzeb.

- No, nie mów - zaprotestował Madjarow. - Na przykład Tołstoj upoetyzował ideę wojny narodowej, a państwo prowadzi przecież sprawiedliwą wojnę narodową. Jak powiedział Achmet Usmanowicz, idee się zgodziły, pojawił się więc latający dywan: Tołstoja nadają przez radio, czytają na wieczorach literackich i wydaje się go, i przywódcy go cytują.

- Najłatwiej z Czechowem, uznaje go i minioną epoką, i nasza - zauważył Sokołow.

- Aleś powiedział! - wykrzyknął Madjarow i plasnął dłońmi o stół. - Czechowa uznaje się u nas przez nieporozumienie. Tak samo jak jego w pewnym sensie następcę, Zoszczenkę.

- Nie rozumiem - rzekł Sokołow. - Czechow jest realistą, a cięgi zbierają u nas dekadenci.

- Nie rozumiesz? - spytał Madjarow. - No to ci wyjaśnię.

- Proszę mi tu nie obrażać Czechowa - odezwała się Maria Iwanowna. - Kocham go najbardziej ze wszystkich pisarzy.

- I masz rację, Maszeńko - poparł ją Madjarow. - Ty, Piotrze Ławrientjewiczu, dopatrujesz się u dekadentów humanitaryzmu?

Sokołow machnął ręką ze złością.

Ale Madjarow też machnął na niego ręką; koniecznie chciał powiedzieć swoje, musiał więc zarzucić Sokołowowi, że dopatruje się humanitaryzmu u dekadentów.

- Indywidualizm to nie humanitaryzm! Mylicie dwie sprawy. Wszyscy to mylą. Zdaje się wam, że dekadenci obrywają? Bzdura. Nie są wrody państwu, tylko po prostu niepotrzebni, obojętni. Jestem przekonany, że socrealizm i dekadentyzm nie dzieli wcale przepaść. Spieraliśmy się, co to jest socrealizm. To lustreczko, które na pytanie partii: „Kto jest najpiękniejszy w świecie?”, odpowiada: „Ty, ty, partio, rządzie, państwo, jesteście najpiękniejsi w świecie!” A dekadenci na to samo pytanie odpowiadają: „Ja, ja, ja, dekadent, jestem najpiękniejszy”. Czyli to nie taka wielka różnica. Socrealizm jest potwierdzeniem wyjątkowości państwa, a dekadentyzm - wyjątkowości indywidualnej. Metody są różne, ale istota ta sama - zachwyty wobec własnej wyjątkowości. Genialne państwo bez wad może gwizdać na wszystkich, z którymi nie jest mu po drodze. Nadwrażliwa dekadencja osobowość jest nieczuła na inne osobowości, poza dwiema - z jedną prowadzi subtelny rozmowę, a z drugą całuje się, kocha. Cóż, na pozór wydaje się, że indywidualizm, dekadentyzm to walka o człowieka. Diabła tam, w rzeczywistości wcale nie walczy. Dekadentom człowiek jest obojętny i państwu tak samo. Nie widzę tu żadnej przepaści.

Sokołow przymknął oczy i słuchał Madjarowa, czując, że ten zaraz poruszy jakiś zakazany temat. Przerwał mu więc:

- Przepraszam, a co ma z tym wspólnego Czechow?

- O nim właśnie mówię. Właśnie jego i współczesność dzieli prawdziwa otchłań. Przecież Czechow wziął na swoje barki nieistniejącą demokrację rosyjską. Droga

Czechowa to droga wolności Rosji. A myśmy musieli „pójść własną drogą”. Niech no pan spróbuje ogarnąć myślą wszystkich jego bohaterów. Może tylko Balzac wprowadził do świadomości społecznej taką masę ludzi. Ale nawet on nie! Niech pan pomyśli: lekarze, inżynierowie, adwokaci, nauczyciele, profesorowie, ziemianie, sklepikarze, fabrykanci, guwernantki, lokaje, studenci, urzędnicy wszystkich rang, hurtownicy, konduktorzy, swatki, diacy, archijereje, chłopci, robotnicy, szewcy, modelki, ogrodnicy, zoologowie, aktorzy, właściciele zajazdów, myśliwi, prostytutki, rybacy, porucznicy, kaprale, malarze, kucharki, pisarze, stróże, mniszki, żołnierze, akuszerki, katorżnicy na Sachalinie...

- Wystarczy, wystarczy! - zawołał Sokołow.

- Wystarczy? - z błazeńską groźbą w głosie rzucił drwiące pytanie Madjarow. - Nie, nie wystarczy! Czechow uświadomił nam cały ogrom Rosji, pokazał ludzi wszystkich jej klas, stanów, ludzi w każdym wieku... Mało tego! Wprowadził ich jako demokrata, rozumie pan, rosyjski demokrata! Powiedział to, czego nie powiedział nikt przed nim, nawet sam Tołstoj: wszyscy jesteśmy przede wszystkim ludźmi, rozumie pan, ludźmi, ludźmi, ludźmi! Po raz pierwszy w Rosji ktoś mówił coś takiego: najważniejsze jest to, że ludzie są ludźmi, a dopiero potem archijerejami, Rosjanami, sklepikarzami, Tatarami, robotnikami. Rozumie pan? Ludzie są dobrzy i źli nie dlatego, że są archijerejami czy robotnikami, Tatarami czy Ukraińcami; ludzie są równi, bo są ludźmi.

Pół wieku temu zaślepienie, wąskie, partyjne spojrzenie kazało nazwać Czechowa wyrazicielem „epoki przejściowej”. A tymczasem jest on chorążym największego sztandaru, jaki został wzniesiony w Rosji w ciągu tysiąca lat jej historii - sztandaru prawdziwej, przyjaznej demokracji rosyjskiej, rozumie pan, godności człowieka rosyjskiego, rosyjskiej wolności. Przecież nasz humanitaryzm zawsze był po sekciarsku okrutny i nieprzejednany. Od protopopa Awwakuma do Lenina nasz humanitaryzm i wolność są partyjne, fanatyczne, bez litości składają człowieka w ofierze abstrakcji. Nawet Tołstoj, głosząc niesprzeciwianie się złu przemocą, jest nietolerancyjny, co więcej zaś, za punkt wyjścia bierze nie człowieka, ale Boga. Dla niego ważne jest, żeby zatriumfowała idea dobroci, a przecież bogonoścy zawsze pragną gwałtem wcielić Boga w człowieka; zwłaszcza w Rosji nie cofną się w tym celu przed niczym, na nic nie będą zważać - pohańbią, zabiją.

Czechow powiedział: Bóg musi ustąpić miejsca, ustąpić muszą tak zwane wielkie postępowe idee; zacznijmy od człowieka. Bądźmy dobrzy, miejmy go na względzie, kimkolwiek jest - archijerejem, chłopem, fabrykantem milionerem, sachalińskim katorżnikiem, lokajem z restauracji; zacznijmy od tego, że będziemy kochać, szanować, żałować człowieka, bez tego nic nam nie wyjdzie. To właśnie jest demokracja, rosyjska demokracja, na razie niespełniona.

Rosjanin w ciągu tysiąca lat napatrzył się wszystkiego - i wielkości, i nadwielkości; jednego tylko nie zobaczył - demokracji. A propos, to właśnie stanowi różnicę między dekadentami a Czechowem. Dekadentowi państwo może w przystępie złości dać po łbie, kopnąć go w zadek. A sensu idei Czechowa państwo nie rozumie, dlatego właśnie go toleruje. U nas demokracja jest nieprzydatna, oczywiście, ta prawdziwa, humanitarna.

Widać było, że ostrość wywodów Madjarowa bardzo się Sokołowowi nie podoba.

A Sztrum, widząc to, z jakąś niepojętą dla siebie samego satysfakcją pochwalił:

- Świetnie pan to ujął, słusznie, mądrze. Proszę tylko o łaskę dla Skriabina; zaliczono go do dekadentów, a ja go lubię.

Zrobił ręką gest odmowy pod adresem żony Sokołowa, która postawiła przed nim spodeczek z konfiturą, i powiedział: - Nie, nie, dziękuję.

- To czarna porzeczka - namawiała gospodyni.

Popatrzył w jej piwne, żółtawe oczy i spytał:

- Czyżbym wspominał pani o swojej słabostce?

Bez słowa skinęła głową i uśmiechnęła się. Zęby miała nierówne, usta wąskie, mało wyraziste. Ale w uśmiechu jej blada, nieco szara twarz zrobiła się miła, ujmująca. „Ładna byłaby, owszem, gdyby tylko nosek nie czerwienił się cały czas” - pomyślał Sztrum.

Karimow rzekł do Madjarowa:

- Leonidzie Siergiejewiczu, jak mam pogodzić namiętą pochwałę humanitaryzmu Czechowa z pańskim peanem na cześć Dostojewskiego? Dla Dostojewskiego nie wszyscy ludzie w Rosji są jednakowi. Hitler nazwał Tołstoja kundlem, a portret Dostojewskiego podobno wisi w jego gabinecie. Jestem Tatarem, Azjata, urodziłem się w Rosji i nie wybaczam rosyjskiemu pisarzowi jego nienawiści do „Polaczków” i „Żydków”. Nie mogę - nawet jeśli jest geniuszem. Za wiele w carskiej Rosji upuszczono nam krwi w pogromach, za wiele napluto w twarz. W Rosji wielki pisarz nie ma prawa szcuć na obcoziemców, gardzić Polakami i Tatarami, Żydami, Ormianami, Czuwaszami.

Siwy, ciemnooki Tatar spytał Madjarowa z mongolskim, złośliwym, wzgardliwym uśmiechem:

- Być może czytał pan utwór Tołstoja *Hadži Murat*? Czytał pan *Kozaków*? A może i *Jeńca Kaukazu*? To wszystko napisał rosyjski hrabia, bardziej rosyjski od Litwina Dostojewskiego. Dopóki Tatarzy będą żyli, zawsze będą modlili się do Allacha za Tołstoja.

Sztrum popatrzył na Karimowa.

„No proszę - pomyślał. - To powiedział”.

- Achmecie Usmanowiczu - rzekł Sokołow - jak najbardziej szanuję pańską miłość do swojego narodu. Ale niech mi pan pozwoli też być dumnym z tego, że jestem Rosjaninem, pozwoli kochać Tołstoja nie tylko za to, że dobrze pisał o Tatarach. Nam, Rosjanom, z jakiegoś powodu nie wolno czuć dumy ze swego narodu, bo wtedy od razu zapisuje się nas do czarnej sotni.

Karimow wstał, jego twarz pokryła się perlistym potem, i odparł:

- Powiem panu prawdę; rzeczywiście, dlaczego miałbym mówić nieprawdę, skoro istnieje prawda. Jeśli przypomniemy sobie, że jeszcze w latach dwudziestych tępiono tych, z których naród tatarski jest dumny, wszystkich wybitnych przedstawicieli naszej kultury, to warto się zastanowić nad powodami, z jakich zakazuje się *Dziennika pisarza*.

- Nie tylko Tatarów, tłucli i naszych - wtrącił Artielow.

Karimow zaś ciągnął:

- Zniszczono nie tylko ludzi, zniszczono i kulturę narodową. Obecna inteligencja tatarska to dzikusy w porównaniu z tamtymi ludźmi.

- Słusznie - ironicznie potwierdził Madjarow. - Przecież oni mogli stworzyć nie tylko kulturę, ale i własną, tatarską politykę, także zagraniczną. A to jest niedopuszczalne.

- Macie teraz własne państwo - rzekł Sokołow. - Są instytucje, szkoły, opery, książki, gazety tatarskie, wszystko to dała wam rewolucja.

- To prawda, jest i opera państwowa, i operowe, a raczej operetkowe państwo. Tyle że nasze zboże zbiera Moskwa, i Moskwa wsadza nas do więzień.

- No, wie pan, gdyby wsadzali was Tatarzy, a nie Rosjanie, nie byłoby przez to lżej - zauważył Madjarow.

- A gdyby w ogóle nie wsadzali? - spytała Maria Iwanowna.

- Ho, ho, czegoż to ci się, Maszeńko, zachciewa - zakpił Madjarow.

Popatrzył na zegarek i powiedział: - Oj, już późno.

Maria Iwanowna pośpiesznie zaproponowała: - Lonieczka, niech pan zostanie u nas na noc. Pościelę panu na rozkładanym łóżku.

Kiedys skarżył się Marii Iwanownie, że szczególnie odczuwa swoją samotność, kiedy wieczorem wraca do domu, gdzie nikt na niego nie czeka, wchodzi do pustego, ciemnego pokoju.

- Cóż - rzekł Madjarow. - Nie mam nic przeciw temu. Piotrze Ławrientjewiczu, a ty?

- Nie, skąd - odpowiedział Sokołow, a Madjarow żartobliwie dodał: - Powiedział gospodarz bez szczególnego entuzjazmu.

Wszyscy wstali od stołu, zaczęli się żegnać. Sokołow poszedł odprowadzić gości, a Maria Iwanowna ściszyła głos i powiedziała do Madjarowa:

- Jak to dobrze, że Piotr Ławrientjewicz nie unika tych rozmów. W Moskwie, jak tylko padła jakaś aluzja, od razu milkł, zamykał się.

Z wyjątkowym szacunkiem wymawiała imię i imię ojcowskie męża: „Piotr Ławrientjewicz”. Nocami przepisywała ręcznie jego prace, przechowywała brudnopisy, naklejała na karton zrobione w przelocie notatki. Uważała go za wielkiego człowieka, co nie przeszkadzało jej traktować go jak bezradne dziecko.

- Podoba mi się ten Sztrum - rzekł Madjarow. - Nie rozumiem, dlaczego ludzie mówią, że jest niesympatyczny.

I dodał żartobliwie: - Zauważyłem, że wszystkie swoje oracje wygłaszał przy pani, Maszeńko, a kiedy pani szła do kuchni, nie popisывał się krasomówstwem.

Stała twarzą do drzwi, nic nie mówiąc, jakby słowa Madjarowa do niej nie dotarły, i po chwili dopiero powiedziała:

- Co pan mówi, Lonia? On mnie traktuje jak robaka. Pietia mówi, że jest nieżyczliwy, drwiący, że wynosi się nad innych fizyków, za co ci go nie lubią, a niektórzy się boją. Ale ja się z tym nie zgadzam, myślę, że to bardzo dobry człowiek.

- No, dobry to chyba najmniej odpowiednie określenie - odparł Madjarow. - Drażnił wszystkich, z nikim się nie zgadzał. Ale myśli swobodnie, nie na baczność.

- Nie, jest dobry, taki bezbronny.

- Trzeba jednak przyznać, że Pietia nawet teraz nie chlapnie niepotrzebnego słowa.

W tym czasie Sokołow wrócił do pokoju. Słyszał, co mówi Madjarow.

- Wiesz, jaką mam do ciebie prośbę, Leonidzie Siergiejewiczu - odezwał się. - Żebyś mnie nie pouczał, a po drugie, proszę, żebyś w mojej obecności nie zaczynał podobnych rozmów.

Madjarow odparł:

- Wiesz co, Piotrze Ławrientjewiczu, nie pouczaj mnie i ty. Sam odpowiadam za to, co mówię, tak samo jak ty.

Sokołow najwyraźniej chciał mu ostro odpowiedzieć, ale powstrzymał się i znowu wyszedł z pokoju.

- Cóż, chyba pójdę do domu - rzekł Madjarow.

Maria Iwanowna na to: - Bardzo mnie pan zasmuca. Przecież zna pan jego dobroć. Całą noc będzie się teraz gryzł.

Zacząła mu tłumaczyć, że Piotr Ławrientjewicz ma wrażliwą duszę, że dużo przeżył, w trzydziestym siódmym wzywano go na straszne przesłuchania, a potem spędził cztery miesiące w klinice dla nerwowo chorych.

Madjarow słuchał, kiwając głową, i powiedział:

- Dobrze, dobrze, Maszeńko, przekonała mnie pani. - Po czym nagle dał upust irytacji: - Wszystko to, oczywiście, prawda, ale nie jego jednego brali na przesłuchania. Pamięta pani, jak mnie przetrzymali jedenaście miesięcy na Łubiance? Przez te wszystkie miesiące pani Pietia zadzwonił do Kławy tylko raz. Do rodzonej siostry! I o ile pani pamięta, także pani zabronił do niej dzwonić. A Kława to strasznie przeżyła... Może on jest wielkim fizykiem, ale w duszy ma coś lokajskiego.

Maria Iwanowna ukryła twarz w dłoniach i siedziała bez słowa.

- Nikt, nikt nie zrozumie, jak mnie to wszystko boli - powiedziała cicho.

Tylko ona wiedziała, jaką ohydą był dla niego rok trzydziesty siódmy i okrucieństwa przymusowej kolektywizacji, jaki jest duchowo czysty. Ale też tylko ona знаła jego straszną bojaźliwość, jego uległość wobec władzy. Dlatego właśnie był w domu takim kapryśnym tyranem, przyzwyczał się, że Maszeńka czyści mu buty, wachluje go chustką w upał, a w czasie spacerów na letnisku ogania gałązką od komarów.



seminarium: - Nie da się tego w ogóle czytać: wazelina i straszna nuda.

Z tymi słowami cisnął na podłogę numer „Prawdy”.

Ledwie to powiedział, ogarnął go strach. Podniósł gazetę, otrzepał ją i uśmiechnął się zdumiewająco fałszywym uśmiechem; nawet po wielu latach robiło mu się gorąco, kiedy przypominał sobie ten cholerny uśmiech.

Po kilku dniach podał „Prawdę” temu samemu koledze i z ożywieniem powiedział: - Griszka, przeczytaj no ten wstępniak, nieźle napisali.

Kolega wziął gazetę i ze współczuciem powiedział:

- Żył na świecie biedny Witia. Myślisz, że doniosę?

Wtedy, jeszcze jako student, Sztrum dał sobie słowo, że nic nie będzie mówił, zachowa dla siebie ryzykowne opinie, a jeśli już je wypowie, to nie będzie się wykręcał. Ale słowa nie dotrzymał. Często tracił rozwagę, wybuchał, zdarzało się, że coś palnął, a potem niejednokrotnie tracił odwagę i zaczynał gasić wzniecony płomień.

W roku 1938, po procesie Bucharina, powiedział do Krymowa:

- Niech pan mówi, co chce, ale ja Bucharina znam osobiście, rozmawiałem z nim dwa razy. Mądra głowa, miły, inteligentny uśmiech, w sumie - absolutnie czysty, uroczy człowiek.

Po czym od razu, speszony ponurym wzrokiem Krymowa, wymamrotał:

- Chociaż diabli wiedzą, czy taki uroczy i czysty... Może i paskudny... Szpieg, agent carskiej ochrony!

I znowu musiał się zawstydzić - Krymow z tym samym ponurym wzrokiem, z jakim go słuchał, powiedział:

- Ponieważ jesteśmy rodziną, powiem wam: Bucharin do spółki z ochroną nie mieszczą się w mojej głowie, i nigdy się nie pomieszczą.

Wściekły i na samego siebie, i na siłę, która zabrania ludziom być ludźmi, Sztrum wykrzyknął nagle:

- Mój Boże, przecież nie wierzę w te okropne rzeczy! Te procesy to koszmar mojego życia. Dlaczego oni się przyznają, po co?

Ale Krymow nie kontynuował rozmowy, widocznie i tak dość dużo powiedział...

O cudowna, piękna siła szczerzej rozmowy, siła prawdy! Jaką straszną cenę płacili ludzie za kilka śmiałych, bez zastanowienia wypowiedzianych słów.

Ile razy nocą Sztrum leżał w łóżku i wsłuchiwał się w szum samochodów przejeżdżających ulicą! Ludmiła Nikołajewna bosą podchodziła do okna, odsuwała zasłonkę. Patrzy, czeka, a potem po cichu - wydaje jej się, że Wiktor Pawłowicz śpi - wraca do łóżka, kładzie się. Rano pyta:

- Jak spałeś?

- Dziękuję, nieźle. A ty?

- Trochę duszno było. Wstawałam, żeby uchylić lufcik.

- Aha.

Jak przekazać to nocne uczucie: że się jest niewinnym i zarazem skazanym? „Pamiętaj, Witia, każde słowo tam dociera, zgubisz siebie, mnie i dzieci”.

Inna z kolei rozmowa: „Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, ale na miłość boską, słyszysz z nikim o tym ani słowa. Wiktorze, ty nawet nie masz pojęcia, w jakich strasznych czasach żyjemy. Pamiętaj, Wiktor, ani słowa, z nikim...” Wiktor Pawłowicz przywołuje w pamięci nieprzeniknione, udrećzone oczy człowieka, którego zna od dziecka, a wtedy ogarnia go strach, nie dlatego, że tamten coś powiedział, ale właśnie dlatego, że stary przyjaciel czegoś nie mówi, a Wiktor Pawłowicz nie ma odwagi zapytać wprost: „Jesteś agentem, chodzisz tam?” Przypomina sobie twarz asystenta, przy którym lekkomyślnie zażartował, że Stalin na długo przed Newtonem sformułował prawo powszechnego ciężenia.

- Pan nic nie mówił, ja nic nie słyszałem - z uśmiechem odpowiedział młody fizyk.

Po co, po co, po co to mówił?! Takie żarty są z całą pewnością głupie, coś jakby stukanie palcem w naczynie z nitrogliceryną.

O piękna siło wolnego, dowcipnego słowa! Objawiasz się właśnie tak, że na przekór strachowi nagle się te słowa wypowiada.

Czy Sztrum wiedział, jak tragiczne są te obecne swobodne dyskusje? Przecież wszyscy oni, ich uczestnicy, nienawidzili hitleryzmu, bali się go... Dlaczego więc wolność błysnęła podczas wojny, która dotarła do Wołgi, kiedy wszyscy przeżywali gorzkie porażek wróżących nienawistne niemieckie jarzmo? Sztrum w milczeniu siedł obok Karimowa.

- Zdumiewające - powiedział nagle. - Kiedy się czyta zagraniczne powieści o inteligencji, niedawno na przykład czytałem Hemingwaya, u niego inteligenci podczas dyskusji cały czas piją. Koktajle, whisky, rum, koniak, znowu koktajle, znowu koniak, znowu whisky wszystkich rodzajów. A rosyjska inteligencja swoją zasadniczą dyskusję toczy przy szklance herbaty. Przy tej sławetnej cienkiej herbatce zmawiają się narodowolcy i narodnicy, i socjaldemokraci, i Lenin z przyjaciółmi planował wielką rewolucję przy herbatce. Co prawda, mówią, że Stalin woli koniak.

Karimow odrzekł:

- Tak, tak, tak. Dzisiejsza rozmowa także odbyła się przy herbatce. Słusznie pan zauważył.

- No właśnie. Ma łeb ten Madjarow! Śmiały jest! Te rozmowy z nim strasznie człowieka wciągają, są takie niezwykle, aż do szaleństwa.

Karimow wziął Sztruma pod rękę.

- Wiktorze Pawłowiczu, zauważył pan, że najbardziej niewinna uwaga w ustach Madjarowa brzmi jak uogólnienie? Mnie to niepokoi. W trzydziestym siódmym aresztowali go na kilka miesięcy i wypuścili. A przecież wtedy nie wypuszczali nikogo. Chyba że mieli powód. Rozumie pan?

- Rozumiem, rozumiem, jak mógłbym nie rozumieć - rzekł powoli Sztrum- - Czy przypadkiem nie kapuje?

Rozstali się na rogu ulicy i Sztrum poszedł do domu.

„Diabli z nim, niech mu będzie - myślał. - Przynajmniej pogadaliśmy po ludzku, bez strachu, o wszystkim, na całego, bez udawania, bez obłudy. Paryż wart jest mszy...” Dobrze, że są, że nie zginęli tacy ludzie jak Madjarow, niezależni duchowo. Słowa Karimowa, wypowiedziane na pożegnanie, nie sprawiły, że - jak zazwyczaj - zamarło w Wiktorze serce.

Pomyślał, że znowu zapomniał opowiedzieć Sokołowowi o liście, który nadszedł z Uralu.

Szedł pustą, ciemną ulicą.

Wtem przyszła mu do głowy pewna myśl. Od razu, bez chwili zastanowienia, poczuł, że jest słuszna. Zobaczył nowe, zaskakująco nowe wytłumaczenie tych zjawisk jądrowych, które, wydawałoby się, są nie do wyjaśnienia - przepaście nagle stały się mostami. Co za prostota, co za światło! Myśl ta była zdumiewająco przyjemna, pogodna, wydawało się, że to nie on ją zrodził, tylko sama się wyłoniła - zwyczajnie, lekko, jak lilia wodna ze spokojnej, ciemnej toni jeziora, a on tylko wydał okrzyk zachwytu na widok jej piękna...

Dziwna sprawa, pomyślał nagle. Powstała w umyśle dalekim akurat od rozważań o nauce, kiedy spory na temat życia, które go wciągnęły, były odbiciem myśli człowieka wolnego; na słowa jego i jego rozmówców nie miało wpływu nic poza gorzką wolnością.

68

Porośnięty ostnicą step kałmucki wydaje się nędzny i smętny, kiedy się widzi go po raz pierwszy, kiedy człowiek siedzi w samochodzie, pełen obaw i troski, z roztargnieniem śledząc rosnące i malejące w oczach niewysokie wzgórza, powoli wypływające zza horyzontu i znów odpływające za horyzont... Darieskiemu wydawało się, że płynie przed nim ciągle to samo omiatane wiatrami wzgórze, że pokonuje ciągle ten sam zakręt drogi, który ukazuje się i chowa pod kaczukowe opony samochodu. Jeźdźcy na stepie wydawali się też ciągle ci sami, jednakowi, chociaż w rzeczywistości byli raz młodzi, a raz siwi i brodaci; raz siedzieli na bułanych konikach, innym razem na wronach...

Samochód przejeżdżał przez przysiółki i chutory, mijał domki z małymi okienkami, które z kwitnącym w nich geranium wyglądały jak szklane gabloty z eksponatami - wydawało się, że wystarczy stłuc szybę, by w otaczającą je pustkę uleciało całe powietrze, a zieleń wyschła, zmarniała; mijał okrągłe, oblepione gliną jurty; jechał i jechał wśród wyblakłej ostnicy, wśród kłującej wielbłądziej trawy, wśród plam solnisk; mijał owce wzbijające kurz małymi kopytkami, mijał bezdymne, kołysane wiatrem ogniska...

Opony wypełnione miejskim, zadymionym powietrzem niosły podróżnego, a w jego głowie wszystkie widoki zlewały się w jednostajną, ubogą szarość, wszystko stawało się monotonne, jednakowe... Solanka, ostrożeń, ostnica, piołun... Wzgórza rozplaszczają się na równinie, po której przejechał kiedyś walec wielu ogromnych epok. Zdumiewającą właściwość ma ten południowo-wschodni step w Kałmucji, przechodzący stopniowo w piaszczystą pustynię, ciągnącą się na wschód od Elisty w kierunku Jaszkułu i aż do ujścia Wołgi, do brzegów Morza Kaspijskiego... W tym stepie ziemia i niebo tak długo wpatrzono w siebie nawzajem, że stały się podobne, jak

mąż i żona, którzy razem przeżyli życie. I nie sposób już odróżnić, co to jest - czy aluminiowa, przysypana kurzem siwizna ostnicy wyrosła na nieśmiałym i smutnym błękitnie nieba, czy też błękit odbija się w stepie; i już nie sposób oddzielić nieba i ziemi, tak zmieszały się w mlecznym kurzu. Kiedy zaś patrzy człowiek na gęstą, ciężką wodę jezior Caca i Barmancak, wydaje mu się, że to sól wystąpiła na powierzchnię ziemi, a niech tylko popatrzy na solne liszaje, od razu pomyśli, że to nie ziemia, ale tafla jeziora...

Zadziwiająca jest droga przez kałmucki step w bezśnieżne dni listopada i grudnia - ta sama szarzielona roślinność, ten sam kurz unosi się nad drogą - nie wiadomo, czy to słońce wysuszyło tak ziemię, czy mrozy.

Granica między powietrzem a ziemią, wodą a solniskiem jest zatarta i może dlatego powstają tu miraży. Po impulsie, który daje mózg spragnionego człowieka, po zrywie myśli ten świat nagle zaczyna się przekształcać, gorące powietrze staje się niebieskawym, smukłym kamieniem, woda cicho pluska na jałowej ziemi i aż po horyzont ciągną się ogrody palmowe, a promienie straszliwego, niszczącego słońca, mieszając się z kłębam kurzu, zmieniają się w złote kopuły świątyń i pałaców... Kiedy człowiek jest wyczerpany, sam tworzy z nieba i ziemi świat swoich pragnień.

Samochód ciągle pędzi i pędzi drogą, nudnym stepem.

Niespodziewanie ten pusty stepowy świat ukazuje się człowiekowi całkiem inaczej, całkiem na nowo...

Step kałmucki! Stary, szlachetny twór przyrody, gdzie nie ma ani jednej krzykliwej barwy, żadnej gwałtownej, ostrej rysy w rzeźbie terenu, gdzie powściągliwy smętek odcieni szarzysty i błękitu może iść o lepsze z tytaniczną lawiną kolorów rosyjskiego lasu jesienią, gdzie łagodne, lekko faliste linie wzgórz czarują duszę głębiej niż szczyty Kaukazu, gdzie skąpe jeziora, pełne ciemnej, spokojnej, odwiecznej wody, zdają się wyrażać jej istotę lepiej niż wszelkie morza i oceany...

Wszystko mija, a to olbrzymie, ciężkie, żeliwne słońce w wieczornym dymie i ten gorzki wiatr, nasycony po brzegi piołunem, nie pozwalają o sobie zapomnieć. Potem zaś step ukazuje się nie w ubóstwie, ale w bogactwie...

Gdy nadejdzie wiosna, step jest młody, cały w tulipanach; to ocean, w którym ryczą nie fale, ale barwy. Złośliwe, ostre wielbłądzie kolce okraszone są zielenią; jeszcze młode, delikatne i miękkie, nie zdążyły stwardnieć...

A latem, nocą, w stepie widać, jak wznosi się nad nim cały galaktyczny drapacz chmur - od błękitnych i białych brył fundamentu do ginących pod dachem świata mgławic i lekkich kopuł gromad gwiazdnych...

Step posiada pewną godną najwyższej uwagi właściwość. Nie opuszcza go ona nigdy - step ma ją i zimą, i w lecie, i o świcie, i nocą, ciemną i słotną, czy też pogodną. Człowiekowi step mówi przede wszystkim o wolności... Przypomina o niej tym, którzy ją utracili.

Darieński wyszedł z samochodu i patrzył na jeźdźca, który wjechał na wzgórze. Mężczyzna w chałacie przepasanym sznurkiem siedział na kosmatym koniku i wpatrywał się w step. Był stary, jego twarz wydawała się stwardniała na kamień.

Darieński zawołał na staruszkę, podszedł do niego i podsunął mu papierośnicę.

Jeździec całym ciałem szybko obrócił się w siodle; łączył w sobie młodzieńczą ruchliwość i roztropną powolność starości. Spojrzał na wyciągniętą rękę z papierośnicą, następnie na twarz Darińskiego, potem na jego pistolet u pasa, trzy podpułkownikowskie belki, eleganckie buty. Następnie cienkimi brązowymi palcami, tak drobnymi, że można je było nazwać paluszkami, wziął papierosa i poobracał go w powietrzu.

Kamienna twarz starego Kałmuka z wystającymi kośćmi policzkowymi cała się zmieniła, spośród zmarszczek wyjrzało dwoje dobrotliwych i mądrych oczu. Spojrzenie tych piwnych oczu, równocześnie badawcze i ufne, kryło widocznie w sobie coś bardzo pięknego. Darińskiemu z jakiegoś powodu zrobiło się dobrze, radośnie na duszy.

Kiedy podchodził do staruszka, koń nieżyczliwie strzygł uszami, teraz jednak nagle się uspokoił, nastawił z ciekawością najpierw jedno, potem drugie ucho, a w końcu uśmiechnął się całym zębatym pyskiem i ślicznymi oczami.

- Dzięki - wysokim głosem rzekł stary.

Przesunął dłonią po ramieniu Darińskiego i powiedział:

- Ja miał dwa syny w kawalerii, jedna zabita, starsza - pokazał ręką gdzieś powyżej końskiej głowy - a druga młodsza - i wskazał miejsce poniżej tejże głowy - cekaem, dostał trzy order. - Potem zapytał: Twoja ma ojciec?

- Matka żyje, ojciec nie.

- Aj, niedobrze. - Staruszek pokręcił głową, a Dariński pomyślał, że nie tylko z uprzejmości, ale szczerze martwi się wiadomością, że rosyjskiemu podpułkownikowi, który poczęstował go papierosem, umarł ojciec.

Nagle stary zakrzyknął, beztriosko machnął ręką i koń rzucił się w dół ze wzgórza niesamowicie szybko i zarazem lekko.

O czym myślał jeździec, pędząc po stepie: o synach, czy o tym, że nie żyje ojciec rosyjskiego podpułkownika, który został przy samochodzie? Dariński obserwował galop staruszka, a w skroniach pulsowała mu nie krew, ale jedno tylko słowo: „Swoboda... swoboda... swoboda...” Poczuł, że zazdrości staremu Kałmukowi.

69

@Sztab frontu odkomenderował Darińskiego na dłuższy czas do armii dyslokowanej na skraju lewego skrzydła. Taka podróż uważana była wśród pracowników sztabu za wyjątkowo uciążliwą - przerażał ich brak wody, dachu nad głową, słabe zaopatrzenie, wielkie odległości i kiepskie drogi. Dowództwo nie znało dokładnie sytuacji w wojskach zagubionych wśród piasków między wybrzeżem kaspijskim a kałmuckim stepem, toteż posyłając Darińskiego w te okolice, przydzieliło mu mnóstwo zadań.

Dariński przejechał stepem setki kilometrów i poczuł, że opanowała go melancholia. Tutaj nikt nie myślał o ofensywie, sytuacja wojsk zapędzonych przez Niemców na koniec świata wydawała się bez wyjścia...

Czyż nie było snem to, co działo się jeszcze niedawno w sztabie, niesłabnące nawet nocą napięcie, domysły na temat bliskiej ofensywy, ruchy odwodów, telegramy, szyfrowane depeze, całodobowa praca frontowego węzła łączności, huk

nadciągających z północy samochodowych i pancernych kolumn? Słuchając niewesołych pogawędek dowódców artylerii i piechoty, zbierając i sprawdzając dane o stanie sprzętu, dokonując inspekcji dywizjonów i baterii artyleryjskich, patrząc na ponure twarze szeregowców i dowódców, widząc, jak powoli, leniwie poruszają się ludzie w kurzu stepowym, Darieński stopniowo poddawał się monotonnemu smętkowi tych stron. No właśnie, myślał, Rosja doszła do wielbłądzich stepów, do wydm barchanowych, spoczęła, bezsilna, na niezycyliwej ziemi - i już się nie podniesie, nie wstanie.

Darieński przyjechał do sztabu armii i poszedł szukać jej dowódców.

W obszernym, na wpół ciemnym pomieszczeniu, łysawy zuch o spasionej twarzy siedział w bluzie bez dystynkcji i grał w karty z dwiema młodymi kobietami w mundurach z lejtnanckimi rombami. Kiedy Podpułkownik wszedł, nie przerwali gry, spojrzeli na niego z roztargnieniem i nadal zawzięcie przerzucali się pytaniami: - Atu nie chcesz? A może waleta? Nie? Darieński odczekał, aż skończy się rozdawanie kart, i spytał: - Czy znajdę tutaj dowódcę armii? Jedna z kobiet odpowiedziała: 301 - Pojechał na prawe skrzydło, będzie dopiero wieczorem. - Zmierzyła Darieńskiego wzrokiem doświadczonej żołnierki i spytała: - Wy, towarzyszu podpułkowniku, na pewno ze sztabu frontu? - Tak jest - potwierdził Darieński, ledwie dostrzegalnie puścił oko i spytał: - Przepraszam, a może zobaczyłbym się z członkiem rady wojennej? - Pojechał z dowódcą, będzie dopiero wieczorem - odpowiedziała druga z kobiet i spytała: - A wy przypadkiem nie ze sztabu artylerii? - Tak jest.

Pierwsza, która informowała go o dowódcy, wydała się Darieńskiemu dosyć interesująca, chociaż była wyraźnie starsza niż ta, która odpowiedziała na pytanie o członka rady. Niekiedy takie kobiety wydają się szczególnie powabne, czasami zaś przypadkowo, przy jakimś obrocie głowy, raptem stają się zwiędłe, stare, brzydkie. Ta była właśnie z takiej rasy, miała ładny, prosty nos i niezycyliwe niebieskie oczy, świadczące o tym, że ich właścicielka zna doskonale i swoją własną wartość, i wartość innych.

Jej twarz wydawała się całkiem młoda, nie dałoby się kobiecie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ledwie jednak się zachmurzyła, zamyśliła, od razu widoczne stały się zmarszczki w kącikach ust i zwiotczała skóra pod podbródkiem - musiała mieć co najmniej czterdzieści pięć.

Ale nogi w chromowych, szytych na miarę butach rzeczywiście były ładne.

Wszystkie te szczegóły, o których dosyć długo można by opowiadać, od razu stały się widoczne dla doświadczonego oka Darieńskiego.

Druga kobieta była młoda, ale tęga; zdążyła już przytyć. Wszystko z osobna nie było w niej takie znowu ładne - i nieco rzadkie włosy, i szerokie kości policzkowe, i oczy nieokreślonego koloru. Za to była młoda i bardzo kobieca, kobieca do tego stopnia, że nawet ślepy, gdyby znalazł się w pobliżu niej, musiałby chyba wyczuć tę jej kobiecość.

Darieński zauważył to od razu, dosłownie w ciągu sekundy.

Co więcej, w tej samej sekundzie zdołał od razu ocenić zalety pierwszej z kobiet, tej, która mówiła o dowódcy, i drugiej, tej, która poinformowała go o członku rady. Dokonał więc wyboru, którego prawie zawsze dokonują mężczyźni patrzący na

kobiety, chociaż wybór taki nie ma zwykle żadnych praktycznych następstw. Darieński, zastanawiając się, jak znajdzie dowódcę i czy ten udzieli potrzebnych mu informac302 cji, gdzie mógłby zjeść obiad i załatwić sobie jakiś nocleg, czy daleka i trudna jest droga do dywizji na prawym skrzydle, zdążył jednocześnie, mimo woli i nie tak znów bardzo mimo woli pomyśleć: „O, ta!” No i stało się tak, że nie poszedł od razu do szefa sztabu armii po niezbędne dane, tylko został i zaczął grać w durnia z tą trójką.

W czasie gry (został partnerem niebieskookiej) wyjaśniło się mnóstwo spraw - jego partnerka nazywa się Ała Siergiejewna; druga, młodsza, pracuje w sztabowym punkcie medycznym; pyzaty zuch bez stopnia wojskowego ma na imię Wołodia, widocznie jest krewnym któregoś z dowódców i kucharzem w stołówce rady wojennej.

Darieński od razu poczuł siłę Ały Siergiej ewny - świadczyło o niej to, jak zwracali się do niej wszyscy wchodzący do pokoju. Widocznie dowódca armii był jej legalnym mężem, a nie tylko kochankiem, jak początkowo myślał Darieński.

Nie bardzo wiedział, dlaczego Wołodia traktuje ją tak familiarnie.

Ale potem go olśniło: Wołodia jest bratem pierwszej żony dowódcy.

Nie było całkiem jasne, czy ta pierwsza nie żyje, czy też mąż formalnie się z nią rozwiódł.

Młodsza kobieta, Kławdia, oczywiście nie była oficjalną żoną członka rady wojennej. Dlatego w głosie Ały Siergiejewny czuło się niekiedy ton wyższości i pewnego lekceważenia: „Owszem, gramy razem w durnia, jesteśmy na «ty», ale przecież tego wymagają interesy wojny, w której obie bierzemy udział”.

Pod pewnym względem i Kławdia czuła swoją wyższość nad Ałą Siergiejewną. Darieński ująłby to mniej więcej tak: „Chociaż żadna ze mnie żona, tylko frontowa przyjaciółka, za to wierna jestem swojemu członkowi rady. A o tobie, chociaż jesteś ślubna, to i owo jednak wiemy.

Spróbuj no tylko powiedzieć «p/o żony»...” Wołodia nie ukrywał, jak bardzo podoba mu się Kławdia. W przybliżeniu jego stosunek do niej wyglądał następująco: „Moja miłość jest beznadziejna, gdzieżbym ja, kucharz, śmiał równać się z członkiem rady wojennej... Ale chociaż jestem tylko kucharzem, kocham cię czystą miłością. Wiesz dobrze sama: wystarczy, że mogę patrzeć w twoje oczy, a miłość, jaką kocha cię tamten człowiek, mnie nie obchodzi”.

Darieński słabo grał w durnia, więc Ała Siergiejewna wzięła go pod opiekę. Spodobał jej się chudy podpułkownik, który mówił: „Jestem Pani wdzięczny”, mamrotał: „Na miłość boską, proszę mi wybaczyć”, 303 kiedy ich ręce stykały się przy rozdawaniu kart, i patrzył smętnie na Wołodię, który wycierał nos palcami, te zaś dopiero potem - chustką.

Podpułkownik uśmiechał się uprzejmie przy cudzych żartach i sam opowiadał świetne dowcipy.

Po jednym z tych dowcipów Ała Siergiejewna przyznała: „Subtelny, nie od razu zrozumiałam. Zgłupiałam w tym stepie”.

Powiedziała to niezbyt głośno, jakby dając Darieńskiemu do zrozumienia, że mogą prowadzić swoją własną rozmowę, w której tylko we dwoje będą uczestniczyć, rozmowę, od której czuje się chłód w piersi, tę szczególną, jedyną istotną rozmowę

kobiety z mężczyzną.

Darieński nadal się mylił, ona go poprawiała, a równocześnie wywiązała się między nimi inna gra, w tej już błędów nie popełniał, znał ją na wylot... I chociaż nie padło w niej nic poza: „Proszę nie przetrzymywać pika...”, „Niech pan podrzuca, niech pan się nie boi, tylko podrzuca, nie chowa atu...” - Ałła już poznała i doceniła wszystkie ujmujące cechy, które miał w sobie: i łagodność, i siłę, i powściągliwość, nieśmiałość i zuchwałość zarazem... Wszystkie te zalety Ałła Siergiejewna widziała; i dlatego, że umiała je dostrzec, i dlatego, że Darieński umiał je zaprezentować. Potrafiła też okazać, że rozumie spojrzenia, jakie rzucał na jej roześmiane usta, ręce, elegancko polakierowane paznokcie, ramiona, piersi pod odświętną gabardynową bluzą, jej nogi. Czuł, że jej głos jest troszkę nienaturalny, zbyt przeciągły, a uśmiech zbyt długi jak na zwyczajny uśmiech; akurat taki, żeby mógł docenić i miły głos, i białość jej zębów, i dołki na policzkach...

Darieński był wzruszony i wstrząśnięty uczuciem, jakie niespodziewanie go ogarnęło. Nigdy do niego się nie przyzwyczai, za każdym razem miał wrażenie, że nawiedza go ono po raz pierwszy. Jego duże doświadczenie w stosunkach z kobietami nie zmieniało się w nawyk doświadczenie swoją drogą, a szczęśliwe zauroczenie swoją. Właśnie to znamionuje prawdziwego, a nie udawanego kobieciarza.

Jakoś tak wyszło, że tej nocy został w punkcie dowodzenia armii.

Rano poszedł do szefa sztabu, małomównego pułkownika, który nie zadał mu ani jednego pytania o Stalingrad, o sytuację na północny zachód od miasta, o nowiny z frontu. Po rozmowie Darieński zrozumiał, że sztabowy pułkownik nie bardzo czym ma zaspokoić jego inspektorską ciekawość, poprosił więc o parafkę na rozkazie i pojechał do jednostek.

304 Wsiadł do samochodu z dziwną lekkością w rękach i nogach, bez żadnej myśli, bez pragnień; odczuwał pełne zadowolenie i zarazem całkowitą pustkę... Wydawało mu się, że wszystko wokół niego również stało się jałowe, puste - niebo, ostnica i pagórki na stepie, które jeszcze wczoraj tak mu się podobały. Nie miał ochoty żartować ani nawet rozmawiać z kierowcą. Myśli o bliskich, nawet o matce, którą kochał i szanował, były nudne, zimne... Rozważania na temat walk na pust- kowiu, na krańcu ziemi rosyjskiej, nie ożywiały go, były apatyczne.

Darieński co chwila spluwał, kręcił głową i z jakimś tępyim zdziwieniem mruzczał: „To ci baba...” Jak zwykle, chodziły mu po głowie pełne skruchy myśli, że z takich przygód nic dobrego wyniknąć nie może; przypominały się słowa wyczytane gdzieś, może u Kuprina, a może w jakiejś tłumaczonej z obcego języka powieści, że miłość podobna jest do węgla: rozżarzona - parzy, a zimna - brudzi... Miał ochotę nawet zapłakać, właściwie nie tyle zapłakać, ile pomarudzić, poskarżyć się komuś, bo przecież nie z własnej woli taki się stał; to los doprowadził biednego podpułkownika do takiego traktowania miłości... Potem zasnął, a kiedy się obudził, pomyślał nagle: „Jeśli przeżyję, koniecznie w drodze powrotnej wpadnę do Ałły”.

70 Major Jerszow wrócił z pracy, zatrzymał się przy pryczy Mostowskiego i powiedział: - Amerykanin słuchał radia: nasz opór pod Stalingradem krzyżuje Niemcom szyki.

Zmarszczył czoło i dodał: - Miał jeszcze wiadomość z Moskwy... jakby to



powiedzieć, o likwidacji Kominternu.

- Czyście zwariowali? - zachnął się Mostowski, patrząc w inteligentne oczy Jerszowa, przypominające zimną, mętną wodę wiosenną.

- Może jankes coś pokręcił - ustąpił Jerszow i zaczął się drapać w pierś. - Może jest dokładnie na odwrót, rozszerzają Komintern.

Mostowski znał w swoim życiu niemało ludzi, którzy stawali się wyrażicielami ideałów, namiętności, myśli całego społeczeństwa, jego membraną. Mogło się wydawać, że tych ludzi nigdy nie omija żadne ważne wydarzenie w Rosji. Takim wyrazicielem myśli i ideałów społeczności obozowej był Jerszow. Ale wieść o likwidacji Kominternu absolutnie nie zainteresowała tego, który dzierżył rząd dusz w obozie.

Komisarz brygadowy Osipow, który kierował niegdyś pracą polityczną w dużej jednostce wojskowej, też obojętnie przyjął tę wiadomość.

Powiedział: - Generał Gudź mówił mi: „To właśnie przez wasze internacjonalistyczne wychowanie, towarzyszu komisarzu, musieliśmy zwiewać.

Trzeba było wychowywać lud w duchu patriotycznym, rosyjskim”.

- Niby jak to: za Boga, cara i ojczyznę? - Mostowski uśmiechnął się.

- To wszystko głupstwa - rzekł Osipow, ziewając nerwowo. - Nie chodzi o ortodoksję; tylko o to, że Niemcy żywcem skórę z nas zedra, towarzyszu Mostowski, ojciec kochany.

Hiszpański żołnierz, którego Rosjanie nazywali Andriuszka, śpiący na pryczy drugiego piętra, napisał „Stalingrad” na drewnianej listewce i nocą patrzył na ten napis, a rano odwracał listwę, żeby wędzący w baraku kapo nie zobaczyli znajomego słowa.

Major Kiriłow powiedział do Mostowskiego: - Kiedy mnie nie wypędzali do roboty, całymi dniami leżałem na pryczy. A teraz uprałem sobie koszulę i żuję sosnowe wióry, żeby nie dostać szkorbutu.

Esesmani z jednostki karnej, przezywani „wesołymi chłopakami” (do pracy chodzili zawsze ze śpiewem), z jeszcze większym okrucieństwem traktowali Rosjan.

Niewidoczne więzi łączyły mieszkańców baraków z miastem nad Wołgą. Za to Komintern, jak się okazało, nikogo nie obchodził.

W tym czasie do Mostowskiego po raz pierwszy podszedł emigrant Czerniecowa.

Zasłaniając dłonią pusty oczodoł, zaczął mówić o audycji, którą podsłuchał Amerykanin.

Potrzeba tej rozmowy okazała się tak wielka, że Mostowski się ucieszył.

- To jakieś bzdury, źródło nie jest miarodajne - powiedział.

Czerniecowa uniósł brwi, co wyglądało bardzo brzydko - zwłaszcza uniesiona z niedowierzaniem brew nad pustym oczodołem.

- Niby dlaczego - spytał jednooki mienszewik - miałyby nie być miarodajne? Panowie bolszewicy stworzyli Trzecią Międzynarodówkę 306 i panowie bolszewicy stworzyli teorię tak zwanego socjalizmu w jednym kraju. To połączenie jest przecież

absurdem. Jak smażony lód...

plechanow w jednej ze swoich ostatnich prac pisał: „Socjalizm może istnieć tylko jako system międzynarodowy, ogólnoswiatowy, w przeciwnym razie nie będzie go wcale”.

\_ Powiedzieliście: tak zwany socjalizm? - spytał Michaił Sidorowicz.

- Właśnie tak, tak zwany socjalizm. Radziecki.

Czerniecowa uśmiechnął się i zobaczył uśmiech Mostowskiego.

Uśmiechnęli się do siebie dlatego, że w słowach pełnych złości, w nienawiści i szyderczym tonie dostrzegli swoją przeszłość.

Jak gdyby przedarli się przez warstwę dziesięcioleci - nagle zabłysło ostrze ich młodzieńczej wrogości i to spotkanie w hitlerowskim obozie przypomniało im nie tylko o wieloletniej nienawiści, ale też właśnie o młodości.

Ten człowiek z obozu, wrogi, obcy, kochał i znał to, co znał i kochał w młodości Mostowski. On, a nie Osipow, nie Jerszow, pamiętał opowieści o czasach Pierwszego Zjazdu, nazwiska ludzi, które dziś tylko im dwóm coś mówiły. Obu ich obchodził stosunek Marksa do Bakunina, przejmowali się tym, co powiedzieli Lenin czy Plechanow o chwiejnych i zdecydowanych „iskrowcach”. Jak serdecznie przyjmował niewidomy staruszek Engels młodych socjaldemokratów rosyjskich, którzy do niego przyjeżdżali, jaką zakałą była w Zurychu Łubka Akselrod! Czując widocznie to samo co Mostowski, jednooki rzekł z uśmiechem: - Pisarze wzruszająco opisywali spotkania przyjaciół młodości, a co ze spotkaniem wrogów młodości, takich siwych i wyleniały eh jak wy i ja? Mostowski zobaczył łzę na policzku Czerniecowa. Obaj rozumieli: śmierć w obozie wkrótce zasypie piaskiem i wyrówna wszystkie sprawy z ich długiego życia - i słuszne wybory, i błędy, i wrogość.

- Tak - odparł Mostowski. - Kto był naszym wrogiem przez całe życie, staje się mimo woli jego uczestnikiem.

- Dziwnie jest - powiedział Czerniecowa - tak się spotkać w tej wilczej jamie. - Niespodziewanie dodał: - Jakie to cudowne słowa... pszenica, żyto, grzyby po deszczu...

- Istotnie, straszny jest ten obóz - potwierdził Mostowski, śmiejąc się. - W porównaniu z nim wszystko wydaje się dobre, nawet spotkanie z mienszewikiem.

Czerniecowa smutno pokiwał głową.

- No cóż rzeczywiście, nie jest wam łatwo.

- Hitlerizm - ciągnął Mostowski. - Hitlerizm! Nie wyobrażałem sobie takiego piekła! - Wy akurat nie powinniście się dziwić - rzekł Czerniecowa. - Terror to dla was nie nowina.

Od razu jakby wiatr zdmuchnął tę całą tęskną i dobrą więź, która się między nimi wytworzyła. Zaczęli kłócić się całkiem serio, bez pardonu.

Oszczerstwo Czerniecowa było straszne wcale nie dlatego, że zostało wysrane z palca. Okrucieństwa jednak, towarzyszące budowie radzieckiego ustroju, pojedyncze błędy Czerniecowa uznawał za prawidłowość.

Tak właśnie powiedział Mostowskiemu: - Wy, bolszewicy, oczywiście zgodzilibyście się przyznać, że w trzydziestym siódmym roku zdarzały się przegięcia, a w czasie kolektywizacji - „zawrót głowy od sukcesów”, albo że wasz ukochany i wielki wódz jest troszkę zbyt srogi i żądny władzy. Sedno rzeczy tkwi zupełnie gdzie indziej: właśnie nieludzkie okrucieństwo Stalina uczyniło go kontynuatorem Lenina. Jak u was lubią mawiać, „Stalin to Lenin dnia dzisiejszego”. Wam się ciągle wydaje, że nędza wsi i odebranie robotnikom wszelkich praw to wszystko są sprawy przejściowe, trudności wzrostu. Pszenica, którą wy, prawdziwi kułacy, monopoliści, kupujecie od chłopów po pięć kopiejek za kilogram i temu samemu chłopowi sprzedajecie za rubla, to akurat podstawa waszej gospodarki.

- No właśnie, nawet wy, mienszewik, emigrant, mówicie: „Stalin to Lenin dnia dzisiejszego” - rzekł Mostowski. - Jesteśmy dziedzicami wszystkich pokoleń rewolucjonistów rosyjskich, począwszy od Pugaczowa i Stieńki Razina. Nie renegaci mienszewicy, którzy zbiegli za granicę, ale Stalin, kontynuator dzieła Razina, Dobrolubowa i Hercena.

- Tak, tak, dziedzicami! - drwił Czerniecowa. - Wiecie przecież, ile znaczyły dla Rosji wolne wybory do konstytuanty! W kraju tysiącletniej niewoli! W ciągu tego tysiąca lat Rosja była wolna nieco ponad pół roku. Wasz Lenin nie kontynuował dzieła wolności w Rosji, tylko je zaprzepaścił. Kiedy myślę o procesach trzydziestego siódmego roku, 308 przypomina mi się całkiem inne dziedzictwo; pamiętacie pułkownika Sudiejkina, szefa Trzeciego Oddziału; razem z Diegajewem chciał inscenizować spiski, zastraszyć cara i w ten sposób przejąć władzę.

A wy uważacie Stalina za następcę Hercena? - Czyście już do reszty zgłupieli? - oburzył się Mostowski. - Co, mówicie poważnie o tym Sudiejkinie? A największa rewolucja społeczna, wywłaszczenie wyzyskiwaczy, fabryki, zakłady zabrane kapitalistom, a ziemia odebrana obszarnikom? Nie widzicie tego? Czyje to dziedzictwo - może Sudiejkina? A powszechne czytelnictwo, a przemysł ciężki? A dopuszczenie czwartego stanu, robotników i chłopów, do wszystkich obszarów ludzkiej działalności? To też zasługa Sudiejkina? Żal mi was! - Wiem, wiem - powiedział Czerniecowa. - Nie dyskutuje się z faktami. Tylko je wyjaśnia. Wasi marszałkowie, pisarze, docenci, malarze i narkomowie nie są sługami proletariatu. To słudzy państwa. A już tych, którzy pracują na roli i przy warsztatach, nie ośmielicie się chyba nazwać gospodarzami. Jacy tam z nich gospodarze! Nagle pochylił się do Mostowskiego i dodał: - Prawdę mówiąc, z was wszystkich mam szacunek wyłącznie dla Stalina. To jest wasz murarz, a wy to pięknoduchy! Stalin wie, że tylko na żelaznym terrorze, łagrach, średniowiecznych procesach czarownic może się opierać socjalizm w jednym kraju.

Michaił Sidorowicz powiedział: - Kochany, te wszystkie kalumnie już słyszeliśmy. Ale wy mówicie o tym, nie będę ukrywał, w jakiś szczególnie podły sposób. Tak paskudzić, obrzucać błotem może tylko mieszkaniec domu, który został z niego wypędzony. Wiecie, kim jest ten wygnany człowiek? Lokajem! Uważnie spojrzal na Czerniecowa i rzekł: - Nie ukrywam, początkowo miałem ochotę przypomnieć sobie to, co łączyło nas w roku dziewięćdziesiątym ósmym, a nie to, co nas rozdzieliło w dziewięćset trzecim.

- Pogadać o czasach, kiedy lokaja jeszcze nie wypędzono z domu? Ale Michaił

Sidorowicz na serio się rozgniewał.

- Tak, tak właśnie! Wygnany, lokaj, uciekinier! W nicianych rękawiczkach! A my jesteśmy szczerzy: nie nosimy rękawiczek. Ręce mamy we krwi, w brudzie! No cóż, trafiliśmy do ruchu robotniczego bez 309 rękawiczek Plechanowa! Co wam dały te lokajskie rękawiczki? Judaszowe srebrniki za artykuły w waszym „Socjalistycznym wiestniku”? Tutaj, w obozie, wierzą w nas Anglicy, Francuzi, Polacy, Norwegowie, Holendrzy! Ocalenie świata leży w naszych rękach! W sile Armii Czerwonej! To jest armia wolności! - Oj, czy aby zawsze? - przerwał mu Czerniecowa. - A zagarnięcie Polski do spółki z Hitlerem w trzydziestym dziewiątym roku? A rozjechane waszymi czołgami Łotwa, Estonia, Litwa? A wtargnięcie do Finlandii? Wasza armia i Stalin zabierali małym narodom to, co dała im rewolucja.

A zdławienie powstań chłopskich w Azji Środkowej? A rozgromienie Kronsztadu? Wszystko to walka o wolność i demokrację? Mostowski zbliżył dłoń do twarzy Czerniecowa i powiedział: - Tu je pan widzi, bez lokajskich rękawiczek! Czerniecowa pokiwał głową.

- Pamiętacie pułkownika żandarmerii Strielnikowa? Też pracował bez rękawiczek: fabrykował przyznania się do winy i podpisywał je za pobitych prawie na śmierć rewolucjonistów. Do czego był wam potrzebny rok trzydziesty siódmy? Szykowaliście się do walki z Hitlerem, i kto was tego uczył: Marks czy Strielnikow? - Wasze cuchnące tyrady mnie nie dziwią - rzekł Mostowski. - Nic innego nie potraficie powiedzieć. Wiecie, co mnie naprawdę dziwi? Dlaczego was hitlerowcy trzymają w obozie. Po co? Nas nienawidzą do szaleństwa. Tu nie ma wątpliwości. Ale w jakim celu trzymają was i wam podobnych? Czerniecowa uśmiechnął się, jego twarz znów przybrała taki wyraz jak na początku rozmowy.

- No widzicie, trzymają - powiedział. - Nie wypuszczają. Zakrzętnijcie się, to może mnie wypuszczą.

Ale Mostowski nie miał ochoty na żarty.

- Z taką nienawiścią do nas nie powinniście siedzieć w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Nie tylko zresztą wy, także i ten osobnik. Wskazał na zbliżającego się do nich Ikonnikowa-Morża.

Twarz i ręce Ikonnikowa były usmarowane gliną. Podsunął Mostowskiemu kilka brudnych, zapisanych kartek papieru i powiedział: - Przeczytajcie to, może jutro przyjdzie człowiekowi zginąć.

Mostowski, chowając kartki pod siennik, odparł z rozdrażnieniem: - Przeczytam, ale czemuż to wybieracie się na tamten świat? 310 \_ Wie pan, co słyszałem? Wykopy, któreśmy zrobili, przeznaczone są pod komory gazowe. Dzisiaj już zaczęto betonować fundamenty.

- Krążyły o tym słuchy - rzekł Czerniecowa - jeszcze kiedy kładli szerokie tory.

Obejrzał się, a Mostowski pomyślał, że Czerniecowowi zależy na tym, by wracający z robót widzieli, że rozmawia ze starym bolszewikiem jak równy z równym. Pewnie szczyli się tym przed Włochami, Norwegami, Hiszpanami, Anglikami. Ale najbardziej zadowolony był z tego, że widzieli go jeńcy rosyjscy.

- A myśmy dalej pracowali? - spytał Ikonnikow-Morż. - Braliśmy udział w

przygotowaniu czegoś tak okropnego? Czerniecow wzruszył ramionami.

- Czy pan myśli, że jesteśmy w Anglii? Niech osiem tysięcy ludzi odmówi pracy, a zabiją wszystkich w ciągu godziny.

- Nie, nie mogę - ciągnął Ikonnikow-Morż. - Nie wyjdę, nie wyjdę.

- Jeśli odmówicie pracy, rozwalą was w dwie minuty - ostrzegł Mostowski.

- Tak - dorzucił Czerniecow - może pan wierzyć towarzyszowi, on już wie, co to znaczy wzywać do strajku w kraju, gdzie nie ma demokracji.

Zdenerwowała go kłótnia z Mostowskim. Słowa, które tyle razy wypowiadał w swoim paryskim mieszkaniu, tutaj, w hitlerowskim obozie, nawet w jego własnych uszach brzmiały fałszywie, bezsensownie.

Przysłuchując się rozmowom więźniów, często wyłapywał słowo „Stalingrad”; z tym słowem, czy chciał tego, czy nie, związane były losy świata.

Młody Anglik pokazał mu znak zwycięstwa i powiedział: - Modłę się za was; Stalingrad zatrzymał lawinę.

Czerniecow poczuł się wzruszony i szczęśliwy, kiedy to usłyszał.

Zwierzył się Mostowskiemu: - Wiecie, Heine mówił, że tylko głupiec okazuje słabość wrogowi. No dobra, jestem głupcem: macie rację, olbrzymie znaczenie walki, którą toczy wasze wojsko, jest dla mnie oczywiste. To gorzka świadomość dla rosyjskiego socjalisty, mimo to jednak cieszę się, odczuwam dumę, a zarazem cierpię i nienawidzę was.

Patrzył na Mostowskiego, któremu nagle wydało się, że i drugie, widzące oko Czerniecowa nalało się krwią.

- Czyżbyście nawet tutaj, na własnej skórze, nie poczuli, że człowiek nie może żyć bez wolności i demokracji? Bo tam, w domu, zapomnieliście o tym - znów zaatakował Czerniecow.

Mostowski zmarszczył czoło.

- Słuchajcie no, dość już tej hysterii.

Obejrzał się, a Czerniecow pomyślał, że Mostowski niepokoi się, czy wracający z robót widzą, że rozmawia z nim stary mienszewik. Prawdopodobnie wstydzi się tego przed cudzoziemcami. Ale najbardziej wstyd mu było wobec jeńców rosyjskich.

Krwawa ślepa jama patrzyła wprost na Mostowskiego.

Ikonnikow szarpnął za bosą nogę siedzącego na pierwszym piętrze przychodni kapłana i mieszając słowa francuskie, niemieckie i włoskie zapytał: - Que dois-je faire, mio padre? Nous travaillons dans un Vernichtungslager\*.

Antracytowe oczy Gardiego przyglądały się ich twarzom.

- Tout le monde travaille la-bas. Et moi travailk la-bas. Nous sommes des esclaves - odpowiedział powoli. - Dieu nous pardonnera\*\*.

- Cest son metier\*"" - dodał Mostowski.

- Mais ce n'est pas votre metier \*\*\*\*- zganił go Gardi.

Ikonnikow-Morż zaczął szybko mówić: - Właśnie, właśnie, Michaiile Sidorowiczu, z pańskiego punktu widzenia też tak jest, a ja nie chcę odpuszczenia grzechów. Niech pan nie mówi, że winni są ci, którzy nas zmuszają, że jesteśmy niewolnikami, że ja nie jestem winien, bo zabrano mi wolność. Jestem wolny! Buduję obóz zagłady, więc odpowiadam przed ludźmi, których będzie się tu zabijać gazem. Mogę powiedzieć „nie"! Jaka siła zdoła mi tego zabronić, jeśli sam znajdę w sobie dość siły, żeby nie ulęknąć się egzekucji. Powiem „nie"! Je dirai non, mio padre, je dirai non\ Ręka Gardiego dotknęła siwej głowy Ikonnikowa.

- Donnez-moi votre main\*mi - powiedział duchowny.

" Co robić, ojczu? Pracujemy w obozie zagłady.

\*\* Wszyscy pracują. Ja też. Jesteśmy niewolnikami. Bóg nam przebaczy (fr.).

\*\*\* To jego zawód (fr.).

\*\*\*\* Ale nie pański (fr.).

'\*\* Niech pan da rękę (fr.).

312 - No, teraz pasterz napomni owcę, która zgrzeszyła pychą - rzekł Czerniecowa, a Mostowski pokiwał głową z niechętną aprobatą.

Ale Gardi nie upominał Ikonnikowa, tylko podniósł do ust jego brudną dłoń i ucałował.

71

Następnego dnia Czerniecowa rozmawiał z jednym ze swoich nielicznych radzieckich znajomych, żołnierzem Pawlukowem, który był rewirowym sanitariuszem.

Pawlukow zaczął się skarżyć Czerniecowskiemu, że wkrótce wypędzą go z rewiru i każą pracować przy wykopach.

- To wszystko robota partyjnych - powiedział. - Nie mogą znieść, że dostałem się w dobre miejsce: przekupiłem, kogo trzeba. Tamci przy sprzątanii, w kuchni, w łaźniach wszędzie swoich pourządzali.

Pamiętacie, ojczulku, jak to było w czasie pokoju? W komitecie swoi, w radzie zakładowej swoi. Co, może nieprawda? Tutaj też sami swoi, swoi siedzą w kuchni, dla swoich chowają żarcie. Stary bolszewik ma tutaj jak w sanatorium, a wy jak ten pies zdychacie. A tamci nawet na was nie spojrzają! Czy to sprawiedliwe? Też przecież całe lata harowaliście na władzę radziecką.

Czerniecowa, nieco zawstydzony, wyjaśnił, że od dwudziestu lat nie mieszkał w Rosji. Już zauważył, że słowa „emigrant" i „zagranica" od razu odpychają od niego ludzi z ZSRR. Ale Pawlukow nie nasrożył się po tych słowach.

Usiedli na kupie desek, a Pawlukow, z szerokim nosem i czołem, prawdziwy syn ludu, jak pomyślał Czerniecowa, patrząc w stronę wartownika, który chodził tam i z powrotem po galerijce betonowej wieży, powiedział: - Nie mam dokąd iść, tylko do formacji ochotniczej. Albo zostać dochodiagą i odwalić kitę.

- Żeby ocalić życie, tak? - spytał Czerniecowa.

- Ja tam nie jestem żadnym kułakiem - oświadczył Pawlukow. - Nie Pracowałem

przy wyrębie lasu, a i tak diabli mnie biorą na komunistów. Nie dają człowiekowi żadnej swobody. Tego nie siej, z tą się nie żeń, ta praca nie dla ciebie. Robią z człowieka papugę. Od dziecka 313 myślałem, żeby otworzyć własny sklep, każdy by mógł w nim wszystko kupić. Przy sklepie restauracyjka... Kupiłeś, co trzeba, i proszę: chcesz wypić kielicha - pij, chcesz, to masz coś na gorąco, a jak piwka wypić, to piwko. Wiecie, jakie byłoby u mnie żarcie? Tanie! Wiejskie by też podawali. Proszę bardzo! Pieczone kartofle! Słonina z czosnkiem! Kiszona kapusta! Wiecie, jaką zakąskę bym dawał ludziom - kości ze szpikiem! Gotują się w kotle, a ty, bracie, wypięś setkę, to masz kosteczkę, proszę bardzo, chleb czarny, z solą, rzecz jasna. A fotele tylko skórzane, żeby wszy nie było. Siedzisz, odpoczywasz sobie, a tu cię obsługują. Jakbym coś takiego powiedział, od razu na Sybir bym poszedł. A ja sobie myślę, czy z tego będzie jaka szkoda dla ludzi, gdybym coś takiego otworzył? Ceny bym wyznaczał dwa razy niższe niż państwo.

Pawlukow łypnął okiem na słuchacza.

- W naszym baraku czterdziestu chłopaków zapisało się na ochotnika.

- A z jakiego powodu? - Za zupełną, za szynel albo żeby nie pracować do zdechu.

- I jeszcze z jakiego? - Niektórzy to dla idei.

- Jakiej? - A rozmaitej. Na przykład za wykończonych w łagrach. Innym dokuczyła wiejska bieda. Nie cierpią komunizmu.

Czerniecowa powiedział: - A jednak to podłe! Człowiek radziecki z ciekawością spojrzął na emigranta, a ten ujrzał w jego wzroku drwinę i niedowierzanie.

- Niehonorowe, nieszlachetne, nieprzyzwoite - rzekł Czerniecowa. Nie pora teraz wyrównywać rachunki, nie tak się je wyrównuje. To nie w porządku wobec siebie samego i wobec swojej ziemi.

Wstał z desek i przesunął ręką po poślaskach.

- Nikt o mnie nie powie, że kocham bolszewików. Ale naprawdę, to nie czas, nie czas wyrównywać rachunki. A do Własowa niech pan nie idzie. - Nagle zająknął się i dodał: - Słyszycie, towarzyszu, nie idźcie. A kiedy, tak jak w starych czasach, czasach swej młodości, wypowiedział słowo „towarzysz”, nie mógł już ukryć wzruszenia, więc nie ukrywał, wymamrotał tylko: - Mój Boże, mój Boże, czyż mogłem...

Pociąg ruszył z peronu. Wiosenne powietrze było zamglone od w-zu zmieszanego z zapachem bzu i miejskich śmietników, od dymu lokomotywy, wyziewów z kuchni restauracji dworcowej.

Latarnia już się oddalała, odpływała, a potem znieruchomiła pośród innych, zielonych i czerwonych świateł.

Student postął jeszcze na peronie, po czym wyszedł przez boczną furtkę.

Na pożegnanie kobieta objęła go za szyję i całowała w czoło, we włosy, tak jak on zakłopotana nieoczekiwaną siłą uczucia... Wracał z dworca, a uczucie szczęścia rosnęło w nim, przyprawiało go o zawrót głowy; miał wrażenie, że to początek, zawiązek tego, czym wypełni się jego życie...

Wspominał tamten wieczór, opuszczając Rosję, na granicy w Sławucie. Wspominał go też, leżąc w paryskim szpitalu po usunięciu dotkniętego jaskrą oka,

wspominał go w zimnym półmroku bramy banku, w którym pracował.

Pisał także o tym Chodasiewicz, poeta, który - tak jak on - uciekł z Rosji do Paryża.

Pielgrzym o kiju w dalekie szedł strony Ten widok zaraz przypomniał mi ciebie.

Przejeżdża wózek na kołach czerwonych Zaraz i to przypomniało mi ciebie.

Lub światło zapali ktoś w korytarzu A ja od razu wspominam o tobie, Cokolwiek się zdarzy: na lądzie, na morzu, I nawet w niebie -przypomni o tobie...

Miał ochotę znowu podejść do Mostowskiego i spytać: „A nie znaliście przypadkiem Nataszy Zadońskiej, nie wiecie, czy żyje? I naprawdę przez te dziesiątki lat stąpaliście z nią razem po tej samej ziemi?” 72 Podczas wieczornego apelu sztubowy, hamburski włamywacz Kehse, noszący żółte mankiety i kraciastą kremową marynarkę z nakładanymi kieszeniami, był w dobrym nastroju. Kalecząc rosyjskie słowa, podśpiewywał cichutko: „Kali zawtra wajna, esli zawtra w pochód...” 315 Jego pomięta twarz szafranowej barwy, o piwnych, plastikowych oczach wyrażała tego wieczoru zadowolenie. Pulchną, bez jednego włoska, śnieżnobiałą dłonią, zdolną udusić konia, Kehse poklepywał więźniów po ramionach i plecach. Zabić człowieka stanowiło dla niego rzecz tak zwyczajną, jak podstawić mu nogę dla żartu. Po morderstwie przez chwilę był pobudzony jak młody kot, który pobawił się chrapaszczem.

Zabijał najczęściej na rozkaz sturmführera Drottenhara, który zarządzał punktem sanitarnym w bloku w części wschodniej.

Najtrudniejszą sprawą było dostarczenie ciał zabitych do kremacji, ale tym Kehse się nie zajmował; nikt nie ośmieliłby się zaproponować mu takiej pracy. Drottenliar był doświadczony i nie pozwalał, żeby ludzie słabli do tego stopnia, by trzeba ich było dźwigać na noszach na miejsce kaźni.

Kehse nie ponaglał wyznaczonych do operacji, nie robił im złośliwych uwag, nigdy żadnego z nich nie popchnął ani nie uderzył.

Przeszło czterysta razy wchodził po dwóch betonowych schodkach celi specjalnej i zawsze niezwykle interesował go człowiek, którego miał operować: spojrzenie pełne przerażenia, pokory, męki, osobliwej niecierpliwości i ciekawości; takim wzrokiem skazany witał tego, który przyszedł go zabić.

Kehse nie bardzo wiedział, dlaczego lubił właśnie tę rutynę, to, że swoje zadanie wykonywał tak zwyczajnie. W celi specjalnej nie było nic ciekawego: taboret, szara betonowa podłoga, rura zlewna, kran, wąż, kantorek z księgą.

Starano się, żeby operacja spowszedniała, stała się czymś całkiem banalnym, zawsze traktowano ją na wpół żartobliwie. Jeśli dokonywano jej za pomocą pistoletu, Kehse mówił o tym: „wcisnąć ziarnko kawy”; jeśli zaś chodziło o wstrzyknięcie fenolu, Kehse nazywał to „porcyjką eliksiru”.

Ziarnko kawy i eliksir zadziwiająco łatwo - tak wydawało się Kehsemu - odsłaniały tajemnicę życia ludzkiego.

Można było pomyśleć, że jego piwne, odlane z plastiku oczy nie należą do żywej istoty. To była żółtobrzowa, stwardniała żywica...

Kiedy więc w zastygłych oczach Kehsego pojawiał się wyraz wesołości, ludzie



zaczynali czuć się strasznie, pewnie tak jak rybka, która pod pływa całkiem blisko do kłody, częściowo przysypanej piaskiem, i nagle stwierdza, że ciemna oślizgła masa ma oczka, zęby, macki.

Tutaj, w obozie, Kehse miał poczucie wyższości nad żyjącymi w barakach artystami, rewolucjonistami, uczonymi, generałami, kaznodziejami. Wcale nie z uwagi na ziarnko kawy czy porcyjkę eliksiru. To była wyższość zupełnie naturalna, i fakt, że górował nad tamtymi, sprawiał mu dużą satysfakcję.

Cieszył się nie ze swojej olbrzymiej siły fizycznej, nie z tego, że potrafi pójść na całego, uderzyć, zwalić z nóg, rozbić stalową kasę.

Podziwiał własną duszę i umysł; był człowiekiem skomplikowanym i zagadkowym. Jego gniew czy łaskawość były nieprzewidywalne, rzecz można, że rodziły się bez żadnej logiki. Kiedy wiosną wyselekcjonowni przez gestapo z transportu rosyjscy jeńcy zostali zapędzeni do baraku specjalnego, Kehse poprosił, żeby zaśpiewali piosenki, które lubili.

Czterej Rosjanie z grobowymi minami i opuchniętymi rękami śpiewali: Gdzieżeś teraz, ma Suliko? Kehse zadumał się, zasłuchał i patrzył na stojącego z brzegu mężczyznę o wystających kościach policzkowych. Z szacunku dla artystów nie przerywał im śpiewu, ale kiedy umilkli, powiedział do niego, że skoro nie śpiewał w chórze, to niech teraz zaśpiewa solo. Widząc brudny kołnierz jego bluzy ze śladami odprutych belek, Kehse zapytał: - Verstehen Sie, Hen Major? Zrozumiał, ty blać? Człowiek odpowiedział kiwnięciem głowy - zrozumiał.

Kehse chwycił go za kołnierz i lekko potrząsnął jeńcem, tak jak potrząsa się budzikiem. Jeniec, dopiero co przybyły z transportem, pchnął Kehsego pięścią w policzek i zaklął.

Wydawało się, że to już jego koniec. Ale szef baraku specjalnego nie zabił majora Jerszowa, tylko doprowadził go do pryczy w narożniku przy oknie. Prycza była wolna, czekała na kogoś miłego Kehsemu. Tego samego dnia Kehse przyniósł Jerszowowi gęsie jajo na twardo i śmiejąc się, wręczył mu je ze słowami: Ihre Stimme wird schont. Od tej pory dobrze traktował tego więźnia. W baraku też szanowano Jerszowa, który swoją twardość łączył z łagodnym i wesołym UsPosobieniem.

Pański głos będzie brzmiał pięknie (niem.) 317 Po incydencie z Kehsem tylko jeden z wykonawców Suliko, komisarz brygadowy Osipow, czuł urazę do Jerszowa.

- To trudny człowiek - mówił o nim.

Właśnie po tym zdarzeniu Mostowski uznał, że Jerszow dzierży rząd dusz.

Poza Osipowem niezycliwie odnosił się do Jerszowa zawsze zamknięty w sobie, małomówny jeniec Kotikow, który wszystko o wszystkich wiedział. Kotikow był jakiś bezbarwny - i głos miał taki, i oczy, i usta. Równocześnie ta jego bezbarwność zapadała w pamięć, czyniła go wręcz wyrazistym.

Tego wieczoru wesołość Kehsego podczas apelu zrodziła u więźniów uczucie napięcia i lęku. Mieszkańcy baraków zawsze czekali na coś złego; strach, niedobre przeczucia dręczyły ich dniem i nocą, żyły w nich, to nasilając się, to słabnąc.

Przed końcem apelu weszło ośmiu kapo, policjantów obozowych, w idiotycznych, błazeńskich czapkach, z jasnożółtymi opaskami na rękawach. Po ich

twarzach widać było, że swoich menażek nie napełniają ze wspólnego obozowego kotła.

Dowodził nimi wysoki, przystojny, jasny blondyn, ubrany w płaszcz stalowej barwy z odprutymi naszywkami. Chodził w lakierowanych butach, które błyszcząły tak, że wydawały się całkiem jasne.

To był szef policji obozowej Koenig - zdegradowany esesman, który trafił do kacetu za przestępstwa kryminalne.

- Mutze ab<sup>18</sup> - krzyknął Kehse.

Zaczęła się rewizja. Nawykowymi ruchami, jak robotnicy fabryczni, kapo opukiwali stoły, szukając wydlubanych w nich miejsc, wytrzepywali szmaty, szybkimi, zwinnymi palcami sprawdzali szwy na ubraniach, oglądali menażki.

Czasem, żartując, kopali kogoś kolanem w tyłek i mówili: „Na zdrowie”.

Z rzadka zwracali się do Koeniga, podając znalezione notatkę, notes, ostrze brzytwy. Koenig machnięciem rękawiczki dawał znak, czy znaleziony przedmiot go interesuje, czy nie.

W czasie rewizji więźniowie stali w szeregu.

Mostowski i Jerszow znaleźli się obok siebie; spoglądali na Koeniga i Kehsego. Postacie obu Niemców wydawały się jak odlane z żelaza.

Mostowski chwiał się, kręciło mu się w głowie. Pokazał palcem Kehsego i zwrócił się do Jerszowa: -Ale typ! - Klasyczny Aryjczyk - rzekł Jerszow. Nie chcąc, żeby usłyszał go stojący w pobliżu Czerniecowa, szepnął Mostowskiemu na ucho: - Ale bywają i u nas tacy chłopcy, że ratuj Boże! Czerniecowa, włączając się do rozmowy, której nie mógł słyszeć, powiedział: - Jest niepodważalnym prawem każdego narodu mieć swoich bohaterów, świętych i łajdaków.

Mostowski, zwracając się do Jerszowa, ale odpowiadając nie tylko jemu, rzekł: - Oczywiście, i u nas są łajdacy, ale niemiecki morderca ma w sobie coś niepowtarzalnego, coś takiego, co może mieć tylko Niemiec.

Rewizja się skończyła. Dano komendę „spocznij”. Więźniowie zaczęli gramolić się na prycze.

Mostowski położył się i wyprostował nogi. Przypomniał sobie, że nie sprawdził swoich rzeczy po rewizji. Stękając, podniósł się, żeby to zrobić.

Wydawało mu się, że zniknął szalik i, zdaje się, płócienna onuca.

Mimo że odnalazł jedno i drugie, uczucie niepokoju pozostało.

Wkrótce podszedł do niego Jerszow i niegłośnie powiedział: - Kapo Niedzielski papie, że nasz blok rozdziela, część ludzi zostawia do obróbki, a większość pójdzie do obozów ogólnych.

- No cóż - odpowiedział Mostowski - gwiźdzemy na to.

Jerszow przysiadł na pryczy i rzekł cicho, ale wyraźnie: - Michaile Sidorowiczu! Mostowski uniósł się na łokciu i popatrzył na Jerszowa.

---

<sup>18</sup> Czapki zdjąć! (niem.)

- Michaile Sidorowiczu, zaplanowałem dużą sprawę, chcę z wami o tym pomówić. Jak ginąć, to z muzyką! Mówił szeptem, a Mostowski wzruszył się, słuchając Jerszowa; owionął go jakiś cudowny wiatr.

- Czas jest cenny - mówił Jerszow. - Jeśli Niemcy zajmą ten cholerny Stalingrad, ludzie znowu zaśnieją. Widać to po takich jak Kiriłłow.

Jerszow chciał stworzyć związek walki wśród jeńców. Punkty swego Programu wyliczał z pamięci, jakby czytał z kartki.

...Zaprowadzenie dyscypliny i zjednoczenie wszystkich ludzi radzieckich w obozie, wygnanie zdrajców z otoczenia, zadanie strat wrogowi stworzenie komitetów walki wśród więźniów polskich, francuskich jugosłowiańskich i czeskich...

Patrząc ponad pryczą w mętny półmrok baraku, powiedział: - Są chłopcy w zakładach wojskowych, ufają mi, będziemy gromadzić broń. Sprawa nabierze rozmachu. Łączność z dziesiątkami obozów, terror przeciw zdrajcom. Cel ostateczny: ogólne powstanie, wspólna wolna Europa...

Mostowski powtórzył: - Wspólna wolna Europa... Ach, Jerszow, Jerszow.

- Nie gadam byle czego. Nasza rozmowa to początek działania.

- Staję do szeregu. - rzekł Mostowski i kręcąc głową, powtórzył: - Wolna Europa... Również w naszym obozie jest sekcja Międzynarodówki Komunistycznej, a w niej dwaj ludzie, z czego jeden bezpartyjny.

- Znacie i niemiecki, i angielski, i francuski, to nam zapewni tysiące kontaktów - powiedział Jerszow. - Po co wam jeszcze Komintern? Więźniowie wszystkich krajów, łączcie się! Patrząc na Jerszowa, Michał Sidorowicz wypowiedział dawno zapomniane słowa: - Wola ludu! - I zdziwił się, dlaczego właśnie to mu się przypomniało.

A Jerszow ciągnął: - Trzeba się porozumieć z Osipowem i pułkownikiem Złatokrylcem.

Osipow to wielka siła! Ale nie lubi mnie, więc to wy musicie z nim rozmawiać. A z pułkownikiem pomówię jeszcze dzisiaj. Stworzymy czwórkę.

73

Mózg Jerszowa pracował dniem i nocą w niesłabnącym napięciu.

Major obmyślał plan tajnej organizacji, obejmującej całe obozowe Niemcy, sposób kontaktowania się podziemnych komórek, zapamiętywał nazwy obozów koncentracyjnych i obozów pracy, stacji kolejowych. Myślał o utworzeniu szyfru, rozważał, jak przy pomocy pracowników 320 kancelarii obozowych na listy transportów wpisywać organizatorów i przerzucać ich z obozu do obozu.

A w jego duszy żyło marzenie! Najpierw praca tysięcy podziemnych agitatorów, bohaterskich dywersantów, a potem uzbrojeni więźniowie zawładną obozami! Powstańcy muszą zdobyć zenitówki broniące obiektów obozowych i zmienić je w broń przeciwpancerną i przeciwpiechotną. Trzeba znaleźć odpowiednich ludzi i utworzyć z nich obsługę zdobytych dział.

Major Jerszow znał życie w obozie, znał siłę kija i marchewki, chęć napełnienia żołądka, widział, jak wielu ludzi zmieniano swoje bluzy wojskowe na błękitne szynele z

naramiennikami armii Własowa.

Widział bierność, przygnębienie, służalczość i wiarołomstwo; widział, co może zdziałać terror, widział, jak ludzie sztywnieją ze strachu przed mundurami SD.

Ale mimo wszystko osadzony w niewoli major nie fantazjował. W ponurych miesiącach szybkiego marszu Niemców na wschód podtrzymywał towarzyszy na duchu dowcipnymi, śmiałymi słowami, tych, którzy zaczynali puchnąć, namawiał, by walczyli o zdrowie. Żyła w nim zuchwała, niedająca się stłumić pogarda wobec przemocy.

Ludzie czuli to wesołe ciepło, które roztaczał. Taki zwyczajny, wszystkim potrzebny żar bije z rosyjskiego pieca, w którym płoną brzoźowe drwa.

Najwyraźniej nie tylko umysł i odwaga, ale i owo dobrotliwe ciepło sprawiło, że major Jerszow stanął na czele więzionych w obozie dowódców radzieckich.

Jerszow dawno zrozumiał, że Michaił Sidorowicz będzie pierwszym człowiekiem, któremu zdradzi swoje plany. Leżał na pryczy z otwartymi oczami; na chropowaty sufit z desek patrzył niby z wnętrza trumny na jej wieko, a serce mocno biło mu w piersiach.

Tutaj, w obozie, czuł własną siłę, jak nigdy w ciągu trzydziestu trzech lat życia.

Przed wojną wiodło mu się marnie. Jego ojca, chłopca z guberni woroneskiej, rozkułaczono w roku trzydziestym. Jerszow służył akurat w wojsku.

Nie wyrzekł się wtedy ojca. Nie przyjęto go więc do akademii, mimo że zdał egzaminy wstępne na bardzo dobrze. Z trudem udało mu się skończyć szkołę wojskową; dostał przydział do rejonowej komisji pobożnej. Jego wysiedlona rodzina przebywała wtedy na północnym Uralu.

Jerszow wziął urlop i postanowił odwiedzić bliskich. Ze Swierdłowska jechał dwieście kilometrów wąskotorówką. Po obu stronach torów ciągnęły się lasy i błota, sagi drewna, druty kolczaste, baraki i ziemianki, a wieże strażnicze wyglądały jak psie grzyby na wysokich nóżkach.

Dwukrotnie pociąg zatrzymywano, bo straż szukała zbiegłego więźnia.

W nocy stał na mijance, czekał na skład z naprzeciwka. Jerszow nie spał wtedy, słuchał ujadania enkawudowskich owczarków, gwizdków wartowników - niedaleko znajdował się wielki obóz.

Jerszow dojechał do końcowej stacji wąskotorówki dopiero na trzeci dzień, i chociaż na jego kołnierzu widniały kółka lejtnanta, chociaż miał niezbędne dokumenty i bilet specjalny, przy ich sprawdzaniu ciągle mu się zdawało, że za chwilę usłyszy: „Zabierajcie rzeczy, pójdziecie z nami” - i trafi do łagru. Widocznie nawet powietrze w tych stronach było jakieś odrutowane.

Potem jechał siedemdziesiąt kilometrów na skrzyni ciężarówce, droga biegła wśród bagien. Samochód należał do sowchozu imienia OGPU, w którym pracował ojciec Jerszowa. Na skrzyni było ciasno: siedzieli tam specprzesiedleńcy, których wysyłano do pracy przy wyrębie lasu. Jerszow próbował ich zagadywać, ale ci odpowiadali monosylabami, widocznie bali się jego munduru.

Pod wieczór ciężarówka dotarła do wioski wciśniętej między skraj lasu a skraj bagien. Zapamiętał zachód słońca, taki cichy i łagodny wśród północnych obozowych

bagien. W wieczornym świetle chaty wydawały się całkiem czarne, jakby unurzane w smole.

Wszedł do ziemianki, razem z nim weszło światło wieczoru, a powitały go wilgoć, zaduch, ciepły dym i zapach nędznego jedzenia, nędznej odzieży i postłania...

Z tego mroku wyłonił się ojciec - chuda twarz i piękne oczy, które uderzyły Jerszowa swoim niedającym się opisać wyrazem.

Chudymi, szorstkimi rękami ojciec objął syna za szyję, a w tym kurczowym ruchu zmęczonych, starczych rąk, obejmujących młodego oficera, czuło się nieśmiałą skargę i taki ból, taką ufną prośbę o obronę, że Jerszow mógł na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób - zapłakał.

Potem stanęli nad trzema grobami - matka zmarła pierwszej zimystarsza siostra Aniuta - następnej, a Marusia - trzeciej.

Cmentarz w tym obozowym kraju złączył się ze wsią; pod ścianami chat i na dachach ziemianek rósł taki sam mech, jak na mogiłach i na bagiennych kępach. Tam, pod tym niebem, zostaną na zawsze matka i siostry; tam, gdzie zimą wilgoć ustępuje przed mrozem, a jesienią ziemia cmentarna pęcznieje od napierającej zewsząd błotnistej cieczy.

Ojciec stał obok milczącego syna i też milczał, a potem podniósł głowę, popatrzył na niego i rozłożył ręce w geście, który mówił: „Wybaczcie, żywi i martwi, że nie mogłem ocalić tych, których kochałem”.

Nocą ojciec opowiadał. Mówił cicho, spokojnie. Zresztą o tym, o czym opowiadał, można było mówić tylko ze spokojem, bo krzyk ani łzy tego nie przekażą.

Na skrzyni nakrytej gazetą leżały gościńce i półlitrowka, przywiezione przez syna. Stary mówił, a syn siedział obok i słuchał.

Ojciec mówił o głodzie, o śmierci znajomych ze wsi, o oszalałych starcach, o dzieciach leciutkich niczym kurczęta, ciałach wychudłych jak bałałajka. Opowiadał, jak dniem i nocą słyhać było we wsi wycie głodujących, wspominał zabite deskami chaty z oślepyłymi oknami.

Opowiadał synowi o pięćdziesięciodniowej podróży zimą w ciepłuszce z dziurawym dachem, o tym, jak żywi jechali pociągiem razem z martwymi. Mówił, jak specprzesiedleńcy szli piechotą, a kobiety niosły dzieci na rękach. Przebyła całą tę drogę chora matka Jerszowa, idąc z gorączką, z osłabionym umysłem. Opowiedział, jak przyprowadzono ich do lasu, gdzie nie było ani ziemianek, ani szałasów, i jak zaczęli tam swoje nowe życie, rozpalając ogniska, układając postłania ze świerkowych gałęzi, roztopiając w kociołkach śnieg, jak grzebali zmarłych...

- Wszystko z woli Stalina - rzekł ojciec. W jego słowach nie było gniewu czy żalu. Tak mówią prości ludzie o wyrokach potężnego, nieubłaganego losu.

Jerszow wrócił z urlopu i napisał podanie do Kalinina, prosił o największą, niesłychaną wręcz łaskę - żeby wybaczone niewinnemu, żeby staruszkowi pozwolono przyjechać do syna. List jednak nie zdążył nawet dotrzeć do Moskwy, kiedy Jerszowa wezwano do dowództwa, któremu już doniesiono o jego wyprawie na Ural.

Jerszowa zwolniono z wojska. Zaczął pracę na budowie, postanowił trochę

zarobić i pojechać na Ural. Ale wkrótce dostał stamtąd list zawiadamiający go o śmierci ojca.

Następnego dnia po wybuchu wojny lejtnant rezerwy Jerszow dostał powołanie.

W bitwie pod Rosławlem zastąpił poległego dowódcę pułku, powstrzymał uciekających, uderzył na nieprzyjaciela, odbił przeprawę rzeczną i zapewnił skuteczną osłonę wycofywanym ciężkim działom odwodów Naczelnego Dowództwa.

Im cięższe zdawało się brzemień, które niósł na ramionach, tym ramiona stawały się mocniejsze. Sam nie był świadom swojej siły. Jego natura, jak się okazało, nie znała uległości. Im większa była przemoc, tym bardziej dojmującą, nieprzepartą czuł chęć, by się z nią zmierzyć.

Niekiedy pytał samego siebie, dlaczego tak nienawidzi własowców.

Własow powoływał się na to samo, o czym opowiadał jego ojciec. A Jerszow dobrze wiedział, że to prawda. Ale wiedział też, że w ustach Niemców i własowców taka prawda jest kłamstwem.

Czuł wyraźnie, że walcząc z Niemcami, walczy zarazem o wolność w Rosji, że zwycięstwo nad Hitlerem stanie się zwycięstwem także nad tymi obozami, w których zginęli jego matka, siostry i ojciec.

Jerszow doznawał gorzkiej satysfakcji - tutaj, gdzie przestały być ważne dane w ankiecie, to on okazał się siłą, to za nim szli ludzie. Tutaj nie liczyły się rangi, order, jednostki wydzielone, pierwszy wydział, kadry, komisje atestacyjne, telefony z komitetu czy opinia zastępcy do spraw politycznych.

Mostowski kiedyś mu powiedział: - Heine już dawno stwierdził: „Pod ubraniem wszyscy jesteśmy nadzy...” Tyle że jeden, gdy zrzuci mundur, ukazuje anemiczne, żałosne ciało. Innych zaś ciasna odzież tylko szpeci i krępuje - kiedy ją zdejmą, od razu widać, gdzie jest prawdziwa siła! To, o czym marzył Jerszow, stało się aktualne; o sprawie myślał teraz po nowemu: kogo wtajemniczyć, kogo zachęcić; rozważał w myślach dobre i złe cechy ludzi, których znał.

Kto wejdzie w skład podziemnego sztabu? Pięć nazwisk pojawiło się w jego głowie. Drobne słabostki, dziwactwa, wszystko teraz wyglądało inaczej; to, co nie znaczyło nic, nabierało teraz wagi.

Gudź ma autorytet jako generał, ale jest bezwolny, tchórzliwy, najwyraźniej niewykształcony; radzi sobie, gdy ma do pomocy mądrego zastępcę i sztab; czeka, żeby dowódcy świadczyli mu przysługi, dokarmiali go, i uważa to za coś, co mu się słusznie należy, nie okazuje wdzięczności. Zdaje się, że o swoim kucharzu mówi częściej niż o żonie i córkach. Dużo opowiada o polowaniu na kaczki, gęsi; służbę na Kaukazie wspomina głównie jako myśliwy - że były dziki i kozły.

Widać, że nie wylewał za kołnierz. Samochwała. Często mówi o walkach 1941 roku: dookoła wszyscy się mylili, sąsiad z lewej, sąsiad z prawej, tylko generał Gudź miał zawsze rację. Nigdy natomiast nie obwinia o porażki najwyższego dowództwa. Doświadczony w sprawach życiowych, sprytny jak otrzaskany kancelista. Ale w sumie, gdyby Jerszow miał coś do gadania, nie oddałby mu pod komendę nawet pułku, nie mówiąc o korpusie.

Komisarz brygadowy Osipow jest inteligentny. Raz opowie z uśmiechem o

tym, jak myśleli, że będą walczyć bez większych strat, na cudzym terytorium, i potoczy dokoła piwnymi oczami. Już po godzinie z kamienną miną zgromi tego, który zwątpił, palnie mu kazanie. A nazajutrz poruszy nozdrzami i powie, sepleniąc: -Tak, towarzysze, my latamy ze wszystkich najwyżej, najdalej, najszybciej, no więc dolecieliśmy.

O wojskowych porażkach pierwszych miesięcy wojny mówił rozsądnie, ale bez goryczy, dziwnie beznamiętnie, jak o partii szachów.

Rozmawia z ludźmi swobodnie, ale ta jego koleżeńska prostota jest udawana, a nie prawdziwa. Naprawdę interesują go tylko rozmowy z Kotikowem.

Co tak ciekawi komisarza brygadowego w Kotikowie? Osipow ma olbrzymie doświadczenie. Znajomość ludzi. To doświadczenie jest bardzo potrzebne, w podziemnym sztabie bez Osipowa nie sposób się obejść. Z tym, że jego doświadczenie niekoniecznie musi pomóc; może i zaszkodzić.

Niekiedy Osipow opowiadał śmieszne historie o znanych wojskowych, mówiąc o nich: Sioma Budionny, Andriusza Jeriomienko.

Kiedyś powiedział do Jerszowa: - Tuchaczewski, Jegorow, Blucher byli winni tak samo jak ja i ty.

Kiriłłow z kolei opowiadał Jerszowowi, że w trzydziestym siódmym roku Osipow był zastępcą komendanta akademii i bezlitośnie demaskował dziesiątki ludzi, ogłaszał ich wrogami ludu.

Bardzo boi się chorób, wciąż się opukuje, wysuwa język i zezując, ogląda, czy nie jest obłożony. Chociaż niejednokrotnie okazał, że nie boi się śmierci.

Pułkownik Złatokrylec - ponury, bezpośredni, dowódca pułku liniowego. Uważa, że Naczelne Dowództwo jest winne odwrotowi 1941 roku.

Jego siłę bojową jako dowódcy i żołnierza czują wszyscy. Silny fizycznie.

Głos też ma mocny. Takim głosem można skutecznie zatrzymywać uciekających i podrywać do ataku. Lubi kłać plugawymi słowami.

Nie lubi nic tłumaczyć - rozkazuje. Koleżeński. Gotów odlać z menażki zupełnym żołnierzowi. Ale ordynarny bywa strasznie.

Ludzie zawsze czują jego wolę. W pracy jest starszym; jak krzyknie każdy usłucha.

Nie da się go nabrać, wszystko zauważy. Można z nim zjeść beczkę soli. Ale strasznie ordynarny! Kiriłłow - ten jest mądry, czuje się w nim jednak jakieś rozchwianie.

Widzi każdy drobiazg, tyle że patrzy na wszystko zmęczonymi, na wpół przymkniętymi oczami... Obojętny, nie lubi ludzi, chociaż wybacza im słabości i podłość. Śmierci się nie boi, niekiedy ciągnie go do niej.

O odwrocie mówił chyba najrozsądniej ze wszystkich dowódców.

Bezpartyjny. Powiedział kiedyś: - Nie wierzę, by komuniści mogli uczynić ludzi lepszymi. Nie było takiego wypadku w historii.

Niby obojętny na wszystko, nocą na pryczy jednak płakał. Zapytany przez Jerszowa o przyczynę długo milczał, po czym odpowiedział cichym głosem: „Szkoda mi Rosji”. Tyle że dziwnie miękkimi, rozlazłymi.

Kiedys wyznał: „Oj, stęskniłem się za muzyką”. A wczoraj z jakimś wariackim uśmiechem zaproponował: „Jerszow, niech pan posłucha, powiem panu wiersz”. Wiersz nie spodobał się Jerszowowi, ale jakoś mu zapadł w pamięć i nie chciał się odzepić.

Mój kolego, nie wołaj pomocy,  
Gdy w przedśmiertnej tu wiesz się męce.  
Pozwól, bym nad krwią twoją dymiącą  
Choć przez chwilę mógł sobie grzać ręce.  
Tyś nie ranny, a tylko umierasz.  
Nie płacz, przecież nie jesteś już malcem.  
Mnie twe buty przydadzą się teraz,  
Bo ja jeszcze w tej wojnie powalczę.  
Sam to napisał czy co?

Oj, nie, Kiriłow do sztabu się nie nadaje. Jakże on wciągnie ludzi, jeśli sam ledwie powłóczy nogami.

Mostowski! Ma i wykształcenie takie, że klękajcie narody, i żelazną wolę. Mówiono, że na przesłuchaniach był jak kamień. Ale dziwna rzecz - nie widać takich, u których Jerszow by się do czegoś nie przyczepił- Jerszow ostatnio zganił Mostowskiego: \_ Po co wy w ogóle, Michaiile Sidorowiczu, gadacie z całą tą bandą, z tym wariatem Ikonnikowem-Morzem, z tym jednookim łajdakiem, emigrantem? Mostowski odpowiedział z drwiną: - Myślicie, że zachwieję się w swoich poglądach, zostanę głosicielem Ewangelii albo, co gorsza, mienszewikiem? - A diabli ich wiedzą - rzekł Jerszow. - Lepiej nie ruszać gówna, bo śmierdzi. W końcu ten Morz siedział u nas w obozie. Teraz Niemcy ciągną go na przesłuchania. Wyda siebie, was i tych, którzy do was lgną...

Wniosek z tego był taki, że nie ma idealnych kandydatów do pracy podziemnej. Trzeba ważyć siłę i słabość każdego. To nie jest trudne. Ale tylko wedle kośćca moralnego można ocenić człowieka, czy się nadaje, czy nie. A kośćca nie da się zmierzyć. Można się go tylko domyślić, przeczuć. Tak więc zaczął od Mostowskiego.

74

Generał-major Gudź, ciężko dysząc, podszedł do Mostowskiego. Szurał nogami, stękał, wysuwał dolną wargę, brązowe fałdy skóry poruszały się na jego policzkach i szyi - wszystkie te ruchy, tiki, dźwięki były Pozostałością dawnej potężnej tuszy, ale przy jego obecnej słabości wydawały się dziwne.

- Ojczy drogi - zwrócił się do Mostowskiego - nie mnie, smarkaczowi, robić wam uwagi; to tak jakby major uczył generała-pułkownika. Powiem wprost: niepotrzebnie zawarlicie braterski sojusz z tym Jerszowem. Niewyraźny z niego człowiek. Nie ma



wiedzy wojskowej.

Rozum lejtnanta, a pcha się na dowódcę, chciałby pułkowników uczyć.

Trzeba z nim ostrożnie.

- Głupstwa mówicie, ekscelencjo - odparł Mostowski.

- No jasne, głupstwa - rzekł stękając, Gudź. - Jasne, że głupstwa. Zameldowano mi, że wczoraj w baraku ogólnym dwunastu ludzi zapisało się do tej kurewskiej armii wyzwoleńczej. A jakby tak policzyć, ilu ich pochodzi z rodzin kułackich? Wypowiadam tu nie tylko swoje osobiste zdanie, upoważnił mnie ktoś inny, mający doświadczenie polityczne.

- Czy przypadkiem nie Osipow? - spytał Mostowski.

- A choćby i Osipow. Jesteście człowiekiem teorii, to nie rozumiecie całego tutejszego gnoju.

- Dziwną zaczęliście rozmowę - zauważył Mostowski. - Zaczynam nabierać przekonania, że z ludzi nic tu nie zostaje, tylko czujność. Kto by to pomyślał? Gudź wsłuchał się, jak bronchit skrzypi i bulgocze w jego piersi, i straszliwie smutnym głosem powiedział: - Nie zobaczą wolności, oj, nie zobaczą.

Mostowski, patrząc w ślad za nim, z rozmachem palnął się po kolanie - zrozumiał nagle, skąd wzięło się dręczące uczucie niepokoju przy rewizji przepadły papiery, które dał mu Ikonnikow.

Co on tam, diabeł, napisał? Może Jerszow miał rację, że żaloszny Ikonnikow jest uczestnikiem prowokacji - podrzucił, podsunął mu te kartki. Co w nich było? Podszedł do pryczy tamtego. Ale Ikonnikow zniknął, a sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie się podział. To wszystko - przypadek papierów, pusta pryczna Ikonnikowa - sprawiło, że nagle zrozumiał wyraźnie: wdając się w rozmowy z szalonym poszukiwaczem Boga, postąpił źle.

Z Czerniecowem się spierał, ale oczywiście nie warto było się nawet spierać, co to tam zresztą za spory. Szaleniec jednak przekazał Mostowskiemu papiery przy Czerniecowie - jest i donosiciel, i świadek.

Jego życie okazało się przydatne dla sprawy, dla walki, a tymczasem może je bezsensownie stracić.

„Stary dureń ze mnie, zadawałem się z mętami i wpadłem akurat w dniu, kiedy miałem się zająć robotą, rewolucyjną robotą” - myślał, a gorzki niepokój ciągle w nim narastał.

W waschraumie zetknął się z Osipowem: w anemicznym świetle żarówki komisarz brygadowy prał onuce nad blaszaną rynną.

- Dobrze, że was spotkałem - powiedział. - Muszę z wami pomówić.

Osipow kiwnął głową, wytarł mokre ręce o boki. Przysiedli na cementowym występie muru.

- Tak właśnie myślałem: wyrośnie wszędzie, gdzie go nie posiejesz rzekł Osipow, kiedy Mostowski wymienił nazwisko Jerszowa.

Pogładził rękę Mostowskiego swoją wilgotną dłonią.

- Towarzyszu Mostowski - powiedział. - Zachwyca mnie wasza energia. Jesteście bolszewikiem z leninowskiego zaciągu, dla was nie istnieje wiek. Wasz przykład będzie wsparciem dla nas wszystkich.

Ściszył głos: - Towarzyszu Mostowski, nasza organizacja bojowa została już utworzona; postanowiliśmy na razie nie mówić wam o tym, chcieliśmy oszczędzać wasze życie, ale współpracownika Lenina widocznie nie ma się starość. Powiem wam wprost: Jerszow nie jest godny zaufania. Jak to się mówi, ankieta całkiem marna: kułackie nasienie, rozwścieczone po represjach. My jednak jesteśmy realistami. Na razie nie obejdziemy się bez niego. Zyskał przecież tanią popularność, musimy się z tym liczyć. Lepiej ode mnie wiecie, jak na określonych etapach partia umiała wykorzystywać podobnych ludzi. Ale powinniście znać naszą opinię o nim: o tyle, o ile, do czasu.

- Towarzyszu Osipow, Jerszow pójdzie do końca, nie wątpię w niego.

Słychać było, jak stukają krople, spadając na cementową podłogę.

- Wiecie co, towarzyszu Mostowski? - powoli rzekł Osipow. - Nie mamy przed wami sekretów. Przebywa tutaj przerzucony z Moskwy towarzysz. Mogę wymienić nazwisko: Kotikow. To jest również jego opinia o Jerszowie, nie tylko moja. A dyrektywy Kotikowa dla nas wszystkich, komunistów, zwłaszcza w nadzwyczajnej sytuacji, są prawem - to rozkaz partii, rozkaz Stalina. Ale z tym waszym chrześniakiem, rządcą dusz, postanowiliśmy współpracować. Ważne jest jedno: musimy być realistami, dialektykami. Zresztą nie ja będę was uczył.

Mostowski milczał. Osipow uściskał go i trzykrotnie pocałował w usta. W jego oczach błysnęły łzy.

- Całuję was jak rodzzonego ojca - powiedział. - A miałbym ochotę przeżegnać was znakiem krzyża, jak w dzieciństwie żegnała mnie matka.

Michaił Sidorowicz poczuł nagle, że znika nieznośna, dręcząca świadomość, jak skomplikowane jest życie. Znowu, jak w młodości, świat był jasny i prosty, podzielony na swoich i obcych.

Nocą do baraku specjalnego weszli esesmani i zabrali sześciu ludzi, wśród nich był Michaił Sidorowicz Mostowski.

## CZEŚĆ DRUGA

### I

Kiedy ludzie widzą pociągi z wojskiem, jadące na front, odczuwają radosną niecierpliwość - wydaje im się, że właśnie te działa, te świeżo pomalowane czołgi mają przeprowadzić upragnioną, najważniejszą operację, po której szczęśliwe zakończenie wojny będzie kwestią najbliższego czasu.

Dusze tych, którzy opuszczają siedziby na zapleczu frontu i ładują się do eszelonów, ogarnia wyjątkowe napięcie. Młodym dowódcom plutonów marzy się, że w zalakowanej kopercie czeka na nich rozkaz samego Stalina... Bardziej doświadczeni o czymś takim oczywiście nie myślą, piją wrzątek, rozbijają suszoną rybę o stolik albo o podeszwę buta, omawiają życie prywatne majora i szanse handlu wymiennego na najbliższym węźle kolejowym. Doświadczeni już widzieli, jak to jest: jednostka wyładowuje się w pasie przyfrontowym, na zapadłej stacji, znanej tylko niemieckim bombowcom nurkującym, a pierwszy nalot nieco psuje nowicjuszą ich odświętny nastrój... Ludziom, którzy po drodze zdążyli opuchnąć z nadmiaru snu, teraz nie daje się pospać ani godziny; jadą całymi dniami, nie mają kiedy się napić, zjeść; w skroniach im dudni od ciągłego ryku przegrzanych silników, ręce nie są w stanie utrzymać dźwigni kierowniczej. A dowódca już się naczytał szyfrówek, nasłuchał krzyku i przekleństw przez radio - przełożeni muszą jak najprędzej czymś zapchać dziurę i nikogo tutaj nie obchodzi, jakie wyniki osiągnęła jednostka na strzelaniach ćwiczebnych.

-Prędzej, prędzej, prędzej!" Tylko to słowo huczy w uszach dowódcy; no więc jadą dalej, nie zatrzymują się, pędzą co sił. Niekiedy też, od razu z marszu, jednostka wkracza do akcji, nie robiąc rozpoznania, 333 czyjś zmęczony i nerwowy głos mówi: „Uderzajcie natychmiast, tam, wzdłuż linii tych pagórków, za cholerę nie mamy kim się bronić, a Niemcy idą na całego, rozwalą nas jak nic”.

Huk i dudnienie wielodniowego marszu mieszały się w głowach kierowców, mechaników, radiotelegrafistów i celowniczych z gwizdem niemieckich latających strazydeł, z trzaskiem rozrywających się pocisków.

Tutaj najlepiej można zrozumieć szaleństwo wojny - po godzinie widać rezultaty olbrzymiego wysiłku: dymią się spalone, rozbite maszyny z rozwalonymi działami, rozerwanymi gąsienicami.

Gdzie się podziały miesiące bezsennych ćwiczeń, na co poszła pilna, cierpliwa praca hutników, elektryków?...

Wtedy dowodzący odcinkiem, chcąc ukryć bezmyślny pośpiech, z jakim posłał do walki przerzuconą z tyłów jednostkę, ukryć, że ją stracił, a właściwie nic nie osiągnął, składa przełożonym standardowy raport: „Działania rzuconej z marszu jednostki odwodowej powstrzymały na pewien czas aktywność nieprzyjaciela i pozwoliły dokonać przegrupowania powierzonych mi wojsk”.

A gdyby nie wrzeszczał: „Prędzej, prędzej!", gdyby dał możliwość rozpoznania okolicy, nie pchał pancerniaków na pole minowe, to czołgi choć może wiele by nie zdziałały, związałyby przynajmniej Niemców walką i narobiły im trochę kłopotu.

Korpus pancerny Nowikowa jechał na front.

Nieostrzelanym czołgistom, naiwnym chłopcom, wydawało się, że właśnie oni wezmą udział w rozstrzygającej rozprawie. Frontowcy, którzy już się nawąchali prochu, śmiali się z nich; dowódca pierwszej brygady Makarow i najlepszy w korpusie dowódca batalionu czołgów Fatow dobrze wiedzieli, jak to bywa, bo nieraz byli tego świadkami.

Sceptycy i pesymiści, ludzie otrzaskani, realnie myślący, swoją gorzką wiedzę zdobyli za cenę krwi i cierpień. O wojnie wiedzieli bez wątpienia więcej od gołowąsów. Ale ci gorzko doświadczeni pomylili się: czołgom pułkownika Nowikowa przypadł udział w walce, która zdecydowała o losach wojny, o powojennym życiu setek milionów ludzi.

2

Zgodnie z rozkazem po przyjeździe do Kujbyszewa Nowikow miał skontaktować się z przedstawicielem Sztabu Generalnego, generałem-lejtnantem Riutinem, i naświetlić różne sprawy, które interesowały Naczelne Dowództwo.

Nowikow myślał, że ktoś po niego wyjdzie, ale komendant stacji, major o jakimś dzikim, niespokojnym, a zarazem absolutnie sennym spojrzeniu, poinformował go, że nikt o niego nie pytał. Nie udało się zadzwonić z dworca do generała, jego telefon był do tego stopnia utajniony, że nie sposób się było połączyć.

Nowikow udał się więc pieszo do sztabu okręgu.

Na placu przed dworcem poczuł tę nieśmiałość, jaka bywa udziałem dowódców jednostek liniowych, którzy nagle znajdują się w mieście, w niezwykłym dla siebie otoczeniu. Pewność, że człowiek jest w samym centrum, nagle się załamała - nie było tu ani telefonisty podającego słuchawkę, ani kierowcy, który biegnie na złamanie karku, żeby uruchomić silnik.

Brukowaną kocimi łbami ulicą ludzie pędzili do kolejki, która właśnie tworzyła się przed sklepem przydziałowym: „Kto ostatni?... Ja za panią...” Wydawało się, że dla podzwaniających bańkami ludzi nie istnieje nic ważniejszego od tej kolejki przed odrapanymi drzwiami sklepu spożywczego. Szczególnie złościł Nowikowa napotkani wojskowi; prawie każdy miał w ręku walizę, tobołek. „Zebrać ich wszystkich, sukinsynów, i wysłać na front” - pomyślał.

Czyżby miał ją dzisiaj zobaczyć? Szedł ulicą i myślał o niej. Halo, Żenia! Spotkanie z generałem Riutinem w gabinecie dowódcy okręgu było krótkie. Ledwie zaczęła się rozmowa, przerwał ją telefon ze Sztabu Generalnego - generał dostał polecenie natychmiastowego lotu do Moskwy.

Riutin przeprosił Nowikowa i zadzwonił przez telefon miejski.

- Masza, wszystko się zmieniło. Odlatuję o świcie douglasem, przekaz Annie Aristarchownie. Kartofli wziąć nie zdążymy, worki są w sowchoZie... - Na jego bladej twarzy pojawił się grymas cierpienia i niechęci; Po czym, najwyraźniej przerywając potok słów, które dolatywały do 335 niego przez przewód, generał powiedział: - To co, mam zameldować Naczelnemu Dowództwu, że nie przylecę, bo nie skończyli ci szyc płaszcz? Odłożył słuchawkę i spytał Nowikowa: - Towarzyszu pułkowniku, jak sądzicie: część jezdnia czołgu odpowiada wymaganiom, które postawiliśmy konstruktorom? Nowikowowi ciążyła ta rozmowa. W ciągu miesięcy, które spędził w

korpusie, nauczył się bezbłędnie oceniać ludzi, a raczej ich przydatność służbową. Błyskawicznie potrafił ocenić, ile wari są pełnomocnicy, szefowie komisji, przedstawiciele, inspektorzy i instruktorzy, którzy składali mu wizyty.

Znał znaczenie cichych słów: „Towarzysz Malenkow polecił wam przekazać...” - i wiedział, że ludzie z generalskimi naramiennikami, z piersią pełną orderów, wymowni i głośni, bywają niezdolni do załatwienia tony oleju, mianowania magazyniera czy zwolnienia pisarza z funkcji.

Riutin nie działał na najwyższym piętrze potęgi państwowej. Pomagał sporządzać statystyki, naświetlał ogólną sytuację, reprezentował; rozmawiając z nim, Nowikow zaczął więc popatrywać na zegarek.

Generał zamknął duży notes.

- Niestety, czas nagli, towarzyszu pułkowniku, o świcie wylatuję do Sztabu Generalnego. No, po prostu pech; chyba że wezwałbym was do Moskwy.

- Rzeczywiście, towarzyszu generale-lejtnancie, chyba do Moskwy, razem z czołgami, którymi dowodzę - zimno odrzekł Nowikow.

Pożegnali się. Riutin prosił, żeby przekazać pozdrowienia generałowi Nieudobnowowi, z którym kiedyś razem służyli. Nowikow nie dotarł jeszcze do końca zielonego chodnika w przestronnym gabinecie, kiedy usłyszał, jak Riutin mówi przez telefon: - Połączcie mnie z dyrektorem sowchozu numer jeden.

„Pamięta o swoich kartoflach” - pomyślał Nowikow.

Teraz szedł do Jewgienii Nikołajewny. Pod jej stalingradzki dom dotarł którejś letniej dusznej nocy, w zamęcie odwrotu; trafił tam ze stepu ogarniętego dymem i kurzem. Teraz znowu zmierzał do jej domu i wydawało mu się, że tamtego i tego Nowikowa dzieli przepaść, a przecież to był on, ten sam i taki sam człowiek.

„Będziesz moja - pomyślał. - Będziesz moja”.

336 3 Dom był piętrowy, zbudowany dawno; jeden z tych nienadających za epoką domów o grubych murach, upartych, latem zachowujących chłodną wilgoć, a w jesienne chłody nierozstających się z ciepłem i kurzem.

Kiedy zadzwonił, z otwartych drzwi wionęło na niego duchotą; w korytarzu zastawionym kuframi i pogniecionymi koszykami zobaczył Jewgienię Nikołajewnę... Zobaczył, chociaż nie widział białej chustki na głowie, czarnej sukienki, nie widział oczu ani twarzy, ramion ani rąk... Tak jakby widział ją sercem, a nie oczami. Jewgienia wydała cichy okrzyk, ale nie cofnęła się odruchowo, jak to zazwyczaj robią zaskoczeni ludzie.

Powitał ją, a ona coś mu odpowiedziała.

Zrobił krok w stronę Żeni i zamknął oczy. Poczuł jej ciepło, poczuł, że jest szczęśliwy i że mógłby od razu, w tej chwili, umrzeć.

Okazało się, że do tego, by doświadczyć uczucia, którego dawniej nie znał - szczęścia - nie potrzeba ani widzenia, ani myśli, ani słów.

Zapytała go o coś, a on odpowiedział, idąc w ślad za nią ciemnym korytarzem i trzymając ją za rękę jak chłopiec, który boi się zgubić w tłumie.

„Bardzo szeroki korytarz - pomyślał. - Czołg KW mógłby przejechać”.

Weszli do pokoju z oknem wychodzącym na ślepią ścianę sąsiedniego budynku.

Stały tutaj dwa łóżka - jedno z płaską, pogniecioną poduszką, zaścielone szarą kołdrą, drugie przykryte białą koronkową narzutą, na której leżały białe, pękate poduszeczki. Nad białym łóżkiem wisiały karty pocztowe - z noworocznymi i wielkanocnymi przystojniakami w smokingach, z kurczętami wyłazącymi ze skorupki.

W rogu stołu zastawionego zwiniętymi w rulony arkuszami watmanowskiego papieru stała butelka oleju; koło niej leżał kawałek chleba i zwiędła połówka cebuli.

- Żenia...

Jej wzrok, zazwyczaj uważny i drwiący, był jakiś dziwny, niezwykły.

Powiedziała: - Jesteś głodny, z drogi? Chciała najwyraźniej zlikwidować, odpędzić to nowe uczucie, które się w niej zrodziło i którego już nie można było zniszczyć. Władający 337 setkami ludzi i złowrogimi machinami wojennymi mężczyzna o żalonych oczach nieszczęśliwego chłopczyka był teraz jakiś inny, nie taki jak przedtem. Ten dysonans mieszał jej szyki, wołała Piotra lekceważyć, nawet litować się nad nim, nie zaś myśleć o jego sile. Jej szczęściem była wolność. Tymczasem wolność ją opuszczała, a mimo to Jewgienia czuła się szczęśliwa.

Nowikow powiedział nagle: - No co, nie rozumiesz? -I znowu przestał słyszeć swoje i jej słowa.

Ponownie ogarnęło go uczucie szczęścia i związana z nim gotowość, żeby umrzeć, choćby zaraz. Żenia objęła go za szyję, a jej włosy dotknęły jego czoła, policzków, jakby delikatnie obmywała je ciepłą wodą; w półmroku tych ciemnych włosów zobaczył błyszczące oczy.

Jej szept zagłuszył wojnę, zgrzytanie gąsienic...

Wieczorem pili wrzątek, jedli chleb, a Żenia powiedziała: - Odzwyczało się naczalstwo od czarnego chleba.

Przyniosła wystawiony za okno rondel kaszy gryczanej - duże, zmarznięte ziarna gryki zrobiły się sine, fioletowe. Wystąpił na nie zimny pot.

- Jak perski bez - zauważyła Żenia.

Nowikow spróbował tego perskiego bzu i pomyślał: „Coś okropnego!” - Odzwyczaił się dowódca - powtórzyła, a on pomyślał: „To dobrze, że nie posłuchałem Gietmanowa i nie przywiozłem nic do jedzenia!” Powiedział: - Kiedy wojna się zaczęła, byłem pod Brześciem w pułku lotniczym.

Piloci pognali na lotnisko, a ja usłyszałem, jak jakaś Polka krzyczy: „Kto to taki?” Mały Polaczek zawołał: „Żołnierz ruski!” - i wtedy poczułem wyraźnie: „Ruski, Rosjanin...” Niby całe życie wiedziałem, kim jestem, przecież nie Turkiem, a tu w duszy zagrało: Rosjanin...

Po prawdzie, to przed wojną wychowywali nas w całkiem innym duchu... Dzisiaj, właśnie dzisiaj mam swój najlepszy dzień: patrzę na ciebie i znowu jest jak wtedy - rosyjskie nieszczęście, rosyjskie szczęście... To właśnie chciałem ci powiedzieć... - Po chwili zapytał: A jak ty? Mignęła jej w pamięci potargana głowa Krymowa. Boże,

czyżby na zawsze się z nim rozeszła? Właśnie w tych chwilach szczęścia wieczna rozłąka z nim wydawała się nie do zniesienia.

Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz połączy dzisiejszy dzień, słowa człowieka, który ją całuje, z tamtym minionym czasem; zrozumie nagle tajemny bieg swojego życia i zajrzy tam, gdzie człowiekowi nie jest dane zaglądać - do głębi swego serca, w którym rozstrzyga się jej los.

\_ Ten pokój - powiedziała - należy do Niemki, która mnie przygarnęła. To anielsko białe łóżko było jej. Bardziej nieszkodliwej, bezradnej istoty w życiu nie widziałam... Dziwne, że w czasie wojny z Niemcami nie mam wątpliwości - właśnie ona jest najlepszym człowiekiem w tym mieście. Prawda? - Prędko przyjdzie? - spytał Nowikow.

- Nie, z nią wojna już skończona, zesłano ją.

- No i bardzo dobrze - powiedział.

Miała ochotę wyznać mu, że żał jej Krymowa, którego porzuciła; Krymow nie ma do kogo napisać, nie ma do kogo dążyć, pozostał mu smutek, beznadziejna tęsknota, samotność.

Doszło do tego pragnienie opowiedzenia o Limonowie, o Szarogrodskim, o wszystkich nowych, ciekawych, niezrozumiałych sprawach, które miały związek z tymi ludźmi. Chciała też opowiedzieć, jak Jenny Gienrichowna zapisywała niegdyś zabawne słowa, które wypowiadali mali Szaposznikowowie, i że zeszyty z tymi notatkami leżą na stole, można je przeczytać. A także o kłopotach z zameldowaniem i o szefie biura meldunkowego. Ale jeszcze nie ufała Nowikowowi, krępowała się go. Dlaczego miałby tego słuchać? Zdumiewająca rzecz! Jakby na nowo przeżywała swoje rozejście z Krymowem. W głębi duszy zawsze wydawało się jej, że wszystko będzie można naprawić, przywrócić przeszłość. To ją uspokajało. Teraz, kiedy odczuła siłę, która ją zagarnia, pojawiła się dręcząca niepewność: „Czyżby to na zawsze, czyżby to nie do naprawienia? Biedny, biedny Nikołaj Grigorjewicz. Za co musi tak cierpieć?” - Co teraz będzie? - spytała.

- Jewgienia Nikołaj ewna Nowikow - odpowiedział.

Zaczęła się śmiać, wpatrując się w jego twarz.

- Obcy człowiek, całkiem obcy! Kim ty właściwie jesteś? - Tego nie wiem. Ale ty jesteś Jewgienia Nowikow.

Wróciła na dobre do życia. Nalewała mu wrzątku do filiżanki i Pytała: - Jeszcze chleba? 339 Nagle powiedziała: - Jeśli z Krymowem coś się stanie, zostanie ranny albo go zamkną wrócę do niego. Musisz się z tym liczyć.

- Za co mieliby go zamykać? - spytał ponuro.

- A mało jest powodów? Krymow to stary kominternowiec, przecież Trocki go znał; kiedyś po przeczytaniu jego artykułu powiedział: „Jak wykute w marmurze!” - Spróbuj, wróc do niego. Na pewno cię wyrzuci.

- Tym się nie kłopotcz. To już moja sprawa.

Powiedział jej, że po wojnie będzie gospodynią w dużym domu, dom będzie piękny, z ogrodem.

Czyżby to już na zawsze, na całe życie? Nie wiadomo czemu chciała, żeby do Nowikowa wyraźnie dotarło: Krymow jest inteligentny, utalentowany, a ona jest do niego przywiązana; co tam przywiązana - kocha go. Nie chciała, żeby był o Krymowa zazdrosny, ale sama o tym nie wiedząc, robiła wszystko, by w nim tę zazdrość obudzić. Ale jemu właśnie, jemu jednemu opowiedziała to, co jej jedynej opowiedział kiedyś Krymow, o pochwalę Trockiego. Gdyby w swoim czasie wiedział o tym jeszcze ktoś, Krymow raczej nie przeżyłby trzydziestego siódmego roku. Jej uczucie do Nowikowa wymagało absolutnego zaufania, powierzyła mu więc los człowieka, którego skrzywdziła.

Głowę miała pełną myśli; rozmyślała o przyszłości, o przeszłości, o dniu dzisiejszym, truchlała, tęskniła, cieszyła się, wstydziła, martwiła, lękała. Matka, siostry, siostrzenice, Wiera, dziesiątki ludzi miało związek ze zmianą, która zaszła w jej życiu. Jak też by Nowikow rozmawiał z Limonowem, słuchał rozmów o poezji i malarstwie? Nie przyniósłby jej wstydu, chociaż nie zna Chagalla ani Matisse'a... Jest silny, silny, silny. A ona mu się podporządkowała. Skończy się wojna. Czyżby, czyżby naprawdę miała już nie zobaczyć Nikołaja? Boże, Boże, co ona narobiła. Nie trzeba teraz o tym myśleć. Przecież nie wiadomo jeszcze, co będzie, jak się to wszystko ułoży.

- Właśnie teraz zrozumiałam, że przecież w ogóle cię nie znam. Nie żartuję: jesteś obcy. Dom, ogród - po co to wszystko? Mówisz poważnie?

- Jeśli wolisz, to po wojnie przejdę do cywila i pojedę jako brygadzysta na budowę gdzieś we wschodniej Syberii. Będziemy mieszkali w baraku dla rodzin.

Mówił szczerze, nie żartował.

- Niekoniecznie dla rodzin.

- Absolutnie koniecznie.

- Zwariowałeś. Po co? - A pomyślała: „Koleńka”.

- Jak to po co? - spytał z przestraszeniem.

Ale nie myślał o przyszłości ani o przeszłości. Był szczęśliwy. Nawet nie przerażała go myśl, że za parę chwil się rozstaną. Siedział obok niej, patrzył na nią... Jewgienia Nikołajewna Nowikow... Był szczęśliwy. A ona wcale nie musiała być mądra, piękna, młoda. Kochał ją naprawdę. Najpierw nie śmiał nawet marzyć o tym, żeby została jego żoną. Potem przez długie lata o tym marzył. Nawet dzisiaj, tak jak dawniej, nieśmiało i potulnie łowił jej uśmiechy i drwiny; dostrzegł w niej jednak coś nowego.

Obserwując, jak zbiera się do wyjścia, powiedziała: - Stieńka Razin musi wracać do drużyny, która już zaczęła szemrać.

A mnie, kochankę, trzeba wrzucić do Wołgi. Jak w pieśni.

Kiedy zaczął się żegnać, zrozumiał, że nie jest znowu taka silna i że kobieta zawsze jest kobietą, nawet jeśli Bóg obdarzył ją jasnym i ironicznym umysłem.

- Tyle ci chciałam powiedzieć i w końcu nic nie powiedziałam stwierdziła.

Ale nie miała racji: to, co najważniejsze w życiu dwojga ludzi, zaczęło się wyjaśniać właśnie podczas tego spotkania. Nowikow naprawdę ją kochał.



Szedł teraz w kierunku dworca.

-Żenia, jej pełen zakłopotania szept, jej bosa noga, pieśczośliwe słowa i łzy w chwili rozstania, jej władza nad nim, jej ubóstwo i czystość, zapach jej włosów, jej dziewczęca wstydlivość, ciepło jej ciała, nieśmiałość, a zarazem duma Nowikowa ze swojej robotniczo-żołnierskiej prostoty.

Nowikow szedł torami, a jego gorące, kłębiące się myśli przeszły nagle jak igła wieczna obawa żołnierza w drodze: czy transport nie odjechał.

Z daleka zobaczył perony, kanciaste czołgi, prężące metalowe mięśnie pod brezentowymi płachtami, wartowników w czarnych hełmach wagon sztabowy z białymi zasłonkami w oknach.

Wszedł do wagonu, mijając wyprostowanego wartownika.

Adiutant Wierszkow, obrażony, że Nowikow nie zabrał go ze sobą do miasta, w milczeniu położył na stoliku szyfrogram z Naczelnego Dowództwa: kierować się na Saratow i dalej koleją astrachańską.

Do przedziału wszedł generał Nieudobnow i patrząc nie na twarz Nowikowa, ale na telegram w jego rękach, powiedział: - Potwierdzili marszrutę.

- Tak, Iłarionie Innokientijewiczu - rzekł Nowikow. - Tylko że nie marszrutę potwierdzili, ale nasz los: Stalingrad. - I dodał: - Macie pozdrowienia od generała-lejtnanta Riutina.

- Aa-aa - odpowiedział Nieudobnow; nie sposób było zrozumieć, do czego się odnosi to obojętne: „Aa-aa” - do pozdrowień generała czy też do Stalingradu.

Dziwny to był człowiek, Nowikowowi robiło się zawsze nieswojo w jego obecności: cokolwiek zdarzyło się w drodze - postój, żeby przepuścić pociąg z naprzeciwka, niesprawność panewki osiowej w którymś z wagonów albo brak zezwolenia na dalszą jazdę od dyspozytora - Nieudobnow ożywił się i mówił: - Nazwisko, nazwisko zapiszcie, to celowy sabotaż, trzeba przymknąć łajdaka.

Nowikow w gruncie rzeczy obojętnie, bez nienawiści traktował tych, których nazywano wrogami ludu, podkułacznikami, kułakami. Nigdy nie miał ochoty kogokolwiek zamykać, stawiać przed trybunałem, demaskować na zebraniu. Był jednak pewien, że ta pobłażliwa obojętność wynika z jego niedostatecznego uświadomienia politycznego.

Wydawało mu się natomiast, że kiedy Nieudobnow patrzy na człowieka, to przede wszystkim stara się być czujny, od razu podejrzewa: „Ej, drogi towarzyszu, czyś ty przypadkiem nie wróg?” Poprzedniego dnia opowiadał Nowikowowi i Gietmanowowi o architektach, dywersantach, którzy główne ulice w Moskwie usiłovali przekształcić w lądowiska dla nieprzyjacielskich samolotów.

- Myślę - odparł Nowikow - że z wojskowego punktu widzenia to idiotyzm.

Teraz Nieudobnow podjął swój drugi ulubiony temat - urządzenie domu-Obmacał rury w wagonie i zaczął opowiadać o ogrzewaniu carowym, które założył na dacy na krótko przed wojną.

Niespodziewanie ta opowieść wydała się Nowikowowi ciekawa i pożyteczna, poprosił więc Nieudobnowa, żeby narysował schemat takiego ogrzewania na daczce, złożył kartkę i włożył ją do wewnętrznej kieszeni bluzy.

- Przyda się - powiedział.

Wkrótce do przedziału wszedł Gietmanow i wesoło, hałaśliwie powitał Nowikowa: - No i znowu jesteśmy razem z dowódcą! Bo już tu chcieliśmy nowego atamana sobie wybrać; myśleliśmy, że Stieńka Razin porzucił swoją drużynę.

Mrużył oczy, dobrodusznie patrząc na Nowikowa; ten śmiał się z żartów komisarza, chociaż w duchu czuł znowu dobrze już znane napięcie.

Żarty Gietmanowa miały szczególną cechę: dużo wiedział o Nowikowie i właśnie w żartach o tym napomykał. Teraz też powtórzył pożegnalne słowa Żeni, co oczywiście było czystym przypadkiem.

Gietmanow popatrzył na zegarek i powiedział: - No, panowie, jadę do miasta; teraz moja kolej. Nie ma sprzeciwów? - Proszę bardzo, nudzić się tu bez was nie będziemy - odparł Nowikow.

- Z pewnością, towarzyszu dowódcu - odrzekł Gietmanow. - Wy zresztą w ogóle w Kujbyszewie się nie nudzicie.

Ten żart nie był już oczywiście przypadkowy.

Stojąc w drzwiach przedziału, Gietmanow spytał: - Jak się czuje Jewgienia Nikołajewna, Piotrze Pawłowiczu? Twarz Gietmanowa była poważna, oczy się nie śmiały.

- Dziękuję, dobrze; dużo pracuje - odpowiedział Nowikow i chcąc zmienić temat, spytał Nieudobnowa: - A wy, Iłarionie Innokientijewiczu, nie wybralibyście się na godzinkę do Kujbyszewa? - A co, coś tam zgubiłem? - zdziwił się Nieudobnow.

Siedzieli obok siebie; Nowikow, słuchając Nieudobnowa, przeglądał Papiery i odkładał na bok, od czasu do czasu mówiąc: - Tak, tak, proszę dalej...

Przez całe życie to Nowikow meldował przełożonym, którzy w tym czasie przeglądali papiery i z roztargnieniem mówili: - Tak, tak, proszę, mówcie dalej... - a Nowikow zawsze czuł się wtedy dotknięty i był przekonany, że sam nigdy by się tak nie zachował...

- Jest taka sprawa - powiedział. - Musimy kierownictwu remontów zgłosić w porę zapotrzebowanie na inżynierów. Mamy specjalistów od kół, a od gąsienic prawie nikogo.

- Już przygotowałem listę; myślę, że najlepiej zaadresować ją bezpośrednio do generała-pułkownika, przecież i tak trafi do niego, żeby zatwierdził.

- Tak, tak, tak - zgodził się Nowikow. Podpisał zapotrzebowanie i rzekł: - Trzeba sprawdzić środki przeciwlotnicze w brygadach. Za Saratowem mogą być naloty.

- Już wydałem rozporządzenie w sztabie.

- To nie wystarczy; za to muszą odpowiadać osobiście komendanci pociągów, niech zameldują nie później niż o szesnastej. Osobiście, osobiście.

Nieudobnow mówił dalej: - Dostaliśmy zatwierdzenie nominacji Sazonowa na szefa sztabu brygady.

- Z telegraficzną szybkością - zauważył Nowikow.

Tym razem Nieudobnow nie patrzył w bok; uśmiechnął się, rozumiejąc złość i zakłopotanie Nowikowa.

Zazwyczaj Nowikow nie miał dość odwagi i uporu, żeby bronić ludzi, których uważał za najbardziej nadających się na stanowiska dowódcze.

Markotniał, ledwie tylko pojawiał się temat pewności politycznej dowódców; nagle ich zalety przestawały mu się wydawać ważne.

Ale teraz był zły. Dzisiaj nie chciał się podporządkować. Patrząc na Nieudobnowa, powiedział: - To mój błąd, poświęciłem zalety wojskowe na rzecz ankiety personalnej. Na froncie ten błąd naprawimy. Tam ankietą dużo się zwojuje. Jakby co - to pierwszego dnia pogonię do wszystkich diabłów! Nieudobnow wzruszył ramionami i odrzekł: - Osobiście nie mam nic przeciw temu Kałmukowi Basangowowi, ale trzeba pamiętać o Rosjanach. Przyjaźń między narodami to sprawa święta, ale rozumiecie, u tych innych narodowości duży procent stanowią ludzie wrogo usposobieni, chwiejni, niewyraźni.

- Trzeba było o tym myśleć w trzydziestym siódmym - odparował Nowikow. - Miałem znajomego, Mitię Jewsiejewa. Zawsze wołał: „Przede wszystkim jestem Rosjaninem”. No i dali mu Rosjanina, poszedł siedzieć.

\_ Każda jarzyna ma swój czas - zauważył filozoficznie Nieudobnow \_ A zamyka się łądaków, wrogów. Bez powodu u nas nie zamykają- Kiedyś zawarliśmy pokój brzeski z Niemcami, i to było właśnie bolszewickie podejście, a teraz towarzysz Stalin wezwał, żeby wszystkich Niemców, którzy okupują naszą radziecką ojczyznę, wybić do ostatniego - i to jest dzisiaj bolszewizm.

Pouczającym tonem dodał: -W naszych czasach bolszewik to przede wszystkim rosyjski patriota.

Nowikowa to drażniło: on swoje poczucie rosyjskości okupił cierpieniem w ciężkich dniach wojny, a Nieudobnowowi wydano je chyba w jakiejś kancelarii, do której Nowikow nie miał wstępu.

Rozmawiał z Nieudobnowem, ale myślał o różnych sprawach, denerwował się, złościł. Policzki go paliły jak od wiatru i słońca, a serce biło głucho, mocno, nie chciało się uspokoić.

Miał wrażenie, że w jego sercu maszeruje cały pułk, głośno, równo wybijając obcasami rytm: „Żenia, Żenia, Żenia, Żenia”.

Wierszkow, któremu przeszła już złość na Nowikowa, zajrzał do przedziału i powiedział przymilnym głosem: - Towarzyszu pułkowniku, pozwólcie zameldować: kucharz nas męczy, już trzy godziny trzyma na ogniu obiad.

- Dobra, dobra, byle szybciej.

Od razu do przedziału wbiegł spocony kucharz i z wyrazem cierpienia, szczęścia i urazy na twarzy zaczął rozstawiać talerze z uralskimi marynatami.

- A mnie przynieś butelkę piwa - rzekł tęsknie Nieudobnow.
- Tak jest, towarzyszu generale-majorze - odparł uszczęśliwiony kucharz.

Nowikow po długim poście nabrał takiego apetytu, że aż łzy napłynęły mu do oczu. „Przywykłeś, towarzyszu dowódco” - pomyślał, Wspominając niedawny zimny perski bez.

Nowikow i Nieudobnow równocześnie spojrzeli przez okno: po torach, wykrzykując coś przenikliwym głosem, zataczając się i potykając, 345 szedł pijany czołgista, podtrzymywany przez milicjanta z karabinem na brezentowym pasie. Czołgista usiłował wyrwać się i uderzyć milicjanta ale ten trzymał go mocno za ramiona. W pijackiej łepetynie panował widocznie kompletny chaos, bo żołnierz stracił nagle ochotę do bójki i z rozczuleniem zaczął całować milicjanta w policzek.

Nowikow polecił adiutantowi: - Natychmiast dowiedzcie się, co on tam nawyrabiał, i zameldujcie.

- A to łajdak! Rozstrzelać trzeba dezorganizatora - powiedział Nieudobnow, zaciągając gwałtownie zasłonkę.

Na pospolitej twarzy Wierszkowa malowały się sprzeczne uczucia.

Przede wszystkim martwił się, że dowódcy zakłócono obiad. Jednocześnie rozumiał czołgistę, a w zrozumieniu tym widać było różne odcienie - rozbawienia, aprobaty, koleżeństwa, ojcowskiej czułości, smutku i szczerego niepokoju. Wyprężył się.

- Tak jest, dowiedzieć się i zameldować. -I natychmiast dodał: - Jego matka tu mieszka; a Rosjanin, jak to Rosjanin, rozkleił się, chciał się należycie pożegnać ze staruszką, no i przebrał miarę.

Nowikow podrapał się w głowę, przysunął talerz. „Niech to diabli, nigdy więcej nie opuszczę pociągu” - zwrócił się w myślach do kobiety, która na niego czekała.

Gietmanow wrócił przed odjazdem eszelonu poczerwieniały, wesoły; nie chciał jeść kolacji, kazał tylko pomocnikowi otworzyć butelkę swego ulubionego napoju mandarynkowego.

Stękając, zdjął buty i położył się na kanapie; stopą w skarpetce zasunął starannie drzwi przedziału.

Zaczął opowiadać Nowikowowi to, co usłyszał od starego towarzysza, sekretarza komitetu obwodowego. Sekretarz wrócił wczoraj z Moskwy, gdzie przyjął go jeden z dostojników, którzy w dniach świąt wchodzą na trybunę, ale nie stoją przy mikrofonie obok Stalina. Dostojnik nie wiedział oczywiście wszystkiego, a z pewnością nie wszystko, co wiedział, opowiedział sekretarzowi komitetu obwodowego, znanemu z czasów, kiedy ów sekretarz pracował jako instruktor komitetu rejonowego w niedużym mieście nad Wołgą. Sekretarz komitetu obwodowego zważył komisarza korpusu pancernego na niewidzialnej wadze laboratoryjnej i ujawnił rozmówcy małą część z tego, co usłyszał. A już na pewno niewiele z tego, co opowiedział sekretarz komitetu obwodowego, komisarz korpusu przekazał pułkownikowi Nowikowowi.

Tego wieczoru jednak Gietmanow mówił tym szczególnym, konfidencjonalnym tonem, jakiego dotąd w rozmowach z Nowikowem nie używał. Zupełnie tak, jakby

zakładał, że Nowikow doskonale wie, jak olbrzymią władzę wykonawczą posiada Malenkow, to, że poza Mołotowem tylko Beria jest na „ty” z towarzyszem Stalinem, że towarzysz Stalin najbardziej nie znosi samorzutnych działań, uwielbia natomiast ser suługuni, że macza chleb w winie, bo ma zęby w kiepskim stanie, a skoro już o tym mowa, to w dzieciństwie przeszedł ospę i dlatego jest lekko dziobaty, że Mołotow od dawna przestał być drugą osobą w partii, że Josif Wissarionowicz chyba nie bardzo lubi ostatnio Chruszczowa, a niedawno przez telefon wysokiej częstotliwości wręcz zwymyślał go najgorszymi słowami.

Ten poufaly ton w rozmowie o najważniejszych ludziach w państwie, żart Stalina, który ze śmiechem przeżegnał się w czasie rozmowy z Churchillem, niezadowolenie, że jeden z marszałków jest zadufany w sobie - wszystko to wyglądało na ważniejsze niż niewyraźna aluzja, zawarta w słowach człowieka, który stał na trybunie przed mauzoleum.

A przecież Nowikow całą duszą pragnął tych słów i przeczuwał ich wypowiedzenie - nadchodził czas przełomu! Z jakimś idiotycznym wewnętrznym uśmiechem samozadowolenia, którego sam się zawstydził, pomyślał: „No proszę, i ja trafiłem do nomenklatury”.

Wkrótce pociąg ruszył bez żadnego sygnału, bez zapowiedzi.

Nowikow wyszedł na korytarz, podszedł do drzwi, otworzył je i wpatrzył się w mrok, w którym pogrążone było miasto. I znowu głośno zaczęła wystukiwać rytm piechota: „Żenia, Żenia, Żenia”. Od strony parowozu, poprzez huk i dudnienie, słychać było przeciągłe słowa pieśni o Jermaku.

Stalowe koła, dudniące po stalowych szynach, zgrzytanie wagonów Pędzących na front z ogromną masą stali i towarzyszące temu młode głosy, zimny wiatr znad Wołgi i olbrzymie, rozgwieżdżone niebo odebrał teraz Nowikow jakoś inaczej, nie tak jak jeszcze chwilę temu; całkiem inaczej niż cały ten rok od pierwszego dnia wojny. Jego duszę Przepęniały radość i okrutne szczęście, poczucie przewagi, groźnej i brutalnej siły bojowej; tak jakby oblicze wojny uległo nagłej zmianie, nie było już tylko ściągnięte grymasem męki i nienawiści... Smutno ' ponuro ciągnąca się w mroku pieśń zabrzmiała naraz wyniośle i złowrogo.

Rzecz szczególna: jego dzisiejsze szczęście nie wzbudziło w nim dobrych uczuć, chęci wybaczenia. Wzmagalo nienawiść, gniew, pragnienie okazania swojej siły, zmiżdżenia wszystkiego, co stanie jej na przeszkodzie.

Wrócił do przedziału i tak jak przed chwilą poddał się czarowi jesiennej nocy, teraz poddał się władzy dusznego wagonu, pełnego dymu z papierosów, zapachu przypalonego masła, woni szuwaksu i spoconych cielsk sztabowców. Na kanapie, w pozycji na wół leżącej, w piżamie rozpiętej na białej piersi, rozwalił się Gietmanow.

- No co, zagramy w domino? Generalicja dała zgodę.

- Cóż, można - odpowiedział Nowikow.

Gietmanow podniósł się ostrożnie i zatroskany powiedział: - Na pewno muszę mieć wrzód; kiedy śpiewamy, męczy mnie zgaga.

- Nie trzeba było wyprawiać doktora z drugim eszelonem - zauważył Nowikow.

Zły na siebie, myślał: „Kiedyś chciałem załatwić stanowisko Darieńskiemu,

Fiodorienko się skrzywił, a ja się od razu wycofałem.

Powiedziałem Gietmanowowi i Nieudobnowowi, ci kręcą nosami: Po co nam były represjonowany? Też od razu zrejterowałem. Proponuję Basangowa, ci pytają: Po co nam nie-Rosjanin? No i znowu - cykoria...

A więc jakie jest to moje zdanie?" Patrząc na Gietmanowa, zastanawiał się, specjalnie doprowadzając myśl do absurdu: „Dzisiaj moim koniakiem mnie częstuje, a niedługo, jak przyjedzie do mnie kobita, będzie chciał z nią spać”.

Dlaczego właśnie on, który nigdy nie wątpił, że zdoła skrócić kark niemieckiej machinie wojennej, nieodmiennie tchórzył i tak łatwo się wycofywał w rozmowach z Gietmanowem i Nieudobnowem? Szczęśliwy dzień nasilił jego złość na te wszystkie lata, kiedy ludzie, którzy nie mieli pojęcia o wojsku, przyzwyczajeni do władzy, orderów, suto zastawionego stołu, słuchali jego raportów, udzielali mu pochwał, łaskawie zabiegali o jakiś pokoik dla niego w domu dla kadry dowódczej. Zawsze dowodzili nim ludzie, którzy nie znali kalibrów artylerii, nie umieli poprawnie odczytać przemówienia, które ktoś im napisał, nie znali się na mapie, zamiast „procent” mówili „procynt”, „ralizacja zadań bojowych”, akcentowali końcówkę „iśmy”. A on przed nimi stukał obcasami. To ich niedouctwo nie wynikało z robotniczego pochodzenia; przecież i jego ojciec, dziadek, brat - wszyscy byli górnikami- Niekiedy miał wrażenie, że właśnie niedouctwo stanowi siłę tamtych ludzi, zastępuje im wykształcenie; jego słabością natomiast były wiedza, poprawna wymowa, odczytanie. Przed wojną wydawało mu się że tamci po prostu mają więcej woli, wiary niż on. Wojna pokazała, że i to jest nieprawdą.

Wojna wyniosła go na wysokie stanowisko dowódcze. Okazało się jednak, że nadal nie był gospodarzem. Po dawnemu ulegał sile, którą stale czuł, ale której nie mógł zrozumieć. Ci dwaj, choć nie mieli prawa dowodzić, choć byli jego podkomendnymi, tę siłę reprezentowali. A on omdlewał z zachwytu, że Gietmanow podzielił się z nim opowieściami o świecie, z którego właśnie brała się owa siła, i trzeba było przecież się jej podporządkować.

Wojna pokaże, komu Rosja winna dziękować - takim jak on czy takim jak Gietmanow.

To, o czym marzył, spełniło się: kobieta, którą kochał przez długie lata, zostanie jego żoną... Tego samego dnia jego czołgi otrzymały rozkaz: Iść na Stalingrad.

- Piotrze Pawłowiczu - odezwał się nagle Gietmanow - wiecie, tutaj, kiedyście pojechali do miasta, posprzeczaliśmy się z Iłarionem Innokientijewiczem.

Oderwał się od oparcia kanapy, łyknął piwa i powiedział: - Jestem człowiekiem prostodusznym, więc chcę wam powiedzieć wprost: rozmawialiśmy o towarzysze Szaposznikow. Jej brat w trzydziestym siódmym poszedł na dno. - Gietmanow pokazał palcem podłogę. - Okazuje się, że Nieudobnow znał go w tym czasie, no, a ja znam jej pierwszego męża, Krymowa; ten, jak to się mówi, cudem ocalał. Był w grupie lektorów KC. Nieudobnow mówił właśnie, że to źle, że towarzysz Nowikow, któremu naród radziecki i towarzysz Stalin okazali wielkie zaufanie, wiąże swoje życie osobiste z kimś z niepewnego społeczno-politycznie środowiska.

- A co go obchodzi moje życie osobiste? - burknął Nowikow.

- No właśnie - zgodził się Gietmanow. - To wszystko przeżytki roku trzydziestego siódmego; trzeba szerzej patrzeć na takie sprawy.

Ale, nie, dobrze mnie zrozumcie. Nieudobnow to świetny człowiek, kryształowo uczciwy, nieugięty komunista ze stalinowskiej szkoły. Ma jednak pewną słabostkę - nie widzi czasem kiełków nowego, nie czuje tych spraw. Dla niego najważniejsze są cytaty z klasyków marksizmu.

A nie zawsze dostrzega to, czego uczy życie. Czasem się wydaje, że nie wie, nie rozumie, w jakim państwie żyje, aż tak się tych cytatów naczytał. A wojna uczy nas nowego podejścia do wielu spraw. Generał-lejtnant Rokossowski, generał Gorbatow, generał Pułtus, generał Biełow - wszyscy przecież siedzieli. Towarzysz Stalin uznał jednak, że można im powierzyć dowództwo. Mitricz, ten, którego odwiedziłem, opowiadał mi, jak Rokossowskiego ściągali prosto z łagru: stał w barakowej umywalni i prał onuce, a tu po niego biegną: dalej, prędko! No, myśli sobie, nawet mi onuc nie pozwolili doprać; poprzedniego dnia przesłuchiwał generała jeden pracownik organów i trochę go nadwerężył. A tutaj ładują go na douglasa i prosto na Kreml. Musimy z tego wyciągnąć jakieś wnioski. A nasz Nieudobnow to nadal entuzjasta trzydziestego siódmego, jego, dogmatyka, nie sposób zepchnąć z tych pozycji. Nie wiadomo, w czym zawinił brat Jewgienii Nikołajewny; może towarzysz Beria teraz też by go wypuścił, może dowodziłby armią... A Krymow jest w wojsku. Człowiek w porządku, zachował legitymację partyjną. O co chodzi? Ale te właśnie słowa sprawiły, że Nowikow wybuchnął.

- Gwiżdżę na to! - Powiedział to tak głośno, że sam się zdziwił, po raz pierwszy słysząc siebie przemawiającego tak gromko. - Co mi do tego, czy Szaposznikow był wrogiem, czy nie? Nie znam go w ogóle! Tego Krymowa Trocki chwalił za artykuł, że jest jak wykuty w marmurze. A mnie co do tego? Niech sobie będzie i w marmurze. Mogli go sobie kochać bez pamięci i Trocki, i Rykow, i Bucharin, a nawet Puszkina - moje życie nic do tego nie ma! Nie czytałem jego marmurowych artykułów. A co ma z tym wspólnego Jewgienia Nikołaj ewna, czy to ona pracowała w Kominternie do trzydziestego siódmego roku? Kierować, owszem, można, ale spróbujcie, towarzysze, powalczyć, popracować! Mam już tego dosyć! Naprawdę! Policzki mu płonęły, serce biło głośno, myśli były dobitne, pełne złości, a w głowie nic, tylko mgliste: „Żenia, Żenia, Żenia”.

Słuchał samego siebie i dziwił się - czyżby to on po raz pierwszy w życiu bez strachu, swobodnie walił prawdę w oczy wysokiemu funkcjonariuszowi partyjnemu? Popatrzył na Gietmanowa, czując radość, tłumiąc resztki obaw i poczucia winy.

Gietmanow nagle zerwał się z kanapy, machnął grubymi rękami i powiedział:

- Piotrze Pawłowiczu, niechże cię uściskam, porządny z ciebie chłop! Nowikow, trochę zdezorientowany, objął go; ucałowali się, a Gietmanow zawołał na korytarz: \_ Wierszkow, daj no nam koniaku, dowódca i komisarz korpusu będą pili bruderszaft! 5 Jewgienia Nikołaj ewna skończyła sprzątać pokój i pomyślała zadowolona: „No, to już wszystko”, jakby porządek zapanował równocześnie i w pokoju, gdzie łóżko było zasłane, a poduszka już niezmięta, i w duszy Jewgienii. Ale kiedy popiół zniknął z podłogi u wezgowia łóżka i ostatni niedopałek został zabrany z brzegu etażerki, Żenia zrozumiała, że próbowała się oszukiwać i że nie potrzebuje niczego na świecie prócz Nowikowa. O tym, co zaszło w jej życiu, miała ochotę opowiedzieć Sofii Osipownie -

właśnie jej, a nie matce czy siostrze. Niejasno rozumiała, dlaczego akurat z Sofią Osipowną chce o tym rozmawiać.

- Ach, Sonieczko, Sonieczko Lewinton - powiedziała nagle na głos.

Potem pomyślała o tym, że nie ma Marusi. Wiedziała, że bez Nowikowa nie może żyć, i plasnęła rozpaczliwie ręką o stół. Powiedziała sobie: „Gwizdzę na to, nikt mi nie jest potrzebny”, po czym uklękła przed miejscem, gdzie niedawno wisiał płaszcz Nowikowa, i szepnęła: „Chcę, żebyś żył”.

Następnie pomyślała: „To komedianstwo, zachowuję się nieprzyzwoicie”.

Zaczęła się umyślnie zadręczać, wygłosiła w duchu mowę zwróconą do samej siebie w imieniu jakiejś podłej i złośliwej istoty płci ni to żeńskiej, ni to męskiej.

"No jasne, paniusia znudziła się bez męża, przywykła do zbytków, a tu przyszły ciężkie czasy... Tamtego rzuciła, oczywiście, po co jej jakiś Krymow, którego chcieli w ogóle wyrzucić z partii. Lepiej być żoną dowódcy korpusu. W dodatku takiego mężczyzny! Każda by za nim poleciała, jeszcze by miała nie polecieć... Jak go teraz zatrzymasz, Przecież dałaś mu, co? Jasne, odtąd zaczną się bezsenne noce: może go zabili, a może znalazł sobie dziewiętnastoletnią telefonistkę..." Tutaj 351 złośliwa i cyniczna istota musiała chyba podsłuchać nieznaną samej Żeni myśl, bo dodała: „Nie szkodzi, nie szkodzi, wkrótce do niego polecisz”.

Nie rozumiała, dlaczego przestała kochać Krymowa. A tutaj nic nie było do rozumienia; po prostu była szczęśliwa.

Nagle pomyślała, że Krymow stoi na przeszkodzie jej szczęściu.

Cały czas stoi między Nowikowem a nią, zatruwa całą radość. Nadal niszczy jej życie. Dlaczego miałaby się nieustannie dręczyć, po co te wyrzuty sumienia? Cóż począć, nie kocha go i już! Czego od niej chce, dlaczego ciągle ją prześladowuje? Ona ma prawo do szczęścia, ma prawo kochać tego, kogo kocha. Dlaczego Nikołaj Grigorjewicz wydaje jej się taki słaby, bezradny, zagubiony, samotny? Nie jest taki znowu słaby! Ani taki znowu dobry! Ogarnęła ją złość na Krymowa. Nie, nie poświęci dla niego swojego szczęścia... Okrutny, fanatyczny, ma kłapki na oczach. Nigdy nie umiała pogodzić się z jego obojętnością wobec ludzkich cierpień. Jakie to wszystko było jej obce, obce jej matce, jej ojcu... „Nad kułakami nie wolno się litować” - mówił, kiedy we wsiach Rosji i Ukrainy ginęły z głodu dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci. „Niewinnych nie zamykają” twierdził w czasach Jagody i Jeżowa. Kiedy Aleksandra Władimirowna opowiadała, jak w 1918 roku na barce wywieziono z Kamyszyna i utopiono w Wołdze kupców i właścicieli domów razem z dziećmi - były wśród nich koleżanki i koledzy Marusi z gimnazjum - Minajewowie, Gorbunowowie, Kasatkinowie, Sapożnikowowie - Nikołaj Grigorjewicz powiedział zirytowany: „A co mamy robić z tymi, którzy nienawidzą rewolucji? Może ciastkami ich karmić?” Dlaczego więc ona odmawia sobie prawa do szczęścia? Dlaczego chce się zadręczać, uważać nad człowiekiem, który nigdy nad słabymi się nie litował? Ale w głębi duszy, chociaż złościła się i stawała coraz bardziej nieprzejednana, wiedziała, że nie ma racji, że Nikołaj nie jest wcale taki okrutny.

Zdjęła ciepłą spódnicę, zdobytą w drodze wymiany na kujbyszewskim bazarze, i włożyła letnią sukienkę, jedyną ocalałą po pożarze, tę, w której wieczorem stała z Nowikowem na stalingradzkim bulwarze przed pomnikiem Cholzunowa.



Na krótko przed zesłaniem Jenny Gienrichowny spytała ją, czy była kiedyś zakochana.

Staruszka zmieszała się i powiedziała: „Tak, w złotowłosym chłopcu błękitnych oczach. Nosił aksamitną kurtkę i biały kołnierzyk. Miałam wtedy jedenaście lat i nie znaleźmy się”. Gdzie teraz jest ten aksamitny chłopczyk ze złotymi loczkami, gdzie jest Jenny Gienrichowna? Jewgienia Nikołajewna usiadła na łóżku, popatrzyła na zegarek.

Zazwyczaj o tej porze odwiedzał ją Szarogorodski. Nie, nie ma dzisiaj ochoty na uczone rozmowy.

Szybko włożyła płaszcz, chustkę. Przecież to bez sensu, pociąg już dawno odjechał.

Pod ścianami stacyjnego budynku, na workach i zawiniątkach, siedziała gromada ludzi. Jewgienia Nikołajewna błędziła po zakątkach dworca, jakaś kobieta spytała ją o talony na chleb, inna o talony na statek... Niektórzy przypatrywali się jej sennym i podejrzliwym wzrokiem. Po pierwszym torze z ciężkim łoskotem przejechał towarowy; mury dworca zadrżały, zabrzęczały szyby w oknach. Jewgienia miała wrażenie, że i jej serce drży. Wzdłuż ogrodzenia płynęły otwarte platformy kolejowe, na nich stały czołgi.

Niespodziewanie poczuła się szczęśliwa. A czołgi ciągle płynęły, płynęły. Czerwonoarmiści w hełmach, z automatami na piersiach, siedzieli na nich niczym wyrzeźbieni.

Wracała do domu, wymachując rękami jak dziecko, w rozpiętym palcie, popatrując na swoją letnią sukienkę. Wieczne słońce nagle oświetliło ulice i zakurzone, chłodne, oczekujące zimy, złe, odrapane miasto wydało jej się zwycięskie, różowe, jasne. Weszła do domu, a starsza mieszkanka, Głafrra Dmitrijewna, która z korytarza widziała, że jakiś pułkownik odwiedził Żenię, powiedziała, uśmiechając się z zazdrością: - Jest do pani list.

„Tak, wszystko zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu” - pomyślała Żenia i rozerwała kopertę; list był z Kazania, od matki.

Przeczytała pierwsze linijki i zupełnie załamana, cicho zawołała: -Tola,Tola!

## 6

Myśl, która owej nocy, na ulicy, niespodziewanie przyszła Sztrumowi do głowy, legła u podstaw nowej teorii. Równania, które wyprowadził po kilku tygodniach pracy, nie rozszerzały bynajmniej uznanej w fizyce klasycznej teorii, nie były jej zwyczajnym uzupełnieniem. Przeciwnie klasyczna teoria stała się zaledwie szczególnym przypadkiem nowego, szerszego ujęcia, opracowanego przez Sztruma; jego równania podporządkowały sobie teorię, która wydawała się wszechogarniająca.

Sztrum na pewien czas przestał chodzić do instytutu; pracą laboratorium kierował Sokołow. Sztrum prawie nie wychodził z domu, spacerował po pokoju, godzinami przesiadywał za biurkiem. Niekiedy szedł wieczorem na spacer, wybierając odludne ulice w pobliżu dworca, żeby nie spotkać nikogo ze znajomych. W domu, tak jak zwykle, jadł, mył się, żartował przy stole, czytał gazety, słuchał komunikatów Sowinformbiura, czepiał się Nadi, wypytywał Aleksandrę Władimirownę o fabrykę, rozmawiał z żoną.

Ludmiła Nikołajewna czuła, że mąż w tych dniach stał się podobny do niej - on także robił wszystko, do czego przywykł, co musiał robić, nie uczestnicząc duchowo w życiu, którym żył bez trudu tylko dlatego, że się przyzwyczaił. Ale ta wspólnota była pozorna i wcale nie zbliżyła ich do siebie. To, że oboje stali się duchowo obcy domowi, u każdego z nich miało dokładnie przeciwną przyczynę - u jednego - życie, u drugiego - śmierć.

Sztrum wiedział, że ma rację, chociaż nigdy nie cechowała go zbyt duża pewność siebie. Kiedy jednak formułował najważniejsze ze swoich naukowych osiągnięć, ani razu nie zwątpił w jego prawdziwość. Od razu, kiedy tylko naszła go myśl o układzie równań, pozwalającym na nowo ująć szeroką kategorię zjawisk fizycznych, jakoś bez zwykłych dla siebie wahań i wątpliwości poczuł, że jest słuszna.

Nawet teraz, doprowadzając do końca niezwykle trudną pracę matematyczną, ciągle na nowo sprawdzając obliczenia, nie czuł większej pewności niż w tamtej chwili olśnienia na pustej ulicy.

Niekiedy starał się zrozumieć drogę, którą szedł. Z pozoru wszystko wydawało się dosyć proste.

Przeprowadzone w laboratorium eksperymenty winny były potwierdzić przewidywania teorii. Ale tak się nie stało. Sprzeczność między 354 wynikiem doświadczeń a teorią nasunęła wątpliwości, czy pomiary są dokładne. Teoria powstała na podstawie dziesięcioletnich doświadczeń wielu badaczy; sama z kolei objaśniła wiele nowych prac eksperymentalnych, wydawała się więc niepodważalna. Wielokrotnie powtarzane doświadczenia za każdym razem jednak wykazywały, że odchylenia cząstek naładowanych, biorących udział w reakcji jądrowej, wciąż zupełnie nie odpowiadają temu, co wynikałoby z teorii. Dowolne, choćby największe poprawki na niedoskonałość doświadczeń, na niedokładność pomiarów i parametrów emulsji użytej przy fotografowaniu torów cząstek elementarnych nie mogły wyjaśnić tak dużych rozbieżności.

Stało się wtedy oczywiste, że rezultaty eksperymentów nie dają się podważyć, Sztrum postarał się więc „zacerować” teorię, wprowadził do niej umowne założenia, pozwalające podporządkować teorii nowy materiał eksperymentalny, uzyskany w laboratorium. Wszystko, co robił, opierało się na zasadniczym i najważniejszym założeniu: teoria wyprowadzona została z doświadczeń; tym samym nie mogą one jej przeczyć. Zacerowana teoria, od której odejście wydawało się czymś nie do pomyślenia, na nic się wszakże nie zdała, kiedy przyszło wyjaśniać ciągle nowe sprzeczności w wynikach doświadczeń. Zacerowana czy dziurawa, była tak samo bezradna.

No i właśnie wtedy Sztrum wpadł na nowy pomysł! Zerwał marszałkowi naramienniki! Stara teoria przestała być podstawą, fundamentem, wszechogarniającą całością. Nie okazała się fałszywa, nie była katastrofalną pomyłką, ale weszła w skład nowej teorii jako szczególny przypadek... Caryca wdowa złożyła pokłon młodej carycy. Wszystko to dokonało się błyskawicznie.

Kiedy Sztrum zaczął się zastanawiać nad tym, jak nowa teoria powstawała w jego mózgu, stwierdził fakt całkiem zaskakujący.

Zabrakło mu nagle zwyczajnej logiki, wiążącej teorię z doświadczeniem.

Zupełnie jakby wszelkie ślady się urywały: nie umiał odtworzyć drogi, którą szedł.

Dotąd zawsze sądził, że teoria jest płodem doświadczenia. Wydawało mu się, że sprzeczności między teorią a nowymi rezultatami doświadczeń w sposób naturalny muszą prowadzić do nowej, lepszej teorii.

Przekonał się jednak ku swemu zdumieniu, że sprawa wygląda zupełnie inaczej. Osiągnął sukces właśnie wtedy, gdy nie próbował Połączyć ani doświadczenia z teorią, ani teorii z doświadczeniem.

To, co nowe, najwyraźniej nie było wnioskiem empirycznym, ale zrodziło się całkowicie w umyśle Sztruma. Rozumiał to z wyjątkową jasnością. Nowość była owocem swobody. Teorię zrodziła głowa. Logika teorii, jej związki przyczynowo-skutkowe nie były związane z eksperymentami, które Markow przeprowadzał w laboratorium. Teoria, jak się wydawało, powstała ze swobodnej gry myśli, i te właśnie oderwane od empirii spekulacje pozwoliły ogarnąć i wyjaśnić całe bogactwo starego i nowego materiału doświadczalnego.

Doświadczenie było zewnętrznym impulsem, który zmusił myśl do pracy. Ale na treść myśli nie wpłynęło.

To było niesamowite...

Sztrum miał głowę pełną formuł matematycznych, równań różniczkowych, reguł prawdopodobieństwa, twierdzeń algebry abstrakcyjnej i teorii liczb. Te wzory matematyczne istniały same z siebie, w pustce, w nicości, poza światem jąder atomowych i gwiazd, poza siłami elektromagnetyzmu i grawitacji, poza przestrzenią i czasem, poza historią ludzkości i dziejami geologicznymi ziemi... Ale tkwiły w jego głowie...

A równocześnie głowa ta pełna była innych związków i praw - oddziaływań kwantowych, pól siłowych, stałych określających istotę procesów nuklearnych, ruchu światła, spłaszczenia czy rozciągania czasu i przestrzeni. Rzecz niezwykła - w głowie fizyka teoretyka zjawiska w świecie materii były tylko odbiciem praw zrodzonych w pustyni matematycznej. W mózgu Sztruma to nie matematyka odbijała świat, ale świat był projekcją równań różniczkowych, świat był odbiciem matematyki...

Jego głowa pełna była też wskazań liczników i przyrządów; linii, utrwalających w emulsji i na papierze fotograficznym tory cząstek, reakcje jądrowe...

A przecież w tej głowie żyły jeszcze: szum liści, światło księżyca, kasza jęczmienna z mlekiem, buzowanie ognia w piecu, urywki melodii, szczekanie psa, senat rzymski, komunikaty wojenne, nienawiść do niewolnictwa i apetyt na pestki z dyni...

To właśnie z tej kaszy wyrosła teoria; wynurzyła się, wypłynęła z owej głębi, gdzie nie było ani matematyki, ani fizyki, ani doświadczeń w laboratorium, ani zwykłego życiowego doświadczenia, ani świadomości; świadomość zastępował tam tłący się torf podświadomości...

Porządek matematyki, niezwiązany ze światem, odbił się i wyraził w rzeczywistości teorii fizycznej, a teoria nagle z boską dokładnością pokryła się ze skomplikowanym deseniem linii utrwalonych na papierze światłoczułym.

Człowiek zaś, w którego głowie działo się to wszystko, patrzył na równania

różniczkowe i na kawałki błony fotograficznej, potwierdzające zrodzoną przezeń prawdę, pochlipywał ze szczęścia i ocierał oczy...

A jednak, gdyby nie tamte nieudane eksperymenty, gdyby nie chaos, galimatias, który wówczas powstał, połataliby jakoś z Sokołowem i zacerowali starą teorię; to właśnie byłby ich błąd.

Jakie szczęście, że niedorzeczność okazała się odporna na ich atak.

A jednak - chociaż nowe wyjaśnienie rodziło się w umyśle, miało związek z doświadczeniami Markowa. No i nic dziwnego - gdyby nie było na świecie jąder atomowych i atomów, nie byłoby ich w mózgu ludzkim. Tak, tak, gdyby nie było biednego Markowa, mechanika Nozdrina, wielkich dmuchaczy Pietuszkowów, elektrowni, pieców hutniczych i produkcji czystych odczynników, na nic by się zdała przewidująca rzeczywistość matematyka w głowie fizyka teoretyka.

Sztrum dziwił się, że swój największy sukces naukowy osiągnął akurat wtedy, gdy był przybity nieszczęściem, gdy nieustanny smutek przytłaczał jego mózg. Jak to się mogło stać? No i dlaczego właśnie po ryzykownych, śmiałych, ostrych rozmowach, które wciągnęły go, ale nie miały żadnego związku z jego pracą, wszystkie nierozwiązane problemy nagle udało się rozwiązać w kilka chwil? To oczywiście czysty przypadek.

Trudno się było w tym wszystkim połapać...

Sztrum skończył pracę, zapragnął więc o niej porozmawiać - do tej pory nie myślał o ludziach, z którymi podzielił się swoimi myślami.

Miał ochotę zobaczyć się z Sokołowem, napisać do Czepyżyna, zaczął wyobrażać sobie, jak przyjmą jego nowe równania Mandelsztam, Joffe, Landau, Tamm, Kurczatow, co powiedzą o nich pracownicy wydziału, sektora, zakładu, jakie wrażenie wywrą na ludziach z Leningradu, zaczął rozmyślać, pod jakim tytułem opublikuje pracę. Zastanawiał się, jak się do niej odniesie wielki Duńczyk, co powie Fermi. A może sam Einstein ją przeczyta i napisze do niego parę słów? Kto będzie jej Przeciwnikiem, jakie zagadnienia pomoże ona rozwiązać? Nie miał ochoty rozmawiać o swojej pracy z żoną. Zazwyczaj, nim wysłał urzędowe pismo, czytał je na głos Ludmile. Kiedy niespodziewanie spotykał na ulicy znajomego, jego pierwszą myślą było wtedy: „A to Ludmiła się zdziwi!” Kiedy kłócił się z dyrektorem instytutu i pozwolił sobie na śmielszą uwagę, myślał: „Opowiem Ludmile, jak mu dogryzłem”. Nie wyobrażał sobie, że mógłby oglądać film czy siedzieć w teatrze bez Ludmiły u boku, bez pewności, że może jej szepnąć: „Boże, co za bzdury”. Dzielił się z nią wszystkim, co go trapiło; jeszcze jako student zwierzał jej się czasem: „Wiesz, wydaje mi się, że jestem kompletnym idiotą”.

Dlaczego więc teraz milczał? Może po prostu kiedyś wierzył, że Ludmiła żyje jego życiem bardziej niż swoim własnym, że to jego życie jest jej życiem. A teraz nie miał tamtej pewności. Czyżby go już nie kochała? Albo to on przestał ją kochać? A jednak, mimo że nie miał na to ochoty, opowiedział żonie o swojej pracy.

- Rozumiesz - powiedział- jakie to zadziwiające uczucie: cokolwiek spotkałoby mnie teraz, mam pewność, że nie żyłem na darmo. Wiesz, właśnie teraz po raz pierwszy nie czuję strachu przed śmiercią, w tej chwili, bo przecież to, o co chodziło, jest, już powstało! Pokazał jej zapisaną kartkę na biurku.

- Nie przesadzam: to nowe spojrzenie na naturę sił nuklearnych, nowa zasada, naprawdę, ten klucz otworzy wiele zamkniętych drzwi...

Rozumiesz, w dzieciństwie... Nie, nie... Wiesz, to takie uczucie, jakby z ciemnej, spokojnej toni nagle wypłynęła lilia wodna, ach, Boże mój...

- Bardzo się cieszę, Witieńka, bardzo się cieszę - powtarzała Ludmiła z uśmiechem.

Widział, że myśli o swoich sprawach, że nie podziela jego radości i wzruszenia.

Nie podzieliła się też ani z matką, ani z Nadią tym, co jej opowiedział; widocznie zapomniała.

Wieczorem Sztrum poszedł do Sokołowa.

Miał ochotę rozmawiać z nim nie tylko o swojej pracy. Chciał się podzielić swoimi uczuciami. Kochany Piotr Ławrientjewicz go rozumie; przecież jest nie tylko inteligentny - ma jeszcze dobrą i czystą duszę.

Zarazem jednak bał się, że Sokołow zacznie mu robić wymówki, wypominać, jaki był małoduszny. Sokołow lubi oceniać postęпки bliźnich i prawić im długie kazania.

Dawno już nie był u Piotra Ławrientjewicza. Przez ten czas pewnie goście musieli się zebrać u niego ze trzy razy. Przez chwilę wyobraził sobie wypukłe oczy Madjarowa. „Odważny jest, cholera” - pomyślał.

Dziwne, że przez te wszystkie dni prawie nie wspominał owych wieczornych posiedzeń. Nawet teraz nie miał ochoty o nich myśleć. Z tymi rozmowami łączył się jakiś niepokój, lęk, przeczucie nieuchronnego nieszczęścia. Rzeczywiście, bardzo się rozzuchwalili. Krakali, krakali, a tu Stalingrad się nie daje, Niemcy zostali powstrzymani, ewakuowani wracają do Moskwy.

Poprzedniego dnia powiedział Ludmile, że teraz nie boi się umrzeć, choćby w tej chwili. Ale gdy przypominał sobie swoje krytykanckie wypowiedzi, ogarniał go strach. A Madjarow do reszty już się rozbestwił.

Aż przykro wspominać. Podejrzenia Karimowa zaś były po prostu okropne. Może to rzeczywiście prowokator? „Tak, tak, nie strach umierać - pomyślał Sztrum - ale teraz jestem owym proletariuszem, który oprócz swoich kajdan ma coś do stracenia”.

Sokołow siedział przy stole w domowej kurtce i czytał książkę.

- A gdzie Maria Iwanowna? - spytał zdziwiony Sztrum i sam się zdziwił swojemu zdziwieniu. Nie zastawszy jej w domu, speszył się, tak jakby to nie z Piotrem Ławrientjewiczem, tylko z nią miał zamiar rozmawiać o fizyce teoretycznej.

Sokołow schował okulary do futerału, uśmiechnął się i powiedział: - Czyżby Marii Iwanownie nie wolno było się ruszyć z domu? Płacząc się, kaszląc, stękając, zdenerwowany, Sztrum zaczął wyklądać Sokołowowi swoją teorię, wyprowadzać równania.

Sokołow był pierwszym człowiekiem, który poznał jego przemyślenia, więc teraz Sztrum całkiem inaczej, po nowemu odbierał to, co się stało.

- No, to już wszystko - powiedział i głos mu zadrżał, bo poczuł, jak wzruszony jest Sokołow.

Milczeli i ta cisza wydawała się Sztrumowi piękna. Siedział ze spuszczoneym wzrokiem, nachmurzony, i ze smutkiem kiwał głową. Nagle Podniósł ją i nieśmiało popatrzył na Sokołowa - wydało mu się, że w oczach Piotra Ławrientjewicza widzi łzy.

W ubogim pokoiku, w czasie potwornej, ogarniającej cały świat wojny siedziało dwóch ludzi; cudowna była więź między nimi a tymi, którzy żyli w innych krajach; tymi, którzy żyli setki lat temu, których myśl dążyła do tego, co najwznioślejsze, najpiękniejsze ze wszystkiego, co sądzone jest dokonać człowiekowi.

Sztrum pragnął, żeby Sokołow nadal się nie odzywał. Coś wielkiego było w tej ciszy...

Milczeli tak długo. Potem Sokołow podszedł do Sztruma, położył mu rękę na ramieniu, a Wiktor Pawłowicz poczuł, że za chwilę zapłacze.

Piotr Ławrientjewicz powiedział: - Piękne, cudowne, zdumiewające. Z całego serca panu gratuluję! Co za siła, logika, elegancja! Nawet pod względem estetycznym pańskie wnioski są doskonałe.

W tej chwili, choć ogarnięty wzruszeniem, Sztrum zdążył pomyśleć: „Ach, mój Boże, przecież to jak chleb; nie o elegancję tutaj chodzi”.

- Widzi pan zatem, Wiktorze Pawłowiczu - dodał Sokołow - że zupełnie niepotrzebnie upadał pan na duchu. A już chciał pan odłożyć wszystko do czasu powrotu do Moskwy. - I kaznodziejskim tonem, którego Sztrum nie znośił, ciągnął - brakuje panu wiary, za mało pan ma cierpliwości. Sam pan sobie często przez to szkodzi...

- Tak, tak - potwierdził Sztrum pośpiesznie. - Wiem. Ten ślepy zaulek wiele mi krwi napsuł, wszystko mi obrzydło.

Sokołow wdał się w dywagacje, i teraz nic z tego, co mówił, nie podobało się Sztrumowi. A przecież Piotr Ławrientjewicz od razu zrozumiał wartość jego pracy i w pełni ją docenił. Ale Wiktorowi Pawłowiczowi wszelkie oceny wydawały się niemiłe i płaskie.

„Pańska praca rokuje znakomite rezultaty”. Co za głupie słowo: „rokuje”! Sztrum i bez Sokołowa wie, co ona „rokuje”. I dlaczego rokuje rezultaty? Sama jest już rezultatem, nie musi nic rokować. „Zastosował pan oryginalną metodę rozwiązania problemu”. Przecież nie chodzi tutaj o oryginalność... Chleb, chleb, czarny chleb.

Sztrum czym prędzej zaczął mówić o bieżącej pracy zakładu.

- A propos, zapomniałem panu powiedzieć, Piotrze Ławrientjewiczu... Dostałem list z Uralu, realizacja naszego zamówienia została odroczone.

- No właśnie - podjął Sokołow - aparatura nadejdzie, a my już będziemy w Moskwie. To dobra wiadomość. Bo w Kazaniu i tak byśmy nie 360 zaczęli montażu, a wtedy obwiniono by nas, że opóźnimy wykonanie planu tematycznego.

Zaczął się obszernie rozwodzić nad sprawami laboratorium, nad realizacją tematów. I chociaż Sztrum sam skierował rozmowę na te tory, mimo wszystko przykro mu było, że Sokołow tak łatwo porzucił jego wielki, najważniejszy temat.

W takich chwilach Sztrum bardzo dotkliwie odczuwał swoją samotność.

Czyżby Sokołow nie rozumiał, że chodzi o coś znacznie większego niż jeden z tematów prac instytutu? To przecież było chyba najważniejsze z dokonań naukowych Sztruma; z pewnością wpłynie na teoretyczne poglądy fizyków. Po minie Sztruma Sokołow zorientował się, że najwyraźniej zbyt ochoczo przeszedł do rozmów o sprawach bieżących.

- Ciekawe - powiedział - pan w całkiem nowy sposób przedstawił tę historię z neutronami i ciężkim jądrem. - Wykonał szybki ruch dłonią, przypominający zjazd sań ze stromego zbocza. - Do tego właśnie przyda nam się nowa aparatura.

- Tak, pewnie tak - przyznał Sztrum. - Ale dla mnie to już szczegół.

- Nie ma pan racji - obruszył się Sokołow. - Ten szczegół jest wystarczająco duży; przecież, zgodzi się pan, energia jest gigantyczna.

- No i niech sobie będzie - odrzekł Sztrum. - Ale, moim zdaniem, ciekawe jest, że z tego punktu widzenia natura mikroświata wygląda zupełnie inaczej. Niektórzy się może z tego cieszą, nie będą musieli teraz błądzić po omacku.

- Oho, na pewno się cieszą - ironicznie zauważył Sokołow. - Jak sportowcy, kiedy ktoś inny pobije rekord.

Sztrum nie odpowiedział. Piotr Ławrientjewicz nawiązał do sporu, który niedawno toczył się w zakładzie.

Sawostjanow twierdził, że nauka przypomina sport - sportowcy szykują się do startu w napięciu równym temu, które odczuwa uczonego, rozwiązując problem. Jedni i drudzy trenują, biją rekordy.

Sztrum, a jeszcze bardziej Sokołow, zły był na Sawostjanowa za tę wypowiedź.

Sokołow nazwał go młodym cynikiem. Wygłosił nawet całą przemowę, z której wynikało, że nauka jest dla niego swoistą religią, a praca naukowa - przejawem ludzkiego dążenia do boskości.

Sztrum wiedział, że złości się na Sawostjanowa nie tylko dlatego, że ten nie ma racji. Niejednokrotnie przecież sam przeżywał takie emocje: radość, podniecenie czy zawiść sportowca.

Ale wiedział też, że cała krzątanina, sportowe podniecenie, zapał, zazdrość czy radość z rekordu są czymś powierzchownym, a nie istotą jego relacji z nauką. Sawostjanow miał więc słuszność, ale tylko częściową, a w sumie się mylił, i to było przyczyną irytacji Sztruma.

O swoim autentycznym stosunku do nauki, który zrodził się dawno, w jego młodej jeszcze duszy, nie rozmawiał z nikim, nawet z żoną.

Dlatego było mu przyjemnie, kiedy w dyskusji z Sawostjanowem Sokołow tak podniosło i przekonująco mówił o nauce.

Po co teraz Piotr Ławrientjewicz porównał nagle uczonych do sportowców? Dlaczego to powiedział? Nie dość, że powiedział, to jeszcze zrobił to w szczególnej, wyjątkowej dla Wiktora Pawłowicza chwili.

Sztrum poczuł się dezorientowany, dotknięty, toteż spytał Sokołowa wprost: - Czyżby i pan, Piotrze Ławrientjewiczu, nie cieszył się z tego, o czym rozmawialiśmy?

Dlatego że to nie pan ustanowił rekord? Sokołow zastanawiał się akurat, w jakiej mierze rozwiązanie Sztruma już istniało w głowie jego, Sokołowa, było dlań proste i zrozumiałe, kiedy musiałoby nieuchronnie stać się jego własnym odkryciem.

Odpowiedział: - Owszem, tak samo jak Lorentz nie był zachwycony, że to Einstein, a nie on sam, przekształcił jego własne, Lorentza równania.

Zadziwiająca była prostota tej deklaracji; Sztrum zawstydził się swojego niedobrego uczucia.

Ale Sokołow dodał od razu: - To żarty oczywiście. Lorentz nie ma z tym nic wspólnego. Wcale tak nie myślę. Ale mimo wszystko to ja mam rację, a nie pan, chociaż tak nie myślę.

- Oczywiście, że tak pan nie myśli - przytaknął Sztrum, a jednak jego rozdrażnienie nie mijało i teraz już był pewien, że Sokołow właśnie tak pomyślał.

„Nie jest dzisiaj szczery - myślał Sztrum. - To przecież człowiek niewinny jak dziecko, od razu wyczuwa się, kiedy coś ukrywa”.

- Piotrze Ławrientjewiczu - powiedział - goście zbiorą się u pana w sobotę, jak zwykle?

Sokołow poruszał grubym zbójceckim nosem, gotując się, żeby coś powiedzieć, ale nie powiedział nic.

Sztrum patrzył na niego pytającym wzrokiem.

Sokołow odezwał się w końcu: - Wiktorze Pawłowiczu, mówiąc między nami, jakoś mi się te herbatki przestały podobać.

Teraz to on pytająco patrzył na Sztruma, a ponieważ ten milczał, wyjaśnił:

- Pan chce wiedzieć dlaczego? Sam pan rozumie... To przecież nie żarty. Rozpuściliście języki.

- Pan akurat nie rozpuścił - przypomniał Sztrum. - Przeważnie pan milczał.

- Wie pan... Właśnie o to chodzi.

- No to zapraszam do siebie, będę się bardzo cieszył - zaproponował Sztrum.

Niebawem! Przecież i on był nieszczerzy! Dlaczego kłamał? Dlaczego spierał się z Sokołowem, a w duchu się z nim zgadzał? Przecież i on przestraszył się tych spotkań, nie chciał ich teraz.

- Dlaczego u pana? - spytał Sokołow. - Nie o miejsce mi chodziło. No i powiem panu otwarcie - pokłóciłem się ze swoim krewnym, głównym krasomówcą Madjarowem.

Sztrum miał wielką ochotę spytać: „Piotrze Ławrientjewiczu, czy jest pan pewien, że Madjarow to uczciwy człowiek? Może pan ręczyć za niego?” Ale powiedział: - Cóż takiego się stało? Sami sobie wmówiliśmy, że państwo runie z powodu każdego śmielszego słowa. Szkoda, że się pan z nim pokłócił, on mi się podoba. Bardzo! - Nie przystoi w ciężkich dla Rosji chwilach uprawiać krytykanctwa oświadczył Sokołow.

Sztrum miał znowu ochotę spytać: „Piotrze Ławrientjewiczu, sprawa jest poważna, czy sądzi pan, że Madjarow to donosiciel?” Ale tego właśnie pytania nie



zadał, powiedział natomiast: - Za pozwoleniem, właśnie teraz sytuacja się polepszyła. W Stalingradzie ma się najwyraźniej ku wiosnie. Przecież wspólnie robiliśmy listy ludzi, którzy mają wrócić. A co było dwa miesiące temu? Ural, tajga, Kazachstan - to mieliśmy w głowach.

- Tym bardziej - upierał się Sokołow - nie widzę podstaw do krakania.

- Krakania? - z niedowierzaniem powtórzył Sztrum.

- Tak, krakania.

- Na miłość boską, co też pan mówi, Piotrze Ławrientjewiczu! - zachnął się Sztrum.

Pożegnał się z Sokołowem, pełen wątpliwości i smutku.

Poczuł się nieznośnie samotny. Już od rana bez przerwy myślał o spotkaniu z Piotrem Ławrientjewiczem, czekał na nie. Spodziewał się, że będzie wyjątkowe. Tymczasem prawie wszystko, co tamten mówił, wydawało mu się nieszczerze, miałkie.

On też nie był szczery. Poczucie samotności nie chciało go opuścić, wręcz się nasilało.

Sztrum wyszedł na ulicę; tuż za bramą usłyszał głos kobiety. Poznał go natychmiast.

W świetle latarni ulicznej na twarzy Marii Iwanowny, na jej czole i policzkach błyszczały krople deszczu. W stareńkim płaszczu, z głową obwiązaną wełnianą chustką ona, żona profesora, wydawała się uosobieniem wojennego ewakuacyjnego ubóstwa.

„Konduktorka” - pomyślał.

- Jak tam Ludmiła Nikołajewna? - spytała pani Sokołow i uważnie popatrzyła ciemnymi oczami w twarz Sztruma.

Machnął ręką i odpowiedział: - Ciągle tak samo.

- Jutro przyjdę do państwa wcześniej - obiecała.

- Pani i tak jest jej lekarzem i aniołem stróżem - rzekł Sztrum. - Dobrze, że Piotr Ławrientjewicz jakoś to toleruje. On, jak dziecko, dwóch godzin bez pani nie może przeżyć, a pani tak często bywa u Ludmiły Nikołaj ewny.

Nadal w zamyśleniu patrzyła na niego, jakby słysząc jego słowa i zarazem ich nie słysząc. W końcu powiedziała: - Dzisiaj pan ma całkiem szczególną twarz, Wiktorze Pawłowiczu.

Spotkało pana coś dobrego? - Dlaczego pani tak myśli? - Oczy ma pan nie takie jak zazwyczaj. - I nieoczekiwanie dodała: Praca dobrze panu idzie, prawda? No właśnie, a pan już myślał, że po takim nieszczęściu nie jest w stanie zajmować się nauką jak należy? 364 - Skąd pani wie? - zapytał i pomyślał: „Ależ te baby są gadatliwe, czyżby Ludmiła jej czegoś naopowiadała?” -I cóż tam widać w moich oczach? - zapytał, usiłując kpina pokryć irytację.

Umilkła, zastanawiając się nad jego słowami, po czym odrzekła poważnie, nie podejmując proponowanego tonu: - W pańskich oczach zawsze widać cierpienie, a dzisiaj go nie ma.

Nagle zaczął mówić: - Mario Iwanowno, jakie to wszystko dziwne. Czuję, że dokonałem teraz swojego najważniejszego dzieła. Nauka to chleb, chleb dla duszy. A przecież stało się to w takim smutnym, ciężkim czasie. Jakie to dziwne, wszystko w życiu jest tak strasznie poplątane. Ach, jak bym chciał... A zresztą, co tam...

Słuchała, wciąż patrząc mu w oczy, i powiedziała cicho: - Gdybym tak mogła odpędzić nieszczęście od pańskiego domu! - Dzięki, kochana Mario Iwanowno - rzekł Sztrum, żegnając się z nią.

Nagle się uspokoił, jakby to do niej się wybrał i powiedział właśnie to, co chciał powiedzieć.

Po chwili, idąc ciemną ulicą, zapomniał o Sokołowach. Na skrzyżowaniach wiatr szarpał go za połę płaszcza, czarne bramy domów ziały chłodem. Sztrum wzruszał ramionami, marszczył czoło - czyżby mama miała się nigdy, nigdy nie dowiedzieć, co teraz robi jej syn?

7

Sztrum zebrał pracowników zakładu - fizyków Markowa, Sawostjanowa oraz Annę Naumownę Weisspapier, mechanika Nozdrina, elektryka Pieriepielicyna i powiedział, że nie sposób wątpić w rzetelność aparatury. Właśnie wyjątkowa dokładność pomiarów doprowadziła do jednolitych wyników, niezależnie od tego, jak zmieniały się warunki eksperymentów.

Sztrum i Sokołow byli teoretykami, eksperymenty w laboratorium stanowiły domenę Markowa. Miał on niezwykłą smykałkę do rozwiązywania najbardziej złożonych problemów; potrafił bezbłędnie i dokładnie określić właściwości nowej, skomplikowanej aparatury, Sztruma zachwycała pewność, z jaką Markow podchodził do nieznanego urządzenia; sam, nie korzystając z żadnych instrukcji, po 365 kilku minutach orientował się już w najważniejszych zasadach jego działania i dostrzegał nawet najdrobniejsze detale. Widocznie traktował przyrządy naukowe jak żywe istoty - uważał za rzecz naturalną, że jeśli patrzy na kota, to od razu widzi jego oczy, ogon, uszy, pazury, wyczuwa bicie serca, umie powiedzieć, co do czego służy w kocim ciele.

Kiedy w laboratorium montowano nową aparaturę i trzeba było, jak u Leskowa, „podkuć pchłę”, królem atutowym stawał się zarozumiały mechanik Nozdrin.

Jasnowłosy, dowcipny Sawostjanow żartował z Nozdrina: „Kiedy Stiepan Stiepanowicz umrze, jego ręce zostaną przekazane do Instytutu Badań nad Mózgiem”.

Ale Nozdrin nie lubił żartów, patrzył na naukowców z góry, bo rozumiał, że bez jego silnych rąk robotnika laboratorium musiałyby stanąć.

Ulubieńcem zakładu był Sawostjanow. Z łatwością radził sobie i z problemami teoretycznymi, i z doświadczeniami.

Wszystko robił, dowcipkując; szybko, bez wysiłku.

Jego pszeniczne włosy nawet w zupełnie ponurych dniach jesieni wyglądały, jakby je rozjaśniało słońce. Obserwując Sawostjanowa, Sztrum myślał, że jego włosy są pewnie dlatego takie jasne, że ma również jasny umysł. Sokołow też cenił Sawostjanowa.

- To nie to co my, mędrzy Chaldejscy i Talmudyści; kiedy umrzemy, on połączy

w sobie i pana, i mnie, i Markowa - powiedział kiedyś Sztrum do Sokołowa.

Annie Naumownie zakładowi dowcipnisi nadali miano „kury pociągowej”, bo posiadała nadludzką pracowitość i cierpliwość - kiedyś musiała wysiedzieć osiemnaście godzin przy mikroskopie, badając swoje fotoemulsje.

Wiele osób kierujących zakładami w instytucie uważało, że Sztrum miał szczęście - tak świetnie dobrali się pracownicy w jego laboratorium. Sztrum komentował to żartem: „Każdy kierownik ma takich współpracowników, na jakich zasługuje...” - Wszyscy się denerwowaliśmy i martwiliśmy - powiedział teraz. I wreszcie możemy się razem cieszyć: Profesor Markow robił doświadczenia bez zarzutu. Ma w tym oczywiście swoją zasługę i pracownia mechaniczna, mają i laboranci, którzy przeprowadzili olbrzymią liczbę obserwacji, zrobili setki i tysiące obliczeń.

Markow odkaslnął i szybko powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, chcielibyśmy możliwie jak najdokładniej poznać pański punkt widzenia.

Zniżywszy głos, dodał:

- Dowiedziałem się, że prace Koczkurowa w pokrewnej dziedzinie budzą nadzieje co do zastosowań. Mówili mi też, że z Moskwy nadeszło właśnie zapytanie o rezultaty.

Markow zazwyczaj znał kulisy wszelkich wydarzeń. Kiedy pociąg wywoził z Moskwy pracowników instytutu, profesor znosił do wagonu mnóstwo wieści: o zatorach, o wymianie parowozu, o stacjach, gdzie będą mogli dostać coś do jedzenia. Nieogolony Sawostjanow z udaną troską powiedział: - Będę musiał z tej okazji wypić cały spirytus z laboratorium.

Anna Naumowna, wielka społeczniczka, ucieszyła się: - Widzicie, jakie mamy szczęście? Bo już na naradach produkcyjnych i w Komitecie oskarżali nas o wszelkie możliwe grzechy.

Mechanik Nozdrin milczał, gładząc zapadłe policzki.

A młody, beznogi elektryk Pieriepielicyn stopniowo czerwieniał na twarzy, ale nie odezwał się, tylko upuścił szczudło na podłogę.

Szczęśliwy, radosny był ten dzień dla Sztruma.

Rano rozmawiał z nim przez telefon młody dyrektor Pimienow, powiedział mu wiele ciepłych słów. Pimienow odlatywał samolotem do Moskwy, gdzie trwały ostatnie przygotowania do powrotu niemal wszystkich zakładów instytutu.

- Wiktorze Pawłowiczu - rzekł na pożegnanie - już wkrótce zobaczymy się w Moskwie. Jestem szczęśliwy i dumny, będąc dyrektorem instytutu w tym właśnie czasie, kiedy pan zakończył swoje znakomite badania.

Zebranie pracowników laboratorium też było dla Sztruma bardzo przyjemne.

Markow zazwyczaj pokpiwał z laboratoryjnych porządków, mówiąc: - Docentów, profesorów mamy tu cały pułk, doktorów i asystentów - batalion, a żołnierza tylko jednego - Nozdrina! - W tym żarcie kryło się lekceważenie fizyków teoretyków. - Jesteśmy dziwną piramidą - wyjaśniał dalej. - Jej wierzchołek jest szeroki, im zaś bliżej Podstawy - tym wężiej. Chwiejemy się przez to, a powinniśmy mieć szeroką podstawę - pułk Nozdrinów.

Ale po referacie Sztruma powiedziała: - No, to ci dopiero pułk, to ci piramida.

Oczy Sawostjanowa, głoszącego podobieństwo nauki i sportu, były po tym referacie dziwnie łagodne, uszczęśliwione.

Sztrum zrozumiał, że Sawostjanow patrzy teraz na niego nie jak piłkarz na trenera, ale jak wyznawca na proroka.

Przypomniał sobie niedawną rozmowę z Sokołowem, a także kłótnię Sokołowa z Sawostjanowem, i pomyślał: „Może z natury sił nuklearnych coś niecoś rozumiem, ale z ludzkiej rzeczywiście nic, ni cholery”.

Pod koniec pracy do gabinetu Sztruma weszła Anna Naumowna i poinformowała: - Wiktorze Pawłowiczu, nowy szef działu kadr nie wpisał mnie na listę. Dopiero co ją widziałam.

- Wiem, wiem - odpowiedział Sztrum. - Nie ma co się martwić, przecież reewakuacja odbędzie się w dwóch turach - pani pojedzie w drugiej kolejności, ledwie parę tygodni później.

- Ale z naszej grupy z nieznanymi powodami tylko ja nie pojedę w pierwszej turze. Wydaje mi się nieraz, że oszaleję, tak mi obrzydł pobyt tutaj. Codziennie we śnie widzę Moskwę. Poza tym jakże to tak: zaczniecie montaż bez mnie? - No tak, rzeczywiście. Ale rozumie pani, lista jest zatwierdzona, bardzo trudno ją teraz zmienić. Swieczin z laboratorium magnetycznego już pytał o Borisa Izrailewicza - z nim było to samo, co z panią - ale okazało się, że cofnięcie decyzji to bardzo skomplikowana sprawa.

Chyba lepiej będzie, jak pani poczeka.

Nagle wybuchnął i zawołał: - Co oni, u licha, mają zamiast głowy: nawpisywali niepotrzebnych ludzi, a o pani, która od razu by się przydała przy montażu, nie wiadomo czemu zapomnieli.

- Nie, nie zapomnieli - powiedziała Anna Naumowna, a jej oczy wypełniły się łzami. - To coś jeszcze gorszego...

Potem obejrzała się jakoś dziwnie, nerwowo i nieśmiało, na uchylone drzwi i dodała: - Wiktorze Pawłowiczu, z listy skreślono dziwnym trafem tylko osoby o żydowskich nazwiskach. Mówiła mi Rimma, sekretarz z działu kadr, że w Ufie z listy akademii ukraińskiej usunęli prawie wszystkich Żydów, zostawili tylko docentów.

Sztrum otworzył usta i przez moment patrzył na nią zakłopotany; potem roześmiał się.

- No nie, kochana, pani chyba zwariowała! Przecież, chwalić Boga, nie żyjemy w carskiej Rosji. Cóż to za małomiasteczkowe kompleksy, proszę natychmiast o tym zapomnieć!

8

Przyjaźń! Ileż ma różnych odmian! Przyjaźń w pracy. Przyjaźń w działalności rewolucyjnej, przyjaźń w dalekiej podróży, przyjaźń w wojsku, przyjaźń w więzieniu etapowym, gdzie zawarcie znajomości i rozstanie dzielą zaledwie dwa, trzy dni, a pamięć o tym trwa długie lata. Przyjaźń w radości, przyjaźń w smutku. Przyjaźń w

równości i nierówności.

W czym tkwi sens przyjaźni? Czy tylko we wspólnocie pracy i losu? Przecież niekiedy nienawiść między ludźmi, członkami jednej partii, których poglądy różnią się tylko niuansami, bywa większa niż ich nienawiść do wrogów partii. Niekiedy ci, którzy razem idą do ataku, bardziej nienawidzą siebie nawzajem niż wspólnego wroga. Nienawiść między więźniami też bywa często większa niż ich nienawiść do strażników.

Oczywiście, przyjaciół spotka się najczęściej wśród ludzi wspólnego losu, wspólnych idei, tego samego zawodu, ale to nie oznacza, że podobna wspólnota decyduje o przyjaźni.

Przecież mogą się zaprzyjaźnić i czasem rzeczywiście przyjaźnią się ludzie, którzy swojego zawodu nie cierpią. Przyjaźnią się nie tylko dzielni żołnierze czy przodownicy pracy, przyjaźnią się też dezenterzy i bumelanci. Ale u podstaw przyjaźni, tej pierwszej i tej drugiej, leży wspólny los.

Czy mogą przyjaźnić się ludzie o dwóch całkiem przeciwnych charakterach? Oczywiście! Czasem przyjaźń jest całkowicie bezinteresowna.

Innym razem jednak bywa egoistyczna, bywa też altruistyczna, ale, Co Ciekawe, egoistyczna zazwyczaj bezinteresownie przynosi korzyść temu, kto jest jej obiektem, a u podstaw tej drugiej leży w istocie egoizm.

Przyjaźń to lustro, w którym przegląda się człowiek. Rozmawiając z przyjacielem, poznaje zazwyczaj siebie samego - rozmawia ze sobą, obcuje ze sobą.

Przyjaźń to równość i podobieństwo. Ale zarazem - także nierówność i odmienność.

Zdarza się przyjaźń twórcza, aktywna, rodząca się we wspólnej pracy, wspólnej walce o byt, o kawałek chleba.

Istnieje też przyjaźń oparta na wzniosłych ideałach; przyjaźń filozofów, przyjaźń intelektualna, przyjaźń ludzi pracujących odmiennie, oddzielnie, ale snujących wspólnie rozważania o życiu.

Możliwe, że istnieje wyższy stopień przyjaźni, łączący przyjaźń twórczą, przyjaźń pracy i walki z przyjaźnią intelektualną.

Przyjaciele zawsze są sobie potrzebni, ale nie zawsze przyjaciele otrzymują po równo z przyjaźni. Nie zawsze też oczekują od niej tego samego. Jeden przyjaźni się i dzieli doświadczeniem, drugi przyjaźniąc się, staje się o to doświadczenie bogatszy. Jeden pomaga słabszemu, niedoświadczonemu, młodemu przyjacielowi i poznaje swoją siłę, dojrzałość, inny, słaby, widzi w przyjacielu swój ideał - siłę, doświadczenie, dojrzałość. W ten sposób jeden z nich obdarowuje, drugi cieszy się darami.

Niekiedy przyjaciel jest miarą rzeczy, tajemną instancją, dzięki której człowiek obcuje z samym sobą, znajduje radość w sobie, w swoich myślach, które słyszy i dostrzega odbite we wrażliwej duszy przyjaciela.

Przyjaźń naukowa, intelektualna, filozoficzna zazwyczaj wymaga od ludzi zgodności poglądów, ale ta zgodność nie musi być całkowita.

Przyjaźń przejawia się czasem w sporze, w różnicach między przyjaciółmi.

Jeśli przyjaciele są podobni we wszystkim, jeśli obaj stanowią swoje wzajemne odbicie, to spór z przyjacielem jest sporem z samym sobą.

Przyjaciół to ten, kto usprawiedliwia nasze słabości, ułomności, a nawet wady, kto potwierdza naszą prawość, talent, zasługi.

Przyjaciół to ten, kto, kochając, odsłania nasze słabości, ułomności i wady.

Przyjaźń opiera się na podobieństwie, a przejawia w odmienności, różnicach, sprzecznościach. Przyjaźniąc się, człowiek egoistycznie pragnie otrzymać od przyjaciela to, czego jemu samemu brakuje. Przyjaźniąc się, człowiek dąży do tego, żeby hojnie dzielić się tym, co posiada.

Dążenie do przyjaźni tkwi w naturze człowieka, więc ten, kto nie umie się przyjaźnić, przyjaźni się ze zwierzętami, koźmi, kotami, myszami, pajakami.

Tylko istota absolutnie silna nie potrzebuje przyjaźni; z pewnością kimś takim może być tylko Bóg.

Prawdziwa przyjaźń nie zależy od tego, czy nasz przyjaciel jest władcą, czy też właśnie został obalony i trafił do więzienia. Prawdziwa przyjaźń odwołuje się do cech duchowych i pozostaje obojętna na sławę, potęgę zewnętrzną.

Różne są postaci przyjaźni, wieloraka jej treść, ale jedna kardynalna podstawa: to ufność, że przyjaciel się nie zmienił, że pozostał nam wierny. Szczególnie piękna jest więc przyjaźń tam, gdzie „człowiek jest dla szabatu”. Jeśli przyjaźń i przyjaciel składa się w ofierze dla dobra jakiejś wyższej sprawy, to ktoś uznany za wroga tej sprawy, choćby stracił wszystkich przyjaciół, wierzy, że tego jedyne, prawdziwego przyjaciela nie utraci.

9

Sztrum przyszedł do domu i zobaczył na wieszaku znajomy płaszcz czekał na niego Karimow.

Karimow odłożył gazetę, a Sztrum pomyślał, że widocznie Ludmiła Nikołaj ewna nie chciała rozmawiać z gościem.

Tatar odezwał się: - Ja do pana z kołchozu, miałem tam wykład. - I dodał: - Tylko proszę, niech się pan nie kłopotuje, w kołchozie naprawdę dobrze mnie karmili, przecież nasi ludzie są bardzo gościnni.

Sztrum pomyślał, że widocznie Ludmiła Nikołajewna nie zaproponowała gościowi nawet herbaty.

Dopiero uważnie wpatrując się w szerokonosą, pomiętą twarz Karimowa, Sztrum dostrzegł w niej ledwie dostrzegalne odchylenia od zwykłego typu rosyjskiego, słowiańskiego. A w krótkich chwilach, przy nagłym obrocie głowy, wszystkie te drobne odchylenia się łączyły i twarz zmieniała się w mongolską.

Tak samo czasem na ulicy Sztrum rozpoznawał Żydów w niektórych ludziach o jasnych włosach, jasnych oczach, zadartym nosie. Coś ledwie 371 wyczuwalnego zdradzało ich żydowski pochodzenie - czasem był to uśmiech, czasem zmarszczenie czoła, przymrużenie oczu, niekiedy wzruszenie ramionami.

Karimow zaczął opowiadać o swoim spotkaniu z lejtnantem, który został ranny i

przyjechał do rodziców na wieś. Naturalnie właśnie dla tej opowieści Karimow przyszedł do Sztruma.

- Pocziwy chłopak - rzekł. - Opowiadał wszystko otwarcie.
- Po tatarsku? - spytał Sztrum.
- Oczywiście.

Sztrum pomyślał, że gdyby spotkał takiego rannego lejtnanta Żyda, nie umiałby z nim rozmawiać po żydowsku; znał nie więcej niż dziesięć słów, przy czym używał ich wyłącznie po to, by żartem zwracać się do rozmówcy: bekicef<sup>19</sup>, chałojmes<sup>20</sup>.

Lejtnant jesienią 1941 roku trafił do niewoli pod Kerczem. Niemcy posłali go do zbierania zaszypanego śniegiem, nieuprzątniętego zboża na paszę dla koni. Lejtnant poczekał na sposobną chwilę, skorzystał z wieczornych ciemności i uciekł. Ukrywali go miejscowi, Rosjanie i Tatarzy.

- Jestem teraz pełen nadziei, że zobaczę żonę i córkę - powiedział Karimow. - U Niemców, jak się okazuje, tak samo jak u nas, są kartki różnych kategorii. Lejtnant mówi, że wielu krymskich Tatarów ucieka w góry, chociaż Niemcy nie robią im nic złego.

- Kiedyś, jeszcze jako student, chodziłem na Krymie po górach rzekł Sztrum i przypomniał sobie, jak matka przysłała mu pieniądze na tę wyprawę. - A Żydów pański lejtnant widział? Do pokoju zajrzała Ludmiła Nikołajewna z wiadomością: - Mama do tej pory nie wróciła, jestem niespokojna.

- Tak, tak, gdzież ona się podziewa? - z roztargnieniem powiedział Sztrum i kiedy Ludmiła Nikołajewna zamknęła drzwi, znowu spytał: Co ten lejtnant mówił o Żydach? - Widział, jak pędzono na rozstrzelanie rodzinę żydowską, staruszkę, dwie dziewczyny.

- Boże! - westchnął Sztrum.

- Tak, a poza tym słyszał o jakichś obozach w Polsce, dokąd zwozi się Żydów, zabija i ćwiartuje ich ciała jak w rzeźni. Ale to najpewniej fantazja. Specjalnie wypytywałem go o Żydów, wiedziałem, że to pana interesuje.

„Dlaczego tylko mnie? - pomyślał Sztrum. - Czyżby innych nie interesowało?” Karimow zamyślił się na chwilę i dodał: - Aha, zapomniałem, opowiadał mi jeszcze, że podobno Niemcy każą przynosić do komendantur żydowskie niemowlęta, gdzie smarują im usta jakąś bezbarwną substancją, po której dzieci natychmiast umierają.

- Noworodki? - upewnił się Sztrum.

- Wydaje mi się, że to taki sam wymysł, jak fantazje o obozach, gdzie ćwiartuje się trupy.

Sztrum przeszedł się po pokoju i powiedział: - Kiedy sobie pomyślę, że w naszych czasach zabija się noworodki, wszelkie wysiłki kultury wydają się daremne. Czegóż zdołali nauczyć ludzi Goethe i Bach? Morduje się niemowlęta! - Tak, to straszne - przyznał Karimow.

---

<sup>19</sup> Bekicer (jidysz) - krótko mówiąc.

<sup>20</sup> Chałojmes (jidysz) - senne marzenia.

Sztrum wierzył, że go to poruszyło, ale widział też, że Karimow się cieszy, bo opowieść lejtnanta umocniła w nim nadzieję, że zobaczy żonę. Sztrum natomiast wiedział, że po zwycięstwie już matki nie zobaczy.

Karimow zbierał się do odejścia, Sztrumowi żal było się z nim rozstawać, więc postanowił go odprowadzić.

- Wie pan - rzekł nagle - my, uczeni radzieccy, jesteśmy szczęśliwymi ludźmi. Co może czuć uczciwy niemiecki fizyk albo chemik, jeśli wie, że jego badania przynoszą korzyść Hitlerowi? Wyobraża pan sobie żydowskiego fizyka, którego najbliższych zabijają jak wściekłe psy, a on mimo to jest szczęśliwy, że coś odkrył, chociaż to odkrycie wbrew jego woli umacnia faszystowską maszynę wojenną? Wszystko widzi, wszystko rozumie, a jednak nie potrafi martwić się swoim odkryciem. Okropność! - Tak - zgodził się rozmówca - ale przecież człowiek myślący nie może zabronić sobie myślenia.

Wyszli na ulicę, gdzie Karimow powiedział: - Głupio się czuję, że pan mnie odprowadza. Pogoda jest paskudna, a pan przecież dopiero niedawno wrócił do domu i znowu wychodzi na dwór.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - zapewnił Sztrum. - Odprowadzę pana tylko do rogu.

Spojrzał w oczy swojemu towarzyszowi i rzekł: - Miło mi przejść się z panem, chociaż pogoda rzeczywiście kiepska.

Karimow szedł w milczeniu; Sztrum miał nawet wrażenie, że zamyślił się i nie słyszy jego słów. Na rogu zatrzymał się więc i powiedział: - No cóż, tu się pożegnamy.

Karimow mocno uściśnął mu rękę i powiedział, rozciągając słowa: - Pan wkrótce wróci do Moskwy i będziemy musieli się rozstać. A ja bardzo sobie cenię nasze spotkania.

- Tak, tak, niech mi pan wierzy, że i mnie jest niewesoło - zapewnił Sztrum.

Szedł teraz w stronę domu i nie zwrócił uwagi na to, że ktoś go woła.

To Madjarow spoglądał na niego ciemnymi oczami. Kołnierz płaszcza miał podniesiony.

- Cóż to? - zapytał. - Skończyły się nasze posiedzenia? Pan zniknął zupełnie, Piotr Ławrientjewicz jest na mnie zły.

- Tak, rzeczywiście, szkoda - przyznał Sztrum. - Ale z rozpędu nagadaliśmy tam niemało głupstw.

Madjarow powiedział: - Któż zwraca uwagę na słowa wypowiedziane z rozpędu! Zbliżył twarz do twarzy Sztruma; jego rozszerzone, duże, smutne oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze, jeszcze smutniejsze. Powiedział: - Są i dobre strony tego, żeśmy się przestali spotykać.

Sztrum zainteresował się: - Jakie mianowicie? Madjarow, dysząc, wyjaśnił: - Muszę panu powiedzieć, że stary Karimow, jak mi się zdaje... pracuje. Rozumie pan? A pan się chyba często z nim spotyka.

- Bzdura, nigdy w to nie uwierzę! - zaprotestował Sztrum.

- A nie zastanowił się pan, że wszyscy jego przyjaciele i przyjaciele jego



przyjaciół już od dziesięciu lat starci są na proch, po całym jego środowisku nie ma nawet śladu? On jeden żyje, ba, rozkwita: doktor habilitowany.

- No i co z tego? - spytał Sztrum. - Ja też jestem doktorem habilitowanym i pan tak samo.

- No właśnie. Niech pan pomyśli o tym dziwnym losie. Nie jest pan przecież dzieckiem.

10

- Witia, mama wróciła dopiero przed chwilą - powitała męża Ludmiła Nikołajewna.

Aleksandra Władimirowna siedziała przy stole, jeszcze w chuście na ramionach, przysunęła sobie filiżankę herbaty i od razu ją odsunęła, mówiąc: - Właśnie rozmawiałam z człowiekiem, który widział Mitę tuż przed wojną.

Była zdenerwowana i dlatego umyślnie spokojnym, równym głosem opowiedziała, że do sąsiadów koleżanki z pracy, laborantki fabrycznej, przyjechał na kilka dni jej krajan. Przypadkowo w jego obecności koleżanka wymieniła nazwisko Aleksandry Władimirowny, a wtedy przyjezdny spytał, czy Aleksandra Władimirowna nie ma krewnego imieniem Dmitrij.

Po pracy poszła więc z tą laborantką do jej domu. Wtedy się okazało, że ów człowiek niedawno został zwolniony z obozu, że był korektorem w gazecie i odsiedział siedem lat za to, że przeoczył błąd we wstępniaku - w nazwisku towarzysza Stalina zecerzy pomylili literę. Przed wojną za naruszenie dyscypliny przeniesiono go z Autonomicznej Republiki Komi do obozu o obostrzonym rygorze na Dalekim Wschodzie, do systemu obozów Oziornych, i tam właśnie jego sąsiadem w baraku był Szaposznikow.

- Od pierwszego słowa wiedziałam, że to Mitia. Przyjezdny powiedział: „Leżał na pryczy i cały czas gwizdał piosenkę «Włożył czyżyk żółte wdzianko...»" Tuż przed aresztowaniem Mitia przychodził do mnie i w odpowiedzi na wszystkie moje pytania tylko się uśmiechał i gwizdał tego Czyżyka... Wieczorem ów człowiek musi ciężarówką pojechać do Łaiszewa, gdzie mieszka jego rodzina. Mówił, że Mitia był chory - miał szkorbut, i z sercem było marnie. Nie wierzył podobno, że wyjdzie na wolność. Opowiadał mu o mnie, o Sierioży. Pracował w kuchni, to jest uważane za świetne miejsce.

- Tak, po to ukończył dwie wyższe uczelnie - wtrącił Sztrum.

- Przecież nie można być pewnym, czy to nie nasłany prowokator zauważyła Ludmiła.

- Kto miałby prowokować mnie, starą? - Za to Wiktozem w znanej instytucji mocno się interesują.

- No, Ludmiła, to już jakieś bzdury - zdenerwował się Wiktor Pawłowicz.

- A dlaczego wyszedł na wolność, nie mówił ci? - spytała Nadia.

- Trudno uwierzyć w to, co opowiadał. Mówił o jakimś całym olbrzymim świecie, mnie się to zdawało zupełnym koszmarem. Jakby przybył z innego kraju. Mają tam

własne obyczaje, własną historię średniowieczną i nowożytną, własny język...

Pytałam, dlaczego go zwolniono, a on się zdziwił: „Jak to, nie wie pani? Spisali mnie”. Znowu nie rozumiałam; okazało się, że kiedy ktoś jest dochodiagą, czyli blisko mu do śmierci, to go zwalnają. Mają jakieś podziały wewnątrz obozu - robole, głupki, suki... Spytałam go o wyrok, który dostawały tysiące ludzi w trzydziestym siódmym roku: dziesięć lat bez prawa korespondencji. On na to, że nie spotkał nikogo z takim wyrokiem, a był w dziesiątkach obozów. Gdzie są ci ludzie? Powiedział: „Nie wiem - w obozach takich nie ma”.

Leśnicy, nadterminowi, specprzesiedleńcy... Tak smutno mi się zrobiło, kiedy opowiadał. Mitią też tam był i też używał tych słów - dochodiaga, głupek, suka... Ten człowiek opowiadał o sposobie na samobójstwo - ci na kołymskim bagnie przestają jeść i kilka dni z rzędu piją tylko wodę; potem umierają na obrzęk, na puchlinę wodną. Oni to nazywają: „pił wodę”, „zaczął pić wodę”, no oczywiście, jeśli ktoś ma chore serce.

Widziała napiętą i smutną twarz Sztruma, zasepione brwi córki.

Wzburzona czuła, jak płonie jej głowa i dokucza suchość w ustach, ale opowiadała dalej: - Mówił, że straszniejszy od samego obozu jest transport, jazda pociągiem. Tam wszechmocni są kryminaliści, zabierają ludziom ubranie, jedzenie, grają w karty o życie politycznych, kto przegrał, ten zabija człowieka nożem, a ofiara do ostatniej chwili nawet nie ma pojęcia, że była stawką w grze... Okropne jest także to, że jak się okazuje, w obozach funkcyjnymi są wyłącznie kryminaliści. Robią ich starostami baraków, brygadzystami na wyrębach leśnych, polityczni nie mają żadnych praw, do nich mówi się „ty”, kryminalni nazywali Mitię faszystą... Mordercy i złodzieje mówią „faszysta” o naszym Miti.

Aleksandra Władimirowna głośno, jakby zwracała się do wielu osób, powiedziała: - Tego człowieka przeniesiono z obozu, w którym siedział Mitią, do Syktywkaru. W pierwszym roku wojny do grupy obozów, gdzie siedział Mitią, przyjechał z centrali człowiek nazwiskiem Kaszkietin i zorganizował egzekucję dziesięciu tysięcy więźniów.

- O Boże! - jęknęła Ludmiła Nikołajewna. - Czy Stalin wie o tych potwornościach? - O Boże! - powtórzyła Nadia ze złością, przedrzeźniając matkę. Czy ty nic nie rozumiesz? To Stalin kazał ich zabić.

- Nadia! - krzyknął Sztrum. - Przestań! Jak to zwykle bywa z ludźmi czującymi, że ktoś może obnażyć ich wewnętrzną słabość, Sztrum wpadł we wściekłość i zaczął krzyczeć na córkę: - Nie zapominaj, że Stalin jest wodzem naczelnym armii walczącej z faszyzmem; twoja babcia aż do końca pokładała nadzieję w Stalinie; wszyscy żyjemy, oddychamy dzięki Stalinowi i Armii Czerwonej...

Naucz się najpierw nos wycierać, a potem dopiero krytykuj Stalina...

To on broni nas w Stalingradzie przed faszystami! - Stalin siedzi w Moskwie, a kto nas bronił w Stalingradzie, sam dobrze wiesz... - odparła Nadia. - Nie rozumiem cię. Przecież kiedy wracałeś od Sokołowa, mówiłeś to samo co ja...

Sztrum poczuł nowy przypływ złości na Nadię, tak gwałtowny, że tej złości wystarczyłoby chyba na całe życie.

- Nieprawda, kiedy wracałem od Sokołowa, nic podobnego nie mówiłem; proszę mi tu nie zmyślać! - zawołał.

Ludmiła Nikołajewna usiłowała ich uspokoić: - Po co wspominać te okropności, kiedy radzieckie dzieci giną za ojczyznę...

Właśnie wtedy Nadia obnażyła tę słabość, którą jej ojciec ukrywał.

- No, oczywiście, nic nie mówiłeś - zakpiła. - Teraz tak twierdzisz, kiedy w pracy osiągnąłeś sukces, a w Stalingradzie powstrzymano Niemców...

- Jak możesz?! - oburzył się Wiktor Pawłowicz. - Jak śmiesz oskarżać ojca o nieuczciwość?! Ludmiła, słyszysz to? Myślał, że żona go wesprze, ale się przeliczył.

- Dziwisz się? - spytała Ludmiła Nikołajewna. - Nasłuchiwała się ciebie, przecież właśnie o tym ciągle gadacie z Karimowem, z tym okropnym 377 Madjarowem. Maria Iwanowna opowiadała mi o waszych dyskusjach.

Sam zresztą w domu mówisz wystarczająco dużo. Och, żeby już jak najszybciej wrócić do Moskwy...

- Dosyć - przerwał Sztrum. - Z góry wiem, co miłego chcesz mi powiedzieć.

Nadia umilkła i siedziała ze zmienioną twarzą, przypominającą zwiędłą twarz staruszki. Odwróciła się od ojca, a kiedy ich spojrzenia znowu się spotkały, Sztruma uderzyła nienawiść, z jaką córka na niego patrzyła.

W mieszkaniu zrobiło się duszno, ciężko; tyle niedobrych emocji zawisło w powietrzu. To, co żyje prawie w każdej rodzinie, ale w ukryciu - i jeśli czasem narobi zamętu, to miłość i zaufanie nie pozwolą trwać temu długo - u nich teraz wypłynęło, wyrwało się na powierzchnię, rozlało szeroko i zatopiło ich życie, tak jakby między ojcem, matką i córką istniały tylko nieporozumienia, podejrzania, pretensje, kwasy.

Czyżby ich wspólny los rodził tylko rozdzwięki i wzajemną obcość? - Babciu! - zawołała Nadia.

Sztrum i Ludmiła równocześnie spojrzeli na Aleksandrę Władimirownę - siedziała, przyciskając dłonie do czoła, jakby cierpiała na straszny ból głowy.

Coś niesłychanie żalnego było w tej bezradności. Pani Szaposznikow zdawało się, że ani ona, ani jej nieszczęście nikogo w rodzinie nie interesują, wszystkich za to irytują, ba, stały się nawet przyczyną kłótni. Całe życie była silna i twarda, a teraz siedziała, stara, samotna i słaba.

Nadia uklękła nagle, przycisnęła czoło do kolan Aleksandry Władimirowny, i powiedziała: - Babciu, kochana, najdroższa...

Wiktor Pawłowicz podszedł do ściany i włączył odbiornik. W tekturowym mikrofonie zachrypiało, zawyło, zagwizdało. Wydawało się, że radio transmituje jesienne nocne wichry, hulające nad linią frontu, nad spalonymi wsiami, grobami żołnierzy, nad Kołymą i Workutą, nad lotniskami polowymi, nad mokrym od zimnej wody i śniegu brezentem, osłaniającym punkty sanitarne.

Sztrum popatrzył na nachmurzoną twarz żony, podszedł do Aleksandry Władimirowny, chwycił jej dłonie i zaczął je całować. Potem pochylił się i pogłaskał Nadię po głowie.

Pozornie nic się przez tych kilka chwil nie zmieniło, w pokoju byli ci sami ludzie, przygniecenii tym samym nieszczęściem, dotknięci tym samym losem. Ale tylko oni wiedzieli, jakie cudowne ciepło ogarnęło nagle ich zawzięte serca...

W pokoju rozległ się donośny głos: - W dniu dzisiejszym nasze wojska toczyły walki z nieprzyjacielem w rejonie Stalingradu, na północny wschód od Tuapse i w rejonie Nalczyku. Na innych frontach sytuacja bez zmian.

## 11

Porucznik Peter Bach trafił do szpitala ranny w ramię. Rana nie okazała się poważna, więc koledzy, którzy odprowadzali Bacha do sanitarki, gratulowali mu takiego szczęścia.

Z błogim uczuciem, a zarazem stękając z bólu, Bach, podtrzymywany przez sanitariusza, wszedł do wanny.

Wielka była rozkosz wywołana zetknięciem z ciepłą wodą.

- Lepiej niż w okopie? - spytał sanitariusz, a chcąc powiedzieć rannemu coś krępującego, dodał: - Kiedy pana wypiszą, tam pewnie już będzie po wszystkim.

Pokazał ręką w stronę, skąd dochodził jednostajny, ciągły huk.

- Jesteście tutaj od niedawna? - spytał Bach.

Sanitariusz natarł myjką plecy porucznika i powiedział: - Dlaczego pan sądzi, że jestem od niedawna? - Bo tam już nikt się nie spodziewa, że koniec nadejdzie prędko.

Przeciwnie, wszyscy sądzą, że nieprędko.

Sanitariusz popatrzył na nagiego oficera w wannie. Bach przypomniał sobie: zgodnie z instrukcją, personel szpitalny ma wypytywać rannych o nastroje, a porucznik przejawiał akurat niewiarę w potęgę Wehrmachtu. Powtórzył więc: - Tak, sanitariuszu; nikt na razie nie wie, jak to się skończy.

Po co wypowiadał te niebezpieczne słowa? Zrozumieć je mógł tylko ktoś, kto żył w totalitarnym państwie.

Powtórzył to samo jeszcze raz, bo za pierwszym zląkł się i był teraz zły sam na siebie. Powtórzył także po to, by swoją rzekomą beztróską oszukać przypuszczalnego donosiciela.

Następnie, żeby nie wyjść na opozycjonistę, powiedział: - Takich sił, jakie tu ściągnęliśmy, prawdopodobnie nie było nigdy od początku wojny. Wiercie mi, sanitariuszu.

Potem zdjął go wstręt na tę skomplikowaną, męczącą grę, więc zaczął się bawić jak dziecko: starał się ścisnąć w ręce ciepłą wodę - a ta pluskała albo o brzeg wanny, albo jemu samemu w twarz.

- Zasada miotacza ognia - zwrócił się do sanitariusza.

Jakże schudł! Oglądał swoje nagie ręce, pierś i pomyślał o młodej Rosjance, która dwa dni wcześniej go całowała. Czy przypuszczał kiedykolwiek, że w Stalingradzie będzie miał romans z Rosjanką? Co prawda, trudno to było nazwać romanssem. Ot, taka wojenna przygoda.

Niezwykła, fantastyczna sytuacja: spotykają się w piwnicy, on idzie do niej wśród ruin, oświetlony błyskami eksplozji. W książce dobrze się czyta o takich historiach. Właśnie wczoraj miał się z nią spotkać.

Teraz ona pewnie myśli, że Bach nie żyje. Kiedy wyzdrowieje, znowu do niej pójdzie. Ciekawe, kto zajmie jego miejsce? Przyroda nie znosi próżni...

Wkrótce po wannie wysłano Bacha do gabinetu rentgenowskiego, gdzie Artz ustawił go przed ekranem aparatu.

- Gorąco tam, poruczniku? - Rosjanom jest goręcej niż nam - odpowiedział Bach, bo chciał się przypodobać lekarzowi i być dobrze zdiagnozowany, tak żeby operacja przebiegła łatwo i bez bólu.

Wszedł chirurg i teraz we dwóch z rentgenologiem mogli sobie dobrze obejrzeć to opozycyjne plugastwo, które w ciągu minionych lat nawapniło się w klatce piersiowej Bacha.

Chirurg wziął go za rękę i zaczął nią obracać, to zbliżając ją do ekranu, to oddalając. Interesowała go tylko rana odłamkowa, a to, że do rany dołączony był młody człowiek z wyższym wykształceniem, stanowiło jedynie czysty zbieg okoliczności.

Obaj lekarze zaczęli rozmowę, mieszając słowa łacińskie z żartobliwymi niemieckimi przekleństwami, więc Bach zrozumiał, że jego sprawy wyglądają nieźle - nie straci ręki.

- Proszę przygotować porucznika do operacji - polecił chirurg - a ja obejrzę tutaj skomplikowany przypadek, ciężki uraz czaszki.

Sanitariusz zdjął z Bacha szlafrok, siostra kazała mu usiąść na taborecie.

- Do licha, Fraulein! - rzekł Bach, żałośnie uśmiechając się i wstydząc swojej nagości. - Zanim uczestnika bitwy stalingradzkiej posadzi się gołym tyłkiem na krześle, warto by je trochę zagrzać.

Odpowiedziała mu bez uśmiechu: - Nie mamy takiego obowiązku, proszę pana - po czym zaczęła wyjmować ze szklanej szalki narzędzia, których widok wydał się Bachowi okropny.

A jednak wyjęcie odłamka poszło łatwo i szybko. Bach był nawet trochę urażony, że lekarz nie potraktował poważnie nie tylko błahego zabiegu, ale z rozpędu także i pacjenta.

Siostra spytała Bacha, czy ma go odprowadzić do sali.

- Dojdę sam - odpowiedział.

- Nie zasiedzi się pan u nas - uspokoiła go.

- To świetnie - odrzekł - bo już zaczynałem się nudzić.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

Siostra najwyraźniej wyobrażała sobie rannych na podstawie tego, co czytała w gazetach. Pisarze i dziennikarze donosili o takich, którzy potajemnie uciekali do swoich batalionów i kompanii. Bardzo im było spieszo znowu strzelać do wroga; widać nie

umieli bez tego żyć.

Może dziennikarze naprawdę widzieli w szpitalach takich ludzi, ale Bach doznał zawstydzającej rozkoszy, kiedy położył się do świeżo zaścielonego łóżka, kiedy zjadł talerz ryżu, zapalił papierosa (choć było to surowo zabronione) i zaczął rozmawiać z sąsiadami.

W sali leżało czterech rannych. Trzej byli oficerami z frontu, a czwarty - urzędnikiem z zapadłą piersią i wypuczonym brzuchem.

Urzędował na tyłach, skąd przyjechał w delegacji i w rejonie Gumraku miał wypadek samochodowy. Kiedy leżał na plecach, z rękami złożonymi na brzuchu, wydawało się, że temu chudemu facetowi ktoś żartem wsunął piłkę pod kołdrę.

Widocznie dlatego ranni przezwali go „Bramkarzem”.

Bramkarz, jedyny ze wszystkich, narzekał na to, że rana go unieruchomiła. Mówił podniosłym tonem o ojczyźnie, wojsku, obowiązku, zapewniał, że jest dumny z rany odniesionej w Stalingradzie.

Oficerowie z frontu, którzy przelali krew za naród, drwili z takiego patriotyzmu.

Jeden z nich, ranny w pośladki i dlatego leżący na brzuchu, dowódca kompanii zwiadowczej, Krapp, o bladej twarzy, dużych ustach i wypukłych piwnych oczach, powiedział mu: 381 - Widocznie należy pan do tych bramkarzy, którzy chętnie zdobywaliby bramki, a nie tylko bronili.

Zwiadowca miał bzika na punkcie płci - mówił prawie wyłącznie o sprawach erotycznych.

Bramkarz, chcąc dociąć dowcipnisiowi, spytał: - A dlaczego pan się nie opalił? Pewnie pracuje pan w kancelarii? Ale Krapp nie miał nic wspólnego z kancelarią.

- Jestem nocnym ptakiem - wyjaśnił. - Poluję wyłącznie nocami.

W odróżnieniu od pana z kobietami sydam w dzień.

Ranni złorzeczyli biurokratom, którzy pod wieczór wymykają się z Berlina do podmiejskich willi; psioczyli na wojaków z intendencji, którzy dostawali orderzy szybciej niż ci z frontu, rozmawiali o nieszczęściach rodzin oficerskich, których domy zniszczyły bomby; pomstowali na ogierów z zaplecza, którzy uwodzili wojskowym żony, klęli frontowe sklepiki, gdzie można było dostać tylko wodę kolońską i żyletki.

Sąsiadem Bacha był porucznik Herne. Bachowi wydawało się, że pochodzi ze szlachty, ale okazało się, że jest chłopem, jednym z tych, którzy awans społeczny zawdzięczali nazistowskiemu przewrotowi.

Był zastępcą szefa sztabu w pułku i został trafiony odłamkiem podczas nocnego bombardowania.

Kiedy Bramkarza zabrano na operację, leżący w kącie nadporucznik Fresser, człowiek prosty, powiedział: - Do mnie strzelają od trzydziestego dziewiątego roku, a jeszcze ani razu nie chwaliłem się swoim patriotyzmem. Dają mi jeść, pić, dostarczają ubranie - a ja walczę. Bez żadnej filozofii.

Bach powiedział: - No nie, dlaczego? W tym, że oficerowie liniowi pośmiali się z fałszywego patriotyzmu Bramkarza, jest już jakaś filozofia.

- No proszę! - zdziwił się Herne. - Ciekawe jaka? Po niezyczliwym wyrazie oczu Bach z nawyku rozpoznał w nim człowieka nienawidzącego przedhitlerowskiej inteligencji. Sam wiele się musiał nacytać i nasłuchać oskarżeń, że stara inteligencja przejawia ciągoty do amerykańskiej plutokracji, że żywi sympatię do talmudyzmu i żydowskiej abstrakcji, do żydowskiego stylu malarstwa i literatury.

Ogarnęła go złość. Dlaczego ktoś traktuje go z tępą, wilczą podejrzliwością akurat teraz, kiedy gotów jest pokłonić się surowej potędze nowych ludzi? Czyż jego, tak samo jak ich, nie żarły wszy, czy nie doskwierał mu mróz? Jego, oficera pierwszej linii, nie uważają za Niemca! Bach zamknął oczy i odwrócił się do ściany...

- Skąd tyle jadu w pańskim pytaniu? - wymruczał ze złością.

Herne z pogardliwym uśmiechem odparł: - Co, naprawdę pan nie wie? - Przecież powiedziałem, że nie wiem - odpowiedział zirytowany Bach i dodał: - To znaczy, domyślałem się.

Herne oczywiście się roześmiał.

- Aha, dwulicowość? - krzyknął Bach.

- Otóż to, dwulicowość - kpił Herne.

- Impotencja woli? Fresser od razu zaczął rechotać. A Krapp, uniósłszy się na łokciach, obrzucił Bacha bezczelnym spojrzeniem.

„Degeneraci - miał ochotę huknąć na nich Bach. - Ci obaj są poza granicami ludzkiego myślenia, ale pan, Herne, jest już gdzieś w połowie drogi między małpą a człowiekiem... Rozmawiajmy więc serio”.

Aż mu się zimno zrobiło z nienawiści, zacisnął przymknięte powieki.

„Wystarczy, że napiszecie broszurkę na jakiś błahy temat - i już nienawidzicie tych, którzy kładli fundamenty i wznosili gmach niemieckiej nauki. Wystarczy, że napiszecie byle romansidło, a już zaczynacie opluwać sławy niemieckiej literatury. Wydaje się wam, że nauka i sztuka są czymś w rodzaju ministerstwa, gdzie starsi urzędnicy nie pozwalają wam awansować. Wam z waszymi broszurkami jest tam za ciasno, przeszkadzają wam Koch, Nernst, Planck, Kellermann...”

Nauka i sztuka to nie kancelaria, to góra Parnas! Niebo nad nią nie ma kresu; zawsze jest tam dość przestronnie, zawsze znajdowało się miejsce dla talentu, dopóki nie pojawiliście się wy ze swoimi nędznymi płodami. Nie jest tam wcale ciasno; po prostu to nie miejsce dla was.

Chcielibyście usunąć stamtąd innych, ale przez to wasze nędzne, źle napompowane balony nie uniosą się ani o metr wyżej. Możecie oczywiście wyrzucić Einsteina, ale go nie zastąpicie. Tak, tak, jasne, Einstein to Żyd, ale także, zechce pan łaskawie zauważyć, geniusz. Nie ma takiej władzy, która pomogłaby wam zająć jego miejsce. Zastanówcie się - czy warto tracić tyle sił na niszczenie tych, których miejsca na zawsze pozostaną puste? Hitler dał wam wolną drogę, jeśli więc nie jesteście na tyle dobrzy, żeby nią iść, to wina tkwi tylko w was; nie ma co wściekać się na ludzi wybitnych. Nienawiścią w dziedzinie kultury nic się nie osiągnie! Widzicie, jak dobrze rozumieją to Hitler i Goebbels? Uczą nas własnym przykładem. Ile miłości, cierpliwości i taktu wykazują, dbając o niemiecką naukę, malarstwo, literaturę. Bierzcie z nich przykład, idźcie drogą konsolidacji, nie wnoście rozłamu do naszej wspólnej

niemieckiej sprawy!" Wygłosiwszy w duchu swą namiętą orację, Bach otworzył oczy.

Sąsiedzi leżeli przykryci kołdrami.

Fresser powiedział: - Koledzy, popatrzcie no tutaj - i ruchem magika wyciągnął spod poduszki litrową butelkę włoskiego koniaku „Trzy Walety”.

Herne wydał z głębi gardła dziwny dźwięk - tylko prawdziwy pijak, w dodatku chłop, mógł tak patrzeć na butelkę.

„A przecież to całkiem niezły facet, wszystko świadczy o tym, że niezły” - pomyślał Bach i zawstydził się swojej histerycznej, głoszonej w wyobraźni przemowy.

A tymczasem Fresser, skacząc na jednej nodze, nalewał koniak do stojących na szafkach szklanek.

- A to numer z pana - rzekł z uśmiechem zwiadowca.

- Widać doświadczenie bojowe - zauważył Herne.

Fresser wyjaśnił: - Jakiś wysoki rangą lekarz zauważył moją butelkę i pyta: „Cóż to pan tam chowa w gazetce?” A ja na to: „Listy od matki, nigdy się z nimi nie rozstaję”.

Podniósł szklanę.

- No to z frontowym pozdrowieniem, nadporuczniku Fresser! Wszyscy wypili.

Herne, który miał ochotę na następną kolejkę, powiedział: - Ech, trzeba jeszcze zostawić dla Bramkarza.

- Do diabła z Bramkarzem, prawda, poruczniku? - spytał Krapp.

- Niech spełnia swój obowiązek wobec ojczyzny, a my po prostu wypijemy - rzekł Fresser. - Każdy w końcu chce żyć.

- Mój tyłek całkiem ożył - oświadczył zwiadowca. - Teraz jeszcze przydałaby się jakaś damulka, niezbyt dobrze odżywiona.

Wszystkim zrobiło się wesoło i lekko na sercu.

- No to jazda! - Herne podniósł szklanę.

Jeszcze raz wypili.

- Dobrze, że trafiliśmy do jednej sali.

- A ja od razu wiedziałem, kiedy tylko spojrzałem: To chłopaki do rzeczy, prawdziwi frontowcy.

- Prawdę mówiąc, co do Bacha miałem wątpliwości - rzekł Herne. Pomyślałem: „No, to pewnie towarzysz partyjny”.

- Nie, jestem bezpartyjny.

Leżeli, rzuciwszy kołdry. Wszystkim zrobiło się gorąco. Zaczęli rozmawiać o walce na froncie.

Fresser walczył na lewym skrzydle, w rejonie przysiółka Okatowka.

- Diabeł się w tym połapie - powiedział. - Rosjanie kompletnie nie umieją nacierać. Ale w końcu jest już początek listopada, a my nadal stoimy. Wypiliśmy w



sierpniu morze wódki i wszystkie toasty były takie same: „Żebyśmy po wojnie nie zapomnieli o sobie, trzeba założyć stowarzyszenie byłych żołnierzy spod Stalingradu”.

- Nacierać umieją, i to nieźle - zaprzeczył zwiadowca, który walczył w rejonie fabryk. - Nie potrafią się umacniać. Wyrzucą nas z jakiegoś domu i od razu albo kładą się spać, albo zaczynają żreć, a ich dowódcy urządzają pijatykę.

- To dzikusy - stwierdził Fresser i mrugnął. - Na tych stalingradzkich dzikusów straciliśmy więcej żelaza niż na całą Europę.

- Nie tylko żelaza - sprostował Bach. - U nas w pułku są tacy, którzy płaczą bez powodu i pieją jak koguty.

- Jeśli sprawa nie rozstrzygnie się przed zimą - rzekł Herne - to zacznie się chińska wojna. Taka bezsensowna przepychanka.

Zwiadowca powiedział półgłosem: - Wiecie, panowie, szykujemy nową ofensywę w rejonie fabryk. Skoncentrowane zostały takie siły, jakich tu jeszcze nigdy nie było. Wszystko to ruszy w najbliższych dniach. Dwudziestego listopada wszyscy prześpimy się z dziewczynkami z Saratowa.

Za zasłoniętymi oknami słychać było majestatyczne, spokojne dudnienie artylerii i huk bombowców lecących na nocne naloty.

- A to terkoczą „ruskie dykty” - powiedział Bach. - To ich zwykła pora. Niektórzy nazywają je „piła do nerwów”.

- A u nas w sztabie mówią o nich „podoficer dyżurny” - wtrącił Herne.

- Ciszej! - Zwiadowca podniósł palec. - Słyszycie, najcięższy kaliber.

- A my popijamy koniak w sali dla łżej rannych - zauważył Fresser.

Trzeci raz w ciągu dnia zrobiło im się wesoło.

Zaczęli rozmawiać o rosyjskich kobietach. Każdy miał co opowiadać.

Bach nie lubił takich rozmów.

Ale tego wieczoru w szpitalu mówił o Zinie, która mieszkała w piwnicy zburzonego domu. Opowiadał zabawnie, tak że wszyscy się śmiali.

Wszedł sanitariusz, spojrzał na ich wesołe twarze i zaczął ściągać pościel z łóżka Bramkarza.

- Berlińskiego obrońcę ojczyzny wypisano jako symulanta? - zagadnął Fresser.

- Czemu nic nie mówicie, sanitariuszu? - spytał Herne. - Tu są mężczyźni, jeśli coś się stało, powiedzcie.

- Umarł - powiedział sanitariusz. - Na atak serca.

- Widzicie, do czego prowadzą patriotyczne rozmowy - skomentował Herne.

Bach przywołał go do porządku: - Nie wypada tak mówić o zmarłym. Przecież nie kłamał, po co miałby udawać przed nami. Był szczerzy. Nieładnie, koledzy.

- Aha - odezwał się Herne - jednak dobrze myślałem, że porucznik będzie nam wygłaszał kazania partyjne. Od razu widać było, że to z nowych ludzi, ideowych.

W nocy Bach nie mógł zasnąć, czuł się teraz zbyt wygodnie. Dziwne wydawało się w tej chwili wspomnienie schronu, kolegów, przyjscia Lenarda - razem patrzyli na zachód przez otwarte drzwi schronu, pili kawę z termosu, palili papierosy.

Wczoraj, wsiadając do sanitarki, objął Lenarda zdrową ręką za ramię; spojrzeli sobie w oczy, roześmiali się.

Czy myślał, że będzie pił z esesmanem w stalingradzkim bunkrze, chodził do rosyjskiej kochanki wśród oświetlonych pożarami ruin! Zaszła w nim jakaś zdumiewająca przemiana. Przez długie lata nienawidził Hitlera. Kiedy słuchał bezwstydných oświadczeń siwiutkich profesorów, że Faraday, Darwin i Edison to banda oszustów, która ograbiła niemiecką naukę, że fiihrer jest największym uczonym 386 wszystkich czasów i narodów, ze złośliwą satysfakcją myślał: „No cóż, sklerotycy, wszystko to w końcu musi upaść”. Te same uczucia budziły w nim powieści, w niesłychanie fałszywy sposób opisujące ludzi pozbawionych wad, szczęśliwych, ideowych robotników i chłopów, mądrą pracę wychowawczą partii. Ach, jakie żałosne wiersze drukowano w pismach! To go irytowało szczególnie, w gimnazjum sam przecież pisał wiersze.

A tutaj, w Stalingradzie, nagle zapragnął wstąpić do partii. Kiedy był chłopcem, ze strachu, że ojciec przekona go w dyskusji, wołał: „Nie chcę tego słuchać, nie chcę słuchać, nie chcę...” Teraz usłuchał. Świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Jak dawniej denerwowały go nędzne sztuki i filmy. Ale co robić, pewnie przez jakieś kilka lat, może nawet dziesięć, ludzie będą musieli obchodzić się bez poezji. A przecież nawet teraz istnieją możliwości pisania prawdy! Przecież niemiecka dusza jest właśnie główną prawdą, sensem świata. Przecież mistrzowie Odrodzenia umieli wyrażać najwyższe duchowe wartości w dziełach tworzonych na zamówienie książąt i biskupów...

Wywiadowca Krapp, równocześnie śpiąc i uczestnicząc w nocnej walce, zawołał tak głośno, że pewnie usłyszano go na ulicy: „Granatem go, granatem!” Chciał się podczołgać, niezręcznie się obrócił, krzyknął z bólu, potem znowu usnął i zachrapał.

Nawet rozprawę z Żydami, chociaż wzdrygał się na myśl o niej, widział teraz w innym świetle. Pewnie gdyby miał władzę, natychmiast skończyłby z masowymi morderstwami Żydów. Ale mimo że miał wśród nich sporo przyjaciół, trzeba powiedzieć wprost: niemiecki charakter, niemiecka dusza nie są wymysłem. Jeśli więc one istnieją, to istnieje też żydowski charakter i żydowska dusza.

Marksizm poniósł klęskę! Tę myśl trudno przyjąć komuś, czyja matka, ojciec i bracia ojca byli socjaldemokratami.

Marksa można by porównać z fizykiem, który za podstawę budowy materii przyjął siły odpychania, a równocześnie całkiem zlekceważył siłę powszechnego przyciągania. Zdefiniował i najwnikliwiej ze wszystkich prześledził siły walki klasowej w całej historii ludzkości. Ale jak to zwykle bywa z ludźmi, którzy dokonali wielkich odkryć, ubzdurał sobie, że wyłącznie te odkryte przezeń siły decydują o rozwoju społeczeństwa i biegu historii. Przeoczył potężne siły ponadklasowego, narodowego 387 pokrewieństwa, toteż jego fizyka społeczna, zbudowana z pominięciem prawa powszechnego narodowego przyciągania, nie ma sensu.

Państwo to nie skutek, państwo to przyczyna! Tajemnicze i dziwne prawo określa narodziny państwa narodowego! To państwo jest żywą wspólnotą, tylko ono wyraża to, co w milionach ludzi wyjątkowo cenne, nieśmiertelne - niemiecki charakter, niemieckie ognisko domowe, niemiecką wolę, niemiecką ofiarność.

Przez jakiś czas Bach leżał z zamkniętymi oczami. Żeby zasnąć, zaczął wyobrażać sobie stado owiec - jedna biała, druga czarna, znowu biała i znowu czarna...

Rano, po śniadaniu, pisał list do matki. Marszczył czoło, wzdychał, bo wiedział, że wszystko, co pisał, na pewno będzie dla niej przykre. Ale to właśnie jej powinien zwierzyć się z tego, co w ostatnim czasie czuje.

Kiedy przyjechał do domu na urlop, nic jej nie powiedział. Spostrzegła jednak jego irytację, jego niechęć do słuchania w nieskończoność wspomnień o ojcu... Ciągle to samo! Pomyśli: „Odstępca, wyrzekł się wiary ojca”. Ale to nie tak. On akurat nie chce być odstępcą.

Chorzy zmęczeni porannymi zabiegami leżeli spokojnie. W nocy na zwolnionym łóżku Bramkarza ułożono ciężko rannego. Leżał nieprzytomny i nie sposób było się dowiedzieć, z jakiej jest jednostki.

Jak wytłumaczyć matce, że ludzie nowych Niemiec są mu dzisiaj bliżsi niż przyjaciele z dzieciństwa? Wszedł sanitariusz i rzucił pytającym tonem: - Porucznik Bach? - To ja - powiedział Bach i zasłonił ręką rozpoczęty list.

- Panie poruczniku, jakaś Rosjanka pyta o pana.

- O mnie? - zdumiał się i uświadomił sobie, że to jego stalingradzka znajoma, Zina. Jak zdołała się dowiedzieć, gdzie on przebywa? I od razu zrozumiał, że powiedział jej kierowca sanitarki kompanijnej.

Ucieszył się, wzruszony - przecież musiała wyjść w ciemnościach i dotrzeć tu okazją, piechotą przejść jakieś sześć do ośmiu kilometrów.

Wyobraził sobie jej bladą twarz o wielkich oczach, chudą szyję, szarą chustkę na głowie.

W sali jednak rozległ się rechot.

- Brawo, poruczniku Bach! - zawołał Herne. - To się nazywa praca wśród miejscowej ludności.

Fresser zamachał rękami, jakby otrząsał wodę z palców, i powiedział: - Sanitariuszu, przyprowadźcie ją tutaj. Porucznik ma wystarczająco szerokie łóżko. Damy im ślub.

A zwiadowca Krapp wygłosił sentencję: - Kobieta jak pies, biegnie tropem za mężczyzną.

Nagle Bach się zdenerwował. Co ona sobie wyobrażała? Jak mogła pojawić się w szpitalu? Przecież oficerom zabrania się stosunków z Rosjankami. A gdyby pracowali tu jego krewni albo znajomi Forsterów? W takim przelotnym, błahym związku nawet Niemka nie zdecydowałaby się na odwiedzinę...

Wydało mu się, że ciężko ranny, leżący bez przytomności, uśmiecha się z

pogardą.

- Przekażcie tej kobiecie, że nie mogę do niej wyjść - powiedział ponuro i żeby nie brać udziału w wesołej rozmowie, od razu wziął ołówek i zaczął czytać to, co dotąd napisał.

„...Zadziwiająca rzecz, przez długie lata uważałem, że państwo mnie przytłacza. A teraz zrozumiałem, że właśnie ono jest wyrazicielem mojej duszy... Nie chcę łatwego życia, jeśli trzeba, zerwę ze starymi przyjaciółmi. Wiem, że ci, do których przyjdę, nigdy do końca nie będą mnie uważali za swego. Mimo wszystko jednak przełamię się dla dobra tego najważniejszego, co tkwi we mnie...” Ale wesołość nadal panowała w sali.

- Cicho, nie przeszkadzajcie mu. Pisz list do narzeczonej - powiedział Herne.

Bach roześmiał się. Chwilami powstrzymywany śmiech przypominał pochlipywanie, a wtedy porucznik myślał, że tak jak teraz się śmieje, równie dobrze mógłby i płakać.

!3

Generałowie i oficerowie, którzy niezbyt często widywali dowódcę 6. armii Wehrmachtu, generała-pułkownika Paulusa, uważali, że jego myśli i nastrój nie uległy żadnym zmianom. Jego zachowanie, ton rozkazów, uśmiech, z którym wysłuchiwał drobnych relacji o charakterze prywatnym i poważnych raportów, zdawały się świadczyć, że jak dawniej panuje nad sytuacją wojenną.

Tylko osoby szczególnie bliskie dowódcy, jak jego adiutant, pułkownik Adam, czy szef sztabu armii, generał Schmidt, wiedziały, jak bardzo zmienił się Paulus w czasie walk w Stalingradzie.

Tak jak dawniej często dowcipkował, jedne rzeczy traktował pobłażliwie, inne ze wzdrgą, wypytywał swoich oficerów o sprawy życiowe; tak jak dawniej rzucał do boju pułki i dywizje, awansował i degradował, podpisywał wnioski o nagrody, po staremu palił swoje ulubione cygara...

Ale to, co najważniejsze, to, co tkwiło ukryte głęboko w jego duszy, z dnia na dzień zmieniało się i szykowało do zasadniczej przemiany.

Stopniowo tracił pewność, że panuje nad sytuacją, nad terminami.

Jeszcze niedawno spokojnym wzrokiem prześlizgiwał się po meldunkach oddziału rozpoznania sztabu armii - czy to nie wszystko jedno, co zamyślają Rosjanie, jakie mają znaczenie ruchy ich odwodów? Teraz Adam widział: z teczki z raportami i dokumentami, którą rankiem kładł na biurku dowódcy, ten w pierwszej kolejności wybierał doniesienia o nocnych ruchach wojsk rosyjskich.

Pewnego razu Adam zmienił porządek, w jakim układał papiery, położył najpierw meldunki zwiadowców. Paulus otworzył teczkę, spojrzął na dokument leżący na wierzchu. Uniósł swoje długie brwi, a następnie zatrzasnął teczkę.

Pułkownik Adam rozumiał, że zachował się nietaktownie. Zwrócił uwagę na szybkie i, jak mu się zdawało, żałosne spojrzenie przełożonego.

Po kilku dniach Paulus przejrzał doniesienia i dokumenty, ułożone w zwykłej

kolejności, uśmiechnął się do adiutanta i powiedział: - Jest pan naprawdę spostrzegawczy, drogi nowatorze.

Tego cichego jesiennego wieczoru generał Schmidt w dość podniosłym nastroju wybrał się, żeby złożyć meldunek Paulusowi.

Szedł do domu dowódcy szeroką ulicą dawnej stancy kozackiej, z przyjemnością wdychał świeże powietrze, dające ulgę przepalonemu gardłu, i obserwował niebo nad stepem, oświetlone ciemnymi barwami zachodu. W duszy czuł spokój, myślał o malarstwie i o tym, że poobiednia zgaga przestała go męczyć.

Szedł cichą i pustą ulicą, a pod czapką z wielkim i ciężkim daszkiem kłębiły się myśli o najzacieklej szym w bitwie stalingradzkiej starciu, do jakiego miało niebawem dojść. Kiedy dowódca przyjął go i czekał, co powie, ujął to tak:

- Oczywiście, w dziejach naszego oręża zdarzało się, że do natarcia użyto nieporównanie większej ilości sprzętu. Osobiście jednak nigdy nie miałem okazji tworzyć podobnego zagęszczenia sił lądowych i powietrznych na tak małym odcinku frontu.

Słuchając szefa sztabu, Paulus siedział jakoś nie po generalsku, zgarbiony, posłusznie wodząc wzrokiem w ślad za palcem Schmidta, który pokazywał słupki na wykresach i kwadraty mapy. To natarcie wymyślił Paulus, i to on określił jego parametry. Ale teraz, kiedy słuchał Schmidta, najbardziej błyskotliwego z szefów sztabu, z którymi miał okazję pracować, nie rozpoznawał swoich pomysłów w szczegółach planu szykowanej operacji.

Wydawało się, że Schmidt nie wyklada myśli Paulusa, rozwiniętych w plan walki, ale narzuca dowódcy swoją wolę, wbrew jego chęci szykuje do uderzenia piechotę, czołgi, bataliony saperów.

- Zagęszczenie, owszem - przytaknął Paulus. - Robi ono szczególne wrażenie, kiedy porówna się je z pustką na naszym lewym skrzydle.

- Nie ma rady - powiedział Schmidt. - Na Wschodzie jest zbyt dużo ziemi, więcej niż niemieckich żołnierzy.

- To niepokoi nie tylko mnie. Von Weichs mówił mi: „Uderzaliśmy nie pięścią, ale rozczapierzonymi palcami, które tracą impet w nieskończonych przestrzeniach Wschodu”. Nie tylko von Weichs się tym martwi. Nie martwi się tym jedynie...

Nie dokończył.

Wszystko odbywało się jak należy i zarazem nie tak jak należy.

Mieli wrażenie, że jeszcze trochę, a przypadkowe niepowodzenia i niepomysłne incydenty ostatnich tygodni walki odślonią całkiem nowe, niewesołe, wręcz beznadziejne oblicze wojny.

Wywiad uparcie donosił o koncentracji radzieckich wojsk na północnym zachodzie. Lotnictwo nie było w stanie temu przeszkodzić.

Weichs nie miał na skrzydłach armii Paulusa rezerw niemieckich.

Usiłował więc dezinformować Rosjan, dyslokując niemieckie radiostacje w jednostkach rumuńskich. Ale przez to Rumuni nie stawali się Niemcami.

Kampania afrykańska, która początkowo wydawała się zwycięska, zawiodła; po błyskotliwej rozprawie z Anglikami we Francji, Norwegii, Grecji nie nastąpił podbój Wysp Brytyjskich; gigantyczne zwycięstwa na Wschodzie, tysięckilometrowy marsz ku Wołdze nie zakończył się ostateczną klęską wojsk radzieckich. Zawsze tak się wydaje - najważniejsze już za nami, a że sprawa nie została doprowadzona do końca, to tylko przypadkowe, drobne opóźnienie...

Co znaczy te kilkaset metrów, dzielących go od Wołgi, na wpół zrujnowane fabryki, puste, osmalone pudła domów, cóż to znaczy w porównaniu z olbrzymimi przestrzeniami, zdobytymi podczas letniej ofensywy... Ale i Rommla od egipskiej oazy dzieliło kilka kilometrów pustyni. Do pełnego triumfu we Francji też zabrakło paru godzin i paru kilometrów pod Dunkierką... Zawsze i wszędzie brakuje tych właśnie paru kilometrów do ostatecznego pobicia nieprzyjaciela, zawsze i wszędzie są puste skrzydła, olbrzymie przestrzenie za plecami zwycięskich wojsk, brak rezerw.

Minione lato! Tego, co przeżył w tamtych dniach, można z pewnością doświadczyć tylko raz w życiu. Poczul na własnej twarzy oddech Indii.

Gdyby lawina zmiatająca lasy, wyciskająca rzeki z koryta zdolna była odczuwać, z pewnością czułaby wtedy to samo co on.

W tych dniach przemknęło mu przez myśl, że niemieckie ucho przywykło do jego imienia - Friedrich, Fryderyk. Myśl była oczywiście niepoważna, żartobliwa, ale mimo wszystko powstała. Tymczasem właśnie w tych dniach zazgrzytało - pod podeszwą czy też w zębach jakieś złośliwe ziarnko piasku. W sztabie czuło się uroczyste, radosne napięcie. Paulus przyjmował raporty na piśmie od dowódców jednostek, meldunki ustne, radiowe, telefoniczne. Wydawało się, że to nie jest już ciężka robota bojowa, ale symboliczny wyraz triumfu Niemiec...

Paulus podniósł słuchawkę. „Panie generale-pułkowniku...” Po głosie poznał, kto mówi; ton wojennej codzienności zupełnie nie harmonizował z fanfarami w powietrzu i eterze.

Dowódca dywizji Wehler meldował, że na jego odcinku Rosjanie przeszli do natarcia, ich pododdziałowi piechoty w sile mniej więcej wzmocnionego batalionu udało się przebić na zachód i zająć dworzec stalingradzki.

Właśnie wtedy narodziło się u Paulusa dręczące uczucie, trwale kojarząc się z owym drobnym wydarzeniem.

Schmidt odczytał na głos projekt rozkazu bojowego; lekko wyprostował przy tym opuszczone ramiona i uniósł podbródek na znak, że spotkanie zachowuje oficjalny charakter, chociaż stosunki między nim a dowódcą były znakomite.

Nagle, zniżając głos, całkiem nie po wojskowemu, nie po generalsku, Paulus wypowiedział dziwne słowa, które zdezorientowały Schmidta: - Wierzę w nasz sukces. Tylko wie pan... Przecież walka w tym mieście jest absolutnie zbędna, bezsensowna.

- Trochę zaskakujące stwierdzenie jak na dowódcę wojsk w Stalingradzie - rzekł Schmidt.

- Sądzi pan, że zaskakujące? Stalingrad przestał istnieć jako węzeł komunikacyjny i ośrodek przemysłu ciężkiego. Co mamy tu teraz do roboty? Północno-wschodnie skrzydło armii kaukaskich można osłonić na linii Astrachań-Kałacz.

Stalingrad nie jest do tego potrzebny. Wierzę w powodzenie, Schmidt: zdobędziemy fabrykę traktorów. Ale przecież to nie zamknie naszego skrzydła. Von Weichs nie ma wątpliwości, że Rosjanie uderzą. Blef ich nie powstrzyma.

Schmidt powiedział: - W toku wydarzeń zmienia się ich sens, ale fiihrer nigdy się nie cofał, dopóki nie wykonał zadania do końca.

Paulusowi wydawało się, że nieszczęście polega właśnie na czymś przeciwnym: najbardziej błyskotliwe zwycięstwa nie dały owoców, ponieważ zabrakło uporu i stanowczości, by je doprowadzić do końca.

Podejrzewał też, że prawdziwa siła wodza przejawia się w odmowie wykonania rozkazów, które straciły sens.

Patrząc jednak w natarczywe i inteligentne oczy generała Schmidta, powiedział: - Nie my będziemy narzucali wolę wielkiemu strategowi.

Wziął ze stołu tekst rozkazu natarcia i podpisał go.

- Cztery egzemplarze, z uwzględnieniem wyjątkowej tajności.

## 14

Jednostka, do której Darieński przyjechał ze sztabu armii stepowej, stacjonowała na południowo-wschodnim skrzydle Frontu Stalingradzkiego, na bezwodnych nadkaspiskich piaskach.

Leżące nad jeziorami i rzekami stepy wydawały się teraz Darieńskiemu czymś w rodzaju ziemi obiecanej - tam rosła ostnica, gdzieniegdzie widać było drzewa, rżały konie.

Na pustynnej piaszczystej równinie rozlokowało się tysiące ludzi, przyzwyczajonych do wilgotnego powietrza, do rosy o świcie, do szelestu siana. Piasek siecze ich skórę, włazi do uszu, zgrzyta w kaszy i chlebie, piasek jest w soli i w zamku karabinu, w trybikach zegarka, w żołnierskich snach... Niełatwo tu ludzkiemu ciału, nozdrzom, krtani, łydkom. Ciało przypomina wóz, który wypadł z kolein i ze skrzypieniem wlecze się po bezdrożach.

Przez cały dzień Darieński wędrował po pozycjach artyleryjskich, rozmawiał z ludźmi, pisał, fotografował schematy, oglądał działa, magazyny z amunicją. Pod wieczór był wyczerpany, w głowie mu szumiało, bolały go nogi, nieprzywykłe do chodzenia po piaszczystej, sypkiej glebie.

Darieński dawno zauważył, że w dniach odwrotu generałowie zwracają szczególną uwagę na potrzeby podwładnych; dowódcy i członkowie rad wojennych stają się raptem niezwykle samokrytyczni, skromni i pełni sceptycyzmu.

Nigdy w wojsku nie spotyka się tylu mądrych, rozumiejących wszystko ludzi, co w czasie sromotnych odwrotów, przewagi nieprzyjaciela i gniewu naczelnego dowództwa, które szuka winnych kłęski.

Ale tutaj, wśród piachów, ludźmi władała senna obojętność. Dowódcy sztabowi i liniowi uwierzyli jakby, że nic na tym świecie nie musi ich interesować, bo czy jutro, czy pojutrze, czy też za rok - i tak będzie tu tylko piach.

Darieńskiego na nocleg zaprosił do siebie szef sztabu pułku artylerii,

podpułkownik Bowa. Zupełnie nie kojarzył się z bohaterem opowieści o królewiczu Bowie: był przygarbiony, łysy i źle słyszał na jedno ucho. Kiedyś został wezwany do sztabu artylerii frontu i wszystkich zdumiał nadzwyczajną pamięcią. Wydawało się, że w jego łysej głowie, osadzonej na wąskich, przygarbionych barkach, nie istnieje nic poza numerami baterii i dywizjonów, nazwami miejscowości, numerami wzgórz i nazwiskami dowódców.

Bowa mieszkał w chatce z desek ze ścianami wylepionymi gliną i nawozem; podłoga była usłana podartymi płachtami papy. Lepianka niczym nie różniła się od siedzib innych dowódców na tej piaszczystej równinie.

- A, witam! - powiedział Bowa i z rozmachem uściśnął rękę Darieńskiemu. - Nieźle, co? - Pokazał na ściany. - Tutaj nic tylko zimować w tej psiej budzie, wysmarowanej gównem.

- Fakt, lokal taki sobie! - potwierdził Darieński, zdziwiony, że spokojny Bowa nagle zachowuje się całkiem inaczej.

Usadził Darieńskiego na skrzyni po amerykańskich konserwach i nalał mu wódki do mętnej, rżniętej szklanki ze śladami zaschniętego proszku do zębów; podsunął też zielonego marynowanego pomidora, leżącego na mokrej gazecie.

- Proszę, towarzyszu podpułkowniku, wino i owoce! Darieński z obawą, jak każdy niepijący, łyknął trochę wódki, odstawił szklankę i zaczął wypytywać Bowę o sprawy wojskowe. Ale ten unikał służbowej rozmowy.

- Oj, towarzyszu podpułkowniku - powiedział - w głowie mam tylko służbę, nie traciłem na nic czasu... A kiedyśmy stali na Ukrainie, nad Kubaniem, to takie baby były, Boże mój... I dawały chętnie, wystarczyło mrugnąć! A ja, głupi, tylko odcisków na tyłku się dorobiłem w wydziale operacyjnym i dopiero tu, w tych piachach, popukałem się w głowę! Darieński, początkowo zły, że Bowa nie ma ochoty rozmawiać o średnim zagęszczeniu wojska na kilometr frontu czy też o wyższości mózdzierzy nad artylerią w warunkach pustyni piaszczystej, mimo wszystko zainteresował się nowym tematem rozmowy.

- No pewnie - przytaknął - na Ukrainie kobiety są szczególnie ładne. W czterdziestym pierwszym, kiedy sztab kwaterował w Kijowie, spotykałem się z jedną Ukrainką, żoną pracownika prokuratury.

Śliczna! Podniósł się, uniósł rękę, dotknął palcami niskiego stropu i dodał: - Co do Kubania, też nie będę się z wami sprzeczał. Kubań można w tych sprawach postawić na jednym z pierwszych miejsc, procent pięknych kobiet jest tam niezwykle wysoki.

Słowa Darieńskiego silnie oddziaływały na Bowę.

Zaklął i płaczącym głosem zawołał: - A teraz co - Kałmuczki! - Nie mówcie! - przerwał mu Darieński i dosyć składnie wygłosił mowę pochwalną na cześć smagłych kobiet o wydatnych kościach policzkowych; kobiet pachnących piotunem i dymem. Przypomniał sobie Ałłę Siergiejewnę ze sztabu armii stepowej i zakończył przemówienie: - No i w ogóle nie ma pan racji, kobiety są wszędzie. Na pustyni nie ma wody, to prawda, ale panie - owszem, są.

Odpowiedzi jednak nie było. Wtedy Darieński zauważył, że Bowa śpi, i dopiero



w tym momencie zorientował się, że jego gospodarz był kompletnie pijany.

Bowa spał i chrapał, co przypominało rżenie umierającego; jego głowa zwisała z łóżka. Z tą wyjątkową cierpliwością i dobrocią, z jaką w Rosji mężczyzna traktuje pijanego, Darieński podłożył Bowie pod głowę poduszkę, podścielił pod nogi gazetę, otarł jego zaślinione usta i zaczął się rozglądać, gdzie by tu się samemu ulokować.

Rozpostarł szynel gospodarza na podłodze, a na nim położył swój; pod głowę podłożył swoją pękatą torbę polową, która służyła mu w delegacjach i jako kancelaria, i magazyn żywności, i nesesor do przyborów toaletowych.

Wyszedł na drogę, zaczerpnął zimnego nocnego powietrza i aż westchnął, kiedy zobaczył nieziemski płomień na czarnym azjatyckim niebie; załatwił małą potrzebę, ciągle popatrując na gwiazdy, pomyślał: „Tak, kosmos” - i poszedł spać.

Położył się na szynelu gospodarza, przykrył się swoim i zamiast zamknąć oczy, szeroko je otworzył, bo naszała go niewesoła refleksja.

Cóż za beznadziejne ubóstwo go otacza! Leży na podłodze, patrzy na resztki marynowanych pomidorów, na tekturową walizkę, w której ma kusy przydzielony ręcznik z dużą czarną pieczęcią, pomięte kołnierzyki, pustą kaburę, pękniętą mydelniczkę.

Chatę w Wierchnie-Pogromnym, gdzie nocował jesienią, wspomina dzisiaj jako bogatą. A za rok ta dzisiejsza lepianka wyda mu się luksusem w jakiejś norze, gdzie nie będzie ani brzytwy, ani walizki, ani nawet podartych onuc.

W ciągu tych miesięcy, które przepracował w sztabie artylerii, w jego duszy zaszły wielkie zmiany. Chęć do pracy, która była potrzebą równie potężną jak jedzenie, została zaspokojona. Już nie czuł się szczęśliwy tylko dlatego, że pracuje, tak jak człowiek stale syty nie czuje się szczęśliwy z tego powodu.

Darieński pracował rzetelnie, szefowie bardzo go cenili. Początkowo się cieszył, bo nie przywykł do tego, by uważano go za potrzebnego, wręcz niezastąpionego. Przez długie lata było wręcz przeciwnie.

Nie zastanawiał się, dlaczego w parze z poczuciem niewątpliwej wyższości nad kolegami z pracy nie idzie wyrozumiałość wobec nich, cecha ludzi naprawdę silnych. Po prostu nie był silny.

Często denerwował się, krzyczał i wymyślał. Potem cierpięciznym wzrokiem patrzył na tych, których obraził, ale nigdy nie prosił ich o wybaczenie. Obrażano się na niego, ale nie uważano, że jest zły. W sztabie Frontu Stalingradzkiego traktowano go chyba jeszcze lepiej, niż w swoim czasie traktowano Nowikowa w sztabie Frontu Południowo-Zachodniego. Mówiono, że wysoko postawione osoby włączają całe strony jego raportów do swoich raportów dla osób postawionych jeszcze wyżej, w Moskwie. Okazało się, że w trudnej chwili i jego umysł, i praca były ważne i pożyteczne. Tymczasem pięć lat przed wojną odeszła od niego żona, bo uznała go za wroga ludu, oszusta, który ukrył przed nią swoje nędzne, podwójne oblicze. Często nie dostawał pracy z powodu złej ankiety personalnej - po mieczu i po kądzieli. Początkowo się złościł, kiedy widział, że miejsce, którego mu odmówiono, zajął człowiek wyjątkowo głupi albo prymitywny. Potem się z tym pogodził i zaczął sobie wmawiać, że nie jest

godny tego, by mu powierzyć odpowiedzialną pracę operacyjną. Po obozie całkiem już na serio uważał się za upośledzonego.

A tu wybuchła straszliwa wojna i okazało się, że wcale tak nie jest.

Darieński naciągnął płaszcz na ramiona, a że od drzwi ciągnęło chłodem, od razu poczuł, że mu zimno w nogi. Myślał o tym, że teraz, kiedy jego wiedza i zdolności okazały się potrzebne, leżeć musi na podłodze w jakimś kurniku, słuchając przenikliwego, ohydneho krzyku wielbłądów i marząc nie o kurortach i daczach, ale o parze czystych kałesonów i możliwości umycia się kawałkiem szarego mydła.

Owszem, szczylił się tym, że jego awans nie był związany z żadnymi przywilejami. Równocześnie jednak to go irytowało.

Pewność siebie i dobre mniemanie o sobie łączyły się w jego życiu z nieustannym lękiem. Miał wewnętrzne przekonanie, że żadne dobra materialne mu się nie należą.

Od dzieciństwa przywykł do nieustannej niepewności, do tego, że nie ma pieniędzy, że nosi starą i zniszczoną odzież.

Nawet teraz, w lepszych czasach, to uczucie go nie opuszczało.

Bał się, że wejdzie do stołówki rady wojennej, a bufetowa pouczy go: „Wam, towarzyszu podpułkowniku, przysługuje wyżywienie w stołówce Wojentorgu”. A potem na naradzie jakiś generał puści oko i zażartuje: „No, jak tam, podpułkowniku, gęsty dają barszcz w stołówce rady wojennej?” Zawsze zdumiewała go pewność siebie, z jaką nie tylko generałowie, ale nawet reporterzy z gazet jedli, pili, żądali benzyny, 397 umundurowania, papierosów, tam gdzie akurat nic takiego im się nie należało.

Tak mijają życie - jego ojciec przez lata nie mógł dostać pracy; jedyną żywicielką rodziny była matka, która pracowała jako stenografka.

W środku nocy Bowa przestał chrapać; wzbudziło to niepokój Darieńskiego, który wsłuchał się w ciszę, jaka zaległa nad łóżkiem tamtego.

Bowa spytał nagle: - Nie śpicie, towarzyszu podpułkowniku? - Nie, jakoś nie mogę - odpowiedział Darieński.

- Wybaczcie mi, że nie ulokowałem was lepiej, upiłem się. A teraz głowę mam trzeźwą, jakbym nic nie pił. Rozumiecie, leżę i myślę: Dlaczego trafiliśmy do tej okropnej dziury? Kto nam się tak przysłużył? - No, Niemcy, a któż by inny? - Przenieście się na łóżko, ja położę się na podłodze - zaproponował Bowa.

- Ależ co wy, mnie i tu dobrze.

- To jakoś nie wypada, kaukaski obyczaj nie pozwala, żeby gospodarz spał w łóżku, a gość na podłodze.

- Nie szkodzi, nie jesteśmy z Kaukazu.

- Ale prawie na Kaukazie, przedgórze kaukaskie tuż-tuż. Niemcy, mówicie, się przysłużyli, ale, wiecie, nie tylko Niemcy, myśmy sobie też pomogli.

Bowa najwyraźniej uniósł się, bo łóżko mocno zaskrzypiało.

- Taaak - dodał przeciągle.

- Tak, tak - dorzucił z podłogi Darieński.

Bowa skierował rozmowę na szczególny, niezwykły tor; obaj więc milczeli, zastanawiając się, czy należy w ogóle zaczynać taką rozmowę z kimś niezbyt dobrze znanym. Widocznie te rozmyślenia doprowadziły obu do wniosku, że nie należy.

Gospodarz zapalił papierosa.

Kiedy zapałka błysnęła płomykiem, Darieński zobaczył twarz Bowa, która była jakaś zmięta i ponura, obca.

Darieński też zapalił.

W świetle zapałki Bowa zobaczył twarz gościa, który uniósł się na łokciu; wydawała się zimna i nieżyczliwa, obca.

Nie wiedzieć czemu właśnie wtedy zaczęli rozmowę, której zaczynać nie należało.

- Tak - powtórzył Bowa, ale tym razem nie przeciągle, lecz krótko i ostro - to biurokracja i biurokraci pomogli nam tutaj trafić.

- Biurokracja - rzekł Darieński - to paskudna rzecz. Mój kierowca powiedział: „Przed wojną w kolchozie była taka biurokracja, że bez pół litra nikt nie wydał człowiekowi zaświadczenia”.

- Żartujecie sobie, ale nie ma z czego - przerwał mu Bowa. - Biurokracja to nie żarty, nawet w czasie pokoju doprowadzała ludzi diabli wiedzą do czego. Ale na wojnie może być jeszcze gorsza. W lotnictwie był taki wypadek: pilot wyskoczył z płonącej maszyny, strącił go morderca; człowiek ocalał, ale spodnie miał spalone. I nie wydają mu nowych! Po prostu skandal, zastępca do spraw gospodarczych odmawia: okres użytkowania jeszcze się nie skończył. I nie ma gadania! Trzy dni facet siedział bez portek, dopóki sprawa nie dotarła do wyższego dowódcy.

- Wybaczcie, to akurat głupstwo - odezwał się Darieński. - Że gdzieś tam jakiś idiota zwleka z wydaniem spodni, to jeszcze nie powód cofania się od Brześcia do pustyni nadkaspjskiej. To tylko mordęga z urzędasami.

Bowa stęknął smętnie i powiedział: - A czy ja mówię, że to przez portki? Weźcie taki przypadek: pododdział piechoty dostał się w okrążenie, ludzie zaczęli głodować. Jednostka lotnicza dostaje rozkaz: Zrzucić im jedzenie na spadochronach.

A intendentura odmawia wydania żywności - na specyfikacji musi być podpis, a jak oni się tam na dole podpiszą, jeśli worki będą zrzucane z samolotów? Intendent uparł się i nie wydaje. Złamał się dopiero, kiedy dostał rozkaz.

Darieński uśmiechnął się.

- To śmieszne, ale znowu tylko drobiazg. Trafił się nadgorliwiec. Na pierwszej linii biurokracja może okropnie dać się we znaki. Znacnie rozkaz: „Ani kroku w tył”? No więc tłucze Niemiec ludzi setkami, chociaż wystarczyłoby wycofać się za wzgórze, wtedy i ludzie byliby bezpieczni, i sprzęt by nie ucierpiał, a pod względem taktycznym nic by się nie zmieniło. Ale obowiązuje rozkaz: „Ani kroku w tył”, no to trzymają ludzi i sprzęt pod ogniem i tracą wszystko.

- O właśnie, święte słowa - przytaknął Bowa. - W czterdziestym pierwszym

przysłali nam z Moskwy dwóch pułkowników, właśnie żeby sprawdzili, jak wykonywany jest ten rozkaz: „Ani kroku w tył”. Tylko że nie mieli samochodu, a myśmy wtedy zwiewali - przez trzy doby od Homla ze dwieście kilometrów. Wziąłem pułkowników do siebie na ciężarówkę, żeby ich Niemcy nie złapali, a ci trzęsą się na skrzyni i błagają mnie: „Dajcie nam materiały na temat wdrażania rozkazu «Ani kroku w tył»...” Sprawozdawczość, i rób, co chcesz.

Darieński nabrał powietrza w pierś, jakby zamierzał głębiej zanurkować, i widocznie zanurkował, mówiąc: - Biurokracja jest straszna, kiedy jeden żołnierz z cekaemem sam broni wzgórza przed siedemdziesięcioma Niemcami, powstrzymuje natarcie, ginie, wojsko oddaje mu cześć. Tymczasem jego żonę, gruźliczkę, wyrzucają z mieszkania, a przewodniczący rady rejonowej wrzeszczy: „Won mi stąd, chamko!” Biurokracja jest wtedy, wiecie, gdy człowiekowi każą wypełnić dwadzieścia cztery ankiety, aż w końcu na zebraniu sam się przyzna: „Towarzysze, nie jestem waszym człowiekiem”. Dopiero gdyby powiedział: „Tak, tak, państwo jest robotniczo-chłopskie, a ja ze szlachty, tato i mama byli pasożytami, wyrzućcie mnie na zbity łeb”, to byłoby w porządku.

- Ja w tym akurat nie widzę biurokracji - zaprotestował Bowa. - Faktycznie tak jest, państwo robotniczo-chłopskie i rządzą nim robotnicy i chłopci. Co w tym złego? To sprawiedliwe. Państwo burżuazyjne nie ufa przecież biedocie.

Darieński zmieszał się, bo rozmówca widać myślał całkiem inaczej niż on.

Bowa zapalił zapałkę, ale tylko po to, by oświetlić twarz Darieńskiego.

Ten zmrużył oczy z uczuciem, jakiego na polu walki doznają żołnierze, kiedy oświetli ich nieprzyjacielski reflektor.

A Bowa powiedział: - Ja tam jestem robotniczego pochodzenia, ojciec był robotnikiem, dziadek - robotnikiem. Ankietę mam czystą jak łza, a przed wojną też się nie nadawałem.

- Dlaczegoście się nie nadawali? - zapytał Darieński.

- Nie widzę biurokracji w tym, że państwo robotniczo-chłopskie traktuje tych ze szlachty ostrożnie. Ale dlaczego mnie, robotnikowi, dali przed wojną po łbie? Nie wiedziałem potem, czy mam zamiatać ulice, czy też przebierać kartofle w składnicach warzyw. A wypowiedziałem się akurat z klasowego punktu widzenia: skrytykowałem przełożonych, bo już zanadto porośli w piórka. No i dostałem za swoje. Według mnie 400 to właśnie tutaj tkwi najważniejszy korzeń biurokracji: kiedy robotnik cierpi we własnym państwie.

Darieński od razu zrozumiał, że w tych słowach rozmówca dotknął czegoś ważnego. Ale chociaż zawsze unikał i mówienia o tym, co go do głębi oburza, i słuchania zwierzeń innych, teraz poczuł niesamowite szczęście: mógł szczerze, bez obaw wypowiadać się, dyskutować o tym, co go szczególnie trapi, niepokoi jego umysł i o czym właśnie dlatego, że trapi i niepokoi, z nikim jeszcze nie rozmawiał.

Tutaj jednak, na podłodze w lepiance, kiedy dyskutował nocą ze skromnym oficerem, który upił się i wytrzeźwiał, kiedy czuł obecność ludzi, którzy przeszli szlak od Ukrainy Zachodniej do tej pustyni, wszystko wydawało się inne. Nareszcie doszło do tego, co zwyczajne, naturalne, upragnione i potrzebne, ale dotąd nieosiągalne,

niestychane, nie do pomyślenia - do szczerzej rozmowy człowieka z człowiekiem! - W jednej sprawie się mylicie - powiedział Darieński. - Że burżuazja nie wpuszcza do senatu biedoty, to prawda, ale jeśli oberwaniec zostanie milionerem, to ma wstęp i do senatu. Fordowie wyszli z robotników.

U nas na stanowiska kierownicze nie wpuszcza się burżuazji i obszarników, co jest słuszne. Ale jeśli stawia się kainowe piętno na człowieku pracy tylko dlatego, że jego ojciec czy dziad byli kułakami albo popami, to całkiem inna sprawa. To nie jest klasowy punkt widzenia. A myślicie, że w czasie swojej lagrowej poniewierki nie spotykałem robotników z zakładów Putiłowa czy górników z Doniecka? Jeszcze ilu! Nasza biurokracja jest straszna, kiedy człowiek sobie uświadomi, że to nie narodził na ciele państwa; narodził można zoperować, ale przeraża myśl, że biurokracja to właśnie państwo. A w czasie wojny nikt nie chce umierać za szefa działu kadr. Napisać na podaniu: „załatwić odmownie” albo wyrzucić z gabinetu wdowę po żołnierzu potrafi byle fagas.

Ale żeby wyrzucić z kraju Niemców, trzeba być silnym, prawdziwym człowiekiem.

- O, właśnie - zgodził się Bowa.

- Nie czuję żalu. Kłaniam się wszystkim nisko, do ziemi. Dzięki! Jestem szczęśliwy! Złe jest co innego: po to, żebym mógł być szczęśliwy, żebym mógł oddać Rosji wszystkie siły, musiał nadejść dopiero taki straszny czas. Ale cóż, Bóg z nim, z tym moim szczęściem - gwizdzę na nie.

Darieński czuł, że mimo wszystko nie dotarł do sedna tej dyskusji, do sedna sprawy, która mogłaby oświetlić życie zwyczajnym, jasnym światłem. Myślał jednak i mówił o rzeczach, o których zazwyczaj nie myślał i nie mówił, i to napawało go radością. Powiedział Bowie: - Wiecie co? Nigdy w życiu, cokolwiek by się zdarzyło, nie będę żałował tej nocnej rozmowy z wami.

## 15

Michaił Sidorowicz przesiedział ponad trzy tygodnie w rewirowym izolatorze. Dawano mu jeść przyzwoicie; dwukrotnie badał go esesmański lekarz; zaordynował mu glukozę.

Pierwsze godziny więzienia Michaił Sidorowicz spędził, czekając na przesłuchanie. Był na siebie wściekły: po co rozmawiał z Ikonnikowem? Oczywiście, ten obłąkaniec go wydał, podsunął mu przed rewizją kompromitujące papiery.

Mijały jednak dni, a Mostowskiego nie wzywano. Obmyślał więc tematy dyskusji politycznych z więźniami, zastanawiał się, którego z nich można wciągnąć do współpracy. Nocami, nie mogąc zasnąć, układał teksty ulotek, przygotowywał rozmówki obozowe, żeby ułatwić kontakt między więźniami różnych narodowości.

Przypominał sobie stare zasady konspiracji, w wypadku prowokacji wykluczające możliwość ogólnej wsypy.

Michaił Sidorowicz miał ochotę wypytać Jerszowa i Osipowa o pierwsze kroki organizacji; był pewien, że zdoła przezwyćczyć uprzedzenia Osipowa w stosunku do Jerszowa.

Żałosny wydawał mu się Czerniecowa, który nienawidził bolszewizmu i równocześnie pragnął zwycięstwa Armii Czerwonej. Kiedy Mostowski myślał o czekającym go przesłuchaniu, był prawie spokojny.

W nocy dostał ataku serca. Leżał oparty głową o ścianę, ogarnięty straszliwym smutkiem, dopadającym tych, którzy umierają w więzieniu. Z bólu na chwilę stracił przytomność. Przyszedł w końcu do siebie, ból osłabł; pierś, twarz i dłonie pokryły się potem. Myśli się rozjaśniły, ale ich jasność była tylko pozorna.

Rozmowa z włoskim księdzem o złu tego świata złączyła się w jego pamięci z uczuciem szczęścia, jakiego doświadczył chłopiec, kiedy nagle lunął deszcz, a on wbiegł do pokoju, w którym matka coś szyła; ze wspomnieniem żony, która przyjechała do niego na zesłanie nad Jenisejem, jej mokrych od łez, uszczęśliwionych oczu; z bladością twarzy Dzierżyńskiego, którego na zjeździe partii zapytał o los sympatycznego młodego eserowca. „Rozstrzelany” - rzekł Dzierżyński. Smutne oczy majora Kiriłowa... Ciągnięty na sankach, okryty prześcieradłem trup - to przyjaciel, który w dniach blokady Leningradu nie przyjął od niego pomocy.

Chłopięca rozwichrzona, pełna marzeń głowa - i ta duża, łysa czaszka, przyciśnięta do chropowatych obozowych desek.

Minęło jeszcze trochę czasu i to, co dalekie, znowu zaczęło się oddalać, tracić kształty i barwy, jakby powoli pogrążało się w zimnej wodzie. Mostowski usnął, żeby w mroku nad ranem znowu usłyszeć wycie syren i powitać nowy dzień.

W dzień zaprowadzono Michaiła Sidorowicza do łaźni. Wzdychając z niezadowolaniem, oglądał swoje chude ręce, zapadłą pierś.

„Tak, starość atakuje” - myślał.

Kiedy konwojent, ugniatając w palcach papierosa, wyszedł za drzwi, dziobaty więzień o wąskich ramionach, który szorował szczotką cementową podłogę, odezwał się do Mostowskiego: - Jerszow przekazuje wam komunikat. W rejonie Stalingradu nasi odpierają wszystkie ataki fryców. Major mówi jeszcze, że wszystko w porządku. Polecił wam napisać ulotkę i oddać podczas najbliższej kąpieli.

Mostowski chciał powiedzieć, że nie ma ołówka i papieru, ale wtedy akurat wszedł strażnik.

Ubierając się, wymacał w kieszeni paczkę. Było w niej dziesięć kawałków cukru, kawałek słoniny, zawinięty w szmatkę, kartka czystego papieru i ogryzek ołówka.

Uczucie szczęścia ogarnęło Mostowskiego. Czy mógł sobie życzyć czegoś więcej? Nie skończy życia w nędznym strachu o sklerozę, żołądek, skurcze serca.

Przycisnął do piersi te kawałki cukru i ołówek.

W nocy podoficer SS wyprowadził go z rewiru i poprowadził obozową ulicą. Zimny wiatr chłostał twarz Michaiła Sidorowicza, który obejrzał się na uśpione baraki, mówiąc w duchu: „Nie przejmujcie się, nerwy nie zawiodą towarzysza Mostowskiego; śpijcie, chłopcy, spokojnie”.

Weszli do gmachu zarządu obozu. Tutaj już nie pachniało amoniakiem, w zimnym powietrzu czuć było tytoń. Mostowski spostrzegł na podłodze spory niedopałek i miał ochotę go podnieść.

Weszli schodami na drugie piętro. Konwojent kazał Mostowskiemu wytrzeć nogi o wycieraczkę i sam długo szurał podszewami. Zmęczony Mostowski dyszał ciężko, starając się uspokoić oddech.

Ruszyli chodnikiem, którym wysłany był korytarz.

Lampy w kształcie niedużych przezroczystych tulipanów dawały przyjemne, spokojne światło. Mostowski i konwojent minęli polerowane drzwi z niedużą tabliczką „Komendant”, zatrzymali się natomiast przed takimi samymi drzwiami, na których widniało nazwisko: „Sturmbannfuhrer Liess”.

Mostowski często je słyszał - Liess był przedstawicielem Himmlera przy zarządzie obozu. Mostowskiego śmieszyła irytacja generała Gudzia, że Osipowa przesłuchiwał sam Liess, jego zaś - tylko jeden z pomocników sturmbannfuhrera. Gudź uznał to za oznakę lekceważenia dowództwa liniowego.

Osipow opowiadał, że Liess przesłuchiwał go bez tłumacza, będąc bowiem Niemcem z Rygi, znał rosyjski.

Na korytarz wyszedł młody oficer, rzucił kilka słów konwojentowi i wpuścił Michaiła Sidorowicza do gabinetu, zostawiając drzwi otwarte.

Gabinet był pusty. Dywan na podłodze, kwiaty w wazonie, na ścianie obraz: skraj lasu, wiejskie domy kryte czerwoną dachówką.

Mostowski pomyślał, że tak mógłby wyglądać gabinet dyrektora rzeźni - w zakładzie rzeźnie umierających zwierząt, parujące wnętrzności, umazani krwią ludzie, a u dyrektora spokój, dywany, i tylko czarne aparaty telefoniczne na biurku świadczą o związku rzeźni z tym gabinetem.

Wróg! Cóż za proste i jasne słowo. Znowu przypomniał się Mostowskiemu Czerniecowa - coś za żałosny los w epoce „burzy i naporu”.

Za to w nicianych rękawiczkach. Mostowski spojrzał nagle na swoje dłonie i palce.

W głębi gabinetu otworzyły się drzwi. A te prowadzące na korytarz w tej samej chwili zaskrzypiały - widocznie dyżurny zamknął je, widząc, że Liess wszedł do gabinetu.

Mostowski stał skrzywiony i czekał.

- Dzień dobry - rzekł cicho niewysoki człowiek z esesmańskim emblematem na rękawie szarego munduru.

W twarzy Liessa nie było nic odpychającego i dlatego jej widok wydał się Michaiłowi Sidorowiczowi szczególnie straszny - garbaty nos, uważne ciemnoszare oczy, duże czoło, blade chude policzki, nadające temu obliczu piętno ascetycznej wręcz pracowitości.

Liess odczekał, aż Michaił Sidorowicz się wykaszle, i oznajmił: - Chciałbym z panem porozmawiać.

- A ja nie chcę rozmawiać z panem - odpowiedział Mostowski i zerknął na odległy kąt, skąd winni się wyłonić pomocnicy Liessa, katowski proletariat, żeby dać staruszkowi nauczki.

- Całkowicie pana rozumiem - odparł Liess. - Niech pan siada.

Wskazał Mostowskiemu fotel, sam usiadł obok.

Mówił po rosyjsku jakimś bezcielesnym, wystygłym niczym popiół językiem, jakim pisze się broszury popularnonaukowe.

- Czy pan się źle czuje? Michaił Sidorowicz wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Tak, tak, wiem. Wysłałem do pana lekarza, mówił mi. Niepokoilem pana po nocy. Ale bardzo chciałem z panem porozmawiać.

„No pewnie” - pomyślał Michaił Sidorowicz i odparł: - Zostałem wezwany na przesłuchanie. A rozmawiać z panem nie mam o czym.

- Dlaczego? - spytał Liess. - Patrzy pan na mój mundur. A przecież nie urodziłem się w mundurze. Wódz, partia wydają rozkaz, a ludzie idą, bo są żołnierzami partii. Ja zawsze byłem teoretykiem, interesuje mnie filozofia, historia, ale jestem członkiem partii. Czyżby u was każdy pracownik NKWD kochał Łubiankę? Mostowski obserwował Liessa i przyszło mu do głowy, że tę bladą twarz o wysokim czole warto umieścić na samym dole tablicy antropologicznej, a linia ewolucyjna od niej będzie szła w górę i dojdzie do porośniętego sierścią neandertalczyka.

- Gdyby Komitet Centralny powierzył panu pracę w Czeka, czyż mógłby pan odmówić? Odłożyłby pan Hegla i został czekistą. My też odłożyliśmy Hegla.

Michaił Sidorowicz zerknął na mówiącego - dziwnie bluźnierczo brzmiało w tym otoczeniu nazwisko Hegla, skalane nieczystymi ustami... Gdyby w tramwaju podszedł do niego bandzior i zaczął 405 rozmowę, czy słuchałby go? Nie, obserwowałby jego ręce, bo tylko patrzeć, jak błysnie w nich brzytwa i chłaśnie go po oczach.

A Liess podniósł dłonie, popatrzył na nie i rzekł: - Nasze ręce, tak samo jak wasze, lubią wielkie dzieła, nie boją się brudu.

Michaił Sidorowicz skrzywił się; ten ruch i słowa, echo jego własnych, były dlań wprost nieznośne.

Liess zaczął mówić szybko, z ożywieniem, tak jakby już kiedyś spotkał Mostowskiego i teraz cieszył się, że może dokończyć przerwana rozmowę.

- Wystarczy dwadzieścia godzin lotu, a rozsiądzie się pan w fotelu w swoim gabinecie w radzieckim mieście Magadan. U nas też jest pan u siebie w domu, ale ma pan pecha. Bardzo mnie boli, że wasza propaganda zaczyna do spółki z propagandą plutokratów krytykować naszą partyjną praworządność.

Pokręcił głową. Znowu posypały się oszałamiające, niespodziewane, straszne i nonsensowne słowa: - Kiedy spoglądamy sobie nawzajem w oczy, patrzymy nie tylko na nienawistną twarz, patrzymy w lustro. W tym zawiera się tragedia epoki. Czyżby pan nie poznawał w nas siebie, swojej woli? Czyż dla was świat nie jest waszą wolą, czyżby można było wami zachwiać, powstrzymać was? Liess zbliżył twarz do twarzy Mostowskiego.

- Czy pan mnie rozumie? Nie władam dobrze rosyjskim, ale bardzo chciałbym, żeby pan mnie zrozumiał. Wydaje się wam, że nas nienawidzicie, ale to tylko złudzenie: nienawidzicie w nas samych siebie. To straszne, prawda? Rozumie pan?



Michał Sidorowicz postanowił, że będzie milczał. Liess nie wciągnie go w rozmowę.

Przez chwilę jednak miał wrażenie, że człowiek patrzący mu w oczy nie zamierza go oszukać, ale czyni szczerze wysiłki, dobierając słowa. Jakby się skarżył, prosił, żeby pomóc mu zrozumieć to, co go dręczy.

Michał Sidorowicz poczuł się bardzo źle. Miał uczucie, że ktoś ukłuł go igłą w serce.

- Rozumie pan, rozumie pan? - powtarzał gorączkowo Liess i już nie widział Mostowskiego, taki był rozemocjonowany. - Zadajemy cios 406 waszej armii, ale uderzamy w siebie. Nasze czołgi naruszyły nie tylko waszą granicę, ale i naszą, nasze czołgi miazdzą gąsienicami niemiecki narodowy socjalizm. To jakiś koszmarny sen, w którym popełniamy samobójstwo. To może się skończyć dla nas tragicznie, rozumie pan? Jeśli zwyciężymy! My, zwycięzcy, zostaniemy bez was, sami przeciwko obcemu światu, który nas nienawidzi.

Słowom tego człowieka nietrudno było zaprzeczyć. Liess jeszcze bardziej przybliżył twarz do twarzy Mostowskiego. Istniało jednak coś obrzydliwszego i niebezpieczniejszego od słów prowokatora z SS. To coś czasem nieśmiało, czasem bezczelnie lęgå się, by trawić mózg i duszę Mostowskiego. To były ohydne wątpliwości, które Mostowski odkrywał nie w cudzych słowach, ale w sobie, we własnym sercu.

Człowiek boi się choroby, złośliwego nowotworu, nie chodzi do lekarza, stara się nie zauważać swoich niedomagań, unika rozmów z bliskimi o chorobach. A tymczasem mówią mu: „Proszę powiedzieć, miewa pan na pewno takie a takie bóle, zwykle rankami, zazwyczaj po tym, jak... aha, aha...” - Rozumie mnie pan, nauczycielu? - spytał Liess. - Pewien Niemiec, dobrze zna pan jego mądre dzieło, nazwał tragedią całego życia Napoleona to, że wyraził duszę Anglii, ale właśnie w Anglii miał śmiertelnego wroga.

„Niechby już od razu zaczęli bić - pomyślał Michał Sidorowicz i uświadomił sobie: - Ach, on mówi o Spenglerze”.

Liess zapalił i podsunął papierośnicę Mostowskiemu.

Michał Sidorowicz odmówił: - Nie chcę.

Spokojniej się poczuł na myśl, że wszyscy żandarmi świata, i ci, którzy przesłuchiwali go czterdzieści lat temu, i ten, który mówił o Heglu i Spenglerze, korzystają z jednego idiotycznego chwytu częstują więźnia papierosami. Tak, właściwie wszystko to wynik rozstroju nerwowego, zaskoczenia. Cekał, że go będą bili, a tu tymczasem - idiotyczna, wstrętna rozmowa. Ale przecież i niektórzy carscy żandarmi znali się na polityce; byli wśród nich ludzie naprawdę wykształceni, jeden nawet studiował Kapitał. Ciekawe, czy żandarmowi studiującemu Marksa przemykała czasem przez głowę myśl: A może ten Marks ma rację? Co wtedy czuł? Wstręt, strach przed zwątpieniem? Tak czy owak, z pewnością nie przechodził na stronę rewolucji.

Zagłuszał swoje wątpliwości, pozostawał żandarmem... A ja? Ja przecież też zagłuszam wątpliwości. No i też pozostanę rewolucjonistą.

Liess nie zwrócił uwagi na to, że Mostowski odmówił wzięcia papierosa, i mruzczał: - Tak, tak, proszę, słusznie, to bardzo dobry tytoń. - Zamknął papierośnicę i

na całego już gmatwał sprawę. - Dlaczego pana tak dziwi to, co mówię? Spodziewał się pan czegoś innego? A u was na Łubiance czyżby nie było ludzi wykształconych? Takich, którzy umieliby porozmawiać z akademikiem Pawłowem, z Oldenburgiem? Ale oni mają cel.

A ja nie mam ukrytego celu. Daję panu słowo honoru. Dręczą mnie te same wątpliwości, co pana.

Uśmiechnął się i dodał: - Słowo honoru gestapowca, a to nie żarty.

Michaił Sidorowicz powtarzał w duchu: „Milczeć, najważniejsze to milczeć, nie dać się wciągnąć w rozmowę, nie zaprzeczać”.

Liess mówił nadal i znowu wydawało się, że zapomniał o Mostowskim.

- Dwa bieguny! Oczywiście, tak! Gdyby to nie było najszczerzą prawdą, nie toczyłaby się dzisiaj ta okropna wojna. Jesteśmy waszymi śmiertelnymi wrogami, tak, tak. Ale nasze zwycięstwo to wasze zwycięstwo.

Rozumie pan? A jeśli zwyciężycie wy, to my i zginiemy, i będziemy żyli w waszym zwycięstwie. Taki paradoks: przegrywając wojnę, wygramy ją, będziemy się rozwijali w innej postaci, ale istota pozostanie ta sama.

Dlaczego ten wszechmogący Liess, zamiast obejrzeć zdobyczny film, pić wódkę, pisać raport dla Himmlera, czytać książkę o hodowli kwiatów lub list od córki, zabawić się z młodymi dziewczętami, wybranymi z kolejnego transportu, albo zażyć lekarstwo przyspieszające przemianę materii i położyć się spać w swojej przestronnej sypialni, wezwał do siebie nocą starego, śmierdzącego barakiem rosyjskiego bolszewika? Co on zamysła? Dlaczego ukrywa swoje cele, o co chce wypytać? Michaiła Sidorowicza nie przerażały już tortury. Strach go brał, kiedy rozważał: a może ten Niemiec nie kłamie, może mówi szczerze? Po prostu ma ochotę pogadać.

Co za obrzydliwa myśl: obaj są chorzy, obaj udręczeni jedną chorobą, ale jeden nie wytrzymał i mówi, dzieli się z drugim, ten zaś milczy, przyciął się, ale słucha i słucha.

A Liess, jak gdyby odpowiadając w końcu na nieme pytanie Mostowskiego, otworzył leżącą na stole teczkę i z obrzydzeniem, dwoma palcami, wyjął plik brudnych kartek papieru. Mostowski od razu je poznał - to były gryzmoły Ikonnikowa.

Liess oczywiście liczył na to, że Mostowski załamie się, kiedy niespodziewanie zobaczy podrzucony przez Ikonnikowa rękopis.

Ale Michaił Sidorowicz nie stracił zimnej krwi. Patrzył na zapisane przez szaleńca papiery niemal radośnie: wszystko jasne, idiotycznie proste, prymitywne, tak jak zawsze na policji.

Liess przesunął na brzeg stołu bazgroły Ikonnikowa, później z powrotem do siebie.

Nagle zaczął mówić po niemiecku: - Widzi pan, to znaleziono u pana przy rewizji. Od początku wiedziałem, że nie pan pisał to paskudztwo, chociaż nawet nie znam pańskiego charakteru pisma.

Mostowski milczał.

Liess postukał palcem w plik kartek, zapraszając uprzejmie, natarczywie, życzliwie.

Ale Mostowski nadal nic nie mówił.

- Pomyliłem się? - ze zdziwieniem spytał Liess. - Nie! Nie pomyliłem się. I wy, i my traktujemy ze wstrętem to, co tutaj jest napisane. My i wy stoimy po jednej stronie, a po drugiej jest to świństwo! - Wskazał na rękopis.

- Dalej, dalej - pośpiesznie i ze złością odezwał się Mostowski. Przejdźmy do rzeczy. Te papiery? Tak, tak, zostały znalezione u mnie.

Chce pan wiedzieć, kto je przekazał? Nie pańska sprawa. Może to ja sam napisałem. Może pan kazał swojemu agentowi wsunąć te papiery pod materac. Jasne? Przez chwilę wydawało się, że Liess przyjmie wyzwanie, rozzłości się, krzyknie: „Mam sposoby, żeby zmusić pana do odpowiedzi!” Tak bardzo tego chciał! Wszystko wtedy byłoby takie zwyczajne i łatwe. Jakież to proste i zrozumiałe słowo: „wróg”.

Ale Liess powiedział: - Co nas obchodzą jakieś żalosne szpargały? Czy nie wszystko jedno, kto to pisał? Wiem, że nie pan i nie ja. Jest mi smutno. Niech pan pomyśli! Kto siedzi w naszych obozach, kiedy nie ma wojny, kiedy nie ma w nich jeńców wojennych? Kiedy nie ma wojny, się409 dzą w nich wrogowie partii, wrogowie ludu. Znani panu ludzie, ci sami, którzy siedzą w waszych obozach. I jeśli w czasie pokoju nasz Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy włączy waszych więźniów w niemiecki system, my ich nie wypuścimy, wasze kontyngenty są naszymi kontyngentami.

Uśmiechnął się.

- Tamtych niemieckich komunistów, których zamknęliśmy przed wojną w obozach, wyście też zamknęli w trzydziestym siódmym roku.

Jeżow ich pozamykał, i reichsfuhrer ich pozamykał... Niech pan pozostanie heglistą, nauczycielu.

Mrugnął do Mostowskiego.

- Myślę, że w waszych obozach znajomość języków obcych przydaje się nie mniej niż w naszych. Dzisiaj przeraża was nasza nienawiść do żydostwa. Być może jutro wy skorzystacie z naszych doświadczeń. A my pojutrze będziemy bardziej tolerancyjni. Przeszedłem długą drogę pod przewodnictwem wielkiego człowieka. Pana też prowadził wielki człowiek, pan też przeszedł długą i trudną drogę. Naprawdę wierzył pan, że Bucharin jest prowokatorem? Tylko wielki człowiek mógł być przewodnikiem na tej drodze. Ja z kolei znałem Róhma, ufałem mu. Ale tak było trzeba. Teraz dręcę się myślą, że wasz terror zabił miliony ludzi, i na całym świecie tylko my, Niemcy, wiedzieliśmy: Tak trzeba! Mieliście całkowitą słuszność! Niech pan zrozumie, tak jak ja to rozumiem. Obecna wojna powinna was przerażać. Napoleon nie powinien był walczyć przeciw Anglii.

Nowa myśl uderzyła Mostowskiego. Nawet zamknął oczy - czy to poczuł niespodziewanie klucie w oku, czy też zapragnął uwolnić się od tej dręczącej myśli. Może jego wątpliwości nie były oznaką zmęczenia, słabości, bezsilności, rozdarcia, niewiary. Może te wątpliwości, które z rzadka to nieśmiało, to natarczywie go ogarniały, były właśnie najuczciwszą, najczystsza częścią jego duszy? A on tłumił je,

odtrącał, nienawidził ich. Może to w nich właśnie tkwi ziarno rewolucyjnej prawdy? Dynamit wolności? Żeby odeprzeć Liessa, odepchnąć jego śliskie, lepkie palce, wystarczyło tylko wyrzec się nienawiści do Czerniecowa, pogardy dla szalonego Ikonnikowa! Nie, nie, trzeba było zrobić więcej! Należało wyrzec się tego, czym żył przez całe życie, potępić to, czego bronił, co usprawiedliwiał...

Nie, nie, jeszcze więcej! Nie potępić, ale całą siłą duszy, całą swoją rewolucyjną pasją nienawidzić obozów, Łubianki, krwawego Jeżowa, Jagody, Berii! Mało tego - Stalina, jego dyktatury! Nie, więcej! Należy potępić Lenina! Stanać na skraju przepaści! To właśnie było zwycięstwo Liessa, zwycięstwo w wojnie, nie tej toczącej się na polach bitew, ale innej, pełnej wężowego jadu, w wojnie bez jednego strzału, którą gestapowiec prowadził teraz z Mostowskim.

Temu zaś wydawało się, że za chwilę popadnie w obłąd. Wtem westchnął lekko i radośnie. Myśl, która na moment przeraziła go i oślepiła, nagle rozwiała się, śmieszna i żałosna. Zmora ukazała się na parę sekund. Ale czyżby on nawet na sekundę, na ułamek sekundy mógł zwątpić w słuszność wielkiej sprawy? Liess popatrzył na niego, poruszył wargami i ciągnął: - Sądzi pan, że dzisiaj my budzimy przerażenie, a wy - miłość i nadzieję? Niech mi pan wierzy: ci, którzy patrzą na nas z przestraczem, patrzą z przestraczem i na was.

Teraz nic już nie było Michaiłowi Sidorowiczowi straszne. Teraz znał cenę swoich wątpliwości. Wiodły go nie, jak kiedyś myślał, w bagno, wiodły w przepaść! Liess wziął do rąk papiery Ikonnikowa.

- Po co zadaje się pan z takimi ludźmi? Ta przeklęta wojna wszystko pomieszała, wszystko popsowała. O, gdybym miał siłę rozplątać tę gmatwaninę! Nie ma żadnej gmatwaniny, panie Liess. Wszystko jest jasne, wszystko jest proste. Nie w sojuszu z Ikonnikowem i Czerniecowem was pokonamy. Jesteśmy wystarczająco silni, żeby rozprawić się i z wami, i z nimi.

Mostowski już wiedział: Liess jednoczył wszystko, co brudne, mroczne. Wszystkie śmietniki czuć jednakowo, jednakowe są wszystkie odłamki cegieł, wióry, odpadki. Sensu różnic i podobieństw należy szukać nie wśród śmieci, ale w zamyśle budowniczego, w jego idei.

Ogarnęła go teraz triumfalna, niemal radosna złość nie tylko na Liessa i Hitlera, ale i na angielskiego oficera o bezbarwnych oczach, wypytującego go o krytykę marksizmu, na obrzydliwe wywody jednookiego, na rozmazanego proroka, który okazał się agentem policji.

Gdzie, gdzie ci ludzie znajdują durniów, którzy uwierzą choćby w cień podobieństwa między państwem socjalistycznym a faszystowskim imperium? Liess, gestapowiec, jest jedynym odbiorcą ich zgniłego towaru. W tej chwili, jak jeszcze nigdy do tej pory, Michaił Sidorowicz dostrzegał więź duchową między faszyzmem a jego agentami.

Pomyślał: „Czyż nie na tym polega geniusz Stalina? Nienawidząc i likwidując podobnych ludzi, on jeden dostrzegał potajemne braterstwo faszyzmu i faryzeuszy, głosicieli fałszywej wolności”. Myśl ta wydała się Mostowskiemu na tyle oczywista, że zapragnął powiedzieć o niej Liessowi, wyjaśnić mu bezsens jego konstrukcji myślowych. Ale tylko się uśmiechnął: stary wróbel z niego, nie jest głupcem jak

Goldenberg, który gadał o problemach narodowolców z carskim prokuratorem.

Utkwił wzrok w Liessie i głośno - jego głos słyszeli prawdopodobnie stojący pod drzwiami strażnicy - powiedział: - Dam panu radę: nie warto ze mną tracić czasu. Niech pan mnie postawi pod ścianą i od razu załatwi, rozwali.

Liess pośpiesznie zapewnił: - Nikt pana nie chce rozwalać. Niepotrzebnie się pan niepokoi.

- Nie jestem zaniepokojony - oświadczył pogodnie Mostowski. - Nie mam najmniejszego zamiaru się niepokoić.

- Ależ właśnie należy się niepokoić! Niech moja bezsenność będzie pańską bezsennością. W czym, w czym tkwi przyczyna naszej wrogości, tego nie mogę zrozumieć... Adolf Hitler nie jest fuhrerem, tylko lokajem Stinnesów i Kruppów? Nie ma u was prywatnej własności ziemskiej? Fabryki i banki należą do ludu? Wy jesteście internacjonalistami, a my wyznajemy nienawiść rasową? My podpalamy, a wy staracie się ugasić pożar? Nas nienawidzą, a na wasz Stalingrad ludzkość patrzy z nadzieją? Tak mówią u was? To bzdura! Nie ma między nami żadnej przepaści! Wymyślono ją. Jesteśmy formami tego samego bytu - państwa partyjnego. Nasi kapitaliści nie są właścicielami. Państwo narzuca im plan i program. Państwo zabiera produkcję i zysk.

Dla siebie biorą sześć procent zysku - to jest ich zapłata. Wasze partyjne państwo też ustala plan, program, zabiera produkcję. Ci, których nazywacie właścicielami, robotnicy - tak samo otrzymują zapłatę od waszego państwa.

Michaił Sidorowicz patrzył na Liessa i myślał: „Czy naprawdę ta nędzna paplanina mogła zachwiać mną choćby na chwilę? Czyżbym mógł się zachłysnąć tym potokiem jadowitego, śmierzącego błota?” Liess machnął ręką, zrezygnowany.

- Nad naszym ludowym państwem też powiewa czerwony sztandar robotniczy, my też wzywamy do narodowego czynu, do pracy, do jedności, my też mówimy: „Partia wyrazicielem marzeń niemieckiego robotnika”. To wy przecież mówicie: „Lud, praca”. Wy, tak samo jak my, rozumiecie, że nacjonalizm to najważniejsza siła dwudziestego wieku. Nacjonalizm to duch epoki! Socjalizm w jednym kraju jest najwyższym przejawem nacjonalizmu! Nie widzę podstaw do wrogości między nami! Cóż, genialny wódz i nauczyciel narodu niemieckiego, nasz ojciec, najlepszy przyjaciel niemieckich matek, największy i najmądrzejszy strateg rozpoczął tę wojnę.

Ale ja wierzę w Hitlera! Wierzę też, że gniew i ból nie zaćmiły wzroku waszego Stalina. Dymy i płomienie wojny nie przesłaniają mu prawdy.

On wie, kto jest jego wrogiem. Wie, wie, nawet teraz, kiedy uzgadnia z nim strategię wojny przeciw nam i wznosi toast za jego zdrowie. Na tej planecie są dwaj wielcy rewolucjoniści: Stalin i nasz wódz. Ich wola zrodziła narodowy socjalizm państwa. Dla mnie braterstwo z wami jest ważniejsze niż wojna o przestrzenie na wschodzie. Wznosimy dwa domy, które powinny stać obok siebie. Chciałbym, nauczycielu, żeby pobył pan w samotności i w spokoju zastanowił się, przemyślał to wszystko przed naszą kolejną rozmową.

- Po co? To nonsens! Głupota! Brednie! - powiedział Mostowski. I dlaczego pan tak idiotycznie zwraca się do mnie: „nauczycielu”? - O, wcale nie idiotycznie! Pan akurat powinien to rozumieć: przyszłość nie rozstrzyga się na polach bitew. Pan

osobiście znał Lenina.

On stworzył partię nowego typu. On pierwszy zrozumiał, że tylko partia i wódz wyrażają dążenia narodu, i rozpędził konstytuante. Ale jak w fizyce Maxwell, niszcząc mechanikę Newtona, myślał, że ją umacnia, tak samo Lenin, tworząc wielki nacjonalizm dwudziestego wieku, uważał się za internacjonalistę, twórcę Międzynarodówki. Po nim wielu rzeczy nauczył nas Stalin. Po to, by powstał socjalizm w jednym kraju, należało zniszczyć chłopską wolność siewu i sprzedaży produktów rolnych; Stalinowi ręka nie zadrżała, kiedy likwidował miliony chłopów. Nasz Hitler zobaczył, że na przeszkodzie niemieckiemu ruchowi narodowo-socjalistycznemu stoi wróg - żydostwo. Postanowił więc zlikwidować miliony Żydów. Ale Hitler nie jest wyłącznie uczniem, to geniusz! Wasze czystki partyjne w trzydziestym siódmym roku Stalin zaplanował już wtedy, kiedy zobaczył, jak oczyściliśmy partię z ludzi 413 Róhma. Hitlerowi też nie zadrżała ręka... Powinien mi pan zaufać. Ja mówiłem, a pan milczał; wiem jednak, że jestem dla pana lustrem chirurgicznym.

Mostowski odparował: - Zwierciadłem? Wszystko, co pan mówi, jest kłamstwem - od pierwszego do ostatniego słowa. Polemika z tą pańską brudną, cuchnącą i prowokacyjną gadaniną byłaby poniżej mojej godności. Lustro? Cóż to, zwariował pan do reszty? Stalingrad przywróci panu zdrowe zmysły.

Liess wstał, a Mostowski, ogarnięty trwogą, uniesieniem i nienawiścią, pomyślał: „To już koniec, zaraz mnie zastrzelili!” Ale Liess, jakby nie słysząc jego słów, złożył Mostowskiemu niski, pełen szacunku, ukłon.

- Nauczycielu - powiedział znowu - zawsze będzie pan nas uczył i zawsze będzie uczył się od nas. Będziemy myśleć razem.

Jego twarz była smutna i poważna, ale oczy się śmiały.

Znowu jadowita igielka ukłuła Michaiła Sidorowicza w serce. Liess spojrział na zegarek.

- Czas nie mija tak sobie, na próżno.

Zadzwoił i niezbyt głośno powiedział: - Proszę zabrać, jeśli pan ma ochotę, to dzieło. Wkrótce się zobaczymy. Gutt Nacht.

Mostowski, sam nie wiedząc po co, wziął papiery z biurka i wsunął je do kieszeni.

Kiedy wyprowadzono go z budynku zarządu, wciągnął w płuca chłodne powietrze. Po gabinecie gestapowskim i cichym głosie nazistowskiego teoretyka ta wilgotna noc i wycie syren w mroku przedświt były czymś cudownym.

Kiedy dochodzili do rewiru, po brudnym asfalcie przemknął samochód osobowy z fioletowymi reflektorami. Mostowski domyślił się, że Liess jechał na urlop, i znowu ogarnął go smutek. Konwojent wprowadził Michaiła Sidorowicza do boksu i zamknął drzwi.

Mostowski usiadł na pryczy i pomyślał: „Gdybym był wierzący, uznałbym, że ten koszmarny rozmówca to kara boska za moje zwątpienie”.

Spać już nie mógł, zaczynał się nowy dzień. Oparty plecami o ścianę, zbitą z szorstkich, pełnych drzazg świerkowych desek, Michaił Sidorowicz zaczął wczytywać

się w bazgraninę Ikonnikowa.

16

„Większość ludzi żyjących na Ziemi nie usiłuje określić, co to jest «dobro». Na czym to dobro polega? Skąd pochodzi? Dobro dla kogo? Czy istnieje dobro wspólne, obejmujące wszystkich ludzi, wszystkie plemiona, wszystkie sytuacje życiowe? Czy też moje dobro to zło dla kogoś innego, a dobro mojego narodu - zło dla cudzego narodu? Czy dobro jest wieczne, niezmienne, czy też wczorajsze dobro dzisiaj staje się złem, a wczorajsze zło - dobrem? Nadchodzi pora Sądu Ostatecznego, więc nad dobrem i złem zastanawiają się nie tylko filozofowie i kaznodzieje, ale wszyscy ludzie, piśmienni i niepiśmienni.

Czy w ciągu tysięcy lat ludzie uczynili postęp w swoich wyobrażeniach o dobru? Czy to jest pojęcie wspólne dla wszystkich ludzi i «nie masz Greczyna ani Żyda», jak mniemali ewangelisci? Nie ma klas, narodów, państw? A może dobro to pojęcie jeszcze szersze, obejmujące i zwierzęta, i drzewa, a nawet mchy - najogólniejsze jak dotąd pojęcie dobra, które stworzyli Budda i jego uczniowie? Ten sam Budda, który chcąc ogarnąć dobrem i miłością życie, musiał dojść do jego negacji.

Jestem zdania, że powstające w ciągu tysiącleci wyobrażenia moralno-filozoficznych przywódców ludzkości prowadzą do zawężenia pojęcia dobra.

Wyobrażenia chrześcijańskie, oddzielone pięcioma wiekami od buddyjskich, zawężają świat istot żywych, do których stosuje się pojęcie dobra. Nie wszystko, co żyje, ale wyłącznie ludzie! Dobro pierwszych chrześcijan, dobro wszystkich ludzi zastąpiło dobro dla samych chrześcijan, a obok żyło dobro dla muzułmanów, dobro dla wyznawców Mojżesza.

Ale minęły wieki i dobro chrześcijan rozpadło się na dobro katolików, protestantów, prawosławnych. Dobro prawosławnych zaś podzieliło się na dobro starej i nowej wiary.

A oprócz tego istniało dobro bogatych i biednych, powstało też dobro żółtych, czarnych, białych.

Tak to, ustawicznie się rozdrabniając, rodziło się dobro w kręgu sekty, rasy, klasy, wszystkich zaś, którzy żyli poza tym kręgiem, dobro już nie obejmowało.

Ludzie dostrzegli w końcu, jak wiele krwi przelało to małe, niedobre dobro w imię walki ze wszystkim, co uważało za zło.

Niekiedy samo pojęcie takiego dobra stawało się zmorą życia, złem większym niż zło.

Takie dobro jest pustą łupiną, z której wypadło i zagubiło się święte ziarno. Kto je przywróci ludziom? Cóż więc jest dobro? Mówiono tak: Dobro to zamysł i związane z tym zamysłem działanie, prowadzące do triumfu, do potęgi ludzkości, rodziny, narodu, państwa, klasy, wyznania.

Ci, którzy walczą o swoje prywatne dobro, dążą do tego, by nadać mu pozory powszechności. Dlatego mówią: Moje dobro pokrywa się z dobrem powszechnym, moje dobro jest niezbędne nie tylko mnie, ale wszystkim ludziom. Czyniąc dobro prywatne, służę dobru powszechnemu.

Tak dobro po utracie powszechności, dobro sekty, klasy, narodu, państwa, dąży do tego, żeby nadać sobie fałszywą powszechność, żeby usprawiedliwić swoją walkę z tym wszystkim, co jest dla niego złe.

Ale przecież i Herod przelał krew nie w imię zła, tylko w imię swego własnego, Herodowego dobra. Nowa potęga pojawiła się na świecie i groziła zagładą jemu, jego rodzinie, ulubieńcom i przyjaciółom, królestwu, wojsku.

Tyle że nie zło się narodziło - narodziło się chrześcijaństwo. Nigdy ludzkość nie słyszała takich słów: «Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni.

Albowiem jakim sądem sądzicie, takim sądzeni będziecie, i jaką miarą odmierzycie, taką i wam odmierzone będzie... Miłujcie nieprzyjaciół wasze; błogosławcie tym, którzy was przeklinają, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści i módlcie się za tymi, którzy wam złość wyrządzają i prześladują was. Wszystko tedy, cobyście chcieli, aby wam ludzie czynili, tak i wy czyńcie im; tenci bowiem jest zakon i prorocy».

Co przyniosła ludziom ta nauka pokoju i miłości? Bizantyjskie obrazoburstwo, tortury inkwizycji, walkę z heretykami we Francji, Włoszech, Flandrii, Niemczech, walki protestantów z katolikami, obłudę zakonów, walkę Nikona z Awwakumem, całe wieki ucisku nauki i wolności, wytępienie pogańskiej ludności Tasmanii przez chrześcijan, zbrodniarzy palących murzyńskie wioski w Afryce.

Wszystko to przyniosło ludziom więcej cierpień niż zbójcy i bandyci, czyniący zło dla samego zła...

Taki przerażający los spotkał najbardziej ludzką z ludzkich idei: nie była wyjątkiem od reguły i też rozpadła się na obszary prywatnego, małego dobra.

Okrucieństwo życia rodzi dobro w wielkich sercach. Ludzie o wielkich sercach, pragnąc zmienić życie, ukształtować je na podobieństwo żyjącego w nich dobra, niosą je w to życie z powrotem. Tymczasem to nie małe obszary dobra zmieniają się na obraz i podobieństwo jego idei, ale owa idea grzęźnie w bagnie życia, rozmienia się na drobne, traci swoją uniwersalność, służy sprawom doczesnym, nie kształtując wcale tego życia według swego pięknego, lecz bezcielesnego wzorca.

Świadomość ludzka nieodmiennie dostrzega w życiu walkę dobra ze złem, ale to nieprawda. Ludzie działający na rzecz dobra, nie są w stanie osłabić mocy zła w życiu.

Wielkie idee potrzebne są do wytyczania nowych szlaków, do usuwania gładów, wysadzania skał, wyrębu lasów; marzenia o powszechnym dobru służą temu, by potężne rzeki popłynęły w służbie człowieka.

Gdyby morze było w stanie myśleć, to przy każdej burzy w jego wodach rodziłaby się idea i marzenia o szczęściu; każda fala, rozbijając się o skałę, uważałaby, że ginie dla dobra morza. Nie przychodziłoby jej na myśl, że to siła wiatru stworzyła ją tak samo jak tysiące fal przed nią i jak po niej stworzy jeszcze tysiące nowych.

Wiele książek napisano o tym, jakimi sposobami walczyć ze złem; o tym, czym jest dobro, a czym zło.

Ale wszystkie one budzą tylko smutek, któż bowiem zaprzeczy temu: Gdziekolwiek zaświta jutrzienka dobra - które jest wieczne i nigdy nie ulegnie złu, które też jest wieczne, ale nigdy nie zwycięży dobra - tam od razu giną niemowlęta, starcy i



leje się krew. Nie tylko ludzie, nawet Bóg jest zbyt słaby, żeby pomniejszyć zło życia.

«Głos w Ramie słyszany jest, lament, i płacz, i narzekanie wielkie: Rachel płacząca synów swoich nie dała się pocieszyć, przeto, że ich nie masz». Jej, która straciła dzieci, obojętne jest, co mędrzy uważają za dobro, a co za zło.

Ale może życie samo jest złem? Widziałem, jak wielka jest moc idei dobra społecznego, która narodziła się w mojej ojczyźnie. Widziałem tę siłę podczas masowej kolektywizacji, widziałem ją w 1937 roku. Widziałem, jak w imię idei, równie pięknej i humanitarnej jak chrześcijańska, mordowano ludzi. Widziałem wsie ginące śmiercią głodową, widziałem umierające w śniegach chłopskie dzieci, widziałem transporty wiozące na Syberię setki, tysiące mężczyzn i kobiet z Moskwy, Leningradu, ze wszystkich miast Rosji, ludzi, których uznano za wrogów wielkiej, świetlanej idei dobra społecznego. A chociaż idea była wielka i piękna, to niemiłosiernie zabijała jednych, niszczyła życie innym, odrywała żony od mężów, dzieci od ojców.

Teraz niemiecki narodowy socjalizm sterroryzował świat. Lament i jęki mordowanych wypełniają powietrze. Niebo stało się czarne, dymy pieców krematoryjnych zakryły słońce.

Ale nawet te zbrodnie, jakich dotąd nie widział nie tylko wszechświat, ale nawet człowiek na Ziemi, popełnia się w imię dobra.

Kiedyś, mieszkając w lasach północy, usiłowałem dopatrywać się dobra nie w człowieku, nie w drapieżnym świecie zwierząt, ale w milczącym królestwie drzew. Nic mylniejszego! Zobaczyłem, że las żyje, że podstępnie walczy o przestrzeń życiową z trawą i krzewami. Miliardy lotnych nasion wyrastają, zabijają trawę, niszczą przyjazne zarośla, miliony kielków zwycięskiej samosiejki zaczynają bezlitośnie zwalczać się nawzajem. Dopiero te, które przeżyją, tworzą wspólną osłonę młodego światłolubnego lasu, zawierają sojusz równych siłą. Mrok zaś pod tą osłoną ukrywa katorgę świerków i buków.

Ale przychodzi i na światłolubne pora starzenia się; wtedy spod ich osłony wyrrywają się ku światłu ciężkie świerki, skazując na śmierć olchy i brzozy.

Tak żyje las - w wiecznej walce wszystkich ze wszystkimi. Tylko ślepi mogą lokować świat dobra w królestwie drzew i traw. Czyżby życie było złem? Dobra należy szukać nie w przyrodzie, nie w nauce kaznodziejów i proroków, nie w pracach wybitnych socjologów i wodzów ludu, nie w etyce filozofów... Zwykli ludzie niosą w sercach miłość do tego, co żywe, kochają życie w sposób naturalny, mimowolny i żałują, że przemija; cieszą się ciepłem ogniska domowego po ciężkim dniu pracy, ale nie rozpalają stosów na placach.

Tak więc oprócz wielkiego, groźnego dobra istnieje zwykła ludzka dobroć. Ot, choćby dobroć staruszki podającej jeńcowi kawałek chleba czy dobroć żołnierza, który rannemu wrogowi pozwala się napić ze swojej manierki. Dobroć młodzieńca litującego się nad starcem, dobroć chłopca ukrywającego w stodole starego Żyda. Albo dobroć strażników, którzy narażają się, ale przekazują listy jeńców czy więźniów - nie do ludzi tych samych przekonań, ale do żon i matek.

To dobroć osobista: pojedynczego człowieka do pojedynczego człowieka, dobroć bez świadków, dobroć niewielka. Dobroć niewyrachowana, rzecz nawet można: bezmyślna. Dobroć ludzka, która nie dba o dobro religijne czy społeczne.

Gdy się nad tym zastanowimy, przekonamy się, że jednostkowa, bezmyślna, przypadkowa dobroć jest wieczna. Ogarnia wszystko, co żyje: nawet mysz, nawet nadłamana gałązkę, którą przechodzień, zatrzymawszy się nagle, poprawia, żeby łatwiej było jej znowu przyrosnąć do pnia.

W straszliwych czasach, kiedy wśród szaleństw popełnianych ku chwale państwa, narodu, czy też w imię powszechnego dobra, w czasach, kiedy ludzie już nie wydają się ludźmi - przypominają raczej miotane wiatrem gałęzie drzew albo kamienie, które pociągając za sobą inne kamienie, staczają się na dno wąwozu - nawet w takich czasach strachu i szaleństwa nie zanika bezmyślna, żałosna dobroć, rozsiana w życiu drobniuteńko jak ziarnka radu.

Do pewnej wsi przybyła ekspedycja karna, poprzedniego dnia na drodze zostali bowiem zabici dwaj niemieccy żołnierze. Wieczorem spędzono baby, kazano im wykopać dół na skraju lasu. Kilku żołnierzy zatrzymało się u pewnej starej kobiety. Jej męża zabrał policaj i zaprowadził do biura; okazało się, że zamknięto tam jeszcze dwudziestu chłopca. Kobieta nie spała do rana - Niemcy znaleźli w piwnicy kobiałkę z jajami i słoik miodu, sami rozpalili w piecu, usmażyli jajecznicę i pili wódkę. Potem najstarszy z nich grał na harmonijce, reszta przytupywała i podśpiewywała. Na gospodynię nie zwracali uwagi, jakby nie była człowiekiem, ale zwierzęciem domowym. Kiedy zaświtało, zaczęli sprawdzać automaty; jeden, właśnie ten najstarszy, niezręcznie szarpnął za spust i postrzelił się w brzuch. Podniósł się krzyk, biegania. Niemcy jakoś tam opatrzyli rannego i położyli go na łożku. Akurat wtedy wszystkich ich wezwano. Pokazali więc na migi kobiecie, że ma się zająć rannym. Ta widzi, że bardzo łatwo mogłaby go udusić - ranny to bełkocze, to zamyka oczy; płacze, cmoka ustami.

Potem nagle otwiera oczy i mówi wyraźnie: „Matka, wody”. - „Ach ty, diable - odpowiedziała kobieta - warto by cię udusić”. I podała mu wody.

A on złapał ją za rękę i pokazuje, żeby go posadzić, bo nagromadzona krew nie pozwala mu oddychać. Podniosła go, a on trzyma ją rękami za szyję. Wtem usłyszała strzały we wsi, aż ją zatrzęsło.

Potem opowiadała, jak było, ale nikt jej nie rozumiał, a ona nie potrafiła tego wyjaśnić.

Taka bezmyślna dobroć została potępiona w bajce o pustelniku, który ogrzał zmięę na swojej piersi. Dobroć dla tarantuli, która ukąsiła dziecko. Szalona, szkodliwa, ślepa dobroć! Ludzie z satysfakcją wskazują w bajkach i opowieściach przykłady, jak szkodliwa może być taka dobroć. Nie trzeba się jej obawiać! Równie dobrze można by się bać rybki słodkowodnej, którą przypadkowo rzeka zaniósła do słonego oceanu.

Szkoda bowiem, jaką czasem ta bezmyślna dobroć może wyrządzić społeczeństwu, klasie, rasie czy państwu, niknie w blasku, który roztaczają ludzie nią obdarzeni.

To właśnie ta głupia dobroć jest oznaką człowieczeństwa w człowieku, to ona go wyróżnia; przewyższa wszystko, co osiągnął duch ludzki. To ona mówi: Życie nie jest złem! To dobroć nie tylko bezmyślna, ale i bezsłowna. Instynktowna, ślepa.

Z chwilą gdy chrześcijaństwo przyoblekło ją w naukę ojców Kościoła, zaczęła marnieć, ziarno zmieniło się w łupinę. Ale naprawdę jest silna, dopóki pozostaje

niema, nieświadoma i bezmyślna, dopóki przebywa w żywym mroku ludzkiego serca, dopóki nie stanie się narzędziem i towarem kaznodziejów, dopóki jej złoty kruszec nie zostanie przetopiony na monetę świętości. Jest prosta jak życie. Nawet nauka Jezusa pozbawiła ją siły - jej siła tkwi w niemocie ludzkiego serca.

Zwątpiwszy jednak w dobro ludzkie, zważyłem też w dobroć. Smutno mi, że okazała się bezsilna! Nie jest zaraźliwa, cóż więc z niej za korzyść? Pomyślałem, że jest bezsilna, piękna i bezsilna, jak rosa.

Jak zmienić tę rosę w siłę, a zarazem nie wysuszyć jej, nie utracić, tak jak wysuszył ją i utracił Kościół? Bo dobroć jest silna, dopóki pozostaje bezsilna! Ledwie człowiek zapragnie zmienić ją w siłę, zatracą się, blednie, marnieje, znika.

Teraz widzę autentyczną siłę zła. W niebie jest pusto. A na ziemi nie ma nic oprócz człowieka. Czym ugasimy zło? Kroplami żywej rosy, ludzką dobrocią? Ale tego pożaru nie zgaśnie wodą wszystkich mórz i obłoków, tym bardziej więc nie zgaśnie go skąpą garścią rosy zbieranej od czasów ewangelicznych po dzisiejszy żelazny wiek...

A zatem, utraciwszy wiarę w obecność dobra w Bogu, w naturze, zacząłem tracić wiarę w dobroć.

Ale im bardziej, im wyraźniej odsłaniały się przede mną mroki nazizmu, tym wyraźniej widziałem, że człowieczeństwo jest niezniszczalne, że ludzie zachowują je na krawędzi krwawego rowu, na progu komory gazowej.

Zahartowałem swoją wiarę w piekle. Moja wiara wyszła z ognia pieców krematoryjnych, przebiła się przez beton komór gazowych.

Zobaczyłem, że wcale nie człowiek jest bezsilny w walce ze złem, zobaczyłem, że to potężne zło jest bezsilne w walce z człowiekiem.

Bezsilność instynktownej dobroci stanowi tajemnicę jej nieśmiertelności. Jest niezwykła. I tym większa, im głębsza, im bardziej bezsensowna, im bardziej bezradna. Zło pozostaje wobec niej bezsilne! Prorocy, nauczyciele wiary, reformatorzy, liderzy, wodzowie są również bezsilni wobec niej. Bo ślepa i niema miłość to istota człowieka.

Historia ludzkości nie jest walką dobra ze złem. Historia człowieka to napór wielkiego zła, dążącego do tego, żeby zmiażdżyć, zetrzeć na proch ziarno człowieczeństwa. Ale jeśli nawet teraz tego, co ludzkie, nie udało się w ludziach zabić, to znaczy, że zło nigdy nie zwycięży".

Mostowski skończył czytać, ale jeszcze kilka minut siedział z przymkniętymi oczami.

Tak, to napisał człowiek, który doznał wstrząsu. Cóż, to katastrofa dla ubożego ducha! Mazgaj ogłasza, że niebo jest puste... Życie postrzega jako wojnę wszystkich ze wszystkimi. A na koniec ucieka się do ogranego chwytu, opiewając dobroć staruszek, i próbuje globalny pożar ugasić irygatorem.

Jakież to wszystko żałosne! Patrząc na szarą ścianę pojedynczej celi, Michaił Sidorowicz przypomniał sobie błękitny fotel, rozmowę z Liessem, i ogarnęło go przygnębiające uczucie. To nie głowa cierpiała, tylko serce; z trudem mógł oddychać. Pomylił się najwyraźniej, podejrzewając Ikonnikowa. Elaboratem obłąkanego gardził

nie tylko on, Mostowski, ale i jego odpychający nocny rozmówca. Znowu pomyślał o swoim niechętnym stosunku do Czerniecowa, o pogardzie i nienawiści, z jaką gestapowiec mówił o takich ludziach. Mętne uczucie, które go ogarnęło, wydało mu się cięższe od fizycznych udręk.

12

Sierioża Szaposznikow wskazał książkę leżącą na cegle, koło worka z rzeczami, i zapytał:

- Czytałaś?
- Czytałam drugi raz.
- Podoba ci się?
- Wolę Dickensa.
- A, Dickens...

Mówił tonem pobłażliwej wyższości, w jego głosie czuło się drwinę.

- A podoba ci się *Pustelnia parmeńska*? Pomyślał chwilę i odpowiedział: - Nie bardzo. - Po czym oznajmił: - Dzisiaj idę z piechotą wyrzucić Niemców z sąsiedniej chałupy. - Zrozumiał jej spojrzenie i dodał: Griekow mnie wysyła, wiadomo.

- A inni moździerzyści, Czencow? - Nie, tylko ja.

Umilkli.

- Dobiera się do ciebie? Kiwnęła głową.
- A ty? - Przecież wiesz. - Pomyślała o biednych Azrach.
- Wydaje mi się, że dzisiaj mnie stukną.

- Dlaczego idziesz z piechotą, przecież obsługujesz moździerz? - A po co ciebie tutaj trzyma? Nadajnik rozbity w drobny mak. Dawno trzeba było cię odesłać do pułku czy w ogóle na lewy brzeg. Malowana lala - nie masz tu nic do roboty.

- Za to codziennie się widzimy.

Machnął ręką i poszedł.

Katia obejrzała się. Z piętra, z drwiącym uśmiechem, gapił się na nich Buńczuk. Widocznie i Szaposznikow zobaczył Buńczuka, bo nagle zniknął.

Do wieczora Niemcy ostrzeliwali dom z dział, było trzech lekko rannych. Wewnętrzna ściana zawaliła się i zasypała wyjście z piwnicy; odkopali je, a wtedy pocisk znowu rozwalił kawał ściany i znowu zasypał wyjście, po czym na nowo zaczęli je odkopywać.

Ancyfierow zajrzał w pełen pyłu półmrok i spytał:

- Hej, towarzyszeko radiotelegrafistko, życie? - Tak - odpowiedziała z półmroku Katia Wiengrow, kichnęła i splunęła czerwoną śliną.

- To bywaj zdrowa! - pożegnał ją saper.

Kiedy się ściemniło, Niemcy zaczęli wystrzeliwać rakiety, walili z cekaemów, kilka razy nadlatywał bombowiec i zrzucał fugasy. Nikt nie spał.

Griekow sam strzelał z cekaemu, dwa razy piechota, przeklinając okropnie i zasłaniając twarze saperkami, rzuciła się, żeby odeprzeć Niemców.

Niemcy jakby czuli, że szykuje się atak na bezpieczny dom, który niedawno opanowali.

Kiedy strzelanina cichła, Katia słyszała, jak wrzeszczeli, nawet ich śmiech dolatywał dosyć wyraźnie.

Przy „r” okropnie charczeli; wymawiali słowa inaczej niż lektorzy na kursach języków obcych. Katia zauważyła, że kotek zlaźł ze swojego posłania. Tylnie łapy były nieruchome, czołgał się tylko na przednich, chciał do niej dopełznąć.

Potem przestał pełzać; kilka razy otworzył pyszczek i zamknął...

Katia spróbowała unieść jego opadniętą powiekę. „Zdechł” - pomyślała i poczuła obrzydzenie. Nagle zrozumiała, że zwierzątko, ogarnięte przecuciem śmierci, myślało o niej, pełzło ku niej już na wpół sparaliżowane... Włożyła trupka do dołka, przysypała odłamkami cegieł.

Światło rakiety rozjaśniło piwnicę, Katia wyobraziła sobie, że tu nie ma w ogóle powietrza, że oddycha jakąś krwawą cieczą, która spływa z sufitu, z każdej cegły.

Niemcy wyłazą z odległych kątów, skradają się do niej, zaraz ją schwycą i powloką ze sobą. Ich automaty terkotały bardzo blisko, prawie tuż-tuż. Może oczyszczają teraz piętro? Może nie wejdą dołem, ale wyskoczą z góry, z dziury w suficie? Żeby się uspokoić, usiłowała przypomnieć sobie kartkę przypiętą do drzwi: „Tichomirow - dzwonić i raz, Dzyga - 2 razy, Czeriomuszkina 3 razy, Fajnbergowie - 4 razy, Wiengrow - 5 razy, Andriuszenko - 6 razy, Piegow - jeden długi dzwonek...” Starła się wyobrazić sobie wielki rondel Fajnbergów na maszynie naftowej, przykryty dyktą; obciążone pokrowcem koryto Anastasji Andriuszenko, poobijaną miednicę Tichomirowów, wiszącą na sznurkowym uszku. Katia właśnie ściele sobie łóżko i pod prześcieradło, na szczególnie złośliwe sprężyny kładzie brązową chustkę mamy, kawałek watoliny, rozprutą jesionkę.

Potem myślała o domu „sześć przez jeden”. Teraz kiedy hitlerowcy nacierali, wyłazili dosłownie spod ziemi, ordynarnie przeklinający żołnierze nie sprawiali jej już przykrości, nie przerażało jej spojrzenie Griekowa, od którego rumieniec oblewał nie tylko jej twarz, ale i szyję, ramiona pod bluzą. Ile świąństw musiała wysłuchać przez te miesiące wojny! Jaka przykra była rozmowa z łysym podpułkownikiem, który „bezpośrednią linią”, błyskając metalowymi zębami, mówił, że od niej samej zależy, czy pozostanie w zawołańskim węzle łączności... Dziewczyny śpiewały półgłosem smutną piosenkę: ...Sam dowódca jej mówił „kochana”.

Tyle słów czułych dla niej wciąż miał.

Kochał ją od wieczora do rana.

Potem szła do każdego, kto chciał.

Nie była bojaźliwa, po prostu taki nastrój ją ogarnął.

Po raz pierwszy zobaczyła Szaposznikowa, kiedy czytał wiersze; pomyślała wtedy: „Co za idiota”. Potem zniknął na dwa dni, a ona wstydziła się o niego pytać i ciągle myślała, czy go nie zabili. Niespodziewanie pojawił się w nocy; Katia słyszała,

jak mówił do Griekowa, że wyszedł bez zezwolenia ze schronu sztabowego.

- No i dobrze - pochwalił Griekow. - Zdezerterowałeś do nas, na tamten świat.

Wychodząc od niego, Szaposznikow minął ją i nawet się nie obejrzał.

Zdenerwowała się, potem rozzłościła i znowu pomyślała: „Idiota”.

Później słyszała rozmowę mieszkańców domu, zastanawiali się, kto ma największe szanse pierwszy przespać się z Katią. Jeden powiedział: „Jasne, że Griekow”.

Drugi się z nim nie zgadzał: „To nie jest powiedziane. Ale kto jest ostatni na liście, to akurat pewne - Sierioża od moździerza. Dziewczynę, im młodsza, tym bardziej ciągnie do doświadczonego chłopca”.

Potem zobaczyła, że zalecanki, żarciki prawie się skończyły. Griekow wyraźnie okazywał, że nie lubi, jak mieszkańcy domu zaczepiają Katię.

Kiedys brodaty Zubariow odezwał się do niej: „Ej, żono gospodarza”.

Griekow się nie śpieszył, ale najwyraźniej był pewny swego, a ona czuła tę jego pewność. Kiedy odłamek bomby rozbił nadajnik, polecił Kati urządzać się w jednym z segmentów głębokiej piwnicy.

Wczoraj powiedział do niej: - Ja takiej dziewczyny jak ty w życiu nie widziałem. - I dodał: - Gdybym cię spotkał przed wojną, ożeniłbym się z tobą.

Miała ochotę odparować, że warto by i ją spytać o zdanie, ale się nie odezwała, nie miała śmiałości.

Nie zrobił jej nic złego, nie powiedział nic ordynarnego, bezczelnego, ale kiedy o nim myślała, czuła strach.

Także wczoraj rzekł do niej ze smutkiem: - Wkrótce Niemcy rozpoczną natarcie. Z naszych raczej nikt nie ocaleje. Klin niemiecki wycelowany jest w nasz dom. - Obrzucił Katię powolnym, uważnym spojrzeniem, budząc w niej lęk nie informacją o spodziewanym natarciu, ale właśnie spojrzeniem. - Przyjdę do ciebie - dodał.

Pozornie nie było związku między tymi słowami a przepowiednią, że raczej nikt nie ocaleje podczas niemieckiego natarcia, ale w rzeczywistości był, i Katia go zrozumiała.

Griekow nie przypominał tamtych dowódców, których widziała pod Kotłubaniem. Z ludźmi rozmawiał bez krzyków, bez gróźb, a słuchali go wszyscy. Siedział, palił papierosa, opowiadał, słuchał, niczym się nie różnił od żołnierzy. Autorytet zaś miał olbrzymi.

Z Szaposznikowem prawie nie rozmawiała. Niekiedy wydawało jej się, że jest w niej zakochany i bezsilny, tak jak ona, wobec człowieka, który ich oboje zachwyca i przeraża. Szaposznikow był słaby, niedoświadczony, miała ochotę poprosić go o obronę, powiedzieć mu: „Posiedź przy mnie...” Kiedy indziej sama chciała go pocieszyć.

Zadziwiające były rozmowy z nim - całkiem jakby nie było wojny ani domu „sześć przez jeden”. A on, jakby czuł to, umyślnie starał się wydawać bardziej szorstkim, kiedyś nawet brzydki przy niej zaklął.

Teraz miała wrażenie, że między jej niejasnymi myślami i uczuciami a tym, że Griekow posłał Szaposznikowa do ataku na niemiecki dom, istnieje jakiś okrutny związek.

Wsluchując się w strzelaninę z automatów, wyobrażała sobie, że Szaposznikow leży na czerwonym kurhanie z cegieł, ze zwieszoną martwą, nieostrzyżoną głową.

Ogarnęło ją dojmujące uczucie litości nad nim; w jej duszy zmieszały się i różnobarwne nocne płomienie, i strach przed Griekowem, i podziw dla niego, dla tego, który z samotnych ruin ruszał do natarcia na żelazne dywizje Niemców, i myśli o matce.

Pomyślała, że oddałaby wszystko w życiu, żeby tylko zobaczyć Szaposznikowa żywego.

„A jeśli miałabym wybierać, to kogo: mamę czy jego?” - pomyślała.

Potem usłyszała czyjeś kroki, wczepiła się palcami w cegły i zaczęła nasłuchiwać.

Strzelanina ustała, wszędzie było cicho.

Zaczęły ją swędzieć plecy, ramiona, nogi pod kolanami, ale bała się podrapać, zdradzić choćby najmniejszym szelestem.

Batrakowa wszyscy pytali, dlaczego się drapie, a on odpowiadał: „To z nerwów”. A wczoraj powiedział: „Znalazłem na sobie jedenaście wszy”. Kołomiejcew pokpiwał: „Chyba jakieś nerwowe”.

Kiedy zginie, żołnierze, dźwigając ją do dołu, będą ubolewali: - Biedna dziewczucha, cała zawszona.

A może to rzeczywiście nerwowe? Zrozumiała, że w ciemnościach zbliża się do niej żywy, a nie urojony człowiek, nie utworzony ze szmerów, ze strzępów światła i kawałków mroku, z zamierania serca.

Katia spytała: - Kto idzie? - To ja, swój - odpowiedziała ciemność.

18

- Dzisiaj nie będzie szturm. Griekow przełożył go na jutrzejszą noc.

Dzisiaj cały czas Niemcy sami się pchają. A tak przy okazji, chciałem powiedzieć, że tej Pustelni nie czytałem.

Nie odpowiedziała.

Kiedy starał się ją dojrzeć w ciemności, płomień wybuchu, spełniając jego życzenie, oświetlił jej twarz. Po sekundzie znowu było ciemno, a wtedy porozumieli się w milczeniu i oczekiwali nowego wybuchu, migotania światła. Siergiej wziął ją za rękę. Ścisnął jej palce. Po raz pierwszy w życiu trzymał dziewczęcą dłoń w swojej.

Bрудna, zawszona radiotelegrafistka siedziała cicho, jej szyja białała w mroku.

Wystrzeliła rakietą, a wtedy zbliżyli do siebie głowy. Objął ją, ona zaś przymknęła oczy; oboje znali szkolną zasadę: kto całuje się z otwartymi oczami, ten nie kocha.

- To nie na żarty, prawda? - spytał.

Ścisnęła dłońmi skronie Sierioży, obróciła jego głowę do siebie.

- To na całe życie - powiedział powoli.

- Dziwne - odrzekła - teraz się boję: A nuż ktoś przyjdzie? A przedtem wydawało mi się szczęściem, jeśli ktokolwiek tu zajrzał - Lachow, Kołomiejcew, Zubariow...

- Griekow - podpowiedział.

- O nie - zaprzeczyła.

Zaczął całować jej szyję; wymacał palcami żelazny guzik na bluzie i odpiął go; dotknął ustami chudziutkiego obojczyka, nie odważył się jednak całować piersi. A ona głaskała jego szorstkie, niemyte włosy, jakby był dzieckiem. Już wiedziała, że wszystko, co się teraz dzieje, jest nieuniknione, że tak właśnie powinno być.

Popatrzył na fosforyzujący cyferblat zegarka.

- Kto was poprowadzi jutro? - spytała. - Griekow?

- Po co o tym... Sami pójdziemy, nie trzeba nas prowadzić.

Znowu ją objął; wzruszenie i nagła stanowczość sprawiły, że poczuł chłód w palcach, chłód w piersi. Dziewczyna na wpół leżała na szynelu, wydawało się nawet, że nie odycha. Sierioża dotykał to ordynarnego, zakurzonego materiału bluzy i spódnicy, to szorstkich kirzowych buciorów. Poczul ręką ciepło jej ciała. Spróbowała usiąść, ale on zaczął ją całować. Znowu pokazało się światło i na moment oświetliło furażerkę leżącą teraz na cegłach, twarz Kati, która w tej sekundzie wydała mu się nieznajoma. A zaraz potem znowu zrobiło się ciemno, jakoś szczególnie ciemno...

- Katia!

- Co?

- Nic, po prostu chciałem usłyszeć twój głos. Dlaczego na mnie nie patrzysz?

- Nie trzeba, nie trzeba, zgaś!

Znowu pomyślała o nim i o matce - kto jest jej droższy.

- Wybacz mi - powiedziała.

Zrozumiał ją i zapewnił: - Nie bój się, to na całe życie, jeśli tylko będzie jakieś życie.

- Wspominałam mamę.

- A moja matka umarła. Dopiero teraz zrozumiałem, że ją zesłali za tatę.

Zasnęli, objęci, na szynelu, a gospodarz domu podszedł do nich i patrzył, jak śpią. Moździerzysta Szaposznikow położył głowę na ramieniu radiotelegrafistki, ręką obejmował jej plecy, tak jakby bał się utracić dziewczynę. Griekowowi wydało się, że oboje są martwi, tak cicho i nieruchomo leżeli.

O świcie Lachow zajrzał do ich piwnicy i zawołał:

- Ej, Szaposznikow, ej, Katia, gospodarz domu was wzywa - i to już, biegiem,



na jednej nodze!

Twarz Griekowa o pochmurnym, zimnym świcie była nieubłagana, surowa. Oparł się potężnym ramieniem o ścianę, jego potargane włosy zasłaniały niskie czoło. Stali przed nim, przestępując z nogi na nogę, nie spostrzegli nawet, że stoją, trzymając się za ręce.

Griekow poruszył szerokimi nozdrzami swego spłaszczonego lwiego nosa i powiedział:

- Zostajesz odkomenderowany, Szaposznikow, pójdziesz zaraz do sztabu pułku.

Sierioża poczuł, jak drgnęły palce dziewczyny, i zacisnął dłoń, a ona poczuła, jak drżą jego palce. Usiłował przełknąć ślinę, ale język i podniebienie miał suche.

Cisza ogarnęła niebo, chmury, ziemię. Wydawało się, że leżący pokotem ludzie, przykryci szynelami, nie śpią, ale czekają z zapartym tchem.

Piękne i przyjazne było wszystko dookoła, a Sierioża pomyślał: „Wygnanie z raj, rozłącza nas jak parę chłopów pańszczyźnianych” - po czym błagalnie i zarazem nienawistnie popatrzył na Griekowa.

Griekow zmrużył oczy, wpatrując się w twarz dziewczyny, a jego wzrok wydał się Sierioży odrażający, bezczelny i okrutny.

- To wszystko - rzekł Griekow. - Pójdzie z tobą radiotelegrafistka; nie ma tu nic do roboty bez nadajnika, zaprowadzisz ją do sztabu.

Uśmiechnął się.

- A drogę to już sami znajdziecie. Weź papierek, wypisałem jeden dla obojga, nie znoszę pisaniny. Jasne?

Nagle Sierioża zobaczył, że patrzą na niego piękne, ludzkie, mądre i smutne oczy, jakich nigdy w życiu nie widział.

## 19

Komisarz pułku piechoty Piwowarow nie miał okazji trafić do domu „sześć przez jeden”.

Łączność radiowa z domem została przerwana; może zepsuł się nadajnik, a może kierującemu obroną kapitanowi Griekowowi znudziły się surowe rozkazy dowódców.

Przez jakiś czas wieści o oblężonym domu pochodziły wyłącznie od moździerzysty Czencowa, członka partii, który donosił, że „gospodarz domu” całkiem się rozpuścił - wygaduje przy żołnierzach diabli wiedzą jakie herezje. Co prawda, z Niemcami Griekow wojuje dzielnie, temu informator nie przeczył.

Nocą, akurat kiedy Piwowarow zamierzał przedrzeć się do domu „sześć przez jeden”, ciężko zachorował dowódca pułku Bieriozkin.

Leżał w schronie z rozpaloną twarzą; miał nieludzkie, kryształowo jasne, pozbawione wszelkiego wyrazu oczy.

Doktor popatrzył na Bieriozkina i stropił się. Przywykł mieć do czynienia ze zgruchotanymi kończynami, z rozbitymi czaszkami, a tu nagle człowiek ot, tak po

prostu - sam zachorował.

Powiedział: - Warto by postawić bańki, ale skąd ja je wezmę? Piwowarow postanowił zameldować przełożonym o chorobie dowódcy pułku, uprzedził go jednak komisarz dywizji, który zadzwonił do niego i kazał mu niezwłocznie stawić się w sztabie.

Kiedy Piwowarow, trochę zdyszany (musiał dwukrotnie padać na ziemię, tak blisko wybuchały pociski), wszedł do schronu, komisarz dywizji rozmawiał z komisarzem batalionowym, który przeprowił się z lewego brzegu. Piwowarow słyszał o tym człowieku wygłaszającym pogadanki w jednostkach dyslokowanych w fabrykach.

Powiedział głośno: - Melduję się na rozkaz - i od razu poinformował o chorobie Bieriozkina.

- Taak, główniana sprawa - rzekł komisarz dywizji. - Będziecie, towarzyszu Piwowarow, musieli wziąć na siebie dowodzenie pułkiem.

- A co z okrażonym domem? - Niech was o to głowa nie boli. Wokół tego domu narobili tu takiego szumu, że sprawa doszła do sztabu frontu.

Pomachał Piwowarowowi przed nosem szyfrowaną depeszą.

- Właściwie w tej sprawie was wezwałem. Jest tu towarzysz Krymow; zarząd polityczny frontu polecił mu udać się do okrażonego domu, przywrócić tam bolszewickie zasady, zostać komisarzem bojowym, a w razie czego odsunąć Griekowa i przejąć dowodzenie... Ponieważ cały ten kram znajduje się na waszym odcinku, zabezpieczcie tam wszystko, co trzeba, żeby przedostać się do tego budynku i później utrzymać z nim łączność. Jasne? - Jasne - odrzekł Piwowarow. - Rozkaz wykonam.

Następnie już zwyczajnym, nieoficjalnym tonem spytał Krymowa: - Towarzyszu komisarzu batalionowy, czy to na pewno wasze zadanie pracować z tymi chłopakami? - Właśnie moje. - Komisarz, który przybył z lewego brzegu, uśmiechnął się. - W lecie czterdziestego pierwszego na Ukrainie wyprowadziłem dwustu ludzi z okrażenia; partyzanckich nastrojów też tam było dosyć.

Komisarz dywizji powiedział: - No cóż, towarzyszu Krymow, działajcie. Utrzymujcie łączność ze mną. Bo przecież tak być nie może - jakieś państwo w państwie.

- Tak, i jest jeszcze tam jakaś paskudna sprawa z radiotelegrafistką rzekł Piwowarow. - Nasz Bieriozkin ciągle się martwi, bo ich nadajnik milczy. A chłopaki tam są takie, że wszystkiego się można po nich spodziewać.

- Dobra, na miejscu ocenicie sytuację, teraz idźcie. Życzę powodzenia - pożegnał Piwowarowa komisarz dywizji.

20

Nazajutrz po tym, jak Griekow odesłał Szaposznikowa i Katię Wiengrow, Krymow w towarzystwie żołnierza z pepeszą wyprawił się do sławnego, otoczonego przez Niemców domu.

Wyszli ze sztabu pułku piechoty jasnym zimnym wieczorem. Ledwie Krymow znalazł się na wyasfaltowanym dziedzińcu fabryki traktorów, wyraźniej i mocniej niż

kiedykolwiek odczuł, że jego życie jest w niebezpieczeństwie.

A jednak nawet wtedy nie opuściły go radosne wzruszenia, zapamiętał.

Szyfrówka, która niespodziewanie nadeszła ze sztabu frontu, jakby 430 potwierdziła jego zdanie, że tutaj, w Stalingradzie, wszystko jest inne, inne są stosunki, oceny, wymagania wobec ludzi. Krymow znowu był Krymowem; nie inwalidą z drużyny rezerwistów, ale komisarzem bojowym, bolszewikiem. Nie przerażała go trudna i niebezpieczna misja. Tak dobrze, tak pięknie było czytać we wzroku komisarza dywizji i Piwowarowa to samo, co zawsze czytał w oczach towarzyszy partyjnych.

Wśród brył rozbitego pociskiem asfaltu, przy zniszczonym moździerzu, leżał zabity żołnierz.

Dziwne, że teraz, kiedy Krymow był pełen wielkich nadziei, triumfował, widok tych zwłok nim wstrząsnął. Widział już wiele trupów i nie robiły na nim wrażenia. Ale dzisiaj wzdrzgnął się - bezradne, wypełnione śmiercią ciało przypominało martwego ptaka; nieboszczyk podkurczył nogi, jakby mu było zimno.

Koło nich, zasłaniając skroń grubą torbą polową, przebiegł politruk, w szarym, marszczącym się płaszczu, żołnierze wlekli na płaszczu-pałatce miny przeciwczołgowe, bezładnie pomieszane z bochenkami chleba.

Nieboszczyk nie potrzebował chleba ani broni, nie chciał listu od wiernej żony. Śmierć nie dała mu swojej siły - był nieżywym wróblem, którego nie boją się muszki ani robaczki.

W wyrwie ściany hali fabrycznej artylerzyści ustawiali działo pułkowe i wymyślali obsłudze cekaemu. Po gestykulacji łatwo było poznać, o co się kłóć.

- Nasz cekaem, wiesz, jak długo tutaj stoi? Wy jeszcze gadaliście na tamtym brzegu, jak myśmy tu strzelali! - Patrzcie, co za chamy! Powietrze zawyło, pocisk rozerwał się w kącie hali. Odłamki zastukały po murach. Żołnierz, idący przed Krymowem, obejrzał się, żeby sprawdzić, czy ten żyje. Zaczekał na komisarza i powiedział: - Nie przejmujcie się, towarzyszu komisarzu, według nas to tu jest zaplecze, głębokie tyły.

Wkrótce Krymow sam już zrozumiał, że dziedziniec fabryczny to spokojne miejsce.

Musieli i biec, i padać, z nosem zarytym w ziemię, znowu biec i znowu padać. Dwa razy wskakiwali do okopów, w których siedziała piechota; biegli między spalonymi domkami, gdzie nie było już 431 ludzi, tylko żelazo wyło i świszcząca... Żołnierz znowu na pocieszenie powiedział: - To jeszcze nic; grunt, że na nas nie pikują. - Po czym zachęcił: No dalej, towarzyszu komisarzu, do tamtego dołu.

Krymow spełzył na dno leja po bombie i spojrzał w górę - nad głową miał sine niebo, a sama głowa była cała, jak przedtem siedziała na karku. Dziwne: odczuwać ludzką obecność jedynie na podstawie faktu, że nad głową wyje śmierć, którą ludzie z obu stron posyłają.

Dziwne także to poczucie bezpieczeństwa w leju, wrytym rydłem śmierci.

Żołnierz, nie pozwolił mu wytchnąć, mówiąc: - Włażcie za mną! - I wpełznął do

ciemnego otworu, który, jak się okazało, znajdował się na dnie dołu. Krymow przecisnął się w ślad za żołnierzem, a wtedy niskie przejście rozszerzyło się, jego sklepienie podniosło; znaleźli się w tunelu.

Pod ziemią słychać było naziemną burzę, dudnienie, strop drżał.

Tam, gdzie szczególnie gęsto przebiegały żeliwne rury i rozwidlały się ciemne kable grubości ludzkiej ręki, na ścianie napisano minią: „Machow jest osioł”. Żołnierz poświecił latarką i powiedział: - Tu nad nami chodzą Niemcy.

Wkrótce skręcili w wąskie przejście i posuwali się w kierunku ledwie widocznej jasnoszarej plamy; coraz jaśniejsza robiła się ta plama w głębi przejścia, skąd dolatywały coraz wściekłe wybuchy i serie z kaemów.

Krymow przez chwilę miał wrażenie, że idzie na szafot. Ale wyszli na powierzchnię i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były ludzkie twarze; wydały mu się one olimpijsko spokojne.

Ogarnęło go uczucie niedającej się opisać radosnej lekkości. Nawet szalejącą wojnę wyobraził sobie nie jako ostateczną granicę życia i śmierci, ale jako burzę nad głową młodego, silnego, pełnego życia wędrowca.

Czuł jakąś mocną, dojmującą pewność, że to właśnie jest chwila nowego, szczęśliwego przełomu w jego losach.

W świetle jasnego wieczoru widział jakby swoją przyszłość - znowu będzie żył pełnią umysłu, woli, bolszewickiej pasji.

Poczucie, że jest młody i pewny siebie, zmieszało się ze smutkiem, że odeszła kobieta, która wydawała mu się teraz nieskończenie droga.

432 Tyle że już nie uważał jej za straconą na zawsze. Wróci do niego razem z siłą, razem z dawnym życiem. Szedł po nią! Stary człowiek w nasuniętej na czoło furazerce stał nad płonącym na podłodze ogniskiem i przewracał bagnetem placki kartoflane, smażące się na kawałku blachy; gotowe wkładał do metalowego hełmu. Kiedy zobaczył łącznika, spytał szybko: - Sierioża tam jest? Łącznik rzekł surowo: - Komisarz przyszedł! - Ile macie lat, ojczy? - spytał Krymow.

- Sześćdziesiąt - odrzekł stary i wyjaśnił: - Jestem ochotnik, z fabryki.

Znowu zerknął na łącznika.

- Sieriożka tam jest? - W pułku go nie ma, widocznie trafił do sąsiadów.

- Ech - powiedział stary ze złością - przepadnie.

Krymow witał się z ludźmi, rozglądał się, wpatrywał w piwnice poddzielane na wpół rozebranymi drewnianymi przepierzeniami.

Z otworu wyrąbanego w ścianie wзираło pułkowe działo.

- Jak na okręcie - zauważył.

- Tak, tylko że wody mało - odrzekł krasnoarmiejec.

Trochę dalej, w kamiennych jamach i szczelinach, stały moździerze.

Na podłodze zobaczył ogoniaste granaty. Obok, trochę dalej, na płaszczu-pałatce leżał akordeon.

- Samotny dom „sześć przez jeden” trzyma się, nie poddaje faszystom - głośno powiedział Krymow. - Cały świat, miliony ludzi cieszą się z tego.

Ludzie milczeli.

Stary Polakow podał Krymowowi hełm, pełen placków.

- A nie piszą o tym, jak Polakow smaży placki? - Wy sobie żartujecie - rzekł z wyrzutem Polakow - a naszego Sieriożkę zabrali.

Moździerzysta spytał: - Otworzyli może drugi front? Mówią coś? - Na razie nie - odparł Krymow.

Człowiek w koszulce gimnastycznej i w rozpiętym mundurze powiedział: 433 - Jak zaczęła walić ciężka artyleria zza Wołgi, to Kołomiejcewa zbiła z nóg fala uderzeniowa. A ten wstaje i mówi: „No, kochani, drugi front otworzyli”.

Ciemnowłosy chłopak zaprotestował: - Nie gadaj, gdyby nie artyleria, nie siedzielibyśmy tu. Pożarliby nas Niemcy.

- No, a gdzie jest dowódca? - spytał Krymow.

- O, tam się ulokował, na pierwszej linii.

Dowódca oddziału leżał na wysokiej kupie cegieł i patrzył przez lornetkę.

Kiedy Krymow do niego zawołał, niechętnie odwrócił twarz. Z chytrą miną przyłożył ostrzegawczo palec do ust, po czym znowu wziął lornetkę. Po kilku chwilach jego ramiona zatrzęsyły się ze śmiechu. Zlął z kupy cegieł i powiedział: - To gorsze niż szachy. - Kiedy zaś spostrzegł zielone belki i gwiazdę komisarza na bluzie Krymowa, dodał: - Witajcie w naszej chałupinie, towarzyszu komisarzu batalionowy. - Przedstawił się: - Gospodarz domu Griekow. Przysłiście naszym tunelem? Wszystko w nim - i spojrzenie, i szybkie ruchy, i szerokie nozdrza spłaszczonego nosa - świadczyło o odwadze; Griekow był uosobieniem śmiałości.

„To nic, to nic, już ja cię złamię” - pomyślał Krymow.

I zaczął go wypytywać. Griekow odpowiadał leniwie, z roztargnieniem, ziewając i rozglądając się, jakby pytania Krymowa przeszkadzały mu przypomnieć sobie coś naprawdę istotnego.

- Zmienić was? - spytał Krymow.

- A po co? - odrzekł tamten. - Tylko machorki, no i, oczywiście, min, granatów podrzucilibyście na kukuruźnikach... A jeśli wam nie szkoda, to wódeczki i jedzonka. - Wyliczając to, po kolei zaginał palce.

- To znaczy, że nie zamierzacie się wycofać? - spytał zirytowany Krymow, mimo woli jednak podziwiając nieładną twarz Griekowa.

Milczeli, i podczas tej chwili milczenia Krymow przemógł wreszcie w sobie uczucie duchowej zależności od ludzi z okrażonego domu.

- Dziennik działań bojowych prowadzicie? - spytał.

- Nie mam papieru - odparł Griekow. - Pisać nie ma na czym, nie ma kiedy, a i nie ma po co.

434 - Podlegacie dowódcy sto siedemdziesiątego szóstego pułku piechoty -

przypomniał mu Krymow.

- Tak jest, towarzyszu komisarzu - potwierdził Griekow i kpiącym tonem dodał:  
- Kiedy odcięto osiedle i zebrałem w tym domu ludzi, broń, kiedy odparłem trzydzieści ataków i spaliłem osiem czołgów, nie było nade mną dowódców.

- Znacie dokładnie stan oddziału na dzień dzisiejszy, sprawdziliście? - A po co? Mam robić raport stanu? Niby dla kogo, dla działu gospodarczego? Ja się tam nie zaopatruję, żyjemy o zgniłej wodzie i zgniłych kartoflach.

- Kobiety tutaj są? - Towarzyszu komisarzu, wy mi tu chyba przesłuchanie urządzacie? - Ktoś z waszych ludzi dostał się do niewoli? - Nie, nie było takiego wypadku.

- To w takim razie gdzie jest wasza radiotelegrafistka? Griekow zagryzł wargę, ściągnął brwi i odpowiedział: - Ta dziewczyna to niemiecki szpieg, zwerbowała mnie, a potem ja ją zgwałciłem i zastrzeliłem. - Podniósł głowę i spytał: - Takiej odpowiedzi potrzebujecie, co? - I z drwiną dodał: - Widzę, że sprawa pachnie batalionem karnym, zgadza się, towarzyszu komisarzu? Krymow przez kilka chwil patrzył na niego w milczeniu, po czym powiedział: - Oj, Griekow, Griekow, w głowie się wam przewróciło. Ja też byłem w okrążeniu. Mnie też wypytywali.

Popatrzył na niego i powoli rzekł: - Mam rozkaz, żeby w razie konieczności odebrać wam i samemu przejąć dowództwo nad ludźmi. Po co zaostzacie sytuację i prowokujecie mnie do tego? Griekow milczał, namyślał się; nasłuchiwał chwilę, potem stwierdził: - Ucicha; Niemcy się uspokoili.

435 21 - No i dobrze, posiedzimy we dwóch - powiedział Krymow - ustalimy, co dalej.

- A po co mamy siedzieć we dwóch? - zareplikował Griekow. - My tu wszyscy walczyliśmy razem, i co dalej, też razem ustalamy.

Śmiałość Griekowa podobała się Krymowowi, ale równocześnie go złościła. Miał ochotę opowiedzieć dowódcy o okrążeniu na Ukrainie, o swoim życiu przed wojną, żeby Griekow nie brał go za urzędnika.

Ale wyczuwał, że taką opowieścią okazałby swoją słabość. Przecież nie był urzędnikiem wydziału politycznego, był komisarzem bojowym.

„No nic - pomyślał - komisarz nie nawali”.

W zaciszu ludzie siedzieli albo leżeli, oparci o sterty rozbitych cegieł.

Griekow powiedział: - Dzisiaj Niemcy już nie uderzą. - Po czym zaproponował: - Dobra, komisarzu, zjedzmy coś.

Krymow usiadł obok Griekowa wśród odpoczywających ludzi.

- Patrzę na was wszystkich - odezwał się - a po głowie ciągle mi chodzą słowa wielkiego wodza: „Zawsze Rus bił Prusa”.

Niezbyt donośny, leniwy głos potwierdził: - Jaaasne! W tym „jaaasne” było tyle lekceważącej drwiny z wszelkich uogólniających stwierdzeń, że siedzący cicho zachichotali. W końcu nie tylko nie gorzej od autora słów: „Rus bił Prusa”, wiedzieli, jaka siła kryje się w Rosjanach, ale byli naocznym świadkiem tej siły. Wiedzieli jednak

też, że Prus doszedł do Wołgi i Stalingradu wcale nie dlatego, że Rus zawsze go bił.

Dziwnie czuł się Krymow w tej chwili. Nie lubił, kiedy pracownicy polityczni wychwalali dawnych wodzów rosyjskich; jego rewolucyjna dusza wzdrygała się, gdy w „Czerwonej Gwieździe” cytowano wypowiedzi generała Dragomirowa; uważał za niepotrzebne wprowadzenie orderów Suworowa, Kutuzowa i Bohdana Chmielnickiego. Rewolucja to rewolucja, jej armii potrzebny jest tylko jeden sztandar - czerwony.

Kiedyś, gdy był członkiem komitetu rewolucyjnego w Odessie, razem z dokerami i komsomolcami pomaszerował, żeby strącić z piedestału brązowe cielsko wielkiego Suworowa, który na czele pańszczyźnianego wojska rosyjskiego szedł na Włochy.

436 Ale właśnie tutaj, w domu „sześć przez jeden”, po raz pierwszy w życiu cytując słowa Suworowa o „biciu Prusa”, Krymow poczuł, że chodzi o jedną i tę samą, od wieków trwającą chwałę zbrojnego ludu rosyjskiego. Wydało mu się, że po nowemu widzi teraz nie tylko temat swoich prelekcji, ale i główny wątek własnego życia.

Dlaczego właśnie dzisiaj, kiedy znowu oddychał atmosferą leninowskiej rewolucji, nawiedziły go takie myśli i uczucia? To drwiące, leniwe „jaaasne”, wypowiedziane przez któregoś z wojaków, boleśnie go dotknęło.

- Nie muszę was uczyć, jak się walczy, towarzysze - rzekł Krymow. Tego sami nauczylibyście każdego. Ale dlaczego mimo to dowództwo uznało za wskazane przysłać mnie do was? Po co, powiedzcie mi, do was przyszedłem? - Może na zupełną? - podsunął ktoś cicho i życzliwie.

Ale śmiech, którym słuchacze powitali to nieśmiałe przypuszczenie, nie był cichy. Krymow spojrział na Griekowa.

Ten śmiał się razem ze wszystkimi.

- Towarzysze - ciągnął Krymow, a na policzki wystąpił mu rumieniec niezadowolenia. - Trochę poważniej, towarzysze. Przysłała mnie do was partia.

Cóż to znowu? Chwilowy nastrój czy bunt? Niechęć do wysłuchania komisarza, zrodzona z poczucia własnej siły, z własnego doświadczenia? A może wesołość słuchaczy nie kryła w sobie nic zdrożnego; po prostu wynikała z poczucia naturalnej równości, które w Stalingradzie było takie mocne? Czemu jednak to poczucie naturalnej równości, które dotąd Krymowa zachwycało, teraz budziło w nim złość, chęć, żeby je osłabić, zdławić? Z tymi ludźmi Krymow nie umiał nawiązać kontaktu nie dlatego, że byli przytłoczeni, speszeni, że się bali. Ci tutaj czuli się mocni i pewni siebie. Czyżby to poczucie siły osłabiało ich więź z komisarzem Krymowem, budziło obcość, wrogość i w nich, i w nim? Odezwał się stary, który piekł placki: - A ja już od dawna chciałem się zapytać kogoś partyjnego. Mówią, towarzyszu komisarzu, że jak nastanie komunizm, to wszyscy będą dostawali według potrzeb. To jak to będzie, jeśli każdemu dadzą według potrzeb, szczególnie rano - wszyscy się upiją? 437 Krymow odwrócił się do staruszka i zobaczył na jego twarzy szczerą troskę.

A Griekow śmiał się, śmiały się jego oczy, wielkie, szerokie nozdrza rozdymały śmiech.

Saper z głową przewiazaną brudnym, okrwawionym bandażem, spytał: - Albo z tymi kołchozami, towarzyszu komisarzu. Żeby je zlikwidowali po wojnie.

- O, nieźle byłoby urządzić pogadankę na ten temat - dodał Griekow.

- Nie przyszedłem tu do was z prelekcjami - rzekł Krymow. - Jestem komisarzem wojskowym, przyszedłem, żeby ukrócić waszą niedopuszczalną partyzantkę.

- To ukróćcie - odparł Griekow. - Tylko kto Niemców ukroci? - Znajdą się tacy, niech was o to głowa nie boli. Nie na zupełną przyszedłem, jak tu ktoś powiedział, ale ugotować bolszewicką kaszę.

- No to cóż - ciągnął swoje Griekow - gotujcie tę kaszę.

Krymow, niby to żartem, ale zarazem poważnie, zauważył: - A jak trzeba będzie, to i was, Griekow, zjedzą w bolszewickiej kaszy.

Teraz Nikołaj Grigorjewicz był spokojny i pewny siebie.

Już nie miał wątpliwości, jaka decyzja będzie najślusniejsza. Griekowowi należy odebrać dowództwo.

Teraz już wyraźnie widział u Griekowa wrogość i obcość, których nie mogło zrównoważyć czy choćby złagodzić bohaterstwo, jakim wykazał się w oblężonym domu. Krymow wiedział, że sobie z Griekowem poradzi.

Kiedy się ściemniło, podszedł do gospodarza domu i powiedział: - Słuchajcie, Griekow, pogadajmy poważnie i szczerze. Czego wy właściwie chcecie? Griekow przelotnie spojrzał na niego z dołu - bo siedział, a Krymow stał - i odparł pogodnie: - Chcę wolności i o nią walczę.

- Wszyscy jej chcemy.

- Dajcie spokój! - Griekow machnął ręką. - Na cholere wam wolność? Wy tylko z Niemcami chcecie sobie dać radę.

- Nie żartujcie, towarzyszu Griekow - rzekł Krymow. - Dlaczego nie reagujecie na niesłuszne polityczne wypowiedzi niektórych żołnierzy? 438 Co? Z waszym autorytetem możecie to zrobić nie gorzej niż jakikolwiek komisarz. A ja mam wrażenie, że ludzie gadają byle co i oglądają się na was, jakby czekali na waszą aprobatę. Na przykład ten, który pytał się o kołchozy. Dlaczego go poparliście? Mówię wam wprost: razem to naprawmy. A jeśli nie chcecie, to tak samo wprost wam mówię: żartów nie będzie.

- O kołchozy, a cóż w tym takiego? Przecież ludzie naprawdę ich nie lubią, wiecie to tak samo dobrze, jak ja.

- A wy, Griekow, co, zamierzacie zmienić bieg historii? - A wy chcecie wszystko skierować z powrotem na stare tory? - Jakie „wszystko”? - Wszystko. Ten powszechny przymus.

Mówił głosem leniwym, rzucając słowa z uśmiechem. Nagle wstał i powiedział: - Towarzyszu komisarzu, nie bójcie się, nic tu nie knuję. Trochę się chciałem z wami podroczyć. Jestem człowiekiem radzieckim, tak samo jak wy. Nieufność mnie obraża.

- No to dalej, Griekow, bez żartów. Pomówmy serio, jak wykorzenić niedobrego, nieradzieckiego ducha. Wyście go wywołali, pomóżcie mi go wykurzyć. Przecież czeka was jeszcze sława bojowa.



- Chce mi się spać. Wy też musicie odpocząć. Zobaczycie, co tu od rana będzie się wyrabiało.

- Dobra, Griekow, może być jutro. Nie zamierzałem stąd odchodzić, nigdzie się nie śpieszę.

Griekow roześmiał się.

- Na pewno się dogadamy.

„Wszystko jasne - pomyślał Krymow. - Nie będę zajmował się homeopatią. Zadziałam nożem chirurgicznym. Politycznych garbów nie usuwa się perswazją”.

Griekow niespodziewanie zauważył: - Oczy macie dobre. Widać w nich smutek.

To było tak niespodziewane, że Krymow rozłożył ręce i nic nie odpowiedział. A Griekow, jakby usłyszał potwierdzenie swoich słów, dodał: - Wiecie, mnie samemu tęskno. Tylko że to głupstwo, osobista sprawa. O tym się w raportach nie pisze.

Nocą, podczas snu, Krymow został ranny w głowę. Zbłąkana kula zdarła skórę i drasnęła czaszkę. Rana była niegroźna, ale w głowie 439 mocno mu się kręciło, więc nie mógł ustać na nogach. Cały czas miał mdłości.

Griekow kazał sporządzić nosze i wcześniej rano, kiedy jeszcze było cicho, wyniesiono komisarza z okrażonego domu.

Leżał na noszach; bolało go, kręciło mu się w głowie, w skroni kłuło i stukało.

Griekow odprowadził go do podziemnego przejścia.

- Mieliście pecha, towarzyszu komisarzu - powiedział.

Nagle przeszło Krymowa podejrzenie - czy to nie Griekow strzelił do niego w nocy? Pod wieczór Krymow zaczął wymiotować, ból głowy się nasilił.

Dwa dni przeleżał w dywizyjnym punkcie sanitarnym, a potem przetransportowano go na lewy brzeg i umieszczono w szpitalu.

22 Komisarz Piwowarow dotarł do ciasnych ziemianek punktu medycznego i zastał ciężką sytuację - ranni leżeli pokotem. Krymowa już tu nie było, poprzedniego dnia w nocy zabrano go na lewy brzeg.

„Tak od razu został ranny? - myślał Piwowarow. - Miał pecha czy też może szczęście?” Piwowarow chciał się przy okazji przekonać, czy warto przenosić chorego dowódcę pułku do punktu sanitarnego. Kiedy dostał się z powrotem do schronu sztabowego (po drodze omal nie zginął od odłamka niemieckiego pocisku), powiedział fizylierowi Głuszkowowi, że na punkcie medycznym absolutnie nie ma warunków do leczenia chorego.

Dookoła poniewierają się kupy zakrwawionej gazy, bandaży, waty - aż strach podejść. Słuchając komisarza, Głuszkow powiedział: - Jasne, towarzyszu komisarzu, we własnym schronie zawsze lepiej.

- Tak. - Komisarz kiwnął głową. - W dodatku tam nie robią różnicy, kto dowódca pułku, a kto prosty wojak, wszystkich równo na podłogę.

A Głuszkow, który musiałby leżeć na podłodze, powiedział: - Jasne, tak być nie powinno.

- Rozmawiałeś z nim? - spytał Piwowarow.

440 - Nie. - Głuszkow machnął ręką. - Co to za rozmowa, towarzyszu komisarzu? Przyszedł list od żony, leży obok, a dowódca nawet nie popatrzy.

- Co ty mówisz? - zdumiał się Piwowarow. - Nie popatrzy? To okropne, musi być naprawdę chory! Wziął list, zważył go na dłoni, zbliżył do twarzy Bieriozkina i surowym, pouczającym tonem rzekł: - Iwanie Leontjewiczu, macie list od małżonki! - Odczekał chwilę i całkiem innym tonem dodał: - Wania, słyszysz? Od żony! Co, nie rozumiesz, Wania? Bieriozkin nie rozumiał.

Twarz miał czerwoną, rozpaloną; błyszczące oczy przenikliwie, ale bezmyślnie spoglądały na Piwowarowa.

Wojna z uporem pukała tego dnia do schronu, gdzie leżał chory dowódca pułku. Łączność telefoniczna już w nocy na prawie wszystkich liniach została zerwana; ale nie wiedzieć czemu właśnie w ziemiance Bieriozkina telefon działał bez przerwy; dzwonili przez niego z dywizji, dzwonili z wydziału operacyjnego sztabu armii, dzwonił sąsiad - dowódca pułku z dywizji Gurjewa, dzwonili dowódcy batalionów - Podczufarow i Dyrkin. W schronie cały czas tłoczyli się ludzie, skrzypiały drzwi i powiewał płaszcz-pałatka, powieszony przez Głuszkowa przy wejściu. Niepokój, nastrój oczekiwania od rana udzieliły się ludziom.

Tego dnia, który na razie nie przyniósł nic poza leniwą kanonadą artylerii i rzadkimi, niedbale przeprowadzonymi i nieskutecznymi nalotami, wielu nabrało niesamowitej pewności, że Niemcy właśnie dziś uderzą. To przekonanie dręczyło jednakowo i Czujkowa, i komisarza pułku Piwowarowa, i ludzi siedzących w domu „sześć przez jeden”, i pijącego rankiem wódkę dowódcę plutonu piechoty, który obchodził dzisiaj urodziny przy kominie fabryki traktorów w Stalingradzie.

Za każdym razem, kiedy w schronie Bieriozkina rozmowa schodziła na ciekawsze albo wesołe tematy, wszyscy oglądali się na dowódcę czyżby nawet tego nie słyszał? Dowódca kompanii Kurkow ochryplym po nocnych chłodach głosem opowiadał komisarzowi, że przed świtem wyszedł z piwnicy, która była jego stanowiskiem dowodzenia, przysiadł na kamieniu i nasłuchiwał, czy Niemcy czegoś nie wyrabiają. Nagle z nieba doleciał poirytowany głos: „Kurka, czegoście kaganków nie zapalili?” 441 Kurkow na chwilę osłupiał, nawet się przeraził. Któż to w niebie zna jego nazwisko? Ale potem się okazało, że to pilot kukuruźnika wyłączył silnik i szybował tuż nad głowami ludzi; widocznie miał zrzucić żywność dla domu „sześć przez jeden” i zły był, że nie oznakowano pierwszej linii.

Wszyscy w schronie obejrzeli się na Bieriozkina - nawet teraz się nie uśmiechnie? Ale tylko Głuszkowowi wydało się, że w błyszczących, szklanych oczach chorego pojawił się żywy punkcik. Przyszła godzina obiadu, schron opustoszał. Bieriozkin się nie odzywał, a Głuszkow wzdychał: Bieriozkin leży, obok niego upragniony list. Piwowarów i major - nowy szef sztabu, który zastąpił zabitego Kotienkowa - poszli na obiad, jedzą wyśmienity barszcz, na pewno golną sobie do niego po setce. Kucharz częstował Głuszkowa tym dobrym barszczem. A dowódca pułku, gospodarz, nie je - łyknął tylko wody z kubka.

Głuszkow otworzył kopertę, podszedł do łóżka i powoli, wyraźnie, ale niezbyt głośno przeczytał: „Dzień dobry, mój kochany Wania, witaj, mój jedyny, mój

najdroższy".

Głuszkow zachmurzył się i dalej głośno czytał. Czytał leżącemu bez przytomności dowódcy list od żony, czuły, smutny i dobry. List ten czytali już cenzorzy wojskowi, chociaż czytać go powinien tylko jeden człowiek na świecie - Bieriozkin. Głuszkow nie bardzo się zdziwił, kiedy dowódca odwrócił głowę i powiedział: „Daj tutaj” - i wyciągnął rękę.

Linijki listu drżały w jego silnych palcach.

„Wania, tutaj jest bardzo ładnie, Wania, tak tęsknimy za Tobą. Luba ciągle pyta, dlaczego nie ma z nami taty. Mieszkamy na brzegu jeziora, a w domu jest ciepło, gospodyni ma krowę, mleko, są pieniądze, które przysłałeś. Rano wychodzę, a po wodzie pływają żółte i czerwone liście klonów, dookoła już leży śnieg, i przez to woda jest wyjątkowo niebieska, i niebo jest niebieskie, i liście takie niesamowicie żółte, niesamowicie czerwone. Luba mnie pyta: „Dlaczego płaczesz?” Wania, Wania mój kochany, dzięki Ci za wszystko, dzięki za wszystko, za wszystko, za Twoją dobroć. Dlaczego płaczę? Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Płaczę dlatego, że żyję, płaczę z rozpaczy, że nie ma Sławy, a ja żyję, ze szczęścia, że Ty żyjesz, płaczę, kiedy wspominam mamę, siostry, płaczę, że rankiem jest znowu świt, dlatego, że tak pięknie jest dookoła i takie nieszczęście, wszędzie, u wszystkich, i u mnie, Wania, Wania, kochany, najdroższy mój, najukochańszy...” 442 Kręci się w głowie, wszystko wokół zlewa się, drżą palce, list też drży razem z rozpalonym powietrzem.

- Głuszkow - powiedział Bieriozkin. - Musicie mnie dzisiaj uzdrowić (Tamara nie lubiła tego słowa). Co tam z grzałką, jest cała? - Cała. Jakże to tak - w jeden dzień uzdrowić? Macie gorączkę, czterdziestka chyba, jak ta wódka. To gdzież tak od razu? Rozległo się dudnienie, bo żołnierze wtoczyli do schronu beczkę po benzynie. Do połowy napełnili ją dymiącą od żaru, mętną rzeczną wodą. Wodę nalewali czerpakiem i brezentowym wiaderkiem.

Głuszkow pomógł się Bieriozkinowi rozebrać i doprowadził go do beczki.

- Bardzo gorąca, towarzyszu podpułkowniku - mówił, dotykając zewnętrznej strony beczki i cofając rękę. - Jeszcze się ugotujecie. Wołałem towarzysza komisarza, ale jest u dowódcy dywizji na zebraniu; lepiej na niego poczekajmy.

- Po co czekać? - Jeśli wam się coś stanie, to się zastrzelę. A jak się sam nie odważę, to zastrzeli mnie towarzysz komisarz.

- Dalej, pomóż mi.

- Pozwólcie, żebyśmy chociaż szefa sztabu zawołał.

- No - rzekł Bieriozkin, a Głuszkow od razu przestał oponować, chociaż to ochryple, krótkie „no” powiedział nagi, z trudem trzymający się na nogach człowiek.

Bieriozkin wlaź do wody, zaczął jęczeć, krzyknął, szarpnął się, a Głuszkow, patrząc na niego, też zaczął jęczeć i chodzić wokół beczki.

„Jak przy porodzie” - przeszło mu przez myśl.

Bieriozkin na jakiś czas stracił przytomność i wszystko zmieszało się we mgle - i gorączka, i wojenny niepokój. Serce nagle zamarło, zatrzymało się i strasznie gorąca woda przestała nieznośnie piec. Potem dowódca przyszedł do siebie i powiedział do

Głuszkowa: - Trzeba wytrzeć podłogę.

Ale Głuszkow nie zauważył nawet, że woda przelała się przez brzegi beczki. Purpurowa twarz dowódcy pułku zaczęła blednąć, usta się rozchyliły, na ogoloną głowę wystąpiły duże krople potu, które Głuszkowowi wydały się niebieskie. Bieriozkin znowu zaczął tracić przytomność, ale kiedy Głuszkow próbował wyciągnąć go z wody, wyraźnie zabronił: 443 - Jeszcze nie - i zaczął kaszleć. W końcu atak kaszlu minął; Bieriozkin nie zdążył nawet złapać dobrze oddechu, a już polecił: - Dolej no wrzątku.

W końcu wygramolił się z wody, Głuszkow zaś, patrząc na niego, zupełnie się załamał. Pomógł Bieriozkinowi wytrzeć się i położyć na łóżku, przykrył go kołdrą i szynelami, potem zaczął narzucać na niego wszystko, co znalazł w schronie - płaszcze-pałatki, waciaki, watowane portki.

Kiedy wrócił Piwowarow, w schronie było już posprzątane, tylko w powietrzu unosiło się wilgotne łaźiebne powietrze. Bieriozkin leżał cicho, spał. Piwowarow przystanął nad nim.

„Piękną ma twarz - pomyślał. - Ten na pewno nie pisał doniesień”.

Przez cały dzień niepokoiło go wspomnienie tego, jak przed pięcioma laty demaskował Szmielowa, swojego kolegę z dwuletnich kursów dzisiaj, kiedy zapadła ta złowroga, dręcząca cisza, każdy drobiazg z przeszłości pchał się do głowy, pchał się i Szmielow, spoglądający na zebranych z żalosną, zbolałą miną, kiedy na zebraniu odczytywano deklarację jego przyjaciela Piwowarowa.

Około dwunastej w nocy Czujkow zadzwonił, pomijając dowódcę dywizji, do pułku stacjonującego na osiedlu fabryki traktorów. Bardzo się o niego obawiał - wywiad doniósł, że w tym rejonie szczególnie uparcie postępuje koncentracja niemieckich czołgów i piechoty.

- No, co tam u was? - zapytał rozdrażniony. - Kto w końcu dowodzi pułkiem? Batiuk mówił mi, że dowódca ma podobno zapalenie płuc, chce go wyprawić na lewy brzeg.

Odpowiedział mu mocny głos: - Ja dowodzę pułkiem, podpułkownik Bieriozkin. Było trochę kłopotu, zaziębiłem się, ale teraz już wszystko jest w porządku.

- Właśnie słyszę. - Czujkow mówił tak, jakby cieszył się z nieszczęścia. - Mocno zachrypleś, ale Niemcy ci dadzą gorącego mleka. Bo wiedz, że ugotowali, i na pewno nie pożałują.

- Rozumiem, towarzyszu dowódco - odrzekł Bieriozkin.

- A, rozumiesz - powiedział z groźbą w głosie Czujkow. - No, pamiętaj: jak spróbujesz się cofnąć, to ci zrobię kogel-mogel, nie gorszy od niemieckiego mleka.

444 23 Polakow umówił się z Klimowem, że nocą pójda do pułku; chciał się dowiedzieć czegoś o Szaposznikowie.

Stary powiedział o swoich zamiarach Griekowowi, a ten się ucieszył: - Idź, ojciec, idź. Sam trochę na tyłach odpoczniesz, potem opowiesz, co tam z nimi.

- Niby z Katią? - chciał się upewnić Polakow, domyślając się, dlaczego Griekow go pochwalił.

- Przecież ich tam już nie ma - powiedział Klimow. - Słyszałem, że dowódca pułku odkomenderował oboje na Zawołże. Na pewno już w Achtubie wzięli ślub.

Polakow, złośliwy staruch, spytał Griekowa: - To może nie mam iść albo chcecie list napisać? Griekow rzucił nań szybkie spojrzenie, ale odpowiedział spokojnie: - Dobra, idź. Wszystko jasne.

„Wiadomo” - pomyślał Polakow. O piątej rano przedostali się przez tunel. Polakow co chwila zaczepiał głową o strop i klął Sieriożkę Szaposznikowa najgorszymi słowami; denerwował się i wstydził, że tęskno mu za chłopakiem.

Przejście rozszerzyło się trochę; usiedli, żeby trochę odpocząć. Klimow zażartował: - Cóż to, nie wzięłeś ze sobą jakiegoś gościńca, paczki? - A niech go diabli, smarkacza - rzekł Polakow. - Chyba cegłę, żeby mu po głowie dać.

- No jasne - rzekł Klimow - Przecież tylko po to idziesz i gotów jesteś płynąć przez Wołgę. A może, stary, zazdrosny jesteś, Katię chciałeś zobaczyć? - Idziemy - uciał Polakow.

Wkrótce wyleźli z podziemi, weszli na ziemię niczyją. Dookoła panowała cisza.

„A może wojna się skończyła?” - pomyślał Polakow i wyobraził sobie niesamowicie dokładnie swój pokój: talerz barszczu na stole, żonę czyszczącą rybę, którą złowił. Aż mu się gorąco zrobiło.

Tej nocy jednak generał Paulus wydał rozkaz natarcia w rejonie stalingradzkiej fabryki traktorów.

445 mDwie dywizje piechoty miały wdrzeć się bramą, zburzoną częściowo przez lotnictwo, artylerię i czołgi. Od północy światełka papierosów czerwieniły się w palcach żołnierzy.

Półtorej godziny przed świtem nad halami fabrycznymi zahuczały silniki junkersów. Bombardowanie, które się zaczęło, nie słabło ani przez moment, nie miało przerw. Jeśli na krótką chwilę w tym nieustannym dudnieniu powstała jakaś szczelina, to zaraz wypełniała się gwizdem bomb spadających na ziemię z całą swą stalową mocą.

Zdawało się, że sam huk mógłby, niczym żeliwny łom, zdruzgotać człowiekowi czaszkę, złamać kręgosłup.

Zaczęło świtać, a w rejonie fabryki nadal panowała noc.

Miało się wrażenie, że to sama ziemia dobywa ze swojej głębi błyskawice, huk, dym i czarny kurz.

Szczególnie silne było uderzenie na pułk Bieriozkina i na dom „sześć przez jeden”.

W całym rejonie dyslokacji pułku ogłuszeni ludzie podrywali się jak szaleni, widząc jakiś nowy, śmiercionośny wybryk Niemców, i to na skalę dotąd niespotykaną.

Zaskoczeni przez bombardowanie Klimow i stary Polakow rzucili się ku ziemi niczyjej, tam gdzie było pełno lejów po bombach jednotonowych. W tę samą stronę biegli żołnierze z batalionu Podczufarowa, jeśli zdążyli wyskoczyć z zasypywanych okopów.

Odległość między wrogimi okopami była tak niewielka, że impet uderzenia spadł częściowo na pierwszą linię Niemców, czyniąc straty wśród żołnierzy czołowej niemieckiej dywizji, biorącej udział w natarciu.

Polakow miał wrażenie, że po rozszalałej Wołdze ciska się ze straszną siłą wichur z niżu, astrachański. Kilka razy starego zważyło z nóg; padał, zapominając, na jakim świecie żyje, czy jest młody, czy stary, gdzie góra, a gdzie dół. Ale Klimow nadal włókł go za sobą - „dalej, dalej”; w końcu runęli do głębokiego dołu i potoczyli się na jego wilgotne, lepkie dno.

Tutaj ciemność była potrójna, spleciona z mroku nocy, zasłony dymu i kurzu i naturalnego cienia głębi dołu.

Leżeli obok siebie - i starą, i młodą głowę wypełniało to samo, pełne światła pragnienie, prośba o życie. Ten sam wzruszający blask nadziei, jaka płonie we wszystkich głowach, we wszystkich sercach, nie tylko ludzkich, ale i najprostszych - zwierzęcych i ptasich.

446 Polakow cicho klął, myśląc, że całemu nieszczęściu winien jest Sieriożka Szaposznikow. Mruzczał: „No i co narobił ten Sieriożka?”.

A w duchu był przekonany, że się modli.

Zdawałoby się, że ten trwający nie wiadomo jak długo wybuch nie może jednak trwać wiecznie, tak straszliwe niósł ze sobą napięcie.

Ale czas mijał, a huk wcale nie słabł; ciemność dymnej zasłony nie rozpraszała się, przeciwnie, gęstniała i coraz mocniej wiązała niebo i ziemię.

Klimow dotknął szorstkiej, spracowanej ręki starego ochotnika i uściśnął ją, a przyjazny ruch, jakim tamten zareagował, na chwilę dodał mu otuchy w tym otwartym grobie. Bliska eksplozja zasypywała lej grudami ziemi i kamykami; kawałki cegły uderzały starego po plecach.

Ale obu im zrobiło się niedobrze, kiedy ściany leja zaczęły się stopniowo osuwać. Taki to azyl; musiał człowiek wskoczyć na dno, ale świata już nie zobaczy, bo Niemcy z nieba przysypią i wyrównają.

Zazwyczaj, idąc na zwiad, Klimow nie lubił towarzyszy, śpieszył się, żeby zniknąć w mroku; tak zimnokrwisty i doświadczony pływak chce czym prędzej oddalić się od kamienistego brzegu i znaleźć na posępnym otwartym morzu. A teraz, tkwiąc w jamie, cieszył się, że obok niego leży Polakow.

Czas oszalał, utracił swój zwykły rytm: to rwał do przodu jak fala uderzeniowa, to nagle stawał w miejscu i skręcał się w spiralę jak barani róg.

W końcu obaj mężczyźni w jamie unieśli trochę głowy - nad sobą zobaczyli mętne półświatło, wiatr rozwiewał dym i kurz... Ziemia ucichła, jeden nieprzerwany huk rozpadł się na pojedyncze wybuchy.

Przytłaczająca niemoc ośładnęła duszami; wydawało się, że wyciśnięte zostały z nich wszystkie żywe siły, a został tylko smutek.

Klimow podniósł się; tuż koło niego leżał przysypyany ziemią Niemiec, sponiewierany przez wojnę, zmiętoszony od furazerki aż po buty.

Klimow nie bał się Niemców, nigdy nie wątpił w swoją siłę, w swoją zdumiewającą umiejętność naciskania na spust, rzucania granatem, uderzania kolbą albo nożem o sekundę wcześniej, niż uczyni to przeciwnik.

Ale teraz stracił tę pewność, bo nie wierzył własnym oczom: ogłuszony i oślepiiony, znajdował pociechę w tym, że czuł Niemca przy sobie; jego rękę wziął za rękę Polakowa. Patrzyli na siebie. Obu przygniotła ta 447 sama siła, obaj byli bezradni w starciu z nią, i okazało się, że zagraża im obu jednakowo, że nie broni ani jednego, ani drugiego.

Dwaj mieszkańcy wojny milczeli. Zabić - ten idealny, bezbłędny automatyzm, który obaj w sobie wyrobili, nie zadziałał. Polakow siedział trochę dalej i też patrzył na zarośniętego szczeciną Niemca. A chociaż nie lubił długo milczeć, teraz nie mówił nic. Życie było okropne, a w głębi ich oczu mignęła smętna świadomość, że i po wojnie siła, która zapędziła ich do tego dołu i każdego wcisnęła głębią w ziemię, będzie gnębić nie tylko pokonanych.

Obaj, jakby się zmówili, zaczęli wyłazić z dołu, wystawiając plecy i czaszki na łatwy strzał, absolutnie pewni, że są bezpieczni.

Polakow osunął się w dół, ale Niemiec, który wspinał się obok, nie pomógł mu. Stary stoczył się wraz z osypującą się ziemią, klnąc, na czym świat stoi, ten świat, na który jednak znowu uparcie się gramolił.

Klimow i Niemiec wyleźli na górę i obaj popatrzyli - jeden na wschód, drugi na zachód - czy dowództwo nie widzi, że wyłazą z jednego dołu i wcale nie mają zamiaru się zabijać. Nie oglądając się, bez pożegnania, każdy ruszył do swoich okopów przez góry i doliny przeoranej i dymiącej się jeszcze ziemi.

- Naszego domu nie ma, zburzyli go - zawołał przerażony Klimow do biegnącego za nim Polakowa. - Kochani, czyście naprawdę wszyscy poginęli? Teraz działa i karabiny maszynowe zaczęły swoje miarowe stemplowanie, dookoła wszystko ryczało, huczało. Wojska niemieckie ruszyły do wielkiego natarcia. To był najcięższy dzień Stalingradu.

- Co narobił ten cholerny Sieriożka - mamrotał Polakow. Nie rozumiał jeszcze, co się stało. Nie wiedział, że w domu „sześć przez jeden” nie było już nikogo żywego, więc drażniły go szlochy i krzyki Klimowa.

24 Podczas ataku lotniczego bomba uderzyła w komorę podziemnego gazociągu, gdzie znajdował się punkt dowodzenia batalionu, i zasypała dowódcę pułku Bieriozkin, dowódcę batalionu Dyrkina i telefonistę, którzy akurat wtedy tam przebywali. Kiedy się ocknęli w zupełnej 448 ciemności, ogłuszony, duszący się od kamiennego pyłu Bieriozkin z początku pomyślał, że już nie żyje, ale Dyrkin, kiedy na moment zrobiło się ciszej, kichnął i zapytał: - Żyjecie, towarzyszu podpułkowniku? Bieriozkin odezwał się: - Żyję.

Dyrkin ucieszył się, słysząc głos dowódcy, i od razu wrócił mu dobry nastrój, który nie opuszczał go przez lata.

- Skoro żyjecie, to wszystko w porządku - powiedział, dławiąc się pyłem, kaszląc i odcharkując, chociaż porządku było raczej niewiele.

Dyrkina i telefonistę przysypało tłuczniem, i nie było jasne, czy kości mają całe,

a sprawdzić tego w żaden sposób nie było można. Żelazna belka zawisała nad ich głowami i przeszkadzała im rozprostować plecy, chociaż najwyraźniej to ona ich uratowała. Dyrkin zaświecił latarkę, a wtedy zrobiło się naprawdę strasznie. Wśród kurzu zwisały kamienie, pogięte żelastwo, rozdęty, zalany olejem beton, zmiżdżone kable. Zdawało się, że wystarczy jeden wybuch: zniknie wąska szczelina, żelazo połączy się z kamieniem, a wtedy będzie po ludziach.

Na chwilę ucichli skuleni, bo niesamowita siła waliła w fabrykę traktorów.

„To wydziały fabryczne - pomyślał Bieriozkin - swoimi martwymi ciałkami pracowały na obronę; przecież trudno rozbić beton, żelazo, rozerwać armaturę”.

Potem opukali wszystko, obmacali i zrozumieli, że o własnych siłach stąd się nie wydostaną. Telefon był cały, ale milczał, bo z przewodu zostało niewiele.

Rozmawiać prawie nie mogli - huk wybuchów zagłuszał ich głosy, a kurz sprawiał, że zachłystywali się od kaszlu.

Beriozkin, dzień wcześniej jeszcze gorączkujący, teraz nie czuł słabości. Podczas walki zazwyczaj podporządkowywał sobie dowódców i żołnierzy, ale nie dzięki sile bojowej, wojskowej; czuło się w nim zwyczajną, roztropną ludzką siłę. Zachować ją w piekle bitwy umieli tylko nieliczni; i to właśnie oni, posiadacze owej codziennej, cywilnej, rozważnej ludzkiej siły, byli prawdziwymi panami wojny.

Ale ucichły odgłosy bombardowania i zasypani ludzie usłyszeli żelazny łoskot.

Beriozkin wytarł nos, odkaslnął i powiedział: 449 - Zawyło wilcze stado; czołgi poszły na fabrykę. - I dodał: - A my znaleźliśmy się na ich drodze.

Nagle, kiedy wydawało się, że już nic gorszego nie może się zdarzyć, Dyrkin jakimś niesamowitym, donośnym głosem zaśpiewał, zakaszłał pieśń z filmu: Z naszym atamanem dobrze żyje się, Z naszym atamanem nigdy nam nie będzie źle! Telefonista pomyślał, że dowódca batalionu zwariował, ale mimo wszystko charcząc i plując, zawtórował: Żonka będzie płakać, potem się pocieszy, Wyjdzie za innego i zapomni wkrótce mnie.

A na powierzchni, w hali fabrycznej, pełnej dymu, kurzu i ryku czołgów, Głuszkow, zdzierając skórę z zakrwawionych dłoni i palców, rozrzucał kamienie, kawałki betonu, odginał pręty uzbrojenia. Pracował z szaleńczym zapałem, i tylko dzięki temu szaleństwu był w stanie przewracać ciężkie belki, wykonywać robotę za dziesięciu ludzi.

W końcu Bieriozkin znowu zobaczył paskudny, zakurzony i zadymiony świat, usłyszał huk artylerii, rozrywających się pocisków, zgrzytanie gąsienic, terkotanie cekaemów. A jednak był to świat jasny, cichy; patrząc na niego, Bieriozkin pomyślał od razu: „Widzisz, Tamara, niepotrzebnie się martwisz. Mówiłem ci, że to nic takiego”. Potem objęły go silne ręce Głuszkowa.

Dyrkin, płacząc, wykrzyknął: - Pozwólcie zameldować, towarzyszu dowódcu pułku, że dowodzę batalionem nieboszczyków.

Powiódł ręką dookoła.

- Nie ma Wani, nie ma naszego Wani. - Pokazał trupa swego komisarza batalionowego, leżącego na boku w czarnej aksamitnej kałuży krwi i oleju. Na



stanowisku dowodzenia pułku wszystko przetrwało we względnie dobrym stanie - tylko stół i łóżko były przysypane ziemią.

Piwowarow zobaczył Bieriozkina i klnąc radosnym głosem, rzucił się w kierunku dowódcy.

Bieriozkin zaczął go wypytywać: 450 - Jest łączność z batalionami? Co z tym odcięтым domem? A Podczufarow? Wpadliśmy z Dyrkinem jak wróble w sidło, ani łączności, ani światła. Nic nie wiem - kto żyje, a kto nie. Gdzie my jesteśmy, gdzie Niemcy... Meldujcie o sytuacji! Kiedy wyście walczyli, myśmy tam sobie śpiewali.

Piwowarow zaczął wyliczać straty, powiedział, że w domu „sześć przez jeden” zginęli wszyscy, łącznie z łobuzem Griekowem; ocalało tylko dwóch - zwiadowca i stary ochotnik.

Ale pułk wytrzymał napór Niemców; ci, co przeżyli, byli żywi.

W tym czasie zadzwieczał telefon; kiedy sztabowcy spojrzeli na telefonistę, domyślili się, że dzwoni najwyższy ze stalingradzkich dowódców.

Telefonista podał Bieriozkinowi słuchawkę - słyszać było dobrze, i ludzie w ziemiance, którzy ucichli, rozpoznali solidny, niski głos Czujkowa: - Bieriozkin? Dowódca dywizji jest ranny, zastępca i szef sztabu nie żyją. Rozkazuję wam objąć dowództwo dywizji. - Zrobił przerwę i dalej mówił powoli, ważąc słowa: - Dowodziłeś pułkiem w okropnych, piekielnych warunkach, odparteś uderzenie. Dziękuję i ściskam cię, mój drogi. Życzę powodzenia.

Zaczęła się wojna na wydziałach fabryki traktorów. Żywi byli żywi.

Milczał dom „sześć przez jeden”. Z ruin nie padł żaden wystrzał.

Widocznie główne uderzenie z powietrza spadło na budynek - resztki murów runęły, kamienne wzgórze zostało splantowane. Kryjąc się za tym, co z niego zostało, niemieckie czołgi skierowały ogień na batalion Podczufarowa.

Ruiny niedawno jeszcze siejącego postrach wśród Niemców domu, stały się teraz dla nich bezpiecznym schronieniem.

Czerwone kupy cegieł z daleka wyglądały jak olbrzymie połcie surowego, parującego mięsa. Szarozieloni niemieccy żołnierze, strzelając zawzięcie, pełzli, przebiegali wśród tych resztek zburzonego, zabitego domu.

- Teraz ty będziesz dowodził pułkiem - rzekł Bieriozkin do Piwowarowa i dodał: - Przez całą wojnę dowództwo było ze mnie niezadowolone. A tutaj posiedziałem beczynnym pod ziemią, tyle że pośpiewałem trochę, i od razu masz: Czujkow jest wdzięczny, no i dał mi dywizję, to nie w kij dmuchał. Teraz ci nie będę pobłażał.

Ale Niemcy parli do przodu, nie pora była na żarty.

451 25 Kiedy Sztrum z żoną i córką przyjechał do Moskwy, było zimno i padał śnieg. Aleksandra Władimirowna nie chciała przerywać pracy w fabryce, została więc w Kazaniu, chociaż Sztrum obiecywał, że załatwi jej pracę w Instytucie imienia Karpowa.

Dziwne to były dni, bo czuło się w duchu radość i zarazem trwogę.

Wydawało się, że Niemcy jak dawniej są groźni, silni, że szykują nowe nieubłagane ciosy.

Wygłądało na to, że żaden przełom w wojnie jeszcze nie nastąpił. Ale to, że ludzi ciągnęło do Moskwy, było rozsądne i naturalne, uzasadniona zatem wydawała się reewakuacja niektórych instytucji do Moskwy, rozpoczęta przez władze podczas drugiej wojennej zimy.

Ludzie czuli już tajne oznaki wojennej wiosny. Ale mimo wszystko niewesoło, wręcz ponuro wyglądała stolica tej drugiej zimy.

Wzdłuż trotuarów ciągnęły się istne pasma wzgórz brudnego śniegu.

Na peryferyjnych ulicach iście wiejskie ścieżki łączyły bramy domów z przystankami tramwajowymi i sklepami spożywczymi. Z wielu okien wystawały dymiące kominy żelaznych „kóz” i ściany domów pokryły się żółtym, zlodowaciałym kopciem.

W półkożuszkach, w chustkach mieszkańcy Moskwy wydawali się prowincjuszami, przybyszami ze wsi.

Po drodze z dworca Wiktor Pawłowicz, ulokowany na tobołkach, na skrzyni ciężarówki, przyglądał się nachmurzonej twarzy siedzącej obok niego Nadi.

- Cóż, mademoiselle - spytał - czy marząc w Kazaniu o powrocie do Moskwy, tak ją sobie wyobrażałaś? Nadia zła, że ojciec wyczuł jej nastrój, nic nie odpowiedziała.

Wiktor Pawłowicz zaczął jej tłumaczyć: - Ludzie nie rozumieją, że stworzone przez nich miasta nie są częścią przyrody, ale elementem cywilizacji. Człowiek nie powinien wypuszczać z rąk strzelby, łopaty, miotły, żeby bronić swoich siedzib przed wilkami, zamieciami, chwastami. Wystarczy się rozleniwzić, zająć czymś innym przez rok czy dwa, i przepadło - z lasów wyjdą wilki, a miasta zarosną pokrzywami, zasypie je śnieg, zasypie kurz.

Ile już wielkich stolic zginęło pod naporem kurzu, śniegu i burzanów! 452 Sztrum chciał, żeby i Ludmiła, siedząca na prawo od kierowcy, słyszała te rozważania, więc wychylił się za burtę ciężarówki i spytał przez otwarte do połowy okienko: - Wygodnie ci, Ludka? Nadia powiedziała: - Po prostu dozorczy nie usuwają śniegu; co ma z tym wspólnego kultura? - Oj, głuptas jesteś - rzekł Sztrum. - Popatrz na te góry lodowe.

Ciężarówką wstrząsnęło solidnie, tobołki i walizy na skrzyni podskoczyły wszystkie naraz, a razem z nimi podskoczyli Sztrum i Nadia.

Spojrzeni po sobie i roześmiali się.

Dziwne, dziwne. Czy mógł przypuszczać, że w nieszczęsnym wojennym czasie on, bezdomny, wywieziony do Kazania, zdoła wykonać swoją największą, najważniejszą pracę? Wydawało mu się, że jadąc do Moskwy, będą odczuwali wyłącznie podniosłe wzruszenie; że żałoba po Annie Siemionownie, Toli, Marusi, myśli o ofiarach, które poniosła prawie każda rodzina, połączą się z radością powrotu, wypełnią duszę.

Ale nic nie było tak, jak sobie wyobrażał. W pociągu denerwował się z byle powodu. Irytowało go, że Ludmiła Nikołajewna dużo spała, że nie patrzyła przez okno na tę ziemię, którą obronił jej syn. We śnie głośno pochrapywała; ranny wojskowy, który przechodził korytarzem i usłyszał jej chrapanie, orzekł: - Oho, całkiem po gwardyjsku.

Drażniła go Nadia: matka sprzątała po niej resztki jedzenia, Nadia z egoizmem dzikuski wybierała z torby najbardziej rumiane kawałki placka. W pociągu zaczęła odzywać się do ojca jakimś idiotycznym, drwiącym tonem. Sztrum słyszał też, jak w sąsiednim przedziale mówiła: „Mój tato jest wielkim miłośnikiem muzyki i nawet sam brzdąka na fortepianie”.

Sąsiedzi z wagonu rozmawiali o kanalizacji i centralnym ogrzewaniu; o tych niemądrych ludziach, którzy nie płacili za mieszkania w Moskwie, i teraz stracą prawo do powierzchni mieszkaniowej; o tym, co do jedzenia najlepiej zabrać do stolicy. Sztruma złościły rozmowy o sprawach bytowych, ale i on rozmawiał o gospodarzu domu, o wodociągach, a w nocy, kiedy nie mógł zasnąć, zastanawiał się, gdzie zarejestruje w Moskwie kartki żywnościowe i czy wyłączyli im telefon.

453 Konduktorka, złośliwa baba, zamiatając przedział, wyciągnęła spod ławki kurzą kostkę, którą wrzucił tam Sztrum, i powiedziała: - Niby kulturalne ludzie, a takie świnię.

W Muromie Sztrum i Nadia, spacerując po peronie, minęli młodych ludzi w bekieszach z karakułowymi kołnierzami. Jeden z nich powiedział: - Mosiek wraca z ewakuacji.

Drugi wyjaśnił: - Po medal za obronę Moskwy.

A w Kanaszu pociąg zatrzymał się koło składu jadącego w przeciwną stronę i wiozącego więźniów. Wzdłuż ciepłuszek chodzili wartownicy; więźniowie przyciskali blade twarze do małych, zakratowanych okienek, wołali: „Papierosów!”, „Tytoniu!” Wartownicy wrzeszczeli na nich, odpędzali ich od okien.

Wieczorem Sztrum poszedł do sąsiedniego wagonu, którym jechali Sokołowowie. Maria Iwanowna, z głową obwiązaną chustką w kwiaty, ścieliła akurat łóżka - Piotr Ławrientjewicz miał spać na dolnym, ona na górnym. Martwiła się, czy mężowi będzie wygodnie, a na pytania Sztruma odpowiadała od rzeczy i nawet nie spytała, jak się czuje Ludmiła Nikołaj ewna.

Sokołow ziewał, skarżył się, że w dusznym w wagonie zmorzył go sen. Sztruma nie wiedzieć czemu wyjątkowo oburzyło to, że Sokołow jest zamyślony i nie ucieszył się z jego wizyty.

- Pierwszy raz widzę - rzekł - żeby mąż kazał żonie włożyć na górną półkę, a sam spał na dole.

Wypowiedział te słowa z jawną irytacją i sam się zdziwił, dlaczego ten fakt tak go zdenerwował.

- My zawsze tak śpimy - wyjaśniła Maria Iwanowna. - Piotrowi Ławrientjewiczowi na górze jest duszno, a mnie wszystko jedno, gdzie śpię.

Pocałowała Sokołowa w skroń.

- No to idę - powiedział Sztrum. I znowu był obrażony, że Sokołowowie go nie zatrzymywali.

Nocą w wagonie było rzeczywiście bardzo duszno. Sztrumowi przypominał się Kazań, Karimow, Aleksandra Władimirowna, rozmowy z Madjarowem, ciasny gabinecik na uniwersytecie... Jakie troskliwe, niespokojne oczy miała Maria Iwanowna, kiedy

Sztrum, przychodząc 454 wieczorami do Sokołowów, mówił o polityce. Nie takie rozbiegane i obce jak dzisiaj w wagonie.

„Do diabła, to ci patriarchalne stosunki - pomyślał. - Sam śpi na dole, gdzie jest wygodniej i więcej powietrza”.

Rozzłościł się na Marię Iwanownę, którą uważał za najwartościowszą ze znajomych kobiet, łagodną, dobrą, i pomyślał: „Króliczka z czerwonym nosem. Piotr Ławrientjewicz to trudny człowiek: z jednej strony powściągliwy i łagodny, z drugiej niesłuchanie ambitny, skryty, pamiętliwy. Oj, ma też ona z nim, biedaczka”.

W żaden sposób nie mógł zasnąć, próbował myśleć o czekających go spotkaniach z przyjaciółmi, z Czepyżynem - wielu już wie o jego pracy. Przecież wraca jako zwycięzca. Co go czeka, co powiedzą Guriewicz, Czepyżyn? Przypomniał sobie, że Markow, który w najdrobniejszych szczegółach opanował nową aparaturę doświadczalną, przyjedzie do Moskwy dopiero za tydzień, a bez niego nie będzie można zacząć pracy. Szkoda, że ze mnie i z Sokołowa tacy teoretycy, mędracy chaldejscy, obaj mamy dwie lewe ręce...

Tak, zwycięzca, zwycięzca.

Ale myśli Sztruma płynęły leniwie, urywały się.

Przed oczami miał ciągle ludzi krzyżących: „Tytoniu” i „Papierosów”, i tych zuchów, którzy nazwali go Mośkiem. Dziwną rzecz powiedział przy nim Postojew do Sokołowa; Sokołow opowiadał o pracy młodego fizyka Landesmana, a Postojew odezwał się wtedy: „Co tam Landesman, Wiktor Pawłowicz zadziwił świat odkryciem najwyższej wagi. - Po czym objął Sokołowa i dodał: - A najważniejsze, że pan i ja jesteśmy Rosjanami...” Czy telefon działa, czy gaz jest podłączony? Czyżby ponad sto pięćdziesiąt lat temu ludzie wracający do Moskwy po wygnaniu Napoleona myśleli o takich głupstwach? Ciężarówka zatrzymała się przed domem i Sztrumowie znowu zobaczyli cztery okna swego mieszkania z granatowymi paskami papieru, którymi zakleili je na krzyż zeszłego lata; drzwi wejściowe, lipy rosnące po obu stronach ulicy, szyld „Mleko”, tabliczkę na drzwiach administracji domu.

- Winda oczywiście nie działa - stwierdziła Ludmiła Nikołajewna i spytała kierowcę: - Towarzyszu, nie pomoglibyście nam wnieść rzeczy na drugie piętro? 455 Ten odpowiedział: - Mogę, czemu nie. Tylko za robotę chciałbym chleba, a nie pieniędzy.

Rozładowali samochód; Nadię zostawili, żeby pilnowała rzeczy, a Sztrum z żoną poszli na górę. Wchodzili schodami powoli, dziwiąc się, że wszystko jest takie samo - obite czarną ceratą drzwi na piętrze, znajome skrzynki pocztowe. Jakie to dziwne, że ulice, domy, rzeczy, o których się zapomniało, nie znikają, ale są tutaj nadal, a człowiek znowu jest z nimi.

Dawniej Tola nie czekał na windę, tylko wbiegał na drugie piętro i wołał z góry do Sztruma: „A ja już jestem w domu!” - Odpocznijmy na podeście, zadyszałaś się - odezwał się Wiktor Pawłowicz do żony.

- Boże mój - odpowiedziała Ludmiła Nikołajewna - jak te schody wyglądają! Jutro pójdę do administracji i zmuszę Wasilija Iwanowicza, żeby przysłał tu kogoś z miotłą.

Znowu stoją przed drzwiami swojego domu: mąż i żona.

- Może sama chcesz otworzyć drzwi? - Nie, nie, dlaczego? Ty jesteś gospodarzem.

Weszli do mieszkania, przeszli się po pokojach, nie zdejmując płaszczy, Ludmiła Nikołajewna dotknęła ręką kaloryfera, podniosła słuchawkę telefonu, chuchnęła w nią i powiedziała: - A jednak działa! Potem poszła do kuchni.

- Jest i woda, to znaczy, że można korzystać z ubikacji.

Podeszła do kuchenki, sprawdziła palniki - gaz był wyłączony.

Boże mój, Boże, to już po wszystkim. Wróg został powstrzymany.

Wrócili do domu. Zupełnie jakby wczoraj była sobota, dwudziesty pierwszy czerwca 1941 roku... Jakie wszystko jest niezmiennie, jakże wszystko się zmieniło! Do domu weszli inni ludzie, mają już inne serca, inne życie, należą do innej epoki. Skąd ten niepokój, czemu wszystko jest takie zwyczajne, powszednie?... Dlaczego utracone przedwojenne życie wydawało się takie piękne, takie szczęśliwe?...

Dlaczego tak drażnią mnie te myśli o jutrzejszym dniu - biuro kartkowe, meldunek, limit energii elektrycznej, winda działa, winda nie działa, prenumerata gazet?... Znowu nocą w łóżku można będzie słuchać bicia zegara.

456 Szedł w ślad za żoną i nagle przypomniał sobie swój samotny przyjazd do Moskwy latem i piękną Ninę, z którą pił wino. Pusta butelka wciąż stała w kuchni koło zlewu.

Przypomniał sobie noc po przeczytaniu listu od matki, który przywiózł pułkownik Nowikow, swój nagły wyjazd do Czelabińska. Tutaj całował Ninę, a jej wypadła z włosów szpilka; nie mogli jej znaleźć.

Ogarnął go lęk, czy szpilka nie leży gdzieś na podłodze; a może Nina zapomniała szminki, puderniczki? Ale w tej chwili kierowca, ciężko dysząc, postawił walizkę, rozejrzał się po pokoju i spytał: - Cała powierzchnia jest wasza? - Tak - potwierdził Sztrum z poczuciem winy.

- A my mieszkamy w szóstkę na ośmiu metrach - powiedział kierowca. - Babka śpi w dzień, kiedy wszyscy są w pracy, a nocą siedzi na krześle.

Sztrum podeszedł do okna, Nadia stała przy złożonych koło ciężarówki rzeczach, podtańcowywała, chuchała w palce.

Kochana Nadia, bezradna córka Sztruma; to jej dom rodzinny.

Kierowca przyniósł wór z jedzeniem i torbę z pościelą; przysiadł na krześle i zaczął skręcać papierosa.

Znowu zaczął zagadywać Sztruma o normy sanitarne, o łapówkarzy z wydziału dzielnicowego; najwyraźniej problem mieszkaniowy bardzo go zaprzętał.

Z kuchni dolatywał brzęk rondli.

- Gospodyni - powiedział kierowca i mrugnął do Sztruma.

Sztrum znowu popatrzył przez okno.

- W porządku, w porządku - uspokoił go kierowca. - Ale jak nasi rozwalą

Niemców w Stalingradzie, jak ludzie wrócą z ewakuacji, to z mieszkaniem będzie jeszcze gorzej. U nas niedawno jeden wrócił do fabryki, dwa razy był ranny, a tu oczywiście dom rozwalony, więc musi mieszkać z rodziną w pustej piwnicy, żona oczywiście w ciążę zaszła, dwoje dzieci z gruźlicą. Zalało ich w tej piwnicy, woda po kolana.

Położyli deski na taboretach i po tych deskach chodzili od łóżka do łóżka, od stołu do kuchenki. No to zaczął uderzać i do komitetu, i do dzielnicy, nawet do Stalina pisał. Ciągłe tylko obiecywali i obiecywali.

Kiedys w nocy zabrał żonę, dzieci, bambetle i zajął pokój na czwartym piętrze, z rezerw rady dzielnicowej. Powierzchnia osiem czterdzieści 457 trzy. Dopiero się szum podniósł! Wzywają go do prokuratora - masz dwadzieścia cztery godziny na zwolnienie mieszkania, a jak nie, to pójdiesz do łagru na pięć lat, a dzieci zabierzemy do domu dziecka.

To co zrobił wtedy? Z wojny wrócił z orderami, to wbił je sobie w pierś, w żywe mięso, i od razu, na zakładzie, w czasie przerwy obiadowej się powiesił. Ale ludzie zobaczyli, prędko go odcięli, wezwali pogotowie.

Z miejsca dostał przydział, jeszcze w szpitalu. Ma szczęście: chociaż powierzchnia nieduża, ale z wygodami. Wszystko się dobrze skończyło.

Kiedy skończył swoją opowieść, weszła Nadia.

- A jak rzeczy zwędzą, to kto będzie odpowiadał? - spytał kierowca.

Nadia wzruszyła ramionami, zaczęła chodzić po pokojach, chuchając w zmarznięte palce.

Ledwie weszła, od razu wprawiła Sztruma w zdenerwowanie.

- Chociaż byś kołnierz opuściła - zwrócił uwagę córce, ale Nadia machnęła ręką i krzyknęła w stronę kuchni: - Mamo, strasznie mi się chce jeść! Ludmiła Nikołaj ewna wykazała się tego dnia niebywałą energią.

Sztrum pomyślał, że gdyby takiej siły użyć przeciw Niemcom, to odrzucono by ich na sto kilometrów od Moskwy.

Hydraulik podłączył ogrzewanie, rury były w porządku, choć, co prawda, słabo się nagrzewały. Wezwać gazownika nie było łatwo. Ludmiła Nikołaj ewna zadzwoniła się do dyrektora gazowni, a ten przysłał majstra z brygady awaryjnej. Wtedy zapaliła wszystkie palniki, postawiła na nich żelazka, i chociaż gaz palił się słabo, w kuchni zrobiło się wystarczająco ciepło, by można było siedzieć bez płaszcza.

Po opłaceniu kierowcy, hydraulika i majstra z gazowni worek z chlebem zrobił się całkiem lekki.

Do późnego wieczora Ludmiła Nikołaj ewna zajęta była pracami domowymi. Obwiązała szczotkę szmatą i ściągnęła kurz ze ścian i sufitów. Umyła żyrandol, wyniosła do tylnego wejścia uschnięte kwiaty.

Nazbierało się mnóstwo śmieci, starych papierów, szmat; Nadia, choć narzekała, trzy razy schodziła z wiadrem do śmietnika.

Ludmiła Nikołajewna umyła kuchenne i stołowe naczynia, a Wiktor Pawłowicz

pod jej nadzorem powycierał talerze, widelce i noże.

Serwisu do herbaty jednak mu nie powierzyła. Urządziła w łazience pranie, przetopiła masło na kuchence, przebrała przywiezione z Kazania kartofle.

458 Sztrum zadzwonił do Sokołowa; telefon odebrała Maria Iwanowna.

- Położyłam Piotra Ławrientjewicza spać; jest bardzo zmęczony po podróży, ale jeśli coś pilnego, to go zbudzę - zaproponowała.

- Nie, nie, tak tylko chciałem sobie pogadać - wycofał się Sztrum.

- Taka jestem szczęśliwa - powiedziała Maria Iwanowna. - Cały czas chce mi się płakać.

- Proszę nas odwiedzić - rzekł Sztrum. - Ma pani może wolny wieczór? - Eee, co też pan, dzisiaj to niemożliwe - wymówiła się ze śmiechem Maria Iwanowna. - I ja, i Ludmiła Nikołajewna mamy mnóstwo roboty.

Spytała o limit na elektryczność, o wodę, a on niespodziewanie szorstko powiedział: - Zaraz zawołam Ludmiłę, to z panią porozmawia o wodociągach. I od razu dodał żartobliwie: - Szkoda, szkoda, że pani nie przyjdzie, poczytalibyśmy poemat Flauberta Maks i Moryc.

Nie zareagowała na żart, powiedziała tylko: - Zadzwonię trochę później. Jeśli ja z jednym pokojem mam tyle kłopotów, to ile musi mieć Ludmiła Nikołaj ewna.

Sztrum zrozumiał, że poczuła się dotknięta jego niedelikatnym tonem. Nagle zapragnął być w Kazaniu. Jakże dziwnie urządzony jest człowiek! Sztrum zadzwonił do Postojewa, ale ten miał wyłączony telefon.

Zadzwonił więc do docenta fizyki Guriewicza; sąsiedzi powiedzieli, że wyjechał do siostry w Sokolnikach.

Zadzwonił do Czepyżyna, ale nikt nie odbierał.

Wtem odezwał się telefon i jakiś chłopięcy głos poprosił Nadię, ale ta akurat odbywała kolejną wyprawę ze śmieciami.

- A kto dzwoni? - surowo zapytał Sztrum.

- Nieważne, znajomy.

- Witia, dosyć tego gadania przez telefon, pomóż mi odsunąć szafę poprosiła Ludmiła Nikołajewna.

- Z kim to niby gadam? Nikomu w Moskwie nie jestem potrzebny pożalił się Sztrum. - Dałabyś mi chociaż coś do zjedzenia. Sokołow już się napchał i śpi.

Wydawało się, że Ludmiła zrobiła w domu jeszcze większy bałagan.

Wszędzie leżały sterty bielizny, na podłodze stały powyjmowane z szaf 459 naczynia; rondle, korytka, worki przeszkadzały chodzić po pokojach i korytarzu.

Sztrum myślał, że Ludmiła nie wejdzie od razu do pokoju Toli, ale się pomylił.

Z zatroskanym wzrokiem i poczerwieniałą twarzą powiedziała: - Witia, Wiktor, wymyłam chiński wazon; postaw go na półce z książkami w pokoju Toli.

Znowu zadzwonił telefon; Sztrum usłyszał, jak Nadia mówi; - Cześć, nie, nigdzie

nie chodziłam, mama kazała mi wynieść śmieci.

A Ludmiła Nikołaj ewna popędzała męża: - Witia, nie śpij, pomożże mi, tyle mam jeszcze roboty.

Jaki potężny instynkt żyje w duszy kobiety, jaki jest silny i prosty.

Do wieczora bałagan został opanowany, w pokojach zrobiło się cieplej, zaczęły nabierać przedwojennego wyglądu.

Kolację jedli w kuchni. Ludmiła Nikołajewna nasmażyła placków, zrobiła też kotlety z ugotowanej za dnia kaszy jaglanej.

- Kto do ciebie dzwonił? - spytał Sztrum Nadie.

- Taki tam chłopaczyna - odpowiedziała Nadia i roześmiała się. Dzwoni już czwarty dzień, w końcu się dodzwonił.

- A co, korespondowałaś z nim? Uprzedziłaś go o przyjeździe do Moskwy? Nadia skrzywiła się zniecierpliwiona, wzruszyła ramionami - A do mnie pies z kulawą nogą się nie odezwie - rzekł Sztrum.

W nocy Wiktor Pawłowicz obudził się. Ludmiła stała w koszuli przed otwartymi drzwiami pokoju syna i mówiła: - Widzisz, Toleńka, mój kochany wszystko zdążyłam zrobić. Posprzątałam też w twoim pokoju, jakby nie było wojny...

26 W jednej z sal Akademii Nauk zebrali się uczeni, którzy powrócili z ewakuacji.

Wszyscy oni, starzy i młodzi, bladzi, łysi, o oczach wielkich lub małych i przenikliwych, a czołach szerokich lub wąskich, zebrali się razem, odczuli niezwykłość, ten najwznioślejszy z istniejących rodzajów poezji - poezję prozy. Wilgotne prześcieradła i wilgotne kartki w książkach, które przeleżały w nieogrzewanych pokojach, wykłady wygłaszane w płaszczach z podniesionymi kołnierzami, wzory zapisane czerwonymi, marznącymi palcami, moskiewska sałatka z oślizgłych kartofli i poszarpanych liści kapusty, tłoczenie się po talony, nużące myśli o listach na solone ryby i dodatkowy przydział oleju - wszystko to odeszło nagle na dalszy plan. Znajomi witali się hałaśliwie.

Sztrum zobaczył Czepyżyna, który stał obok akademika Szyszakowa.

- Dmitriju Pietrewiczu! Dmitriju Pietrewiczu! - powtórzył dwukrotnie Sztrum, patrząc na sympatyczną twarz Czepyżyna, a ten uściskał go - Piszą z frontu pańscy chłopcy? - spytał Sztrum.

- Zdrowi są, piszą, piszą.

Po tym, że rozmówca zachmurzył się, a nie uśmiechnął, Sztrum poznał, że wie już o śmierci Toli.

- Wiktorze Pawłowiczu - powiedział Czepyżyn - proszę przekazać żonie wyrazy współczucia. I ode mnie, i od Nadieży Fiodorowny.

I zaraz dodał: - Czytałem pańską pracę, jest ciekawa i bardzo ważna, ważniejsza, niż się wydaje. Wie pan, ciekawsza, niż to teraz jesteśmy w stanie pojąć.

Ucałował Sztruma w czoło.



- E tam, głupstwo - powiedział Sztrum i poczuł się szczęśliwy. Kiedy szedł na zebranie, trapiły go myśli: Kto czytał jego pracę. Co o niej powiedzą? A może nikt nie czytał? Ale po słowach Czepyżyna od razu nabrał pewności - tylko on, tylko jego praca będzie dzisiaj tematem rozmów.

Tuż obok stał jednak Szyszakow, a Sztrum miał ochotę opowiedzieć Czepyżynowi o wielu rzeczach, o których nie mówi się przy obcych, szczególnie przy Szyszakowie.

Patrząc na niego, Sztrum zazwyczaj wspominał żartobliwy epitet z Uspieńskiego: „Piramidalny bawół!” Kwadratowa, mięsista twarz akademika, również mięsiste, wzgardliwe usta, grube palce, wypielęgnowane paznokcie, srebrnoszary, równiutki i gęsty język na głowie, zawsze doskonale uszyte garnitury wszystko to onieśmiało Sztruma. Ilekroć ujrzał Szyszakowa, zawsze 461 przyłapywał się na myśli: „Pozna?”, „Przywita się?” - po czym zły sam na siebie, cieszył się, gdy Szyszakow powoli wymawiał mięsistymi wargami słowa, które też wydawały się mięsiste, wołowe.

- Wyniosłe byczysko! - mówił Sztrum do Sokołowa, ilekroć mowa była o Szyszakowie. - Truchleję przed nim jak małomiasteczkowy Żyd przed pułkownikiem kawalerii.

- A pomyśleć tylko - odpowiadał Sokołow - że znany jest głównie z tego, że na zdjęciu nie rozpoznaje pozytronów. O tym „błędzie akademika Szyszakowa” słyszał każdy doktorant.

Sokołow bardzo rzadko mówił o kimś źle - czy to z ostrożności, czy też stosował się do zasad religijnych, zabraniających osądzać bliźniego.

Ale Szyszakow tak drażnił Sokołowa, że ten często wyśmiewał się z niego i wieszał na nim psy; po prostu nie mógł się powstrzymać.

Zaczęli mówić o wojnie.

- Zatrzymali Niemców nad Wołgą - rzekł Czepyżyn. - To jest właśnie potęga Wołgi. Żywa woda, żywa siła.

- Stalingrad, Stalingrad - włączył się do rozmowy Szyszakow. Triumf naszej strategii połączył się w nim z nieustępliwością naszego narodu.

- A zna pan, Aleksieju Aleksiejewiczu, ostatnią pracę Wiktora Pawłowicza? - spytał nagle Czepyżyn.

- Słyszałem, oczywiście, ale jeszcze nie czytałem.

Po wyrazie twarzy Szyszakowa trudno było poznać, co właściwie słyszał na temat pracy Sztruma.

Sztrum długo patrzył Czepyżynowi w oczy - niech jego mistrz i stary przyjaciel domyśli się wszystkiego, co Sztrum przeżył, niech dowie się o jego kłopotach, wątpliwościach. Ale i on mógł ze wzroku Czepyżyna wyczytać smutek i starcze znużenie.

Podszedł do nich Sokołow i kiedy Czepyżyn witał się z nim, akademik Szyszakow zaledwie prześlizgnął się wzrokiem po starej marynarce Piotra Ławrientjewicza. Kiedy natomiast zjawił się Postojew, Szyszakow uśmiechnął się

radośnie całą swoją mięsistą twarzą i powiedział: - Witaj, witaj, kochany, właśnie z tobą chciałem się zobaczyć.

Zaczęli mówić o zdrowiu, o żonach, dzieciach, daczach; wielcy, wspaniali, po prostu - tytani.

Sztrum cicho spytał Sokołowa: - Jakaście się urządzili, ciepło macie w domu?  
462 - Na razie nie lepiej niż w Kazaniu. Masza bardzo prosiła, żeby się panu kłaniać. Prawdopodobnie jutro w ciągu dnia wstąpi do państwa.

- To cudownie - ucieszył się Sztrum - bo już się stęskniliśmy; w Kazaniu przyzwyczailiśmy się do codziennych spotkań.

- Jakich tam codziennych. Masza chyba ze trzy razy na dzień chodziła do państwa. Już radziłem jej, żeby się do was przeniosła.

Sztrum roześmiał się i pomyślał, że ten jego śmiech nie jest całkiem naturalny. Do sali wszedł matematyk Leontjew, z wielkim nosem i dużą ogoloną głową; na nosie miał olbrzymie okulary w żółtej oprawie.

Kiedys obaj byli na Krymie, w Gasprze, i stamtąd wybrali się do Jałty.

W sklepiku Wintorgu wypili sporo wina, wrócili do Gaspry i w stołówce śpiewali nieprzyzwoite piosenki, wywołując popłoch wśród personelu i wesołość wśród wczasowiczów. Leontjew uśmiechnął się więc na widok Sztruma. Wiktor Pawłowicz nieco zmieszany, czekał, aż ten zacznie mówić o pracy.

Ale Leontjew widocznie pamiętał o przygodach w Gasprze, zaczął machać do Sztruma i zawołał: - No jak, Wiktorze Pawłowiczu, zaśpiewamy sobie? Tymczasem Sztrum zauważył, że Szyszakow nisko się komuś kłania. Ukłon był przeznaczony dla ciemnowłosego młodego człowieka w czarnym garniturze.

Przybysza powitał zaraz Susłakow, który zarządzał przy prezydium ważnymi, ale zupełnie tajemniczymi sprawami. Wiadomo było tylko, że dzięki niemu łatwiej niż przy poparciu prezesa można przenieść na przykład docenta z Ałma-Aty do Kazania czy też dostać mieszkanie.

Susłakow należał wyraźnie do tych, którzy pracują po nocach; miał zmęczoną twarz, pomięte, jak z szarego ciasta, policzki; ten człowiek zawsze i wszystkim był potrzebny.

Wszyscy już się przyzwyczaili, że Susłakow na zebraniach pali palmirę, a akademicy - tytoń i machorkę; że kiedy sławni uczeni wychodzą z Akademii, to nie pytają Susłakowa: „Podwieźć pana?“, tylko on, zbliżając się do swego zisa, proponuje sławnym uczonym: „Może pana podwieźć?“ Teraz Sztrum, obserwując rozmowę Susłakowa z ciemnowłosym młodym człowiekiem, zauważył, że tamten o nic Susłakowa nie pyta; jakkolwiek uprzejmie wyrażona jest prośba, zawsze można odgadnąć, 463 kto prosi, a kto jest proszony. Co więcej, młody człowiek najwidoczniej chciał skończyć rozmowę z Susłakowem. Z przesadną uprzejmością ukłonił się Czepyżynowi, chociaż w tym szacunku mignęła niewyraźna, a mimo to dająca się wyczuć protekcjonalność.

- A tak przy okazji, kim jest ten młody wielmoża? - spytał Sztrum.

Postojew wyjaśnił półgłosem: - Od niedawna pracuje w wydziale nauki Komitetu

Centralnego.

- Wie pan - rzekł Sztrum - mam zadziwiające uczucie. Wydaje mi się, że nasza wytrwałość w Stalingradzie jest tym samym co wytrwałość Newtona, Einsteina, że zwycięstwo nad Wołgą będzie triumfem idei Einsteina, no, rozumie pan, jakie to uczucie.

Stojący obok Szyszakow uśmiechnął się z niedowierzaniem i lekko pokręcił głową.

- Czyżby pan mnie nie rozumiał, Aleksieju Aleksiejewiczu? - spytał go Sztrum.

- Nie zdziwiłbym się, bo to zupełna abrakadabra - rzekł z uśmiechem młody człowiek, który nagle znalazł się przy nich. - Rzeczywiście, trzeba sięgnąć do tak zwanej teorii względności, żeby znaleźć związek między Wołgą a Albertem Einsteinem.

-Tak zwanej? - powtórzył Sztrum i skrzywił się, słysząc wyraźnie drwiący i nieżyczliwy ton w głosie młodego człowieka z wydziału nauki.

Spojrzał na Szyszakowa, szukając u niego poparcia, ale piramidalny Aleksiej Aleksiejewicz swoim zwykłym lekceważeniem objął widocznie także Einsteina.

Sztruma ogarnęło nieprzyjemne rozdrażnienie. Spotykało go czasem coś takiego: obrażono go, a on z najwyższym trudem musiał się powstrzymać od gwałtownej reakcji. Już po wszystkim, nocą, w domu, polemizował z tymi, którzy go obrazili; wtedy aż go zatykało z gniewu. Niekiedy tak się zapominał, że krzyczał, gestykulował, szydził z wrogów, broniąc w tych gniewnych mowach tego, co kochał.

Ludmiła Nikołajewna wymieniała z Nadią spojrzenia: „Znowu tato wygłasza przemówienie”.

Sztrumowi chodziło zresztą nie tylko o Einsteina. Wydawało mu się, że każdy znajomy ma wręcz obowiązek rozmawiać z nim o jego pracy, że to on winien znaleźć się w centrum uwagi. Czuł się naprawdę dotknięty. Rozumiał, że jest śmieszny, obrażając się o coś takiego, a mimo to był obrażony. Bo poza Czepyżynem nikt nie zagadnął go o pracę.

m464 Na głos jednak powiedział łagodnie: - Faszyci wygnali genialnego Einsteina, wskutek czego ich fizyka stała się fizyką małopółdów. My, dzięki Bogu, powstrzymaliśmy marsz faszyzmu. Dlatego to wszystko: Wołga, Stalingrad, Albert Einstein, pierwszy geniusz naszej epoki, i zabita deskami wieś, i niepiśmienna stara wieśniaczka, i wolność, która potrzebna jest wszystkim... właśnie to połączyło się w całość. Może mówię o tym chaotycznie, ale myślę, że nie ma nic jaśniejszego od tego chaosu...

- Wydaje mi się, Wiktorze Pawłowiczu, że mocno pan przesadził z tym panegirycznym na cześć Einsteina - zauważył Szyszakow.

- Powiedziałbym - rzekł z uśmiechem Postojew - że pan w ogóle przesadził.

A młody człowiek z wydziału nauki popatrzył na Sztruma ze smutkiem.

- Tak, towarzyszu Sztrum - potwierdził, a Sztrum znowu wyczuł nieżyczliwość w jego głosie - w tak ważnych dla naszego narodu dniach uważacie za rzecz naturalną łączyć we własnym sercu Einsteina i Wołgę.

Cóż, w sercach waszych rozmówców budzi się w tych dniach coś zupełnie innego. Ale sercu nikt nie może rozkazywać, więc trudno byłoby się z wami spierać. Jeśli natomiast chodzi o ocenę Einsteina - tu już spierać się wolno, bo nie sądzę, żeby należało uznawać idealistyczną teorię za najwyższe osiągnięcie naukowe.

- Dajcie już spokój - przerwał mu Sztrum i mentorskim tonem powiedział: - Aleksieju Aleksiejewiczu, dzisiejsza fizyka bez Einsteina będzie fizyką małpoludów. Nie wolno robić sobie żartów z Einsteina, Galileusza czy Newtona.

Pogroził palcem Aleksiejowi Aleksiejewiczowi; ten zaczął nagle mrugać oczami.

Niedługo potem Sztrum stał pod oknem i przechodząc od szeptu do podniesionego głosu, opowiadał Sokołowowi o tej niespodziewanej utarczce.

- A pan był tuż obok i nic nawet nie słyszał - powiedział. - Jak na złość, Czepyżyn też odszedł i nic nie słyszał.

Zachmurzony, umilkł. Jakże był naiwny, dziecinny, kiedy upajał się wizją swojego dzisiejszego triumfu. Okazuje się, że ogólną sensację wywołała wizyta jakiegoś młokosa z KC.

- A zna pan nazwisko tego młodego człowieka? - jakby odgadując jego myśli, spytał nagle Sokołow. - Wie pan, czyj to krewniak? 465 - Nie mam pojęcia - odpowiedział Sztrum.

Sokołow zbliżył usta do ucha Sztruma i coś szepnął.

- Co pan mówi! - wykrzyknął Sztrum. Przypomniał sobie, z jaką niezrozumiałą dlań czołobitnością piramidalny akademik i Susłakow traktowali tego mężczyznę w studenckim wieku, i powiedział, przeciągając słowa: - Aaaa, to taaaka sprawa... A ja się jeeeszczee dziwiłem.

Sokołow, lekko rozbawiony, powiedział: - Od pierwszego dnia zapewnił pan sobie życzliwość i wydziału nauki, i kierownictwa Akademii. Zupełnie jak ten bohater Marka Twaina, który pochwalił się inspektorowi podatkowemu swoimi dochodami.

Ale Sztrumowi ten żart się nie spodobał, spytał więc: - A pan naprawdę nie słyszał naszej dyskusji, stojąc tuż koło mnie? Czy też nie chciał się pan mieszać do mojej rozmowy z inspektorem podatkowym? Małe oczka Sokołowa uśmiechnęły się do Sztruma, błysnęły życzliwością i od razu wyładniały.

- Wiktorze Pawłowiczu - powiedział Sokołow - proszę się nie denerwować. Czyżby pan naprawdę myślał, że Szyszakow jest w stanie docenić pańską pracę? Ach, mój Boże, mój Boże... Ta praca to rzecz autentyczna, a ci ludzie zabiegają tylko o swoje interesy.

I w oczach, i w głosie miał tę powagę, to ciepło, których oczekiwał od niego Sztrum, kiedy odwiedził go jesiennym wieczorem w Kazaniu.

Wtedy jednak ich nie otrzymał.

Zaczął się zebranie. Dyskutanci mówili o zadaniach nauki w trudnych wojennych czasach, o gotowości oddania swoich sił sprawie narodu, niesienia pomocy wojsku w jego walce z hitleryzmem. Mówiono o pracy instytutów Akademii, o wsparciu, jakie Komitet Centralny partii okaże uczonym, o tym, że chociaż towarzysz Stalin kieruje armią i narodem, znajduje jeszcze czas na problemy nauki, i że uczeni

nie mogą zawieść zaufania partii i osobiście towarzysza Stalina.

Mówiono o zmianach organizacyjnych, które w nowej sytuacji stają się niezbędne. Ku swemu zdumieniu fizycy dowiedzieli się, że nie są zadowoleni z planów naukowych swego instytutu; zbyt wiele uwagi poświęca się zagadnieniom teoretycznym. W sali przekazywano sobie szeptem słowa Susłakowa: „Instytut daleki od życia”.

466 27 W Komitecie Centralnym zajęto się sytuacją nauki w kraju. Mówiono, że główny nacisk partia położy teraz na rozwój fizyki, matematyki i chemii.

Komitet Centralny uważał, że nauka powinna zwrócić się frontem do produkcji, zbliżyć do życia, mocniej związać z praktyką. Mówiono, że na posiedzeniu obecny był Stalin; z przyzwyczajenia chodził po sali, trzymając fajkę w ręku. W czasie tego spaceru przystawał i przysłuchiwał się - może wystąpieniom, a może swoim własnym myślom.

Uczestnicy zebrania ostro piętnowali idealizm i niedocenywanie ojczystej filozofii i nauki.

Podczas posiedzenia Stalin wtrącił dwie uwagi. Kiedy Szčerbakow wypowiedział się za ograniczeniem budżetu Akademii, Stalin przecząco pokręcił głową i rzekł: - Nauka to nie warzenie mydła. Nie będziemy oszczędzać na Akademii.

Drugą replikę wygłosił, kiedy mówiono o szkodliwych teoriach idealistycznych i nadmiernej czołobitności wobec nauki zachodniej. Stalin pokiwał głową i powiedział: - Trzeba w końcu obronić naszych ludzi przed arakczejewszczyzną\*.

Uczeni zaproszeni na tę naradę opowiedzieli o niej przyjaciółom, kładąc im przysięgę, że nikomu ani słowa nie powtórzą. Po trzech dniach cała naukowa Moskwa, w dziesiątkach rodzinnych i przyjacielskich kręgów, półgłosem omawiała szczegóły posiedzenia.

Szeptem mówiono o tym, że Stalin jest siwy, że ma zepsute, szerniałe zęby i ospowatą twarz, ale za to ładne ręce o szczupłych palcach.

Nieletnich słuchających tych opowieści ostrzegano: - Uważaj, jak piśniesz słówko, to zgubisz nie tylko siebie, ale i nas wszystkich.

Powszechnie uważano, że sytuacja uczonych znacznie się poprawi, wielkie nadzieje wiązano ze słowami Stalina o arakczejewszczyźnie.

Kilka dni później aresztowano wybitnego botanika, genetyka CzetwieArakczejewszczyzna - od nazwiska hr. Aleksieja Arakczejewa, znienawidzonego zarządcy Rosji w schyłkowym okresie panowania Aleksandra I (1815-1825). Synonim brutalnych, despotycznych rządów.

467 rikowa. O przyczynie jego aresztowania chodziły najróżniejsze słuchy; jedni mówili, że okazał się szpiegiem, drudzy, że podczas wyjazdów za granicę spotykał się z emigrantami rosyjskimi, inni znowu, że jego żona, Niemka, przed wojną korespondowała z siostrą mieszkającą w Berlinie, jeszcze inni - że usiłował wprowadzić niepełnowartościowe gatunki pszenicy, żeby wywołać zarazę i nieurodzaj; łączono też jego uwięzienie z wypowiedzianym przezeń zdaniem o palcu wskazującym, a także z dowcipem politycznym, który opowiedział towarzyszowi dziecięcych zabaw.

W czasie wojny stosunkowo rzadko słyszało się o aresztowaniach z przyczyn politycznych, toteż wielu ludzi, wśród nich Sztrum, nabrało przekonania, że te straszne rzeczy raz na zawsze się skończyły.

Przypomniał się ludziom rok 1937, kiedy to prawie codziennie wymieniano nazwiska aresztowanych ostatniej nocy. Przypomnieli sobie też, jak przez telefon informowano o tym znajomych: „Dzisiaj w nocy zachorował mąż Anny Andriejewny...” Przypomnieli sobie, jak sąsiedzi odpowiadali przez telefon na pytanie o aresztowanych: „Wyjechał i nie wiadomo, kiedy wróci...” Przypominały się opowieści o tym, jak wyglądały aresztowania - przyszedli do domu, a on kąpał wtedy dziecko, wzięli go z pracy, w teatrze, głęboką nocą... Przypomniało się: „Rewizja trwała dwie doby, przetrząsnęli wszystko, zrywali nawet podłogi...” lub „Prawie nic nie obejrzel, ot, tak, dla przyzwoitości przekartkowali parę książek...” Przypomniły się dziesiątki nazwisk tych, którzy odeszli i nie wrócili: akademik Wawilow... Wiesie... Mandelsztam, Babel... Pilniak... Meyerhold... Bakteriologzy Korszunow i Złatogorow... Profesor Pletniow...

Docent Lewin...

Ale nie o to chodziło, że aresztowani byli ludźmi znanymi i wybitnymi. Chodziło o to, że i znani, i nieznani, skromni i niewidoczni, byli niewinni, wszyscy uczciwie pracowali.

Czyżby to wszystko wracało, czyżby i po wojnie dusza miała zamierać na odgłos kroków w nocy, na dźwięk klaksonów aut? Jak trudno połączyć to z walką o wolność... „Tak, tak, niedobrze, żeśmy w Kazaniu tyle nagadali” - myślał Sztrum.

W tydzień po aresztowaniu Czetwierikowa Czepyżyn ogłosił, że odchodzi z Instytutu Fizyki, a na jego miejsce mianowany został Szyszakow.

468 Czepyżyna odwiedził w domu prezes Akademii, podobno wzywał go również do siebie Beria czy też Malenkow, i podobno Czepyżyn odmówił zgody na zmiany w planie prac instytutu.

Mówiono, że uznając jego wielkie zasługi dla nauki, z początku nie chciano traktować go zbyt surowo. Razem z nim usunięty został dyrektor administracyjny, młody liberał Pimienow, jako nienadający się na to stanowisko.

Akademik Szyszakow objął i funkcję dyrektora, i kierownictwo naukowe, które poprzednio sprawował Czepyżyn.

Rozeszła się plotka, że wskutek tej historii Czepyżyn dostał ataku serca.

Sztrum od razu chciał do niego jechać, zadzwonił, ale pomoc domowa, która odebrała telefon, powiedziała, że Dmitrij Pietrowicz rzeczywiście w ostatnich dniach czuł się źle i stosując się do zaleceń lekarza, wyjechał razem z Nadieżdą Fiodorowną na daczę; wróci za parę tygodni.

Sztrum mówił do Ludmiły: - To zupełnie tak, jakby małemu chłopcu pomagano wysiąść z tramwaju, a nazywa się to obroną przed arakczejewszczyzną. Fizyki nie obchodzi, czy Czepyżyn jest marksistą, buddystą czy lamaistą. Czepyżyn stworzył szkołę. Czepyżyn jest przyjacielem Rutherforda. Równanie Czepyżyna zna każdy stróż.

- No, tato, z tym stróżem to chyba przesadziłeś - zauważyła Nadia.

Sztrum ostrzegł córkę: - Uważaj, jak będziesz za dużo mówić, zgubisz nie tylko

siebie, ale i nas wszystkich.

- Wiem, takie wypowiedzi są przeznaczone tylko dla domowników.

Sztrum rzekł łagodnie: - Niestety, Nadienko, cóż mogę zrobić, żeby zmienić decyzję KC? Walić głową w mur? Przecież Dmitrij Pietrowicz sam oświadczył, że chce odejść. Jak to się mówi, lud nie wyraził poparcia dla jego działalności.

Ludmiła Nikołajewna próbowała uspokoić męża: - Nie trzeba się tak gorączkować. A poza tym sam nieraz kłóciłeś się z Dmitrijem Pietrowiczem.

- Trzeba się kłócić, inaczej nie ma prawdziwej przyjaźni.

- No właśnie - powiedziała Ludmiła Nikołajewna. - Zobaczysz jeszcze, że przez twoją niewyparzoną gębę odsuną cię od kierowania zakładem.

469 - Akurat tym się nie przejmuję - rzekł Sztrum. - Nadia ma rację, rzeczywiście wszystkie moje opinie są do użytku wewnętrznego; ot, takie pokazywanie figi w kieszeni. Zadzwoń do Czetwierikowej, odwiedź ją! Przecież się znacie.

- To nie jest przyjęte, w dodatku wcale nie jestem jej bliską znajomą odparła Ludmiła Nikołajewna. - Pomóc jej w niczym nie mogę. Nie o niej teraz myślę. Dzwoniłeś do kogoś w takiej sytuacji? - A ja myślę, że powinnaś - zauważyła Nadia.

Sztrum skrzywił się.

- Tak, telefony to w gruncie rzeczy też tylko figa w kieszeni.

Chciał pogadać o odejściu Czepyżyna z Sokołowem, o czymś takim raczej nie z żoną i córką należy rozmawiać. Ale przyrzekł sobie, że nie będzie dzwonił do Piotra Ławrientjewicza, to nie są rozmowy na telefon.

Dziwne jednak to wszystko. Przecież nie ma wątpliwości, że ostatnia praca Sztruma jest sensacją. Czepyżyn powiedział na radzie naukowej, że to najważniejsze wydarzenie w radzieckiej fizyce teoretycznej ostatnich dziesięciu lat. A na czele instytutu stoi Szyszakow. To jakiś żart? Człowiek, który patrzy na setki zdjęć, widzi ślady elektronów odchylających się w lewo i nagle ma przed sobą fotografie takich samych śladów, takich samych cząsteczek, odchylających się w prawo. Można powiedzieć, że złapał pozytron za łeb! Młody Sawostjanow od razu by wiedział, o co chodzi! A Szyszakow odął wargi i odłożył zdjęcia na bok jako nieudane. „Ech - powiedziałaby stangret u Gogola - to przecież jest w prawo, nie wiesz, gdzie prawo, a gdzie lewo”.

Najdziwniejsze było jednak to, że takie rzeczy nikogo jakoś nie dziwiły. Całkiem jak gdyby stały się czymś naturalnym. I sam Sztrum, i jego żona, i wszyscy przyjaciele uznali tę sytuację za normalną.

Sztrum nie nadaje się na dyrektora, a Szyszakow się nadaje.

Jak to mówił Postojew? Aha, tak: „A najważniejsze, że pan i ja jesteśmy Rosjanami...” Ale przecież trudno być Rosjaninem bardziej niż Czepyżyn.

Rankiem, idąc do instytutu, Sztrum wyobrażał sobie, że tam wszyscy pracownicy, od profesorów po laborantów, mówią tylko o Czepyżynie.

Przed bramą instytutu stał zis; kierowca, niemłody mężczyzna w okularach, czytał gazetę.

470 Stary stróż, z którym Sztrum latem pił herbatę w laboratorium, spotkał go na schodach i powiadomił: - Przyjechał nowy szef. -I z miną winowajcy dodał: - A co z naszym Dmitrijem Pietrowiczem? W sali laboranci rozmawiali o montażu urządzeń, które poprzedniego dnia przyjechały z Kazania. Główna sala laboratoryjna była zastawiona wielkimi skrzyniami. Razem ze starą aparaturą przyjechała nowa, wykonana na Uralu. Nozdrin stał przy olbrzymiej drewnianej skrzyni; jego twarz miała wyraz, który Sztrum ocenił jako pogardliwy.

Pierepielicyń skakał na jednej nodze wokół tej paki, podpierając się szcudłem.

Anna Stiepanowna powiedziała, wskazując skrzynie: - Widzi pan, Wiktorze Pawłowiczu! - Takiej maszyny ślepy by nie widział - rzekł Pieriepielicyń.

Ale nie aparaturę miała Anna Stiepanowna na myśli.

- Widzę, widzę, oczywiście - odpowiedział Sztrum.

- Za godzinę przyjdą robotnicy - odezwał się Nozdrin. - Załatwiliśmy to z profesorem Markowem.

Wypowiedział te słowa powoli, spokojnym tonem gospodarza. Nadeszła jego pora.

Sztrum skierował się do swojego gabinetu. Markow i Sawostjanow siedzieli na kanapie, Sokołow stał pod oknem, a Swieczin, kierownik sąsiedniego zakładu magnetyzmu, siedział za biurkiem i palił skręta.

Kiedy Sztrum wszedł, Swieczin wstał, ustępując mu fotela: - To miejsce gospodarza.

- Bez przesady, niech pan siedzi - powstrzymał go Sztrum i od razu spytał: - O czym rozprawia wysokie zgromadzenie? Markow odpowiedział: - Akurat o limitach. Podobno akademikom mają podnieść limit do półtora tysiąca, a zwykłym śmiertelnikom do pięciuset, tak jak artystom ludowym i wielkim poetom w rodzaju Lebediewa-Kumacza.

- Zaczynamy montaż aparatury - rzekł Sztrum - a Dmitrija Pietrowicza nie ma w instytucie. Jak to mówią: dom się pali, karawana idzie dalej.

Ale siedzący nie podjęli tematu, który Sztrumowi nie dawał spokoju.

Sawostjanow powiedział: 471 - Kuzyn wczoraj do mnie przyjechał po drodze ze szpitala na front.

Była okazja, żeby wypić, to kupiłem u sąsiadki pół litra za trzysta pięćdziesiąt rubli.

- Fantastycznie! - zachwycił się Swieczin.

- Nauka to nie warzenie mydła - zażartował Sawostjanow, ale po twarzach rozmówców nie widać było, żeby żart ich rozweselił.

- Nowy szef już przyjechał - rzekł Sztrum.

- Bardzo energiczny człowiek - zauważył Swieczin.

- Nie przepadamy za Aleksiejem Aleksiejewiczem - oświadczył Markow. - Bywał na herbacie u towarzysza Żdanowa w domu.



Markow był zdumiewającym człowiekiem - wydawało się, że znajomości ma niewiele, a zawsze wszystko wiedział - i o tym, że w sąsiednim laboratorium zaszła w ciążę doktor Gabriczewska, i że mąż sprzątaczkę Lidy znowu trafił do szpitala, i że komisja kwalifikacyjna nie zatwierdziła habilitacji Smorodincewa.

- No cóż - Sawostjanow przybrał poważniejszy ton - sławetny błąd Szyszakowa znamy. Ale tak w ogóle niezły z niego gość. A tak przy okazji, znacie różnicę między człowiekiem przyzwoitym a nieprzyzwoitym? Człowiek przyzwoity robi świństwa bardzo niechętnie.

- Błąd błędem - powiedział kierownik zakładu magnetyzmu - ale przecież za błąd nikogo nie robią akademikiem.

Swieczin był członkiem egzekutywy partyjnej instytutu, do partii wstąpił jesienią 1941 roku i jak wielu, którzy należeli do niej od niedawna, wszelkie polecenia partyjne traktował poważnie, z religijnym wręcz namaszczeniem.

- Wiktorze Pawłowiczu - zwrócił się do Sztruma - mam do was sprawę, komitet prosi, żebyście wypowiedzieli się na zebraniu w związku z nowymi zadaniami.

- Błędy starego kierownictwa, obrabianie Czepyżyna? - spytał ten, zły, bo rozmowa toczyła się zupełnie nie tak, jak by tego pragnął. - Czy jestem przyzwoity, tego nie wiem, ale świństwa robię z dużą niechęcią.

I zwrócił się do współpracowników z pytaniem: - No, a wy, koledzy, czy zgadzacie się z odejściem Czepyżyna? Był absolutnie pewien, że są tego samego zdania co on, więc zdziwił się, kiedy Sawostjanow zrobił nieokreślony ruch ramionami.

- Stara człowiek - niedobra człowiek.

Swieczin powiedział 472 - Czepyżyn oświadczył, że nie będzie rozpoczynał żadnych nowych prac. Cóż było robić? W dodatku przecież sam się zwolnił, a góra wręcz przeciwnie, prosiła, żeby został.

- Aha, bronią nas przed Arakczejewem? - ironizował Sztrum. - No, w końcu jakiegoś znaleźli.

Markow rzekł zniżonym głosem: - Wiktorze Pawłowiczu, podobno kiedyś Rutherford przysięgał, że nie będzie podejmował prac z neutronami, obawiając się, że doprowadzi to do wyzwolenia ogromnych sił niszczących. To szlachetne, ale bezsensowne piękno duchostwo. No i podobno Dmitrij Pietrowicz też wypowiadał się w takim mniej więcej baptystycznym duchu.

„Boże - pomyślał Sztrum - skąd on to wszystko wie?” Podsumował: - Wygląda na to, Piotrze Ławrientjewiczu, że nie mamy większości.

Sokołow pokręcił głową.

- Wydaje mi się, Wiktorze Pawłowiczu, że indywidualizm czy przekora są w takich czasach niedopuszczalne. Przecież trwa wojna. Nie o sobie, nie o własnych interesach powinien być myśleć Czepyżyn, kiedy z nim rozmawiali starsi koledzy.

Sokołow nastroszył się i wszystko to, co brzydkie w jego brzydkiej twarzy, stało się wyraźnie widoczne.

- Aha, i ty, Brutusie? - rzekł Sztrum, żartobliwym cytatem pokrywając

zakłopotanie.

Ciekawe jednak było to, że nie tylko się zmieszał, ale jakby i ucieszył.

„No oczywiście, z góry wiedziałem” - pomyślał. Ale dlaczego: „No oczywiście”? Przecież nawet nie przypuszczał, że Sokołow może odpowiedzieć w ten sposób. A gdyby przypuszczał, to z czego miałby się cieszyć? - Powinien pan zabrać głos - rzekł Swieczin. - Powiedzieć choćby kilka słów o perspektywach pańskiej pracy w związku z uchwałą KC.

Krytykować Czepyżyna absolutnie pan nie musi.

Przed wojną Sztrum spotykał tego człowieka na koncertach w konserwatorium. Opowiadano, że za młodu Swieczin, jeszcze jako student wydziału matematyczno-fizycznego, pisywał awangardowe wiersze, nosił chryzantemę w butonierce. A teraz o uchwałach KC mówił tak, jakby chodziło o prawdy ostateczne.

Sztrum miał czasem ochotę puścić oko do niego, leciutko szturchnąć go palcem w bok i powiedzieć: „Ej, stary, pogadajmy zwyczajnie”.

473 Wiedział, że teraz tak zwyczajnie ze Swieczinem nie pogada. A jednak, zaskoczony słowami Sokołowa, zaczął mówić zwyczajnie.

- Czy aresztowanie Czetwierikowa - zapytał - też jest związane z nowymi zadaniami? A starszy Wawilow też w związku z tym trafił do więzienia? A co by było, gdybym w ogóle ośmielił się oświadczyć, że Dmitrij Pietrowicz jest dla mnie w fizyce większym autorytetem niż towarzysz Żdanow, niż kierownik wydziału nauki KC, a nawet...

Zobaczył wpatrzonych w niego ludzi, oczekujących, że wypowie nazwisko „Stalin”, machnął ręką i powiedział: - No, dobra, dość tego, idziemy do laboratorium.

Skrzynie z nową, przywiezioną z Uralu aparaturą były już otwarte; podstawową, ważącą trzy czwarte tony część urządzenia ostrożnie uwolniono od papierów, kawałków nieheblowanych desek, oczyszczono z trocin. Sztrum przyłożył dłoń do polerowanej powierzchni metalu.

Z tego metalowego brzucha będzie tryskał szybki strumień cząsteczek, tak jak Wołga spod kapliczki nad jeziorem Seliger.

Oczy wszystkich w laboratorium były pełne szczęścia. Dobrze jest człowiekowi, kiedy czuje, że istnieje na świecie taka cudowna maszyna; czegoż może chcieć jeszcze? Po pracy Sztrum i Sokołow zostali w laboratorium sami.

Sokołow robił wyrzuty Sztrumowi: - Wiktorze Pawłowiczu, po co pan podskakuje jak kogut? Brakuje panu pokory. Opowiedziałem Maszy o pańskich sukcesach na posiedzeniu Akademii, kiedy to w ciągu pół godziny zdążył się pan narazić nowemu dyrektorowi i wszechpotężnemu młodzianowi z wydziału nauki. Masza strasznie się zdenerwowała, nie mogła później spać w nocy. Wie pan, w jakich czasach żyjemy. Jutro zaczniemy montować nową aparaturę. Widziałem pańską twarz, kiedy pan na nią patrzył.

I wszystko to naraża pan dla pustego frazesu.

- Chwileczkę, chwileczkę - zaprotestował Sztrum. - Tylko że nie mamy czym oddychać.

- Boże mój - zniecierpliwiał się Sokołow - w pracy nikt nie będzie panu przeszkadzał. Niech pan sobie oddycha pełną piersią.

- Wie pan co, mój kochany - rzekł Sztrum i kwaśno się uśmiechnął - przedstawia mi pan swoje pretensje jako przyjaciel, dziękuję za tę szczerość. Pozwoli pan więc, że w ramach wzajemności zapytam: 474 A po co pan, u licha, wyskoczył przy Swieczynie z taką krytyczną wypowiedzią o Dmitriju Pietrowiczu? Po okresie kazańskiej wolnomyślności odebrałem to jakoś wyjątkowo boleśnie. A co do mnie: niestety, nie jestem aż taki odważny. Nie Danton, jak mawialiśmy w czasach studenckich.

- No i dzięki Bogu, że nie Danton. Prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że oratorami politycznymi zostają ludzie, którzy nie potrafią się spełnić twórczo. A my obaj możemy.

- Masz ci los - odparł Sztrum. - A co pan robi z młodym Francuzem Galois? A co z Kibalcziczem\*? Sokołow odsunął krzesło.

- Wie pan, Kibalczicz poszedł na szubienicę, a ja mówię tu o czczej gadaninie. Takiej, jaką uprawia Madjarow.

Sztrum zapytał: - To znaczy, że ja też uprawiam tylko czczą gadaninę? Sokołow w milczeniu wzruszył ramionami.

Wydawało się, że zapomną o tym swoim starciu, tak jak wcześniej o wielu sprzeczkach i sporach. Nie wiadomo jednak dlaczego to krótkie spięcie nie przepadło bez śladu, nie zostało zapomniane.

Przyjaciele czasem kłócą się i bywają wtedy wobec siebie niesprawiedliwi, a mimo to ich wzajemne urazy przemijają. Ale jeśli powstanie wewnętrzny rozdźwięk między ludźmi, którzy jeszcze sobie tego nie uświadamiają, wówczas każde, nawet przypadkowe słówko, każda drobna uszczypliwość może zmienić się w nóż, który zada śmiertelny cios ich przyjaźni.

Często też przyczyna rozdźwięku leży tak głęboko, że nigdy nie wyjdzie na jaw - dawni przyjaciele nigdy jej nie poznają. Chwilowy, błahy spór, złe słowo, które przypadkowo któremuś się wyrwie, uznają wtedy za coś, co zniszczyło długoletnią przyjaźń.

Nie, nie o gąsiora pokłócił się u Gogola Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem! Kibalczicz Nikołaj (1853-1881), rosyjski pionier astronautyki, działacz Narodnej woli, stracony po zamachu na Aleksandra II.

475 28 O nowym zastępcy dyrektora instytutu Kasjanie Tierientjewiczu Kowczenko mówiono: „wierne kadry Szyszakowa”. Uprzejmy, wtrącający w rozmowie ukraińskie słowa Kowczenko zadziwiająco szybko otrzymał mieszkanie i samochód do osobistego użytku.

Markow, znawca mnóstwa historii o akademikach i szefostwie Akademii, opowiadał, że Kowczenko został laureatem Nagrody Stalinowskiej za pracę, którą przeczytał dopiero po jej opublikowaniu - jego udział bowiem polegał na tym, że zdobył deficytowe materiały i przyspieszył wędrówkę publikacji przez wszystkie instancje.

Szyszakow polecił Kowczenko zorganizować konkurs na obsadzenie nowych

wakatów. Dano ogłoszenie, że poszukuje się samodzielnych pracowników naukowych; zwolniły się etaty kierowników laboratorium próżniowego i zakładu niskich temperatur.

Władze wojskowe przydzieliły instytutowi materiały i przysłały robotników; przebudowywano warsztaty mechaniczne, remontowano budynek instytutu. MoGES dostarczał Nielimitowanej energii elektrycznej, tajne fabryki - deficytowych materiałów. Wszystkimi tymi sprawami zajmował się również Kowczenko.

Zazwyczaj, kiedy w instytucji zjawia się nowy szef, mówi się o nim z szacunkiem: „Przychodzi do pracy pierwszy, wychodzi ostatni”. Tak mówiono o Kowczenko. Ale jeszcze większym szacunkiem cieszy się nowy szef, o którym pracownicy powiadają: „Już dwa tygodnie, jak go mianowano, a on pokazał się tylko raz, na pół godziny. W ogóle go nie widzimy”. To świadczy o tym, że zwierzchnik o skarbnicę nauki zabiega na szczeblu państwowym.

W instytucie tak początkowo mówiono o akademiku Szyszakowie.

Czepyżyn zaś pojechał na daczę, żeby popracować, jak mówił, w chałupniczym laboratorium. Sławny kardiolog, profesor Feinhardt, radził mu nie robić gwałtownych ruchów, nie podnosić ciężarów. Na dacy Czepyżyn rąbał drwa, kopał doły i czuł się dobrze; do Feinhardta pisał, że ścisły reżim mu pomógł.

W głodnej i chłodnej Moskwie instytut wydawał się oazą ciepła i sytości. Ludzie, którzy nocą zmarzli w wilgotnych mieszkaniach, przychodzili rano do pracy i z rozkoszą przykładali dłonie do gorących grzejników.

476 Szczególnie podobała się wszystkim nowa stołówka, urządzona w suterenie. Funkcjonował przy niej bufet, w którym sprzedawano zsiadłe mleko, słodzoną kawę, kiełbasę. Wydająca produkty bufetowa nie wycinała talonów na mięso i tłuszcze z kartek żywnościowych - to najbardziej cenili sobie pracownicy instytutu.

Obiady w stołówce dzieliły się na sześć kategorii: dla doktorów habilitowanych, dla starszych pracowników naukowych, dla pomocniczych pracowników naukowych, dla starszych laborantów, dla pracowników technicznych i dla pracowników obsługi.

Największe problemy wywoływały dwie najwyższe kategorie, różniące się od siebie tym, że w pierwszej na trzecie danie przysługiwał kompot z suszonych owoców, w drugiej zaś - kisiel z proszku. Niezadowolenie budziły też paczki żywnościowe, które otrzymywali doktorzy habilitowani i kierownicy działów.

Sawostjanow wyraził przypuszczenie, że teoria Kopernika wywołała mniej dyskusji niż te paczki.

Niekiedy miało się wrażenie, że w tworzeniu tajemniczych zasad rozdzielnika biorą udział nie tylko dyrekcja i komitet partyjny, ale także wyższe, nieznanne siły.

Któregoś wieczoru Ludmiła Nikołaj ewna powiedziała: - Mimo wszystko to dziwne: odbierałam dzisiaj twoją paczkę i dowiedziałam się, że taki Swieczin, absolutne zero naukowe, ma prawo do dwudziestu jajek, a tobie, nie wiadomo czemu, przysługuje piętnaście.

Sprawdzałam nawet na liście. Ty i Sokołow macie po piętnaście.

Sztrum wygłosił żartobliwą mowę: - Diabli wiedzą, jak to się dzieje! Wiadomo, że uczeni dzielą się u nas na kategorie - największy, wielki, sławny, wybitny, świetny,

znany, znakomity, doświadczony, kwalifikowany, no i na koniec - najstarszy.

Ponieważ wiadomo, że najwięksi i wielcy już nie żyją, jajka im nie przysługują. Reszta powinna otrzymywać kapustę, kaszę manną i jajka w zależności od pozycji naukowej. Ale u nas wszystko się płacze, wprowadza się dodatkowe kryteria: bierny społecznie, prowadzi seminarium z marksizmu, trzyma z dyrekcją. Wychodzi nie wiadomo co. Kierownik garaży akademickich został zrównany z Zielińskim: dwadzieścia pięć jajek. Wczoraj nawet pewna bardzo miła pani z zakładu Swieczina rozpląkała się w poczuciu krzywdy i odmówiła przyjęcia żywności, tak jak Gandhi.

477 Nadia, słuchając ojca, śmiała się, ale potem powiedziała: - No, nie wiem, tato... Jak wy tam nie wstydzicie się wcinąć w stołówce swoich kotletów przy sprzątaczkach. Babcia nigdy by się na to nie zgodziła.

- Widzisz - wyjaśniła Ludmiła Nikołajewna - na tym właśnie polega socjalizm: każdemu według jego pracy.

- E tam, bzdury. O socjalizmie w tej stołówce nawet nie słyszano - odparł Sztrum i dodał: - No, dosyć już, gwizdź na to wszystko. A wiecie powiedział nagle - co mi dzisiaj mówił Markow? Moją pracę ludzie nie tylko u nas, ale także w Instytucie Matematyki i Mechaniki przepisują na maszynie, jeden drugiemu pożyczają ją do czytania.

- Tak jak wiersze Mandelsztama? - spytała Nadia.

- Nie śmieć się - upomniał córkę Sztrum. - Studenci starszych lat proszą nawet, żeby im zrobić specjalny wykład.

- Cóż - odparowała Nadia - mnie nawet Ałka Postojewa mówiła: „Twój tato został geniuszem”.

- No, umówmy się, że do geniusza mi daleko - sprostował Sztrum.

Poszedł do swojego pokoju, ale wkrótce wrócił i zagadnął żonę: - Nie może mi wyjść z głowy ta bzdura. Swieczinowi dają dwadzieścia jajek. W przedziwny sposób umieją u nas poniżać ludzi! Sztrumowi było wstyd, ale w rzeczywistości czuł się dotknięty tym, że na liście przydziałów trafił do tej samej kategorii co Sokołow. Wyższość jego, Sztruma, należało przecież podkreślić choćby jednym jajeczkiem: Sokołow powinien dostać trochę mniej, powiedzmy, czternaście, byle była jakaś różnica.

Śmiał się sam ze swoich pretensji, ale nie wiadomo dlaczego bardziej go dotknął fakt, że został zrównany z Sokołowem, niż to, że dostał mniej niż Swieczin. Ze Swieczinem sprawa była prosta - to członek egzekutywy, jego uprzywilejowana pozycja wynika z działalności partyjnej. Tym się Sztrum nie przejmował.

Ale w przypadku Sokołowa chodziło o rangę naukową, o zasługi w tej dziedzinie. Na to już nie był obojętny. Ogarnęła go okropna, raniąca do głębi duszę irytacja. Co za żalosna, idiotyczna forma oceny pracowników! Niby wszystko to rozumiał. Ale co począć, jeśli człowiek nie zawsze jest wielki, bywa i żalosny.

Kładąc się spać, Sztrum przypomniał sobie niedawną rozmowę z Sokołowem o Czepyżynie i głośno, ze złością powiedział: 478 - Homo locaius.

- O kim mówisz? - spytała Ludmiła Nikołajewna. Czytała w łóżku książkę.

- No, o Sokołowie. To lokaj.

Ludmiła założyła palcem książkę i powiedziała, nie odwracając głowy w stronę męża: - Doczekasz się jeszcze, że cię wyrzucą z instytutu, a wszystko przez te twoje złośliwe powiedzonka. Jesteś drażliwy, pouczasz innych... Ze wszystkimi się pokłóciłeś, a teraz, jak widzę, chcesz się pokłócić nawet z Sokołowem. Niedługo już nikt nie będzie nas odwiedzał.

Sztrum odrzekł na to: - No, dobrze, uspokój się, Luda, kochana. Jak mam ci to wyjaśnić? Rozumiesz, znowu ten sam przedwojenny strach o każde słowo, ta sama bezradność. Czepczyżn! Luda, przecież to wielki człowiek! Myślałem, że cały instytut będzie huczał, a okazało się, że jego odejściem zmartwił się tylko stary stróż. Postojew powiedział do Sokołowa: „Najważniejsze, że pan i ja jesteśmy Rosjanami”. Niby o co mu chodziło? Miał ochotę na długą rozmowę z Ludmiłą, chciał podzielić się z nią swoimi przemyśleniami. Przecież wstyd mu było, że mimo woli dał się wciągnąć w te wszystkie historie z przydziałami żywności. Dlaczego? Dlaczego w Moskwie postarzał się jakby, przygasł, stał się jakiś drobnomieszczański, małostkowy, w pracy zaczął się przejmować przyziemnymi sprawami. Dlaczego na prowincji, w Kazaniu, jego życie duchowe było głębsze, poważniejsze, czystsze? Dlaczego nawet nauka, treść jego życia, jego radość, została zmacona, zbrukana niskimi myślami? - Luda, jest mi ciężko. Czemu nic nie mówisz? Co, Luda? Rozumiesz mnie? Ludmiła Nikołajewna nie odpowiedziała nic. Spała.

Roześmiał się cichutko; wydało mu się zabawne, że na wieść o jego wyczynach jedna kobieta nie mogła spać, a druga od razu usnęła. Potem wyobraził sobie szczupłą twarz Marii Iwanowny i znowu powtórzył słowa przed chwilą wypowiedziane do żony: - Rozumiesz mnie? Co, Masza? „Diabli wiedzą, co za głupstwa przychodzą mi do głowy” - pomyślał, zasypiając.

Do głowy rzeczywiście przychodziły mu głupstwa.

479 Sztrum miał, jak to się mówi, dwie lewe ręce. Zazwyczaj kiedy w domu zgasło światło albo przepaliło się żelazko, naprawą zajmowała się Ludmiła Nikołajewna.

W pierwszych latach wspólnego życia bezradność Sztruma ją rozczulała. Ostatnio jednak zaczęła się na niego złościć; gdy kiedyś postawił na ogniu pusty czajnik, powiedziała: - Już ty się lepiej niczego nie tykaj! Co za ciamajda! Sztrum często wspominał to obraźliwe słowo, kiedy w instytucie zaczęła się praca przy montażu aparatury.

W laboratorium zaczęli rządzić Markow i Nozdrin. Sawostjanow pierwszy to odczuł i powiedział na naradzie produkcyjnej: - Nie ma Boga oprócz profesora Markowa, a Nozdrin jest jego prorokiem! Powściągliwość i sztywność Markowa zniknęły. Zachwycał Sztruma śmiałością myśli, z marszu rozwiązywał nieoczekiwane powstałe przy montażu problemy. Sztrum miał wrażenie, że Markow jest chirurgiem, który śmiało operuje skalpelem wśród splotów naczyń krwionośnych i płątaniny nerwów. Przypominało to narodziny rozumnej, obdarzonej dużym intelektem istoty. Powstawał jakby nowy, nieznan dotąd organizm metalowy, obdarzony sercem, uczuciami, zdolny cieszyć się i cierpieć tak samo jak ludzie, którzy go stworzyli.

Sztruma zawsze trochę śmieszyła niezachwiana pewność Markowa, że jego

praca, instrumenty przezeń stworzone znaczą więcej niż błahostki, którymi zajmowali się Budda i Mahomet, albo książki Tołstoja i Dostojewskiego.

Tołstoj miał wątpliwości, czy jego wybitne dzieła przynoszą jakiś pożytek! Geniusz nie był pewien, czy tworzy coś, co jest potrzebne ludziom! Markow natomiast w to nie wątpił.

Teraz jednak ta pewność Markowa nie wydawała się Sztrumowi śmieszna.

Lubił obserwować, jak Nozdrin posługuje się pilnikiem, kleszczami, śrubokrętem albo w zadumie przebiera w pasmach przewodów, pomagając elektrykom doprowadzającym prąd do nowej aparatury.

Na podłodze leżały zwoje przewodów, mętne, sinawe płyty ołowiu. Pośrodku sali na żeliwnej płycie stała przywieziona z Uralu zasadnicza część urządzenia z wywierconymi okrągłymi lub prostokątnymi otworami. Jakieś bolesne, niepokojące piękno tkwiło w tej 480 zwykłej bryle metalu, służącej niesłychanie subtelnym badaniom materii...

Na brzegu morza, tysiąc albo dwa tysiące lat temu, kilku ludzi budowało tratwę z grubych bali, mocując je sznurami i kłami. Na piaszczystym brzegu stały kołowroty, imadła, nad ogniem grzały się kotły ze smołą... Dzień wypłynięcia był coraz bliżej.

Wieczorem budowniczy tratwy wracali do swoich domów, wdychali ich zapachy, ciepło rusztu, słuchali gderania i śmiechu kobiet.

Niekiedy wtrącali się do domowych swarów, krzyczeli, karcili dzieci, kłócili się z sąsiadami. A nocą w łagodnej ciemności słychać było szum morza i serce ścisnęło się w oczekiwaniu podróży w nieznane...

Sokołow, obserwując pracę nad montażem, zazwyczaj milczał.

Sztrum, podnosząc wzrok, napotykał jego poważne, badawcze spojrzenie, i wydawało się, że nie znika to, co było między nimi dobre i ważne.

Sztrum miał ochotę otwarcie porozmawiać z Piotrem Ławrientjewiczem. Bo rzeczywiście wszystko było takie dziwne. Wszystkie te poniżające talonowe, limitowe namiętności, nędzne myśli o należnych zaszczytach, o ocenach dykcji. A tymczasem w duszy nadal żyło to, co nie zależy od przełożonych, od sukcesów i porażek w pracy, od nagród.

Teraz wieczory w Kazaniu znowu wydawały się dobre, odświeżające, było w nich coś z przedrewolucyjnych studenckich zebrań. Byleby tylko Madjarow okazał się uczciwym człowiekiem. Dziwne: Karimow podejrzewa Madjarowa, Madjarow-Karimowa... A obaj są przyzwoici! Sztrum był tego pewien. Chociaż mogło być i tak, jak u Heinego: die beiden stinken\*.

Czasem przypominała mu się rozmowa z Czepyżynem o zakwaszonym cieście. Dlaczego teraz, kiedy on, Sztrum, wrócił do Moskwy, w duszy rośnie wszystko, co małe i nędzne? Dlaczego w górę idą ludzie, których nie darzy szacunkiem? Dlaczego pomija się tych, w których siłę, talent, uczciwość wierzy? Przecież Czepyżyn mówił o hitlerowskich Niemczech, Czepyżyn nie miał racji.

- Zdumiewające - powiedział Sztrum do Sokołowa - ludzie przychodzą z innych

zakładów, żeby zobaczyć, jak przebiega montaż naszej aparatury. A Szyszakow nie znalazł czasu, ani razu nie zajrzał.

Obaj śmierzą (niem.).

481 - Ma dużo spraw - odrzekł Sokołow.

- Oczywiście, oczywiście - pośpiesznie zgodził się Sztrum.

No i masz: tak po powrocie do Moskwy wyglądają szczerze przyjacielskie rozmowy z Piotrem Ławrientjewiczem. Przyszedł do swoich, a swoi go nie poznali.

Dziwne, ale przestał z byle powodu kłócić się z Sokołowem, nie miał teraz ochoty na spory.

Uniknąć ich jednak nie było łatwo. Czasem spór rodził się nagle, ku zaskoczeniu Sztruma.

Powiedział teraz w zadumie: - Przypomniały mi się nasze kazańskie dyskusje... Tak przy okazji, co słyhać u Madjarowa; pisuje do pana? Sokołow pokręcił głową.

- Nie wiem, nie wiem, co u Madjarowa. Mówiłem panu przecież, że przestaliśmy się spotykać jeszcze przed wyjazdem. Coraz bardziej przykre są dla mnie wspomnienia tamtych naszych rozmów. Byliśmy przygnębieni chwilowymi niepowodzeniami w wojnie i przypisywaliśmy je jakimś rzekomo ujemnym stronom życia w naszym kraju.

Tymczasem wszystko, co uważaliśmy za wady Związku Radzieckiego, okazało się jego zaletami.

- Na przykład rok trzydziesty siódmy? - spytał Sztrum.

Sokołow powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, pan ostatnio każdą naszą rozmowę zamienia w kłótnię.

Sztrum chciał zapewnić, że przeciwnie, jest nastawiony pokojowo, za to Sokołow często bywa rozdrażniony, i właśnie to rozdrażnienie pobudza go do kłótni przy byle okazji.

Ale powiedział tylko: - Możliwe, Piotrze Ławrientjewiczu, że przyczyna tkwi w moim trudnym charakterze, który z dnia na dzień staje się gorszy. To zauważył nie tylko pan, ale także Ludmiła Nikołajewna.

Mówiąc to, pomyślał: „Jakiż jestem samotny. I w domu, i w pracy, i z przyjacielem - samotny”.

482 29 U reichsfuhrera SS Himmlera miała się odbyć narada w sprawie specjalnych środków, jakie zamierzał podjąć Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Naradzie nadano szczególne znaczenie, w tej sprawie Himmler pojechał do kwatery polowej wodza.

Sturmbannfuhrer Liess otrzymał polecenie z Berlina, żeby złożyć raport z przebiegu budowy obiektu specjalnego, wznoszonego w pobliżu zarządu obozu.

Zanim Liess przystąpił do oględzin obiektu, miał pojechać do zakładów mechanicznych firmy Voss i do fabryki chemicznej, wykonującej zamówienia Urzędu Bezpieczeństwa, następnie zaś - przedstawić w Berlinie sytuację obersturmbannfuhrerowi SS Eichmannowi, odpowiedzialnemu za przygotowanie



narady.

Delegacja uradowała Liessa; ciążyła mu praca w obozie, nieustanne obcowanie z ordynarnymi, prymitywnymi ludźmi.

Wsiadając do samochodu, przypomniał sobie Mostowskiego.

Prawdopodobnie staruszek, zamknięty w izolatce, dniem i nocą stara się dociec, w jakim celu wezwał go Liess, i czeka w napięciu, co będzie dalej.

A chodziło tylko o sprawdzenie kilku spostrzeżeń potrzebnych do napisania pracy Ideologia wroga i jej przywódcy.

Co za ciekawy charakter! Rzeczywiście, kiedy włązi człowiek do jądra atomu, zaczynają na niego działać nie tylko siły odpychania, ale i przyciągania.

Samochód wyjechał za bramę obozu, a Liess zapomniał o Mostowskim.

Następnego dnia rano przyjechał do zakładów.

Zjadł śniadanie i w gabinecie Vossa rozmawiał z konstruktorem Praschkem, następnie z inżynierami kierującymi produkcją; w biurze dyrektor ekonomiczny zaznajomił go z kosztorysem zamówionych agregatów.

Liess spędził kilka godzin w halach fabrycznych wśród nieustannego dudnienia metalu i pod koniec dnia był już bardzo zmęczony.

Zakładom Vossa przypadła istotna część zamówienia Urzędu Bezpieczeństwa, Liess zaś był zadowolony - dyrekcja przedsiębiorstwa poważnie potraktowała sprawę, dane techniczne zostały ściśle uwzględnione, 483 inżynierowie udoskonalili konstrukcję transporterów, specjaliści od ciepłownictwa opracowali optymalny schemat pracy pieców.

Po ciężkim dniu w fabryce tym miłszy wydał się Liessowi wieczór spędzony z rodziną Vossa.

Wizyta w zakładach chemicznych rozczarowała Liessa: wyprodukowano zaledwie nieco ponad czterdzieści procent zamówionej substancji.

Pracownicy zakładów irytowali Liessa swoimi licznymi skargami: produkcja jest skomplikowana i kapryśna; w czasie nalotu zepsuła się wentylacja, więc w zakładzie doszło do masowego zatrucia robotników; ziemia okrzemkowa, służąca jako stabilizator otrzymanego materiału, dostarczana jest nieregularnie; kolej przetrzymuje opakowania hermetyczne...

Zarząd spółki chemicznej był jednak świadomy wagi zamówienia Urzędu Bezpieczeństwa. Naczelný chemik, doktor Kirchgarten, powiedział Liessowi, że zamówienie zostanie wykonane w terminie. Zarząd podjął decyzję, że przesunie termin realizacji innego zamówienia ministerstwa rezerw wojennych; wypadek bez precedensu od września 1939 roku.

Liessa zapraszano, by wziął udział w eksperymencie próbnym w tamtejszym laboratorium; wymówił się, ale przejrzał protokoły sporządzone przez fizjologów, chemików i biochemików.

Tego samego dnia spotkał się z naukowcami, którzy przeprowadzali próby - byli to młodzi uczeni: dwie kobiety - fizjolog i biolog, lekarz anatomopatolog, chemik,

specjalista od związków organicznych o niskiej temperaturze wrzenia, oraz kierownik grupy, toksykolog, profesor Fischer. Uczestnicy spotkania wywarli na Liessie doskonałe wrażenie.

Chociaż wszyscy byli zainteresowani tym, żeby opracowana przez nich metoda zyskała aprobatę, dzielili się z Liessem wątpliwościami i nie ukrywali jej słabych stron.

Na trzeci dzień Liess razem z inżynierami firmy montażowej Obersteina poleciał samolotem na budowę. Czuł się świetnie, podróż dobrze na niego wpływała. Czekająca go teraz rzecz najprzyjemniejsza - po obejrzeniu budowy miał razem z jej kierownictwem technicznym udać się do Berlina, żeby w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa złożyć raport o sytuacji.

484 Pogoda była paskudna, lał zimny listopadowy deszcz. Samolot z trudem wylądował na centralnym lotnisku obozu - na mniejszej wysokości nastąpiło oblodzenie skrzydeł, nad ziemią słała się mgła.

O świcie spadł śnieg, więc tu i ówdzie na grudach gliny leżały jeszcze jego szare, niezmyte przez deszcz plamy.

Ronda filcowych kapeluszy inżynierów namokły, napiły się ciężkiego jak rtęć deszczu.

Do placu budowy wiodła bocznicą kolejowa, odchodząca bezpośrednio od głównej magistrali.

Przy torach znajdowały się pomieszczenia magazynowe. Od nich zaczął Liess inspekcję. Pod wiatą odbywało się sortowanie ładunków elementów różnych mechanizmów, rynien, części przenośników wałkowych, rur o różnej średnicy, urządzeń nadmuchowych i wentylacyjnych, młynów kulkowych do miażdżenia kości, aparatury pomiarowej - gazowej i elektrycznej - jeszcze niezamontowanej na pulpitych, zwojów kabla, cementu, wagoników samowyladowczych, szyn, mebli biurowych.

W oddzielnych, pilnowanych przez esesmanów pomieszczeniach z mnóstwem urządzeń wyciągowych i nisko huczącymi wentylatorami znajdował się magazyn wyprodukowanego już środka chemicznego butle z czerwonymi zaworami i piętnastokilowe beczki z czerwono-niebieskimi etykietkami, z daleka wyglądające jak puszki z bułgarskim dżemem.

Wychodząc z tego wkopanego do połowy w ziemię pomieszczenia, Liess i jego towarzysze spotkali się z projektantem kombinatu, profesorem Stahlgangiem, który właśnie przyjechał pociągiem z Berlina, oraz z kierownikiem robót, inżynierem von Reineckem, potężnym mężczyzną w żółtej skórzanej kurtce.

Profesor dyszał ochryple; wilgotne powietrze sprawiło, że dostał ataku astmy. Otaczający Stahlganga inżynierowie zaczęli robić mu wyrzuty, że nie dba o siebie. Wszyscy wiedzieli, że Hitler ma album projektów Stahlganga w swojej bibliotece.

Plac budowy niczym nie różnił się od innych cyklopowych budów, charakterystycznych dla połowy dwudziestego wieku.

Wokół wykopów słyszało się gwizdki strażników, zgrzyt koparek, skrzypienie dźwigów, ptasie krzyki parowozów.

Liess i jego towarzysze podeszli do szarego, prostokątnego budynku bez okien. Cały zespół budynków przemysłowych, pieców z czerwonej 485 cegły, potężnych kominów, wieżyczek dyspozytorskich i wież strażniczych ze szklanymi kopułami - wszystko to zwracało się, kierowało ku temu ślepemu, bezgłowemu gmachowi.

Robotnicy kończyli asfaltowanie drogi - spod walców wydobywał się gorący szary dym i mieszał się z zimną szarą mgłą.

Reinecke powiadomił Liessa, że wyniki prób na hermetyczność obiektu nr i okazały się niezadowolające. Stahlgang podekscytowanym, ochrypłym głosem, zapomniawszy o swojej astmie, wyjaśniał Liessowi architektoniczną ideę nowego przedsięwzięcia.

Zwykła przemysłowa turbina wodna - mimo pozornej prostoty i niewielkich gabarytów - jest ośrodkiem potężnych sił, mas i prędkości, a obracająca ją energia wody zamienia się w pracę.

Cały ten obiekt działa właśnie na zasadzie turbiny. Zmienia życie i wszystkie postacie związanej z nim energii w materię nieorganiczną.

W turbinie nowego typu trzeba przemóc siłę energii psychicznej, nerwowej, płuc, serca, mięśni, układu krwionośnego. Nowa budowla łączyła w sobie zasady turbiny, rzeźni i spalarni śmieci. Dla wszystkich zaś tych urządzeń należało znaleźć jedno wspólne i proste rozwiązanie architektoniczne.

- Jak wiadomo, nasz ukochany wódz - rzekł Stahlgang - wizytując nawet najbardziej prozaiczne obiekty, zawsze zwraca uwagę na ich formę architektoniczną.

Zniżył głos, tak żeby słyszał go tylko Liess: - Wie pan przecież, że fascynacja mistyczną stroną architektury obozów za Warszawą przysporzyła reichsfuhrerowi wiele kłopotów.

Wszystko to musieliśmy uwzględnić.

Wewnętrzne urządzenie betonowej komory odpowiadało epoce przemysłu dużych mas i prędkości.

Wpływając w kanały doprowadzające, życie - tak jak woda - już nie mogło ani się zatrzymać, ani też zawrócić - prędkość jego ruchu w betonowym korytarzu wyrażana była wzorami przypominającymi wzór Stokesa, dotyczący ruchu cieczy w rurze, zależnego od gęstości, ciężaru właściwego, lepkości, tarcia i temperatury. Lampy elektryczne wprawiono w sufit; chroniło je grube, półprzezroczyste szkło.

Im dalej, tym światło stawało się jaśniejsze, i przy wejściu do komory, odgrodzonej polerowanymi stalowymi drzwiami, oślepiało swoją suchą białością.

486 Przy drzwiach panowało to szczególne podniecenie, które zawsze odczuwają budowniczowie i montażyści, kiedy uruchamiają nowy agregat. Robotnicy myli węzami posadzkę. Starszy chemik w białym fartuchu dokonywał pomiarów ciśnienia. Reinecke kazał otworzyć drzwi. Wchodząc do przestronnego pomieszczenia pod niskim betonowym niebem, niektórzy inżynierowie zdjęli kapelusze. Posadzkę komory ułożono z ciężkich rozsuwanych płyt, oprawionych w metalowe ramy i ściśle przylegających jedna do drugiej. Dyspozytor uruchamiał mechanizm, dzięki któremu płyty ustawiały się pionowo, żeby zawartość komory mogła opaść do podziemnych pomieszczeń.

Tam materia organiczna trafiała w ręce brygady stomatologów, którzy pozyskiwali cenne metale, używane do wyrobu protez. Następnie wprowadzono w ruch przenośnik taśmowy, prowadzący do pieców krematoryjnych, gdzie po utracie myśli i czucia substancja organiczna, poddana obróbce termicznej, ulegała dalszemu rozkładowi - zmieniała się w nawozy fosforowe, wapno i popiół, amoniak, dwutlenek węgla i dwutlenek siarki.

Do Liessa podszedł oficer łączności i podał mu depezę. Wszyscy widzieli, jak ponury po jej przeczytaniu zrobił się sturmbannfuhrer.

Liess przeczytał bowiem, że obersturmbannführer SS Eichmann chce spotkać się z nim dzisiejszej nocy na budowie, dokąd jedzie już monachijską autostradą.

Przepadła podróż Liessa do Berlina. A liczył, że następną noc spędzi w swojej podmiejskiej willi, gdzie czeka chora, tęskniąca za nim żona.

Włożyłyby miękkie kapcie, posiedziałyby sobie przed snem w fotelu i na godzinę czy dwie w domowym zaciszu zapomniałyby o surowej epoce.

Jak miło nocą w łóżku, w domu za miastem, wsłuchiwać się w daleki huk zenitówek berlińskiej obrony przeciwlotniczej.

A wieczorem w Berlinie, po złożeniu raportu na Prinz-Albert-Strasse i przed wyjazdem za miasto, o spokojnej porze, kiedy nie ma nalotów i alarmów lotniczych, zamierzał złożyć wizytę młodej sekretarce z instytutu filozofii; ona jedna wiedziała, jak ciężko mu się żyje, jaki zamęt panuje w jego duszy. Na to spotkanie miał przygotowaną w teczce butelkę koniaku i bombonierkę. Teraz wszystkie te plany runęły.

Inżynierowie, chemicy, architekci patrzyli na niego - co takiego mogło wprowadzić w zły nastrój inspektora Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy? Któż z nich mógł to wiedzieć? 487 Chwilami ludziom wydawało się, że komora ożyła i już nie słucha swoich twórców, żyje samodzielnie dzięki swej betonowej woli, betonowej żarłoczności, będzie wydzielać toksyny, poruszy stalowymi drzwiami jak szczęką i zacznie trawić.

Stahlgang mrugnął do Reineckego i powiedział szeptem: - Liess dostał chyba informację, że obersturmbannfuhrer wysłucha tutaj jego raportu; wiedziałem o tym już rano. Teraz nici z odpoczynku na łonie rodziny, a pewnie i ze spotkania z jakąś miłą panią.

3° Liess spotkał się z Eichmannem w nocy.

Obersturmbannfuhrer miał trzydzieści pięć lat. Rękawiczki, czapka wojskowa, buty - trzy elementy umundurowania, symbolizującego poezję, pychę i wyższość germańskiego oręża, przypominały te, które nosił reichsführer SS Himmler.

Liess znał rodzinę Eichmannów sprzed wojny, pochodzili bowiem z jednego miasta. Odwiedzał je czasami jako student berlińskiego uniwersytetu, ale także potem, gdy pracował w redakcji gazety, a następnie pisma filozoficznego; wypytywał wtedy zawsze, co porabiają jego koledzy gimnazjalni. Jednych wynosiła w górę fala awansu społecznego; kiedy się cofała, kończyło się ich szczęście, a wtedy inni odnosili sukcesy prestiżowe czy materialne. Natomiast życie młodego Eichmanna było nieodmiennie szare i monotonne. Działa strzelające pod Verdun i zwycięstwo, które, zdawało się, jest tuż-tuż, klęska i inflacja, walka polityczna w Reichstagu, lewicowe i ultralewicowe

kierunki w sztuce, teatrze, muzyce, nowe mody i upadki nowych mód - nic nie zmieniało monotonii jego bytowania.

Pracował jako agent w prowincjonalnej firmie. W gronie rodzinnym czy w kontaktach z innymi ludźmi bywał życzliwy lub obojętny, czasem szorstki, czasem ostrożny, nigdy jednak zanadto. Wszystkie drogi życiowe, które ewentualnie mógłby wybrać, wypełniał hałaśliwy, gestykujący, wrogi tłum. Wszędzie widział nienawistnych mu szybkich, zwinnych osobników o błyszczących, ciemnych oczach, osobników sprytnych i otrzaskanych, uśmiechających się z politowaniem na jego widok...

488 Po ukończeniu gimnazjum nie udało mu się dostać pracy w Berlinie.

Dyrektorzy biur i właściciele stołecznych firm mówili mu, że, niestety, brakuje wolnych miejsc, Eichmann zaś okrężną drogą dowiadywał się, że zamiast niego został przyjęty jakiś zgniłek niejasnej narodowości, Polak czy też Włoch z pochodzenia. Próbował wstąpić na uniwersytet, ale na przeszkodzie stanęła panująca tam niesprawiedliwość. Widział znudzone miny egzaminatorów, kiedy patrzyli na jego jasne oczy, pełną twarz, ostrzyżone na jeża blond włosy i krótki, prosty nos. Miał wówczas wrażenie, że milsi im są ciemnoocy, przygarbieni osobnicy o pociągłych twarzach i wąskich ramionach, jacyś degeneraci. Nie on jeden został wypchnięty z powrotem na prowincję. Było to udziałem wielu. Tę nienawistną, dominującą w Berlinie rasę ludzi spotykało się we wszystkich warstwach społecznych; najczęściej jednak mnożyła się wśród kosmopolitycznej inteligencji, która utraciła cechy narodowe i nie robiła różnicy między Niemcem a Włochem, Niemcem a Polakiem.

To była szczególna, dziwna rasa, która wszystkich usiłujących z nią konkurować przytłaczała intelektem, wiedzą, drwiącą obojętnością.

Straszna była żywa i wcale nieagresywna siła, wyższość umysłowa, jaka biła od tej rasy - ta siła przejawiała się w dziwnych gustach owych ludzi. Potrafili godzić dbałość o modę z obojętnością na nią czy wręcz niechłujstwem. Miłość do zwierząt łączyli z całkowicie miejskimi obyczajami; wyróżniali się zdolnością do abstrakcyjnego myślenia, uzupełniając ją zamiłowaniem do prymitywizmu w sztuce i życiu... Ci ludzie dokonywali postępu w germańskiej chemii organicznej, w badaniach promieni twardych czy produkcji stali. To z uwagi na nich zjeżdżali do Niemiec cudzoziemscy uczeni i artyści, filozofowie i inżynierowie.

Ale właśnie ci ludzie najmniej przypominali Niemców, włóczyli się po całym świecie, przyjaciół szukali wcale nie wśród rodaków, nawet ich niemieckie pochodzenie nie było pewne.

Gdzieżby więc mógł agent z prowincji przebić się do lepszego życia? I tak dobrze, że nie głodował.

I oto właśnie on wychodzi ze swego gabinetu, zamknąwszy w sejfie papiery, o których na całym świecie wie tylko trzech ludzi - Hitler, Himmler i Kaltenbrunner. Wielki czarny samochód czeka na niego przed bramą. Wartownicy pozdrawiają go, adiutant otwiera drzwi samochodu - obersturmbannführer SS Eichmann wyjeżdża. Kierowca daje 489 z miejsca pełny gaz i potężny gestapowski horch, któremu policjanci miejscy z szacunkiem oddają honory, pośpiesznie przepuszczając go przez skrzyżowanie, podąża berlińskimi ulicami, by w końcu wjechać na autostradę. Deszcz,

mgła, znaki drogowe, łagodne zakręty autostrady.

W Smolewiczach, wśród ogrodów, stoją sobie ciche domki; na chodnikach rośnie trawa. Po zakurzonych ulicach berdyczowskich Jatek biegają brudne kury z żółtymi kadmowymi nogami, znakowane fioletowym i czerwonym atramentem. W Kijowie, na Padole i przy Wasilkowskiej, w wysokich domach o niemytych oknach miliony dzieci i starszych zdążyły wyźłobić ślady na stopniach schodów.

W Odessie, na podwórzu, pod plamistym platanem, schnie kolorowa bielizna, koszule i kalesony; nad naczyniami z żarem parują miednice z konfiturą dereniową, w kołyskach krzyczą noworodki o smagłej skórze, która jeszcze ani razu nie widziała słońca.

W Warszawie, w wąskiej pięciopiętrowej kamienicy, mieszkają szwaczki, intrologatorzy, nauczyciele domowi, piosenkarki z kabaretów, studenci, zegarmistrze.

Wieczorem w Stalindorfie zapala się światło w chatach, wiatr zawiewa od Perekopu; pachnie solą, ciepłym kurzem; krowy ryczą, kręcąc ciężkimi głowami...

W Budapeszcie, w Fastowie, w Wiedniu, w Melitopolu i w Amsterdamie, w willach z lustrzanymi oknami, w domach spowitych fabrycznym dymem, mieszkali Żydzi.

Druty obozowe, ściany komory gazowej, glina rowu przeciwczołgowego połączyły miliony ludzi w różnym wieku, różnych zawodów, różnych zainteresowań i upodobań, fanatyków religijnych i zawziętych ateistów, robotników, pasożytów, lekarzy i handlarzy, mędrców i idiotów, złodziei, myślicieli, idealistów, dobrotliwych, chciwych i świętych.

Wszystkich czekała śmierć.

Tego jesiennego dnia gestapowski horch pędził autostradą.

31 Spotkali się w nocy. Eichmann szedł prosto do gabinetu, zadając w marszu szybkie pytania, potem usiadł w fotelu.

490 - Mam mało czasu, najpóźniej jutro powinienem być w Warszawie.

Już był u komendanta obozu, rozmawiał z dyrektorem budowy.

- Jak pracują fabryki, jakie wrażenie zrobił na panu Voss, czy chemicy staną na wysokości zadania? - pytał szybko.

Wielkimi białymi palcami o dużych różowych paznokciach obersturmbannfuhrer przekładał papiery na biurku. Od czasu do czasu robił notatki wiecznym piórem, a wtedy Liess nabierał wrażenia, że Eichmann nie orientuje się w szczegółach sprawy budzącej zimne przerażenie nawet w kamiennych sercach.

Liess dużo pił przez te wszystkie dni. Nasilała się zadyszka i po nocach dawało znać o sobie serce. Ale i tak był pewien, że alkohol szkodzi jego zdrowiu mniej niż nerwowe napięcie, które nie opuszczało go ani na chwilę.

Marzył, że wróci do badań nad życiem wybitnych działaczy, wrogów narodowego socjalizmu, zacznie wykonywać ciężkie i skomplikowane zadania, niewymagające jednak rozlewu krwi. Przestanie wtedy pić, będzie wypalał dziennie najwyżej kilka lekkich papierosów. Niedawno wezwał do siebie w nocy starego rosyjskiego

bolszewika, rozegrał z nim partię politycznych szachów, a po powrocie do domu spał bez prosków; obudził się o dziesiątej rano.

Podczas nocnych oględzin obersturmbannfuhrera i Liessa spotkała mała niespodzianka. Na środku komory budowniczowie ustawili stół z alkoholem i zakąskami, a Reinecke zaprosił ich obu na poczęstunek.

Eichmann zaśmiał się wobec takiej miłej perspektywy i powiedział: - Z chęcią coś przegryzę.

Podał czapkę żołnierzowi i usiadł przy stole. Jego wielka twarz zrobiła się nagle łagodna i zarazem uważna, taka jak u milionów amatorów dobrego jedzenia, kiedy lustrują wzrokiem nakryty stół.

Reinecke na stojąco nalał wina i wszyscy podnieśli kieliszki, czekając na toast Eichmanna.

Betonowa cisza, połączona z pełnymi kieliszkami, wytworzyła takie napięcie, że Liess zaczął się obawiać, czy jego serce je wytrzyma. Czekał, by głośny toast za niemieckie ideały rozładował to napięcie. Ono tymczasem nie mijało, ale rosło - obersturmbannfuhrer jadł kanapkę.

- No co, panowie? - spytał Eichmann. - Szynka jest świetna.

- Czekamy na pański toast - odrzekł Liess.

Obersturmbannfuhrer podniósł kieliszek.

491 - Za dalsze sukcesy w pracy, które, mam nadzieję, zostaną docenione.

On jeden prawie nic nie pił i dużo jadł.

Rankiem, przy otwartym na oścież oknie, Eichmann gimnastykował się w samych gatkach. We mgle zarysowały się równe rzędy obozowych baraków, słychać było gwizdki parowozów.

Liess nie zazdrościł Eichmannowi. Był zadowolony ze swojej sytuacji, choć nie zajmował wysokiego stanowiska. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy doceniał jego zalety umysłowe; sam Himmler lubił rozmawiać z Liessem.

Wysoko postawione osobistości na ogół starały się nie traktować go z góry. Przyzwyczaił się do tego, że szanowano go nie tylko w policji bezpieczeństwa. Oddech Głównego Urzędu czuło się wszędzie na uniwersytecie, w dyrekcji sanatorium dziecięcego, w operze, na przesłuchaniach młodych śpiewaków, w decyzjach jury wybierającego obrazy na wiosenną wystawę, na listach kandydatów w wyborach do Reichstagu.

Tutaj znajdował się rdzeń życia. U podstaw wiecznej słuszności partii, wyższości jej logiki albo nielogiczności nad wszelką logiką, jej filozofii nad każdą inną filozofią, leżała praca tajnej policji państwowej. Czarodziejska różdżka! Wystarczyło ją upuścić i czar zniknął - wielki mówca zamieniał się w zwykłego gadułę, koryfeusz nauki w popularyzatora cudzych pomysłów. Tej różdżki nie wolno było wypuszczać z rąk.

Popatrując na Eichmanna, Liess tego ranka po raz pierwszy w życiu poczuł ukłucie niepokojącej zawiści.

Na kilka minut przed odjazdem Eichmann powiedział w zadumie: - Obaj

pochodzimy z tego samego miasta, Liess.

Zaczęli z nostalgią wspominać nazwy ulic, restauracji i kin.

- Nie wszędzie, oczywiście, bywałem - dodał Eichmann i wymienił klub, do którego nie wpuszczano syna właściciela warsztatu.

Liess spytał, zmieniając temat rozmowy: - Czy mógłby pan choćby w przybliżeniu zdradzić, o jaką liczbę Żydów chodzi? Wiedział, że zadał najważniejsze pytanie; na całym świecie może trzy osoby, poza Himmlerem i wodzem, umiały na nie odpowiedzieć.

Ale właśnie wtedy, gdy Eichmann wspomniał o swojej trudnej młodości w czasach demokracji i kosmopolityzmu, należało spytać go o to, czego Liess nie wiedział, to znaczy okazać swoją niższość.

492 Eichmann wymienił liczbę.

Liess zapytał oszołomiony: - Milionów? Eichmann wzruszył ramionami.

Milczeli przez jakiś czas.

- Bardzo żałuję, że nie spotkaliśmy się w czasach studenckich - rzekł Liess. - W latach nauki, jak to nazwał Goethe.

- Nie ma pan czego żałować, nie studiowałem w Berlinie, uczyłem się na prowincji - odparł Eichmann i dodał: - Liczbę tę, mój drogi krajanie, wypowiedziałem na głos po raz pierwszy. Wymieniono ją dotąd siedem czy osiem razy, wliczając w to takie miejsca, jak Berchtesgaden, kancelaria Rzeszy i urząd naszego reichsführera, - Rozumiem, że nie przeczytamy jej jutro w gazecie.

- Mam na myśli właśnie gazetę - rzekł Eichmann.

Z uśmiechem popatrzył na Liessa, a ten zmieszał się, czując, że rozmówca jest inteligentniejszy od niego.

Eichmann powiedział: - Mimo że nasze ciche miasteczko tonie w zieleni, nie był to jedyny powód, dla którego podałem panu tę liczbę. Chcę, żeby łączyła nas w dalszej współpracy.

- Dziękuję - rzekł Liess. - Muszę pomyśleć, sprawa jest bardzo poważna.

- Oczywiście. Propozycja wychodzi nie tylko ode mnie. - Eichmann pionowo uniósł palec. - Jeśli podejmie pan współpracę ze mną, a Hitler przegra, będziemy wisieli razem - pan i ja.

- Piękna perspektywa, warto się zastanowić - odparł Liess.

- Wyobraża pan sobie? Za dwa lata znowu usiądziemy sobie w tej komorze przy stoliku i powiemy: „W ciągu dwudziestu miesięcy rozwiązaliśmy problem, z którym ludzkość nie umiała sobie poradzić przez dwadzieścia wieków!” Pożegnali się. Liess patrzył w ślad za samochodem.

Miał swój pogląd na stosunki między ludźmi w państwie. Życie w państwie narodowosocjalistycznym nie mogło się rozwijać swobodnie, bo każdym jego przejawem należało kierować.

Do kierowania fabrykami, wojskiem, turystyką, śpiewem, lekturą, uczuciami



macierzyńskimi, a nawet oddychaniem potrzebni byli przewodnicy. Życiu już nie wolno było rosnąć jak trawa, falować jak 493 morze. Liess dzielił owych przewodników z grubsza na cztery typy charakterologiczne.

Pierwszy - to natury jednorodne, zazwyczaj pozbawione bystrości umysłu i zdolności analitycznych. Ci ludzie chwyтали hasła, slogany z gazet i czasopism, cytaty z mów Hitlera i artykułów Goebbelsa, z książek Franka i Rosenberga. Pozbawieni takich podpórek na pewno by się pogubili. Nie umieli dostrzec związków między zjawiskami, z byle powodu przejawiali okrucieństwo i nietolerancję. Wszystko brali na serio: i filozofię, i doktrynę narodowosocjalistyczną, i wątpliwe odkrycia, i osiągnięcia nowego teatru, i nową muzykę, i kampanię wyborczą do Reichstagu. Jak sztubacy wykuwali z kolegami Mein Kampf, robili notatki z referatów i broszur. Zazwyczaj skromni w życiu osobistym, niekiedy żyli nawet w niedostatku; częściej niż inni przewodnicy brali udział w partyjnych kampaniach, odrywających ich od rodzin.

Właśnie do tej kategorii Liess skłonny był początkowo zaliczyć Eichmanna.

Drugi typ: inteligentni cynicy. Tacy wiedzieli o istnieniu czarodziejskiej różdżki. W kręgu zaufanych przyjaciół wyśmiewali się z wielu rzeczy - z głupoty nowo mianowanych docentów i magistrów, z braku obycia i gaf leiterów czy gauleiterów. Nie śmiali się tylko z wodza i ze wzniosłych ideałów. Zazwyczaj żyli na szerokiej stopie, dużo pili. Na wyższych szczeblach hierarchii partyjnej takie charaktery spotykało się częściej niż na niższych. Na dole przeważali ludzie pierwszego typu.

Na samej górze, jak oceniał Liess, usadowiła się kategoria trzecia należało do niej jakichś ośmiu czy dziewięciu osobników, niekiedy pozwalało zbliżyć się do siebie kilkunastu, najwyżej dwudziestu innym.

Tworzyli świat pozbawiony dogmatów; swobodnie dyskutowali na każdy temat. Nie było tam ideałów, wyłącznie czysta kalkulacja. Tacy beztroscy a zarazem bezlitośni mistrzowie.

Niekiedy Liess miał wrażenie, że wszystko, co dzieje się w Niemczech, służy wyłącznie im i działa na ich korzyść.

Zauważył, że kiedy na górze pojawiają się ludzie ograniczeni, zawsze należy się spodziewać złowrogich wydarzeń. Mistrzowie inżynierii społecznej awansowali dogmatyków po to, by powierzyć im szczególnie krwawe zadania. Prostacy chwilowo upajali się najwyższą władzą, ale po wykonaniu roboty zazwyczaj znikali, a czasem dzielili los swoich ofiar. Na górze znowu pozostawali beztroscy mistrzowie.

494 Prostacy, charaktery pierwszego typu, posiadali nadzwyczaj cenną zaletę - pochodzili z ludu. Nie tylko cytowali klasyków narodowego socjalizmu, ale i mówili językiem ludu. Ich ordynarność wydawała się swojska, chłopska. Ich żarty budziły śmiech na zebraniach w fabrykach.

Czwarta kategoria to wykonawcy, całkowicie obojętni wobec dogmatów, idei, filozofii, ale także pozbawieni zdolności analitycznych.

Narodowy socjalizm im płacił, a oni mu służyli. Ich jedyną wyższą namiętnością były wille za miastem, kosztowności, meble, serwisy, garnitury, samochody, lodówki. Pieniądzy zbytnio nie lubili, bo nie wierzyli w ich trwałość.

Liessa ciągnęło do najwyższych przywódców, marzył o komitywie z nimi - tak

dobrze, naturalnie, lekko czuł się w królestwie dowcipu, efektownych wolt logicznych.

Widział jednak, że na straszliwej wysokości, ponad najwyższymi przywódcami, ponad stratosferą, istnieje świat mglisty, niepojęty, męczący swoim brakiem logiki - w tym wyższym świecie żyje wódz Adolf Hitler.

Ku przerażeniu Liessa, w Hitlerze jakimś cudem łączyły się rzeczy niemożliwe do połączenia - był szefem mistrzów - obermechanikiem, obermonterem, obermajstrem, reprezentantem wyższej logiki, wyższego cynizmu, wyższego poziomu wykalkulowanego okrucieństwa.

Przewyższał w tym wszystkich swoich najbliższych pomocników, razem wziętych. Cechował go zarazem szalony dogmatyzm, fanatyczna, ślepa wiara i zwierzęca alogiczność, które Liess spotykał tylko na najniższych, piwnicznych niemal szczeblach kierownictwa partyjnego. Tak, twórca czarodziejskiej różdżki, najwyższy kapłan, był równocześnie ciemnym, zaślepionym człowiekiem.

Teraz zaś, patrząc w ślad za odjeżdżającym samochodem, Liess uświadomił sobie, że i Eichmann niespodziewanie wywołał w nim to niejasne, groźne, a zarazem pociągające uczucie, jakie budził w nim jeden jedyny człowiek na świecie - wódz narodu niemieckiego Adolf Hitler.

495 32 Antysemityzm przejawia się rozmaicie - w ironicznej, pokrywającej niechęć pobłażliwości albo w morderczych pogromach.

Przeróżne są rodzaje antysemityzmu: antysemityzm ideowy, wewnętrzny, ukryty, historyczny, życiowy, fizjologiczny; różnorakie jego formy: indywidualna, społeczna, państwowa.

Antysemityzm spotyka się i na bazarze, i w prezydium akademii nauk, w duszy zgrzybiałego starca i w zabawach dzieci na podwórku.

Bez żadnego uszczerbku dla siebie przeniósł się z epoki łuczywa, żaglowców i ręcznych kołowrotek do epoki silników odrzutowych, reaktorów jądrowych i maszyn elektronicznych.

Antysemityzm nigdy nie jest celem, zawsze jest tylko środkiem, miernikiem nieusuwalnych sprzeczności.

Jest zwierciadłem wad pojedynczych ludzi, ustrojów społecznych i systemów państwowych. Powiedz mi, o co obwiniasz Żydów, a powiem ci, w czym zawiniłeś sam.

Nawet w świadomości takiego bojownika o wolność, jak chłop Semen Olijniczuk, więzień Szlisselburga, nienawiść do pańszczyzny wyrażała się w nienawiści do Lachów i „parchów”. Nawet genialny Dostojewski zobaczył żydowskiego lichwiarza tam, gdzie powinien był dostrzec bezlitosne oczy rosyjskiego przedsiębiorcy, obszarnika i fabrykanta.

Narodowy socjalizm, obwiniając wymyślone przez siebie światowe żydostwo o rasizm, żądnię władzy nad światem i kosmopolityczną obojętność wobec niemieckiej ojczyzny, przypisał Żydom swoje własne cechy. Ale to tylko jedna ze stron antysemityzmu.

Antysemityzm jest skutkiem braku talentu, niezdolności do zwycięstwa w równoprawnej walce życiowej - wszędzie, w nauce, w handlu, w rzemiośle czy sztuce.

Państwa tłumaczą własną nieudolność intrygami światowego żydostwa. Ale to tylko jedna ze stron antysemityzmu.

Antysemityzm jest skutkiem nieświadomości ludu, który nie umie znaleźć przyczyny swoich nieszczęść i cierpień. Ciemni ludzie dopatrują się jej w Żydach, a nie w ustroju państwowym i społecznym. I te jednak masowe formy antysemityzmu są tylko jedną z jego stron.

Antysemityzm jest skutkiem przesądów religijnych, panujących w niższych warstwach społecznych. Ale to też tylko jedna strona antysemityzmu.

496 Niechęć, jaką budzi wygląd Żyda, jego mowa, jego potrawy, nie jest oczywiście prawdziwą przyczyną fizjologicznego antysemityzmu.

Człowiek, któremu wstrętne są żydowskie kędzierzawe włosy czy gestykulacja, zachwyca się czarnymi kędziorami dzieci z obrazów Murilla, nie oburza się na gardłową mowę i wymachiwanie rękami Ormian, życzliwie traktuje sinoustych Murzynów.

Wśród prześladowań, jakim w ciągu dziejów poddawane były mniejszości narodowe, antysemityzm stanowi zjawisko wyjątkowe. Bo też i dzieje Żydów ułożyły się zupełnie swoiście.

Podobnie jak cień człowieka pozwala wyobrazić sobie jego postać, tak też antysemityzm daje pojęcie o historycznych losach i drogach Żydów. Historia żydostwa spłótła się z wieloma problemami politycznymi i religijnymi. To pierwsza żydowska osobliwość. Ponadto Żydzi mieszkają prawie we wszystkich krajach świata. Stanowią jedyną tak szeroko rozpowszechnioną mniejszość narodową, i to jest druga ich cecha charakterystyczna.

W epoce powstawania kapitału handlowego pojawili się żydowscy kupcy i żydowscy lichwiarze. W okresie rewolucji przemysłowej wielu Żydów przyczyniło się wydatnie do postępu technicznego. W erze atomu niemało utalentowanych Żydów odznaczyło się w fizyce atomowej.

Podczas rewolucji sporo Żydów wzięło w niej udział i dało jej wybitnych przywódców. Żydzi są tą mniejszością narodową, która nie ucieka na peryferie społeczne i geograficzne, ale szuka głównego nurtu ideowego i rozwojowego, żeby się w nim znaleźć i odznaczyć. Na tym polega trzecia osobliwość mniejszości żydowskiej.

Część tej mniejszości asymiluje się, rozpląwa w rdzennej ludności kraju, ale narodowa, szeroka rzesza żydowska zachowuje język, religię i obyczaje. Antysemityzm nieodmiennie oskarża zasymilowanych Żydów o potajemne knowania narodowe i religijne, natomiast rzeszę żydowską, zajmującą się rzemiosłami i pracą fizyczną, czyni odpowiedzialną za tych, którzy robią rewolucję, zarządzają przemysłem, budują reaktory atomowe, tworzą spółki akcyjne i banki.

Każda z wymienionych właściwości z osobna może dotyczyć także innych nacji, ale wszystkie naraz występują chyba tylko u Żydów.

Również antysemityzm przejął to połączenie cech szczególnych, co wiąże go z najważniejszymi problemami życia politycznego, 497 gospodarczego, ideowego, religijnego. Na tym polega złowrogi paradoks antysemityzmu. Płomień jego stosów oświecła najstraszniejsze epoki historii.

Kiedy Odrodzenie wtargnęło na pustynię katolickiego Średniowiecza, świat

ciemności rozpałił stosy inkwizycji. W ich płomieniach można było dostrzec nie tylko siłę zła, ale i obraz jego zagłady.

W wieku dwudziestym skazany na zagładę stary narodowy system przegranego, osłabionego wojną państwa rozpałił piece Auschwitz, krematoria Majdanka i Treblinka. Ich płomień oświecił nie tylko krótki triumf faszyzmu, pokazał także światu, że faszyzm nie ma przyszłości.

Chcąc uniknąć wyroku nieubłaganego losu, do antysemityzmu uciekają się i epoki historyczne, i rządy reakcyjnych państw, i poszczególni ludzie, szukający odwetu za swoje nieudane życie.

Czy przez dwa tysiąclecia zdarzyło się, żeby siły wolności i humanizmu użyły antysemityzmu jako środka walki? Może takie wypadki były, autor jednak ich nie zna.

Zwykły, codzienny antysemityzm jest bezkrwawy. Dowodzi tylko tego, że na świecie istnieją zawistni głupcy i nieudacznicy.

W krajach demokratycznych może zrodzić się antysemityzm społeczny. Ten daje o sobie znać w prasie takich czy innych reakcyjnych grup, w akcjach tych grup, na przykład w bojkocie pracy albo towarów żydowskich, w religii czy ideologii.

W krajach totalitarnych, gdzie nie istnieje coś takiego jak społeczeństwo, antysemityzm może być wyłącznie państwowy.

Taki antysemityzm świadczy o tym, że państwo usiłuje oprzeć się na głupcach, reakcjonistach, pechowcach, na przesądach ludzi ciemnych i na wściekłości głodnych. Taki antysemityzm w pierwszym stadium polega na dyskryminacji - państwo ogranicza Żydom wybór miejsca zamieszkania czy zawodu, prawo do zajmowania wyższych stanowisk, do nauki na uczelniach i zdobywania stopni i tytułów naukowych.

Później antysemityzm państwowy staje się niszczyielski.

W epokach, kiedy światowa reakcja podejmuje zgubną dla siebie walkę z siłami wolności, antysemityzm staje się dla niej ideą państwową, partyjną. Doszło do tego w wieku dwudziestym, w epoce faszyzmu.

498 33 Ruch sformowanych na nowo jednostek w kierunku Frontu Stalingradzkiego odbywał się po kryjomu, nocą...

Na północny zachód od Stalingradu, nad środkowym Donem, gęstniała, narastała siła nowego frontu. Pociągi jechały świeżo zbudowaną linią kolejową, rozładowywane były na stepie, w szczerym polu.

Ledwie zaświtało, dudniące w nocy rzeki żelaza zamierały i tylko lekki tuman kurzu unosił się nad stepem. W dzień artyleria obrastała suchym burzanem i naręczami słomy i wydawało się, że nie ma na świecie istot cichszych niż zlewające się z jesiennymi trawami lufy armatnie. Samoloty, rozplaszczając skrzydła jak martwe, wysane owady, stały na lotniskach, oplecione pajęczyną sieci maskujących.

Z dnia na dzień coraz gęściej było na mapie od trójkątów, rombów, kółek, coraz gęstsza stawała się siatka liczb - numerów na tej mapie, którą widziało tylko kilku ludzi na całym świecie. To krystalizowały się, formowały, podążały na wyjściowe rubieże nowe armie nowego Frontu Południowo-Zachodniego, obecnie frontu ofensywy.

A wzdłuż lewego brzegu Wołgi, pustynnymi słonymi stepami, omijając dymiący i huczący Stalingrad, szły na południe zagony pancerne i dywizje artyleryjskie, zmierzając ku cichym zatokom i starorzeczom.

Przeprawiwszy się przez Wołgę, wojska stawały w kałmuckim stepie, na słonym międzyjezierzu, i tysiące Rosjan zaczynało wymawiać dziwne dla nich słowa: „Barmancak”, „Caca” z akcentem na ostatniej sylabie... Na stepach kałmuckich, na prawym skrzydle Niemców, skoncentrowano południową część wojsk. Radzieckie Naczelne Dowództwo szykowało okrążenie stalingradzkich dywizji Paulusa.

Ciemnymi nocami, pod chmurami i gwiazdami jesieni, statki, promy, barki przetrzuciły na prawy, kałmucki brzeg, na południe od Stalingradu, korpus pancerny Nowikowa...

Tysiące ludzi widziało wypisane na panczeru białą farbą nazwiska rosyjskich wodzów: „Kutuzow”, „Suworow”, „Aleksander Newski”.

Miliony ludzi widziało, jak w stronę Stalingradu pojechały rosyjskie ciężkie działa, moździerze i kolumny ciężarowych dodge'ów i fordów, otrzymanych na zasadzie lend-kase.

A jednak, chociaż ruchy te obserwowało miliony ludzi, koncentracja olbrzymich mas wojska, przeznaczonych do natarcia na północny zachód i na południe od Stalingradu, odbyła się w tajemnicy.

499 Jak to w ogóle możliwe? Przecież Niemcy wiedzieli o tych potężnych ruchach. Wszak nie sposób było ich ukryć, tak jak nie można ukryć wichru przed idącym przez step człowiekiem.

Niemcy wiedzieli o ruchach wojsk wokół Stalingradu, ale ofensywa stalingradzka pozostawała dla nich tajemnicą. Każdy porucznik niemiecki, który spojrział na mapę, gdzie były zaznaczone miejsca koncentracji wojsk rosyjskich, mógł rozszyfrować największą wojskową i gospodarczą tajemnicę Rosji Radzieckiej, znaną tylko Stalinowi, Żukowowi i Wasilewskiemu.

A mimo to okrążenie w rejonie Stalingradu zaskoczyło zarówno niemieckich poruczników, jak i feldmarszałków.

Jak to się stało? Stalingrad nadal się trzymał, ataki Niemców wciąż nie kończyły się rozstrzygającym sukcesem, chociaż uczestniczyły w nich wielkie masy wojsk. Stan topniejących pułków stalingradzkich liczono już tylko w dziesiątkach żołnierzy. Ci nieliczni żołnierze, którzy wzięli na siebie brzemień straszliwych walk, byli właśnie siłą, zniekształcającą wszelkie wyobrażenia nieprzyjaciół.

Niemcy nie mogli sobie wyobrazić, że wszystkie ich wysiłki niweczy garstka ludzi. Wydawało im się, że radzieckie uzupełnienia szykują się, by wesprzeć, wzmocnić obronę.

Ale przewrotność historii była w istocie jeszcze większa. Wolność, która zrodziła zwycięstwo, choć pozostała celem wojny, pod dotykiem chytrych paluszków historii zmieniała się w jej środek.

34 Stara, koścista kobieta z naręczem suchej trzciny szła do domu; twarz miała posępną, zatroskaną. Minęła zakurzonego willysa i przykryty brezentem czołg sztabowy, wspierający barkiem drewnianą ścianę domu.

Szła znużona i wydawało się, że trudno o coś zwykleszego niż ta stara, zмирzająca do podpieranego przez czołg domostwa. Tymczasem nie było na świecie nic ważniejszego niż więź łącząca i starą kobietę, i jej brzydką córkę, dojącą akurat krowę, i jasnowłosego wnuka, z palcem w nosie obserwującego, jak mleko strzyka z krowich wymion, z wojskami stacjonującymi w stepie.

500 Wszyscy ci ludzie - majorowie ze sztabów korpusów i armii, generałowie, którzy palili papierosy pod ciemnymi wiejskimi ikonami, generalscy kucharze, co w rosyjskich piecach smażyli baraninę, telefonistki, które w stodołach nakręcały loki na naboje i gwoździe, kierowca, który golił się na podwórzu nad blaszaną miednicą i jednym okiem patrzył do lustra, a drugim na niebo: czy nie nadlatują Niemcy? - cały ten stalowy, elektryczny i benzynowy świat wojny był nieodłączną częścią długiego życia stepowych wsi, przysiółków, chutorów.

Dla staruszki oczywista była nierozzerwalna więź między stacjonującymi tu dziś czołgami a tamtymi umęczonymi chłopakami, którzy latem przydrałowali pieszo, poprosili o nocleg i bali się, nie mogli w nocy spać; wychodzili, żeby popatrzeć.

Nierozzerwalna więź łączyła tę starą kobietę z chutoru w kałmuckim stepie z tą, która na Uralu wnosila do sztabu odwodowego korpusu pancernego hałaśliwy mosiężny samowar, i z tą, która w czerwcu pod Woroneżem ścieliła pułkownikowi słomę na podłodze i żegnała się, patrząc na czerwoną zorzę w okienku. Ale ta więź była tak oczywista, że nie zauważali jej ani stara, która szła do domu napalić w piecu gałęziami kolczastych krzewów, ani pułkownik, który wyszedł na ganek.

Dziwna, dręcząca cisza panowała na kałmuckim stepie. Czy ludzie chodzący tego ranka po Unter den Linden wiedzieli, że właśnie tutaj Rosja zwróciła swoją twarz na zachód, szykując się do uderzenia i marszu naprzód? Nowikow z ganku zawołał na kierowcę Charitonowa: - Zabierz szynele, mój i komisarza; wrócimy późno! Na ganek wyszli Gietmanow i Nieudobnow.

- Iłarionie Innokientijewiczu - odezwał się Nowikow - jakby co, to dzwońcie do Karpowa, a po piętnastej do Biełowa i Makarowa.

Nieudobnow odparł: - A co tutaj się może stać? - A różne rzeczy, na przykład dowódca armii się zwali - wyjaśnił Nowikow.

Od słońca oddzieliły się dwa małe ptaszki i poleciały w stronę chutoru. I od razu w narastającym szumie, w ich szybkości rozpadła się nieruchomość stepu.

Charitonow wyskoczył z samochodu, pobiegł pod ścianę stodoły.

- Coś ty, zgłupiał, swoich się przeląkłeś? - krzyknął Gietmanow.

501 W tym momencie jeden z samolotów puścił serię po chutorze, od drugiego zaś oddzieliła się bomba. Zawyło, zadudniło, kobieta zaczęła przenikliwie krzyczeć, dziecko zapłakało, po wybuchu zastukały drobne grudki ziemi.

Nowikow zgiął się, słysząc wycie padającej bomby. Na chwilę wszystko zmieszalo się w kurzu i dymie; widział tylko Gietmanowa, który stał obok niego. Z tumanu kurzu wyłoniła się postać Nieudobnowa, stojącego prosto, z uniesioną głową. On jeden ze wszystkich nie schylił się, jakby był wyciosany z drewna.

Gietmanow, strzepując ziemię ze spodni, trochę poblady, ale podekscytowany, powiedział, żartobliwie się przechwalając: - Nic się nie stało; portki mam chyba suche,

ale nasz generał nawet nie drgnął.

Potem obaj z Nieudobnowem poszli sprawdzić, jak daleko wybuch rozrzucił ziemię wokół leja; zdziwili się, że w odległych domach szyby wyleciały, ocalały zaś w tym najbliższym; patrzyli na zwalony płot.

Nowikow z ciekawością spoglądał na ludzi, którzy po raz pierwszy widzieli wybuch bomby - najwyraźniej zdumiał ich fakt, że tę bombę wyprodukowano, uniesiono w powietrze i zrzucono na ziemię w jednym jedynym celu: by zabić ojca małych Gietmanowów i ojca małych Nieudobnowów. Dziwna rzecz: właśnie czymś takim zajmowali się ludzie na wojnie.

Siedząc w samochodzie, Gietmanow ciągle mówił o nalocie, potem nagle zmienił temat: - Ciebie, Piotrze Pawłowiczu, pewno śmiech bierze, jak mnie słuchasz, bo na ciebie spadały tysiące, a na mnie pierwsza. - I znowu zaczął z innej beczki: - Słuchaj, Piotrze Pawłowiczu, ten cały Krymow był podobno w niewoli? Nowikow na to: - Krymow? A na co ci on? - Słyszałem o nim ciekawą rozmowę w sztabie frontu.

- Był w okrażeniu, ale w niewoli, o ile pamiętam, nie. Po co o nim w ogóle mówimy? Gietmanow, nie słysząc Nowikowa, chwycił Charitonowa za ramię i powiedział: - O tam, tym gościńcem do sztabu pierwszej brygady, koło wąwozu.

Widzisz, mam oko frontowca.

502 Nowikow już przywykł do tego, że Gietmanow w rozmowie nigdy nie dostosowuje się do rozmówcy - to zacznie opowiadać, to zada pytanie, znowu coś opowie i znowu przerywa opowieść pytaniem. Wydawało się, że jego myśl biegnie jakimś zygzakiem według niepojętych praw.

Ale to nieprawda, tylko tak się wydawało.

Gietmanow często opowiadał o żonie, o dzieciach, nosił przy sobie gruby plik zdjęć rodzinnych, dwukrotnie wysyłał do Ufy pomocnika z paczkami.

A równocześnie zaraz wdał się w romans z czarniawą, złośliwą lekarką z oddziału sanitarnego Tamarą Pawłówną, i to romans całkiem serio. Wierszkow któregoś ranka powiedział tragicznym głosem do Nowikowa: - Towarzyszu pułkowniku, lekarka u komisarza całą noc spędziła, wypuścił ją o świcie.

Nowikow przywołał go do porządku: - Nie wasza sprawa, Wierszkow. Lepiej byście mi cukierków po kryjomu nie wynosili.

Gietmanow nie ukrywał swojego związku z Tamarą Pawłówną. Teraz, w stepie, oparł się o ramię Nowikowa i wyznał szeptem: - Pokochał naszą lekarkę pewien zuch, Piotrze Pawłowiczu.

Popatrzył żalonym, przepraszającym wzrokiem na Nowikowa.

- Macie komisarza - zażartował Nowikow i pokazał wzrokiem kierowcę.

- Cóż, bolszewicy to nie mnisi - szeptem dodał Gietmanow. - No, rozumiesz, zakochałem się, stary dureń, i już.

Milczeli przez kilka chwil, po czym Gietmanow, jakby wcale nie było przed chwilą tej poufnej, przyjacielskiej rozmowy, powiedział: - Tobie wojna służy, Piotrze Pawłowiczu, bo dla ciebie to zwykła rzecz.

A ja, wiesz, stworzony jestem do pracy partyjnej - przyszedłem do obkomu w najcięższym roku, inny na moim miejscu zdrowiem by to przypłacił: plan zbioru zbóż zawalony, towarzysz Stalin dwa razy wzywał mnie przez telefon, a ja nic, tyję jak na wywczasach... Tak samo z tobą.

- Cóż, diabli wiedzą, do czego jestem stworzony - odparł Nowikow. Może i faktycznie do wojny.

Roześmiał się.

- Zauważyłem, że jak tylko zdarzy się coś ważnego, od razu myślę, żeby nie zapomnieć o tym opowiedzieć Jewgienii Nikołajewnie. Na 503 ciebie i Nieudobnowa Niemcy zrzucili pierwszą w waszym życiu bombę, a ja pomyślałem: „Trzeba jej to opowiedzieć”.

- Składasz raport polityczny? - spytał Gietmanow.

- No właśnie - przytaknął Nowikow - Jasne, żona - powiedział Gietmanow. - Najbliższa osoba.

Podjechali do rejonu dyslokacji brygady, wysiedli z wozu.

W głowie Nowikowa trwał nieustanny przemarsz ludzi, nazwisk, nazw miejscowości, mniejszych i większych zadań, spodziewanych i zmienianych rozkazów, zrozumiałych i mniej zrozumiałych.

Nagle nocą budził się i zaczynał się zadreć wątpliwościami. Czy należy prowadzić strzelanie na odległości wykraczające poza skalę celownika? Czy ma sens strzelanie z marszu? Czy dowódcy pododdziałów będą umieli szybko i prawidłowo oceniać zmiany sytuacji bojowej, podejmować samodzielnie decyzje, sprawnie wydawać rozkazy? Potem wyobrażał sobie, jak czołgi, linia za linią, przełamują niemiecko-rumuńską obronę, wchodzą w wyłom i zaczynają ścigać wroga; we współdziałaniu z lotnictwem szturmowym, artylerią samobieżną, piechotą zmotoryzowaną, saperami, pędzą coraz dalej na zachód, zdobywają przeprawy rzeczne, mosty, obchodzą pola minowe, łamiąc węzły oporu. W radosnym podnieceniu spuszczał bosa nogi z łóżka i siedział w ciemności, ciężko dysząc, przeczuwając swoje szczęście.

Tymi nocnymi myślami nigdy nie dzielił się z Gietmanowem.

On i Nieudobnow denerwowali go w stepie częściej niż na Uralu.

„Zdążyli na pierożki” - myślał.

Już nie był taki jak w roku 1941. Pił więcej niż dawniej. Często kłął, wściekał się. Kiedyś zamachnął się na szefa zaopatrzenia w paliwo.

Widział, że się go boją.

- A, diabli wiedzą, czy jestem stworzony do wojny - powtórzył. Najlepiej byłoby mieszkać w lesie, w chacie, z kobitą, którą się kocha.

Poszedłbym sobie na polowanie, wrócił wieczorem. Ona ugotowałaby coś do jedzenia i poszlibyśmy spać. A wojna człowieka nie nakarmi.

Gietmanow schylił głowę i uważnie na niego popatrzył.



Dowódca pierwszej brygady, pułkownik Karpow, mężczyzna o pulchnych policzkach, rudych włosach i błękitnych, niezwykle przenikliwych oczach, jakie miewają tylko patentowani rudzielcy, powitał Nowikowa i Gietmanowa koło radiostacji polowej.

504 Doświadczenie wojenne zdobywał przez jakiś czas w walkach na kierunku północno-zachodnim; tam niejednokrotnie musiał wkopywać swoje czołgi w ziemię, zmieniając je w stanowiska ogniowe.

Razem z Nowikowem i Gietmanowem szedł do rejonu dyslokacji pierwszego pułku i można by pomyśleć, że to on właśnie jest tu szefem, tak dostojne były jego ruchy.

Gdyby sądzić ludzi po wyglądzie fizycznym, Karpow powinien być człowiekiem dobrodusznym, lubiącym piwo i obfite posiłki. On jednak naturę miał całkiem inną - był małomówny, zimny, podejrzliwy, pedantyczny. Gości nie częstował, słynął ze skąpstwa.

Gietmanow pochwalił sumienność, z jaką wykopano ziemianki, kryjóWKi dla czołgów i dział.

Dowódca brygady uwzględnił wszystko - i niebezpieczne dla sprzętu kierunki, i możliwość uderzenia z flanki, nie wziął tylko pod uwagę, że nadchodząca walka zmusi go do zdecydowanego wprowadzenia brygady w wyłom, do natarcia.

Nowikowa irytował Gietmanow, ze swoimi pochwałami i potakującym kiwaniem głową.

A Karpow, jakby celowo wzmagając irytację Nowikowa, mówił: - Pozwólcie, towarzyszu pułkowniku, że coś opowiem. Pod Odessą znakomicie się okopaliśmy. Wieczorem przeszliśmy do kontrataku, daliśmy Rumunom po łbie, a nocą na rozkaz dowódcy armii cała nasza obrona jak jeden mąż ruszyła do portu ładować się na okręt. Rumuni się spostrzegli o dziesiątej rano, rzucili się do ataku na puste okopy, a my już na Morzu Czarnym.

- Żebyście tylko teraz nie stanęli przed pustymi rumuńskimi okopami - ostrzegł Nowikow.

Czy Karpow podczas ofensywy da radę dniem i nocą gnać do przodu, zostawiając za sobą zdolne do walki jednostki nieprzyjaciela, punkty oporu?... Rwać przed siebie, wystawiając na ciosy głowę, kark, boki, ogarnięty jedną tylko pasją: ścigać! Nie, on nie z takich; nie ten charakter.

Wszystko dookoła nosiło jeszcze na sobie ślady żaru stepowego, i dziwne było, że powietrze jest takie chłodne. Czołgiści zajmowali się swoimi żołnierskimi sprawami - jedni się golili, siedząc na pancerzu i opierając lusterka o wieżę, inni czyścili broń, ktoś pisał list, obok niego grano w domino na rozścielonym płaszczu-pałatce, a wielka 505 grupa stała, gapiąc się na sanitariuszkę. W tym banalnym obrazie pod olbrzymim niebem na olbrzymiej ziemi wszystko wypełniło s» przedwieczornym smutkiem.

A w tym czasie do podchodzących dowódców, obciążając po drodze bluzę, biegł dowódca batalionu i krzyczał przenikliwie: - Batalion, baczność! Nowikow, jakby się z nim drocząc, odpowiedział: - Spocznij, spocznij.

Tam gdzie przechodził komisarz, rzucając po drodze jakieś słówko słyszało się śmiech, czołgiści spoglądali po sobie, ich twarze weselały. Komisarz wypytywał, kto

jak przeżywa rozłąkę z uralskimi dziewczętami, pytał, czy dużo papieru zużywają na listy, czy na step regularnie przychodzi „Gwiazdka”.

Potem naskoczył na intendenta: - Co dzisiaj jedli czołgiści? A co wczoraj? A przedwczoraj? Ty też przez trzy dni jadłeś krupnik z zielonymi pomidorami? Ano, wezwijcie mi tutaj kucharza - polecił przy wtórze śmiechu czołgistów. - Niech powie, co dał intendementowi na obiad.

Swoimi pytaniami o sprawy bytowe, o warunki życia, jakby ganił dowódców liniowych: „Cóż wy tak tylko o sprzęcie i o sprzęcie?” Intendent, chudy człowiek w zakurzonych kirzowych butach, z czerwonymi rękami praczki, która prała bieliznę w zimnej wodzie, stał przed Gietmanowem i odchrząkiwał.

Nowikowowi zrobiło się go żal, powiedział więc: - Towarzyszu komisarzu, do Biełowa razem stąd pojedziemy? Od czasów przedwojennych Gietmanow zasłużenie uchodził za urodzonego przywódcę. Jeśli zaczynał rozmowę, ludzie zaczynali się śmiać - jego żywa, raczej prostacka mowa i dosadne słówka od razu zacierały różnicę między sekretarzem komitetu obwodowego a umorusanym człowiekiem w kombinezonie.

Zawsze interesował się tym, co dla ludzi ważne - czy nie opóźnia się wypłata żołdu, czy w sklepach wiejskich i przyfabrycznych spółdzielniach mają deficytowe towary, czy hotele robotnicze są dobrze opalone, a kuchnia polowa przyzwoicie zaopatrzona.

Szczególnie bezpośredni, życzliwy bywał w rozmowach ze starszymi robotnikami i kołchoźnicami - wszystkim się podobało, że sekretarz jest prawdziwym sługą ludu, że surowo traktuje zaopatrzeniowców, 506 kierowników hoteli, a kiedy trzeba, to nawet dyrektorów fabryk i stacji obsługi • maszyn, jeśli ci lekceważyli sprawy człowieka pracy. Gietmanow był chłopskim synem, sam kiedyś pracował jako ślusarz, i robotnicy to czuli. Ale w obkomowskim gabinecie zawsze poważnie traktował swoją odpowiedzialność wobec państwa; niepokój Moskwy stawał się jego niepokojem. Wiedzieli o tym i dyrektorzy wielkich zakładów, i sekretarze komitetów wiejskich. - plan zawałasz państwu, rozumiesz? Chcesz wylecieć z partii? Czy ty wiesz, jakie zadanie partia ci powierzyła? Mam ci tłumaczyć? Wiego gabinecie nikt się nie śmiał ani nie żartował, nie narzekał na brak wrzątku w hotelu robotniczym czy zieleni w fabryce. Tu zatwierdzano napięte plany produkcyjne, mówiono o podwyższeniu norm, o tym, że z budownictwem mieszkaniowym trzeba będzie poczekać, że należy najpierw mocniej zacisnąć pasa, energiczniej obniżyć koszty własne, podwyższyć ceny detaliczne.

Siłę tego człowieka odczuwało się szczególnie, kiedy prowadził narady w komitecie obwodowym. Zdawało się wówczas, że nikt do jego gabinetu nie przyszedł z własnymi sprawami czy pretensjami, ale po to, żeby Gietmanowowi pomóc; że jego umysł, wola i upór zawczasu ustaliły cały przebieg narady.

Mówił niezbyt głośno, niezbyt szybko, pewien posłuszeństwa tych, do których się zwracał.

„Powiedz coś o swoim rejonie; oddajmy, towarzysze, głos agronomowi. Nieźle będzie, jeśli ty, Piotrze Michajłowiczu, coś tu dodasz. Niech się wypowie Łażko, u niego po tej linii nie wszystko wygląda dobrze. Ty, Rodionow, jak widzę, też chcesz wygłosić przemówienie, a ja myślę, towarzysze, że sprawa jest jasna, pora podsumować, sądzę, że sprzeciwów nie będzie. Tu macie, towarzysze, przygotowany projekt

uchwały, odczytaj no, Rodionow". No i Rodionow, który miał wątpliwości i chciał dyskutować, gorliwie odczytywał rezolucję, popatrując na przewodniczącego - czy aby dosyć wyraźnie czyta? „A zatem towarzysze nie zgłaszają sprzeciwów”.

Najdziwniejsze jednak, że Gietmanow był chyba szczerzy; był sobą i wtedy, gdy żądał planu od sekretarzy rejonowych, i kiedy odbierał Kołchoźnikom ostatnie gramy ziarna z zapłaty za roboczo dzień, i kiedy zniżał płace robotnikom, i kiedy żądał obniżki kosztów własnych, i «edy podwyższał ceny detaliczne, i kiedy się wzruszał, rozmawiając 507 w radzie wiejskiej z kobietami, i kiedy ubolewał nad ich ciężkim życiem, nad ciasnotą w hotelach robotniczych.

Trudno to zrozumieć, ale czy w życiu wszystko jest łatwe do zrozumienia? Kiedy podeszli do samochodu, Gietmanow żartem zwrócił się do odprowadzającego ich Karpowa: - Trzeba będzie zjeść u Biełowa, od was i waszego intendenta obiadu się nie doczekamy.

Karpow odparł: - Towarzyszu komisarzu brygady, intendencja prawie nic nie dostała w magazynach frontowych. A sam, nawiasem mówiąc, nic nie je choruje na żołądek.

- Choruje, ojej, co za nieszczęście - uzalił się ironicznie Gietmanow, ziewnął i machnął ręką. - No cóż, jazda.

Brygada Biełowa była znacznie bardziej wysunięta na zachód w porównaniu z brygadą Karpowa.

Biełow, chudzielec z dużym nosem, miał krzywe nogi kawalerzysty, był dowcipny, bystry, gadał jak karabin maszynowy i podobał się Nowikowowi.

Wydawał mu się zawsze człowiekiem stworzonym do kierowania szybkimi ruchami wojsk pancernych.

Opinię miał dobrą, chociaż w działaniach bojowych nie uczestniczył długo; tyle że w grudniu 1941 roku pod Moskwą przeprowadził rajd na tyły Niemców.

Ale teraz Nowikow niepokoił się i widział tylko jego wady - Biełow pił jak smok, był lekkomyślny, zapominalski, lubił kobiety, jego natomiast nie lubili podwładni. Nie przygotował obrony. Zaopatrzenie materiałowo-techniczne najwyraźniej go nie interesowało, dbał tylko o dostateczną ilość paliwa i amunicji. Sprawom organizacji remontów i ewakuacji uszkodzonych maszyn z pola bitwy nie poświęcał zbyt dużo uwagi.

- Cóż to się dzieje, towarzyszu Biełow, w końcu nie jesteście na Uralu, tylko w stepie - rzekł Nowikow.

- Tak, wygląda to jak tabor cygański - dodał Gietmanow.

Biełow szybko odpowiedział: - Przeciw lotnictwu podjąłem środki, a naziemny przeciwnik mi niestraszny; na takich głębokich tyłach, jak sądzę, w ogóle się nie pojawi.

508 Nabrał powietrza w płuca.

- Nie obrona nam się marzy, ale wejście w wyłom. Dusza płacze, towarzyszu pułkowniku.

Gietmanow wtrącił się: - Brawo, Bielów, brawo. Jesteś radziecki Suworow, prawdziwy dowódca - przeszedł na „ty”, po czym łagodnie i cicho powiedział: - Szef wydziału politycznego meldował mi, że zadajesz się z pielęgniarką z batalionu sanitarnego. To prawda? Dobroduszny ton Gietmanowa sprawił, że Bielów nie od razu pojął nieżyczliwą intencję pytania. Zainteresował się: - Przepraszam, a co mówił? Ale ponieważ tymczasem słowa dotarły już do jego świadomości, zmieszał się: - Męska rzecz, towarzyszu komisarzu, w warunkach polowych.

- Ale przecież masz żonę, dziecko.

- Troje - ponuro poprawił Gietmanowa Bielów.

- No właśnie, troje. Wiesz, że w drugiej brygadzie zdjęto za taką historię Bułanowicza, dobrego dowódcę batalionu? Przed wyjściem z tyłów trzeba było działać zdecydowanie i na jego miejsce dać Kobylina. Jaki dajecie przykład podwładnym, co? Rosyjski dowódca, ojciec trojga dzieci...

Zirytowany Bielów oświadczył głośno: - Nikogo to nie powinno obchodzić, gwałtem jej nie brałem. A te rzeczy są starsze niż ja, niż wy i niż wasz tatko.

Nie podnosząc głosu, Gietmanow znowu przeszedł na „wy”: - Towarzyszu Bielów, nie zapominajcie o swojej legitymacji partyjnej.

Stójcie, jak nakazuje regulamin, kiedy rozmawia z wami przełożony.

Bielów przybrał żołnierską, absolutnie sztywną postawę i wyrecytował: - Zawiniłem, towarzyszu komisarzu brygady, oczywiście, rozumiem i wyrażam skruchę.

Gietmanow zakończył sprawę: - Nie wątpię w twoje bojowe sukcesy, dowódca korpusu ci wierzy, tylko w życiu osobistym zachowuj się należycie. - Popatrzył na zegarek. - Piotrze Pawłowiczu, ja muszę do sztabu, więc nie pojedę z tobą do Makarowa. Wezmę od Bielowa samochód.

Kiedy wyszli ze schronu, Nowikow nie wytrzymał i zapytał: 509 - Cóż to, za Tomką ci tęskno? Lodowate oczy spojrzały na niego ze zdziwieniem, a niezadowolony głos obwieścił: - Wzywa mnie członek rady wojennej frontu.

Przed powrotem do sztabu korpusu Nowikow pojechał do swojego ulubieńca Makarowa, dowódcy pierwszej brygady.

Razem poszli nad jeziorko, nad którym stacjonował jeden z batalionów.

Makarow, z bladą twarzą i smutnymi oczami, które, zdawałoby się, w żaden sposób nie mogą należeć do dowódcy brygady czołgów ciężkich, zapytał Nowikowa: - Pamiętacie to białoruskie błoto, towarzyszu pułkowniku, kiedy Niemcy gonili nas po trzcinach? Nowikow pamiętał białoruskie błoto.

Pomyślał o Karpowie i Bielowie. Tu, oczywiście, chodziło nie tylko o doświadczenie, ale i o naturę. Dowódcom trzeba przekazywać doświadczenie, którego im brakuje. Ale przecież natury nie można poganiać. Nie wolno przerzucać ludzi z lotnictwa myśliwskiego do saperów.

Nie wszyscy są tacy jak Makarow - dobry i w obronie, i w pościgu.

Gietmanow mówi, że jest stworzony do pracy partyjnej. A Makarow to prawdziwy wojak. Jego się nie przerobi. Makarow, Makarow! Złoto nie żołnierz!

Nowikow nie chciał od Makarowa raportów, informacji. Miał ochotę porozmawiać z nim, poradzić się go. Jak osiągnąć pełne współdziałanie w natarciu z piechotą i piechotą zmotoryzowaną, z saperami, z artylerią samobieżną? Czy są tego samego zdania co do możliwych zamysłów i działań nieprzyjaciela po uderzeniu? Czy jednakowo oceniają siłę jego obrony przeciwpancernej? Czy dobrze wyznaczyli rubieże rozwinięcia? Doszli do stanowiska dowodzenia batalionu.

Stanowisko dowodzenia mieściło się w płytkim jarze. Fatow, dowódca batalionu, zmieszał się, widząc Nowikowa i dowódcę brygady - wydawało mu się, że sztabowa ziemianka nie jest odpowiednia dla takich dostojnych gości. A tu jeszcze żołnierz podpalał drwa prochem i piec wydawał nieprzyzwoite odgłosy.

- Zapamiętajmy, towarzysze - powiedział Nowikow - że korpus dostanie jedną z najbardziej odpowiedzialnych części ogólnego zadania 510 frontu, ja przydzielam najtrudniejszą część Makarowowi, a Makarow, jak mi się zdaje, najtrudniejszą część swojego zadania zleci do wykonania Fatowowi. A jak wykonacie owo zadanie, to już sami musicie pomyśleć. Ja nie będę wam narzucał decyzji podczas walki.

Pytał Fatowa o organizację łączności ze sztabem pułku, z dowódcami kompanii, o pracę radia, o zapasy amunicji, o kontrolę silników, o jakość paliwa.

Zanim się pożegnali, Nowikow zapytał: - No, Makarow, jesteście gotowi? - Nie, towarzyszu pułkowniku, nie całkiem.

- Trzy dni wam wystarczą? - Wystarczą, towarzyszu pułkowniku.

Siedząc już w samochodzie, Nowikow zwrócił się do kierowcy: - No jak, Charitonow, u Makarowa chyba wszystko w porządku? Charitonow zerknął na Nowikowa i odpowiedział: - W zupełnym porządku, towarzyszu pułkowniku. Szef aprowizacji spił się jak bęła, z batalionu przyszli po koncentrat, a ten zabrał klucz i poszedł spać. Szukali go, ale nie znaleźli, i poszli z powrotem. Starszyna mi opowiadał, że dowódca kompanii dostał wódkę dla żołnierzy, ale akurat wyprawiał swoje imieniny i goście wszystko wypili. Chciałem na zapas podkleić dętki, a u nich nawet kleju nie ma.

35 Generał Nieudobnow ucieszył się, kiedy spojrzął przez okno chaty sztabowej i zobaczył willysa w obłoku kurzu.

Tak bywało w dzieciństwie, kiedy dorośli szli w gości, a on cieszył się, że zostaje sam w domu. Ledwie jednak zamknęły się drzwi, zaczynał się bać złodziei, pożaru; zamierając ze strachu, chodził od drzwi do okna, nasłuchiwał, wciągał powietrze, czy nie czuć dymu.

Czuł się bezradny, bo metody, którymi załatwiał wielkie sprawy, tutaj się nie sprawdzały.

A nuż uderzy nieprzyjaciel? Przecież z frontu do sztabu jest sześćdziesiąt kilometrów. Wtedy nikogo nie będzie mógł nastraszyć zdjęciem ze stanowiska czy obwinąć o konszachy z wrogami ludu. Czołgi atakują, atakują, a jak tu je zatrzymać? Ta oczywistość wstrząsnęła 511 Nieudobnowem - potęgą państwa, każąca milionom ludzi chylić kark i drzeć ze strachu, tutaj, na froncie, kiedy Niemcy parli naprzód, nie była warta złamanego grosza. Niemcy nie wypełniali ankiet, nie opowiadali życiorysów na zebraniach, nie zadręczali się obawą, że wygadają, co przed rewolucją robili ich

rodzice.

Ani jego własny los, ani los jego dzieci - nic z tego, co kochał i bez czego nie mógł żyć, nie korzystało już z osłony wielkiego, groźnego, drogiego mu państwa. Po raz pierwszy z respektem i wdzięcznością pomyślał o pułkowniku.

Nowikow wszedł do chaty sztabowej i powiedział: - Ja już, towarzyszu generale, wszystko wiem - Makarow! Ten w każdej sytuacji sam znajdzie właściwe rozwiązanie. Biełow bez zastanowienia będzie rwał do przodu, inaczej nie może. A Karpowa trzeba będzie popędzić, bo jest powolny jak koń pociągowy.

- Tak, tak, kadry, kadry, one decydują o wszystkim; nieustannie badać kadry, tego nas uczy towarzysz Stalin - potwierdził Nieudobnow i zaraz dodał: - Ciągłe myślę, że w stancy jest niemiecki agent, że to ten łajdak naprowadził lotnictwo na nasz sztab.

Opowiadając zaś Nowikowowi o tym, co działo się w sztabie, powiedział: - Wybierają się do nas sąsiedzi i dowódcy jednostek wsparcia, tak bez żadnego celu, po prostu w gości.

- Szkoda, że Gietmanow pojechał do sztabu frontu; co go tak nosi? rzekł Nowikow.

Umówili się, że zjedzą razem obiad, a Nowikow poszedł do siebie umyć się i zmienić zakurzoną bluzę.

Na szerokiej ulicy stanicznej było pusto, tylko nad lejem po bombie stał staruszek, w którego chacie kwaterował Gietmanow. Staruszek rozpostarł ręce i coś tam obliczał na palcach, zupełnie jakby lej został wykopany dla gospodarskich potrzeb. Kiedy Nowikow się z nim zrównał, zapytał: - Nad czym tak dumasz, ojczu? Stary po żołniersku stuknął w daszek i odpowiedział: - Towarzyszu dowódcu, w piętnastym roku trafiłem do niewoli niemieckiej, pracowałem u jednej gospodyni - po czym wskazując lej, a potem niebo, mrugnął i dodał: - Może to mój bękart, sukinsyn, przyleciał do mnie w odwiedziny? 512 Nowikow roześmiał się.

- No, no, stary! Spojrzał na zasłonięte okiennicami okna Gietmanowa, kiwnął do wartownika stojącego przed gankiem i nagle pomyślał: „Po kiego licha Gietmanow jechał do sztabu frontu? Co tam ma za sprawy?” Na chwilę ogarnął go niepokój: „Dwulicowy człowiek, jak to wymawiał Biełowowi niemoralne postępowanie, a wystarczyło, żebyś wspomniał o Tamarze, zrobił się zimny jak lód”.

Ale od razu te myśli wydały mu się głupie, z natury nie był podejrzliwy.

Skręcił za róg domu i zobaczył na polance kilkudziesięciu chłopaków, odpoczywających przy studni, widocznie świeżo zmobilizowanych przez rejonową komisję rekrutacyjną.

Towarzyszący im żołnierz spał, zmęczony, zasłoniwszy twarz furażerką; obok niego leżały złożone w kupkę węzłki i worki. Niektórzy rekruci zdjęli buty, pewnie bolały ich nogi, musieli długo iść stepem.

Z daleka wyglądali jak wiejscy uczniowie, odpoczywający podczas przerwy w szkole. Chude twarze, cienkie szyje, płowe, nieostrzyżone jeszcze włosy, połatane, przerobione z ojcowskich marynarek i portek ubrania - wszystko to było zupełnie dziecięce. Kilku z nich grało w tradycyjną grę, w którą kiedyś grywał i dowódca

korpusu: mrużąc oczy, starali się trafić pięciokopiejkówką do wykopanego dołka. Reszta obserwowała zabawę. Tylko oczy ich wszystkich nie były dziecięce, ale zatrwożone i smutne.

Zauważyli Nowikowa i zaczęli rzucać niepewne spojrzenia na śpiącego krasnoarmiejca. Oczywiście chcieli go zapytać, czy wolno nadal siedzieć i rzucać monetami, kiedy obok przechodzi dowódca.

- Grajcie dalej, zuchy - rzekł życzliwym głosem Nowikow i minął ich, machnąwszy ręką.

Ogarnęła go przemożna litość, tak silna, że aż się zmieszał. Widocznie te szczupłe, młodziutkie twarze o wielkich oczach, ta wiejska uboga odzież nagle jakoś niezwykle dobitnie pokazały, że to jeszcze dzieci...

W wojsku ten chłopięcy, ludzki pierwiastek zastłonięty jest hełmem, Postawą, wypracowanymi ruchami i słowami, skrzypieniem butów...

A tutaj wszystko było widoczne jak na dłoni.

Wszedł do domu... Dziwne, że ze wszystkich dzisiejszych myśli i wrażeń najbardziej niepokojące okazało się to spotkanie z rekrutami.

513 „Siła żywa - powtarzał w duchu Nowikow - siła żywa, siła żywa!'

Przez całe swoje żołnierskie życie wiedział dobrze, kiedy należy bać się dowódcy: utrata sprzętu, awaria czołgu, silnika, zużycie paliwa, niedotrzymany termin, zignorowane wzgórze czy rozwidlenie dróg.

Nie spotkał się natomiast z przypadkiem, żeby po walce dowódca jakoś bardzo przejął się dużymi stratami w sile żywej. Niekiedy nawet dowódca posyłał żołnierzy pod kule, żeby uniknąć gniewu przełożonych i potem móc rozkładać ręce: „Nic nie mogłem zrobić, straciłem połowę ludzi, ale nie zdołałem zająć wyznaczonej rubieży...” Siła żywa, siła żywa.

Kilkakrotnie był świadkiem, jak pędzono siłę żywą pod ogień nawet nie dlatego, że taki był rozkaz, czy też po to, by odciążyć inną jednostkę, ale z czystej fantazji, ot, dowódca się uparł. Największym z sekretów wojny, duchem jej tragedii, było prawo jednego człowieka do posyłania innego człowieka na śmierć. Fundamentem tego prawa był fakt, że ludzie szli w ogień dla wspólnej sprawy.

Znajomy Nowikowa, trzeźwy i rozsądny dowódca, przebywając na wysuniętym punkcie obserwacyjnym, nie zmienił swoich przyzwyczajzeń i rano zawsze pił świeże mleko. Żołnierz z drugiej linii codziennie pod ostrzałem przynosił mu termos z mlekiem. Zdarzało się, że taki żołnierz ginął; wtedy znajomy Nowikowa, porządny człowiek, zostawał bez mleka. Ale następnego dnia, pod ogniem nieprzyjaciela, nowy posłaniec niósł termos z mlekiem. Dowódca musiał przecież pić mleko, a poza tym był człowiekiem porządnym i sprawiedliwym; troszczył się o podkomendnych - żołnierze nazywali go ojcem. No i bądź tu mądry.

Wkrótce przyszedł po niego Nieudobnow; Nowikow, pośpiesznie czesząc się przed lustrem, powiedział: - Ech, towarzyszu generale, wojna to jednak okropna rzecz! Widzieliście - dzieci biorą do wojska? Nieudobnow odparł: - Tak, marne kadry, smarkacze. Obudziłem tego konwojenta, powiedziałem, że wyślę go do kompanii karnej. Rozpuścił ich jak dziadowskie baty; to nie wojsko, ale jakiś bajzel.

W powieściach Turgieniewa można znaleźć opisy, jak ziemianie przyjeżdżają z pierwszą wizytą do nowego sąsiada...

514 W ciemnościach pod sztab podjechały dwa samochody osobowe, a gospodarze wyszli na ganek, żeby powitać gości: dowódcę dywizji artyleryjskiej, dowódcę pułku haubic, dowódcę brygady moździerzy raketowych.

...Podaj mi rękę, miły czytelniku, żebyśmy razem mogli udać się do posiadłości Tatiany Borisowny, mojej sąsiadki...

Dowódcę dywizji artylerii, pułkownika Morozowa, Nowikow znał z opowieści frontowych i komunikatów sztabu i nawet wyobrażał sobie, jak wygląda: okrągła, świeża, rumiana twarz. Ale oczywiście okazało się, że to starszy człowiek, przygarbiony.

Wydawało się, że jego wesołe oczy przypadkowo zawędrowały na czyjeś posępne oblicze. Niekiedy śmiały się tak mądrze, że czuło się: to one właśnie są istotną cechą pułkownika, a zmarszczki na twarzy czy ponuro zgarbione plecy to rzeczy absolutnie przypadkowe.

Dowódca pułku haubic, major Łopatin, mógł uchodzić nie tylko za syna, ale nawet za wnuka dowódcy dywizji artylerii.

Dowódca brygady moździerzy raketowych, Magid, smagły, z czarnymi wąsikami nad wystającą górną wargą i wysokim wskutek wczesnej łysiny czołem, okazał się człowiekiem dowcipnym i rozmownym.

Nowikow zaprosił gości do pokoju, gdzie czekał już nakryty stół.

- Proszę przyjąć pozdrowienia z Uralu - rzekł, wskazując talerze z marynowanymi i solonymi grzybami.

Kucharz stojący w teatralnej pozie koło zastawionego stołu mocno poczerwieniał, westchnął i zniknął - nie mógł znieść napięcia.

Wierszkow nachylił się nad Nowikowem i zaczął mu coś szeptać do ucha, wskazując na stół.

- Oczywiście, podajcie, nie ma co jej trzymać zamkniętej.

Dowódca dywizji artyleryjskiej Morozow pokazał paznokciem na szklance trochę więcej niż czwartą część i powiedział: - Absolutnie nie więcej, wątroba.

- A wam, podpułkowniku? - Nie ma przeszkód, wątroba zdrowa, do pełna.

- Kozak z naszego Magida! - A wasza wątroba, majorze? Dowódca pułku haubic nakrył dłonią swoją szklankę i powiedział: - Dziękuję, nie piję - po czym zdjął dłoń i dodał: - Symboliczną kropelkę, żeby się stuknąć.

515 - Łopatin to przedszkolak, woli cukierki - wyjaśnił Magid.

Magid miał wysokie mniemanie o decydującej roli broni, którą dowodził. Po szklance wódki zrobił się pobłażliwy i dobronudszny, lekko kpiący, sceptyczny, roztargniony, i bardzo się Nowikowowi nie spodobał.

Nowikow ostatnio ciągle oceniał w myślach, jak potraktowałaby Jewgienia Nikołajewna tego czy innego dowódcę, jak zaczęłby z nią rozmawiać i zachowywać się



wobec niej ten czy inny jego frontowy znajomek.

Pomyślał, że Magid na pewno zaczęłyby się zalecać do Żeni, chwaliłby się, wygłupiał, opowiadał dowcipy.

Nagle odczuł pełną niepokoju zazdrość, tak jakby Żenia słyszała dowcipy Magida, który starał się pokazać z jak najlepszej strony.

Po czym, sam starając się pokazać jej z jak najlepszej strony, zaczął mówić o tym, jak ważne jest, by znać i rozumieć ludzi, z którymi wspólnie się walczy, zawczasu wiedzieć, jak się zachowają w warunkach bojowych. Opowiedział o Karpowie, którego będzie trzeba poganiać, i Bielowie, którego będzie trzeba powstrzymywać, i o Makarowie, jednakowo łatwo i szybko orientującego się podczas natarcia i obrony.

Dosyć błaha rozmowa przeszła w spór, jaki często toczą dowódcy różnych rodzajów wojsk, spór gorący wprawdzie, ale w gruncie rzeczy też dosyć błahy.

- Tak, ludźmi trzeba kierować, wychowywać ich, byle tylko nie gwałcić ich woli - wygłosił swoją opinię Morozow.

- Ludźmi należy kierować twardo - rzekł Nieudobnow. - Nie wolno się bać odpowiedzialności, trzeba ją brać na siebie.

Łopatin rzekł: - Kto nie był w Stalingradzie, ten w ogóle nie widział wojny.

- No nie, wybaczcie - zaprotestował Magid. - Co tu ma do rzeczy Stalingrad? Nie przeczę, bohaterstwo, wytrwałość, twardość - któż by się zresztą sprzeczał? Ale ja nie byłem w Stalingradzie, a będę się upierał, że wojnę widziałem. Jestem oficerem ofensywnym. Brałem udział w trzech natarciach i mogę powiedzieć: sam przełamywałem, sam wchodziłem w wyłom. Artyleria pokazała, co potrafi, wyprzedziliśmy nie tylko piechotę, ale i czołgi, a jak chcecie wiedzieć, to także lotnictwo.

516 - E, dajcie już spokój, podpułkownik. Dobrze sobie: wyprzedziliście czołgi! - zgryźliwie rzucił Nowikow. - Czołg to król wojny manewrowej, tutaj nie ma dyskusji.

- Jest jeszcze taki prosty chwyt - rzekł Łopatin. - W wypadku zwycięstwa wszystko przypisywać sobie. A niepowodzenie zwać na sąsiada.

Morozow dodał: - Oj, ci sąsiedzi, ci sąsiedzi... Kiedyś dowódca jednostki piechoty, generał, poprosił mnie, żebyśmy wsparli go ogniem... „Dalej, przyjacielu, ognia na tamte wzgórza”. „Jakimi kalibrami?” - pytam. A ten zaczął rzucać mięsem i krzyczy: „No, daj ognia, i już!” Potem się okazało, że nie zna ani kalibrów, ani zasięgu dział, nawet mapę kiepsko potrafi czytać.

„Dalej, dalej, ognia, taka twoja mać...” A do swoich ludzi: „Naprzód, bo zęby powybijam, rozstrzelam!” I myśli, że wszystkie rozumy wojenne pozjadał. Macie sąsiada, serdeczne gratulacje. A tobie, człowieku, jeszcze każą mu się podporządkować, no bo jakże to - generał.

- No, wybaczcie, ale mówicie językiem obcym duchowi naszej armii rzekł Nieudobnow. - W radzieckich siłach zbrojnych nie ma takich dowódców, ba, co dopiero generałów! - Jak to nie ma! - zaprotestował Morozow. - Ilu ja takich mędrców spotkałem przez ten rok wojny; grożą pistoletem, wyzywają, bezmyślnie posyłają ludzi pod kule. Ot, choćby niedawno. Dowódca batalionu po prostu płacze: „Jak mam ludzi

prowadzić na karabiny maszynowe?" Ja mu na to: „Słusznie, najpierw ich stanowiska zniszczymy ogniem artyleryjskim". A dowódca dywizji z pięściami na niego: „Albo zaraz uderzysz, albo cię zastrzelę jak psa". No i poprowadził ludzi - jak bydło na rzeź! - Jak to było u Ostrowskiego?... „Broń Boże mi się sprzeciwić!" zacytował Magid. - A poza tym ci generałowie nie przez pączkowanie się rozmnażają, tylko psują telefonistki.

- A jak piszą, to dwóch słów bez pięciu błędów napisać nie potrafią dodał Łopatin.

Morozow chyba nie dosłyszał, bo powiedział: - No właśnie. - I dodał: - Spróbujcie z nimi „oszczędzać ludzi". Cała ich siła w tym, że ludzi nie oszczędzają.

Nowikow dobrze wiedział, o czym mówi Morozow. Przez całe swoje wojenne życie stykał się z podobnymi sprawami.

517 A na głos powiedział: - Niby jak to oszczędzać ludzi? Kto żałuje ludzi, niech da sobie spokój z wojną.

Bardzo zdenerwowali go dzisiaj ci rekruci, chciał o nich opowiedzieć; zamiast jednak wyrzucić z siebie to, co w nim było dobrego i życzliwego ludziom, niespodziewanie dla siebie powtórzył ze złością, brutalnie: - Jak to oszczędzać? Na to jest wojna, żeby się nie litować ani nad sobą, ani nad innymi. Na nieszczęście przysyłają do jednostki ledwie poduczonych chłopaków i dają im do ręki kosztowny sprzęt. Pytam, kogo tu żałować? Nieudobnow szybko przenosił wzrok z jednego dyskutanta na drugiego.

Akurat on zgubił niemało porządnych ludzi, takich jak ci, którzy siedzieli teraz za stołem; do Nowikowa dotarło, że zagrożenie, jakie stanowi ten człowiek, jest wcale nie mniejsze niż to, które czeka na pierwszej linii jego, Morozowa, Magida, Łopatina i tych wiejskich chłopaków, którzy odpoczywali dzisiaj na stanicznej ulicy.

Nieudobnow pouczającym tonem rzekł: - Nie tego uczy nas towarzysz Stalin. Towarzysz Stalin uczy nas, że największa wartość to ludzie, kadry. Nasz najcenniejszy kapitał - kadry, ludzie; trzeba ich strzec jak źrenicy oka.

Nowikow widział, że słuchacze przyjęli z aprobatą wypowiedź Nieudobnowa, i pomyślał: „Ciekawie to wygląda. Ja przed sąsiadami wyszedłem na dziką bestię, a Nieudobnow, jak się okazuje, dba o ludzi.

Szkoda, że nie ma Gietmanowa, ten już pewnie chodziłby w aureoli.

No i zawsze tak z nimi mam".

Przerywając Nieudobnowowi, całkiem już po chamsku, ze złością, powiedział: - Ludzi mamy dużo, a sprzętu mało. Człowiek nie samolot, nie czołg - zrobić go może każdy głupi. Kto żałuje ludzi, niech się nie pcha na dowódcę! 36 Dowodzący Frontem Stalingradzkim generał-pułkownik Jeriomienko wezwał do siebie dowódców korpusu pancernego - Nowikowa, Gietmanowa, Nieudobnowa.

518 Poprzedniego dnia odwiedził same brygady, do sztabu korpusu nie zajrzał.

Dowódcy, którzy przybyli na dzisiejsze wezwanie, siedzieli, popatrując z ukosa na generała, nie wiedząc, jaka ich czeka rozmowa.

Jeriomienko przechwycił wzrok Gietmanowa patrzącego na łóżko ze zmiętą

pościelą i powiedział: - Noga mocno mnie rozboleła - i naubliżał swojej nodze najgorszymi słowami.

Wszyscy spoglądali na niego w milczeniu.

- Ogólnie rzecz biorąc, korpus jest przygotowany, zdążyliście się przygotować - ocenił Jeriomienko.

Wypowiadając te słowa, popatrzył z ukosa na Nowikowa, ale ten nie wybuchnął entuzjazmem, słysząc aprobatę dowódcy.

- Towarzyszu generale-pułkownik - powiedział - meldowałem wam już, że jednostki naszego lotnictwa szturmowego przez dwa dni bombardowały dyslokowaną w rejonie wąwozów stepowych sto trzydziestą siódmą brygadę czołgów, wchodzącą w skład korpusu.

Jeriomienko zmrużył oczy i usiłował dociec, czego chce Nowikow zapewnić sobie bezpieczeństwo, czy kopać dołki pod dowódcą lotnictwa.

Nowikow sposepniał i dodał: - Dobrze, że nie było bezpośrednich trafień. Nie umieją bombardować.

Jeriomienko uspokoił go: - To nic. Jeszcze was wesprą, naprawią swoje błędy.

Gietmanow wtrącił się: - Oczywiście, towarzyszu dowódcu frontu, my ze stalinowskimi siłami powietrznymi kłócić się nie będziemy.

- Otóż to, towarzyszu Gietmanow - odparł Jeriomienko i spytał: - No i co, byliście u Chruszczowa? - Nikita Siergiejewicz kazał mi przyjechać jutro.

- Zna was z Kijowa? - Prawie dwa lata, towarzyszu dowódcu, pracowaliśmy z Nikitą Siergiejewiczem.

- Powiedz, proszę, towarzyszu generale, czy to nie ciebie widziałem kiedyś u Tycjana Pietrowicza w domu? - spytał nagle Jeriomienko Nieudobnowa.

519 - Tak jest - potwierdził Nieudobnow. - Tycjan Pietrowicz wezwał was wtedy razem z marszałkiem Woronowem.

- Prawda, prawda.

- A mnie, towarzyszu generale-pułkownik, komisarz ludowy odkomenderował na jakiś czas do Tycjana Pietrowicza na jego prośbę.

Dlatego bywałem u niego w domu.

- No właśnie, widzę, że znajoma twarz - rzekł Jeriomienko i chcąc okazać Nieudobnowowi swoją życzliwość, dodał: - Nie nudzisz się w stepie, towarzyszu generale? Mam nadzieję, że dobrze się urządziłeś? Kiwnął głową z zadowoleniem, nie czekając nawet na odpowiedź.

Kiedy wychodzili, generał-pułkownik przywołał Nowikowa: - Pułkowniku, chodź no tutaj.

Nowikow zawrócił od drzwi, a Jeriomienko wstał, zawisł nad biurkiem swoim tłustym, chłopskim ciałem i powiedział gderliwym tonem:.

- Tak to jest. Ten pracował z Chruszczowem, tamten z Tycjanem Pietrowiczem, a ty, sukinsynu, żołnierskie nasienie, poprowadzisz korpus w wyłom.

37 Ciemnym i zimnym rankiem Krymowa wypisano ze szpitala. Nie wstępując do siebie, udał się zaraz do szefa zarządu politycznego frontu, generała Toszczewaja, żeby zameldować o swojej wyprawie do Stalingradu.

Miał szczęście, bo Toszczewaj od rana przebywał u siebie w służbowym gabinecie, w domu oszalowanym szarymi deskami, i nie zwlekając, przyjął Nikołaja Grigorjewicza.

Toszczewaj zerkał na swój nowy mundur, przywdziany po awansie na generała, i pociągał nosem, wdychając szpitalny karbolowy zapach, który rozsiewał interesant.

- Polecenia dotyczącego domu „sześć przez jeden” nie wykonałem z powodu odniesionej rany - zameldował Krymow. - Teraz mogę udać się tam znowu.

Toszczewaj rzucił na niego rozdrażnione, niezadowolone spojrzenie i powiedział:  
- Nie trzeba, napiszcie mi szczegółowy raport.

520 Nie zadał ani jednego pytania, nie pochwalił ani nie zgańił meldunku Krymowa.

Jak to zwykle w ubogiej wiejskiej chacie, dziwnie wyglądał mundur generalski i ordery.

Ale nie tylko to było dziwne.

Nikołaj Grigorjewicz nie mógł zrozumieć, co takiego zrobił, że szef jest niezadowolony.

Krymow wszedł do wydziału ogólnego, żeby odebrać talony na obiad, zarejestrować przydział żywnościowy i zgłosić powrót z delegacji oraz pobyt w szpitalu.

Kiedy w kancelarii szykowano dokumenty, Krymow siedział na taborecie i przyglądał się twarzom pracowników i pracownic.

Nikt tu się nim nie interesował - jego powrót ze Stalingradu, jego rana, wszystko, co widział i przeżył, nie miało wartości, nie znaczyło nic. Ludzie w wydziale ogólnym zarządu zajęci byli swoimi sprawami.

Stukały maszyny do pisania, szeleściły papiery, oczy pracowników prześlizgiwały się po Krymowie i znowu zagłębiały w otwartych teczkach, w dokumentach rozłożonych na biurkach.

Ile tu zasępionych czoł, jakież napięcie myśli widać w oczach, w ściągniętych brwiach, jakże wszyscy pochłonięci są pracą, jak sprawnie poruszają się ich ręce, przekładające, przerzucające papiery.

I tylko nagle, gwałtowne ziewnięcie, szybkie ukradkowe spojrzenie, rzucone na zegarek - czy dużo czasu zostało do obiadu, mgielka senności, powlekająca oczy, mówiły o śmiertelnej nudzie ludzi kisanących w zaduchu kancelarii.

Do sali zajrzał znany Krymowowi instruktor z wydziału siódmego zarządu politycznego frontu. Krymow wyszedł z nim na korytarz, żeby zapalić papierosa.

- Przyjechaliście? - spytał instruktor.

- Jak widzicie.

A ponieważ instruktor nie spytał Krymowa, co ten widział w Stalingradzie i co

tam robił, Nikołaj Grigorjewicz zapytał jego: - Co tu u nas nowego w zarządzie? Najważniejszą nowiną było to, że komisarz brygadowy przy ponownych awansach otrzymał stopień generała.

Instruktor, podśmiewając się, opowiedział, że Toszczew pochorował się z niepewności, kiedy oczekiwał nowego, liniowego stopnia. To 521 nie żarty, uszył już sobie generalski mundur u najlepszego frontowego krawca, a Moskwa nie chciała i nie chciała zrobić go generałem. Krążą paskudne wieści, że przy zmianie stopni niektórzy komisarze pułkowi i starsi batalionowi dostaną stopnie kapitanów i starszych lejtnantów.

- Wyobrażacie sobie? - spytał instruktor. - Przesłużyć, tak jak ja, osiem lat w wojsku, w organach politycznych, i zostać lejtnantem, co? Były i inne nowiny. Zastępca szefa wydziału informacji zarządu politycznego frontu został odwołany do Moskwy, do Głównego Zarządu Politycznego, gdzie otrzymał awans - został zastępcą szefa zarządu politycznego Frontu Kalinińskiego.

Starsi instruktorzy zarządu, którzy żywili się przedtem w stołówce dla kierowników wydziałów, zostali zgodnie z poleceniem członka rady wojennej zrównani z instruktorami i teraz dostają posiłki w stołówce ogólnej. Jest instrukcja, żeby wyjeżdżającym w delegację odbierać talony na obiad, nie wydając w zamian suchego prowiantu.

Poeci z gazetki frontowej, Katz i Tałałajewski, zostali przedstawieni do odznaczenia Orderem Czerwonej Gwiazdy, ale zgodnie z nową dyrektywą towarzysza Szczerbakowa nagrody dla pracowników prasy na froncie muszą być zatwierdzone przez Główny Zarząd Polityczny, dlatego materiały w sprawie poetów wysłano do Moskwy, a tymczasem dowódca podpisał listę, i wszyscy, którzy się na niej znaleźli, urządzili już obławianie swoich nagród.

- Nie jedliście jeszcze obiadu? - spytał instruktor. - Chodźmy razem.

Krymow odparł, że czeka na dokumenty.

- No to idę - powiedział instruktor i na pożegnanie pozwolił sobie na śmiały żart: - Trzeba się śpieszyć, bo jak tak dalej pójdzie, to zaczną nas karmić w stołówce Wojentorgu razem z cywilami i maszynistkami.

Wkrótce Krymow załatwił wszystkie swoje sprawy, wyszedł na ulicę i wciągnął w płuca świeże jesienne powietrze.

Dlaczego szef zarządu powitał go tak ponuro? Z czego był niezadowolony? Z tego, że Krymow nie wykonał polecenia? Bo nie wierzył w ranę Krymowa i podejrzewa go o tchórzostwo? Bo rozdrażniło go, że Krymow przyszedł bezpośrednio do niego, pomijając drogę służbową, i to jeszcze po godzinach przyjęć? Bo Krymow dwukrotnie zwrócił się do niego: „towarzyszu komisarzu brygadowy”, zamiast „towarzyszu 522 generale-majorze”? A może nie chodzi wcale o Krymowa - kto wie, co się mogło zdarzyć? Toszczew nie został przedstawiony do Orderu Kutuzowa? Dostał list, że żona jest chora? Kto wie, dlaczego szef zarządu politycznego frontu był tego ranka w złym nastroju.

Przez tygodnie spędzone w Stalingradzie Krymow odzwyczaił się od Środkowej Achtuby, od obojętnych spojrzeń przełożonych w zarządzie politycznym, od

tamtejszych inspektorów, od kelnerów w stołówkach.

W Stalingradzie było inaczej! Wieczorem wrócił do swojej kwatery. Pies gospodarza, złożony z dwóch różnych psich połówek - kudłatego rudego zadu i długiego czarno-białego pyska - bardzo się ucieszył na jego widok. Cieszyły się obie jego połowy - rudy, zbity w sfilcowane grudki ogon merdał, a czarno-biały pysk trącał Krymowa w rękę, przymilnie patrzył dobrymi piwnymi oczami. W wieczornym półmroku wydawało się, że łaszą się do Krymowa dwa psy. Pies razem z nim wszedł do sieni.

Gospodyni, która akurat tam się krzątała, rzuciła ze złością do psa: „Poszedł precz, przeklęty!” - a potem dopiero posępnie, całkiem jak szef zarządu politycznego, powitała Krymowa.

Po miłych stalingradzkich ziemiankach, barłogach przykrytych płaszcami-pałatkami, po wilgotnych, zadymionych schronach dziwnie nieprzytulny, samotny wydał mu się ten cichy pokoik, poduszka w białej powłoczce, koronkowe zasłonki w oknach.

Krymow usiadł przy stole i zaczął pisać raport. Pisał szybko, czasem rzucając okiem na notatki zrobione w Stalingradzie. Najtrudniejsza była relacja o domu „sześć przez jeden”. Krymow wstał, przespacerował się po pokoju, znowu usiadł i zaraz znowu wstał, wyszedł do sieni, zakaszłał, nasłuchiwał - czy naprawdę ta cholerna stara nie zaproponuje mu herbaty? Potem zaczerpnął kubkiem wody z beczki - woda była dobra, lepsza od stalingradzkiej - wrócił do pokoju, usiadł przy stole i zastanawiał się, trzymając pióro w ręku. Potem położył się na łóżku, zasłonił oczy.

Co to było? Griekow strzelał do niego! W Stalingradzie czuł, że jest blisko ludzi; jego poczucie więzi z nimi ciągle rosło. W Stalingradzie oddychało mu się lekko, nie było tam mętnych, obojętnie patrzących oczu. Wydawało mu się, że kiedy znajdzie się w domu „sześć przez jeden”, z jeszcze większą siłą poczuje 523 leninowskiego ducha. A gdy już tam trafił, od razu zetknął się z drwiącą nieżyczliwością, i sam zaczął się złościć, pouczać ludzi, grozić im. Po co zaczął mówić o Suworowie? Griekow do niego strzelał! Szczególnie dręczyło go dzisiaj poczucie samotności; wyniosłość i pogarda ze strony ludzi, którzy wydawali mu się łobuzami, półanalfabetami, żółtodziobami w partii. Jakaż to udręka stawać na baczność przed Toszczewem! Czuć jego poirytowany, to ironiczny, to znowu pogardliwy wzrok. Przecież zgodnie z prawdziwą partyjną taryfą Toszczew, ze wszystkimi swoimi stopniami i orderami, nie jest wart małego palca Krymowa. Przypadkowi, niezwiązani z leninowską tradycją ludzie w partii! Wielu z nich wszak awansowano w roku 1937; pisali donosy, demaskowali wrogów ludu. Przypomniał sobie wiarę, lekkość, siłę, z jaką szedł podziemnym przejściem w stronę światła.

Aż duszno mu się zrobiło ze złości - to Griekow odepchnął go od upragnionego życia. On, idąc do domu „sześć przez jeden”, cieszył się ze swego nowego losu. Wydawało mu się, że w tym domu mieszka leninowska prawda. Griekow strzelał do bolszewika, do leninowca! Wepchnął Krymowa z powrotem w kancelaryjne, naftalinowe życie. Łajdak! Krymow znowu usiadł za stołem. W tym, co napisał, nie było ani słowa nieprawdy.

Przeczytał raport. Oczywiście Toszczew przekaże go do wydziału specjalnego. Griekow zdeprawował, rozłożył politycznie pododdział wojska, dokonał zamachu:

strzelał do przedstawiciela partii, komisarza wojskowego. Krymowa wezwał, żeby złożył zeznanie, prawdopodobnie też na konfrontację z aresztowanym Griekowem.

Wyobraził sobie, jak Griekow siedzi przed biurkiem śledczego, z bladożółtą twarzą, bez pasa wojskowego.

Jak on to mówił? „Smutno wam, ale o tym się w raportach nie pisze”.

Sekretarz generalny partii marksistowsko-leninowskiej został ogłoszony istotą nieomylną, prawie Bogiem! W trzydziestym siódmym Stalin nie oszczędził starej gwardii leninowskiej. Naruszył leninowskiego ducha, łączącego demokrację partyjną z żelazną dyscypliną.

Czy sprawiedliwa, uzasadniona jest taka okrutna rozprawa z członkami partii leninowskiej? Griekow zostanie rozstrzelany przed frontem oddziału. To straszne, kiedy się strzela do swoich, ale Griekow nie jest swój, to przecież wróg.

524 Krymow nigdy nie wątpił w prawo partii do posługiwania się mieczem dyktatury, w święte prawo rewolucji do niszczenia wrogów. Opozycji też nigdy nie współczuł! Nigdy nie uważał, by Bucharin, Rykow, Zinowjew i Kamieniew szli leninowską drogą. Trocki, mimo niezwykle błyskotliwego umysłu i temperamentu rewolucjonisty, nie wyzbył się swojej mienszewickiej przeszłości, nie wznosił się na leninowskie wyżyny. Stalin to siła! Dlatego właśnie nazywają go Gospodarzem.

Ręka nigdy mu nie zadrżała, nie było w nim inteligenckiej słabości Bucharina. Gromiąc wrogów, partia stworzona przez Lenina szła za Stalinem. Wojenne zasługi Griekowa nic nie znaczą. Nie dyskutuje się z wrogami, nie wsłuchuje w ich argumenty.

Ale jakkolwiek Nikołaj Grigorjewicz starał się wzbudzić w sobie złość, w tej chwili już jej do Griekowa nie czuł.

Znowu przypomniały mu się słowa tamtego: „Oczy macie dobre.

Smutek w nich widać”.

„Cóż to? - myślał Krymow. - Chyba napisałem donos! Może i nie fałszywy, ale mimo wszystko - donos... No trudno, nic się nie poradzi, drogi towarzyszu, jesteś członkiem partii... Spełnij swój partyjny obowiązek”.

Rano Krymow złożył swój raport w zarządzie politycznym Frontu Stalingradzkiego.

Dwa dni później wezwał go do zarządu kierownik wydziału agitacji i propagandy, komisarz pułkowy Ogibałow, który zastępował szefa.

Sam Toszczew nie mógł Krymowa przyjąć, bo przyjechał do niego z frontu komisarz korpusu pancernego.

Wielkonosy, blady, solidny i uporządkowany Ogibałow powiadomił Krymowa: - Będziecie musieli lada dzień znowu popłynąć na prawy brzeg, towarzyszu Krymow; tym razem do sześćdziesiątej czwartej, do Szumiłowa.

Nasz samochód jedzie akurat do stanowiska dowodzenia komitetu obwodowego partii, a stamtąd przeprawicie się do Szumiłowa. Sekretarze komitetu obwodowego pojedą do Biekietowki świętować rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Nie śpiesząc się, podyktował Krymowowi wszystko, co miał załatwić w zarządzie politycznym 64. armii - zlecenia były drobne, nieciekawe, aż przykro; związane ze zbieraniem papierowych meldunków, potrzebnych do kancelaryjnych sprawozdań, a nie do spraw rzeczywiście ważnych.

525 - A co z pogadankami? - spytał Krymow. - Przecież, zgodnie z waszym poleceniem, szykowałem prelekcję październikową, chciałem ją wygłaszać w jednostkach.

- Na razie się wstrzymamy - rzekł Ogibałow i zaczął wyjaśniać dlaczego.

Kiedy Krymow już zamierzał odejść, komisarz pułkowy zagadnął go: - To ci historia z tym waszym raportem; szef zarządu wprowadził mnie w szczegóły.

W Krymowie coś aż jęknęło - na pewno sprawie Griekowa nadano już bieg. Komisarz pułkowy powiedział: - Miał szczęście ten wasz orzeł; wczoraj szef wydziału politycznego sześćdziesiątej drugiej doniósł nam, że Griekow zginął podczas niemieckiego natarcia na fabrykę traktorów. Razem z całym swoim oddziałem.

Chcąc zaś pocieszyć Krymowa, dodał: - Dowódca armii przedstawił go pośmiertnie do gwiazdy „Bohatera”, ale teraz, rzecz jasna, zamkniemy tę sprawę.

Krymow rozłożył ręce, jakby mówił: „Cóż, skoro miał szczęście, to nic już się nie poradzi”.

Ogibałow, znizywszy głos, podzielił się z przybyłymi kolejną informacją: - Szef wydziału specjalnego jest zdania, że Griekow może żyć. Mógł przejść na stronę nieprzyjaciela.

W domu na Krymowa czekała karteczka: proszono go, żeby wstąpił do wydziału specjalnego. Widocznie sprawa Griekowa nadal była w toku.

Krymow postanowił odłożyć przykrą rozmowę w wydziale specjalnym do swojego powrotu - sprawy pośmiertne nie były pilne.

38 W południowej części Stalingradu, na osiedlu Biekietowka, na terenie stoczni, obwodowa organizacja partyjna postanowiła odbyć uroczyste posiedzenie, poświęcone dwudziestopięciuleciu rewolucji.

Wczesnym rankiem szóstego listopada na podziemnym stanowisku dowodzenia obwodowego komitetu stalingradzkiego, w dębowym zagajniku na lewym brzegu Wołgi, zebrali się obwodowi przywódcy 526 partyjni. Pierwszy sekretarz, inni sekretarze komitetu oraz członkowie prezydium zjedli gorące, trzydaniowe śniadanie i samochodami wyjechali z lasu na gościniec wiodący nad Wołgę.

Nocami tą drogą czołgi i artyleria jeździły do południowej tumackiej przeprawy. Zaiste, rozpaczliwie wyglądał zryty przez wojnę step, cały w zamrzniętych grudach burego błota, w skutych ołowianym lodem kałużach. Lód płynął też rzeką, jego trzeszczenie słychać było o dziesiątki metrów od brzegu. Wiał silny wiatr z niżu, przeprawa przez Wołgę na otwartej stalowej barce była tego dnia raczej mało przyjemna.

Oczekujący na przeprawę żołnierze w podszytych wołzańskim wiatrem szynelach siedzieli na barce przyciśnięci jeden do drugiego, starając się nie dotykać tchnącego zimnem żelaza. Ludzie przytupywali ponuro, podkurczali nogi, a kiedy od



Astrachania powiał potężny lodowaty wicher, nie mieli już sił chuchać w palce, klepać się po bokach ani wycierać nosów - po prostu ziębli. Po Wołdze siał się urywany dym, buchający z komina statku. Na tle lodu dym wydawał się wyjątkowo czarny, a lód pod niską kotarą dymu - wyjątkowo biały. Lód przynosił wojnę ze stalingradzkiego brzegu.

Wielkogłowy kruk siedział na krze i myślał; a było o czym myśleć.

Na sąsiedniej krze leżała nadpalona poła żołnierskiego płaszcza, na kolejnej krze stał zeszywniały z zimna walonek, sterczał też karabin, wmarznięty w lód zgiętą lufą. Samochody osobowe sekretarzy i członków prezydium komitetu wjechały na barkę. Działacze wysiedli z nich i stojąc przy burtach, patrzyli na powoli płynący lód, słuchali jego trzeszczenia.

Dowodzący barką staruszek ze zsiniałymi ustami, w czarnym półkożuszku i wojskowej czapce na głowie, podszedł do Łaktionowa, sekretarza do spraw transportu, i niesamowicie chrypiąc, co było skutkiem zarówno panującej wokół wilgoci, jak też długoletniej praktyki wódczanej i tytoniowej, powiedział: - Robiliśmy, towarzyszu sekretarzu, pierwszy poranny rejs, a tam na lodzie leżał marynarzyk, chłopcy go wyciągnęli, sami o mało co nie utonęli razem z nim, trzeba było rąbać lód łomami - o, jest tam, na brzegu, pod brezentem.

Stary pokazał brudną rękawicą na brzeg. Łaktionow popatrzył, ale nie dostrzegł wyrąbanego z lodu nieboszczyka; chcąc pod maską szorstkiej bezpośredniości ukryć zakłopotanie, wskazał na niebo i spytał: 527 - Jak tam z tym? O jakiej porze najczęściej? Stary machnął ręką.

- E, co to teraz za naloty...

Skłął brzydko osłabionych Niemców, a jego głos przy wulgarnych słowach nagle pozbył się chrypki, zabrzmiał donośnie i chwacko.

Holownik tymczasem po cichu ciągnął barkę na brzeg stalingradzko-biekietowski, który wydawał się nietknięty przez wojnę, ale zwykły, pełen magazynów, budek, baraków...

Sekretarzom, którzy płynęli na uroczystość, znudziło się stać na wietrze, więc powiadali z powrotem do samochodów. Żołnierze patrzyli na nich przez szyby jak na tropikalne rybki w akwarium.

Siedzący w emkach partyjni szefowie obwodu stalingradzkiego palili papierosy, drapali się po głowach, rozmawiali...

Uroczystość odbyła się w nocy.

Wydrukowane zaproszenia różniły się od pokojowych tylko tym, że szary papier był naprawdę bardzo kiepski, a w tekście nie podano miejsca zebrania.

Kierownictwo partyjne Stalingradu, goście z 64. armii, inżynierowie i robotnicy z sąsiednich przedsiębiorstw szli na posiedzenie z przewodnikami, dobrze znającymi drogę: „Tutaj zakręt, jeszcze zakręt, ostrożnie, tu jest lej, szyny, ostrożnie, tu dół z wapnem...” W mroku wszędzie słyszało się głosy, szuranie butów.

Krymow, który w dzień po przeprawie zdążył odwiedzić wydział polityczny, przyjechał na uroczystość z przedstawicielami 64. armii.

W potajnym, zdekoncentrowanym ruchu ludzi, którzy w mroku nocy

przedzierali się przez fabryczny labirynt, było coś, co przypominało rewolucyjne świętowanie w carskiej Rosji.

Wzruszenie sprawiało, że Krymow oddychał głośno, wiedział, że teraz bez przygotowania mógłby wygłosić mowę, i jako doświadczony wiecowy był pewien: ludzie odczuliby razem z nim to wzruszenie, radość z faktu, że zryw stalingradzki wiąże się z rewolucyjną walką rosyjskich robotników.

Tak, tak, tak. Wojna, która wzmogła potęgę sił ludowych, była wojną o rewolucję. To, że w otoczonym domu zaczął mówić o Suworowie, nie było zdradą rewolucji... Stalingrad, Sewastopol, los Radiszczewa, potęga Manifestu Marksa, apele Lenina z pociągu pancernego na Dworcu Fińskim stanowiły całość.

528 Zobaczył Priachina, jak zwykle nieśpieszącego się, powolnego. To było zdumiewające - Nikołajowi Grigorjewiczowi w żaden sposób nie udawało się z nim porozmawiać.

Co prawda, kiedy przyjechał do podziemnego punktu dowodzenia komitetu obwodowego, od razu poszedł do Priachiną, bo o wielu rzeczach chciał mu opowiedzieć. Ale do rozmowy nie doszło, prawie cały czas dzwonił telefon, do „pierwszego” co chwila wchodzili ludzie.

Niespodziewanie Priachin zapytał Krymowa: - Znasz takiego Gietmanowa? - Znam - potwierdził Krymow. - Na Ukrainie, w KC tamtejszej partii był członkiem biura. A bo co? Ale Priachin nic nie odpowiedział. Zaraz potem zaczęły się przygotowania do wyjazdu. Krymow obraził się, bo Priachin nie zaprosił go, żeby jechał z nim razem w samochodzie. Dwukrotnie spotkali się twarzą w twarz i Priachin jakby nie poznawał Nikołaja Grigorjewicza, patrzył nań zimno i obojętnie.

Wojskowi szli oświetlonym korytarzem - Szumiłow, dowódca armii, rozlazły, z potężnym torsem i brzuchem, i generał Abramow, członek rady wojskowej, mały Sybirak o wypukłych piwnych oczach. Krymow miał wrażenie, że otaczający generałów tłum palących papierosy mężczyzn w bluzach wojskowych, waciakach i kozuchach był szczerze demokratyczny, ożywiony duchem pierwszych lat rewolucji, duchem leninowskim. Poczuli to znowu, kiedy postawił nogę na stalingradzkim brzegu.

Prezydium zajęło swoje miejsca, a przewodniczący komitetu miejskiego Piksin, jak wszyscy przewodniczący, oparł się rękami o stół i kaszląc znacząco, zwrócony w tę stronę, gdzie hałasowano szczególnie, otworzył uroczyste posiedzenie komitetu i miejskich organizacji partyjnych, z udziałem przedstawicieli jednostek wojskowych i robotników fabryk stalingradzkich, poświęcone dwudziestej piątej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Po donośnym dźwięku braw czuło się, że to klaszczą same męskie, żołnierskie i robotnicze, dłonie.

Następnie Priachin, pierwszy sekretarz - ciężki, powolny, o wysokim czole, zaczął swój referat. Teraz nie czuło się już więzi między dniem dawno minionym a dzisiejszym.

Wydawało się, że Priachin polemizuje z Krymowem, że stateczność jego myśli zaprzecza wzruszeniu komisarza.

529 Przedsiębiorstwa obwodu wykonują plany państwowe. Rejony wiejskie na

lewym brzegu, wprowadzie z pewnymi opóźnieniami, przeważnie jednak w zadowalającym stopniu wykonały plany skupu.

Przedsięwzięcia położone w mieście i na północ od miasta nie wykonały zobowiązań wobec państwa, ponieważ znajdują się w rejonie działań wojennych.

Ten sam człowiek stał kiedyś obok Krymowa podczas wiecu na froncie i zerwawszy papachę z głowy, wołał: - Towarzysze żołnierze, bracia, precz z krwawą wojną! Niech żyje wolność! Teraz zaś, patrząc na salę, mówił, że gwałtowny spadek dostaw zbóż w obwodzie tłumaczy się tym, że rejony zimowniczewski i kotielniczewski nie mogły wywiązać się z dostaw, ponieważ stanowią arenę działań wojennych, a rejony Kałacza i Wierchnie-Kurmojarskiej częściowo lub całkowicie okupowane są przez nieprzyjaciela.

Następnie referent oznajmił, że ludność obwodu, wypełniając nadal swoje obowiązki wobec państwa, równocześnie wzięła liczny udział w działaniach bojowych przeciwko niemiecko-faszystowskiemu najeźdźcom. Przytoczył dane liczbowe dotyczące udziału ludzi pracy Stalingradu w jednostkach pospolitego ruszenia; zastrzegając się, że nie dysponuje pełnymi danymi, podał liczbę mieszkańców miasta odznaczonych za wzorowe wykonanie zadań dowództwa i wykazane przy tym męstwo i waleczność.

Słuchający spokojnego głosu pierwszego sekretarza Krymow miał świadomość, że rażąca niezgodność jego myśli i uczuć ze słowami o osiągnięciach przemysłu i rolnictwa obwodu, o wykonaniu zadań postawionych przez państwo jest dowodem nie bezsensu, ale przeciwnie, sensu życia.

Referat Priachina właśnie poprzez swój kamienny chłód potwierdzał bezdyskusyjny triumf państwa bronionego przez ludzkie cierpienie i pragnienie wolności.

Twarze robotników i wojskowych były poważne, posępne.

Jak dziwne, dręczące było wspomnienie ludzi Stalingradu - Tarasowa, Batiuka, rozmów z żołnierzami w domu „sześć przez jeden”. Jak przykro i ciężko było teraz myśleć o Griekowie, który zginął w ruinach okrażonego domu.

530 Kim był dla Krymowa Griekow, który mówił rzeczy oburzające? Który do niego strzelał! Dlaczego tak obco, tak zimno brzmią słowa Priachina, starego towarzysza, pierwszego sekretarza komitetu stalingradzkiego? Jakież dziwne, skomplikowane uczucie...

A Priachin już zbliżał się do końca referatu, zapewniając: - Szczęśliwi jesteśmy, że możemy złożyć raport wielkiemu Stalinowi, że ludzie pracy obwodu spełnili swoje obowiązki wobec państwa radzieckiego...

Po referacie Krymow, idąc w tłumie do wyjścia, szukał Priachina wzrokiem. Nie tak, nie tak powinien był napisać swój referat Priachin w dniach walk w Stalingradzie.

Nagle Krymow go zobaczył: Priachin zszedł z podwyższenia i stanął obok dowódcy 64. armii, uporczywie, ponuro patrząc wprost na Krymowa; kiedy zauważył, że ten patrzy w jego stronę, powoli odwrócił wzrok...

„Co to się dzieje?” - pomyślał Krymow.

39 Nocą, po uroczystym posiedzeniu, Krymow dostał się okazją do StalGRES-u.

Złowieszczo tej nocy wyglądała elektrownia. Poprzedniego dnia przeżyła nalot niemieckich ciężkich bombowców. Wybuchy narobiły lejów, wszędzie widać było góry ziemi. Oślepe, pozbawione szyb budynki elektrowni tu i ówdzie osiadły; dwupiętrowy gmach biura był rozwalony.

Transformatory olejowe, dymiąc, paliły się leniwym, niewysokim, zębatym płomieniem.

Strażnik, młody Gruzin, prowadził Krymowa przez podwórze, oświetlone płomieniami. Krymow zauważył, jak przewodnikowi drżały palce przy zapalaniu papierosa. Nie tylko murowane budynki obracają się w gruz i płoną, kiedy w nie uderzy tonowa bomba - człowiek też płonie, popada w stan chaosu.

O tym, żeby się spotkać ze Spiridonowem, Krymow myślał od chwili, kiedy otrzymał rozkaz udania się do Biekietowki.

A może Żenia jest tutaj, w StalGRES-ie? Może Spiridonow wie coś o niej, może do niego napisała, dodając na końcu: „Nie słyszeliście przypadkiem czegoś o Nikołaju Grigorjewiczu?” 531 Był przejęty i ucieszony. Może Spiridonow powie: „A Jewgienia Nikołaj ewna ciągle była smutna”. Może powie: „Wie pan, płakała”.

Od rana czuł nieznośne, coraz silniejsze pragnienie, żeby pojechać do StalGRES-u. W dzień bardzo chciał choćby na kilka minut zajrzeć do Spiridonowa. Ale mimo wszystko przemógł się, pojechał do punktu dowodzenia 64. armii, chociaż instruktor wydziału politycznego uprzedził go szeptem: - Nie macie się co śpieszyć do członka rady wojennej. Od rana pijany...

No i rzeczywiście, do generała śpieszył się na próżno, więc w ciągu dnia nie odwiedził Spiridonowa. Siedząc i czekając na przyjęcie w punkcie dowodzenia, słyszał, jak za przegrodą z dykty członek rady wojennej dyktuje maszynistce list gratulacyjny do sąsiada, Czujkowa.

Rozpoczął uroczyście: - Wasiliju Iwanowiczu, żołnierzu i przyjacielu! Wypowiedziawszy te słowa, zaszlochał i chlipnąwszy kilka razy, powtórzył: „Żołnierzu i przyjacielu, żołnierzu i przyjacielu”. Potem surowo spytał: - Coś ty tam napisała? - Wasiliju Iwanowiczu, żołnierzu i przyjacielu - przeczytała maszynistka. Widocznie jej znudzony głos wydał się członkowi rady niewłaściwy, więc poprawił ją, mówiąc podniosłym tonem: - Wasiliju Iwanowiczu, żołnierzu i przyjacielu! Po czym znowu się rozczulił i zaczął mamrotać: „Żołnierzu i przyjacielu, żołnierzu i przyjacielu”.

Kiedy otarł łzy, jeszcze raz surowo zapytał: - Coś ty tam napisała? - Wasiliju Iwanowiczu, żołnierzu i przyjacielu - odparła maszynistka.

Krymow zrozumiał, że mógł się nie śpieszyć.

Niewyraźny płomień wcale nie oświetlał drogi, tylko ją utrudniał; wydawało się, że wypełza z głębi ziemi, a może to sama ziemia płonęła - taki ciężki, jakby wilgotny, był ten niski ogień.

Podeszli do podziemnego stanowiska dowodzenia dyrektora StalGRES-u. Bomby, które spadły niedaleko, utworzyły wysokie ziemne wały, nowych ścieżek do schronu jeszcze nie wydeptano, więc z trudem dawało się jakąś wypatrzeć.

Strażnik powiedział: 532 - Przyszliście akurat na święto.

Krymow pomyślał, że przy ludziach nie powie nic Spiridonowowi, nie spyta o to, co chciał. Kazał wartownikowi wywołać dyrektora na górę, powiedzieć, że przyjechał komisarz ze sztabu frontu. Kiedy został sam, ogarnęło go niedające się opanować wzruszenie.

„Cóż to jest? - pomyślał. - Myślałem, że się uleczyłem. Czyżby nawet wojna nie pomogła mi tego przekreślić? Co mam robić?” - Uciekaj, uciekaj, biegnij, inaczej zginiesz! - mamrotał pod nosem.

Ale nie miał siły biec, uciekać.

Ze schronu wyszedł Spiridonow.

- Słucham was, towarzyszu - powiedział głosem, w którym czuło się niezadowolone.

Krymow spytał: - Nie poznałeś mnie, Stiepanie Fiodorowiczu? Spiridonow zapytał z przestachem: - Kto to? - po czym, wpatrując się w twarz Krymowa, krzyknął nagle: - Nikołaj, Nikołaj Grigorjewicz! Mocno, kurczowo objął Krymowa za szyję.

- Nikołaju, kochany mój - powiedział i zasapał ze wzruszenia.

Krymow, uradowany tym spotkaniem wśród ruin, poczuł, że płacze.

Sam, absolutnie sam... W ufności, radości Spiridonowa poczuł, jak bliski jest rodzinie Jewgienii Nikołaj ewny, i ta bliskość stała się miarą jego bólu. Dlaczego, dlaczego Żenia odeszła, dlaczego przysporzyła mu tylu cierpień? Jak mogła to zrobić? Spiridonow mówił: - Co też narobiła ta wojna! Zniszczyła mi życie. Zginęła moja Marusia.

Powiedział mu o Wierze, która przed kilkoma dniami w końcu wyjechała ze StalGRES-u, przedostała się na lewy brzeg Wołgi. Podsumował: - Głupia jest.

- A jej mąż gdzie? - spytał Krymow.

- Pewnie dawno nie żyje, był pilotem myśliwca.

Krymow spytał, nie mając już siły się powstrzymać: - Co z Jewgienią Nikołajewną, czy żyje, gdzie teraz jest? - Żyje, jest w Kujbyszewie albo w Kazaniu.

Patrząc na Krymowa, dodał: 533 - To przecież najważniejsze: żyje! - Tak, tak, najważniejsze, oczywiście - potwierdził Krymow.

Ale sam nie był pewien, co jest najważniejsze. Wiedział jedno: że ból w duszy nie mija. Wiedział, że wszystko, co jest związane z Jewgienią Nikołajewną, przyczynia mu bólu. Czy dowiedziałyby się, że jest jej dobrze i ma zapewniony spokój, czy też, że cierpi niedostatek, tak czy owak byłoby mu źle.

Stiepan Fiodorowicz mówił o Aleksandrze Władimirownie, Sierioży, Ludmile, a Krymow kiwał głową, mrużąc cicho: - Tak, tak... Tak, tak, tak...

- Chodźmy, Nikołaju - rzekł Stiepan Fiodorowicz. - Chodźmy do mnie, nie mam teraz innego domu. Tylko ten.

Skąpe płomyki lamp nie mogły oświetlić podziemia zastawionego łózkami, szafami, aparaturą, butlami, workami z mąką.

Na ławkach, na łózkach, skrzynkach, wzdłuż ścian siedzieli ludzie.

Duszne powietrze gęste było od rozmów.

Spiridonow rozlewał spirytus do szklanek, kubków, pokrywek od kociołków. Zrobiło się cicho, bo wszyscy obserwowali go jakoś szczególnie. Wzrok mieli skupiony i poważny, nie było w nim niepokoju, wyłącznie wiara w sprawiedliwość.

Spoglądając na twarze siedzących, Krymow pomyślał: „Pasowałby tu Griekow. Jemu by warto nalać”. Ale Griekow wypił wszystkie kielichy, jakie sążone było mu opróżnić. Więcej już na tym świecie pić nie będzie.

Spiridonow wstał ze szklanką w ręku, a Krymow pomyślał: „Zepsuje wszystko, wygłosi mowę podobną do tej Priachina”.

Ale Stiepan Fiodorowicz zatoczył szklanką ósemkę w powietrzu i powiedział: - Cóż, chłopaki, trzeba wypić. Wasze zdrowie.

Brzęknęły szklanki, zastukały blaszane kubki, ci, co wypili, zaczęli wzdychać, kręcić głowami.

Ludzie byli tu najróżniejsi, i przed wojną państwo też różnie ich ustawiło; nie jadali przy jednym stole, nie kleпали się nawzajem po plecach, nie mówili: „Ee nie, to ty posłuchaj”.

Ale tutaj, w podziemiu, nad którym stała tylko zburzona, paląca się elektrownia, powstało to niewyszukane braterstwo, za które nie szkoda nawet życia oddać, takie jest dobre.

534 Siwy staruszek, nocny stróż, zaśpiewał starą piosenkę, którą przed rewolucją słyszał nieraz w wykonaniu podpitych robotników z francuskiej fabryki w Carycynie.

Śpiewał cienkim, przenikliwym głosem swojej młodości, a ponieważ oddalił się już od tamtych lat, sam siebie słuchał z jakimś ironicznym zdziwieniem, tak jak słucha się znajomego, który sobie podochocił.

Drugi staruszek, czarnogłowy, poważny i zasępiony, słuchał piosenki o miłości i miłosnych cierpieniach.

Dobrze było słuchać tego śpiewu, dobry był ten cudowny i zarazem straszliwy czas, który połączył dyrektora i kierownicę z piekarni polowej, stróża nocnego, wartownika, czas, który po ludzku wymieszał Rosjan, Kałmuka i Gruzina.

A czarny staruszek, kiedy tylko stróż skończył śpiewać o miłości, jeszcze bardziej ściągnął i tak chmurne brwi i powoli, nie mając słuchu ani głosu, zaczął Robotniczą Marsylianę.

Organizator partyjny Nikołajew roześmiał się, pokręcił głową, i Spiridonow też się roześmiał, kręcąc głową.

Krymow się uśmiechnął, zapytał Spiridonowa: - Pewnie stary był kiedyś mienszewikiem, co? Spiridonow wiedział wszystko o Andriejewie i oczywiście wszystko by Krymowowi opowiedział, ale nie chciał, żeby usłyszał go Nikołajew, więc uczucie prostego braterstwa na chwilę zeszło na dalszy plan, a dyrektor, przerywając występ, zawołał: - Pawle Andriejewiczu, to nie z tej opery! Andriejew od razu umilkł, spojrzał i powiedział: - A ja myślałem, że z tej. Pomyliło mi się.

Gruziński wartownik pokazał Krymowowi rękę ze zdartą skórą.

- Ja odkopywałem przyjaciela, Seroża Worobjowa.

Jego czarne oczy zabłysły, ze wzruszenia zabrakło mu tchu, więc niemal wydawało się, że krzyknął przenikliwie: - Ja tego Seroża kochałem jak brata.

A podpity nocny stróż, siwy i spocony, zagadywał organizatora Nikołajewa: - A ty lepiej mnie posłuchaj; Makuładze mówi, że Sieriożkę Worobjowa kochał jak rodzony brata, proszę! Wiesz, że robiłem na kopalni antracetowej, a właściciel mnie szanował i lubił? Piłem z mną, a ja mu 535 piosenek śpiewałem. Ty mi jesteś jak brat, mówił, chociaż prosty górnik.

Tak do mnie mówił! I rozmawialiśmy, i jadaliliśmy razem.

- To jakiś Gruzin? - zapytał Nikołajew.

- Gdzie tam Gruzin, sam pan Woskriesieński, właściciel wszystkich kopalni. Czy ty wiesz, jak on mnie szanował? A kapitału miał milion.

Taki był. Rozumiesz? Nikołajew wymienił spojrzenia z Krymowem i obaj mrugnęli do siebie, pokręcili głowami - No, no - rzekł Nikołajew - to rzeczywiście. Człowiek całe życie się uczy.

- Niech się uczy - przytaknął starszy, nie dostrzegając kpiny.

Dziwny to był wieczór. Późną nocą, kiedy ludzie zaczęli wychodzić, Spiridonow powiedział do Krymowa: - Nikołaj, nawet nie sięgaj po płaszcz, nie wypuszczę cię, przenocujesz u mnie.

Słał mu łóżko, nie śpiesząc się, zastanawiając, gdzie co położyć kołdrę, waciak, płaszcz-pałatkę. Krymow wyszedł ze schronu, postąpił w mroku, patrząc na kołyszący się ogień, potem zszedł na dół, a Spiridonow ciągle jeszcze był zajęty ścieleniem.

Kiedy Krymow zdjął buty i położył się, Spiridonow spytał: - No jak, wygodnie? Pogłaskał Krymowa po głowie, uśmiechnął się życzliwym uśmiechem pijanego.

Ogień, który płonął na górze, jakoś przypominał Krymowowi ogniska palone styczniową nocą 1924 roku na Ochotnym Riadzie, kiedy chowano Lenina.

Wszyscy, którzy zostali na noc w podziemiu, jak się zdaje, już usnęli; mrok był nieprzenikniony.

Krymow leżał z otwartymi oczami, nie zauważając, że jest ciemno, myślał, myślał, wspominał...

Było wtedy bardzo mroźno. Ciemne zimowe niebo nad kopułami klasztoru Strastnego, setki ludzi w uszankach, budionnówkach, szynelach i skórzanych płaszczach. Plac Strastny zrobił się nagle biały od tysięcy ulotek z komunikatem rządowym.

Ciało Lenina wieziono chłopskimi saniami z Górek na stację. Płozy skrzypiały, parskały konie. Za trumną szła Krupska w okrągłej futrzanej czapce, owiązanej szarą chustką, siostry Lenina - Anna i Maria, 536 przyjaciół, chłopcy ze wsi Gorki. Tak odprowadza się na tamten świat dobrych, pracowitych inteligentów, wiejskich lekarzy, agronomów.

W Górkach zrobiło się cicho. Błyszczały kafle pieców, koło zasłanego białą lekką kołdrą łóżka stała szafka zastawiona flakonikami, do których doczepione były karteczki; pachniało lekarstwami. Do pustego pokoju weszła starsza kobieta w lekarskim fartuchu. Szła z przyzwyczajenia na palcach. Przechodząc koło łóżka, podniosła z krzesła sznurek z przywiązany do niego kawałkiem gazety, a mały kotek, śpiący na fotelu, usłyszał znajomy szelest zabawki, szybko podniósł głowę, popatrzył na puste łóżko i ziewając, znowu się położył.

Idący za trumną krewni i bliscy towarzysze wspominali tego, który odszedł. Siostry pamiętały białowłosego chłopczyka: miał trudny charakter, czasem kpił złośliwie, czasem stawał się bezlitośnie wymagający, aż do okrucieństwa, ale był dobry, kochał matkę, siostry, braci.

Żona wspominała, jak w Zurychu, przykucnąwszy, rozmawiał z malutką wnuczką właścicielki mieszkania, Tilly; właścicielka powiedziała wtedy z miejscowym akcentem, który śmieszył Wołodię: - Pan powinien mieć dzieci.

A on chytrze spojrzął w górę, na Nadieżdę Konstantinownę.

Robotnicy z fabryki „Dynamo” przyjechali do Górek, Wołodia wyszedł im na spotkanie, zapomniał się, chciał mówić, ale tylko zamęczał żałośnie i machnął ręką; robotnicy stali dookoła i płakali, widząc, jak on płacze. I to spojrzenie przed końcem, wystraszone, żałosne, spojrzenie dziecka, które patrzy na matkę.

W dali ukazały się budynki stacji, wśród śniegu czerniał parowóz z wysokim kominem.

Kroczący za saniami polityczni przyjaciele wielkiego Lenina, z siwymi od mrozu brodami - Rykow, Kamieniew, Bucharin - przelotnie tylko spoglądali na dziobatego, smagłego mężczyznę w długim płaszczu, w butach z miękkimi cholewami. Zazwyczaj z lekceważącym uśmiechem patrzyli na jego ubiór, człowieka z Kaukazu. Gdyby Stalin miał więcej taktu, nie przyjechałby do Górek, gdzie zebrała się rodzina i wierni przyjaciele wielkiego Lenina. Ci nie rozumieli, że właśnie on, jedyny, stanie się następcą wodza, odepchnie ich wszystkich, nawet najbliższych, nawet żonę odpędzi od dziedzictwa Lenina.

To nie oni - Bucharin, Rykow, Zinowjew - posiadli leninowską prawdę. Ani nie Trocki. Pomylili się. Nikt z nich nie stał się kontynuatorem dzieła Lenina. Ale i Lenin do ostatnich dni nie wiedział i nie rozumiał, że jego dzieło stanie się dziełem Stalina.

Prawie dwa dziesięciolecia minęły od dnia, kiedy na skrzypiących saniach wieziono ciało człowieka, który zdecydował o losie Rosji, Europy, Azji, ludzkości.

Myśl Krymowa uparcie podążała w stronę tamtego czasu; przypominały mu się mroźne styczniowe dni 1924 roku, trzaskający nocą ogień, zimne mury Kremla, płaczące stutysięczne tłumy, rozdzierające serce wycie syren fabrycznych, donośny głos Jewdokimowa czytającego z drewnianego pomostu apel do świata pracy, mała grupka ludzi niosących trumnę do pierwszego, drewnianego, skleconego naprędce, mauzoleum.

Krymow wchodził po zasłanych dywanami schodach Domu Związków, mijał osłonięte czarnymi i czerwonymi wstęgami lustra; pachnące igliwem powietrze



wypełnione było bolesną muzyką. Kiedy wszedł do sali, zobaczył pochylone głowy tych, których zwykle widywał na trybunie, w Smolnym, na placu Starym. W roku 1937, w tym samym gmachu, znowu ujrzał te pochylone głowy. Prawdopodobnie i oskarżenia, słuchając bębniącego, nieludzkiego głosu prokuratora Wyszyńskiego, wspominali, jak szli za saniami, jak stali przy trumnie Lenina i słuchali żałobnej melodii.

Dlaczego nagle w StałGRES-ie, podczas uroczystej rocznicy, zaczął myśleć o tamtych dniach? Dziesiątki osób tworzących razem z Leninem partię bolszewicką okazało się prowokatorami, płatnymi agentami obcych wywiadów, dywersantami, a tylko jeden człowiek, który nigdy w partii nie zajmował głównego miejsca, nie słynął jako teoretyk, okazał się zbawcą sprawy partii, nosicielem prawdy. Dlaczego tamci się przyznawali? O tym wszystkim lepiej było nie myśleć. Ale tej nocy Krymow myślał właśnie o tym. Dlaczego się przyznawali? I dlaczego ja milczę? Właśnie, myślał Krymow, milczę, nie znajduję siły, by powiedzieć: „Wątpię, żeby Bucharin był dywersantem, zabójcą i prowokatorem”. W dodatku podczas głosowania podniosłem rękę. A potem złożyłem swój podpis.

Następnie wygłosiłem mowę, napisałem artykuł. Mnie samemu moja ówczesna skwapliwość wydaje się szczerą. Ale gdzie w tym czasie było moje sumienie, moje wątpliwości? Kim jestem? Człowiekiem o podwójnej moralności? Czy też to dwaj różni ludzie, i każdy z nich ma własną 538 świadomość, inną niż ten drugi? Jak to wytłumaczyć? I tak jest zawsze i wszędzie, nie tylko ze mną, ale z najróżniejszymi ludźmi.

Griekow wypowiedział to, co czuło wielu, co i Krymowa nurtowało, niepokoiło, a niekiedy kusilo. Ledwie jednak tamten wyraził ów ukryty niepokój, Krymow poczuł złość i wrogość, chęć, by złamać Griekowa.

Gdyby było trzeba, bez wahania by go rozstrzelał.

A tu Priachin używał zimnych, oficjalnych słów, mówił w imieniu państwa o procentach wykonania planu, o dostawach, o obowiązkach.

Takie urzędowe, bezduszne przemówienia, tacy urzędowi, bezduszni ludzie niemili byli Krymowowi, ale maszerował z nimi noga w nogę, byli teraz jego starszymi towarzyszami. Sprawa Lenina, sprawa Stalina wcieliła się w tych ludzi, w państwo. Krymow gotów był bez zastanowienia oddać życie za jego potęgę i chwałę.

Weźmy starego bolszewika Mostowskiego. Ani razu nie zabrał głosu, nie bronił ludzi, co do których rewolucyjnej uczciwości był przekonany.

Milczał. Dlaczego milczał? Albo taki słuchacz wyższych kursów dziennikarskich, na których kiedyś wykładał Krymow, miły, uczciwy chłopak - Kołoskow. Kiedy przyjechał ze wsi, opowiadał Krymowowi o kolektywizacji, o łajdakach z rejonu, którzy na listy kułaków wpisują swoich osobistych wrogów albo sąsiadów, na których domy i ogrody mają chrapkę. Opowiadał o głodzie na wsi, skąd z bezgranicznym okrucieństwem wywieziono całe zboże, do ostatniego ziarna... Kiedy mówił o niezwykłym wiejskim starcu, który zginął, żeby ratować życie swojej żony i wnuczki, zaczął płakać. A wkrótce w gazetce ściennej Krymow przeczytał szkic Kołoskowa o kułactwie, które zakopuje ziarno w ziemi i dyszy zwierzęcą nienawiścią, niszczy kielki nowego.

Dlaczego pisał tak ów płaczący z bólu Kołoskow? Dlaczego milczał Mostowski?

Czyżby wyłącznie z tchórzostwa? Ile razy Krymow mówił jedno, a w duchu czuł co innego! Ale kiedy mówił i pisał, wydawało mu się, że tak właśnie myśli, i wierzył, że mówi i pisze to, co myśli. A czasami przekonywał sam siebie: „Nic nie poradzę, rewolucja tego wymaga”.

Było tak, było, nie tylko takie rzeczy się zdarzały. Źle bronił Krymow swoich przyjaciół, o których niewinności był przekonany. Niekiedy milczał, niekiedy coś mamrotał, a bywało jeszcze gorzej: nie milczał i nie mamrotał. Czasem przecież wzywano go do komitetu - zakładowego, rejonowego, miejskiego, obwodowego - czasem do organów 539 bezpieczeństwa; wypytywano o znane mu osoby, członków partii. Nigdy nie rzucał oszczerstw na przyjaciół, nigdy nikogo nie oczerniał, nie pisywał donosów, oświadczeń... Tyle że słabo, marnie, źle bronił swoich przyjaciół, bolszewików. Pisał wyjaśnienia...

No, a Griekow? Griekow to wróg. Z wrogami Krymow nigdy nie robił ceregieli, nie czuł dla nich litości.

Dlaczego jednak zrywał znajomość z rodzinami represjonowanych towarzyszy? Przeszawał tych ludzi odwiedzać, dzwonić do nich, chociaż kiedy spotykał na ulicy krewnych uwięzionych przyjaciół, pozdrawiał ich, nigdy nie przechodził na drugą stronę.

A przecież są takie osoby - zazwyczaj stare kobiety, gospodynie domowe, bezpartyjne mieszczyki - przez które posyła się paczki do obozów, na ich adresy otrzymuje stamtąd listy, i one jakoś się nie boją.

Czasem te staruszki - pomoce domowe, niepiśmienne, zabobonne niańki - biorą do siebie dzieci aresztowanych, bo inaczej trafiłyby do sierocińca. A członkowie partii boją się tych sierot jak ognia. Czyżby stare ciotki i zacofane niańki były uczciwsze, odważniej sze od bolszewików, od leninowców, od Mostowskiego, od Krymowa? Ale dlaczego, dlaczego, czyżby to tylko strach? Tylko tchórzostwo? Ludzie potrafią pokonywać strach - dzieci idą tam, gdzie jest ciemno, żołnierze ruszają do ataku, chłopak robi krok i skacze ze spadochronem w otchłań.

Ale ten strach jest szczególnie, ciężki, tego strachu miliony ludzi nie umieją pokonać; to ten, wypisany złowieszczymi, mieniącymi się czerwonymi literami na zimowym, ołowianym niebie nad Moskwą GOSSTRACH, strach państwowym.

Nie, nie! Sam w sobie strach nie jest zdolny wykonać tak olbrzymiej pracy. Rewolucyjny cel w imię moralności uwalniał od moralności, w imię przyszłości usprawiedliwiał dzisiejszych faryzeuszy, donosicieli, obłudników, wyjaśniał, dlaczego dla szczęścia ludu powinno się wtrącać niewinnych do ciemnicy. Ta siła w imię rewolucji pozwalała odwracać się od dzieci, których rodzice trafili do obozów. Tłumaczyła, dlaczego rewolucja nakazuje oderwać od tych dzieci i zamknąć na dziesięć lat w obozie koncentracyjnym żonę, która nie doniosła na niewinnego męża.

Siła rewolucji zawarła sojusz ze strachem przed śmiercią, z obawą przed torturami, z lękiem, jaki budziło tchnienie dalekich łągów.

540 Kiedyś ludzie, biorąc udział w działalności rewolucyjnej, wiedzieli, że czeka ich wieloletnie życie bez dachu nad głową, więzienie, katorga, szafot.

Toteż obecnie najgorszą, najbardziej niepokojącą rzeczą było to, że rewolucja

za wierność sobie, za wierność wielkiemu celowi płaciła lepszymi kartkami, obiadami na Kremlu, paczkami dla działaczy, służbowymi samochodami, skierowaniami do sanatorium w Barwisze, wagonami międzynarodowymi.

- Nie śpicie, Nikołaju Grigorjewiczu? - spytał w ciemnościach Spiridonow.

Krymow odpowiedział: - Tak, prawie już śpię, zasypiam.

- To przepraszam, nie będę przeszkadzał.

40 Minął przeszło tydzień od tamtej nocy, kiedy Mostowskiego wezwano do obersturmführera Liessa.

Gorączkowe oczekiwanie, napięcie ustąpiły miejsca ciężkiemu smutkowi.

Chwilami Mostowskiemu zaczynało się wydawać, że na zawsze zapomnieli o nim i przyjaciele, i wrogowie, że jedni i drudzy uważają go za starego, bezsilnego, zidiociałego pierdziela, bezużytecznego dochodiagę.

Jasnym, bezwietrznym rankiem zaprowadzono go do łaźni. Tym razem konwojujący go esesman, nie wchodząc do pomieszczenia, usiadł na schodkach, położył obok siebie automat i zapalił papierosa.

Dzień był jasny, przygrzewało słońce, widocznie więc żołnierzowi nie chciało się wchodzić do wilgotnego łaźnienego pomieszczenia.

Jeniec obsługujący łaźnię podszedł do Michaiła Sidorowicza.

- Dzień dobry, drogi towarzyszu Mostowski.

Zaskoczony Mostowski o mało nie krzyknął: w kurtce z opaską rewiru na rękawie, machając szmatą, stał przed nim komisarz brygadowy Osipow.

Uściskali się, a Osipow rzekł pośpiesznie: - Udało mi się dostać pracę w łaźni, zamieniłem się ze stałym łaźnienym, chciałem się zobaczyć z wami. Macie pozdrowienia od Kotikowa, 541 od generała, od Złatokrylca. Powiedzcie przede wszystkim, co się z wami dzieje, jak się czujecie, czego od was chcą? Rozbierajcie się i w tym czasie opowiadajcie.

Mostowski opowiedział o nocnym przesłuchaniu.

Osipow, patrząc na niego wypukłymi, ciemnymi oczami, powiedział: - Chcą nad wami popracować, bałwany.

- Ale po co? Jaki cel? Cel? - Mogą być zainteresowani jakimiś wiadomościami z historii, charakterystyką założycieli i przywódców partii. Może to jest im potrzebne do wymuszania deklaracji, apeli, listów.

- Próżny trud - ocenił Mostowski.

- Będą was męczyli, towarzyszu.

- Próżny trud, idiotyczny pomysł - powtórzył Mostowski i spytał: Opowiedzcie, co tam u was? Osipow odparł szeptem: - Lepiej niż się spodziewaliśmy. Podstawowa rzecz: udało się nawiązać kontakt z robotnikami w fabryce, zaczęła do nas napływać broń, automaty i granaty. Ludzie przynoszą części, zbiórkę robimy w blokach nocą. Oczywiście, na razie w mizernych ilościach.

- To Jerszow załatwił, brawo! - ucieszył się Mostowski. Zdjął koszulę, obejrzał

pierś i ręce, znowu zirytował się, że jest taki stary, i zawstydzony pokręcił głową.

Osipow rzekł: - Muszę was poinformować jako najstarszego towarzysza partyjnego: Jerszowa nie ma już w naszym obozie.

- Co? Jak to: nie ma? - Zabrano go do transportu, do Buchenwaldu.

- Co też mówicie! - krzyknął Mostowski. - To wspaniały chłopak! - W Buchenwaldzie też pozostanie wspaniałym chłopakiem.

- No, ale jak to się stało, dlaczego? Osipow odparł ponuro: - Od razu wyszły na jaw różnice zdań w kierownictwie. Wielu ciągnęło żywiołowo do Jerszowa, i to mu przewróciło w głowie. Za nic nie chciał podporządkować się centrali. To niepewny człowiek, obcy.

Sytuacja komplikowała się coraz bardziej. Przecież pierwszą zasadą podziemia jest żelazna dyscyplina. A u nas utworzyły się dwa ośrodki 542 partyjny i bezpartyjny. Omówiliśmy sytuację i podjęli decyzję. Czeski towarzysz, pracujący w kancelarii, podmienił kartkę z nazwiskiem i automatycznie wciągnięto Jerszowa na listę wysyłanych do Buchenwaldu.

- Jakie to proste - powiedział Mostowski.

- Taka była jednomyślna decyzja komunistów - oznajmił Osipow.

Stał przed Mostowskim w swoim nędznym ubraniu, ze szmatą w ręku, surowy, niewzruszony, absolutnie pewien swojej racji, pewien, że ma straszliwe, większe niż sam Bóg, prawo podporządkować ludzkie losy sprawie, której służy.

A nagi, chudy starzec, jeden z założycieli wielkiej partii, siedział, z podkurczonymi wychudłymi nogami, z nisko pochyloną głową, i milczał.

Znowu w pamięci stanął przed nim gabinet Liessa tamtej nocy.

I znowu strach go ogarnął. Czyżby Liess nie kłamał, czyżby naprawdę miał ochotę porozmawiać po ludzku, bez utajonego żandarmskiego celu? Wyprostował się i tak samo jak zawsze, jak przed dziesięcioma laty, w dobie kolektywizacji, tak samo jak podczas procesów politycznych, które przywiodły na szafot towarzyszy jego młodości, powiedział: - Podporządkowuję się tej decyzji, przyjmuję ją jako członek partii. I spod podszewki kurtki leżącej na ławce wyciągnął kilka kawałków papieru - to były napisane przezeń ulotki.

Nagle zobaczył przed sobą twarz Ikonnikowa, jego krowie oczy, i znowu zapragnął usłyszeć głos proroka bezsensownej dobroci.

- Chciałem spytać o Ikonnikowa - powiedział. - A jego kartki ten Czech nie podłożył? - Ten stary wariat, spadochroniarz, jak go nazywaliście? Został stracony. Odmówił wyjścia do pracy przy budowie obozu zagłady. Kehsemu kazali go zastrzelić.

Tej nocy na ścianach bloków obozowych rozklejono napisane przez Mostowskiego ulotki, mówiące o bitwie stalingradzkiej.

41 Wkrótce po zakończeniu wojny w archiwum monachijskiego gestapo znaleziono materiały śledztwa w sprawie podziemnej organizacji w jed543 nym z obozów koncentracyjnych w zachodnich Niemczech. W dokumencie zamykającym sprawę znajdowała się informacja, że wyrok na uczestników organizacji został

wykonany, a ciała straconych - spalone w krematorium. Listę skazanych otwierało nazwisko Mostowskiego.

Badanie materiałów śledztwa nie pozwoliło ustalić nazwiska prowokatora, który zdradził swoich towarzyszy. Możliwe, że gestapo straciło go razem z tymi, których wydał.

42 W baraku sonderkommando obsługującego komorę gazową, magazyny trujących substancji i piece krematoryjne, było ciepło i spokojnie.

Więźniom zatrudnionym na stałe przy obiekcie nr 1 również stworzono dobre warunki. Przy każdym łóżku stał stolik, mieli karafki z przegotowaną wodą, w przejściu między pryzkami leżał chodniczek.

Robotnikom obsługującym komorę nie towarzyszyła eskorta; obiady jadali w oddzielnym pomieszczeniu. Niemców z sonderkommando karmiono według systemu restauracyjnego, każdy mógł wybierać sobie potrawy. Dostawali też pobory poza kategorią - prawie trzy razy większe niż wojskowi tego samego stopnia w jednostkach liniowych. Ich rodziny korzystały z ulg mieszkaniowych, z wyższych norm przydziału żywności, z prawa do ewakuacji z rejonów zagrożonych nalotami. Żołnierz Rose dyżuruwał przy okienku obserwacyjnym i kiedy proces się kończył, dawał rozkaz oczyszczenia komory. Poza tym miał nadzorować dentyстів, żeby pracowali sumiennie i starannie. Kilka razy meldował komendantowi obiektu, sturmbannführerowi Kaltluftowi, że trudno mu pogodzić oba zadania - zdarzało się, że kiedy Rose obserwował na górze gazowanie, na dole, gdzie pracowali dentyści i odbywało się ładowanie na przenośnik, robotnicy zostawali bez nadzoru - zaczynały się oszustwa i kradzieże.

Rose przywykł do swojej pracy, już się nie denerwował, tak jak w pierwszych dniach, kiedy patrzył przez szybkę. Jego poprzednika przyłapano kiedyś przy wizjerze na czymś, co uszłoby dwunastoletniemu chłopcu, ale nie żołnierzowi SS, wykonującemu zadanie specjalne. Rose początkowo nie rozumiał, do czego koledzy robią jakieś nieprzyzwoite aluzje, ale potem dowiedział się, o co im chodziło.

544 Rosemu nie podobała się nowa praca, mimo że się do niej przyzwyczaił. Niepokoił go ten nowy dlań szacunek, z którym go traktowano.

Kelnerki w kantynie pytały, dlaczego jest taki blady. Jego matka, odkąd pamiętał, zawsze płakała. Ojca jakoś zawsze zwalniano z pracy; wydawało się, że częściej go zwalniano, niż przyjmują. Rose przejął od starszych skradający się, miękki chód, tak, żeby nikomu nie przeszkadzać, a także trwożny, uprzejmy uśmiech, zwrócony do sąsiadów, do właściciela domu, do kota właściciela, do dyrektora szkoły i schutzmanna stojącego na rogu. Zdawało się, że łagodność i uprzejmość były podstawowymi cechami jego charakteru, więc nawet sam się dziwił, skąd się w nim wzięło tyle nienawiści i jakim cudem mógł jej przez lata nie okazywać.

Trafił do sonderkommando; komendant, znawca dusz ludzkich, przejrzał jego łagodny, kobiecy charakter.

Nic ciekawego nie było w obserwacji Żydów skręcających się w komorze. Rose nie cierpiał żołnierzy, którzy lubili pracę w obiekcie. Szczególnie niemiły był mu jeniec Zuczenko z porannej zmiany, dyżurujący przy wejściu do komory. Ten miał cały czas na twarzy jakiś dziecięcy i dlatego wyjątkowo nieprzyjemny uśmiech. Rose swojej

pracy nie lubił, ale znał wszystkie jej jawne i tajne korzyści.

Codziennie pod koniec dnia pracy solidny jegomość, dentysta, przekazywał Rosemu papierową torebkę z kilkoma złotymi koronkami.

Małe torebki stanowiły zaledwie mizerną część drogocennych metali, dostarczanych do zarządu obozu, a Rose już dwukrotnie przekazał żonie około kilograma złota. To była ich przyszłość - urzeczywistnienie marzeń o spokojnej starości. Przecież w młodości był słaby i nieśmiały, nie mógł naprawdę walczyć o byt. Nigdy nie wątpił, że partia ma tylko jeden cel - dobro ludzi małych i słabych. Na samym sobie zdążył już poczuć dobroczynne skutki polityki Hitlera - w końcu i on był słabym, małym człowiekiem, a przecież jemu i jego rodzinie żyło się teraz łatwiej i dostatniej.

545 43 Niekiedy Antona Chmielkowa w głębi duszy przerażała praca, którą wykonywał, toteż wieczorami, kiedy leżał na pryczy i słuchał, jak śmieje się Trofim Żuczenko, wpadał w ciężkie, zimne osłupienie.

Ręce Żuczenki o długich, grubych palcach, które zamykały hermetyczny luk komory, zawsze wydawały mu się niemyte, nieprzyjemnie więc było brać chleb z tacki, do której sięgał Żuczenko.

Żuczenko przeżywał szczęśliwe wzruszenie, gdy szedł na poranną zmianę i czekał na kolumnę ludzi zbliżającą się od strony torów kolejowych. Ruch kolumny wydawał mu się nieznośnie powolny, a wtedy wydobywał z gardła cienki, żalony dźwięk; szczęki lekko mu drgały, jak kotu, który obserwuje wróble przez okno.

Chmielkowa ten człowiek niepokoił. Oczywiście Chmielkow też mógł wypić i po pijanemu zabawić się z kobietą czekającą w kolejce.

Członkowie sonderkommando mieli takie drzwi, przez które wchodzili do przedsionka łaźni, żeby wybrać sobie kobietę. Mężczyzna to zawsze mężczyzna. Chmielkow wybierał którąś, starszą czy młodszą, prowadził ją do pustej części baraku, a za pół godziny odprowadzał do zagrody i przekazywał strażnikowi. Nie mówił nic, kobieta też nic nie mówiła. Nie trafił tutaj dlatego, że lubił baby i wódkę, nie zląkomił się na gabardynowe bryczesy czy chromowe oficerki.

Pewnego lipcowego dnia 1941 roku dostał się do niewoli. Bito go potem kolbą w kark i w głowę, chorował na krwawą biegunkę, pędzono go w podartych butach po śniegu, pojono żółtą wodą z plamami mazutu, palcami wyszarpywał kawałki śmierdzącego mięsa z zabitego konia, żarł zgniłą brukiew i łupiny od kartofli. Wybierał zawsze jedno - życie, nic więcej nie chciał. Uniknął dziesiątka śmierci - i z głodu, i z chłodu.

Nie chciał skonać na krwawą biegunkę, nie chciał upaść na ziemię z dziewięcioma gramami ołowiu w głowie, nie chciał, by wykończył go obrzęk zaczynający się od nóg i zmierzający nieubłaganie ku sercu.

Nie był zbrodniarzem, był fryzjerem w Kerczu, i nikt nigdy nie myślał o nim źle - ani rodzina, ani sąsiedzi z podwórza, ani szef w zakładzie, ani przyjaciele, z którymi siadywał przy kielichu, jadł wędzonego głowacza i grał w domino. Myślał więc, że nic nie łączy go z Żuczenką.

Tylko czasami miewał wrażenie, że różnica między nim a tamtym jest w istocie

niewielka; a już zupełnie nieważne dla Boga i ludzi jest to, 546 w jakim nastroju idą obaj do pracy - w pogodnym czy też ponurym.

Praca w końcu ta sama.

Mylił się jednak, sądząc, że to większa wina Żuczenki jest powodem jego niepokoju. Żuczenko przerażał go właśnie dlatego, że był potworem z natury, i to go usprawiedliwiało. A on, Chmielkow, nie był potworem, był człowiekiem.

Niejasno tylko czuł, że w epoce faszyzmu człowiek pragnący pozostać człowiekiem musi wybrać rzecz łatwiejszą niż życie, które chciał zachować - śmierć.

44 Szef obiektu, dowódca sonderkommando, sturmbannfuhrer Kaltluft, uzyskał wreszcie to, że centralna dyspozytornia dostarczała mu zawsze grafik transportów o dzień wcześniej. Kaltluft zawczasu informował swoich pracowników o zadaniu, które ich czeka - podawał ogólną liczbę wagonów, liczbę przybyłych ludzi. W zależności od tego, z jakiego kraju przyjeżdżał pociąg, wzywano odpowiednie komanda więźniów fryzjerów, przewodników, tragarzy.

Kaltluft nie lubił bałaganu; nie pił i był zły, kiedy jego podwładni się upijali. Tylko raz widziano go wesołego i ożywionego - wyjeżdżając na Wielkanoc do rodziny i już siedząc w samochodzie, zawołał sturmfiihrera Hahna, żeby mu pokazać zdjęcia córki, dziewczynki o wielkiej twarzy i wielkich oczach, podobnej do ojca.

Kaltluft lubił pracować, nie znosił tracić czasu; po kolacji nie chodził do klubu, nie grał w karty i nie oglądał filmów. Na Boże Narodzenie urządzono dla sonderkommando choinkę z udziałem chóru amatorskiego, a do kolacji wydano bezpłatnie butelkę francuskiego koniaku na dwie osoby. Kaltluft wstąpił do klubu na pół godziny; wszyscy zobaczyli wówczas na jego palcach ślady atramentu - nawet w wigilijny wieczór pracował.

Kiedyś mieszkał z rodzicami na wsi i wydawało mu się, że będzie tak mieszkał całe życie - lubił wiejski spokój, a pracy się nie bał. Marzył o powiększeniu ojcowskiego gospodarstwa, ale myślał, że jakkolwiek duże byłyby jego dochody z hodowli świń, uprawy brukwi i pszenicy, nie ruszy się z cichego i przytulnego domu rodziców. Życie jednak 547 ułożyło się inaczej. Pod koniec pierwszej wojny światowej wzięto go do wojska i poszedł drogą, którą los mu wyznaczył. Wydawało się bowiem, że to los wysłał go ze wsi do wojska, z okopów do ochrony sztabu, z kancelarii do adiutantury, z centralnego aparatu bezpieczeństwa do zarządu obozów, a w końcu na stanowisko dowódcy sonderkommanda w obozie śmierci.

Gdyby Kaltluft miał odpowiadać przed sądem niebieskim, to usprawiedliwiając się, szczerze opowiedziałby sędziemu, jak los kazał mu zostać katem, który uśmiercił pięćset dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Czyż mógł przeciwstawić się takim potęgom jak wojna światowa, potężny ruch narodowy, nieubłagana partia, przymus państwowy? Kto potrafi sam wybierać drogę? On jest tylko człowiekiem, osobiście wolałby mieszkać w ojcowskim domu. Nie on szedł, to jego popychano, to los prowadził go za rękę. Tak samo albo bardzo podobnie usprawiedliwiliby się przed Bogiem ci, których Kaltluft posyłał do pracy, a także ci, którzy posłali do pracy Kaltlufta.

Kaltluft nie musiał usprawiedliwiać się przed sądem niebieskim.

Dlatego Bóg nie miał okazji przytaknąć Kaltluftowi, że na świecie nie ma

winnych...

Jest sąd niebieski i jest sąd państwa czy społeczeństwa, ale istnieje też sąd wyższy od nich - sąd grzesznika nad grzesznikiem. Grzeszny człowiek poznał potęgę państwa totalitarnego i wie, że jest nieskończenie wielka; ta straszna siła skruca ludzką wolę propagandą, głodem, samotnością, obozem, groźbą śmierci, zapomnienia, niesławy. Ale nie skruca jej bez reszty, pozostawia człowiekowi nieco wolnej woli, która - na równi z okolicznościami - kieruje każdym jego krokiem, choćby stawianym pod groźbą nędzy, głodu, obozu i śmierci. W całej drodze życiowej dowódcy sonderkommando - ze wsi do okopów, od bezpartyjnego wygodnictwa do świadomego członkostwa partii nazistowskiej - dawała znać o sobie jego własna wola. Los prowadzi człowieka, ale człowiek idzie dlatego, że chce, choć mógłby również nie chcieć. Los prowadzi człowieka, człowiek staje się orężem sił zniszczenia, ale sam przy tym wygrywa, a nie przegrywa. Wie o tym i idzie po wygraną: straszliwy los i człowiek mają różne cele, ale tę samą drogę.

Nie bezgrzeszny i litościwy sędzia niebieski, nie mądry sąd najwyższy, kierujący się dobrem państwa i społeczeństwa, i nie żaden święty 548 ani sprawiedliwy, tylko żaloszny, brudny i grzeszny, miażdżony przez nazizm człowiek, który sam doświadczył przerażającej władzy totalitarnego państwa, sam upadał, sam się bał, ugiął i podporządkowywał, wyda wyrok.

I to on powie: - Na tym strasznym świecie są winni! Ty jesteś winien! 45 Nadszedł ostatni dzień jazdy. Wagony zaskrzypiały, zazgrzytały hamulce i zrobiło się cicho, potem zadudniły zasuwy, rozległa się komenda: - Alle herauf! Na mokry po niedawnym deszczu peron zaczęli wychodzić ludzie.

Po tylu dniach spędzonych w ciemnych wagonach jakże dziwnie wyglądały znajome twarze! Palta czy chustki zmieniły się mniej niż ludzie; bluzki, sukienki przypominały o domach, w których je wkładano, o lustrach, przed którymi je przymierzano...

Ci, którzy wysiadali z wagonów, zbijali się w gromady; w rym stadnym skupieniu było coś zwykłego, uspokajającego: w znajomym zapachu, znajomym cieple, w znajomych zmęczonych twarzach i oczach, w gęstym, olbrzymim tłumie, który wysiadł z czterdziestu dwóch wagonów towarowych...

Stukając po asfalcie podkutymi obcasami, powoli szli dwaj patrolujący żołnierze SS w długich płaszczach. Szli wyniośli i zamyśleni, nawet nie spojrzeli na młodych Żydów, wynoszących martwą staruszkę o białych włosach, które rozsypały się na zbielejącej twarzy, na kędzierzawego człowieka-pudła, który na czworakach zaczerpywał ręką wodę z kałuży i pił, na garbuskę, która podniosła spódnicę, żeby poprawić wysuniętą z reform gumkę.

Od czasu do czasu esesmani spoglądali na siebie i zamieniali parę słów. Szli po asfalcie tak samo, jak słońce wędruje po niebie. Słońce przecież nie obserwuje wiatru, obłoków, burzy morskiej i falowania listowia, ale w swoim płynnym ruchu wie, że wszystko na Ziemi dokonuje się dzięki niemu.

Wszyscy wysiadać! (niem.).

549 Ludzie w granatowych kombinezonach, w kepi z dużymi daszkami, z białymi opaskami na rękawach krzyczeli, poganiali przybyłych w dziwnym języku,



mieszanie słów rosyjskich, żydowskich, polskich i ukraińskich.

Szybko, sprawnie organizują chłopcy w granatowych kombinezonach tłum na peronie, odsiewają tych, którzy padają z nóg, silniejszych zmuszają, by wrzucali półżywych na furgonetki, z chaosu niezbornych ruchów tworzą kolumnę, podsuwają jej ideę ruchu, nadają temu ruchowi kierunek i sens.

Kolumna ma po sześć osób w szeregu, a po szeregach biegnie wiadomość: „Do łaźni, najpierw do łaźni”.

Chyba sam Bóg miłosierny nie wymyśliłby nic bardziej przyjaznego.

- No, Żydzi, zaraz ruszamy! - krzyczy człowiek w kepi, starszy drużyny, która dokonuje rozładunku transportu, i ogląda tłum.

Mężczyźni i kobiety podnoszą z ziemi torby, dzieci wczepiają się w matczyne spódnice i poły ojcowskich marynarek.

„Do łaźni... Do łaźni...” - te słowa czarują, hipnotycznie wypełniają świadomość.

W rosnym człowieku w kepi jest coś swojskiego, pociągającego, wydaje się bliski nieszczęsnemu światu, a nie tamtym w szarych płaszczach i hełmach. Stara kobieta z błagalną ostrożnością głaszcze koniuszkami palców rękaw jego kombinezonu, pytając: - Ir zynd ajid, a łytwek, majn kind} - Tak, tak, matuszka, ich bin a jid, jestem Żydem, dawaj, dawaj, bystro! -I nagle dźwięcznie, ochryple, łącząc w jednej komendzie słowa używane w obu walczących armiach, krzyczy: - Die Kolonne marsch! Szagom marsz! Peron opustoszał, ludzie w kombinezonach zmiatają z asfaltu kawałki szmat, strzępy bandaży, rozdarte i porzucony przez kogoś kalosz, zgubiony dziecięcy klocek, z hukiem zamykają drzwi wagonów.

Żelazna fala ze zgrzytem przepływa po wagonach. Pusty pociąg rusza, idzie do dezynfekcji.

Komando, ukończywszy pracę, wraca do obozu służbową bramą. Transporty ze wschodu są najgorsze, w nich jest najwięcej trupów, chorych, w wagonach może człowiek nałapać wszy, nawącha się smrodu. W tych eszelonach nie znajdzie się flakonu perfum, paczki kakao, puszek mleka skondensowanego, tak jak w węgierskich, holenderskich czy belgijskich.

550 46 Wielkie miasto otworzyło się przed przybyłymi. Jego zachodnie peryferie tonęły we mgle. Mieszał się z nią ciemny dym dalekich fabrycznych kominów, szachownica baraków pokryła się mgiełką i zdumiewające wydało się połączenie mgły z geometryczną prostotą ulic między barakami.

Na północnym wschodzie wstawała czarno-czerwona luna, wydawało się, że wilgotne jesienne niebo nagle się rozżarzyło. Czasem z wilgotnej łuny wyrwał się powolny, brudny, jaszczurczy płomień.

Wyszli na przestronny plac. Pośrodku, na drewnianym pomoście, jakie zazwyczaj widuje się na festynach ludowych, stało kilkadziesiąt osób. To była orkiestra; muzykanci bardzo różnili się od siebie, tak samo jak ich instrumenty. Niektórzy rzucali spojrzenia na zbliżającą się kolumnę. Ale siwy człowiek w jasnym płaszczu powiedział coś i ludzie na pomoście chwycili instrumenty. Jakby ptak krzyknął nieśmiało i zarazem arogancko; powietrze rozdarte drutem kolczastym i wyciem syren, śmierdzące nieczystościami i tłustym kopciem wypełniło się muzyką. Jakby spadł na

ziemię ciepły, ogrzany słońcem, letni deszcz.

Ludzie w obozach, ludzie w więzieniach, ludzie, którzy się z nich wyrwali, ludzie idący na śmierć znają niesamowitą siłę muzyki.

Nikt nie jest tak wrażliwy na muzykę jak ci, którzy trafili do łagru i do więzienia, jak ci, którzy idą na śmierć. Kiedy muzyka doleci do skazańca, budzi nagle w jego duszy nie myśli, nie nadzieje, ale wyłącznie ślepy, przeszywający zachwyt nad życiem.

Szloch przeszedł po kolumnie. Ludzie doznali wrażenia, że wszystko się zmieniło, połączyło, wszystko to, co rozsypane - dom, świat, dzieciństwo, droga, stukot kół, pragnienie, strach i to budzące się we mgle miasto, ta mętna czerwona zorza, wszystko wokół - zjednoczyło się, nie w pamięci, nie na obrazie, ale w ślepym, gorącym, dojmującym poczuciu przeżytego życia. Tutaj, w łunie pieców, na placu obozowym, ludzie czuli, że życie jest czymś większym niż szczęście - bo przecież jest i nieszczęściem. Nie tylko miła, ale i trudna, niekiedy gorzka wolność to właśnie życie.

Muzyka umiała wyrazić ostatni wstrząs duszy, która w swojej ślepej głębi łączy wszystko, czego kiedykolwiek doznało się w życiu, jego radość i smutek, z tym mglistym porankiem, z łuną nad głową. Choć 551 może nie leżało to w jej mocy. Może była tylko kluczem do uczuć człowieka, w tej straszliwej chwili otworzyła jego wnętrze, nie ona wszakże je wypełniła.

Przecież zdarza się, że dziecięca piosenka zmusza staruszkę do płaczu. Ale staruszek płacze nie nad piosenką, ona jest tylko kluczem do tego, co znalazła dusza.

Kiedy kolumna powoli zakreślała półokrąg na placu, z bramy obozu wyjechał kremowobiały samochód. Wsiadł z niego oficer SS w okularach, w płaszczu z futrzanym kołnierzem, zrobił niecierpliwym gest, i dyrygent, który go obserwował, od razu jakimś rozpaczliwym ruchem opuścił ręce - muzyka się urwała.

Rozległo się wielokrotnie powtórzone: Hak! Oficer przechodził wzdłuż szeregów. Wskazywał palcem i prowadzący kolumnę wołał ludzi z szeregów. Oficer patrzył na wywołanych obojętnym wzrokiem, więc prowadzący niezbyt głośno, żeby nie zakłócać jego zamyślenia, pytał: - Fiek? Safut? Wybrano tak trzydziestu ludzi.

Wzdłuż szeregów rozległo się: - Lekarze, chirurdzy! Nikt nie zareagował.

- Lekarze, chirurdzy, wystąp! Znowu cisza.

Oficer poszedł do samochodu, tracąc zainteresowanie tysiącem ludzi stojących na placu.

Wybranych zaczęto ustawiać po pięciu w szeregu i kazano im stanąć twarzą do napisu na bramie: Arbeit machtfrei.

W szeregach zapłakało dziecko, dziko i przenikliwie zaczęły krzyczeć kobiety. Wybrani ludzie stali w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami.

Jak opisać uczucie człowieka, który wypuszcza rękę żony, i to ostatnie szybkie spojrzenie na ukochaną twarz? Jak ten człowiek ma potem żyć z okrutnym wspomnieniem, że w chwili niemego rozstania na ułamek sekundy zamrugał oczami, by ukryć prymitywną radość z ocalenia egzystencji? Jak ma zatrzeć pamięć o tym, że żona wsunęła mu do ręki węzełek z obrączką ślubną, kilkoma kostkami cukru, sucharem? Czyż można żyć, widząc, jak łuna na niebie wybucha z nową siłą - to pałą

się ręce, 552 które całował, oczy, które cieszyły się na jego widok, włosy, których zapach poznawał w ciemności, to jego dzieci, żona, matka? Czyż można w baraku starać się o pryczę bliższą pieca, podstawiać miskę pod czerpak z litrem szarej cieczy, naprawiać oderwaną podeszwę buta? Czyż można walić łomem, oddychać, pić wodę? Mając w uszach krzyk dzieci, płacz matki? Tych, którym pozwolono nadal istnieć, popędzono w stronę obozowej bramy. Dobiegają do nich krzyki, oni sami krzyczą, rwą koszule na piersiach. Tymczasem na spotkanie wychodzi im nowe życie: druty ogrodzenia pod napięciem, betonowane wieże z karabinami maszynowymi, baraki; blade dziewczyny i kobiety patrzą na nich zza drutów, idą ludzie w kolumnach roboczych, z czerwonymi, żółtymi, niebieskimi winklami na piersi.

Znowu zagrała orkiestra. Wybrani do pracy w obozie wchodzą do zbudowanego na bagnach miasta. Ciemna woda w ponurym milczeniu toruje sobie drogę wśród oślizgłych betonowych płyt, wśród ciężkich kamiennych brył. Ta czarnoruda woda pachnie zgnilizną; jest cała w zielonej chemicznej pianie, z kawałkami brudnych szmat, z krwawymi strzępami ze szpitala obozowego. Woda zniknie pod ziemią, wypłynie na powierzchnię i znowu zejdzie pod ziemię. Ale swoją drogę przebędzie, w tej ponurej wodzie żyje przecież i fala morska, i poranna rosa.

A skazańcy poszli na śmierć.

47 Sofia Osipowna szła miarowym, ciężkim krokiem, chłopczyk ścisnął rączką jej dłoń. Drugą ręką obmacywał w kieszeni pudełko zapalek, gdzie w brudnej watce leżała ciemnobrązowa poczwarka, która niedawno, w wagonie, wyłoniła się z kokonu. Obok, coś mamrocząc, kroczył ślusarz Lazar Jankielewicz; jego żona Debora Samuiłowna niosła na rękach dziecko. Za plecami Rebeka Buchman mruzczała: „Och, Boże, och, Boże, och, Boże...” Piąta w szeregu była bibliotekarka Musia Borisowna. Miała przyczesane włosy; jej kołnierzyk wyglądał jak biały.

Po drodze kilka razy oddała przydział chleba za pół kociołka ciepłej wody. Ta Musia Borisowna nikomu niczego nie żałowała; w wagonie uważano ją za świętą, stare kobiety, które znały się na ludziach, całowały 553 jej sukienkę. Szereg przed nimi składał się z czterech osób - oficer zabrał stamtąd od razu dwóch - ojca i syna Slipyjów, którzy na pytanie o zawód zawołali: Zahnarzf] Oficer kiwnął głową; Slipyjowie zgadli, wygrali życie. Z pozostałych w szeregu trzech szło, majtając rękami, które okazały się niepotrzebne; czwarty szedł z podniesionym kołnierzem marynarki i z rękami w kieszeni; głowę odrzucił do tyłu, podkreślając swoją niezależność. Z przodu, cztery czy pięć rzędów dalej, widać było rosnącego staruszka w zimowej krasnoarmiejskiej czapie.

Tuż za Sofią Osipowną szła Musia Winokur, która w pociągu skończyła czternaście lat.

Śmierć! Stała się swojska, towarzyska, zwyczajnie wstępowała do ludzi, na podwórza, do warsztatów, na bazarze spotykała gospodynię z torbą kartofli i zabierała ze sobą, wtrącała się do zabaw dzieci, zaglądała do pracowni, gdzie damscy krawcy, śpiewając, uwijali się, by skończyć palto dla żony gebietskomissara, stawała w kolejce po chleb, przysiadła się do staruszki cerującej pończochę...

Śmierć wykonywała swoją codzienną robotę, a ludzie swoją. Czasem pozwalała dopalić papierosa, dokończyć posiłek, czasem zaś zaskakiwała człowieka i, jak koleżka, bezceremonialnie, z głupim rechetem klepała go po plecach.

Wydawało się, że ludzie w końcu zaczęli ją rozumieć, bo odsłoniła im swoją powszedniość, dziecięcą prostotę. Nader łatwe było to przejście; całkiem jak przez wąską rzeczułkę, gdzie z brzegu, na którym dymią chaty, na drugi, pusty brzeg, przerzucono kładkę. Ot, pięć czy sześć kroków, i już! Doprawdy, czegoż tu się bać? Dopiero co przez mostek, stukając kopytkami, przeszedł cielaczek, dopiero co stukając bosymi piętami, przebiegli mali chłopcy.

Sofia Osipowna usłyszała muzykę. Tę muzykę po raz pierwszy słyszała jako dziecko, słuchała jej jako studentka, młoda lekarka; ta muzyka zawsze ją wzruszała, budząc nadzieję na przyszłość.

Ale muzyka ją oszukała. Sofia Osipowna nie miała przyszłości, miała tylko przeżyte życie.

Poczucie, że ma swoje własne, odrębne życie, na chwilę przesłoniło jej terażniejszość - skraj życiowej przepaści.

Najdziwniejsze ze wszystkich uczuć! Nie można go przekazać, nie można się nim podzielić z najbliższym człowiekiem, żoną, matką, Dentysta (niem.).

554 ojcem, bratem, synem, przyjacielem; jest tajemnicą duszy, ta zaś, nawet jeśli ogromnie tego pragnie, nie może swojej tajemnicy zdradzić.

Człowiek zabierze to uczucie, nie podzieli go z nikim. Cud odrębności, oddzielności człowieka, w którego świadomości i podświadomości zebrało się wszystko, co dobre i co złe, śmieszne, miłe, wstydlive, żałosne, haniebne, uprzejme, nieśmiałe, zdziwione, co istniało od dzieciństwa aż po starość - zlepione, złączone w niemym i tajemniczym, samotnym poczuciu własnego życia.

Kiedy zagrała muzyka, Dawid miał ochotę wyjąć z kieszeni pudełko i pokazać poczwarcę muzyków, ale tylko na chwilę, żeby się nie przeziębila. Kiedy jednak przeszedł kilka kroków, przestał widzieć ludzi na pomoście; została tylko łuna na niebie i muzyka. Smutna, potężna melodia po brzegi napełniła jego duszę tęsknotą za matką. Matce brakowało spokoju i siły, w dodatku wstydziła się tego, że porzucił ją mąż. Kiedy uszyła Dawidowi koszulę, sąsiedzi śmiali się w korytarzu, że Dawidek nosi perkalową koszulę w kwiatki, z krzywo przyszytymi rękawami. Ale matka była jedyną jego obroną, jedyną nadzieją. Nadzieję pokładał w niej cały czas, niewzruszenie i bezsensownie. Może to właśnie muzyka sprawiła, że przestał mieć tę nadzieję. Kochał mamę, ale mama była bezradna i słaba, tak jak ci, którzy szli obok niego. A muzyka, senna i cicha, wydawała mu się małymi falami, które widywał, kiedy miał temperaturę i majaczył, kiedy spęzał z gorącej poduszki na ciepły i wilgotny piasek.

Orkiestra zawyła, zawołało olbrzymie, wyschnięte gardło.

Ciemna ściana, która wyrastała z wody, kiedy chorował na anginę, teraz wisiała nad nim, przesłoniła całe niebo.

Wszystko, wszystko, co przerażało jego serduszko, zjednoczyło się, połączyło. I strach przed obrazkiem, na którym koziołek nie widzi wilczych cieni za świerkami, i niebieskookie głowy zabitych cieląt na bazarze, i martwa babcia, i uduszona córeczka Rebeki Buchman, i pierwszy instynktowny lęk, który kazał mu rozpaczliwie krzyknąć i wołać matkę.

Śmierć zajmowała całą ogromną powierzchnię nieba i patrzyła na Dawidka,

który zmierzał ku niej na swoich małych nóżkach. Dookoła była tylko muzyka, za którą nie można się było schować, której nie można było się chwycić, o którą nie można było rozbić sobie głowy.

A poczwarka nie ma ani skrzydeł ani łapek, ani wąsików, ani oczu; leży w pudełku, głupia, ufna, i czeka.

555 Jak Żyd - to koniec! Miał czkawkę, zatykało go. Gdyby mógł, sam by się udusił. Muzyka ucichła. Jego małe nóżki i dziesiątki innych nóg śpieszyły się, biegły.

Dawid nie miał myśli, nie mógł krzyżeć ani płakać. Palce, mokre od potu, ścisnęły w kieszeni pudełko, ale już nie pamiętał o poczwarcie.

Tylko małe nogi szły, szły, szły, śpieszyły się, biegły.

Gdyby przerażenie, które go ogarnęło, trwało jeszcze kilka chwil, upadłby na ziemię z pękniętym sercem.

Kiedy muzycy skończyli grać, Sofia Osipowna otarła łzy i rzuciła ze złością: - Tak, tak, tak, powiedział szpak! Potem spojrzała na twarz chłopczyka, na której malował się wyraz takiego przerażenia, że wyróżniała się nawet tutaj.

- Co z tobą? Co ci jest? - krzyknęła Sofia Osipowna i gwałtownie szarpnęła Dawida za rękę. - Co się z tobą dzieje, przecież idziemy do łaźni, umyć się.

Kiedy zaczęto wywoływać lekarzy i chirurgów, milczała na przekór tej nienawistnej sile.

Obok szła Debora, żona ślusarza, a wielkogłowy, żaloszny niemowlak, którego niosła na rękach, wpatrywał się w otoczenie zamyślonym, pozbawionym złości wzrokiem. Którejś nocy w wagonie żona ślusarza ukradła jakiejś kobiecie garstkę cukru dla swego dziecka. Poszkodowana była bardzo słaba. Wstawił się za nią staruszek nazwiskiem Łapidus, koło którego nikt nie chciał siedzieć, bo ciągle sikał pod siebie.

Teraz żona ślusarza szła zamyślona, trzymając dziecko na rękach.

A dziecko, krzyczące dniem i nocą, milczało. Smutne, ciemne oczy kobiety sprawiały, że nie dostrzegało się brzydoty jej brudnej twarzy, jej bladych, miękkich ust.

„Matka Boska” - pomyślała Sofia Osipowna.

Kiedyś, dwa lata przed wojną, patrzyła, jak wschodzące zza tienszańskich sosen słońce oświetla zaśnieżone szczyty, patrzyła na jezioro ciemnoniebieskiej barwy, o zmierzchu tak gęstej, że nadającej mu wygląd jednolitej kamiennej bryły. Pomyślała wtedy, że nie ma na świecie człowieka, który by jej nie pozazdrościł; w tej chwili jej serce pięćdziesięcioletniej kobiety ścisnęło się i poczuło, że oddałaby to wszystko za najnudniejszą, najciemniejszą izdebkę z niską powałą, jeśli tam mogłaby trzymać w objęciach własne dziecko.

556 Mały Dawid budził w niej szczególną czułość, której nigdy w stosunku do dzieci nie doświadczała, chociaż zawsze je lubiła. W wagonie oddawała chłopcu część swojego chleba, on w półmroku zwracał do niej twarz, a wtedy chciało jej się płakać, przycisnąć go do siebie, okrywać szybkimi pocałunkami, tak jak zwykle matki całują małe dzieci; szeptem, tak żeby nie słyszał, powtarzała: - Jedz, synku, jedz.

Mało rozmawiała z chłopcem, jakiś dziwny wstyd kazał jej ukrywać macierzyńskie uczucie, które się w niej zrodziło. Zauważyła jednak, że chłopczyk zawsze trwożnie ją śledził, kiedy przeciskała się na drugą stronę wagonu, za to uspokajał się, kiedy była w pobliżu.

Nie chciała się przyznać przed sobą, dlaczego nie zgłosiła się, kiedy wywoływano lekarzy i chirurgów, pozostała w kolumnie, i dlaczego w takiej chwili poczuła nagły poryw.

Kolumna posuwała się wzdłuż ogrodzenia z drutów, wzdłuż betonowych wież z obrotowymi karabinami maszynowymi, wzdłuż rowów.

Ludziom, którzy zapomnieli o wolności, wydawało się, że druty i karabiny są nie po to, żeby przeszkodzić więźniom w ucieczce, tylko po to, żeby skazani na śmierć nie skryli się w katorżniczym obozie.

Droga oddaliła się od drutów i wiodła teraz do przysadzistych budynków o płaskich dachach; z daleka te szare prostopadłościany bez okien przypominały Dawidowi olbrzymie klocki, od których odkleiły się obrazki.

Kiedy kolumna zaczęła zakręcać, między rzędami zrobiło się trochę miejsca i chłopczyk mógł zobaczyć budowle z otwartymi drzwiami. Nie wiedząc dlaczego, wyjął pudełko z kieszeni i odrzucił je gdzieś na bok, nie żegnając się z poczwarką. Niech sobie żyje! - Kapitalni ludzie ci Niemcy - powiedział ktoś idący z przodu, jakby straż mogła usłyszeć i docenić jego pochlebstwo.

Człowiek z podniesionym kołnierzem jakoś dziwnie, osobliwie wzruszył ramionami, rozejrzał się na boki, a potem jakby urósł, zdawało się, że jak ptak rozpostarł skrzydła; skoczył nagle w stronę esesmana, walnął go pięścią w twarz i obalił na ziemię. Sofia Osipowna krzyknęła groźnie, rzuciła się za nim, ale potknęła się i upadła. Od razu kilkoro rąk pochwyciło ją i pomogło się podnieść. Idący z tyłu napierali, a Dawid, oglądając się w strachu, że go przewrócą, zdołał jednak zobaczyć w przelocie, że wartownicy odciągają mężczyznę na bok.

557 Kiedy Sofia Osipowna chciała rzucić się na strażnika, nie myślała o chłopcu. Teraz znowu trzymała go za rękę. Dawid zobaczył, jakie jasne, złe i piękne mogą być oczy człowieka, który na ułamek sekundy poczuł wolność.

A w tym czasie pierwsze rzędy już wstąpiły na asfaltowy plac przed wejściem do łaźni; inaczej teraz brzmiały kroki ludzi zmierzających ku otwartym na oścież drzwiom.

48 W wilgotnym, ciepłym przedsionku, oświetlonym niedużymi prostokątnymi okienkami, panował spokojny półmrok.

Drewniane ławki z niemalowanych desek, z wypisanymi farbą olejną numerami, ginęły w tym półmroku. Salę, aż do przeciwległej ściany, dzieliło na połowy niewysokie przepierzenie; po jednej stronie rozbierali się mężczyźni, po drugiej - kobiety i dzieci.

Ten podział nie zbudził w ludziach podejrzeń, bo nadal się widzieli nawzajem, wołali do siebie: „Mania, Mania, jesteś tam?” „Tak, tak, widzę cię”. Ktoś krzyknął: „Matylda, chodź tu z myjką, natrzesz mi plecy!” Prawie wszystkich ogarnął spokój.

Między rzędami chodzili poważni ludzie w fartuchach, pilnowali porządku i mówili rozsądne słowa o tym, że skarpety, pończochy, onuce należy wkładać do

butów, że trzeba koniecznie zapamiętać numer rzędu i numer miejsca.

Ludzkie głosy były ciche, przygłuszone.

Kiedy człowiek rozbiera się do naga, zbliża się do samego siebie.

Boże, włosy na piersi zrobiły się jeszcze bardziej szorstkie i gęste; a ile już siwych! Jakie brzydkie mam paznokcie! Nagi człowiek, patrząc na siebie, nie wyciąga innych wniosków, oprócz tego jednego: „To ja”.

Poznaje siebie, określa swoje „ja” - i to „ja” jest zawsze jedno. Chłopczyk, krzyżując chude ręce na piersi z wystającymi żebrami, patrzy na swoje żabie ciało i myśli: „To ja”, i tak samo pięćdziesiąt lat później, oglądając węzły sinych żył na nogach, i tłustą obwisłą pierś, poznaje siebie: „To ja”.

Sofię Osipownę jednak zdumiała dziwna rzecz. Wraz z ciałami, młodymi i starymi - i zadartonosego chudziutkiego chłopca, o którym 558 stara, kręcąc głową, powiedziała: „Oj, biedny chasyd” , i czternastoletniej dziewczynki, na którą nawet tutaj z zachwytem patrzyły setki oczu, i pokracznych i słabych, budzących religijny szacunek starców i staruszek, i mężczyzn z silnymi, owłosionymi plecami, i kobiet z żylakowatymi nogami i wielkimi piersiami - obnażyło się ukryte pod łachmanami ciało narodu. Sofii Osipownie wydało się, że właśnie czuje owo: „To ja”, tyle że odnoszące się nie do niej jednej, ale do narodu. To było jego nagie ciało, równocześnie młode i stare, żywe, silne, dojrzewające i zwiędłe, z głową kędzierzawą i siwą, piękne i paskudne, krzepkie i słabe. Patrzyła na swoje grube białe ramiona, których nikt, poza mamą w dzieciństwie, nie całował, a potem z czułością przeniosła oczy na chłopca. Czyżby kilka minut wcześniej mogła o nim zapomnieć, kiedy rzuciła się, zaślepiona wściekłością, w stronę esesmana?... „Młody żydowski głupiec - pomyślała - i jego stary rosyjski uczeń głosili ideę niesprzeciwiania się złu gwałtem. Ale za ich czasów nie było hitleryzmu”. Już nie wstydząc się obudzonego w niej, pannie, macierzyńskiego uczucia, Sofia Osipowna pochyliła się i swoimi spracowanymi, dużymi dłońmi ujęła szczupłe ciało Dawida i ucałowała go; wydało jej się, że zarazem całuje jego dobre oczy.

- Tak, tak, dziecko - powiedziała - już jesteśmy w łaźni.

Przez chwilę miała wrażenie, że w półmroku betonowego przedsionka mignęły oczy Aleksandry Władimirowny Szaposznikow. Czy żyje? Sofia Osipowna pożegnała się z nią i poszła; teraz odchodzi naprawdę; Ania Sztrum też odeszła...

Żona robotnika chciała pokazać golutkiego synka mężowi, ale mąż był za przegródką; wyciągnęła więc w stronę Sofii Osipowny chłopca okrytego do pasa pieluszką i powiedziała z dumą: - Jak go tylko rozebrali, od razu przestał płakać.

A z za przepierzenia mężczyzna z czarną brodą, który zamiast kalesonów nosił podarte portki od piżamy, krzyknął, błyskając oczami i złotem sztucznych zębów: - Manieczka, tu sprzedają kąpielówki, mam kupić? Musia Borisowna, zasłaniając ręką pierś, wystającą z szerokiego wycięcia koszuli, uśmiechnęła się, słysząc ten żart.

Sofia Osipowna wiedziała już, że ten humor skazańców nie jest przejawem siły; słabi i bojaźliwi już tak się nie boją strachu, kiedy się z niego śmieją.

559 Rebeka Buchman, z wychudzoną, piękną i udręczoną twarzą, odwracając od ludzi olbrzymie płonące oczy, potargała swoje potężne warkocze, chowając w nich

pierścionki i kolczyki.

Władła nią ślepa i okrutna siła życia. Chociaż była nieszczęśliwa i bezradna, nazizm ściągnął ją do swego poziomu i nic już nie mogło zdławić jej woli przetrwania. A teraz, ukrywając pierścionki, nie pamiętała, że te same ręce zacisnęła na gardle swojego dziecka z obawy, że jego płacz może zdradzić schronienie na strychu.

Ale kiedy westchnęła z ulgą, jak zwierzę, które w końcu dotarło do bezpiecznego gąszczu, zobaczyła kobietę w fartuchu, obcinającą nożycami warkocze Musi Borisownie. A obok fryzjerka strzygła dziewczynkę i jedwabiste strumienie bezszelestnie spływały na betonową podłogę.

Włosy leżały na podłodze, sprawiając wrażenie, że kobiety myją nogi w ciemnej lub jasnej wodzie.

Kobieta w fartuchu niespiesznie odsunęła rękę Rebeki Buchman, osłaniającą głowę, chwyciła włosy nad karkiem i końce nożyc dotknęły ukrytego pierścionka. Nie przerywając pracy i zręcznie wyciągając zaplątane we włosach pierścionki, kobieta w fartuchu powiedziała Rebecce na ucho: „Wszystko dostanie pani z powrotem”. I jeszcze ciszej szepnęła: „Tutaj są Niemcy, spokojnie, ganz ruhig”. Rebeka nie zapamiętała jej twarzy, nie widziała oczu, ust, tylko żółtawą rękę z sinymi żyłami.

Zza przepierzenia wyjrzał siwy mężczyzna w okularach krzywo osadzonych na krzywym nosie, podobny do chorego, smutnego diabła, obejrzał ławy i głosem człowieka przyzwyczajonego do rozmów z głuchymi, rozdzielając sylaby, spytał: - Mamo, mam, mam, jak się czujesz? Pomarszczona mała staruszka usłyszała nagle głos syna wśród szumu setek głosów, czule się uśmiechnęła i odpowiedziała, odgadując zwykłe zapytanie: - W porządku, puls mam regularny, nie denerwuj się.

Ktoś obok Sofii Osipowny powiedział: - To Gelman, znakomity internista.

A naga młoda kobieta, trzymając za rękę dziewczynkę w białych majtkach, krzychała głośno: - Zabiją nas, zabiją nas, zabiją nas! - Ciszej, ciszej, uspokójcie wariatkę - powtarzały kobiety. Rozglądały się, straży nie było widać. Uszy i oczy odpoczywały w półmroku 560 i ciszy. Jakie to ogromne szczęście, jakiego od miesiący nie zaznały zdjąć z siebie zeszywniałą z brudu i potu odzież, na pół zbutwiałe skarpety, pończochy, onuce. Fryzjerki zakończyły strzyżenie i poszły sobie, a ludzie odetchnęli jeszcze swobodniej. Jedni się zdrzemnęli, drudzy sprawdzali szwy na ubraniu, jeszcze inni cicho rozmawiali.

Ktoś powiedział: - Szkoda, że nie ma kart, można by zagrać w durnia.

Ale w tej chwili szef sonderkommando, puszczając dym z cygara, podnosił słuchawkę telefonu, magazynier ładował na wózek akumulatorowy puszkę cyklonu z czerwonymi, jak na dżemie owocowym, nalepkami, a dyżurny oddziału specjalnego, siedzący w pomieszczeniu służbowym, spoglądał na ścianę, bo za chwilę miała zapalić się żarówka sygnałowa.

Komenda „Wstać!” dobiegła nagle z różnych stron przedsiionka.

Tam gdzie kończyły się ławki, stali Niemcy w czarnych mundurach.

Ludzie weszli na szeroki korytarz, gdzie świeciły słabe lampy, osłonięte owalnymi kloszami z grubego szkła. Tutaj widać było siłę betonu, powoli wchłaniającego w siebie ludzki potok. Było cicho, rozległ się tylko szmer kroków



idących boso ludzi.

Kiedys przed wojną Sofia Osipowna powiedziała do Jewgienii Szaposznikow: „Jeśli ktoś ma być przez kogoś zabity, ciekawe byłoby prześledzić, jak stopniowo zacierają się do siebie: najpierw są może strasznie daleko - na przykład ja na Pamirze zbieram róże alpejskie, pstrykam zdjęcia swoim kontaksem, a w tym czasie on, moja śmierć, o osiem ty- sięcy wiorst stamtąd, skończył lekcje w szkole i łowi w rzeczce jazgarze.

Ja wybieram się na koncert, a on w tym czasie kupuje bilet na dworcu, jedzie do teściowej, ale tak czy owak się spotkamy, na pewno". Teraz ta dziwna rozmowa przypominała się Sofii Osipownie. Popatrzyła na sufit: przez tę betonową warstwę nad głową już nie usłyszy burzy, nie zobaczy przewróconego Wielkiego Wozu... Szła bosymi stopami tam, gdzie skręcał korytarz, a korytarz sam bezszelestnie, przymilnie płynął jej na spotkanie; ruch odbywał się bez przymusu, sam z siebie, jakieś ślizganie się w półśnie, jakby wszyscy i wszystko dookoła posmarowane było gliceryną i samo sennie się ślizgało.

Wejście do komory otwarło się i stopniowo, i niespodziewanie. Potok płynął powoli. Staruszka i staruszek, którzy przeżyli razem pięćdziesiąt lat, rozdzieleni przy rozbieraniu, znowu szli obok siebie, żona ślusarza 561 niosła rozbudzone dziecko, matka i syn patrzyli ponad głowami idących, oglądając nie przestrzeń, ale czas. Mignęła twarz internisty, a całkiem blisko widać było oczy dobrej Musi Borisowny, przerażoną Rebekę Buchman. A to Lusja Szterental. Nie sposób stłumić, unicestwić piękna tych młodych oczu, lekko oddychających nozdrzy, szyi, półotwartych ust.

Obok szedł stary Łapidus ze zmiętymi, sinymi ustami. Sofia Osipowna znowu przycisnęła do siebie ramiona chłopczyka. Nigdy jeszcze nie czuła w sercu takiej miłości do ludzi.

Idąca obok Rebeka zaczęła krzyżeć; jej krzyk był po prostu straszny, to był krzyk człowieka zmieniającego się w popiół.

Przy wejściu do komory gazowej stał człowiek z kawałkiem rury w ręku. Miał na sobie brązową koszulę z krótkimi rękawami, zapinaną na zamek błyskawiczny; to na widok jego niewyraźnego, dziecięcego uśmiechu szaleńca zaczęła tak strasznie krzyżeć Rebeka Buchman.

Oczy mężczyzny prześlizgnęły się po twarzy Sofii Osipowny. To właśnie on, w końcu się spotkali! Poczwała, że palcami powinna chwycić go za szyję, która wypełzała z rozpiętego kołnierzyka. Ale uśmiechnięty szybko machnął rurą. Przez dźwięk dzwonów i brzęk szkła usłyszała: „Nie ciskaj się, Żydówko".

Zdołała ustać na nogach i ciężkim, powolnym krokiem razem z Dawidem przestąpiła stalowy próg.

49 Dawid przesunął dłonią po stalowej futrynie, poczuł jej chłodną gładkość. Zobaczył w stalowym zwierciadle jasnoszarą, rozlewającą się plamę - odbicie swojej twarzy. Bose stopy poczuły, że posadzka w komorze jest zimniejsza niż w korytarzu, bo niedawno ją myto, polewano wodą.

Szedł drobnymi, niezbyt szybkimi krokami przez betonowe pudło z niskim sufitem. Nie widział lamp, ale w komorze świeciło szare światło, jakby słońce

przenikało przez zaciągnięte betonem niebo, kamienne światło, które chyba nie było przeznaczone dla żywych istot.

Ludzie, którzy cały czas szli razem, teraz rozsypali się, rozłączyli.

Mignęła twarz Lusi Szterental. W wagonie Dawid patrzył na nią, doznając słodczy i smutku kogoś zakochanego. Ale po chwili na miej562 scu Lusi pojawił się błękitnooki starzec z białym puchem na głowie.

A zaraz potem pojawiły się nieruchome, rozszerzone oczy młodego mężczyzny.

To był ruch nieznanym ludziom. To był ruch nieznanym także niższym istotom żywym. Nie było w nim sensu, nie było celu, nie przejawiała się w nim wola żyjących. Ludzki potok wpływał do komory, ci, którzy wchodzili, popychali tych, którzy już weszli, tamci popychali sąsiadów, i z tych niezliczonych małych pchnięć łokciami, ramionami, brzuchem rodziło się coś, co wyglądało jak ruchy cząstek zawiesiny, odkryte przez botanika Browna.

Dawidowi wydawało się, że go prowadzą, trzeba było się poruszać.

Doszedł do ściany, dotknął jej szorstkiego chłodu kolanem, potem piersią, dalej już nie było drogi, Sofia Osipowna stała przyciśnięta do ściany.

Przez kilka chwil patrzyli na napływających przez drzwi ludzi. Drzwi znajdowały się daleko, a gdzie - można było się tylko domyślić po wyjątkowo intensywnej białości ciał ściśniętych, stłoczonych przy wejściu, potem zaś już rozpraszających się w przestrzeni komory gazowej.

Dawid widział ludzkie twarze. Od rana, kiedy tylko rozładowano pociąg, widział tylko plecy, a teraz cały transport, wydawało się, szedł na niego twarzą. Niezwykła stała się nagle Sofia Osipowna - jej głos w płaskim betonowym pomieszczeniu brzmiał inaczej; wchodząc do komory, całkiem się zmieniła. Kiedy powiedziała: „Trzymaj się mnie mocno, mój chłopczyku”, poczuł, że boi się go puścić, żeby nie zostać sama. Ale nie udało się pozostać przy ścianie, oddzielili się od niej i zaczęli stąpać drobnymi kroczkami. Dawid poczuł, że posuwa się szybciej niż Sofia Osipowna. Jej ręka ścisnęła jego rękę, przyciągała go do siebie. Ale jakaś łagodna, stopniowo rosnąca siła odciągała Dawida, palce Sofii Osipowny zaczęły się rozluźniać...

Coraz gęstszy tłum wypełniał komorę, coraz wolniejsze stawały się ruchy, coraz krótsze ludzkie kroki. Nikt nie kierował już stłoczonymi w betonowym pudle. Niemcom było obojętne, czy ludzie w komorze gazowej stoją nieruchomo, czy też zataczają jakieś bezmyślne zygzaki, półkola. Nagi chłopczyk drobił teraz bezsensownie. Krzywa ruchu jego małego ciała przestała pokrywać się z krzywą ruchu dużego i ciężkiego ciała Sofii Osipowny, tak że w końcu się rozdzielili. Zamiast trzymać go za rękę, lepiej było, tak jak te dwie kobiety - matka i córka 563 kurczowo, z ponurym uporem miłości, przycisnąć się policzkiem do policzka, piersią do piersi, stać się jednym nierozłącznym ciałem.

Ludzi przybywało coraz więcej, a ruchy cząsteczkowe w miarę gęstnienia tłumy urągały prawu Avogadry. Kiedy chłopczyk zgubił rękę Sofii Osipowny, zaczął krzyżeć. Ale Sofia Osipowna od razu odsunęła się w przeszłość. Istniało tylko teraz. Usta ludzi oddychały obok siebie, ich ciała stykały się, ich myśli i uczucia zaczęły się łączyć, splatać.

Dawid dostał się w tę część masy ludzkiej, która odbiła się od ściany i zmierzała z powrotem do wejścia. Zobaczył troje złączonych ludzi: dwóch mężczyzn i staruszkę, ona broniła synów, a oni podtrzymywali matkę. Nagle nowy, całkiem odmienny ruch pojawił się koło Dawida. Hałas też był nowy, różniący się od monotonnego szmeru i mamrotania.

- Puśćcie mnie! - To przez masę ciał z pochyloną głową przebijał się człowiek o potężnych, naprężonych ramionach, grubej szyi. Chciał wyrwać się z hipnotycznego betonowego rytmu, jego ciało buntowało się niczym ciało ryby na kuchennym stole, ślepo, bezmyślnie. Wkrótce ucichł, zachłysnął się i zaczął przebierać nogami, robić to, co robili wszyscy.

Spowodował jednak chwilowe zakłócenie ruchu, które sprawiło, że Dawid znowu znalazł się obok Sofii Osipowny. Ona przycisnęła do siebie chłopczyka z tą siłą, którą odkryli i zmierzili pracownicy krematoriów w obozach zagłady - kiedy opróżniali komorę, nigdy nie starali się oddzielać ciał obejmujących się bliskich.

Od strony drzwi dolatywały krzyki; nowi, widząc zbitą masę ludzką, wypełniającą komorę, nie chcieli wchodzić do środka.

Dawid spostrzegł, że drzwi się zamknęły: stał, jak przyciągana magnesem, miękko, płynnie zbliżyła się do stali futryny, by się z nią połączyć, stać jednością.

Dawid widział, jak w górnej części ściany, za kwadratową metalową siatką, poruszyło się coś żywego; wydało mu się, że to szary szczur, ale po chwili zrozumiał - to zaczął się kręcić wentylator. Poczuli słaby słodkawy zapach.

Ucichł szmer kroków, z rzadka słyszało się niezrozumiałe słowa, jęki, krzyki. Mowa już ludziom nie służyła, działanie nie miało sensu zawsze skierowane jest przeciw w przyszłość, a w komorze gazowej nie było przyszłości. Chociaż Dawid odwrócił głowę, Sofia Osipowna nie chciała spojrzeć tam, gdzie on.

564 Jej oczy, które czytały Homera, gazetę „Izwestja”, Huckleberry Finna, Mayne Reida, Logikę Hegla, które widywały dobrych i złych ludzi, które widziały gęsi na zielonych łąkach pod Kurskiem, gwiazdy w obserwatorium pułkowskim, blask stali chirurgicznej, Giocondę w Luwrze, pomidory i rzepę na ladach targowych, niebieskie wody jeziora Issyk-kul, nie były jej teraz potrzebne. Gdyby ją w tej chwili ktoś oślepił, nie poczułaby straty.

Oddychała, ale oddech stał się ciężką pracą; wykonując ją, traciła siły. Chciała skupić się na ostatniej myśli przy ogłuszającym akompaniamencie dzwonów. Ale myśl się nie rodziła. Sofia Osipowna stała niema, nie zamykając niewidzących oczu.

Ruch dziecka przepętniał ją litością. Uczucie do chłopca było takie proste - nie potrzebowała słów ani oczu. Na wpół martwy chłopczyk oddychał, ale powietrze, które wciągał, nie przedłużało mu życia, tylko je odbierało. Odwracał głowę, ciągle jeszcze chciał patrzeć. Widział tych, którzy osuwają się na ziemię, widział cienką stróżkę krwi płynącą z nosa. Widział zaciekawione oczy, zaglądale do komory przez szybkę; oczy obserwatora, Rosego, na chwilę spotkały się z oczami Dawida.

Potrzebował też głosu, spytałby ciocię Sonię o te wilcze oczy. Myśli były mu potrzebne. Zrobił na tym świecie tylko kilka kroków, zobaczył ślady bosych dziecięcych stóp na rozgrzanej, zakurzonej ziemi, w Moskwie mieszkała jego mama, księżyc

patrzył z góry, a on widział go z dołu, w czajniku na kuchence kipiła woda; ten świat, w którym biegła bezgłowa kura, świat z żabkami, którym kazał tańczyć, trzymając je za przednie łapki, świat z porannym mlekiem - nadal go niepokoił.

Silne, gorące ręce obejmowały cały czas Dawida; chłopczyk nie wiedział, że zrobiło mu się ciemno w oczach, głucho, pusto w sercu, ślepo, mdło w mózgu. Został zabity, przestał istnieć.

Sofia Osipowna Lewinton poczuła, jak osłabło w jej rękach ciało chłopczyka. Znowu się rozdzielili. Wykrywacze trującego gazu w podziemnych wyrobiskach - ptaki i myszy - giną szybko, bo mają nieduże ciała, więc chłopczyk o maleńkim, ptasim ciele odszedł wcześniej niż ona.

„Zostałam matką” - pomyślała.

To była jej ostatnia myśl.

Jednakże w jej sercu tliło się jeszcze życie; to serce ścisnęło się, bolało, żałowało ludzi, żywych i martwych ludzi. Potem napłynęły mdłości; Sofia Osipowna przyciskała do siebie Dawida, kukłę, ale już nie żyła, sama była kukłą.

565 5° Człowiek umiera i przechodzi ze świata wolności do świata niewoli.

Życie to wolność i dlatego umieranie jest stopniową likwidacją wolności: pierwsza słabnie, a potem gaśnie, świadomość; procesy życiowe w organizmie z gasnącą świadomością jakiś czas jeszcze trwają - krążenie krwi, oddychanie, przemiana materii. Ale to nieodwołalny odwrót w stronę niewolnictwa - świadomość zgasła, zgasł płomień wolności.

Zbladły gwiazdy na niebie, zniknęła Mleczna Droga, zgasło słońce, zgasły planety Wenus, Mars, Jowisz - zamarły oceany, zamarły miliony liści i zamarł wiatr, kwiaty straciły barwę i zapach, zniknęło zboże, zniknęła woda, chłód i duszność powietrza. Wszechświat trwający w człowieku przestał istnieć. Ten wszechświat zdumiewająco przypominał tamten, istniejący niezależnie od ludzi. Zdumiewająco przypominał tamten, który nadal odbija się w milionach żywych głów.

Ale ten wszechświat zdumiewał szczególnie, było w nim bowiem coś takiego, co szum jego oceanu, zapach jego kwiatów, szmer listowia, odcienie jego granitów, smutek jego pól jesienią odróżniało od każdego z tych, które istniały i istnieją w ludziach, i od tamtego, który wiecznie istnieje poza ludźmi. Dzięki jego niepowtarzalności, jego wyjątkowości życie każdej duszy jest wolnością. Odbicie wszechświata w świadomości człowieka tworzy podstawę ludzkiej potęgi, ale szczęściem, wolnością, wyższym sensem staje się życie tylko wówczas, gdy człowiek istnieje jako świat, który w nieskończonym czasie nigdy przez nikogo nie zostanie powtórzony. Dopiero wtedy doświadcza szczęścia wolności i dobroci, gdy znajduje w innych to, co znalazł w samym sobie.

51 Po dziesięciu tygodniach obozu głodowego w strefie przyfrontowej kierowca Siemionow, który dostał się do niewoli razem z Mostowskim i Sofią Lewinton, został wysłany razem z dużą partią jeńców w stronę zachodniej granicy.

W przyfrontowym obozie nikt go nie bił pięścią ani kolbą karabinu, nikt go nie kopał.

566 W obozie panował głód.

Woda szemrze, pluszcze, wzdycha, szumi przy brzegach, ale potrafi też grzmieć, ryczeć, porywać kamienne bryły, unosić olbrzymie pnie jak słomki. Serce zamiera na widok ściśniętej ciasnymi brzegami rzeki, która potrząsa skałami, i wydaje się człowiekowi, że to nie woda, tylko ciężkie masy ołowiu, który ożył, wściekł się i zaczął miotać.

Głód, tak jak woda, nieodłącznie i naturalnie związany z życiem, potrafi nagle zmienić się w siłę wyniszczającą ciało, łamiącą i zniekształcającą duszę, likwidującą wielomilionowe rzesze ludzkie.

Brak paszy, gołoledzie i śniegi, susze stepowe i leśne, powodzie, zarazy morzą stada owiec i koni, zabijają wilki, ptaki śpiewające i lisy, dzikie pszczoły, wielbłądy, okonie, żmije. Ludzie doświadczający klęsk żywiołowych zniżają się do poziomu zwierząt.

Państwo jest w stanie nakazać życiu, by płynęło bardzo wąskim kanałem; wówczas życie zachowuje się jak ta rozszalała woda. Straszna siła głodu kaleczy, łamie, niszczy człowieka, plemię, naród.

Głód cząsteczka po cząsteczce wyciska białko i tłuszcz z komórek ciała, rozmiękcza kości, kręci w głowie, wysusza mięśnie, pożera tkankę nerwową, dręczy duszę, wypędza radość, wiarę, niszczy siłę myśli, rodzi bierność, obojętność, nikczemność, okrucieństwo i rozpacz.

Ludzki pierwiastek niekiedy całkowicie ginie w człowieku; głodna istota staje się zdolna do morderstwa, do ludożerstwa, do pożerania trupów.

Państwo zdolne jest zbudować tamę, żeby oddzielić pszenicę i żyto od tych, którzy je siali, i w ten sposób spowodować straszliwy głód, taki jak ten, który zabił miliony leningradczyków w czasie hitlerowskiej blokady, który zabił miliony jeńców za drutami hitlerowskich obozów.

Jedzenie! Pożywienie! Żywność! Prowiant! Żarcie! Żer! Strawa! Szamunek! Posiłek! Tłuszczowy, mięsny, dietetyczny, postny. Stół bogaty, suto zastawiony, wyrafinowany, prosty, wiejski! Pokarm. Karma.

Karma...

Obierzyny od kartofli, psy, żaby, ślimaki, zgniłe liście kapusty, sparciałe buraki, zdechłe konie, mięso kocie, mięso wron i węży, surowe przypalone ziarno, rzemienie, cholewy butów, klej, ziemia przesycona tłustymi pomyjami, wylanymi z oficerskiej kuchni - wszystko to bywa Pokarmem. To jest to, co przesącza się przez tamę.

Ten pokarm się zdobywa, dzieli, handluje się nim, kradnie go sobie nawzajem.

567 Jedenastego dnia drogi, kiedy pociąg stał na stacji Chutor Michajłowski, straż wyciągnęła nieprzytomnego Siemionowa z wagonu i przekazała go personelowi stacyjnemu.

Starszawy Niemiec, komendant, przez jakiś czas patrzył na półżywego żołnierza, posadzonego pod ścianą szopy przeciwpożarowej.

- Niech leżenie do wsi, w zamknięciu umrze do wieczora, a rozstrzelać go nie ma za co - zwrócił się komendant do tłumacza.

Siemionow powlókł się do wsi, położonej w pobliżu stacji.

Do pierwszej chaty go nie wpuszczono.

- Nema niczohojdy sobi - odpowiedział zza drzwi starczy głos.

Do drugiej pukał długo, nikt nie odpowiadał. Albo chata była pusta, na głucho zamknięta od wewnątrz.

W trzeciej drzwi były wpółotwarte, zajrzał do sieni, nikt się nie odezwał, więc wszedł do izby.

Owionął go ciepły zapach, w głowie mu się zakręciło. Usiadł na ławce przy drzwiach.

Ciężko i szybko oddychał, oglądając białe ściany, ikony, stół, piec. Po zagrodach w obozie wszystko to budziło jego zdumienie.

W oknie mignął cień, do chałupy weszła kobieta, zobaczyła Siemionowa i krzyknęła: - Wy eto? Nic nie odpowiedział. Było widać, kim jest.

Tego dnia nie bezlitosna siła potężnych państw, ale człowiek, stara Chrystia Czuniak, decydowała o jego życiu i losie.

Słońce spoglądało zza szarych obłoków na wojenną ziemię, a wiatr ten sam, który wiał nad okopami i ziemiankami, nad drutami obozowymi, nad trybunałami i wydziałami specjalnymi - wył pod okienkiem chałupy.

Kobieta podała Siemionowowi kubek mleka, a on, chciwie i z trudem je przełykając, zaczął pić.

Wypił mleko i zaraz go zemdlilo. Wymiotował, łyzy mu ciekły, potem z wyciem wciągał w siebie powietrze, jakby miał za chwilę umrzeć, i znowu wymiotował.

Starał się powstrzymać torsje, a w głowie miał tylko jedną myśl: że gospodyni go wyrzuci, takiego ohydneho i brudnego.

Patrzył rozgorączkowanymi oczami, jak przynosi szmatę i wyciera podłogę.

568 Chciał jej powiedzieć, że sam wszystko sprzątnie, wymyje, byle go nie wypędzała. Ale tylko mamrotał, pokazywał coś drżącymi palcami.

Czas mijał. Stara to wchodziła do chałupy, to wychodziła. Nie wypędzała Siemionowa. Może poprosiła sąsiadkę, żeby ta sprowadziła niemiecki patrol, wezwała policjanta? Gospodyni nastawiła sagan z wodą. Zrobiło się gorąco, gdy zaczęły się unosić kłęby pary. Twarz starej wydawała się zachmurzona, nieprzyjazna.

„Wypędzi mnie i zrobi potem dezynfekcję” - pomyślał Siemionow.

Kobieta wyciągnęła ze skrzyni bieliznę, spodnie. Pomogła żołnierzowi się rozebrać, zwinęła jego łachy w węzełek. Poczł zapach własnego brudnego ciała, kalesonów przesiąkniętych moczem i krwawymi ekskrementami.

Kobieta pomogła Siemionowowi usiąść w korycie. Jego pokąsane przez wszy ciało poczuło dotknięcie jej szorstkich, silnych dłoni, po ramionach i piersi popłynęła ciepła mydlana woda. Nagle się zachłysnął, zadygotał, zaczęło nim trząść; piszcząc, łykając sople z nosa, zaczął wołać: „Mamo, mamusiu... mamusiu!” Kobieta wycierała szarym płóciennym ręcznikiem jego załzawione oczy, włosy, ramiona. Chwyciła Siemionowa pod pachy, posadziła go na ławie. Nachyliwszy się, osuszała jego nogi-

patyki, po czym wciągnęła na niego koszulę i kalesony, zapięła białe, obszyte płótnem guziki.

Wylała ohydną, czarną wodę do wiadra i wyniosła.

Rozścieliła na piecu barani kozuch, nakryła go pasiastą płachtą, zdjęła z łóżka wielką poduchę i położyła u wezłowia.

Potem uniosła Siemionowa lekko jak kurczaka i pomogła mu wleźć na piec.

Siemionow leżał półprzytomny. Jego ciało czuło niesamowitą zmianę - bezlitosny świat przestał widzieć w nim udręczone bydło, już nie chciał go zniszczyć.

Ani w obozie jednak, ani w pociągu nie doświadczał takich cierpień jak teraz - nogi ciągnęły, palce bolały, łamało go w kościach, było mu niedobrze, głowa wypełniała się wilgotną, czarną kaszą, po czym nagle robiła lekka i pusta, zaczynało się w niej kręcić, w oczach go kłuło, miał czkawkę, swędziały go powieki. A chwilami serce bolało, zamierało, wnętrzności wypełniały się dymem, i wydawało się, że to śmierć nadchodzi.

569 Minęły cztery dni. Siemionow zszedł z pieca, zaczął chodzić po izbie. Zdumiewało go, że świat jest pełen jedzenia. W obozowym życiu nie było nic poza zgniłymi burakami. Wydawało się, że na świecie istnieje tylko mętna bełtucha - obozowa zupa, ciecz cuchnąca zgnilizną.

A teraz widział kaszę jaglaną, kartofle, kapustę, słoninę, słyszał krzyk koguta.

Jak dziecko fantazjował, że na świecie są dwaj czarodzieje - dobry i zły, i ciągle bał się, że zły czarodziej zwycięży dobrego, syty, przyjazny świat zniknie, a on znowu będzie międlil w zębach kawał swojego wojskowego pasa.

Ciekawił go ręczny młyn, który, niestety, działał kiepsko - Siemionowowi pot spływał z czoła strumieniami, kiedy udało się wreszcie zemleć parę garści szarej, wilgotnej mąki.

Siemionow wyczyścił pilnikiem i skórką przekładnię, dokręcił sworzeń łączący mechanizm z płaskimi kamieniami, które służyły jako żarna. Jak przystało na zmyślnego moskiewskiego mechanika, poprawił marną robotę wiejskiego majsterklepki, zrobił, co trzeba, ale młyn pracował teraz jeszcze gorzej.

Siemionow leżał na piecu i myślał, jak lepiej mleć pszenicę.

Rankiem znowu rozebrał młyn; użył teraz kół i części starego zegara ściennego.

- Ciociu Chrystio, popatrzcie - rzekł z dumą i pokazał, jak chodzi sporządzona przez niego podwójna przekładnia zębata.

Prawie ze sobą nie rozmawiali. Ona nie opowiadała mu o mężu, który umarł w roku 1930, o synach, którzy przepadli bez wieści; o córce, która wyjechała do Pryłuk i zapomniała o matce.

Nie pytała go, jak dostał się do niewoli, skąd pochodzi, czy jest z miasta, czy ze wsi. Bał się wychodzić na dwór; zanim wyszedł, długo wypatrywał przez okno i zawsze śpieszył się z powrotem do domu.

Przerażało go każde głośnie trzaśnięcie drzwiami czy kubek, który spadł - Siemionow miał wtedy wrażenie, że dobre się skończyło, skończyła się siła starej

Chrystii Czuniak.

Kiedy przychodziła sąsiadka, Siemionow włąził na piec i leżał, starając się nie sapać, nie kichać. Ale sąsiedzi zagląдали rzadko.

Niemców we wsi nie było; kwaterowali w osiedlu kolejarskim koło stacji.

570 Myśl, że mieszka sobie w ciepłe i spokoju, gdy wokoło toczy się wojna, nie wywoływała u Siemionowa wyrzutów sumienia; bardzo się bał, że znowu pochłonie go świat obozów i głodu.

Rano, kiedy się budził, bał się otworzyć oczy, wydawało mu się, że przez noc czar zniknął i zobaczy znów drut kolczasty, strażników, usłyszy brzęk pustego kociołka.

Leżał z zamkniętymi oczami, nasłuchiwał, czy aby Chrystia nie zniknęła.

Mało myślał o niedawnym czasie, nie wspominał komisarza Krymowa, Stalingradu, niemieckiego obozu, pociągu. Ale każdej nocy krzyczał przez sen i płakał.

Kiedys nocą zlażł z pieca, przeszedł na czworakach przez izbę, wcisnął się pod drewniane łóżko i przespał tam do rana. A rano nie mógł sobie przypomnieć, co mu się przyśniło.

Kilka razy widział, jak wiejską ulicą przejeżdżały ciężarówki z kartoflami, workami ziarna; kiedys zobaczył samochód osobowy marki Opel Kapitan. Silnik pracował równomiernie, koła nie buksowały w wiejskim błocie.

Serce w nim zamierało, kiedy wyobrażał sobie, że za chwilę usłyszy w sieni chrapliwe głosy i do środka wpadnie niemiecki patrol.

Pytał ciocię Chrystię o Niemców.

Odpowiadała mu: - A są i nezie Nimcy. Jak front prochodył, u mene w chati dwa stojały, jeden student, drugi - artysta. Zawsze z dziećmi się bawili. A potem był szofer, win z soboju kota wozył. Jak pojide i wróci - kot zaraz do niego, a winjomu słoniny, masła. Mówił, że od samej granicy z kotem jichał. Sidyt' za stołem i trzyma kota na rękach. I dla mnie win buw duże dobryj, przywiózł mi drwa, druhym razem miszok mąki daw. A są taky Nimcy, którzy dzieci ubywajut', sąsiadowi dida ubyli, za ludej nas ne majut', w chati paskudzą, chodzą goli pered żinkamy. Mamy też na wsi naszych policajów - znęcają się nad ludźmi.

- U nas takich bestii nie ma jak u Niemców - powiedział Siemionow i zapytał: - A nie boicie się, ciociu Chrystio, że ja u was mieszkam? Pokręciła głową i powiedziała, że we wsi jest sporo uwolnionych jeńców. Co prawda, są to Ukraińcy, którzy powrócili do rodzinnych wsi.

Ale ona może przecież powiedzieć, że Siemionow to jej siostrzeniec, syn tej siostry, co to wyjechała z mężem do Rosji.

571 Siemionow już znał twarze sąsiadów, znał staruszkę, która go pierwszego dnia nie wpuściła. Wiedział, że wieczorem dziewczyny idą do kina na stację, że w soboty na stacji hraje orkiestra i są tańce. Bardzo go interesowało, jakie filmy Niemcy pokazują w kinie. Ale do cioci Chrystii wstępowali tylko starcy, którzy do kina nie chodzili. I nie było kogo zapytać.



Sąsiadka przyniosła list od córki, która wyjechała, zwerbowana do Niemiec. Siemionow nie rozumiał niektórych miejsc w liście, więc mu wyjaśniono. Dziewczyna pisała: „Iwanko i Hryć przylecieli szklić okna”. Iwanko i Hryć służyli w lotnictwie. A to oznaczało radziecki nalot na niemieckie miasto.

W innym miejscu można było przeczytać: „Padał taki deszcz jak w Bachmaczu”. To też znaczyło, że był nalot, bo na początku wojny stacja Bachmacz była mocno bombardowana.

Tego wieczoru do Chrystii przyszedł chudy staruszek. Obejrzał Siemionowa i powiedział czystą ruszczyzną: - A skąd ty jesteś, bohaterze? - Z niewoli - odrzekł Siemionow.

Stary powiedział: - My wszyscy w niewoli.

Staruszek służył w wojsku za cara Mikołaja, był artylerzystą i zadziwiająco dokładnie zaczął odtwarzać przed Siemionowem komendy artyleryjskie. Podawał je ochryple po rosyjsku, chociaż z ukraińskim akcentem, a potwierdzenie wykonania meldował donośnym, młodym jeszcze głosem. Widocznie pamiętał sprzed wielu lat intonację głosów swojego i dowódcy.

Potem zaczął przeklinać Niemców.

Z początku, mówił do Siemionowa, ludzie mieli nadzieję, że Niemcy zlikwidują kołchozy, a Niemcy, jak się okazało, uznali, że kołchozy dla nich też są dobre. Wprowadzili jednostki; pięć chat, dziesięć, i te same ogniwa i brygady, co były. Ciocia Chrystia pożałowała się przeciągłym, smętnym głosem: - Oj, kołchozy, kołchozy! Siemionow powiedział: - Cóż, kołchozy, wiadoma rzecz: wszędzie u nas są kołchozy.

Stara go zganiała: - Ty molczy. Pamiętasz, jak pryjszoł do mene z pociągu? Ot, tak wsią Ukrajina siedziała w pociągach w trydziatom rod. Pokrzywę całą ludzie 572 zjedli, jedliśmy ziemię... Chlib do ostatniego ziarna nam zabrali. Mój czołowik umarł, a jak się męczył! Ja całą opuchłam, głos straciłam, chodzić nie mogłam.

Siemionow zdumiał się, że stara Chrystia głodowała tak jak on. Ciągłe wydawało mu się, że głód i śmierć są bezsilne wobec gospodyni tej dobrej chaty.

- To możecie byli kułakami? - Tajaky tam kułaky] Cały naród umirai, gorzej jak na wojnie.

- A ty jesteś ze wsi? - spytał stary.

- Nie - odpowiedział Siemionow. - Urodziłem się w Moskwie i ojciec też był z Moskwy.

- No właśnie - rzekł stary z wyższością - jakbyś tu był za kolektywizacji, tobyś przepadł, każdy miastowy od razu by przepadł. Dlaczego ja przeżyłem? Bo przyrodę wyrozumiem. Myślisz pewnie: żołądzie jadłem, liście lipy, pokrzywy, lebiode? Gdzie tam, od razu je wyjedli do czysta. Ale znam pięćdziesiąt sześć roślin, które człowiek może jeść. Dlatego żyję. Ledwie przyszła wiosna, jeszcze nie ma ani jednego listka, a ja w ziemi już kopię korzonki. Ja wszystko, bracie, znam: korzonki wszystkie, i korę, i kwiatki, i każdą trawę wyrozumiem. Krowa, owca, koń - z głodu toto padnie, a ja przeżyję, jestem trawożerny bardziej niż one.

- Z Moskwy? - powoli powtórzyła Chrystia, chcąc się upewnić. - A ja ne znała,

szczo ty moskowskýj.

Sąsiad poszedł. Siemionów położył się spać, a kobieta siedziała, podparwszy policzki dłońmi, i patrzyła przez okno w mrok nocy.

Dobry był urodzaj tamtego roku. Pszenica stała gęstą ścianą, jej Wasylowi sięgała do ramion, a Chrystię zakrywała z głową.

Nad wsią unosił się cichy, przeciągły jęk, dzieci, żywe szkielety, pełzały po podłodze, jęczały ledwie dosłyszalnie; chłopci z obrzmiałymi nogami błakali się po podwórzach, umęczeni głodową zadyszka.

Kobiety szukały czegoś, co mogłyby ugotować, ale wszystko było zjedzone, ugotowane - pokrzywa, żółędzie, liście lipowe, kopyta, kości, rogi, walające się w obejściu niewyprawione skóry baranie...

A chłopcy, którzy przyjechali z miasta, chodzili po podwórzach, omijając martwych i na wpół martwych ludzi, otwierali piwnice, kopali doły w szopach, wbijali metalowe pręty w ziemię, szukali kułackiego ziarna.

573 41 W duszny letni dzień Wasyl Czuniak ucichł, przestał oddychać. W tej samej godzinie do chałupy znowu weszli miastowi i niebieskooki mężczyzna, który mówił po kacapsku całkiem tak jak Siemionow, rzekł, podchodząc do zmarłego: - Uparło się kułackie nasienie, nie szkoda mu życia.

Chrystia westchnęła, przeżegnała się i zaczęła ścielić łóżko.

52 Sztrum sądził, że jego pracę doceni jedynie wąski krąg fizyków teoretyków. Okazało się, że nie. Ostatnio dzwonili do niego nie tylko znajomi fizycy, ale także matematycy i chemicy. Niektórzy prosili go o wyjaśnienia, bo w swoich wywodach używał skomplikowanego aparatu matematycznego.

W instytucie odwiedzili go delegaci ze studenckiego koła naukowego, prosili o wykład dla studentów fizyki i matematyki starszych lat. Dwukrotnie wygłosił odczyt w Akademii Nauk. Markow i Sawostjanow opowiadali mu, że w wielu zakładach instytutu dyskutuje się o jego pracy.

Ludmiła Nikołajewna słyszała w sklepie przydziałowym, jak żona pewnego naukowca spytała drugą: „Pani za kim stoi?” Ta odparła: „Za żoną Sztruma”. A pytająca upewniła się: „Tego Sztruma?” Wiktor Pawłowicz nie dawał po sobie poznać, że niespodziewanie szerokie zainteresowanie jego pracą go cieszy. Nie był niewrażliwy na rozgłos. Na radzie naukowej instytutu jego pracę wysunięto do Nagrody Stalinowskiej. Sztrum nie wybrał się na to posiedzenie, ale wieczorem ciągle popatrywał na telefon, czy ktoś nie zadzwoni. Pierwszy po radzie zadzwonił Sawostjanow.

Zazwyczaj kpiarski, wręcz cyniczny, teraz mówił całkiem serio.

- To triumf, prawdziwy triumf! - powtarzał.

Opowiedział o wystąpieniu akademika Prasołowa. Stary mówił, że od czasów jego zmarłego przyjaciela Lebediewa, który prowadził badania nad ciśnieniem światła, w murach Instytutu Fizyki nie powstała praca o takim znaczeniu.

Profesor Swieczin mówił o metodzie matematycznej Sztruma, dowodził, że w samej metodzie są elementy nowatorskie. Podkreślił, że 574 tylko ludzie radzieccy

potrafią w warunkach wojennych tak ofiarnie pracować w służbie narodu.

Głos zabierało jeszcze wielu, między innymi Markow, ale najlepszą i najwyrazistszą mowę wygłosił Guriewicz.

- Bravo! - rzekł Sawostjanow. - Powiedział to, co należało powiedzieć, mówił bez tłumika. Określił pańską pracę jako „klasyczną” i oświadczył, że może stać w jednym rzędzie z pracami twórców fizyki atomowej Plancka, Bohra, Fermiego.

„Mocno powiedziane” - pomyślał Sztrum.

Wkrótce po Sawostjanowie zadzwonił Sokołow.

- Nie można się do pana dodzwonić, próbuję od dwudziestu minut i ciągle zajęte - poskarżył się.

Sztrum odparł: - Zapomniałem spytać Sawostjanowa o głosowanie.

Sokołow wyjaśnił, że przeciwko głosował profesor Gawronow, zajmujący się historią fizyki - według niego, praca Sztruma jest nienaukowa, wypływa z idealistycznych poglądów fizyków zachodnich i nie przynosi korzyści praktycznych.

- To nawet dobrze, że Gawronow jest przeciw - powiedział Sztrum.

- Pewnie tak - zgodził się Sokołow.

Gawronow był dziwakiem, w żartach mówiono o nim „bracia Słowianie”, z fanatycznym bowiem uporem dowodził, że wszystkie osiągnięcia fizyki związane są z pracami uczonych rosyjskich; Pietrowa, Umowa i Jakowlewa, o których mało kto słyszał, cenił wyżej niż Faradaya, Maxwella czy Einsteina.

Sokołow dodał żartobliwie: - Widzi pan, Wiktorze Pawłowiczu, że Moskwa uznała znaczenie pańskiej pracy. Wkrótce będziemy u pana biesiadować.

Słuchawkę przejęła Maria Iwanowna i powiedziała: - Gratuluję, proszę też złożyć gratulacje Ludmile Nikołajewnie, tak się cieszę za pana i za nią.

Sztrum odrzekł tylko: - Marność nad marnościami...

W nocy, kiedy Ludmiła Nikołaj ewna już zamierzała położyć się spać, zadzwonił Markow. Był to wytrawny znawca oficjalnej koniunktury i inaczej niż Sawostjanow i Sokołow zrelacjonował przebieg posiedzenia.

575 Mówił, że po wystąpieniu Guriewicza Kowczenko powiedział, wywołując ogólny śmiech: - W Instytucie Matematyki biją dzwony dla uczczenia pracy Wiktora Pawłowicza. Co prawda, procesji jeszcze nie było, ale chorągwie już podnieśli.

Podejrzliwy Markow wyczuł niezyczliwość w żarcie Kowczenki.

Reszta jego spostrzeżeń dotyczyła Szyszakowa. Aleksiej Aleksiejewicz nie wypowiedział swojej opinii o pracy. Słuchając mówców, kiwał głową, nie wiadomo, czy z aprobatą, czy też w sensie: „Ty se mów, a ja zdrow”.

Szyszakow zabiegał o wysunięcie do nagrody pracy młodego profesora Mołokanowa; była ona poświęcona rentgenowskiej analizie stali i miała tylko wąskie, praktyczne znaczenie dla kilku fabryk, produkujących metal wysokiej jakości.

Markow powiedział jeszcze, że po naradzie Szyszakow podszedł do Gawronowa i rozmawiał z nim.

Sztrum rzekł: - Pan, Wiaczesławie Iwanowiczu, powinien pracować w dyplomacji.

Markow, nieznający się na żartach, odpowiedział: - Nie, jestem fizykiem doświadczalnikiem.

Sztrum wszedł do pokoju Ludmiły i powiadomił ją: - Wysunięto mnie do Nagrody Stalinowskiej. Słyszę na swój temat wiele miłych słów.

Opowiedział jej, co mówiono na radzie.

- Wszystkie te oficjalne sukcesy to głupstwo. Ale muszę powiedzieć, że znudził mi się ten wieczny kompleks niższości. Wchodzę do sali posiedzeń i nie śmiem usiąść, idę do osłej ławki, chociaż pierwszy rząd jest wolny. A Szyszakow czy Postojew bez wahania zasiadają w prezydium. Gwiżdżę na ten fotel, ale wewnątrz, wewnątrz chciałbym przynajmniej czuć, że mam do niego prawo.

- Jakżeby się Tola cieszył - westchnęła Ludmiła Nikołajewna.

- Tak, mamie też już o tym nie napiszę.

Ludmiła Nikołajewna zaniepokoiła się: - Witia, jest już dwunasta, a Nadi nie ma. Wczoraj wróciła o jedenastej.

- No i co w tym złego? 576 - Mówi, że jest u koleżanki, ale martwię się. Twierdzi, że ojciec Majki ma nocną przepustkę i podwozi ją samochodem do rogu naszej ulicy.

- O co więc się niepokoisz? - zdziwił się Wiktor Pawłowicz i pomyślał: „Boże, ja tu mówię o wielkim sukcesie, o Nagrodzie Stalinowskiej; jak można przerywać taką rozmowę jakimiś błahostkami!” Umiłkł i westchnął krótko.

Na trzeci dzień po posiedzeniu rady naukowej Sztrum zadzwonił prywatnie do Szyszakowa w sprawie przyjęcia do pracy młodego fizyka Landesmana. Dyrekcja i dział kadr ciągle odwlekały sprawę. Równocześnie chciał prosić Aleksieja Aleksiejewicza o przyśpieszenie przyjazdu z Kazania Anny Naumowny Weisspapier. Teraz, kiedy robiono nowy nabór do instytutu, nie było sensu zostawiać wykwalifikowanych pracowników w Kazaniu.

Dawno już chciał o tym wszystkim porozmawiać z Szyszakowem, ale obawiał się, że Szyszakow potraktuje go nie dość uprzejmie, powie na przykład: „Proszę się zwrócić do mojego zastępcy”. Dlatego ciągle odkładał tę rozmowę.

Teraz fala powodzenia dodała mu odwagi. Dziesięć dni temu krępował się iść na audiencję do Szyszakowa, a dzisiaj uważał za rzecz zwykłą i naturalną, że dzwoni do niego do domu.

Kobiety głos odezwał się: - Kto mówi? Sztrum przedstawił się. Przyjemnie mu było słyszeć swój głos, więc niespiesznie, wyraźnie podał swoje nazwisko.

Kobieta przy telefonie na chwilę zamilkła, po czym uprzejmie powiedziała: „Proszę chwileczkę poczekać”, a po chwili tak samo uprzejmie powiedziała: - Proszę, niech pan zadzwoni jutro o dziesiątej do instytutu.

- Przepraszam bardzo - odrzekł Sztrum.

Całym ciałem, całą powierzchnią skóry czuł, jak jest zmieszany.

Smętnie się domyślał, że nawet nocą, podczas snu, to uczucie go nie opuści, że rano, kiedy się obudzi, pomyśli: „Dlaczego jest mi przykro?”, i przypomni sobie: „Ach, prawda, ten idiotyczny telefon”.

Wszedł do pokoju żony i opowiedział o nieodbytej rozmowie z Szyszakowem.

- Tak, tak. As, tylko nie do koloru, jak mówi o mnie twoja mama.

Zaczął się wściekać na kobietę, która podniosła słuchawkę.

577 - Co za wredna baba; nie znoszę, jak ktoś pyta najpierw o nazwisko, a potem odpowiada: „Jaśnie pan zajęty”.

Ludmiła Nikołaj ewna w podobnych wypadkach zazwyczaj się oburzała, chciał więc się dowiedzieć, co teraz powie.

- Pamiętasz - dodał - jak mówiłem, że obojętność Szyszakowa wynika z tego, że nie może na mojej pracy zbić kapitału. A teraz wydaje mi się, że kapitał może zbić, ale inaczej - dyskredytując mnie. Przecież wie, że jest tak jak w operze: Sadko mnie nie kocha.

- Boże, jakiś ty podejrzliwy! Która godzina? - Kwadrans po dziewiątej.

- Widzisz, a Nadi jeszcze nie ma.

- Boże - powiedział Sztrum - jakaś ty podejrzliwa! - A tak przy okazji - rzekła Ludmiła Nikołajewna - wiesz, co dzisiaj słyszałam w sklepie przydziałowym? Okazuje się, że Swieczina też wysuwają do nagrody.

- Tak, a słyszałaś za co? Bo nic mi nie mówił.

- Chyba za teorię rozproszenia.

- Nie rozumiem. Przecież publikował to przed wojną.

- I co z tego? Za dawniejsze rzeczy też dają. On dostanie, a ty nie, zobaczysz. Robisz wszystko, żeby tak było.

- Głuptas z ciebie, Luda. Sadko mnie nie kocha! - Brakuje ci mamy. Ona ci zawsze przytakiwała.

- Nie rozumiem twojej irytacji. Gdybyś w swoim czasie przynajmniej traktowała ją tak życzliwie, jak ja Aleksandrę Władimirownę.

- Anna Siemionowna nigdy nie lubiła Toli - odparła Ludmiła Nikołajewna.

- Nieprawda, nieprawda - zaprotestował Sztrum. Żona wydała mu się obca; odpychała go ta jej uparta niesprawiedliwość.

53 Rano w instytucie Sztrum usłyszał od Sokołowa nowinę. Poprzedniego dnia wieczorem Szyszakow zaprosił do siebie kilku pracowników.

Kowczenko przyjechał samochodem po Sokołowa.

Wśród zaproszonych był kierownik Wydziału Nauki KC, młody Badjin.

578 Sztrumowi zrobiło się głupio - oczywiście, zadzwonił wtedy, kiedy schodzili się goście.

Zapytał Sokołowa z uśmiechem: - Wśród zaproszonych był hrabia Saint-

Germain, o czym panowie rozmawiali? Przypomniał sobie, jak dzwoniąc do Szyszakowa, przedstawił się aksamitnym głosem, przekonany, że Aleksiej Aleksiejewicz, słysząc nazwisko „Sztrum”, z radością rzuci się do telefonu. Aż jęknął na to wspomnienie; pomyślał, że tak żałośnie skomli pies, kiedy na próżno usiłuje się pozbyć jakiejś wyjątkowo dokuczliwej pchły.

- Nawiasem mówiąc - dodał Sokołow - nie było to wcale przyjęcie wojenne. Kawa, wytrawne gurdzaani. I gości było niewielu, dziesięć osób.

- Dziwne - rzekł tylko Sztrum, a Sokołow zrozumiał, do czego odnosiło się to wypowiedziane w zadumie „dziwne”, i takim samym, pełnym zadumy głosem potwierdził: - Tak, nie całkiem rozumiem, a prawdę mówiąc, wcale nie rozumiem.

- Natan Samsonowicz był? - spytał Sztrum.

- Guriewicza nie było, zdaje się, że do niego dzwonili, ale miał zajęcia z doktorantami.

- Tak, tak, tak... - Sztrum zaczął bębnić palcem w biurko. Potem niespodziewanie dla siebie samego spytał: - A nic, Piotrze Ławrientjewiczu, nie mówiono o mojej pracy? Sokołow zmieszał się.

- Mam wrażenie, Wiktorze Pawłowiczu, że pańscy wielbiciel i chwalczy wyrządzają panu niedźwiedzią przysługę. Szefostwo się irytuje.

- Niechże pan powie! O co chodzi? Sokołow przekazał Sztrumowi, co mówił o jego pracy Gawronow: że jest sprzeczna z poglądami Lenina na temat natury materii.

- No? - nalegał Sztrum. - I co dalej? - Tak, rozumie pan, Gawronow to głupstwo, gorzej, że Badjin go poparł. Coś w tym rodzaju, że mimo całego pańskiego talentu praca jest sprzeczna z uchwałami podjętymi na owej znanej naradzie.

Obejrzał się na drzwi, potem na telefon, i powiedział półgłosem: - Wie pan, zastanawiałem się, czy aby w ramach walki o partyjność nauki nasi szefowie instytutu nie wybrali pana na kozła ofiarnego.

579 Wie pan, jak się u nas robi takie kampanie. Wybierają ofiarę i walą w nią jak w bęben. To by było straszne. Przecież praca jest znakomita, wyjątkowa! - I co, nikt nie protestował? - Chyba nie.

- A pan, Piotrze Ławrientjewiczu? - Uważałem, że nie ma sensu wszczynać sporu. Nie warto wdawać się w dyskusje z demagogami.

Czując zmieszanie przyjaciela, Sztrum sam się zmieszał i powiedział: - Tak, tak, oczywiście. Ma pan rację.

Milczeli, ale było to ciężkie milczenie. Sztruma owionął lekki chłód strachu, tego, co zawsze po cichu krył się w jego sercu, strachu przed gniewem państwa, strachu, by nie zostać ofiarą tego gniewu, który ściera człowieka na proch.

- Tak, tak, tak - powtórzył zamyślony. - Nie o nagrodach myśleć, tylko jak głowę cało unieść.

- Bardzo chciałbym, żeby pan to zrozumiał - odrzekł półgłosem Sokołow.

- Piotrze Ławrientjewiczu - też półgłosem spytał Sztrum - jak tam Madjarow, w porządku? Pisz do pana? Czasem bardzo się niepokoję, sam nie wiem czemu.

Tą niemal szeptaną rozmową jak gdyby wyrazili to, że ludzie mają swoje ludzkie, odrębne, niezależne od państwa kontakty.

Sokołow spokojnie, z naciskiem wymawiając każde słowo, odpowiedział: - Nie, z Kazania nic nie dostałem.

Jego spokojny, donośny głos zdawał się informować, że te ludzkie, odrębne, oddzielone od państwa kontakty są im teraz niepotrzebne.

Do gabinetu weszli Markow i Sawostjanow, po czym zaczęła się zupełnie inna rozmowa. Markow zaczął krytykować żony, które niszczą mężom życie.

- Każdy ma taką żonę, na jaką zasługuje - podsumował Sokołow, popatrzył na zegarek i wyszedł z pokoju.

Sawostjanow ze śmiechem rzucił za wychodzącym: - Kiedy w trolejbusie jest jedno wolne miejsce, Maria Iwanowna stoi, a Piotr Ławrientjewicz siedzi. Kiedy nocą ktoś zadzwoni do drzwi, to 580 on nie wstanie z łóżka, tylko Maszeńka biegnie w szlafroku i pyta, kto tam. Wiadomo: żona najlepszym przyjacielem człowieka.

- Ja nie jestem takim szczęśliwcem - przyznał się Markow. - Do mnie się mówi: „No co, głuchy jesteś, idź otworzyć”.

Sztrum, nagle zirytowany, powiedział: - No, co też pan, gdzie nam... Piotr Ławrientjewicz to luminarz, pan i władca! - A pan co tak narzeka, Wiaczesławie Iwanowiczu? - spytał Sawostjanow - Przecież teraz dniem i nocą siedzi pan w pracy, jest pan poza zasięgiem.

- A myśli pan, że za to mi się nie dostaje? - odparł Markow.

- No jasne - rzekł Sawostjanow i oblizał się, zachwycony swoim nowym dowcipem. - Siedź w domu! Jak to mówią: „Mój dom jest moją twierdzą”... Pietropawłowską! Markow i Sztrum roześmiali się, ale Markow, widocznie w obawie, że beztraska rozmowa może się przedłużyć, wstał i nakazał sobie na głos: - Do roboty, Wiaczesławie Iwanowiczu.

Kiedy wyszedł, Sztrum powiedział: - Zawsze taki powściągliwy, chodzi tak dostojnie, a teraz - jak pijany.

Naprawdę dniem i nocą przesiaduje w laboratorium.

- Tak, tak - potwierdził Sawostjanow. - Jak ptak, który wije gniazdo.

Pograżył się w pracy po uszy! Sztrum uśmiechnął się.

- Nawet nie docierają do niego wieści ze świata, przestał je przekazywać. Tak, tak, podoba mi się - jak ptak, który wije gniazdo.

Sawostjanow gwałtownie obrócił się do Sztruma.

- Właśnie, wieści ze świata - powtórzył. - Muszę powiedzieć, Wiktorze Pawłowiczu, że wczorajszy konwentykiel u Szyszakowa, na który pana nie zaproszono, to wie pan, coś niesłychanego, oburzającego po prostu...

Sztrum skrzywił się; takie współczucie wydało mu się poniżające.

- E, niech pan da spokój - uciął ostro.

- Wiktorze Pawłowiczu - odparł Sawostjanow. - Na to, że Szyszakow pana nie

zaprosił, można pewnie machnąć ręką. Ale słyszał pan chyba od Piotra Ławrientjewicza, jakie ohydne rzeczy wygadywał Gawronow? Że w pańskiej pracy panuje duch judaizmu i że Guriewicz tak 581 ją chwalił i nazwał klasyczną tylko dlatego, że jest pan Żydem. To już trzeba być całkiem bezczelnym! I na coś tak obrzydliwego kierownictwo instytutu nic nie odpowiada, reaguje tylko uśmieszkami. Ma pan „brata Słowianina”.

W czasie przerwy obiadowej Sztrum nie poszedł do stołówki, chodził po gabinecie z kąta w kąt. Czy mógł się spodziewać, że tyle świństwa kryje się w ludziach? Za to Sawostjanow jest w porządku! A wydawało się, że to lekkoduch, wiecznie tylko dowcipkujący i pokazujący zdjęcia panien w kostiumach kąpielowych. W sumie wszystko to głupstwa. Na gadaninę Gawronowa szkoda słów; to psychopata, mały zawistnik. Nikt nie protestował, bo zbyt głupie i śmieszne było to, co mówił.

A jednak te głupstwa, te drobiazgi denerwowały Sztruma, męczyły.

Jakże Szyszakow mógł go nie zaprosić? Rzeczywiście, to idiotyczne, chamskie. Co jednak najbardziej poniżające, ów brak zaproszenia bolał Sztruma tak, jakby dotknęło go prawdziwe nieszczęście, choć sam Szyszakow ze swoimi nędznymi wieczorynkami był mu absolutnie obojętny! Wiadomo, nie ma sensu tego przeżywać, ale nic na to nie poradzi, tak się czuje. A jeszcze chciał dostać o jedno jajeczko więcej niż Sokołow. I proszę! Jedna sprawa wszakże naprawdę go dotknęła. Miał ochotę powiedzieć Sokołowowi: „Przyjacielu, jak panu nie wstyd?! Jak pan mógł ukrywać przede mną, że Gawronow obrzucił mnie błotem? Piotrze Ławrientjewczu, milczał pan i tam, i przy mnie. Powinien pan się wstydzić!” Chociaż był wzburzony, od razu powiedział sobie: „Ale przecież i ty milczysz. Przecież nie powiedziałaś przyjacielowi, o co Karimow podejrzewa jego krewnego Madjarowa. Przemilczałaś to! Bo czułaś się niezręcznie? Bo chciałaś być delikatny? Kłamiesz! To wszystko «dla bojaźni żydowskiej»!” Widocznie los tak zrządził, że cały ten dzień był ciężki.

Do gabinetu weszła Anna Stiepanowna, więc Sztrum, popatrzawszy na jej wzburzoną twarz, zapytał: - Kochana Anno Stiepanowno, co się stało? - i pomyślał: „Czyżby słyszała o moich przykrościach?” - Wiktorze Pawłowiczu, co się dzieje? Wszystko za moimi plecami, czyżbym sobie zasłużyła na coś takiego? Annę Stiepanownę poproszono, by wstąpiła w czasie przerwy obiadowej do działu kadr, a tam polecono jej napisać podanie o zwolnienie. Wyszło rozporządzenie dyrekcji, nakazujące zwolnić wszystkich laborantów, którzy nie mają wyższego wykształcenia.

- Bzdura, pierwszy raz o czymś takim słyszę - powiedział Sztrum. Wszystko załatwię, proszę mi wierzyć.

Annę Stiepanownę szczególnie dotknęły słowa Dubienkowa, że administracja nic osobiście przeciwko niej nie ma.

- Wiktorze Pawłowiczu, a co może mieć przeciwko mnie? Ale, na miłość boską, proszę mi wybaczyć, że przeszkodziłam panu w pracy.

Sztrum narzucił na ramiona płaszcz i poszedł przez dziedziniec do piętrowego budynku, gdzie mieścił się dział kadr.

„No, dobrze, dobrze - myślał- dobrze, dobrze”. Więcej nic nie myślał.

Ale w to „dobrze, dobrze” wkładał naprawdę wiele.



Dubienkow przywitał się ze Sztrumem i powiedział: - Miałem właśnie dzwonić do pana.

- W sprawie Anny Stiepanowny? - Nie, dlaczego? W związku z pewnymi okolicznościami pracownicy instytutu, zajmujący kierownicze stanowiska, muszą wypełnić ten oto kwestionariusz.

Sztrum spojrział na gruby plik kartek i powiedział: - Ho, ho! To robota na tydzień.

- Co też pan, Wiktorze Pawłowiczu. Tylko bardzo proszę, żeby w przypadku odpowiedzi negatywnej pisać: „Nie, nie byłem; nie, nie należałem; nie, nie posiadam” i tak dalej, a nie stawiać kresków.

- Wie pan co, kochany? - zmienił temat Sztrum. - Trzeba cofnąć bezsensowne polecenie zwolnienia naszej starszej laborantki Anny Stiepanowny Łoszakow.

Dubienkow odpowiedział: - Anna Łoszakow? Wiktorze Pawłowiczu, jakże ja mogę cofnąć polecenie dyrekcji? - No bo cóż to się dzieje! Ona ratowała instytut, ochraniała majątek pod bombami. A zwalniają ją z jakichś powodów formalnych.

- Bez powodów formalnych nikogo się u nas nie zwalnia - rzekł z godnością Dubienkow.

- Anna Stiepanowna to nie tylko wspaniały człowiek; jest jednym z najlepszych pracowników naszego laboratorium.

- Jeśli jest rzeczywiście niezastąpiona, proszę się zwrócić do Kasjana Tierientjewicza - powiedział Dubienkow. - Przy okazji 583 proszę z nim uzgodnić jeszcze dwie sprawy dotyczące pańskiego laboratorium.

W ręce trzymał dwa spięte razem papierki.

- W sprawie objęcia etatu pracownika naukowego w drodze konkursu. - Zajrzał do dokumentu i powoli przeczytał: - Landesman Emilij Pinchusowicz.

- Tak, to ja pisałem - powiedział Sztrum, poznając podanie w rękach Dubienkowa.

- A tu jest odmowna decyzja Kasjana Tierientjewicza: „Nie spełnia wymagań”.

- Co to niby ma znaczyć - spytał Sztrum - „nie spełnia”? Ja wiem, że Landesman spełnia wymagania, skąd natomiast Kowczenko wie, jakie są moje wymagania? - To już proszę uzgodnić z Kasjanem Tierientjewiczem - rzekł Dubienkow. Zajrzał do drugiego dokumentu i powiedział: - Mam też wniosek naszych pracowników, którzy pozostali w Kazaniu, a tu jest pańskie poparcie.

- Właśnie, no i jak? - Kasjan Tierientjewicz pisze: „Z uwagi na aktywną pracę w ramach Uniwersytetu Kazańskiego - niewskazane, rozpatrzenie wniosku odłożyć do zakończenia roku akademickiego”.

Mówił niezbyt głośno, łagodnie, jakby chciał uprzejmym tonem złagodzić przykrą dla Sztruma wiadomość. W jego oczach jednak nie było widać uprzejmości, wręcz przeciwnie - niechęć połączoną z ciekawością.

- Dziękuję wam, towarzyszu Dubienkow - rzekł Sztrum.

Teraz znowu szedł przez dziedziniec i znowu powtarzał „dobrze, dobrze”. Nie potrzebuje poparcia przełożonych, niepotrzebna mu miłość przyjaciół, duchowa wspólnota z żoną, umie walczyć w pojedynkę.

Kiedy wrócił do głównego gmachu, wszedł na piętro.

Kowczenko, w czarnej marynarce, w wyszywanej ukraińskiej koszuli, wyszedł z gabinetu w ślad za sekretarką, która zameldowała mu przybycie Sztruma, i powiedział:  
- Proszę, proszę, Wiktorze Pawłowiczu, do mojej izby.

Sztrum wszedł do „izby” zastawionej czerwonymi fotelami i kanapami. Kowczenko wskazał Sztrumowi miejsce na kanapie i sam usiadł obok niego.

584 Słuchał go z uśmiechem, ale jego życzliwość dziwnie przypominała życzliwość Dubienkowa. Prawdopodobnie tak samo uśmiechał się, kiedy Gawronow wygłaszał swoją mowę na temat odkrycia Sztruma.

- Cóż robić? - Kowczenko rozłożył ręce ze skruchą. - Nie myśmy to wymyślili. Była tu w czasie bombardowania? Tego obecnie nie uważa się za zasługę, Wiktorze Pawłowiczu. Każdy człowiek radziecki idzie pod bomby, jeśli tylko ojczyzna mu rozkaże.

Następnie Kowczenko zamyślił się i dodał: - Istnieje pewna możliwość, chociaż, oczywiście niektórzy będą się mnie czepiać. Możemy przecież panią Łoszakow przenieść na etat preparatora. Ale zostawimy jej kartkę pracownika naukowego. To mogę panu obiecać.

- Nie, to byłoby dla niej poniżające - oświadczył Sztrum.

Kowczenko spytał: - Wiktorze Pawłowiczu, czy pan chce, żeby w państwie radzieckim obowiązywały jedne prawa, a w laboratorium Sztruma inne? - Przeciwnie, chcę właśnie, żeby w moim laboratorium stosowano prawo radzieckie. A według radzieckiego prawa, zwolnienie Anny Łoszakow jest bezpodstawne.

Zapytał: - Kasjanie Tierientjewiczu, skoro już mówimy o prawach, dlaczego nie zatwierdził pan etatu w moim laboratorium dla utalentowanego młodego człowieka Landesmana? Kowczenko parę razy poruszył ustami.

- Widzi pan, Wiktorze Pawłowiczu, pod pańskim kierunkiem może on zapewne pracować owocnie, ale są jeszcze inne względy, z którymi musi się liczyć kierownictwo instytutu.

- Bardzo dobrze - powiedział Sztrum i powtórzył: - Bardzo dobrze.

Potem zapytał: - Ankieta, tak? Krewni za granicą? Kowczenko rozłożył ręce w nieokreślonym geście.

- Kasjanie Tierientjewiczu, jeśli mamy kontynuować tę miłą rozmowę - rzekł Sztrum - to dlaczego wstrzymujecie powrót z Kazania mojej pracownicy, Anny Naumowny Weisspapier? Ona akurat ma tytuł doktora. Na czym tutaj polega sprzeczność między moim laboratorium a państwem? Kowczenko z miną męczennika odparł: 585 - Wiktorze Pawłowiczu, coż mnie pan tak przesłuchuje? Ja odpowiadam za kadry, niechże pan to zrozumie.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powtórzył Sztrum, czując, że ostatecznie dojrzał już do ostrej wymiany zdań. - Wiecie co, szanowny towarzyszu? Dalej tak

pracować nie mogę. Nauka istnieje nie dla Dubienkowa i nie dla was. Ja też jestem tutaj po to, żeby pracować, a nie dla bliżej nieznanymi mi interesów działu kadr. Napiszę do Aleksieja Aleksiejewicza, żeby do kierowania laboratorium nuklearnym wyznaczył Dubienkowa.

Kowczenko powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, doprawdy, proszę się uspokoić.

- Nie, tak pracować nie mam zamiaru.

- Wiktorze Pawłowiczu, nie wyobraża pan sobie, jak kierownictwo ceni pańską pracę, a ja w szczególności.

- A ja gwizdzę na to, czy mnie cenicie, czy nie - oświadczył Sztrum i dostrzegł we wzroku Kowczenki nie urazę, ale pogodną satysfakcję.

- Wiktorze Pawłowiczu - rzekł Kowczenko - w żadnym wypadku nie dopuścimy, żeby pan zostawił nasz instytut. - Spochmurniał i dodał: - Wcale nie dlatego, że jest pan niezastąpiony. Czyżby pan myślał, że już nie mamy kim zastąpić Wiktora Pawłowicza Sztruma? - Po czym uprzejmie zakończył: - Skoro pan nie może uprawiać nauki bez Landesmana i Weisspapier, to co, już w Rosji nie znajdzie się nikt, kto mógłby pana zastąpić? Patrzył na Sztruma, a Wiktor Pawłowicz poczuł, że za chwilę Kowczenko wypowie te słowa, które cały czas niby niewidzialna mgła otaczały ich, dotykały oczu, rąk, mózgu.

Sztrum opuścił głowę, i już nie było profesora doktora habilitowanego, znakomitego uczonego, który dokonał wspaniałego odkrycia, który potrafił być wyniosły, pogardliwy, niezależny i szorstki.

Zgarbiony, wąski w ramionach, kędzierzawy mężczyzna z haczykowatym nosem zmrużył oczy, jakby przygotowany na policzek, patrzył na człowieka w wyszywanej ukraińskiej koszuli i czekał.

Kowczenko powiedział cicho: - Wiktorze Pawłowiczu, niech się pan nie denerwuje, doprawdy, niech się pan nie denerwuje. Czemu pan, na miłość boską, robi problemy z takiego głupstwa? 586 54 Nocą, kiedy żona i córka poszły spać, Sztrum zasiadł do wypełniania ankiety. Prawie wszystkie punkty w kwestionariuszu były te same co przed wojną. I właśnie dlatego, że były Wiktorowi Pawłowiczowi znane, wydawały mu się dziwne, w jakiś nowy sposób go niepokoiły.

Państwo nie przejmowało się tym, czy aparat matematyczny, którego używał Sztrum w swojej pracy, jest odpowiedni, czy montowana w laboratorium aparatura nadaje się do tych skomplikowanych doświadczeń, do których miała służyć, czy zapewniono wystarczającą ochronę przed promieniami neutronowymi, czy Sokołow i Markow dobrze współpracują ze Sztrumem, czy młodszy pracownicy są w stanie wykonywać wszystkie żmudne obliczenia, czy rozumieją, jak wiele zależy od ich uwagi i cierpliwości.

To była ankietna ostateczna, ankietna nad ankietami. Chciała wiedzieć wszystko o ojcu Ludmiły, o jej matce, o dziadku i babce Wiktora Pawłowicza; gdzie mieszkali, kiedy zmarli, gdzie są pochowani. W jakim celu ojciec Wiktora Pawłowicza, Paweł Josifowicz, jeździł w 1910 roku do Berlina? Podejrzliwość państwa była autentyczna i ponura. Sztrum przejrzał ankietę i sam zaraził się wątpliwościami: Czy aby na pewno jest człowiekiem szczerym i godnym zaufania? 1. Nazwisko, imię, imię odojcowskie...

Kim jest człowiek wpisujący nocą do rubryki: „Sztrum Wiktor Pawłowicz”? Zdaje się, że matka pozostawała z ojcem w związku nieformalnym; rozstali się, kiedy Witia miał dwa lata; pamięta, że w papierach ojca widział później imię Pinchus, a nie Paweł. Dlaczego więc on jest Wiktorem Pawłowiczem? I kim jest w ogóle, czy poznał siebie, a może w istocie jest Goldmanem, a może i Sahajdacznym? Albo Francuzem, Deforge'em alias Dubrowskim? Pełen wątpliwości przeszedł do drugiego pytania.

2. Data urodzenia. Rok... Miesiąc... Dzień... Według nowego i starego stylu. Co wiedział o tym ciemnym grudniowym dniu, czy mógł z przekonaniem potwierdzić, że właśnie tego dnia się urodził? Czy nie lepiej podać, żeby zdjąć z siebie odpowiedzialność: „Zgodnie z tym, co mówiła...”? 3. Płeć... Sztrum śmiało napisał: „mężczyzna”. I pomyślał: „Jaki tam ze mnie mężczyzna? Prawdziwy mężczyzna nie przemilczałby odsunięcia Czepyżyna”.

587 4. Miejsce urodzenia według starego (gubernia, powiat, gmina i wieś) i nowego (obwód, kraj, rejon i miejscowość) podziału administracyjnego.

5. Narodowość... Piąty punkt. Taki zwyczajny, który nic nie znaczył przed wojną, a teraz jakiś szczególny.

Sztrum, naciskając pióro, zdecydowanymi literami napisał: „Żyd”.

Nie wiedział, co dla setek tysięcy ludzi będzie wkrótce znaczyć odpowiedź na piąty punkt w ankiecie: Kałmuk, Bałkar, Czeczen, Tatar krymski, Żyd...

Nie wiedział, że z roku na rok będą wokół tego piątego punktu narastać ponure namiętności, że strach, złość, rozpacz, brak wyjścia, krew będą przenosić się, wędrować tu z sąsiedniego szóstego punktu (pochodzenie społeczne), że za kilka lat wielu ludzi będzie wpisywać odpowiedź na piąty punkt ankiety z takim samym uczuciem rezygnacji, z jakim w minionych dziesięcioleciach czyniły to - w punkcie szóstym - dzieci oficerów kozackich, szlachty i fabrykantów, synowie duchownych.

Ale jakoś już czuł zagęszczenie linii sił wokół piątego punktu ankiety. Poprzedniego dnia wieczorem zadzwonił do niego Landesman, a Sztrum mu powiedział, że nie uda się nic zrobić w sprawie jego zatrudnienia: „Tak właśnie myślałem” - rzekł Landesman ze złością, jakby z pretensją do Sztruma. „Ankiety ma pan nie w porządku?” - spytał Sztrum. Landesman parsknął w słuchawkę i powiedział: „Nazwisko mam nie w porządku”.

Nadia powiedziała w czasie wieczornej herbaty: - Wiesz co, tato? Tato Majki powiedział, że w przyszłym roku do Instytutu Stosunków Międzynarodowych nie przyjmą ani jednego Żyda.

„Cóż - pomyślał Sztrum - jak Żyd, to Żyd, nic się nie poradzi”.

6. Pochodzenie społeczne... To był pień potężnego drzewa, jego korzenie wchodziły głęboko pod ziemię, a gałęzie szeroko rozrastały się nad kartami ankiety: pochodzenie społeczne ojca i matki, rodziców matki i ojca... Pochodzenie społeczne żony, rodziców żony... Jeśli jesteście rozwiedzeni, pochodzenie społeczne byłej żony, czym zajmowali się jej rodzice przed rewolucją.

Wielka rewolucja była rewolucją społeczną, rewolucją biedoty. Sztrumowi zawsze wydawało się, że szósty punkt w naturalny sposób wyraża słuszną nieufność biedoty, narosła przez tysiąclecia panowania bogaczy.

588 Napisał „z mieszczan”. Mieszczanin. Jaki tam z niego mieszczanin! Być może to wojna była przyczyną, że nagle zwątpił, czy między słusznym radzieckim pytaniem o pochodzenie społeczne i krwawym pytaniem Niemców o narodowość rzeczywiście leży taka przepaść.

Przypomniały mu się wieczorne rozmowy w Kazaniu, wywód Madjarowa o stosunku Czechowa do człowieka.

Pomyślał: „Kryterium pochodzenia społecznego wydaje mi się moralne i sprawiedliwe. Ale Niemcom bezsprzecznie moralne wydaje się kryterium narodowe. A dla mnie jest jasne: straszną rzeczą jest zabijanie Żydów za to, że są Żydami. Przecież to ludzie, każdy z nich jest człowiekiem - dobrym, złym, zdolnym, głupim, tępym, wesołym, porządnym, wrażliwym, skąpym. Hitler mówi: To nie ma znaczenia, ważne jest jedno - Żyd. A ja całą swoją istotą protestuję! Tyle że u nas obowiązuje taka sama zasada - ważne, że ze szlachty, ważne, że z kułaków, z kupców. A to, że ludzie są dobrzy, źli, zdolni, głupi, weseli ile znaczy? Przecież w naszych ankietach nie chodzi nawet o kupców, duchownych, szlachtę. Chodzi o ich dzieci i wnuki. Czyli o co? Że mają we krwi szlachectwo, kupiectwo, duchowieństwo, tak jak żydostwo? Przecież to bzdura. Sofia Pierowska była córką generała, mała że generała, to jeszcze gubernatora. Przepędzić ją! A Komissarow, policyjny fagas, odpowiedziałby na szósty punkt: «Z mieszczan». Przyjęto by go na uniwersytet, zatwierdzono mu etat. Przecież Stalin powiedział: «Syn za ojca nie odpowiada». Ale Stalin mówił również: «Niedaleko pada jabłko od jabłoni». No cóż, jak z mieszczan, to z mieszczan”.

7. Pozycja społeczna... Pracownik umysłowy? To raczej jakiś urzędnik, księgowy, rejestrator. Pracownik umysłowy Sztrum opracował matematycznie podstawy mechanizmu rozpadu jąder atomowych, pracownik umysłowy Markow chce za pomocą nowego urządzenia eksperymentalnego potwierdzić wnioski teoretyczne pracownika umysłowego Sztruma.

„A przecież to prawda - pomyślał - przecież pracuję umysłowo”.

Wzruszał ramionami, wstawał, chodził po pokoju, odsuwał kogoś ruchem dłoni. Potem siadał przy biurku i odpowiadał na pytania.

29. Czy wy lub wasi najbliżsi krewni odpowiadaliście przed sądem, czy toczyło się przeciwko wam śledztwo, czy byliście aresztowani, czy byliście karani sądownie lub administracyjnie, kiedy, gdzie i za co? Jeśli wyrok uległ zatarciu, to kiedy?...

589 Te same pytania w stosunku do żony. Sztrum poczuł lekki chłód w piersi. Tutaj nie ma się co wyklócać, tu nie ma żartów. Przez głowę zaczęły mu przelatywać nazwiska. Jestem pewien, że nie ponosi żadnej winy... Ten człowiek nie stąpa po ziemi... Była aresztowana za niedoniesienie na męża, zdaje się, że dostała osiem lat, nie wiem dokładnie, nie koresponduję z nią. E, kręcę, zdaje się, że przypadkowo poznałem, to znaczy, spotkałem na ulicy jej córkę... Nie pamiętam dokładnie, aresztowano go chyba na początku trzydziestego ósmego roku, tak, dziesięć lat bez prawa korespondencji...

Brat żony był członkiem partii, spotykałem się z nim rzadko; ani ja, ani żona nie korespondujemy z nim; matka żony, zdaje się, odwiedziła go, tak, tak, na długo przed wojną, jego druga żona została zesłana za niedoniesienie na męża, zmarła w czasie wojny, jego syn walczył w obronie Stalingradu, zgłosił się na ochotnika... Moja żona

rozwiódła się z pierwszym mężem, jej syn z pierwszego małżeństwa, mój pasierb, zginął na wojnie, broniąc Stalingradu... Pierwszy mąż został aresztowany, od chwili rozwodu żona nie ma o nim wiadomości... Za co został skazany, nie wiem, coś tam słyszałem - przynależność do opozycji trockistowskiej czy coś w tym rodzaju - ale nie jestem pewien, zupełnie mnie to nie interesowało...

Rozpaczliwe poczucie winy, zbrukania ogarnęło Sztruma. Przypomniał sobie samokrytykę członka partii, który na zebraniu mówił: „Towarzysze, nie jestem naszym człowiekiem”.

Nagle zbudził się w nim protest. Nie jestem z tych potulnych i cichych! Sadko mnie nie kocha - to nic! Jestem samotny, żona przestała się mną interesować - to nic! Ale nie odwrócę się od nieszczęśliwych, którzy zginęli bez winy.

Wstyd, towarzysze, poruszać te sprawy! Przecież ci ludzie są niewinni, a co dopiero mówić o dzieciach, żonach, co one zawiniły? Trzeba pokajać się przed nimi, poprosić o przebaczenie. A wy chcecie udowodnić moją niższość, pozbawić mnie zaufania dlatego, że jestem krewnym niewinnych ofiar? Jeśli nawet jestem winien, to tylko temu, że mało im pomagałem w nieszczęściu.

A równolegle, w mózgu tego samego człowieka, myśli biegły innym torem, rażąco sprzecznym z pierwszym.

Przecież nie podtrzymywałem z nimi kontaktów. Nie korespondowałem z wrogami, nie dostawałem od nich listów z obozu, nie udzie590 lałem im pomocy materialnej, moje spotkania z nimi były rzadkie, przypadkowe...

30. Czy ktoś z waszych krewnych mieszka za granicą (gdzie, od jakiego czasu, z jakich powodów wyjechał)? Czy utrzymujecie z nim kontakt? Nowe pytanie pogłębiło jego smutek.

Towarzysze, czyżbyście nie rozumieli, że w warunkach carskiej Rosji emigracja była nieunikniona? Przecież emigrowała biedota, emigrowali ludzie miłujący wolność. Lenin przecież także mieszkał w Londynie, Zurychu, Paryżu. Dlaczego mrugacie, czytając o moich ciotkach i wujkach, o ich córkach i synach w Nowym Jorku, Paryżu, Buenos Aires? Który to ze znajomych dowcipkował: „Ciotka w Nowym Jorku... Kiedyś myślałem, że głód to nie ciotka, a okazuje się, że ciotka oznacza głód”? Ale rzeczywiście wychodziło na to, że lista jego krewnych, mieszkających za granicą, jest niewiele krótsza od spisu jego prac naukowych.

A jeśli dodać do tego listę represjonowanych...

No i załatwili człowieka. Na śmietnik! Obcy! Ale to przecież kłamstwo, kłamstwo! To on potrzebny jest nauce, a nie Gawronow czy Dubienkow; to on odda życie za swój kraj. A czy mało ludzi z czyściutkimi ankietami zdolnych jest do oszustwa i zdrady? Czy mało ludzi pisało w ankietach: ojciec - kułak, ojciec - były ziemianin, a potem oddało życie w walce, poszło do partyzantki, poszłoby zresztą i na szafot? Co to znaczy? Przecież wiedział: metoda statystyczna! Prawdopodobieństwo! Prawdopodobieństwo tego, że się trafi na wroga, większe jest wśród ludzi, którzy nie wyszli ze środowiska robotniczego, niż wśród proletariuszy. Ale przecież i hitlerowcy, opierając się na mniejszym i większym prawdopodobieństwie, likwidują narody, narodowości. Ta zasada jest nieludzka. Nieludzka i ślepa. W stosunku do ludzi uprawnione jest tylko jedno podejście - ludzkie.

Wiktor Pawłowicz sporządziłby inną ankietę, przyjmując ludzi do laboratorium, ankietę ludzką.

Jest mu obojętne, czy człowiek, z którym ma pracować, jest Rosjaninem, Żydem, Ukraińcem, Ormianinem; obojętne, czy jego dziadek był kułakiem, robotnikiem czy fabrykantem; jego stosunek do kolegi z pracy nie zależy od tego, czy jego brata aresztowało NKWD; nie obchodzi go, czy siostry kolegi z pracy mieszkają w Kostromie, czy w Genewie.

591 Zapytałby: Od jakiego czasu interesuje pana fizyka teoretyczna? Jak odnosi się pan do Einsteinowskiej krytyki starego Plancka? Czy pociągają pana wyłącznie rozważania matematyczne, czy także praca eksperymentalna? Jaki jest pański stosunek do Heisenberga? Czy wierzy pan w możliwość stworzenia ogólnej teorii pola? Najważniejsze, najważniejsze to talent, zapał, iskra boża.

Zapytałby, gdyby oczywiście przyszły kolega z pracy skłonny był odpowiadać, czy chodzi na długie spacery, czy pije wino, czy bywa na koncertach symfonicznych, czy lubił w dzieciństwie książki Seton-Thompsona o zwierzętach, kto jest mu bliższy - Tołstoj czy Dostojewski, czy pociąga go ogrodnictwo, czy łowi ryby, jak ocenia Picassa, które z opowiadań Czechowa uważa za najlepsze? Interesowałoby go, czy przyszły kolega z pracy jest milczkiem, czy też lubi pogadać, czy jest dobroduszny, dowcipny, pamiętliwy, drażliwy, ambitny, czy nie zacznie romansować z ładniutką Wierką Ponomariow? Zdziwiająco trafnie ujął to Madjarow, tak trafnie, że ciągle człowieka nurtuje myśl, czy to aby nie prowokator.

Boże ty mój...

Sztrum wziął pióro i napisał: „Estera Siemionowna Daszewska, ciotka ze strony matki, mieszka w Buenos Aires od roku 1909, nauczycielka muzyki”.

55 Sztrum wszedł do gabinetu Szyszakowa z postanowieniem, że będzie powściągliwy i nie pozwoli sobie na choćby jedno ostre słowo.

Wiedział, że w głowie urzędnika Akademii Nauk on i jego prace zajmują najpośledniejsze miejsce, ale głupio byłoby się na to złościć i obrażać.

Ledwie jednak zobaczył twarz Szyszakową, nie był w stanie zapanować nad rozdrażnieniem.

- Aleksieju Aleksiejewiczu - powiedział. - Jak to się mówi, do miłości nie można nikogo przymusić, ale pan ani razu nie zainteresował się montażem naszej aparatury.

Szyszakow odparł pojednawczo: - W najbliższym czasie koniecznie muszę pana odwiedzić.

592 Aha, szef łaskawie obiecał uszczęśliwić Sztruma swoją wizytą.

Dodał jeszcze: - Aczkolwiek wydaje mi się, że kierownictwo wystarczająco dba o pańskie potrzeby.

- Szczególnie dział kadr.

Szyszakow - nadal przyjacielskim tonem - spytał: - A w czym przeszkadza panu dział kadr? Jest pan pierwszym kierownikiem zakładu, który składa takie oświadczenie.

- Aleksieju Aleksiejewiczu, na próżno usiłuję się doprosić, żeby wezwano z

Kazania panią Weisspapier, która jest znakomitą specjalistką w dziedzinie fotografii jądrowej. Kategorycznie także protestuję przeciwko zwolnieniu pani Łoszakow. Jest wspaniałą pracownicą, wspaniałym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie, że można byłoby ją zwolnić.

To nieludzkie. No i jeszcze proszę o zatwierdzenie etatu dla doktora Landesmana, który stanął do konkursu. Jest to utalentowany chłopak.

Pan ciągle nie docenia naszego laboratorium. Inaczej nie musiałbym tracić czasu na podobne rozmowy.

- Przecież ja również tracę czas na te rozmowy - odparł Szyszakow.

Sztrum ucieszył się, że Szyszakow przestał mówić pokojowym tonem, który jemu przeszkadzał dać upust swojej irytacji, i powiedział: - Bardzo mi przykro, że konflikty te powstają przeważnie wokół ludzi o żydowskich nazwiskach.

- Aha, o to chodzi - rzekł Aleksiej Aleksiejewicz i od pokoju przeszedł do wojny. Powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, przed instytutem stoją odpowiedzialne zadania. Nie muszę panu wyjaśniać, w jak trudnym czasie je postawiono. Zakładam, że pańskie laboratorium nie może jeszcze w pełni włączyć się w proces wykonywania tych zadań. W dodatku wokół pańskiej pracy, bez wątplenia ciekawej, zarazem jednak bez wątplenia kontrowersyjnej, zrobiono zbyt wiele szumu.

Pouczającym tonem dodał: - Jest to nie tylko mój punkt widzenia. Towarzysze uważają, że ten szum dezorientuje pracowników naukowych. Wczoraj szczegółowo ze mną o tym rozmawiali. Wyrazili opinię, że powinien pan zastanowić się nad swoimi wnioskami, które sprzeczne są z materialistycznymi poglądami na temat natury materii, a nawet sam powinien pan zabrać głos w tej sprawie. Niektórzy ludzie z nieznanymi mi powodów zainteresowani są tym, żeby sporne teorie uznawać za generalną tendencję 593 nauki właśnie w chwili, kiedy wszystkie nasze siły winny być zwrócone ku zadaniom, które stawia przed nami wojna. Wszystko to są sprawy nadzwyczaj poważne. Pan zaś przychodzi z dziwnymi pretensjami w sprawie jakiejś pani Łoszakow. Proszę wybaczyć, ale nie miałem pojęcia, że Łoszakow to żydowskie nazwisko.

Słuchając go, Sztrum zmieszał się. Nikt dotąd wprost nie powiedział mu, że źle ocenia jego pracę. Po raz pierwszy uczynił to akademik, dyrektor instytutu, w którym pracował.

Po czym, już nie bojąc się konsekwencji, wyłożył wszystko, co myśli, i właśnie dlatego nie powinien był tego mówić.

Powiedział, że fizyki nie obchodzi, czy potwierdza filozofię. Powiedział, że logika wywodów matematycznych jest mocniejsza niż logika Engelsa i Lenina, i niech Badjin z Wydziału Nauki KC dostosowuje poglądy Lenina do matematyki i fizyki, a nie fizykę i matematykę do poglądów Lenina. Powiedział, że wąski praktycyzm gubi naukę, ktokolwiek, „nawet sam Pan Bóg”, by go głosił; tylko wielka teoria daje wielką praktykę. Jest przekonany, że kapitalne zagadnienia techniczne, i nie tylko techniczne, jeszcze w dwudziestym wieku będą rozwiązywane przy zastosowaniu teorii procesów nuklearnych. Z ochotą wypowie się właśnie w tym duchu, jeśli towarzysze, których nazwisk Szyszakow nie wymienia, uważają takie wystąpienie za konieczne.



- A co się tyczy pytania o ludzi z żydowskimi nazwiskami, Aleksieju Aleksiejewiczu, to nie powinien pan obracać go w żart, jeśli pan jest rzeczywiście rosyjskim inteligentem - powiedział. - W przypadku pańskiej odmowy zmuszony będę niezwłocznie odejść z instytutu.

Nie mogę tak pracować.

Nabrał tchu, popatrzył na Szyszakową, pomyślał i dodał: - Trudno mi się pracuje w takich warunkach. Jestem nie tylko fizykiem, ale także człowiekiem. Wstyd mi przed ludźmi, którzy oczekują ode mnie pomocy i obrony przed niesprawiedliwością.

Wypowiedział teraz „trudno mi się pracuje w takich warunkach”; zabrakło mu już determinacji, by powtórzyć słowa o natychmiastowym odejściu. Po wyrazie twarzy Szyszakowa widział, że zauważył on tę złagodzoną formę.

Może właśnie dlatego dyrektor zakończył: - Nie ma sensu, byśmy ciągnęli rozmowę w języku ultimatów. Oczywiście, zmuszony jestem uwzględnić pańskie życzenia.

594 Dziwnego, smutnego i zarazem radosnego uczucia doznawał Sztrum w ciągu całego tego dnia. Przyrządy w laboratorium, nowa aparatura, której montaż zbliżał się do końca, wydawały mu się częścią jego życia, mózgu, ciała. Jak mógłby istnieć oderwany od nich? Strach było wspominać herezje, które wypowiedział w obecności dyrektora. A mimo to czuł się przecież silny. Jego bezradność stanowiła równocześnie jego siłę. Czy jednak mógł przypuszczać, że w dniach swojego triumfu naukowego, po powrocie do Moskwy, będzie musiał odbyć podobną rozmowę? O jego starciu z Szyszakowem nikt nie mógł wiedzieć, ale wydawało mu się, że pracownicy są dzisiaj w stosunku do niego wyjątkowo serdeczni.

Anna Stiepanowna uścisnęła jego rękę.

- Wiktorze Pawłowiczu, nie chcę panu dziękować, ale wiem, że pan - to pan - powiedziała.

Stał koło niej w milczeniu, wzruszony i prawie szczęśliwy.

„Mamo, mamó - pomyślał nagle. - Widzisz to?” Po drodze do domu postanowił nic nie mówić żonie, ale nie mógł przezwyciężyć nawyku dzielenia się z nią wszystkim, co się z nim dzieje, więc w przedpokoju, zdejmując palto, odezwał się: - Wiesz, Ludmiła, odchodzę z instytutu.

Ludmiła Nikołajewna zdenerwowała się i zasmuciła, ale od razu powiedziała coś, co było dla niego przykre: - Zachowujesz się tak, jakbyś był Łomonosowem albo Mendelejewem. Odejdiesz, to zamiast ciebie będzie Sokołow albo Markow. Podniosła głowę znad robótki. - Niech twój Landesman idzie na wojnę.

Bo rzeczywiście wychodzi na to, że rację mają wstecznicy: Żyd Żyda chroni przed wojskiem, załatwia mu miejsce w instytucie.

- Dobrze, dobrze, wystarczy - powstrzymał ją Sztrum. - Nie filozofuj, Ludka, zmiłuj się. Pamiętasz, jak to było u Niekrasowa? „Marzył biedaczek o wieńcu laurowym, a rad, że się znalazł w przytułku”. Sądziłem, że zasłużyłem na chleb, który jem, a żąda się ode mnie pokuty za grzechy, za herezję. No nie, pomyśl tylko: mam złożyć samokrytykę.

Przecież to wariactwo! A przy tym zgodnie wysuwają mnie do nagrody, studenci przychodzą. To wszystko Badjin! Zresztą jaki tam Badjin.

Sadko mnie nie kocha! Ludmiła Nikołajewna podeszła do niego, poprawiła mu krawat, obciągnęła połę marynarki i powiedziała: 595 - Pewnie nic nie jadłeś. Jesteś bardzo blady.

- Nie chce mi się jeść.

- Zjedz na razie chleba z masłem, a ja podgrzeję obiad.

Potem nalała do kieliszka kropli na serce i podała mu: - Wypij, nie podoba mi się twój wygląd; daj, sprawdzę ci puls.

Poszli do kuchni, Sztrum jadł powoli chleb, popatrując w lustro, które Nadia powiesiła pod licznikiem gazu.

- To idiotyczne, kuriozalne - powiedział. - Czy w Kazaniu mogłem pomyśleć, że będę musiał wypełniać stupiętrowe ankiety, wysłuchiwać tego, czego dzisiaj wysłuchiwałem? Co za potęga! Państwo i człowiek...

To wzniesie go wysoko, to bez namysłu strąci w przepaść.

- Witia, chciałam z tobą pomówić o Nadi - zmieniła temat Ludmiła Nikołaj ewna.  
- Prawie codziennie wraca do domu po godzinie milicyjnej.

- Już mówiłaś mi o tym niedawno - przypomniał Sztrum.

- Pamiętam, co mówiłam. Wczoraj wieczorem przypadkowo podeszłam do okna, odciągnęłam zasłonę i patrzę: Nadia idzie z jakimś wojskowym, koło mleczarni zatrzymują się i zaczynają całować.

- No tak - mruknął Wiktor Pawłowicz i ze zdziwienia przestał ruszać szczęką.

Nadia całowała się z wojskowym. Sztrum przez kilka chwil siedział bez słowa, potem zaczął się śmiać. Chyba tylko ta jedna oszałamiająca nowina mogła oderwać go od ciężkich myśli, rozproszyć jego niepokój.

Na moment ich oczy spotkały się, a Ludmiła Nikołajewna niespodziewanie dla siebie też się roześmiała. W tejże chwili powstało między nimi to całkowite, zdarzające się w życiu niezwykle rzadko, porozumienie, które nie potrzebuje słów ani myśli.

Ludmiły Nikołajewny nie zaskoczyło więc to, że Sztrum bez związku, wydawałoby się, powiedział: - Miła, Miła, powiedz: Czy nie miałem racji, że stałem się z Szyszakowem? Jego myśli biegły prostym torem, ale nie były tak proste do zrozumienia. Przyłączyła się do nich myśl o życiu, które przeżył, o losie Toli i Anny Siemionowny, o tym, że wojna czy starość nieuchronnie burzą życie, a jakkolwiek sławę i bogactwo osiągnąłby człowiek, to i tak się zestarzeje, odejdzie, umrze, na jego miejsce przyjdą młodzi ludzie.

Może zatem najważniejsza sprawa to uczciwie przeżyć owo życie.

596 Sztrum zapytał więc żonę jeszcze raz: - Prawda, że miałem rację? Ludmiła Nikołajewna przecząco pokręciła głową. Dziesięciolecia wspólnego życia umiały też rozdzielać.

- Wiesz, Luda - rzekł pojednawczo Sztrum - ci, którzy mają w życiu rację,

często nie umieją się zachować, wybuchają, zachowują się ordynarnie, bywają nietaktowni i nietolerancyjni, więc zazwyczaj obwinia się ich o wszystkie kłopoty w pracy i w rodzinie. A ci, którzy nie mają racji, krzywdziciele, umieją się trzymać w ryzach, są logiczni, spokojni, taktowni, więc zawsze wydaje się, że mają słuszość.

Nadia wróciła o jedenastej. Kiedy Ludmiła Nikołajewna usłyszała szcęk klucza, prosiła męża: - Porozmawiaj z nią.

- Lepiej ty, po co ja - rzekł Wiktor Pawłowicz, a kiedy Nadia, z czerwonym nosem, z rozwichrzonymi włosami, weszła do jadalni, gdzie teraz siedzieli, zapytał: - Z kimże to całujesz się pod bramą? Nadia nagle się obejrzała, jakby miała zamiar uciec. Z lekko otwartymi ustami patrzyła na ojca.

Po chwili wzruszyła ramionami i obojętnym głosem odpowiedziała: - Aaa... To Andriusza Łomow, jest teraz w szkole lejtnantów.

- I co, chcesz wyjść za niego za mąż? - spytał Sztrum, zdumiony pewnością siebie Nadi. Obejrzał się na żonę - czy też to widzi.

Nadia zmrużyła oczy jak dorosła i z rozdrażnieniem rzucała słowa.

- Za mąż? - powtórzyła pytanie, a Sztrum nagle zdumiał się, że to słowo odnosi się do jego córki. - Może zamierzam.

Potem dodała: - A może i nie, jeszcze się nie zdecydowałam.

Ludmiła Nikołajewna, cały czas milcząca, spytała: - Nadia, dlaczego kłamałaś o jakimś ojcu Majki i o lekcjach? Ja swojej mamy nigdy nie okłamywałam.

Sztrum przypomniał sobie, że kiedy zalecał się do Ludmiły, ta mówiła, przychodząc na spotkanie: - Tolę zostawiłam mamie; nakłamałam jej, że idę do biblioteki.

Nadia nagle wróciła do swojej dziecięcej istoty, płaczkliwym i zirytowanym głosem wykrzyknęła: - A szpiegować mnie to ładnie? Twoja mama też cię szpiegowała? Sztrum huknął na nią rozzłoszczony: - Smarkulo, nie bądź bezczelna wobec matki! Patrzyła na niego cierpliwie, ze znudzoną miną.

- A zatem, Nadieżdo Wiktorowno, o ile zrozumiałem, jeszcze pani nie zdecydowała, czy wyjdzie za mąż, czy zostanie nałożnicą młodego pułkownika? - Nie, jeszcze nie zdecydowałam; po drugie, nie jest pułkownikiem.

Czyżby usta jego córki całował jakiś chłopak w wojskowym płaszczu? Czyżby w dziewczynce Nadi, śmiesznej i mądrej wariatce, można się było zakochać, zaglądać w jej szczeniące oczy? Przecież to odwieczna historia...

Ludmiła Nikołajewna milczała, rozumiejąc, że Nadia teraz będzie się złościć, zasłaniać milczeniem. Wiedziała, że kiedy zostaną same, pogłaszce córkę po głowie, Nadia nie wiadomo czemu zacznie chlipać, a jej zrobi się niesamowicie żal, też nie wiadomo czemu, bo w końcu to nic strasznego, że dziewczyna się z chłopakiem pocałuje. Nadia powie jej wszystko o tym wojskowym, a ona będzie głaaskała córkę po włosach i wspominała, jak sama kiedyś po raz pierwszy się całowała, i będzie myślała o Toli, przecież ona wiąże z Tolą wszystko, co się w jej życiu dzieje. Toli nie ma.

Jak smutna jest ta dziewczęca miłość na skraju wojennej otchłani.

Tola, Tolka...

A Wiktor Pawłowicz nie ustępował, ogarnięty ojcowskim niepokojem.

- Gdzie ten bałwan służy? - pytał. - Porozmawiam z jego dowódcą, on mu pokaże, co to znaczy romansować ze smarkulami.

Nadia milczała, a Sztrum, jakby zaczarowany jej wyniosłością, mimo woli ucichł, potem zaś spytał: - Co tak patrzysz na mnie jak istota wyższego gatunku na amebę? W jakiś dziwny sposób wzrok Nadi przypomniawszy mu dzisiejszą rozmowę z Szyszakowem - spokojny, pewny siebie Aleksiej Aleksiejewicz spoglądał na niego z wysokości swej państwowej i akademickiej potęgi.

Pod spojrzeniem jasnemu Szyszakowa Sztrum instynktownie czuł daremność wszystkich swoich wybuchów, protestów, ultimatów. Siła porządku państwowego wznosiła się niczym bazaltowa skała, a Szyszakow z obojętnym spokojem patrzył, jak Sztrum się ciska - przecież nie ruszy bazaltu z miejsca.

598 Dziwna rzecz, ale stojąca teraz przed nim dziewczuszka też, wydawało się, miała świadomość, że Sztrum całkiem bez sensu denerwuje się i wścieka, usiłując dokonać czegoś niemożliwego. Wstrzymać bieg życia.

A w nocy Sztrum myślał o swoim życiu, o tym, że je niszczy, zrywając z instytutem. Jego odejściu nadany zostanie wydźwięk polityczny; powiedzą, że stał się źródłem niezdrowych opozycyjnych nastrojów; a tutaj wojna, Stalin darzy instytut życzliwością. No i jeszcze ta okropna ankieta...

W dodatku bezsensowna rozmowa z Szyszakowem. A także rozmowy w Kazaniu. Madjarow...

Nagle ogarnął go taki strach, że zapragnął napisać do Szyszakowa pojednawczy list i odwołać wszystko, co się wydarzyło dzisiejszego dnia.

56 Nazajutrz, po powrocie ze sklepu przydziałowego, Ludmiła Nikołajewna zobaczyła w skrzynce pocztowej na drzwiach białą kopertę. Serce, już przez to, że szła po schodach, mocno bijące, zaczęło bić jeszcze mocniej. Trzymając list w ręku, zbliżyła się do pokoju Toli, otworzyła drzwi, pokój był pusty; dzisiaj Tola też nie wrócił.

Ludmiła Nikołajewna przejrzała kartki zapisane znanym od dzieciństwa charakterem matki. Zobaczyła imiona Żeni, Wiery, Stiepana Fiodorowicza; imienia syna w liście nie było. Nadzieja znowu schowała się w ciemnym kącie, ale się nie poddała.

O swoim życiu Aleksandra Władimirowna nie pisała nic, poza paroma słowami, że po wyjeździe Ludmiły dało znać o sobie mnóstwo przykrych cech charakteru Niny Matwiejewny, gospodyni mieszkania w Kazaniu. Od Sierioży, Stiepana Fiodorowicza i Wiery nie ma żadnych wieści. Aleksandra Władimirowna martwiła się o Żenię - najwyraźniej w jej życiu dzieje się coś istotnego. W liście do Aleksandry Władimirowny Żenia napomykała o jakichś przykrościach i pisała, że być może będzie musiała jechać do Moskwy.

Ludmiła Nikołajewna nie umiała się smucić. Umiała cierpieć. Tola, Tola, Tola.

599 Stiepan Fiodorowicz owdowiał... Wiera jest bezdomną sierotą; czy Sierioża żyje, czy leży gdzieś ranny w szpitalu? Jego ojciec został rozstrzelany czy też zmarł w

obozie, matka zginęła na zesłaniu... Aleksandra Władimirowna nie wie nic o synu, o wnuku, mieszka z dala od rodziny, jej dom spłonął.

Matka nie pisała o swoim życiu w Kazaniu, czy jest zdrowa, czy w pokoju ma ciepło, czy zaopatrzenie się polepszyło.

Ludmiła Nikołajewna wiedziała, dlaczego matka o tym wszystkim nie wspomniała ani słowem, i ta wiedza jej ciążyła.

Pusty, zimny stał się dom Ludmiły. Jakby i w niego trafiły jakieś straszliwe, niewidzialne bomby, wszystko w nim runęło w gruzy, ciepło z niego uleciało.

Tego dnia dużo myślała o Wiktorze Pawłowiczu. Pogorszyło się między nimi. Wiktor jest na nią zły, traktuje ją zimno, a ona przyjmuje to obojętnie, i to właśnie jest najsmutniejsze. Zbyt dobrze go zna. Z boku wszystko wydaje się wzniosłe i romantyczne. Ona zresztą w ogóle nie jest skłonna traktować ludzi z poetyckim zachwytem, a taka Maria Iwanowna uważa Wiktora za naturę ofiarną, wzniosłą, mądrą. Masza lubi muzykę; kiedy słyszy grę na fortepianie, blednie z zachwytem, a Wiktor Pawłowicz czasem grywał na jej prośbę. Jej naturze był potrzebny widocznie przedmiot uwielbienia, więc stworzyła sobie taki patetyczny obraz, wymyśliła takiego Sztruma, jaki nigdy nie istniał. Gdyby Masza obserwowała Wiktora codziennie, szybko by się rozczarowała. Ludmiła Nikołajewna wiedziała, że Wiktor nikogo nie kocha, że tylko egoizm kieruje jego czynami. Teraz, myśląc o starciu z Szyszakowem, pełna trwogi o męża, doświadczała równocześnie zwykłej irytacji. Nawet swoją naukę, nawet spokój bliskich gotów byłby poświęcić w imię egoistycznej satysfakcji: chce się popisać, zabawić w obrońcę uciśnionych.

Ale wczoraj, kiedy denerwował się o Nadie, zapomniał o swoim egoizmie. Czy Wiktor byłby w stanie zapomnieć o swoich trudnych sprawach i martwić się o Tolę? Wczoraj się pomyliła. Nadia nie była z nią naprawdę szczerą. Co to jest - dziecinna, przelotna historia czy jej przeznaczenie? Nadia opowiadała matce o towarzystwie, w którym poznała tego Łoniowa. Dostyc szczegółowo mówiła o chłopcach czytających niewspółczesne wiersze, spierających się o nową i starą sztukę, o ich pogardliwym 600 i drwiącym stosunku do rzeczy, z których, jak się Ludmile zdawało, nie powinno się kpić ani ich lekceważyć.

Nadia z ochotą odpowiadała na pytania Ludmiły i pewnie mówiła prawdę: „Nie, nie, piliśmy tylko raz, kiedy odprowadzaliśmy kolegę na front”. „O polityce czasem się mówi. No jasne, że nie tak jak w gazetach, ale bardzo rzadko, raz czy dwa”.

Ledwie jednak Ludmiła Nikołajewna zaczynała pytać o Łoniowa, Nadia odpowiadała ze złością: „Nie, nie pisze wierszy”, „Skąd mogę wiedzieć, kim są jego rodzice, oczywiście, że nigdy nie widziałam, dlaczego dziwne? Przecież on nie ma pojęcia o moim tacie; pewnie myśli, że jest sprzedawcą w spożywczym”.

Co to jest - przeznaczenie Nadi czy też córka za miesiąc o wszystkim zapomni? Szykując obiad, piorąc, myślała o matce, o Wierze, o Żeni, o Sierioży.

Zadzwoiła do Marii Iwanowny, ale nikt nie odbierał telefonu; zadzwoniła do Postojewów, gdzie gosposia odpowiedziała, że pani pojechała na zakupy; zadzwoniła do administracji, żeby wezwać hydraulika do naprawy kranu, ale odpowiedziano jej, że nie przyszedł do pracy.

Usiadła, żeby napisać list do matki - wydawało jej się, że to będzie długi list, w którym przeprosi, że nie umiała Aleksandrze Władimirownie stworzyć odpowiednich warunków i ta woli teraz mieszkać w Kazaniu sama. Od przedwojennych czasów przyjęło się, że u Ludmiły Nikołajewny nikt z krewnych nie gości, nie nocuje. Teraz też najbliżsi nie odwiedzają jej dużego moskiewskiego mieszkania. Podarła aż cztery kartki i w końcu nie napisała listu.

Pod koniec dnia pracy zadzwonił Wiktor Pawłowicz, mówiąc, że musi zostać w instytucie - wieczorem przyjadą technicy, których wezwał z zakładów wojskowych.

- Jest coś nowego? - spytała Ludmiła Nikołajewna.

- Aha, w tym sensie?... - odparł. - Nie, nic nie ma.

Wieczorem Ludmiła Nikołajewna znowu przeczytała list matki, podeszła do okna.

Świecił księżyc, ulica była pusta. Wtem znowu zobaczyła Nadię pod rękę z wojskowym - szli jezdnią w stronę domu. Potem Nadia pobiegła, a chłopak w wojskowym płaszczu został na pustej jezdni i ciągle patrzył. Ludmiła Nikołajewnie wydało się, że połączyła nagle w sercu wszystko, co z pozoru nie daje się połączyć. Swoją miłość do Wiktora Pawłowicza, swój niepokój i zarazem złość na niego. Tołę, który odszedł, nie pocałował nigdy dziewczyny, i lejtnanta stojącego na jezdni a także Wierę, kiedy uszczęśliwiona wchodziła po schodach swojego domu w Stalingradzie, i bezdomną Aleksandrę Władimir ownę...

Przepelniała ją świadomość życia, które jest jedyną radością człowieka i jego strasznym zmartwieniem.

m57 W bramie instytutu Sztrum spotkał się z Szyszakowem, który wysiadał akurat z samochodu.

Szyszakow, witając się, uchylił kapelusza, ale nie okazał chęci, by się zatrzymać i porozmawiać z Wiktorem Pawłowiczem.

„Źle ze mną” - pomyślał Sztrum.

Podczas obiadu profesor Swieczin spoglądał gdzieś obok Sztruma i nie odezwał się do niego, chociaż siedział przy sąsiednim stoliku. Gruby Guriewicz, wychodząc ze stołówki, rozmawiał z nim wyjątkowo serdecznie, długo ścisnął mu rękę, ale kiedy tylko uchyliły się drzwi gabinetu dyrektora, niespodziewanie się pożegnał i szybko oddalił korytarzem.

W laboratorium Markow, z którym Sztrum omawiał przygotowanie aparatury do kolejnych zdjęć cząstek elementarnych, uniósł głowę znad notatnika i powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, opowiadano mi, że na egzekutywie odbyła się bardzo nieprzyjemna dyskusja na pański temat. Kowczenko uszył panu buty, mówiąc: „Sztrum nie chce pracować w naszym kolektywie”.

- Cóż, uszył, to uszył - rzekł Sztrum i poczuł, że zaczyna mu drgać powieka.

Podczas rozmowy z Markowem o zdjęciach Sztrum doznał wrażenia, jakby laboratorium kierował już nie on, ale Markow - ten przemawiał niespiesznym głosem gospodarza; dwukrotnie podchodził do niego Nozdrin, zadawał mu pytania dotyczące montażu aparatury.

Nagle twarz Markowa przybrała żalony, błagalny wyraz i powiedział cicho do Sztruma: - Wiktorze Pawłowiczu, proszę się na mnie nie powoływać, jeśli będzie pan mówił o tym posiedzeniu egzekutywy. Miałbym wtedy przykrości, że ujawniłem tajemnicę partyjną.

602 - Co też pan - uspokoił go Sztrum.

Markow rzekł: - Wszystko się ułoży.

- E tam - odpowiedział Sztrum. - Obejdą się beze mnie. Usiłowanie obejścia operatora: to skończone bzdury! - Myślę, że nie ma pan racji - zaprzeczył Markow. - Wczoraj rozmawiałem z Koczkurowem, a wie pan, że on nie buja w obłokach.

Powiedział mi: „U Sztruma matematyka wyprzedza fizykę, ale jego praca mnie cieszy, sam nie wiem dlaczego”.

Sztrum zrozumiał, do czego Markow robił aluzję - młody Koczkurow był entuzjastą prac związanych z oddziaływaniem powolnych neutronów na jądra pierwiastków ciężkich, twierdził, że te prace będą miały zastosowanie praktyczne.

- Koczkurowowie o niczym nie decydują - powiedział Sztrum. - Decydują Badjinowie, a Badjin uważa, że powinienem przeproszać za to, że wciągam fizyków w talmudyczną abstrakcję.

Widocznie w laboratorium wszyscy już wiedzieli o konflikcie Sztruma z dyrekcją i o wczorajszym posiedzeniu egzekutywy. Anna Stiepanowna patrzyła na Sztruma wzrokiem pełnym cierpienia.

On sam miał ochotę porozmawiać z Sokołowem, ale Sokołow rano wyjechał do Akademii Nauk, a potem zadzwonił, że zatrzyma się dłużej i raczej już nie przyjedzie do instytutu.

A Sawostjanow był nie wiadomo czemu w doskonałym nastroju, bez przerwy dowcipkował.

-Wiktorze Pawłowiczu - powiedział- szanowny Guriewicz jest błyskotliwym i wybitnym uczonym. - Przesunął przy tym dłonią po głowie i brzuchu, pokazując, jaką łysinę i jaki brzuszek wyhodował Gurjewicz.

Wieczorem, wracając pieszo do domu, Sztrum na Kałuskiej niespodziewanie spotkał Marię Iwanownę.

Ona pierwsza do niego zawołała. Miała na sobie palto, którego Wiktor Pawłowicz wcześniej nie widział, więc nie poznał jej od razu.

- Zdumiewające - powiedział. - Jakim cudem znalazła się pani na Kałuskiej? Milczała przez dłuższą chwilę, patrząc na niego. Potem, kręcąc głową, wyjaśniła: - To nie przypadek; chciałam pana spotkać, dlatego właśnie jestem na Kałuskiej.

603 Sztrum zmieszał się, lekko rozłożył ręce.

Na moment serce w nim zamarło, wydało mu się, że Maria Iwanowna zaraz przekaże mu jakąś straszną nowinę, uprzedzi go o niebezpieczeństwie.

- Wiktorze Pawłowiczu - oświadczyła - chciałam z panem porozmawiać. Piotr Ławrientjewicz opowiedział mi o wszystkim.

- Ach, o moich wspaniałych sukcesach.

Ruszyli obok siebie i mogło się wydawać, że idzie dwoje nieznajomych.

Sztruma krępowało milczenie Marii Iwanowny, więc patrząc na nią z ukosa, powiedział: - Ludmiła ma mi za złe tę historię. Panią też pewnie to rozgniewało? - Nie, nie gniewam się. Wiem, co kazało panu postąpić w ten sposób.

Szybko zerknął na nią.

Powiedziała: - Myślał pan o swojej matce.

Kiwnął głową.

Potem dodała: - Piotr Ławrientjewicz nie chciał panu tego mówić... ale opowiadali mu, że i dykcja, i organizacja partyjna zjednoczyły się przeciwko panu; słyszał, że Badjin powiedział: „To nie jest zwyczajna histeria. To antyradziecka histeria polityczna”.

- No proszę, histeria polityczna - powtórzył Sztrum. - A więc dobrze czułem, że Piotr Ławrientjewicz nie chce mi przekazać tego, co wie.

- Tak, nie chciał. A mnie jest przykro z tego powodu.

- Boi się? - Tak, boi się. Poza tym uważa, że pan w zasadzie nie ma racji.

Po chwili dodała cicho: - Piotr Ławrientjewicz jest porządnym człowiekiem, dużo przeszedł.

- Tak, tak - odparł Sztrum - to właśnie jest przykre. Taki znakomity, śmiały uczonek - i taka nieśmiała dusza.

- On bardzo dużo przeszedł - powtórzyła Maria Iwanowna.

- Mimo wszystko - rzekł Sztrum - to nie pani, ale on powinien być mi o tym powiedzieć.

Wziął ją pod rękę.

- Mario Iwanowno, proszę posłuchać. Niech mi pani powie, co z Madjarowem? W żaden sposób nie mogę dojść, co się tam stało.

604 Nieustannie teraz nękała go myśl o rozmowach w Kazaniu; często przypominały mu się poszczególne zdania, słowa, złowieszcze ostrzeżenia Karimowa, a równocześnie - podejrzenia Madjarowa. Wydawało mu się, że moskiewskie chmury nad jego głową nieuchronnie połączą się z kazańskim gadulstwem.

- Sama nie rozumiem, co się stało - powiedziała. - Ten list polecony, który wysłaliśmy do niego, wrócił do Moskwy. Leonid Siergiejewicz zmienił adres czy może wyjechał? Czy stało się to najgorsze? - Tak, tak, tak - wymamrotał zdezorientowany Sztrum.

Maria Iwanowna najwyraźniej sądziła, że mąż opowiedział Sztrumowi o wysłanym i zwróconym liście. A Sztrum nie miał o nim pojęcia; Sokołow nic mu nie mówił. Pytając ją, co się stało, Sztrum miał na myśli kłótnię Madjarowa z Piotrem Ławrientjewiczem.

- Chodźmy może do Nieskucznego - zaproponował.



- Ale przecież to nie po drodze? - Od Kałuskiej też jest wejście - wyjaśnił.

Miał ochotę wypytać ją bardziej szczegółowo o Madjarowa, o jego podejrzenia w stosunku do Karimowa, opowiedzieć o podejrzeniach Karimowa. W pustym parku Nieskuczny nikt im nie przeszkodzi.

Maria Iwanowna od razu zrozumie całą wagę tej rozmowy. Czuł, że może rozmawiać z nią swobodnie i z pełnym zaufaniem o wszystkim, co go niepokoi, a ona też będzie z nim szczerą.

Poprzedniego dnia zaczęła się odwilż. Na pagórkach w parku Nieskuczny spod topniejącego śniegu tu i ówdzie wyzierały mokre zgniłe liście, ale w rowach śnieg był gęsty. Przyglądało się temu smętne, zachmurzone niebo.

- Jaki przyjemny wiatr - rzekł Sztrum, wdychając wilgotne, zimne powietrze.

- Tak, przyjemnie, ani żywej duszy, jak za miastem.

Szli błotnistymi ścieżkami. Kiedy napotykali kałużę, Sztrum podawał Marii Iwanownie rękę i pomagał jej przejść.

Długo nic nie mówili. Nie miał ochoty rozmawiać ani o wojnie, ani o sprawach w instytucie, ani o Madjarowie i swoich obawach, przecuciach czy podejrzeniach; chciał iść tak bez słowa obok małej, niezbyt zgrabnie, chociaż lekko stąpającej kobiety i doświadczać uczucia bez troski, spokoju, które z niewiadomych powodów go ogarnęło.

605 Ona też o nic nie pytała; szła, opuściwszy trochę głowę.

Wyszli na bulwar, rzeka była ścięta ciemnym lodem.

- Tak jest dobrze - powiedział Sztrum.

- Tak, bardzo - zgodziła się.

Asfaltowa dróżka na bulwarze była sucha, ruszyli teraz szybko, jak dwoje wędrowców mających przed sobą daleką drogę. Spotkali lejtnanta w bandażach, i niewysoką, barczystą dziewczynę w stroju narciarskim.

Ci dwoje szli objęci i od czasu do czasu się całowali. Kiedy zrównali się ze Sztrumem i Marią Iwanowną, znowu się pocałowali, obejrzeliby za siebie i roześmiali.

„Może Nadia też tak chodziła ze swoim lejtnantem” - pomyślał Sztrum.

Maria Iwanowna obejrzała się na parkę i powiedziała: - Jakie to wszystko smutne - po czym dodała z uśmiechem: - Ludmiła Nikołaj ewna mówiła mi o Nadi.

- Tak, tak - odrzekł Sztrum. - To jest bardzo dziwne.

Potem dodał: - Postanowiłem zadzwonić do dyrektora Instytutu Elektromechaniki i zaproponować swoje usługi. A jeśli mnie nie przyjmą, pojedę gdzieś do Nowosybirsk, Krasnojarsk.

- Cóż począć? Widocznie tak trzeba. Inaczej nie mógł pan postąpić.

- Jakie to wszystko smutne - powtórzył jej słowa.

Chciał jej wyznać, że jakoś wyjątkowo mocno ciągnie go teraz do pracy, do laboratorium, że patrząc na urządzenie, na którym wkrótce zostaną przeprowadzone pierwsze eksperymenty, cieszy się, a zarazem smuci; wydaje mu się, że będzie

przychodził nocą do instytutu, zaglądał przez okna. Ale pomyślał, że Maria Iwanowna jego słowa odczyta jako chęć popisania się i w końcu nic nie powiedział.

Doszli do wystawy zdobyczy wojennych. Zwolnili kroku, oglądali pomalowane na szaro niemieckie czołgi, działa, moździerze, samolot z czarną swastyką na skrzydłach.

- Nawet na nieme i nieruchome strach patrzeć - zauważyła Maria Iwanowna.

- To nic - odrzekł Sztrum. - Trzeba się pocieszać tym, że w przyszłej wojnie wszystko to będzie wyglądało tak niewinnie jak muszkiety czy halabardy.

Kiedy podchodzili do bramy parku, powiedział: 606 - Tak kończy się nasz spacer, jaka szkoda, że park Nieskuczny jest taki mały. Nie czuje się pani zmęczona? - Nie, nie. Jestem przyzwyczajona, dużo chodzę pieszo.

Może nie zrozumiała sensu jego słów, a może udała, że ich nie rozumie.

- Wie pani - powiedział - jakoś tak jest, że nasze spotkania zawsze zależą od pani spotkań z Ludmiłą, moich z Piotrem Ławrientjewiczem.

- Tak, tak - potwierdziła. - Oczywiście, a jakżeby inaczej? Gdy wyszli z parku, otoczył ich miejski szum, burząc rozkosz milczącego spaceru. Wyszli na plac niedaleko tego miejsca, gdzie się spotkali.

Maria Iwanowna patrząc na Sztruma z dołu, jak dziewczynka na dorosłego, powiedziała: - Tak, teraz z pewnością czuje pan jeszcze silniejszą miłość do swojej pracy, do laboratorium, urzędzeń. Ale przecież nie mógł pan inaczej postąpić; inny by mógł, a pan nie. Przekazałam panu złą nowinę, ale myślę, że zawsze lepiej jest znać prawdę.

- Dziękuję, Mario Iwanowno - rzekł, ściskając jej rękę. - Dziękuję nie tylko za to.

Wydawało mu się, że jej palce zadrżały w jego dłoni.

- Dziwne - zauważyła - zegnamy się prawie w tym samym miejscu, w którym się spotkaliśmy.

Odparł żartobliwie: - Nie bez powodu starożytni mawiali, że koniec zawiera w sobie początek.

Zmarszczyła czoło, widocznie zastanawiając się nad sensem jego słów, a potem roześmiała się i powiedziała: - Nie rozumiem.

Sztrum patrzył za nią w ślad: niewysoka, drobniutka kobieta, z tych, za którymi mężczyźni nigdy się nie oglądają.

58 Darieński rzadko przeżywał tak smutne tygodnie, jak w czasie swojej delegacji w kałmuckich stepach. Wysłał depezę do dowództwa frontu, że dalszy jego pobyt na lewym skrzydle, gdzie panuje całkowity zastój, nie ma już sensu, że wykonał swoje zadanie. Ale z niepojętym dla Darieńskiego uporem dowództwo go nie odwoływało.

607 Najłżejsze były godziny pracy, najcięższa - pora odpoczynku.

Dookoła był piasek, sypki, suchy, szeleszczący. Oczywiście, i tutaj było życie - w piasku smyrgały jaszczurki i żółwie, zostawiając tylko ślady ogonów, tu i ówdzie rosły

chrzęszczące kolce, zbliżone barwą do podłoża, w górze krążyły kanie wypatrujące padliny i odpadków, na wysokich nogach biegały pająki.

Wydawało się, że nędzą surowej przyrody, zimna monotonia bezśnieżnej w listopadzie pustyni wyjąłowały ludzi. Nie tylko ich życie codzienne, ale i myśli były ubogie, jednakowo smętne.

Stopniowo Dariński podporządkował się tej piaszczystej, smętnej monotonii. Nigdy nie zwracał uwagi na to, co je, a tutaj stale myślał o obiedzie. Kwaśna bryja z marynowanych pomidorów i kaszy perłowej, zwanej przez żołnierzy „szrapnelem”, na pierwsze danie i tenże szrapnel na drugie stały się koszmarem jego życia. Kiedy w półmroku szopy siedział przy drewnianym stole, zalanym kałużami zupy, i patrzył na ludzi jedzących z płaskich blaszanych misek, robiło mu się tak smutno, że chciał czym prędzej wyjść ze stołówki, byle nie słyszeć stukania łyżek, nie czuć przyprawiającego o mdłości zapachu. Ale wychodził na powietrze i stołówka znowu ciągnęła go do siebie, myślał o niej, odliczał godziny do jutrzejszego obiadu.

Nocami w chałupkach było zimno, Darińskiemu źle się więc spało - marzył mu plecy, policzki, nogi, uszy, palce rąk. Spał, nie rozbiegając się, nogi owijał dwiema parami onuc, głowę obwiązywał ręcznikiem.

Początkowo dziwił się, że ludzie, z którymi się tu stykał, nie myśleli o wojnie, głowy mieli wypełnione problemami żarcia, machorki, prania. Ale wkrótce, rozmawiając z dowódcami dywizjonów i baterii o szykowaniu dział na zimę, o oleju wrzecionowym, o zabezpieczeniu zapasów amunicji, zauważył, że i jego głowa pełna jest najróżniejszych powszednich kłopotów bytowych, nadziei i smutków.

Sztab frontu wydawał mu się niedosiężny, daleki, marzył o czymś mniejszym, żeby pojechać na dzień do sztabu armii pod Elistę. Ale nie wyobrażał sobie spotkania z niebieskooką Ałłą Siergiej ewną; rozmyślał o łaźni, o wypranej bieliźnie, o zupie z makaronem.

Nawet nocleg u Bowy w jego pamięci wyglądał teraz miło; w tamtym ciasnym kurniku nie było tak źle. Poza tym nie o praniu z Bową rozmawiał i nie o zupie.

608 Dokuczały mu zwłaszcza wszy.

Przez długi czas nie wiedział, dlaczego tak często się teraz drapie, nie dostrzegał porozumiewawczego uśmiechu rozmówcy, kiedy podczas rozmowy służbowej nagle zawzięcie drapał udo lub pachę. Z dnia na dzień czochrał się coraz mocniej. Swędzenie koło obojczyków, pod pachami stało się czymś zwyczajnym.

Wydawało mu się, że dostał jakiejś egzemy, i tłumaczył to tym, że skórę ma suchą, rozjątrzoną kurzem i piachem.

Czasem świerzbienie było tak dokuczliwe, że kiedy szedł drogą, nagle zatrzymywał się i zaczynał skrobać w nogę, brzuch albo kość ogonową.

Szczególnie silnie swędziało go w nocy. Budził się i z wściekłością długo darł paznokciami skórę na piersi. Kiedyś, leżąc na plecach, zadarł nogi i zaczął się drapać po łydkach. Zauważył, że egzema nasila się pod wpływem ciepła. Pod kołdrą ciało swędziało i piekło absolutnie nie do zniesienia. Gdy wychodził w nocy na mróz, było trochę lepiej. Myślał, że wstąpi do punktu sanitarnego i poprosi o maść na egzemę.

Kiedyś rankiem odchylił kołnierz koszuli i zobaczył na nim wzdłuż szwów szereg

ospałych, solidnych wszy. Było ich wiele. Darieński z lękiem, ze wstydem obejrzał się na leżącego na sąsiednim łóżku kapitana; ten już się obudził, usiadł i z groźną miną tłukł wszy na swoich rozpiętych kalesonach. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, widocznie liczył trupy wrogów.

Darieński zdjął koszulę i poszedł w jego ślady.

Ranek był cichy, mglisty. Nie było słyhać żadnych strzałów, nie huczały samoloty i widocznie dlatego szczególnie wyraźnie słyhać było trzaskanie wszy ginących pod paznokciami oficerów.

Kapitan, zerkając na Darieńskiego, mruknął: - To ci zdrowa sztuka - jak niedźwiedzica! Pewnie maciora.

Nie odrywając oczu od kołnierza koszuli, Darieński zapytał: - Czy tu nie wydają proszku? - Wydają - odpowiedział tamten. - Ale co z tego? Potrzebna jest łaźnia, a tutaj brakuje wody nawet do picia. Talerzy w stołówce prawie nie zmywają, oszczędzają wodę. Co tu mówić o łaźni.

- A odwyszalnia? - E, niech ją diabli. Tylko mundur się niszczy, a wesz ma się jeszcze lepiej. Ech, jak stacjonowaliśmy w Pienzie, na tyłach, to się żyło! Nawet 609 nie chodziłem do stołówki. Jeść dawała gospodyni - kobita jeszcze niestara, do rzeczy. Dwa razy w tygodniu łaźnia, piwo codziennie.

Specjalnie zamiast „Penza” mówił „Pienza”.

- Co robić? - rzekł Darieński. - Do Pienzy daleko.

Kapitan, patrząc na niego poważnie, powiedział konspiracyjnym tonem: - Jest jeden dobry sposób, towarzyszu podpułkowniku. Tabaka! Trzeba natłuc cegły i mieszać z tabaką. Posypać bieliznę. Wesz zacznie kichać, rzucać się i rozbije sobie łeb o cegłę.

Twarz miał poważną, więc Darieński nie od razu zrozumiał, że kapitan przytacza ludowy dowcip.

Po kilku dniach usłyszał z dziesięć historii na ten temat. Folklor okazał się bogaty.

Dniem i nocą miał teraz głowę zajętą mnóstwem problemów: wyżywienie, pranie bielizny, zmiana munduru, proszek, prasowanie wszy za pomocą gorącej butelki, wymrażanie wszy, wypalanie wszy. O kobietach przestał myśleć, więc przypomniało mu się powiedzonko, które słyhał w obozie od kryminalnych: „Życ może będzie, ale za babami to już sobie nie polata”.

59 Cały dzień Darieński spędził na pozycjach dywizjonu artyleryjskiego.

Przez cały ten czas nie słyhał ani jednego strzału, żaden samolot nie pojawił się w powietrzu.

Dowódca dywizjonu, młody Kazach, powiedział mu, powoli, wyraźnie wymawiając rosyjskie słowa: - Ja myślę, że w przyszłym roku tu basztan trzeba założyć. Przyjedźcie do nas na melony.

Dowódcy dywizjonu nie było tutaj źle. Żartował, pokazując białe zęby; na krzywych, krótkich nogach bez trudu i szybko chodził po głębokim piasku, przyjaźnie

spoglądał na wielbłądy stojące w uprzęży koło chatynek krytych kawałkami papy.

Ale dobry nastrój młodego Kazacha drażnił Darińskiego, który pragnąc samotności, wyprawił się pod wieczór na pozycje ogniowe pierwszej baterii, chociaż był tam już za dnia.

610 Wzeszedł księżyc - niesamowicie wielki, bardziej czarny niż czerwony. Purpurowy z wysiłku, wspinał się po przejrzystym mroku nieba, i w jego gniewnym świetle jakoś osobliwie, niepokojąco wyglądała pustynia, działa z długimi lufami, rusznice przeciwpancerne i moździerz. Drogą ciągnęła karawana wielbłądów zaprzężonych w skrzypiące wiejskie wozy, załadowane jaszczami artyleryjskimi i pudłami z sianem, i wszystko, co było rozłączone, złączyło się - ciągniki, furgonetka ze sprzętem drukarni gazety wojskowej, cienki maszt radiostacji, długie szyje wielbłądów, i ich płynny chód, taki jakby w całym wielbłądzim ciele nie było ani jednej normalnej kości, a wszystkie z kauczuku.

Wielbłądy przeszły, a w mroźnym powietrzu uniósł się wiejski zapach siana. Taki sam właśnie, olbrzymi, bardziej czarny niż czerwony księżyc wypływał nad puste pole, na którym walczyła drużyna kniazia Igora. Taki sam księżyc wisiał na niebie, kiedy chmury Persów szły na < Grecję, rzymskie legiony wdzierały się w lasy Germanii, kiedy bataliony pierwszego konsula spędzały noc pod piramidami.

Ludzka świadomość, zwracając się ku przeszłości, zawsze przesiewa ją przez gęste sito: zostają na nim grudki wielkich wydarzeń, a przela-tują przez nie cierpienia żołnierzy, ich niepokój, smutek. W pamięci zostaje pusty przekaz, w jakim szyku były ustawione zwycięskie wojska, a w jakim te, które przegrały, liczba rydwanów, katapult, słońi czy armat, czołgów i bombowców, biorących udział w bitwie. A także opowieść o tym, jak mądry i mający szczęście wódz związał centrum i uderzył na skrzydło, i jak posiłki, które nagle wyłoniły się zza wzgórz, rozstrzygnęły o wyniku walki. To już wszystko, jeśli nie liczyć starej historii o tym, że po powrocie do kraju zwycięzca został oskarżony o zamiar obalenia władcy i w nagrodę za ocalenie ojczyzny położył głowę albo, jeśli rzeczywiście miał szczęście, wykpił się zesłaniem.

A to stworzony przez malarza obraz dawnej bitwy: olbrzymi, zamglony księżyc nisko zawisł nad polem chwały; z szeroko rozrzuconymi rękami, zakuci w kolczugi, śpią bohaterowie; poniewierają się rozbite rydwany albo rozbite czołgi, a tu znów zwycięzcy z automatami, w rozwianych płaszczach-pałatkach, w rzymskich hełmach ze spiżowymi orłami, w futrzanych grenadierskich czapach.

Dariński, skulony, siedział na jaszczu, na pozycji ogniowej baterii, i słuchał rozmowy dwóch żołnierzy, leżących pod szynelami przy działach. Dowódca baterii i politruk poszli do sztabu dywizji; artylerzystom 611 wydawało się, że podpułkownik, przedstawiciel sztabu frontu - kim jest, dowiedzieli się od łącznika - mocno zasnął. Z błogim zadowoleniem kurzyli więc skręty, wypuszczając kłęby ciepłego dymu.

Byli to najwyraźniej przyjaciele, związani tym, co zawsze znamionuje prawdziwą przyjaźń - pewnością, że każdy drobiazg z życia jednego jest ciekawy i ważny dla drugiego.

- No i co? - pytał jeden niby kpiąco i obojętnie.

A drugi, niby to niechętnie, odpowiadał: - Co, co, jakbyś nie wiedział co! Nogi człowieka bołą, nie da się chodzić w takich butach.

- No i co? - No i zostałem w tych buciorach, nie będę przecież chodził boso.

- Aha, znaczy się, nie dał butów - powiedział drugi, a w jego głosie nie było śladu drwiny czy obojętności; był bardzo zainteresowany sprawą.

Następnie zaczęli mówić o domu.

- Co pisała moja? Tego nie ma, tamtego nie ma, to chłopczyk chory, to dziewczynka. No wiesz, jak to kobita.

- A moja to pisze: „Wy tam na froncie to nic, macie przydziały, a my tu całkiem zdychamy, tak jest ciężko”.

- Babski rozum - rzekł pierwszy. - Siedzi taka daleko na tyłach i pojęcia nie ma, co to znaczy być na pierwszej linii. Tylko twój przydział widzi.

- Właśnie - zgodził się drugi - nafty nie dostała i myśli, że już nic gorszego nie mogło jej spotkać.

- No jasne, w kolejce trudniej stać niż w tych piachach rzucać butelkami w czołgi.

Mówił o czołgach i butelkach, chociaż i on, i rozmówca wiedzieli, że Niemcy ani razu nie wysłali tutaj czołgów.

I od razu, nie dokończywszy tej wiecznej rozmowy na tematy rodzinne, którą można toczyć nawet podczas wojny, nocą, na pustkowiu - kto ma ciężiej w życiu, kobieta czy mężczyzna - jeden z nich powiedział: - Moja zresztą jest chora, kręgosłup jej nawala; jak podniesie coś ciężkiego, to potem musi leżeć przez tydzień.

Znowu wydawało się, że rozmowa zesła na całkiem inne tory; żołnierze zaczęli narzekać na to, jak beznadziejne, bezwodne dookoła są okolice.

612 Ten, który leżał bliżej Darieńskiego, powiedział: - Przecież nie pisze tak na złość; po prostu nie rozumie.

Wtedy pierwszy z artylerzystów dodał, żeby odciąć się od złych słów, które mówił o żonach żołnierzy, i równocześnie nie całkiem się odciąć: - No właśnie. To z głupoty.

Potem zapalili, umilkli i zaczęli rozprawiać o bezpiecznych żyłkach i niebezpiecznych brzytwach, o nowym mundurze dowódcy baterii, o tym, że jakkolwiek człowiekowi byłoby ciężko, zawsze chce mu się żyć.

- Popatrz, jaka noc, wiesz, jeszcze jak chodziłem do szkoły, widziałem taki obraz: księżyc nad polem, a dookoła zabici rycerze.

- Co tu masz podobnego? - Drugi roześmiał się. - Tam byli rycerze, a my co, jak te wróbelki, gdzie nam do rycerzy.

60 Nagle cisza została naruszona, na prawo od siebie Darieński usłyszał wybuch. „Kaliber sto trzy” - określiło jego doświadczone ucho. Mózg przeszyły myśli, które zazwyczaj łączą się z wybuchami nieprzyjacielskich granatów i pocisków: „Przypadkowy? Pojedynczy? Wstrzeliwują się? Byle nie ogień krzyżowy. Może to nalot ogniowy? A może rzuca czołgi?” Wszyscy ludzie, nawykli do wojny, wsłuchali się i pomyśleli mniej więcej to samo, co pomyślał Darieński.

Ludzie nawykli do wojny umieją z setki dźwięków wydzielić ten jeden naprawdę niepokojący. Od razu, cokolwiek taki żołnierz by akurat robił - trzymał łyżkę w ręku czy czyścił karabin, pisał list, dłubał w nosie, czytał gazetkę albo po prostu bezmyślnie siedział, tak jak czasem w wolnych chwilach siedzi żołnierz - momentalnie odwraca głowę, nastawia doświadczonego ucha.

Odpowiedź nadeszła od razu. Usłyszeli kilka wybuchów z prawej strony, potem z lewej, i wszystko dookoła zatrzeszczało, zadudniło, poruszyło się, zadymiło.

To był nalot ogniowy! Przez dym, kurz, piasek przebijał się płomień wybuchów, z płomienia wydobywał się dym.

Ludzie biegli, upadali.

613 Pustynię wypełnił rozzierający krzyk. Pociski zaczęły rozrywać się w pobliżu wielbłądów i zwierzęta rzuciły się do ucieczki, przewracając wozy, wlokąc za sobą porwaną uprząż. Dariński, nie zwracając uwagi na eksplozje, wyprostował się, wstrząśnięty okropnym widowiskiem.

Jego mózg z niezwykłą jasnością przeszła myśl, że ogląda właśnie ostatnie dni swojej ojczyzny. Ogarnęło go przeczucie klęski. Ten straszny krzyk wielbłądów męczących się wśród piachów, te zatrwożone głosy, ci ludzie biegnący, by się ukryć! Rosja ginęła! Ginęła tutaj, zapędzona na zimne przyazjatyckie piachy, ginęła pod ponurym i obojętnym księżycem, i miła, bezgranicznie droga mowa rosyjska złała się z rykami przerażenia i rozpaczony rozbiegający się, pokaleczonych przez niemieckie pociski zwierząt.

W tej ciężkiej chwili nie czuł gniewu ani nienawiści, ale braterstwo wobec wszystkiego, co słabe i nieszczęśliwe na tym świecie; nie wiadomo czemu w pamięci wypłynęła ciemna, stara twarz spotkanego w stepie Kałmuka i nagle wydała mu się bliska, znajoma od dawna.

Cóż robić, taki los. Pomyślał, że nie musi żyć, jeśli klęska stanie się faktem.

Popatrzył na żołnierzy, którzy poprzysiadali w szczelinach, wyprostował się, gotów wziąć na siebie dowodzenie baterią w tym straceńczym boju, i krzyknął: - Ej, telefonista! Prędko do mnie! A huk wybuchów nagle ucichł.

Tej nocy na rozkaz Stalina trzech dowódcy frontów - Watutin, Rokossowski i Jeriomienko - wydali wojskom rozkaz natarcia, które w ciągu stu godzin rozstrzygnęło wynik bitwy stalingradzkiej, los trzystutysięcznej armii Paulusa i stało się przełomem w wojnie.

W sztabie czekała na Darińskiego depesza: miał pojechać do korpusu pancernego pułkownika Nowikowa i informować grupę Sztabu Generalnego o działaniach bojowych tego korpusu.

61 Wkrótce po rocznicy rewolucji niemieckie lotnictwo przeprowadziło zmasowany nalot na StałGRES. Osiemnaście samolotów zrzuciło ciężkie bomby na elektrownię.

614 Obłoki dymu zasłoniły ruiny, siła niszcząca niemieckiego lotnictwa całkowicie zatrzymała pracę elektrowni.

Po tym nalocie Spiridonowowi zaczęły mocno drżeć ręce; podnosząc kubek do

ust, rozlewał herbatę; czasem zmuszony był odstawiać naczynie na stół, czując, że drżące palce nie będą w stanie go utrzymać.

Palce przestawały drżeć, dopiero kiedy Spiridonow napił się wódki.

Kierownictwo zaczęło zwalniać robotników, a oni przeprawiali się okazją przez Wołgę i Tumak - uciekali stepem do Środkowej Achtuby i Lenińska.

Dyrekcja elektrowni zwróciła się do Moskwy z prośbą o pozwolenie na wyjazd; pobyt na linii frontu w ruinach stracił jakikolwiek sens. Moskwa zwlekała z odpowiedzią, więc Spiridonow mocno się denerwował.

Organizator partyjny od razu po nalocie został wezwany do KC, więc odleciał douglasem do Moskwy.

Spiridonow i Kamyszow snuli się wśród ruin elektrowni, przekonując się nawzajem, że nie mają tu nic więcej do roboty i powinni się wynosić. Ale Moskwa ciągle milczała.

Stiepan Fiodorowicz bardzo przejmował się losem Wierę, która po przeprawie na lewy brzeg Wołgi poczuła się źle i nie mogła pojechać do Lenińska. Prawie stukilometrowa jazda po porozbijanej drodze na skrzyni ciężarówce, podskakującej i dudniącej na zamrożonych, skamieniałych grudach błota, była dla niej w ostatnich miesiącach ciężą czymś absolutnie niewskazanym.

Znajomi robotnicy zaprowadzili ją na wmarzniętą w przybrzeżny lód barkę, przerobioną na hotel robotniczy.

Wkrótce po drugim bombardowaniu elektrowni Wiera przysłała ojcu karteczkę przez mechanika kutra. Prosiła, żeby się nie martwił dano jej miejsce w ładowni, w wygodnym kąciku za przegródką.

Wśród ewakuowanych jest pielęgniarka; cztery kilometry od barki znajduje się szpital polowy, więc w wypadku jakichkolwiek komplikacji zawsze będzie można wezwać lekarza. Na barce jest grzałka, piec; jedzenie gotuje się wspólnie z produktów, które przysyła komitet obwodowy.

Chociaż Wiera prosiła ojca, żeby się nie martwił, każde słowo w liściku napęniało Stiepana Fiodorowicza trwogą. Chyba jedno tylko go pocieszało: Wiera pisała, że w czasie walk barka ani razu nie ucierpiała.

Gdyby udało mu się przeprowadzić na lewy brzeg, z pewnością postarałby się o samochód osobowy albo sanitarkę i dowiózł Wierę choćby do Środkowej Achtuby.

A Moskwa ciągle milczała, nie odwoływała dyrektora i głównego inżyniera, chociaż do pilnowania zrujnowanego StalGRES-u wystarczyłoby teraz nieduży oddział zmilitaryzowanej straży. Ani personel techniczny, ani robotnicy nie mieli ochoty pętać się beczynniami po elektrowni; wszyscy od razu, kiedy tylko dostali zezwolenie Spiridonowa, szli do przeprawy.

Jedynie stary Andriejew nie chciał brać od dyrekcji skierowania na urzędowym papierze z okrągłą pieczęcią.

Kiedy po nalocie Stiepan Fiodorowicz zaproponował mu jazdę do Lenińska, gdzie mieszkała synowa z wnukiem, ten powiedział: - Nie, ja tu zostanę.



Wydawało mu się, że na stalingradzkim brzegu zachowa łączność ze swoim poprzednim życiem. Być może po jakimś czasie dotrze do osiedla przy fabryce traktorów. Będzie chodził wśród spalonych, rozbitych domów, przyjdzie do ogrodu, który założyła żona, podniesie, podeprze złamane drzewka, sprawdzi, czy zakopane rzeczy są na miejscu, po czym usiądzie na kamieniu przy zwałonym płocie.

- Ano, Warwara, znaczy się maszyna do szycia, jest na miejscu, nawet nie zardzewiała, a w piwnicy kiszona kapusta w beczce tylko z wierzchu zapleśniała.

Stiepan Fiodorowicz miał ochotę pogadać o swoich sprawach z Krymowem, ale po rocznicy rewolucji Krymow już się w StałGRES-ie nie pokazał.

Spiridonow i Kamyszow postanowili czekać do siedemnastego listopada i wtedy odejść - w StałGRES-ie nie mieli już absolutnie nic do roboty.

Niemcy od czasu do czasu nadal ostrzeliwali elektrownię, więc Kamyszow, który po zmasowanym nalocie zrobił się bardzo nerwowy, mówił: - Stiepanie Fiodorowiczu, na pewno wywiad mają do niczego, skoro nadal wałą. Lotnictwo w każdej chwili może znowu uderzyć. Znacie Niemców, są jak byki - będą bodli puste miejsce.

Osiemnastego listopada Stiepan Fiodorowicz pożegnał się ze strażą, ucałował Andriejewa, po raz ostatni objął wzrokiem ruiny elektrowni i opuścił ją, nie doczekawszy się formalnego pozwolenia z Moskwy.

616 Długo, uczciwie i ciężko pracował w StałGRES-ie podczas walk stalingradzkich. Jego praca była tym trudniejsza i tym godniejsza podziwu, że bał się wojny, nie przywykł do warunków frontowych, na samą myśl o nalotach drętwiał ze strachu, mdlał podczas bombardowań. A jednak pracował.

Szedł z walizką i tobołkiem na ramieniu, oglądał się, machał ręką do Andriejewa stojącego przy rozwalonej bramie, oglądał się na Dom Technika z wybitymi szybami, na ponure ściany wydziału turbin, na lekki dymek nad płonącymi w dalszym ciągu izolatorami olejowymi.

Odszedł ze StałGRES-u, kiedy stał się tam niepotrzebny, na dzień przed radzieckim natarciem.

Ale ten jeden dzień, którego nie doczekał, w oczach wielu ludzi przekreślił całą jego uczciwą i trudną pracę. Chociaż przedtem mieli go za bohatera, teraz zaczęli go nazywać tchórzem i dezserterem.

On sam zresztą na długo zachował w duszy to dręczące uczucie, wspominając, jak szedł i oglądał się, machał ręką, a przy bramie stał ponury, samotny starzec i patrzył w ślad za nim.

62 Wiera urodziła syna.

Leżała w ładowni barki na łożku skleconym z nieociosanych desek, kobiety ponarzucały na nią szmat, żeby jej było ciepło. Koło niej leżało dziecko zawinięte w prześcieradełko, i gdy ktokolwiek, zaglądając do niej, odsuwał zasłonkę, widziała ludzi, mężczyzn i kobiety, szmaty zwisające z górnej pryczy, słyszała krzyk dziecka i odgłosy krzątania. W głowie miała mgłę; mgła unosiła się też w zadymionym powietrzu.

W ładowni było duszno, a przy tym bardzo zimno, tu i ówdzie na ścianach z desek wystąpił gruby szron. Nocami ludzie spali, nie zdejmując walonków i waciaków,

kobiety cały dzień chodziły pozawijane w chusty i podarte koce, chuchały na marznące palce.

Światło ledwo przebijało się przez małe okienko, znajdujące się prawie na poziomie lodu, więc za dnia w ładowni panował półmrok.

A wieczorami palono kaganki - lampki bez szkła. Twarze ludzi były czarne od kopci. Kiedy otwierano właz, do ładowni wdzierały się kłęby pary - jak dym z pocisku, który eksplodował.

617 Kudłate staruchy rozczesywały siwe i szpakowate włosy, starcy siedzieli na podłodze z kubkami wrzątku wśród pstrokatych poduszek, tobołków, drewnianych walizek, po których, bawiąc się, łąziły opatulone w chusty dzieci.

Ponieważ dziecko leżało przy jej piersi, Wiera miała wrażenie, że zmieniły się jej myśli, jej stosunek do wszystkich ludzi, zmieniło się jej ciało.

Myślała o przyjaciółce, Zinie Mielnikowej, o swojej opiekunce, starej Siergiejewnie, o wiośnie, o matce, o podartej koszuli, o watowanej kołdrze, o Sierioży i o Toli, o mydle do prania, o niemieckich samolotach, o schronie w StałGRES-ie, o swoich niemytych włosach, i wszystkie myśli, które przebiegały jej przez głowę, przeniknięte były uczuciem do dziecka; wszystko się z nim łączyło, miało znaczenie lub go nie miało tylko w związku z nim.

Patrzyła na swoje ręce, nogi, na piersi, palce. To już nie były ręce, grające w siatkówkę, piszące wypracowania, przewracające kartki książki.

To nie były nogi wbiegające po schodach do szkoły, rozpryskujące ciepłą wodę w rzece, poparzone przez pokrzywy, nogi, na które patrzyli mężczyźni oglądający się na ulicy za Wierą.

Myśląc zaś o dziecku, równocześnie myślała o Wiktorowie.

Lotniska są dyslokowane na Zawołżu, Wiktorow jest przy niej, Wołga już ich nie rozdziela.

Zaraz do ładowni wejdą lotnicy, spyta ich: „Znacie lejtnanta Wiktorowa?” A ci odpowiedzą: „Znamy”. „To powiedzcie mu, że tu jest jego syn, i żona też”.

Kobiety przychodziły do niej za zasłonkę, kręciły głowami, uśmiechały się, wzdychały, niektóre zaczynały płakać, nachylając się nad malutkim.

Płakały nad sobą i uśmiechały się do noworodka; żeby je zrozumieć, nie trzeba było słów.

Jeśli Wierze zadawano pytania, to sens ich sprowadzał się wyłącznie do tego, jaką jest matką - czy ma pokarm w piersiach, czy nie zaczyna się zapalenie, czy nie dusi jej wilgotne powietrze.

Trzeciego dnia po porodzie odwiedził ją ojciec. Z walizeczką, z tobołkiem, nieogolony, z kołnierzem płaszczu podniesionym i obwiązany krawatem, ze zziębniętymi na mroźnym wietrze policzkami i nosem nie przypominał już dyrektora StałGRES-u.

618 Kiedy podszedł do jej łóżka, zobaczyła, że swoją zmarzniętą twarz zwrócił najpierw nie ku niej, ale ku stworzeniu, które obok niej leżało.

Odwrócił się od niej, a po drgających ramionach poznała, że płacze, i zrozumiała: płacze dlatego, że żona nigdy nie dowie się o wnuku, nie pochyli się nad nim, tak jak on przed chwilą.

Dopiero potem, zły i zawstydzony, że się rozmasał na oczach dziesiątków ludzi, odezwał się niskim od mrozu głosem: - No więc zrobiłaś mnie dziadkiem.

Pochylił się nad Wierą, ucałował ją w czoło, pogłaskał po ramieniu zimną ręką. Potem powiedział: - W rocznicę rewolucji Krymow był w StałGRES-ie. Nie wiedział, że mamy nie ma. Ciągłe pytał o Żenię.

Nieogolony staruszek w granatowej bluzie, z której wylaziły kłaki zbitej waty, rzekł z zadyszką: - Towarzyszu Spiridonow, tutaj i Kutuzowa, i Lenina, i Bohatera dają za to, żeby natłuc jak najwięcej ludzi. Ilu wybili i naszych, i ichnich.

To jaką gwiazdę - chyba dwukilową, trzeba przypiąć waszej córce, że na takiej katordze dała nowe życie.

To był pierwszy człowiek, który po urodzeniu dziecka powiedział coś o samej matce.

Stiepan Fiodorowicz postanowił zostać na barce, poczekać, aż Wiera się wzmocni, i razem z nią pojechać do Lenińska. To było po drodze do Kujbyszewa, dokąd wybierał się po nowy przydział. Widząc, że na barce z wyżywieniem jest całkiem źle, że trzeba natychmiast pomóc córce i wnukowi, Stiepan Fiodorowicz, kiedy już się ogrzał, poszedł szukać stanowiska dowodzenia komitetu obwodowego, które znajdowało się gdzieś w lesie, niedaleko. Miał nadzieję, że przez przyjaciół zdobędzie tam cukier i jakiś tłuszcz.

63 Ten dzień był w ładowni wyjątkowo ciężki. Chmury zawisły nad Wołgą.

Na brudnym, zabłoconym i zaśmieconym lodzie nie bawiły się dzieci, kobiety nie prały bielizny w przerębli, mroźny wiatr z niżu wyrывał wmarznięte w lód kawałki szmat, przedzierał się do ładowni przez szczeliny we włazie, wypełniał barkę wyciem i skrzypieniem.

619 Odrętwiali ludzie siedzieli, otulając się chustami, waciami, kołdrami. Najbardziej rozmowne babcie ucichły, wsłuchiwały się w huk wiatru, w trzeszczenie desek.

Zaczęło się ściemniać i wydawało się, że ta ciemność powstała z nieznośnego ludzkiego smutku, z wykańczającego wszystkich zimna, z głodu, brudu, z niekończącej się wojennej udręki.

Wiera, leżąc po brodzie przykryta waciakiem, czuła na policzkach prąd zimnego powietrza, wdzierającego się do ładowni przy każdym ataku wiatru.

W tych chwilach wszystko wydawało się beznadziejnie złe - Stiepan Fiodorowicz nie może jej stąd zabrać, wojna nigdy się nie skończy, Niemcy wiosną rozpełzną się po Uralu, po Syberii, na niebie zawsze będą jęczały ich samoloty, zawsze będą zrzucały bomby.

Po raz pierwszy zwątpiła w to, że Wiktorow znajduje się gdzieś blisko niej. Czy to mało jest frontów? Może nawet nie ma go ani na froncie, ani na tyłach? Odsunęła prześcieradełko, wpatrując się w twarz dziecka. Dlaczego ono płacze, widocznie

przyjmuje od niej smutek, tak jak przyjmuje od niej ciepło i mleko.

Tego dnia wszystkich przybiła potęga zimna, okrucieństwo mroźnego wiatru, ogrom wojny na wielkich rosyjskich nadrzecznych równinach.

Czy długo można znosić takie straszliwe, głodne i chłodne życie? Do Wieri podeszła stara Siergiejewna, która odbierała poród, i powiedziała: - Oj, coś mi się dzisiaj nie podoba, pierwszego dnia lepiej wyglądałaś.

- Nie szkodzi - odparła Wiera. - Tato jutro przyjedzie, przywiezie jedzenie.

Siergiejewna, chociaż była zadowolona, że położnica dostanie tłuszcz i cukier, wybuchnęła złością: - Wy, dyrektory, zawsze się nażrecie, dla was zawsze coś się znajdzie.

A dla nas nic tylko zmarznęte kartofle.

- Cicho! - zawołał ktoś. - Cicho! W drugim końcu ładowni słychać było niewyraźny głos.

Nagle inny głos zabrzmiał donośnie, tłumiąc wszystkie inne dźwięki.

Jakiś człowiek przy świetle kaganka czytał: 620 - „W ciągu ostatniej godziny... Z powodzeniem przeprowadzona ofensywa naszych wojsk w rejonie Stalingradu... W tych dniach nasze wojska, dyslokowane na przedpolach Stalingradu, przeszły do natarcia przeciwko wojskom niemiecko-faszystowskim. Natarcie zaczęło się w dwóch kierunkach: z północnego zachodu i terenów położonych na południe od Stalingradu...” Ludzie stali w milczeniu i płakali. Niewidzialna, cudowna więź wytworzyła się między nimi a tymi chłopcami, którzy osłaniając twarze od wiatru, brnęli teraz w śniegu albo zakrwawieni leżeli na śniegu i gasnącym wzrokiem żegnali się z życiem.

Płakali starcy i kobiety, płakali robotnicy; dzieci o niedziecięcym wyrazie twarzy stały obok dorosłych i też słuchały tych słów.

„Nasze wojska zajęły miasto Kałacz na wschodnim brzegu Donu, stację Kriwomuzgińską, stację i miasto Abgasarowo...” - czytał dalej ten człowiek.

Wiera płakała razem ze wszystkimi. Ona też czuła więź między tymi, którzy szli w nocnych, mroźnych ciemnościach, padali, wstawali i znowu padali, żeby już nie wstać, a tą ładownią, gdzie udręczeni ludzie słuchali wiadomości o natarciu.

Tamci idą na śmierć dla niej, dla jej syna, dla kobiet z popękkanymi od lodowatej wody rękami, dla staruszków i dzieci, dla matek okutanych podartymi chustami.

Płacząc, myślała z zachwytem, że jej mąż przyjdzie do niej tutaj, a kobiety i starzy robotnicy obstąpią go i powiedzą do niego: „Synku...” A człowiek, który czytał komunikat Sowinformbiura, zakończył go wiadomością: „Ofensywa naszych wojsk trwa”.

64 Dyżurny w sztabie przekazał dowódcy 8. armii powietrznej informacje o aktywności bojowej pułków myśliwskich w pierwszym dniu natarcia.

Generał przejrzał rozłożone przed nim papiery i powiedział do dyżurnego: - Ma pecha ten Zakabluka, wczoraj strącili mu komisarza, dzisiaj dwóch pilotów.

621 - Dzwoniłem do sztabu pułku, towarzyszu dowódco - rzekł dyżurny.

Towarzysza Bermana pochowają jutro. Członek rady wojennej obiecał, że przyleci do pułku, wygłosi przemówienie.

- Nasz członek rady lubi przemówienia - zauważył dowódca, uśmiechając się.

- A z pilotami, towarzyszu dowódco, było tak: lejtnant Korol trafiony nad miejscem dyslokacji trzydziestej ósmej gwardyjskiej, a dowódcę klucza, starszego lejtnanta Wiktorowa, zapaliły messery nad niemieckim lotniskiem. Nie dociągnął do linii frontu, spadł na wzgórze, akurat w strefie neutralnej. Piechota widziała, próbowała do niego podejść, ale Niemcy nie dali.

- Cóż, zdarza się - przytaknął dowódca i podrapał się ołówkiem po nosie. - Wiecie co, połączcie się ze sztabem frontu i przypomnijcie, że Zacharow obiecał nam wymienić willysa, bo niedługo w ogóle nie będzie czym jeździć.

Przez całą noc martwy lotnik leżał na zaśnieżonym wzgórzu. Był duży mróz, więc gwiazdy świeciły bardzo jasno. A o świcie całe wzgórze się zaróżowiło; lotnik leżał więc na różowym wzgórzu. Potem powiał wiatr przyziemny, który martwe ciało stopniowo zasypywał śniegiem.

**CZĘŚĆ TRZECIA 1** Na kilka dni przed rozpoczęciem ofensywy stalingradzkiej Krymow zameldował się na podziemnym stanowisku dowodzenia 64. armii.

Siedzący przy biurku adiutant członka rady wojennej Abramowa jadł akurat rosół z kury i zagryzał go pierogiem.

Odłożył łyżkę, a po jego sapnięciu można się było domyślić, że zupa mu smakuje.

Kiedy zameldował Krymowa, za przegródką zrobiło się cicho; potem rozległ się ochrypli, znany już Krymowowi głos, ale tym razem słowa brzmiały ciszej, więc nie mógł ich rozróżnić.

Adiutant wyszedł i powiedział: - Członek rady wojennej nie może was przyjąć.

Krymow zdziwił się.

- Nie prosiłem o przyjęcie. Towarzysz Abramow mnie wzywał.

Adiutant nic nie mówił, wpatrywał się w zupę.

- To znaczy, że zmienił decyzję? Nic nie rozumiem.

Wyszedł ze schronu na górę i poszedł rowem ku brzegowi Wołgi tam gdzie mieściła się redakcja armijnej gazety.

Szedł zły na bezsensowne wezwanie; zły, że niespodziewanie nabrał apetytu na cudzy pieróg; wsłuchiwał się w beładną i leniwą kanonadę dział, dolatującą od strony wąwozu Kuporosnego.

W stronę wydziału operacyjnego szła dziewczyna w szynelu i furażerce. Krymow przyjrzał się jej i pomyślał: „Bardzo ładna”.

Zwyczajna w takich chwilach tęsknota ścisnęła jego serce, pomyślał bowiem o Żeni. Od razu, tak samo z nawyku, skarcił się w duchu ironicznie: »Goń za nią, goń!"; zaczął wspominać nocleg w stancy i młodą Kozaczkę.

625 Potem pomyślał o Spiridonowie: „Porządny człowiek, chociaż oczywiście

żaden z niego Spinoza".

Wszystkie te myśli, leniwą kanonadę, złość na Abramowa, jesienne niebo pamiętała później z niesamowitą wyrazistością.

Usłyszał z tyłu wołanie. To wołał go sztabowiec z zielonymi belkami kapitana, który szedł w ślad za nim od punktu dowodzenia.

Krymow popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Tutaj, tutaj, proszę - niezbyt głośno powiedział kapitan, wskazując ręką drzwi chaty.

Krymow wszedł do środka, mijając wartownika.

Znalazł się w izbie, gdzie stało biurko, a na ścianie z desek wisiał przyczepiony pluskiewkami portret Stalina.

Krymow oczekiwał, że kapitan zwróci się do niego mniej więcej tak: „Wybaczcie, towarzyszu komisarzu batalionowy, czy nie zechcielibyście przekazać na lewy brzeg naszego raportu dla towarzysza Toszczewewa?” Ale kapitan odezwał się inaczej.

Powiedział tak: - Oddajcie broń i dokumenty osobiste.

Zdumiony Krymow odpowiedział słowami, które nie miały już najmniejszego sensu: - A to jakim prawem? Najpierw pokażcie mi swoje dokumenty, zanim zażądacie moich.

Następnie, kiedy przekonał się o tym, co zdawało się zupełnie bezsensowne i niesłychane, ale w co nie sposób było wątpić, wypowiedział słowa, które w podobnej sytuacji mamrotało przed nim tysiące ludzi: - To jakieś szaleństwo, nieporozumienie, nic z tego nie rozumiem.

Ale to już nie były słowa człowieka wolnego.

- Udajesz głupiego? Odpowiadaj! Kto cię zwerbował, kiedy byłeś w okrążeniu? Przesłuchiwano go na lewym brzegu Wołgi, w wydziale specjalnym frontu.

Malowana podłoga, okno i doniczki z kwiatami, zegar z ciężarkami na ścianie - wszystko to tchnęło spokojem prowincji. Swojskie i miłe 626 wydawało się nawet drżenie szyb i dudnienie dobiegające od strony Stalingradu - widocznie na prawym brzegu bombowce pozbywały się ciężaru.

Jakoś trudno było połączyć tego podpułkownika liniowego, siedzącego przy wiejskim kuchennym stole, ze śledczym o białych wargach, którego się spodziewał...

Nagle ów podpułkownik ze śladem kredy na ramieniu, którym oparł się widocznie o bielony piec, podszedł do siedzącego na wiejskim taborecie znawcy ruchu robotniczego w krajach kolonialnego Wschodu, człowieka, który nosił mundur wojskowy i gwiazdę komisarza na rękawie, człowieka, którego urodziła poczciwa, dobroduszna matka, i trzasnął go pięścią w głowę. Nikołaj Grigorjewicz przesunął ręką po ustach i po nosie, obejrzał swoją dłoń i zobaczył na niej krew zmieszaną ze śliną. Potem poruszył ustami. Język mu zeszywniał, wargi zdrętwiały. Popatrzył na malowaną, niedawno wymytą podłogę i przełknął krwawą ślinę.

Nocą ogarnęło go uczucie nienawiści do śledczego. W pierwszych chwilach jednak nie czuł ani nienawiści, ani fizycznego bólu. Uderzenie w twarz oznaczało

katastrofę duchową i nie mogło wywołać nic poza osłupieniem, odrętwieniem.

Krymow obejrzał się ze wstydem na wartownika. Żołnierz widział, jak bito komunistę! Bito komunistę Krymowa, bito w obecności chłopaka, dla którego dobra dokonano właśnie tej wielkiej rewolucji, a Krymow był jej uczestnikiem.

Podpułkownik popatrzył na zegarek. Był czas kolacji w stołówce dla szefów wydziałów.

Kiedy przez podwórze, przez brudną śnieżną kaszę, prowadzono Krymowa do więzienia z drewnianych belek, bardzo wyraźnie słychać było huk bombardowania, dolatujący od Stalingradu.

Pierwszą myślą, która nawiedziła go po okresie odrętwienia, było: niemiecka bomba może zburzyć to więzienie... Taka zwyczajna i taka podła myśl.

W dusznej komórcie o ścianach z bierwion zachłysnął się rozpaczą i wściekłością, bo tracił samego siebie. To przecież on, to on krzyczał ochryłym głosem, biegł do samolotu, witał swego przyjaciela Georgi Dymitrowa, to on nioś trumnę Klary Zetkin i to on zerkał ukradkiem, czy śledczy za chwilę uderzy go, czy nie. To on wyprowadził z okrażenia 627 ludzi, którzy mówili do niego „towarzyszu komisarzu”. I to na niego z obrzydzeniem patrzył kołchoźnik z automatem, na niego, komunistę, pobitego podczas przesłuchania przez komunistę...

Nie potrafił jeszcze uświadomić sobie niewyobrażalnego ciężaru słów „pozbawienie wolności”. Stawał się inną istotą, wszystko w nim musiało się zmienić, bo pozbawiono go wolności. W oczach mu ciemniało. Pójdzie do Szczerbakowa, do Komitetu Centralnego, ma możliwość zwrócenia się do Mołotowa, nie uspokoi się, póki łądjak podpułkownik nie zostanie rozstrzelany. Podnieście słuchawkę! Zadzwońcie do Priachina... Przecież sam Stalin słyszał o mnie, zna moje nazwisko. Towarzysz Stalin pytał kiedyś towarzysza Żdanowa: „Jaki Krymow, ten, co pracował w Kominternie?” A wtedy od razu Nikołaj Grigorjewicz poczuł pod nogami grząskie bagno; za chwilę wciągnie go to ciemne, lepkie, smoliste trzęsawisko bez dna... Zwaliło się na niego coś nie do pokonania, coś silniejszego od niemieckich dywizji pancernych. Utracił wolność.

Żeniu! Żeniu! Czy widzisz, gdzie jestem? Żeniu! Popatrz na mnie, znalazłem się w straszliwych opałach! Zupełnie samotny, porzucony, i to porzucony przez ciebie.

Ten wyrodek go bił. To mąciło w nim świadomość, palce same się zaciskały, tak bardzo chciał się rzucić na łądaka.

Podobnej nienawiści nie doświadczył ani wobec żandarmów, ani mienszewików, ani oficera SS, którego kiedyś przesłuchiwał.

W człowieku, który go poniżył, Krymow rozpoznawał nie kogoś obcego, ale siebie, Krymowa, tego samego, który jeszcze jako chłopiec płakał ze szczęścia, czytając słowa Manifestu komunistycznego: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” Doprawdy, straszne było to poczucie bliskości...

3 Zrobiło się ciemno. Niekiedy dudniący odgłos bitwy stalingradzkiej wypełniał małe, okropne więzienne pomieszczenie. Może Niemcy walili w Batiuka, w Rodimcewa broniącego słusznej sprawy.

Na korytarzu powoli robił się ruch. Otwierały się drzwi celi ogólnej, gdzie siedzieli dezercerzy, zdrajcy ojczyzny, maruderzy, gwałciciele. Co 628 chwila zgłaszali,

że chcą iść do latryny, a wartownik, zanim otworzył drzwi, długo się z nimi kłócił.

Kiedy Krymowa przywieziono tu ze stalingradzkiego brzegu, zamknięto go razem z innymi, ale nie na długo. Na komisarza z nieodprutą gwiazdą na rękawie nikt nie zwrócił uwagi; zapytali go tylko, czy nie ma papieru, żeby zrobić skręta. Ci ludzie pragnęli tylko jednego jeść, palić i załatwiać potrzeby naturalne.

Kto, kto wszczął sprawę? Cóż za rozdzierające uczucie: mieć świadomość swojej niewinności i równocześnie drżeć w poczuciu beznadziejnej winy. Kanał Rodimcewa, ruiny domu „sześć przez jeden”, białoruskie błota, zima w Woroneżu, przeprawy przez rzekę - przepało wszystko, co łatwe i szczęśliwe.

Miał teraz ochotę wyjść na ulicę, przespacerować się, unieść głowę i popatrzeć na niebo. Pójść po gazetę. Ogolić się. Napisać list do brata.

Napić się herbaty. Zwrócić pożyczoną na wieczór książkę. Spojrzeć na zegarek. Wybrać się do łaźni. Wyjąć z walizki chustkę do nosa. Nic z tego nie mógł zrobić. Został pozbawiony wolności.

Wkrótce wyprowadzono Krymowa z celi ogólnej na korytarz, a komendant zwymyślał wartownika: - Mówiłem ci przecież wyraźnie, po rosyjsku. Po cholere żęś go wsadził do ogólnej? No i czego gębę rozdziawiasz, chcesz iść na pierwszą linię, tak? Wartownik po odejściu komendanta zaczął się skarżyć Krymowowi: - Tak jest zawsze. Pojedyńka zajęta. Sam przecież mówił: Jak ma być rozstrzelany, to trzymać w pojedyncy. Jak was tam wsadzę, to co zrobię z tamtym? Wkrótce Nikołaj Grigorjewicz zobaczył, jak żołnierze z automatami wyprowadzają skazanego na rozstrzelanie z pojedynczej celi. Do wąskiej, wklęsłej potylicy skazańca przyłgnęły jasne włosy. Mógł mieć dwadzieścia lat, mógł też trzydzieści pięć.

Krymowa przeniesiono do wolnej już pojedynki. W półmroku dostrzegł na stole kociółek, a obok niego natrafił ręką na zająca ulepionego z chleba. Chleb był miękki, widocznie skazaniec całkiem niedawno jeszcze go miętosił; tylko uszy miał zając czerstwe.

Zrobiło się ciszej... Krymow z półotwartymi ustami siedział na pryczy, nie mógł spać - musiał myśleć o nazbyt wielu rzeczach. Ale ogłuszona głowa już nie umiała myśleć; Nikołaj Grigorjewicz czuł ucisk w skrośkach, w czaszce - jakieś tępe falowanie, wszystko się kręciło, chwiało, pluskało; nie miał się za co uchwycić, nie miał z czego wysnuć myśli.

Nocą znowu słyhać było hałas. Wartownicy wołali rozprowadzającego. W korytarzu rozległ się tupot butów. Komendant, którego Krymow poznał po głosie, powiedział: - Wyprowadź w cholere tego komisarza, niech posiedzi na wartowni. - I dodał: - Jak wypadek nadzwyczajny, to nadzwyczajny, dowódca się dowie.

Otworzyły się drzwi, żołnierz krzyknął: - Wychodzić! Krymow wyszedł. Na korytarzu stał bosy mężczyzna w bieliźnie.

Krymow widywał w życiu różne okropne rzeczy, ledwie jednak spojrzał na jego twarz, zrozumiał, że nie widział dotąd nic okropniejszego.

Była mała, straszliwie żółta. Cała płakała żałośnie - zmarszczkami, trzęsącymi się policzkami, ustami. Tylko oczy nie płakały, ale miały tak potworny wyraz, że lepiej byłoby ich nie oglądać.



- Dalej, dalej! - poganiał żołnierz Krymowa.

Na wartowni opowiedział mu, co się stało.

- Oni mnie straszą pierwszą linią, a tu jest gorzej niż na pierwszej linii, tu można wszystkie nerwy stracić... Poprowadzili na rozstrzelanie samouszkodzeniowca; strzelił sobie w rękę przez bochenek chleba.

Rozstrzelali, przysypali ziemią, a on w nocy ożył i z powrotem do nas przyszedł.

Z Krymowem rozmawiał, starając się nie używać formy „wy” ani „ty”.

- Partaczą tak, że ostatnie nerwy sobie człowiek starga. Nawet było starannie zarzynają. Wszystko to partactwo. Ziemia zmarznięta, to rozgrzebią burzan, przysypią byle jak i pójdą. No, jasna sprawa, że wylazł! Gdyby zakopywali zgodnie z instrukcją, w życiu by nie wylazł.

Krymow, który zawsze odpowiadał na pytania, tłumaczył, przemawiał ludziom do rozumu, teraz zdumiony zapytał żołnierza: - Ale dlaczego przyszedł jeszcze raz? Wartownik lekko się uśmiechnął.

- A jeszcze starszyna, który prowadził go w step, mówi, że trzeba mu dać chleba i herbaty, zanim znowu go wpiszą, a szef działu gospodarczego wściekły, robi awantury - jak go mam poić herbatą, kiedy on spisany na straty? I, według mnie, ma rację. Starszyna to może odstawić lipę, a gospodarczy ma za niego odpowiadać? 630 Krymow nagle spytał: - A w czasie pokoju kim byliście? - W cywilu w goschozie zajmowałem się pszczołami.

- Jasne - odrzekł Krymow, bo wszystko dookoła i nawet w nim samym stało się ciemne i szalone.

O świcie Krymowa znowu przenieśli do pojedynczej celi. Obok kociołka stał zając wyrzeźbiony z ośrodki chleba. Ale teraz był twardy, szorstki. Z ogólnej celi słychać było przypochebny głos: - Te, wartownik, bądź człowiekiem, zaprowadź za potrzebą, co? W stepie w tym czasie wzeszło czerwone słońce - na niebo wcisnął się zmarzły brudny burak, oblepiony grudkami ziemi i gliny.

Wkrótce Krymowa wsadzono na skrzynię półtoratonówki, obok niego usiadł sympatyczny lejtnant - przewodnik, któremu starszyna przekazał walizkę Krymowa, i ciężarówka, poskrzypując i podskakując po ściętym przez mrozy achtubińskim błocie, pojechała do Lenińska, na lotnisko.

Krymow wdychał wilgotny chłód, jego serce komisarza wypełniło się wiarą i światłem - wydawało się, że straszny sen dobiegł końca.

4 Nikołaj Grigorjewicz wysiadł z samochodu osobowego i obejrzał szary wawóz Łubianki. W głowie kręciło mu się od wielogodzinnego warkotu silników, od migających za oknem samolotu obrazów skoszonych i nieskoszonych pól, rzeczułek, lasów, od zmieniających się błyskawicznie nastrojów rozpaczy, pewności siebie i jej braku.

Drzwi się otworzyły i wszedł do rentgenowskiego królestwa dusznego urzędowego powietrza i wściekle jasnego urzędowego światła - wkroczył w życie trwające poza wojną, ponad wojną, pomimo wojny.

W pustym, dusznym pokoju przy reflektorowo jasnym świetle kazano mu się rozebrać do naga, i kiedy człowiek w fartuchu skrupulatnie obmacywał jego ciało,

Krymow, wstrząsając się, myślał, że metodycznym ruchom tych nieznanających wstydu palców nie przeszkodziłyby nawet salwy i pociski...

Martwy żołnierz, w którego masce gazowej leżała napisana przed atakiem notatka: „Padł za szczęśliwe życie radzieckie, w domu została żona i sześcioro dzieci”, spalony, smolistoczarny czołgista z kłakami włosów 631 przyklejonych do młodej głowy, wielomilionowe ludowe wojsko, które szło błotami i lasami, strzelało z armat, z karabinów maszynowych...

A palce robiły swoje, pewnie, spokojnie, kiedy komisarz Krymow krzychał pod ostrzałem: „Cóż to, towarzyszu Gienierałow, nie chcecie bronić radzieckiej ojczyzny?!” - Odwróćcie się, pochylcie, odsuńcie nogę.

Potem, już ubranego, fotografowano go z rozpiętym kołnierzykiem bluzy, z twarzą martwą i żywą, en face i z profilu.

Następnie z nieprzyzwoitą gorliwością odciskał palce na kartce papieru. Później zapobiegliwy funkcjonariusz poodcinał guziki z jego spodni i zabrał mu pas.

Potem jechał jaskrawo oświetloną windą, szedł długim i pustym korytarzem, wyłożonym chodnikiem, mijał drzwi z okrągłymi wizjerami. Sale kliniki chirurgicznej, oddział chorych na raka. Powietrze było ciepłe, urzędowe, oświetlone wściekłym światłem elektrycznym.

Instytut rentgenowski diagnostyki społecznej...

„Kto mnie tu wsadził?” W tym dusznym, ślepych powietrzu trudno było myśleć. Splątało się wszystko - sen, jawa, maligna, przeszłość, przyszłość. Tracił poczucie własnej tożsamości... Czy miałem matkę? Może mamy nie było. Żenia stała się obojętna. Gwiazdy wśród wierzchołków sosen, przeprawa przez Don, zielona niemiecka raca, proletariusze wszystkich krajów, łączcie się, za każdymi drzwiami są ludzie, umrę jak komunista, gdzie teraz jest Michaił Sidorowicz Mostowski, w głowie huczy, czyżby Griekow strzelił do mnie, kędzierzawy Grigorij Zinowjew, przewodniczący Kominternu, szedł tym korytarzem, jakie ciężkie, gęste powietrze, i to przekłete światło reflektorów... Griekow strzelał do mnie, śledczy dał mi w zęby, Niemcy też do mnie strzelali, co dzień jutrzejszy mi przyniesie, przysięgam wam, nie jestem niczemu winien, trzeba by się wysikać, świetni ci staruszkowie, którzy w rocznicę Października śpiewali u Spiridonowa, WCzK, WCzK, WCzK, Dzierżyński był gospodarzem tego domu, Gienrich Jagoda i jeszcze Mienżyński, a potem już malutki proletariusz z Pitra, z zielonymi oczami, Nikołaj Jeżow, dzisiaj uprzejmy i mądry Ławrientij Pawłowicz, a jakże, a jakże, spotykaliśmy się, toast na cześć, jak to śpiewaliśmy: „Na bój, robotniku, broń sprawy swej”, niczemu nie jestem winny, wysikać się trzeba, czyżby mieli mnie rozstrzelać...

632 To dziwne tak iść prostym jak strzała korytarzem, a życie jest takie poplątane, ścieżka, wąwozy, błota, strumyki, kurz stepowy, niezżęte zboże, przebijasz się, obchodzisz bokiem, a los jest prosty, idziesz prościutko, korytarze, korytarze, w korytarzach drzwi...

Krymow szedł miarowym krokiem, ani szybko, ani wolno, jakby miał wartownika nie za sobą, ale przed sobą.

Od pierwszych chwil na Łubiance zjawiało się nowe.

„Miejsce geometryczne punktów” - pomyślał, odbijając odcisk palca, i nie zrozumiał, dlaczego tak pomyślał, chociaż właśnie ta myśl wyrażała to nowe, które do niego przyszło.

Nowe uczucie zrodziło się, bo Krymow tracił siebie. Gdyby poprosił o wodę, dano by mu się napić, gdyby nagle dostał ataku serca i upadł, lekarz zrobiłby mu odpowiedni zastrzyk. Ale on już nie był Krymowem, czuł to wyraźnie, chociaż tego nie rozumiał. Już nie był towarzyszem Krymowem, który ubierając się, jedząc obiad, kupując bilet do kina, myśląc, kładąc się spać, nieustannie odczuwał, że jest sobą. Towarzysz Krymow różnił się od wszystkich ludzi i duszą, i umysłem, i przedrewolucyjnym stażem partyjnym, i artykułami publikowanymi w piśmie „Międzynarodówka Komunistyczna”, i różnymi nawykami i przyzwyczajeniami, nałogami, tonem, jaki przybierał w rozmowach z komsomolcami albo sekretarzami komitetów dzielnicowych Moskwy, robotnikami, starymi przyjaciółmi z partii, petentami. Jego ciało przypominało ciało ludzkie, jego ruchy, myśli były podobne ludzkim ruchom i myślom, ale istota towarzysza Krymowa - człowieka, jego godność, wolność - zniknęły.

Wprowadzono go do celi - prostokąt wyczyszczonego parkietu, cztery łóżka, koce ułożone starannie, bez fałd. Momentalnie poczuł, że trzech ludzi popatrzyli z ludzką ciekawością na czwartego człowieka.

Byli ludźmi; dobrymi czy złymi, tego nie wiedział; czy będą mu nieprzychylni, czy obojętni, też nie wiedział, ale to dobre, złe czy obojętne, co wychodziło od nich i kierowało się w jego stronę, było ludzkie.

Usiadł na łóżku, które mu wskazano, a trzech siedzący na pozostałych łóżkach i trzymający na kolanach otwarte książki patrzyli na niego w milczeniu. Powróciło wtedy to dziwne, drogocenne uczucie, które wydawało się utracone.

Jeden był masywny, z szeroką gębą, z masą siwych i niesiwych, po beethovenowsku zmierzwionych, kędzierzawych włosów nad niskim, nabitym czołem.

633 Drugi - staruszek o białych jak papier rękach, z kościaną łysą czaszką i twarzą jak metalowa płaskorzeźba; zdawało się, że w jego żyłach i tętnicach płynie śnieg zamiast krwi.

Trzeci, siedzący na łóżku obok Krymowa, wyglądał sympatycznie, miał czerwoną plamę na nasadzie nosa, ślad po niedawno zdjętych okularach; był chyba nieszczęśliwy i dobry. Wskazał palcem na drzwi, ledwie dostrzegalnie uśmiechnął się, pokręcił głową, a Krymow zrozumiał - strażnik patrzy przez judasza, trzeba więc siedzieć cicho.

Pierwszy odezwał się człowiek o zmierzwionych włosach.

- No cóż - powiedział leniwie i dobrodusznie - pozwolę sobie w imieniu społeczności powitać siły zbrojne. Skąd jesteście, drogi towarzyszu? Krymow uśmiechnął się zakłopotany.

- Ze Stalingradu.

- Ho, ho, miło widzieć uczestnika heroicznej obrony. Witamy w naszej izbie.

- Palicie? - szybko spytał białolicy staruszek.

- Palę - odrzekł Krymow.

Stary kiwnął głową i wbił wzrok w książkę. Wtedy sympatyczny, krótkowzroczny sąsiad wyjaśnił: - Chodzi o to, że zawiodłem kolegów; powiedziałem, że nie palę, więc nie dostaję przydziałowego tytoniu.

I zapytał: - Dawno ze Stalingradu? - Dziś rano jeszcze tam byłem.

- Ho, ho - rzekł olbrzym. - Douglasem? - Tak jest - potwierdził Krymow.

- Opowiedzcie, jak tam Stalingrad. Nie zdążyliśmy zaprenumerować gazet.

- Chcecie pewnie zjeść? - zapytał miły krótkowidz. - Bo myśmy już jedli kolację.

- Nie chcę jeść - odparł Krymow. - A Stalingradu Niemcy nie zdobędą. Teraz to jest absolutnie pewne.

- Zawsze byłem tego pewien - powiedział olbrzym. - Synagoga stała i będzie stać.

Stary głośno zatrzaskał książkę i zapytał Krymowa: - Jesteście oczywiście członkiem partii komunistycznej? - Tak, jestem komunistą.

634 - Ciszej, ciszej, mówcie tylko szeptem - ostrzegł miły krótkowidz.

- Nawet o przynależności do partii - rzekł olbrzym.

Jego twarz wydała się Krymowowi znajoma i nagle przypomniał sobie: to sławny moskiewski konferansjer. Kiedyś Krymow był z Żenią na koncercie w Sali Kolumnowej i widział go na scenie, A więc teraz się spotkali.

W tej chwili drzwi się otwarły, zajrzał strażnik i spytał: - Kto na „ka”? Olbrzym odpowiedział: - Ja na „ka”, Katzenellenbogen.

Wstał, przycesał dłonią kudłatą czuprynę i niespiesznie podszedł do drzwi.

- Na przesłuchanie - szepnął sympatyczny sąsiad.

- A dlaczego „na ka”? - Taka jest zasada. Przedwczoraj strażnik go wywołał: „Który tu Katzenellenbogen na «ka»?” Bardzo śmieszne. Dziwak.

- Tak, pośmialiśmy się - rzekł stary.

„A ty tu za co się dostałeś, stary buchalterze? - pomyślał Krymow. Ja też jestem na «ka»”.

Aresztowani zaczęli układać się do snu, a wściekłe światło nadal się paliło, więc Krymow czuł całą powierzchnią skóry, że ktoś obserwuje go przez judasza: jak rozwija onuce, podciąga kalesony, drapie się w pierś. To światło było szczególne, paliło się nie dla ludzi w celi, ale dlatego, żeby lepiej było ich widać. Gdyby ciemność zapewniała lepszą widoczność, trzymano by ich w ciemności.

Stary buchalter leżał odwrócony twarzą do ściany. Krymow i jego krótkowzroczny sąsiad rozmawiali szeptem, nie patrząc na siebie, zasłaniając dłonią usta, żeby strażnik nie widział, jak poruszają się ich wargi.

Od czasu do czasu popatrywali na puste łóżko: jak też dowcipkuje teraz konferansjer na przesłuchaniu.

Sąsiad powiedział szeptem: - Wszyscy w celi staliśmy się zajęciami, szarakami.

Jak w bajce: czarodziej dotknął ludzi różdżką, a oni zamienili się w zające.

Zaczął opowiadać o sąsiadach.

Stary był socjaldemokratą, mienszewikiem albo też eserowcem; Nikołaj Grigorjewicz gdzieś słyszał jego nazwisko - Drehling. Drehling przesiedział w więzieniach, izolatorach dla politycznych i obozach Ponad dwadzieścia lat, zbliżał się do rekordów osiągniętych przez 635 więźniów Szlisselburga - Morozowa, Noworuskiego, Frolenkę i Figner.

Teraz przywieziono go do Moskwy w związku z właśnie rozpoczętą nową sprawą - wygłaszał w obozie wykłady dla rozkułaczonych na temat kwestii agrarnej.

Konferansjer miał równie długi staż na Łubiance jak Drehling w więzieniach - ponad dwadzieścia lat. Zaczął pracować w WCzK za Dzierżyńskiego, potem za Jagody pracował w OGPU, za Jeżowa w NKWD, za Berii w NKGB. To w aparacie centralnym, to znów kierując wielkimi budowlami obozowymi.

Krymow pomylił się także co do swego rozmówcy, Bogolejewa.

Urzędnik okazał się historykiem sztuki, ekspertem od zasobów muzealnych, poetą, ale jego wierszy nigdzie nie publikowano - to, co pisał, nie współbrzmiało z epoką.

Bogolejew znowu powiedział szeptem: - Rozumie pan, wszystko, wszystko to zniknęło, i jestem teraz zającem z bajki.

Jakie to bezsensowne, jakie strasznie; przecież na świecie nie było nic poza forsowaniem Bugu, Dniepru, poza okrążeniem pod Piriatińskim i bagnami owruckimi, kurhanem Mamaja, wawozem Kuporosnym, domem „sześć przez jeden”, raportami politycznymi, zużyciem amunicji, rannymi politrukami, nocnymi atakami, pracą polityczną w walce i w marszu, nic poza wstrzeliwaniem się, rajdami pancernymi, moździerzami. Sztabem Generalnym, cekaemami...

Wszak w tym samym świecie, w tym samym czasie, nie było nic oprócz nocnych śledstw, pobudek, apeli, chodzenia pod eskortą do ubikacji, papierosów wydawanych według rozdzielnika, rewizji, konfrontacji, śledczych, wyroków trybunału specjalnego.

A przecież było i jedno, i drugie.

Dlaczego jednak wydawało się Krymowowi naturalne, nieuniknione, że jego pozbawieni wolności sąsiedzi siedzieli w celi więzienia wewnętrznego? Jednocześnie zaś czymś idiotycznym, bezsensownym, czymś nie do pomyślenia było to, że on, Krymow, znalazł się w tej celi, na tym łóżku? Teraz miał nieprzepartą ochotę mówić o sobie. Nie wytrzymał i odezwał się: - Zostawiła mnie żona, nie mam od kogo spodziewać się paczki.

A łóżko olbrzymiego czekisty było puste do rana.

636 5 Kiedyś, przed wojną, Krymow szedł nocą przez Łubiankę i starał się odgadnąć, co dzieje się za oknami domu, który nigdy nie śpi. Aresztowani siedzieli w więzieniu wewnętrznym po osiem miesięcy, po roku, po półtora - śledztwo trwało. Potem krewni aresztowanych dostawali listy z obozów; pojawiały się nazwy - Komi, Salechard, Norylsk, Kotłas, Magadan, Workuta, Kołyma, Kuźnieck, Krasnojarsk, Karaganda, zatoka Nagajewo...

Wiele tysięcy jednak, dostawszy się do więzienia wewnętrznego, znikają na zawsze. Prokuratura powiadamiała krewnych, że zostali skazani na dziesięć lat bez prawa korespondencji, ale w obozach nie było więźniów z takimi wyrokami. Widocznie te dziesięć lat bez prawa korespondencji oznaczało: rozstrzelany.

W liście z obozu człowiek pisał do krewnych, że czuje się dobrze, mieszka w cieple, i prosił, żeby mu, jeśli mogą, przysłali czosnku i cebuli. Krewni wyjaśniali, że czosnek i cebula chronią przed szkorbutem.

O okresie spędzonym w więzieniu śledczym nikt nigdy nie pisał.

Szczególnie nieprzyjemne było chodzenie Łubianką i przecznicą Komsomolską w letnie noce 1937 roku.

Pusto było nocą na dusznych ulicach. Domy miały pootwierane okna, ale były ciemne, równocześnie wymarłe i pełne ludzi. Ich spokój nie oznaczał spokoju. A w oświetlonych oknach, za białymi zasłonkami, migały cienie, przed bramami trzaskały drzwiczki samochodów, zapalały się reflektory. Wydawało się, że spojrzenie szklanych, świecących oczu Łubianki sparaliżowało całe olbrzymie miasto. W pamięci wypływali znajomi. Odległości od nich nie mierzono zwykłą miarą przestrzenną, to było istnienie w innym wymiarze. Nie było na ziemi ani na niebie siły, która mogłaby pokonać tę otchłań, równą otchłani śmierci. Ale przecież żaden z nich nie był martwy, nie był pogrzebany, nie leżał pod zabitym wiekiem trumny, wszyscy byli tuż obok, oddychali, myśleli, płakali, żyli! A samochody przywoziły ciągle nowych aresztowanych, setki, tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi znikają za drzwiami wewnętrznego więzienia, za bramą więzienia butyrskiego i lefortowskiego.

Nowi pracownicy przychodzili na miejsce aresztowanych do komitetów dzielnicowych, narkomatów, urzędów wojskowych, prokuratur, Przychodni, do kombinatów, fabryk, komitetów i rad zakładowych, do 637 wydziałów rolnictwa, do laboratoriów bakteriologicznych, do dyrekcji teatrów akademickich, do lotniczych biur konstrukcyjnych, do instytutów chemii i metalurgii.

Zdarzało się, że w krótkim czasie ci, którzy przyszedli na miejsce aresztowanych wrogów ludu, terrorystów i dywersantów, sami okazywali się wrogami, dwulicowcami, i trafiali do więzienia. Niekiedy zdarzało się, że zamykano trzecią z kolei ekipę jako złożoną z wrogów.

Pewien towarzysz z Leningradu szeptem opowiadał Krymowowi, że w celi siedziało z nim trzech sekretarzy jednego z leningradzkich komitetów dzielnicowych; każdy nowo mianowany sekretarz demaskował swego poprzednika jako wroga i terrorystę. W celi leżeli obok siebie, nie żywiąc do siebie złości ani urazy.

Kiedyś nocą do tego budynku wszedł Mitia Szaposznikow, brat Jewgienii Nikołajewny. Z białym węzełkiem pod pachą, który przygotowała mu żona - ręcznik, mydło, dwie zmiany bielizny, szczoteczka do zębów, skarpetki, trzy chusteczki do nosa. Wszedł przez te drzwi, zachowując w pamięci pięciocyfrowy numer legitymacji partyjnej, swoje biurko w paryskim przedstawicielstwie handlowym, wagon międzynarodowy, w którym po drodze na Krym odbywał zasadniczą rozmowę z żoną, pił wodę mineralną i ziewając, przerzucał kartki Złotego osła.

Oczywiście Mitia był absolutnie niewinny. A jednak Mitię uwięziono, a Krymowa nie.

Kiedyś tym jaskrawo oświetlonym korytarzem, prowadzącym z wolności do niewoli, siedł Abarczuk, pierwszy mąż Ludmiły Szaposznikow.

Szedł na przesłuchanie, śpiesząc się, żeby wyjaśnić to idiotyczne nieporozumienie... Mija jednak pięć, siedem, osiem miesięcy i Abarczuk pisze: „Pomysł, żeby zabić towarzysza Stalina, podpowiedział mi rezydent niemieckiego wywiadu wojskowego, z którym w swoim czasie skontaktował mnie jeden z kierowników podziemia... Do rozmowy doszło na bulwarze Jauskim, po pochodzie pierwszomajowym. Obiecałem dać ostateczną odpowiedź za pięć dni, umówiliśmy się więc na nowe spotkanie...” Zdumiewających rzeczy dokonywano za tymi oknami, naprawdę zdumiewających. Przecież kiedy podczas wojny domowej oficer z armii Kołczaka strzelał do Abarczuka, ten nie odwrócił wzroku.

Oczywiście, zmuszono go, by podpisał fałszywe samooskarżenia.

Oczywiście, Abarczuk jest silny, jest prawdziwym komunistą, leninowska szkoła, nic nie zawinił. Ale aresztowali go, złożył zeznania...

A Krymowa przecież nie aresztowali, nie zamknęli, nie zmuszali do składania zeznań.

Krymow słyszał o tym, jak tworzyło się podobne sprawy. Jakies tam informacje nadeszły od tych, którzy szeptali do niego: „Ale pamiętaj, jeśli powiesz o tym komukolwiek - żonie, matce - już po mnie”.

To i owo zdradzali ci, którzy rozochoceni alkoholem i zirytowani głupotą i zadufaniem rozmówcy nagle wypowiadali kilka nieostrożnych słów i od razu milkli, a następnego dnia jakby przypadkowo, ziewając, pytali: „Aha, tak przy okazji, zdaje się, że gadałem wczoraj jakieś głupstwa, nie pamiętasz? No to i lepiej”.

Coś tam mówiły żony przyjaciół, które jeździły do obozów na widzenia z mężami.

Ale wszystko to były tylko plotki, paplanina. Przecież Krymowa nic takiego nie spotkało.

No właśnie. Teraz trafił do więzienia. Stało się coś nieprawdopodobnego, bezsensownego, szalonego. Kiedy wsadzano mienszewików, eserowców, białogwardzistów, popów, kułackich agitatorów, nigdy, ani razu, nawet przez chwilę się nie zastanawiał nad tym, co czują ci ludzie, tracąc wolność, oczekując wyroku. Nie myślał o ich żonach, matkach, dzieciach.

Oczywiście, kiedy pociski zaczęły rozrywać się coraz bliżej, uderzać nie we wrogów, ale w swoich, przestał być obojętny. Właśnie dlatego, że nie więziono wrogów, ale ludzi radzieckich, członków partii.

Oczywiście, kiedy zamknięto kilku szczególnie bliskich mu ludzi, ludzi jego pokolenia, których uważał za bolszewików, za leninowców, był wstrząśnięty, nie spał nocą, zaczął się zastanawiać, czy Stalin ma prawo pozbawiać ich wolności, męczyć, rozstrzeliwać. Myślał o doznawanych przez nich cierpieniach, o cierpieniach ich żon, matek. Przecież to nie byli kułacy ani białogwardziści, ale ludzie - bolszewicy, leninowcy! W końcu jednak uspokajał się - jego jakoś mimo wszystko nie zamykano, nie zsyłano, nie podpisywał nic przeciw sobie, żadnych fałszywych oskarżeń.

No właśnie. A teraz Krymowa, bolszewika, leninowca, aresztowano.

Teraz nie było pocieszania, uzasadniania, tłumaczenia. Stało się.

Trochę już wiedział. Obiektem rewizji stawały się zęby, uszy, nozdrza, pachwina nagiego człowieka. Potem ów człowiek szedł korytarzem, 639 żalony i śmieszny, podtrzymując opadające spodnie i kalesony z odprutymi guzikami. Krótkowidzom zabierano okulary, a ci niespokojnie mrużyli oczy, tarli je. Człowiek wchodził do celi i stawał się szczurem laboratoryjnym, wyrabiano w nim nowe odruchy, mówił szeptem, wstawał z łóżka, kładł się na łóżku, załatwiał potrzeby naturalne, spał i śnił pod nieustanną obserwacją. Wszystko okazało się potworne, okrutne, bezsensowne, nieludzkie. Po raz pierwszy dobrze zrozumiał, jak straszne rzeczy dzieją się na Łubiance. Dręczono przecież bolszewika, leninowca, towarzysza Krymowa.

6 Dni mijały, a Krymowa nie wywoływano.

Wiedział już, kiedy i co dają do jedzenia, znał godziny spaceru i łaźni, znał woń więziennego tytoniu, porę apelu, znał mniej więcej zasoby więziennej biblioteki, znał z twarzy strażników, denerwował się, oczekując powrotu sąsiadów z przesłuchania. Najczęściej przesłuchiowano Katzenellenboga. Bogolejewa wzywano zawsze w dzień.

Życie bez wolności! To była choroba. Stracić wolność to tyle co stracić zdrowie. Paliło się światło, z kranu płynęła woda, w misce była zupa, ale i światło, i woda, i chleb były specjalne, darowane, przydziałowe. Kiedy interesy śledztwa tego wymagały, więźniów tymczasowo pozbawiano światła, jedzenia, snu. Przecież wszystko to otrzymywali nie dla siebie, metodyka pracy z nimi była właśnie taka.

Kościanego staruszka wzywano do śledczego tylko raz, więc kiedy wrócił, rzekł wyniośle: - Przez trzy godziny milczenia obywatel śledczy upewnił się, że moje nazwisko brzmi rzeczywiście Drehling.

Bogolejew był zawsze uprzejmy, rozmawiał z mieszkańcami celi z szacunkiem, rankami wypytywał sąsiadów o samopoczucie, o sen.

Kiedyś zaczął recytować Krymowowi wiersze, potem przerwał i powiedział: - Proszę mi wybaczyć; widzę, że pana to nie ciekawi.

Krymow uśmiechnął się i odpowiedział: - Mówiąc szczerze, nie rozumiem ani w ząb. A kiedyś czytałem Hegla i rozumiałem.

640 Bogolejew bardzo bał się przesłuchań, zamierał, kiedy wchodzący dyżurny pytał: Kto na „b”? Po powrocie od śledczego wydawał się szczuplejszy, zmalaty, stary.

O swoich przesłuchaniach opowiadał chaotycznie, chlapiąc, mrużąc oczy.

Nie sposób było zrozumieć, o co go oskarżają - czy o zamach na Stalina, czy też o to, że nie podobają mu się utwory pisane w duchu socrealizmu.

Kiedyś olbrzymi czekista doradził Bogolejewowi: - Niechże pan pomoże człowiekowi sformułować oskarżenie. Radzę coś w tym rodzaju: „Czując zoologiczną nienawiść do wszystkiego, co nowe, krytykowałem dzieła wyróżnione Nagrodą Stalinowską”. Dostanie pan dychę. I niech pan zanadto nie demaskuje znajomych, nie zbawi to pana, przeciwnie, doczepią panu uczestnictwo w organizacji, za to dają obóz o zaostrożonym rygorze.

- Co też pan! - zaproponował Bogolejew. - Jakże miałbym to zrobić? Oni wiedzą wszystko.



Często szeptem filozofował na swój ulubiony temat: wszyscy jesteśmy postaciami z bajki - groźni dowódcy, spadochroniarze, następcy Matisse'a i Pisariewa, członkowie partii, geolodzy, czekaści, budowniczywie pięciolatek, piloci, twórcy kombinatów metalurgicznych...

Pewni siebie, pyszałkowaci, przestąpiliśmy teraz próg dziwnego domu, a czarodziejska różdżka zmieniła nas w prosiaczki, wiewióreczki, czyżyki. Co nam teraz dają - meszki, mrówcze jajeczka.

Miał oryginalny, dziwny, z pewnością głęboki umysł, ale był małostkowy w sprawach codziennych - zawsze martwił się, że dano mu mniej jedzenia, w dodatku gorszego niż innym, że skrócono mu spacer, że w czasie spaceru ktoś jadł jego suchary.

Życie obfitowało w wydarzenia, ale było też puste, jakby urojone.

Mieszkańcy celi przebywali w wyschniętym korycie rzeki. Śledczy badał je, badał kamyki, pęknięcia, nierówności brzegu. Ale wody, która niegdyś owo koryto wyźłobiła, już nie było.

Drehling rzadko wszczynał rozmowy i jeśli rozmawiał, to przeważnie z Bogolejewem, widocznie dlatego, że był bezpartyjny.

Ale nawet rozmawiając z nim, często się złościł.

- Dziwny z pana typ - powiedział kiedyś. - Po pierwsze, traktuje pan uprzejmie, z szacunkiem, ludzi, którymi pan gardzi, po drugie, codziennie pyta mnie pan, jak się czuję, chociaż jest panu absolutnie wszystko jedno, czy zdechnę, czy będę żył.

641 Bogolejew podniósł wzrok na sufit, rozłożył ręce i odparł: - Niech pan posłucha - po czym wyrecytował śpiewnie: Z czego jest twa skorupa, pytam żółwia w sekrecie, A on tajemnice mi zdradził: Materiału trwalszego próżno szukać na świecie To strach, którym przez lata gromadził! - To pańskie? - zapytał Drehling.

Bogolejew znowu rozłożył ręce i nic nie powiedział: - Boi się stary, nagromadził strachu - podsumował Katzenellenbogen.

Po śniadaniu Drehling pokazał Bogolejewowi okładkę książki i zapytał: - Lubi pan to? - Szczerze mówiąc, nie - odrzekł Bogolejew.

Drehling skinął głową.

- I ja nie przepadam za tym dziełem. Plechanow powiedział: „Stworzona przez Gorkiego postać matki to ikona, a klasa robotnicza nie potrzebuje ikon”.

- Całe pokolenia czytają Matkę - wtrącił Krymow. - Co ma z tym wspólnego ikona? Drehling głosem przedszkolanki powiedział: -Ikony potrzebne są tym wszystkim, którzy chcą zniewolić klasę robotniczą. W swoim komunistycznym ikonostasie macie świętego Lenina, jest też ikona przewielebnego Stalina. Niekrasow nie potrzebował ikon.

Wydawało się, że nie tylko czoło, czaszka, ręce, nos staruszka wytoczone były z białej kości - nawet jego słowa postukiwały jak kościane.

- „A to łajdak” - pomyślał Krymow.

Nigdy dotąd nie widział tego łagodnego, uprzejmego, zawsze cichego człowieka

w takim stanie. Zirytowany Bogolejew powiedział: - Pańskie wyobrażenia o poezji nie wykraczają poza Niekrasowa. Od tego czasu mieliśmy i Błoka, i Mandelsztama, i Chlebnikowa.

- Mandelsztama nie znam - oświadczył Drehling. - A Chlebnikow to marazm, rozkład.

642 - A niechże pana! - ostro, po raz pierwszy głośno powiedział Bogolejew. - Niedobrze mi się robi od pańskich plechanowowskich gustów.

Wy, marksściści różnych kierunków, siedzicie w jednej celi, ale łączy was to, że jesteście głusi na poezję, absolutnie się na niej nie znacie.

Dziwna sprawa. Krymowowi największą przykrość sprawiała myśl, że dla strażników dyżurujących dniem i nocą on, bolszewik, komisarz wojskowy, niczym nie różni się od starego złośliwego Drehlinga.

Teraz więc, chociaż nie cierpiał symbolizmu, dekadencji i całe życie kochał Niekrasowa, gotów był stanąć po stronie Bogolejewa.

Gdyby kościany starzec powiedział złe słowo o Jeżowie, to z przekonaniem zaczęłyby bronić i rozstrzelania Bucharina, i zsyłania żon za niedoniesienie na mężów, i strasznych wyroków, i strasznych przesłuchań.

Ale kościany człowiek nic nie mówił.

W tym czasie przyszedł wartownik i zaprowadził Drehlinga do ubikacji.

Katzenellebogen zwrócił się do Krymowa: - Przez pięć dni siedzieliśmy w celi we dwóch. Milczał jak ryba.

Mówię do niego: „Śmiechu warte - dwaj Żydzi, obaj starsi, spędzają razem wieczory na chutorze niedaleko Łubianki i milczą”. A on nic, ani słowa. Czemu właściwie mną gardzi? Czemu nie chce rozmawiać? Straszliwa zemsta żydowskiego kapłana? Niby za co? Gimnazjalista do śmierci.

- Wróg! - sprostował Krymow.

Czekista najwyraźniej na dobre uczeplił się Drehlinga.

- Siedzi za sprawę, rozumie pan! - zakpił. - Niesamowite! Za plecami obóz, przed nim - sosnowa jesionka, a on jak z żelaza. Zazdroszczę mu! Wzywają go na przesłuchanie - kto na „d”? Milczy jak głaz, nie odzywa się. Dopiął swego, wywołują go po nazwisku. Komendant wchodzi do celi - a ten - zabij, zamorduj, nie wstanie.

Kiedy Drehling wrócił z ubikacji, Krymow rzekł do Katzenellenboga: - Przed sądem historii wszystko jest mało ważne. My obaj, nawet siedząc tutaj, nadal nienawidzimy wrogów komunizmu.

Drehling popatrzył z ciekawością na Krymowa.

- Jakież to są! - zadrwił, do nikogo konkretnie się nie zwracając. - To raczej samosąd historii! 643 Katzenellenbogen nie miał racji, zazdroszcząc kościanemu człowiekowi siły. Ta siła nie była już siłą ludzką. Ślepy, nieludzki fanatyzm rozgrzewał swoim chemicznym ciepłem spustoszone i obojętne serce.

Wojna, która szalała w Rosji, wszystkie związane z nią wydarzenia mało starego

wzruszały - nie wypytywał o sytuację na froncie, o Stalingrad. Nie słyszał o nowych miastach, o potężnym przemyśle. Nie żył już ludzkim życiem, rozgrywał tylko nieskończoną, abstrakcyjną, jego jednego dotyczącą partię więziennych warcabów.

Katzenellenbogen z kolei bardzo interesował Krymowa. Krymow widział i czuł, że tamten jest inteligentny. Żartował, gawędził, paplał, a jego oczy były mądre, leniwe, zmęczone. Takie oczy mają ludzie wszechwiedzący, ludzie, którzy są zmęczeni życiem i nie boją się śmierci.

Kiedyś, rozmawiając o budowie kolei wzdłuż brzegów Oceanu Lodowatego, powiedział do Krymowa: - Niezwykle piękny projekt - i dodał: - Co prawda, jego realizacja kosztowała dziesięć tysięcy ludzkich istnień.

- To przecież straszne - odrzekł Krymow.

Katzenellenbogen wzruszył ramionami.

- Musielibyście widzieć, jak kolumny zeków szły do pracy. W grobowym milczeniu. Nad głowami zielona i niebieska zorza polarna, dookoła lody i śnieg, i czarny ryczący ocean. Widać w tym potęgę.

Radził Krymowowi: - Trzeba pomagać śledczemu; to są nowe kadry, taki z trudem daje sobie radę... Jeśli mu pomóc, podpowiedzieć, to i sobie się pomoże uniknie się stugodzinnych taśmowych przesłuchań. A rezultat przecież taki sam - sąd specjalny wlepi tyle, ile się należy.

Krymow usiłował z nim się spierać, ale Katzenellenbogen odpowiadał: - Osobista niewinność to zabobon, przeżytek wieków średnich. Tołstoj głosił, że na świecie nie ma winnych. My, czekańscy, postawiliśmy lepszą tezę - nie ma na świecie niewinnych, nie ma niekaranych.

Winny jest ten, na kogo wypisano nakaz aresztowania. Nawet jeśli przez całe życie sam wypisywał te nakazy na innych. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść.

Znał wielu przyjaciół Krymowa, niektórych jako podsądnych w sprawach 1937 roku. O ludziach, których sprawy prowadził, mówił w osobliwy sposób - bez złości, bez oburzenia - „to był ciekawy człowiek”, „dziwak”, „sympatyczny”.

644 Często wspominał Anatola France'a, Dumę o Opanasie Bagrickiego, lubił cytować Benie Krzyka z Babla, o śpiewakach i tancerzach z Teatru Bolszoi opowiadał, używając imion i imion odojcowskich. Miał bibliotekę rzadkich książek, wspominał o drogocennym tomiku Radiszczewa, który trafił w jego ręce na krótko przed aresztowaniem.

- Byłoby dobrze - mówił - gdyby moje książki trafiły do Biblioteki imienia Lenina, bo inaczej rozwólczą je jacyś durnie, nieświadomi ich wartości.

Katzenellenbogen był żonaty z tancerką baletu. Los książki Radiszczewa najwyraźniej obchodził go bardziej niż los żony, a kiedy Krymow wypomniał mu to, czekista odrzekł: - Moja Angelina to mądra baba, nie zginie.

Wydawało się, że wszystko rozumiał, ale niczego nie czuł. Proste pojęcia - rozłąka, cierpienie, wolność, miłość, wierność kobieca, nieszczęście - były dlań czymś niepojętym. Wzruszenie pojawiało się w jego głosie, kiedy mówił o pierwszych latach swojej pracy w WCzK.

„To były czasy, to byli ludzie!" - mówił. A wszystko, co złożyło się na życie Krymowa, uważał wyłącznie za propagandę.

O Stalinie powiedział: - Chylę przed nim głowę bardziej niż przed Leninem. To jedyny człowiek, którego naprawdę kocham.

Ale dlaczego ten człowiek, który brał udział w przygotowaniu procesu liderów opozycji, który stał za Berii na czele olbrzymiej budowy GUłagu za kołem polarnym, tak spokojnie, pogodnie znosił to, że tu, niemal w swoim rodzinnym domu, musi chodzić na nocne przesłuchania, podtrzymując w garści spodnie z odciętymi guzikami? Dlaczego tak boleśnie dotykał go fakt, że mienszewik Drehling karze go milczeniem? Niekiedy Krymow sam zaczynał mieć wątpliwości. Dlaczego tak się oburza, gorączkuje, pisze listy do Stalina, oblewa się zimnym potem? Murzyn zrobił swoje. Przecież w trzydziestym siódmym to samo spotkało dziesiątki tysięcy członków partii, takich samych jak on albo i lepszych. Murzyni zrobili swoje. Dlaczego taki wstręt czuje teraz na dźwięk słowa „donos”? Tylko dlatego, że sam trafił tu na skutek czyjegoś donosu? Przecież otrzymywał raporty od informatorów politycznych w pododdziałach. Zwykła rzecz. Zwykłe donosy. Żołnierz Riabosztan nosi krzyż na piersi, mówi o komunistach: „bezbożnicy”. Czy długo pożył Riabosztan, kiedy trafił do kompanii karnej? Żołnierz Gordiejew 645 oświadczył, że nie wierzy w siłę radzieckiego oręża, że zwycięstwo Hitlera jest nieuniknione - czy długo pożył w pododdziale karnym? Żołnierz Markiewicz odgrażał się: „Wszyscy komuniści to złodzieje, przyjdzie czas, że zakłujemy ich bagnietami i ludzie odzyskają wolność” - trybunał skazał Markiewicza na rozstrzelanie. Przecież on sam jest donosicielem, doniósł zarządowi politycznemu frontu na Griekowa, i gdyby niemiecka bomba Griekowa nie zabiła, rozstrzelano by go w obecności dowódców. Co czuli, co myśleli ci ludzie, których posyłano do kompanii karnych, których sądziły trybunały, przesłuchiwały wydziały specjalne? A przed wojną ile razy musiał brać udział w takich sprawach, spokojnie traktować słowa przyjaciół: „W Komitecie partii opowiedziałem o swojej rozmowie z Piotrem”; „Na zebraniu partyjnym uczciwie przedstawił treść listu Iwana”; „Wezwano go, a on, jako komunista, winien był oczywiście o wszystkim opowiedzieć - i o nastrojach chłopaków, i o listach Wołodi”.

Było tak, było, tak właśnie było.

E, co tu gadać... Te wszystkie wyjaśnienia, które pisał lub składał ustnie, nikomu przecież nie pomogły wyjść z więzienia. Sens ich sprowadzał się do jednego - żeby samemu nie trafić w bagno, odciąć się.

Źle, źle Krymow bronił swoich przyjaciół, jeśli w ogóle bronił, bo przecież takich spraw nie lubił, bał się ich i zawsze unikał. Dlaczego robi mu się na przemian zimno i gorąco? Czego chce? Żeby dyżurny na Łubiance wiedział o jego samotności, żeby śledczy załamywali ręce nad tym, że zostawiła go ukochana kobieta, żeby w swoich protokołach uwzględniali to, że wołał ją po nocach, gryzł ręce, że mama mówiła do niego „Nikoleńka”? Nocą Krymow obudził się, otworzył oczy i zobaczył Drehlinga przy łóżku Katzenellenboga. Wściekle światło elektryczne oświetlało plecy starego łagrowca. Bogolejew obudził się i siedział na łóżku, przykrywszy nogi kocem.

Drehling rzucił się do drzwi, zastukał w nie kościaną pięścią i krzyknął kościanym głosem: - Ej, dyżurny, prędko lekarza, atak serca u więźnia! - Ciszej, przestać! - krzyknął dyżurny, który podbiegł do judasza.

- Jak to ciszej, człowiek umiera! - ryknął Krymow i zerwał się z łóżka, podbiegł do drzwi i zaczął razem z Drehlingiem tłuc w nie pięścią. Za646 uważył, że Bogolejew położył się na łóżku, przykrył kocem. Widocznie bał się brać udział w nocnym incydencie.

Wkrótce drzwi się otwały, weszło kilku ludzi. Katzenellenbogen był nieprzytomny. Jego olbrzymiego ciała długo nie udawało się położyć na noszach.

Rankiem Drehling niespodziewanie spytał Krymowa: - Proszę powiedzieć, czy pan, komunistyczny komisarz, często spotykał się na froncie z objawami niezadowolenia? Krymow spytał: - Jakiego niezadowolenia? Z czego? - Mam na myśli niezadowolenie z polityki kołchozowej bolszewików, ze sposobu prowadzenia wojny, jednym słowem, niezadowolenie polityczne.

- Nigdy. Ani razu nie zetknąłem się nawet z cieniem podobnych nastrojów - odparł Krymow.

- Aha, rozumiem, tak właśnie myślałem - rzekł Drehling i kiwnął głową z satysfakcją.

7 Idea okrążenia Niemców pod Stalingradem uważana jest za genialną.

W potajemnej koncentracji mas wojska na skrzydłach armii Paulusa powtórzyła się zasada zrodzona w czasie, kiedy bose chłopcy o płaskich czołach i wielkich gębach rozpełzały się po krzewach, otaczały pieczary, zdobyte przez leśnych przybyszy. Co bardziej powinno nas zadziwiać: różnica między pałką a artylerią dalekiego zasięgu czy tysiąclecia niezmienności zasad wojennych? Ani zdziwienia, ani załamania nie powinno jednak wywoływać to, że spirala ludzkiego ruchu, choć ciągle przybywa jej nowych zwojów, ma też swoją niezmienną oś.

Chociaż zasada okrążenia, będąca istotą operacji stalingradzkiej, nie jest nowa, zasługa organizatorów ofensywy, którzy słusznie wybrali rejon, by zastosować tę starożytną zasadę, jest bezsporna. Czas na przeprowadzenie operacji wybrany został trafnie, wojska były znakomicie wyszkolone i sprawnie skoncentrowane; organizatorzy ofensywy umożliwili współdziałanie trzech frontów - Południowo-Zachodniego, 647 Dońskiego i Stalingradzkiego. Wielką trudność stanowiło potajemne gromadzenie wojsk na pozbawionym naturalnych osłon stepie. Siły z północy i południa miały, prześlizgując się wzdłuż prawego i lewego skrzydła Niemców, spotkać się pod Kałaczem i chwycić przeciwnika w żelazne kleszcze, połamać kości, zmiażdżyć serce i płuca armii Paulusa. Wiele trudu poświęcono opracowaniu szczegółów operacji, rozpoznaniu środków ogniowych, siły żywej, tyłów, komunikacji nieprzyjaciela.

Ale mimo wszystko u podstaw tej pracy, w której wzięli udział marszałek Josif Stalin jako głównodowodzący, generałowie Żukow, Wasilewski, Woronow, Jeriomienko, Rokossowski i wielu utalentowanych oficerów Sztabu Generalnego, leżała wprowadzona do praktyki wojennej przez włochatego człowieka pierwotnego zasada skrzydłowego otoczenia przeciwnika.

Słowo „genialny” można odnieść tylko do ludzi, którzy wprowadzają w życie nowe idee, te, które odnoszą się do jądra, a nie do naskórka, do osi, a nie do zwojów wokół osi. Nic wspólnego z tego rodzaju boskimi działaniami nie mają strategiczne i taktyczne opracowania od czasów Aleksandra Macedońskiego. Ludzka świadomość, przytłoczona ogromem wydarzeń wojennych, skłonna jest ogromną skalę utożsamiać z

ogromem myślowych osiągnięć dowódców.

Historia bitew pokazuje, że dowódcy nie stosują nowych zasad do operacji przełamania obrony, ścigania, okrążenia, nękania - stosują i wykorzystują zasady znane jeszcze neandertalczykom, a nawet, prawdę mówiąc, wilkom okrążającym stado i stado broniącemu się przed wilkami.

Energiczny, znający swój fach dyrektor potrafi postarać się o zapasy surowców i opału, skoordynować współpracę między wydziałami i zadbać o dziesiątki innych drobnych i zasadniczych spraw, jakie wynikają w toku pracy fabryki.

Kiedy jednak historycy zaczynają twierdzić, że dyrektor odkrył zasady metalurgii, elektrotechniki, analizy rentgenowskiej metalu - świadomość studiującego historię fabryki zaczyna się buntować: To nie nasz dyrektor odkrył promienie Roentgena, tylko Roentgen... Wielkie piece istniały przed naszym dyrektorem.

Naprawdę przełomowe odkrycia naukowe czynią człowieka mądrzejszym od natury. W tych odkryciach i poprzez nie natura poznaje 648 samą siebie. Do takich osiągnięć należy to, czego dokonali Galileusz, Newton, Einstein w badaniach nad naturą przestrzeni, czasu, materii i siły. Dzięki nim człowiek osiągnął większą głębię i większą wysokość niż te, które istniały w sposób naturalny, i w ten sposób pomógł w samopoznaniu przyrody, wzbogacił ją.

Z odkryciami drugiego, niższego rzędu mamy do czynienia wtedy, gdy ludzie odtwarzają istniejące, widzialne, namacalne zasady, sformułowane przez samą naturę.

Lot ptaków, pływanie ryb, przemieszczanie się roślin zwanych pieriekati-pole i głązów narzutowych, siła wiatru każącego drzewom chwiać się i kołysać gałęziami, wyrzucanie wnętrzości przez strzykwy - wszystko to są przejawy jakiejś namacalnej, jawnej zasady. Człowiek odgaduje w zjawisku jego zasadę, przenosi ją do swojej sfery i rozwija odpowiednio do własnych możliwości i potrzeb.

Samoloty, turbiny, silniki odrzutowe, rakiety mają w życiu olbrzymie znaczenie, ale mimo wszystko te wynalazki ludzkość zawdzięcza swojemu talentowi, a nie geniuszowi.

Do takich właśnie odkryć drugiego rzędu należą te, które wykorzystują zasadę ujawnioną i wykrystalizowaną przez ludzi, a nie naturę.

Weźmy na przykład elektromagnetyczną teorię pola - jej zasady zastosowano, dokonując wynalazków radia, telewizji, radiolokacji, i rozwijając te dziedziny. Do takich odkryć drugiego rzędu należy uwolnienie energii jądrowej. Twórca pierwszego reaktora uranowego, Fermi, nie może pretendować do miana geniusza ludzkości, chociaż jego odkrycie stało się początkiem nowej epoki w historii wszechświata.

Dokonując odkryć jeszcze niższego, trzeciego rzędu człowiek adaptuje do nowych warunków to, co już istniało, co już stosował w praktyce; na przykład instaluje nowy silnik w aparacie latającym, zamienia silnik parowy statku na elektryczny.

Właśnie do tej kategorii należy zaliczyć dziedzinę sztuki wojennej, w której nowe zdobycze techniczne współgrają ze starymi zasadami.

Nikt nie przeczy, że działalność generała kierującego bitwą ma wielkie znaczenie dla wyniku wojny. Nie ma jednak racji ten, kto ogłasza go geniuszem. Gdyby jeszcze chodziło o zdolnego inżyniera, zatrudnionego w produkcji, byłoby to po prostu głupie;

natomiast w stosunku do generała jest nie tylko głupie, ale szkodliwe i niebezpieczne.

649 8 Dwa młoty, każdy składający się z milionów ton metalu i krwi żywych ludzi - północny i południowy, czekały na sygnał.

Pierwsze zaczęły natarcie wojska skoncentrowane na północny zachód od Stalingradu. Rankiem, dziewiętnastego listopada 1942 roku, o godzinie siódmej trzydzieści, wzdłuż linii frontów Południowo-Zachodniego i Dońskiego zaczęło się potężne przygotowanie artyleryjskie, trwające osiemdziesiąt minut. Nawała ogniowa spadła na pozycje bojowe rumuńskiej 3. armii.

O ósmej pięćdziesiąt ruszyły do ataku czołgi i piechota. W żołnierzy wstąpił niezwykle duch bojowy. Siedemdziesiąta szósta dywizja poderwała się do ataku przy dźwiękach marsza, którego grała jej orkiestra dęta.

W drugiej połowie dnia strefa taktyczna obrony nieprzyjaciela została przełamana. Bitwa rozwinęła się na potężnym terytorium.

Rumuński 4. korpus armijny został rozgromiony. Rumuńską 1. dywizję kawaleryjską odcięto i odizolowano od pozostałych jednostek 3. armii w rejonie Krajnej.

Piąta armia pancerna rozpoczęła natarcie ze wzgórz oddalonych o trzydzieści kilometrów na południowy zachód od miejscowości Sierafimowicz, przełamała pozycje rumuńskiego 2. korpusu armijnego i szybko przesuwała się na południe. Już w połowie dnia zdobyła wzgórza na północ od Pieriełazowskiej. Skręciwszy następnie na południowy wschód, radzieckie korpusy pancerne i kawaleryjskie osiągnęły pod wieczór Gusynki i Kałmykow, wdzierając się na sześćdziesiąt kilometrów na tyły rumuńskiej 3. armii.

Następnego dnia, o świcie dwudziestego listopada, ruszyły do natarcia wojska skoncentrowane w stepach kałmuckich, na południe od Stalingradu.

Nowikow ocknął się na długo przed świtem. Jego zdenerwowanie było na tyle wielkie, że go nie odczuwał.

- Herbatę wypijecie, towarzyszu dowódco? - spytał Wierszkow uroczyście i przymilnie.

650 - Tak - odrzekł Nowikow. - Powiedz kucharzowi, niech usmaży jajka.

- A jak, towarzyszu pułkowniku? Nowikow nic nie odpowiedział, więc Wierszkow pomyślał, że dowódca korpusu pogrążył się w rozmyślaniach i nie słyszy pytania.

- Sadzone - rzekł Nowikow i popatrzył na zegarek. - Idź do Gietmanowa, zobacz, czy już wstał; za pół godziny ruszamy.

Niby to wcale - tak mu się zdawało - nie myślał o tym, że za półtorej godziny zacznie się ostrzał artyleryjski, o tym, że niebo zahuczy setkami silników bombowców i bombowców szturmowych, o tym, że saperzy zaczną przecinać druty i rozminowywać pola minowe, że piechota, dźwigając cekaemy, pobiegnie na zamglone wzgórza, które tyle razy oglądał przez lornetę nożycową. Zdawało mu się, że nie czuje żadnej więzi z Biełowem, Makarowem i Karpowem. Nie myśli o tym, że poprzedniego dnia na północny zachód od Stalingradu czołgi radzieckie weszły w przełamany przez artylerię i piechotę front niemiecki i jechały bez zatrzymywania się w stronę Kałacza, i że za kilka

godzin jego czołgi ruszą z południa na spotkanie idącym z północy, żeby okrążyć armię Paulusa.

Nie myślał o dowódcy frontu ani o tym, że może Stalin jutro wymieni nazwisko jego, Nowikowa, w swoim rozkazie. Nie myślał o Jewgienii Nikołajewnie, nie wspominał świtu nad Brześciem, kiedy biegł na lotnisko, a na niebie widać było łunę rozpalonej przez Niemców wojny.

Ale wszystko to, o czym nie myślał, tkwiło w nim.

Myślał: „Włożyć nowe buty z miękkimi cholewami czy jechać w noszonych, i żeby nie zapomnieć papierośnicy”; myślał: „Znowu, sukinsyn, podał mi zimną herbatę”; jadł jajka sadzone i kawałkiem chleba starannie wycierał roztopiony tłuszcz z patelni.

Wierszkow zameldował: - Wasz rozkaz wykonany - i od razu dodał z konfidencjonalną przyganą w głosie: - Pytam żołnierza: „Jest u siebie?”. Ten mi odpowiada: „A gdzie ma być, przecież śpi z babą”.

Żołnierz użył mocniejszego słowa niż „baba”, ale Wierszkow nie ośmielił się powtórzyć go w rozmowie z dowódcą korpusu.

Nowikow milczał, opuszką palca zbierał okruchy chleba ze stołu.

Wkrótce wszedł Gietmanow.

- Herbatki? - zapytał Nowikow.

651 Gietmanow odpowiedział ostrym głosem: - Nie czas na herbatki i cukry, Piotrze Pawłowiczu; trzeba Niemców prac.

„To ci bohater” - pomyślał Wierszkow.

Nowikow wstąpił do części sztabowej domu, porozmawiał z Nieudobnowem o łączności, o przekazaniu rozkazów i popatrzył na mapę.

Ciemność nasycona fałszywą ciszą przypomniawszy Nowikowowi dzieciństwo w Donbasie. Kilka minut przed tym momentem, kiedy powietrze wypełnią syreny i gwizdki, a ludzie ruszą do kopalń i fabryk, wszystko wydawało się tak samo śpiące. Ale kiedy Pietia Nowikow budził się przed gwizdkiem, wiedział, że setki rąk szukają w ciemnościach onuc, butów, że po podłodze klepią boscie babskie nogi, że brzęczą talerze i sagany na piecach.

- Wierszkow - rzekł Nowikow - podpuść mój czołg na punkt obserwacyjny, przyda mi się dzisiaj.

- Tak jest - powiedział Wierszkow. - Załaduję do niego cały majdan, i wasz, i komisarza.

- Nie zapomnij zabrać kakao - polecił Gietmanow.

Na ganek wyszedł Nieudobnow w narzuconym szynelu.

- Dopiero co dzwonił generał-lejtnant Tołbuchin z zapytaniem, czy dowódca korpusu wyjechał na punkt obserwacyjny.

Nowikow kiwnął głową, dotknął ramienia kierowcy.

- Jedź, Charitonow.



Droga wyszła z osiedla, odbiła się od ostatniego domu, zakręciła, znowu zakręciła i pomknęła prosto na zachód, wśród białych plam śniegu, wśród suchego burzanu.

Przejeżdżali koło parowu, gdzie skoncentrowane były czołgi pierwszej brygady.

Nagle Nowikow rzekł do Charitonowa: „Stój”, zeskoczył z willysa, poszedł w stronę ciemniejących maszyn bojowych.

Szedł, nikogo nie zagadując, wpatrywał się w twarze ludzi.

Przypomnieli mu się widziani na wiejskim placu nieostrzyżeni chłopcy z uzupełnień; rzeczywiście, to dzieci. A na tym świecie wszystko dąży do tego, żeby dzieci szły pod kule: i plany sztabu generalnego, i rozkaz dowódcy frontu, i jego rozkaz, ten, który wyda za godzinę dowódcom brygad, i to, co mówią im pracownicy polityczni, i to, co piszą pisarze w artykułach prasowych i w wierszach. Do boju, 652 do boju! Na ciemnym zachodzie czekano tylko jednego - bić tamtych, ciąć, dławić gąsienicami.

„Wesele będzie!” Tak, będzie, bez słodkiego wina, bez harmonii.

„Gorzko!” - zawoła Nowikow; żaden z dziewiętnastoletnich narzeczonych nie odwróci się od narzeczonej, każdy ucałuje ją jak należy.

Nowikow miał wrażenie, że idzie wśród swoich braciszków, siostrzeńców, synów sąsiadów, i że patrzą na niego tysiące niewidocznych kobiet, dziewczynek, staruszek.

Matki kwestionują prawo posyłania ludzi na śmierć w czasie wojny.

Ale i na wojnie spotyka się uczestników tej macierzyńskiej konspiracji. Tacy mówią: „Gdzie leziesz? Siedź, nie słyszysz jak wałą? Tamci poczekają na mój meldunek, a ty lepiej wodę zagotuj”. Tacy ludzie raportują przez telefon szefowi: „Tak jest, ustawić cekaem”, po czym, odłożywszy słuchawkę, mówią: „A co ja tam będę ustawiał cekaem; tylko mi zabiją fajnego chłopaka”.

Nowikow poszedł w stronę swojego czołgu. Twarz jego zrobiła się pochmurna i surowa, jakby wchłonęła w siebie wilgotną ciemność listopadowego świtu.

Kiedy czołg ruszył, Gietmanow spojrzał na niego ze zrozumieniem i powiedział: - Wiesz, Piotrze Pawłowiczu, co właśnie dziś chciałem ci powiedzieć? Lubię cię, rozumiesz, i wierzę w ciebie.

10 Cisza była gęsta, niepodzielna; wydawało się, że na świecie nie ma stepu, mgły ani Wołgi, tylko cisza. Po ciemnych chmurach przeleciały jasne szybkie cętki, potem szara mgła znowu stała się purpurowa i nagle grzmoty wypełniły i niebo, i ziemię...

Bliskie i dalekie działa połączyły swoje głosy, a echo wzmocniło tę więź, rozszerzyło skomplikowane sploty dźwięków wypełniających całą gigantyczną przestrzeń walki.

Domki z gliny drżały, kawałki jej odpadały od ścian, bezdźwięcznie upadały na podłogę, drzwi domów w stepowych wsiach same zaczęły się otwierać i zamykać, na młodej tafli lodu na jeziorze zarysowały się pęknięcia.

653 Merdając ciężkim, pełnym jedwabistych włosów ogonem, pobiegła lisica,

zając uciekał nie przed nią, ale w ślad za nią, a ptaki drapieżne dzienne i nocne, machając ciężkimi skrzydłami, uniosły się w powietrze, lecąc być może po raz pierwszy jedną chmarą... Niektóre z susłów wyskoczyły rozespane z nerek, tak jak wybiegają z płonących chat zaspani, rozczochrani starcy.

Prawdopodobnie wilgotne poranne powietrze na pozycjach ogniowych stało się o stopień cieplejsze po dotknięciu tysięcy gorących luf.

Z punktu obserwacyjnego na pierwszej linii widać było wyraźnie wybuchy radzieckich pocisków, kłęby oleistego, czarnego i żółtego dymu, fontanny ziemi i brudnego śniegu, mleczną białość stalowego deszczu.

Artyleria ucichła. Chmura dymu powoli mieszała swoje gorące, wysuszone kudły z zimną wilgocią stepowej mgły.

I od razu niebo wypełniło się nowym dźwiękiem, mocnym, głuchym warkotem; to radzieckie samoloty leciały na zachód. Ich huk i ryk nadawały ślepeму, pochmurnemu niebu wyraźną, odczuwalną, wielopiętrową wysokość - opancerzone bombowce szturmowe i myśliwce leciały przyciśnięte do ziemi przez niskie chmury, a w chmurach i ponad nimi dudniły basem niewidzialne ciężkie bombowce.

Niemcy na niebie nad Brześciem, rosyjskie niebo nad stepem nadwołżańskim.

Nowikow nie myślał o tym, nie wspominał, nie porównywał. To, co przeżywał, było ważniejsze od wspomnień, porównań czy myśli.

Zrobiło się cicho. Ludzie czekający, by dać sygnał do ataku, i ci, gotowi na ten sygnał rzucić się w stronę pozycji rumuńskich, na chwilę zachłysłi się ciszą.

W tej ciszy, podobnej do niemego i mętnego archaicznego morza, wyznaczano właśnie punkt przegięcia krzywej ludzkości.

Jak dobrze, jakie to szczęście brać udział w decydującej bitwie za ojczyznę. Jakie to okropne, jakie przerażające - wyprostować się przed śmiercią, nie chronić się przed nią, ale biec jej na spotkanie. Jakie straszne - ginąć jako młodzieńki chłopak! Żyć, chce się żyć! Nie ma na świecie mocniejszego pragnienia niż chęć zachowania młodego życia, życia, które tak mało przeżyło. To nie myśl o jego zachowaniu, to pragnienie jest silniejsze od myśli; zawarte jest w oddechu, w nozdrzach, w oczach, w mięśniach, w hemoglobinie chciwie pożerającej tlen. Pragnienie tak potężne, że z niczym nie da się porównać, nie da się go zmierzyć.

654 Strasznie. Strasznie jest przed atakiem.

Gietmanow westchnął głośno i głęboko, popatrzył na Nowikowa, na telefon polowy, na nadajnik radiowy.

Twarz Nowikowa zdziwiła go - była inna od tej, którą znał w ciągu tych wszystkich miesięcy, a widywał ją rozmaitą: w gniewie, w trosce, w pogardzie, wesołą i ponurą.

Niezniszczone rumuńskie baterie jedna za drugą ożyły, biły ogniem rozproszonym w stronę linii frontu. Na cele naziemne skierowały ogień potężne działa zenitowe.

- Piotrze Pawłowiczu - rzekł silnie wzburzony Gietmanow - już czas! Gdzie się pije, tam trzeba nalewać.

Konieczność poświęcania ludzi dla dobra sprawy wydawała mu się zawsze, nie tylko w czasie wojny, czymś naturalnym, bezdyskusyjnym.

Ale Nowikow zwlekał, kazał się połączyć z dowódcą pułku artylerii ciężkiej Łopatinem, którego kalibry przed chwilą pracowały na wytyczonej trasie marszu czołgów.

- Uważaj, Piotrze Pawłowiczu, Tołbuchin cię połknie. - Gietmanow wskazał na swój zegarek.

Nowikow nie chciał się przyznać do śmiesznego, wstydliwego uczucia nie tylko Gietmanowowi, ale nawet samemu sobie.

- Szkoda maszyn, trzydziestkiczwórki są świetne - odpowiedział. Dużo ich stracimy, a to jest kwestia kilku minut, zniszczymy baterie zenitowe i przeciwpancerne - i mamy ich jak na dłoni.

Step dymił się przed nim; ludzie stojący obok w okopie patrzyli na niego, nie odrywając oczu; dowódcy brygad czekali na jego rozkaz radiowy.

Ogarnął go zapalający się zapał rzemieślnika wojny, zwykła ludzka ambicja aż dygotała w napięciu, poza tym bał się przełożonych, a i Gietmanow go poganiał.

Doskonale wiedział, że to, co powiedział Łopatinowi, nie będzie przedmiotem studiów w wydziale historycznym Sztabu Generalnego, nie doczeka się pochwały Stalina i Żukowa, nie przyśpieszy upragnionego Orderu Suworowa.

Istnieje jednak prawo ważniejsze niż prawo do bezrefleksyjnego posyłania ludzi na śmierć; to prawo do refleksji przed posłaniem ludzi na śmierć.

Nowikow podporządkował się temu prawu.

655 11 Na Kremlu Stalin czekał na meldunek dowódcy Frontu Stalingradzkiego.

Popatrzył na zegar: przygotowanie artyleryjskie przed chwilą się skończyło, piechota ruszyła, jednostki ruchome szykowały się, żeby wdrzeć się w wyłom dokonany przez artylerię. Armia powietrzna bombardowała tyły, drogi, lotniska.

Przed dziesięcioma minutami rozmawiał z Watutinem - ruch jednostek pancernych i kawaleryjskich Frontu Południowo-Zachodniego wyprzedził założenia planu.

Wziął do ręki ołówek, popatrzył na milczący telefon. Chciał zaznaczyć na mapie zaczynający się ruch południowej części kleszczy. Ale przesądne uczucie sprawiło, że odłożył ołówek. Wyraźnie czuł, że Hitler w tych chwilach myśli o nim i wie, że on też myśli o nim, o Hitlerze.

Churchill i Roosevelt ufali mu, ale wiedział, że ich zaufanie nie jest całkowite. Złościł go tym, że wprowadził się z nim naradzali, ale najpierw zawsze musieli się naradzić między sobą.

Wiedzieli, że wojna przychodzi i odchodzi, a polityka zostaje. Zachwycali się jego logiką, wiedzą, precyzją myśli, ale irytowali go tym, że mimo wszystko widzieli w nim azjatyckiego władcę, a nie europejskiego przywódcę.

Niespodziewanie przypomniał sobie bezlitośnie mądre, pogardliwie zmrużone, ostre oczy Trockiego i po raz pierwszy pożałował, że nie ma go już wśród żywych:

niechby dowiedział się o dzisiejszym dniu.

Czuł się szczęśliwy, fizycznie mocny, nie czuł wstrętnego ołowianego smaku w ustach, nie ścisnęło go serce. Czuł, że żyje, a z tym łączyło się poczucie siły. Od pierwszych dni wojny Stalin cierpiał fizycznie.

Było tak nawet wtedy, gdy widząc jego gniew, truchleli i prężyli się przed nim marszałkowie, gdy tysiące ludzi w Teatrze Bolszoy wstawały na jego powitanie. Przez cały czas wydawało mu się, że ludzie z jego otoczenia po cichu wyśmiewają się, pamiętając, jaki był zagubiony latem 1941 roku.

Kiedyś w obecności Mołotowa chwycił się za głowę i mruzczał: „Co robić... co robić...” Na posiedzeniu Państwowego Komitetu Obrony załamał mu się głos, wszyscy spuścili głowy. Kilka razy wydał bezsensowne rozporządzenia i widział, że ich bezsensowność jest dla 656 wszystkich oczywista. Trzeciego lipca, zaczynając swoje wystąpienie przez radio, denerwował się, pił borżomi, i to jego zdenerwowanie przedostało się w eter... W końcu lipca Żukow arogancko mu się sprzeciwił, a on na chwilę stropił się i powiedział: „Róbcie, jak uważacie”.

Czasem chętnie odstąpiłby straconym w trzydziestym siódmym roku Rykowowi, Kamieniewowi, Bucharinowi odpowiedzialność, niech dowodzą wojskiem, krajem.

Niekiedy miał straszliwe uczucie, że na polach bitew zwyciężali nie tylko jego dzisiejsi wrogowie. Wydawało mu się, że w ślad za czołgami Hitlera w kurzu i dymie szli ci wszyscy, których, jak mu się zdawało, ukarał, uciszył, unieszkodliwił na zawsze. Wyłazili z tundry, rozsadzali wieczną zmarzlinę, która się nad nimi zamknęła, zrywali druty kolczaste. Z Kołomy, z republiki Kornij jechały pociągi pełne powstałych z grobu. Spod ziemi wychodziły wiejskie baby z dziećmi; szły i szły, pokazując straszne, żałosne, wyniszczone twarze, i szukały go smutnymi, pozbawionymi złości oczami. Jak nikt wiedział, że nie tylko historia osądza zwyciężonych.

Beria bywał chwilami nieznośny, bo najwyraźniej rozumiał jego myśli.

Wszystko to, co złe, słabe, trwało niedługo, kilka dni, wszystko to dopadało go tylko chwilami.

Ale przygnębienie go nie opuszczało, męczyła go zgaga, bolał kark.

Niekiedy miewał okropne zawroty głowy.

Popatrzył znowu na telefon - akurat teraz Jeriomienko miał zameldować, że czołgi ruszają do akcji.

Nadeszła godzina jego siły. Właśnie rozstrzygały się losy państwa założonego przez Lenina; scentralizowana myśl partii będzie mogła okazać swoją moc w budowie olbrzymich fabryk, stacji atomowych i urządzeń termojądrowych, samolotów turbośmigłowych i odrzutowców, rakiet kosmicznych i międzykontynentalnych, wieżowców, pałaców nauki, nowych kanałów, mórz, w stworzeniu podbiegunowych szos i miast.

Rozstrzygały się losy okupowanych przez Hitlera Francji i Belgii, Włoch, państw skandynawskich i bałkańskich, szykowano wyrok śmierci na Auschwitz, Buchenwald i lochy Moabitu, czyniono przygotowania do otwarcia na oścież bram dziewięciuset stworzonych przez nazistów obozów koncentracyjnych i obozów pracy.

657 Rozstrzygały się losy jeńców niemieckich, którzy mieli zostać zesłani na Syberię. Rozstrzygały się losy jeńców radzieckich, którzy po uwolnieniu z hitlerowskich obozów mieli z woli Stalina trafić tam, gdzie Niemcy, na Syberię.

Rozstrzygały się losy Kałmuków i krymskich Tatarów, Bałkarów i Czeczenów; z rozkazu Stalina wywiezieni zostaną na Syberię i do Kazachstanu, utracą prawo do pamiętania własnej historii, do nauki swoich dzieci w języku ojczystym. Rozstrzygały się losy wielkiego aktora Michoelsa i jego przyjaciela Zuskina, pisarzy Bergelsona, Markisza, Fefera, Kwitki, Nusinowa, których każną miała poprzedzić złowrogi proces żydowskich lekarzy z profesorem Wowsim na czele. Rozstrzygał się los uratowanych przez Armię Czerwoną Żydów, nad którymi w dziesiątą rocznicę ludowego zwycięstwa w Stalingradzie Stalin podniósł miecz zniszczenia, wydarty z rąk Hitlerowi.

Rozstrzygały się losy Polscy, Węgier, Czechosłowacji i Rumunii.

Rozstrzygały się losy rosyjskich chłopów i robotników, wolności rosyjskiej myśli, literatury i nauki.

Stalin denerwował się. W tej godzinie siła państwa stapała się z jego wolą.

Jego wielkość, jego geniusz nie istniały w nim samym, niezależnie od wielkości państwa i sił zbrojnych. Jego książki, jego prace naukowe, jego filozofia nie tylko stawały się obiektem studiów i zachwytu milionów ludzi, ale w ogóle miały jakąś wartość tylko wtedy, gdy państwo zwyciężało.

Połączono go z Jeriomienką.

- No, co tam u ciebie? - spytał bez przywitania. - Czołgi ruszyły? Kiedy Jeriomienko usłyszał głos Stalina, szybko zgasił papierosa.

- Nie, towarzyszu Stalin, Tołbuchin kończy przygotowanie artyleryjskie. Piechota oczyściła pierwszą linię. Czołgi jeszcze nie weszły w wyłom.

Stalin zaklął ordynarnie i odłożył słuchawkę.

Jeriomienko znowu zapalił papierosa i zadzwonił do dowódcy 51. armii.

- Dlaczego czołgi do tej pory nie ruszyły? Tołbuchin jedną ręką trzymał słuchawkę, drugą ocierał dużą chustką pot, który wystąpił mu na piersi. Nie tylko mundur miał rozpięty; rozpięty kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli odsłonił grube fałdy tłuszczu na szyi.

658 Przewyciężając zadyszkę, odparł niespiesznie, w sposób typowy dla bardzo tęgiego człowieka, który nie tylko umysłem, ale i całym ciałem rozumie, że nie powinien się denerwować: - Właśnie zameldował mi dowódca korpusu czołgów, że na wyznaczonej osi ruchu czołgów pozostały niezniszczone baterie artylerii nieprzyjaciela. Prosił o kilka minut, żeby mógł je zniszczyć ogniem artyleryjskim.

- Cofnąć rozkaz - rzekł ostro Jeriomienko. - Natychmiast rzućcie czołgi. Za trzy minuty zameldujcie o wykonaniu.

- Tak jest - odparł Tołbuchin.

Jeriomienko chciał go zwymyślać, ale niespodziewanie zapytał: - Co tak ciężko dyszycie, jesteście chorzy? - Nie, jestem zdrowy, Andrieju Iwanowiczu, tylko dopiero co zjadłem śniadanie.

- Działajcie - zakończył rozmowę Jeriomienko i odłożywszy słuchawkę, powiedział: - Zjadł śniadanie i nie może oddychać.

Potem zaczął kłaść, długo i wymyślnie.

Kiedy w punkcie dowodzenia korpusu pancernego zabrzączał telefon, w którym prawie nic nie było słychać, bo znów zaczęła grzmieć artyleria, Nowikow zrozumiał, że dowódca zażąda natychmiastowego wprowadzenia czołgów do walki.

Kiedy dotarli do niego słowa Tołbuchina, pomyślał: „Jakbym wywróżył”, i powiedział: - Tak jest, towarzyszu generale-lejtnancie, rozkaz wykonam.

Potem uśmiechnął się do Gietmanowa.

- Ale jeszcze ze cztery minutki warto postrzelać.

Za trzy minuty znowu zadzwonił Tołbuchin, tym razem już nie dyszał.

- Żarty sobie robicie, towarzyszu pułkowniku? Dlaczego słyszę artylerię? Wykonać rozkaz! Nowikow kazał telefoniście połączyć się z dowódcą pułku artylerii Łopatinem. Słyszał jego głos, ale milczał, patrzył na ruch wskazówki sekundowej, czekając na wyznaczony termin.

-To ci zuch z naszego atamana! - zachwyił się szczerze Gietmanow.

A jeszcze po minucie, kiedy umilkła artyleryjska kanonada, Nowikow włożył nauszники i wywołał dowódcę pierwszej brygady, która pierwsza szła do ataku: - Bielów! 659 - Tak jest, towarzyszu dowódcu korpusu.

Nowikow skrzywił się i ryknął opętańczym głosem: - Bielów, wal! Mgła zrobiła się gęstsza niż błękitny dym, powietrze zahuczało od ryku silników, korpus wchodził w wyłom.

12 Dla dowództwa niemieckiej Grupy Armii B cele ofensywy Rosjan stały się oczywiste, kiedy dwudziestego listopada o świcie zadudniła artyleria w stepach Kałmucji, a jednostki uderzeniowe Frontu Stalingradzkiego, dyslokowane na południe od Stalingradu, ruszyły do natarcia na 4. armię rumuńską, broniącą pozycji na prawym skrzydle Paulusa.

Korpus pancerny, działający na zachodnim, lewym skrzydle radzieckiego zgrupowania uderzeniowego, wdarł się w wyłom między jeziorami Caca i Barmancak, skierował się na północny zachód, na Kałacz, idąc na spotkanie pancernym i kawaleryjskim korpusom frontów Dońskiego i Południowo-Zachodniego.

Dwudziestego listopada po południu zgrupowanie nacierające od strony miejscowości Sierafimowicz wyszło na północ od Surowikina, stwarzając zagrożenie dla linii komunikacyjnych armii Paulusa.

Ale 6. armia jeszcze nie uświadomiła sobie grozy okrążenia. O szóstej wieczorem sztab Paulusa poinformował dowódcę Grupy Armii B, generała-pułkownika barona von Weichsa, że dwudziestego listopada w Stalingradzie pododdziały rozpoznawcze kontynuują dotychczasowe działania.

Wieczorem Paulus otrzymał rozkaz von Weichsa, nakazujący mu przerwać wszystkie operacje ofensywne w Stalingradzie, wydzielić potężne jednostki czołgów i piechoty oraz broń przeciwpancerną, skoncentrować je w liniach za swoim lewym

skrzydłem, w celu uderzenia na kierunku północno-zachodnim.

Rozkaz ten, który Paulus otrzymał o dziesiątej, oznaczał zakończenie natarcia Niemców w Stalingradzie.

Szybki bieg wydarzeń pozbawił go jednak znaczenia.

Dwudziestego pierwszego listopada radzieckie ugrupowania, prace od Kleckiej i Sierafimowicza, skręciły pod kątem prostym do swojego 660 poprzedniego kierunku, po czym połączyły się i szły w kierunku Donu, w rejonie Kałacza i na północ od miasta, prosto na tyły stalingradzkiego frontu Niemców.

Tego dnia czterdzieści radzieckich czołgów pojawiło się na wysokim zachodnim brzegu Donu, o kilka kilometrów od Gołubińskiej, gdzie znajdowało się stanowisko dowodzenia armii Paulusa. Druga grupa czołgów zdobyła z marszu most na Donie - ochrona mostu wzięła jednostkę radziecką za oddział ćwiczebny, mający na stanie zdobyczne czołgi, który często korzystał z tego mostu. Radzieckie czołgi weszły do Kałacza. Zarysowało się okrążenie dwóch niemieckich stalingradzkich armii - szóstej Paulusa i czwartej pancernej Gotta.

Dla zabezpieczenia tyłów Stalingradu jedna z najlepszych jednostek bojowych Paulusa, 384. dywizja piechoty, zajęła pozycje obronne od północnego zachodu.

A w tym samym czasie atakujące z południa wojska Jeriomienki rozniosły niemiecką 29. dywizję zmotoryzowaną, rozbiły rumuński 6.

korpus armijny i posuwały się w rejonie między rzekami Czerwienną i Dońską Carycą ku linii kolejowej Kałacz-Stalingrad.

O zmierzchu czołgi Nowikowa podeszły do silnie umocnionego węzła oporu Rumunów.

Tym razem Nowikow już nie zwlekał. Nie wykorzystał ciemności nocy na potajemną koncentrację czołgów przed atakiem. Na jego rozkaz wszystkie pojazdy, nie tylko czołgi, ale i działa samobieżne, i transportery opancerzone, i ciężarówki z piechotą niespodziewanie włączyły światła.

Setki jaskrawych, oślepiających reflektorów rozbiły ciemność.

Chmara maszyn wyskoczyła ze stepowej czerni, ogłuszając przeciwnika rykiem i hukiem dział, paraliżując obronę i wywołując panikę wśród żołnierzy rumuńskich.

Po krótkiej walce czołgi kontynuowały marsz. Dwudziestego drugiego przed południem czołgi radzieckie, jadące ze stepów kałmuckich, wdarły się do Buzinowki. Wieczorem na wschód od Kałacza, na tyłach dwóch niemieckich armii, Paulusa i Gotta, nastąpiło spotkanie przednich radzieckich pododdziałów pancernych, idących z południa i z północy. Przed dwudziestym trzecim listopada jednostki piechoty, wysuwając się ku rzekom Czir i Aksaj, w sposób pewny ubezpieczyły skrzydła zgrupowań uderzeniowych.

661 Zadanie postawione wojsku przez Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej zostało wykonane; okrążenie stalingradzkiego zgrupowania Niemców dokonało się w ciągu stu godzin.

Jaki był dalszy bieg wydarzeń? Co o nim zdecydowało? Czyja wola wyraziła wyrok historii? Dwudziestego drugiego listopada o szóstej wieczór Paulus nadał przez

radio meldunek do sztabu Grupy Armii B: „Armia została otoczona. Pomimo bohaterskiego oporu cała dolina rzeki Carycy, linia kolejowa z Sowieckiej do Kałacza, most przez Don w tym rejonie oraz wzgórze na zachodnim brzegu rzeki dostały się w ręce Rosjan... Zapasy amunicji są w stanie krytycznym. Żywności starczy na sześć dni. Proszę pozostawić mi swobodę działań, na wypadek gdyby nie udało się zorganizować obrony okrężnej. Sytuacja może zmusić nas wówczas do pozostawienia Stalingradu i północnego odcinka frontu...” W nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi listopada Paulus otrzymał rozkaz Hitlera, żeby zajmowany przezeń rejon przemianować na „Twierdzę Stalingrad”.

Poprzedni rozkaz brzmiał: „Dowódcy armii rozkazuję razem ze sztabem skierować się do Stalingradu. Szóstej armii nakazuję prowadzić obronę okrężną i czekać na dalsze rozkazy”.

Po naradzie Paulusa z dowódcami korpusów dowódca Grupy Armii B, baron von Weichs, zadeklarował do najwyższego dowództwa: „Biorąc na siebie cały ciężar odpowiedzialności za tę decyzję, zmuszony jestem zameldować, że przyjęcie propozycji generała Paulusa wycofania 6. armii uważam za niezbędne...” Szef sztabu generalnego wojsk lądowych, generał-pułkownik Zeitzler, z którym Weichs nieustannie utrzymywał łączność, całkowicie podzielał pogląd Paulusa i Weichsa o konieczności wycofania się z rejonu Stalingradu i uważał za niemożliwe zaopatrywanie z powietrza olbrzymich mas wojsk, które znalazły się w okrążeniu.

O drugiej nad ranem dwudziestego czwartego listopada Zeitzler przekazał Weichsowi telefonogram, że w końcu udało mu się przekonać Hitlera do oddania Stalingradu. Powiadał, że rozkaz wyjścia 6. armii z okrążenia Hitler wyda rankiem dwudziestego czwartego.

Wkrótce po dziesiątej rano jedyna linia telefoniczna między Grupą Armii B a 6. armią została przerwana.

662 Z minuty na minutę oczekiwano, że Hitler rozkaże Paulusowi wyjść z okrążenia, a ponieważ działać trzeba było szybko, baron Weichs postanowił na własną odpowiedzialność wydać rozkaz przerwania blokady.

W chwili kiedy telefoniści już szykowali się do przekazania radiogramu Weichsa, szef służby łączności usłyszał, że sztab fuhrera nadaje radiogram do generała Paulusa: „Szósta armia została tymczasowo okrążona przez Rosjan. Postanowiłem skoncentrować armię w rejonie: północne peryferie Stalingradu, Kotłubań, wzgórze sto trzydzieści siedem, wzgórze sto trzydzieści pięć, Marinowka, Cybienko, południowe peryferie Stalingradu. Armia może być pewna, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ją zaopatrzyć i w odpowiednim czasie odblokować. Znam waleczną szóstą armię i jej dowódcę, jestem więc przekonany, że spełni ona swój obowiązek.

Adolf Hitler”.

Wola Hitlera, prowadząca teraz Trzecią Rzeszę ku klęsce, przypieczętowała zarazem los stalingradzkiej armii Paulusa. Nową kartę historii oręza niemieckiego wódz zapisał ręką Paulusa, Weichsa, Zeitzlera, rękami dowódców niemieckich korpusów i pułków, rękami żołnierzy; tych wszystkich, którzy nie chcieli spełnić jego woli, ale wykonali ją do końca.

13 Po stugodzinnej bitwie nastąpiło połączenie jednostek trzech frontów



Południowo-Zachodniego, Dońskiego i Stalingradzkiego.

Na peryferiach Kałacza, pod ciemnym zimowym niebem doszło do spotkania przednich straży radzieckich pododdziałów pancernych.

Stepowa przestrzeń była poryta setkami gąsienic, osmalona wybuchami pocisków. Ciężkie maszyny jechały szybko w śnieżnych obłokach, w powietrzu kołysała się biała zawiesina. Tam gdzie czołgi robiły ostre zakręty, razem ze śniegiem wzlatywały w powietrze tumany zmarzniętej gliny.

Od strony Wołgi nisko nad ziemią pędziły z wyciem radzieckie samoloty, bombowce szturmowe i myśliwce, wspierające masy czołgów, które wdarły się w wyłom. Na północnym wschodzie dudniły działa 663 wielkiego kalibru; niewyraźne błyski rozjaśniały ciemne, zadymione niebo.

Koło niewielkiego drewnianego domu stanęły naprzeciw siebie dwa czołgi T-34. Czołgiści, brudni, pobudzeni sukcesem w walce i bliskością śmierci, głośno, z rozkoszą wdychali mroźne powietrze, szczególnie miłe po dusznym, śmierdzącym olejem i spalinami wewnątrz czołgu. Zrzuciwszy z głów czarne skórzane hełmy, czołgiści weszli do domu i tam dowódca maszyny, która przyjechała z nad jeziora Caca, wyjął z kieszeni kombinezonu pół litra wódki... Kobieta w waciaku i ogromnych walonkach postawiła na stół szklanki dzwoniące w jej drżących rękach i pochlipując, powiedziała: - Oj, już myśleliśmy, że z życiem nie ujdziemy; odkąd nasi zaczęli walić, to dwie noce i jeden dzień przesiedziałam w piwnicy.

Do pokoju weszło jeszcze dwóch niewysokich, za to szerokich w barach pancerniaków.

- Widzisz, Walera, jak nas częstują. Zdaje się, że i my coś tam mamy - rzekł dowódca maszyny, który przyjechał z Frontu Dońskiego. Ten, który miał na imię Walera, włożył rękę do głębokiej kieszeni kombinezonu i wyciągnął zawinięty w zatłuszczoną gazetkę frontową kawał wędzonej kiełbasy i zaczął ją dzielić, starannie upychając do środka kawałki białego tłuszczu, które powylażyły przy złamaniu.

Czołgiści wypili i poczuli się szczęśliwi. Jeden z nich, uśmiechając się pełnymi kiełbasy ustami, powiedział: - To się nazywa spotkanie - wasza wódka, nasza zagrycha.

Ta myśl wszystkim się spodobała, więc czołgiści powtarzali ją ze śmiechem, żując kiełbasę, bardzo przyjaźnie do siebie nastawieni.

14 Dowódca czołgu, który przyjechał z południa, zameldował przez radio dowódcy kompanii o spotkaniu na peryferiach Kałacza. Dodał kilka słów o tym, że ci z Frontu Południowo-Zachodniego okazali się bardzo fajnymi chłopakami i że wypili z nimi po sto gramów.

Wiadomość rychło poszła w górę i już po kilku minutach dowódca brygady Karpow zameldował dowódcy korpusu, że jednostki się spo664 tkwały. Nowikow czuł atmosferę troskliwego zachwytu, jaka zapanowała wokół niego w sztabie korpusu.

Korpus posuwał się prawie bez strat, w terminie wykonał zadanie, które przed nim postawiono.

Po wysłaniu meldunku do dowódcy frontu Nieudobnow długo ścisnął rękę Nowikowa; zazwyczaj złe, rozdrażnione oczy szefa sztabu stały się pogodniejsze i

łagodniejsze.

- Widzicie, jakie cuda mogą sprawić nasi ludzie, kiedy nie ma wśród nich wrogów wewnętrznych i dywersantów - powiedział.

Gietmanow uścisnął Nowikowa, obejrzał się na stojących obok dowódców, na kierowców, ordynansów, radiotelegrafistów, szyfrantów, chlipnął i głośno, tak żeby wszyscy słyszeli, powiedział: - Składam ci, Piotrze Pawłowiczu, podziękowanie. Rosyjskie, radzieckie podziękowanie. Podziękowanie od komunisty Gietmanowa: dziękuję ci i nisko się kłaniam.

Po czym znowu objął i ucałował zmieszanego Nowikowa.

- Wszystko przygotował, poznał ludzi aż do głębi, wszystko przewidział, teraz zebrał owoce swojej olbrzymiej pracy - mówił dalej.

- Gdzież tam przewidział - rzekł Nowikow, któremu było nadzwyczaj przyjemnie, ale też i głupio, kiedy słuchał Gietmanowa. Pomachał paczką meldunków bojowych: - To moje przewidywanie. Najbardziej liczyłem na Makarowa, a Makarow stracił tempo, potem zszedł z wyznaczonej osi ruchu, wpłatał się niepotrzebnie w drobną operację na skrzydle i stracił półtorej godziny. Byłem pewien, że Biełow, nie ubezpieczając skrzydeł, pogna do przodu, a Biełow następnego dnia, zamiast obejść węzeł obronny i nie oglądając się, pędzić na północny zachód, zaczął mitrężyć z jednostką artylerii i piechotą i nawet przeszedł do obrony, stracił jednaście godzin na te głupstwa. A Karpow pierwszy dotarł do Kałacza, pędził jak wicher, nie oglądając się, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje na skrzydłach, pierwszy przeciął Niemcom zasadniczą linię. Tak to było z moją znajomością ludzi, tak to wszystko zawczasu przewidziałem. Przecież myślałem, że Karpowa będę musiał kijem poganiać, że tylko będzie się rozglądał na boki i zabezpieczał skrzydła.

Gietmanow z uśmiechem powiedział: - Dobra, dobra, skromność upiększa, to wiemy. Wielki Stalin uczy nas skromności...

665 Tego dnia Nowikow był szczęśliwy. Widocznie rzeczywiście kochał Jewgienię Nikołajewnę, jeśli nawet w tym dniu tak dużo o niej myślał, ciągle rozglądał się, jakby za chwilę miał ją gdzieś ujrzeć.

Gietmanow zniżył głos do szeptu i powiedział: - Ale czego w życiu nie zapomnę, Piotrze Pawłowiczu, to tego, jak zatrzymałeś uderzenie na osiem minut. Dowódca armii naciska, dowódca frontu każe natychmiast wprowadzić czołgi do akcji. Mówiono mi, że Stalin dzwonił do Jeriomienki - dlaczego czołgi nie ruszają? Stalinowi kazałeś czekać! A przecież poszliśmy w wyłom, rzeczywiście nie tracąc ani jednej maszyny, ani jednego człowieka. Tego właśnie nigdy ci nie zapomnę.

Nocą zaś, kiedy Nowikow wyjechał czołgiem w rejon Kałacza, Gietmanow przyszedł do szefa sztabu i powiedział: - Towarzyszu generale, napisałem raport w sprawie samowolnego ośmiominutowego opóźnienia, jakiego dopuścił się dowódca korpusu, biorąc udział w operacji o największym znaczeniu, w operacji, która zdecydowała o losie Wielkiej Wojny Narodowej. Proszę, zapoznajcie się z dokumentem.

15 W chwili, w której Wasilewski doniósł Stalinowi przez telefon o okrążeniu stalingradzkiego zgrupowania Niemców, koło Stalina stał jego pomocnik

Poskriobyszew. Stalin, nie patrząc na niego, przez kilka chwil siedział z półprzymkniętymi oczami, jakby zasypiał. Poskriobyszew wstrzymał oddech i starał się nie poruszyć. To była godzina triumfu wodza - nie tylko nad żywym wrogiem, także nad przeszłością. Gęstsza trawa porośnie groby trzydziestego siódmego roku. Lód i śnieżne wzgórza za kołem polarnym zachowają spokojne milczenie.

Wódz wiedział lepiej niż ktokolwiek na świecie: zwycięzców się nie sądzi.

Zapragnął, żeby obok niego znalazły się jego dzieci, wnuczka, córeczka nieszczęsnego Jakowa. Spokojny, ukojony, głaskałby jej główkę, i nie spojrzałby na świat, który padł plackiem na progu jego chaty.

Ukochana córka, cicha, chorowita wnuczka, wspomnienia dzieciństwa, chłód ogródka, daleki szum rzeki. Co go obchodzi cała reszta? 666 Przecież jego nadzwyczajna siła nie zależy od wielkich dywizji i potęgi państwa.

Powoli, nie otwierając oczu, z jakąś szczególnie łagodną, gardłową intonacją, powiedział: - Ach, wpadłeś, ptaszku, w nasze sieci, nie puścimy cię za nic w świecie.

Patrząc na siwą, łysiejącą głowę Stalina, na jego dziobatą twarz i przymknięte oczy, Poskriobyszew poczuł nagle, że palce drętwieją mu z zimna.

16 Powodzenie natarcia w rejonie Stalingradu usunęło wiele przerw w linii obrony radzieckiej. Likwidowano przerwy nie tylko między całymi frontami - Stalingradzkim i Dońskim, nie tylko między armią Czujkowa a stacjonującymi na północy dywizjami, nie tylko między oderwanymi od tyłów kompaniami i plutonami czy kryjącymi się w domach oddziałami i grupami bojowymi. Poczucie oderwania, częściowego bądź całkowitego okrążenia, zniknęło także ze świadomości ludzi, ustąpiło miejsca poczuciu jedności, całości i mnogości. A świadomość więzi pojedynczego człowieka z masą żołnierską jest właśnie tym, co nazywa się zwycięskim duchem wojsk.

Oczywiście, w duszach niemieckich żołnierzy, którzy znaleźli się w okrążonym Stalingradzie, zaległy się myśli całkiem przeciwne. Olbrzymi, żywy strzęp, utworzony z setek tysięcy myślących, czujących komórek, oderwał się od niemieckich sił zbrojnych. Efemeryczność fal radiowych i jeszcze bardziej efemeryczne zapewnienia propagandy o wiecznej łączności z Niemcami potwierdziły, że stalingradzkie dywizje Paulusa zostały okrążone.

Wypowiedziany w swoim czasie przez Tołstoja pogląd, że całkowite okrążenie armii nie jest możliwe, potwierdzało doświadczenie współczesnych pisarzowi wojen.

Wojna lat 1941-1945 wykazała, że armię można okrążyć, przykuć do ziemi, ścisnąć żelazną obręczą. Okrążenie w czasie wojny 1941-1945 stało się bezlitosną rzeczywistością dla wielu armii, radzieckich i niemieckich.

667 Myśl Tołstoja była niewątpliwie słuszna w odniesieniu do swoich czasów. Nie zachowała jednak tej słuszności na wieczność, tak zresztą jak większość myśli o polityce albo o wojnie, wypowiedzianych przez wielkich ludzi.

W wojnie 1941-1945 roku okrążenie stało się realne dzięki niezwyklej mobilności wojsk oraz niesłychanej masywności i ociężałości tyłów, które o tej mobilności decydują. Jednostki, które okrążają przeciwnika, korzystają ze wszystkich jej plusów. Okrążone zaś całkowicie ją tracą, ponieważ w okrążeniu niemożliwe jest

zorganizowanie potężnego, skomplikowanego, przypominającego fabrykę zaplecza współczesnej armii. Okrażonych dławi paraliż. Okrażający używają silników i skrzydeł.

Okrażona armia, tracąc mobilność, pozbawia się nie tylko swoich atutów w sprzęcie wojskowym. Żołnierzy i oficerów okrażonych armii wyrzuca się jakby ze współczesnego cywilizowanego świata i przenosi w świat miniony. Żołnierze i oficerowie okrażonych wojsk przewartościowują nie tylko siły walczących wojsk, perspektywy wojny, ale i politykę państwa, urok przywódców partyjnych, kodeksy, konstytucję, charakter narodowy, przyszłość i przeszłość narodu.

Tak samo skłonni do niektórych z wymienionych przewartościowań, chociaż oczywiście ze znakiem przeciwnym, są ci, którzy jak orły z rozkoszą próbując siły swoich skrzydeł, krążą nad spętaną, bezradną ofiarą.

Stalingradzkie okrażenie armii Paulusa zadecydowało o przełomie w toku wojny.

Stalingradzki triumf zadecydował o wyniku wojny, ale milczący spór między zwycięskim narodem a zwycięskim państwem trwał nadal. Od tego sporu zależał los człowieka, jego wolność.

17 W Prusach Wschodnich, w lesie koło Gierłozy, kropił jesienny deszcz, kiedy pewien człowiek średniego wzrostu, w szarym płaszczu, szedł ścieżką między wysokimi drzewami. Na jego widok wartownicy wstrzymywali oddech, zamierali, a krople deszczu powoli spływały po ich twarzach.

668 Hitler chciał pooddychać świeżym powietrzem, pobyc sam. Wilgotna aura wydawała mu się bardzo przyjemna. Siąpił zimny, orzeźwiający deszcz. Jakie ładne, milczące drzewa. Jak dobrze chodzi się po opadłych, miękkich liściach.

Ludzie w kwaterze polowej przez cały dzień okropnie go drażnili...

Stalin nigdy nie budził w nim szacunku. Wszystko, co robił, jeszcze przed wojną wydawało mu się głupie i toporne. Jego chytryść, jego wiarołomstwo były po chłopsku prostackie. Jego państwo było idiotyczne. Churchill kiedyś zrozumie tragiczną rolę Nowych Niemiec, które własnym ciałem osłoniły Europę przed azjatyckim bolszewizmem Stalina. Wyobrażał sobie tych, którzy nalegali na wycofanie 6. armii ze Stalingradu: będą szczególnie powściągliwi, pełni czci. Drażnili go wszyscy, którzy wierzyli mu bez zastrzeżeń; ci zaczną kwieciście wyrażać swoje oddanie. Cały czas miał ochotę myśleć o Stalinie z pogardą, ale czuł, że to pragnienie spowodowane jest utratą poczucia wyższości...

Okrutny, mściwy kaukaski sklepikarz. Jego dzisiejszy sukces niczego nie zmieni... Czy we wzroku starego wałacha Zeitzlera nie kryła się kpina? Drażniła Hitlera myśl, że Goebbels będzie mu powtarzał żart premiera Anglii na temat jego talentów wodzowskich i śmiejąc się, powie: „Musisz jednak przyznać, że jest dowcipny” - a w głębi jego pięknych i inteligentnych oczu na chwilę pojawi się iskierka triumfu zawistnika, która, jak się wydawało, zniknęła na zawsze.

Kłopoty z 6. armią zaprzętały go i przeszkadzały mu być sobą. Nie utrata Stalingradu, nie okrażone dywizje były najgorszym nieszczęściem, które niosły ze sobą ostatnie wydarzenia; i nie to, że Stalin go przechrzył.

Bo on, Hitler, to wszystko naprawi.

Zawsze miewał banalne myśli, zabawne słabostki. Ale wtedy, gdy był wielki i

wszechmocny, wszystko to zachwycało i rozczulało ludzi.

Był uosobieniem niemieckiego zrywu narodowego. Ledwie jednak zaczynała się chwiać potęga Nowych Niemiec i ich sił zbrojnych, bladła jego mądrość, wódz tracił swój geniusz.

Nie zazdrościł Napoleonowi. Nie cierpiał tych, którym samotność, bezradność, nędza nie odbierały wielkości, którzy nawet w ciemnej piwnicy czy na strychu nie tracili mocy.

Podczas tego samotnego spaceru w lesie nie zdołał oderwać się od codzienności i w głębi własnej duszy poszukać lepszego, prawdziwego 669 rozwiązania, niedostępnego dla rzemieślników ze Sztabu Generalnego czy kierownictwa partii. Kiedyś nieznośnie dręczyło go poczucie, że inni ludzie są mu równi, i takie poczucie właśnie doń powróciło.

Na założyciela Nowych Niemiec, tego, który rozniecił płomienie wojny i pieców oświęcimskich, stworzył gestapo, nie nadawał się człowiek. Twórca i wódz Nowych Niemiec powinien był opuścić ludzkość.

Jego uczucia, myśli, jego codzienność mogły istnieć tylko ponad ludźmi, poza nimi.

Rosyjskie czołgi zawróciły go tam, skąd uciekł. Jego myśli, jego decyzje, jego zazdrość nie dotyczyły dzisiaj Boga ani losów świata. Sam, bez strażnika przy boku, bez towarzyszących mu zazwyczaj adiutantów, wydawał się sobie chłopcem z bajki, który wszedł do mrocznego, zaczarowanego lasu.

Tak samo wędrował Tomcio Paluch, tak zabłąkał się koziołek w lesie: szedł, nie wiedząc, że w ciemnej gęstwinie skrada się ku niemu wilk. Z ciemnego humusu minionych dziesięcioleci wypłynął nagle dziecięcy strach, wspomnienie o obrazku z książki - na słonecznej polanie leśnej stoi koziołek, a między wilgotnymi, czarnymi pniami migają czerwone ślepia i białe wilcze zęby.

Miał ochotę, tak jak w dzieciństwie, krzyknąć, zawołać matkę, zamknąć oczy i uciekać.

Tymczasem w lesie, wśród drzew, czał się oddział jego ochrony osobistej, złożony z ludzi silnych, wytrenowanych, inteligentnych, szybko reagujących, w nieustannej gotowości bojowej. Żyli tylko po to, by nie owionął go niczyj obcy oddech, nie poruszył nawet włosa na jego głowie.

Ledwo dosłyszalnie brzęczały telefony, przekazując do sektorów i stref informację o każdym ruchu fuhrera, kiedy ten postanowił przejść się samotnie po lesie.

Zawrócił i opanowując chęć ucieczki, skierował się w stronę ciemnozielonych budynków kwatery polowej.

Strażnicy widzieli, że fiihrer przyśpieszył kroku, widocznie pilne sprawy wymagały jego obecności w sztabie; czy mogli przypuszczać, że kiedy w lesie zaczęło się zmierzchać, wódz Niemiec przypomniał sobie wilka z bajki dla dzieci? Za drzewami płonęły światła w oknach sztabu. Po raz pierwszy myśl o płonących obozowych piecach wzbudziła w nim zwyczajny, ludzki strach.

670 18 Nader dziwne uczucie ogarnęło ludzi w schronach i na stanowisku dowodzenia 64. armii. Każdy miał ochotę uszczypnąć się w policzek, obmacać ubranie, poruszyć palcami w bucie. Niemcy nie strzelali...

Zrobiło się cicho.

Cisza przyprawiała o zawrót głowy. Ludziom wydało się, że opustoszeła wewnątrz, że zamiera w nich serce, jakoś inaczej poruszają się ręce, nogi. Czymś osobliwym, nie do pomyślenia było to, że można w ciszy jeść kaszę, w ciszy pisać list, nocą obudzić się w ciszy. Cisza dudniła po swojemu, cicho. Cisza zrodziła mnóstwo dźwięków, które wydawały się nowe i dziwne: brzęczenie noża, szelest kartki w książce, skrzypienie deski w podłodze, odgłos bosych stóp, skrzypienie pióra, szcęk bezpiecznika w pistolecie, tykanie zegara na ścianie schronu.

Szef sztabu armii, Kryłow, wszedł do schronu dowódcy; Czujkow siedział na łóżku, naprzeciw niego, przy stoliku, siedział Gurow. Kryłow chciał od razu opowiedzieć o ostatniej nowinie: Front Stalingradzki ruszył do natarcia, kwestia okrążenia Paulusa rozstrzygnie się w najbliższych godzinach. Ale kiedy spojrzął na Czujkova i Gurowa, usiadł bez słowa na łóżku. Widocznie w twarzach kolegów zobaczył coś niezwykłego, skoro nie podzielił się z nimi nowiną, choć była przecież nie byle jaka.

Trzech ludzi milczało. Cisza zrodziła nowe, zatarte w Stalingradzie dźwięki. Cisza szykowała się, by zrodzić nowe myśli, namiętności, niepokoje, zbędne w czasie walki.

Na razie jednak nie znali tych nowych myśli; miażdżący kości ciężar Stalingradu jeszcze nie zrodził wzburzenia, ambicji, urazu, zawiści. Nie myśleli o tym, że ich nazwiska odtąd na zawsze związane będą z piękną kartą historii oręża rosyjskiego.

Te chwile ciszy były najlepszymi w ich życiu. Władaly nimi wówczas wyłącznie ludzkie uczucia i nikt z tej trójki nie umiał potem samemu sobie odpowiedzieć, dlaczego chwile owe pełne były takiego szczęścia i smutku, miłości i pokory.

Czy warto ciągnąć opowieść o stalingradzkich generałach po tym, jak zakończyła się obrona? Czy warto opowiadać o żalostnych namiętnościach, jakie oładnęły niektórymi dowódcami obrony Stalingradu? O tym, jak pili bez przerwy i, zazdrośni o sławę, bez przerwy sobie 671 wymyślali? Jak pijany Czujkow rzucił się na Rodimcewa i chciał go udusić tylko dlatego, że podczas wiecu na cześć stalingradzkiego zwycięstwa Chruszczow wyściskał i wycalował jego, a na stojącego obok Czujkova nawet nie spojrzął.

Czy warto opowiadać o tym, że pierwszą podróż ze świętej małej ziemi stalingradzkiej na wielką ziemię Czujkow odbył, żeby uczcić dwudziestolecie WCzK-OGPU? O tym, jak rankiem po tym święcie Czujkow i jego towarzysze broni, spici do nieprzytomności, omal nie utonęli w Wołdze, a żołnierze musieli ich wyciągać z wody? Czy warto mówić o przekleństwach, wymówkach, podejrzaniach, zazdrości? Prawda jest jedna. Nie ma dwóch prawd. Trudno żyć bez prawdy albo z jej okruciami, z częstką, z prawdą okrojoną, ufryzowaną. Część prawdy nie jest prawdą. W tę cudowną, cichą noc niech pozostanie w duszy cała prawda, bez ukrywania czegokolwiek. W tę noc pamiętajmy ludziom ich dobro, ich wielki codzienny trud...

Czujkow opuścił schron i powoli wszedł na szczyt skarpy wołżańskiej; drewniane schodki wyraźnie poskrzypywały pod jego nogami.

Było ciemno. Zachód i wschód milczały. Sylwetki budynków fabryk, ruiny, okopy, schrony wtopiły się w spokojną, milczącą ciemność ziemi, nieba, rzeki...

Tak wyraziło się zwycięstwo narodu. Nie w uroczystym przemarszu wojsk, przy dźwiękach połączonych orkiestr, nie w pokazie sztucznych ogni i salwach artyleryjskich, ale w spokoju wilgotnej nocy, sielskim spokojem, jaki ogarnął ziemię, miasto, Wołgę.

Czujkow był przejęty, jego serce, stwardniałe w wojennym czasie, głośno stuknęło w piersiach. Wsłuchał się: nie było całkiem cicho. Od strony wąwozu Bannego i „Czerwonego Października” dobiegał śpiew.

Z dołu, od Wołgi dobiegały słabo słyszalne głosy, dźwięki gitary.

Czujkow wrócił do schronu. Gurow, który czekał na niego z kolacją, powiedział: - Wasiliju Iwanowiczu, zwariować można, tak cicho.

Czujkow zaczął sapać, nic nie odpowiedział.

A potem, kiedy siedli do stołu, Gurow wyrecytował: - Bracie, widać i ty doświadczyłeś nieszczęścia, skoro płaczesz, śpiew słyszysz wesoły.

Czujkow spojrzał na niego szybko, ze zdziwieniem.

672 19 W ziemiance wykopanej w zboczu stalingradzkiego wąwozu, przy lampie własnego wyrobu, wokół samodzielnie skleconego stolika siedziało kilku żołnierzy.

Starszyna rozlewał wódkę do kubków, a ludzie śledzili, jak drogocenny płyn ostrożnie podnosi się do poziomu jego krzywego paznokcia, przyłożonego do mętnego równika graniastej szklanki.

Wszyscy wypili i sięgnęli po chleb. Jeden z żołnierzy, kiedy już zjadł swoją porcję, powiedział: - No, tak w nas tłukli, a my im jednak dali radę.

- Uspokoili się fryce, już tak nie szaleją.

- Już się wyszalały.

- Skończyła się stalingradzka łepopeja.

- Ale bida niemało zdążyli narobić. Pół Rosji spalili.

Żuli chleb długo, bez pośpiechu, dzięki tej swojej nieśpieszności doświadczając spokojnego szczęścia ludzi, którzy po niełatwej robocie odpoczywają, jedzą i piją.

W głowach im zaszumiało, ale ten szum był jakiś szczególny, nie oszałamiał. I smak chleba, i chrupiącej cebuli, i broń złożoną pod gliniastą ścianą ziemianki, i myśli o domu, i Wołgę, i zwycięstwo nad potężnym wrogiem, odniesione ich rękami, tymi samymi, które głaskały dzieci po głowach, ścisnęły kobiety, łamały chleb i zawijały tytoń w gazetę - wszystko to czuli teraz tak wyraźnie jak nigdy dotąd.

20 Ewakuowani mieszkańcy Moskwy, szykując się do powrotu, bardziej chyba niż na widok stolicy cieszyli się, że wybawieni zostaną od życia w ewakuacji. Ulice i domy w Swierdłowsku, Omsku, Kazaniu, Taszkencie, Krasnojarsku, gwiazdy na jesiennym niebie, smak chleba wszystko to im obrzydło.

Jeśli czytali pomyślny komunikat Sowinformbiura, powtarzali: - No, teraz już niedługo wszyscy pojedziemy.

Jeśli zaś czytali komunikat niepokojący, mówili: - Oj, przestaną dawać wezwania dla członków rodziny.

673 Krążyło mnóstwo opowieści o takich, którzy potrafili bez przepustki dostać się do Moskwy - przesiadali się z pociągów dalekobieżnych na robotnicze, potem na podmiejskie, gdzie nie było kontroli.

Ludzie zapominali, że w październiku 1941 roku każdy przeżyty w Moskwie dzień wydawał im się torturą. Z jaką zazdrością patrzyli wtedy na szczęśliwców zamieniających złowieszcze niebo nad stolicą na spokój Tatarstanu czy Uzbekistanu...

Ludzie zapominali, że byli tacy, którzy w pamiętnych październikowych dniach 1941 roku nie dostali się do pociągów, rzucali więc walizki i tobołki, żeby pieszo ruszyć drogą na Zagorsk, byle tylko wyrwać się z Moskwy. Teraz zaś gotowi byli zostawić rzeczy, pracę, uporządkowane życie i piechotą wracać do Moskwy, byle tylko wyrwać się z ewakuacji.

Te dwie całkiem przeciwne tendencje - gwałtowny pęd do ucieczki z Moskwy i szalony pęd do Moskwy - wyjaśnić należy głównie tym, że miniony rok wojny przekształcił świadomość ludzi i zmienił zabobonny lęk przed Niemcami w pewność, że przewagę ma Rosja Radziecka.

Straszliwe niemieckie lotnictwo już nie wydawało się tak straszliwe.

W drugiej połowie listopada Sowinformbiuro poinformowało o uderzeniu na grupę wojsk niemieckich w rejonie Władykaukazu (Ordżonikidze), następnie o sukcesie natarcia w rejonie Stalingradu.

W ciągu dwóch tygodni dziewięciokrotnie spiker ogłaszał: „W osta nim czasie... Natarcie naszych wojsk jest kontynuowane... Nowy cios zadany wrogowi... Pod Stalingradem nasze wojska, przełamując opór nieprzyjaciela, przerwały jego nową linię obrony na wschodnim brzegu Donu... Kontynuując natarcie, nasze wojska przebyły od dziesięciu do dwudziestu kilometrów... W tych dniach nasze wojska, dyslokowane w rejonie środkowego biegu Donu, przeszły do ofensywy przeciwko wojskom niemiecko-faszystowskim. Trwa ofensywa naszych wojsk w rejonie środkowego biegu Donu... Natarcie naszych wojsk na północnym Kaukazie... Nowe uderzenie naszych wojsk na południowy zachód od Stalingradu... Natarcie naszych wojsk na południe od Stalingradu...” W przeddzień nowego, 1943 roku Sowinformbiuro opublikowało wiadomość: „Rezultaty sześciotygodniowego natarcia naszych wojsk na przedpolach Stalingradu” - sprawozdanie z tego, jak niemieckie armie zostały okrążone.

674 W tajemnicy nie mniejszej niż ta, która otaczała przygotowania do natarcia stalingradzkiego, świadomość ludzka szykowała się, by przejść do całkiem nowego poglądu na wydarzenia. Ta dokonująca się najpierw tylko w podświadomości zmiana dała znać o sobie po ofensywie stalingradzkiej.

To, co zaszło w ludzkiej świadomości, różniło się od tego, co działo się w dniach sukcesu pod Moskwą, chociaż z pozoru wydawało się, że żadnej różnicy nie ma.

Różnica polegała na tym, że zwycięska obrona Moskwy przyczyniła się przede wszystkim do zmiany stosunku do Niemców. W grudniu 1941 roku skończył się zabobonny strach przed niemiecką armią.



Stalingrad, ofensywa stalingradzka sprzyjały nowej samoświadomości armii i ludności cywilnej. Ludzie radzieccy, Rosjanie, po nowemu zaczęli rozumieć samych siebie, po nowemu zaczęli traktować przedstawicieli różnych narodowości. Historię Rosji odbierano teraz jako historię rosyjskich triumfów, a nie jako historię cierpień i krzywd rosyjskich robotników i chłopów. Pierwiastek narodowy przeszedł z formy do treści, stał się nową podstawą rozumienia świata.

W dniach sukcesu moskiewskiego obowiązywały stare, przedwojenne schematy myślenia, przedwojenne pojęcia.

Nadanie nowego sensu wydarzeniom wojennym, uświadomienie sobie siły rosyjskiego oręża, siły państwa, było częścią większego, dłuższego i szerszego procesu.

Zaczął się on na długo przed wojną, ale zachodził nie tyle w świadomości, ile w podświadomości narodu.

Trzy wielkie wydarzenia były kamieniami milowymi procesu zmian w podejściu do życia i stosunków między ludźmi. Były to kolektywizacja wsi, industrializacja, rok 1937.

Te wydarzenia, podobnie jak Rewolucja Październikowa 1917 roku, dokonały przesunięć w olbrzymich warstwach ludności. Przesunięciom tym towarzyszyła eksterminacja ludzi, nie tylko nie mniejsza, ale większa niż podczas likwidacji rosyjskiej szlachty oraz burżuazji, przemysłowej i handlowej.

Wszystkie te akcje prowadził Stalin; były oznaką gospodarczego i politycznego triumfu budowniczych nowego, radzieckiego państwa, socjalizmu w jednym kraju. Wszystkie były też logicznym następstwem rewolucji.

675 Ale nowy ustrój, który zwyciężył w dobie kolektywizacji, industrializacji i prawie całkowitej wymiany kadr kierowniczych, nie miał zamiaru wyrzekać się starych formuł ideowych i pojęć, mimo że utraciły one dla niego żywą treść. Nowy ustrój korzystał ze starych pojęć i sloganów, wywodzących się jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, kiedy z rosyjskiej partii socjaldemokratycznej wyodrębniła się frakcja bolszewicka. Podstawą zaś nowego ustroju był jego charakter państwowo-narodowy.

Wojna przyspieszyła proces zmian w poglądach na rzeczywistość, w istocie trwający już w epoce przedwojennej, przyspieszyła przejawy świadomości narodowej - słowo „rosyjski” znowu nabrało żywej treści.

Początkowo, w dobie odwrotu, ów epitet łączył się przeważnie ze zjawiskami negatywnymi: rosyjskim zacofaniem, bałaganem, rosyjskimi bezdrożami, rosyjskim „a może jednak”... Ale świadomość narodowa, kiedy już się obudziła, czekała na dzień wojennego triumfu.

Państwo także zmierzało ku nowym kategoriom samoświadomości.

Kiedy na lud spada nieszczęście, jego budząca się nagle świadomość narodowa jest piękną i potężną siłą. Świadomość narodowa ludu jest w takich chwilach piękna, bo ludzka, a nie dlatego, że narodowa. To ludzka godność, ludzka wierność sprawie wolności, ludzka wiara w dobro przybierają postać świadomości narodowej.

Obudzona w latach nieszczęść owa świadomość może jednak ewoluować w

różny sposób.

Trudno przeczyć, że w odmienny sposób przejawia się świadomość narodowa u szefa działu kadr, broniącego kolektywu przed kosmopolitami czy burżuazyjnymi nacjonalistami, i u czerwonarmisty broniącego Stalingradu.

Państwo radzieckie uznało przebudzenie się świadomości narodowej za jeden z problemów, jakie czekają je po wojnie, za część walki o suwerenność narodową, o umocnienie żywiołu radzieckiego, rosyjskiego we wszystkich dziedzinach życia.

Wszystkie te problemy nie powstały nagle w czasie wojny ani po niej; powstały przed wojną, kiedy wydarzenia na wsi, stworzenie ojczystego przemysłu ciężkiego i awans nowych kadr znamionowały triumf ustroju nazwanego przez Stalina „socjalizmem w jednym kraju”.

Relikty socjaldemokracji rosyjskiej zostały wymazane, usunięte.

676 To właśnie w chwili przełomu stalingradzkiego, w czasie, kiedy płomienie Stalingradu były jedynym sygnałem wolności w królestwie mroku, zaczął się ów proces nadawania nowego sensu.

Rozwój sytuacji doprowadził w sposób logiczny do tego, że właśnie podczas obrony Stalingradu, kiedy patos wojny narodowej sięgnął zenitu, Stalin mógł otwarcie odwołać się do ideologii nacjonalizmu państwowego.

21 W gazetce ściennej, wiszącej w przedsionku Instytutu Fizyki, pojawił się artykuł pod tytułem Zawsze z narodem.

W artykule można było przeczytać, że w Związku Radzieckim, który wielki Stalin prowadzi przez zawieruchę wojenną, nauce przydaje się duże znaczenie, że partia i rząd, jak nigdzie na świecie, otaczają pracowników nauki szacunkiem i czcią, że nawet w ciężkich czasach wojennych państwo radzieckie zapewnia uczonym wszelkie warunki niezbędne do normalnej i owocnej pracy.

Następnie w artykule mowa była o wielkich zadaniach, jakie stoją przed instytutem, o nowym budownictwie, o rozszerzeniu starych laboratoriów, o więzi teorii z praktyką, o tym, jak olbrzymie znaczenie dla przemysłu obronnego mają prace uczonych.

W artykule mówiono też o patriotycznym entuzjazmie, jaki ogarnął kolektyw pracowników naukowych, dążących do tego, żeby nie zawieść zaufania partii i osobiście towarzysza Stalina, nie zawieść nadziei, które naród pokłada w znakomitej awangardzie radzieckiej inteligencji pracowników naukowych.

Ostatnia część artykułu była poświęcona temu, że, niestety, w zdrowym i zgranym kolektywie znalazły się również takie jednostki, które nie odczuwają swojej odpowiedzialności wobec narodu i partii, ludzie oderwani od zgodnej radzieckiej rodziny. Ludzie ci przeciwstawiają się kolektywowi, przedkładając osobiste zainteresowania ponad zadania, które stawia przed uczonymi partia, skłonni są przeceniać swoje rzeczywiste i urojone zasługi naukowe. Niektórzy z nich, świadomie czy nieświadomie, stają się wyrazicielami obcych, nieradzieckich poglądów i nastrojów, głoszą wrogie politycznie idee. Ludzie ci zazwyczaj 677 domagają się obiektywnego traktowania idealistycznych, przenikniętych duchem reakcji i wsteczności poglądów zagranicznych uczonych-idealistów, chełpią się swoimi kontaktami z tymi uczonymi,

godząc tym samym w radziecką dumę narodową uczonych rosyjskich i pomniejszając osiągnięcia nauki radzieckiej. Niekiedy występują jako obrońcy pogwałconej rzekomo sprawiedliwości, starając się zyskać tanią popularność wśród naiwnych i krótkowzrocznych osobników w rzeczywistości zaś sieją ziarno niezgody i niewiary w potęgę nauki radzieckiej, braku szacunku dla jej świetnej przeszłości i wielkich przedstawicieli.

Artykuł wzywał do odcięcia wszystkiego, co gnijące, obce, wrogie, wszystkiego, co przeszkadza w wykonywaniu zadań postawionych przez partię i naród przed uczonymi w dobie wielkiej wojny ojczyźnianej. Kończył się słowami: „Naprzód, ku nowym osiągnięciom nauki, szlakiem oświetlonym reflektorami filozofii marksistowskiej, szlakiem, którym prowadzi nas wielka partia Lenina-Stalina”.

Chociaż w artykule nie wymieniano żadnych nazwisk, wszyscy w zakładzie zrozumieli, że mowa jest o Sztrumie.

Sawostjanow powiadomił Sztruma o artykule. Sztrum nie poszedł, żeby przeczytać artykuł, został przy współpracownikach kończących montaż nowego urządzenia. Ucisnął Nozdrina i powiedział: - Cokolwiek się stanie, ta machina robi, co do niej należy.

Nozdrin niespodziewanie sklął kogoś w liczbie mnogiej, a Wiktor Pawłowicz nie od razu zrozumiał, do kogo wyzwisko było skierowane.

Pod koniec dnia pracy do Sztruma podszedł Sokołow.

- Podziwiam pana, Wiktorze Pawłowiczu. Przez cały dzień pracował pan, jakby nic się nie stało. Ma pan siłę godną Sokratesa.

- Jeśli człowiek urodził się blondynem, to nie będzie brunetem, choćby go opisali w gazetce ściennej - odparł Sztrum.

Żal, który czuł do Sokołowa, zdążył stać się czymś zwyczajnym, i pewnie dlatego Sztrumowi wydawało się, że już minął. Już nie obwiniał Sokołowa o skrytość, o lękliwość. Niekiedy mówił sobie: „Wiele jest w nim dobrego, a zło siłą rzeczy tkwi w każdym z nas”.

- Tak, artykuł artykułowi nierówny - rzekł Sokołow. - Anna Stiepanowna przeczytała go i źle się poczuła, coś z sercem. W ambulatorium kazali jej iść do domu.

678 Sztrum pomyślał: „Co tam jest takiego straszego?” Ale nie zapytał Sokołowa, a treści artykułu nikt mu nie przekazał. Pewnie tak samo z chorymi na raka nie rozmawia się o ich chorobie.

Wieczorem Sztrum wyszedł z laboratorium ostatni. Stary stróż Aleksiej Michajłowicz, przeniesiony do szatni, podając Sztrumowi płaszcz, powiedział: - Tak to już jest, Wiktorze Pawłowiczu, dobrzy ludzie nie mają na tym świecie spokoju.

Sztrum włożył płaszcz, znowu wszedł po schodach i stanął przed tablicą z gazetką ścienną.

Kiedy przeczytał artykuł, obejrzał się bezradnie: przez moment wydawało mu się, że go zaraz aresztują, ale w przedsiönku było pusto i cicho.

Całkiem realnie, fizycznie odczuł dysproporcję między kruchym ludzkim ciałem a kolosalną masą państwa; wydało mu się, że państwo patrzy mu prosto w twarz

swoimi olbrzymimi jasnymi oczami i za chwilę zwali się na niego. A wtedy coś jęknie, chrupnie i już nie będzie Sztruma.

Na ulicy było dużo ludzi, ale jemu wydało się, że od przechodniów odgradza go pas ziemi niczyjej.

W trolejbusie mężczyzna w zimowej wojskowej czapce mówił ożywionym głosem do kolegi: - Słyszałeś komunikat „Z ostatniej chwili”? Ktoś z przednich miejsc powiedział: - Stalingrad! Udławili się Niemcy! Starsza kobieta patrzyła na Sztruma, jakby ganiąc go za milczenie.

Z pokorą pomyślał o Sokołowie: „Wszyscy ludzie mają wady, i on, i ja”.

Ale myśli, że ze swoimi wadami nie jesteśmy lepsi od innych, nigdy nie bywa do końca szczerą, więc od razu dodał w duchu: „Jego poglądy zależą od tego, czy państwo darzy go życzliwością czy mu się w życiu powodzi. Gdy na wiosnę koło fortuny obróci się w drugą stronę, nie bąknie nawet słowa krytyki. Ja taki nie jestem - cokolwiek robi państwo, bije mnie czy pieści, moje stosunki z nim się nie zmieniają”.

W domu opowie Ludmile Nikołajewnie o artykule. Widocznie zabrali się do niego na serio. Powie: 679 „Masz, Ludka, Nagrodę Stalinowską. Takie artykuły piszą, jak chcą kogoś zamknąć”.

„Czeka nas ten sam los - pomyślał. - Jeśli zaproszą mnie na Sorbonę z wykładami, to pojedzie ze mną; jeśli wyślą na Kołymę, to pojedzie w ślad za mną”.

„Sam sobie na to zapracowałeś” - powie.

A on odetnie się ostro: „Nie potrzebuję krytyki, tylko serdeczności i zrozumienia. Krytyki mam dość w instytucie”.

Drzwi otworzyła mu Nadia.

W półmroku korytarza uściskała go, przycisnęła się policzkiem do jego piersi.

- Jestem mokry, zziębnięty, pozwól mi chociaż zdjąć płaszcz... Co się stało? - spytał córkę.

- Czyżbyś nie słyszał? Stalingrad! Ogromne zwycięstwo! Niemcy są okrążeni. Chodźmy, chodźmy prędko.

Pomogła ojcu zdjąć płaszcz i za rękę wciągnęła go w głąb mieszkania.

- Tutaj, tutaj, mama jest w pokoju Toli.

Otworzyła drzwi. Ludmiła Nikołajewna siedziała przy stoliku syna.

Powoli odwróciła głowę, jakoś uroczyście i smutno uśmiechnęła się do Sztruma.

Tego wieczoru Sztrum nie powiedział o tym, co się stało w instytucie.

Siedzieli przy stole Toli, Ludmiła Nikołajewna rysowała na kartce papieru schemat okrążenia Niemców w Stalingradzie, tłumaczyła Nadi plan działań wojennych.

A nocą w swoim pokoju Sztrum myślał: „O Boże, warto by napisać list z samokrytyką, wszyscy przecież to robią w takich sytuacjach”.

22 Minęło kilka dni od pojawienia się artykułu w gazetce ściennej.

Prace w laboratorium przebiegały normalnie. Sztrum to wpadał w

przygnębienie, to ożywiał się; chodził po laboratorium, szybkimi palcami wystukiwał na parapetach i metalowych osłonach swoje ulubione melodie.

680 Żartem mówił, że widocznie w instytucie wybuchła epidemia krótkowzroczności: znajomi, chociaż niemal potykali się o niego, mijali go zamyśleni, nie witając się. Kiedyś na ulicy Guriewicz zobaczył z daleka Sztruma i też przybierając zadumany wyraz twarzy, przeszedł na drugą stronę i zatrzymał się przed afiszem. Sztrum widział te manewry i po chwili obejrzał się; w tej samej chwili obejrzał się Guriewicz i spojrzenia obydwu się zetknęły. Guriewicz zrobił zdziwioną minę, niby to uradowaną, zaczął się kłaniać. Wszystko to nie było zbyt wesołe.

Swieczin, spotykając Sztruma, witał się z nim, nawet grzecznie szurnął nogą, ale minę przy tym miał taką, jakby witał ambasadora nieprzyjaznego kraju.

Wiktor Pawłowicz notował w pamięci - kto się odwrócił, kto skinął głową, kto uścisnął mu rękę.

Kiedy wracał do domu, najpierw pytał żonę: - Dzwonił ktoś? A Ludmiła zazwyczaj odpowiadała: - Nikt, jeśli nie liczyć Marii Iwanowny.

Wiedząc zaś, o co mąż za chwilę spyta, dodawała: - Listu od Madjarowa na razie nie ma.

- Wiesz co? - mówił wtedy. - Ci, którzy wydzwaniali codziennie, zaczęli dzwonić od czasu do czasu, a ci, którzy dzwonili od czasu do czasu, przestali dzwonić w ogóle.

Wydawało mu się, że i w domu zaczęto traktować go inaczej. Kiedyś Nadia przeszła koło ojca, kiedy pił rano herbatę, i nie powiedziała „dzień dobry”.

Sztrum krzyknął na nią ostro: - Dlaczego się ze mną nie witasz? Cóż to, masz mnie za jakiś przedmiot, czy jak? Widocznie twarz miał przy tym tak żalną, cierpiącą, że Nadia zrozumiała jego stan i zamiast równie ostro się odciąć, pośpiesznie powiedziała: - Tatusiu kochany, wybacz.

Tego samego dnia spytał ją: - Słuchaj, Nadia, ty nadal spotykasz się z tym swoim Suworowem? Wzruszyła ramionami bez słowa.

681 - Bo wiesz, chciałem cię uprzedzić - powiedział - żeby czasem nie wpadło ci do głowy rozmawiać z nim na tematy polityczne. Brakuje jeszcze tylko, żeby i z tej strony się do mnie dobrali.

A Nadia, zamiast odpowiedzieć jak zwykle zaczepnie, uspokoiła go: - Tato, możesz być spokojny.

Rankiem, zbliżając się do instytutu, Sztrum zaczynał się oglądać i raz zwalniał kroku, raz przyśpieszał. Potem, upewniwszy się, że korytarz jest pusty, szedł szybko, z opuszczoną głową, i jeśli gdzieś otwierały się drzwi, serce Wiktora Pawłowicza zamierało.

Po wejściu do zakładu ciężko dyszał, jak żołnierz, który pędził pod ostrzałem do swego okopu.

Kiedyś Sawostjanow wszedł do jego pokoju i powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, proszę pana, wszyscy pana prosimy, niech pan napisze list i wyrazi samokrytykę; zapewniam pana, że to pomoże.

Niech pan pomyśli, teraz, kiedy czeka nas wielka, no, nie przesadzajmy ze skromnością, olbrzymia praca, kiedy żywe siły naszej nauki patrzą na pana z nadzieją, nagle miałyby tak wszystko przepaść? Niech pan napisze list i przyzna się do błędów.

- A jakie są te błędy, gdzie te moje winy? - spytał Sztrum.

- Ach, czyż to nie wszystko jedno, wszyscy tak robią - literaci, naukowcy, przywódcy partyjni. Nawet w naszej ulubionej muzyce Szostakowicz przyznaje się do błędów, pisze samokrytyczne oświadczenia, i nic, woda po gęsi, potem dalej pracuje.

- Ale za co mam przepraszać, kogo? - Niech pan napisze do dyrekcji, napisze do KC. To nieważne, wszystko jedno do kogo! Ważne, że pan złoży samokrytykę. Coś w rodzaju, wie pan, „uznam swoją winę, wypaczyłem, obiecuję poprawę, uświadomiłem sobie” - no, coś takiego, przecież pan wie, istnieją standardy. A najważniejsze, że to skutkuje, zawsze skutkuje! Zazwyczaj wesołe, roześmiane oczy Sawostjanowa były poważne.

Wydawało się, że nawet zmieniły kolor.

- Dzięki, dzięki, kochany - odparł Sztrum. - Wzrusza mnie pańska przyjaźń.

A po godzinie Sokołow powiedział do niego: - Wiktorze Pawłowiczu, w przyszłym tygodniu odbędzie się rozszerzona rada naukowa, uważam, że musi pan zabrać głos.

682 - Z jakiego powodu? - spytał Sztrum.

- Wydaje mi się, że powinien pan złożyć wyjaśnienia; krótko mówiąc, przyznać się do błędów.

Sztrum zaczął chodzić po pokoju, nagle zatrzymał się przy oknie i powiedział, patrząc na dziedziniec: - Piotrze Ławrientjewiczu, a może lepiej napisać list? Wolę od biedy to niż przy ludziach pluć sobie samemu w gębę.

- Nie, myślę, że powinien pan zabrać głos. Rozmawiałem wczoraj ze Swieczinem, który dał mi do zrozumienia, że tam - zrobił nieokreślony gest, wskazując górną futrynę drzwi - nie oczekują od pana listu, tylko wystąpienia.

Sztrum gwałtownie obrócił się w jego stronę.

- Nie wystąpię i nie napiszę listu.

Sokołow cierpliwym tonem lekarza psychiatry rozmawiającego z chorym powiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, w pańskiej sytuacji milczenie równa się świadomemu samobójstwu; ciężą nad panem zarzuty polityczne.

- Wie pan, co jest dla mnie szczególnie bolesne? - spytał Sztrum. Czemu coś takiego spotyka mnie w dniach zwycięstwa, powszechnej radości? Teraz każdy sukinsyn może powiedzieć, że otwarcie podważałem podstawy leninizmu, bo myślałem, że radziecka władza się kończy.

„Taki był z niego chłopiec, że słabym lubił dopiec”.

- Słyszałem i taki pogląd - przyznał Sokołow.

- Nie, nie, do diabła z tym! - rzekł Sztrum. - Nie będę się kajał! A w nocy, zamknięty w swoim pokoju, zaczął pisać list. Podarł go, ogarnięty wstydem, i od razu zaczął pisać tekst wystąpienia na radzie naukowej. Kiedy go przeczytał, uderzył dłonią

w stół i znowu podarł papier.

- No i już, skończone! - powiedział. - Będzie to, co ma być. Niech mnie zamkną.

Przez jakiś czas siedział nieruchomo, przeżywając swoją ostateczną decyzję. Potem przyszło mu na myśl, że napisze przykładowy tekst listu, który by napisał, gdyby postanowił się ukorzyć - ot, tak sobie, bo w końcu zdecydował, że się nie ukorzy; nie ma więc w tym nic poniżającego. Nikt, żaden człowiek tego listu nie zobaczy.

Był sam, drzwi zamknięte, dookoła wszyscy spali, zza okna nic nie docierało, nie słyszał żadnych sygnałów, żadnych samochodów.

683 Czuł jednak nacisk niewidzialnej siły, jej hipnotyczne działanie; owa siła chciała, żeby myślał tak, jak ona mu nakazuje, żeby pisał pod jej dyktando. Tkwiła w nim samym, zmuszała serce, by zamierało, osłabiała wolę, wpływała na jego stosunek do żony i córki, ingerowała w jego przeszłość, w myśli o młodości. Nawet siebie samego zaczął odbierać jako człowieka ograniczonego, nudnego, zadręczającego otoczenie mętną gadaniną. Nawet jego praca zbladła, pokryła się jakimś popiołem, kurzem, przestała napawać go radością, wypełniać światłem.

Tylko ludzie, którzy nie mieli do czynienia z podobną siłą, skłonni są dziwić się tym, którzy się jej podporządkowują. Ludzie, którzy poczuli skutki jej działania na sobie, dziwią się czemu innemu - zdolności do wybuchu, choćby chwilowego, do jednego choćby gestu dezaprobaty, jednego gniewnego słowa.

Sztrum pisał samokrytykę dla siebie, list, który schowa i nikomu nie pokaże, ale w głębi ducha wiedział, że ten list może mu się jeszcze przydać, więc niech tam sobie leży.

Rano pił herbatę, popatrując na zegarek - musiał iść do laboratorium.

Ogarnęło go lodowate poczucie samotności. Wydawało się, że już do końca życia nikt go nie odwiedzi. Bo przecież nie tylko ze strachu nie dzwonią do niego. Nie dzwonią, bo jest nudny, nieinteresujący, niezdolny.

- Oczywiście wczoraj też nikt o mnie nie pytał? - spytał Ludmiłę i zadeklamował: „Siedzę sam przy okienku, ni przyjaciół, ni gości nie czekam...”\* - Zapomniałam ci powiedzieć. Dzwonił Czepyżyn, wrócił i chciał się z tobą widzieć.

- O! - zdziwił się Sztrum. - Jak mogłaś mi nie powiedzieć o czymś takim? - I zaraz zaczął wystukiwać na stole uroczystego marsza.

Ludmiła Nikołajewna podeszła do okna. Sztrum szedł niespiesznym krokiem, wysoki, przygarbiony, od czasu do czasu wymachując teczką, a ona wiedziała, że myśli o swoim spotkaniu z Czepyżynem, wita go i rozmawia z nim.

W tych dniach żal jej było męża, martwiła się o niego, a zarazem myślała o jego wadach, zwłaszcza o najważniejszej z nich - egoizmie.

Właśnie wyrecytował: „Siedzę sam przy okienku, ni przyjaciół, ni gości nie czekam...”, i poszedł do laboratorium, gdzie będzie wśród ludzi, \* Przełożył Władysław Broniewski.

684 gdzie ma pracę. Wieczorem pójdzie do Czepyżyna, wróci prawdopodobnie nie wcześniej niż o północy i nie pomyśli, że to właśnie ona będzie tkwiła sama cały

dzień przy oknie w pustym mieszkaniu, i nikogo przy niej nie będzie, że nie czeka ani na gości, ani na przyjaciół.

Ludmiła Nikołajewna poszła do kuchni myć talerze. Tego ranka było jej szczególnie ciężko na duszy. Maria Iwanowna dzisiaj nie zadzwoni, pojedzie do starszej siostry na Szabołowkę.

A ona bardzo niepokoi się o Nadię; córka milczy i oczywiście, pomimo zakazów, nadal chodzi na wieczorne spacerki. A Wiktor jest bez reszty pochłonięty swoimi sprawami, nie chce myśleć o Nadi.

Rozległ się dzwonek, widocznie przyszedł umówiony stolarz, który miał naprawić drzwi w pokoju Toli. Ludmiła Nikołajewna nawet się ucieszyła - zawsze to żywy człowiek. Otworzyła drzwi; w półmroku korytarza stała kobieta w szarej karakułowej czapeczce, z walizką w ręku.

- Żenia! - krzyknęła Ludmiła tak głośno i żałośnie, że ją samą zdumiał własny głos. Całując siostrę, głaszcząc ją po ramionach, mówiła: Nie ma Toli, nie ma Tołenki.

23 Gorąca woda płynęła do wanny cienkim, słabym strumykiem, wystarczyło choćby trochę go zwiększyć, a robiła się zimna. Wanna napełniała się powoli, ale siostrą wydawało się, że od chwili otwarcia drzwi nie zamieniły nawet dwóch słów.

Potem, kiedy Żenia poszła się kąpać, Ludmiła Nikołajewna co chwila podchodziła do drzwi łazienki i pytała: - No, jak tam, może ci wymyć plecy? Uważaj na gaz, bo często gaśnie...

Po kilku minutach Ludmiła zastukała zaciśniętą dłonią w drzwi i ze złością spytała: - No co tam, zasnął? Żenia wyszła z łazienki we włochatym szlafroku siostry.

- Oj, wiedźma z ciebie - powiedziała Ludmiła Nikołajewna.

Jewgienia Nikołajewna przypomniała sobie, jak Sofia Osipowna nazwała ją „wiedźmą”, kiedy Nowikow przyjechał nocą do Stalingradu.

685 Stół był nakryty.

- Dziwne uczucie - powiedziała Jewgienia - po dwudniowej podróży w wagonie bez miejscówek weszłam do wanny i czuję się tak, jakbym wróciła do błogich czasów pokoju, a w duszy...

- Co cię przygnało do Moskwy? Coś bardzo złego? - zapytała Ludmiła Nikołajewna.

- To potem, potem.

Machnęła ręką.

Ludmiła opowiedziała o sprawach Wiktora Pawłowicza, o niespodziewanym i zabawnym „romansie” Nadi, opowiedziała o znajomych, którzy przestali dzwonić i poznawać Sztruma na ulicy.

Jewgienia Nikołajewna odwzajemniła się opowieścią o przyjeździe Spiridonowa do Kujbyszewa. Wygląda jakoś żałośnie i jest przez to znacznie sympatyczniejszy. Nie dają mu nowego stanowiska, dopóki komisja nie rozpatrzy jego sprawy. Wiera i dziecko są w Lenińsku, Stiepan Fiodorowicz mówi o wnuku i płacze. Potem



opowiedziała Ludmile o zesłaniu Jenny Gienrichowny i o tym, jaki miły staruszek z tego Szarogorodskiego, jak Limonow pomógł jej z meldunkiem.

W głowie Żenia miała ciągle zapach dymu papierosowego, stukanie kół, rozmowy w pociągu, dziwny natomiast był dla niej widok twarzy siostry, miękki szlafrok, okrywający umyte ciało, fakt, że siedzi w pokoju z dywanem i pianinem.

Od tego, co opowiadały sobie siostry, od smutnych i radosnych, śmiesznych i wzruszających wydarzeń dnia dzisiejszego, nie dało się oddzielić krewnych i przyjaciół, tych, których już nie było na świecie.

Cokolwiek mówiłyby o Wiktorze Pawłowiczu, stał za nim cień Anny Siemionowny, w ślad za Sieriożą pojawiali się jego uwięzieni rodzice, a obok Ludmiły Nikołajewny zawsze, dniem i nocą, słychać było kroki barczystego, wstydliwego młodzieńca o grubych wargach. Ale o nich nie mówiły.

- Nie ma żadnych wiadomości o Sofii Osipownie, jakby się pod ziemię zapadła - powiedziała Żenia.

- Lewinton? - Tak, tak, o niej.

- Nie lubiłam jej - przyznała Ludmiła Nikołajewna. - Malujesz? zapytała.

- W Kujbyszewie nie. W Stalingradzie malowałam.

686 - Możesz być dumna, Witia zabrał ze sobą na ewakuację dwa twoje obrazy.

Żenia uśmiechnęła się.

- Miło słyszeć.

Ludmiła Nikołaj ewna powiedziała: - Ale czemu ty, generałowa, nie mówisz o tym, co najważniejsze? Jesteś zadowolona? Kochasz go? Żenia, zawijając się szczelnie w szlafrok, potwierdziła: - Tak, tak, jestem zadowolona, jestem szczęśliwa, kocham, jestem kochana... - Po czym szybkim spojrzeniem obrzuciła Ludmiłę i dodała: - Wiesz, po co przyjechałam do Moskwy? Aresztowali Nikołaja Grigorjewicza, siedzi na łubiance.

- Boże, a jego za co? Taki stuprocentowy komunista! - A nasz Mitia? A twój Abarczuk? Ten to już chyba był dwustuprocentowy.

Ludmiła Nikołajewna zamyśliła się na chwilę i powiedziała: - Ależ ten Nikołaj był zawzięty! Nie żałował chłopów w czasie kolektywizacji. Pamiętam, że pytałam go: „Co to się dzieje?” A on: „Diabli niech wezmą całe to kułactwo”. Na Wiktora też mocno wpłynął.

Żenia ją zganiła: - Ach, Luda, ty zawsze pamiętasz ludziom tylko złe rzeczy i mówisz o nich głośno akurat wtedy, gdy nie należy tego robić.

- No cóż - rzekła Ludmiła Nikołajewna - jestem prosta jak dyszel.

- Dobrze, dobrze, tylko nie chwal się swoją dyszlową cnotą - odparła Żenią.

A szeptem dodała: - Luda, wzywali mnie.

Wzięła z kanapy chustkę siostry i przykryła nią telefon. Wyjaśniła: - Podobno mogą podsłuchiwać. Wzięli ode mnie oświadczenie.

- Ale przecież, o ile pamiętam, nie mieliście formalnego ślubu z Nikołajem.

- Nie mieliśmy, i co z tego? Przesłuchiwali mnie jako żonę. Opowiem ci, jak było. Przysłali mi wezwanie: Zgłosić się z dowodem tożsamości.

Usiłowałam sobie przypomnieć wszystkich po kolei - i Mitię, i Idę, i nawet twojego Abarczuka, i wszystkich znajomych, którzy siedzą, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że chodzi o Nikołaja. Wezwali mnie na piątą. Zwykły pokój w urzędzie. Na ścianie ogromne portrety 687 Stalin i Beria. Młody człowiek, twarz - nic szczególnego, zwyczajna.

Patrzy na mnie tak przenikliwie, jakby był wszechwiedzący, i od razu: „Czy wiadomo pani o kontrrewolucyjnej działalności Nikołaja Grigorjewicza Krymowa?” No i zaczęło się... Przesiedziałam u niego dwie i pół godziny. Kilka razy myślałam już, że stamtąd nie wyjdę. Nawet, wyobraź sobie, robił aluzje, że Nowikow... - no pomyśl, co za ohyda - że jestem blisko z Nowikowem po to, żeby wyciągać od niego informacje, a potem przekazywać je Nikołajowi... Ja aż zdrętwiałam z oburzenia i mówię: „Wiecie, Krymow jest fanatycznym komunistą, z nim to jak w Komitecie partii”. A on na to: „Aha, to znaczy, że wolała pani Nowikową, jako człowieka nieradzieckiego?” A ja wtedy: „Dziwne ma pan zajęcie, młody człowieku, ludzie na froncie walczą z Niemcami, a pan siedzi na tyłach i obrzuca tych ludzi błotem”. Myślałam, że po czymś takim da mi w pysk, ale on zmieszał się, poczerwieniał. Tak czy owak, Nikołaj jest aresztowany. Jakieś zupełnie szalone zarzuty - i trockizm, i kontakty z gestapo.

- Co za koszmar - westchnęła Ludmiła Nikołajewna i pomyślała, że przecież Tola też mógł dostać się w okrażenie i mogli go podejrzewać o to samo.

- Wyobrażam sobie, jak Witia przyjmie tę nowinę - powiedziała. Jest teraz wyjątkowo nerwowy, ciągle mu się wydaje, że go zamkną.

Wciąż usiłuje sobie przypomnieć, gdzie, co i do kogo mówił. Szczególnie w tym nieszczęsnym Kazaniu.

Jewgienia Nikołajewna przez jakiś czas uważnie patrzyła na siostrę i wreszcie zdecydowała się na wyznanie: - Mam ci powiedzieć, co jest najokropniejsze? Ten śledczy spytał mnie: „Jak to, nie wie pani o trockizmie swojego męża, skoro przekazał pani słowa Trockiego, który zachwycał się jego artykułem: «Jak wykute w marmurze!»”? I już kiedy szłam do domu, przypomniało mi się, że rzeczywiście Nikołaj mi powiedział: „Ty jedna wiesz o tych słowach”, i nagle w nocy mnie olśniło - jesienią, kiedy Nowikow był w Kujbyszewie, wspomniałam mu o tym. Wydawało mi się, że oszaleję, takie ogarnęło mnie przerażenie...

Ludmiła Nikołajewna uzaliła się nad siostrą: - Biedna jesteś. Że też akurat ty musisz przeżywać takie rzeczy.

- Dlaczego akurat ja? - spytała Jewgienia Nikołajewna. - Przecież i ciebie mogło spotkać coś podobnego.

688 - No, nie. Z jednym się rozstałaś, z drugim zeszałaś. Jednemu opowiadasz o drugim.

- Ale przecież i ty się rozeszłaś z ojcem Toli. Pewnie też wiele o nim mówiłaś Wiktorowi Pawłowiczowi.

- Nie, nie - zaprzeczyła Ludmiła z przekonaniem. - Tego nie można porównywać.

- Ale dlaczego? - spytała Żenia. Patrząc na starszą siostrę, poczuła nagłą irytację. - Przyznasz, że to, co teraz mówisz, jest po prostu głupie.

Ludmiła Nikołajewna odpowiedziała spokojnie: - Nie wiem, może i głupie.

Jewgienia Nikołajewna spytała: - Masz może zegarek? Muszę zdążyć na Kuźniecki dwadzieścia cztery. - Po czym, już nie kryjąc rozdrażnienia, dodała: - Trudny masz, Luda, charakter. Nie przypadkiem mieszkasz w czterech pokojach, a mama woli gnieździć się u obcych w Kazaniu.

Powiedziała to i od razu pożałowała ostrych słów. Dając więc do zrozumienia Ludmile, że ich wzajemne zaufanie jest mocniejsze od przelotnych nieporozumień, zmieniła temat: - Chciałabym wierzyć Nowikowowi. A jednak... Jak to się stało, że bezpieka zna te słowa, dlaczego? Ta straszliwa niepewność...

Tak bardzo chciała mieć teraz przy sobie matkę. Położyłaby jej głowę na ramieniu i powiedziała: „Kochana mamo, jestem taka zmęczona”.

Ludmiła Nikołajewna podsunęła jej odpowiedź: - A wiesz, co mogło się stać? Twój generał mógł opowiedzieć komuś o waszej rozmowie, a ten napisał, gdzie trzeba.

- Tak, tak - potwierdziła Żenia. - Dziwne, że taka prosta myśl nie przyszła mi do głowy.

W ciszy i spokoju domu Ludmiły z jeszcze większą siłą odczuła zamęt duchowy, który nią owładnął...

Wszystko, czego nie zdążyła poczuć, przemyśleć, odchodząc od Krymowa, wszystko, co potajemnie ją dręczyło, kiedy miała z nim zerwać - nadal trwające uczucie, niepokój o niego, przyzwyczajenie do jego osoby - w ostatnich tygodniach nasiliło się i nagle wybuchło.

Myślała o nim w pracy, w tramwaju, w kolejce do spożywczego. Prawie każdej nocy widziała go we śnie, jęczała, krzyczała, budziła się.

689 Sny były męczące, zawsze z pożarami, wojną, z niebezpieczeństwem zagrażającym Nikołajowi Grigorjewiczowi, a ona nigdy nie mogła go przed nim uchronić.

Rankiem zaś, pośpiesznie się ubierając, myjąc i bojąc spóźnić do pracy, nadal o nim myślała.

Wydawało jej się, że go nie kocha. Ale czyż o człowieku, którego się nie kocha, można tak bez przerwy myśleć, tak strasznie przeżywać jego nieszczęsny los? Dlaczego za każdym razem, kiedy Limonow i Szarogorodski, drwiąc z jego ulubionych poetów i malarzy, nazywali ich „nędznymi”, miała ochotę zobaczyć Nikołaja, pogłaskać go po głowie, przytulić, uznać się nad nim? Teraz nie pamiętała mu jego fanatyzmu, obojętności na los represjonowanych, złości, z jaką mówił o kułakach w czasie przymusowej kolektywizacji.

Teraz przypominały jej się tylko dobre rzeczy, romantyczne, wzruszające, smutne. Siłą, która ją dzisiaj do niego ciągnęła, była jego słabość.

Miał dziecięce oczy, pełen zakłopotania uśmiech i niezręczne ruchy.

Widziała go z zerwanymi naramiennikami, z brodą, na wpół siwą, widziała, jak

leży nocą na łóżku, widziała jego plecy w czasie spaceru po więziennym dziedzińcu... Prawdopodobnie myślał, że instynktowo nie przeczuła jego los i że to właśnie stało się przyczyną ich zerwania.

Leżał na łóżku więziennym i myślał o niej... Generałowa! Nie wiedziała, czy to litość, miłość, sumienie czy poczucie obowiązku? Nowikow przysłał jej przepustkę i dzwoniąc przez wojskową linię, poprosił zaprzyjaźnionego lotnika, żeby dostawił Żenię douglasem do sztabu frontu. Przełożeni dali jej trzytygodniowy urlop.

Próbowała sama siebie uspokoić, powtarzając w duchu: „On zrozumie, na pewno zrozumie, że inaczej nie mogłam postąpić”.

Wiedziała, że postąpiła wobec Nowikowa okropnie - przecież czekał, czekał na nią.

Napisała mu o wszystkim szczerze, bezlitośnie. Kiedy wysłała list, pomyślała, że przeczyta go cenzura wojskowa. Przecież to wszystko może Piotrowi bardzo zaszkodzić.

„Nie, nie, on zrozumie” - znów sobie powtarzała.

Ale właśnie o to chodziło, że Nowikow zrozumie, a kiedy zrozumie, rozstanie się z nią na zawsze.

690 Czy kochała jego samego, czy też tylko jego miłość do niej? Kiedy myślała o nieuchronnym, ostatecznym rozstaniu, ogarniał ją smutek, obawa przed samotnością, nawet strach.

Myśl o tym, że sama, z własnej woli zniszczyła swoje szczęście, wydawała się jej wyjątkowo nieznośna.

Kiedy nabierała przekonania, że teraz już nic jej się nie uda zmienić, poprawić, że już nie od niej, ale od Nowikowa zależy ich całkowite i ostateczne zerwanie, to i ta myśl wydawała się szczególnie ciężka.

A kiedy już w ogóle myślenie o Nowikowie stawało się udręką nie do zniesienia, zaczynała wyobrażać sobie Nikołaja Grigorjewicza - że wzywają ją na konfrontację z nim... Witaj, mój ty biedaku.

Za to Nowikow jest wielki, silny, szeroki w barach, i ma dużą władzę.

Niepotrzebne mu jej wsparcie, da sobie radę sam. Nazywała go kirasjerem. Już nigdy nie zapomni jego pięknej, miłej twarzy, zawsze będzie za nim tęskniła; za swoim szczęściem, które sama zniszczyła. Trudno, niech tak się stanie, siebie jej nie żal. Nie boi się własnego cierpienia.

Wiedziała jednak, że Nowikow nie jest znowu aż taki silny. Czasem na jego twarzy pojawiał się wyraz nieśmiałości, niemal bezradności...

Ona też nie jest wcale taka bezlitosna wobec siebie i taka obojętna na własne cierpienia.

Ludmiła, jakby czytała w myślach siostry, zapytała: - Co będzie teraz z twoim generałem? - Boję się o tym myśleć.

- Oj, sprać by cię trzeba, ale nie ma komu.

- Nie mogłam postąpić inaczej! - powiedziała Jewgienia Nikołajewna.

- Nie pochwalam takiego miotania się. Jak odeszłaś od tamtego, to odeszłaś. Zesłaś się z drugim i koniec. Nie ma co tego rozpamiętywać i żyć podwójnym życiem.

- Tak, tak: wyrzeknij się zła, a uczynisz dobro? Nie umiem żyć według tej zasady.

- Nie o tym mówię. Szanuję Krymowa, chociaż mi się nawet nie podoba, a twojego generała nie widziałam ani razu. Skoro postanowiłaś być jego żoną, to bądź też za niego odpowiedzialna. A ty nie jesteś. On ma wysokie stanowisko, walczy, a jego żona w tym czasie nosi paczki aresztowanemu. Wiesz, czym to się może dla niego skończyć? - Wiem.

691 - No to czy go w ogóle kochasz? - Na miłość boską... Daj już spokój - poprosiła Żenia płaczliwie i pomyślała: „Kogo ja w końcu Kocham?” - Nie, odpowiedz mi.

- Nie mogłam postąpić inaczej; przecież na Łubiankę nie chodzi się dla przyjemności.

- Trzeba myśleć nie tylko o sobie.

- Właśnie myślę nie tylko o sobie.

- Wiktor też ma takie poglądy. A w istocie to ten sam egoizm.

- Twoja logika jest niezwykła, od dziecka mnie zdumiewała. Ty to nazywasz egoizmem? - No powiedz, w czym możesz mu pomóc? Wyroku nie zmienisz.

- Jeśli, nie daj Boże, cię zamkną, to się dowiesz, jak bliscy mogą ci pomóc.

Ludmiła, zmieniając temat, spytała: - Powiedz no, panno z mokrą głową, masz zdjęcia Marusi? - Tylko jedno. Pamiętasz, fotografowałyśmy się wtedy w Sokolnikach? Położyła głowę na ramieniu Ludmiły i poskarżyła się: - Jestem taka zmęczona.

- Odpocznij, pośpij, nie chodź dzisiaj nigdzie - poradziła Ludmiła Nikołajewna. - Pościelę ci.

Żenia, z półprzymkniętymi oczami, pokręciła głową.

- Nie, nie trzeba. Jestem zmęczona życiem.

Ludmiła Nikołajewna przyniosła wielką kopertę i wysypała siostrze na kolana plik fotografii.

Żenia przeglądała je i wykrzykiwała: „Mój Boże, mój Boże!... Pamiętam, ta była robiona na lotnisku... Nadzka, jaka śmieszna... To po powrocie z zesłania tata się sfotografował... A to Mitia w gimnazjum, Sierioża jest do niego zadziwiająco podobny, zwłaszcza górna połowa twarzy...

A to mama z Marusią na rękach, mnie jeszcze nie było na świecie...” Zauważyła, że w pliku nie ma ani jednego zdjęcia Toli, ale nie spytała siostry, gdzie są jego fotografie.

- No cóż, madame - rzekła Ludmiła - trzeba ci dać obiad.

- Apetyt mam dobry - zapewniła Żenia. - Tak jak w dzieciństwie, żadne przeżycia go nie osłabiają.

- No i bardzo dobrze - powiedziała Ludmiła Nikołajewna i ucałowała siostrę.

692 24 Żenia wysiadła z trolejbusu przed oklejonymi elementami maskującymi i pomalowanym w esy-floresy Teatrem Bolszoi i ruszyła Kuźnieckim Mostem, przeszła koło sal Fundacji Artystycznej, gdzie przed wojną wystawiali obrazy jej znajomi i gdzie kiedyś sama wystawiała swoje prace; teraz minęła je i nawet nie pomyślała o tym.

Doznała dziwnego uczucia. Jej życie było jak talia kart, którą potasowała Cyganka. Nieoczekiwanie wypadła jej z wróżby Moskwa.

Z daleka ujrzała ciemnoszarą, granitową ścianę potężnego domu na Łubiance.

„Witaj, Kola” - pomyślała. Może Nikołaj Grigorjewicz czuje, że ona się zbliża, i denerwuje się, sam nie wiedząc dlaczego.

Dawny los stał się jej nowym losem. To, co zdawało się, na zawsze odeszło w przeszłość, stało się jej przyszłością.

Nowa, obszerna poczekalnia, wychodząca lustrzanymi oknami na ulicę, była zamknięta, a przyjęcia petentów odbywały się w starej.

Weszła na zabłocony dziedziniec i minęła odrapane ściany; dotarła do uchylonych drzwi. Wszystko w poczekalni wyglądało zdumiewająco zwyczajnie - stoły zaplamione atramentem, drewniane ławy pod ścianami, okienka z drewnianymi parapetami, gdzie wydawano zaświadczenia.

Wydawało się, że murowana, wielopiętrowa, potężna budowla, wychodząca na plac Łubiański, na Srietienkę, przecnicę Furkasowską i Małą Łubiankę, nie ma z tą kancelarią żadnego związku.

W poczekalni było dużo ludzi, przeważnie kobiet. Petenci stali w kolejce do okienek, niektórzy siedzieli na ławkach; staruszek w okularach z grubymi szklami wypełniał jakiś formularz. Patrząc na stare i młode, męskie i kobiece twarze, Żenia pomyślała, że wszystkie mają wiele wspólnego w wyrazie oczu, w układzie ust; gdyby więc spotkała kogoś takiego w tramwaju albo na ulicy, domyśliłaby się pewnie, że chodzi na Kuźniecki Most 24.

Zwróciła się o informację do młodego strażnika, który miał na sobie żołnierski mundur, ale jakoś nie przypominał żołnierza. Strażnik odpowiedział pytaniem: - Pierwszy raz? - i wskazał okienko w ścianie.

693 Żenia stała w kolejce, trzymając dowód w spoconych ze zdenerwowania dłoniach. Stojąca przed nią kobieta w berecie pouczała ją półgłosem: - Jeśli nie ma w wewnętrznym, trzeba pojechać do Matrosskiej Tiszyny, potem do Butyrek, ale tam przyjmują w określone dni i tylko na jedną literę, potem do Lefortowa, do więzienia wojskowego, potem znowu tutaj. Ja szukałam syna półtora miesiąca. A w prokuraturze wojskowej już pani była? Kolejka przesuwała się szybko i Żenia pomyślała, że to niedobrze, na pewno odpowiedzi w okienku są formalne, monosylabowe. Ale kiedy przyszła kolejka starszej, elegancko ubranej kobiety, nastąpiła przerwa szeptem przekazywano sobie, że dyżurny osobiście pofatygował się, żeby zapytać o jakieś szczegóły sprawy; widać rozmowa telefoniczna nie wystarczyła. Kobieta stała, częściowo zwrócona w stronę czekających.

Wyraz zmrużonych oczu zdawał się mówić, że nawet tutaj nie chce mieć nic wspólnego z ubogim tłumem krewnych uwięzionych ludzi.

Wkrótce kolejka znowu zaczęła się przesuwać, a młoda kobieta, odchodząc od okienka, powiedziała cicho: - Jedna odpowiedź: Brak zezwolenia na paczkę.

Sąsiadka wyjaśniła Jewgienii Nikołajewnie: - To znaczy, że śledztwo nie jest zakończone.

- A co z widzeniami? - spytała Żenia.

- No co też pani - odrzekła tamta i uśmiechnęła się na taką naiwność.

Jewgienia Nikołajewna nigdy nie myślała, że ludzkie plecy mogą być tak wymowne, tak dobitnie przekazywać stan ducha. Ludzie, którzy podchodzili do okienka, w jakiś szczególny sposób wyciągali szyję, a ich plecy, uniesione barki, napięte łopatki, zdawały się szlochać, płakać, krzyczeć.

Kiedy Żenię dzieliło od okienka sześć osób, nagle się ono zatrzasnęło i ogłoszono dwudziestominutową przerwę. Stojący w kolejce usiedli na ławkach i krzesłach.

Były tutaj żony, matki, był i starszy mężczyzna, inżynier, któremu aresztowano żonę, tłumaczkę z Towarzystwa Łączności Kulturalnej z Zagranicą; była uczennica dziewiątej klasy, której matkę aresztowano, a ojciec w 1937 roku dostał wyrok - dziesięć lat bez prawa korespondencji; była ślepa staruszka, którą przyprowadziła tu sąsiadka; staruszka 694 chciała dowiedzieć się czegoś o synu. Była też cudzoziemka źle mówiąca po rosyjsku - żona niemieckiego komunisty, w zagranicznym palcie w kratkę; w rękę trzymała różnobarwną tekstylną torebkę, a oczy miała zupełnie takie same jak rosyjskie staruszki.

Były tu Rosjanki, Ormianki, Ukrainki, Żydówki, była kołchoźnica z podmoskiewskiej wsi. Staruszek wypełniający ankietę przy stole okazał się wykładowcą Akademii im. Timiriaziewa; aresztowano mu wnuka, ucznia, najwyraźniej za nieostrożne słowa na wieczorku szkolnym.

Niejedno zdążyła Żenia usłyszeć przez te dwadzieścia minut.

Dzisiaj jest dobry dyżurny... W Butyrkach nie przyjmują konserw, koniecznie trzeba przynosić czosnek i cebulę - pomagają na szkorbut...

Tutaj w zeszłą środę pewien mężczyzna zgłosił się po dokumenty, trzymali go trzy lata w Butyrkach, ani razu nie przesłuchali i wypuścili...

W ogóle to od aresztowania do obozu mija około roku... Nie warto przekazywać porządnych ubrań - w więzieniu etapowym na Krasnej Priesni polityczni siedzą razem z kryminalnymi, którzy wszystko zabierają...

Niedawno była tu pani, której aresztowano męża, starszego człowieka, wybitnego konstruktora. Okazało się, że w młodości miał przelotny związek z jakąś kobietą; płacił potem alimenty na syna, którego ani razu w życiu nie widział, a kiedy chłopiec dorósł, poszedł na wojnę i przeszedł na stronę Niemców; inżynier dostał dziesięć lat jako ojciec zdrajcy ojczyzny... Większość dostaje wyrok z artykułu 58-10, agitacja kontrrewolucyjna - za dużo gadali... Zabrano ich przed Pierwszym Maja, w ogóle często zamykają przed świętami... Była tu kobieta, śledczy zadzwonił do niej do domu i nagle usłyszała głos męża...

Dziwne, ale tutaj, w siedzibie NKWD, Żeni zrobiło się lżej na duszy niż u Ludmiły

po kąpieli.

Jakie szczęśliwe wydawały się kobiety, którym przyjęto paczki! Ktoś obok ledwie dosłyszalnym szeptem mówił: - Oni o ludziach aresztowanych w trzydziestym siódmym roku podają informacje wysrane z palca. Jednej kobiecie powiedzieli: „Żyje i pracuje”, a kiedy przyszła drugi raz, ten sam dyżurny dał jej zaświadczenie: „Zmarł w trzydziestym dziewiątym roku”.

Ale już człowiek w okienku podniósł oczy na Żenię. To była zwyczajna twarz urzędnika kancelarii, który może wczoraj pracował w komendzie straży pożarnej, a jutro, zgodnie z poleceniem przełożonych, będzie wypisywał dokumenty w dziale nagród.

695 - Chciałam się dowiedzieć czegoś o aresztowanym Nikołaju Grigorjewiczu Krymowie - powiedziała Żenia, której wydawało się, że nawet ci, co jej nie znali, zauważyli, jaki ma zmieniony głos.

- Kiedy aresztowany? - W listopadzie - odpowiedziała.

Podał jej formularz i wyjaśnił: - Proszę wypełnić i oddać mi bez kolejki, po odpowiedź zgłosi się pani jutro.

Przekazując jej kartkę, znowu na nią popatrzył, i to błyskawiczne spojrzenie nie było już spojrzeniem zwykłego urzędnika, ale inteligentnym spojrzeniem enkawudzisty, który chciał zapamiętać petentkę.

Żenia wypełniła rubryki, a palce jej drżały tak jak siedzącemu na tym samym krześle staruszkowi z Akademii im. Timiriaziewa.

Na pytanie o pokrewieństwo z aresztowanym napisała „żona” i podkreśliła to słowo grubą kreską.

Oddała wypełniony formularz, usiadła na ławce i włożyła dowód do torebki. Kilka razy przekładała go z jednej przegródki do drugiej i zdała sobie sprawę, że nie ma ochoty opuszczać ludzi czekających w kolejce.

W tych chwilach pragnęła tylko jednego - dać znać Krymowowi, że jest tutaj, że przyjechała do niego, że dla niego rzuciła wszystko.

Byle tylko się dowiedział, że jest tutaj, w pobliżu.

Szła ulicą, już zapadł zmierzch. W tym mieście spędziła większą część życia. Ale to życie, z wystawami malarstwa, teatrami, obiadami w restauracjach, wyjazdami na daczę, z koncertami symfonicznymi, odeszło tak daleko, że już przestało jej się wydawać żyć. Odszedł Stalingrad, Kujbyszew, odeszła piękna, chwilami miała wrażenie, że bosko piękna, twarz Nowikowa. Pozostała tylko sala przyjęć przy Kuźnieckim Moście 24, a teraz Żeni wydawało się, że idzie nieznanymi ulicami nieznanego miasta.

25 Zdejmując w przedpokoju kalosze i witając się ze staruszką, pomocą domową, Sztrum popatrzył na półotwarte drzwi gabinetu Czepyżyna.

Pomagając Sztrumowi zdjąć płaszcz, stara Natalia Iwanowna powiedziała: 696 - Idź, idź, czeka na ciebie.

- Nadzieжда Fiodorowna w domu? - spytał Sztrum.



- Nie ma, pojechała wczoraj z siostrzeńcem na daczę. Nie wie pan, Wiktorze Pawłowiczu, kiedy wojna się skończy? Sztrum odparł na to: - Podobno znajomi namówili kierowcę, żeby spytał Żukowa, kiedy skończy się wojna. Przychodzi Żukow, wsiada do samochodu i pyta szofera: „Nie wiesz przypadkiem, kiedy ta wojna się skończy?” Czepyżyn wyszedł, żeby powitać Sztruma, i powiedział: - Cóż ty, stara, gości mi odbierasz? Zapraszaj sobie swoich.

Zazwyczaj każda wizyta u Czepyżyna podnosiła Sztruma na duchu.

Teraz też, chociaż ciężko mu było na sercu, wyraźnie odczuł dziwną lekkość, od której zdążył się odzwyczaić.

Kiedy wchodził do gabinetu Czepyżyna i rozglądał się po półkach z książkami, zazwyczaj żartobliwie cytował Wojnę i pokój: „Ho, ho, pisali - nie próżnowali”.

Teraz też powiedział: „Ho, ho, pisali - nie próżnowali”.

Bałagan na półkach bibliotecznych zdawał się przypominać pozorny chaos w fabryce czelabińskiej.

Sztrum zapytał: - Piszą pańscy chłopcy? - Dostaliśmy list od starszego, a młodszy jest na Dalekim Wschodzie.

Czepyżyn ujął rękę Sztruma i ściskając ją, bez słowa wyraził to, czego nie potrzeba wyrażać słowami. A stara Natalia Iwanowna podeszła do Wiktora Pawłowicza i ucałowała go w ramię.

- Co u pana nowego, Wiktorze Pawłowiczu? - zapytał Czepyżyn.

- To samo co u wszystkich. Stalingrad. Teraz nie ma wątpliwości - na Hitlera przyszła kryśka. A u mnie osobiście mało dobrego, przeciwnie, wszystko źle.

Sztrum zaczął opowiadać Czepyżynowi o swoich kłopotach.

- Przyjaciele i żona radzą, żeby się pokajać. Pokajać za to, że mam rację.

Długo i chętnie mówił o sobie, jak poważnie chory, dniem i nocą zaprzątnięty swoją dolegliwością. W końcu skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Ciągle wspominam naszą rozmowę o zakwaszonym cieście i różnych paskudztwach, które wypływają na powierzchnię... Nigdy wokół 697 siebie nie widziałem tyle świństwa. A co szczególnie przykre, niesłychanie przykre, to to, że wszystko jakoś zbiegło się z dniami zwycięstwa.

Spojrzał Czepyżynowi w twarz i zapytał: - Nie sądzi pan, że to nie przypadek? Zdumiewającą twarz miał Czepyżyn: prostą, wręcz toporną, z perkatym nosem, z wystającymi kośćmi policzkowymi, chłopską, a przy tym tak inteligentną, że niech się schowa jakiś tam lord Kelvin czy inni londyńczycy.

Czepyżyn odpowiedział posępnym głosem: - Po wojnie porozmawiamy, czy to był przypadek, czy nie.

- Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilcy zjedzą. Jutro na radzie naukowej zostaną załatwiony. To znaczy, załatwili się ze mną już w dyrekcji, w Komitecie partyjnym, a na radzie tylko sprawę przyklepią - głos ludu, żądanie społeczności.

Dziwnie czuł się Wiktor Pawłowicz, rozmawiając z Czepyżynem mówili o

sprawach bardzo dlań ciężkich, a w duszy nie wiadomo dlaczego czuł lekkość.

- A ja myślałem, że pana teraz obnoszą na srebrnej tacy, a może nawet na złotej - odrzekł Czepyżyn.

- Dlaczego by mieli obnosić? Przecież zaprowadziłem naukę w bagno talmudycznej abstrakcji, oderwałem ją od praktyki.

Czepyżyn powiedział: - Tak, tak. Niebawem! To tak jakby mężczyzna kochał kobietę, która jest dla niego sensem życia, szczęściem, radością, namiętnością. Ale to uczucie z jakiegoś powodu uważane jest za nieprzyzwoite, musi więc je ukrywać i mówić, że ot, sypia z babą, bo ta gotuje mu obiady, ceruje skarpety, pierze bieliznę.

Uniósł przed sobą dłonie z rozczapierzonymi palcami. Ręce też miał zadziwiające - spracowane, silne jak obcęgi, a przy tym niezwykle arystokratyczne.

Nagle się rozżołościł: - A ja się nie wstydzę miłości, która ofiarowuje coś innego niż gotowanie obiadów! Wartość nauki polega na szczęściu, które ona przynosi ludziom. Nasze akademickie zuchy kiwają głowami: nauka to służąca praktyki, pracuje zgodnie z lokajską zasadą: „Czego państwo sobie życzą?”; właśnie dlatego ją utrzymujemy, dlatego ją tolerujemy! Nie! Odkrycia naukowe same w sobie są najwyższą wartością! Doskonałą 698 człowieka bardziej niż kotły parowe, turbiny, lotnictwo i cała metalurgia od Noego do naszych czasów. Duszę doskonałą, duszę! - Zgadzam się z panem, Dmitriju Pietrowiczu, ale towarzysz Stalin jest odmiennego zdania.

- No i niesłusznie! Medal ma przecież i drugą stronę. Dzisiejsza abstrakcja Maxwella jutro zmieni się w sygnał radiostacji wojskowej.

Einsteinowska teoria pola grawitacyjnego, Schrödingerowska mechanika kwantowa i postulaty Bohra jutro mogą zmienić się w realną, potężną siłę. To właśnie warto zrozumieć. Nawet krowa by zrozumiała, takie to jest proste.

Sztrum przypomniał mu: - Ale sam na sobie doświadczył pan niechęci przywódców politycznych do uznania dzisiejszej teorii za jutrzejszą praktykę.

- Nie, akurat na odwrót - powoli odrzekł Czepyżyn. - Ja sam nie chciałem kierować instytutem, i to właśnie dlatego, że wiedziałem: dzisiejsza teoria jutro zmieni się w praktykę. Ale to dziwne, dziwne byłem przekonany, że Szyszakowa mianowano w związku z badaniami procesów jądrowych. A w tych sprawach bez pana się nie obejdują... Nie tylko zresztą byłem; nadal jestem o tym przekonany.

Sztrum powiedział: - Nie rozumiem motywów, które skłoniły pana do odejścia z instytutu.

Pańskie słowa są dla mnie niejasne. Przecież władze nie postawiły przed instytutem zadań, jakich pan się obawiał. To akurat nie ulega wątpliwości. Władzom zdarzają się zresztą pomyłki w sprawach bardziej oczywistych. Na przykład Gospodarz ciągle umacniał przyjaźń z Niemcami i jeszcze w ostatnich dniach przed wojną słał im kurierskimi pociągami kauczuk i inne strategiczne materiały. A już w naszej dziedzinie... Wielki polityk ma prawo się omylić.

Zresztą w moim życiu wszystko jest na odwrót. Moje przedwojenne prace miały związek z praktyką. Jeździłem do Czelabińska, pomagałem montować aparaturę elektroniczną. A w czasie wojny...

Machnął ręką z pogodną rezygnacją.

- Zaszyłem się w głuszy, to i dziwne, i straszne. Jak Boga Kocham...

Usiłuję budować fizykę oddziaływań jądrowych, a tu runęła grawitacja, masa, czas, dwoi się przestrzeń; nie ma bytu, ale wyłącznie sens matematyczny. Mam w laboratorium młodego pracownika, Sawostjanowa; zaczęliśmy rozmawiać o mojej pracy. Pyta mnie o to, o tamto. Ja mu 699 na to: „To jeszcze nie teoria, to na razie program i pewne pomysły.

Przestrzeń dualna to tylko wskaźnik w równaniu, a nie rzeczywistość.

Symetria istnieje jedynie w równaniu, nie wiem, czy odpowiada jej symetria cząstek elementarnych. Rozwiązania matematyczne prześcignęły fizykę; nie wiem, czy fizyka cząstek da się wcisnąć w moje równania". Sawostjanow słuchał, słuchał, potem podsumował: „Przypomniałem sobie kolegę ze studiów, który kiedyś zaplątał się, rozwiązując równanie, i powiedział: «Wiesz, to nie nauka, tylko spółkowanie ślepych w pokrzywach...»" Czepyżyn roześmiał się.

- Rzeczywiście dziwne, że pan sam nie potrafi nadać swojej matematyce sensu fizycznego. Przypomina to kota z Alicji w krainie czarów najpierw pojawił się uśmiech, a potem sam kot.

Sztrum odpowiedział: - Ach, mój Boże, w głębi duszy jestem jednak pewien, że tędy, właśnie tędy przebiega główna oś ludzkiego życia. Nie zmienię swoich poglądów, nie wyrzeknę się ich. Nie będę odstępcą od wiary.

Czepyżyn rzekł na to: - Rozumiem, co to znaczy dla pana rozstać się z laboratorium, w którym za chwilę związek pańskiej matematyki z fizyką może ujrzeć światło dzienne. To smutne, ale cieszę się z tego, bo uczciwość nie zginie.

- Żeby tylko sam przy okazji nie zginął - westchnął Sztrum.

Natalia Iwanowna wniosła herbatę, zaczęła przesuwać książki, żeby zrobić miejsce na stole.

- Oho, cytryna - rzekł z podziwem.

- Taki gość! - powiedziała Natalia Iwanowna.

- Kompletne zero.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Czepyżyn. - A niby dlaczego? - Cóż, Dmitriju Pietrowiczu, jutro mnie wykończą. Czuję to. Co mam robić pojutrze? Sztrum przysunął sobie filiżankę z herbatą i wydzwanając łyżeczką na krawędzi spodeczka marsz swej rozpacz, powtórzył z roztargnieniem: - Oho, cytryna. - Po czym speszył się, bo z tą samą intonacją dwukrotnie powiedział to samo.

Przez pewien czas milczeli. Pierwszy odezwał się Czepyżyn: 700 - Chciałbym się z panem podzielić pewnymi myślami.

- Zawsze do usług - zapewnił Sztrum z niejakim roztargnieniem.

- Ot, taka tam maniłowsczyzna, jak u Gogola... Wie pan, teraz wyobrażenie o nieskończoności wszechświata stało się już truizmem.

Metagalaktyka okaże się kiedyś kawałkiem cukru, którym przegryza herbatę

jakiś oszczędny liliput, a elektron albo neutron - światem pełnym Guliwerów. To już dzieci w szkole wiedzą.

Sztrum pokiwał głową i pomyślał: „Rzeczywiście, maniłowszczyzna.

Coś dzisiaj staremu nie bardzo idzie". A w tym czasie wyobrażał sobie Szyszakowa na jutrzejszym zebraniu. „Nie, nie pójdę. Iść to znaczy pokajać się albo spierać się o sprawy polityczne, a to jest równe samobójstwu..." Dyskretnie ziewnął i pomyślał: „To wada serca, zawsze się ziewa z tego powodu".

Czepyżyn mówił dalej: - Wydawało się, że ograniczyć nieskończoność może tylko Bóg...

Przecież za granicą kosmosu nieuchronnie trzeba uznać siłę boską.

Prawda? - Tak, tak - przytaknął Sztrum i pomyślał: „Dmitriju Pietrowiczu, nie filozofia mi w głowie; przecież mogą mnie przymknąć jak nic! W Kazaniu porozmawiałem otwarcie z pewnym facetem - Madjarowem. Albo już jest kapusiem, albo go wsadzą i zmuszą, żeby gadał.

Znalazłem się w fatalnej sytuacji".

Patrzył na Czepyżyna, a ten, śledząc niby to uważne spojrzenie gościa, mówił dalej: - Wydaje mi się, że istnieje linia ograniczająca nieskończoność wszechświata - to życie. Tej granicy nie stanowi krzywizna Einsteina, wytycza ją zasadnicza różnica między życiem a materią nieożywioną.

Wydaje mi się, że życie można określić jako wolność. Życie to wolność.

Wolność jest podstawową zasadą życia. Właśnie tutaj leży granica: wolność i niewola, martwa materia i życie.

Potem przyszło mi na myśl, że kiedy już wolność powstała, zaczęła ewoluować. Ta ewolucja przebiegała dwójako. Człowiek ma więcej wolności niż pierwotniaki. Cała ewolucja świata żywego to ruch od niższego stopnia wolności do wyższego. W tym tkwi sens ewolucji żywych form. Wyższa forma to ta, która jest bogatsza w wolność. To pierwsza gałąź ewolucji.

701 Sztrum w zamyśleniu patrzył na Czepyżyna. Ten kiwnął głową, jakby pochwalając uwagę słuchacza.

- Pomyślałem sobie jednak, że jest i druga, ilościowa gałąź ewolucji.

Dziś, jeśli przyjmiemy pięćdziesiąt kilogramów za przeciętną wagę człowieka, to cała ludzkość waży sto milionów ton. O wiele więcej niż, powiedzmy, tysiąc lat temu. Masa substancji żywej będzie się ciągle zwiększała kosztem nieżywej. Kula ziemską będzie się stopniowo ożywiać. Człowiek zasiedli pustynie, Arktykę, i zacznie schodzić w głąb, ciągle powiększając obszary podziemnych miast i pól. Powstanie przewaga żywej masy Ziemi! Następnie ożyją inne planety. Jeśli wyobrazić sobie ewolucję życia w nieskończonym czasie, to przemiana nieżywej materii w życie będzie się dokonywała w skali galaktyki. Materia z nieożywionej zacznie się zmieniać w żywą, w wolność. Wszechświat ożyje, wszystko na świecie stanie się żywe, a co za tym idzie, wolne.

Wolność-życie zwycięży niewolę.

- Tak, tak - potwierdził Sztrum i uśmiechnął się. - Można to scałkować.

- W tym właśnie sęk - powiedział Czepyżyn. - Zajmowałem się ewolucją gwiazd i rozumiałem, że nie należy żartować z poruszaniem się szarej plamki żywego śluzu. Niech pan pomyśli o pierwszej gałęzi ewolucji - od niższych form do wyższych. Pojawi się człowiek mający wszystkie cechy Boga: wszechobecny, wszechwiedzący, wszechmogący.

Najbliższe stulecie przyniesie rozwiązanie problemu przekształcenia materii w energię i stworzenia żywej substancji. Równoległe przebiegał będzie postęp w kierunku ujarznienia przestrzeni i osiągnięcia prędkości granicznych. Dalsze tysiąclecia ludzie poświęcą opanowaniu wyższej postaci energii - energii psychicznej.

Nagle wszystko to przestało się wydawać Sztrumowi paplaniną.

Zrozumiał, że nie zgadza się z tym, co mówi Czepyżyn.

- Dzięki wskazaniom odpowiednich przyrządów człowiek zdoła materializować treść i rytm psychiki istot rozumnych w całej metagalaktyce. Ruch energii psychicznej w przestrzeni, którą światło pokonuje w miliardy lat, będzie następował błyskawicznie. Atrybut Boga - wszechobecność - stanie się cechą rozumu. Ale człowiek nie zatrzyma się nawet wtedy, gdy dorówna Bogu. Zacznie rozwiązywać problemy, z którymi Bóg nie umiał sobie poradzić. Ustanowi łączność z rozumnymi istotami wyższych pięter wszechświata, z innej 702 przestrzeni i innego czasu, dla których cała historia ludzkości jest tylko chwilowym, niewyraźnym błyskiem. Nawiąże świadomy kontakt z życiem w mikrokosmosie, którego ewolucja jest dla człowieka jedynie krótką chwilą. Nadejdzie pora całkowitej likwidacji otchłani czasoprzestrzennej. Człowiek popatrzy z góry na Boga.

Sztrum pokiwał głową i powiedział: - Dmitriju Pietrewiczu, początkowo słucałem pana, myśląc równocześnie o tym, że nie filozofia mi w głowie, że co tu myśleć o filozofii, skoro mogą mnie zamknąć. Nagle jednak zapomniałem o Kowcencie, Szyszakowie, towarzyszu Berii, i o tym, że jutro przegonią mnie na cztery wiatry z zakładu, a pojutrze mogą nawet zamknąć w obozie.

Ale, wie pan, słuchając pana, nie czułem żadnej radości, tylko rozpacz. Pozjadaliśmy wszystkie rozumy, a Herkules wydaje się nam cherlakiem. Tymczasem Niemcy zabijają żydowskich starców i dzieci jak wściekłe psy, my zaś mieliśmy rok trzydziesty siódmy i kolektywizację połączoną ze zsyłką milionów nieszczęśliwych chłopów, z głodem, ludożerstwem... Wie pan, dawniej wszystko wydawało mi się proste i jasne. A po wszystkich tych okropnych stratach i nieszczęściach stało się trudne, poplątane. Człowiek popatrzy z góry na Boga... Czy przypadkiem nie popatrzy z góry i na diabła, czy i jego nie prześcignie? Pan mówi, że życie to wolność. Ale czy tak samo myślą ludzie w obozach? Czy życie, kiedy się rozleje po wszechświecie, nie zużyje swojej potęgi na budowę niewolnictwa straszniejszego niż niewola materii nieożywionej, o której pan mówi? Niech mi pan powie - czy ten pański człowiek przyszłości przewyższy i Chrystusa w swojej dobroci? Bo to najważniejsza sprawa! Niech mi pan powie, co da światu potęga istoty wszechobecnej i wszechwiedzącej, jeśli ta istota zachowa naszą dzisiejszą zoologiczną pewność siebie, nasz egoizm - klasowy, rasowy, państwowy i indywidualny? Czy ów człowiek nie zamieni całego świata w gigantyczny obóz koncentracyjny? No właśnie, niech mi pan powie, czy wierzy pan w ewolucję dobroci, moralności, miłosierdzia, czy człowiek zdolny jest do takiej ewolucji? Sztrum zmieszał się nagle i skrzywił.

- Proszę wybaczyć, że tak uporczywie drążę ten problem; zdaje się, że jest bardziej abstrakcyjny niż równania, o których rozmawialiśmy.

- Nie jest wcale taki abstrakcyjny - odrzekł Czepyżyn - toteż odbił się i na moim życiu. Postanowiłem nie brać udziału w pracach 703 związanych z rozszczepieniem atomu. Dzisiejszego dobra i dobroci nie starcza człowiekowi nawet do rozumnego życia, sam pan o tym mówi.

Cóż więc się stanie, jeśli w łapy człowieka dostanie się wewnętrzna energia atomu? Obecnie energia duchowa znajduje się na żalnym poziomie. Ale w przyszłość wierzę! Wierzę, że rozwijać się będzie nie tylko potęga człowieka, ale i jego miłość, jego dusza.

Umilkł zdumiony wyrazem twarzy Sztruma.

- Myślałem, myślałem o tym - odpowiedział Sztrum. - I kiedyś ogarnęło mnie przerażenie! Pana przeraża niedoskonałość człowieka.

Czy kogoś jeszcze poza panem? Kto, powiedzmy, w moim laboratorium zastanawia się nad tym? Sokołow? Ma ogromny talent, ale jest nieśmiały, zgina kark przed siłą państwa, uważa, że wszelka władza pochodzi od Boga. Markow? Pozostaje całkowicie poza zagadnieniami dobra, zła, miłości, moralności. To wyłącznie fachowiec. Rozwiązuje problemy nauki jak etiudy szachowe. Sawostjanow, o którym panu wspominałem? Sympatyczny, dowcipny, świetny fizyk, ale jako człowiek - pusty, beztroski. Przywiózł do Kazania kupę zdjęć znajomych panien w kostiumach kąpielowych; lubi się ubrać, lubi wypić, potaćzyć.

Dla niego nauka to sport: rozwiązać problem, zrozumieć zjawisko to to samo, co pobić rekord. Byłe nas nie ograli! Przecież nawet ja dzisiaj nie myślę o tym wszystkim poważnie. Naukę w naszych czasach powinni uprawiać ludzie o wielkiej duszy, prorocy, święci! A robią to fachowcy, szachiści, sportmeni. Nie wiedzą, co czynią. Pan wie! Ale pan to pan. Czepyżyn z Berlina nie odmówi pracy z neutronami! I co wtedy? A ja, a ze mną, co się ze mną dzieje? Wszystko wydawało mi się proste, jasne, a teraz - nie, nie... Wie pan, Tołstoj uważał swoje genialne dzieła za pustą zabawę. My, fizycy, nie tworzymy genialnych dzieł, a puszymy się i puszymy.

Sztrum zaczął szybko mrugać oczami.

- Skąd mam czerpać wiarę, siłę, stałość? - spytał nagle, a w jego głosie dał się słyszeć akcent żydowski. - No, co ja panu mogę powiedzieć? Pan wie o nieszczęściu, które mnie dotknęło, a dzisiaj prześladują mnie tylko za to, że jestem...

Nie dokończył, wstał szybko, łyżeczka upadła na podłogę. Dygotał, ręce mu drżały.

- Wiktorze Pawłowiczu, proszę, niech się pan uspokoi - powiedział Czepyżyn. - Pomówmy o czymś innym.

704 - Nie, nie, przepraszam. Pójdę już, coś niedobrego się ze mną dzieje, chyba migrena, proszę mi wybaczyć.

Zaczął się żegnać.

- Dziękuję, dziękuję - powtarzał, nie patrząc Czepyżynowi w oczy, czując, że nie może opanować wzburzenia.

Szedł schodami w dół, a łzy płynęły mu po policzkach.

26 Sztrum wrócił do domu, kiedy wszyscy spali. Wydawało mu się, że do rana przesiedzi przy biurku, że czytając i przepisując na nowo swoje samokrytyczne oświadczenie, bez przerwy będzie się zastanawiał, czy ma iść jutro do instytutu.

Podczas długiej drogi powrotnej nie myślał o niczym - ani o tym, jak płakał, kiedy wychodził od Czepyżyna, ani o rozmowie z nim, przerwanej nagłym atakiem nerwowym, ani o strasznym dniu jutrzejszym, ani o liście matki, tkwiącym w bocznej kieszeni marynarki. Podporządkował się nocnemu milczeniu ulic, jego głowa opustoszała, wszystko w niej było widoczne na przestrzał, jak wyludnione nocą ulice Moskwy.

Nie denerwował się, nie wstydził swoich niedawnych łez, nie bał się losu, nie pragnął pomyślnego rozwiązania.

Rankiem Sztrum chciał wejść do łazienki, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz.

- Ludmiła, jesteś tam? - zapytał.

Wydał cichy okrzyk, kiedy usłyszał głos Żeni.

- Boże mój, Żenieczka! Jak się tu znalazłaś? - zdumiał się i z roztargnienia spytał bez sensu: - A Luda wie, że przyjechałaś? Żenia wyszła z łazienki, ucałowali się.

- Marnie wyglądasz - powiedział Sztrum i dodał: - To się nazywa żydowski komplement.

Od razu w korytarzu powiedziała mu o aresztowaniu Krymowa i o celu swego przyjazdu.

Był zdumiony. Ale po tej wiadomości przyjazd Żeni wydał mu się szczególnie cenny. Gdyby przyjechała szczęśliwa, zajęta myślami o swoim nowym życiu, nie byłaby taka miła, taka bliska.

Rozmawiał z nią, wypytywał i ciągle spoglądał na zegarek.

705 - Jakie to wszystko bezsensowne, jakie głupie - mówił. - Przypomnij sobie tylko moje rozmowy z Nikołajem, który zawsze starał się mnie odpowiednio nastawić. A teraz! Ja, heretyk, jestem wolny, a on, prawowierny komunista, siedzi w areszcie.

Ludmiła Nikołajewna przypomniała: - Witia, pamiętaj, że zegar w jadalni spóźnia się o dziesięć minut.

Wymamrotał coś w odpowiedzi i poszedł do swojego pokoju; idąc korytarzem, zdążył dwukrotnie spojrzeć na zegarek.

Posiedzenie rady naukowej wyznaczono na jedenastą. Siedząc wśród dobrze znanych przedmiotów i książek, jakoś niesamowicie mocno, jak to bywa przy halucynacjach, wyczuwał napięcie i krzątaninę w instytucie. Jest wpół do jedenastej. Sokołow zaczyna zdejmować fartuch. Sawostjanow półgłosem mówi do Markowa: „Tak, widocznie nasz szalenię postanowił, że nie przyjdzie”. Guriewicz, drapiąc się w gruby tyłek, patrzy przez okno - pod budynek zajeżdża zis; wysiada z niego Szyszakow w kapeluszu i długim pastorskim płaszczu. W ślad za zisem pojawia się samochód z młodym Badjinem. Kowczenko idzie korytarzem. W sali posiedzeń jest już

piętnaście osób, przeglądają gazety; przyszły zawczasu, żeby zająć lepsze miejsca; wiedzą, że ludzi będzie dużo. Swieczin i sekretarz instytutowego komitetu partii Ramskow „z pieczęcią tajemnicy na czole” stoi przed drzwiami komitetu. Stary akademik Prasołow, z głową w siwych kędziorach, wznosi oczy do góry, sunie korytarzem - na takich zebraniach mówi rzeczy wyjątkowo podłe. Tłumnie, hałaśliwie nadciągają młodszy pracownicy naukowcy.

Sztrum popatrzył na zegarek, wyjął z biurka swoje oświadczenie, wsunął je do kieszeni, znowu spojrzął na zegarek.

Może pójść na radę i nie pokajać się; być obecnym, ale nic nie mówić... Nie... Jeśli przyjdzie, to nie będzie mógł milczeć, a jak zabierze głos, to po to, żeby złożyć samokrytykę. A jeżeli nie przyjdzie - odetnie sobie wszystkie drogi...

Powiedzą: „Nie znalazł w sobie odwagi... Demonstracyjnie przeciwstawił się kolektywowi... Rzucił polityczne wyzwanie... Po czymś takim należy rozmawiać z nim innym językiem...” Wyjął z kieszeni oświadczenie i od razu, nie czytając, wsunął je tam z powrotem. Dziesiątki razy czytał ten tekst: „Uświadomiłem sobie, że wyrażając nieufność wobec kierownictwa partii, dopuściłem się czynu niezgodnego z normami postępowania człowieka radzieckiego, dlatego też... W swojej pracy nieświadomie zboczyłem z chwalebnej drogi nauki radzieckiej i mimo woli przeciwstawiłem się...” Chciał przeczytać jeszcze raz swoje oświadczenie, ale ledwie brał je do ręki, każda litera wydawała mu się nie do zniesienia znajoma...

Komunista Krymow siedzi, trafił na Łubiankę. Sztruma zaś, z jego wątpliwościami, lękiem przed okrucieństwem Stalina, z jego dysputami o wolności, biurokratyzmie, z jego obecną, zatrącającą przecież o politykę sprawą, dawno już należałoby wystąpić na Kołymę...

W ostatnich dniach coraz częściej ogarniał go lęk; wydawało mu się, że go aresztują. Przecież zazwyczaj na zwolnieniu z pracy się nie kończy. Najpierw krytykują, potem wyrzucają z pracy, a na koniec zamykają.

Znowu popatrzył na zegarek. Sala jest już pełna. Siedzący spoglądają na drzwi, szepczą: „Sztrum nie przyszedł...” Ktoś mówi: „Już zbliża się południe, a Wiktor ciągle nie ma...” Szyszakow zajmuje miejsce przewodniczącego, kładzie na stole futerał od okularów. Przy Kowczence stoi sekretarka, która przyniosła mu jakieś pilne dokumenty do podpisu.

Czuł nieznośną presję tego niecierpliwego, nerwowego, oczekiwania dziesiątków ludzi, którzy zebrali się w sali posiedzeń. Na pewno i na Łubiance, w pomieszczeniu, gdzie urzęduje interesujący się nim funkcjonariusz, czekają - czyżby miał nie przyjść? Czuł, widział pochmurnego człowieka w Komitecie Centralnym: „To co, nie raczył przyjść?” Widział znajomych, którzy mówią do swoich żon: „Oszalał”.

Ludmiła w duchu go potępia - Tola oddał życie za państwo, z którym Wiktor w czasie wojny wszczął spór.

Kiedy wcześniej przypominał sobie, jak wielu spośród jego krewnych i krewnych Ludmiły jest represjonowanych, zesłanych, uspokajał się myślą: „Jeśli spytają, to powiem, że nie tylko tacy ludzie znajdowali się w moim otoczeniu. Na przykład Krymow - bliski mi człowiek - jest znanym komunistą, starym członkiem partii, działaczem bolszewickiego podziemia”.



A tu masz - Krymow siedzi! Zaczną go tam wypytywać, a on przypomni sobie heretyckie wypowiedzi Sztruma. Zresztą Krymow nie jest mu znowu taki bliski, Żenia się z nim rozwiodła. Sztrum nie prowadził też z nim żadnych szczególnie niebezpiecznych rozmów, 707 przed wojną nie żywił przecież specjalnych wątpliwości. O, gdyby tak spytali Madjarowa! Dziesiątki, setki wysiłków, impulsów, nacisków, uderzeń zlewało się w wypadkową; ta, wydawało się, wyginała żebra, rozsadzała kości czaszki.

Bezsensowne słowa Ibsenowskiego doktora Stockmanna: „Silny jest ten, kto jest samotny”... Gdzie tam silny! Oglądając się jak złodziej, z żalnymi małomiasteczkowymi grymasami zaczął pośpiesznie wiązać krawat, przekładać papiery do kieszeni nowej, odświętnej marynarki; włożył też nowe, żółte półbuty.

W chwili kiedy stał już ubrany koło biurka, zajrzała do gabinetu Ludmiła Nikołaj ewna. W milczeniu podeszła do męża, pocałowała go i wyszła z pokoju.

Nie, nie odczyta tej urzędowej samokrytyki! Powie prawdę płynącą z serca: „Towarzysze, przyjaciele moi, z bólem słuchałem was, z bólem myślałem, jak mogło dojść do tego, że w szczęśliwych dniach przełomu stalingradzkiego, który kosztował tyle krwi i potu, znalazłem się sam, że słucham gniewnych wyrzutów swoich kolegów, braci, przyjaciół...”

Przysięgam wam - oddam wszystkie siły, umysł, życie...” Tak, tak, tak, teraz wiedział, co powie... Prędkiej, prędkiej, jeszcze zdąży... „Towarzysze... Towarzyszu Stalin, żyłem nie tak, jak należy; musiałem dojść na skraj przepaści, żeby do głębi poznać swoje błędy. To, co powiem, będzie płynęło ze szczerego serca! Towarzysze, mój syn zginął pod Stalingradem...” Ruszył ku drzwiom.

W tej ostatniej chwili wszystko się ostatecznie rozstrzygnęło. Pozostało tylko czym prędzej pojechać do instytutu, zostawić płaszcz w szatni, wejść do sali, usłyszeć podniecone szepty dziesiątków ludzi, popatrzeć na znajome twarze i powiedzieć: „Proszę o głos, chciałbym powiedzieć towarzyszom o tym, co myślałem i czułem w tych dniach...” Ale właśnie w tej chwili powolnymi ruchami zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, rozwiązał krawat, zwinął go i położył na skraju biurka, usiadł i zaczął rozwiązywać sznurowadła.

Poczuł się nagle lekki i czysty. Siedział spokojny, pełen zadumy. Nie wierzył w Boga, ale w tych chwilach miał dziwne wrażenie, że Bóg patrzy na niego. Nigdy w życiu nie czuł takiego szczęścia i zarazem 708 takiej pokory. Nie było już siły, która mogłaby odebrać mu poczucie słuszności.

Zaczął myśleć o matce. Może zjawiła się przy nim, kiedy bezwiednie zmienił decyzję. Przecież chwilę przedtem zupełnie szczerze pragnął wystąpić z historycznym przyznaniem się do błędu. Nie myślał o Bogu, nie myślał o matce, kiedy nagle mocno poczuł, jaką w końcu podejmie decyzję. Ale oni byli przy nim, chociaż o nich nie myślał.

„Jak dobrze, jestem szczęśliwy” - uświadomił sobie.

Wydawało mu się, że nigdy dotąd nie zastanawiał się tak poważnie nad życiem, nad swoimi bliskimi, nigdy tak dobrze nie rozumiał siebie, swojego losu.

Ludmiła i Żenia weszły do pokoju. Ludmiła, widząc go bez marynarki, w

skarpetkach, z rozpiętym kołnierzykiem koszuli, wydała z siebie słaby jęk, jak stara kobieta.

- Boże mój, nie poszedłeś? I co teraz będzie? - Nie wiem - odpowiedział.

- Może jeszcze nie jest za późno? - spytała, potem popatrzyła na niego i dodała:  
- No, nie wiem, nie wiem... Jesteś dorosły. Ale kiedy rozstrzygasz takie sprawy, powinieneś myśleć nie tylko o swoich zasadach.

Milczał, potem westchnął.

Żenia upomniała siostrę: - Ludmiła! - No nic - wycofała się ta. - Co będzie, to będzie.

- Tak, Ludka - powiedział Sztrum. - Jak to było u protopopa Awwakuma? „Pójdziem tedy dalej”.

Zasłonił szyję dłonią i uśmiechnął się.

- Wybacz, Genevieve, jestem bez krawata.

Patrzył na Ludmiłę Nikołajewną i Żenię i wydawało mu się, że dopiero teraz naprawdę zrozumiał, jaka to poważna i niełatwa sprawa żyć na świecie; jak ważne są stosunki z bliskimi.

Wiedział, że życie popłynie zwykłym torem, że znowu będzie się niepokoił, irytował z powodu byle głupstwa, złościł na żonę i córkę.

- Wiecie co, dosyć już mówiliśmy o mnie - rzekł zdecydowanie. Żeniu, zagrajmy w szachy, pamiętasz, jak mi dałaś mata dwa razy z rzędu? Rozstawili figury, a Sztrum, który miał grać białymi, zrobił pierwszy ruch królewskim pionem. Żenia powiedziała: 709 - Nikołaj zaczynał zawsze białymi od króla. Czego się dzisiaj dowiem na Kuźnieckim? Ludmiła Nikołaj ewna pochyliła się i podsunęła Sztrumowi pod nogi domowe pantofle. Nie patrząc, starał się trafić w nie stopami, a Ludmiła Nikołaj ewna westchnęła cierpiętniczo, przykucnęła i włożyła mu je na nogi. Pocałował ją w głowę i powiedział w roztargnieniu: - Dzięki, Ludeczko, dzięki.

Żenia, ciągle nie robiąc pierwszego ruchu, potrząsnęła głową.

- Nie, nie rozumiem. Przecież trockizm to stare sprawy. Coś się musiało stać, ale co, co? Ludmiła Nikołajewna, poprawiając pionów białych, powiedziała: - Dzisiaj nie spałam prawie całą noc. Taki oddany, ideowy komunista.

- Powiedzmy raczej, że całą noc spałaś znakomicie - odparła Żenia. Ja budziłam się kilka razy, a ty ciągle pochrapywałaś.

Ludmiła Nikołajewna rozzłościła się.

- Nieprawda, dosłownie nie zmrużyłam oka.

Po czym, głośno odpowiadając na myśl, która ją niepokoiła, zwróciła się do męża: - Nie szkodzi, nic nie szkodzi, byleby cię nie aresztowali. Choćby ci mieli wszystko odebrać, nie boję się - będziemy wyprzedawać rzeczy, pojedziemy na daczę, a ja na bazarze będę sprzedawała truskawki.

Mogę uczyć chemii w szkole.

- Daczę też wam odbiorą - wtrąciła Żenia.

- Czyżbyś nie rozumiała, że Nikołaj jest absolutnie niewinny? - spytał Sztrum. - To inne pokolenie, w zupełnie innym układzie współrzędnych.

Siedzieli nad szachownicą, popatrując na figury, na jedyną figurę, która zrobiła ruch, i rozmawiali.

- Żeniu, kochana - mówił Wiktor Pawłowicz - postąpiłaś zgodnie z sumieniem. Wierz mi, to najlepsza rzecz, jaką ma człowiek. Nie wiem, co czeka cię w życiu, ale jestem pewien: twój postępek był szczerzy.

Nasze największe nieszczęście polega właśnie na braku szczerości.

Mówimy nie to, co myślimy. Czujemy jedno, a robimy co innego.

Pamiętasz, co Tołstoj powiedział o karze śmierci: „Nie mogę milczeć!” A myśmy milczeli, kiedy w trzydziestym siódmym roku tracono tysiące niewinnych ludzi. I to w najlepszym wypadku milczeli! Byli i tacy, którzy to głośno chwalili. Milczeliśmy podczas okropieństw przymusowej kolektywizacji. Myślę, że za wcześnie mówimy o socjalizmie; socjalizm opiera się nie tylko na przemyśle ciężkim. Socjalizm to przede wszystkim prawo do sumienia. To straszne pozbawiać człowieka prawa do sumienia. Jeśli człowiek znajduje w sobie siłę, żeby uczynić to, co dyktuje mu sumienie, czuje niebывały przypływ szczęścia. Cieszę się z tego, że postąpiłaś zgodnie z sumieniem.

- Witia, przestań wygłaszać morały jak Budda i do reszty mieszać jej w łepetynie - zirytowała się Ludmiła Nikołajewna. - Co ma z tym wspólnego sumienie? Żenia gubi siebie, dręczy porządnego człowieka, a co na tym zyska Krymow? Nie wierzę, że będzie szczęśliwa, kiedy go wypuszczą. Gdy się rozstawali, nic mu nie groziło - wobec niego sumienie ma czyste.

Jewgienia Nikołajewna wzięła do ręki króla szachowego, popatrzyła na podklejone pod figurą sukno i odstawiła ją na miejsce.

- Luda - odezwała się - co ty mi tu ze szczęściem... Ja nie o szczęściu myślę.

Sztrum popatrzył na zegarek. Cyferblat wydał mu się spokojny, wskazówki senne, niespieszne.

- Teraz tam przemowy idą na całego. Wyklinają mnie, a ja nie czuję złości ani żalu.

- A ja bym sprząła po pysku wszystkich tych bezwstydników - oświadczyła Ludmiła. - To nazywają cię nadzieją nauki, to znów opluwają.

Żenia, kiedy masz być na Kuźnieckim? - O czwartej.

- Zjesz obiad, potem pójdziesz.

- Co mamy dzisiaj na obiad? - spytał Sztrum i z uśmiechem dodał: Wiecie, panie, o co was poproszę? - Wiem, wiem. Chcesz popracować - powiedziała Ludmiła Nikołajewna, wstając.

- Inny by po ścianach chodził w takim dniu - zauważyła Żenia.

- To jest moja słabość, nie siła - rzekł Sztrum. - Wczoraj z De Pe dużo rozmawialiśmy o nauce. Ale ja mam inne zdanie, inny punkt widzenia. Bliższy Tołstojowi, który wątpił, zadręczał się, czy literatura jest ludziom potrzebna, czy potrzebują książek, które pisze.

- No wiesz! - wtrąciła swoje Ludmiła. - Może napisz najpierw Wojnę i pokój w fizyce.

711 Sztrum okropnie się zmieszał.

- Tak, Ludeczko, masz rację, zagalopowałem się - wymamrotał i mimo woli spojrzął na nią z wyrzutem. - Boże, nawet w takiej chwili musisz mi wypominać każde niefortunne słowo.

Znowu został sam. Odczytywał zrobione wczoraj notatki i równocześnie myślał o dniu dzisiejszym. Dlaczego od razu poczuł się lepiej, gdy Ludmiła i Żenia wyszły z pokoju? W ich obecności dręczył go własny fałsz. Fałszem trąciła jego propozycja, żeby zagrać w szachy, jego chęć do pracy. Widocznie i Ludmiła wyczuła ten fałsz, kiedy nazwała go Buddą. A on, wygłaszając swoją pochwałę sumienia, miał świadomość, jak fałszywym, drewnianym głosem mówi. W obawie, że go posądzą o zachwyt nad sobą, starał się prowadzić zwyczajną rozmowę, ale i w tej ostentacyjnej zwykłości, tak jak w kazaniu z ambony, tkwił fałsz.

Dręczył go jakiś niejasny niepokój, ale nie mógł zrozumieć, czego mu brakuje.

Kilkakrotnie wstawał, podchodził do drzwi, wsłuchiwał się w głosy Ludmiły i Żeni.

Nie chciał wiedzieć, co mówiono na zebraniu, kto go najostrzej i najzłośliwiej atakował, jaką rezolucję przygotowano. Napisze krótki liścik do Szyszakowa, że jest chory i nie będzie mógł w najbliższych dniach przychodzić do instytutu. A w przyszłości nie będzie już potrzeby. Zawsze gotów jest służyć swoją osobą w takiej mierze, w jakiej może być przydatny. To właściwie wszystko.

Dlaczego tak bał się aresztowania w ostatnich dniach? Przecież nic takiego nie zrobił. Gadał za dużo. E, znowu tak dużo nie gadał. Tam już wiedzą.

Ale uczucie niepokoju nie mijało, Sztrum niecierpliwie spoglądał na drzwi. Może coś zjeść? Z przydziałem pewnie trzeba się będzie pożegnać. Ze znakomitą stołówką również.

W przedpokoju rozległ się cichy dzwonek i Sztrum szybko wybiegł na korytarz, krzyknął w stronę kuchni: - Ludmiła, ja otworzę! Otworzył drzwi na oścież i w półmroku przedpokoju ujrzał zatrwożone oczy Marii Iwanowny.

- No tak - odezwała się niezbyt głośno. - Wiedziałam, że pan nie pójdzie.

712 Pomagając jej zdjąć palto, dotykając rękami kołnierza, na którym czuło się ciepło jej szyi, Sztrum nagle się domyślił: to na nią czekał.

Spodziewał się, że przyjdzie, nasłuchiwał, spoglądał na drzwi.

Domyślił się tego po radosnej, naturalnej lekkości, którą od razu poczuł na widok Marii Iwanowny. To ją, jak się okazało, chciał spotkać, kiedy z ciężkim sercem wracał wieczorami z instytutu, trwożnie wpatrywał się w przechodniów, spoglądał w twarze kobiet za oknami tramwajów i trolejbusów. A kiedy wracał do domu i pytał Ludmiłę Nikołajewnę: „Nikt nie przychodził?”, to chciał wiedzieć, czy nie było przypadkiem Marii Iwanowny. Tak zresztą bywało i dawniej... Maria Iwanowna przychodziła, rozmawiali, żartowali, potem odchodziła, i wydawało się, że o niej zapominał. Pojawiała się w jego pamięci, kiedy rozmawiał z Sokołowem, kiedy żona

przekazywała mu od niej pozdrowienia. Wydawało się, że nie istniała poza tymi chwilami, kiedy ją widział albo mówił, jaka to miła kobieta. Niekiedy, chcąc podrażnić Ludmiłę, twierdził, że jej przyjaciółka nie czytała Puszkina i Turgieniewa.

Spacerował z nią w parku Nieskuczny i było mu przyjemnie na nią patrzeć. Podobało mu się, że rozumiała go tak łatwo, od razu, bezbłędnie, wzruszała go dziecięca uwaga, z jaką go słuchała. Kiedy się pożegnali, przestawał o niej myśleć. Potem wspomniął ją, idąc ulicą, i znowu zapomniał.

A teraz poczuł, że ciągle była przy nim, wydawało mu się tylko, że jej nie ma. Była przy nim nawet wtedy, kiedy o niej nie myślał. Nie widział jej, nie wspominał, a ona była z nim nadal. I chociaż o niej nie myślał, czuł, że jej obok nie ma; nie wiedział, że nawet nie myśląc o niej, stale jest zaniepokojony jej nieobecnością. A dziś, kiedy wyjątkowo głęboko rozumiał i siebie, i ludzi, którzy obok jego życia przeżywają swoje, wpatrując się w jej twarz, zrozumiał też, kim ona jest dla niego. Cieszył się, kiedy ją widział, cieszył się, że nieustanne, dręczące poczucie jej braku nagle znika. Czuje taką lekkość, bo ona jest z nim, a on nieświadomie przestaje cierpieć, że jej z nim nie ma. W ostatnim czasie zawsze czuł się samotny. Czuł swoją samotność, rozmawiając z córką, z przyjaciółmi, z Czepyżynem, z żoną. Ale wystarczyło, że zobaczył Marię Iwanownę, by uczucie samotności zniknęło.

To odkrycie wcale go nie zdziwiło, było naturalne i bezsporne. Jak mógł miesiąc temu, dwa miesiące temu, jeszcze w Kazaniu, nie rozumieć czegoś tak prostego i oczywistego? 713 No i, naturalnie, w dniu, kiedy szczególnie silnie odczuwał jej nieobecność, to uczucie wyrwało się z głębi duszy na powierzchnię i stało się przedmiotem jego myśli.

A ponieważ nie sposób było niczego przed nią ukrywać, od razu w przedpokoju oświadczył, patrząc na nią spod zmarszczonych brwi: - Cały czas myślałem, że jestem głodny jak wilk, i ciągle patrzyłem na drzwi, kiedy mnie zawołają na obiad. A tu okazuje się, że czekałem, kiedy zjawi się Maria Iwanowna.

Nic nie odpowiedziała, wydawało się, że nie dosłyszała jego słów, i zaraz weszła do pokoju.

Usiadła na kanapie obok Żeni, którą jej przedstawiono, i Wiktor Pawłowicz prznosił oczy z twarzy szwagierki na twarz Marii Iwanowny, potem na Ludmiłę.

Jak piękne były siostry! W tym dniu twarz Ludmiły Nikołajewny wydawała się szczególnie ładna. Ustąpiła z niej nawet surowość, która zawsze ją szpeciła. Duże jasne oczy patrzyły łagodnie, ze smutkiem.

Żenia poprawiła włosy, czując widocznie na sobie wzrok Marii Iwanowny, a ta powiedziała: - Proszę mi wybaczyć, Jewgienio Nikołajewno, ale nie wyobrażałam sobie, że kobieta może być tak piękna. Nigdy nie widziałam takiej twarzy jak pani.

Poczerwieniła po tych słowach.

- Niech pani, spojrzy, Maszeńko, na jej ręce, na palce - zachwalała Ludmiła Nikołajewna. - A szyja, a włosy? - I nozdrza, nozdrza - dodał Sztrum.

- Co to ja jestem kabardyńska klacz? - obruszyła się Żenia. - Dajcie już spokój.

- Kradzionej klaczy i plewy dobre - powiedział Sztrum i chociaż nie bardzo było wiadomo, co to ma znaczyć, wszyscy się roześmiali.

- A ty, Witia, jesteś głodny? - spytała Ludmiła Nikołajewna.

- Tak... Nie - odrzekł i zobaczył, jak Maria Iwanowna znowu się czerwieni. To znaczy, że słyszała to, co do niej mówił w przedpokoju.

Siedziała jak wróbelek, szara, szczuplutka, z włosami odczesanymi gładko, jak u nauczycielek ludowych, z niewysokiego, wypukłego czoła, w zacerowanej na łokciach bluzce z dzianiny. Każde słowo, które wypowiadała, wydawało się Sztrumowi pełne mądrości, delikatności, dobroci, każdy ruch wyrażał wdzięk, łagodność.

714 Nie mówiła nic o posiedzeniu rady, wypytywała o Nadię, poprosiła Ludmiłę Nikołajewną o Czarodziejską górę, pytała Żenię o Wierę i jej małego synka, o to, co pisze z Kazania Aleksandra Władimirowna.

Sztrum nie od razu się zorientował, że Maria Iwanowna znalazła najwłaściwsze tory dla rozmowy. Jak gdyby podkreślała, że nie istnieje siła zdolna przeszkodzić ludziom w pozostaniu ludźmi, że najpotężniejsze państwo nie ma wstępu pomiędzy ojców, dzieci, siostry, i że zachwycając się tego pamiętnego dnia ludźmi, których odwiedziła, wyraża tym samym to, że zwycięstwo daje im prawo mówienia nie o sprawach narzuconych z zewnątrz, ale o tych, którymi naprawdę żyją.

Jej intuicja była trafna, kiedy więc kobiety mówiły o Nadi i o dziecku Wiery, Sztrum siedział bez słowa. Czuł, że płomień, który się w nim zapalił, daje ciepło, nie chwieje się i nie gaśnie.

Wydawało mu się, że oczarowanie Marii Iwanowny ujęło Żenię.

Ludmiła Iwanowna poszła do kuchni, a Maria Iwanowna zerwała się, by jej pomóc.

- Co za uroczy człowiek - powiedział w zadumie Sztrum.

Żenia pogroziła mu żartobliwie: - Oj, Wićka, Wićka! Speszyła go ta niespodziewana forma - Wićką nie nazywano go już od dwudziestu lat.

- Pańcia zakochana jest w tobie po uszy - oświadczyła Żenia.

- Co za głupstwa - obruszył się. - I dlaczego pańcia? Pańci akurat w niej nie ma za grosz. Ludmiła nie przyjaźniła się nigdy z żadną kobietą, a z Marią Iwanowną przyjaźni się autentycznie.

- A ty? - spytała żartobliwie Żenia.

- Mówię poważnie - odparł.

Szwagierka, widząc, że jest na nią zły, patrzyła na niego z lekkim uśmiechem.

- Wiesz co, Żeniu? Niech cię lichy porwie! - Sztrum w końcu dał upust złości.

Akurat przyszła Nadia. Jeszcze w przedpokoju spytała szybko: - Tato poszedł się pokajać? Weszła do pokoju. Sztrum uściskał ją i ucałował. Jewgienia Nikołajewna z wilgotnymi ze wzruszenia oczami przyglądała się siostrzenicy.

- No, nie ma w niej ani kropli naszej słowiańskiej krwi - orzekła. Prawdziwa córka Izraela.

715 - Geny taty - odpowiedziała dziewczyna.

- Mam do ciebie słabość, Nadiu - wyznała Jewgienia Nikołajewna.

Jak babcia do Sierioży, tak ja - do ciebie.

- Nie szkodzi, tato, przeżyjemy cię - powiedziała Nadia.

- „My” to znaczy kto? - spytał Sztrum. - Ty i twój lejtnant? Umyj ręce po szkole.

- Z kim tam mama rozmawia? - Z Marią Iwanowną.

- Podoba ci się Maria Iwanowna? - chciała wiedzieć Jewgienia Nikołajewna.

- Według mnie, to najlepszy człowiek na świecie - odpowiedziała Nadia. - Mogłabym się z nią ożenić.

- Taki z niej anioł? - spytała kpiąco Jewgienia Nikołajewna.

- A tobie, ciociu Żeniu, się nie spodobała? - Nie lubię świętych, ich świętość zwykle kryje w sobie histerię - odrzekła Jewgienia Nikołajewna. - Wolę już zwyczajne megiery.

- Histerię? - powtórzył Sztrum.

- Wiktorze, przysięgam, nie mówię o niej, tylko w ogóle.

Nadia poszła do kuchni, a Jewgienia Nikołajewna zwróciła się do Sztruma: - Kiedy mieszkałam w Stalingradzie, Wiera miała lejtnanta. Teraz ma swojego Nadia. Cóż, pojawił się i zniknie! Tak łatwo giną! Witia, jakie to smutne.

- Żeniu, Genevieve - spytał Sztrum - naprawdę nie spodobała ci się Maria Iwanowna? - Nie wiem, nie wiem - odpowiedziała szybko Jewgienia Nikołajewna. - Są takie kobiety, niby to pokorne, niby ofiarne. Taka nie powie: „Śpię z facetem, bo mam na to ochotę”, tylko: „To mój obowiązek, było mi go żal, złożyłam siebie w ofierze”. Te baby sypiają z mężczyznami, schodzą się, rozchodzą dlatego, że tego chcą, ale mówią całkiem co innego: „Tak było trzeba, tak nakazuje obowiązek, sumienie, odmówiłam, poświęciłam się”. Tymczasem ani trochę się nie poświęciła, robiła, co chciała; a najgorsze jest, że one naprawdę wierzą w swoją ofiarność. Nie znoszę takich! Wiesz dlaczego? Bo często myślę, że sama taka jestem.

Przy obiedzie Maria Iwanowna zwróciła się do Żeni: - Jewgienio Nikołajewno, jeśli pani chce, mogę pójść z panią. Mam, niestety, doświadczenie w tych sprawach. No i razem zawsze raźniej.

716 Zmieszana Żenia odpowiedziała: - Nie, nie, bardzo dziękuję, te sprawy trzeba załatwiać samemu. Tego ciężaru nie sposób z nikim podzielić.

Ludmiła Nikołajewna z ukosa spojrzęła na siostrę i jakby wyjaśniając jej swoją szczerą wobec Marii Iwanowny, powiedziała: - Maszeńka wbiła sobie do głowy, że ci się nie spodobała.

Jewgienia Nikołajewna nie odezwała się.

- Tak, tak - potwierdziła Maria Iwanowna. - Czuję to. Ale proszę mi nie mieć za złe, że to powiedziałam. Przecież to głupstwa. Cóż ja mogę panią obchodzić? Ludmiła Nikołajewna niepotrzebnie się wygadała.

Wyszło tak, że się napraszam, bo chcę zmienić niekorzystne wrażenie.

A ja zaproponowałam tak po prostu, zwyczajnie. No i w ogóle...

Jewgienia Nikołajewna niespodziewanie dla samej siebie odpowiedziała całkiem

szczerze: - Ale co też pani mówi, kochana. Proszę mi wybaczyć, jestem teraz taka zdenerwowana. Pani jest dobrym człowiekiem.

Po czym szybko wstała i oświadczyła: - No, dzieci kochane, jak mówi nasza mama, na mnie czas! 27 Na ulicy było wielu przechodniów.

- Śpieszy się pani? - zapytał. - Może znowu pójdziemy do Nieskucznego? - Co pan, ludzie już wychodzą z pracy, a ja muszę zdążyć przed powrotem Piotra Ławrientjewicza.

Pomyślał, że zaprosi go, by wstąpił i poczekał, co też Sokołow opowie o przebiegu posiedzenia. Ale ona milczała, więc Sztrum uznał, że może Sokołow boi się z nim spotykać.

Przykro mu było, że śpieszyła się do domu, chociaż to było całkiem naturalne.

Mijali skwer niedaleko ulicy prowadzącej do monasteru Dońskiego.

Maria Iwanowna zatrzymała się nagle i powiedziała: - Posiedźmy tu chwilę, a potem wsiądę do trolejbusu.

Siedzieli bez słowa, ale czuł, że jest zdenerwowana. Przechyliwszy lekko głowę, patrzyła Sztrumowi w oczy.

717 Nadal nic nie mówili. Kobieta miała zaciśnięte usta, ale Sztrumowi wydawało się, że słyszy jej głos. Sytuacja była jasna, tak jasna, jakby już wszystko sobie powiedzieli. Co tu zresztą nowego mogły wniesić słowa? Wiedział, że dzieje się coś bardzo poważnego, że na jego życiu postawiono nową pieczęć, że czeka go ciężki okres. Nie chciał przynosić ludziom cierpień, wolał, żeby nikt nigdy nie dowiedział się o ich miłości, może więc lepiej będzie, żeby i oni sobie o niej nie mówili. A może...

Ale tego, co teraz czuli, swojego smutku i radości, nie mogli przed sobą ukryć, a to pociągało za sobą nieuniknione, burzące wszystko zmiany.

Wszystko to, co się działo, zależało od nich, i zarazem wydawało się, że jest losem, któremu już muszą się podporządkować. Bo też wszystko, co powstało między nimi, było czymś naturalnym, było prawdą, która nie zależała od nich, tak jak nie zależy od człowieka światło, i która nieuchronnie musi zrodzić kłamstwo, fałsz, okrucieństwo w stosunku do najbliższych. Tylko od nich dwojga natomiast zależało uniknięcie kłamstwa i okrucieństwa; wystarczyło wyrzec się naturalnego i jasnego światła.

Dla niego było oczywiste, że w tych chwilach na zawsze traci spokój duszy. Cokolwiek go czeka, już tego spokoju nie będzie. Czy ukryje uczucie do kobiety siedzącej obok niego, czy też wyrwie się ono na zewnątrz i stanie się jego nowym losem - on nie zazna spokoju. W nieustannej tęsknocie za nią czy też w bliskości połączonej z udręką sumienia - spokoju nie zazna.

A ona wciąż patrzyła na niego z jakimś niesamowitym wyrazem szczęścia i rozpaczy w oczach.

W starciu z olbrzymią i bezlitosną siłą nie ugiął się, wytrwał, a tutaj, na tej ławeczce - jakież był słaby, bezradny.

- Wiktorze Pawłowiczu - powiedziała - na mnie już czas. Piotr Ławrientjewicz czeka.



Wzięła go za rękę i dodała: - Już się więcej nie zobaczymy. Dałam Piotrowi Ławrientjewiczowi słowo, że się z panem nie spotkam.

Ogarnęła go panika, jakiej doświadczają ludzie umierający na serce.

Serce, którego bicie nie zależy od woli człowieka, zatrzymywało się; świat zaczynał się chwiać, przewracał się, ziemia i powietrze znikają.

- Dlaczego, Mario Iwanowno? - zapytał.

718 - Piotr Ławrientjewicz kazał mi przysiąc, że przestanę się z panem widywać. Dałam mu słowo. To z pewnością straszne, ale i on jest w strasznym stanie; choruje, boję się o jego życie.

- Masza - powiedział.

W jego głosie, w jego twarzy widać było niezachwianą siłę, jakby równą tej, z którą zderzył się w ostatnim czasie.

- Masza - powtórzył.

- Boże, przecież pan rozumie, widzi, że nic nie ukrywam, po co o tym wszystkim mówić? Nie mogę, nie mogę. Piotr Ławrientjewicz tyle przeszedł. Pan przecież sam wie. Niech pan sobie przypomni, co musiała wycierpieć Ludmiła Nikołajewna. To przecież niemożliwe.

- Tak, tak, nie mamy prawa - zgodził się.

- Kochany mój, mój biedaku, najdroższy - mówiła do niego.

Kapelusz spadł mu na ziemię, ludzie pewnie na nich patrzyli.

- Tak, tak, nie mamy prawa - powiedział znowu.

Całował jej ręce i kiedy trzymał w dłoni małe, zimne palce, wydało mu się, że niewzruszona siła jej decyzji, żeby się z nim nie widywać, łączy się ze słabością, pokorą, bezradnością...

Wstała z ławki i odeszła, nie oglądając się, a on siedział i myślał, że po raz pierwszy patrzył w oczy swojemu szczęściu, światłu swojego życia, i wszystko to od niego odeszło. Wydawało mu się, że ta kobieta, której palce przed chwilą całował, mogłaby zastąpić mu wszystko, czego w życiu pragnął, o czym marzył - i naukę, i sławę, i powszechne uznanie.

28 Nazajutrz po posiedzeniu rady naukowej zadzwonił do Sztruma Sawostjanow, spytał go, jak się czuje i czy Ludmiła Nikołajewna jest zdrowa.

Sztrum zapytał o przebieg posiedzenia, a Sawostjanow odpowiedział: - Wiktorze Pawłowiczu, nie chciałbym pana denerwować, ale okazuje się, że zer jest więcej, niż myślałem.

„Czyżby Sokołow zabrał głos?” - pomyślał Sztrum i spytał: - A rezolucję podjęto? 719 - Tak, i to ostrą. Uznać za nie do przyjęcia, prosić dyrekcję o rozpatrzenie sprawy dalszego...

- Rozumiem - powiedział Sztrum i stropił się, chociaż był przekonany, że właśnie taka rezolucja zostanie uchwalona.

„Nic złego nie zrobiłem - pomyślał - ale oczywiście mnie zamkną.

Tamci wiedzieli, że Krymow nie jest winny, a mimo to go wsadzili".

- Czy ktoś głosował przeciwko? - zapytał, a przewód telefoniczny doniósł do niego nieme zakłopotanie Sawostjanowa.

- Nie, Wiktorze Pawłowiczu, chyba jednogłośnie - brzmiała odpowiedź. - Bardzo pan sobie zaszkodził, nie przychodząc.

Sawostjanowa źle było słyszeć, widocznie dzwonił z automatu.

Tego dnia zatelefonowała też Anna Stiepanowna, która otrzymała już wypowiedzenie z pracy, nie przychodziła do instytutu i nie wiedziała nic o posiedzeniu. Zawiadomiła, że jedzie na dwa miesiące do siostry do Muromu, i zapraszała, żeby Sztrum ją tam odwiedził, czym go szczerze ujęła.

- Dziękuję, dziękuję - powiedział. - Jeśli już mam jechać do Muromu, to nie żeby się przewietrzyć, ale uczyć fizyki w liceum pedagogicznym.

- Boże mój, Wiktorze Pawłowiczu - zachnęła się Anna Stiepanowna dlaczego pan to zrobił, wszystko przeze mnie, jestem załamana. Czy byłam tego warta? Jego wzmiankę o liceum odebrała przypuszczalnie jako wymówkę pod swoim adresem. Jej głos też było źle słyszeć, widocznie również dzwoniła nie z domu, ale z budki.

„Czyżby Sokołow zabierał głos?” - zastanawiał się Sztrum.

Późnym wieczorem zadzwonił Czepyżyn. Tego dnia Sztrum, niczym ciężko chory, ożywał się tylko wtedy, gdy zaczynało mówić o jego chorobie. Widocznie Czepyżyn to wyczuł.

- Czyżby Sokołow zabrał głos, czy to możliwe? - pytał Sztrum Ludmiłę Nikołajewną, ale ona, oczywiście, podobnie jak on, nie miała pojęcia, czy Sokołow wypowiadał się na zebraniu.

Jakaś pajęczyna rozpostarła się między nim a bliskimi mu ludźmi Sawostjanow oczywiście bał się mówić o tym, co interesowało Wiktora Pawłowicza, nie chciał być jego informatorem. Prawdopodobnie myślał: „Kiedy Sztrum spotka ludzi z instytutu, powie: «Wiem już wszystko, Sawostjanow szczegółowo mi opowiedział»”.

720 Anna Stiepanowna była bardzo serdeczna, ale w jej sytuacji wypadało odwiedzić Sztruma w domu, a nie poprzestać na telefonie.

A Czepyżyn, myślał Sztrum, powinien był mu zaproponować pracę w Instytucie Astrofizyki albo choćby porozmawiać z nim na ten temat.

„Oni obrażają się na mnie, ja obrażam się na nich - lepiej, żeby już nie dzwonili” - uznał.

Ale jeszcze większy żal czuł do tych, którzy w ogóle się nie odezwali.

Cały dzień czekał na telefon od Guriewicza, Markowa, Pimienowa.

Potem rozżłościł się na mechaników i elektryków, pracujących przy montażu aparatury.

„To sukinsyny - myślał. - Oni, robotnicy, niczego już nie muszą się bać”.

Myśl o Sokołowie była dlań nie do zniesienia. Piotr Ławrientiewicz zakazał Marii Iwanownie się z nim kontaktować! Wybaczyć można wszystkim - starym znajomym,

współpracownikom, nawet krewnym.

Ale przyjacielowi! Myśl o Sokołowie budziła w Sztrumie taką złość, taki dojmujący żal, że trudno mu było wręcz oddychać. A równocześnie, myśląc o przyjacielu, który go zdradził, nieświadomie szukał usprawiedliwienia dla zdrady, jakiej się sam wobec niego dopuścił.

Ze zdenerwowania napisał do Szyszakowa absolutnie niepotrzebny list, że prosi, by dyrekcja instytutu powiadomiła go o swojej decyzji, z powodu choroby bowiem w najbliższych dniach nie będzie w stanie pracować w laboratorium.

Przez cały następny dzień nie było ani jednego telefonu.

„No cóż, tak czy owak mnie przymkną” - myślał Sztrum.

I myśl ta już go teraz nie dręczyła, ale jakby pocieszała. Tak chorzy pocieszają się myślą: „Choroba, nie choroba, każdy i tak musi umrzeć”.

Wiktor Pawłowicz powiedział do żony: - Jedyną osobą, która teraz przynosi nam nowiny, jest Żenia. Co prawda, są to nowiny z NKWD.

- Teraz jestem przekonana - powiedziała Ludmiła Nikołajewna - że Sokołow skrytykował cię na posiedzeniu rady naukowej. Inaczej nie umiem sobie wyjaśnić milczenia Marii Iwanowny. Wstydzi się dzwonić po czymś takim. Ale właściwie ja sama mogę do niej zadzwonić w ciągu dnia, kiedy on będzie w pracy.

- W żadnym wypadku! - wykrzyknął. - Słyszysz, Luda, w żadnym wypadku! 721 - A co mnie obchodzą twoje stosunki z Sokołowem? My z Maszą mamy swoje.

Nie mógł wytłumaczyć Ludmile, dlaczego nie powinna dzwonić do Marii Iwanowny. Robiło mu się wstyd na myśl, że żona mimo woli stanie się łączniczką między nim a Marią Iwanowną.

- Luda, nasz kontakt z ludźmi powinien teraz być tylko jednostronny.

Jeśli człowieka mają zamknąć, to jego żona może bywać tylko u tych, którzy ją zapraszają. Sama nie ma prawa powiedzieć: „Chciałabym do państwa wpaść”. To poniżające i dla niej, i dla męża. Oboje weszliśmy w nowy etap. Do nikogo już nie możemy napisać listu, co najwyżej odpowiadać. Nie możemy teraz dzwonić do nikogo, tylko podnosić słuchawkę, kiedy do nas dzwonią. Nie mamy prawa pierwi pozdrawiać znajomych, bo ci może nie chcą się z nami witać. A jeśli ktoś się ze mną przywita, nie mam prawa zaczynać rozmowy. Być może ten ktoś uznaje za dopuszczalne skinąć mi głową, ale rozmawiać ze mną już nie chce. Niech się odezwie, wtedy mu odpowiem. Należymy teraz do kasty niedotykalnych.

Umilkł.

- Na szczęście jednak dla niedotykalnych, istnieją wyjątki od tej reguły. Jest jedna, nie, są dwie osoby - nie mówię o bliskich, o twojej matce, o Żeni - które niedotykalni darzą ogromnym zaufaniem. Mogą, nie czekając na przyzwolenie, do nich dzwonić i pisać. Choćby do takiego Czepyżyna! - Masz rację, Witia, wszystko to prawda - powiedziała Ludmiła Nikołajewna, a jej słowa go zdziwiły. Już od dłuższego czasu nie przyznała mu racji w żadnej sprawie. - Ja też mam taką przyjaciółkę - Marię Iwanownę! - Luda! - zawołał. - Luda! Czy wiesz, że Maria Iwanowna dała Sokołowowi słowo, że więcej się z nami nie zobaczy? No już, dzwoń do niej teraz! No już, zadzwoń!

Podniósł słuchawkę i podał ją Ludmile Nikołajewnie.

A w tej samej chwili jakimś tam brzeżkiem zmysłów żywił nadzieję Ludmiła zadzwoni... i niechby chociaż ona usłyszała głos Marii Iwanowny.

Żona jednak powiedziała: - Aha, to tak - i odłożyła słuchawkę.

- Genevieve coś długo nie przychodzi - zauważył Sztrum. - Niestety nas jednoczy. Nigdy nie miałem dla niej tyle czułości co teraz.

722 Kiedy przyszła Nadia, Sztrum powiedział do córki: - Wiesz, rozmawialiśmy z mamą, ona ci wszystko szczegółowo przekaże. Teraz, kiedy stałem się postrachem, nie powinnaś chodzić do Postojewów, Guriewiczów i innych. Wszyscy ci ludzie widzą w tobie przede wszystkim moją córkę, rozumiesz, moją. Wiesz, kim dla nich jesteś? Członkiem mojej rodziny. Stanowczo proszę cię więc...

Wiedział z góry, co powie, jak zaprotestuje, oburzy się.

Nadia jednak podniosła rękę, przerywając mu w pół słowa: - Przecież wszystko to zrozumiałam, kiedy zobaczyłam, że nie poszedłeś na „radę niezbożnych”.

Patrzył na córkę zakłopotany, a potem żartem spytał: - Mam nadzieję, że na lejtnanta te sprawy nie wpłynęły.

- Oczywiście, że nie wpłynęły.

-No i? Wzruszyła ramionami.

- No i tyle. Sam wiesz.

Sztrum popatrzył na żonę i córkę, wyciągnął do nich ręce i wyszedł z pokoju.

W jego geście było tyle zagubienia, poczucia winy, słabości, wdzięczności, miłości, że obie długo stały, nie mówiąc ani słowa, nie patrząc na siebie.

29 Po raz pierwszy w ciągu wojny Darieński podążał drogą ofensywy, doganiał jadące na zachód jednostki pancerne.

W śniegu, w polu, wzdłuż dróg stały spalone i rozbite niemieckie czołgi, działa, tęponose włoskie ciężarówki, leżały ciała zabitych Niemców i Rumunów.

Śmierć i mróz zakonserwowały obraz klęski wrogich armii. Chaos, zagubienie, cierpienie - wszystko to zostało wciśnięte, wmrózone w śnieg, zachowując w swojej lodowej nieruchomości ostatnią rozpacz, ostatnie drgawki miotających się na drogach maszyn i ludzi.

Nawet ogień i dym wybuchających pocisków, nawet płomienie ognisk wyciskały na śniegu pieczęcie ciemnymi łatami, warstwami żółtego i brązowego lodu.

723 Na zachód szły wojska radzieckie, na wschód maszerowały tłumy jeńców.

Rumuni szli w zielonych szynelach, w wysokich barankowych czapkach. Najwyraźniej cierpieli od mrozu mniej niż Niemcy. Patrząc na nich, Darieński nie czuł, że to żołnierze rozbitej armii - szły tysiące zmęczonych i głodnych wieśniaków, ustrojonych w operetkowe czapy.

Z Rumunów śmiano się, ale patrzono na nich bez złości, z litościwym lekceważeniem. Potem zobaczył, że jeszcze mniej złości budzili Włosi.

Inne uczucia wywoływali Węgrzy, Finowie, a zwłaszcza Niemcy.

Niemieccy jeńcy wyglądali okropnie.

Szli z głowami i ramionami omotanymi strzępami kołder. Na nogach, powyżej butów, mieli kawałki worków albo szmaty, umocowane drutem i sznurkami.

Wielu miało uszy, nosy i policzki pokryte czarnymi plamami odmrożeń w stadium gangreny. Ciche pobrzękiwanie menażek wiszących przy pasach nasuwało myśl o kajdaniarzach.

Darieński patrzył na trupy, które z bezradnym bezwstydem obnażały swoje zapadłe brzuchy i organy płciowe, patrzył na rumiane od stepowego mroźnego wiatru twarze konwojentów.

Dziwnego, skomplikowanego uczucia doświadczał, patrząc na zmasakrowane niemieckie czołgi i ciężarówki w zaśnieżonym stepie, na obmarzniętych lodem nieboszczyków, na ludzi, którzy brnęli pod eskortą na wschód.

To był odwet.

Przypomniawszy sobie opowieści o tym, jak Niemcy wyśmiewali ubóstwo rosyjskich chat, ze zdumieniem i obrzydzeniem oglądali kołyski, piece, garnki, obrazki na ścianach, beczułki, malowane gliniane koguciki, cały ten ciepły, cudowny świat, w którym rodziły się i rosły dzieci, które uciekały przed niemieckimi czołgami.

Kierowca samochodu odezwał się w pewnej chwili: - Patrzcie, towarzyszu podpułkowniku! Czterech Niemców niosło kolegę na szynelu. Po ich twarzach i napiętych szyjach widać było, że wkrótce sami upadną. Rzuciło nimi z boku na bok. Szmaty, którymi byli poowijani, plątały im nogi, suchy śnieg walił ich po oszalałych oczach, odmrożone palce czepiały się z trudem brzegów płaszcza.

724 - Doigrały się fryce - powiedział kierowca.

- Nie myśmy ich zapraszali - rzekł ponuro Darieński.

A potem nagle zachłysnął się szczęściem - w śnieżnej mgle, po stepowych ugorach szły na zachód radzieckie czołgi - trzydziestkiczwórki, pełne złości, szybkie, muskularne...

Z włazów, wysunięci po pierś, spoglądali czołgiści w czarnych hełmach, w czarnych półkożuszkach. Pędzili przez bezkresny stepowy ocean, pozostawiając za sobą mętną śnieżną pianę. Duma i szczęście zapierały dech Darieńskiemu...

Zakuta w stal, groźna, pochmurna Rosja szła na zachód.

Przy wjeździe do wsi utworzył się zator. Darieński wysiadł z samochodu, minął stojące w dwóch rzędach ciężarówki, potem okryte brezentem katusze... Drogą prowadzącą do gościńca pędzono właśnie grupę jeńców. Pułkownik w papasze ze srebrzystych karakułów, jaką można było zdobyć albo dowodząc armią, albo przyjażniąc się z frontowym intendentem, wysiadł z samochodu osobowego i patrzył na jeńców. Konwojenci pokrzykiwali na nich, machając automatami: - Dalej, dalej, raźniej! Niewidoczna ściana oddzielała jeńców od kierowców ciężarówek i piechurów, zimno większe niż chłód stepowy przeszkadzało oczom zetknąć się z cudzymi oczami.

- Patrz, patrz na tego kundla! - zawołał ktoś ze śmiechem.

Drogą zbliżał się na czworakach niemiecki żołnierz.

Za nim włókł się kawałek kołdry z wyłazającymi kłakami waty. Żołnierz sunął pośpiesznie, niczym pies przebierając rękami i nogami, nie podnosząc głowy, jakby węchem wyczuwał ślad. Szedł wprost na pułkownika, a stojący obok kierowca ostrzegł: - Towarzyszu pułkowniku, ugryzie, jak Boga kocham, idzie prosto na was.

Pułkownik odstąpił na bok, a kiedy Niemiec się z nim zrównał, kopnął go. Nawet tego niezbyt silnego kopniaka wystarczyło, żeby przemóc ptasią siłę jeńca. Jego ręce i nogi rozleciały się na boki. Popatrzył z dołu na tego, który go kopnął: jak umierające zwierzę, nie miał w oczach ani wyrzutu, ani nawet cierpienia, tylko pokorę.

- Lezie, gówniany, zdobywca - rzekł pułkownik, wycierając but o śnieg.

Śmieszek przeleciał przez grupkę obserwujących tę scenę.

725 Darieński poczuł, że w oczach mu pociemniało i że już nie on, ale ktoś inny, kogo znał i zarazem nie znał, ktoś, kto się nie waha, kieruje jego postępowaniem.

- Rosjanie leżących nie kopią, towarzyszu pułkowniku - powiedział.

- A ja to co, nie Rosjanin? A kto niby? - spytał pułkownik.

- Łajdak - odparł Darieński i widząc, że pułkownik ruszył w jego stronę, zawołał, uprzedzając wybuch gniewu i groźby tamtego: - Moje nazwisko Darieński! Podpułkownik Darieński, inspektor wydziału operacyjnego sztabu Frontu Stalingradzkiego. To, co wam powiedziałem, mogę powtórzyć przed dowódcą frontu i przed sądem wojskowym.

Pułkownik rzekł do niego z nienawiścią: - Tak, pułkowniku Darieński, darować wam tego nie zamierzam i odszedł.

Kilku jeńców odciągnęło na bok leżącego i dziwne, w którąkolwiek stronę Darieński się odwrócił, jego wzrok napotykał wzrok zbitych w tłum jeńców, jakby coś ich przyciągało w jego stronę.

Powoli ruszył do samochodu.

- Znalazł się obrońca fryców! - usłyszał czyjąś drwiącą uwagę.

Wkrótce znowu jechał drogą, i znowu z naprzeciwka ciągnęły szare niemieckie i zielone rumuńskie tłumy jeńców.

Kierowca, z ukosa patrząc, jak Darieńskiemu drżą palce, kiedy zapala papierosa, powiedział: - Ja tam nie mam nad nimi litości. Mógłbym zastrzelić każdego.

- Dobra, dobra - odrzekł podpułkownik. - Trzeba było strzelać w czterdziestym pierwszym, kiedy zwiewałeś przed nimi tak jak ja, nawet się nie obejrzałeś.

Przez resztę drogi się nie odzywał.

Ale historia z jeńcem nie otworzyła jego serca na dobro. Jakby już zużył całą dobroć, jaka mu przysługiwała.

Jakaż otchłań leżała między tamtym stepem kałmuckim, którym jechał na Jaszkuł, a dzisiejszą drogą! Czy to on stał w piaszczystej mgłę, pod olbrzymim księżycem, patrzył na biegnących żołnierzy, na ruchliwe szyje wielbłądzie, i na tym ostatnim skrawku ziemi rosyjskiej z czułością w duszy myślał o wszystkich miłych

sercu, bezbronnych i ubogich ludziach? 726 3° Sztab korpusu pancernego mieścił się w chacie na skraju wsi. Darieński tam właśnie pojechał. Już się ściemniało. Sztab najwyraźniej przybył do wsi całkiem niedawno, bo tu i ówdzie krasnoarmiejcy zdejmowali z ciężarówek walizy, materace, telefoniści ciągnęli przewody.

Żołnierz z automatem, stojący na warcie, niechętnie wszedł do sieni i zawołał adiutanta. Ten tak samo niechętnie wyszedł na ganek i jak wszyscy adiutanci, wpatrując się nie w twarz, ale w naramienniki przybysza, oznajmił: - Towarzyszu podpułkownik, dowódca korpusu pancernego dopiero co wrócił z brygady i odpoczywa. Idźcie do oficera dyżurnego.

- Zameldujcie dowódcy korpusu: podpułkownik Darieński. Zrozumiano? - powiedział wyniośle przybysz.

Adiutant westchnął i wrócił do chaty.

Po chwili znów wyszedł i zawołał: - Proszę, towarzyszu podpułkowniku! Darieński wszedł na ganek, a na spotkanie mu wyszedł Nowikow.

Przez kilka chwil, uśmiechając się z zadowoleniem, przypatrywali się sobie.

- No to się spotkaliśmy - pierwszy powiedział Nowikow.

To było dobre spotkanie.

Dwie mądre głowy, tak jak kiedyś, pochyliły się nad mapą.

- Idę do przodu z taką szybkością, z jaką w swoim czasie dawałem drapaką - rzekł Nowikow. - A na tym odcinku szybkość drapaką przekroczyłem.

- Zima, zima - odparł Darieński. - A co pokaże lato? - Ja nie mam wątpliwości.

- Ja też.

Pokazywanie Darieńskiemu sytuacji na mapie było dla Nowikowa prawdziwą rozkoszą. Żywe zainteresowanie, zrozumienie szczegółów, które zdawały się widoczne tylko dla Nowikowa, problemy, które go nurtowały...

Zniżywszy głos, jakby czynił jakieś osobiste, intymne wyznanie, Nowikow powiedział: - I rozpoznanie pasa ruchu czołgów w natarciu, i skoordynowane użycie wszystkich metod wskazywania celów, i schemat punktów 727 orientacyjnych, i święty obowiązek współdziałania - w porządku, to wszystko jest oczywiste. Ale w pasie natarcia czołgów działania bojowe wszystkich rodzajów wojsk podporządkowane są tylko jednemu bogu właśnie czołgowi, naszej mądrali, trzydziestceczwórce! Darieński nie tylko dokładnie znał sytuację na południowym skrzydle Frontu Stalingradzkiego; od niego Nowikow dowiedział się o szczegółach operacji kaukaskiej, o treści przechwyconych rozmów między Hitlerem a Paulusem, poznał szczegóły ruchów grupy generała artylerii Frettera-Pico.

- To już Ukraina, widać przez okno - powiedział.

Pokazał jakiś punkt na mapie.

- Ale ja jestem chyba trochę bliżej niż inni. Tylko korpus Rodina się o mnie opiera.

Potem odsunął mapę i powiedział: - No dobra, wystarczy tej strategii i taktyki.

- U pana w sprawach osobistych wszystko po staremu? - spytał Darieński.
- Wszystko po nowemu.
- Czyżby się pan ożenił? - Czekam na nią, lada dzień powinna przyjechać.
- No i przepadł Kozak - rzekł Darieński. - Z całego serca gratuluję.

A u mnie ciągle - kawalerskie życie.

- No, a Bykow? - spytał nagle Nowikow.
- Co Bykow? Pojawił się u Watutina, w tym samym charakterze.
- Mocny jest, diabeł.
- Tak, twierdza.

Nowikow machnął ręką.

- No i pal go lichu! - Po czym zawołał w stronę sąsiedniego pokoju: Ej, Wierszkow, postanowiłeś nas chyba głodem zamorzyć. Komisarza też zaproś, zjemy razem.

Ale Gietmanowa nie trzeba było zapraszać, przyszedł sam. Stojąc w drzwiach, zafrasowanym głosem powiedział: - Cóż to, Piotrze Pawłowiczu, podobno Rodin wyrwał się do przodu? Zobaczysz, wskoczy na Ukrainę wcześniej niż my - po czym, zwracając się do Darieńskiego, dodał: - Takie czasy teraz, podpułkowniku.

Sąsiadów boimy się bardziej niż nieprzyjaciela. Wyście czasem nie sąsiad? Nie, nie, jasne, stary przyjaciel frontowy.

728 - Widzę, że całkiem pochłonęła cię kwestia ukraińska - zauważył Nowikow.

Gietmanow przysunął do siebie puszkę z konserwą i niby to groźnie ostrzegł: - Dobrze, ale pamiętaj, Piotrze Pawłowiczu, przyjedzie twoja Jewgienia Nikołajewna, to udzieli wam ślubu tylko na ziemi ukraińskiej.

Podpułkownika biorę na świadka.

Podniósł kieliszek i wskazując Nowikowa, zaproponował: - Towarzyszu podpułkowniku, wypijmy za jego rosyjskie serce.

Wzruszony Darieński rzekł: - Dobrzeście to powiedzieli.

Nowikow, pamiętając niechęć Darieńskiego do komisarzy, powiedział: - Tak, towarzyszu podpułkowniku, dawno się nie widzieliśmy.

Gietmanow obrzucił stół wzrokiem i stwierdził: - Nie ma czym przyjąć gości, same konserwy. Kucharz nie zdąży pieca rozpalić, a już trzeba zmieniać punkt dowodzenia. Dniem i nocą w ruchu. Trzeba było przyjechać do nas przed ofensywą. A teraz - godzina postoju, doba pościgu. Samych siebie ścigamy.

- Dałbyś chociaż jeszcze jeden widelec - upomniał Nowikow adiutanta.
- Nie kazaliście zdejmować naczyń z ciężarówki - usprawiedliwił się tamten.

Gietmanow zaczął opowiadać o swoim objeździe wyzwolonych terenów.

- Rosjanie i Kałmucy - mówił - to jak dzień i noc. Kałmucy dęli w niemiecką dudkę. Fryce dali im jakieś zielone mundury, żeby węszyli po stepach, wyławiali



naszych ludzi. A przecież ile dała im władza radziecka! To był kraj obszarpanych koczowników, syfilityków, analfabetów.

Tak to jest - wilka możesz długo karmić, ale zawsze go ciągnie do lasu.

W czasie wojny domowej też prawie wszyscy byli po stronie białych...

A ile forsy wywaliliśmy na te różne święta, rocznice, przyjaźń między narodami. Za te pieniądze lepiej było zbudować fabrykę czołgów na Syberii. Pewna kobieta, młoda dońska Kozaczka, opowiadała mi, jakiego strachu się najadła. Nie, nie, Kałmucy oszukali rosyjskie, radzieckie serce. Tak właśnie napiszę w swoim raporcie dla rady wojennej.

Zwrócił się do Nowikowa: 729 - A pamiętasz, jak się sprzeciwiałem w sprawie Basangowa? Partyjna czujność mnie nie zawiodła. Ale nie obrażaj się, Piotrze Pawłowiczu, nie mówię tego, żeby ci robić wymówki. Myślisz, że mało razy w życiu się myliłem? Problemy narodowościowe to, rozumiesz, poważna sprawa. Będzie miała decydujące znaczenie, praktyka wojenna to wykazała. Dla bolszewików najważniejszym nauczycielem jest wicie kto? Praktyka.

- Co do Kałmuków, zgadzam się z wami - rzekł Darieński. - Niedawno byłem w stepach kałmuckich, tłukłem się po tych wszystkich Kietczenerach i Szebenerach.

Dlaczego to powiedział? Wiele jeździł po Kałmucji i ani razu nie czuł niechęci do Kałmuków, tylko szczerą ciekawość ich życia i obyczajów.

Komisarz korpusu posiadał widać jakąś niesamowitą, magnetyczną siłę. Darieński miał ochotę cały czas się z nim zgadzać.

A Nowikow, uśmiechając się, patrzył na niego. On już dobrze znał tę siłę przyciągania komisarza; wiedział, jak człowieka ciągnie, żeby mu potakiwać.

Niespodziewanie Gietmanow powiedział do Darieńskiego: - Ja wiem, że jesteście z tych, których w swoim czasie potraktowano niesprawiedliwie. Ale nie gniewajcie się na partię bolszewików, ona przecież chce dobrze dla narodu.

A Darieński, który zawsze uważał, że komisarze i polityczni są w wojsku wyłącznie od robienia bałaganu, teraz zaprotestował: - No co też mówicie, czy mnie trzeba takie rzeczy tłumaczyć! - Tak, tak - ciągnął Gietmanow - z tym i z owym narobiliśmy bigosu, ale naród nam wybaczy. Wybaczy! Przecież nie jesteśmy z gruntu źli.

Dobrzy jesteście, prawda? Nowikow popatrzył na siedzących i spytał uprzejmie: - Dobrego mamy w korpusie komisarza? - Dobrego - potwierdził Darieński.

- No właśnie - rzekł Gietmanow i wszyscy trzej się roześmiali.

Jakby odgadując życzenie Nowikowa i Darieńskiego, Gietmanow popatrzył na zegarek.

- Pójdę odpocząć, bo jedziemy dniem i nocą; przynajmniej dzisiaj wyśpię się do rana. Od dziesięciu dni nie zdejmowałem butów, jak Cygan. Szef sztabu pewnie śpi? 730 - Gdzie tam śpi - odpowiedział Nowikow. - Od razu pojechał na nowe miejsce, od rana przecież przenosimy bazę.

Kiedy zostali sami z Nowikowem, Darieński powiedział: - Piotrze Pawłowiczu,

całe życie jednej rzeczy nie mogłem zrozumieć.

Niedawno byłem w szczególnie ciężkiej sytuacji, w piachach kaspijskich, wydawało się, że już zbliża się koniec. A co teraz? Umieliśmy zorganizować taką siłę. Taką potęgę! Wobec niej wszystko jest guzik warte.

Nowikow odrzekł: - A ja coraz lepiej, coraz wyraźniej widzę, co znaczy Rosjanin! Dzielni z nas wojacy, silni! - Siła! - powiedział Darieński. - I co najważniejsze: Rosjanie pod kierownictwem bolszewików staną na czele ludzkości, a cała reszta to liliputy.

- Jak pan chce - zaproponował Nowikow - to znowu postawię sprawę pańskiego przejścia? Poszedłby pan do korpusu jako zastępca szefa sztabu. Powalczymy razem, co? - Cóż, dzięki. A kogo mam zastępować? - Generała Nieudobnowa. To zgodne z regułami: podpułkownik zastępcą generała.

- Nieudobnow? Czy on nie był przed wojną za granicą? We Włoszech? - Tak jest. Ten sam. Żaden z niego Suworow, ale pracować z nim się da.

Darieński milczał. Nowikow popatrzył na niego.

- No jak, załatwiamy sprawę? - spytał.

Darieński uniósł palcem wargę i trochę odciągnął ją w bok.

- Widzi pan te korony? - zapytał. - To Nieudobnow w trzydziestym siódmym roku wybił mi dwa zęby na przesłuchaniu.

Spojrzeni po sobie, milczeli przez chwilę i znowu popatrzyli na siebie.

Darieński przerwał milczenie: - Oczywiście, na stanowisko pewnie się nadaje.

- Jasne, jasne, zawsze Rosjanin, a nie jakiś Kałmuk- rzekł Nowikow, uśmiechając się, i nagle krzyknął: - Wypijmy lepiej, to już będzie naprawdę po rosyjsku! Darieński po raz pierwszy w życiu pił tyle wódki, ale gdyby nie stojące na stole dwie puste butelki, nikt postronny by nie poznał, że ci dwaj dużo wypili. Chyba po tym, że zaczęli mówić sobie „ty”.

731 Nowikow kolejny raz napełnił szklanki i powiedział: - Dalej, bez przystanków.

Niepijący Darieński nie zrobił przystanku.

Mówili o odwrocie, o pierwszych dniach wojny. Wspomnieli Bliichera i Tuchaczewskiego. Porozmawiali o Żukowie. Darieński wyjaśnił, czego chciał od niego śledczy na przesłuchaniu.

Nowikow opowiedział, jak przed początkiem ofensywy wstrzymał na kilka minut wymarsz korpusu. Nie mówił tylko, jak się pomylił, przewidując zachowanie dowódców brygad. Zaczęli rozmawiać o Niemcach; Nowikow opowiedział, że lato czterdziestego pierwszego roku, zdawałoby się, zahartowało go na zawsze, uczyniło bezwzględny, ale kiedy popędzili pierwszych jeńców, kazał ich lepiej karmić, a rannych i tych z odmrożeniami wieźć ciężarówkami na tyły.

Darieński powiedział: - Klęliśmy tu Kałmuków z twoim komisarzem. Czy słusznie? Szkoda, że nie ma Nieudobnowa. Chętnie bym sobie z nim pogadał, och, już ja bym z nim pogadał.

- A czy to mało ludzi spod Orła czy Kurska zwąchało się z Niemcami? - rzekł Nowikow. - Generał Własow chyba nie jest Kałmukiem.

A mój Basangow to dobry żołnierz. Nieudobnow jest czekistą, komisarz opowiadał mi o nim. Żaden z niego żołnierz. My, Rosjanie, zwyciężymy; wiem, że dojdę do Berlina, Niemcy nas już nie zatrzymają.

Darieński oświadczył: - Nieudobnow, Jeżow, tamte wszystkie rzeczy, cóż... Rosja jest teraz jedna - radziecka. I wiem, że choćby mi wszystkie zęby wybili, moja miłość do Rosji się nie zachwieje. Będę ją kochał do ostatniego tchu. Ale zastępcą tego skurwysyna nie zostanę, nie żartujcie, towarzysze! Nowikow nalał wódki do szklanek.

- Dalej, nie rób przerw.

Potem powiedział: - Wiem, że jeszcze różne rzeczy będą się działy. Ja też jeszcze będę zły.

Zmieniając temat, powiedział nagle: - Oj, paskudną mieliśmy tu sprawę. Czołgiście urwało głowę, a ten, choć już nie żył, nadal cisnął na gaz. Czołg jechał i jechał, ciągle naprzód.

732 Darieński mówił: - Klęliśmy tu z twoim komisarzem Kałmuków, a mnie do dzisiaj nie może wyjść z głowy jeden stary Kałmuk. Ile Nieudobnow ma lat? Może pojechać na wasze nowe miejsce, zobaczyć się z nim? Nowikow powoli, z trudem obracając językiem, powiedział: - Spotkało mnie szczęście. Nie ma większego szczęścia.

Wyjął z kieszeni zdjęcie, podał je Darieńskiemu. Ten długo patrzył bez słowa i w końcu powiedział: - Piękna, co tu gadać.

- Piękna? - powtórzył Nowikow. - Piękno to głupstwo, rozumiesz, za urodę tak się nie kocha, jak ja ją kocham.

W drzwiach pojawił się Wierszkow, stał, patrząc pytającym wzrokiem na dowódcę korpusu.

- Poszedł precz - powoli rzekł Nowikow.

- No, co ty jego tak? Chciał się tylko dowiedzieć, czy nam czegoś nie potrzeba - zaprotestował Darieński.

- Dobra, dobra, będę jeszcze zły, będę chamem; nie bój się, potrafię, tego mnie uczyć nie trzeba. A ty dlaczego mówisz mi „ty”, skoro jesteś podpułkownikiem? Czy to zgodne z regulaminem? - Aha, o to ci chodzi? - rzekł Darieński.

- Daj spokój, na żartach się nie znasz - powiedział Nowikow i pomyślał: „Jak to dobrze, że Żenia nie widzi mnie pijanego!” - Na głupich żartach - nie - odpalił Darieński.

Długo się spierali i ustalili wreszcie, że pojedą na nowe miejsce dyslokacji i spiorą Nieudobnowa wyciorami. Oczywiście, nigdzie nie pojechali, tylko pili dalej.

31 Aleksandra Władimirowna dostała trzy listy jednego dnia - dwa od córek i jeden od wnuczki Wiery.

Jeszcze ich nie otworzyła. Po charakterze pisma poznała, od kogo są, ale wiedziała, że wesołych nowin tam nie będzie. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało

jej, że dzieci nie piszą listów, żeby podzielić się z matką radością.

733 Wszystkie trzy chciały, żeby do nich przyjechała - Ludmiła zapraszała do Moskwy, Żenia do Kujbyszewa, Wiera do Lenińska. To zaproszenie dowodziło, że córkom i wnuczce żyje się ciężko.

Wiera pisała o ojcu, którego całkiem wykończyły przykrości w partii i w pracy. Przed kilku dniami wrócił do Lenińska z Kujbyszewa, dokąd jeździł na wezwanie komisariatu ludowego. Wiera pisała, że ta podróż wymęczyła ojca bardziej niż praca w StałGRES-ie w czasie walk. Sprawy Stiepana Fiodorowicza w Kujbyszewie w końcu nie rozstrzygnięto, kazano mu wrócić i pracować nad ponownym uruchomieniem elektrowni, ale uprzedzono, że może się już nie znaleźć w kadrze kierowniczej.

Wiera zamierzała przenieść się razem z ojcem z Lenińska do Stalingradu. Teraz Niemcy już tam nie strzelają, chociaż centrum miasta nie jest jeszcze wolne. Ludzie, którzy byli w mieście, mówią, że z domu Aleksandry Władimirowny zostały same ściany, dach się zawalił. A dyrektorskie mieszkanie Spiridonowa w StałGRES-ie ocalało, tylko tynk się osypał i wyleciały szyby. W nim właśnie zamieszkali Stiepan Fiodorowicz i Wiera z synem.

Wiera pisała o synu, Aleksandrze Władimirownie zaś dziwnie było czytać o tym, że dziewczynka, wnuczka Wiera, tak po dorosłemu, po kobiecemu, po babsku wręcz pisze o chorym brzuszku dziecka, o niespokojnym śnie, o zakłóconej przemianie materii. O tym wszystkim powinna Wiera pisać do męża, do matki, a ona pisała do babci. Nie było męża, nie było matki.

Wiera pisała o Andriejewie, o jego synowej Nataszy, pisała o cioci Żeni, z którą Stiepan Fiodorowicz widział się w Kujbyszewie. O sobie nie pisała, jakby jej życie nie było ważne dla Aleksandry Fiodorowny.

A na marginesie ostatniej strony dopisała: „Babciu, mieszkanie w StałGRES-ie jest duże, starczy miejsca dla wszystkich. Błagam cię, przyjeźdź”. I w tym niespodziewanym okrzyku zawierało się wszystko, czego Wiera nie zamieściła w liście.

List Ludmiły był krótki. Pisała: „Nie widzę sensu w swoim życiu Toli nie ma, a Witi i Nadi nie jestem potrzebna, dadzą sobie radę beze mnie”.

Ludmiła nigdy nie wysyłała do matki takich listów. Aleksandra Władimirowna rozumiała, że stosunki córki z mężem popsuły się na dobre. Zapraszając matkę do Moskwy, Ludmiła pisała: „Witia cały czas 734 ma przykrości, a o swoich przeżyciach chętniej rozmawia z Tobą niż ze mną”.

Dalej następowała informacja: „Nadia zrobiła się skryta, nie rozmawia ze mną o swoim życiu. Taki styl zapanował teraz w naszej rodzinie...” Z listu Żeni nie sposób było nic zrozumieć, cały składał się z aluzji do jakichś wielkich kłótni i nieszczęść. Prosiła matkę, żeby przyjechała do Kujbyszewa, i równocześnie zawiadamiała, że musi pilnie jechać do Moskwy. Pisała matce o Limonowie, który wygłasza peany na cześć Aleksandry Władimirowny. Pisała, że Aleksandrze Władimirownie miło będzie spotkać się z Limonowem, że to inteligentny, ciekawy człowiek, ale z tego samego listu wynikało, że Limonow wyjechał do Samarkandy.

Trudno było dociec, w jaki sposób miałyby się z nim spotkać, gdyby przyjechała do Kujbyszewa.

Jasne było tylko jedno, więc matka, kiedy dostała list, pomyślała: „Biedna moja dziewczynka”.

Listy zdenerwowały Aleksandrę Władimirownę. Wszystkie trzy zawierały pytanie o jej zdrowie i czy ma ciepło w pokoju.

Ta troska wzruszała, chociaż wiadomo było, że młode nie myślały o tym, czy Aleksandra Władimirowna ich potrzebuje.

To one jej potrzebowały.

A przecież mogło być inaczej. Dlaczego nie ona prosiła córki o pomoc, ale one prosiły ją? W końcu była już całkiem sama, stara, bezdomna, straciła syna, córkę, nic nie wiedziała o Sierioży.

Praca przychodziła jej z coraz większym trudem, ciągle bolało ją serce, kręciło jej się w głowie.

Poprosiła nawet kierownika technicznego, żeby przeniósł ją z produkcji do laboratorium, bo już zbyt ciężkie było dla niej chodzenie przez cały dzień od urządzenia do urządzenia i pobieranie próbek kontrolnych.

Po pracy stała w kolejkach po żywność, potem szła do domu, paliła w piecu, szykowała obiad.

A życie było takie surowe, takie ubogie! Stanie w kolejkach nie było jeszcze najgorsze. Gorzej, kiedy nie stała w kolejce, bo sklep był pusty. A potem przychodziła do domu, nie paliła w piecu, nie szykowała obiadu, tylko kładła się głodna do wilgotnego, zimnego łóżka.

735 Wszystkim dookoła było bardzo ciężko. Lekarka wywieziona z Leningradu opowiadała, jak z dwojgiem dzieci przeżyła zimę na wsi, o sto kilometrów od Ufy. Mieszkała w pustej chacie po kułakach, z wybitymi szybami, z rozebrany dachem. Do pracy miała przeszło sześć kilometrów i niekiedy o świcie widywała zielone wilcze ślepie między drzewami. We wsi była nędza, kołchoźnicy pracowali niechętnie, mówili, że choćby człowiek nie wiem jak pracował, to i tak mu zboże odbiorą, kołchoz nie wykonywał bowiem planu dostaw. Mąż sąsiadki poszedł na wojnę, a ona mieszkała z szóstką głodnych dzieci, na wszystkie miała jedną parę podartych walonków. Lekarka opowiedziała Aleksandrze Władimirownie, że kupiła kozę i nocami, w głębokim śniegu, chodziła na odległe pole kraść grykę, wykopywała spod śniegu nieuprzątnięte, zgniłe stogi. Mówiła, że jej dzieci nasłuchiwały się ordynarnych, pełnych złości rozmów na wsi i nauczyły się wulgarnych słów, tak że nauczycielka w Kazaniu powiedziała jej: „Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby dzieci w pierwszej klasie przeklinały jak pijacy, a państwo są w dodatku z Leningradu”.

Aleksandra Władimirowna mieszkała teraz w pokoiku, który kiedyś zajmował Wiktor Pawłowicz. W dużym, przechodnim pokoju rozlokowali się właściciele mieszkania, główni najemcy, którzy przed wyjazdem Sztrumów mieszkali w przybudówce. Gospodarze byli rozdrażnieni, często kłócili się o drobiazgi.

Aleksandra Władimirowna miała im za złe nie hałasy, nie kłótnie, ale to, że od niej, pogorzelnicy, brali bardzo drogo za mikroskopijny pokoik - dwieście rubli miesięcznie, ponad trzecią część jej pensji.

Zdawało się, że serca mają z dykty i blachy. Myśleli tylko o jedzeniu, o

rzeczach. Od rana do wieczora rozmawiali o oleju, słoninie, kartoflach, o starzyźnie kupowanej i sprzedawanej na bazarze. Nocami słyhać było u nich jakieś szepty. Nina Matwiejewna, gospodyni, opowiadała mężowi, że sąsiad z domu, mistrz w fabryce, przywiózł ze wsi worek nasion słonecznikowych i pół worka łuskanej kukurydzy, że na bazarze widziała dzisiaj tani miód.

Gospodyni była ładna: wysoka, postawna, miała szare oczy. Przed wyjściem za mąż pracowała w fabryce, po pracy śpiewała w chórze zakładowym, grywała w kółku dramatycznym. Siemion Iwanowicz był zatrudniony w zakładach zbrojeniowych jako młotnik. Kiedyś, w młodości, służył w eskadrze stawiaczy min, był mistrzem bokser736 skim Floty Pacyfiku w wadze półciężkiej. Teraz ta odległa przeszłość głównych najemców wydawała się niewiarygodna - rano, przed pracą, Siemion Iwanowicz karmił kaczkę, gotował zupę dla prosiaka, po pracy krzątał się w kuchni, oczyszczał kaszę, naprawiał buty, ostrzył noże, mył butelki, opowiadał o kierowcach z fabryki, którzy z odległych kołchozów przywozili mąkę, jaja, kozie mięso... A Nina Matwiejewna, przerywając mu, mówiła o swoich niezliczonych chorobach, a także o prywatnych wizytach u sławnych lekarzy, opowiadała o ręczniku wymienionym na fasolę, o sąsiadce, która od ewakuowanej kobiety kupiła kurtkę ze żrebaków i pięć talerzyków od serwisu, o smalcu i margarynie.

Nie byli to źli ludzie, ale ani razu nie zagadnęli Aleksandry Władimirowny o wojnę, Stalingrad, nie rozmawiali z nią o komunikatach Sowinformbiura.

Żałowali Aleksandry Władimirowny i zarazem gardzili nią, bo po wyjeździe córki otrzymującej akademicki przydział nie dojadła. Brakowało jej cukru, masła, piła czysty wrzątek, żywiła się w ogólnej stołówce, gdzie dawano taką zupę, że kiedyś nawet prosię nie chciało jej jeść.

Nie miała za co kupić drewna na opał. Nie miała rzeczy na sprzedaż. Jej nędza sprawiała kłopot gospodarzom. Któregoś wieczoru Aleksandra Władimirowna słyszała, jak Nina Matwiejewna mówi do Siemiona Iwanowicza: „Musiałam wczoraj dać starej placka, głupio tak jeść przy niej, siedzi głodna i patrzy”.

W nocy Aleksandra Władimirowna źle spała. Dlaczego nie ma wieści od Sierioży? Leżała na żelaznym łóżku, na którym przedtem sypiała Ludmiła, i wydawało jej się, że nocne przeczucia i myśli córki przeszły na nią.

Jak łatwo śmierć niszczyła ludzi. Jak ciężko jest tym, którzy zostali wśród żywych. Myślała o Wierze. Ojciec jej dziecka zapomniał o niej albo zginął, Stiepan Fiodorowicz smuci się, przybity kłopotami... Straty, nieszczęścia nie zbliżyły, nie zjednoczyły Ludmiły z Wiktorem.

Wieczorem Aleksandra Władimirowna napisała list do Żeni: „Kochana moja córko...” A nocą ogarnęła ją litość nad nią - biedna dziewczynka, w jakim zamęcie żyje, co ją jeszcze czeka...

Ania Sztrum, Sonia Lewinton, Sierioża... Jak to było u Czechowa? Chyba: „Misiu, gdzie jesteś?” A obok półgłosem rozmawiali gospodarze mieszkania.

737 - Trza będzie kaczkę zarznąć na rewolucję - powiedział Siemion Iwanowicz.

- To po to chowam kaczkę na kartoflach, żeby ją zarzynać? - oponowała Nina Matwiejewna. - Wiesz, kiedy stara wyjedzie, chcę pomalować podłogi, bo mi deski

pogniją.

Zawsze mówili o przedmiotach i jedzeniu, świat, w którym żyli, był pełen przedmiotów. Nie było w nim ludzkich uczuć, tylko deski, farba, kasza, banknoty. Byli ludźmi pracowitymi i uczciwymi, wszyscy sąsiedzi mówili, że Nina i Siemion Iwanowicz w życiu nie ruszyliby cudzej kopiejki. Ale nie obchodził ich głód na Powołżu w 1921 roku, ranni w szpitalach, niewidomi inwalidzi, bezdomne dzieci na ulicach.

Byli rażącym przeciwieństwem Aleksandry Władimirowny. Ich obojętny stosunek do ludzi, do spraw ogółu, do cudzego cierpienia był absolutnie naturalny. A ona umiała myśleć o obcych i martwić się o nich, cieszyć się lub wpadać w złość z powodu tego, co nie miało związku ani z jej życiem, ani z życiem jej bliskich... Epoka powszechnej kolektywizacji, rok trzydziesty siódmy, los kobiet, które trafiły do obozów jako żony represjonowanych, los ich dzieci, które zabrano do domów dziecka... Postępowanie Niemców z jeńcami, wojenne nieszczęścia i porażki, wszystko to dręczyło ją, pozbawiało spokoju tak samo, jak nieszczęścia we własnej rodzinie.

Nie nauczyły jej tego ani piękne książki, które czytała, ani narodowolskie tradycje rodziny, w której wyrosła, ani życie, ani przyjaciele, ani mąż. Po prostu taka była i inna być nie mogła. Nie miała pieniędzy, do wypłaty pozostało sześć dni. Była głodna, cały jej majątek zmieściłby się w chustce do nosa. Ale ani razu, mieszkając w Kazaniu, nie pomyślała o rzeczach, które spłonęły w stalingradzkim mieszkaniu, o meblach, o pianinie, o serwisie do herbaty, o łyżkach i widelcach, które wtedy przepadły. Nie żałowała nawet spalonych książek.

Widziała więc coś dziwnego w tym, że obecnie, z dala od bliskich, którzy jej potrzebowali, mieszkała pod jednym dachem z ludźmi, których wyłącznie materialne życie było jej absolutnie obce.

Trzy dni po tym, jak Aleksandra Władimirowna otrzymała listy, odwiedził ją Karimow.

Ucieszyła się, zaproponowała, żeby wypić razem herbaty z głogu.

- Jak dawno miała pani list z Moskwy? - zapytał gość.

- Trzy dni temu.

738 - Aha - powiedział i uśmiechnął się. - Ciekawe, jak długo idą listy z Moskwy? - Niech pan zobaczy datę stempla na kopercie.

Karimow zaczął oglądać kopertę i powiedział, zatroskany: - List szedł aż dziewięć dni.

Zamyślił się, jakby powolne działanie poczty miało dla niego jakieś szczególne znaczenie.

- Podobno to z powodu cenzury - powiedziała Aleksandra Władimirowna. - Cenzura nie radzi sobie z nawałą listów.

- To znaczy, że wszystko tam u nich w porządku, żadnych kłopotów? - Źle pan wygląda - zauważyła Aleksandra Władimirowna. - Jakoś niezdrowo.

Pośpiesznie, jakby odrzucając oskarżenie, zaprzeczył: - Co też pani! Przeciwnie! Zaczęli mówić o wydarzeniach na froncie.

- Już nawet dzieci wiedzą, że w wojnie nastąpił zasadniczy przełom rzekł Karimow.

- Tak, tak... - Aleksandra Władimirowna uśmiechnęła się. - Teraz dzieci wiedzą, a zeszłego lata wszyscy mędrcy przepowiadali, że Niemcy zwyciężą.

Karimow zapytał nagle: - Pani pewnie trudno tak samej? Widzę, że w piecu pani sama pali.

Zamyśliła się, zmarszczyła czoło, jakby pytanie Karimowa było bardzo skomplikowane i nie dawało się od razu na nie odpowiedzieć.

- Achmecie Usmanowiczu, czy przyszedł pan po to, żeby zapytać, jak mi się pali w piecu? Pokręcił głową, potem długo milczał, przyglądając się swoim dłoniom, leżącym na stole.

- W tych dniach mnie wzywano, wypytywano o tamte nasze spotkania i rozmowy.

- To czemu pan nic nie mówi? Po co zaczyna pan od pieca? Pochwyciwszy jej spojrzenie, Karimow powiedział: - Oczywiście, nie mogłem zaprzeczyć, że rozmawialiśmy o wojnie, o polityce. Przecież śmieszne byłoby zapewnianie, że czterech dorosłych mężczyzn rozmawiało wyłącznie o kinie. No więc, naturalnie, powiedziałem, że o czymkolwiek mówiliśmy, mówiliśmy jak radzieccy patrioci. Wszyscy byliśmy zdania, że pod kierownictwem partii i towa739 rżysza Stalina naród odniesie zwycięstwo. W ogóle muszę przyznać, że ton pytań nie był wrogi. Ale minęło kilka dni, a zacząłem się denerwować, w ogóle nie mogę spać. Nabrałem przekonania, że musiało się coś stać z Wiktorem Pawłowiczem. A tu jeszcze z Madjarowem dziwna historia.

Pojechał na dziesięć dni do Kujbyszewa, na uczelnię pedagogiczną. Tutaj studenci czekają, a jego nie ma; dziekan wysłał depezę do Kujbyszewa i nic, żadnej odpowiedzi. Leży człowiek nocą i myśli tylko o tym.

Aleksandra Władimirowna milczała.

Karimow dodał cicho: - Pomyśleć tylko: wystarczy, żeby ludzie porozmawiali przy szklance herbaty, a ci od razu - podejrzenia, wezwania.

Aleksandra Władimirowna nie wydała z siebie słowa, więc spojrzał na nią pytająco, jakby zachęcając ją, by się odezwała, bo przecież wszystko już powiedział. Aleksandra Władimirowna jednak nadal milczała, a Karimow wiedział, że swoim milczeniem daje mu do zrozumienia: nieprawda, nie powiedział wszystkiego.

- Tak to wygląda.

Aleksandra Władimirowna milczała.

- Aha, byłbym zapomniał - dodał. - Ten towarzysz pytał jeszcze: „A o wolności prasy rozmawialiście?” Istotnie, była o tym mowa. Tak.

i co więcej, zainteresowali się nagle, czy znam młodszą siostrę Ludmiły Nikołajewny i jej byłego męża, nazwisko, zdaje się, Krymow? Nigdy ic nie widziałem, Wiktor Pawłowicz ani razu ze mną o nich nie rozmawiał. Tak właśnie odpowiedziałem. I jeszcze padło takie pytanie: „Czy ze mną osobiście Wiktor Pawłowicz nie rozmawiał o sytuacji Żydów? Zdziwiłem się: „Dlaczego ze mną?” Odpowiedzieli: „No jak to, wy



jesteście Tatarem, a on - Żydem".

Pożegnali się; Karimow w płaszczu i czapce stał w drzwiach i stukał palcem w skrzynkę pocztową, z której kiedyś Ludmiła Nikołaj ewna wyjęła list, donoszący jej o śmiertelnej ranie syna. Aleksandra Władimirowna odezwała się: - To jednak dziwne... Co Żenia ma z tym wspólnego? Ale oczywiście ani ona, ani Karimow nie mogli wyjaśnić, dlaczego kazańskiego enkawudziście interesowali mieszkająca w Kujbyszewie Żenia i jej były mąż, przebywający na froncie.

Ludzie mieli zaufanie do Aleksandry Władimirowny, toteż podobnych historii i spowiedzi słyszała już wiele; przywykła więc do odczuwania, że opowiadający coś przemilcza. Nie miała zamiaru uprzedzić Sztruma - wiedziała, że nie da to nic poza niepotrzebnym zdenerwowaniem. Nie było sensu dociekać, który z uczestników rozmów wygadał się albo doniósł; trudno to ustalić, a w końcu winowajcą może okazać się ten, kogo najmniej podejrzewano. Często zaś zdarzało się, że sprawa docierała do Bezpieczeństwa zupełnie przypadkowo - przez aluzje w liście, żarty, słowa nieostrożnie wypowiedziane w kuchni, przy sąsiadce. Ale dlaczego nagle śledczy zaczął wypytywać Karimowa o Żenię i Nikołaja Grigorjewicza? Znowu długo nie mogła usnąć. Chciało jej się jeść. Z kuchni dolatywał zapach jedzenia - gospodarze smażyli placki kartoflane na oleju, słychać było stukanie blaszanych talerzy, spokojny głos Siemiona Iwanowicza. Boże, jak jej się chciało jeść! W stołówce dali dzisiaj na obiad ohydą lurę. Aleksandra Władimirowna nie dokończyła jej i teraz tego żałowała. Myśl o jedzeniu górowała nad innymi myślami, przeszkadzała im.

Rankiem przysłała do fabryki i w budce portiera spotkała sekretarkę dyrektora, starszą kobietę o męskiej, nieprzyjaznej twarzy.

- Towarzyszko Szaposznikow, wstąpcie do mnie w czasie przerwy obiadowej - powiedziała sekretarka.

Aleksandra Władimirowna zdziwiła się - czyżby dyrektor tak szybko spełnił jej prośbę? Nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle zrobiło jej się tak lekko na duszy.

Szła przez dziedziniec fabryczny; nagle pomyślała i od razu wypowiedziała na głos: - Dosyć tego Kazania, jadę do domu, do Stalingradu.

32 Komendant żandarmerii polowej Halb wezwał do sztabu 6. armii dowódcę kompanii, Lenarda.

Lenard się spóźnił. Zgodnie z nowym rozkazem Paulusa nie wolno było używać benzyny do jazdy samochodem osobowym. Całym paliwem dysponował obecnie szef sztabu armii, generał Schmidt, można więc było dziesięć razy umrzeć i nie uzyskać zezwolenia generała 741 choćby na pięć litrów. Benzyny brakowało teraz nie tylko żołnierzom do zapalniczek, ale i oficerom do samochodów.

Lenard musiał do wieczora czekać na samochód sztabowy, jadący do miasta z pocztą kurierską.

Mały samochód jechał po oblodzonym asfalcie. Nad schronami i ziemiankami pierwszej linii, w bezwietrznym, mroźnym krajobrazie, unosiły się wątle, półprzezroczyste smugi dymu. W stronę miasta szli drogą ranni z głowami obwiązanymi chustami i ręcznikami, szli żołnierze przrzucani przez dowództwo z miasta do fabryk. Ci też mieli obwiązane głowy, a nogi - owinięte szmatami.

Kierowca zatrzymał wóz w pobliżu leżącego na poboczu końskiego trupa i zaczął grzebać w silniku, a Lenard przyglądał się nieogolonym, zaaferowanym ludziom, rąbiącym tasakami zamrożone mięso. Jeden z żołnierzy wlaź między obnażone żebra konia i wydawał się cieślą uwijającym się wśród krokwi na dachu nieukończonego budynku... Obok, w ruinach domu, płonęło ognisko, na trójnogu wisiał czarny kotł, a dookoła stali żołnierze w hełmach, furażerkach, kołdrach, chustach, z automatami, z granatami przy pasach. Kucharz bagnetem wciskał do kotła wyłażące z wody kawałki koniny. Żołnierz na dachu schronu powoli ogryzał końską kość, podobną do niesamowitej, zrobionej dla cyklopa harmonijki ustnej.

Nagle zachodzące słońce oświetliło drogę, martwy dom. Wypalone oczodoły budynków wypełniły się lodowatą krwią, śnieg brudny od kopci, rozdrapany pazurami granatów zaczął się złocić; wewnątrz zabitego konia wyglądało w tym oświetleniu jak ciemnoczerwona pieczara, a śnieg miotany wiatrem po szosie wydawał się brązowy.

Wieczne światło odsłania często istotę tego, co się właśnie odbywa, zmienia przelotne wrażenie wzrokowe w obraz - w historię, w uczucie, w los. Plamy ziemi i kopci w tym odchodzącym słońcu mówią setkami głosów, serce się ściska i czuje się utracone szczęście, bezpowrotność strat, gorzki smak błędów i wieczną rozkosz nadziei.

To była scena z epoki jaskiniowej. Grenadierzy, duma narodu, budownicowie wielkich Niemiec, zostali zawróceni z drogi zwycięstwa.

Patrząc na okutanych szmatami ludzi, Lenard swoim poetyckim zmysłem zrozumiał - to zmierzch, marzenie gaśnie, odlatuje.

Jaką ciężką, zawziętą siłę musi kryć w sobie życie, jeśli wspaniała energia Hitlera, moc groźnego, uskrzydłonego narodu, zbrojnego 742 w najbardziej postępową teorię, wyczerpuje się na cichym brzegu zamarznętej Wołgi, w tych ruinach i brudnym śniegu, pod oknami napełnionymi krwią zachodu, tu, gdzie pokorne, łagodne istoty obserwują dymek nad kotłem z koniną...

33 W sztabie Paulusa, mieszczącym się w piwnicy pod spalonym gmachem domu towarowego, wszystko odbywało się zgodnie z przyjętym porządkiem: szefowie wchodzili do swoich gabinetów, dyżurni zaś meldowali im o dokumentach, o zmianach sytuacji, o działaniach nieprzyjaciela.

Dzwoniły telefony, stukały maszyny do pisania, a za drzwiami ze sklejki słycać było basowy śmiech generała Schenka, szefa drugiego wydziału sztabu. Tak samo zwawo jak przedtem poskrzypywały na kamiennych płytach buty adiutantów i tak samo, kiedy tylko, błyskając monoklem, przeszedł do swojego gabinetu szef jednostek pancernych, w korytarzu unosił się zapach francuskich perfum, mieszając się i zarazem nie mieszając z zapachem wilgoci, tytoniu i pasty do butów. Tak samo jak przedtem milkły wszystkie głosy i maszyny do pisania, gdy wawozami podziemnych kancelarii szedł dowódca w swoim długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, a dziesiątki oczu wpatrywały się w jego zamyśloną twarz z garbatym nosem. Tak samo wyglądał jego porządek dnia; nadal tyle samo czasu Paulus przeznaczał na poobiednie cygaro i na rozmowę z szefem sztabu armii, generałem Schmidtem.

I z taką samą plebejską pogardą, naruszając prawo i porządek, ignorując spuszczonego w takich chwilach wzrok pułkownika Adama, wchodził do Paulusa

podoficer przynoszący radiotelegram Hitlera z adnotacją „Do rąk własnych”.

Ale oczywiście tylko na pozór wszystko przebiegało bez zmian począwszy od dnia, kiedy armia została okrążona, do życia sztabu wdzierają się ich całe mnóstwo.

Zmienił się kolor kawy, którą pili, zmieniły się linie telefoniczne powstały nowe, prowadzące do zachodnich odcinków frontu, zmieniła się ilość wydawanej amunicji, pojawiło się codzienne okrutne widowisko - płonące i spadające transportowe junkersy, przebijające się przez 743 powietrzny pierścień. Doszło nawet nowe nazwisko, które przesłoniło wojskowym wszystkie inne - Manstein.

Nie ma sensu wyliczać tutaj owych zmian, i bez tego są całkiem oczywiste. To jasne: ci, którzy przedtem jedli do syta, odczuwali stały głód; twarze głodnych i niedojadających ludzi zmieniły się, nabrały ziemistej barwy. Oczywiście, pracownicy niemieckiego sztabu zmienili się też wewnątrz - wyniośli i pyszałkowaci ucichli; chełpliwi przestali się chełpić, optymiści zaczęli kląć samego fiihrera i wątpić w słuszność jego polityki.

Ale niektóre zmiany w umysłach i w duszach Niemców, spętanych, zahipnotyzowanych przez nieludzkie państwo narodowe, miały szczególny charakter; obejmowały nie tylko głębię, ale i podglebie życia, i właśnie dlatego ludzie nie rozumieli ich i nie dostrzegali.

Zauważyć ich przebieg było tak samo trudno jak działanie czasu.

W mękach głodu, w nocnych lękach, w odczuciu nadciągającego nieszczęścia powoli, stopniowo rodził się proces wyzwania wolności w człowieku, to znaczy ucłowieczenie ludzi, zwycięstwo życia nad nie-życiem.

Dni grudniowe stawały się coraz krótsze, coraz dłuższe zaś były siedemnastogodzinne, lodowate noce. Coraz ciaśniejszy był pierścień okrążenia, coraz zawziętszy ogień rosyjskich dział i cekaemów... O, jak bezlitosny jest rosyjski stepowy mróz, nieznośny nawet dla tych, którzy do niego przywykli, dla odzianych w kozuchy i walonki Rosjan.

Okrutna, nieubłagana otchłań zawisła w górze, dysząc złością; mróz ścisnął niebo, które niby cynowym szronem pokryło się suchymi, wyziębionymi gwiazdami.

Kto z ginących i skazanych na zagładę mógł zrozumieć, że dla dziesiątek milionów Niemców były to pierwsze godziny ludzkiego życia po dziesięcioleciu totalnej nieludzkości? 34 Lenard, zbliżywszy się do sztabu 6. armii, w zapadającym zmierzchu zobaczył szarolicego wartownika, samotnie stojącego pod szarą ścianą, i serce mu zabiło. Kiedy szedł podziemnym korytarzem, wszystko, co widział w sztabie, napełniało go miłością i smutkiem.

744 Czytał na drzwiach wypisane gotykiem tabliczki: „Oddział 2”, „Adiutantura”, „Generał Loch”, „Major Taurig”, słyszał stukot maszyn do pisania, dolatywały do niego głosy, a on po synowsku, po bratersku odczuwał więź ze zwykłym, bliskim mu światem kolegów, towarzyszy partyjnych, swoich kamratów z SS, zobaczył ich w świetle zachodu. Życie uciekało.

Podchodząc do gabinetu Halba, nie wiedział, o czym będą rozmawiać i czy obersturmbannfiihrer SS zechce dzielić się z nim swoimi przeżyciami.

Jak to często bywa między ludźmi dobrze znającymi się z pracy partyjnej w

czasie pokoju, nie zwracali uwagi na różnicę swoich stopni wojskowych, zachowując w stosunkach koleżeńską bezpośredniość.

Spotykając się, zazwyczaj gawędzili prywatnie i równocześnie rozmawiali o sprawach służbowych.

Lenard umiał w kilku słowach oświetlić istotę skomplikowanej sprawy; nierzadko te jego słowa długo wędrowały od raportu do raportu, by w końcu dotrzeć do najwyższych berlińskich gabinetów.

Teraz wszedł do pokoju i nie poznał Halba. Wpatrując się w jego twarz, której daleko było do wychudzenia, Lenard nie od razu zrozumiał: zmienił się tylko wyraz ciemnych, inteligentnych oczu.

Na ścianie wisiała mapa rejonu stalingradzkiego, gdzie purpurowy, rozpalony, bezlitosny krąg otaczał 6. armię.

- Jesteśmy na wyspie, Lenard - powiedział Halb - a nasza wyspa otoczona jest nie wodą, ale nienawiścią chamów.

Zacząli mówić o rosyjskim mrozie, rosyjskich walonkach, rosyjskiej słoninie, o podstępnej rosyjskiej wódce, która rozgrzewa po to, żeby zamrozić.

Halb spytał o zmiany w relacjach między oficerami a żołnierzami na pierwszej linii.

- Na dobrą sprawę - odparł Lenard - nie widzę różnicy między myślami pułkownika a filozofią żołnierza. Melodia jest właściwie ta sama, optymizmu w niej nie ma.

- Tę melodię do wtóru batalionom śpiewają w sztabie - rzekł Halb i nie śpiesząc się, żeby efekt był większy, dorzucił: - A dyrygentem tego chóru jest generał-pułkownik.

- Śpiewają, ale tak jak przedtem, nie ma uciekinierów.

Halb powiedział: 745 - Mam pytanie, które wiąże się z zasadniczym problemem: Hitler nalega na dalszą obronę, Paulus, Weichs i Zeitzler, chcąc ratować żołnierzy i oficerów 6. armii przed fizyczną zagładą, proponują kapitulację.

Otrzymałem rozkaz, by w największym sekrecie przekonsultować, czy okrążone w Stalingradzie wojska mogłyby w najbliższej przyszłości okazać nieposłuszeństwo? No wie pan, sabotować rozkazy, jak mówią Rosjanie, tianut' wołynku - Halb wypowiedział to określenie bez trudu, wyraźnie, czysto.

Lenard zrozumiał wagę zagadnienia, ale nic nie mówił. Potem odezwał się: - Chciałbym zacząć od szczególnego przypadku. - Po czym zaczął opowiadać o Bachu. - W kompanii Bacha jest niepewny żołnierz.

Żołnierz ów był pośmiewiskiem młodzieży, teraz natomiast, od chwili gdy nas otoczono, zaczęto do niego Ignać, oglądać się na niego... Pomyślałem o kompanii i o jej dowódcy. Kiedy odnosiliśmy sukcesy, Bach całą duszą sprzyjał polityce partii. Podejrzewam jednak, że teraz w jego głowie dzieje się coś innego, zaczyna powątpiewać. Zadaję sobie więc pytanie: Dlaczego żołnierze w jego kompanii zaczęli się skłaniać do typu, który ich niedawno śmieszył, którego mieli za wariata albo klauna? Co zrobi ten typ w decydującym momencie? Dokąd pociągnie żołnierzy? Co

stanie się z dowódcą kompanii? Podsumowując, rzekł: - Na to wszystko oczywiście trudno mi znaleźć odpowiedź. Jedno wszakże nie ulega dla mnie wątpliwości: żołnierze się nie zbuntują.

Halb odparł: - Teraz aż nadto wyraźnie widać mądrość partii. Bez wahania usuwaliśmy z ciała narodu nie tylko zarażone części, ale i te na pozór zdrowe, które w trudnych sytuacjach mogły zacząć gnić. Z energicznych, wrogich ideowo ludzi oczyściliśmy miasta, wojsko, wsie, kościoły.

Szemrania, złorzeczenia i anonimowych listów może być nie wiem ile.

Nie będzie natomiast żadnej rebelii, nawet gdyby wróg okrążył nas nie nad Wołgą, ale w Berlinie! Wszyscy winniśmy za to wdzięczność Hitlerowi. Trzeba błogosławić niebiosa, które w takim czasie zesłały nam wielkiego człowieka.

Wsluchał się w głuchy, powolny huk, przetaczający się nad głową: w głębokiej piwnicy nie sposób było rozróżnić, czy to działa niemieckie, czy też rozrywające się radzieckie bomby.

746 Halb odczekał, aż dudnienie zacznie ucichać, i zmienił temat: - To nie do pomyślenia, żeby pan żył na zwykłym przydziale oficerskim. Wpisałem pana na listę, na której znaleźli się najcenniejsi towarzysze partyjni i pracownicy bezpieczeństwa; będzie pan dostawał regularnie przesyłki kurierską pocztą do sztabu dywizji.

- Dziękuję - odparł Lenard - ale odmawiam; będę jadł to co inni.

Halb rozłożył ręce.

- Jak tam Manstein? Mówią, że dostał nowy sprzęt.

- Nie wierzę w Mansteina - rzekł Halb. - W tej sprawie akurat podzielam zdanie dowódcy.

I z przyzwyczajenia półgłosem, ponieważ przez długie lata wszystko, co mówił, należało do kategorii najwyższej tajności, powiedział: - Mam listę, to są przyjaciele z partii i pracownicy bezpieczeństwa, którym w czasie zbliżającego się końca zapewnimy miejsca w samolotach. Pan też figuruje na tej liście. W wypadku mojej nieobecności instrukcja znajdzie się w posiadaniu pułkownika Ostena.

Zauważył pytające spojrzenie Lenarda i wyjaśnił: - Możliwe, że będę musiał polecieć do Niemiec. Sprawa jest na tyle tajna, że nie mogę jej powierzyć ani papierowi, ani szyfrowi radiowemu.

Mrugnął do gościa.

- Upiję się przed odlotem, nie z radości, ale ze strachu. Sowieci zestrzelują dużo samolotów.

Lenard oświadczył: - Towarzyszu Halb, nie wsiądę do samolotu. Będzie mi wstyd, jeśli zostawię ludzi, których przekonywałem, że należy walczyć do końca.

Halb lekko unióś się na krześle.

- Nie mam prawa odwozić pana od tej decyzji.

Lenard, chcąc złagodzić swoją przesadną solenność, dodał: - Jeśli to możliwe, niech pan pomoże mi dotrzeć ze sztabu do pułku.

Przecież nie mam samochodu.

Halb odpowiedział: - W tej sprawie jestem bezradny! Po raz pierwszy absolutnie bezradny! Benzynę ma ten pies Schmidt. Nie mogę dostać ani grama.

Rozumie pan? Po raz pierwszy! - Na jego twarzy pojawił się prostacki, obcy, a może właśnie charakterystyczny dla niej wyraz, ten sam, który sprawił, że w pierwszej chwili Lenard nie mógł Halba poznać.

747 35 Pod wieczór zrobiło się cieplej; spadł śnieg, przykrywając kopeć i brud wojny. Bach obchodził w ciemnościach umocnienia pierwszej linii.

Lekka biel migotała już całkiem świątecznie przy błyskach wystrzałów, a w świetle rakiet sygnalizacyjnych śnieg to różował, to mienił się delikatną zielenią.

Podczas tych wybuchów kamienne usypiska, jaskinie, zmarznięte kupy cegieł, setki zajętych ścieżek, znowu wydeptanych tam, gdzie ludzie musieli jeść, chodzić w ustronne miejsce, nosić pociski i naboje, odciągać rannych na tyły, grzebać zabitych, wszystko wydawało się zdumiewające, szczególne. I równocześnie wszystko wydawało się całkiem zwyczajne, powszednie.

Bach podszedł do miejsca, które ostrzeliwali Rosjanie siedzący w ru inach dwupiętrowego domu. Dobiegały stamtąd dźwięki harmonii i przeciągły śpiew nieprzyjaciół.

Z wyłomu w ścianie otwierał się widok na pierwszą linię Sowietów, widać było wydziały fabryczne, skutą lodem Wołgę.

Bach zawołał na wartownika, ale nie usłyszał jego słów: nagle wybuchł fugas i grudy ziemi zaczęły bębnić o mur; to ślizgająca się na niedużej wysokości „ruska dykta” z wyłączonym silnikiem zrzuciła stukilogramową bombę.

- Kulawa ruska wrona - rzucił wartownik i wskazał ciemne zimowe niebo.

Bach przysiadł, oparł się łokciem o znajomy występ muru i rozej rzał się. Lekki różowy cień, drżący na wysokiej ścianie, zdradzał, że Rosjanie palą w piecu; rura się rozgrzała i mętnie świeciła. Wydawało się, że w ich schronie żołnierze jedzą, jedzą i jedzą; bez końca głośno łykają gorącą kawę.

Z prawej strony, tam gdzie okopy rosyjskie zbliżały się do niemieckich, słychać było niegłośne, niespieszne uderzenia metalu o zmarzniętą ziemię.

Nie wyłaząc spod ziemi, Rosjanie powoli, ale nieustannie posuwali swój okop w stronę Niemców. W tym drażeniu zmrożonego, kamiennego gruntu kryła się zaciekle, potężna pasja. Wydawało się, że to sama ziemia się rusza.

748 Za dnia podoficer zameldował Bachowi, że z rosyjskiego okopu rzucono granat, który rozbił rurę w piecu kompanijnym, i do okopu nasypało się różnego świństwa.

A pod wieczór Rosjanin w białym kożuszk i ciepłej nowej czapce wylazł z okopu i zaczął plugawie przeklinać, grozić pięścią.

Niemcy nie strzelali - zrozumieli instynktownie, że to inicjatywa samych żołnierzy.

Rosjanin krzychał: - Ej, kurka, jajki, Russ gul-gul? Wtedy z okopu wynurzył się

szarobłękitny Niemiec i niegłośno, żeby go nie słyszano w oficerskim schronie, zawołał: - Ej, Rus, nie szelaj gowe. Cemy jesze widzecz mama. Zabrał automat, daj szapka.

Z rosyjskiego okopu odpowiedziano jednym słowem, w dodatku bardzo krótkim. Chociaż słowo było rosyjskie, Niemcy je zrozumieli i bardzo się rozeźlili.

Poleciał granat, ale za daleko, rozerwał się w rowie łącznikowym. To już jednak nikogo nie interesowało.

O tym także zameldował Bachowi podoficer Eisenaug, a Bach powiedział: - No i niech sobie krzyczą. Przecież nikt nie uciekł.

Ale wtedy podoficer, dosłownie zionąc na Bacha nieprzetrawionymi surowymi burakami, zameldował, że żołnierz Pettenkoffer w jakiś sposób zorganizował wymianę towarów z nieprzyjacielem - w jego worku pojawiły się kostki cukru i rosyjski chleb żołnierski. Od przyjaciela wziął w komis brzytwę, obiecując za nią kawałek słoniny i dwie paczki koncentratu; zastrzegł sobie tylko sto pięćdziesiąt gramów słoniny za pośrednictwo.

- Nic prostszego - rzekł na to Bach - przyprowadźcie go do mnie.

Okazało się jednak, że przed południem Pettenkoffer, wykonując rozkaz dowódcy, padł śmiercią walecznych.

- No więc czego ode mnie chcecie? - zdziwił się Bach. - Tak w ogóle to Niemcy i Rosjanie od dawna ze sobą handlowali.

Ale Eisenauga ten dowcip nie rozbawił. W maju czterdziestego roku, we Francji, odniósł ranę, która nie chciała się zagoić. Przed dwoma miesiącami samolotem przerzucono go z południowych Niemiec, gdzie 749 służył w batalionie policji, do Stalingradu. Zawsze głodny, zmarznięty, zżerany przez wszy i strach, nie był skłonny do żartów.

Tam właśnie, gdzie ledwie bieląca rozlewająca się, trudno dostrzegalna w mroku koronka ruin miasta, Bach zaczął swoje stalingradzkie życie. Czarne wrześniowe niebo, usiane dużymi gwiazdami, mętna wołżańska woda, rozpalone po pożarze mury domów, a dalej - stepy południowego wschodu Rosji, granica azjatyckiego pustkowia.

W ciemnościach tonęły domy zachodnich przedmieść, widać było ruiny pokryte śniegiem - jego życie...

Dlaczego napisał ze szpitala ten list do mamy? Mama na pewno pokazała go Hubertowi! Dlaczego rozmawiał z Lenardem? Po co ludzie mają pamięć? Niekiedy człowiek ma ochotę umrzeć, nie pamiętać. Czy musiał dosłownie na chwilę przedtem, nim ich okrążyli, uznać obłąkańczy bełkot za prawdę życiową; zrobić to, czego unikał przez wiele ciężkich lat? Nie zabijał dzieci ani kobiet, nikogo nie aresztował. Ale przerwał kruchą tamę, która oddzielała jego czystą duszę od otaczającego ją mroku.

Wtedy krew obozów i gett chlusnęła na niego, ogarnęła go, uniosła, i już nie było różnicy między nim a ciemnością, stał się jej częścią.

Co to mogło być - bezmyślność, przypadek czy też prawa rządzące jego duszą? 36 W schronie kompanijnym było ciepło. Jedni siedzieli, inni leżeli, oparłszy nogi o niską powalę. Niektórzy spali, naciągawszy na głowy płaszcze i wystawiwszy spod

okrycia bosa żółte stopy.

- A pamiętacie - odezwał się szczególnie chudy żołnierz, obciążając na piersi koszulę i lustrując szew uważnym i złym wzrokiem, jakim na całym świecie żołnierze spoglądają na szwy swoich koszul i kalesonów - wrzesień i tę piwniczkę, w której się urządziliśmy? Drugi, leżący na plecach, powiedział: - Ja do was już tutaj trafiłem.

Kilku ludzi zapewniło go: - Możesz nam wierzyć, piwnica była dobra... Z łózkami jak w najlepszych domach...

750 - Pod Moskwą też ludzie tracili nadzieję. A okazało się, że doskoczyliśmy do Wołgi.

Żołnierz rąbiący bagnetem deskę otworzył w tym czasie drzwiczki piecyka, żeby dołożyć kilka drewna do ognia. Płomień oświetlił jego dużą, nieogoloną twarz, która z szarej, kamiennej zrobiła się czerwona, miedziana.

- No wiesz - powiedział - cieszyć się z tego, że z jamy pod Moskwą trafiliśmy do jeszcze gorszej jamy! Z ciemnego kąta, gdzie złożyli plecaki, rozległ się wesoły głos: - Teraz jasne; lepsze Boże Narodzenie trudno sobie wyobrazić: konina! Rozmowa zesłała na jedzenie, więc wszyscy się ożywili. Zaczęli spierać się o to, jak najlepiej pozbyć się zapachu końskiego potu z gotowanego mięsa. Jedni twierdzili, że należy zdejmować czarną pianę z wrzącego rosółu. Drudzy radzili nie doprowadzać jej do zbyt mocnego bulgotania, jeszcze inni - wycinać mięso z tylnej części tuszy i nie wkładać zmarzniętego do zimnej wody, tylko wrzucać od razu do wrzątku.

- Zwiadowcy dobrze sobie żyją - rzekł młody żołnierz. - Zabierają Rosjanom żarcie i dokarmiają swoje ruskie baby w piwnicy, a tu się jakiś głupek dziwił, dlaczego młode i ładne dają zwiadowcom.

- O tym to już nawet nie myślę - przyznał żołnierz, który palił w piecyku. - Nie ten nastrój, nie to wyżywienie. Chciałbym przed śmiercią zobaczyć dzieci. Choć na godzinkę...

- Za to oficerowie myślą! W piwnicy, gdzie siedzą miejscowi, spotkałem dowódcę kompanii. Już się tam zadomowił, po prostu członek rodziny.

- A sam co w tej piwnicy robiłeś? - Ja... nosiłem bieliznę do prania.

- Przez jakiś czas byłem wartownikiem w obozie. Napatrzyłem się, jak jeńcy zbierają łupiny od kartofli, biją się o zgniłe liście kapusty.

Myślałem - no, rzeczywiście, Rosjanie to nie ludzie. Okazuje się, że i my potrafimy być takimi samymi świniami.

Z półmroku, gdzie złożono plecaki, ozwał się śpiewny głos: - A zaczynaliśmy od kur! Drzwi gwałtownie otworzyły się na oścież i razem z krągłymi kłębami pary wtargnęła do środka mocna, donośna komenda: 751 - Powstań! Baczość! To słowo zabrzmiało jakoś dziwnie nie na miejscu. Z jakiego niby powodu trzeba mieć się na baczości? We mgle mignęła twarz Bacha, czyjeś buty zaskrzypiały obco, dziwnie, a mieszkańcy schronu zobaczyli jasnyniebieski płaszcz dowódcy dywizji, jego krótkowzroczne, przymrużone oczy i białą, starczą, ozdobioną złotą obrączką dłoń, z irchową szmatką, którą przecierał monokl.

Głosem bez trudu docierającym na placu ćwiczebnym i do dowódców pułków, i



do szeregowców stojących na lewym skrzydle, powiedział: - Czołem, żołnierze. Dajcie spocznij.

Żołnierze odpowiedzieli niezbyt składowym chórem.

Generał usiadł na drewnianej skrzyni, a żółte światło, bijące od piecyka, błysnęło na czarnym krzyżu żelaznym.

- Składam wam najlepsze życzenia świąteczne - rzekł stary człowiek.

Towarzyszący mu żołnierze podciągnęli skrzynię do piecyka, podważyli bagnetami wieko i zaczęli wyjmować zawinięte w celofan choinki wielkości ludzkiej dłoni. Każda była ozdobiona złocistym szyszem, koralikami, cukierkami wielkości ziarenka grochu.

Generał patrzył, jak żołnierze biorą celofanowe paczuszki, przywołał gestem nadporucznika, szepnął mu kilka słów, a Bach przekazał je podwładnym: - Pan generał-porucznik kazał wam powiedzieć, że ten podarunek gwiazdkowy dostarczył lotnik śmiertelnie ranny nad Stalingradem.

Wylądował w Pitomniku, wydobyto go już martwego z kabiny.

37 Ludzie trzymali na dłoniach karłowate choinki. Ogrzane w ciepłym powietrzu, pokryły się drobną rosą, wypełniły piwnicę aromatem igliwia, który zagłuszył ciężki odór pierwszej linii - mieszaninę woni kostnicy i kuźni.

Wydawało się, że siwa głowa staruszka siedzącego przy piecyku roztacza zapach Bożego Narodzenia.

Wrażliwe serce Bacha odczuło smutek i rozkosz tej chwili. Ludzie gardzący potęgą ciężkiej artylerii Rosjan, ordynarni, rozeźleni, udręczeni przez głód i wszy, pozbawieni amunicji, zrozumieli wszystko bez 752 słów - nie bandaże, nie chleb, nie laski dynamitu były im potrzebne, ale te gałązki świerkowe, owinięte niepotrzebną pajęczynką, zabawki z sierocińca.

Żołnierze otoczyli staruszka siedzącego na skrzyni. To on latem prowadził idącą w straży przedniej dywizję zmotoryzowaną ku Wołdze. Przez całe życie, zawsze i wszędzie był aktorem, zgrywał się nie tylko przed frontem wojska i w rozmowach z dowódcą. Był aktorem w domu, wobec żony, był nim, kiedy spacerował w ogrodzie, kiedy widywał się z synową i wnukiem. Był aktorem, kiedy nocą leżał sam w łóżku, a obok, na krześle, leżały jego generalskie spodnie. I, oczywiście, był aktorem wobec żołnierzy, kiedy wypytywał ich o zdrowie matek, kiedy chmurzył się, jeśli ordynarnie żartował na temat ich miłosnych przygód, i kiedy interesował się zawartością żołnierskiego kotła, z wielką celebrą próbując zupy, i kiedy z powagą schylał głowę nad otwartymi żołnierskimi grobami, i kiedy wygłaszał ostentacyjnie serdeczne, ojcowskie mowy do rekrutów. To aktorstwo nie przychodziło z zewnątrz, tkwiło już przedtem w nim samym, w jego myślach. Nie był go świadom; aktorstwa nie można było odeń oddzielić, tak jak nie można odfiltrować soli ze słonej wody. To aktorstwo weszło z nim do kompanijnego schronu, kiedy rozpiął płaszcz, usiadł na skrzyni koło piecyka, spokojnie, ze smutkiem popatrzył na żołnierzy i złożył im życzenia. Stary generał nigdy nie czuł tego, że gra, nagle jednak to zrozumiał, i gra odeszła, umknęła z jego istoty - wymrożona sól z zamrożonej wody.

Pojawiła się jałowa, starcza litość nad głodnymi, zamęczonymi ludźmi.

Bezradny, słaby i stary człowiek siedział wśród tak samo bezradnych i nieszczęśliwych.

Jeden z żołnierzy cicho zaintonował kolędę: O, Tannenbaum, o, Tannenbaum, wie grtin sind deine Blatter...\* Parę głosów mu zawtórowało. A zapach igliwia doprowadzał do szaleństwa i słowa kolędy brzmiały jak chór anielski: O, Tannenbaum, o, Tannenbaum...

O choinko, o choinko, jakże zielone są twoje igiełki... (niem.).

753 Z dna morskiego, z zimnej ciemności wypływały na powierzchnię zapomniane, poniechane uczucia, uwalniały się myśli od dawna nieprzywoływane.

Nie przynosiły wprawdzie radości ani ulgi, ale ich siła była siłą ludzką, to znaczy największą siłą na świecie.

Radzieckie pociski dużego kalibru zaczęły ciężko uderzać jeden po drugim; widać po tamtej stronie domyślano się, że oblężeni świętują Boże Narodzenie. Nikt nie zwrócił uwagi na kurz, który sypał się ze stropu, i na to, że piecyk zionie na schron obłoczkami czerwonych iskier.

Żelazny werbel dudnił po ziemi, a ziemia krzyczała: to Iwany zagrały na swoich ulubionych moździerzach salwowych. I od razu zaterkotały cekaemy.

Stary siedział z pochyloną głową - w pozycji typowej dla ludzi, których zmęczyło długie życie. Pogasty światła rampy, aktorzy zmyli charakteryzację i wyszli na szare dzienne światło. Ci, którzy się różnili, stali się teraz jednakowi - i legendarny generał, wódz błyskawicznych rajdów piechoty zmotoryzowanej, i zwykły podoficer, i żołnierz Schmidt, podejrzewany o antypaństwowe nastawienie... Bach pomyślał, że Lenard nie uległby nastrojowi tej chwili, w nim już na pewno niemiecki, państwowy pierwiastek nie przemieniłby się w ludzki.

Odwrócił głowę ku drzwiom i zobaczył Lenarda.

38 Stumpfe, najlepszy żołnierz w kompanii, budzący lęk i zachwyt wśród rekrutów, zmienił się. Jego wielka, jasnooka twarz zmizerniała. Mundur i płaszcz zmieniły się w wymięte stare łachy, marnie chroniące ciało przed rosyjskim wiatrem i mrozem. Przestał mówić do rzeczy, jego żarty przestały śmieszyć.

Cierpiał gorzej niż inni, bo był potężnej postury i potrzebował więcej jedzenia.

Nieustanny głód wypędzał go od świtu na poszukiwania; kopał, grzebał w ziemi wśród ruin, wypraszał, podjadał okruchy, dżyrował przy kuchni. Bach przyzwyczał się do widoku jego uważnej, napiętej twarzy. Stumpfe nieustannie myślał o jedzeniu, szukał go nie tylko w wolnym czasie, ale i podczas walki.

754 Przekradając się do zamieszkanego piwnicy, Bach zobaczył olbrzymie plecy głodnego żołnierza. Stumpfe wałęsał się na pustkowiu, gdzie kiedyś, przed okrążeniem, stały kuchnie i pułkowe magazyny żywności. Oddzierał od ziemi przymarzniałe liście kapuściane, wyszukiwał zmrożone kartofle, nie większe od żołądki, przez co w swoim czasie nie trafiły do kotła.

Zza muru wyszła wysoka staruszka w podartym męskim płaszczu, przepasana sznurkiem, w rozdeptanych, także męskich, buciorach.

Szła akurat z naprzeciwka, uważnie patrząc w ziemię; zakrzywionym końcem grubego drutu rozgrzebywała śnieg.

Poszukiwacze dojrżeli się nawzajem, nie podnosząc głowy; ich cienie zetknęły się na śniegu.

Potężny Niemiec podniósł oczy na wysoką staruszkę i ufnie trzymając przed nią dziurawy, półprzezroczysty liść kapuściany, powiedział wolno, a przez to uroczyście: - Dzień dobry, madame.

Stara niespiesznie odgarnęła ręką szmatę, która zsuwała się jej na czoło, spojrzała ciemnymi, pełnymi dobroci i mądrości oczami, po czym powoli, z godnością odrzekła: - Dzień dobry, panie.

To było spotkanie dwóch wielkich narodów, spotkanie na najwyższym szczęblu. Nikt poza Bachem go nie widział, a żołnierz i staruszka zaraz o nim zapomnieli.

Zrobiło się ciepłej; dość obfity śnieg płatkami zasypywał ziemię, czerwony pył ceglany, ramiona krzyży nagrobnych, czoła martwych czołgów, wpadał do uszu niepogrzebanych trupów.

Ciepła, śnieżna mgła wydawała się niebieskoszara. Śnieg wypełnił przestrzeń, zatrzymał wiatr, przygłuszył strzelaninę, zjednoczył niebo i ziemię, połączył je w niejasną, miękką i szarą, rozkołysaną całość.

Śnieg opadał Bachowi na ramiona i wydawało się, że to cisza sypie płatkami na zastygłą Wołgę, na martwe miasto, na końskie szkielety; śnieg padał wszędzie, nie tylko na ziemi, ale i na gwiazdach, cały świat był go pełen. Pod śniegiem znikало wszystko - ciała zabitych, broń, przesiąknięte ropą szmaty, tłuczeń, powykręcane żelazo.

To nie śnieg, tylko sam czas, miękki i biały, kładł się, nawarstwiał na miejskim pobojowisku, i terażniejszość zmieniała się w przeszłość; nie było przyszłości w powolnym, kosmatym opadaniu śniegu.

755 39 Bach leżał na pryczy za perkalową zasłoną w ciasnej przegródce piwnicy. Na jego ramieniu spoczywała głowa śpiącej kobiety. Kobieta miała twarz wychudzoną i wskutek tego równocześnie dziecięcą i zwiędłą.

Bach patrzył na chudą szyję i pierś bielejącą nad brudną koszuliną.

Cicho, powoli, żeby kobiety nie zbudzić, podniósł do ust jej rozpleciony warkocz. Włosy pachniały, były żywe, elastyczne i ciepłe, jakby i w nich płynęła krew.

Kobieta otworzyła oczy.

Praktyczna baba, czasem beztroska, uprzejma, chytra, cierpliwa, wyrachowana, czasem pokorna lub wybuchowa. Niekiedy wydawała się tępa, przygnębiona, ponura, niekiedy znów śpiewała, i rosyjskie słowa wyraźnie układały się w melodie z Carmen i Fausta. Bacha nie ciekawiło, kim była przed wojną. Przychodził do niej, kiedy miał ochotę, a kiedy nie miał ochoty z nią spać, nie pamiętał o niej, nie martwił się, czy jest syta, czy nie zabił jej rosyjski strzelec wyborowy. Kiedyś przypadkowo namacał w kieszeni suchar i dał kobiecie - ucieszyła się, ale potem przekazała suchar staruszce mieszkającej obok. To go ujęło, chociaż idąc do niej, prawie zawsze zapominał zabrać coś do zjedzenia.

Imię miała dziwne, niepodobne do imion europejskich - Zina.

Tej starej sąsiadki Zina najwyraźniej nie знаła przed wojną. Była to

niesympatyczna babcia, przypochlebna i zarazem złośliwa, obrzydliwie nieszczerą i ogarniętą szaloną pasją jedzenia. Teraz też metodycznie stuknęła prymitywnym drewnianym tłuczkiem w drewnianej stępie, tłukła czarne, osmalone, oblane naftą ziarna pszenicy.

Kiedy okrażenie stało się faktem, żołnierze zaczęli nachodzić zamieszkane piwnice. Przedtem nie zauważali tamtejszych mieszkańców, teraz mieli do nich mnóstwo spraw - pranie bez mydła, za to z popiołem, jedzenie z odpadków, naprawy, cerowanie. Lokatorkami piwnic były przeważnie staruszki. Ale żołnierze chodzili nie tylko do starych.

Bach sądził, że o jego wizytach w piwnicy nikt nie wie. Ale kiedyś, siedząc na pryczy Ziny i trzymając jej ręce w swoich, usłyszał za zasłonką ojczystą mowę; głos, który wydał mu się znajomy, ostrzegał kogoś: - Zostaw, tam jest dziewczyna nadporucznika.

756 Teraz leżeli obok siebie i milczeli. Całe jego życie - przyjaciele, książki, romans z Marią, dzieciństwo i to, co łączyło go z rodzinnym miastem, ze szkołą i uniwersytetem, tupot marszu na Rosję, wszystko było nieważne... Wszystko okazało się drogą do tej pryczy, skleconej z na wpół spalonych drzwi... Przerazenie ogarnęło go na myśl, że może stracić tę kobietę; znalazł ją, przyszedł do niej, wszystko, co działo się w Niemczech, w Europie, służyło temu, żeby ją spotkał...

Kiedyś tego nie rozumiał, zapominał o niej, wydawała mu się miła właśnie dlatego, że nic poważnego go z nią nie łączyło. Ale na świecie nie było nic poza nią, wszystko utonęło w śniegu... Miała cudowną twarz, trochę uniesione nozdrza, dziwne oczy i ten doprowadzający do szaleństwa, dziecięcy, wyraz bezradności połączonej ze znużeniem.

W październiku odnalazła go w szpitalu, przywędrowała pieszo, a on nie chciał jej widzieć, nie wyszedł do niej.

Widziała, że nie jest pijany. Ukląkł, całował jej ręce, potem nogi, potem uniósł głowę, przycisnął czoło i policzki do jej kolan, mówił szybko, namiętnie, choć ona go nie rozumiała, a on wiedział, że go nie rozumie - oboje znali przecież tylko okropny język, którym w Stalingradzie posługiwali się żołnierze.

Wiedział, że siła, która przywiodła go do niej, teraz ją od niego oderwie, rozłączy ich na zawsze. Klęcząc, obejmował nogi kobiety i patrzył jej w oczy, a ona wsłuchiwała się w jego szybkie słowa, chciała zrozumieć, odgadnąć, co mówi, co się z nim dzieje.

Nigdy nie widziała Niemca o takim wyrazie twarzy, myślała, że tylko Rosjanin może mieć takie serdeczne, cierpiące, błagalne, szalone spojrzenie.

Mówił jej, że całując jej nogi, tu, w piwnicy, po raz pierwszy zrozumiał miłość nie z cudzych słów, ale własnym sercem. Że jest mu droższa od przeszłości, droższa od matki, droższa od Niemiec, od przyszłego życia z Marią... Pokochał ją. Mury, które wzniosły państwa, nienawiść rasowa, nawała ognia ciężkiej artylerii nie znaczą nic, są bezsilne wobec miłości. Że wdzięczny jest losowi, który w przeddzień śmierci pozwolił mu to zrozumieć.

Nie rozumiała jego słów, znała tylko: „Halt, kom, bring, sznela”.

Słyszała jedynie: „Dali, dali, weg, kaput, cukier, brot”.

Ale domyślała się tego, co się z nim dzieje, widziała jego zagubienie.

Głodna, lekkomyślna kochanka niemieckiego oficera z pobłażliwą czułością.

40 Jewgienia Nikolajewna miała teraz nowych znajomych, ludzi z kolejek więziennych. Pytali ją: „Co u pani, jakie nowiny?” Nabrała już doświadczenia i nie tylko słuchała rad, ale sama mówiła: „Niech się pani nie denerwuje. Może jest w szpitalu. Tam miałyby dobrze, wszyscy marzą o tym, żeby z celi trafić do szpitala”.

Dowiedziała się, że Krymow przebywa w więzieniu wewnętrznym.

Jej paczki nie przyjęto, ale nie traciła nadziei - na Kuźnieckim zdarzało się tak, że paczki nie przyjęli raz, drugi, a potem nagle sami mówili: „Proszę przynieść paczkę”.

Była w mieszkaniu Krymowa, a sąsiadka opowiedziała jej, że dwa miesiące temu przyszło dwóch wojskowych z gospodarzem domu.

Otworzyli pokój Krymowa, zabrali dużo papierów, książek, opieczętowali pomieszczenie i poszli. Żenia patrzyła na lakowe pieczęcie z ogonkami ze sznurka, a stojąca obok sąsiadka mówiła: - Tylko, na miłość boską, ja pani nic nie mówiłam! - Odprowadzając Żenię do drzwi, już trochę śmielsza, szepnęła: - Taki porządny był człowiek, poszedł na wojnę na ochotnika.

Z Moskwy Żenia nie napisała nic do Nowikowa.

Jakiż zamęt czuła w duszy! I żal, i miłość, i skrucę, i radość ze zwycięstw wojennych, i niepokój o Nowikowa, i wstyd przed nim, i strach, że utraci go na zawsze, i smutną świadomość bezprawia...

Jeszcze niedawno mieszkała w Kujbyszewie, zamierzając jechać na front, do Nowikowa. Związek z nim uznawała za konieczny, nieunikniony, jak los. Była jednocześnie przerażona tym, że na zawsze już będzie z nim związana, że na zawsze rozstała się z Krymowem.

758 Chwilami wszystko u Nowikowa wydawało się jej całkiem obce - jego nadzieje, obawy, krąg znajomych. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że miałyby nalewać herbatę przy jego stole, podejmować jego przyjaciół, rozmawiać z żonami generałów i pułkowników.

Przypomniała sobie, że Archijerej ani Nieciekawa historia Czechowa nie wzbudziły zachwytu w Nowikowie. Bardziej podobały mu się tendencyjne powieści Dreisera i Feuchtwangera. A teraz, kiedy rozumiała, że jej zerwanie z Nowikowem stało się faktem, że już nigdy do niego nie wróci, myślała o nim z czułością, często wspominała pokorną skwapliwość, z jaką zgadzał się ze wszystkim, co mówiła. Wtedy ogarniał ją żal - czy jego ręce nigdy już nie dotkną jej ramion, czy nigdy nie zobaczy jego twarzy? Nigdy nie spotkała się z takim niezwykłym połączeniem siły i szorstkiej prostoty z dobrocią, nieśmiałością. Tak ją ciągnęło do niego! Obcy był mu okrutny fanatyzm, czuło się w nim jakąś wyjątkową i zarazem zwyczajną męską dobroć. Przy tym jednak bez przerwy trapiła ją myśl o czymś ciemnym i brudnym, co wślizgnęło się w jej stosunki z bliskimi. Jaką drogą mogło przedostać się na zewnątrz to, co powiedział jej Krymow?... Jak niezwykle ważne jest wszystko, co wiąże ją z Krymowem; nie umiała przekreślić życia, które z nim przeżyła.

Pojedzie za Krymowem. On może nawet jej nie przebaczy, pewnie zasłużyła na jego wieczny wyrzut, ale jest mu potrzebna; on w więzieniu cały czas o niej myśli.

Nowikow znajdzie w sobie siłę, żeby przeżyć zerwanie. Za to ona nie mogła dociec, co powinno się stać, by odzyskała spokój ducha.

Czy lepiej byłoby, gdyby wiedziała, że przestał ją kochać, uspokoił się i wybaczył? Czy też przeciwnie, że kocha, jest niepokieszony, że nie wybacza? A dla niej samej co byłoby lepsze - pewność, że ich rozstanie jest ostateczne, czy też cicha nadzieja, że jeszcze się zejdą? Iluż cierpień przyczyniła bliskim! Czyżby to wszystko zrobiła nie dla dobra innych, tylko dla siebie, dla własnej zachcianki? Psychopatka! Wieczorem, kiedy Sztrum, Ludmiła i Nadia siedzieli przy stole, Żenia spytała nagle, patrząc na siostrę: - Czy wiesz, kim jestem? - Ty? - upewniła się zdziwiona Ludmiła.

- Tak, tak, ja - potwierdziła Żenia i wyjaśniła: - Jestem pieskiem płci żeńskiej.

759 - Suczką? - zapytała Nadia żartobliwym tonem.

- No właśnie, suczką - powtórzyła Żenia.

I nagle wszyscy zaczęli się zaśmiewać, chociaż rozumieli, że nie jest jej do śmiechu.

- Wiecie, że ten Limonow - opowiadała Żenia - który odwiedzał mnie w Kujbyszewie, tłumaczył mi, co to jest nie-pierwsza miłość. Mówił, że to duchowa awitaminoza. Powiedzmy, że mąż żyje z żoną tak długo, że zaczyna odczuwać głód duchowy, tak jak krowa pozbawiona soli albo polarnik, który latami nie widzi warzyw. Żona jest energiczna, władcza, silna, więc małżonek zaczyna tęsknić za kobietą łagodną, uległą, nieśmiałą.

- Głupi ten twój Limonow - wypaliła Ludmiła Nikołajewna.

- A jeśli człowiek potrzebuje kilku witamin - A, B, C, D? - spytała Nadia.

A później, kiedy już szykowali się do spania, Wiktor Pawłowicz powiedział: - Genevieve, zwykło się u nas wyśmiewać inteligentów za hamletowskie rozterki, wątpliwości, niezdecydowanie. Ja też w młodości gardziłem sobą za te wszystkie cechy. A teraz uważam inaczej: wątpliwym i niezdecydowanym ludzie zawdzięczają i wielkie odkrycia, i wielkie książki; zrobili nie mniej od prostolinijnych zuchów. Kiedy trzeba, pójdą i na stos; pójdą pod kule tak samo jak energiczni i zdecydowani.

Jewgienia Nikołajewna powiedziała: - Dzięki, Witieńka, to a propos tego pieska płci żeńskiej? - No właśnie.

Miał ochotę powiedzieć Żeni coś miłego.

- Oglądałem znowu twój obraz, Żeneczko - rzekł. - Podoba mi się, że w obrazie jest uczucie, no bo przecież lewicowi artyści uznają tylko śmiałość i nowatorstwo, a Boga u nich nie ma.

- E tam, uczucie! - Ludmiła Nikołajewna skrzywiła się. - Zieloni mężczyźni, niebieskie chaty. Całkowity rozdźwięk z rzeczywistością.

- Wiesz, Miłka - powiedziała Jewgienia Nikołajewna - Matisse powiedział: „Kiedy kładę zieloną farbę, nie znaczy to, że mam zamiar malować trawę, a kiedy biorę niebieską, to niekoniecznie będę malował niebo”. Kolor wyraża stan ducha malarza.

A chociaż Sztrum chciał mówić Żeni tylko komplementy, to jednak nie wytrzymał i żartem dorzucił: 760 - Eckermann pisał, że gdyby Goethe, niczym Bóg, stwarzał świat, stworzyłby trawę zieloną, a niebo - błękitne. Mnie te słowa mówią wiele, w końcu mam jakiś stosunek do materiału, z którego Bóg stworzył świat... Co prawda, dlatego wiem, że nie ma żadnych kolorów ani farb, tylko atomy i przestrzeń między nimi.

Ale podobne rozmowy toczyły się rzadko - przeważnie mówiono o wojnie, o prokuraturze...

To były ciężkie dni. Żenia zbierała się do powrotu do Kujbyszewa, bo urlop jej się kończył.

Bała się chwili, kiedy będzie musiała wytłumaczyć wszystko szefowi.

Przecież właściwie samowolnie pojechała do Moskwy i całymi dniami chodziła po więzieniach, pisała podania do prokuratury i do narkoma spraw wewnętrznych.

Przez całe życie bała się urzędów, pisanie podań, a kiedy miała wymienić dowód osobisty, źle spała, denerwowała się. Ostatnio zaś wyglądało na to, że los kazał jej mieć do czynienia wyłącznie z meldunkami, dowodami, milicją, prokuraturą, wezwaniami i podaniami.

W domu siostry panował martwy spokój.

Wiktor Pawłowicz nie chodził do pracy, przesiadywał godzinami w swoim pokoju. Ilekroć Ludmiła Nikołajewna pojechała do sklepu specjalnego, zawsze wracała zła, opowiadała, że żony znajomych nie witają się z nią.

Jewgienia Nikołajewna widziała, że Sztrum się denerwuje. Na dźwięk telefonu wzdrygał się, energicznie chwycił za słuchawkę. Często przy obiedzie albo podczas kolacji przerywał rozmowę, ostro mówił: „Ciszej, ciszej, ktoś chyba dzwoni do drzwi”. Szedł do przedpokoju i wracał, uśmiechając się z zakłopotaniem. Siostry wiedziały, czym spowodowane jest to stałe napięcie, oczekiwanie na dzwonek - bał się aresztowania.

- Tak właśnie rozwija się mania prześladowcza - orzekła Ludmiła. W trzydziestym siódmym roku mnóstwo było takich ludzi w klinikach psychiatrycznych.

Jewgienie Nikołajewnę szczególnie wzdrygało to, jak Sztrum się do niej odnosi, widziała bowiem jego nieustanny lęk. Kiedyś powiedział: „Pamiętaj, Genevieve, że nie obchodzi mnie, co inni myślą o tym, że mieszkasz w moim domu i troszczysz się o aresztowanego. Rozumiesz? To jest twój dom!” 761 Wieczorami Jewgienia Nikołajewna lubiła rozmawiać z Nadią.

- Za mądra jesteś - mówiła do siostrzenicy - nie dziewczyna, ale członkini jakiegoś związku byłych więźniów politycznych.

- Nie byłych, tylko przyszłych - poprawił Sztrum. - Pewnie ze swoim lejtnantem też rozmawiasz o polityce.

- No i co z tego? - powiedziała Nadia.

- Lepiej już byście się całowali - zażartowała Jewgienia Nikołajewna.

- To właśnie miałem na myśli - ciągnął Sztrum. - Zawsze to bezpieczniej.

Nadia rzeczywiście zaczynała rozmowy na drażliwe tematy - nagle pytała o Bucharina, innym razem - czy to prawda, że Lenin ceniał Trockiego i że w ostatnich miesiącach życia nie chciał widzieć Stalina, że napisał testament, który Stalin ukrył przed narodem.

Jewgienia Nikołajewna nie wypytywała Nadi o lejtnanta Łomowa, kiedy były same. Ale z tego, co Nadia mówiła o polityce, o wojnie, o wierszach Mandelsztama i Achmatowej, o swoich spotkaniach i rozmowach z kolegami, Jewgienia Nikołajewna dowiedziała się o Łomowie i jego spotkaniach z Nadią więcej, niż wiedziała Ludmiła.

Najwyraźniej Łomow był zawadiaką, miał trudny charakter; do wszystkiego, co uznane i przyjęte, odnosił się z drwiną. Widocznie sam pisał wiersze i od niego Nadia przejęła ten drwiący i pogardliwy stosunek do Demiana Biednego, Twardowskiego, obojętny wobec Szołochowa i Nikołaja Ostrowskiego. Najwyraźniej jego słowa powtarzała, wzruszając ramionami: „Rewolucjoniści są albo głupi, albo nieuczciwi - nie wolno składać całego pokolenia w ofierze przyszłemu urojonemu szczęściu...” Kiedyś Nadia powiedziała do Jewgienii Nikołajewny: - Wiesz, ciociu, starsze pokolenie koniecznie musi w coś wierzyć: Krymow w Lenina i w komunizm, tato w wolność, babcia w naród i ludzi pracy, a nam, nowemu pokoleniu, wszystko to wydaje się głupie.

W ogóle wierzyć jest głupio. Trzeba żyć, nie wierząc.

Jewgienia Nikołajewna spytała nagle: - To filozofia lejtnanta? Odpowiedź Nadi wprawiła ją w osłupienie.

- Za trzy tygodnie pojedzie na front. Ot i cała filozofia: był i nie ma go.

762 Rozmawiając z Nadią, Jewgienia Nikołajewna wspominała Stalingrad.

Tak samo rozmawiała z nią Wiera, tak samo się zakochała. Ale jakże inne było proste, jasne uczucie Wiery w porównaniu z zagmatwanym uczuciem Nadi. Jakże inne było ówczesne życie Żeni w porównaniu z dzisiejszym. Jakże inne były ówczesne myśli o wojnie od dzisiejszych, w dniach zwycięstwa. Ale wojna trwała, nie zmieniało się tylko to, co Nadia powiedziała o lejtnancie: „Był i nie ma go”. Wojny nie obchodziło, czy lejtnant przedtem śpiewał z gitarą, zgłaszał się jako ochotnik na wielkie budowy, ufając, że tworzy przyszłe królestwo komunizmu, czy też zachwycał się wierszami Innokientija Annińskiego i nie wierzył w urojone szczęście przyszłych pokoleń.

Kiedyś Nadia pokazała Jewgienii zapisaną ze słuchu piosenkę lagrową.

Mowa w niej była o zimnych ładowniach statku, o tym, jak ryczał ocean, a kołysanie sprawiało, że więźniowie „jęczeli, objęci jak bracia”, i jak z mgły wyłaniał się Magadan, „stolica przeklętej Kołymy”.

W pierwszych dniach po powrocie do Moskwy, ilekroć Nadia zaczynała mówić o takich sprawach, Sztrum złościł się i przerywał jej.

Ale w tych dniach wiele się w nim zmieniło. Teraz nie hamował się i przy Nadi mówił, że nie sposób czytać lizusowskich listów-peanów na cześć „wielkiego nauczyciela, najlepszego przyjaciela sportowców, mądrego ojca, potężnego koryfeusza nauki, olśniewającego geniusza”, który na dodatek do tego wszystkiego jest jeszcze i skromny, i wrażliwy, i dobry, i czuły. Człowiek ma wrażenie, że Stalin i orze, i wytapia stal, i karmi łyżeczką dzieci w żłobkach, i strzela z karabinu maszynowego, a



robotnicy, żołnierze, studenci i uczeni tylko się za niego modlą, bo gdyby zabrakło Stalina, cały wielki naród wkrótce wyginąłby, jak nierozumne bydło.

Kiedyś Sztrum policzył, że nazwisko Stalina wymieniono w „Prawdzie” osiemdziesiąt sześć razy, a na drugi dzień naliczył osiemnaście wzmianek o Stalinie w samym artykule wstępnym.

Skarżył się na bezprawne aresztowania, na brak wolności, na to, że każdy półanalfabeta z legitymacją partyjną uważa, że ma prawo rozkazywać uczonym, pisarzom, wystawiać im cenzurki, pouczać ich.

Pojawiło się w nim jakieś nowe uczucie. Narastający lęk przed niszczącą siłą państwa, wzmagające się ciągle poczucie samotności, bezradności, żalostnej, ptasiej bezsilności, beznadziei - wszystko to rodziło 763 w nim chwilami jakąś szaleńczą odwagę, zuchwałą obojętność wobec niebezpieczeństwa, nieostrożność.

Rano Sztrum wbiegł do pokoju Ludmiły, a ona, widząc jego podnieconą, radosną twarz, nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć, bo dawno go w takim nastroju nie oglądała.

- Luda, Żenia! Znowu wkraczamy na ziemię ukraińską, dopiero co mówili przez radio! W środku dnia Jewgienia Nikołajewna wróciła z Kuźnieckiego Mostu; patrząc na jej twarz, Sztrum spytał tak samo, jak Ludmiła pytała rano jego: - Co się stało? - Przyjęli paczkę, przyjęli paczkę! - powtarzała Żenia.

Nawet Ludmiła rozumiała, ile będzie znaczyła dla Krymowa ta paczka z listem Żeni.

- Wskreszenie z martwych - powiedziała i dodała: - Widocznie nadal go kochasz; nie pamiętam, kiedy miałś taki wyraz oczu.

- Wiesz, z pewnością jestem szalona - szeptem wyznała siostrze Jewgienia Nikołajewna. - Przecież szczęśliwa jestem i dlatego, że Nikołaj dostanie paczkę, i dlatego, że dzisiaj zrozumiałam: Nowikow nie mógł, nie mógł się dopuścić podłości. Rozumiesz? Ludmiła Nikołajewna rozzłościła się i ofuknęła Żenię: - Nie jesteś szalona, to coś gorszego niż szaleństwo.

- Witieńka, kochany, zagraj coś - poprosiła Jewgienia Nikołajewna.

Przez cały ten czas ani razu nie usiadł do pianina. Ale teraz nie wymawiał się, przyniósł nuty, pokazał je Żeni, spytał: „Może być?” Ludmiła i Nadia, które nie lubiły muzyki, poszły do kuchni, a Sztrum zaczął grać. Żenia słuchała. Grał długo, a kiedy skończył, nic nie mówił, nie patrzył na Żenię, potem zaczął grać nowy utwór. Chwilami miała wrażenie, że Wiktor Pawłowicz płacze, ale nie widziała jego twarzy.

Wtem drzwi się otworzyły, Nadia krzyknęła: - Włączcie radio, to rozkaz! Muzyka ustąpiła miejsca grzmiącemu głosowi spikera Lewitana, który mówił właśnie: „...szturmem zdobyły miasto i ważny węzeł kolejowy...” Potem wymieniał generałów i jednostki, które szczególnie wyróżniły się w walkach, wyliczanie zaczęło się od generała-lejtnanta Tołbuchina, dowódcy armii; nagle triumfalny głos Lewitana oznajmił: „...a także korpus pancerny pod dowództwem pułkownika Nowikowa”.

764 Żenia krzyknęła cichutko, a potem, kiedy spiker silnym głosem czytał miarowo: „Wieczna chwała bohaterom, którzy zginęli za wolność i niepodległość naszej ojczyzny” - zapłakała.

41 =d[d]d Kiedy Żenią wyjechała, w domu Sztrumów zrobiło się naprawdę smutno.

Wiktor Pawłowicz godzinami siedział przy biurku, po kilka dni z rzędu nie wychodził z domu. Zaczął się obawiać, że na ulicy spotka ludzi szczególnie sobie niemiłych, wrogo usposobionych, zobaczy ich bezlitosne oczy.

Telefon całkiem umilkł, zadzwonił może parę razy, a Ludmiła Nikołajewna mówiła wtedy zawsze: - To do Nadi.

I rzeczywiście, do telefonu proszono Nadię.

Sztrum nie od razu uświadomił sobie ciężar tego, co go spotyka.

W pierwszych dniach doświadczał ulgi dzięki temu, że siedział w domu, w ciszy, wśród ukochanych ksiązek, nie widział nieprzyjaznych, ponurych twarzy.

Ale wkrótce ta domowa cisza zaczęła mu dokuczać, wywoływała nie tylko przygnębienie, ale i niepokój. Co się dzieje w laboratorium? Jak idzie praca? Co robi Markow? Dręczyła go myśl, że jest tam potrzebny, a tymczasem siedzi w domu. Ale tak samo nie do zniesienia była myśl zupełnie przeciwna, że w laboratorium doskonale radzą sobie bez niego.

Ludmiła Nikołajewna spotkała na ulicy przyjaciółkę z kazańskich czasów, panią Stojnikow, urzędniczkę z Akademii Nauk. Ta szczegółowo opowiedziała jej o posiedzeniu rady naukowej - stenografowała ją od początku do końca.

Najważniejszą sprawą było to, że Sokołow nie zabrał głosu! Nie chciał, chociaż Szyszakow zwrócił się do niego: „Piotrze Ławrientjewiczu, chcemy poznać wasze zdanie. Pracowaliście przecież ze Sztrumem przez wiele lat”. Sokołow odparł, że w nocy miał atak serca i ciężko byłoby mu mówić.

Dziwne, ale ta wiadomość Sztruma nie ucieszyła.

765 W imieniu zakładu występował Markow, mówił powściągliwiej niż inni, bez oskarżeń politycznych. Główny nacisk położył na przykry charakter Sztruma, i wspominał nawet o jego talencie.

- Musiał coś powiedzieć: jest partyjny, dostał polecenie - wytłumaczył Sztrum. - Nie mogą mieć do niego pretensji.

Większość wystąpień jednak była okropna. Kowczenko mówił o Sztrumie tak, jakby ten był ostatnim łajdakiem, oszustem. Powiedział: „Ów Sztrum do reszty się rozbestwił, nie raczył się zjawić. Widocznie chce, żebyśmy porozmawiali z nim innym językiem”.

Siwowłosy Prasołow, ten sam, który porównywał pracę Sztruma z pracą Lebidiewa, oświadczył: „Ludzie określonego pokroju podnieśli nieprzyzwoicie głośną wrzawę wokół wątpliwych rozważań teoretycznych Sztruma”.

Bardzo brzydko zachował się docent Guriewicz. Przyznał, że mocno się pomylił, że przecenił pracę Sztruma, robił aluzje do przeczulenia Wiktora Pawłowicza na tle narodowościowym, wywodził, że człowiek mętny politycznie musi okazać się nieuchronnie mętniakiem w nauce.

Swieczin użył ironicznie pod adresem Sztruma epitetu „szanowny” i przytoczył

jego słowa, że nie ma fizyki amerykańskiej, niemieckiej czy radzieckiej, bo fizyka jest jedna.

- Rzeczywiście tak mówiłem - potwierdził Sztrum - ale powtarzanie na zebraniu słów wypowiedzianych w prywatnej rozmowie to przecież donos w najczystszej postaci.

Uderzyło go, że na posiedzeniu wystąpił z samokrytyką Pimienow, chociaż już nie był związany z instytutem, więc nikt go nie zmuszał.

Przyznał, że przywiązywał do pracy Sztruma nadmierną wagę, że nie widział jej wad. To było absolutnie zdumiewające. Pimienow niejednokrotnie powtarzał, że praca Sztruma budzi w nim nabożne uczucia, że jest szczęśliwy, biorąc udział w jej realizacji.

Szyszakow mówił niewiele. Projekt uchwały zgłosił sekretarz komitetu partyjnego instytutu Ramskow. Była ostra, zobowiązywała dyrekcję do odcięcia gnijących części od zdrowego kolektywu. Szczególnie przykre było to, że ani słowa nie było w niej o naukowych zasługach Sztruma.

- Mimo wszystko Sokołow zachował się absolutnie przyzwoicie. Dlaczego więc Maria Iwanowna zniknęła, czyżby tak się bała? - zdziwiła się Ludmiła Nikołajewna.

Sztrum nic nie odpowiedział.

766 Dziwne! Bo na nikogo się nie złościł, chociaż wcale nie był zwolennikiem chrześcijańskiej zasady, że należy wszystkim wybaczać. Nie był zły ani na Szyszakowa, ani na Pimienowa. Nie miał pretensji do Swieczina, Guriewicza czy Kowczenki. Jeden tylko człowiek budził w nim wściekłość, taką niesłychaną, że Sztrumowi robiło się gorąco, duszno, z trudem nawet oddychał, gdy tylko o nim pomyślał. Wydawało mu się, że to Sokołow winien jest wszystkim złym, okrutnym, niesprawiedliwym rzeczom, które spotkały Sztruma. Jak mógł Piotr Ławrientjewicz zabronić Marii Iwanownie u nich bywać! Co za tchórzostwo, ile w tym człowieku okrucieństwa, podłych, niskich uczuć! Nie przyznałby się sam przed sobą, że złości się nie tylko dlatego, że Sokołow wobec niego zawinił, ale i dlatego, że sam w duchu czuł swoją winę wobec niego.

Teraz Ludmiła Nikołajewna często zaczynała mówić o sprawach materialnych.

Nadmetraż, zaświadczenie dla administracji domu o zarobkach, kartki żywnościowe, rejestracja w nowym sklepie, książeczka przydziałów na nowy kwartał, kończący się termin ważności dowodu i konieczność okazania zaświadczenia z miejsca pracy przy wymianie dowodu - wszystko to dniem i nocą martwiło Ludmiłę Nikołajewną.

Skąd wziąć pieniądze na życie? Niedawno Sztrum, dodając sobie animuszu, żartował: „Będę pracował nad teoretycznymi zagadnieniami w domu, urządzę sobie chałupę-laboratorium”.

Ale teraz nie było mu do śmiechu. Pieniądzy, które zarabiał jako członek korespondent Akademii Nauk, ledwie starczyłoby na opłacenie rachunków za mieszkanie, daczę, opłaty komunalne. Samotność go przytłaczała.

Przecież trzeba żyć! Praca pedagogiczna na uczelni, jak się okazało, była dlań niedostępna. Człowiek ubabrany politycznie nie mógł mieć do czynienia z młodzieżą.

Co tu ze sobą zrobić? Jego pozycja w świecie nauki przeszkadzała mu w dostaniu choćby niewielkiej posady. Pierwszy lepszy kadrowiec żachnie się i odmówi przyjęcia docenta jako redaktora technicznego albo nauczyciela fizyki w technikum.

767 Kiedy więc myśli o utraconej posiadzie, o nędzy, zależności, poniżeniu stawały się naprawdę nie do zniesienia, myślał: „Niechby już prędzej mnie zamknęli”.

Ale przecież zostaną Ludmiła i Nadia. One muszą jakoś żyć.

Jakie tam truskawki z daczki! Daczę im odbiorą - w maju przypada termin przedłużenia najmu. Dacza jest państwowa, nie akademicka.

A on przez niedbalstwo zamarudził z opłatą, zamierzał zapłacić od razu wszystko, z góry za pierwsze półrocze. Teraz sumy, które miesiąc temu wydawały mu się drobne, wywoływały w nim przerażenie. Skąd wziąć pieniądze? Nadia potrzebuje płaszcz.

Pożyczyć? Ale przecież nie można pożyczać, jeśli nie ma widoków na zwrot długu.

Wyprzedawać rzeczy? Ale kto w czasie wojny kupi porcelanę, pianino? Zresztą szkoda - Ludmiła lubi swoją kolekcję, nawet teraz, po śmierci Toli, czasem ją podziwia.

Często myślał o tym, że zgłosi się do komisji uzupełnień, zrezygnuje z parasola ochronnego Akademii i poprosi, by wysłano go jako żołnierza na front.

Kiedy o tym myślał, odyskiwał spokój ducha.

A potem znowu przychodziły trwożne, dręczące myśli. Jak będą żyły Nadia i Ludmiła? Będą uczyły w szkole? Wynajmowały pokój? Ale od razu wtrąci się administracja, milicja. Nocne obławy, grzywny, protokoły.

Jaką potęgę, jaką grozę stanowią, jak urastają w naszych oczach gospodarze domów, dzielnicowi, kontrolerzy z administracji, sekretarki działu kadr.

Człowiek, który stracił punkt oparcia, czuje olbrzymią, nieugiętą siłę urzędniczek z biura kartek żywnościowych.

Uczucie strachu, bezradności, niepewności ogarniało Wiktora Pawłowicza codziennie rano i nie opuszczało go aż do wieczora. Ale nie było jednakowe, niezmiennie. Każda pora dnia miała swój strach, swoją udrękę. Wczesnym rankiem, po wstaniu z ciepłego łóżka, kiedy za oknem panowało jeszcze zimno i mętny mrok, Sztrum czuł zazwyczaj dziecięcą bezradność wobec olbrzymiej siły, która zwała się na niego; miał ochotę wleźć pod kołdrę, skulić się, zamknąć oczy, znieruchomieć.

768 W pierwszej połowie dnia tęsknił za pracą, szczególnie mocno ciągnęło go do instytutu. W tych godzinach wydawało mu się, że jest nikomu niepotrzebny, niezdolny, głupi.

Miał wrażenie, że rozgniewane państwo może zabrać mu nie tylko wolność, spokój, ale i rozum, talent, wiarę w siebie, zmienić go w nędznego, tępego, pospolitego mieszczaucha.

Przed obiadem ożywiał się, nastrój mu się poprawiał. Ale potem nieodmiennie zwała się nań smutek, głuchy, nudny, bezmyślny.

Gdy zmrok zaczynał gęstnieć, przychodził wielki strach. Wiktor Pawłowicz bał się

teraz ciemności jak dzikus z epoki kamiennej, którego zmierzch zaskoczył w lesie. Strach nasilał się, gęstniał... Sztrum wspominał, myślał. W ciemnościach za oknem czaiła się straszna, nieuchronna zguba. Zaraz za oknem rozlegnie się warkot samochodu, zadzwoni dzwonek, w pokoju zaskrzypią buty. Nie ma dokąd uciec.

I nagle ogarniała go złośliwa, wisielcza obojętność! Sztrum powiedział do Ludmiły: - Dobrze mieli szlacheccy opozycjoniści za cara. Popadł w niełaskę, bierze kolaskę, i jazda ze stolicy do majątku pod Penzą! A tam czekały już na niego polowania, wiejskie rozkosze, sąsiedzi, park, pisanie pamiętników. Spróbujcie inaczej, panowie wolterianie - dwutygodniowa odprawa, a w zapieczętowanej kopercie opinia, z którą nie przyjmą człowieka nawet na stróża.

- Witia - uspokajała męża Ludmiła Nikołajewna - przeżyjemy! Będę szyła, wezmę pracę chałupniczą, będę farbować chustki. Zostanę laborantką. Utrzymam cię.

Całował ją po rękach, a ona nie mogła zrozumieć, dlaczego na jego twarzy pojawia się wyraz skruchy, cierpienia, wzrok staje się żaloszny, błagalny...

Wiktor Pawłowicz chodził po pokoju i nucił półgłosem słowa starego romansu: Leży samotny, zapomniany...

Kiedy Nadia usłyszała, że Sztrum chce się zgłosić na ochotnika do wojska, opowiedziała: 769 - Jest u nas jedna dziewczyna, Tania Kogan, jej ojciec tak zrobił. Jest specjalistą od jakichś starogreckich nauk, trafił do Penzy, do pułku odwodowego, gdzie kazali mu zamiatać i czyścić latryny. Kiedyś przyszedł tam dowódca kompanii, a on nie widząc go, machnął miotłą i obsypał śmieciami dowódcę. Ten trzasnął go pięścią w ucho tak, że specjaliście pękł bębenek.

- No cóż - powiedział Sztrum - nie będę sypał śmieci na dowódcę kompanii.

Teraz rozmawiał z Nadią jak z dorosłą kobietą. Zdawało się, że nigdy dotąd nie traktował córki tak dobrze. Wzruszało go to, że w ostatnim czasie wracała do domu zaraz po szkole, sądził, że nie chce go denerwować. Kiedy z nim rozmawiała, w jej drwiących zwykle oczach widać było nowy wyraz - serdeczności i powagi.

Kiedyś wieczorem włożył płaszcz i poszedł w stronę instytutu - miał ochotę spojrzeć na okna swego laboratorium: czy jest tam jasno, czy pracuje druga zmiana, może Markow zakończył już montaż aparatury? Ale nie doszedł do instytutu, bał się spotkania ze znajomymi, skręcił w boczną uliczkę i skierował się z powrotem do domu. Uliczka była pusta, ciemna. Nagle Sztrum poczuł się szczęśliwy. Śnieg, noc, niebo, świeże, mroźne powietrze, echo kroków, ciemne gałęzie drzew, wąski paseczek światła, przebijającego się ponad maskującą zasłoną w oknie drewnianego parterowego domku - wszystko to było takie piękne. Wdychał nocne powietrze, szedł cichą uliczką, nikt na niego nie patrzył. Żył, był wolny. Czemu mu jeszcze potrzeba, czego miałby pragnąć? Ale kiedy znalazł się blisko domu, uczucie szczęścia zniknęło.

Przez pierwsze dni Sztrum czekał w napięciu na wizytę Marii Iwanowny. Dni mijały, a ona nie dzwoniła. Wszystko mu odebrano - pracę, honor, spokój, wiarę w siebie. Czyżby zabrano mu i ten ostatni azył miłość? Chwilami, w absolutnej rozpacz, chwycił się rękami za głowę, wydawało się, że nie może żyć bez widoku Marii. Niekiedy mrucał: „No cóż, no cóż, no cóż”. Czasem mówił do siebie: „Komu teraz jestem potrzebny!” Jego głęboka rozpacz miała wszakże jeden jaśniejszy punkt - świadomość, że oboje, on i Maria Iwanowna, zachowali czystość duszy.

Cierpieli, ale nie dręczyli innych. Wiedział jednak, że wszystkie jego 770 myśli - filozoficzne, pojednawcze albo buntownicze - nie oddają tego, co dzieje się w jego duszy. I złość na Marię Iwanownę, i autoironia, i smętne pogodzenie się z tym, co nieuniknione, i myśli o obowiązku wobec Ludmiły Nikołajewny, i o spokoju sumienia - wszystko to były jedynie sposoby walki z własną rozpaczą. Kiedy wspominał oczy, głos Marii, ogarniała go nieznośna tęsknota. Czyżby miał jej już nie zobaczyć? A gdy nieuchronność rozłąki, poczucie utraty stały się szczególnie nieznośne, Wiktor Pawłowicz, wstydząc się przed samym sobą, powiedział do Ludmiły Nikołajewny: - Wiesz, dręczy mnie myśl o Madjarowie: czy wszystko w porządku, czy są o nim jakieś wieści? Mogłabyś chyba o to zapytać przez telefon Marię Iwanownę, co? Najdziwniejszy był chyba fakt, że nadal pracował. Pracował, a smutek, niepokój, tęsknota nie mijały.

Praca nie pomagała mu walczyć z przygnębieniem i strachem, nie była dlań duchowym lekarstwem, nie szukał w niej zapomnienia, ucieczki przed ciężkimi myślami, przed duchową rozpaczą. Praca była czymś więcej niż lekarstwem.

Pracował dlatego, że inaczej nie potrafił.

42 Ludmiła Nikołaj ewna powiedziała mężowi, że spotkała gospodarza domu; gospodarz prosił, żeby Sztrum do niego wstąpił.

Próbowali odgadnąć, o jaką sprawę chodzi. Nadmetraż? Wymiana dowodów? Kontrola komisji wojskowej? A może doniósł, że Żenia mieszkała u Sztrumów bez zameldowania? - Trzeba było go spytać - zauważył Sztrum. - Przynajmniej nie łamalibyśmy sobie głowy.

- Pewnie, że trzeba było - zgodziła się Ludmiła Nikołaj ewna - ale mnie jakoś zbił z pantałyku, bo powiedział - niech rano przyjdzie pani mąż, przecież teraz nie chodzi do pracy.

- O Boże, wszystko już wiedzą.

- Przecież każdy szpieguje - stróż, windziarz, pomoc domowa od sąsiadów. Czemu się dziwisz? 771 - Tak, tak. Pamiętasz, jak przed wojną zjawił się młody człowiek z czerwoną książeczką i chciał, żebyś go informowała, kto przychodzi do sąsiadów? - Pamiętam - przytaknęła Ludmiła Nikołajewna. - Tak na niego warknęłam, że odchodząc, rzucił tylko: „Myślałem, że jest pani świadomą obywatelką”.

Wielokrotnie opowiadała tę historię Sztrumowi, który zazwyczaj jej wtedy przerywał, żeby skrócić opowieść, ale teraz nie ponaglał żony, wypytywał ją o wszystkie okoliczności.

- Wiesz - powiedziała - może chodzi o to, że sprzedałam dwa obrusy na bazarze? - Nie sądzę. Gdyby tak było, po co by mnie wzywali, wezwaliby ciebie.

- Może chcą wziąć od ciebie jakieś zobowiązania.

Niebywale ponure były myśli Sztruma. Nieustannie wspominał swoje rozmowy z Szyszakowem i Kowczenką - czegoż to im nie nagadał! Przywoływał w pamięci swoje studenckie spory - a co wtedy napłócił! Spierał się z Dmitrijem, spierał z Krymowem, choć, co prawda, z Krymowem niekiedy się zgadzał. Ale przecież nigdy w życiu, ani przez chwilę nie był wrogiem partii, władzy radzieckiej. Nagle przypominał sobie gdzieś, kiedyś wypowiedziane ostre słowo i robiło mu się zimno.

W dodatku Krymow był twardym, ideowym komunistą, fanatykiem, nie miał żadnych wątpliwości, a i tak go aresztowali. A tu jeszcze te cholerne dyskusje z Madjarowem i Karimowem.

Jakie to dziwne! Zazwyczaj pod wieczór, o zmierzchu, zaczynał się dręczyć myślą, że go aresztują, i uczucie przerażenia robiło się coraz większe, cięższe, szersze. Ale kiedy zguba wydawała się nieunikniona, Sztrumowi nagle robiło się lekko na duszy! A, do diabła z tym wszystkim! Wydawało mu się, że oszaleje, myśląc o tym, jak niesprawiedliwie potraktowano jego pracę. Ale kiedy myśli o tym, że jest niezdolny i głupi, że ta praca jest bełkotem, grubiańskim szyderstwem z realnego świata, przestawały być myślami, a stawały się namacalną rzeczywistością - wracała wesołość.

Teraz nawet nie myślał o uznaniu swoich błędów - był żalonym nieukiem i jego skrucha na nic by się nie zdała. Nikomu nie jest potrzebny. Skruszony czy nieugięty, dla rozgniewanego państwa pozostawał jednakowo nędzny.

772 Jakże zmieniła się Ludmiła przez ten czas. Już nie mówiła przez telefon do gospodarza domu: „Proszę natychmiast przysłać ślusarza!”, nie prowadziła śledztw na schodach: „Kto to znowu porzucił śmieci koło zsypu?” Ubierała się jakoś niestosownie do okoliczności.

To bez potrzeby, idąc do sklepu przydziałowego po olej, stroiła się w drogie małpie futro, to znowu obwiązywała głowę zniszczoną szarą chustką i wkładała płaszcz, który jeszcze przed wojną chciała oddać windziarce.

Sztrum spoglądał na Ludmiłę i myślał o tym, jak oboje będą wyglądali za dziesięć czy piętnaście lat.

- Pamiętasz, w Archijereju Czechowa matka pasła krowę i opowiadała kobietom, że jej syn był kiedyś archijerejem, ale mało kto temu wierzył.

- To było dawno, czytałam Archijereja jako dziewczynka, nie pamiętam - odparła Ludmiła Nikołaj ewna.

- To przeczytaj jeszcze raz - rzekł zirytowany.

Przez całe życie miał za złe Ludmile Nikołajewnie, że nie przepada za Czechowem; podejrzewał, że wielu jego opowiadań nie czytała.

Ale dziwna rzecz, dziwna! Był coraz bardziej bezradny i słaby, coraz bliższy stanu całkowitego rozkładu duchowego; coraz niżej upadał w oczach gospodarza domu, panienek z biura kartkowego, urzędników z wydziału ewidencji, kadrowców, laborantów, uczonych, przyjaciół, krewnych nawet, Czepyżyna, może nawet żony... A Maszy jest coraz bliższy, coraz droższy. Nie widzieli się, ale wiedział to, czuł. Przy każdym nowym ciosie, nowym poniżeniu, pytał ją w myślach: „Czy widzisz mnie, Maszo?” Siedział więc obok żony i rozmawiał z nią, zajęty jednocześnie swoimi tajnymi myślami.

Zadzwoił telefon. Telefony budziły w nich teraz popłoch, jaki wywołuje w nocy depesza, zwiastunka nieszczęść.

- Ach, wiem, obiecali, że do mnie zadzwonią w sprawie pracy w spółdzielni - uspokoiła męża Ludmiła.

Podniosła słuchawkę, ściągnęła brwi i powiedziała: „Zaraz podejdzie”.

- Do ciebie - zwróciła się do męża.

Sztrum zapytał wzrokiem: „Kto?” Ludmiła zasłoniła dłonią mikrofon i powiedziała: - Nieznajomy głos, nie przypominam go sobie.

773 Sztrum wziął słuchawkę.

- Tak, zaczekam - rzekł po chwili, patrząc w pytające oczy Ludmiły Nikołajewny, wymacał na stoliku ołówek i napisał kilka krzywych liter na skrawku papieru.

Ludmiła Nikołajewna bezwiednie przeżegnała się, potem przeżegnała Wiktora Pawłowicza. Milczeli oboje.

„...Mówią wszystkie stacje radiowe Związku Radzieckiego”.

Wtedy ktoś mówiący głosem niezwykle przypominającym ten, który trzeciego lipca 1941 roku przemawiał do narodu, do wojska i całego świata - „Towarzysze, bracia, przyjaciele moi...”, zwrócił się teraz do pojedynczego człowieka, trzymającego w ręku słuchawkę: - Dzień dobry, towarzyszu Sztrum.

W tych sekundach mieszały się myśli, urywki myśli, cząstki uczuć; w jedną bryłę zespoliły się triumf, słabość, strach przed czyjąś chuligańską mistyfikacją, zapisane strony rękopisu, kartka ankiety, budynek na placu Łubiańskim...

Sztrum niesłuchanie wyraźnie poczuł, że dopełnia się jego los; do tego uczucia natychmiast dołączył się żal po utracie czegoś miłego sercu, dobrego, wzruszającego.

- Dzień dobry, Josifie Wissarionowiczu - odpowiedział i nie był pewien, czy to naprawdę on wyrzekł do słuchawki te nieprawdopodobne słowa. - Dzień dobry, Josifie Wissarionowiczu.

Rozmowa trwała dwie lub trzy minuty.

- Myślę, że pracuje pan w interesującym kierunku - rzekł Stalin.

Mówił powoli, z gardłową wymową, wyraźnie akcentując sylaby, i w rezultacie brzmiało to tak, jakby parodiował sam siebie, do tego stopnia przypominało głos, który Sztrum znał z radia. Tak właśnie, w żartach, Sztrum naśladował czasem ten głos w domu. Tak też przekazywali go ludzie, którzy słyszeli Stalina na zjazdach albo których do niego wzywano.

Czyżby mistyfikacja? - Wierzę w swoją pracę - rzekł Sztrum.

Stalin umilkł, miało się wrażenie, że zastanawia się nad słowami Sztruma.

- Czy w związku z wojną nie odczuwacie braków w literaturze zagranicznej, macie odpowiednią aparaturę? - spytał po chwili.

Ze szczerością, która zdumiała jego samego, Sztrum odpowiedział: 774 - Dziękuję bardzo, Josifie Wissarionowiczu, warunki pracy mam całkiem normalne, dobre.

Ludmiła Nikołajewna słuchała rozmowy na stojąco, tak jakby Stalin ją widział.

Sztrum machnął na żonę ręką: „Siadaj, jak ci nie wstyd...” A Stalin znowu milczał, rozważając słowa Sztruma, po czym zakończył rozmowę: - Do widzenia, towarzyszu Sztrum, życzę wam powodzenia w pracy.

- Do widzenia, towarzyszu Stalin.



Sztrum odłożył słuchawkę.

Siedzieli naprzeciwko siebie tak samo jak przed kilkoma minutami, kiedy mówili o obrusach sprzedanych przez Ludmiłę na rynku Tiszyńskim.

- Życzę wam powodzenia w pracy - powiedział nagle Sztrum z silnym gruzińskim akcentem.

Coś niesłychanego, doprowadzającego do szaleństwa było w tym, że nie zmienił się kredens, pianino, krzesła, w tym, że dwa nieumyte talerze stały na stole tak samo jak podczas rozmowy o gospodarzu domu. Przecież wszystko się zmieniło, odwróciło, czekał ich całkiem inny los.

- Co ci powiedział? - Nic specjalnego, spytał, czy nie przeszkadza mi w pracy brak literatury zagranicznej - wyjaśnił Sztrum, pragnąc samemu sobie wydać się spokojnym i obojętnym.

Chwilami peszyło go, że poczuł się aż tak uszczęśliwiony.

- Luda, Luda, pomyśl, przecież nie ugiąłem się, nie pokajałem, nie napisałem do niego listu. Sam zadzwonił! Sam! To, co niewiarygodne, spełniło się! Potęga wydarzenia była ogromna.

Czyżby naprawdę Wiktor Pawłowicz miotał się, nie sypiał po nocach, mdlał, wypełniając ankiety, łapał się w rozpacz za głowę, wyobrażając sobie, co mówiono o nim na radzie naukowej, przywoływał swoje przewinienia, kajał się w myślach i prosił o wybaczenie, oczekiwał aresztowania, myślał o nędzy, zamierał na myśl o rozmowie z urzędniczką w biurze ewidencji, z panienką z biura kartkowego?! - Boże mój, Boże - westchnęła Ludmiła Nikołajewna - Tola nigdy się o tym nie dowie.

Podeszła do drzwi pokoju syna i otworzyła je.

Sztrum podniósł słuchawkę z widełek i znowu odłożył.

775 - A może to jakiś dowcip? - powiedział z wahaniem. Z okna zobaczył pustą ulicę, którą przeszła kobieta w wutowanej bluzie.

Znowu podeszedł do telefonu, postukał w słuchawkę zgiętym palcem.

- Jaki miałem głos? - zapytał.

- Mówiłeś bardzo powoli. Wiesz, sama nie rozumiem, dlaczego nagle wstałam.

- Stalin! - A może to rzeczywiście dowcip? - No, coś ty, kto by się ośmielił? Za takie żarty daliby dziesięć lat jak nic.

Ledwie godzinę temu chodził po pokoju i przypominał sobie romans Goleniszczewa-Kutuzowa: Leży samotny, zapomniany...

Telefony od Stalina! Raz na rok czy nawet dwa razy po Moskwie szła wieść: Stalin zadzwonił do reżysera Dowżenki, Stalin zadzwonił do pisarza Erenburga.

Nie musiał wydawać poleceń: przyznajcie mu nagrodę, dajcie mieszkanie, zbudujcie dla niego instytut naukowy! Był zbyt wielki, żeby mówić o tym. Wszystko to robili jego pomocnicy, odgadywali życzenia wodza z wyrazu oczu, z intonacji głosu. A jemu wystarczyło tylko dobrodusznie uśmiechnąć się do kogoś, by zmienić jego los. Na takiego człowieka, wydobytego z mroku, z anonimowości, spadał deszcz splendorów,

pochwał, przywilejów. Dziesiątki ważnych osobistości chyliło głowy przed takim szczęśliwcem; przecież Stalin obdarzył go uśmiechem, zażartował w rozmowie telefonicznej.

Ludzie przekazywali sobie szczegóły tych rozmów, każde słowo wypowiedziane przez Stalina, wprawiało ich w zdziwienie. Im bardziej było ono wytarte, tym bardziej zdumiewało - wydawało się, że Stalin nie mógłby użyć wytartego słowa.

Mówiono, że zadzwonił do sławnego rzeźbiarza i powiedział do niego żartem: - Witaj, stary pijaku.

Innego sławnego i bardzo przyzwoitego człowieka spytał o aresztowanego kolegę, a kiedy ten zmieszał się i odpowiedział niezbyt jasno, Stalin oświadczył: 776 - Źle broni pan swoich przyjaciół.

Opowiadano, że zatelefonował do redakcji gazety młodzieżowej, a zastępca naczelnego przedstawił się: - Tu Bubiekin.

Stalin spytał: - A kto to jest Bubiekin? Bubiekin odparł: - Takie rzeczy trzeba wiedzieć. - i trzasnął słuchawką.

Stalin zadzwonił do niego jeszcze raz i oznajmił: - Towarzyszu Bubiekin, mówi Stalin. Powiedzcie, proszę, kim jesteście? Opowiadano, że Bubiekin po tym zdarzeniu doznał wstrząsu nerwowego i przeleżał dwa tygodnie w szpitalu.

Jedno słowo Stalina mogło zniszczyć tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi.

Mogło obrócić w nicość, w pyłek kurzu, marszałka, narkoma, członka KC partii, sekretarza komitetu obwodowego - ludzi, którzy jeszcze wczoraj dowodzili armiami, frontami, rządili republikami, obwodami, olbrzymimi fabrykami; dzisiaj każdy z nich mógł, podzwaniając menażką, czekać przed kuchnią obozową na łyżkę nędznej zupy.

Opowiadano, że Stalin i Beria odwiedzili nocą starego bolszewika, Gruzina, którego niedawno wypuszczono z łubianki, i przesiedzieli u niego do rana. Lokatorzy mieszkania bali się wychodzić do ubikacji, a rano nie poszli nawet do pracy. Opowiadano, że drzwi otworzyła gościom akuszerka, starsza mieszkania, w nocnej koszuli, z mopsikiem na ręku, bardzo zła, że nocni przybysze nie nacisnęli dzwonka tyle razy, ile należało. Potem opowiadała: „Otworzyłam drzwi i zobaczyłam portret, i ten portret idzie prosto na mnie”. Podobno Stalin w pewnej chwili wyszedł na korytarz i długo oglądał kartkę przypiętą do ściany obok telefonu; na niej mieszkańcy kreskami zaznaczali liczbę rozmów, żeby wiedzieć, kto ma za ile zapłacić.

Wszystkie te zdarzenia zdumiewały i śmieszyły właśnie zwyczajnością słów i sytuacji, to właśnie one były nieprawdopodobne - Stalin chodzący po korytarzu mieszkania komunalnego! Przecież na jedno jego słowo powstawały olbrzymie budowle, kolumny drwali ruszały w tajgę, stutysięczne masy ludzkie kopały kanały, wznosiły miasta, budowały drogi w kraju nocy polarnych i wiecznej zmarzliny.

Był uosobieniem wielkiego państwa! Słońce konstytucji stalinowskiej...

777 Partia Stalina... Stalinowskie pięciolatki... Stalinowskie budowle... Stalinowska strategia... Stalinowskie lotnictwo... Wielkie państwo w nim się wyraziło; to on odzwierciedlał jego charakter, jego wady.

Wiktor Pawłowicz powtarzał ciągle: „Życzę wam powodzenia w pracy... Myślę,

że pracuje pan w interesującym kierunku..." Teraz było jasne: Stalin wiedział o tym, że za granicą zaczęto zwracać uwagę na fizyków badających zjawiska nuklearne.

Sztrum czuł, że wokół tych zagadnień powstaje dziwne napięcie, wyczuwał je między wierszami w artykułach fizyków angielskich i amerykańskich, w niedomówieniach łamiących logiczny tok myśli. Zauważył, że nazwiska badaczy często publikujących swoje prace zniknęły ze stron czasopism fizycznych, że ludzie pracujący nad rozszczepieniem jądra ciężkiego całkiem jakby się rozpuścili, nikt nie powoływał się na ich prace. Odczuwał narastające napięcie, milczenie, ledwie problematyka zaczynała zatracać o zagadnienia rozpadu jądra uranu. Niejednokrotnie Czepyżyn, Sokołow, Markow zaczynali rozmowy na te tematy. Jeszcze niedawno Czepyżyn mówił o krótkowzrocznych ludziach, którzy nie widzą praktycznych perspektyw, związanych z oddziaływaniem neutronów na jądro ciężkie. On sam akurat nie chciał pracować w tej dziedzinie...

W powietrzu pełnym tupotu żołnierskich butów, płomieni wojny, dymu, zgrzytu gąsienic czołgów powstało nowe, bezszelestne napięcie; najpotężniejsza w tym świecie ręka podniosła słuchawkę telefonu, a fizyk teoretyk usłyszał powolny głos: „Życzę wam powodzenia w pracy”.

Nowy, nieuchwytny, lekki cień legł na spalonej przez wojnę ziemi, na siwych i na dziecięcych głowach. Ludzie nie odczuwali go, nie wiedzieli o nim, nie czuli narodzin siły, która miała niebawem nadejść.

Długa droga wiodła od biurki kilkudziesięciu fizyków, od kartek zapisanych greckimi literami beta, alfa, ksi, gamma, sigma, od szaf bibliotecznych i pomieszczeń laboratoryjnych do szatańskiej siły kosmicznej - przyszłego berła państwowej potęgi.

Już ruszono tą drogą, a niemy cień, ciągle gęstniejąc, zamieniał się w mrok, który gotów był pochłonąć ogrom Moskwy i Nowego Jorku.

Tego dnia Sztrum nie cieszył się z triumfu swojej pracy, którą, jak już się wydawało, zesłano na zawsze do szuflady jego domowego biurka. Teraz opuści ona to więzienie i wróci do laboratorium, trafi do 778 profesorskich wykładów i odczytów. Nie, nie myślał o triumfie prawdy naukowej, o swoim zwycięstwie, o tym, że znowu może pchnąć naukę do przodu, mieć uczniów, istnieć na stronach czasopism i podręczników, niepokoić się, czy jego myśl potwierdza wskazania licznika i ślady w emulsji fotograficznej.

Poczuł całkiem inną satysfakcję - osobistego triumfu nad ludźmi, którzy go prześladowali. Przecież niedawno wydawało mu się, że nie czuje do nich żalu. Nawet dzisiaj nie chciał się na nich mścić, odpłacać im złem, ale jego duszę i umysł przepęłniało szczęście, kiedy wspominał wszystkie złe, nieuczciwe, okrutne, tchórzliwe postęпки, jakich się dopuścili. Im gorzej, im podlej go potraktowali, tym słodziej było teraz o tym wspominać. Nadia wróciła ze szkoły, a Ludmiła Nikołajewna krzyknęła: - Nadia, Stalin zadzwonił do taty! Widząc zaś podniecenie córki, która wbiegła do pokoju w zdjętym do połowy płaszczu, wlokąc za sobą po podłodze szalik, Sztrum jeszcze wyraźniej uświadomił sobie, jaki popłoch ogarnie dziesiątki ludzi, kiedy dzisiaj i jutro dowiedzą się o tym, co zaszło.

Usiedli do obiadu; Sztrum nagle odłożył łyżkę i oznajmił: - Przecież wcale nie chce mi się jeść.

Ludmiła Nikołajewna powiedziała: - To ostateczna hańba dla twoich wrogów i dręczycieli. Wyobrażam sobie, co się teraz zacznie w instytucie i w Akademii Nauk.

- Tak, tak... tak - potwierdził.

- A panie w sklepie przydziałowym będą ci się, mamusiu, znowu kłaniać i uśmiechać się do ciebie - wróżyła Nadia.

- Tak, tak. - Ludmiła Nikołajewna uśmiechnęła się.

Sztrum zawsze gardził pochlebcami, ale teraz cieszyła go myśl o przymilnym uśmiechu Aleksieja Aleksiejewicza Szyszakowa.

Dziwne, niepojęte! Z uczuciami radości i triumfu, których doświadczał, cały czas mieszał się płynący z głębi duszy smutek, żal za czymś drogim, czymś najskrytszym, co, miał wrażenie, opuszczało go w tych godzinach. Wydawało mu się, że w czymś wobec kogoś zawinił, ale w czym i wobec kogo - nie wiedział.

Jadł swoją ulubioną zupę, gryczany krupnik z ziemniakami, i przypomniał sobie swoje dziecięce łyzy, kiedy chodził wiosenną nocą po Kijowie i patrzył na gwiazdy prześwitujące między kwitnącymi 779 kasztanami. Świat wtedy wydawał mu się piękny, przyszłość - ogromna, wypełniona cudownym światłem i dobrem. Dzisiaj, kiedy jego los się dopełnił, miał wrażenie, że się żegna ze swoją czystą, dziecinną, niemal religijną miłością do nauki, żegna się z uczuciem, które nawiedziło go kilka tygodni temu, kiedy przezwyńczył olbrzymi strach i nie sprzeniewierzył się samemu sobie.

Znał tylko jedną osobę, której mógłby o tym opowiedzieć, ale jej przy nim nie było.

Dziwna rzecz. Odczuwał niecierpliwe pragnienie, żeby wszyscy jak najprędzej dowiedzieli się o tym, co się stało. W instytucie, w audytoriach uniwersyteckich, w Komitecie Centralnym, w Akademii Nauk, w administracji, w zarządzie domków letniskowych, w katedrach, w towarzystwach naukowych. Obojętne było Sztrumowi, czy o tej nowinie dowie się Sokołow. Nie rozumem natomiast, ale całym sercem pragnął, żeby ta nowina nie dotarła do Marii Iwanowny. Jakby czuł, że jego miłość ma się lepiej, kiedy on sam jest zaszczuty i nieszczęśliwy.

Tak mu się wydawało.

Opowiedział żonie i córce anegdotę, którą obie znały jeszcze z czasów przedwojennych: Stalin nocą pojawił się w metrze; lekko podpity, usiadł koło młodej kobiety i zapytał: - W czym mógłbym pani pomóc? Kobieta odparła: - Bardzo chciałabym obejrzeć Kreml.

Stalin nie odpowiedział od razu, ale po chwili namysłu.

- To chyba mógłbym dla pani zrobić.

Nadia odezwała się: - Widzisz, tato, dzisiaj jesteś tak ważny, że mama pozwoliła ci opowiedzieć do końca tę historię; nie przerwała, chociaż słyszała ją sto jedenaście razy.

I znowu, po raz sto jedenasty, uśmieiali się z prostodusznej kobiety.

Ludmiła Nikołaj ewna spytała: - Witia, może byśmy się tak napili wina z tej okazji? Przyniosła torebkę cukierków, która czekała na urodziny Nadi.

- Jedzcie - zachęciła - tylko, Nadia, nie rzucaj się na nie jak wilk.

- Tato, posłuchaj - powiedziała nagle Nadia. - Dlaczego śmiejemy się z tej kobiety w metrze? Dlaczego nie wspomniałeś mi o wujku Miti i o Nikołaju Grigorjewiczu? 780 - Ależ co ty mówisz, czy to w ogóle coś, co da się załatwić? - zachnął się Sztrum.

- A ja myślę, że się da. Babcia powiedziała by od razu, jestem pewna, że by powiedziała.

- Możliwe - zgodził się Sztrum. - Możliwe.

- No, dosyć głupstw - przerwała tę wymianę zdań Ludmiła Nikołaj ewna.

- Ładne mi głupstwa, los twojego brata - zaprotestowała Nadia.

- Witia - powiedziała Ludmiła Nikołajewna - trzeba zadzwonić do Szyszakowa.

- Ty chyba nie doceniasz tego, co się stało. Do nikogo nie trzeba dzwonić.

- Zadzwon do Szyszakowa - z uporem powtórzyła Ludmiła Nikołajewna.

- Jak Stalin tobie powie: „Życzę powodzenia”, to wtedy będziesz mogła dzwonić do Szyszakowa.

Tego dnia Sztrum zaczął odczuwać jakoś inaczej, po nowemu. Przedtem wciąż irytował go bałwochwalczy stosunek do Stalina. Jego nazwisko wypełniało gazety od pierwszej do ostatniej szpalty. Portrety, popiersia, pomniki, oratoria, poematy, hymny... Nazywano go ojcem, geniuszem...

Oburzało go, że imię Stalina przyćmiewało imię Lenina, że jego wojenny geniusz przeciwstawiano cywilnemu z gruntu umysłowi Lenina.

W jednej ze sztuk Aleksieja Tołstoja Lenin usłużnie podawał ogień Stalinowi do jego ulubionej fajki. Pewien malarz przedstawił na obrazie Stalina kroczącego po stopniach Instytutu Smolnego; Lenin biegł za nim pośpiesznie jak kogucik. Jeśli ktoś malował Lenina i Stalina wśród ludu, to na Lenina z czułością patrzyli tylko staruszkowie, babcie i dzieci, a do Stalina ciągnęli uzbrojeni tytani - robotnicy, marynarze oplatanymi taśmami do kaemów. Historycy, opisując decydujące chwile Kraju Rad, przedstawiali sprawę tak, jakby Lenin nieustannie pytał Stalina o radę i w czasie buntu kronsztadzkiego, i podczas obrony Carycyna, i w czasie ofensywy wojsk polskich. Strajkowi w Baku, w którym brał udział Stalin, gazecie „Brdzoła”, którą kiedyś redagował, historycy partii poświęcali więcej miejsca niż całemu ruchowi rewolucyjnemu w Rosji.

- „Brdzoła”, „Brdzoła” - ze złością powtarzał Wiktor Pawłowicz. - Był Żelabow, był Plechanow, Kropotkin, byli dekabryści, a teraz nic, tylko „Brdzoła” i „Brdzoła”...

781 Przez tysiąc lat Rosja była krajem nieograniczonego samodzielnego, krajem carów i faworytów. Ale takiej władzy, jaką miał Stalin, nie znano w ciągu tysiącletniej historii Rosji.

Dzisiaj jednak Sztrum nie złościł się, nie dziwił. Im potężniejsza była władza Stalina, im bardziej ogłuszające fanfary i hymny, im większe obłoki dymu kadzidlanego, spowijające żywego bałwana, tym silniejsze było radosne wzruszenie Sztruma.

Zaczynało się ściemniać, a strach nie nadchodził.

Stalin z nim rozmawiał! Stalin powiedział do niego: „Życzę wam powodzenia w pracy”.

Kiedy się ściemniło, wyszedł na ulicę.

W ten mroczny wieczór nie doświadczył uczucia bezradności i klęski.

Był spokojny. Wiedział - tam gdzie wypisuje się nakazy aresztowania, są już o wszystkim powiadomieni. Dziwnie teraz myślało mu się o Krymowie, Dmitriju, Abarczuku, o Madjarowie, Czetwierikowie... Ich los nie stał się jego losem. Myślał o nich ze smutkiem, ale jak o ludziach obcych.

Sztruma cieszyło zwycięstwo - zwyciężyła jego siła duchowa, jego umysł. Nie przejmował się tym, że dzisiaj sze szczęście jest tak niepodobne do uczucia, którego doświadczył owego sądnego dnia, kiedy wydało mu się, że matka stoi przy nim. Teraz było mu obojętne, czy aresztowano Madjarowa i czy Krymow zeznaje przeciwko niemu. Po raz pierwszy w życiu nie bał się swoich ryzykownych żartów i nieostrożnych wypowiedzi.

Późnym wieczorem, kiedy Ludmiła i Nadia położyły się spać, zadzwonił telefon.

- Dobry wieczór - odezwał się cichy głos, a Sztruma ogarnęło wzruszenie większe bodaj niż to, którego dzisiaj doświadczył.

- Dobry wieczór.

- Musiałam usłyszeć pański głos. Proszę powiedzieć cokolwiek.

- Masza, Maszeńka - rzekł tylko i umilkł.

- Wiktorze, kochany - mówiła Maria Iwanowna - nie mogłam okłamać Piotra Ławrientjewicza. Powiedziałam mu, że pana Kocham. Przysięgam mu, że nigdy się z panem nie zobaczę.

Rankiem Ludmiła Nikołajewna weszła do jego pokoju, pogłaskała go po włosach, pocałowała w czoło.

- Przez sen słyszałam, że w nocy rozmawiasz z kimś przez telefon.

- Nie, wydawało ci się - zaprzeczył, spokojnie patrząc jej w oczy.

- Pamiętaj, masz pójść do gospodarza domu.

782 43 Człowiekowi przywykłemu do świata mundurów i bluz wojskowych dziwna wydawała się marynarka śledczego. Za to twarz - zwyczajna; wiele widuje się takich żółtawobladych twarzy wśród kancelaryjnych majorów i pracowników politycznych.

Odpowiadać na pierwsze pytania było łatwo, nawet przyjemnie; może i reszta będzie tak samo oczywista jak nazwisko, imię i imię odojcowskie.

W odpowiedziach aresztowanego czuło się usłużną gotowość do pomocy śledczemu. Śledczy nic przecież o nim nie wiedział. Urzędowe biurko, stojące między nimi, nie dzieliło ich. Obaj płacili partyjne składki członkowskie, oglądali film Czapajew, słuchali instruktaży w moskiewskim Komitecie partii, przed świętem majowym posyłano ich do przedsiębiorstw z odczytami.

Wstępnych pytań było wiele, więc aresztowany czuł się coraz spokojniejszy. Wkrótce dojdą do sedna sprawy, a wtedy opowie, jak wyprowadził ludzi z okrażenia.

Tak więc w końcu stało się oczywiste, że siedząca przy stole nieogolona istota z odpiętym kołnierzem bluzy wojskowej i odprutymi guzikami ma imię, imię ojcowskie, nazwisko, urodziła się pewnego jesiennego dnia, jest narodowości rosyjskiej, brała udział w dwóch wojnach światowych i jednej domowej, nie należała do band, nie była sądzona, do Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików) należy od dwudziestu pięciu lat, była delegatem na kongres Kominternu, delegatem na kongres związków zawodowych regionu Oceanu Spokojnego, orderów ani honorowej broni białej nie posiada...

Napięcie Krymowa wiązało się z myślami o okrażeniu, o ludziach, którzy szli z nim przez bagna Białorusi i pola Ukrainy.

Kto z nich został aresztowany, kto utracił na przesłuchaniu wolę i sumienie? Wtem padło pytanie, którego Krymow się nie spodziewał dotyczyło całkiem innych, odległych lat.

- Powiedźcie, kiedy zaczęła się wasza znajomość z Fritzem Hackenem? Długo milczał, potem odpowiedział: - Jeśli się nie mylę, było to w Centralnej Radzie Związków Zawodowych, w gabinecie Tomskiego, chyba wiosną dwudziestego siódmego roku.

783 Śledczy skinął głową, zupełnie jakby znał ten odległy fakt.

Następnie westchnął, otworzył teczkę z adnotacją „Archiwum wieczyste”, bez pośpiechu rozwiązał białe tasiemki i zaczął przerzucać zapisane kartki. Krymow niewyraźnie widział atramentowe pismo różnych kolorów, widział maszynopisy, to z podwójnym odstępem, to z pojedynczym, zamaszyste lub oszczędne uwagi, zrobione czerwonym, niebieskim i zwykłym grafitowym ołówkiem.

Śledczy powoli przewracał kartki - tak prymus przerzuca kartki podręcznika, wiedząc dobrze, że przestudiował go od deski do deski.

Z rzadka rzucał spojrzenie na Krymowa. W takich chwilach był już artystą, sprawdzał podobieństwo rysunku z modelem: i zewnętrzne cechy, i charakter, i zwierciadło ducha - oczy...

Jakim złym wzrokiem teraz patrzył... Jego przeciętna twarz - Krymow często takie widywał po 1937 roku w komitetach rejonowych, obwodowych, w komisariatach milicji, w bibliotekach i wydawnictwach - nagle straciła swoją przeciętność. Krymowowi wydawało się, że funkcjonariusz cały składa się jakby z klocków, ale oddzielnych; te klocki nie tworzyły całości - człowieka. Na jednym klocku były oczy, na drugim powolne ręce, na trzecim usta zadające pytania. Klocki się pomieszały, straciły proporcje, usta zrobiły się nienaturalnie duże, oczy znalazły się poniżej ust, bo tkwiły w zmarszczonym czole, a czoło zajęło miejsce podbródka.

- Aha, no więc tak - rzekł śledczy i jego twarz znowu się ucłowieczyła. Zamknął teczkę, a wijące się tasiemki zostawił luzem.

„Jak rozwiązany but” - pomyślała istota z odprutymi od spodni i kalesonów guzikami.

- Międzynarodówka Komunistyczna - powoli i uroczyście powiedział śledczy i

dodał zwyczajnym głosem: - Nikołaj Krymow, pracownik Kominternu - po czym znowu powoli, uroczyście ciągnął: - Trzecia Międzynarodówka Komunistyczna.

Po czym dosyć długo rozmyślał w milczeniu. Nagle się ożywił.

- A z tej Muśki Grinberg była dziarska kobitka - rzuci łobuzersko, jak to w rozmowach między mężczyznami. Krymow natomiast zmieszał się i mocno poczerwieniał.

Przecież to prawda! Ale jakże dawno to było, a wstyd nadal trwał.

Zdaje się, że kochał już wtedy Żenię. Zdaje się, że po pracy odwiedził chyba starego przyjaciela, chcąc mu zwrócić dług; zdaje się, że pożył 784 czył, kiedy obaj przebywali na delegacji. Dalej już wszystko pamiętał dokładnie, bez „zdaje się”. Konstantina nie było w domu. A przecież nigdy mu się nie podobała - miała niski głos od ciągłego palenia papierosów, o wszystkim mówiła z absolutną pewnością siebie, w Instytucie Filozofii była drugim sekretarzem partii; prawda, że ładna, jak mówili, postawna kobieta. Tak... to żonę Kosty obściskował na kanapie, a potem jeszcze dwa razy się z nią spotkał...

Godzinę temu myślał, że śledczy, człowiek z awansu, ze wsi, nic o nim nie wie...

Teraz mijał czas, a śledczy wypytywał o zagranicznych komunistów, towarzyszy Nikołaja Grigorjewicza - znał ich zdrobniałe imiona i żartobliwe przezwiska, imiona żon i kochanek. Coś złowrogiego czuło się w ogromie jego wiedzy.

Choćby Nikołaj Grigorjewicz był nie wiem jaką osobistością, której każde słowo ważne jest dla historii, to i tak nie miałoby sensu zbierać w teczce tylu starych śmieci i drobiazgów.

Ale tu nie było drobiazgów.

Gdziekolwiek szedł, zostawiał ślady, świta deptała mu po piętach, zapamiętywała jego życie.

Kpiąca uwaga o towarzyszu, słówko o przeczytanej książce, żartobliwy toast urodzinowy, trzyminutowa rozmowa telefoniczna, złośliwa notatka, zrobiona w prezydium zebrania - wszystko gromadzono w teczce z tasiemkami.

Jego słowa, jego czyny zostały zebrane, zasuszone, tworzyły teraz obszerny zielnik. Czyjeś nieżyczliwe palce pracowicie zbierały burzan, pokrzywę, oset, lebidę...

Wielkie państwo interesowało się jego romansem z Muską Grinberg. Banalne słówka, drobiazgi splatały się z jego wiarą, jego miłość do Jewgienii Nikołajewny nic nie znaczyła, miały znaczenie tylko przypadkowe, błahe związki, i teraz już nie umiał odróżnić tego, co najważniejsze, od głupstw. Wypowiedziana kiedyś lekceważąca opinia o wiedzy filozoficznej Stalina zdawała się ważyć więcej niż dziesięć lat jego morderczej pracy partyjnej. Rzeczywiście w 1932 roku, w gabinecie Łobzowskiego, rozmawiał z przybyłym z Niemiec towarzyszem i powiedział, że w radzieckim ruchu związkowym zbyt wiele jest elementu państwowego, a zbyt mało proletariackiego! No i towarzysz zakapował.

785 Ale, Boże mój, wszystko to kłamstwo! Chrząszcząca, lepka pajęczyna włązi do ust, do nosa.

- Zrozumcie, towarzyszu śledczy...



- Obywatelu śledczy.

- Tak, tak, obywatelu. Przecież to szwindel, wszystko tendencyjnie dobrane. Jestem w partii ćwierć wieku. Buntowałem żołnierzy w roku siedemnastym. Cztery lata byłem w Chinach. Pracowałem dniami i nocami. Znają mnie setki ludzi... W czasie wojny ojczyźnianej zgłosiłem się na ochotnika, w najtrudniejszych chwilach ludzie mi wierzyli, szli za mną... Ja...

Śledczy spytał: - Cóż to, przyszlście tutaj po dyplom honorowy? Wypisujecie wniosek o nagrodę? Prawda, nie o dyplom honorowy przecież zabiega.

Śledczy pokręcił głową.

- I jeszcze się skarży, że mu żona nie przynosi paczek. Wierny małżonek! Te słowa powiedział w celi do Bogolejewa. Boże! Katzenellenbogen w żartach powiedział przecież: „Grek głosił, że wszystko płynie, a my mówimy - wszyscy donoszą”.

Kiedy jego życie znalazło się w wiązanej teczce, straciło objętość, ciężar, proporcje... Wszystko zbiło się w jakąś szarą, lepką kluchę, i już sam nie wiedział, co znaczyło więcej: cztery lata wytężonej pracy podziemnej w morderczej, parnej wilgoci Szanghaju, przeprawa stalingradzka, rewolucyjna wiara czy kilka słów o niskim poziomie prasy radzieckiej, wypowiedzianych w rozdrażnieniu w sanatorium „Sosny” do słabo znanego literaturoznawcy.

Śledczy polecił życzliwie, niegłośnie, uprzejmie: - A teraz opowiedzcie mi, w jaki sposób faszysta Hacken wciągnął was w działalność szpiegowską i dywersyjną.

- Czy wy to poważnie...

- Nie udawajcie głupiego, Krymow. Sami widzicie, że wiemy o każdym waszym kroku.

- No właśnie, właśnie dlatego...

- Dajcie spokój, Krymow. Organów bezpieczeństwa nie oszukacie.

- Ale to przecież kłamstwo! 786 - Wiecie co, Krymow, mamy zeznanie Hackena. Skruszony przyznał się, że zbrodniczo z wami współpracował.

- Okażcie mi choćby i dziesięć zeznań Hackena. To fałszywka! Bzdura! Jeśli macie takie zeznanie Hackena, to dlaczego mnie, dywersantowi, szpiegowi, powierzono stanowisko komisarza wojskowego, dlaczego pozwolono mi prowadzić ludzi do walki? Gdzieście byli, jak pilnowaliście? - Myślicie, że wezwano was, żebyście nas pouczali? Chcecie kierować pracą organów, tak? - Co tu ma do rzeczy pouczanie i kierowanie?! To sprawa logiki.

Znam Hackena, nie mógł powiedzieć, że mnie zwerbował. Nie mógł! - Niby dlaczego nie mógł? - Bo to komunista, rewolucjonista.

Śledczy spytał: - Zawsze byliście tego pewni? - Tak - potwierdził Krymow. - Zawsze! Śledczy, kiwając głową, przewracał karty sprawy, i niby to niepewnie powtarzał: - No, skoro zawsze, to zmienia sprawę... to zmienia sprawę...

Podał Krymowowi jakiś papier.

- Przeczytajcie no - powiedział, zasłaniając dłonią część kartki.

Krymow czytał pismo, wzruszając ramionami.

- Trochę lipne - rzekł, prostując się.

- Dlaczego? - Ten ktoś nie ma śmiałości wprost oświadczyć, że Hacken jest uczciwym komunistą, a nie starczy mu podłości, żeby go oskarżyć, więc się wykręca.

Śledczy odsunął dłoń i pokazał Krymowowi podpis: Krymow, oraz datę: luty 1938 roku.

Milczeli. Potem śledczy spytał surowo: - Może was bito i dlatego złożyliście te obciążające zeznania? - Nie, nie bito.

Twarz śledczego znowu rozpadła się na klocki, pełne złości oczy patrzyły z obrzydzeniem, usta mówiły: - No właśnie. A kiedy byliście w okrążeniu, zostawiliście swój oddział na dwa dni. Wojskowym samolotem dowieziono was do sztabu grupy 787 armii niemieckich, tam przekazaliście ważne dane i otrzymaliście nowe instrukcje.

- Skończone bzdury - wymamrotała istota z rozpiętym kołnierzykiem bluzy.

A śledczy dalej robił swoje. Krymow już nie czuł się człowiekiem ideowym, silnym, trzeźwo myślącym, gotowym pójść na śmierć za sprawę rewolucji.

Czuł, że jest słaby, niezdecydowany, że za dużo paplał, powtarzał głupie plotki, pozwalał sobie na drwiny z uczuć, jakimi naród radziecki darzy towarzysza Stalina. Zawierał zbyt pochopnie znajomości, wśród jego przyjaciół było wielu represjonowanych. W jego poglądach teoretycznych panował zamęt. Spał z żoną przyjaciela. Złożył podłe, dwulicowe zeznania w sprawie Hackena.

Czyżbym to ja tutaj siedział, czy naprawdę mnie to spotyka? To sen, piękny sen nocy letniej...

- A przed wojną przekazywaliście do zagranicznego ośrodka trockistowskiego informacje o nastrojach wśród czołowych działaczy międzynarodowego ruchu rewolucyjnego.

Nie potrzeba było idioty ani łajdaka, żeby taką żalostną, nędzną istotę podejrzewać o zdradę. Na miejscu śledczego Krymow też nie ufałby podobnemu osobnikowi. Znał nowy typ pracowników partyjnych, którzy przyszli, żeby zastąpić tych, których zlikwidowano albo usunięto w 1937 roku. To byli ludzie ulepieni z innej gliny niż on. Czytali inne książki, w dodatku czytali je inaczej - nie czytali, tylko „opracowywali”. W życiu cenili i lubili dobra materialne, ofiarność rewolucyjna była im obca, sprzeczna z ich charakterem. Nie znali języków obcych, byli dumni ze swojej rosyjskości, ale po rosyjsku mówili źle, wymawiali: „procynt”, „ralizacja zadań produkcyjnych”, akcentowali końcówkę „iśmy”. Trafiali się wśród nich osobnicy inteligentni, ale wydawało się, że w pracy ich najważniejszą zaletą jest nie ideowość ani mądrość, tylko urzędnicza sprawność, wyrachowane, trzeźwe, mieszczańskie podejście.

Krymow rozumiał, że i nowe, i stare kadry w partii łączy wielka wspólna sprawa, że nie chodzi o różnice, tylko o podobieństwa. Zawsze jednak odczuwał wyższość nad nowymi ludźmi, wyższość leninowca.

Nie zauważył, że jego związek ze śledczym nie polega już na tym, że gotów jest pozwolić tamtemu zbliżyć się do siebie, uznać w nim 788 towarzysza partyjnego. Teraz

pragnienie więzi ze śledczym sprowadzało się do żalosnej nadziei, że to funkcjonariusz pozwoli zbliżyć się do siebie Nikołajowi Krymowowi, a przynajmniej zgodzi się, że nie wszystko w nim jest złe, nędzne, brudne.

Teraz już pewność siebie śledczego była pewnością komunisty, a Krymow nie spostrzegł nawet, kiedy to się stało.

Nagle jednak zdarł ze swej kory mózgowej słabość, która ją zżerała, i wykrzyknął: - Niczego ze mną nie wskóracie! Nie podpiszę fałszywych zeznań! Słyszycie? Na torturach nie podpiszę! Tamten powiedział: - Zastanówcie się.

Zaczął przewracać papiery, nie patrząc na Krymowa. A czas mijał.

Śledczy odsunął teczkę Krymowa na bok i wyjął z biurka kartkę papieru.

Wydawało się, że zapomniał o Krymowie, pisał, nie śpiesząc się, mrużąc oczy, zbierając myśli. Potem przeczytał to, co napisał, znowu się zamyślił, wyjął z szuflady kopertę i zaczął wypisywać na niej adres. Możliwe, że nie był to list służbowy. Potem przeczytał adres i podkreślił dwiema kreskami nazwisko na kopercie. Potem napełnił wieczne pióro i długo zdejmował z niego krople atramentu. Potem zaczął ostrzyć ołówki nad popielniczką; w jednym z nich grafit ciągle się łamał, ale śledczy nie złościł się na ołówek, za każdym razem cierpliwie zaczynał temperować go na nowo. Potem próbował palcem, czy grafit jest ostry.

A istota myślała. Miała o czym myśleć.

Skąd tylu donosicieli! Koniecznie trzeba sobie przypomnieć, kto donosił. Ale po co? Muska Grinberg... Śledczy jeszcze dobierze się do Żeni... Dziwne jednak, że ani słowa o niej nie powiedział, nie spytał...

Czyżby Wasia informował o mnie?... Ale do czego, do czego mam się przyznać? Ja już jestem tutaj, tajemnica pozostanie tajemnicą; partio, po co ci to? Josif, Koba, Soso. Za jakie grzechy zabiłeś tylu dobrych i silnych ludzi? Trzeba się bać nie pytań śledczego, ale milczenia, tego, o czym on milczy. Katzenellenbogen ma rację. No oczywiście, będzie mówił o Żeni, to jasne, że ją aresztowano. Skąd to wszystko, jak się zaczęło? Czy to naprawdę ja tutaj siedzę? Jakie to smutne, tyle świństwa w moim życiu. Wybaczcie mi, towarzyszu Stalin! Jedno wasze słowo, Josifie Wissarionowiczu! Jestem winny, zagubiłem się, gadałem za dużo, wątpiłem, partia wszystko wie, wszystko widzi. Dlaczego, dlaczego 789 rozmawiałem z tym literaturoznawcą? A czy to nie wszystko jedno? Co ma do tego okrażenie? To wszystko idiotyczne - kalumnia, kłamstwo, prowokacja. Dlaczego, dlaczego wtedy nie powiedziałem o Hackenie: „To mój przyjaciel, towarzysz, nie wątpię w jego uczciwość”? Nawet Hacken odwrócił od niego swoje nieszczęsne oczy...

Nagle śledczy zapytał: - No jak, przypomnieliście sobie? Krymow rozłożył ręce i powiedział: - Nie mam czego sobie przypominać.

Zadzwoił telefon.

- Słucham - rzucił w słuchawkę śledczy i zerknąwszy na Krymowa, mówił dalej:  
- Tak, przygotuj, niedługo będzie zmiana - a Krymow miał wrażenie, że mówią właśnie o nim.

Następnie śledczy odłożył słuchawkę i znowu ją podniósł. Zdumiewająca to była rozmowa, jakby obok siedział nie człowiek, ale dwunożny czworonóg. Śledczy

najwyraźniej rozmawiał z żoną.

Najpierw kwestie dotyczyły życia codziennego: -W przydzielonym? Gęś, to dobrze... Dlaczego na pierwszy talon nie dali? Żona Sierogi dzwoniła do sklepu, na pierwszy dostała udziec barani, zapraszają nas. A ja tu w bufecie wzięłem biały ser, nie, nie kwaśny, osiemdziesiąt deka... A gaz jak się dzisiaj pali? Nie zapomnij o garniturze.

Potem przeszedł do innych tematów: - No, a w ogóle jak? Nie nudno ci? No, pamiętaj. Śniłem się?... Jak wyglądałem? Ale w majtkach? Szkoda... No, pamiętaj, jak przyjdę, ty masz być na kursie... Sprzątasz? Dobrze, tylko uważaj, nic ciężkiego nie podnoś, absolutnie ci nie wolno...

W tej mieszczańskiej zwyczajności było coś niesamowitego: im bardziej rozmowa przypominała zwykłą ludzką rozmowę, tym mniej przypominał człowieka ten, który rozmawiał. Widok mały naśladowanej człowieka zawsze bywa w jakiś sposób przerażający... Zarazem jednak Krymow wyraźnie przestał czuć się jak człowiek; przecież przy obcym takich rozmów się nie prowadzi. „Całuję w usteczka... Nie chcesz... No, dobrze, dobrze...” Jeśli natomiast, zgodnie z teorią Bogolejewa, Krymow jest kotem angorskim, żabką, szczygłem albo owadem na szpilce, to oczywiście nic dziwnego w tym nie ma.

790 Pod koniec rozmowy śledczy zapytał: - Przypali się? No, to leć, leć... Na razie.

Potem wyjął książkę i notes i zaczął czytać, od czasu do czasu zapisując coś ołówkiem - może przygotowywał się do zajęć w kółku, może do odczytu...

W pewnej chwili silnie rozdrażniony zwrócił uwagę Krymowowi: - Dlaczego cały czas tupiecie nogami jak na defiladzie? - Nogi mi drętwieją, obywatelu śledczy.

Ale śledczego znowu pochłonęła lektura książki naukowej.

Po dziesięciu minutach spytał z roztargnieniem: - No jak, przypomniałeś sobie? - Obywatelu śledczy, muszę do ubikacji.

Śledczy westchnął, podszedł do drzwi i niezbyt głośno kogoś przywołał. Taką minę ma właściciel psa, który dodatkowo domaga się wyprowadzenia. Wszedł żołnierz w mundurze polowym. Krymow zlustrował go wprawnym okiem: wszystko było w porządku - pas zapięty, czysty kołnierzyk, furażerka nasadzona jak trzeba. Tylko że młody żołnierz nie był przeznaczony do żołnierki.

Krymow wstał, a że od długiego siedzenia na krześle ścierpły mu nogi, chwiały się przy pierwszych krokach. W ubikacji gorączkowo myślał, podczas gdy wartownik go obserwował, a kiedy wracał, wciąż gorączkowo myślał. Miał o czym.

Kiedy wszedł do pokoju, śledczego już nie było, na jego miejscu siedział młody człowiek w mundurze z niebieskimi, obszytymi czerwonym sznurem naramiennikami kapitana. Kapitan popatrzył na aresztowanego ponuro, jakby go przez całe życie nienawidził.

- Czego stoisz? - burknął. - No, siadaj! Siedź prosto, gnoju, czego się garbisz? Zaraz dam ci w bebech, to się wyprostujesz.

„No, tośmy się poznali” - powiedział sobie w duchu Krymow i poczuł strach,

jakiego nigdy nie doświadczył na wojnie.

„Zaraz się zacznie” - pomyślał.

Kapitan wypuścił obłok dymu, a w tym szarym dymie rozległ się jego głos: - Tu jest papier, pióro. Co, może ja mam za ciebie pisać? Kapitan z lubością obrażał Krymowa. Pewnie zresztą na tym polegała jego praca. Przecież czasem artylerii każe się prowadzić ogień nękający, strzelają wtedy dniem i nocą.

791 - Jak siedzisz? Spać tutaj przyszedłeś? Po kilku minutach znowu huknął na aresztowanego: - Ej, ty, co sobie myślisz? Może nie do ciebie mówiłem? Podszedł do okna, podniósł zasłonę maskującą, zgasił światło, a rano ponuro zająknął Krymowowi w oczy. Po raz pierwszy, odkąd się znalazł na Łubiance, zobaczył światło dzienne.

„A więc tak spędziliśmy noc” - pomyślał Nikołaj Grigorjewicz. Czy w życiu trafił mu się gorszy ranek? Czyżby, wolny i szczęśliwy, kilka tygodni temu leżał beztrudnie w leju po bombie, a nad jego głową wyło humanitarne żelastwo? Ale czas się pomieszał: do tego gabinetu Krymow wszedł przed wiekami, a w Stalingradzie był tak niedawno.

Jakież szare, kamienne to światło za oknem wychodzącym na wewnętrzny szyb wewnętrznej więzienia. Pomyje, nie światło. W tym zimowym porannym świetle przedmioty wydawały się jeszcze bardziej bezduszne, ponure, wrogie niż przy żarówce elektrycznej.

Nie, to nie buty zrobiły się ciasne, tylko nogi mu obrzmiały.

W jaki sposób połączono tu jego minione życie i czas okrzyku w 1941 roku? Czyje palce łączyły to, czego połączyć się nie da? I po co? Komu to wszystko potrzebne? Do czego? Myśli paliły go jak ogniem, tak, że chwilami zapominał o tym, że łamie go w plecach i krzyżu, nie czuł, że spuchnięte nogi rozpierają cholewy butów.

Hacken, Fritz Hacken... Jak mógł Krymow zapomnieć, że w 1938 roku siedział w takim samym gabinecie, tak, ale siedział nie tak samo: w kieszeni miał przepustkę... Teraz przypomniał sobie to, co najbardziej podłe: chęć podobania się wszystkim - urzędnikowi w biurze przepustek, strażnikowi, windziarzowi w mundurze wojskowym. Śledczy mówił: „Towarzyszu Krymow, proszę, pomóżcie nam”. Nie, chęć podobania się nie była aż taka podła. Najgorsze to chęć bycia szczerym! O teraz, sobie przypomniał. Żądano od niego tylko szczerości! No więc był szczerzy, mówił, że Hacken błędnie oceniał Związek Spartakusa, nie lubił Thalmana, zabiegał o honorarium za książkę, rozwiódł się z Else, chociaż była w ciąży... Co prawda, wspominał i o zaletach Hackena...

Śledczy zapisał zdanie: „Na podstawie długoletniej znajomości udział w bezpośredniej dywersji przeciwko partii uważam za mało prawdopodobny, nie mogę jednak całkiem wykluczyć dwulicowości...” 792 Przecież doniósł... Wszystko, co zebrano o nim w tej wieczystej teczce, opowiedzieli jego koledzy, którzy też chcieli być szczerzy.

Dlaczego chciał być szczerzy? Obowiązek partyjny? Kłamstwo! Kłamstwo! Szczerzy byłby tylko w jednym wypadku - gdyby zaczął walić pięścią w stół i wołać: „Hacken to mój brat, przyjaciel, jest niewinny!” A on wyszukiwał w pamięci drobniaki, łapał pchły, przymilał się do człowieka, którego podpis na przepustce pozwalał wyjść z

wielkiego domu, inaczej byłaby nieważna. To też sobie przypomniał - uczucie nagłej radości, kiedy śledczy powiedział: „Chwileczkę, podpiszę wam przepustkę, towarzyszu Krymow”. A on pomógł wepchnąć Hackena do więzienia. Dokąd pojechał miłośnik prawdy z podpisaną przepustką? Czy przypadkiem nie do Muški Grinberg, żony przyjaciela? A przecież wszystko, co mówił o Hackenie, było prawdą. Ale prawdą było też wszystko, co napisano o Krymowie. Przecież powiedział do Fiedi Jewsejewa, że Stalin ma kompleks niższości, związany z brakiem wykształcenia filozoficznego. Przerazająca lista ludzi, z którymi się spotykał: Bucharin, Zinowjew, Łomow, Szacki, Piatnicki, Łominadze, Riutin, rudy Szlapnikow, Łaszewicz, Gamarnik, Łuppoł; bywał w „akademii” Kamieniewa, u starego Riazanowa w instytucie, a na Syberii, po starej znajomości, dwukrotnie zatrzymał się u Eichego...

A w swoim czasie był i Skrypnyk w Kijowie, i Stanisław Kosior w Charkowie, no i Ruth Fischer, oho... dzięki Bogu, śledczy nie wspomniał najważniejszego, przecież w swoim czasie Trocki traktował go życzliwie...

Do szczętu się zeszmacił, cóż tu dużo gadać. Dlaczego właściwie? Przecież tamci nie byli winni bardziej niż on! Ale on nie podpisał zeznań. To nic, podpisze. Jeszcze jak podpisze, tamci przecież podpisali! Na pewno największe paskudztwo zachowali na deser. Potrzymają go tak bez snu trzy doby, potem zaczną bić. Tak, w ogóle to wszystko słabo przypomina socjalizm. Dlaczego jego własna partia chce go zlikwidować? A dlaczego tamtych? Przecież to oni razem z Krymowem robili rewolucję, a nie Malenkow, nie Żdanow, nie Szczerbakow. Ani Krymow, ani tamci nie mieli litości dla wrogów rewolucji. Dlaczego więc rewolucja nie ma litości dla nich? Może właśnie dlatego?... Może zresztą nie rewolucja, jakąż to rewolucja... Ten kapitan? To czarna sotnia, bandziory.

Tak czerpał wodę sitem, a czas mijał.

793 Krymowa przytłaczał ból w plecach i w nogach, zmęczenie. Najważniejsze - położyć się na łóżku, unieść nogi do góry, poruszyć bosymi palcami stóp, podrapać się w łdki.

- Nie spać! - krzyczał kapitan, jakby wydawał rozkaz do walki.

Wydawało się, że gdyby Krymow zamknął na chwilę oczy, runęłoby państwo radzieckie, Niemcy przerwaliby front...

W całym swoim życiu nie słyszał tylu ordynarnych przekleństw.

Przyjaciele, życzliwi pomocnicy, sekretarze, uczestnicy serdecznych rozmów zbierali jego słowa i czyny. Wspominał i był przerażony: „To powiedziałem Iwanowi, tylko Iwanowi”; „Miałem rozmowę z Griszką, przecież znamy się od dwudziestego roku”; „O tym rozmawiałem z Maszką Melcer. Ach, Maszka, Maszka”.

Niespodziewanie przypomniał sobie słowa śledczego, że nie powinien czekać na paczki od Jewgienii Nikołajewny... Przecież to jego niedawna rozmowa w celi z Bogolejewem. Nawet tutaj ludzie dokładali okazy do zielnika Krymowa.

Przyniesiono miskę zupy, ale ręka tak mu drżała, że musiał nachylać głowę i chlupać zupę z samego brzegu talerza, a łyżka wybijała werbel.

- Jesz jak świnia - ze smutkiem stwierdził kapitan.

Monotonię przerwało jeszcze jedno wydarzenie: Krymow znów poprosił do

ubikacji. Już o niczym nie myślał, idąc korytarzem, ale stojąc nad ustępem, mimo wszystko pomyślał: dobrze, że odpruli guziki, bo drżącymi palcami nie rozpiąłbym rozporka ani nie zapiął.

Czas znowu biegł, pracował. Państwo w dystynkcjach kapitana zwyciężyło. Gęsta szara mgła wypełniała głowę Krymowa, na pewno taka mgła musi wypełniać mózg małpy. Nie było już przeszłości i przyszłości, nie było teczki z wijącymi się tasiemkami. Pozostało tylko jedno - zdjąć buty, podrapać się i zasnąć.

Znowu przyszedł śledczy.

- Pospaliście? - spytał go kapitan.

- Przełożeni nie śpią, tylko odpoczywają - mentorskim tonem rzekł śledczy, powtarzając wojskowy dowcip z brodą.

- Słusznie - potwierdził kapitan. - Za to podwładni puchną.

Jak robotnik, rozpoczynając zmianę, ogląda swoją obrabiarkę, fachowo wymieniając uwagi z poprzednikiem, tak śledczy spojrzął na Krymowa, na biurko i powiedział: 794 - Do roboty, towarzyszu kapitanie.

Popatrzył na zegarek, wyjął teczkę z biurka, rozwiązał tasiemki, przerzucił papiery i pełen ciekawości oraz nowych sił powiedział: - No, Krymow, idźmy dalej.

Przystąpili do rzeczy.

Śledczego dzisiaj interesowała wojna. I znowu jego wiedza okazała się olbrzymia: znał przydziały Krymowa, numery pułków, armii, wymieniał ludzi, którzy walczyli razem z nim, przypominał mu słowa wypowiedziane w wydziale politycznym, opinię o nieudolnej notatce generała.

Cała frontowa praca Krymowa, agitacja pod ogniem Niemców, jego wiara, którą dzielił się z żołnierzami w ciężkich dniach odwrotu, nędza, mróz, wszystko bez wyjątku - przestało istnieć.

Żaloszny dwulicowiec, uprawiał szeptaną propagandę, rozkładał moralnie swoich towarzyszy, zarażał ich niewiarą, defetyzmem. Czy można było wątpić, że niemiecki wywiad pomógł mu przekroczyć linię frontu, żeby kontynuował szpiegowską i dywersyjną robotę? W pierwszych chwilach nowego przesłuchania Krymowowi udzielił się zapał do pracy wypoczętego śledczego.

- Jak sobie chcecie - powiedział - ale nigdy nie przyznam się, że byłem szpiegiem! Śledczy popatrzył przez okno - już zaczynało się ściemniać, na biurku nie było dobrze widać papierów.

Zapalił lampę stojącą na blacie, opuścił granatową zasłonę.

Ponure, zwierzęce wycie doleciało zza drzwi i nagle urwało się, ucichło.

Śledczy spytał Krymowa, czy wiadomo mu, dlaczego ani razu go nie awansowano, i wysłuchał niewyraźnej odpowiedzi.

- No tak, Krymow, pętaliście się na froncie jako komisarz batalionowy, a powinniście być członkiem rady wojennej armii albo nawet frontu.

Umilkł i patrzył prosto na Krymowa, po raz pierwszy chyba spojrzął na niego jak

śledczy i uroczyście wygłosił: - Sam Trocki o waszych dziełach mówił: „Jak z marmuru”. Gdyby ten drań przejął władzę, wysoko byście siedzieli! To nie byle co: marmur! „No, wreszcie jest, atut - pomyślał Krymow. - Wyciągnął asa”.

Dobra, dobra, wszystko powie - kiedy, gdzie, ale przecież i towarzyszowi Stalinowi można zadać te same pytania. Krymow nie miał 795 nic wspólnego z trockizmem, zawsze głosował przeciwko rezolucjom Trockiego, za - ani razu.

Ale najważniejsze to zdjąć buty, położyć się, podnieść uwolnione nogi, spać i równocześnie drapać się przez sen.

A śledczy zaczął znowu cicho i uprzejmie: - Dlaczego nie chcecie nam pomóc?... Czy to istotne, że przed wojną nie popełniliście zbrodni, że w okrażeniu nie odnowiliście kontaktu i nie doszło do spotkania?... Sprawa jest poważniejsza, głębsza. Chodzi o nowy kurs partii. Pomóżcie partii na nowym etapie walki. W tym celu trzeba wyrzec się nieaktualnych ocen. Takiego zadania mogą się podjąć tylko bolszewicy. Dlatego właśnie z wami rozmawiam.

- No dobrze - powoli, sennie mówił Krymow - powiedzmy, że mimo woli stałem się wyrazicielem wrogich poglądów. Że mój internacjonalizm stoi w sprzeczności z pojęciem suwerennego państwa socjalistycznego. Że z uwagi na swój charakter po trzydziestym siódmym roku stałem się obcy nowemu kursowi, obcy nowym ludziom. Ostatecznie jestem gotów to przyznać. Ale szpiegostwo, dywersja...

- A po co to „ale”? Widzicie, już zaczynacie sobie uświadamiać, że jesteście wrogo nastawieni wobec linii partii. Czy forma może mieć jakiegokolwiek znaczenie? Po co to wasze „ale”, skoro przyznajecie rzecz podstawową? - Nie, nie uważam się za szpiega.

- To znaczy, że w niczym nie chcecie pomóc partii. Dochodzimy wreszcie do sedna sprawy, a wy - w krzaki, tak? Łajno jesteście, psie łajno! Krymow poderwał się, chwycił śledczego za krawat, potem walnął pięścią w stół, aż w telefonie coś brzęknęło, jęknęło. Zaczął przenikliwie krzyczeć, wyć: - A ty, ścierwo, sukinsynu, gdzieś był, kiedy cały czas walcząc, szedłem z ludźmi przez Ukrainę i briańskie lasy? Gdzieś był zimą, kiedy biłem się pod Woroneżem? Byłeś, łajdaku, w Stalingradzie? To niby ja nic nie robiłem dla partii? Ty, żandarmska mordo, na Łubiance broniłeś radzieckiej ojczyzny? A ja w Stalingradzie to nie broniłem naszej sprawy? Może stałeś w Szanghaju pod szubienicą? To tobie, bydlaku, czy mnie kołczakowiec przestrzelił lewe ramię? Potem bili go, ale nie tak zwyczajnie, po gębie, jak we frontowym wydziale specjalnym, ale przemyślnie, naukowo, ze znajomością fizjo796 logii i anatomii. Biło go dwóch młodych ludzi w nowych mundurach, a on krzyczał do nich: - Was, łajdaków, do kompanii karnej by warto... do obsługi rusznicy...

dezenterzy! Pracowali bez zapału, bez złości. Wydawało się, że biją niezbyt mocno, bez rozmachu, ale ich ciosy były tak straszne, jak straszne może być podłe słowo, wypowiedziane z całkowitym spokojem.

Z ust Krymowa pociekła krew, chociaż nie zadano mu ani jednego ciosu w zęby. Ta krew nie płynęła z nosa ani ze szczęk czy z przygryzionego języka, jak w Aclitubie... To była krew głębinowa, z płuc. Już nie pamiętał, gdzie jest, co się z nim dzieje... Nad nim znowu pojawiła się twarz śledczego, który wskazywał palcem portret Gorkiego, wiszący nad stołem, i pytał: - Co powiedział wielki pisarz proletariacki



Maksym Gorki? I pouczająco, jak nauczyciel, sam odpowiedział: - Jeśli wróg się nie poddaje, należy go zlikwidować.

Potem Krymow zobaczył żarówkę na suficie, mężczyznę z wąskimi naramiennikami.

- Cóż, skoro medycyna pozwala - rzekł śledczy - dosyć odpoczynku.

Wkrótce Krymow znowu siedział po drugiej stronie biurka i słuchał rzeczowych pouczeń: - Będziemy tak siedzieli tydzień, miesiąc, rok... Powiem wprost: możecie być niewinni, ale podpiszecie wszystko, co wam powiem.

Potem już nie będą was bić. Jasne? Może wydział specjalny was skaże, ale bić nie będą - to ważna rzecz! Myślicie, że mnie to cieszy, jak was biją? Pozwolimy wam spać. Jasne? Mijały godziny, przesłuchanie trwało. Wydawało się, że niczym już nie można Krymowa zaskoczyć, wyprowadzić go ze stanu sennego oszołomienia.

A jednak, słuchając dalszych nowych wywodów śledczego, ze zdziwienia na wpół otworzył usta, podniósł głowę.

- To wszystko dawne sprawy i moglibyśmy o nich nawet zapomnieć mówił śledczy i wskazywał na teczkę Krymowa. - Nie sposób jednak zapomnieć waszej podłej zdrady ojczyzny w czasie bitwy stalingradzkiej.

Świadkowie mówią, są dokumenty! Prowadziliście robotę podkopującą świadomość polityczną żołnierzy w otoczonym przez Niemców domu „sześć przez jeden”. Popychaliście Griekowa, patriotę, do zdrady, 797 usiłowaliście namówić go, by przeszedł na stronę wroga. Wykorzystaliście zaufanie dowództwa, zaufanie partii, która posłała was do tego domu jako komisarza bojowego. A wy dostaliście się tam i kim się okazaliście? Agentem wroga! Nad ranem Nikołaja Grigorjewicza znowu bito, a on miał wrażenie, że pogrąża się w ciepłym czarnym mleku. Znowu człowiek z wąskimi naramiennikami kiwnął głową, wycierając igłę strzykawki, i znowu śledczy mówił: - Cóż, skoro medycyna pozwala.

Siedzieli naprzeciw siebie. Krymow patrzył na znużoną twarz rozmówcy i dziwił się własnej dobroduszości - czyżby to naprawdę on chwycił tego człowieka za krawat, chciał go udusić? Teraz u Nikołaja Grigorjewicza odezwało się znowu poczucie bliskości z tamtym. Biurko już ich nie dzieliło; naprzeciw siebie siedzieli dwaj towarzysze, dwaj smutni ludzie.

Nagle Krymow przypomniał sobie niedostrzelonego skazańca w zakrwawionej bieliźnie, który wrócił jesienną nocą ze stepu do frontowego oddziału specjalnego.

„To właśnie jest mój los - pomyślał. - Ja też nie mam dokąd iść. Za późno”.

Potem prosił, żeby zaprowadzono go do ubikacji, a później zjawił się ten sam kapitan co wczoraj, podniósł zasłonę, zgasił światło, zapalił papierosa.

Znowu Nikołaj Grigorjewicz zobaczył ponure światło dzienne. Wydawało się, że jego źródłem nie jest słońce ani niebo, że świeci tylko szary ceglany mur więzienia wewnętrznego.

44 Łóżka były puste - sąsiadów albo przeniesiono, albo pocili się na przesłuchaniu.

Krymow leżał cały w krwawych pręgach, bez sił, ze świadomością

splugawionego życia, ze strasznym bólem w krzyżu - chyba odbili mu nerki.

W gorzkiej godzinie skruchy zrozumiał siłę kobiecej miłości. Żenia! Tylko jej drogi jest człowiek stratowany żelaznymi butami. On leży 798 w krwawych plwocinach, a ona myje mu nogi, rozczesuje splątane włosy, patrzy w jego zapuchnięte oczy. Im bardziej rozkrojono mu duszę, im stał się wstrętniejszy i godniejszy pogardy dla świata, tym jest jej bliższy, tym droższy. Ona biegnie za ciężarówką, stoi w kolejce na Kuźnickim Moście, pod drutami obozu, chce posłać mu kilka cukierków, cebulę, smaży mu placki na maszynie naftowej, oddaje lata życia, żeby zobaczyć się z nim choćby na pół godziny...

Nie każda kobieta, z którą się sypia, jest żoną.

Pogrążony w straszliwej rozpacz, sam zapragnął wzbudzić rozpacz w drugim człowieku.

Ułożył w myślach kilka linijek listu do niej: „Kiedy się dowiedziałaś, co się stało, ucieszyłaś się nie z tego, że mnie zgnoili, ale że zdążyłaś uciec ode mnie, i błogosławsz swój szcurzy instynkt, który kazał ci porzucić tonący okręt... Jestem sam...” Mignął telefon na biurku śledczego... Zdrowy byk, który go bił pod żebra... Kapitan unosi zasłonę, gasi światło... Szeleszczą, szeleszczą strony akt, on zasypia przy ich szeleście...

Wtem rozżarzone szydło wbiło się w jego czaszkę; wydało mu się, że mózg czuć spaleniżną: Jewgienia Nikołajewna doniosła na niego! Jak z marmuru! Marmur! Słowa, które mu powtórzono owego ranka na Znamience, w gabinecie przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej Republiki... Człowiek ze spiczastą bródką, z błyskającymi szklami pince-nez przeczytał artykuł Krymowa i mówił uprzejmię, niezbyt głośno. Krymow pamięta: w nocy powiedział żonie, że KC odwołało go z Kominternu i powierzyło mu redagowanie książki dla Politizdatu. „A przecież kiedyś byłem człowiekiem” - i poskarżył się Żeni i zdradził jej, co powiedział Trocki po przeczytaniu pracy Rewolucja i reforma. Chiny i Indie: „Jak wykute w marmurze”.

Nikom nie powtórzył tych wypowiedzianych w rozmowie w cztery oczy słów, tylko Żenia je słyszała, a więc śledczy musiał je usłyszeć od niej. To ona doniosła.

Nie czuł siedemnastogodzinnej bezsenności - już się wyspał. Zmusili ją? Czy to nie wszystko jedno? Towarzysze, Michaile Sidorowiczu, umarłem! Zabili mnie. Nie kulą z pistoletu, nie pięściami ani bezsennością. Żenia mnie zabiła. Złożę zeznania, do wszystkiego się przyznam.

Jeden warunek: potwierdźcie, że to ona doniosła.

Zwłókł się z łóżka i zaczął stukać pięścią w drzwi, krzyknął: 799 - Prowadź do śledczego, wszystko podpiszę.

Podszedł dyżurny i powiedział: - Przestańcie hałasować, złożycie zeznania, jak was wezwą.

Nie mógł zostać sam. Lepiej jest, lżej, kiedy człowieka biją i traci przytomność. Skoro medycyna pozwala...

Dokuśtykał do łóżka i kiedy wydawało mu się, że już nie zniesie duchowej męki, kiedy wydawało się, że jeszcze chwila, a jego mózg pęknie i tysiące odłamków wbiją się w serce, w gardło, w oczy, zrozumiał: Żenieczka nie mogła donieść! Zakaszał,

dygotał.

- Wybacz mi, wybacz. Nie było mi sądzone szczęście z tobą; ja jestem temu winien, a nie ty.

Ogarnęło go dziwne uczucie, które w tym gmachu nawiedziło człowieka może po raz pierwszy od czasów, kiedy wkroczył tu Dzierżyński.

Obudził się. Naprzeciwko niego siedział Katzenellenbogen z siwą, zmierzwioną beethovenowską grzywą.

Krymow uśmiechnął się do niego, a niskie, mięsiste czoło sąsiada nachmurzyło się - Krymow zrozumiał, że współwzięcie wziął jego uśmiech za oznakę szaleństwa.

- Widzę, że mocno panu dołożyli - rzekł Katzenellenbogen, wskazując ubrudzoną krwią bluzę Krymowa.

- Tak, całkiem nieźle - potwierdził Krymow, krzywiąc usta. - A co z panem? - Balowałem w szpitalu. Sąsiedzi się wynieśli - Drehlingowi sąd specjalny dał jeszcze dziesięć lat, teraz ma trzydzieści, a Bogolejewa przenieśli do innej celi.

- A... - bąknął Krymow.

- No, niech pan mówi.

- Myślę, że w komunizmie - zaczął Krymow - ministerstwo bezpieczeństwa będzie potajemnie zbierało wszystkie dobre informacje o ludziach, każde dobre słowo. To wszystko, co wiąże się z wiernością, uczciwością, prawością, agenci będą podsłuchiwać przez telefon, wyszukiwać w listach, wydobywać ze szczerych rozmów i przekazywać na łubiankę, zbierać w aktach osobistych. Wyłącznie dobre uczynki! Tutaj będzie się umacniać wiarę w człowieka, a nie burzyć ją, jak teraz. Ja położyłem pierwszy kamień... Wierzę, że zwyciężyłem wbrew donosom, kłamstwu, wierzę, wierzę...

800 Katzenellenbogen, niezbyt uważnie go słuchając, powiedział: - To wszystko prawda, tak właśnie będzie. Trzeba tylko dodać, że kiedy już zbiorą takie świetlane dossier, to dostawią pana tutaj, do wielkiego domu, i tak czy owak kropną.

Z ciekawością popatrzył na niego, w żaden sposób nie mogąc pojąć, dlaczego twarz Krymowa, ziemistożółta, o zapadniętych i zapuchniętych oczach, z czarnymi śladami krwi na podbródku, rozjaśnia uśmiech błogości i szczęścia.

45 Adiutant Paulusa, pułkownik Adam, stał przed otwartą walizką.

Ordynans dowódcy, Ritter, siedząc w kucki, porządkował bieliznę leżącą na gazetach rozesłanych na podłodze. Nocą Adam i Ritter palili papiery w gabinecie feldmarszałka, spalili wielką mapę dowódcy, którą Adam uważał za relikwię wojenną.

Paulus nie spał przez całą noc. Nie chciał pić porannej kawy i obojętnie patrzył na krzątanicę Adama. Od czasu do czasu wstawał i chodził po pokoju, przestępując przez wyrosłe na podłodze stosy papierów oczekujących kremacji. Mapy naklejone na płótno paliły się niechętnie, zatykały ruszty, więc Ritter musiał czyścić piec pogrzebaczem.

Za każdym razem, kiedy uchylał drzwiczki pieca, feldmarszałek wyciągał ręce do ognia. Adam narzucił feldmarszałkowi płaszcz na ramiona. Ale Paulus niecierpliwie

poruszył barkiem, więc adiutant znowu odniósł płaszcz na wieszak.

Być może feldmarszałek widzi się teraz w niewoli na Syberii - stoi z żołnierzami przy ognisku i grzeje ręce, a za nim i przed nim rozpościera się pustkowie.

Adam powiedział do feldmarszałka: - Kazałem Ritterowi włożyć więcej ciepłej bielizny do pańskiej walizki.

Błędnie sobie w dzieciństwie wyobrażaliśmy Sąd Ostateczny, nie ma on nic wspólnego z ogniem i rozżarzonymi węglami.

W ciągu nocy dwukrotnie zaglądał generał Schmidt. Milczały telefony z przeciętymi przewodami.

Już w chwili okrążenia Paulus doskonale wiedział, że dowodzone przezeń wojska nie są w stanie kontynuować walk nad Wołgą.

801 Wiedział, że wszystkie okoliczności, które wpłynęły na jego powodzenie latem - taktyczne, psychologiczne, meteorologiczne, techniczne zniknęły, plusy zmieniły się w minusy. Zwrócił się do Hitlera: 6. armia powinna w porozumieniu z Mansteinem przerwać pierścień okrążenia w kierunku południowo-zachodnim, stworzyć korytarz i wyprowadzić wszystkie swoje dywizje, z góry godząc się z tym, że większą część ciężkiego uzbrojenia będzie musiała zostawić.

Dwudziestego czwartego grudnia, kiedy Jeriomienko z powodzeniem uderzył na Mansteina w rejonie rzeczki Myszkowki, dla każdego dowódcy batalionu piechoty stało się jasne, że opór w Stalingradzie jest niemożliwy. Tylko dla jednego człowieka nie było to jasne. Uczynił 6. armię forpocztą frontu ciągnącego się od Morza Białego do Tereku.

Samej zaś szóstej nadał miano Twierdzy Stalingrad. W sztabie 6. armii mówiono teraz, że Stalingrad zamienił się w obóz uzbrojonych jeńców.

Paulus znowu przekazał przez radio szyfrówką, że na przedarcie się są jeszcze pewne szanse. Spodziewał się strasznego wybuchu wściekłości, bo nikt nie ośmielał się przeciwstawić Naczelnemu Dowódcy. Znał opowieści o tym, jak Hitler zerwał z piersi feldmarszałka Rundstedta Krzyż Rycerski i że obecny przy tym Brauchitsch dostał ataku serca.

Z fuhrerem nie należy żartować.

Trzydziestego pierwszego stycznia Paulus dostał w końcu odpowiedź na swój szyfrogram - stopień feldmarszałka. Zrobił jeszcze jedną próbę, żeby dowieść swojej racji, a wówczas otrzymał najwyższe odznaczenie Rzeszy - Krzyż Rycerski z Dębowymi Liśćmi.

Stopniowo zaczął uświadamiać sobie, że Hitler traktuje go jak nieboszczyka - to był pośmiertny awans na feldmarszałka, pośmiertne odznaczenie Krzyżem Rycerskim z Dębowymi Liśćmi. On, Paulus, był potrzebny teraz tylko w jednym celu - miał stworzyć tragiczną postać dowódcy bohaterskiej obrony. Państwowa propaganda ogłosiła setki tysięcy jego podkomendnych świętymi i męczennikami. Żyli, gotowali koninę, polowali na ostatnie stalingradzkie psy, łowili sroki w stepie, tłukli wszy, palili papierosy, w których papier był zawinięty w papier, a tymczasem państwowe rozgłośnie radiowe nadawały uroczystą muzykę ku czci podziemnych bohaterów.

A ci żyli, chuchali w czerwone palce, sople wisały im u nosów, w głowach rodziły się myśli, że dobrze byłoby nażreć się, ukraść, udać chorego, poddać się Rosjanom, pogzić się w piwnicy z rosyjską babą, 802 a tymczasem w eterze śpiewały państwowe chóry chłopięce i dziewczęce: „Umarli, by żyły Niemcy”. Zmartwychwstać do grzesznego i cudownego życia mogli więc jedynie wtedy, gdyby runęło państwo.

Wszystko toczyło się tak, jak przewidywał Paulus.

Żył w trudnym poczuciu własnej słuszności, potwierdzonej całkowitą, nieodwołalną zagładą swojej armii. W zagładzie tej mimo woli znajdował osobliwą, dręczącą satysfakcję, podstawę do wysokiej samooceny.

Przygnębiające myśli, których pozbył się w dniach największych sukcesów, znowu pojawiły się w jego mózgu.

Keitel i Jodl nazywali Hitlera boskim fuhrerem. Goebbels głosił, że tragedia Hitlera polega na tym, że nie może w tej wojnie zmierzyć się z równie genialnym wodzem. Zeitzler natomiast opowiadał, że Hitler prosił go, by wyprostować linię frontu, gdyż ta obraża jego poczucie estetyki. A szalona, neurasteniczna odmowa podjęcia ofensywy na Moskwę? A nagła bezwolność i rozkaz zaprzestania natarcia na Leningrad? Fanatyczna strategia twardej obrony oparta jest na strachu przed utratą prestiżu.

Teraz wszystko zostało do końca wyjaśnione.

Ale właśnie ta ostateczna jasność była taka straszna. Mógł nie podporządkować się rozkazowi! Oczywiście, fuhrer skazałby go na śmierć. On jednak uratowałby ludzi. Widział wyrzut w oczach wielu oficerów.

Mógł, mógł uratować armię.

Bał się Hitlera, bał się o swoją skórę! Halb, najwyższy przedstawiciel Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przy sztabie armii, odlatując w tych dniach do Berlina, powiedział mu, dość niejasno to formułując, że Hitler okazał się zbyt wielki nawet dla takiego narodu jak niemiecki. Tak, tak, oczywiście.

Ciągle te frazesy, ciągle ta demagogia.

Adam włączył radio. Z trzasku wyładowań rodziła się muzyka Niemcy żegnały poległych w Stalingradzie. W muzyce kryła się szczególna siła... Być może dla narodu, dla przyszłych bitew fuhrera mit znaczy więcej niż ocalenie zawszonych, wygłodzonych nieszczęśników z odmrożeniami. Może nie sposób pojąć logiki fuhrera, czytając regulaminy, sporządzając plany bojowe i oglądając mapy operacyjne.

A może w aureoli męczeństwa, na które Hitler skazał 6. armię, formował się nowy byt Paulusa i jego żołnierzy, ich nowy udział w przyszłości Niemiec.

803 Tutaj nie pomagał ołówek, suwak logarytmiczny czy maszyny liczące.

Tu działał osobliwy główny kwatermistrz, który miał inną rachubę, inne rezerwy.

Adam, kochany, wierny Adam; przecież ktoś należący do wyższej rasy duchowej z natury rzeczy musi być sceptykiem. Władza nad światem zawsze spoczywa w rękach ludzi ograniczonych, za to z niezachwianym poczuciem własnej słuszności. Ludzie wyższej rasy nie rządzą państwami, nie podejmują wielkich decyzji.

- Idą! - krzyknął Adam. Rozkazał Ritterowi: „Sprzątnąć to!” Ten odciągnął na bok otwartą walizkę, doprowadził do ładu mundur.

Skarpety feldmarszałka, w pośpiechu upchnięte do walizki, miały dziury na piętach, więc Ritter zdenerwował się, i to nie dlatego, że nieporadny Paulus włożył dziurawe skarpety, ale dlatego, że dziury nie ujdą złośliwej uwagi Rosjan.

Adam stał, położywszy dłonie na oparciu krzesła, odwrócony tyłem do drzwi, które zaraz miały się otworzyć, i spokojnie, z troską i miłością, patrzył na Paulusa. Wyobrażał sobie bowiem, że właśnie tak powinien zachowywać się adiutant feldmarszałka.

Paulus lekko odchylił się od biurka, zacisnął usta. W tych chwilach fuhrer oczekiwał od niego gry, toteż gotów był grać.

Zaraz otworzą się drzwi, pokój w ciemnym podziemiu odsłoni się oczom ludzi, żyjących na ziemi. Ból i gorycz minęły; pozostał strach, że w drzwiach ukażą się nie przedstawiciele radzieckiego dowództwa, którzy też przygotowali się do odegrania uroczystej sceny, ale dziarscy, przyzwyczajeni do szybkiego naciskania na spust automatu radzieccy żołnierze. Dręczyła go twoga przed nieznanym - skończy się teatr, a zacznie ludzkie życie. Jakie, gdzie - na Syberii, w moskiewskim więzieniu, w obozowym baraku? 46 Nocą na Zawołżu ludzie zobaczyli, jak niebo nad Stalingradem oświetliły różnokolorowe ognie. Armia niemiecka kapitulowała.

Tej samej nocy z Zawołża do Stalingradu ruszyli ludzie. Rozeszły się słuchy, że cywile przebywający w Stalingradzie cierpieli w ostatnich dniach straszliwy głód, więc żołnierze, oficerowie, marynarze 804 wołżańskiej flotylli wojennej nieśli węzółki z chlebem i konserwami.

Niektórzy zabrali ze sobą wódkę i harmonie.

Dziwne jednak, że właśnie ci pierwsi żołnierze, którzy przybyli do Stalingradu nocą, bez broni, oddając chleb obrońcom miasta, ściskając ich i całując, wydawali się smutni, nie radowali się, nie śpiewali.

Ranek drugiego lutego 1943 roku był mglisty. Nad wołżańskimi przerębłami i niezamarzniętą przy brzegu wodą unosiła się para. Słońce wschodziło nad wielbłądzim stepem, jednakowo surowym w upalne sierpniowe dni i zimą, w porze przyziemnego wiatru. Suchy śnieg unosił się nad płaską pustacią, zwijając się w słupy i kręcąc mlecznymi kołami, po czym nagle tracił wolę, osiadał. Stopy wschodniego wiatru zostawiały za sobą ślady: śniegowe kołnierze wokół skrzypiących łądyg kolczastych, zastygłe ospowate dziury na stokach wawozów, gliniaste place i kępy o szerokich czołach...

Ze stalingradzkiej skarpy wydawało się, że ci, którzy przechodzą przez Wołgę, wyłaniają się z mgły stepowej, że rodzą ich mróz i wiatr.

Nie mieli nic do roboty w Stalingradzie, przełożeni ich tam nie wysyłali - tutaj wojna się skończyła. Szli sami - żołnierze, drogowcy, piekarze polowi, sztabowcy, kierowcy, artylerzyści, krawcy wojskowi, elektrycy i mechanicy z warsztatów. Razem z nimi szli przez Wołgę, gramoląc się po stoku, okutani chustami staruszkowie, baby w żołnierskich watowanych portkach, chłopcy i dziewczynki, ciągnący za sobą saneczki załadowane tobołkami, poduszkami.

Z miastem działo się coś dziwnego. Słysząc było klaksony samochodów, turkotały traktory; z hałasem szli ludzie z harmoszkami, tancerze deptali śnieg walonkami, krasnoarmiejcy śmiali się i pokrzykiwali. Ale miasto przez to nie ożyło, wydawało się martwe.

Kilka miesięcy temu Stalingrad przestał żyć swoim zwykłym życiem - umarły w nim szkoły, fabryki, pracownie krawieckie, zespoły amatorskie, milicja miejska, kina, żłobki...

W ogniu, który ogarnął dzielnice miasta, wyrosło nowe miasto Stalingrad wojenny - ze swoim własnym planem ulic i placów, z własną podziemną architekturą, z własnymi zasadami ruchu ulicznego, z własną siecią handlową, z własnymi hałasami fabrycznymi, własnym chałupnictwem, własnymi cmentarzami, pijatykami, koncertami.

805 Każda epoka ma swoją stolicę świata, która jest jej duszą, jej wolą.

Druga wojna światowa była taką epoką w historii ludzkości; jej stolicą świata przez pewien czas był Stalingrad. Stał się myślą i udręką rodzaju ludzkiego. Pracowały na niego fabryki, maszyny rotacyjne i linotypy; wiódł na trybunę liderów parlamentarnych. Ale kiedy tysiączne tłumy ruszyły ze stepu do Stalingradu, a puste ulice wypełniły się ludźmi, zawarczały pierwsze silniki samochodów, wojenna stolica świata przestała istnieć.

Gazety tego dnia podały szczegóły niemieckiej kapitulacji, a ludzie w Europie, w Ameryce, w Indiach dowiedzieli się, jak wychodził z piwnicy feldmarszałek Paulus, jak wyglądało pierwsze przesłuchanie niemieckich generałów w sztabie 64. armii generała Szumiłowa i jak był ubrany generał Schmidt - szef sztabu Paulusa.

W tej godzinie stolica wojny światowej już nie istniała. Oczy Hitlera, Roosevelta, Churchilla szukały nowych centrów napięć wojennych.

Stalin, stukając palcem w biurko, pytał szefa Sztabu Generalnego, czy zapewniono środki do przerzutu wojsk stalingradzkich z tyłów, na których się znalazły, do rejonu nowej koncentracji. Wojenna stolica świata, jeszcze pełna generałów liniowych i mistrzów walk ulicznych, jeszcze pełna broni, z żywymi mapami operacyjnymi, utrwalonymi liniami komunikacyjnymi, przestała istnieć - zaczęła swoje nowe życie, takie, jakim żyją obecne Ateny i Rzym. Niepostrzeżenie jej gospodarzami stawali się już historycy, przewodnicy muzealni, nauczyciele i zawsze nudzący się uczniowie.

Rodziło się nowe miasto - miasto codziennej pracy, życia, z fabrykami, szkołami, izbami porodowymi, milicją, operą, więzieniem.

Lekki śnieg przyprószył dróżki, którymi noszono pociski i chleb na pozycje ogniowe, dźwigano ciężkie karabiny maszynowe i termosy z kaszą, kręte, chytne ścieżki, którymi do swoich tajnych, murowanych szałasów przekradali się strzelcy wyborowi, obserwatorzy, nasłuchowcy.

Śnieg przyprószył drogi, którymi łącznicy biegali z kompanii do batalionu, drogi od Batiuka do wąwozu Bannego, do zakładów mięsnych i stacji ciśnień...

Śnieg przyprószył drogi, którymi mieszkańcy wielkiego miasta wyprawiali się, żeby skombinować tytoń, wypić dwieście gramów na imieninach kolegi, umyć się w

podziemnej łaźni, zagrać w domino, spróbować, czy sąsiad ma dobrą kiszoną kapustę; drogi, którymi cho806 dzili do znajomej Mani i znajomej Wiery, drogi do zegarmistrzów, naprawiaczy zapalniczek, krawców, harmonistów, magazynierów.

Tłumy wydeptywały nowe drogi, ludzie szli, nie przywierając do ruin, nie kluczyli.

A sieć bojowych ścieżek i drózek pokrywała się pierwszym śniegiem i na całym milionie kilometrów tych zaśnieżonych ścieżek nie było ani jednego świeżego śladu.

Wkrótce na pierwszy śnieg spadł drugi i ścieżki pod nim się pozacieraly, rozplynęły, przestały być widoczne...

Rdzenni mieszkańcy stolicy świata doznali niedającego się wyrazić uczucia szczęścia i zarazem pustki. Dziwny smutek rodził się w obrońcach Stalingradu.

Miasto opustoszało, dowódca armii i dowódcy dywizji piechoty, i stary ochotnik Polakow, i Głuszkow - wszyscy czuli tę pustkę. To uczucie było bezsensowne, bo czyż można się smucić z tego powodu, że bitwa skończyła się zwycięstwem i śmierci nie ma? Ale tak było. Milczał telefon w żółtym skórzanym futerale na biurku dowódcy; śnieżny kołnierzyk wyrósł na osłonie karabinu maszynowego, oślepiły lornety nożycowe i otwory strzelnicze; zatarte, zabrudzone plany i mapy powędrowały z mapników do toreb polowych, a z niektórych toreb do waliz i worków dowódców plutonów, kompanii, batalionów... A wśród umarłych domów chodziły tłumy ludzi, obejmowały się, krzyczały „hura”... Ludzie patrzyli na siebie nawzajem. „Fajne te nasze chłopaki, takie groźne zuchy, a jacy zwyczajni; chodzimy sobie, a waciaki i uszanki, wszystko mają takie same jak i my. A swoje zrobiliśmy, aż strach pomyśleć, cośmy to zrobili. Podnieśliśmy, podnieśli największy ciężar na ziemi, ciężar słusznej sprawy, i przygnietliśmy to, co niesłuszne, niech no kto spróbuje i podniesie... Całkiem jak w bajce, tylko że to nie bajka”.

Sami swojacy: Jedni z wąwozu Kuporosnego, drudzy z Bannego, jeszcze inni spod stacji ciśnień, z „Czerwonego Października”, z kurhanu Mamaja, a do nich podchodzili ludzie z centrum znad Carycy, z rejonu przystani, spod skarpy, z okolic zbiorników ropy... Byli i gospodarzami, i gośćmi, sami sobie gratulowali, a zimowy wiatr dudnił starą blachą.

Czasem strzelali w powietrze z automatów, a czasem huknął granat.

Klepali się nawzajem po plecach, zawierając znajomość, niekiedy się ściskali, całowali zimnymi ustami, potem zakłopotani wesoło sobie do807 cinali... Wylegli spod ziemi - ślusarze, tokarze, oracze, cieśle, kopacze, obronili się przed wrogiem, przeorali kamień, żelazo i glinę.

Stolica świata różni się od innych miast nie tylko tym, że ludzie czują jej więź z fabrykami i polami całego świata.

Stolica świata wyróżnia się tym, że ma duszę.

Wojenny Stalingrad miał duszę. Tą duszą była wolność.

Teraz stolica wojny z faszyzmem zmieniła się w oniemiałe, zimne ruiny przedwojennego miasta obwodowego, ośrodka przemysłu i żeglugi rzecznej.

Za dziesięć lat tysięczne zastępy więźniów wzniosą tutaj potężną tamę i zbudują



jedną z największych w świecie hydroelektrowni.

47 Wypadek ten zdarzył się dlatego, że w schronie obudził się nagle niemiecki podoficer, który nie wiedział nic o kapitulacji. Jego strzał ranił sierżanta Zadniepruka. Rozzłościło to Rosjan obserwujących jak spod masywnych stropów bunkrów wychodzą niemieccy żołnierze, ciskając automaty i karabiny na brzęczącą i wciąż rosnącą stertę.

Jeńcy szli, starając się nie rozglądać, by nie pokazać, że także ich oczy znalazły się w niewoli. Tylko żołnierz Schmidt, obrośnięty czarno-białą szczecina, kiedy wyszedł na świat boży, przypatrywał się z uśmiechem rosyjskim żołnierzom, jakby był pewien, że spotka wśród nich znajomą twarz.

Lekko podpity pułkownik Filimonow, który poprzedniego dnia przybył z Moskwy do sztabu Frontu Stalingradzkiego, stał razem z przydzielonym mu tłumaczem na punkcie kapitulacji jednostek dywizji generała Wehlera.

Jego płaszcz, z nowymi złotymi naramiennikami, z czerwonymi naszywkami i czarnymi wypustkami, wyróżniał się na tle brudnych, osmalonych waciaków i pomiętych czapek stalingradzkich dowódców kompanii i batalionów, i tak samo pomiętej, osmalonej i brudnej odzieży jeńców niemieckich.

Wczoraj w stołówce rady wojennej pułkownik opowiadał, że w głównym magazynie moskiewskiej intendentury zachował się złoty bajorek, niegdyś służący do wyrobu naramienników w wojsku carskim, a jego 808 przyjaciele uważają za sukces, jeśli któryś dostanie naramienniki z tego starego, dobrego materiału.

Kiedy rozległ się wystrzał i lekko ranny Zadniepruk krzyknął, pułkownik spytał głośno: - Kto to strzelał, co się dzieje? Kilka głosów odpowiedziało mu: - To jeden Niemiec, jakiś głupi. Już go zabrali... Chyba nie wiedział, że...

- Jak to nie wiedział? - krzyknął pułkownik. - Mało mu naszej krwi, łajdakowi? - Zwrócił się do Żyda, politruka, tłumacza: - Znajdźcie mi oficera. Zapłaci drań głową za ten strzał.

Wtedy pułkownik zauważył wielką uśmiechniętą twarz żołnierza Schmidta i wrzasnął: - Śmiejesz się, draniu, że jeszcze jednego raniliście? Schmidt nie miał pojęcia, dlaczego uśmiech, którym chciał wyrazić tyle pozytywnych uczuć, pobudził do krzyku starszego oficera rosyjskiego, a kiedy - na pozór bez żadnego związku z tym krzykiem - padł strzał z pistoletu, już całkiem nic nie rozumiejąc, potknął się i upadł pod nogi nadchodzących z tyłu żołnierzy. Odciągnięto go na bok i teraz mijali go wszyscy, czy znali go, czy też nie znali. Potem, kiedy jeńcy już przeszli, miejscowi chłopcy, nie bojąc się umarlaka, zaczęli myszkować po opustoszałych bunkrach i schronach, łązić po drewnianych pryczach.

Pułkownik Filimonow oglądał w tym czasie podziemną kwaterę dowódcy batalionu i zachwycał się, jak wszystko tu solidnie i wygodnie urządzone. Żołnierz z automatem przyprowadził do niego młodego niemieckiego oficera o spokojnych, jasnych oczach, a tłumacz powiedział: - Towarzyszu pułkowniku, to ten, nadporucznik Lenard, którego kazaliście przyprowadzić.

- Kto? - zdziwił się pułkownik. Że zaś twarz oficera niemieckiego wydała mu się sympatyczna, a poza tym zdenerwowany był faktem, że pierwszy raz w życiu kogoś zabił, powiedział: - Zaprowadźcie go na punkt zborny, tylko bez wygłupów, ma dojść

żywy, na waszą osobistą odpowiedzialność.

Sądny dzień dobiegał końca i już nie sposób było dostrzec uśmiechu na twarzy zastrzelonego żołnierza.

809 48 Podpułkownik Michajłow, starszy tłumacz wojskowy siódmego wydziału zarządu politycznego sztabu frontu, prowadził niemieckiego feldmarszałka do sztabu 64. armii.

Paulus wyszedł z piwnicy, nie zwracając uwagi na radzieckich oficerów i żołnierzy, którzy chciwie mu się przyglądali i oceniali jakość jego feldmarszałkowskiego płaszcza z pionowym pasem zielonej skóry oraz szarej czapki z królików. Zamaszystym krokiem, z podniesioną głową, patrząc ponad ruinami Stalingradu, przeszedł do czekającego już terenowego samochodu.

Michajłow przed wojną często miał okazję bywać na przyjęciach dyplomatycznych, tak więc wobec Paulusa zachowywał się pewnie, bez trudu oddzielając zimną uprzejmość od zbędnej usłużności.

Siedząc obok Paulusa i śledząc wyraz jego twarzy, czekał, aż feldmarszałek naruszy milczenie. Jego zachowanie nie przypominało zachowania generałów, w których wstępnych przesłuchaniach Michajłow uczestniczył.

Szef sztabu 6. armii powolnym, leniwym głosem orzekł, że katastrofę spowodowali Rumuni i Włosi. Generał-porucznik Sixt von Armin, z haczykowatym nosem, ponuro podzwaniając medalami, dodał: - Nie tylko Garibaldi ze swoją ósmą, ale i rosyjskie zimno, brak żywności i amunicji.

Siwy Schlómer, z Rycerskim Krzyżem Żelaznym i medalem za pięciokrotnie odniesione rany, dowódca dywizji zmotoryzowanej, przerwał tę rozmowę i poprosił, żeby zostawiono mu walizkę. Wtedy zaczęli mówić wszyscy - i szef służby medycznej, łagodnie uśmiechający się generał Renoldi, i ponury pułkownik Ludwig, dowódca dywizji pancerniej, o twarzy zeszpeconej blizną po ciosie szablą.

Denerwował się zwłaszcza adiutant Paulusa, pułkownik Adam, który stracił neseser - rozkładał ręce, potrząsał głową, a nauszniki jego czapki z lamparciej skóry trzęsły się jak uszy rasowego psa, który wyskoczył z wody.

Uczłowieczyli się, ale jakoś brzydko.

Kierowca samochodu w eleganckim białym półkożuszku półgłosem odpowiedział na rozkaz Michajłowa, żeby jechać wolniej: - Tak jest, towarzyszu podpułkowniku.

810 Miał ochotę opowiedzieć kolegom kierowcom o Paulusie, a po wojnie pochwalić się w domu: „Kiedy wiozłem feldmarszałka Paulusa...” Miał też ochotę w jakiś szczególny sposób prowadzić samochód, żeby Paulus pomyślał: „Ten radziecki kierowca, widać, że fachowiec pierwszej klasy”.

Frontowemu oku nieprawdopodobne wydawało się takie gęste wymieszanie Rosjan i Niemców. Drużyny rozradowanych żołnierzy z pepeszami obszukiwały piwnice, włączyły do studzienek wodociągów, wypędały Niemców na mroźne podwórza.

Na pustych placach i ulicach żołnierze za pomocą szturchańców i pokrzykiwań formowali wojsko niemieckie na nowo - łączyli jeńców z różnych rodzajów broni w kolumny marszowe.

Niemcy, oglądając się na ich trzymające broń ręce, szli, starając się nie potykać. Ich potulność wynikała nie tylko ze strachu przed łatwością, z jaką Rosjanin mógł nacisnąć na spust automatu. Zwycięzcy roztaczali aurę władzy, jakaś smętna hipnotyczna siła nakazywała im się podporządkować.

Samochód wiozący feldmarszałka jechał na południe, a z naprzeciwka szli jeńcy. Potężny głośnik ryczał: W daleki świat ruszamy, wojować przyszedł czas.

Dziewczyny nam machały, żegnały długo nas.

Dwóch niesie trzeciego, ten objął ich za szyje bladymi, brudnymi rękami; głowy niosących zbliżają się, spomiędzy nich patrzy martwa twarz o płonących oczach.

Czterech żołnierzy wychodzi z bunkra, niosąc na kołdrze rannego.

Sinawoczarne sterty broni leżą na śniegu niczym stogi stalowej, wymłóconej słomy.

Słysząc salwę - do mogiły opuszczają zabitego czerwonoarmistę, a tuż obok leżą pokotem zabici Niemcy, wyniesieni z piwnicznego szpitala. W białych i czarnych bojarskich czapach idą rumuńscy żołnierze, śmieją się, machają rękami, kpią z żywych i martwych Niemców.

Jeńców pędzą od strony Pitomnika, od Carycy, z Domu Specjalisty, a oni idą tym swoistym krokiem, którym zawsze chodzą ludzie i zwierzęta po utracie wolności. Ci z odmrożeniami i lekko ranni podpierają się kijami lub osmalonymi kawałkami desek. Idą, idą. Wydaje się że 811 wszyscy mają jedną, wspólną, sinawoszarą twarz - jedną parę oczu, a w nich jeden wspólny wyraz cierpienia i smutku.

Zdumiewające! Ilu tych Aryjczyków jest niskiego wzrostu, o dużych nosach i niskich czołach, ze śmiesznymi zajęczymi wargami i małymi, ptasimi główkami! Ilu śniadych, przyszczatych, piegawatych, obsypanych czyrakami.

To idą brzydzy, słabi ludzie; takimi ich matki urodziły i takimi kochały. Jakby całkiem zniknęli tamci - nie ludzie, tylko naród o jasnych włosach, jasnych twarzach i ciężkich podbródkach, ze wzgardliwym wyrazem ust kroczący zwycięsko naprzód.

Jak cudownie, po bratersku podobny jest ten szpetny tłum do zgnębionych, żalonych tłumów ludzi urodzonych przez rosyjskie matki, ludzi jesienią 1941 roku pędzonych przez Niemców kijami i prętami na zachód, do obozów. Z rzadka rozlegało się od strony bunkrów i piwnic kłaśnięcie wystrzału z pistoletu, a cała ciżba jak jeden mąż zmierzająca w stronę skutej lodem Wołgi rozumiała znaczenie tych wystrzałów.

Podpułkownik Michajłow spoglądał na siedzącego obok feldmarszałka. Kierowca popatrywał do lusterka. Michajłow widział długi chudy policzek Paulusa, kierowca - jego czoło, oczy, milczące, zaciśnięte wargi.

Mijali działa z uniesionymi do góry lufami, czołgi z krzyżami na wieżyczkach, ciężarówka z powiewającym na wietrze brezentem, transportery i działa samobieżne.

Żelazne ciało 6. armii, jej mięśnie - wmarzły w ziemię. A mijający je ludzie posuwali się wolno do przodu i wydawało się, że i oni zatrzymają się, zastygną, wmarzną w ziemię.

Michajłow, kierowca i konwojent z automatem czekali, aż Paulus odezwie się, poprosi o coś, obróci głowę. Ale Paulus milczał i nie sposób było zrozumieć, na co

patrzają jego oczy, co przenoszą w tę głębię, gdzie znajduje się serce człowieka.

Czy bał się, że zobaczą go jego żołnierze, czy też chciał, żeby go widzieli? Nagle zapytał Michajłowa: - Sagen Sie, bitte, was ist es, machorka?" To zaskakujące pytanie nie pozwoliło Michajłowowi odgadnąć myśli Paulusa. Feldmarszałek martwił się, czy będzie mógł codziennie jeść zupę, spać w cieple, palić papierosy.

" Proszę powiedzieć, co to znaczy: machorka } 812 49 Z piwnicy piętrowego domu, w której gestapo miało swoją siedzibę polową, jeńcy niemieccy wynosili trupy radzieckich więźniów.

Pomimo zimna kilkoro starców, kobiet i dzieci stało koło wartownika i obserwowało, jak Niemcy kładą zwłoki na zmarzniętą ziemię.

Jeńcy mieli przeważnie obojętne twarze, powłóczyli nogami, pokornie wdychając trupi zapach.

Tylko jeden z nich, młody człowiek w oficerskim płaszczu, zawiązał nos i usta brudną chusteczką do nosa, gwałtownie jak koń szarpał głową, jakby go gryzły bąki. Jego oczy wyrażały mękę bliską szaleństwu.

Jeńcy stawiali na ziemi nosze i zanim zdjęli z nich trupa, stali i zastanawiali się, jak to zrobić, bo ręce czy nogi niektórych zamordowanych oddzieliły się od ciała. Niemcy próbowali odgadnąć, do jakiego trupa należy ta lub inna kończyna, przykładali je do ciał. Większość nieboszczyków była na wpół rozebrana, w bieliźnie, niektórzy w spodniach wojskowego kroju. Jeden, całkowicie nagi, miał otwarte do krzyku usta, zapadły brzuch, przylegający do kręgosłupa, rudawe włosy na organach płciowych, cienkie nogi.

Nie podobna było wyobrazić sobie, że te trupy z głębokimi jamami ust i oczodołów, były niedawno żywymi ludźmi, miały imiona, miejsca zamieszkania, mówiły: „Kochana, najdroższa, pocałuj, pamiętaj, nie zapomnij", marzyły o kuflu piwa, paliły skręty.

Widocznie tylko oficer z zawiązanymi ustami to sobie uświadamiał.

Ale właśnie on drażnił kobiety stojące przy wejściu do piwnicy; te żywo go obserwowały, obojętnie zaś patrzyły na resztę jeńców, chociaż dwaj z nich mieli na sobie płaszcze z jasnymi plamami po odprutych odznakach SS.

- A, odwracasz się - mruzczała, patrząc na oficera, przysadzista kobieta, trzymająca za rękę chłopczyka.

Niemiec w oficerskim płaszczu poczuł na sobie ciężkie, drapieżne spojrzenie Rosjanki. Nagłe uczucie nienawiści szukało i nie mogło znaleźć obiektu wyładowania; całkiem jak elektryczność, skumulowana w chmurze burzowej, która zawisa nad lasem i na ślepo wybiera pień drzewa, żeby zadać morderczy cios.

813 W parze z Niemcem w oficerskim płaszczu pracował mały żołnierz z szyją okutaną ręcznikiem, z nogami w workach obwiązanych sznurem telefonicznym.

Spojrzenia ludzi w milczeniu stojących koło piwnicy były tak groźne, że Niemcy z ulgą wchodzili do ciemnego podziemia i nie śpieszyli się, żeby z niego wyjść, woleli ciemność i trupi odór niż powietrze i światło dzienne na zewnątrz.

Kiedy szli do piwnicy z pustymi noszami, usłyszeli znajome wulgarne wyzwiska

rosyjskie.

Szli, nie przyspieszając kroku, zwierzęcym instynktem czując, że jeśli to zrobią, tłum rzuci się na nich.

Niemiec w oficerskim płaszczu krzyknął, a niezadowolony strażnik napomniał jakiegoś chłopca: - Mały, czego rzucasz kamieniami, co, może ty chcesz nosić za fryca, jak upadnie? W piwnicy niemieccy żołnierze wymieniali uwagi: - Na razie oberwało się tylko nadporucznikowi.

- Widziałeś tę babę, ciągle na niego patrzy.

Z ciemności czyjś głos powiedział: - Panie nadporuczniku, pan by choć raz został w piwnicy; zaczną od pana, a skończą na nas.

Oficer sennym głosem wymamrotał: - Nie, nie, nie wolno się chować, to jest Dzień Sądu. - A swojego towarzysza ponaglił: - Idziemy, idziemy.

Wychodząc kolejny raz z piwnicy, oficer i mały żołnierz szli trochę szybciej niż poprzednio, bo ciężar był mniejszy. Na noszach leżał trup kilkunastoletniej dziewczyny. Martwe ciało skurczyło się, wyschło i tylko jasne, rozrzucone włosy zachowały mleczny, pszeniczny wdźwięk, rozsypały się wokół strasznej, czarnobrzowej ptasiej twarzy. Tłum cicho jęknął.

Przysadzista kobieta zawyła przenikliwie; jej głos niczym błysk noża rozpruł zimną przestrzeń.

- Dziecinko! Dziecinko! Dziecinko moja złota! Ten okrzyk bólu nad cudzym dzieckiem wstrząsnął ludźmi. Kobieta zaczęła poprawiać podkręcone włosy na głowie trupa. Wpatrywała się w twarz o wykrzywionych, skamieniałych ustach i widziała, jak tylko matka może widzieć, jednocześnie i te straszne rysy, i tę żywą miłą twarz, która uśmiechała się niegdyś do niej z pieluszek.

Kobieta wyprostowała się. Podeszła do Niemca i - wszyscy to zauważyli - patrząc na niego, równocześnie szukała na ziemi cegły, która by nie była na trwałe przymarznięta do innych, takiej, którą mogłaby oderwać swoją wielką dłonią, zniszczoną okropną pracą, lodową wodą, wrzątkiem i ługiem.

Strażnik czuł nieuchronność tego, co za chwilę nastąpi, ale nie był w stanie powstrzymać kobiety, silniejszej niż on i jego automat. Niemcy nie mogli odwrócić od niej oczu, a dzieci patrzyły na nią chciwie, niecierpliwie.

Kobieta teraz nie widziała już nic oprócz twarzy Niemca z zawiązanymi ustami. Nie rozumiejąc, co się z nią dzieje, niosąc tę siłę, która podporządkowała sobie wszystko dookoła, i sama się jej podporządkowując, namacała w kieszeni waciaka kawałek chleba, ofiarowany jej w dniu kapitulacji faszystów przez krasnoarmiejca, podała go Niemcowi i powiedziała: - Na, masz, masz, żryj! Potem sama nie mogła zrozumieć, jak to się stało, dlaczego tak zrobiła. W ciężkich chwilach krzywdy, bezradności i złości, których w jej życiu nie brakowało - pokłóciła się z sąsiadką, która obwiniła ją o kradzież butelki z olejem, przewodniczący rady dzielnicowej wyprosił ją z gabinetu, bo nie miał ochoty wysłuchiwać jej skarg mieszkaniowych, syn ożenił się i chciał matkę wyrzucić z pokoju, a synowa w ciąży wyzywała ją od starych kurew - mocno się przejmowała i nie mogła spać. Którejś bezsennej nocy, leżąc w łóżku, zdenerwowana i zła, przypomniała sobie tamten zimowy ranek i pomyślała: „Byłam

głupia i jestem głupia".

Do sztabu korpusu pancernego Nowikowa zaczęły napływać alarmujące informacje o dowódcach brygad. Rozpoznanie wykryło nowe niemieckie jednostki pancerne i artyleryjskie, które nie brały dotąd udziału w walkach. Widocznie nieprzyjaciel sięgał po uzupełnienia z głębokich tyłów.

815 Te wieści martwiły Nowikowa: czołowe jednostki posuwały się naprzód bez ubezpieczenia skrzydeł, gdyby więc nieprzyjacielowi udało się przeciąć nieliczne zimą drogi, czołgi zostałyby bez wsparcia piechoty, bez paliwa.

Nowikow omawiał sytuację z Gietmanowem; był zdania, że trzeba pilnie podciągnąć opóźnione jednostki wsparcia i na krótki czas wstrzymać marsz korpusu. Gietmanow bardzo chciał, żeby korpus zapoczątkował wyzwolenie Ukrainy. Postanowili, że Nowikow wyjedzie do jednostek na miejscu sprawdzi sytuację, a Gietmanow ponagli spóźnialskich.

Nowikow przed wyjazdem do brygad zadzwonił do zastępcy dowódcy frontu, przedstawił sytuację. Z góry oczywiście znał odpowiedź zastępcy: nie weźmie na siebie odpowiedzialności, nie zatrzyma korpusu ani nie każe Nowikowowi kontynuować marszu.

No i rzeczywiście, zastępca dowódcy frontu kazał pilnie zebrać dane o nieprzyjacielu w wydziale rozpoznania; obiecał zameldować dowódcy o rozmowie z Nowikowem.

Potem Nowikow połączył się telefonicznie z sąsiadem, dowódcą korpusu piechoty, Mołokowem. Mołokow był człowiekiem ordynarnym, drażliwym i zawsze podejrzewał sąsiadów o to, że donoszą na niego do dowódcy frontu. Starli się i nawet nawymyślali wulgarnie, co prawda, nie sobie nawzajem, tylko klnąc bezosobowo powiększający się dystans między czołgami a piechotą. Nowikow zadzwonił do sąsiada z lewego skrzydła, dowódcy dywizji artylerii.

Dowódca dywizji artylerii powiedział, że bez rozkazu z frontu nie będzie się dalej posuwał.

Nowikow rozumiał go - artylerzysta nie chciał ograniczać się do roli pomocniczej, zabezpieczać przerzutu czołgów, sam chciał dokonać przerzutu.

Ledwie skończył rozmowę z artylerzystą, wszedł szef sztabu. Nowikow nigdy nie widział, żeby Nieudobnow tak się śpieszył i był aż taki przejęty.

- Towarzyszu pułkowniku - powiedział - dzwonił do mnie szef sztabu armii powietrznej, zamierzają przerzucić wspierające nas samoloty na lewe skrzydło frontu.

- Jak to, zwariowali czy co? - wykrzyknął Nowikow.

- To bardzo proste - wyjaśnił Nieudobnow - ktoś nie życzy sobie, żebyśmy pierwsi weszli na Ukrainę. Wielu by chciało za coś takiego 816 dostać Suworowa czy Bohdana Chmielnickiego. Bez wsparcia lotnictwa korpus trzeba będzie zatrzymać.

- Zaraz zadzwonię do dowódcy - oświadczył Nowikow.

Ale z dowódcą go nie połączono, bo Jeriomienko pojechał do armii Tołbuchina. Zastępca dowódcy, do którego znowu zadzwonił Nowikow, nie chciał podjąć żadnej decyzji. Zdziwił się tylko, dlaczego rozmówca nie udał się do jednostek.

Nowikow naciskał zastępcę: - Towarzyszu generale-lejtnancie, jakże to tak - bez uzgodnienia pozbawić wsparcia z powietrza korpus, który wysunął się najdalej na zachód z całego frontu? Rozdrażniony zastępca dowódcy odparował: - Dowództwo lepiej wie, jak wykorzystać lotnictwo, nie tylko wasz korpus uczestniczy w natarciu.

Nowikow zapytał szorstko: - A co ja powiem czołgistom, kiedy ich zaczną rozwalać z powietrza? Czym ich osłonię - wytycznymi z frontu? Zastępca nie wściekł się, rzekł natomiast pojednawczo: - Wy jedźcie do jednostek, a ja zamelduję dowódcy, jaka jest sytuacja.

Ledwie Nowikow odłożył słuchawkę, wszedł Gietmanow, już w płaszczu i papasze. Zobaczył Nowikowa i skruszony rozłożył ręce.

- Piotrze Pawłowiczu, myślałem, żeś już wyjechał.

Mówił uprzejmie, łagodnie: - Tyły się spóźniają, a kwatermistrz na to: „Po co traciliście niepotrzebnie benzynę, po co oddawaliście samochody dla rannych i chorych Niemców?” Chytrze popatrzył na Nowikowa.

- No i racja, nie jesteśmy sekcją Kominternu, tylko korpusem pancernym.

- Co tu ma do rzeczy Komintern? - spytał Nowikow.

- Jedźcie, jedźcie, towarzyszu pułkowniku - błagalnie rzekł Nieudobnow. - Każda minuta jest droga. Ja tu załatwię wszystko, co się da, w rozmowach ze sztabem frontu.

Po nocnej opowieści Darińskiego Nowikow ciągle wpatrywał się w twarz szefa sztabu, śledził jego ruchy, wsłuchiwał się w głos. „Czyżby tą samą ręką...?” - myślał, kiedy Nieudobnow brał łyżkę, widelec 817 z nabitym kiszonym ogórkiem, słuchawkę telefonu, czerwony ołówek, zapałki.

Ale teraz nie patrzył na rękę Nieudobnowa.

Nigdy go nie widział takiego zatrwożonego, łagodnego, nawet miłego.

Nieudobnow i Gietmanow diabłu duszę by oddali, żeby korpus pierwszy przekroczył granicę Ukrainy, żeby brygady bez zatrzymania nadal szły na zachód.

W tym celu gotowi byli pójść na każde ryzyko, nie chcieli ryzykować tylko jednego - brać na siebie odpowiedzialności w razie fiaska.

Nowikowa mimo woli również ogarnął zapał - i on miał ochotę nadać radiogram do frontu, że pododdziały czołowe korpusu pierwsze przekroczyły granicę Ukrainy. To nie miałyby żadnego wojskowego znaczenia, nie przyczyniłoby nieprzyjacielowi specjalnych strat. Ale Nowikow chciał tego, pragnął bowiem wojennej sławy, wdzięczności dowódcy, orderu, pochwały Wasilewskiego, rozkazu Stalina, odczytanego przez radio, stopnia generalskiego i zawiści sąsiadów. Nigdy dotąd nie kierował się takimi uczuciami i myślami; może właśnie dlatego teraz były takie silne. W tym pragnieniu nie było nic złego... Tak jak w Stalingradzie, jak w 1941 roku, mrozy były bezlitosne, tak jak dawniej zmęczenie łamało żołnierzom kości, jak dawniej straszna była śmierć. Ale wojna zaczynała już odychać innym powietrzem.

Nowikow nie mógł dociec i dziwił się, dlaczego po raz pierwszy tak łatwo, w pół zdania rozumiał Gietmanowa i Nieudobnowa. Nie złościł się, nie obrażał, w sposób naturalny pragnął tego samego co oni.

Przyspieszenie tempa pochodu jego czołgów rzeczywiście doprowadziłoby do tego, że o kilka godzin wcześniej wypędzono by okupantów z dziesiątków ukraińskich wsi, a on cieszyłby się, widząc wzruszone twarze staruszków i dzieci; miałby łzy w oczach, gdyby stara chłopka uściskała go i ucałowała jak syna. Równocześnie jednak dojrzywały nowe namiętności, zmieniał się stopniowo główny kierunek duchowy tej wojny, tamten zaś, który był główny w roku 1941 i podczas walk na skarpie stalingradzkiej, chociaż nie zaniknął, niepostrzeżenie stawał się pomocniczy.

Tajemnicę tego przeistoczenia się wojny pierwszy zrozumiał człowiek, który trzeciego lipca 1941 roku powiedział: „Bracia i siostry, przyjaciele moi...” 818 Dziwne, że dzieląc zdenerwowanie Gietmanowa i Nieudobnowa, którzy go ponaglali, Nowikow, sam nie wiedząc dlaczego, odwlekał swój wyjazd. Już siedząc w samochodzie, zrozumiał przyczynę - czekał na Żenię.

Od trzech tygodni nie dostał listu od Jewgienii Nikołajewny. Kiedy wracał z wyprawy do podległych mu jednostek, najpierw wypatrywał, czy Żenia nie oczekuje go na ganku sztabu. Stała się uczestniczką jego życia. Była przy nim, kiedy rozmawiał z dowódcami brygad, i kiedy sztab frontu wzywał go do telefonu, i kiedy siedząc w czołgu, wrywał się na przednią linię, czołg zaś, jak młody koń, dygotał, gdy rozrywały się niemieckie pociski. Opowiadał o swoim dzieciństwie Gietmanowowi, a wydawało mu się, że to jej opowiada. Myślał czasem: „Oj, jedzie ode mnie wódą, Żenia od razu by wyczuła”. I jeszcze częściej: „Żeby ona to widziała!” Albo zastanawiał się z niepokojem: „Co powie Żenia, kiedy się dowie, że postawiłem przed sądem majora?” Wchodził do ziemianki punktu obserwacyjnego na pierwszej linii i wśród dymu tytoniowego, głosów telefonistów, odgłosów strzelaniny i wybuchów bomb nagle przeszywała go myśl o niej...

Czasem odczuwał zazdrość o jej dotychczasowe życie, a wtedy stawał się ponury. Czasem mu się śniła; wtedy budził się i nie mógł zasnąć.

To był przekonany, że ich miłość będzie trwała do grobowej deski, to nagle ogarniała go trwoga: znowu zostanie sam.

Wsiadając do samochodu, obejrzał się na drogę prowadzącą w kierunku Wołgi. Była pusta. Potem rozżółcił się: Żenia dawno już tu powinna być. A może jest chora? I znowu przypomniał sobie, jak w trzydziestym dziewiątym chciał się zastrzelić, gdy się dowiedział, że wyszła za męża. Dlaczego ją kocha? Przecież miewał nie gorsze od niej baby. To jego szczęście, a może coś w rodzaju choroby, że tak nieustannie o kimś myśli. Dobrze, że nie związał się z żadną z dziewcząt ze sztabu. Żenia przyjedzie, a on tu ma czyste konto. Co prawda i jemu przytrafił się grzech, trzy tygodnie temu. Żenia zatrzyma się po drodze, przenocuje w tej grzesznej chacie, a młoda gospodyni zacznie z nią rozmawiać, opíše go i powie: „O, fajny był ten pułkownik...” Co za bzdury przychodzą człowiekowi do głowy, nie ma temu końca...

819 50 Nazajutrz dochodziło już południe, kiedy Nowikow wracał z wyprawy do jednostek. Ciągłe podskakiwanie na drodze rozjeżdżonej gąsienicami czołgów, na zamrzniętych wybojach, sprawiło, że bolał go krzyż, kark, plecy, wydawało się, że czołgiści zarazili go swoim zmęczeniem, odrętwieniem po wielu nieprzespanych dniach.

Kiedy podjeżdżali do sztabu, wpatrywał się w ludzi, którzy stali na ganku. Zobaczył, że obok Gietmanowa stoi Jewgienia Nikołaj ewna i patrzy na nadjeżdżający samochód. Ogarnęło go szaleństwo, uderzyło mu do głowy; poczuł radość tak



dojmującą jak cierpienie, aż zaparło mu dech. Poderwał się, żeby w biegu wyskoczyć z samochodu.

Z tylnego siedzenia odezwał się Wierszkow: - Komisarz ze swoją lekarką oddychają świeżym powietrzem. Nieźle byłoby zdjęcie zrobić i posłać żonie, niech się nacieszy.

Nowikow wszedł do sztabu, wziął list, który podał mu Gietmanow, obrócił w rękę, poznał pismo Jewgienii i wsunął złożony arkusik do kieszeni.

- No, słuchaj, będę składał raport - zwrócił się do Gietmanowa.

- A listu nie przeczytasz, już koniec miłości? - Dobra, dobra, zdążę.

Wszedł Nieudobnow, a Nowikow powiedział: - Wszystko zależy od ludzi. Zасыpiają w czołgach podczas walki. Walą się z nóg. Nawet dowódcy brygad. Karpow jeszcze jakoś się trzyma, a Biełow rozmawiał ze mną i zasnął - piątą dobę jest w marszu. Kierowcy czołgów śpią podczas jazdy, ze zmęczenia przestali jeść.

- No i jak, Piotrze Pawłowiczu, oceniasz sytuację? - zapytał Gietmanow.

- Niemcy nie są aktywni. Nie spodziewajmy się kontrataku na naszym odcinku. Pusto tu u nich. Pico-bello. Fretter-Pico.

Tak mówił, a palcami obmacywał kopertę. Na moment puszczał ją i chwycił znowu, jakby bał się, że list wyfrunie mu z kieszeni.

- Rozumiem, jasna sprawa - powiedział Gietmanow. - Teraz ja ci melduję: myśmy tu z generałem dotarli do samego nieba. Rozmawiałem z Chruszczowem, obiecał nie zabierać lotnictwa z naszego odcinka.

- On nie kieruje działaniami operacyjnymi - odparł Nowikow i zabrał się do otwierania koperty.

820 - No, to się tak mówi - rzekł Gietmanow. - Generał dopiero co dostał potwierdzenie ze sztabu sił powietrznych: lotnictwo z nami zostaje.

- Drugi rzut dojdzie - pośpiesznie dodał Nieudobnow. - Drogi są niezłe. Najważniejsze to wasza decyzja, towarzyszu podpułkowniku.

„Taki jest przejęty, że mnie zdegradował” - pomyślał Nowikow.

- Tak, panowie bracia - powiedział Gietmanow - zdaje się, że pierwsi zaczniemy wyzwalać matkę Ukrainę. Powiedziałem Nikicie Siergiejewiczowi: „Czołgiści oblegają dowództwo, marzą o tym, żeby korpus otrzymał nazwę «Ukraiński»”.

Nowikow, rozdrażniony fałszywym tonem Gietmanowa, przypomniał: - Marzą o jednym: pospać. Zrozumcie, od pięciu dni nie spali.

- To znaczy, postanowione: jedziemy dalej, Piotrze Pawłowiczu, walimy naprzód? - powiedział Gietmanow.

Nowikow otworzył kopertę do połowy, wsunął w nią dwa palce, wymacał list; wszystko w nim aż jęknęło z niecierpliwości, kiedy zobaczy znajome pismo.

- Zamierzam podjąć następującą decyzję - odparł - dać ludziom dziesięć godzin na odpoczynek, niech nabiorą chociaż trochę sił.

- Oho - odezwał się Nieudobnow - prześpijmy wszystko przez te dziesięć godzin.

- Czekaaj, czekaaj, zaraz się dogadamy - powstrzymał go Gietmanow, a jego policzki, uszy, szyja, zaczęły powoli zalewać się rumieńcem.

- Po co, już się dogadaliśmy - zauważył Nowikow z uśmiechem.

Nagle Gietmanow wybuchnął.

- Taka ich mać... Też mi coś, nie wyspali się! - krzyknął. - Jeszcze zdążą się wyspać! Złego diabli nie biorą. Z takiego powodu zatrzymać całą maszynę na dziesięć godzin? Jestem przeciwny takiemu mazgaj stwu, Piotrze Pawłowiczu! To ty opóźniłeś uderzenie korpusu w wyłom, a teraz kładziesz ludzi spać? To już się przeradza w zły nawyk! Zamelduję radzie wojennej frontu. Tu nie żłobek! - Czekaaj, czekaaj - osadził go Nowikow. - To ty mnie całowałaś za to, że nie wprowadziłem czołgów w wyłom, póki artyleria nie wykończy nieprzyjaciela. O tym napisz w raporcie.

- Ja cię za to całowałem? - powtórzył zdumiony Gietmanow. - Chyba bredzisz!  
821 Nagle dodał: - Powiem ci wprost. Mnie jako komunistę boli, że ty, czystej krwi proletariusz, cały czas znajdujesz się pod obcym wpływem.

- Ach, to tak! - wypalił Nowikow. - W porządku, rozumiem.

Wstał, wyprostował się i poirytowany oświadczył: - Ja dowodzę korpusem. Jak powiedziałem, tak będzie. A raporty, powieści i nowele o mnie piszcie, towarzyszu Gietmanow, choćby i do Stalina.

Wyszedł do sąsiedniej izby.

Nowikow odłożył przeczytany list i gwizdnął, jak niegdyś gwizdał jako chłopiec, kiedy stojąc pod oknem sąsiadów, chciał wyciągnąć kolegę z domu... Pewnie od trzydziestu lat nie pamiętał o tym gwizdzie i nagle zagwizdał...

Potem z ciekawością popatrzył przez okno: nie, jest jasno, nocy nie było. Potem histerycznie, radośnie powiedział: „Dzięki, dzięki, za wszystko dzięki”.

Potem poczuł, że zaraz padnie martwy, ale nie upadł, przeszedł się po izbie. Potem popatrzył na list bielejący na stole, wydało mu się, że to pusty pokrowiec, skórka, z której wypęzła zła żmijka, przesunął rękami po bokach, po piersi. Żmijki nie złapał, już wlaża do środka, parzyła serce jadem.

Potem stał przy oknie - kierowcy śmiali się do telefonistki Marusi, która szła do wychodka. Kierowca czołgu sztabowego niósł wiadro ze studni, wróble zajmowały się swoimi wróblimi sprawami pośród słomy leżącej przed wejściem do obory. Żenia mówiła, że jej ulubionym ptakiem jest wróbel... A on płonął, jak pali się dom: runęły belki stropu, zawalił się cały strop, upadały naczynia, przewracały się szafy, książki, poduszki, koziółkując jak gołębie, spadały w kłębach dymu, iskier... Co to znaczy: „Całe życie będę Ci wdzięczna za wszystko, co czyste i wzniosłe, cóż jednak mogę na to poradzić, minione życie jest silniejsze ode mnie, nie można go zabić, zapomnieć... Nie oskarżaj mnie, ale nie dlatego, że nie jestem winna... Wybacz mi, wybacz, płacząc nad nami obojgiem”.

Płacze! Ogarnęła go wściekłość. Co za wesz! Gadzina! Bić ją po zębach, po oczach, złamać suce nos ręką rewolweru...

822 Straszliwie prędko, od razu, w jednej chwili, pojawiła się bezradność: nikt, żadna siła na świecie, nie może mu pomóc, tylko Żenia, ale ona, właśnie ona go

zniszczyła.

Wtedy, odwróciwszy się twarzą w stronę, skąd miała do niego przyjechać, powiedział: - Żenieczko, co ty ze mną wyrabiasz? Żenieczko, słyszysz, popatrz na mnie, popatrz, co ze mną zrobiłaś.

Wyciągnął do niej rękę.

Potem myślał: „Dlaczego tak, przecież czekał tyle beznadziejnych lat, ale skoro już się zdecydowała, w końcu to nie smarkula, jeśli zwlekała tak długo, a potem się zdecydowała, to wiedziała, co robi, przecież zdecydowała...” A za kilka sekund znowu szukał dla siebie ratunku w nienawiści: „No jasne, no jasne, nie chciała, kiedy byłem zwykłym majorem, pętałem się po górach w Nikolsku Ussuryjskim, a zdecydowała się, kiedy mnie awansowali, zachciało jej się zostać generałową, wszystkie wy, baby, jesteście jednakowe”. I od razu widział bezsensowność tych myśli - nie, nie, żeby chociaż tak było! Przecież odeszła i wróciła do człowieka, który pójdzie do obozu na Kołymę, jaka tu korzyść... To kobieta rosyjska, jak te z Niekrasowa; nie kocha mnie, kocha jego...

Nie, nie kocha, tylko się lituje, po prostu lituje. A dla mnie nie ma litości? Mnie jest teraz gorzej niż tym z Łubianki i ze wszystkich łagrów razem wziętych, niż wszystkim z urwanymi nogami i rękami, wszystkim leżącym w szpitalach, a ja się nie będę wahał, mogę do łagru choćby zaraz, i wtedy kogo wybierze? Jego! Są tej samej rasy, a ja obcy, tak właśnie o mnie mówiła: obcy, obcy. No jasne, nawet jeśli marszałek, to i tak prosty chłop, górnik, nieokrzesany, nie znam się na jej gównianym malarstwie...

Głośno, z nienawiścią spytał: - No to dlaczego, dlaczego?! Wyjął z tylnej kieszeni rewolwer, położył na dłoni.

- Nie dlatego się zastrzelę, że nie mogę żyć, ale żebyś się dręczyła aż do śmierci, żeby cię, sukę, sumienie wykończyło.

Potem schował rewolwer.

- Za tydzień o mnie zapomni.

Samemu trzeba zapomnieć, nie pamiętać, nie oglądać się wstecz! 823 Podszedł do stołu, znów zaczął czytać list: „Mój biedaku, mój kochany, dobry...” To nie te okrutne słowa tak bolały, ale te pieszczotliwe, litościwe, poniżające. Po nich robiło się słabo z upokorzenia, nie było czym oddychać.

Przypomniał sobie jej piersi, ramiona, kolana. Jedzie do tego żalostnego Krymowa. „Cóż mogę poradzić”. Jedzie w ciasnocie, zaduchu, pytają ją dokąd. „Do męża” - mówi. A oczy ma potulne, łagodne, smutne, psie.

Przez to okno wypatrywał, czy nie jedzie do niego. Ramiona mu zadrgały, zaczął dyszeć, skowyczeć, dławił się, wciskając w siebie szloch.

Przypomniał sobie, jak kazał przywieźć dla niej z frontowej intendencji cukierki czekoladowe i żartem zagroził Wierszkowowi: „Głowę ci urwę, jak je ruszysz”.

Potem znowu mamrotał: - Widzisz, kochana moja, Żenieczko moja, co ze mną wyprawiasz? Zlituj się nade mną choć odrobinę.

Szybko wyciągnął spod łóżka walizkę, wyjął z niej listy i fotografie Jewgienii

Nikołajewny, te, które woził ze sobą od wielu lat, i tę, którą przysłała w ostatnim liście, i tamtą pierwszą, małą, legitymacyjną, zawiniętą w celofan, i zaczął drzeć je dużymi, silnymi palcami. Rozdzierał na strzępy zapisane przez nią strony i w miganiu linijek, w strzępach zdań poznawał dziesiątki razy czytane i przeczytane, doprowadzające do szaleństwa słowa, patrzył, jak na podartych fotografiach znika twarz, giną usta, oczy, szyja. Śpieszył się, bo dzięki temu czuł ulgę; wydawało mu się, że w tej samej chwili wyrwał, wydarł ją z siebie, podeptał, uwolnił się od wiedzy.

Przecież już bez niej żył. Da radę! Za rok przejdzie koło niej, a serce muniezadrzy. No i już, koniec! „Potrzebna mi jesteś jak psu kij!” Ledwie to pomyślał, od razu uświadomił sobie bezsensowność swoich nadziei.

Z serca niczego się nie wyrwie, serce nie jest z papieru, życia nie zapisuje się w nim atramentem, nie można go podrzeć na strzępy ani wyszarpać z siebie długich lat, które wprasowały się w mózg, w duszę.

Uczył ją uczestniczką swojej służby, swoich goryczy, myśli, świadkiem dni swojej słabości i siły...

Podarte listy nie zniknęły więc, dziesiątki razy czytane słowa pozostały w pamięci, jej oczy jak przedtem patrzyły na niego z podartych fotografii.

824 Otworzył szafę, nalał do szklanki wódki, wypił, zapalił papierosa, zapalił znowu, chociaż papieros już się tlił. Nieszczęście zaszumiało mu w głowie, oparzyło wnętrzności.

Znowu głośno zapytał: - Żenieczko moja mała, kochana, coś ty narobiła, coś ty narobiła, jak mogłaś? Potem wsunął strzępy papieru do walizki, wstawił do szafy butelkę, pomyślał: „Po wódce trochę lżej”.

Zaraz czołgi pójdą na Donbas, wstąpi do rodzinnego osiedla, znajdzie miejsce, gdzie leżą pochowani staruszkowie; niech ojciec dumny będzie z Pieti, niech matka ulituje się nad biednym synkiem. Wojna się skończy, przyjedzie do brata, będzie mieszkał z jego rodziną, a bratanica powie: „Wujku Pietia, czemu się nie odzywasz?” Nagle przypomniało mu się dzieciństwo. Ich kudłaty pies poleciał na psie wesele i wrócił pogryziony, z wydartymi kłakami sierści, z pogryzionym uchem, z łbem tak obrzękłym, że zapuchło mu oko i wykrzywiła się warga; stał przed gankiem, ze zwieszonym ogonem, a ojciec popatrzył na niego i dobrodusznie spytał: - Co, drużbą byłeś? Tak, był drużbą...

Do pokoju wszedł Wierszkow.

- Odpoczywacie, towarzyszu pułkowniku? - Tak, trochę.

Popatrzył na zegarek, pomyślał: „Trzeba wstrzymać marsz do siódmej rano. Szyfrem nadać przez radio”.

- Znowu pojedę do brygad - powiedział do Wierszkowa.

Szybka jazda przyniosła jego sercu trochę odpoczynku. Willys pędził z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, podskakiwał, rzucało nim na wszystkie strony, bo droga była bardzo kiepska.

Co chwila kierowca żalonym wzrokiem pytał, czy może zwolnić.

Nowikow wszedł do sztabu brygady pancernej. Jakże wszystko się zmieniło

przez te krótkie godziny! Jak zmienił się Makarow - jakby kilka lat się z nim nie widzieli.

Makarow, zapomniawszy o regulaminie, z niedowierzaniem rozłożył ręce i powiedział: - Towarzyszu pułkowniku, dopiero co Gietmanow przekazał rozkaz dowódcy frontu: odpoczynek odwołany, kontynuować natarcie.

825 52 Po trzech tygodniach korpus pancerny Nowikowa został wycofany do odwodów frontu w celu uzupełnienia składu osobowego, wyremontowania sprzętu. Wszyscy - ludzie i maszyny - byli zmęczeni, przeszli czterysta kilometrów w nieustannych walkach.

Równocześnie z rozkazem wycofania korpusu pułkownik Nowikow otrzymał polecenie przyjazdu do Moskwy, do Sztabu Generalnego i do Głównego Zarządu Wyższych Kadr Dowódczych; nie było całkiem jasne, czy wróci do jednostki.

Na czas jego nieobecności dowództwo tymczasowo przejął generał-major Nieudobnow. Kilka dni przedtem komisarz brygady Gietmanow dowiedział się o tym, że w najbliższej przyszłości zostanie przez KC odwołany ze stanowiska i mianowany sekretarzem komitetu partii w jednym z wyzwolonych obwodów Donbasu; do tej pracy Komitet Centralny przykładał dużą wagę.

Rozkaz wzywający Nowikowa do Moskwy wywołał dyskusje w sztabie frontu i w zarządzie wojsk pancernych.

Jedni mówili, że to wezwanie nic nie oznacza; Nowikow pobędzie jakiś czas w Moskwie, wróci do korpusu i znowu będzie nim dowodził.

Inni mówili, że sprawa związana jest z pochopnym zarządzeniem dziesięciogodzinnego odpoczynku, wydanym przez Nowikowa w ferworze natarcia, i ze zwłoką, jakiej się dopuścił, wprowadzając czołgi w wyłom. Inni uważali, że nie umiał się zgrać z komisarzem i szefem sztabu korpusu, ludźmi wielkich zasług.

Sekretarz rady wojennej frontu, człowiek dobrze poinformowany, powiedział, że ktoś tam wytknął Nowikowowi kompromitujące związki osobiste. Przez pewien czas sekretarz rady wojennej podejrzewał, że kłopoty Nowikowa mają źródło w nieporozumieniach między nim a komisarzem korpusu. Widocznie jednak chodziło o coś innego, sekretarz na własne oczy widział bowiem pismo Gietmanowa, skierowane do najwyższych instancji. W tym piśmie komisarz protestował przeciwko odsunięciu Nowikowa od dowodzenia korpusem; pisał, że jest on świetnym dowódcą, posiada wybitny talent wojskowy, pod względem zaś moralnym i politycznym nie ma w stosunku do niego żadnych zastrzeżeń.

826 A najdziwniejsze było to, że kiedy Nowikow został wezwany do Moskwy, po wielu męczących, bezsennych nocach po raz pierwszy spał spokojnie do rana.

53 Jakiś straszliwie dudniący pociąg niósł Sztruma, który dziwnie się czuł, wspominając domową ciszę. Czas zgęstniał, wypełnił się zdarzeniami, ludźmi, telefonami. Wydawało się, że minęło całe dziesięciolecie od dnia, kiedy Szyszakow odwiedził Sztruma w domu; był uważny, uprzejmy, pytał o zdrowie, żartując po przyjacielsku, wyjaśnił, że wszystko, co było, zostało zapomniane.

Sztrum myślał, że ludzie, którzy usiłowali go zniszczyć, będą się wstydzili spojrzeć w jego stronę, ale ci powitali go radośnie, kiedy wrócił do instytutu;

przyjaźnie i z oddaniem patrzyli mu w oczy. Szczególnie zaskoczyło go, że wyglądali na absolutnie szczerych, autentycznie mu życzliwych.

Teraz znowu słyszał wiele pochlebnych opinii o swojej pracy. Wezwał go do siebie sam Malenkov i przypatrując mu się inteligentnymi, czarnymi oczami, rozmawiał z nim czterdzieści minut. Sztruma uderzyło to, że Malenkov orientował się, nad czym on pracuje, i dosyć swobodnie posługiwał się specjalistycznymi terminami.

Sztruma zdziwiły słowa, które usłyszał od niego na pożegnanie: „Byłoby nam przykro, gdybyśmy w jakikolwiek sposób przeszkodzili pańskiej pracy w dziedzinie fizyki teoretycznej. Doskonale rozumiemy, że bez teorii nie ma praktyki”.

Zupełnie się nie spodziewał, że usłyszy coś podobnego.

Następnego dnia po tym spotkaniu dostrzegł niespokojne, pytające spojrzenie Aleksieja Aleksiejewicza i dziwnie się poczuł, pamiętając, jak było mu przykro, jak przeżywał to, że Szyszakow urządził w domu naradę, na którą go nie zaprosił.

Markow był znowu miły i serdeczny, Sawostjanow znowu dowcipkował i pokpiwał sobie. Guriewicz przyszedł do laboratorium, uścisnął Sztruma i powiedział: „Tak się cieszę, tak się cieszę, pan jest jak biblijny Beniamin”.

Pociąg tymczasem jechał i jechał.

827 Sztruma pytano, czy nie widzi potrzeby stworzenia samodzielnej instytucji badawczej na bazie swojego laboratorium. Specjalnym samolotem poleciał na Ural, razem z nim leciał zastępca narkoma.

Przydzielono mu samochód i Ludmiła Nikołajewna jeździła nim do sklepu, podwożąc te same panie, które kilka tygodni przedtem starały się jej nie poznać.

Wszystko to, co do niedawna wydawało się skomplikowane, można było załatwić bez trudu, a właściwie jakoś samo z siebie się załatwiało.

Młody Landesman był wzruszony: Kowczenko zadzwonił do niego do domu, Dubienkow w ciągu godziny zatrudnił go w zakładzie Sztruma.

Anna Naumowna Weisspapier przyjechała z Kazania i opowiedziała Sztrumowi, że skierowanie załatwiono jej w dwa dni, a w Moskwie Kowczenko przysłał po nią samochód na dworzec. Dubienkow pisemnie powiadomił Annę Stiepanownę, że została przywrócona do pracy, a zastępca dyrektora obiecał, że otrzyma w całości zaległą pensję za wymuszoną przerwę.

Nowych pracowników nieustannie dożywiano. Śmiejąc się, mówili, że całe ich zajęcie polega na jeżdżeniu od rana do nocy i zjadaniu posiłków w „specjalnych” stołówkach. Oczywiście ich praca nie sprowadzała się tylko do tego.

Sztrum nie uważał już za takie świetne urządzenia, które zamontowano mu w laboratorium; przypuszczał, że za rok będzie budziło uśmiech, jak parowozik Stephensona.

Wszystko, co działo się teraz w jego życiu, wydawało się naturalne i zarazem całkowicie nienaturalne. No bo rzeczywiście, praca Sztruma była ważna i ciekawa - czemu jej nie pochwalić? Landesman był utalentowanym uczonym - dlaczego by nie miał pracować w instytucji? Anna Naumowna z kolei była niezastąpionym pracownikiem - po cóż by miała tkwić w Kazaniu? Równocześnie Sztrum wiedział, że

gdyby nie telefon od Stalina, nikt w instytucie nie pochwaliłby wybitnej pracy Wiktora Pawłowicza i Landesman ze wszystkimi swoimi talentami objąłby się beczynniami.

Ale przecież telefon nie był przypadkowy, nie był zachcianką, kaprysem. Stalin to przecież państwo, a państwo nie miewa zachcianek i kaprysów.

Sztrum sądził, że sprawy organizacyjne - przyjmowanie nowych pracowników, plany, przygotowywanie zamówień na aparaturę, na 828 rady - zajmą mu cały czas. Ale samochody jeździły szybko, posiedzenia były krótkie, nikt się nie spóźniał, jego życzenia spełniano bez oporów, więc najcenniejsze poranne godziny spędzał w laboratorium. W tej najważniejszej porze był wolny. Mógł myśleć o tym, co go interesuje; nikt go nie ograniczał. Jego nauka pozostawała jego nauką. To zupełnie nie przypominało historii malarza w Portrecie Gogola.

Naukowe zainteresowania Sztruma nie budziły niczyich sprzeciwów, a tego obawiał się najbardziej. „Jestem naprawdę wolny” - dziwił się.

Wiktor Pawłowicz przypomniał sobie kazańskie opowieści inżyniera Artielowa o dostawach materiałów, energii, obrabiarek do zakładów zbrojeniowych, o tym, że nie ma tam biurokratycznych przeszkód...

„Jasne - pomyślał Wiktor Pawłowicz. - To jak z latającym dywanem, w braku biurokracji właśnie przejawia się biurokracja. To, co służy głównym celom państwa, pędzi ekspresem, siła biurokratyzmu zawiera w sobie sprzeczność - zdolna jest powstrzymać każdy ruch, ale nie może nadać mu nadzwyczajnego przyspieszenia, choćby się pokonało ziemskie przyciąganie”.

Ale wieczorne rozmowy w kazańskim pokoiku wspominał teraz nieczęsto, bez zainteresowania, a Madjarow nie wydawał mu się takim wspaniałym i mądrym człowiekiem. Nie przejmował się już specjalnie jego losem; nie przypominał mu się tak często i natrętnie strach Karimowa przed Madjarowem, strach Madjarowa przed Karimowem.

Wszystko, co się obecnie działo, mimo woli zaczęło mu się wydawać naturalne i słuszne. Regułą stało się życie, którym żył Sztrum. Zaczął się do niego przyzwyczajać, odwykać natomiast od tego, które wiódł dawniej; tamto wydawało mu się wyjątkiem. Czy na pewno Artielow miał rację? Kiedyś, ledwie wszedł do działu kadr, od razu wpadał w złość, denerwował się, czując na sobie spojrzenie Dubienkowa. Dubienkow okazał się jednak człowiekiem uczynnym i życzliwym.

Dzwonił do Sztruma i mówił: - Tu Dubienkow. Nie przeszkadzam panu, Wiktorze Pawłowiczu? Kowczenko wydawał się Sztrumowi człowiekiem przewrotnym, złowrogim intrygantem, zdolnym zgubić każdego, kto stanie mu na drodze, demagogiem obojętnym na prawdziwy sens pracy, przybyszem ze świata tajemniczych, niepisanych instrukcji. Ale okazało się, że posiada też całkiem inne cechy. Codziennie wchodził do laboratorium 829 Sztruma, zachowywał się zwyczajnie, żartował z Anną Naumowną i okazał się szczerym demokratą - wszystkim ścisnął ręce, rozmawiał ze ślusarzami, mechanikami; sam kiedyś pracował jako tokarz.

Sztrum od dawna nie lubił Szyszakowa. Tymczasem, kiedy przyjechał do niego na obiad, Aleksiej Aleksiejewicz okazał się człowiekiem gościnnym, dowcipnym, znającym wiele dykteryjek, smakoszem, amatorem dobrego koniaku i kolekcjonerem grafiki. A co najważniejsze, okazał się wielbicielem teorii Sztruma.

„Zwyciężyłem” - myślał Sztrum. Wiedział oczywiście, że nie odniósł absolutnego zwycięstwa, że ci wszyscy ludzie zmienili wprawdzie swój stosunek do niego i teraz pomagali mu zamiast przeszkadzać, z zupełnie jednak innych powodów niż podziw dla jego umysłu czy innych zalet.

Ale mimo wszystko się cieszył. Zwyciężył! Prawie każdego wieczoru nadawano w radiu komunikaty „Z ostatniej chwili”. Ofensywa wojsk radzieckich ciągle trwała. Wiktor Pawłowicz zdawał sobie sprawę, jak łatwo mógłby teraz powiązać własną pomyślność z pomyślnym przebiegiem wojny, ze zwycięstwem narodu, armii, państwa.

Wiedział jednak, że to nie takie proste. Pokpiwał sobie z własnej chęci, żeby dla wszystkiego znaleźć jedno, elementarnie proste wyjaśnienie: „Tu Stalin, i tam Stalin. Niech żyje Stalin!” Kiedyś myślał, że administratorzy i działacze partyjni nawet w kręgu rodziny mówią o czystości kadr, podpisują czerwonym ołówkiem papiery, czytają żonom na głos Krótki kurs historii WKP(b), śnią im się tymczasowe zasady i aktualne instrukcje.

Niespodziewanie ci ludzie odsłonili przed Sztrumem swoją drugą, ludzką twarz.

Sekretarz komitetu partii Ramskow okazał się miłośnikiem wędkarstwa - przed wojną z żoną i synami pływał łódką po rzekach Uralu.

- Och, Wiktorze Pawłowiczu - powiedział - czy może być w życiu coś lepszego: wyjdzie człowiek o świcie, rosa błyszcząca, piaseczek na brzegu zimny, zarzuca się wędki, a woda, jeszcze ciemna, zamknięta, coś człowiekowi obiecuje... Jak się wojna skończy, to wciągnę pana do naszego bractwa...

Kowczenko kiedyś rozmawiał ze Sztrumem o chorobach dziecięcych.

Sztruma zdumiało, ile ten człowiek wie o leczeniu anginy, krzywicy.

830 Okazało się, że choć Kasjan Tierientjewicz ma dwoje własnych dzieci, usynowił jeszcze chłopczyka z Hiszpanii. Mały Hiszpan często chorował, a Kowczenko sam zajmował się jego leczeniem.

Nawet oschły Swieczin opowiadał Sztrumowi o swojej kolekcji kaktusów, którą udało mu się ocalić podczas mroźnej zimy 1941 roku.

„Ach, doprawdy, nie tacy to znowu źli ludzie - myślał Sztrum. W każdym człowieku jest coś ludzkiego”.

Oczywiście w głębi duszy wiedział, że taka zmiana spojrzenia nie zmienia w istocie nic. Nie był głupcem ani cynikiem, umiał myśleć.

W tych dniach przypomniała mu się opowieść Krymowa o jego starym towarzyszu, Bagrianowie, starszym śledczym prokuratury wojskowej. Bagrianow został aresztowany w roku 1937, a w 1939, podczas krótkiego okresu beriowskiego liberalizmu, zwolniony z obozu, powrócił do Moskwy.

Krymow opowiadał, jak Bagrianow przyszedł do niego nocą, prosto z dworca, w podartej koszuli i podartych spodniach; w kieszeni miał zaświadczenie z obozu.

Tej pierwszej nocy wygłaszał wolnościowe tyrady, współczuł wszystkim więźniom, miał zamiar zostać pszczelarzem i ogrodnikiem.

Ale stopniowo, w miarę tego jak wracał do poprzedniego życia, zaczął mówić



inaczej.

Krymow ze śmiechem opisywał, jak stopniowo, etapami zmieniała się ideologia Bagrianowa. Oddano mu wojskowe spodnie i mundur; tej fazie odpowiadały jeszcze poglądy liberalne. A jednak nie demaskował już zła z pasją Dantona.

Potem zamiast zaświadczenia o zwolnieniu wydano mu dowód z moskiewskim meldunkiem. Od razu skłoniło go to do przyjęcia Heglowskiej maksymy: „Wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne”. Następnie zwrócono mu mieszkanie, a wtedy zaczął mówić całkiem po nowemu, twierdził, że w obozach siedzi niemało wrogów państwa radzieckiego, którzy słusznie zostali skazani. Później oddano mu odznaczenia. Przywrócono członkostwo partii i zaliczono staż partyjny.

W tym samym natomiast czasie Krymowa zaczęły w partii spotykać przykrości. Bagrianow przestał do niego dzwonić. Kiedyś Krymow zobaczył, jak przed bramą prokuratury wysiada z samochodu Bagrianow z dwoma rombami na kołnierzu bluzy. Minęło osiem miesięcy od owej nocy, kiedy człowiek w podartej koszuli, z obozowym zaświadczeniem 831 w kieszeni, mówił u Krymowa o niewinnie skazanych i o ślepej przemocy. „Kiedy go słuchałem, już myślałem, że dla prokuratury jest stracony na zawsze” - ze złośliwym uśmiechem mówił Krymow.

Oczywiście, Wiktor Pawłowicz nie bez powodu wspomniał tę historię i opowiedział ją Nadi i Ludmile Nikołajewnie.

Nic się nie zmieniło w jego stosunku do ludzi, którzy zginęli w 1937 roku. Jak dawniej przerażało go okrucieństwo Stalina.

Na życie ludzi w żaden sposób nie wpływa to, czy niejaki Sztrum jest ulubieńcem, czy pasierbem losu; ludzie zmarli w czasie kolektywizacji, rozstrzelani w roku 1937 i tak nie zmartwychwstaną, niezależnie od tego, czy niejaki Sztrum dostanie order, czy też nie, od tego, czy zaprosi go Malenkow albo czy Szyszakow wpisze go na listę gości.

Wszystko to Wiktor Pawłowicz doskonale pamiętał i rozumiał.

A jednak ta pamięć i rozumienie stały się jakieś inne. Czy to nie było w nich już poprzedniego niepokoju, poprzedniej tęsknoty za wolnością słowa i druku, czy też nie doskwierały Sztrumowi z dawną siłą myśli o niewinnie straconych ludziach. Może przyczyną było to, że nie czuł teraz stałego, przesywającego - porannego, wieczornego i nocnego - strachu? Wiktor Pawłowicz rozumiał, że Kowczenko, Dubienkow, Swieczin, Prasłow, Szyszakow, Guriewicz i wielu innych nie stało się lepszymi ludźmi tylko dlatego, że dzisiaj inaczej go traktują. Gawronow, który nadal z fanatycznym uporem deprecjonował wartość Sztruma jako uczonego, był uczciwszy.

Sztrum tak właśnie powiedział do Nadi: - Wiesz, zdaje mi się, że lepiej mimo wszystko ze szkodą dla siebie obstawać przy czarnosecinnych poglądach niż dla kariery wielbić Hercena i Dobrolubowa.

Dumny był wobec córki z tego, że się kontroluje, że śledzi swoje myśli. Nie grozi mu to, co dotknęło tylu innych: sukces nie wpłynie na jego poglądy, osobiste sympatie i dobór przyjaciół... Nie miała racji Nadia, zarzucając mu kiedyś coś podobnego.

Stary wróbel, którego nie złapią na plewy. W jego życiu wszystko się zmieniało, a on się nie zmieniał. Nie zmieniał znoszonego garnituru, pomiętych krawatów, butów

ze zdartymi obcasami. Chodził jak dawniej nieostrzyżony, ze zmierzwionymi włosami, jak dawniej pojawiał się nieogolony na najważniejszych zebraniach.

832 Jak dawniej też lubił rozmawiać z dozorcami i windziarzami. Jak dawniej z góry, pogardliwie traktował ludzkie słabości, potępiał bojaźliwość wielu ludzi. Jego pociechą była myśl: „Nie poddałem się, nie ugiąłem karku, wytrzymałem, nie uległem. Sami do mnie przyszli”.

Często mawiał do żony: „Tyle marnych ludzi dookoła! I jak się boją bronić swojego prawa do uczciwości, tak łatwo ustępują! Tyle wokół służalczości, żalonych zachowań”.

Nawet o Czepyzynie pomyślał kiedyś z przyganą. „W jego przesadnym zainteresowaniu turystyką i alpinizmem tkwi nieświadomy strach przed kontaktem z ludźmi, a w odejściu z instytutu - świadomy strach przed najważniejszym problemem w naszym życiu”.

Oczywiście coś tam jednak się w nim zmieniało, czuł to, ale co właściwie - tego nie potrafił dociec.

54 Sztrum nie zastał w laboratorium Sokołowa. Dwa dni przed jego powrotem do instytutu Piotr Ławrjontjewicz zachorował na zapalenie płuc.

Sztrum dowiedział się, że jeszcze przed tą chorobą Sokołow załatwił sobie u Szyszakowa nową pracę. Powierzono mu kierownictwo powstającego właśnie zakładu. W sumie akcje Piotra Ławrjontjewicza szły w górę.

Nawet wszechwiedzący Markow nie wiedział, dlaczego właściwie Sokołow poprosił dyrekcję o przeniesienie z laboratorium Sztruma.

Kiedy Wiktor Pawłowicz usłyszał o jego odejściu, nie poczuł rozgoryczenia ani współczucia, tak uciążliwa była myśl o spotkaniu z nim i o wspólnej pracy.

Cóż wyczytałby Sokołow w jego oczach? Oczywiście, on, Sztrum, nie miał prawa myśleć o żonie swojego przyjaciela, tak jak o niej myślał.

Nie miał prawa za nią tęsknić. Nie miał prawa potajemnie się z nią spotykać.

Gdyby ktoś opowiedział mu podobną historię, byłby oburzony. Oszukiwać żonę! Oszukiwać przyjaciela! Ale tęsknił, marzył o spotkaniach z nią.

Ludmiła znowu nawiązała stosunki z Marią Iwanowną. Najpierw długo rozmawiały przez telefon, potem się spotkały, płakały, jedna 833 przed drugą przyznawała się do złych myśli, podejrzeń, niewiary w przyjaźń.

Boże, jakie skomplikowane i poplątane jest życie! Maria Iwanowna, szczerą i czystą Marią Iwanowną, nie była szczerą z Ludmiłą! Ale przecież zrobiła to z miłości do niego.

Teraz Marię Iwanownę widywał rzadko. Prawie wszystkich wieści o niej dostarczała mu Ludmiła.

Dowiedział się, że kandydaturę Sokołowa wysunięto do Nagrody Stalinowskiej za prace opublikowane przed wojną. Dowiedział się, że Sokołow otrzymał pełen zachwytu list od młodych fizyków angielskich.

Dowiedział się, że Sokołow w najbliższych wyborach do Akademii będzie

kandydował na członka korespondenta. O tym wszystkim Maria Iwanowna opowiedziała Ludmile. On sam przy krótkich spotkaniach z Marią Iwanowną nie wspominał teraz o Piotrze Ławrientjewiczu.

Sprawy służbowe, posiedzenia, podróże nie mogły zagłuszyć nieustannej tęsknoty, cały czas myślał o tym, żeby ją zobaczyć.

Ludmiła Nikołajewna kilkakrotnie wracała do sprawy: „Nie mogę pojąć, dlaczego Sokołow jest tak nieprzychylnie do ciebie nastawiony.

Masza też nie umie tego wyjaśnić jak należy”.

Wyjaśnienie było proste, ale Maria Iwanowna rzeczywiście nie mogła Ludmile nic wyjaśnić jak należy. Wystarczyło już, że powiedziała mężowi o swoim uczuciu do Sztruma.

To wyznanie na zawsze zniszczyło stosunki między nim a Sokołowem. Maria Iwanowna obiecała mężowi, że więcej się ze Sztrumem nie zobaczy. Gdyby powiedziała choć słowo Ludmile, Wiktor Pawłowicz przez dłuższy czas nic by o niej nie wiedział - gdzie jest, co z nią się dzieje. Przecież widywali się tak rzadko! A ich spotkania były takie krótkie! W czasie tych spotkań mało rozmawiali, spacerowali ulicą, trzymając się za ręce, albo siedzieli na ławce na skwerku i milczeli.

Kiedy przeżywał ciężkie chwile, Maria Iwanowna rozumiała wszystkie jego obawy i zmartwienia. Odgadywała jego myśli, jego postęпки; może nawet z góry wiedziała, co się z nim stanie. Im ciężiej było mu na duszy, tym silniejsze, tym bardziej niecierpliwe stawało się pragnienie, żeby ujrzeć Marię Iwanownę. Wydawało mu się wtedy, że właśnie to pełne, absolutne zrozumienie jest jego szczęściem. Że gdyby była przy nim, łatwo zniósłby wszelkie cierpienia. Tak, byłby z nią szczęśliwy.

834 Porozmawiali niegdyś nocą w Kazaniu, w Moskwie przeszli się we dwoje po parku Nieskuczny, kiedy indziej posiedzieli razem parę minut, i na tym się właściwie skończyło. Ale to było kiedyś. A teraz? Kilka razy rozmawiali przez telefon, kilka razy widzieli się na ulicy, i o tych krótkich spotkaniach Ludmile nie wspominał.

Ale wiedział, że jego grzech i grzech Marii nie mierzy się w minutach, które potajemnie przesiedzieli na ławce. Grzech był niemały: Sztrum kochał Marię Iwanownę. Dlaczego zajęła aż tyle miejsca w jego życiu? Każde jego słowo, skierowane do żony, było półprawdą. Każdy ruch, każde spojrzenie, wbrew jego chęciom, niosło w sobie kłamstwo.

Z udaną obojętnością pytał Ludmiłę Nikołajewnę: „No jak, dzwoniła twoja przyjaciółka, co tam u niej, jak zdrowie Piotra Ławrientjewicza?” Cieszył się z sukcesów Sokołowa. Ale nie dlatego, by żywił wobec niego pozytywne uczucia. Po prostu wydawało mu się, że sukcesy męża uwalniają Marię Iwanownę od wyrzutów sumienia.

Ale to, że o Sokołowie i Marii Iwanownie dowiadywał się od Ludmiły, było dlań trudne do zniesienia. Poniżało Ludmiłę, Marię Iwanownę, jego samego.

Cóż, kłamstwo mieszało się z prawdą wtedy, kiedy mówił z Ludmiłą o Toli, o Nadi, o Aleksandrze Władimirownie, mieszało się ze wszystkim. Dlaczego? Przecież uczucie do Marii Iwanowny było prawdą jego duszy, jego myśli, jego pragnień. Czemuż ta prawda rodziła tyle kłamstwa? Wiedział, że gdyby wyrzekł się uczucia, uwolniłby od

kłamstwa i Ludmiłę, i Marię Iwanownę, i siebie. Ale w tych chwilach, kiedy mu się wydawało, że trzeba się wyrzec miłości, do której nie miał prawa, przebiegłe uczucie, bojąc się cierpienia, oszukując myśl, odradzało mu: „Przecież to kłamstwo nie jest takie straszne, nikomu nie szkodzi.

Cierpienia są straszniejsze od kłamstwa”.

Kiedy chwilami wydawało mu się, że znajdzie w sobie dość siły i okrucieństwa, by zerwać z Ludmiłą, zburzyć życie Sokołowa, uczucie zachęcało go do tego, oszukiwało myśl zupełnie na odwrót: „Kłamstwo jest przecież gorsze od wszystkiego, lepiej zerwać z Ludmiłą, byle jej nie okłamywać, nie zmuszać do kłamstwa Marii Iwanowny. Kłamstwo jest straszniejsze od cierpienia!” Nie zauważał, że jego myśl stała się pokorną służką uczucia, uczucie wodziło za sobą myśl i że z tego kręcenia się w kółko było tylko jedno wyjście - ciąć na żywo, złożyć w ofierze siebie, a nie innych.

835 Im dłużej myślał o tym wszystkim, tym mniej rozumiał. No bo jakże można to zrozumieć, jak rozplątać - miłość do Marii Iwanowny była zarazem i prawdą, i kłamstwem jego życia! Latem miał romans z piękną Niną, i nie był to romans gimnazjalisty. Nie skończyło się na spacerkach po skwerku. Ale poczucie zdrady, nieszczęścia w rodzinie, winy wobec Ludmiły pojawiło się dopiero teraz.

Poświęcił temu wiele sił duchowych, myśli, wzruszeń. Pewnie sam Planck nie zużył tyle siły przy teorii kwantów.

Sztrum przez pewien czas sądził, że tę miłość zrodziły tylko jego zmartwienia, nieszczęścia... Gdyby ich nie było, uczucie by go ominęło...

Ale teraz wiodło mu się w życiu, a pragnienie ujrzenia Marii Iwanowny nie słabło.

Była szczególną naturą - nie bogactwo, nie sława, nie siła ją przyciągały. Przecież chciała z nim dzielić nieszczęścia, smutek, ból... Martwił się więc: może teraz się od niego odwróci? Wiedział, że Maria Iwanowna ubóstwia Piotra Ławrientjewicza. To właśnie doprowadzało go do szaleństwa.

Pewnie Żenia miała rację. Ta druga miłość, przychodząca po długich latach życia małżeńskiego, jest rzeczywiście skutkiem duchowej awitaminozy. Tak krowę ciągnie do lizania soli, której latami szuka i nie znajduje w trawie, w sianie, w liściach drzew. Ten głód duszy narasta stopniowo, robi się niewiarygodnie silny. Tak właśnie było, tak właśnie jest. O, już on znał swój głód duchowy... Maria Iwanowna absolutnie nie przypominała Ludmiły...

Miał rację czy nie, tak właśnie myśląc? Sztrum nie zauważał, że jego myśli nie były produktem rozumu; ich prawdziwość czy fałsz nie wpływały na jego postępowanie. Nie rozum nim kierował. Wiktor Pawłowicz cierpiał, nie widząc Marii Iwanowny, uszczęśliwiała zaś go myśl, że ją zobaczy. Tym szczęśliwszy był więc, gdy sobie wyobrażał, że będą razem i nigdy już się nie rozstaną.

Dlaczego nie doświadczał wyrzutów sumienia, kiedy myślał o Sokołowie? Dlaczego nie było mu wstyd? Co prawda, czego miałby się wstydzić? Na dobrą sprawę przeszli się tylko po parku Nieskucznym i posiedzieli na ławce.

Ach, co tam siedzenie na ławce! Gotów był zerwać z Ludmiłą, gotów był oświadczyć przyjacielowi, że kocha jego żonę, że chce mu ją odebrać.

836 Przypominał sobie wszystkie złe rzeczy ze wspólnego życia z Ludmiłą. Przypominał sobie, jak źle Ludmiła traktowała jego matkę. Przypominał sobie, jak Ludmiła nie chciała przenocować jego ciotecznego brata, kiedy ten wrócił z obozu. Przypominał sobie jej upór, nieczułość, oschłość.

Wspomnienia o tych złych rzeczach czyniły go bezwzględny. Potrzebował jednak bezwzględności, jeśli miał dokonać czegoś tak okrutnego. Ale przecież Ludmiła przeżyła z nim tyle lat, dzieliła wszystko, co ciężkie, trudne. Przecież siwieją jej włosy. Tyle nieszczęść spadło na nią. Czyż naprawdę nie znalazłby w niej nic dobrego? Przecież tyle lat był z niej dumny, podobała mu się jej szczerość, bezpośredniość.

Tak, tak, szykował się, żeby zrobić coś strasznego.

Rano, wychodząc do pracy, Wiktor Pawłowicz przypomniał sobie niedawną wizytę Jewgienii Nikołaj ewny i pomyślał: „Dobrze chociaż, że Genevieve pojechała do Kujbyszewa”.

Wstyd mu się zrobiło, że tak pomyślał, i właśnie w tej chwili Ludmiła Nikołajewna powiedziała: - Do wszystkich naszych więźniów doszedł jeszcze Nikołaj. Dobrze chociaż, że Żeni nie ma teraz w Moskwie.

Chciał żonę zganić za te słowa, ale w porę się spostrzegł i nic nie powiedział. Jak fałszywy byłby ten wyrzut! - Czepyżyn dzwonił do ciebie - dodała Ludmiła Nikołajewna.

Popatrzył na zegarek.

- Wieczorem wrócę wcześniej i zadzwonię do niego. A przy okazji prawdopodobnie znowu polecę na Ural.

- Na długo? - Nie. Na trzy dni.

Śpieszył się, czekał go dziś wielki dzień.

Miał mnóstwo pracy, wielkie, państwowej wagi sprawy, i zupełnie jakby w głowie działała reguła odwrotnej proporcjonalności, jego własne myśli były nędzne, drobne, żałosne.

Wyjeżdżając, Żenia prosiła siostrę, żeby poszła na Kuźniecki Most i przekazała Krymowowi dwieście rubli.

- Ludmiła - powiedział - pamiętaj, trzeba przekazać pieniądze, zdaje się, że przegapiłaś termin.

Przypomniał o tym nie dlatego, że troszczył się o Krymowa i Żenię.

Zrobił to, bo pomyślał, że niefrasobliwość Ludmiły może przyśpieszyć 837 przyjazd Żeni do Moskwy. W Moskwie Żenia zaczęłaby pisać podania, wydzwaniać, zmieniałaby mieszkanie Sztruma w bazę wypadową do więzień i prokuratur.

Sztrum wiedział, że te myśli są nie tylko małostkowe i nędzne, ale wręcz podłe. Wstydząc się ich, skwapliwie rzekł: - Napisz do Żeni. Zaproś ją w swoim i moim imieniu. Może powinna być w Moskwie, a niezręcznie byłoby jej przyjeżdżać bez zaproszenia.

Słyszysz, Luda? Zaraz do niej napisz! Po tych słowach poczuł się lepiej, ale znowu wiedział - mówił to dla samouspokojenia... Dziwne mimo wszystko. Siedział w

swoim pokoju, zewsząd wypędzony, bał się gospodarza domu i panienci z biura kartkowego, a głowę miał pełną myśli o życiu, o prawdzie, o wolności, o Bogu... Nikomu nie był potrzebny, telefon milczał tygodniami, znajomi woleli go nie poznawać na ulicy. A teraz, kiedy czekają na niego dziesiątki ludzi, dzwonią, piszą do niego, kiedy ZIS-101 delikatnie trąbi pod oknem, on nie potrafi się uwolnić od myśli pustych jak wyplute pestki słonecznikowe, od żalostnej irytacji, nędznych obaw. A to coś powiedział nie tak, a to nieostrożnie się uśmiechnął - zawsze towarzyszą mu różne małostkowe, trywialne względy.

Przez jakiś czas po telefonie Stalina Sztrumowi zdawało się, że strach całkowicie zniknął z jego życia. Ale okazało się, że nadal w nim tkwi, chociaż się zmienił, nie był już plebejski, tylko pański - jeździł samochodem, dzwonił przez wewnętrzny telefon kremłowski, ale mimo wszystko pozostał.

To, co wydawało się niemożliwe - zawistny, sportowy stosunek do cudzych odkryć naukowych i sukcesów - stało się faktem. Niepokoił się, czy go nie przeskoczą, nie prześcigną.

Nie bardzo miał ochotę rozmawiać z Czepyżynem, wydawało się, że nie starczy mu sił na długą, trudną rozmowę. Mimo wszystko zbyt prosto wyobrażali sobie zależność nauki od państwa. Przecież był naprawdę wolny. Jego konstrukcje teoretyczne nikomu nie wydają się talmudycznym nonsensem. Nikt się na nie nie zamierza. Państwu potrzebna jest teoria fizyczna. Teraz to jasne i dla Szyszakowa, i dla Badjina. Po to, żeby Markow mógł pokazać swoją siłę w eksperymencie, Koczkurow w praktyce, potrzebni są Chaldejscy mędrcy - teoretycy. Po telefonie od Stalina wszyscy to nagle zrozumieli. Jak wyjaśnić Dmitrijowi Pietrewiczowi, że ten telefon przyniósł Sztrumowi swobodę pracy? 838 Tylko dlaczego tak go drażnią wady Ludmiły Nikołajewny? I dlaczego tak wyrozumiale traktuje Aleksieja Aleksiejewicza? Bardzo przyjemnie rozmawiało mu się teraz z Markowem. Sprawy osobiste kierownictwa, tajne i częściowo tajne okoliczności, niewinna chytryść i autentyczna perfidia, urazy i nietakty, związane z zaproszeniem lub niezaproszeniem kogoś do prezydium, obecność na jakichś listach specjalnych albo srogi wyrok: „Nie ma pana na liście” - wszystko to naprawdę zaczęło go ciekawić.

Wolałby chyba spędzić teraz wolny wieczór na pogawędce z Markowem niż dyskutować z Madjarowem w Kazaniu. Markow zadziwiająco trafnie podkreślał wszystko, co złe w ludziach; bez złości, a zarazem złośliwie wyśmiewał ludzkie przywary. Miał subtelny umysł, w dodatku był uczonym najwyższej klasy. Może nawet najbardziej utalentowanym doświadczalnikiem w kraju.

Sztrum włożył już płaszcz, kiedy Ludmiła Nikołajewna powiedziała: - Maria Iwanowna dzwoniła wczoraj.

- No i co? Najwyraźniej musiał zmienić się na twarzy, bo Ludmiła spytała: - Co ci jest? - Nic, nic - mruknął i z korytarza wrócił do pokoju.

- Właściwie to niedokładnie zrozumiałam, jakaś przykra historia.

Zdaje się, że Kowczenko dzwonił do nich. Masza jak zwykle martwi się o ciebie, boi się, że znowu sobie zaszкодysz.

- Ale czym? - spytał niecierpliwie. - Nie rozumiem.

- No przecież ci mówię, że też nie rozumiem. Widocznie nie chciała mówić przez telefon.

- Poczekaj, powtórz jeszcze raz - powiedział, rozpiął płaszcz i usiadł na krześle przy drzwiach.

Ludmiła patrzyła na niego, kręcąc głową. Zdawało mu się, że jej oczy patrzą na niego ze smutkiem i wyrzutem.

Ona zaś, potwierdzając słuszność tego domysłu, zauważyła: - Tak, Witia, nie masz czasu, żeby zadzwonić rano do Czepyżyna, a zawsze jesteś gotów słuchać o Maszeńce... Nawet się wróciłeś, a już jesteś spóźniony.

Jakoś krzywo, spode łba, spojrzął na żonę i potwierdził: - Tak, jestem spóźniony.

Podszedł do żony, podniósł jej rękę do ust.

839 Pogłaskała go po karku, lekko zmierzwiła włosy.

- Widzisz, jak ważna i interesująca jest teraz dla ciebie Maszeńka powiedziała cicho Ludmiła i uśmiechnęła się żałośnie, dodając: - Ta, która nie umie odróżnić Balzaca od Flauberta.

Popatrzył na nią: oczy żony zrobiły się wilgotne, wydawało mu się, że wargi jej drżą. Bezradnie rozłożył ręce, w drzwiach obejrzał się.

Wyraz jej twarzy zdumiał go. Schodząc na dół, myślał, że jeśli rozstanie się z Ludmiłą i nigdy się z nią więcej nie zobaczy, to ten chwytający za serce wyraz jej twarzy - bezradności, udręki, wstydu za niego - nigdy, do końca życia nie zniknie z jego pamięci. Rozumiał, że przed chwilą stało się coś ważnego: żona dała mu do zrozumienia, że wie o jego miłości do Marii Iwanowny, a on to potwierdził...

Wiedział tylko jedno. Kiedy widział Maszę, był szczęśliwy, a kiedy myślał, że nigdy jej nie zobaczy - brakowało mu powietrza.

Kiedy samochód Sztruma podjeżdżał pod instytut, zrównał się z nim zis Szyszakowa i oba wozy zatrzymały się równocześnie przed bramą.

Szli obok siebie korytarzem tak samo, jak przed chwilą jechały razem ich zisy. Aleksie) Aleksiejewicz wziął Sztruma pod rękę, spytał: - To jak, leci pan? Sztrum odpowiedział: - Cóż, chyba tak.

- Wkrótce w ogóle się rozstaniemy. Będzie pan udzielnym władcą powiedział żartobliwie Aleksiej Aleksiejewicz.

Sztrum pomyślał nagle: „Co by powiedział, gdybym go zapytał, czy był kiedyś zakochany w cudzej żonie?” - Wiktorze Pawłowiczu - rzekł Szyszakow - czy nie zechciałby pan wstąpić do mnie o drugiej? - Do drugiej powinienem być wolny, z miłą chęcią.

Źle szła mu praca tego dnia.

W laboratoryjnej sali Markow, bez marynarki, z zakasanyimi rękawami, podszedł do Sztruma i rzekł z ożywieniem: - Jeśli pan pozwoli, Wiktorze Pawłowiczu, trochę później wstąpiłbym do pana. Jest ciekawa sprawa, pogawędzimy.

- O drugiej mam być u Szyszakowa. Może później. Ja też chciałem panu coś opowiedzieć.

- O drugiej u Aleksieja Aleksiejewicza? - powtórzył Markow i na moment się zawahał. - Chyba się domyślam, o co będą pana prosić.

840 55 Szyszakow powitał Sztruma słowami: - A ja już miałem dzwonić do pana, przypomnieć o spotkaniu.

Sztrum spojrzął na zegarek.

- Moim zdaniem nie jestem spóźniony.

Aleksiej Aleksiejewicz stał przed nim, olbrzymi, z masywną srebrzystą głową, zakuty w odświętny popielaty garnitur. Ale Sztrumowi oczy Aleksieja Aleksiejewicza teraz nie wydawały się zimne i wyniosłe, to były oczy chłopca, który naczytał się Dumasa i Mayne Reida.

- Mam do pana dzisiaj szczególną sprawę, drogi Wiktorze Pawłowiczu - zaczął, uśmiechając się, Aleksiej Aleksiejewicz i wzięwszy Sztruma pod rękę, zaprowadził go do fotela. - Sprawę poważną i niezbyt przyjemną.

- Dla mnie to żadna nowina - rzekł Sztrum i smętnie rozejrzał się po gabinecie olbrzymiego akademika. - Przystąpmy do rzeczy.

- No więc - zaczął Szyszakow - za granicą, głównie w Anglii, wszczęto podłą kampanię. Wzięliśmy na siebie główny ciężar wojny, a angielscy uczeni, zamiast domagać się jak najszybszego otwarcia drugiego frontu, wszczęli co najmniej dziwną kampanię. Rozniecają wrogie wobec naszego państwa nastroje.

Popatrzył Sztrumowi w oczy. Wiktor Pawłowicz znał to szczere, uczciwe spojrzenie człowieka, który robi właśnie coś złego.

- Tak, tak, tak - ponaglił go Sztrum. - Ale na czym ta kampania polega? - To oszczercza kampania - powiedział Szyszakow. - Opublikowano listę rzekomo rozstrzelanych u nas uczonych i pisarzy, podaje się jakieś fantastyczne liczby represjonowanych za przestępstwa polityczne.

Z niezrozumiałym, powiedziałbym nawet, podejrzanym zapałem zaprzecza się udowodnionym przez organy śledcze i sąd zbrodniom lekarzy Pletniowa i Lewina, morderców Maksyma Gorkiego. Wszystko to znalazło się w gazecie bliskiej kręgom pravicowym.

- Tak, tak, tak - znów trzykrotnie powtórzył Sztrum. - I co jeszcze? - W zasadzie właśnie to. Piszą o genetyku Czetwierikowie, stworzono komitet jego obrony.

- Drogi Aleksieju Aleksiejewiczu - rzekł Sztrum - przecież Czetwierikow rzeczywiście siedzi w więzieniu.

841 Szyszakow wzruszył ramionami.

- Jak wiadomo, Wiktorze Pawłowiczu, nie mam żadnego wpływu na pracę organów bezpieczeństwa. Jeśli istotnie został aresztowany, to z pewnością za przestępstwa, których się dopuścił. Przecież mnie ani pana nikt nie aresztował.

W tym czasie do gabinetu weszli Badjin i Kowczenko. Sztrum zrozumiał, że Szyszakow czekał na nich, był z nimi wcześniej umówiony.



Aleksiej Aleksiejewicz nawet nie wyjaśniał przybyłym, o czym rozmawiał ze Sztrumem, powiedział tylko: - Proszę, proszę, towarzysze, siadajcie - i ciągnął zwrócony do Sztruma: - Ta skandaliczna publikacja, Wiktorze Pawłowiczu, odbiła się echem aż za oceanem i została przedrukowana w „New York Timesie”, naturalnie wywołując oburzenie wśród inteligencji radzieckiej.

- Oczywiście, nie mogło być inaczej - przytaknął Kowczenko, patrząc Sztrumowi w oczy morderczo uprzejmym wzrokiem.

Spojrzenie jego piwnych oczu było tak przyjazne, że Wiktor Pawłowicz nie wypowiedział myśli, która w sposób naturalny zrodziła się w jego głowie: „Jak radziecka inteligencja mogła się oburzyć, skoro w życiu nie widziała «New York Timesa»?” Sztrum zrobił nieokreślony ruch ramionami i mruknął coś, co mogło oczywiście znaczyć, że zgadza się z Szyszakowem i Kowczenką.

- Naturalnie - kontynuował Szyszakow - w naszym środowisku zrodziła się inicjatywa, by dać godny odpór tej ohydnej kampanii.

Sporządziliśmy odpowiedni dokument.

„Niczego nie sporządzałeś, inni za ciebie to napisali” - pomyślał Sztrum.

Szyszakow ciągnął: - Dokument w formie listu.

Wówczas Badjin wtrącił półgłosem: - Czytałem go, dobrze napisany, jest w nim to, co trzeba. Podpisać go powinni nieliczni, najwybitniejsi uczeni naszego kraju, ludzie cieszący się sławą europejską, światową.

Sztrum od pierwszych słów Szyszakowa rozumiał, w jakim kierunku zmierza rozmowa. Nie wiedział tylko, o co będzie prosił Aleksiej Aleksiejewicz - o wystąpienie na radzie naukowej, o artykuł czy uczestnictwo w głosowaniu... Teraz już wiedział: potrzebny jest jego podpis pod listem.

842 Ogarnęło go uczucie mdłości. Znowu, jak przed zebraniem, na którym żądano jego publicznego przyznania się do błędów, odczuł swoją bezsilność, owadzią kruchość.

Miliony ton granitu znowu miały się zwalić na jego barki... Profesor Pletniow! Sztrum od razu przypomniał sobie artykuł w „Prawdzie” o jakiejś histeryczce, która zarzuciła staremu lekarzowi nieczne czyny. Jak zawsze, to, co pisano w gazecie, wydało mu się prawdą. Widocznie lektura Gogola, Tołstoja, Czechowa i Korolenki zrodziła w Rosji nabożny stosunek do słowa drukowanego. Ale przyszedł dzień, w którym dla Sztruma stało się oczywiste, że gazeta łąga, że profesor został oszkalowany.

A wkrótce Pletniow i znakomity internista ze szpitala kremlowskiego, docent Lewin, zostali aresztowani i przyznali się do zabójstwa Gorkiego.

Trzej ludzie patrzyli na Sztruma. Ich oczy były przyjazne, spokojne, pewne swego. Swoi wśród swoich. Szyszakow po bratersku uznał olbrzymie znaczenie pracy Sztruma. Kowczenko patrzył nań z szacunkiem. Oczy Badjina wyrażały: „Owszem, to co robiłeś, wydawało mi się obce. Ale pomyliłem się. Nie rozumiałem. Partia wytknęła mi błąd”.

Kowczenko otworzył czerwoną teczkę i podał Sztrumowi list napisany na maszynie.

- Wiktorze Pawłowiczu - oświadczył - musimy panu powiedzieć, że ta angloamerykańska kampania działa na korzyść faszystów. Prawdopodobnie inspirowali ją łajdacy z piątej kolumny.

Badjin przerwał mu: - Po co agitować Wiktora Pawłowicza? Ma serce rosyjskiego, radzieckiego patrioty, tak jak my wszyscy.

- Oczywiście - przytaknął Szyszakow. - Zgadzam się całkowicie.

- A czy ktoś w to wątpił? - zdziwił się Kowczenko.

- Tak, tak, tak - odrzekł Sztrum.

Najdziwniejsze było to, że ludzie jeszcze niedawno traktujący go z pogardą i podejrzliwością byli dzisiaj całkiem naturalni w swoim zaufaniu i przyjaźni wobec niego, on zaś, cały czas pamiętając, jak okrutnie go potraktowali, ich przyjazne uczucia również uważał za naturalne.

Właśnie ta przyjaźń i zaufanie krępowały go, pozbawiły siły. Gdyby na niego krzyczeli, tupali nogami, bili, być może wściekłby się i okazał silniejszy...

Stalin z nim rozmawiał. Ludzie siedzący teraz obok niego pamiętali o tym.

843 Ale, mój Boże, jaki okropny był list, który za namową towarzyszy miał podpisać! Jakich strasznych rzeczy dotyczył! Przecież nie mógł uwierzyć w to, że profesor Pletniow i docent Lewin zamordowali wielkiego pisarza. Jego matka, przyjeżdżając do Moskwy, bywała na przyjęciach u Lewina, Ludmiła Nikołajewna leczyła się u niego, to człowiek inteligentny, subtelny, łagodny. Jakim potworem trzeba być, żeby tak straszliwie oszkalować obu lekarzy? Te oskarżenia tchnęły mrokiem średniowiecza. Lekarze mordercy! Lekarze zamordowali wielkiego pisarza, ostatniego rosyjskiego klasyka.

Komu potrzebne było to krwawe oszczerstwo? Procesy czarownic, stosy inkwizycji, kaźnie heretyków, dym, smród, wrząca smoła. Jak powiązać to wszystko z Leninem, z budową socjalizmu, z wielką wojną przeciwko faszyzmowi? Zaczął czytać pierwszą stronę listu.

Czy jest mu wygodnie, czy ma wystarczająco dużo światła, spytał Aleksiej Aleksiejewicz. Może przesiądzie się na fotel? Nie, nie, bardzo dziękuję, jest mi wygodnie.

Czytał powoli. Litery wciskały się do mózgu, ale ten ich nie wchłaniał, tak jak jabłko nie chłonie piasku.

Przeczytał: „Biorąc w obronę wyrodków i wyrzutków rodu ludzkiego, Pletniowa i Lewina, którzy splamili zaszczytne miano lekarza, lejecie wodę na młyn antyhumanitarnej ideologii faszystowskiej”.

Przeczytał: „Naród radziecki prowadzi samotną walkę z niemieckim faszyzmem, który odrodził średniowieczne procesy czarownic i pogromy antyżydowskie, stosy inkwizycji, lochy i tortury”.

Boże mój, jak tu nie oszaleć.

A dalej: „Krew naszych synów, przelana pod Stalingradem, upamiętniła przełom w walce z hitleryzmem, wy zaś, biorąc w obronę odszczepieńców z piątej kolumny,

mimo woli..." Tak, tak, tak. „W Związku Radzieckim, jak nigdzie na świecie, ludzie nauki otoczeni są miłością narodu i troską państwa”.

- Wiktorze Pawłowiczu, czy nie przeszkadzamy panu swoimi rozmowami? - Nie, nie, skądże znowu - zaprzeczył Sztrum i pomyślał: „Są tacy szczęśliwcy, którzy potrafią wykić się żartem, siedzą akurat na daczach, chorują albo...” 844 Kowczenko powiedział: - Mówiono mi, że Josif Wissarionowicz dowiedział się o tym liście i pochwalił inicjatywę naszych uczonych.

- Dlatego właśnie chodzi o podpis Wiktora Pawłowicza... - rzekł Badjin.

Sztruma ogarnął smutek, wstręt, przeczucie, że się upokorzy. Odczuwał tchnienie łaskawości wielkiego państwa i nie miał siły rzucić się w lodowatą ciemność... Nie miał, nie miał dzisiaj w sobie siły. Nie strach go skuwał, ale coś zupełnie innego - dręczące uczucie uległości.

Jak dziwnie, zdumiewająco skonstruowany jest człowiek! On sam znalazł w sobie siłę, żeby wyrzec się życia, i nagle trudno mu zrezygnować z pierników i lizaków.

Spróbuj odrzucić wszechmocną rękę, która głaszcze cię po głowie, klepie po ramieniu.

Cóż za głupstwa, po co szkalować samego siebie. Co z tym mają wspólnego pierniki i lizaki? Nigdy nie zabiegał o wygody, o dobra materialne. Jego myśli, jego praca, najdroższa rzecz w życiu, okazały się potrzebne, cenne w dobie walki z faszyzmem. Przecież to szczęście! Tak, właściwie jak to jest? Przecież przyznali się podczas wstępnego śledztwa. Przyznali się w sądzie. Czy można wierzyć w ich niewinność, skoro przyznali się do zabójstwa wielkiego pisarza? Odmówić podpisania listu? To znaczy współczuć mordercom Gorkiego! Nie, to niemożliwe. Wątpić w szczerłość ich przyznania się? To znaczy, że ich zmuszono! Zmusić uczciwego, porządnego, inteligentnego człowieka, żeby przyznał się, że jest najemnym mordercą i przez to zasłużył na karę śmierci i wieczną hańbę, można wyłącznie torturami.

Ale przecież szaleństwem byłby nawet cień podobnej sugestii.

Tyle że ciężko, ciężko podpisać ten podły list. W głowie rodziły się wykręty i warianty odmownej odpowiedzi... „Towarzysze, jestem chory, mam skurcz naczyń wieńcowych”. - „Bzdura: ucieczka w chorobę, wygląda pan znakomicie”. - „Towarzysze, po co wam mój podpis, przecież znany jestem tylko w wąskim kręgu specjalistów, za granicą mało kto o mnie słyszał”. - „Bzdura! (Miło to słyszeć, że bzdura). Znają pana, jeszcze jak znają! O czym tu zresztą mówić, jakże bez pańskiego podpisu moglibyśmy pokazać list towarzyszowi Stalinowi? A gdyby zapytał: «Dlaczego nie ma podpisu Sztruma?»” 845 „Towarzysze, powiem wam zupełnie szczerze, niektóre sformułowania wydają mi się niezbyt trafne, zdają się rzucać cień na całą naszą inteligencję naukową”.

„Proszę, proszę, Wiktorze Pawłowiczu, słuchamy pańskich propozycji, z przyjemnością zmienimy sformułowania, które wydają się panu nietrafne”.

„Ależ zrozumcie, towarzysze, wy tu piszecie: «Wróg ludu, pisarz Babel, wróg ludu pisarz Pilniak, wróg ludu akademik Wawilow, wróg ludu, artysta Meyerhold...» Przecież ja jestem fizykiem, matematykiem, teoretykiem, niektórzy uważają mnie za schizofrenika, aż tak abstrakcyjne są obszary, na których działam. Doprawdy, nie

nadają się, takich jak ja najlepiej zostawić w spokoju, kompletnie nie znam się na tych sprawach".

„Wiktorze Pawłowiczu, niech pan da spokój. Doskonale zna się pan na polityce, dysponuje pan świetnym, logicznym umysłem; niech pan przypomni sobie, ile razy, i to jak ostro, wypowiadał się pan na tematy polityczne".

„Boże mój! Zrozumcie, to sprawa sumienia, źle się czuję, ciężko mi, zresztą nie mam takiego obowiązku, nie muszę podpisywać, jestem zmęczony, dajcie mi prawo do spokojnego sumienia!".

I od razu - bezsilność, hipnotyczna uległość, posłuszeństwo utuczonego i rozpieszczonego bydłęcia, strach przed ponownym zniszczeniem życia, strach przed nowym strachem.

Znowu przeciwstawić się kolektywowi? Znowu skazać się na samotność? Czas w końcu zacząć poważnie traktować życie. Otrzymał to, o czym nie śmiał nawet marzyć. Wykonuje swobodnie swoją pracę, jest otoczony uwagą i troską. Przecież nie prosił o nic, nie bił się w piersi.

Jest zwycięzcą! Czego chce jeszcze? Stalin dzwonił do niego! „Towarzysze, to bardzo poważna sprawa, muszę się zastanowić. Pozwólcie mi odłożyć decyzję przynajmniej do jutra".

I od razu wyobraził sobie bezseną, pełną udręki noc, wahania, niezdecydowanie, nagłą decyzję i strach przed nią, znowu niezdecydowanie, znowu decyzję. Wszystko to wykańcza człowieka jak bezlitosna, złośliwa malaria. Sam miałby jeszcze rozciągać tę torturę na całe godziny? Nie ma siły. Prędkiej, prędkiej, prędkiej.

Wyjął pióro.

I od razu zobaczył, jak speszył Szyszakowa fakt, że ten najbardziej niepokorny okazał się dzisiaj najpokorniejszy.

846 Przez cały dzień Sztrum nie pracował. Nikt go zresztą nie niepokoił, telefon nie dzwonił, ale on nie mógł się na niczym skupić. Nie pracował dlatego, że praca tego dnia wydawała mu się nudna, bezsensowna, nieciekawa.

Kto jeszcze złoży podpis pod listem? Czepyżyn? Joffe? A Kryłow? A Mandelsztam? Miał ochotę schować się za czyimiś plecami. Ale przecież nie mógł odmówić. To byłoby równoznaczne z samobójstwem.

E, nic podobnego. Mógł odmówić. Nie, nie, wszystko w porządku.

Przecież nikt mu nie groził. Byłoby źle, gdyby podpisując, czuł zwierzęcy strach. Ale nie strach był przyczyną tego, że podpisał, tylko jakaś niesamowita uległość.

Sztrum wezwał do gabinetu Annę Stiepanownę. Poprosił, żeby do jutra wywołała klisze - kontrolną serię doświadczeń przeprowadzonych na nowym urządzeniu.

Wszystko zanotowała, ale nie wychodziła.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Wiktorze Pawłowiczu - odezwała się w końcu - myślałam, że słowami nie

zdołam tego wyrazić, ale mimo wszystko spróbuję: Czy rozumie pan, co zrobił dla mnie i dla innych? To dla ludzi jest ważniejsze niż wielkie odkrycia. Na samą myśl o tym, że pan istnieje, robi się człowiekowi lżej na duszy. Wie pan, co o panu mówią ślusarze, sprzątaczkę, stróżę? Że jest pan prawym człowiekiem. Wiele razy chciałam pana odwiedzić w domu, ale się bałam. Rozumie pan, kiedy w najtrudniejszych dniach myślałam o panu, czułam lekkość w duszy.

Dzięki za to, że pan żyje. Pan jest człowiekiem! Nie zdążył jej nic odpowiedzieć, tak szybko wyszła z gabinetu. Miał ochotę biec ulicą i krzyzczeć... Byle nie ta męka, nie ten straszliwy wstyd.

Ale to nie wszystko, to był dopiero początek.

Pod koniec dnia rozległ się dzwonek telefonu.

- Poznaje pan? Boże mój, czy poznaje. Wydawało się, że nie tylko słuchem, ale nawet palcami, które trzymając słuchawkę, zrobiły się zimne, poznał ten głos. Maria Iwanowna znowu pojawiła się w ciężkiej chwili jego życia.

- Mówię z automatu, bardzo źle słyhać - powiedziała Masza. Piotrowi Ławrientjewiczowi się polepszyło, więc mam teraz więcej czasu. Niech pan przyjedzie, jeśli pan może, jutro o ósmej na tamten 847 skwerek. - I nagle dodała: - Kochany mój, miły, najdroższy, boję się o pana. Byli u nas w sprawie listu, wie pan, o czym mówię? Jestem pewna, że to pan, że to pańska siła pomogła Piotrowi Ławrientjewiczowi nie ugiąć się, wszystko było jak należy. I zaraz przyszła myśl, jak pan sobie przy tym zaszkodził. Pan jest taki kanciasty, tam gdzie inny się lekko uderzy, pan się pokaleczy.

Odłożył słuchawkę, zasłonił twarz rękami.

Już rozumiał okropność własnej sytuacji: nie wrogowie go dzisiaj zgubili. Zgubili go bliscy swoją wiarą w niego.

Kiedy wrócił do domu, od razu, nie zdejmując płaszcza, zaczął wykręcać numer do Czepyżyna. Ludmiła Nikołajewna stała przed nim, a on dzwonił do Czepyżyna, pewny, przekonany o tym, że i jego przyjaciel, nauczyciel, zada mu teraz z miłości okrutną ranę. Śpieszył się, nie zdążył nawet powiedzieć żonie, że podpisał list. Mój Boże, jak szybko Ludmiła siwieje. Tak, tak, jesteś zuch, bij siwego! - Dużo dobrych nowin, czytałem komunikaty - powiedział Czepyżyn. - U mnie natomiast nic nowego. Tyle że pokłóciłem się dzisiaj z paroma szacownymi osobami. Słyszał pan może o pewnym liście? Sztrum oblizał zaschnięte wargi i potwierdził: - Tak, coś słyszałem.

- Dobrze, dobrze, rozumiem, że to nie na telefon, porozmawiamy o tym po pańskim powrocie, kiedy się spotkamy - rzekł Czepyżyn.

To nic, to jeszcze nic, teraz przyjdzie Nadia. Boże, Boże, co narobił...

56 W nocy Sztrum nie mógł spać. Bolało go serce. Skąd ten straszliwy smutek? Ciężko, ciężko. Zwycięzca! Kiedy truchlał przed urzędniczką i gospodarzem domu, był silniejszy i bardziej wolny niż teraz. Dzisiaj nie śmiał nawet spierać się, wyrazić wątpliwości. Stracił wewnętrzną wolność, kiedy stał się mocny. Jak spojrzeć w oczy Czepyżynowi? A może zrobić to tak samo spokojnie, jak robili ci, którzy radośnie i życzliwie powitali Sztruma w dniu powrotu do instytutu? Wszystko, co wspominał tej nocy, raniło go, dręczyło, nic nie przynosiło uspokojenia. Jego własne uśmiechy, gesty,

czyny były mu obce, 848 wrogie. Dzisiaj wieczorem oczy Nadi nabrały wyrazu pełnego litości obrzydzenia.

Tylko Ludmiła, która zawsze go irytowała, zawsze się z nim sprzeczała, teraz, gdy wysłuchała jego opowieści, powiedziała: „Witieńka, nie zadręczaj się. Dla mnie jesteś najmądrzejszy, najuczciwszy. Skoro to zrobiłeś, to widać tak było trzeba”.

Skąd wzięła się u niego chęć usprawiedliwiania, popierania wszystkiego? Dlaczego zaczął być taki tolerancyjny wobec tego, czego jeszcze do niedawna nie tolerował? O czymkolwiek teraz z nim rozmawiano, okazywał się optymistą.

Wojenne triumfy zbiegły się z przełomem w jego osobistym losie.

Widzi potęgę armii, wielkość państwa, zorzę zwycięstwa. Dlaczego takie miałki wydają mu się dzisiaj myśli Madjarowa? W dniu, kiedy wyrzucano go z instytutu, nie chciał się przyznać do błędów, a na duszy zrobiło mu się lekko i jasno. Jakim szczęściem w tamtych dniach byli dla niego bliscy - Ludmiła, Nadia, Czepyżyn, Żenia... A spotkanie z Marią Iwanowną, co jej powie? Zawsze tak wyniośle traktował potulnego i lęklivego Piotra Ławrientjewicza. A dzisiaj! Boi się myśleć o matce, zgrzeszył wobec niej. Strach byłoby wziąć do ręki jej ostatni list. Z przerażeniem, ze smutkiem rozumiał, że nie ma sił, by uratować swoją duszę, nie może jej ocalić. W nim samym wyrosła siła, która zmieniła go w niewolnika.

Dopuścił się podłości! On, człowiek, rzucił kamieniem w okrwawionych, bezsilnych, godnych litości ludzi.

Ból ścisnął jego serce, dręczące uczucie sprawiło, że pot wystąpił mu na czoło.

Skąd brała się w nim duchowa pewność siebie, kto dał mu prawo chełpić się przed innymi swoją czystością, męstwem, być sędzią innych ludzi, nie wybaczać im słabości? Nie gardzą ludźmi ci, którzy naprawdę są silni.

Słabymi bywają i grzeszni, i prawi. Różnica między nimi polega na tym, że nędznik, który robi coś dobrego, chwali się tym przez całe życie, człowiek prawy natomiast, robiąc dobre rzeczy, nawet tego nie zauważa, za to latami pamięta grzech, który popełnił.

A on był ciągle dumny ze swego męstwa, ze swojej bezlitosnej szczerości, wyśmiewał tych, którzy przejawiali słabość, tchórzli. Teraz i on, człowiek, zdradził ludzi. Gardził dzisiaj sobą, wstydził się siebie. Dom, 849 w którym mieszkał, jego światło, ciepło, które go grzało - wszystko obróciło się w wióry, w miałki, suchy piasek.

Przyjaźń z Czepyżynem, miłość do córki, przywiązanie do żony, beznadziejne uczucie do Marii Iwanowny - jego ludzki grzech i ludzkie szczęście; jego praca, jego piękna nauka, jego miłość do matki i jej opłakiwanie - wszystko go opuściło.

Dlaczego popełnił ten straszliwy grzech? Skarby całego świata są niczym w porównaniu z tym, co utracił. Są niczym w porównaniu z prawością, czystością małego człowieka. Nawet imperium rozciągające się od Oceanu Spokojnego do Morza Czarnego, nawet nauka.

Z niesamowitą jasnością ujrzał nagle, że jeszcze nie jest za późno, że wciąż ma w sobie dość siły, żeby podnieść głowę, pozostać synem swojej matki.

Nie będzie szukał dla siebie pocieszeń, usprawiedliwień. Niech ta zła, żałosna,

podła rzecz, którą uczynił, na zawsze, na całe życie, pozostanie dla niego wyrzutem; w dzień i w nocy niech mu przypomina o sobie.

Nie, nie, nie! Nie do wielkiego czynu trzeba dążyć, nie do tego, żeby się nim chwalić, pysznić wspinałym postępkim.

Codziennie, w każdej godzinie, rok za rokiem trzeba toczyć walkę o prawo do bycia człowiekiem, bycia dobrym i czystym. I w tej walce nie wolno odczuwać pychy ani nawet dumy, tylko pokorę. A jeśli w strasznym czasie nadejdzie godzina, kiedy nie będzie wyjścia, człowiek nie powinien bać się śmierci, nie może się bać, jeśli chce pozostać człowiekiem.

- No cóż, zobaczymy - powiedział głośno - może wystarczy mi siły.

Twojej, mamó, twojej siły.

57 Jak z Gogola: wieczory na chutorze niedaleko Łubianki...

Po przesłuchaniach Krymow leżał na łóżku, jęczał, myślał, rozmawiał z Katzenellenbogenem.

Teraz już, choć to przyprawiało o obłąd, dopuszczał możliwość, że przyznali się do winy Bucharin i Rykow, Kamieniew i Zinowjew, już nie uważał za niewiarygodne procesów trockistów, ośrodków prawicowo-lewackich, losów Bubnowa, Murałowa, Szlapnikowa. Z żywego ciała 850 rewolucji zdzierano skórę, by nowy czas mógł się w nią przyodziać, a krwawe, żywe mięso, dymiące wnętrzności rewolucji proletariackiej szły na śmietnik, tych nowy czas nie potrzebował. Potrzebna była skóra rewolucji, tę właśnie skórę zdzierano z żywych ludzi. Ci, którzy naciągali ją na siebie, mówili słowami rewolucji, powtarzali jej gesty, ale mieli inny mózg, inne płuca, wątrobę, oczy.

Stalin! Wielki Stalin! Możliwe, że człowiek żelaznej woli jest najbardziej bezwolny ze wszystkich. Niewolnik czasu i okoliczności, pokorny sługa dnia dzisiejszego, otwierający na oścież drzwi nowym czasom.

Tak, tak, tak... A ci, którzy się tym nowym czasom nie kłaniali, szli na śmietnisko.

Teraz wiedział, jak niszczy się człowieka. Rewizja, odprute guziki, zdjęte okulary wytwarzają w człowieku poczucie, że jest niczym. W gabinecie śledczego człowiek odczuwa, że jego uczestnictwo w rewolucji i wojnie domowej nic nie znaczy, jego wiedza, praca - wszystko to błahostka! Tak więc nie tylko w sensie fizycznym człowiek jest niczym.

Tych, którzy nadal upierali się przy swoim prawie do bycia ludźmi, zaczynano rozkładać, rozmiękczać, rozmywać, rozgniać i rozbijać, chcąc uczynić ich do tego stopnia słabymi, miękkimi, plastycznymi, by nie pragnęli już sprawiedliwości, wolności ani nawet spokoju, tylko tego, by odebrano im życie, które zdążyli zniechęcić.

Łączność sfery fizycznej i duchowej człowieka umożliwiała śledczym działanie prawie zawsze uwieńczone zwycięstwem. Dusza i ciało to naczynia połączone, niszcząc więc, miażdżąc osłonę fizyczności, strona nacierająca zawsze z powodzeniem wprowadzała swoje siły w wyłom, by zawładnąć duszą i zmusić człowieka do bezwarunkowej kapitulacji.

Myśleć o tym wszystkim nie miał siły, nie myśleć - tak samo.

A kto go wydał? Kto doniósł? Kto rzucił oszczerstwo? Odpowiedź na to pytanie w ogóle go teraz nie interesowała.

Zawsze dumny był z tego, że potrafi podporządkować swoje życie logice. Ale teraz było inaczej. Logika podpowiadała, że informacje o jego rozmowie z Trockim przekazała Jewgienia Nikołajewna. A całe jego terażniejsze życie, jego walka ze śledczym, jego zdolność do oddychania, do pozostania wciąż towarzyszem Krymowem opierały się na wierze, że Jewgienia nie mogła tego zrobić. Dziwił się, jak mógł w to choćby przez parę chwil wątpić. Nie było siły zdolnej zmusić go, 851 by nie wierzył w Żenię. Wierzył w nią, chociaż wiedział, że nikt poza Jewgienią Nikołajewną nie zna historii z Trockim, wiedział, że kobiety są słabe, zdradzają, wiedział, że Żenia go rzuciła, odeszła od niego w ciężkiej chwili jego życia.

Opowiedział Katzenellenbogenowi o przesłuchaniu, ale o tej sprawie nie wspomniał nawet słowem.

Katzenellenbogen teraz nie żartował, nie dowcipkował. Rzeczywiście, Krymow nie pomylił się co do niego. To był inteligentny człowiek. Ale wszystko, co mówił, było straszne i dziwne. Czasem Krymow miał wrażenie, że nie ma nic niesprawiedliwego w tym, że stary czekista siedzi w celi więzienia wewnętrznego. Nie mogło być inaczej. Niekiedy wydawał mu się szaleńcem.

To był poeta, piewca organów bezpieczeństwa wewnętrznego.

Z zachwytem opowiedział Krymowowi, jak na ostatnim zjeździe partii, w czasie przerwy, Stalin zapytał Jeżowa, dlaczego dopuścił się przegięć w polityce karnej, a kiedy zmieszany Jeżow odpowiedział, że wykonywał przecież bezpośrednio polecenia jego, Stalina, wódz, zwracając się do otaczających go delegatów, ze smutkiem powiedział: „I to mówi członek partii”.

Opowiedział, jaki przerażony był Jagoda...

Wspominał wielkich czekistów, którzy cenili Woltera, byli znawcami Rabelais'go, wielbicielami Verlaine'a i niegdyś kierowali pracą w wielkim, bezsennym gmachu.

Opowiedział o wieloletnim moskiewskim kacie, sympatycznym i spokojnym starym Łotyszu, który po egzekucji prosił zawsze, by pozwolono mu przekazać ubranie skazańca do domu dziecka. Od razu też wspominał o innym wykonawcy wyroków - ten pił dniami i nocami, nudził się bez pracy, a kiedy go zwolniono, zaczął jeździć do podmoskiewskich kołchozów i zarzywał świnie; woził ze sobą butle świńskiej krwi - mówił, że lekarz kazał mu pić świńską krew na anemię.

Opowiadał, jak w 1937 roku wykonywano każdej nocy setki wyroków na skazanych „bez prawa korespondencji”, jak nocami dymiły kominy moskiewskiego krematorium, jak zmobilizowani do wykonywania wyroków i wywożenia trupów komsomolcy popadali w obłąd.

Opowiadał o przesłuchaniu Bucharina, o uporze Kamieniewa... Kiedyś przegadali całą noc do rana.

Tej nocy czekista rozwijał teorię, formułował uogólnienia.

852 Przedstawił Krymowowi zdumiewającą historię nepmana, inżyniera Fraenkla. Fraenkel na początku NEP-u zbudował w Odessie fabrykę silników. W połowie lat dwudziestych aresztowano go i zesłano na Wyspy Sołowieckie. Siedząc w



obozie na Solówkach, Fraenkel podsunął Stalinowi genialny projekt - stary czekista właśnie tym słowem go określił: „genialny”.

W projekcie szczegółowo, z ekonomicznym i technologicznym uzasadnieniem, przedstawił, jak można wykorzystać rzesze więźniów przy budowie dróg, tam, hydroelektrowni, sztucznych zbiorników wodnych.

Uwięziony nepman został generałem-lejtnantem bezpieczeństwa Gospodarz docenił jego twórczą myśl.

W świat pracy prymitywnej, uświęconej tradycją rot aresztanckich i carskiej katorgi, w świat łopaty, kilofa, siekiery i piły wtargnął wiek dwudziesty.

Obóz zaczął chłonać postęp, wciągał w swoją orbitę lokomotywy elektryczne, koparki, buldożery, piły, turbiny, wrębiarki, olbrzymi park samochodowy, traktorowy. Wykorzystywał lotnictwo transportowe i pasażerskie, łączność radiową i selektorową, obrabiarki automatyczne, najnowocześniejsze systemy wzbogacania rud; świat obozów projektował, planował, kreślił, rodził kopalnie, fabryki, nowe morza, gigantyczne elektrownie.

Rozwijał się stopniowo; carska katorga w porównaniu z nim wydawała się zabawna i rozczulająca niczym klocki dla dzieci.

Katzenellenbogen twierdził jednak, że obóz mimo wszystko nie nadąża za życiem, które mu dostarczało paliwa. Jak dawniej nie wykorzystywano wielu uczonych i specjalistów, jeśli reprezentowali inne dziedziny niż technika i medycyna...

Historycy światowej sławy, matematycy, astronomowie, literaturoznawcy, geografowie, znawcy malarstwa, sanskrytu i starożytnych narzeczy celtyckich nie byli potrzebni w systemie GUłagu. Obóz jeszcze nie dorósł do wykorzystania tych ludzi zgodnie z ich specjalnością.

Pracowali przy łopacie albo jako tak zwani głupekowie, wykonywali drobne prace w biurach i komórkach kulturalno-oświatowych, bądź marnowali się w obozach dla inwalidów, bo nie było zapotrzebowania na ich wiedzę, często olbrzymią, na skalę nie tylko rosyjską, ale i światową.

853 Gdy Krymow słuchał Katzenellenboga, wydawało się, że to jakiś uczoney mówi o dziele swego życia. Czekista nie tylko wystawiał, nie tylko opiewał. Był badaczem, porównywał, odkrywał wady i sprzeczności, zbliżał, przeciwstawiał.

Wady, oczywiście w nieporównanie łagodniejszej formie, dostrzegał i po drugiej stronie drutów. W życiu spotyka się niemało ludzi, którzy robią nie to, co by mogli, i nie tak, jak by mogli, na uniwersytetach, w redakcjach, w instytutach badawczych.

W obozach, mówił Katzenellenbogen, więźniowie kryminalni rządzą politycznymi. Rozpasani, ciemni, leniwi i przekupni, skłonni do krwawych bójek i grabieży kryminaliści hamują rozwój produkcji i życia kulturalnego za drutami.

Od razu jednak dodał, że przecież i po drugiej ich stronie pracą uczonych i najwybitniejszych działaczy kultury kierują niekiedy ludzie słabo wykształceni, zacofani, ograniczeni.

Obóz był jakby hiperbolicznym, wyolbrzymionym odbiciem życia, które toczyło się poza jego granicami. Ale rzeczywistość po obu stronach nie różniła się aż tak

bardzo, można w niej było dostrzec symetrię.

Nagle zaczął mówić nie jak piewca, nie jak myśliciel, ale jak prorok.

Jeśli śmiało, konsekwentnie będzie się rozwijać system obozów, likwidując jego wady i usuwając ograniczenia, to rozwój taki doprowadzi do zatarcia granic wyznaczonych przez druty. Obóz czeka zjednoczenie z obszarem poza drutami. Ta właśnie jedność, likwidacja sprzeczności między obozem a życiem pozaobozowym, będzie sprawdzianem dojrzałości, triumfem wielkich zasad. Mimo wszelkich swoich wad system obozów ma jedną kapitalną zaletę. Tylko w obozie bowiem zasadzie wolności osobistej w postaci idealnej przeciwstawiona została wyższa zasada - rozum. Ta zasada sprawi, że obóz osiągnie poziom, na którym dokona samolikwidacji, połączy się z życiem miast i wsi.

Katzenellenbogen kierował w swoim czasie obozowymi biurami konstruktorskimi, a wtedy przekonał się, że nawet w warunkach obozowych naukowcy i inżynierowie zdolni są rozwiązywać najbardziej skomplikowane zadania. Są w stanie poradzić sobie z dowolnymi problemami światowej myśli naukowej i technicznej. Należy jedynie w sposób rozumny kierować ludźmi i stwarzać im dobre warunki 854 życiowe. Stara śpiewka o tym, że bez wolności nie ma nauki, jest całkowicie fałszywa.

- Kiedy poziomy się wyrównają - ciągnął - i znikną różnice między życiem po tej i po tamtej stronie drutów, represje nie będą już potrzebne, przestaniemy wystawiać nakazy aresztowania. Zburzymy więzienia i izolatory polityczne. Dział kulturalno-oświatowy poradzi sobie ze wszelkimi anomaliami. Mahomet i góra wyjdą sobie naprzeciw.

Likwidacja obozu będzie triumfem humanizmu, a przy tym pierwotna, jaskiniowa, anarchiczna zasada wolności osobistej nie odrodzi się, nie zwycięży. Przeciwnie, zostanie ostatecznie wyeliminowana.

Po długim milczeniu dodał, że być może przez wieki i ten system zlikwiduje się sam, odradzając tym samym demokrację i wolność osobistą.

- Nic na tym świecie nie jest wieczne - rzekł sentencjonalnie. - Ja jednak nie miałbym ochoty żyć w takich czasach.

Krymow powiedział mu: - Pańskie pomysły są szalone. Nie to stanowi duszę i serce rewolucji.

Podobno psychiatrzy, którzy długo pracowali w klinikach, sami w końcu wariują. Proszę wybaczyć, ale pana nie bez powodu tu wsadzono. Wy, towarzyszu Katzenellenbogen, nadajecie organom bezpieczeństwa atrybuty boskie. Rzeczywiście, była już pora, żeby was zmieniono.

Czekista kiwnął głową dobrodusznie.

- Tak, wierzę w Boga. Jestem ciemnym, wierzącym starcem. Każda epoka tworzy bóstwo na swoje podobieństwo. Organy bezpieczeństwa są rozumne i potężne, panują nad człowiekiem dwudziestego wieku.

Kiedyś taką siłą, również ubóstwianą, były trzęsienia ziemi, błyskawice i gromy, pożary lasów. No i przecież wsadzili nie tylko mnie, ale i pana. Pana też pora zmienić. Kiedyś się okaże, kto mimo wszystko miał rację - ja czy pan.

- A stary Drehling wraca teraz do domu, z powrotem do obozu - rzekł Krymow, wiedząc, że jego słowa znajdą odzew.

Istotnie, Katzenellenbogen przyznał: - Tak, ten paskudny staruszek podważa moją wiarę.

855 58 Do Krymowa dotarł cichy głos: - Podali niedawno, że nasze wojska zadały ostateczną klęskę stalingradzkiemu zgrupowaniu Niemców, podobno złapali Paulusa, ale prawdę mówiąc, było źle słyhać.

Krymow zaczął krzyżeć, szarpać się, tłuc nogami o podłogę, chciał zmieszać się z tłumem ludzi w waciakach, walonkach... Gwar miłych sercu głosów zagłuszał cichą, toczącą się obok rozmowę; brnąc przez stopy stalingradzkich cegieł, Griekow szedł kaczkowatym chodem w stronę Krymowa.

Lekarz trzymał go za rękę, mówił: - Warto by zrobić przerwę... Powtórnie kamforę, wypadanie jednego uderzenia serca po każdych czterech.

Krymow przełknął słoną grudę i powiedział: - Nie szkodzi, bijcie dalej, skoro medycyna pozwala, ja i tak nie podpiszę.

- Podpiszesz, podpiszesz - rzekł śledczy z dobroduszną pewnością majstra fabrycznego. - Nie tacy jak ty podpisywali.

Po trzech dobach skończyło się drugie przesłuchanie: Krymow wrócił do celi.

Dyżurny położył koło niego paczkę owiniętą w białe płótno.

- Podpiszcie, obywatelu aresztowany, że otrzymaliście przesyłkę.

Nikołaj Grigorjewicz przeczytał spis produktów, skreślony znajomym pismem - cebula, czosnek, cukier, białe suchary. U dołu widniały słowa: „Twoja Żenią”.

Płakał. Boże, Boże...

59 Pierwszego kwietnia 1943 roku Stiepan Fiodorowicz Spiridonow otrzymał wyciąg z decyzji kolegium narkomatu elektrowni ZSRR: polecono mu zamknąć i przekazać sprawy na StaIGRES-ie; jednocześnie kierowano go na Ural, gdzie miał objąć dyrekturę niedużej elektrowni, pracującej na torfie. Kara nie była taka znowu wielka, mogli go przecież postawić przed sądem. W domu Spiridonow nie powiedział o tym 856 poleceniu, postanowił czekać na decyzję biura komitetu obwodowego.

Czwartego kwietnia biuro udzieliło mu surowej nagany za samowolne opuszczenie posterunku w ciężkiej chwili. Ta kara była również łagodna, mogli go przecież wyrzucić z partii. Ale on uznał ją za niesprawiedliwą przecież towarzysze z obwodu wiedzieli, że kierował elektrownią do końca obrony Stalingradu, a przeszedł na lewy brzeg dopiero tego dnia, w którym zaczęło się natarcie radzieckie, przeszedł, żeby odwiedzić córkę, która urodziła dziecko na barce. Na posiedzeniu biura próbował oponować, ale Priachin oświadczył surowo: - Możecie zaskarżyć decyzję biura w Centralnej Komisji Kontroli.

Myślę, że towarzysze Szkiariatow uzna ją za łagodną, wyrozumiałą.

Stiepan Fiodorowicz powiedział: - Jestem pewien, że CKK zmieni decyzję - ale ponieważ dużo się nasłuchał o Szkiariatowie, nie ośmielił się złożyć apelacji.

Obawiał się i podejrzewał, że surowość Priachina związana jest nie tylko ze

sprawą StałGRES-u. Priachin oczywiście pamiętał o rodzinnych związkach Stepana Fiodorowicza z Jewgienią Szaposznikow i Krymowem. Nie miał więc powodów, by lubić człowieka, który wiedział, że Priachin i aresztowany Krymow od dawna się znali.

W takiej sytuacji, nawet gdyby chciał, absolutnie nie mógł poprzeć Spiridonowa. Gdyby to zrobił, niezyczliwi, którzy w pobliżu ludzi władzy zawsze się znajdują, od razu donieśliby, gdzie trzeba, że Priachin z sympatii do wroga ludu Krymowa popiera jego krewniaka, podłego egoistę Spiridonowa.

Najwyraźniej jednak Priachin nie popierał Spiridonowa, bo nie chciał popierać, a nie tylko dlatego, że nie mógł. Oczywiście, wiedział, że do StałGRES-u przyjechała teściowa Krymowa i zatrzymała się w mieszkaniu Spiridonowa. Prawdopodobnie wiedział i to, że Jewgienia Nikołajewna koresponduje z matką, niedawno przysłała jej kopię swojego podania do Stalina.

Woronin, szef obwodowego wydziału ministerstwa bezpieczeństwa, po posiedzeniu biura komitetu obwodowego spotkał się ze Spiridonowem w bufecie, gdzie Stepan Fiodorowicz kupował pastę twarogową i kiełbasę, rzucił mu drwiące spojrzenie i takim samym tonem powiedział: - Urodzony gospodarz ze Spiridonowa, dopiero co surową naganę dostał, a już robi zapasy.

857 - Rodzina, nic się nie poradzi, jestem teraz dziadkiem - wyjaśnił Stepan Fiodorowicz i uśmiechnął się żalonym, pełnym skruchy uśmiechem.

Woronin też uśmiechnął się do niego.

- A ja myślałem, że paczkę szykujesz.

Po tych słowach Spiridonow pomyślał: „Dobrze, że gnają mnie na Ural, bo tutaj całkiem bym przepadł. Gdzie się podzieje Wiera z małym?” Stepan Fiodorowicz jechał do StałGRES-u półtoratonówką i patrzył przez mętną szybę na zrujnowane miasto, z którym wkrótce się miał rozstać. Myślał o tym, że tym chodnikiem, dzisiaj zawalonym cegłami, jego żona chodziła przed wojną do pracy, myślał o sieci elektrycznej, o tym, że kiedy ze Swierdłowska przyślą nowy kabel, jego już w StałGRES-ie nie będzie, że wnuczek nie odżywia się dobrze i ma przez to wrzody na rękach i na piersi. Myślał: „Surowa nagana czy nie, to nie takie ważne”, bolał nad tym, że nie dadzą mu medalu „Za obronę Stalingradu”, i to dokuczało mu bardziej niż czekająca go rozłąka z miastem, z którym związał całe swoje życie, niż praca, niż łyzy po Marusi. Nawet brzydko zaklął ze złości, że nie dostanie odznaczenia, aż kierowca spytał go: - Kogo tak klniecie, Stepanie Fiodorowiczu? Zapomnieliście czegoś w komitecie? - Zapomniałem, zapomniałem - przytaknął Stepan Fiodorowicz. Za to komitet o mnie nie zapomniał.

W mieszkaniu Spiridonowów było wilgotno i zimno. W okna zamiast wybitych szyb wstawili kawałki dykty i deski. W pokojach w różnych miejscach osypał się tynk, wodę trzeba było nosić wiadrami na drugie piętro, pokoje ogrzewali blaszanymi, własnego wyrobu piecykami. Jeden z pokoiów zamknęli, z kuchni nie korzystali, zrobili w niej skład dREW i kartofli.

Stepan Fiodorowicz, Wiera z dzieckiem i Aleksandra Władimirowna, która przyjechała do nich z Kazania, mieszkali w dużym pokoju, niegdyś jadalni. W małym pokoiku, należącym przedtem do Wiery, obok kuchni, zamieszkał stary Andriejew.

Stiepan Fiodorowicz mógł naprawić sufity, otynkować ściany, wstawić murowane piece - w StalGRES-ie znaleźliby się odpowiedni fachowcy, materiały też.

858 Ale z jakiegoś powodu gospodarny, przebojowy Stiepan Fiodorowicz nie miał ochoty zaczynać tych prac.

Wyglądało na to, że i Wiera, i Aleksandra Władimirowna też wolą żyć wśród ruin. Przecież przedwojenne życie obróciło się w gruzy, po co więc remontować mieszkanie, przypominać o tym, co minęło i już nie wróci.

Kilka dni po przyjeździe Aleksandry Władimirowny wróciła z Lenińska synowa Andriejewa, Natalia. W Lenińsku posprzeczała się z siostrą zmarłej Warwary Aleksandrowny, zostawiła u niej na jakiś czas syna, a sama pojawiła się u teścia na StalGRES-ie.

Andriejew zirytował się na jej widok.

- Nie potrafiłaś się dogadać z Warwarą, a teraz z jej siostrą drzesz koty. Jak mogłaś zostawić Wołodię? Widocznie życie w Lenińsku bardzo Nataszy dopiekło. Kiedy weszła do pokoju Andriejewa, rozejrzała się po suficie, ścianach i powiedziała: - Jak tu dobrze - chociaż co mogło być dobrego w zwisającej z sufitu draniczy, w kupie tynku w kącie, w okropnym piecyku z rurą.

Światło wpadało do pokoju przez niedużą szklaną płytkę, wstawioną w tarczę z desek, zasłaniającą okno.

Widok przez to prowizoryczne okienko był niewesoły - same ruiny, resztki ścian malowanych na poszczególnych piętach to na niebiesko, to na różowo, powyrywane z dachów żelastwo...

Po przyjeździe do Stalingradu Aleksandra Władimirowna zachorowała. Przez tę chorobę musiała odłożyć na później wyprawę do miasta.

Chciała popatrzeć na swój zburzony, spalony dom.

W pierwszych dniach starała się ignorować chorobę i pomagała Wierze - paliła w piecu, prała i suszyła pieluszki nad blaszaną rurą piecyka, wynosiła na klatkę schodową kawałki tynku, próbowała nawet chodzić po wodę.

Ale czuła się coraz gorzej, miała dreszcze, chociaż w pokoju było bardzo gorąco; w zimnej kuchni nagle pot występował jej na czoło.

Nie skarżyła się, chciała chorobę przechodzić. Któregoś dnia rano jednak weszła do kuchni po drwa, straciła przytomność, upadła na podłogę i rozbiła sobie głowę do krwi. Stiepan Fiodorowicz i Wiera położyli ją do łóżka.

Kiedy Aleksandra Władimirowna odpoczęła, przywołała Wierę i powiedziała: 859 - Wiesz, w Kazaniu u Ludmiły miałam cięższe życie niż u was. Nie tylko dla was tutaj przyjechałam, ale i dla siebie. Boję się jednak, że cię zamęcę, zanim stanę na nogi.

- Babciu, mnie i tak z tobą dobrze - zapewniła Wiera.

Choć naprawdę Wiera nie miała lekko. O wszystko trzeba się było starać z wielkim trudem - o wodę, o drwa, o mleko. Na dworze przygrzewało słońce, a w mieszkaniu było wilgotno i zimno, więc opału wychodziło dużo.

Mały Mitia chorował na brzuszki, płakał nocami, Wierze nie starczało pokarmu.

Cały dzień kręciła się po pokoju i po kuchni, szła po mleko i chleb, prała, zmywała naczynia, dźwigała wodę z dołu. Ręce miała czerwone, twarz spierzchniętą, pokrytą plamami. Zmęczenie i praca przytłaczały jej serce nieustannym brzemieniem. Ugięła się pod ciężarem życia, nie czesała się, nie przeglądała w lustrze, rzadko się nawet myła. Wciąż chciało jej się spać. Pod wieczór ręce, nogi, ramiona bolały, tęskniły do odpoczynku. Ledwie się położyła, Mitia zaczynał płakać. Wstawała do niego, karmiła go, przewijała, nosiła na rękach po pokoju. Po godzinie znowu uderzał w płacz, a ona znowu wstawała. O świcie budził się i już nie zasypiał, Wiera zaś w półmroku zaczynała nowy dzień - niewyspana, z ciężką, zamroczoną głową, szła do kuchni po drwa, paliła w piecu, stawiała wodę - na herbatę dla ojca i babci, zabierała się do prania. Ale co dziwne, nigdy się teraz nie złościła, była łagodna i cierpliwa.

Życie Wiery stało się lżejsze, kiedy z Lenińska przyjechała Natalia.

Andriejew od razu po jej przyjeździe wybrał się na kilka dni do północnej części Stalingradu, na osiedle fabryczne. Może chciał obejrzeć swój dom i fabrykę, może zły był na synową, że zostawiła dziecko w Lenińsku; może też nie chciał, żeby zjadała chleb Spiridonowom, bo wyjechał i zostawił jej swoją kartkę.

Natalia nie odpoczywała, od razu po przyjeździe zaczęła pomagać Wierze.

Ach, jak żwawo pracowała, nie oszczędzała się, jak lekkie stawały się ciężkie wiadra, balia z wodą, worek węgla, ledwie tylko jej silne, młode ręce wzięły się do roboty.

Teraz Wiera zaczęła na pół godziny wychodzić z Mitią na ulicę; siadała na kamieniu, patrzyła, jak błyszczą wiosenna woda, jak unoszą się opary nad stepem.

860 Dookoła było cicho, wojna odeszła o setki kilometrów od Stalingradu, ale wraz z ciszą nie wrócił spokój. Cisza przyniosła smutek; Wierze wydawało się, że było lżej, kiedy w powietrzu warczały niemieckie samoloty, huczały rozrywające się pociski, a życie było pełne ognia, strachu i nadziei. Wpatrywała się w pokrytą ropiejącymi krostami buzię syna i ogarniała ją żal. Równocześnie strasznie żał jej się robiło Wiktorowa - Boże, Boże, biedny Wania, takiego ma wątłego, chudego, płaczliwego synka.

Potem wchodziła na drugie piętro po schodach zasypanych śmieciami i kawałkami cegły, brała się do roboty i smutek tonął w krzątaninie, w mętnych mydlinach, w dymie, w wilgoci spływającej po ścianach.

Babcia wołała ją do siebie, głaskała po włosach; oczy Aleksandry Władimirowny, zawsze spokojne i jasne, nabierały wtedy wyrazu nieogarnionego smutku i czułości.

Wiera ani razu, z nikim - ani z ojcem, ani z babcią, ani nawet z pięciomiesięcznym Mitią - nie rozmawiała o Wiktorowie.

Po przyjeździe Nataszy w mieszkaniu wszystko się zmieniło. Natalia zdarła pleśń ze ścian, pobieliała ciemne kąty, zmyła brud, który, jak się wydawało, już na zawsze wgryzł się w podłogę. Urządziła wielkie pranie, które Wiera odkładała do cieplejszej pory, piętro po piętrze uprzątnęła śmieci ze schodów.

Pół dnia mordowała się z długą, przypominającą czarnego pytona rurą od pieca, która obwisła okropnie, z jej spoin kapą smolista ciecz i tworzyła kałuże na podłodze. Natalia pobieliała rurę wapnem, wyprostowała, podwiesiła na drutach, w miejscu spoin

umocowała puste puszki po konserwach, do których miała ściekać smoła.

Od pierwszego dnia zaprzyjaźniła się z Aleksandrą Władimirowną, chociaż wydawałoby się, że ta hałaśliwa i energiczna kobieta, która lubiła paplać o babach i chłopach, nie miała prawa spodobać się starej pani Szaposznikow. Od razu się okazało, że Natalia zna mnóstwo ludzi - i montera liniowego, i maszynistę z hali turbin, i kierowców ciężarówek.

Kiedys Aleksandra Władimirowna powiadomiła Natalię, gdy ta wróciła z kolejki:  
- Natasza, jakiś wojskowy pytał o panią.

- Pewnie Gruzin? Taki z dużym nochalem? - spytała Natalia. - Jak jeszcze raz przyjdzie, niech go pani przepędzi. Chce się ze mną żenić.

861 - Tak od razu? - zdziwiła się Aleksandra Władimirowna.

- Im dużo czasu nie trzeba. Chce mnie zabrać po wojnie do Gruzji.

Co to ja, może dla niego schody myślę? Wieczorem powiedziała do Wierzy: - Pojedziemy do miasta, dają jakiś film. Miszka, kierowca, zawiezie nas ciężarówką. Ty wsiądziesz z dzieckiem do szoferki, a ja na skrzynię.

Wiera pokręciła głową.

- Jedź - powiedziała Aleksandra Władimirowna. - Gdybym się lepiej czuła, też bym z wami pojechała.

- Nie, nie, nigdy w życiu.

Natalia nalegała: - Trzeba żyć, bo tak tu się gnieźdzymy, sami wdowcy i wdowy.

Potem z przyganą w głosie dodała: - Ciągłe siedzisz w domu, nigdzie nie chcesz wyjść, a o ojca nie dbasz.

Wczoraj prałam, i bieliznę, i skarpety, wszystko ma podarte.

Wiera wzięła dziecko na ręce, wyszła z nim do kuchni.

- Mitia, powiedz, twoja mama nie jest wdową, prawda? - spytała.

Stiepan Fiodorowicz przez wszystkie te dni bardzo troszczył się o Aleksandrę Władimirownę, dwa razy przywoził do niej lekarza, pomagał Wierze stawiać jej bańki, czasem wsuwał chorej do ręki cukierek i mówił: - Niech pani nie oddaje Wierze, już dostała, to specjalnie dla pani, akurat były w bufecie.

Aleksandra Władimirowna wiedziała, że Stiepan Fiodorowicz ma przykrości. Ale kiedy pytała go, czy są jakieś wieści z komitetu, kręcił w odpowiedzi głową i zaczynał mówić o czymś innym.

Dopiero tego wieczoru, kiedy powiadomiono go, że będzie rozpatrywana jego sprawa, wrócił do domu, usiadł na łóżku obok Aleksandry Władimirowny i powiedział: - Co ja narobiłem, Marusia by oszalała, gdyby dowiedziała się o czymś takim.

- O co pana oskarżają? - spytała Aleksandra Władimirowna.

- O wszystko.

Do pokoju weszły Natasza i Wiera, więc rozmowa się urwała.

Patrząc na Natalię, Aleksandra Władimirowna pomyślała, że to taka mocna,

uparta uroda, której ciężkie życie nie może dać rady. Wszystko 862 w Natalii było piękne - i szyja, i młode piersi, i nogi, i smukłe, obnażone prawie do ramion ręce. „Filozofka bez filozofii” - podsumowała Aleksandra Władimirowna. Często była świadkiem, jak w trudnych warunkach nieprzyzwyczajone do biedy kobiety opuszczały się, przestawały dbać o siebie. Na przykład Wiera. A jej podobały się robotnice sezonowe, dziewczyny ciężko harujące w fabrykach i żołnierki regulujące ruch, które mieszkając w barakach, pracując w kurzu, błocie, robiły jednak trwałą, przeglądały się w lusterku, pudrowały złuszczone nosy.

Silne, uparte ptaki - w niepogodę, na przekór wszystkiemu, śpiewały swoje ptasie piosenki.

Stiepan Fiodorowicz też patrzył na Natalię, nagle chwycił Wierę za rękę, przyciągnął ją do siebie, po czym objął i ucałował, jakby prosząc o wybaczenie.

Aleksandra Władimirowna zaś powiedziała, zdawałoby się, ni w pięć, ni w dziewięć: - E tam, Stiepan, za wcześnie na umieranie! Nawet ja, stara, mam zamiar wyzdrowieć i pożyć jeszcze na tym świecie.

Szybko spojrział na nią, uśmiechnął się. A Natalia naląła ciepłej wody do miednicy, postawiła ją na podłodze koło łóżka, uklękła i powiedziała: - Aleksandro Władimirowno, chciałam pani nogi umyć, w pokoju teraz ciepło.

- Zwariowała pani? Idiotka! Proszę natychmiast wstać! - krzyknęła Aleksandra Władimirowna.

60 Nazajutrz Andriejew wrócił z osiedla fabryki traktorów.

Kiedy wszedł do Aleksandry Władimirowny, uśmiech pojawił się na jego pochmurnej twarzy. Tego dnia pani Szaposznikow wstała z łóżka po raz pierwszy, blada i wychudzona, siedziała przy stole w okularach i czytała książkę.

Opowiedział jej, że długo nie mógł znaleźć miejsca, gdzie stał jego dom, wszystko tam poryte okopami, lej na leju, gruzy i dziury.

W fabryce widać już sporo ludzi, codziennie przychodzą nowi, jest nawet milicja. O ochotnikach z pospolitego ruszenia niczego nie udało 863 się dowiedzieć. Chowają żołnierzy, chowają i ciągle znajdują nowych, to w piwnicach, to w okopach. A ile wszędzie metalu, żelastwa...

Aleksandra Władimirowna zadawała pytania - czy trudno było tam dotrzeć, gdzie nocował, co jadł; czy mocno ucierpiały piece martenowskie; jak u robotników z zaopatrzeniem; czy widział dyrektora? Rano, przed nadejściem Andriejewa, Aleksandra Władimirowna powiedziała do Wiery: - Zawsze śmiałam się z przeczuć i przesądów, a dzisiaj pierwszy raz w życiu nabrałam absolutnej pewności, że Paweł Andriejewicz przyniesie wieści o Sierioży.

Omyliła się jednak.

Jednak to, co opowiedział Andriejew, było ważne, niezależnie od tego, czy słuchał go ktoś szczęśliwy, czy nieszczęśliwy. Robotnicy skarżyli się: zaopatrzenia nie ma, wypłaty nie ma, w piwnicach i ziemiankach zimno, wilgoć. Dyrektor to dzisiaj inny człowiek; przedtem, kiedy Niemcy parli na Stalingrad, z każdym na zakładzie się przyjaźnił, a teraz nie chce rozmawiać; zbudowali mu dom, przystali samochód osobowy z Saratowa.



- Na takim StaIGRES-ie też jest ciężko, ale o Stiepanie Fiodorowiczu mało kto źle mówi - widać, że się przejmują ludźmi.

- Przykro tego słuchać - westchnęła Aleksandra Władimirowna. - Co pan postanowił, Pawle Andriejewiczu? - Przyszedłem się pożegnać, pójdę do domu, chociaż go nie ma.

Znalazłem sobie miejsce w hotelu robotniczym, w piwnicy.

- Słusznie, słusznie - przytaknęła Aleksandra Władimirowna. - Tam jest pańskie życie, złe czy dobre.

- A to odkopałem. - Pokazał wyjęty z kieszeni zardzewiały napastrzek.

- Wkrótce i ja pojedę do miasta, na ulicę Gogola, do siebie, odkopię rozbite skorupy - powiedziała Aleksandra Władimirowna. - Ciągnie mnie do domu.

- Czy nie za wcześnie pani wstała po chorobie? Bardzo pani blada.

- Smutno mi po tej pańskiej opowieści. Człowiek chciałby, żeby wszystko było inaczej na tej świętej ziemi.

Odkasznął.

- Pamięta pani, Stalin mówił dwa lata temu: „Bracia i siostry”...

A teraz, kiedyśmy Niemców pobili - dla dyrektora willa, nie wchodzić bez uzgodnienia, a bracia i siostry - do ziemianek.

864 - Tak, tak, nic w tym wesołego - przyświadczyła Aleksandra Władimirowna. - A od Sierioży nie ma żadnej wiadomości, jakby się pod ziemię zapadł.

Wieczorem przyjechał z miasta Stiepan Fiodorowicz. Rankiem, wychodząc z domu, nikomu nie powiedział, że biuro komitetu miało dzisiaj rozpatrywać jego sprawę.

- Andriejew wrócił? - spytał energicznym, dyrektorskim głosem. O Sierioży nie ma wieści? Aleksandra Władimirowna pokręciła głową.

Wiera od razu zauważyła, że ojciec sporo wypił. To widać było choćby po tym, jak otworzył drzwi, po błyszczących, nieszczęśliwych oczach, po tym, jak wyłożył na stół przywiezione z miasta gościńce, jak zdjął płaszcz, zadawał pytania.

Podszedł do Miti śpiącego w koszu od bielizny i nachylił się nad nim.

- Nie dysz tak na niego - upomniała ojca Wiera.

- Nie szkodzi, niech się przyzwyczajają - odparł rozweselony Spiridonow.

- Siadaj do obiadu, na pewno piłeś i nie zagryzałeś. Babcia dzisiaj pierwszy raz wstała z łóżka.

- No to naprawdę świetnie - powiedział Stiepan Fiodorowicz i upuścił łyżkę do talerza, aż zupa prysnęła mu na marynarkę.

- Oj, Stiepanku, nieźle dziś sobie chlapnęliście - zauważyła Aleksandra Władimirowna. - Z jakiej to okazji? Odsunął talerz.

- No, jedźże - nalegała Wiera.

- Wiecie co, kochane - odezwał się półgłosem Stiepan Fiodorowicz muszę wam coś powiedzieć. Moja sprawa się zakończyła, otrzymałem surową naganę po linii partyjnej, a z narkomani przydział do obwodu swierdłowskiego; mała elektrownia wiejskiego typu, pracująca na torfie, krótko mówiąc, z pułkownika na nieboszczyka. Zapewniają mieszkanie, zwracają koszty przeprowadzki w wysokości dwumiesięcznych poborów. Jutro zacznę przekazywać sprawy następcy. Dostaniemy regularne kartki.

Aleksandra Władimirowna i Wiera spojrzały po sobie; potem odezwała się Aleksandra Władimirowna: - Dobry powód, żeby wypić, trudno zaprzeczyć.

865 - Mama też pojedzie z nami na Ural, dostanie mama oddzielny pokój, lepszy.

- Tobie tam pewnie w ogóle dadzą jeden pokój, nie więcej - zmytygowała go Aleksandra Władimirowna.

- Wszystko jedno, i tak będzie dla mamy.

Stiepan Fiodorowicz nazwał ją mamą pierwszy raz w życiu. W oczach miał łzy, po pijanemu się rozczulił.

Weszła Natalia, a Stiepan Fiodorowicz, zmieniając temat, powiedział: - Cóż tam nasz stary opowiada o fabrykach? Natasza odrzekła: - Paweł Andriejewicz czekał na pana, ale usnął.

Usiadła przy stole, podparła brodę rękami i dodała: - Mówi, że na zakładzie robotnicy prażą pestki, tym się teraz głównie żywią.

Nagle spytała: - Stiepanie Fiodorowiczu, to prawda, że pan wyjeżdża? - Ach tak! Ja też coś o tym słyszałem - odrzekł żartobliwie.

Natalia powiedziała: - Robotnicy bardzo żałują.

- Czego żałować, nowy gospodarz, Tiszka Batrow, to porządny człowiek. Byliśmy na jednej uczelni.

Aleksandra Władimirowna wtrąciła: - Kto tam będzie ci artystycznie cerował skarpety? Wiera nie potrafi.

- To rzeczywiście problem - zgodził się Stiepan Fiodorowicz.

- Trzeba będzie wydelegować z tobą Nataszę - oświadczyła Aleksandra Władimirowna.

- A co? - powiedziała Natasza. - Pojadę! Zaczęli się śmiać, ale po żartobliwej rozmowie zapadła cisza, kłopotliwa i pełna napięcia.

61 Aleksandra Władimirowna postanowiła jechać razem ze Stiepanem Fiodorowiczem i Wierą do Kujbyszewa, zamierzała spędzić jakiś czas u Jewgienii Nikołajewny.

866 Na dzień przed wyjazdem poprosiła nowego dyrektora o samochód, żeby pojechać do miasta i zobaczyć ruiny swojego domu.

Po drodze pytała kierowcę: - A tutaj co? Co tu było przedtem? - Przed czym? - zapytał kierowca ze złością.

Z ruin miasta wyłaniały się trzy warstwy życia - tamtego, sprzed wojny, tego z

okresu walk i teraźniejszego, kiedy życie znowu miało płynąć pokojowym nurtem. W domu, gdzie mieściła się kiedyś pralnia chemiczna i zakład napraw krawieckich, okna były zasłonięte cegłami; podczas bitwy Niemcy z dywizji grenadierów strzelali z cekaemów przez otwory strzelnicze między nimi; teraz przez taki otwór wydawano chleb stojącym w kolejce kobietom.

W ruinach domów wyrosły schrony i ziemianki; mieszkali w nich żołnierze, naradzały się sztaby, pracowały nadajniki radiowe, pisano w nich raporty, ładowano taśmy karabinów maszynowych, automaty.

A teraz pokojowy dym walił z rur, koło schronów schła bielizna, bawiły się dzieci.

Z wojny wyrastał pokój - nędzny, ubogi, prawie tak samo trudny jak wojna.

Przy usuwaniu gruzów, które zawaliły główne ulice, pracowali jeńcy.

Przed sklepami spożywczymi, które mieściły się w piwnicach, stały kolejki z bańkami. Jeńcy rumuńscy leniwie błędzili wśród potężnych ruin, odkopywali trupy. Wojskowych nie było widać, z rzadka tylko pojawiali się marynarze; kierowca wyjaśnił, że flotylla wołżańska została w Stalingradzie, żeby trałować miny. W wielu miejscach widać było zwalone świeże deski, belki, worki cementu. To zwożono materiały na budowę. Tu i ówdzie między ruinami na nowo asfaltowano jezdnię.

Przez pusty plac szła kobieta zaprzężona do dwukołowego, załadowanego tobołkami wózka, pomagało jej dwoje dzieci, ciągnęły za sznury przywiązane do dyszla.

Wszyscy wracali do domu, do Stalingradu, a Aleksandra Władimirowna przyjechała i znowu wyjeżdżała.

Spytała kierowcę: - Żałuje pan, że Spiridonow odchodzi ze StałGRES-u? - A co mi za różnica? - odpowiedział kierowca. - Spiridonow mnie ganiał, nowy też będzie ganiał. Jeden pies. Wypisał zlecenie, to jadę.

867 - A to tutaj? - spytała, wskazując gruby mur, zakopcony od ognia, z ziejącymi oczodołami okien.

- Tu będą jakieś urzędy, lepiej by ludziom dali na mieszkania.

- A przedtem co było? - Przedtem tu sam Paulus urzędował, stąd go właśnie zabrali.

- A jeszcze przedtem? - Nie poznaje pani? Dom towarowy.

Wydawało się, że wojna odepchnęła dawny Stalingrad. Łatwo było sobie wyobrazić, jak z piwnicy wychodzą niemieccy oficerowie, jak niemiecki feldmarszałek przechodzi wzdłuż tej zakopconej ściany, a wartownicy prężą się przed nim. Ale czyżby to naprawdę tutaj Aleksandra Władimirowna kupowała materiał na płaszcz, zegarek, który dała Marusi na urodziny, czy tutaj przychodziła z Sieriożą i w dziale sportowym na pierwszym piętrze kupowała mu łyżwy? Pewnie tak samo osobliwy jest widok dzieci, piorących kobiet, wozu z sianem czy staruszka z grabiami dla tych, którzy przyjeżdżają obejrzeć kurhan Małachowski w Sewastopolu, Verdun, Borodino... Tutaj, gdzie są winnice, szły kolumny Francuzów, jechały kryte brezentem ciężarówki. Tam, gdzie widać chatę, jabłonki, nieduże stado kołchozowe, szarżowała konnica Murata,

stąd Kutuzow, siedząc w fotelu, machnięciem starczej ręki podrywał piechotę rosyjską do kontrataku.

Na kurhanie, gdzie teraz łążą brudne kury i kozy szczypią trawę między kamieniami, stał Nachimow, stąd leciały świecące, opisane przez Tołstoja bomby, tutaj krzyczeli ranni, świszczały angielskie kule.

Aleksandrze Władimirownie też wydały się dziwne te kolejki bab, te chałupy, mężczyźni zwożący deski, te schnące na sznurach koszule, połatane prześcieradła, wijące się jak żmije pończochy, ogłoszenia przyklejone do martwych murów...

Nie wątpiła, że dzisiejsze życie musi wydawać się bardzo nudne Stiepanowi Fiodorowiczowi, kiedy opowiada o sporach w komitecie na temat wykorzystania siły roboczej, desek, cementu; jałowa stała się dla niego „Stalingradzka Prawda”, pisząca o rozbiórce domów, o oczyszczaniu ulic z gruzu, urządzaniu łaźni, stołówek robotniczych. Ożywiał się natomiast, opowiadając o bombardowaniach, pożarach, o wizytach w StałGRES-ie dowódcy armii, Szumiłowa, o niemieckich czołgach, nadjeżdżających od strony wzgórz i o radzieckich artylerzystach, którzy powitali te czołgi ogniem dział.

868 Na tych ulicach decydowały się losy wojny. Rezultat tej bitwy kreślił mapę powojennego świata, wyznaczał miarę wielkości Stalina albo ponurej władzy Adolfa Hitlera. Przez dziewięćdziesiąt dni Kreml i Berchtesgaden żyły, myślały, oddychały tylko jednym słowem - „Stalingrad”.

Stalingrad miał napisać filozofię historii, zdecydować o przyszłym ustroju społecznym. Losy świata rzuciły cień i ukryły przed ludźmi miasto, w którym niegdyś toczyło się normalne życie. Stalingrad stał się zapowiedzią przyszłości.

Stara kobieta, zbliżając się do swojego domu, nieświadomie znajdowała się we władzy tych sił, które zderzyły się w Stalingradzie, gdzie pracowała, wychowywała wnuki, pisała listy do córek, chorowała na gripę, kupowała sobie buty.

Poprosiła kierowcę, żeby się zatrzymał, i wysiadła z samochodu.

Z trudem brnąc pustą, nieoczyszczoną z gruzu ulicą, wpatrywała się w ruiny, poznając albo nie poznając resztek domów, które sąsiadowały z jej domem.

Zachował się tylko front budynku. Przez ziejące okna starczymi, dalekowzrocznymi oczami Aleksandra Władimirowna ujrzała ściany swego mieszkania, poznała ich wyblakły, niebieski i zielony kolor. Ale w pokojach nie było podłogi, nie było sufitów, nie było schodów, którymi mogłaby wejść. Ceglany mur nosił na sobie ślady pożaru, w wielu miejscach był pokąsany odłamkami.

Jej duszą wstrząsnęło niesamowite, przeszywające uczucie, kiedy pomyślała o swoim życiu, o córkach, o swoim nieszczęsnym synu, o wnuku Sierioży, o bezpowrotnych stratach, o swojej bezdomnej siwej głowie. Patrzyła na ruiny domu słaba, chora kobieta w starym płaszczu, w zdeptanych butach.

Co ją czeka? Miała siedemdziesiąt lat i nie wiedziała tego. „Życie jeszcze przede mną” - pomyślała Aleksandra Władimirowna. Co czeka tych, których kocha? Tego też nie wiedziała. Wiosenne niebo spoglądało na nią z pustych okien jej domu.

Życie jej bliskich było niestabilne, niejasne i powikłane, pełne wątpliwości, nieszczęść, błędów. Co będzie dalej z Ludmiłą? Czym zakończy się rozkład jej rodziny? Co z Sieriożą? Czy żyje? Jakie kłopoty czekają Wiktora Sztruma? Co się stanie z Wierą

i Stiepanem Fiodorowiczem? Czy Stiepan zdoła znowu urządzić sobie życie, czy znajdzie spokój? 869 Jak ułożą się losy Nadi, mądrej, dobrej i niedobrej? A Wiera? Czy nie ugnie się pod ciężarem samotności, nędzy, kłopotów życiowych? Co będzie z Żenią, czy pojedzie na Syberię za Krymowem, czy sama trafi do obozu i zginie, tak jak zginął Dmitrij? Czy państwo wybaczy Sierioży matkę i ojca, którzy niewinnie zginęli w obozach? Dlaczego takie poplątane, tak niejasne są ich losy? Ci, którzy umarli, zginęli, zostali straceni, nadal zachowywali łączność z żywymi. Pamiętała ich uśmiechy, żarty, ich śmiech, smutny i zakłopotany wzrok, ich rozpacz i nadzieję.

Mitia, który objął ją i powiedział: „Nie szkodzi, mamusiu, najważniejsze, żebyś się o mnie nie martwiła, nawet tutaj, w obozie, są dobrzy ludzie”. Sonia Lewinton, czarnowłosa, z wąsikami nad górną wargą, młoda, porywcza a zarazem wesoła, deklamuje wiersz. Błada, zawsze smutna, inteligentna i ironiczna Ania Sztrum. Tola, który brzydko, łapczywie jadł makaron z tartym serem i złościł ją, bo mlaskał. Nie chciał też w niczym pomóc Ludmile: „Szkłanki wody od niego się nie mogę doprosić...” - „Dobrze, dobrze, przyniosę, ale czemu nie Nadia?” Marusiu!... Żenia zawsze śmiała się z twoich nauczycielskich kazań, pouczałaś Stiepana, nawracałaś na ortodoksyjne poglądy i utonęłaś w Wołdze, razem z niemowlęciem, ze Sławą Bieriozkinem, ze starą Warwarą Aleksandrowną. Wytłumaczcie mi, Michaile Sidorowiczu.

Boże, co też on może wytłumaczyć...

Wszystkim im brakło mocnego oparcia, zawsze coś ich trapiło, jakiś ukryty ból, zwątpienie, ale mieli nadzieję na szczęście. Jedni odwiedzali ją, inni pisali do niej listy, a ona zawsze dziwnie się czuła; miała niby wielką, kochającą się rodzinę, a w duchu - poczucie własnej samotności.

Przecież i ona, stara, żyje i nadal oczekuje czegoś dobrego, wierzy i lęka się zła, pełna niepokoju o los żyjących, i nie oddziela od nich tych, którzy umarli, stoi i patrzy na ruiny swego domu, ciesząc się wiosennym niebem, i nawet nie wie tego, że się nim cieszy; stoi i pyta, dlaczego tak niepewna jest przyszłość kochanych przez nią ludzi, skąd tyle błędów w ich życiu, i nie dociera do niej, że właśnie w tej niepewności, w tej mgłę, w nieszczęściu i zamęcie, zawiera się odpowiedź, jasność i nadzieja; że przecież ona zna, rozumie całą swoją duszą sens życia, które przypadło w udziale jej i jej bliskim, i chociaż ani ona ani nikt z jej bliskich nie odgadnie, co ich czeka, i chociaż wiedzą, że 870 w strasznym czasie człowiek nie jest już kowalem swego losu, bo to losowi właśnie dane jest prawo łaski i karania śmiercią, wznoszenia ku sławie i pogrążania w nędzy, wtrącania do obozu, ale ani losy świata, ani wyroki historii, ani gniew państwa, ani rezultaty bitew nie są w stanie zmienić tych, którzy zwą się ludźmi, i czy za trudy czeka ich nagroda, czy też samotność, rozpacz, nędza, obóz i śmierć, przeżyją swoje życie jako ludzie i umrą jako ludzie, a ci, którzy zginęli, potrafili umrzeć jako ludzie - i na tym polega ich wieczne, gorzkie, ludzkie zwycięstwo nad wszystkim, co potężne i nieludzkie, nad wszystkim, co na tym świecie było i będzie, co przychodzi i odchodzi.

62

Ten ostatni dzień zakręcił w głowie nie tylko pijącemu od rana Stiepanowi Fiodorowiczowi. Aleksandrę Władimirownę i Wierę ogarnęła zwykła przedwyjazdowa gorączka. Kilka razy przychodzili robotnicy, pytali o coś Spiridonowa. Przekazywał ostatnie sprawy, pojechał do komitetu, żeby go wypisali z rozdzielnika, dzwonił do

przyjaciół, wykreślił się z ewidencji w komisji wojskowej, chodził po fabryce, rozmawiał, żartował, a kiedy na chwilę został sam w hali turbin, przyłożył policzek do zimnego, nieruchomego koła zamachowego i zmęczony zamknął oczy.

Wiera układała rzeczy, kończyła nad piecem suszyć pieluszki, szykowała na drogę buteleczki z przegotowanym mlekiem dla Miti, wpychała chleb do worka. Tego dnia na zawsze rozstawała się z Wiktorowem, z matką. Zostaną sami, nikt o nich tu nie pomyśli, nie zapyta.

Pocieszała ją myśl, że teraz jest najstarsza w rodzinie, najspokojniejsza, pogodzona z ciężkim życiem.

Aleksandra Władimirowna, patrząc w rozpalone od ciągłego niedosypiania oczy wnuczki, powiedziała: - Tak to już, Wiera, jest urządzone. Najtrudniej rozstawać się z domem, gdzie się przeżyło dużo nieszczęść.

Natasza zabrała się do pieczenia dla nich pierożków na drogę. Rano poszła obładowana drwami i produktami spożywczymi do osiedla robotniczego, do znajomej, która miała rosyjski piec; tam szykowała nadzienie, wałkowała ciasto. Twarz jej poczerwieniała od pracy, stała się całkiem młoda i bardzo ładna. Natasza przejrziała się w lusterku, dla żartu przypudrowała sobie nos i policzki mąką, a kiedy znajoma wyszła z pokoju, płakała, aż łzy kapały do ciasta.

Znajoma jednak zauważyła te łzy i spytała: - Czego ty, Natasza, płaczesz? Natasza odparła: - Przywykłam do nich. Stara jest porządna, a Wiery mi żal i jej sieroty też.

Znajoma wysłuchała wyjaśnienia i powiedziała: - Kłamiesz, Nataszka, nie za starą płaczesz.

- Właśnie że za starą.

Nowy dyrektor obiecał zwolnić Andriejewa, ale kazał mu pozostać na StalGRES-ie jeszcze pięć dni. Natalia oświadczyła, że te pięć dni przemieszka z teściem, a potem wróci do syna, do Lenińska.

- A tam - powiedziała - zobaczy się, dokąd dalej pojedziemy.

- Co się zobaczy? - spytał teść, ale Natasza nie odpowiedziała.

Płakała pewnie dlatego, że nic się nie zobaczy. Paweł Andriejewicz nie lubił, kiedy synowa troszczyła się o niego. Natalia podejrzewała, że rozpamiętuje jej kłótnie z Warwarą Aleksandrowną, że potępia ją za nie, nie wybacza.

Przed obiadem przyszedł do domu Stiepan Fiodorowicz, opowiedział, jak zegnali się z nim robotnicy w warsztatach mechanicznych.

- Tutaj też przez cały ranek do nas pielgrzymowali - powiadomiła go Aleksandra Władimirowna. - Jakichś pięciu czy sześciu ludzi o pana pytało.

- To co, wszystko gotowe? Ciężarówka będzie punktualnie o piątej uśmiechną się. - Dzięki Batrowowi, jednak dał.

Sprawy były załatwione, rzeczy spakowane, a pijackie, nerwowe pobudzenie nie opuszczało Spiridonowa. Zaczął przestawiać walizki, na nowo pakować tobołki, wydawało się, że nie może doczekać się wyjazdu.

Wkrótce z biura wrócił Andriejew, a Stiepan Fiodorowicz spytał: - Jak tam, nie ma depeszy z Moskwy w sprawie kabla? - Nie, depeszy nie było ani jednej.

- Ach, te sukinkoty! Psują całą robotę, przecież przed majem można byłoby uruchomić pierwszą kolejkę.

Andriejew uzalił się nad Aleksandrą Władimirowną: - Naprawdę źle pani wygląda. Jak można się puszczać w taką drogę? 872 - Nie szkodzi, mam siedem żyć. Zresztą gdzie się podzieję, w zrujnowanym domu, na Gogola? A tu już malarze przychodzili, oglądali; będą robić remont dla nowego dyrektora.

- Mógłby chociaż jeden dzień poczekać, cham - oburzyła się Wiera.

- Dlaczego cham? - zdziwiła się Aleksandra Władimirowna. - Życie przecież idzie naprzód.

Stiepan Fiodorowicz spytał: - Jak tam obiad, gotowy, na co czekamy? - Na Natalię z pierożkami.

- Oj, przez te pierożki to się spóźnimy na pociąg.

Jeść mu się nie chciało, ale do pożegnalnego obiadu przewidziana była wódka, a on miał wielką ochotę wypić.

Rano wciąż chciał zajrzeć do swojego służbowego gabinetu, побыć tam choćby kilka minut, ale mu nie wypadało; u Batrowa odbywało się zebranie kierowników wydziałów. Uczucie goryczy sprawiło, że miał jeszcze większą ochotę się napić, bez przerwy kręcił głową: „Spóźnimy się, spóźnimy”.

Ten strach, że się spóźnią, niecierpliwe czekanie na Nataszę były mu dziwnie miłe, ale nie mógł absolutnie zrozumieć dlaczego; nie pamiętał, że tak samo popatrywał na zegarek i powtarzał zrezygnowany: „Spóźnimy się”, kiedy przed wojną wybierali się z żoną do teatru.

Tego dnia chciał doznawać samych dobrych uczuć, przez co robiło mu się jeszcze smutniej. Powiedział znowu: - Czego mnie żałować, dezertera i tchórza? Jeszcze, nie daj Boże, zażądam, żeby mi dali medal za udział w obronie.

- Rzeczywiście, siadajmy do obiadu - podjęła decyzję Aleksandra Władimirowna, widząc, że Stiepan Fiodorowicz jest wytrącony z równowagi.

Wiera przyniosła garnek z zupą. Spiridonow postawił butelkę wódki.

Aleksandra Władimirowna i Wiera nie chciały pić.

- Cóż, nalejemy mężczyznom - zgodził się Stiepan Fiodorowicz i dodał: - A może poczekamy na Natalię? Akurat wtedy weszła Natasza z kobiałką i zaczęła wykładać pierożki na stół.

Stiepan Fiodorowicz nalał po szklance Andriejewowi i sobie, Nataszy - pół szklanki.

Andriejew powiedział: 873 - Zeszłego lata tak samo jedliśmy pierogi na Gogola u Aleksandry Władimirowny.

- Te na pewno nie są gorsze od tych w zeszłym roku - zapewniła Aleksandra Władimirowna.

- Ilu ludzi siedziało przy stole, a teraz tylko babcią, pan, ja i tata zauważyła Wiera.

- Rozbiliśmy Niemców w Stalingradzie - przypomniał Andriejew.

- To wielkie zwycięstwo! Niemcy drogo zapłacili - przyznała Aleksandra Władimirowna i dodała: - Jedzcie supę, bo w drodze tylko na sucho, nic gorącego nie będzie.

- Tak, droga ciężka - potwierdził Andriejew. -I załadować się trudno, nie ma dworca, pociągi z Kaukazu na Bałaszow jadą tranzytem; ludzi w nich pełno, sami wojskowi. Za to z Kaukazu wiozą biały chleb! Stiepan Fiodorowicz powiedział: - Chmara ich na nas szła, no i gdzie ta chmara? Rosja Radziecka zwyciężyła.

Pomyślał, że jeszcze niedawno w StalGRES-ie słychać było huczące niemieckie czołgi, a teraz je popędzono wiele setek kilometrów dalej, walki toczą się pod Biełgorodem, pod Czugujewem, na Kubaniu.

I od razu znowu zaczął o tym, co nieznośnie mu dokuczało: - No, dobra, może jestem dezserterem, ale kto na mnie wydaje wyrok? Niech mnie sądzą żołnierze ze Stalingradu. Przed nimi się ukorzę.

Wiera przypomniała: - A koło pana, Pawle Andriejewiczu, siedział wtedy Mostowski.

Ale Stiepan Fiodorowicz przerwał rozmowę, dzisiejsze nieszczęście za bardzo mu dopiekło. Zwracając się do córki, powiedział: - Zadzwoiłem do pierwszego sekretarza komitetu, chciałem się pożegnać, w końcu ja jedyny z dyrektorów przez całą obronę tkwiłem na prawym brzegu, ale jego pomocnik Barulin nie połączył mnie, powiedział: „Towarzysz Priachin nie może z wami rozmawiać. Jest zajęty”. Ano cóż - jak zajęty, to zajęty.

Wiera, jakby nie słyszała ojca, spytała: - A koło Sierioży siedział lejtnant, kolega Toli, gdzie on teraz jest? Tak chciała, żeby ktokolwiek powiedział: „Gdzie ma być, walczy pewnie, cały i zdrowy”.

Takie słowa choć trochę złagodziłyby dzisiaj jej smutek.

Ale Stiepan Fiodorowicz znowu jej przerwał, mówiąc: 874 - Mówię mu, wyjeżdżam dzisiaj, sam wiesz. A on mi: „W takim razie napiszcie, zwróćcie się pisemnie”. Dobra, diabli z nim. Wypijemy po szklaneczce. Ostatni raz siedzimy przy jednym stole.

Podniósł szklankę w stronę Andriejewa.

- Pawle Andriejewiczu, nie wspominaj mnie źle.

Andriejew go pocieszył: - Co pan wygaduje, Stiepanie Fiodorowiczu. Miejscowa klasa robotnicza jest za panem.

Spiridonow wypił, milczał przez dłuższą chwilę, jakby wynurzył się z wody, potem zaczął jeść supę.

Przy stole zrobiło się cicho, słychać było tylko, jak Stiepan Fiodorowicz odgryza pieróg i postukuje łyżką o talerz.

Akurat zaczął wołać mały Mitia. Wiera wstała od stołu, podeszła do niego, wzięła



go na ręce.

- Niech pani je, Aleksandro Władimirowno - zachęciła Natalia.

- Oczywiście - odpowiedziała Aleksandra Władimirowna.

Stiepan Fiodorowicz powiedział z uroczystym, pijackim radosnym zapałem: - Natasza, przy wszystkich to pani mówię. Nie ma pani tu nic do roboty, niech pani jedzie do Lenińska, zabierze syna i przyjeżdża do nas na Ural. Będziemy razem, razem jest lżej.

Chciał zobaczyć jej oczy, ale ona nisko skłoniła głowę, tak że widział tylko czoło i ciemne, piękne brwi.

- I pan, Pawle Andriejewiczu, też niech przyjeżdża. Razem zawsze raźniej.

- Gdzież mi tam do wyjazdów - westchnął Paweł Andriejewicz. - Ja już nie zmartwychwstanę.

Stiepan Fiodorowicz szybko obejrzał się na Wierę; stała z Mitią na rękach i płakała.

Po raz pierwszy tego dnia zobaczył ściany, które porzucał, a wtedy dręczący go ból, świadomość, że został zwolniony, stracił dobre imię i ukochaną pracę, poczucie krzywdy i doprowadzający do obłędu wstyd, które nie pozwalały mu cieszyć się ze zwycięstwa, wszystko to zniknęło, przestało mieć znaczenie.

A siedząca obok niego stara kobieta, matka jego żony, tej, którą kochał i którą utracił na zawsze, pocałowała go w głowę i pocieszyła: - Nie trap się tak, mój kochany; życie to życie.

63

Przez całą noc w chacie było duszno, bo gospodyni wieczorem napaliła w piecu.

Lokatorka i jej mąż, który przyjechał poprzedniego dnia, wojskowy wypisany ze szpitala, nie spali prawie do rana. Rozmawiali szeptem, żeby nie rozbudzić starej gospodyni i śpiącej na skrzyni dziewczynki.

Stara usiłowała zasnąć, ale nie mogła. Złościła się, że lokatorka rozmawia z mężem szeptem - to jej przeszkadzało, mimo woli wsłuchiwała się w ich głosy, usiłowała połączyć pojedyncze słowa, które do niej docierały.

Wydawało się, że gdyby mówili głośniej, trochę by posłuchała i w końcu zasnęła. Chciała nawet zapukać w ścianę i powiedzieć: „Czego tak szepczecie, to aż takie ciekawe, że trzeba podsłuchiwać?” Kilka razy stara wyławiała całe zdania, potem znowu szept stawał się niezrozumiały.

Wojskowy powiedział: - Przyjechałem ze szpitala, a nawet cukierka wam nie przywiozłem.

Wiesz, jak to jest na froncie.

- A ja - odparła żona - kartoflami z olejem cię ugościłam.

Znowu coś szepotali, nic nie można było zrozumieć; potem kobieta chyba płakała.

Staruszka usłyszała, jak mówi: - To moja miłość cię ocaliła.

„To musi być łobuz” - pomyślała stara o wojskowym.

Zdrzemnęła się na kilka minut i musiała zachrapać, bo tamci zaczęli rozmawiać głośniej.

Obudziła się, nastawiła ucha i usłyszała: - Piwowarow pisał do szpitala; dopiero niedawno dali mi podpułkownika, a zaraz potem pułkownika. Sam dowódca armii interweniował. Przecież to on mi powierzył dywizję. I dostałem Order Lenina.

A wszystko za tamtą walkę, kiedy siedziałem pod ziemią, zasypany, bez łączności z batalionami, i wyśpiewywałem jak ptaszek w klatce.

Czuję się jak jakiś kanciarz. Głupio mi tak, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Potem widocznie się spostrzegli, że stara nie śpi, i znów zaczęli mówić szeptem.

Staruszka była wdową, mąż umarł przed wojną, a jedyna córka z nią nie mieszkała, pracowała w Swierdłowsku. Na wojnie stara nie miała nikogo, więc nie mogła zrozumieć, dlaczego tak ją rozstroił wczorajszy przyjazd wojskowego.

Lokatorki nie lubiła, wydawała jej się jakaś niepoważna i niezaradna.

Wstawiała późno, jej córeczka chodziła obdarta, jadła byle co. Kobieta przeważnie nic nie mówiła, siedziała przy stole i gapiła się w okno.

Czasem jednak coś ją napadało i brała się do roboty, a wtedy okazywało się, że wszystko potrafi: szyła, myła podłogę, gotowała dobrą zupę i nawet krowę umiała wydoić, chociaż była miastowa. Widać coś z nią nie bardzo. Dziewczynka też chyba niespełna rozumu. Strasznie lubi się bawić chrabąszczami, konikami polnymi, karaluchami, ale jakoś głupio, nie tak jak inne dzieci - całuje te chrabąszcze, opowiada im coś, potem je wypuszcza i płacze, woła, nadaje im imiona. Stara przyniosła jej jesienią z lasu jeżyka, dziewczynina chodziła za nim krok w krok; gdzie on, tam i ona. Jeż zachrząka, a ta wariuje z radości. Jeż wlezie pod komodę, a ona siądzie na podłodze obok i czeka; mówi do matki: „Cicho, on odpoczywa”. A kiedy jeż uciekł do lasu, przez dwa dni nie chciała jeść.

Stara ciągle podejrzewała, że jej lokatorka się powiesi, i to ją martwiło.

Co będzie z dziewczynką? Nie chciała nowych kłopotów na starość.

- Nikomu nic nie jestem winna - mówiła i na serio dręczyła się myślą, że wstanie rano, a tu lokatorka wisi. Co wtedy zrobi z tą dziewczuchą? Sądziła, że lokatorkę mąż porzucił, znalazł sobie na wojnie inną, młodszą, i ta dlatego taka zamyślona. Listy od niego przychodziły rzadko, a kiedy przychodziły, kobieta nie robiła się wcale weselsza.

Nic nie można było z niej wyciągnąć, w ogóle nie chciała rozmawiać.

Nawet sąsiadki zauważyły, że stara ma dziwną lokatorkę.

Staruszka zaznała biedy z mężem. Był pijakiem, awanturował się.

I bił nie tak zwyczajnie, tylko zawsze starał się przyłożyć jej pogrzebaczem albo kijem. Córkę też bijał. A jak był trzeźwy, to także niewielka pociecha - skąpy, czepiał się o wszystko, do garnków nawet zaglądał jak baba: wszystko nie tak, wszystko mu źle. Uczył ją gotować, źle robiła zakupy, źle słała łóżko, krowę też doła nie tak jak trzeba. I co słowo, to kłął paskudnie. Ją też tak nauczył - jak tylko coś jej nie

pasowało, zaraz klęła jak szewc. Nawet ulubioną krowę wyzywała. Kiedy mąż umarł, nie uroniła ani jednej łzy. W dodatku aż do starości dobierał się do 877 niej. Co z takim począc, jak pijany? Żeby choć córki się zawstydził, to nie, aż wspominać przykro. A jak chrapał, zwłaszcza kiedy był pijany! Krowa znowu była strasznie płochliwa. Byle co, to zaraz ucieka ze stada; ledwie ją można dogonić.

Stara to przysłuchiwała się szeptom za przegródką, to wspominała swoje niedobre życie z mężem i oprócz złości na niego czuła też i litość.

Całe życie pracował ciężko, a zarabiał mało. Gdyby nie krowa, byłoby z nimi całkiem źle. I umarł właśnie od tego, że w kopalni nałykał się pyłu. A ona nie umarła, żyje. Kiedyś przywiózł jej z Jekaterynburga korale, córka je teraz nosi...

Wczesnie rano, zanim dziewczynka się obudziła, wojskowy i jego żona poszli do sąsiedniego przysiółka, gdzie na wojskową kartkę podrózną można było dostać biały chleb.

Szli w milczeniu, trzymając się za ręce; musieli przejść półtora kilometra lasem, zejść do jeziora, a dalej brzegiem.

Śnieg jeszcze nie stajał i wydawał się niebieskawy. W jego dużych, szorstkich kryształach rodziła się, nabrzmiewała siność wody jeziora.

Na słonecznym zboczu wzgórza śnieg już się topił, woda szumiała w przydrożnym rowie. Oczy oślepiał blask słońca odbijającego się w śniegu, wodzie i zamrożonych kałużach. Światła było tak dużo, że trzeba się było przez nie przedzierać jak przez zarośla. To światło niepokoiło, przeszkadzało, a kiedy szli po lśniących, ściętych lodem kałużach, mieli wrażenie, że chrzęści im pod nogami, rozsypuje się na kłujące okruszyny-promyki. Światło płynęło też rowem, a tam gdzie drogę zagradzały mu kamienie, wznosiło się, pieniało, szemrało i brzęczało. Wiosenne słońce bardzo zbliżyło się do ziemi. Powietrze było zarazem ciepłe i chłodne.

Mężczyźnie zdawało się, że tym światłem i błękitem nieba przepłukał sobie gardło, przepalone papierosami i dymem prochowym, przepite, udręczone mrozem i przekleństwami, teraz więc czuł ulgę.

Weszli do lasu, w cień pierwszych, pełniących wartę sosen. Tutaj śnieg wciąż tworzył jedną wielką pokrywę, która nie tajała. Na sosnach, w zielonym kole gałęzi, uwijały się wiewiórki, a na dole, na landrynkowej powierzchni śniegu, leżały porzrzucone szyszki i kora z poogryzanych drzew.

W lesie było cicho, bo światło powstrzymane przez wielopiętrowe igliwie nie szumiało, nie brzęczało. Szli jak przedtem, bez słowa, nareszcie razem - tylko dzięki temu wszystko było takie dobre i dzięki temu przysła wiosna.

Nie umawiając się, nagle przystanęli. Dwa dobrze odżywione gile siedziały na gałęzi świerka. Ich czerwone, grube brzuszki wydały się kwiatkami, które zakwitły na zaczarowanym śniegu. Dziwna, zdumiewająca była ta cisza.

Trwała w niej pamięć o ubiegłorocznym pokoleniu listowia, o deszczach które przeszły, o uwitych i porzuconych gniazdach, o dzieciństwie, o niewesołym trudzie mrówek, o wiarołomstwie i rozbojach lisów i kań, o wojnie światowej wszystkich ze wszystkimi, o złu i o dobru, które zrodziły się w pewnym sercu i razem z nim umarły, o burzach i gromach, które przyprawiały o drżenie serca zajęcze i pnie sosen. W zimnym

półmroku, pod śniegiem, spało minione życie - radość miłosnej schadzki, niepewna kwietniowa paplanina ptasia, pierwsza znajomość z dziwnymi, a potem już dobrze znanymi sąsiadami. Spali silni i słabi, śmiali i bojaźliwi, szczęśliwi i nieszczęśliwi. W opustoszałym i porzuconym domu odbywało się ostatnie pożegnanie ze zmarłymi, którzy odeszli z niego na zawsze.

W tym leśnym chłodzie czuło się wiosnę o wiele intensywniej niż na oświetlonej słońcem równinie. A smutek w leśnej ciszy był większy niż w ciszy jesieni. W tej niemocie słyszało się lament nad zmarłymi i niepohamowaną radość życia...

Jeszcze jest ciemno i zimno, ale już całkiem niedługo otworzą się drzwi i okiennice, pusty dom ożyje, wypełni się dziecięcym śmiechem i płaczem, mile zabrzmie pośpieszny tupot kobiecych kroków, pewnym krokiem przespaceruje się tu gospodarz.

Stali tak, trzymając w rękach koszyki na chleb, i nic nie mówili.

1960 r.